





3980.

PRZEGLĄD  
P O L S K I.

ROK XXVI.

**Kwartał III.**

(Styczeń, Luty, Marzec).

**Ogólnego zbioru tom 103.**

(Zeszyty od 307 do 309).



W KRAKOWIE,  
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.  
pod zarządem J. Łakocińskiego.

1892.

C 22378
4501 II

W. 9613297

22.4



1,00

# SPIS RZECZY

zawartych w tomie III rocznika XXVI.

	str.
Talleyrand, przez Henryka Lisickiego	1, 339, 516
Xenofont (dokończenie), przez X. Dra Stefana Paw- lickiego . . . . .	47, 289
Kallay o Andrassym (dokończenie), przez Józefa Po- powskiego . . . . .	95
Stromictwo młodoczeskie, przez E. Lipnickiego	138
Traktaty handlowe, przez Dra Józefa Milewskiego	171
Bohater ostatniej powieści Sienkiewicza. (Studyum nad „Bez dogmatu“), przez Dra Jana Bożoz Antonie- wicza . . . . .	255
Twórczość w przemyśle. (Studyum ekonomiczno-praw- nicze), przez Fryderyka Zolla jun. . . . .	384, 567
Słowo w długoletniej rozprawie, przez Pawła Popiela	411
Nasze gimnazya i Rada szkolna krajowa, przez W. Zakrzewskiego . . . . .	499
Wybory węgierskie, przez E. Lipnickiego . . . . .	593
W sprawie reformy waluty w Austro-Węgrzech, przez Dra Józefa Milewskiego . . . . .	628
Kronika literacka . . . . .	190, 434, 665
P. Popiel: Powstanie i upadek Konstytucyi 3 maja. — J. Leszczyce: Pamiętniki Gustawa Oli- zara (1798—1865) — X. A. Kopyciński: O sto- sunku kapitału do pracy. — W. Zakrzewski: Hi- storia sfałszytna.	
M. G. Lanson: Bossuet. — L. Wiesener: Le Régent, l'abbé Dubois et les Anglais. — E. Berge- rat: Théâtre en vers.—E. Rod: Les idées morales du temps présent.—T. de Wyzewa: Le mouvement socialiste en Europe.	
<i>Z literatury powieściowej.</i> F. Marion-Craw- ford: The witch of Prague. — R. Kipling: The phantom Rickshaw and other stories. — H. Suder-	

mann: Frau Sorge. — G. Verga: Storia di una capinera.

K. Morawski: Andrzej Patrycy Nidecki, jego życie i dzieła. — A. Lewicki: Kodeks listów XV stulecia. T. II. — M. Udziela: Medycyna i przesa-  
dy lecznicze ludu polskiego. — *Kronika Rodzinna*. Rok 1891.

T. Reinach: Mithridate Eupator roi de Pont. — I. R. Thursfield: Peel. — Vicsse de Janzé: Etudes et récits sur Alfred de Musset.

*Z literatury powieściowej*. T. Jeske-Choiński: Po złote runo. — Abgar-Soltan: Klub nietoperzy, 2 t. — M. Gawalewicz: Ćma. — Esteja: Mój testament. Mea. W sereu garbuska.

K Lanckoroński, G. Niemann i E. Petersen: Miasta Pamfilii i Pizydy; t. I. Pamfilia. — W. Łoziński: Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII wieku. Wydanie 2. — S. Żółtowski: Die Finanzen des Herzogthums Warschau (1806—1815). — J. Rostafiński: Botanika szkolna na niższe klasy. Wydanie 2.

*Z literatury rosyjskiej*. I. A. Szlapkin: Św. Dymitr Rostowski i jego czasy (1651—1709). — A. Efimenko: Szlachta małoruska i jej losy — Podpułkownik A. M. Zołotarew i rotmistrz A. Hubrich: Henry the Fifth. — L. A. Daudet: Germe et Poussière. — *The Magazine of Art*, rok 1890.

*Z literatury powieściowej*. S. Grudziński: Żona artysty. — L. de Tinseau: Plus fort que la haine. Przegląd polityczny, przez \* \* \* . . 243, 48°, 712



# TALLEYRAND.

---

*Mémoires du Prince de Talleyrand*, publiés par le duc de Broglie. Paris, 1890, 1891. — *La Mission de Talleyrand à Londres en 1792*, publ. par G. Pallain. Paris, 1889. — *Le ministère de Talleyrand sous le Directoire*, publ. par G. Pallain. Paris, 1891. — *Lettres inédites de Talleyrand à Napoléon*, publiées par Pierre Bertrand. Paris, 1889. — *Ambassade de Talleyrand à Londres en 1830*, publ. par G. Pallain. Paris, 1891. — *Le Prince de Talleyrand et la maison d'Orléans*, par la Comtesse de Mirabeau. Paris. 1890. — *Essai sur Talleyrand* par sir Henry Lytton Bulwer, traduit p. G. Perrot. Paris, 1868. — *Monsieur de Talleyrand*, par Sainte-Beuve. Paris, 1870.

## I.

Karol Maurycy de Talleyrand-Périgord przyszedł na świat r. 1754; dzień i miesiąc nie są napewno wiadome. Dom Perigordów, niegdyś udzielny, z dawnej świetności zachował w XVIII w. tylko tytuły i szczupły majątek. Rodzice Karola trzymali się dworu. Ojciec służył w wojsku, był dworzaninem (*menin*) Delfina, używał opinii człowieka zacnego charakteru i małych zdolności. Matka, z domu margrabianka de Damas, dama pałacowa Maryi Leszczyńskiej, słynęła z rozumu, wdzięku i podobno także z cnoty; żyjąc do r. 1809, miała być bardzo dumną z talentów syna i niezupełnie pochwałać użytku, jaki z nich robił.

Według ówczesnego zwyczaju, rodzice nie zajmowali się wychowaniem dzieci; dla ludzi należących do dworu, małe dzieci były ciężarem. Talleyrand przez całą młodość ani tygo-

dnia nie spędził pod dachem rodzicielskim. Zaraz po urodzeniu oddano go na mamki. Został tam w zupełnem zapomnieniu do lat czterech. Gdy prababka, ks. de Chalais, zażądała mieć go u siebie, okazało się, że chłopezyk jest kulawy, wskutek spadnięcia z komody i zaniedbania zwiechniętej nóżki.

Stara służąca, panna Charlemagne, zawiozła dziecko do Chalais omnibusem, chodzącym do Bordeaux; podróż trwała siedmnaście dni. Pod skrzydłem babki Talleyrand przepędził drugie cztery lata. Zakosztował słodyczy rodzinnego ogniska, przypatrzył się wielkopańskiej egzystencji, nauczył czytać, pisać *et à parler un peu le périgourdin*. Sam przyznaje, że co w nim było dobrego i szlachetnego, babce zawdzięczał.

Gdy rodzice osądzili, że nadeszła pora rozpoczęcia nauk szkolnych, tensam omnibus zabrał Talleyranda i siedmnastego dnia dostawił do Paryża. Wprost z bióra omnibusów, służący rodziców zawiózł go do Collège d' Harcourt, późniejszego liceum św. Ludwika. On i jakiś kuzynek de la Suze mieli wspólnego guwenera. Talleyrandowi nauki szły łatwo, zdobywał pierwsze nagrody, ale jak twierdzi, postępów nie mógł przypisywać ani przykładowi kuzyna, ani światłu nauczyciela. Raz w tydzień bywał z guwenerem na obiedzie u rodziców; wstawszy od stołu odbierał zawsze tęsamą przestrożę: *Soyez sage et contentez M. l'abbé*, i wracał na pensję. Koszta swego utrzymania na pensji zapłacił później sam, z osobistych dochodów. Kiedy dostał ospy, oddano go do kobiety, trudniącej się doglądaniem chorych. Wyzdrowiał, ospa nawet śladów nie zostawiła na twarzy, ale mu dogryzła obojętność rodziców; począł zamykać się w sobie i oswajać z myślą, że na nikogo liczyć nie powinien.

Nie wiedział, co go jeszcze czeka. Rodzice postanowili pozbawić go praw starszeństwa, na rzecz młodszego brata, i przeznaczyć do stanu duchownego, dlatego, że będąc kulawym, nie może wstąpić do służby wojskowej.

Po ukończeniu szkół, w piętnastym roku życia, został posłany do stryja, koadjutora arcybiskupa w Rheims. Podróż odbył tym razem powozem pocztowym, ale przed odjazdem rodziców wcale nie widział. W Rheims powiedziano mu, o co chodzi: że ze swoją nogą na żołnierza nie zdatny, że dla

człowieka z jego nazwiskiem pozostaje tylko służba kościelna, wiodąca do najwyższych godności. Na zachętę, dano mu do czytania życiorysy rozmaitych dostojników, kardynała Richelieu, Ximenesa, nawet pamiętniki Retza. Reszty miał dokonać widok przepychu dworu arcybiskupa.

Talleyrand nie czuł w sobie ani powołania, ani ochoty do stanu duchownego. Nie mogłem pojąć — powiada — dlaczego trzeba iść do seminaryum, żeby wyjść na ministra finansów; ale byłem sam i miałem wszystkich przeciw sobie. — Po roku tego nowicyatu w Rheims, wstąpił do seminaryum św. Sulpicyusza w Paryżu, rozżalony na rodziców, na potęgę zwyczajów i przesądów, które zmusiły go zadać gwałt własnym skłonnościom. W seminaryum był ponury i milezący, uchodził za dumnego i pogardliwego; on mówi, że był tylko bardzo nieszczęśliwy i wewnątrz gniewem trawiony.

W kaplicy wpadła mu w oko młoda i ładna dziewczyna. Zaczął pilniej uczęszczać na nabożeństwo i wreszcie, w słotę, zebrawszy odwagę, ofiarował jej przy wyjściu ramię z połową parasola. Zbliżało ich niejako podobieństwo losu: on został z musu klerykiem, ona także z musu aktorką. Związał się czuły stosunek, lata trwający. Talleyrand weselej na świat patrzył, stał się znośniejszym w obcowaniu. Zwierzchnicy zamykali oczy.

Innem źródłem pociechy dla Talleyranda była biblioteka zakładu. Czytając namiętnie, zwłaszcza historię i podróże, nabył mnóstwo rozmaitych wiadomości. Znajdując się zawsze, jak się wyraża, sam na sam z autorem, ile razy był przeciwnego zdania, sobie przypisywał słuszość. Tym sposobem wyrabiał w sobie oryginalność i niepodległość sądu.

W seminaryum i w Sorbonnie długo wspomniano o talencie Talleyranda do dySSERTACyj. On sam, pod koniec życia, w pochwałę Reinharda, czytanej w Akademii nauk moralnych i politycznych, utrzymywał, że nauka teologii jest najlepszem przygotowaniem do zawodu dyplomaty i negocyatora. W dowód przytoczył szereg słynnych imion, a choć swego nazwiska nie wymienił, można być pewnym, że i siebie miał na myśli, i wolno przypuścić, że w młodości traktował teologię jako rodzaj gimnastyki dla umysłu.

Seminaryum opuścił z reputacją młodzieńca wielkich zdolności i lekkich obyczajów, którego czekała świetna przyszłość. W przeddzień przyjęcia święceń kapłańskich, dawny towarzysz z pensyi, hr. Choiseul-Gouffier, zastawszy go w rozpacz, zalewającego się łzami, namawiał, żeby się cofnął, póki klamka niezapadnie. Zapóźno! — odparł Talleyrand. — Bał się podobno gniewu matki i skandalu.

Działo się to w r. 1775, w porze koronacyi Ludwika XVI. Talleyrand, zwany wówczas abbé de Périgord, był przytomny uroczystościom w Rheims. Następnie odbył dwuletni kurs w Sorbonnie. W wielkim świecie już dawniej puścił korzenie. Jeszcze podczas pobytu w seminaryum, znalazł się u pani du Barry, w towarzystwie młodych ludzi, przechwalających się z powodzenia u kobiet. On milczał i wzdychał. Zapytany o przyczynę, odrzekł: Widzę, że na tym świecie łatwiej o kobiety, niż o beneficya... Pani du Barry wstawiła się u Ludwika XV i wyrobiła Talleyrandowi prebendę w opactwie św. Dyonizego w Rheims <sup>1)</sup>. Dzięki temu stanął materialnie na własnych nogach. Po wyjściu z Sorbonny, rozpoczął życie niezawisłe, całkiem świeckie; wedle tradycyi, nie ukrywał swego wstępu do stanu duchownego i ostentacyjnie okazywał wżgardę dla obowiązków kapłańskich.

Wkrótce po koronacyi Ludwika XVI, był wysłany do zgromadzenia duchownego, odbywanego co lat pięć, w celu rozpatrzenia spraw kościelnych i oznaczenia subsydyów, płaconych królowi. Wyrozumiał przy tej sposobności opinie i dążenie członków swego stanu i tak potrafił się podobać, że w r. 1780 powierzono mu stanowisko generalnego ajenta duchowieństwa, urząd dobrze płatny, dający znaczenie i ciągłe stosunki z ministrami.

Talleyrand, Choiseul-Gouffier, później ambasador w Konstantynopolu, Ludwik de Narbonne, później minister wojny, składali nierozłączną trójkę. Kolo nich zbierało się grono ludzi rozmaitego gatunku: Lauzun, Mirabeau, ekonomista Dupont de Nemours, finansista Panchaud, filozof Barthès, Delille,

---

<sup>1)</sup> Cytowane przez Migneta, w wspomnieniu pośmiertnem Talleyranda, czytaniem w Akademii nauk moralnych i politycznych.

Chamfort, Rulhière. Schodzono się niemal codziennie na śniadanie u Talleyranda, aby rozprawiać o wszystkim i różnych innych rzeczach, zwłaszcza o ekonomii politycznej i poprawie losu ludzkości. Talleyrand, nie lubiący fałdów przysiedzieć, zbierał tym sposobem nocye i informacye o kwestyach, powszechnie zajmujących umysł. Obdarzony talentem przyswajania sobie cudzych idei, umiał odnaleźć w nich stronę praktyczną i pożyteczną, zastosować do okoliczności, przedstawić jasno, w oryginalnej i powabnej formie. Był znakomitym redaktorem i świetnym stylistą, i tych darów nie zostawiał odłogiem <sup>1)</sup>). Vergennes i Calonne używali go do pomocy w najważniejszych okazyach. Za jego wstawieniem, Mirabeau otrzymał missyę do Berlina; listy przychodziły na ręce Talleyranda, który je cenzurował, upiększał i przepisywał dla króla. Z stosunków z ministrami, Talleyrand nie zaniedbał dla siebie wyciągnąć pożytku. Armatami, pożyczonemi przez rząd francuski, uzbroił statek korsarski, mający łupić Anglików na jego, Talleyranda, osobisty rachunek <sup>2)</sup>). Na podstawie wiadomości, zasięganých u ministra skarbu, grywał z powodzeniem na giełdzie.

Jak sobie drogę torował ku szczytom, sam opowiada. Wystrzegał się utonięcia w tłumie; w wielkim świecie zwykle milezał, udawał lodowatą obojętność, a zaczepiony, odcinał się krótkim zdaniem, lub ciętym słówkiem. Jedna z wielkich pań ówczesnych, ks. de Gramont, niecierpiąca znakomitości z nie swojej parafii, chcąc Talleyranda w kłopot wprowadzić, zagadnęła go ostro przez stół, dlaczego przed chwilą odezwał się: ach! ach!?

— Księżna niedobrze usłyszała — odparł — powiedziałem: oh! oh!

Wszczał się śmiech, księżna dała za wygraną i jej przeciwnik zdobył sobie reputacyę dowcipnego człowieka, którego bezpieczniej nie zaczepiać. Aby się odróżnić, nigdy

<sup>1)</sup> O autentyczności *Pamiętników* Talleyranda wątpić może chyba ten, kto ich nie czytał, albo nie zadał sobie pracy porównać z pismami niewątpliwego pochodzenia. Tak, jak on, nikt nie pisał.

<sup>2)</sup> Mignet w wspomnieniu pośmiertnem.

nogą nie postać u Neckera, w porze jego największej popularności, i suchej nitki na nim nie zostawiał, drwiąc z jego brzucha i peruki, krytykując jego plany finansowe, pożyczki drogie i bez amortyzacji zaciągane, które bogaciły bankierów genewskich, obrażały moralność publiczną i uczyły Francuzów egoizmu.

Jako agent duchowieństwa nakłaniał daremnie współbraci do ofiar materialnych, mogących odświeżyć i podnieść upadający urok stanu duchownego, jak podwyższenie kongruy, wykup loteryi królewskiej. Lecz już wtedy kwestyę mienia kościelnego traktował czysto ze stanowiska oportunistu i utilitaryzmu, opór zaś biskupów kładł głównie na karb ambicji i cheiwości.

W pamiętnikach, pełnych najciekawszych szczegółów o czasach przedrewolucyjnych, uderza chłód i lekceważenie, z jakim traktuje Ludwika XVI i Maryę Antoninę. Czuł do nich osobistą urazę, której przyczynę wymienia. Gustaw III, król szwedzki, z którym Talleyrand zawarł znajomość w Paryżu, otrzymał dlań od Piusa VI obietnicę purpury kardynalskiej, która go ominąć miała wskutek intryg Maryi Antoniny, mszczącej się za historycę naszyjnika na przyjaciółach rodziny Rohanów, więc i na Talleyrandzie, należącym do ścisłego kółka pani de Brionne, siostry kardynała Rohan. Prawdopodobnie, wielkim winowajcą w tej sprawie był sam król, przez skrupuły sumienia przeciwny wyniesieniu na jakąkolwiek godność kościelną człowieka, znanego z złych obyczajów. Kiedy zawakowało biskupstwo w Autun, o które Talleyrand się starał, Ludwik XVI założył swoje *veto*, i dopiero umierający ojciec Talleyranda, na łożu śmiertelnem, wymógł na królu, jako ostatnią łaskę, nominacyę dla syna.

## II.

W styczniu roku rewolucyjnego 1789, Talleyrand został wyświęcony na biskupa w Autun. Wierni dyecezyi nigdy podobno nie oglądali oblicza swego pasterza. Jeden z biografów współczesnych Talleyranda mówi o nim: *il s'habillait*

*comme un fat, pensait comme un déiste et prêchait comme un saint.* W pierwsze i drugie nietrudno uwierzyć, kaznodziejstwo wolno włożyć między bajki. Biskup miał co innego do roboty. Bywało go wszędzie pełno, u dworu, u hr. d'Artois, u ks. Orleańskiego, w salonach, w operze; nieraz cały dzień przeleżał w łóżku z lenistwa, ale i niejedną noc spędził przy biurku <sup>1)</sup>). Zapowiedź zwołania stanów generalnych poruszyła wszystkie ambicje i nadzieje; człowiek tego rodzaju, ani chciał, ani mógł pozostać w tyle. Jakoż otrzymał mandat od duchowieństwa swej prowincyi.

W *Galeryi stanów generalnych*, którą wtedy ogłosił Lacles, autor słynnych *Liaisons dangereuses*, Talleyrand figuruje jako Amène. Jest tam dużo gadaniny i przepowiednia, w następstwie najzupełniej ziszczona: *Amène arrivera à tout, parce qu'il saisira les occasions qui s'offrent en foule à qui ne violente pas la fortune.* Tak też Talleyrand robił. Uważał się za ofiarę istniejącego porządku rzeczy, który mu wyrządził niepowetowaną krzywdę — dlatego całą duszą umiłował nowe doktryny społeczne i polityczne, ale spostrzegł zawczasu, że należy je zaszezepić na starym pniu; prócz tego nie zwykł był nigdy zrywać przedwcześnie z potęgami, stojącymi jeszcze na własnych nogach. W przemowie do swoich mocodawców, nakreślił program, obejmujący monarchię konstytucyjną, zniesienie przywilejów feudalnych, równość cywilną, kodyfikację praw, reformę ceł i podatków, kontrolę nad gro-

<sup>1)</sup> Z tego czasu datować ma anegdota o powoźniku. Talleyrand sprawił sobie karetę na kredyt. Fabrykant, nie mogąc doczekać się pieniędzy, stawał co rano z kapeluszem w ręku przed gankiem, w chwili wyjazdu biskupa z domu. Nareszcie biskup zapytał, kto on jest i czego chce?

— *Je suis le carrossier de monseigneur.*

— *Ah! vous êtes mon carrossier, et que voulez-vous, mon carrossier?*

— *Je veux être payé, mon eigneur.*

— *Mais, certainement, vous serez payé.*

— *Et quand, monseigneur?*

— *Hum! vous êtes bien curieux?*

Według innego podania, historia z powoźnikiem miała miejsce później, po mianowaniu Talleyranda ministrem za Dyrektoryatu.

szem publicznym, sądy przysięgłych, wolność druku, oraz inne pomniejsze punkta ówczesnych żądań, z pominięciem przecież filozoficznych i filantropijnych mrzonek. Tej drogi trzymał się w zgromadzeniu, z umiarkowaniem, ostrożnie, nikogo ku sobie nie zrażając i nie stając sztorcem przeważnemu prądowi. Z tego już wynika, że oświadczył się za połączeniem stanów w jedną Izbę. Za specjalność obrał sobie sprawy finansowe, o których miał zdrowe i jasne pojęcie. Niebawem został jedną z znacznych figur w zgromadzeniu, wszedł do komisji konstytucyjnej, w Izbie był chętnie słuchanym, mówił treściwie, spokojnie, nie goniąc za poklaskiem. Monarchię gotów był bronić, o ile ona sama bronić się będzie, i więcej nigdy nie obiecał. Ujrzawszy upadek wpływu króla na zgromadzeniu i zamęt w niem rosnący, przyłączył się do tych, co radzili rozwiązanie Izby i zwołanie nowej. Na króla usiłował wpłynąć przez hr. d'Artois, do którego udał się po raz ostatni po wzięciu Bastyllii, w nocy z 16 na 17 lipca 1789 r., aby mu przedstawić niezbędność energicznego poskromienia rozruchów ulicznych. Książę, wysłuchawszy Talleyranda, wstał z łóżka, poszedł do króla i wrócił z oświadczeniem, że król woli wszystko poświęcić, byle kropli krwi nie przelać, tudzież, że on, d'Artois, zaraz rankiem Francję opuści. Kiedy tak — rzekł Talleyrand — kiedy król i książęta odstępują dobro własne i dobro monarchii, każdemu z nas nie pozostaje, jak myśleć o sobie.

I tak uczynił. Odtąd szedł śmiało i rewolucyi dawał rękojmię, że do niej duszą i ciałem należy, że go nie wiąże nic, ani pochodzenie, ani przeszłość, ani obowiązki stanu, ani żadne przesady.

Zaczął od wniosku zniesienia dziesięcin kościelnych bez indemnizacyi. Wniosek nie mógł mieć nic innego na celu, jak spopularyzowanie imienia wnioskodawcy w oczach przeciwników duchowieństwa i Kościoła katolickiego, z których składała się większość Izby. Ogromne summy w dochodzie i kapitale, skreślone jednym pociągnięciem pióra, znikaly bez śladu, skarb państwa nie nie zyskiwał, działa się krzywda duchowieństwu, zakładom naukowym i dobroczynnym, żyjącym z tego grosza; korzyść niejaką odnosiły klasy posiadające, stosunkowo zamożne.

Następnie Talleyrand wniósł zabór dóbr duchownych na rzecz narodu. Operacya miała na celu pokrycie deficytu w skarbie publicznym. obrońcy Talleyranda mówią, że pomysł, w zasadzie trafny, zawiódł z winy niedołęstwa i nieuczciwości wykonawców. Dobrze znając czas i ludzi, Talleyrand mógł przewidzieć, na czem się skończy. Podobno pretendował do teki ministra finansów <sup>1)</sup>, chodziło mu więc zapewne o to, aby dowieść, że potrafi skarbowi dostarczyć pieniędzy; w mniemaniu zaś powszechnem te dobra uchodziły za niewyczerpaną kopalnię złota. Ale nadwszystko szło mu niewątpliwie o spełnienie w oczach świata zaślubin z rewolucją.

Wniosek wydania manifestu do narodu, 9 lutego 1790 r., i redakeya onego przyniosły Talleyrandowi dość rzadki zaszczyt wyboru na prezydenta Izby. Plan reformy wychowania publicznego, streszczający opinie najznakomitszych owej epoki mężów, których nazwiska Talleyrand wymienia, miany był długo za pomnik rozumu i bystrości autora. Dodawszy do tego wystąpienie za emancypacją Żydów, oraz mowę przeciwko assygnatom, będziemy mieli mniej więcej zupełny obraz jawnej roli Talleyranda w Zgromadzeniu.

Co robił za kulisami, dojsć nieco trudniej, był bowiem bardzo ostrożny i dyskretny. Należał do założycieli klubu Jakobinów i uczęszczał na posiedzenia różnych klubów, lecz głosu nie zabierał, twierdząc, że dysputy nikogo nie nawrócą. Z margr. Mirabeau łączyły go dawne stosunki; po ogłoszeniu tajemnic dworu berlińskiego, Talleyrand z nim zerwał; w Zgromadzeniu znowu się zbliżyli. Trybun przeznaczał biskupowi tekę spraw zagranicznych, albo skarbu, w swoim przyszłym gabinecie. Biskup kroczył w ślad za trybunem, walącym nienawistny im obu porządek. Przed samą śmiercią Mirabeau wezwał Talleyranda do siebie, aby mu powierzyć obronę swojej pamięci. Talleyrand próbował uwić sobie wianek ze sławy nieboszczyka i tytuł do następstwa, lecz brakło mu porywającej wymowy, ognia, niewyczerpanej energii, żądz rozgłosu tamtego; przytem nie lubił puszczać się na

<sup>1)</sup> *C'eût été mettre Tantale à même du Pactole, uważa Sainte-Beuve (Monsieur de Talleyrand).*

awantury niepewne i wszystko stawiać na jedną kartę. Bezpośrednich stosunków z dworem nie miał, bo para królewska o nim słyszeć nie chciała i on sam bał się kompromitacji, ale o projektach rojalistów był powiadomiony, jak o wszystkim, co się działo w rozmaitych obozach.

W lipcu 1790 r., Zgromadzenie uchwaliło konstytucję cywilną duchowieństwa. Talleyrand za nią głosował. Naza jutrz Paryż obchodził na Polu Marsowem „święto federacji.“ Talleyrand celebrował. Przy ołtarzu paść miały z jego ust cyniczne drwiny z świętego obrzędu, po mieście zaraz rozniesione i niezaprzeczone. W całej Francji znalazło się czterech biskupów, co zaprzysięgli nową konstytucję; w ich liczbie był Talleyrand. Wyborcy departamentu Saône et Loire obrali go swoim biskupem, z stolicą w Autun; i to przyjęli. Mniemano, że pragnie dostać się na arcybiskupstwo paryskie; jedne dzienniki poczęły go chwalić, inne wyrzucać mu rozwiązłe życie i szulerstwo. Wtedy Talleyrand popełnił okropne głupstwo. Wydrukował w gazetach zaprzeczenie i po studencku uniewinniał się z zarzutu, jakoby wygrał w karty kilkakroć sto tysięcy franków, a przyznawszy się do wygrania, w ciągu kilku tygodni, trzydziestu tysięcy po domach prywatnych i w klubie, bił się w piersi, że zblądził podwójnie, jako człowiek i jako prawodawca odrodzonego narodu, który winien baczyć surowo, aby ścisła moralność poskromiła nadużycia, mnożące złe, jakie rodzi nierówność majątków.

W wiele lat później, gdy generał Lamarque w podobny sposób bronił się od napaści dziennikarskich, Talleyrand go skarcił: *Général, je vous croyais de l'esprit...* Mógł był to sobie sam powiedzieć, po swojej spowiedzi publicznej, którą jedno tłómaczy: strach o własną skórę. Czasy były niepewne, podejrzenia rosły jak grzyby po deszczu, a Talleyrand nie miał czystego sumienia wobec nikogo. Inaczej, trudno zrozumieć jego ówczesnej taktyki. Odkąd duchowieństwo zostało odarte z mienia i znaczenia, stan duchowny przedstawiał dlań mniej powabu niż kiedykolwiek, powinien był więc, choć dla przyzwoitości, zrobić odrazu to, co zrobił później, nie splamiwszy się pierwej udziałem w świętokradzkiej komedii. Szło o konsekrację nowo wybranych biskupów. Wybrani biskupi — powiada Talleyrand — sądzili, że mogą obejść się

bez instytucji kanonicznej z Rzymu, lecz nie mogli obejść się bez charakteru biskupiego, nadanego przez biskupów, dawniej wyświęconych. Do wyświęcenia biskupa potrzeba trzech konsekраторów; taka jest tradycja apostolska, której nikt złamać się nie poważył, ani protestantyzm, ani rewolucya francuska. Talleyrand podjął się być jednym z trzech; jego udział nadawał obrzędowi cechę, ówczesnym władzom bardzo pożądaną. Znalezienie dwóch drugich przedstawiało trudności; wyszukano wreszcie ludzi słabego ducha, którzy ulegli namowom. Jednym był Gobel, biskup Lyddy *i. p.*; drugim Miroudot, biskup Babilonu *i. p.* W ostatniej jednak chwili Gobel ostrzegł Talleyranda, że pasterz Babilończyków znowu się chwiewie i pragnie wyczołgać. Talleyrand idzie więc do tego ostatniego z fałszywym zwierzeniem, jako biskup Lyddy zamierza odstąpić kolegów, wskutek czego konsekracya nie będzie mogła mieć miejsca. Co do mnie — dodał — wiem, co mi uczynić wypada; niechęć być przez lud ukamienowany, wolę sobie sam życie odebrać. I wyjąwszy z kieszeni pistolet, obracał go w palcach. Wtedy Miroudot wystraszony, przyrzekł stawić się niezawodnie, i słowa dotrzymał. Tę historję publicysta Dumont słyszał z ust Talleyranda i zamieścił w swoich *Wspomnieniach*. Amerykanin Morris opowiada, że w dzień konsekracyi, pani de Flahaut, późniejsza pani de Souza, przyjaciółka od serca Talleyranda, rozchorowała się z desperacyi, odebrawszy przez pomyłkę testament *swego biskupa*, zrobiony w obawie, że duchowieństwo każe go zamordować, aby niedopuszczyć konsekracyi. Testament mógł być być prostą mistyfikacyą, ale zdaje się nieulegać wątpliwości, że obok troski o swoją karierę dalszą, Talleyrand nie czuł się zupełnie bezpiecznym.

Pisząc *Pamiętniki* za czasów Restauracyi, chce wmówić w ludzi, że działał w interesie religii i monarchii, albowiem zachodziła obawa, że Zgromadzenie popchnie Francję do presbiteryanizmu, co utrudni przywrócenie religii katolickiej, której formy i hierarchia harmonizują z monarchicznym porządkiem. Innego zdania był papież. W dwa miesiące po konsekracyi, 26 kwietnia 1791 r., wyszło *breve* papieskie, mocą którego biskup z Autun został zasuspendowany i zagrożony ekskomuniką, jeżeli w przeciągu dni czterdziestu

skruchy nie okaże. O tem, co go z Rzymu spotkało, Talleyrand słówkiem nie wspomina, ograniczając się na wzmiance, że po konsekracyi dał dymisyę z biskupstwa i postanowił zerwać z pierwotnym zawodem. Tymczasem w archiwum departamentalnem znajduje się list jego, zawiadamiający wyborców, że godność biskupią złożył w ręce królewskie; datowany jeszcze z 20 stycznia. Pamięć go zawiodła, a o tych sprawach myśleć nie lubił pod starość. Dość mu było przypomnieć, że był księdzem, żeby go mocno obrazić; wyraz *stuła*, wymawiany przed nim, sprawiał mu widoczną przykrość.

### III.

Wszystko mi dogadzało, — pisze Talleyrand na tem miejscu *Pamiętników*—bylebym nie przestał być Francuzem. Rewolucya otwierała narodowi nowe przeznaczenie; zdecydowany będąc służyć swemu krajowi dla niego samego, przyniosłem rewolucyi daninę moich zdolności i nadzieje moje oparłem na zasadach konstytucyjnych, których osiągnięcie wydawało się tak bliskiem. To tłumaczy, dlaczego i jakim sposobem wstępowałem, występowałem i znowu wracałem do służby publicznej, tudzież rolę przezemnie odegraną.

W testamencie, zrobionym w r. 1838, wracając do tego samego przedmiotu, wyraża się inaczej: *Je m'arrêterai à l'idée de servir la France, comme France, dans quelque situation qu'elle fût: dans toutes, il y avait quelque bien à faire.*

Tego wyznania wiary nie trzeba brać dosłownie. Talleyrand chciał uniewinnić przed potomnością swoje metamorfozy, unikając kłopotliwych komentarzy, i przytem popełnił anachronizm. W końcu XVIII w., wyrażenie *servir la France* nie było w użyciu; weszło w zwyczaj dopiero za Ludwika Filipa, kiedy co krok spotykano ludzi, co sześciu panom z rządu służyli. W początkach rewolucyi mówiono: *servir le roi*, albo *servir la cause de la révolution*. Pojęcie ojczyzny zaledwie poczynało kielkować. Talleyrand mimowoli mięsza służbę dla kraju z daniną dla rewolucyi, wiarę w nowe przeznaczenie z przywiązaniem do zasad konstytucyjnych. Szcze-

rem zdaje się być tylko, że wszystko mu dogadzało, byle pozostał Francuzem, czyli nazywając rzeczy po nazwisku, coś znaczył we Francyi. Zresztą musiał żyć, jak ptacy niebiescy, nie orząc i nie siejąc. Trafnie też scharakteryzował go Morris: *il embrassa la carrière de l'ambition pour rétablir ses affaires.*

Zgromadzenie, rozwiązując się, odebrało swym członkom prawo wybieralności do nowej Izby, tudzież prawo zajmowania urzędów płatnych. Talleyrand osiadł przeto na koszu, bez stanowiska, bez majątku, bez żadnych widoków na jutro. Szczęściem, znalazł punkt oparcia w Ludwiku de Narbonne, ministrze wojny.

Narbonne wszedł do gabinetu z planem ratowania konstytucyi i monarchii. Chciał wywieść króla do Fontainebleau i umieścić go tam pod opieką najwierniejszych pułków, z resztą wojska rozpocząć wojnę z Austryą, biorąc za pretekst kupienie się emigrantów w Trewirze. Oczekiwano krótkiej, łatwej i pomyślnej kampanii, gdyż Austrya będzie działać miękko, jeżeli Prusy nie przyjdą jej w pomoc. Liczono zaś na to, że uda się nakłonić Prusy do neutralności, albo nawet do aliansu z Francją. Zwycięska wojna obiecywała odświeżyć urok monarchii; prócz tego, król w armii zreorganizowanej znaleźć miał środek trzymania na wodzy Izby i klubów. Inni ministrowie, na ich czele Barnave, obawiali się wojny, grożącej albo rozpasaniem anarchii w razie porażki, albo zbyt mocnym wzmocnieniem korony w razie przeciwnym. Jakobini znowu pchali całemi siłami do wojny, żeby zgubić monarchię.

W salonie pani de Staël, Egeryi ministra wojny, knuły się plany odrodzenia Francyi i odbywało nawracanie opornych członków gabinetu. Wiadomo, jaką rolę grała w polityce XVIII w. intryga. Narbonne, obok wielkich przymiotów, był lekkoduchem i chętnie wierzył we wszystko, czego sobie życzył. Za doradcę obrał sobie Talleyranda; Lauzun-Biron był obu powiernikiem.

Mirabeau zalecał niegdyś Francyi przymierze z Prusami i Anglią; przed samą śmiercią, miał Talleyrandowi to ostatnie, jako główny punkt swego testamentu, przekazać. Dużo z nim obcując, biskup, jak go blizcy nazywali, i Biron

mogli do pewnego stopnia przejąć się jego systemem politycznym, lecz daleko ztąd do tego, żeby upatrywać w Talleyrandzie wykonawcę ostatniej woli trybuna, i twierdzić, jak to czyni p. Pallain <sup>1)</sup>, że alians angielski był od początku do końca osią polityki Talleyranda. Talleyrand nigdy nie był doktrynerem; wszelkie przymierze było w jego oczach dobre, gdy obiecywało pożytek i gdy okazywało się możliwem. W danej porze zresztą, jasnym było, że Francya, wobec zamierzonej wojny, starać się powinna o oderwanie Prus od Austrii, tudzież o neutralność Anglii.

Minister spraw zagranicznych, de Lessart, człowiek bez własnego zdania, bojaźliwy, trzymał się świącie tradycyi biórowej; trzeba było dużo czasu i zachodu, żeby go skłonić do jakiego ważniejszego kroku. Już temsamem Narbonne musiał iść do celu krętymi ścieżkami, na które Biron gwałtem go ciągnął. Nie mając pod ręką wodza do zamierzonej na Austryę wyprawy, Narbonne umyślił ściągnąć do Francyi ks. Brunszwickiego, aby mieć w nim drugiego Maurycego Saskiego i urodzonego medyatora między Francją i Prusami, oraz za jednym zamachem pozbawić Niemców najdzielniejszego wojownika. Pochwycił więc w lot projekt Birona wysłania tajnej missyi do Berlina.

Biron, jeden z ludzi najszczodrzej od natury uposażonych, wszystko roztrwonil i zmarnował. Została mu tylko żyłka żołnierska, waleczność i odwaga; wstąpił do wojska, ale czekając na rozpoczęcie kampanii, nudził się i z nudów popadł nanowo w manię awantur. Podczas długiej po Europie włóczęgi, poznavszy mnóstwo ludzi różnego gatunku i natrzywszy się rozmaitych robót, nabrał przekonania, że w polityce zakulisową intrygą i przekupstwem można wielkie rzeczy osiągnąć wszędzie, zwłaszcza w Berlinie. Według niego, dość było tam posłać zręcznego agenta — miał ich kilku gotowych — i dać mu pieniędzy na przekupienie doradców i metres króla. Za skutek z góry ręczył. Biskup nazwał ten koncept *tout ce qu'il y a de plus sauveur*. Agent pojechał i wskórał tyle, co Custine u Brunszwika. Prusy za-

<sup>1)</sup> W przedmowie do *Missyi londyńskiej 1792 r.*

wrzeć aliansu z Francją nie chciały, a wobec tego najlepsze argumenta Mirabeau nieważyły i zdźbła siennego.

Pozostawała Anglia. Brissot i Clavière, niby znawcy tamtejszych stosunków, utrzymywali, że neutralność Anglii będzie łatwą do osiągnięcia, i co więcej, alians możliwym za odstąpieniem kilku wysp, Tabago, Ile de France, Bourbon. Biron radził także w Londynie szczęścia spróbować; liczył na sukkurs opozycyi, miał ochotę sam się tam przejechać, lecz obawiano się złego wrażenia w obozie rojalistów, których klęły w oczy związki Birona z ks. Orleańskim. Ofiarowano poselstwo Talleyrandowi. Biskup kazał się prosić i dał uprosić. Nie mogąc dostać urzędu jawnego, poprzestać musiał na misyi prywatnej, opłacanej z tajnych funduszków ministerstwa spraw zagranicznych.

Talleyrand powiada, że ogarnęło go zmęczenie i obrzydzenie, pragnął usunąć się z Paryża na czas jakiś i dlatego podjął się poselstwa, ale bez najmniejszej nadziei w pomyślny skutek. Listy jego do Birona zdają się świadczyć, że jechał z ochotą i pełen otuchy. Podobno zamierzał przy pomocy Birona urządzić w Londynie, na współkę z opozycją, olbrzymią kabałę przeciwko Pittowi i tem wymusić na gabinecie alians z traktatem handlowym.

Polityka gabinetu londyńskiego była dobrze wiadomą. Anglia nie miała powodu mięsząć się do wojny między Francją i Austryją, jak długo Francya nie sięgnie po Antwerpię i Amsterdam; przez Antwerpię bowiem wiodła droga dla wojsk angielskich na kontynent, podczas gdy Amsterdam był wielkim portem handlowym. W przeciwnym razie, żadne zyski kolonialne nie były w stanie Anglii od czynnego wystąpienia powstrzymać. Król i Pitt nienawidzili Francyi rewolucyjnej. Niepewność stosunków w Paryżu, słabość rządu i gabinetu, zamęt w Izbie, nie mogły zachęcać Anglii do wiązania się umową z takim sąsiadem. W takich warunkach, szanse misyi biskupa były nader małe.

Talleyrand powiósł do Londynu list Lessarta do lorda Grenville. Lessart oświadczał, że dawny biskup z Autun udaje się do Londynu w sprawach prywatnych, bez urzędowego charakteru, polecał go względem lorda Grenville i prosił, aby go wysłuchał, a przekona się, do jakiego stopnia

rząd francuski pragnie dobre stosunki z Anglią utrzymać i wzmoć. Po drodze, biskup zabrał z sobą, jako introduktora, Birona, który znał cały świat i któremu Narbonne polecił zakupić kilka tysięcy koni dla kawalerji.

Francya nie miała w Londynie ambasadora, ani posła. Sprawujący interesa francuskie, Hirsinger, przedstawił Talleyranda Pittowi i ministrowi spraw zagranicznych. Pitt zaraz na wstępie zrobił uwagę, że biskup nie ma charakteru urzędowego. Skończyło się na grzecznościach; biskup wyniósł wrażenie, że tym panom nie trzeba się narzucać. Król przyjął Talleyranda nader zimno, królowa odwróciła się doń plecami. Wskutek tego towarzystwo stołeczne zamknęło drzwi przed biskupem. W dodatku zdarzył się brzydki skandal. Biron zamknęto do kozy za długi, na mocy weksli miejscowych i nadesłanych z Paryża, w części podobno fałszywych; Biron wyrzekał, że mu tę sztuczkę splełali arystokraci paryscy. Gdy rząd angielski odmówił przyznania Bironowi charakteru agenta dyplomatycznego, biskup zdołał z wielką biedą przyjaciela z niewoli wykupić i do domu wyprowadzić.

W Londynie Talleyrand bawił około sześciu tygodni. Negocjacya z ministrami nie ruszyła z miejsca; niepowodzenie biskup złożył na brak charakteru urzędowego i doradził wysłać do Anglii ambasadora od parady, pod firmą którego on będzie układy prowadził. Kandydata upatrzył w osobie p. de Chauvelin, młodzieńca znanego z słabej głowy i próżności, ale popularnego i będącego w Paryżu w modzie. Aby poprzeć swój projekt, w początku marca 1792 r. wrócił do Paryża.

Trafił na chwilę upadku gabinetu i przyjścia do władzy Żyrodystów. Dumouriez, projektując wyprawę do Belgii, jeszcze bardziej dbał o pomyślny obrót układów z Anglią; do Talleyranda nie czuł podobno wielkiej sympatji i biskup mu równą monetą odpłacał, lecz wspólni przyjaciele, między nimi Biron, ułatwili zbliżenie. Talleyrand miał ręczyć, że Anglicy są najlepiej usposobieni dla Francji i nawet w razie najazdu na Belgię pozostaną neutralnymi; w oczach Żyrodystów zaś posiadał wyborną rekomendacyę: złą opinię u dworu. Stało na tem, że Chauvelin pojedzie do Londynu z tytułem ministra pełnomocnego i zabierze z sobą Talley-

randa. Dumouriez wymógł na królu list do Jerzego III, powierzony Talleyrandowi i zawierający specjalne, lecz bardzo pobieżne zalecenie tego ostatniego. Biskup wprowadził do poselstwa Genewczyka Duroverai, prawnika z zawodu, który wiele podróżował, znał Anglię i Irlandyę, pracował przy boku Mirabeau i miał znajomość z Brissotem.

Poselstwo nie prędko wyruszyło w drogę. Chauvelin obraził się, spostrzegłszy, że mu dodano aż dwóch guwernerów; Talleyrand się bawił, Genewczyk targował o pensyę. Zniecierpliwiony Dumouriez kazał im w końcu powiedzieć, że jeżeli zaraz nie wyjadą, kto inny na ich miejsce pojedzie. To poskutkowało. Chauvelin wyprzedził towarzyszy i na wstępie wszedł w zatarg z komorą o kontrabandę koronek, włożonych do kufra przez służącego bez wiedzy pana. Dzienniki paryzkie wydrukowały list Ludwika XVI, zanim tenże został wręczony królowi angielskiemu. Komunikacje między Paryżem i Londynem były tak źle urządzone, że poselstwo czekało tygodniami na wiadomości z domu. Przyjęcie było zimne, uszy i drzwi zamknięte. Obrót rzeczy w Paryżu odbierał resztki kredytu wysłańcom francuskim, opinia publiczna w Anglii stawała się coraz bardziej nieprzychylną dla Francji. Podczas koncertu w Ranelagh, za pojawieniem się ambasady francuskiej, publiczność zaczęła szeptać i omijać przybyłych, jak zapowietrzonych. Tylko koterya Foxa i Sheridana pozostała wierną Francuzom, co ich w oczach rządu i rządowego stronnictwa nie mogło podnieść. Chauvelin miał szkodzić niepowściągliwością języka, ale tak czy owak niebyło nic do zrobienia. Talleyrand w listach do Paryża skarżył się na ciężar pracy i brak towarzystwa; on redagował raporta i noty, podpisywane przez ministra, i był *spiritus movens* całej tej ciężkiej i bezużytecznej roboty. Na politykę Anglii poselstwo francuskie nie wywierało i nie mogło wywierać najmniejszego wpływu; nie było nawet w możności dostarczać swemu rządowi wczesnych informacji, dowiadując się z dzienników najczęściej o zapadłych postanowieniach. Talleyrand był tyle ostrożnym, że nie wspomniał weale o ustąpieniu wyspy Tabago, którą mu w instrukcyach polecono ofiarować w zamian za traktat odporny. W raportach nie szczędził swemu rządowi uwag o tem, co należy czynić

w Paryżu, aby nie drażnić, nie obrażać i niewyzywać niepotrzebnie Europy, niepodawać się w oczach zagranicy w podejrzenia i pogardę; te uwagi więcej zajmują miejsca, niż relacya o układach, kręcących się w kółko, i o biegu rzeczy w Anglii.

W połowie czerwca, Dumouriez objął ministerstwo wojny i sprawy zagraniczne ustąpił margrabiemu de Chambonas. Jednocześnie Talleyrand uczuł ochotę zajrzeć do Paryża. Chauvelin zażądał dlań urlopu od ministra, pod pozorem porozumienia się ustnego co do odpowiedzi na notę angielską; on sam twierdzi, że pojechał do Paryża przez deferencyę dla ks. Larochefoucauld, prezydenta departamentu paryskiego. Biskup był bowiem jednym z administratorów departamentu i w swoim czasie wybór na tę godność użył za pretekst do złożenia biskupstwa w Autun, gdyż nowe obowiązki wymagały stałego pobytu w Paryżu. Nieprzeszkodziło mu to jednak wybrać się do Anglii. Prezes miał listem wezwać biskupa do powrotu i biskup pospieszył dzielić *les nobles et utiles dangers*, na jakie on i jego koledzy znaleźli się wystawieni w dniach 20 czerwca i 10 sierpnia.

Następne obroty Talleyranda są niepodobną do rozwiązania szaradą. Pewnem jest jedno, że 14 września 1792 r. wyjechał napowrót do Anglii, za paszportem, podpisanym przez Dantona i innych ministrów. Był to wielki i wyjątkowy fawor, albowiem na mocy dekretu z 28 lipca wstrzymano wydawanie paszportów obywatelom francuskim, z wyjątkiem agentów rządu, marynarzy i kupców. Od 10 sierpnia, Chauvelin sam został upoważniony do prowadzenia misyi londyńskiej; Danton posłał mu anioła stróża w osobie swego krewniaka, Noëla. Talleyrand daremnie starał się u Rady wykonawczej o utrzymanie go na dawnym w Londynie stanowisku; prosił o pozwolenie wyjazdu choć na krótki czas, dla załatwienia własnych interesów, lecz i tego odrazu nie otrzymał. W *Pamiętnikach* opowiada, że wyrobił sobie u władzy wykonawczej misyę w kwestyi zrównania miar i wag, co niegdyś proponował Konstytuancie. W paszporcie nie ma wzmianki o żadnej misyi. Stoi tylko: Talleyrand jedzie do Londynu z naszego rozkazu. Faktem jest, że biskup dostał paszport za protekcyą i z rąk Dantona, i że przed odjazdem

rozpowiadał o jakiejś misyi. Jakim sposobem zeskamotował Dantonowi oboje, rozmaite są przypuszczenia; jedni mówią, że za pieniądze, drudzy, że pochlebstwem. Używał jeszcze i innego środka, wysługując się nowym władzcom. W archiwach przechował się dokument, ręką biskupa pisany: nota do rządu angielskiego o wypadkach 10 sierpnia, którą Chauvelin doręczył w Londynie.

Wiadomo dziś dowodnie, że napaść na pałac Tuileries i zaspensowanie króla było z góry ułożonym zamachem. Talleyrand winę składa na barki króla. Oddawna — pisze — zaufanie powszechne odwracało się od Ludwika XVI. Lud francuski widział, najpierw z boleścią, następnie z oburzeniem, że król podkopuje konstytucję, w której zajmował tak piękne miejsce; że król, pod naciskiem przesądów, wychowaniem zaszczypanych, zamiast uznać swój urząd za zaszczytne dobrodziejstwo, upatrywał w nim jedynie ubliżające mu resztki władzy, nieprawnie sobie wydartej. Złoto i korupcyja siane były z skandaliczną szczodroliwością, aby osłabić i zgasić gorący patryotyzm, królowi niedogodny. Król otaczał się wrogami wolności, odpychał swoich szczerych przyjaciół. Przedstawienia królowi czynione, zamiast przywołać go do obowiązków, nieoddzielnych od jego własnego interesu, rozgoryczały króla i obrzydzały w jego oczach sprawę ludu. Król podniecał widocznie wewnętrzne rozterki. Wojna wydana cesarzowi, w obronie naszej rewolucyi, nie mogła być w dobrej wierze prowadzoną przez króla, który czuł się skrzywdzonym, i musiała zakończyć się klęską Francyi. Gdy podejrzenia wzrosły do najwyższego stopnia, gdy pałac Tuileries napełnił się uzbrojonymi zwolennikami kontrrewolucyi, gdy dowiedziano się, że znaczna liczba Szwajcarów, pozostałych w Paryżu pomimo dekretu Zgromadzenia Narodowego, uległa zbrodniczemu uwiedzeniu, gdy nakoniec wszelkie pogłoski i wszelkie objawy zdawały się zapowiadać bliski wybuch obszernego spisku w całej Francyi, wtedy lud paryski, zbudzony wśród nocy trwogą, połączywszy się z zacnymi konfederatami z całego królestwa, uderzył zbrojnie na zamek królewski. Tam, z imponującą siłą i odwagą, umiał w początku trzymać się na wodzy, chcąc tylko dowieść, że niewolno nikomu praw jego gwałcić i uczuć obra-

zać. Dopiero po niegodnej zaczepce ze strony Szwajcarów, wybuchła wściekłość ludu i podli zdrajcy padli doścignięci zemstą. Król schronił się na łono Zgromadzenia Narodowego, które było świadkiem i niemal ofiarą takiego mnóstwa podstępów. Zgromadzenie ujrzało się zmuszonym przejąć na siebie całą władzę, pójść za głosem opinii i w interesie zbawienia publicznego, oraz dla bezpieczeństwa króla, zasuspendować go w urzędzie <sup>1)</sup>).

Ile słów, tyle fałszów. Reszta była hymnem pochwalnym na cześć nowego rządu, który ofiarował Anglii przyjaźń i szacunek. Na samym końcu, nota przypominała Anglikom, że po ich rewolucyi Europa, a Francya szczególnie, pospieszyła uznać formę rządu, jaką naród sobie nadał.

#### IV.

Rozpoczęła się najtrudniejsza pora w życiu Talleyranda. Daremnie usiłował zachować stosunki z urzędowym światem. W kilka dni po przyjeździe do Londynu, napisał list do lorda Grenville, z oznajmieniem, że nie ma żadnej misyi, że szuka jedynie spokoju między prawdziwymi przyjaciółmi wolności, ale gotów jest dostarczyć objaśnień o nowym rządzie, stronnictwach i ostatnich wypadkach we Francyi. Grenville, który biskupa nazywał człowiekiem *głębokim i niebezpiecznym*, list wrzucił do kosza. Własnemu rządowi Talleyrand przypominał się od czasu do czasu; w listopadzie wysłał do Paryża memoriał o stosunkach Francyi z mocarstwami europejskimi, którego większa połowa poświęconą była Anglii. Tym razem biskup zalecał poprzestać na traktacie handlowym i umowie o kolonie <sup>2)</sup>). Żył, zdaje się, nadzieję, że w razie przyjęcia jego myśli, zostanie upoważnionym do traktowania. Bądź co bądź jednak, dowiódł wtedy, że nie jest takim zmiennikiem, jakim go często wystawiano. Pomimo wszelkich trudności, kłopotów osobistych i nawet prześladowań, trzymał się wierne sprawy Francyi rewolucyjnej, nie przeszedł do obozu jej

<sup>1)</sup> *Le Ministère de Talleyrand sous le Directoire.*

<sup>2)</sup> Tamże.

wrogów, gdzie łatwe mógł znaleźć przyjęcie. Niebawem własna ojczyzna go odepchnęła. W żelaznej szafie w Tuileries znalazł się list kamerdynera królewskiego Laporte do króla, kompromitujący Talleyranda. Pod datą 22 kwietnia 1791 r., Laporte przesłał królowi pismo biskupa z Autun, z dodatkiem, jako tenże gotów jest służyć N. Panu i pragnie, aby wypróbowano jego gorliwość, oraz wskazano mu co ma czynić. Na mocy tego dokumentu Konwencya oskarżyła Talleyranda i uchwaliła zamieścić jego nazwisko na liście emigrantów. Oryginał pisma do króla nie był Konwencyi przedłożony; podobno Talleyrand odkupił go od Dantona. Dodać także trzeba, że jako dawny konstytucjonalista, Talleyrand bez innej winy mógł uleść zemście Jakobinów. W przesłanym Konwencyi usprawiedliwieniu, zaręczał, że nigdy do króla nie pisał, że Laporte zapewne przesłał królowi raport komitetu konstytucyjnego, redagowany przez Talleyranda, w sprawie kościołów parafialnych i innych, zalecający poszanowanie religijnych przekonań obywateli, i od siebie pododawał nieprzyzwoite domysły. Cała obrona biskupa, ubrana arabeskami w guście czasu, wyglądała mocno naciąganą i mało do prawdy podobną; najmniejszego też nie odniosła skutku. Nie wiedząc jak i kiedy, biskup wyszedł na emigranta, krzywo widzianego od swoich i obcych. Jedyłą osłodę wygnania znalazł w zażyłości z domem margrabiego Lansdowne, niegdyś głowy whigów, wielkiego pana liberalizującego i frondującego, bez znaczenia i wpływu w świecie politycznym. Osoba biskupa wzbudzała pewien rodzaj ciekawości, niekoniecznie pochlebnej i zwykle zawiedzionej, gdyż biskup po swojemu milczał i pokazywał ludziom twarz nieruchomą, bladą i nalaną, zaciśnięte usta i nos impertynencki. Za to w cztery oczy, lub w małym kółku miał być niezrównany, nad wyraz miły i zabawny. Z tej pory mają datować koncepta, setki razy cytowane. Ktoś twierdził o kimś, że jest zdolny nawet zabić bliźniego; Talleyrand mruknął: *Assassiner, non, mais empoisonner, oui*. Przy wiscie mówiono o jakiejś pani niemłodej, która wyszła za mąż za swego lokaja; Talleyrand liczył lewy i wycedził przez zęby: *A neuf, on ne compte pas les honneurs*.

Ubogi czy bogaty, Talleyrand miał zawsze dłoń otwartą dla przyjaciół; kręciło się koło niego wiecznie dużo ludzi rozmaitego gatunku, spekulantów, karyerowiczów, wykolejonych indywiduów, którym dopomagał na wszelkie sposoby, nawet wtedy, kiedy mu nie byli w stanie żadnej oddać usługi. Niebogata kasa biskupa prędko się wyczerpała na emigracyi; sprzedawał potrochu bibliotekę, rzadkie wydania w pięknym oprawach, dawniej pomalą zebrane.

Przesiedział w Londynie cały rok 1793. W styczniu roku następnego, rząd angielski kazał mu opuścić Anglię w przeciagu doby, bez wiadomego i jak się zdaje, słusznego powodu. Protestował, odwołał się do Pitta i do samego króla i nic nie wskórawszy, wsiadł na pierwszy statek, płynący do Ameryki, 3 lutego 1794 r., z paczką listów rekomendacyjnych i kapitalikiem, szczęśliwie uratowanym. Wiatry przeciwnie zatrzymały statek na Tamizie przez dwa tygodnie; Talleyrand, rozgoryczony postępkiem Anglików, siedział kamieniem na okręcie, pomimo, że jeden z przyjaciół ministra spraw wewnętrznych Dundasa ofiarował mu gościnność u siebie. Zaraz po wypłynięciu z Tamizy, burza zmusiła statek schronić się do portu w Falmouth. Tam w oberży spotkał Amerykanina, z którym zawiązał rozmowę, nader trudno idącą; gdy go poprosił o listy do Ameryki, ten odparł: Mnie może jednemu niewolno nikogo polecać, i swego nazwiska nie chciał wyjawić. Byłto generał Arnold, skazany na śmierć podczas wojny o niepodległość.

Talleyrand oparł się aż w Filadelfii. Odnalazł tam znajomych, jakiegoś Hollendra i pana de Beaumetz, emigranta, kolegę z Konstytuanty. W ich towarzystwie odbył podróż w głąb kraju, jeszcze wówczas pół dzikiego. Dwie zimy spędził w Filadelfii i Nowym Jorku, widując dużo ludzi i nowych rzeczy. Miał projekt jechać do Indyj, próbował spekulacyj handlowych i w nich resztę mienia utopił. Trapiiony tęsknotą i perspektywą niedostatku, tentował przez przyjaciół paryskich o pozwolenie powrotu do kraju. Umrę, jeżeli przyjdzie mi tu jeszcze rok jeden zabawić—pisał do pani de Staël, która gorąco zajęła się losem biskupa. Józef Chénier poparł w Konwencyi prośbę Talleyranda, nadesłaną z Filadelfii i otrzymał wykreślenie jego nazwiska z listy emigrantów. W lipcu 1796 r.

biskup wylądował w Hamburgu. Jeszcze na statku, zjawił się poseł, bawiącej w Hamburgu pani de Flahaut, z prośbą, aby biskup nie pokazywał się w mieście i czempredzej nazad odplynął do Ameryki, albowiem jego obecność może przeszkodzić małżeństwu powtórnemu jego dawnej pani. Biskup odpowiedział, że ani myśli wracać na drugą półkulę, zabawił miesiąc w Hamburgu, pełnym Francuzów, i rzemiennym dyszlem, przez Amsterdam i Bruksellę, we wrześniu stanął w Paryżu.

Podczas swej nieobecności, obrany był członkiem Instytutu nauk moralnych i politycznych. Aby spłacić dług akademicki i dać o sobie wiedzieć publiczności, odczytał tam dwa memoryały: jeden o stosunkach handlowych z Ameryką, drugi o pożyteczności kolonij. Był stronnikiem swobody handlowej, a w rozwoju Ameryki widział źródło bogactwa i pomysłności dla Europy; w naszych czasach byłby zmienił zdanie. Główną kwatery swoich operacyj założył w salonie pani de Staël, przy której Benjamin Constant zajął miejsce Narbonna. Z Benjaminem na wspólkę założył *Cercle constitutionnel*. Ale trzeba było żyć. Jednego dnia, biskup w te słowa przemówił do pani de Staël: *Ma chère enfant*, mam wszystkiego w kieszeni dwadzieścia pięć ludwików, to i na miesiąc nie wystarczy; chodzić nie mogę, trzeba mi powozu. Jeżeli mi niewyrobisz odpowiedniego stanowiska, w łeb sobie strzelę. *Arrangez-vous là-dessus; si vous m'aimez, voyez ce que vous avez à faire.*—Pani de Staël pobiegła do Barrasa i wymogła zaproszenie dla biskupa na obiad w Suresnes. Biskup przybył przed gospodarzem. Traf chciał, że w tej chwili sekretarz i wielki ulubieniec Barrasa, kapiąc się w rzece, utonął. Biskupowi przypadła rola pocieszyciela, z której tak dobrze się wywiązał, że podbił odrazu serce dyrektora. Przy pierwszej zmianie ministeryalnej, co wtedy często się trafiało, Barras postawił warunek, że sprawy zagraniczne obejmie Talleyrand i swojego dopiął, pomimo oporu Carnota. Biskup przyjął, naturalnie *pour faire quelque bien*, jak w *Pamiętnikach* oświadcza.

Lepszego wyboru Dyrektoryat nie mógł zrobić, zwłaszcza, z uwagi na toczące się układy z Austryą i Anglią. Talleyrand lepiej znał Europę od wielu innych Francuzów, szybko

się oryentował, umiał ludzi zażyć i, do niego można śmiało zastosować to, co on o kimś powiedział: *il a eu le plus d'avenir dans l'esprit*, sięgał wzrokiem po za dzień jutrzejszy. Nie ulega wątpliwości, że pragnął zaszczytnym układem zakończyć epokę wojen i Francję pojednać z Europą; w tej pracy nieustawał, i na wielkie trafiał przeszkody, które wolał obchodzić, równie dla braku energii, jak i przez wzgląd na siebie samego. W łonie Dyrektoryatu panowały nieustanne swary i intrygi; dyrektorowie mieszczeni się do wszystkiego, niemal każda depesza była przerabianą na radzie. Nie było nic łatwiejszego, jak stracić urząd, albo pójść na deportację. Talleyrand zawsze przemawiał głosem rozsądku i umiarkowania, ale potem robił, jak mu kazano. Dla niego samego, urzędowanie pod Dyrektoryatem było doskonałą szkołą praktyczną. Poznał do gruntu mechanizm spraw i organizację swego wydziału; sam nauczył się pracować, albo wyraźnie mówiąc, godzić wrodzone lenistwo z obowiązkiem codziennej pracy. W zbiorze dokumentów, które p. Pallain ogłosił, widać, jak się kształcił w polityce i robił postępy. Dawniejsze jego pisma polityczne robią wrażenie *de discours académiques*; zamieściwszy na czele parę ogólników, jechał prosto do celu samą logiką. Teraz pozbył się nałogu, z klassycznej edukacji zaczerpniętego, nauczył odróżniać, co wie napewne i czego nie wie — którą to umiejętność starzy ludzie nazywali początkiem i końcem mądrości.

Zgłębił przytem sztukę wywracania rządów. Był doradcą Barrasa podczas zamachu 18 fructidora, a przy tej sposobności pozbył się swego wroga Carnota, i wyniósł naukę, że przy zamiataniu, należy czepiać się kija od miotły i strzedz drugiego końca.

Ministerstwo Talleyranda trwało okrągłe dwa lata, od lipca r. 1797 do lipca r. 1799, i zakończyło rozgłośnym skandalem. Po zawarciu traktatu handlowego między Anglią i Stanami Zjednoczonymi Ameryki północnej, Dyrektoryat kazał zabrać statki amerykańskie, znajdujące się w portach francuskich. Talleyrand zaproponował Amerykanom ugodę, delegaci amerykańscy przybyli do Paryża i wyjechali z niczem, a wślad rząd amerykański ogłosił raporta swoich wysłańców, opowiadające, że ugodą nie przysła do skutku, bo

Talleyrand żądał okupu i pieniędzy nie dostał. Wtedy biskup podał się do dymissy i ogłosił *Eclaircissemens à mes concitoyens*, w których wszystkiemu zaprzeczył. Pośrednikiem między ministrem i Amerykanami w tej sprawie miał być p. de Saint-Foy, dwuznaczna figura, z dawien dawna służąca w ministerstwie spraw zagranicznych w roli tajnego agenta i szpiega. On jeden mógł prawdę wyjawić i zabrał ją z sobą do grobu, ale dodać wypada, że dowiedziona jest rzeczą, iż później w podobnych interesach pieniężnych bywał faktorem Talleyranda.

W tym jednym wypadku Talleyrand dał się złapać na gorącym uczynku, *la main dans le sac*. Po tej historii ustała przyjaźń biskupa z panią de Staël, już pierwszej zachwiana. Wszedłszy do ministryum, Talleyrand począł zaniedbywać swoją protektorkę, ani rady jej nie zasięgał, ani zwierzeń nie robił. Gdy bomba amerykańska pękła, pani de Staël wpadła w rozpacz, nie chciała wierzyć w taką kalumnię, a w końcu przycisnęła Talleyranda do muru. Biskup, ruszywszy ramionami, nie odrzekł słowa i wyszedł z pokoju; potem jeszcze drwił głośno z naiwności kobiecej.

## V.

Talleyrand wyniósł z urzędowania talizman, którego potęgi podobno się nie domyślał: dobry stosunek z Napoleonem Bonaparte. Instynkt zbliżył ich do siebie. Kto pierwszy krok zrobił, nie wiadomo. Talleyrand twierdzi, że Bonaparte, listem, winszującym nominacyi na urząd ministra; ten list polecił przyłączyć do *Pamiętników*, ale listu nie znaleziono. Przechował się natomiast list bardzo pochlebny Talleyranda do Bonapartego, pisany w kilka dni po objęciu wydziału spraw zagranicznych, w którym nie ma wzmianki, jakoby był odpowiedzią <sup>1)</sup>. Może się w drodze rozminęły.

1) *J'ai l'honneur de vous annoncer, général, que le Directoire m'a nommé ministre des relations extérieures. Justement effrayé des fonctions dont je sens la périlleuse importance, j'ai besoin de me rassurer par le sentiment de ce que votre*

Biskup poczuł w młodym wojowniku siłę, przedsiębiorczość, zręczność i szczęście. Po zawartem pokoju w Campo-Formio, pod jesień 1797 r., Bonaparte zjawił się w Paryżu i pierwszy odwiedził ministra spraw zagranicznych. Talleyrand wydał dlań świetny festyn, o którym długo mówiono w Paryżu. Pani Merlin, żona dyrektora, która w życiu nie podobnego nie widziała, wystąpiła z komplementem charakterystycznym: *Cela a dû vous coûter gros, citoyen ministre?—Pas le Pérou, madame,*—odrzekł gospodarz. Wtedy miała miejsce słynna rozmowa pani de Staël z Bonapartem, który zapytany przez nią, jakiej kobiecie przyznaje pierwszeństwo, zamiast wymienić panią de Staël, odpowiedział: Tej, co miała najwięcej dzieci.

Dyrektorowie, przez zazdrość i nieufność, chcieli pozbyć się Bonapartego z Paryża. Ofiarowano mu wyprawę do Irlandyi. On także wołał być gdzieindziej, ale Irlandya go niekusila. Wybrał Egipt, jako przedsięwzięcie, uderzające wyobraźnię jego własną i narodu. Żeby się go pozbyć, rząd przystał na wszystko. Już wtedy Bonaparte rozpowiadał o pójściu do Indyj i o powrocie przez Konstantynopol, chociaż jedno wykluczało drugie. Do Egiptu wybrał się naoslep, nie wiedząc, co tam znajdzie. Żołnierze ginęli stokroć więcej z niedostatku żywności i wody, niż od nieprzyjaciela. W końcu, tylko swemu szalonemu szczęściu zawdzięczał, że cało wrócił do Francyi.

Talleyrand przyrzekł Bonapartemu zawiązać z Portą układy o ustąpienie Francyi Egiptu, i nawet osobiście pojechać do Stambułu, ale obietnicy nie dotrzymał. Znalazł się więc w drażliwej pozycyi wobec wracającego generała. Szcze-

---

*gloire doit apporter de moyens et de facilités dans les négociations. Le nom seul de Bonaparte est un auxiliaire qui doit tout aplinir. Je m'empresserai de vous faire parvenir toutes les vues que le Directoire me chargera de vous transmettre, et la renommée, qui est votre organe ordinaire, me ravira souvent le bonheur de lui apprendre la manière dont vous les aurez remplies (24 lipca 1797 r.). Inny list kończy się litanią czułości: Adieu, général pacificateur; amitié, admiration, respect, reconnaissance; on ne sait, où s'arrêter dans cette énumération.*

ściem dla biskupa, szło teraz o ważniejsze rzeczy, i on był Bonapartemu potrzebny, jako znawca ludzi i rzeczy miejscowych; będąc zaś chwilowo bez dachu, z zapalem wszedł w kabałę, mającą na celu wspólne ich wyniesienie. Zrazu zamierzano wprowadzić Bonapartego do Dyrektoryatu, lecz gdy to generałowi nie dogadzało, ułożono Konsulat, poprawną edycję *polygarchii*.

Przy całej śmiałości, Bonaparte nie jeden raz zachwiał się podczas wykonania planu. Krótco przed zamachem stanu, przyszedł do Talleyranda zmrokiem, na rozmowę o szczegółach operacyi. Wtem usłyszano na ulicy turkot, odgłos kopyt i szcęk broni, jak żeby dom był otoczony wojskiem. Jenerał zbladł, biskup także struchlał; obaj przekonani byli, że będą uwięzieni. Tymczasem, popsuł się tylko fiaker, wiozący pod eskortą kawaleryi, pieniądze z domu gry w Palais-Royal. Nazajutrz po zamachu stanu, Talleyrand w towarzystwie Montronda <sup>1)</sup> udał się do Saint-Cloud, gdzie bawił jenerał. Przy nich, doniesiono mu, że rada pięciuset uchwaliła wyjęcie go z pod prawa. Bonaparte znowu zbladł tak, że Montrond kilka razy szepnął: *Général, cela n'est pas correcte*. Cofnąć się było zapóźno, a podrzędni pomocnicy bez porównania więcej ryzykowali, niż główny sprawca.

Po installacyi konsulów, Talleyrand, wraz z Roedererem i Volneyem, otrzymał z ust Bonapartego podziękowanie, w imieniu ojczyzny, za gorliwość, okazaną podczas ostatniej zmiany rządu. Biskup wysłuchał z uroczystą miną perory, wiedząc dobrze, co ona warta. Świeże wypadki zatarły wprawdzie wspomnienie o amerykańskiej historyi, lecz jeszcze nie wybiła godzina powrotu jego do urzędu. Sieyès fabrykował nową, doskonałą konstytucyę, tymczasem rzeczy pozostały w zawieszeniu. Biskup niecierpiał swego niegdyś asystenta przy mszy federacyjnej. Kiedy ktoś przed nim wyra-

<sup>1)</sup> Montrond, którego Sainte-Beuve nazywa *un Talleyrand à cheval*, długie lata był powiernikiem Talleyranda. — Wiecie, dlaczego tak lubię Montronda? — miał mówić Talleyrand; dlatego, że ma tak mało przesądów. — Montrond znowu powiedział: Wiecie, dlaczego lubię Talleyranda? bo wcale nie ma przesądów. — Kiedy ktoś chwalił przed nim Talleyranda, do wszystkich pochwał dorzucił: *Il est si vicieux*.

ził się o tamtym: *Il a pourtant un esprit bien profond?*— odrzekł: *Vous voulez dire peut-être creux?* Fabrykanta konstytucyi przyrównywał do krawca, co robi zawsze suknie źle leżące. Tegosamego zdania był Bonaparte, który projekt konstytucyi wydrwił, jako robiący z głowy rządu *un cochon à l'engrais*, odrzucił i własnym zastąpił.

Prawnie, zwłaszcza przy zręcznej interpretacyi, pierwszy konsul miał przewagę nad dwoma drugimi i używał władzy monarszej. Obok tego jednak konsulowie mieli zbierać się codziennie dla wysłuchania sprawozdań ministrów. Talleyrand, zamianowany ministrem spraw zagranicznych w miejsce Reinharda, i w tej regule doradził zrobić wyłom. Bourrienne opowiada, że na wstępnej audyencyi w te słowa odezwał się do pierwszego konsula: „Dla dobra Francyi i w interesie jedności w rządzie, pierwszy konsul winien mieć w swoich rękach wszystko, co należy do właściwej polityki, więc sprawy wewnętrzne i politykę, sprawy zagraniczne, wojsko i marynarkę. Ministrowie tych pięciu wydziałów powinni zatem składać raporta tylko pierwszemu konsulowi i z nim pracować. Cambacérés, jako prawnik, niech się zajmuje sprawiedliwością; Lebrun, jako finansista, skarbem; to ich zabawi; pan generał zaś dzierżąc żywotne części rządu, będziesz mógł osiągnąć cel, jaki zamierzyłeś—odrodzenie Francyi.“ Talleyrand w *Pamiętnikach* przyznaje się tylko do jednej cząstki tego pomysłu, mianowicie do tego, że zwrócił uwagę pierwszego konsula na konieczność zachowania tajemnicy w zarządzie spraw zagranicznych i usunięcie ich z pod kollegialnych rozpraw. W każdym razie, rada była zdrowa i pożyteczna. Z nią czy bez niej, człowiek z naturą, charakterem i geniuszem Bonapartego, musiał prędzej czy później wszystko zagarnąć.

W pierwszych szczególnie latach, Talleyrand był nieocenionym nabytkiem dla Bonapartego. Znał przebieg poprzednich układów i historię stosunków dyplomatycznych; umiał myśli Bonapartego ubrać w formę przyzwoitą, przemawiać językiem, nie rażącym Europy, gładkiem i zręcznym obejściem zacierać wrażenie popędliwości napoleońskich. Pierwszy konsul, bardzo prędko uchwyciwszy nić przewodnią, zrobił się sam swoim ministrem spraw zagranicznych, prze-

jął całą inicjatywę, zostawiając Talleyrandowi wypracowanie szczegółów, ale ufał mu, nie gardził jego zdaniem, nacechowanym jak zawsze duchem umiarkowania, przenikliwym i trafnym. O ile sądzić można z poufnej korespondencji <sup>1)</sup>, Talleyrand powziął do pierwszego konsula afekt nieklamany, złożony z admiracji, przywiązania i bojaźni. W początkach szczególnie, w miodowych miesiącach, a nawet i później dość długo, listy jego pełne są czułości, troskliwości, wykwintnych kadzideł, które nie samo pochlebstwo dyktowało. Pierwszy konsul często szwankował na zdrowiu i wyglądał na człowieka, który długo żyć nie może, przeciążał się pracą, odpoczynku nie znał. Latem 1801 r., Talleyrand pojechał do wód. Rozłąkę ze swoim panem nazywa: *la plus sensible des privations*; w każdym liście troszczy się o jego zdrowie, prosi, żeby nie zabijał się pracą, niepokoi się, że przesiaduje w wilgotnej bibliotece: *les rez-de-chaussée ne vous valent rien, vous êtes fait pour les hauteurs*; liczy dni do powrotu; nie posiada się z ukontentowania, gdy odbiera dobre wiadomości, *car dans l'éloignement on se tourmente horriblement*. I zwykle kończy zapewnieniem, że mu pozostanie wiernym aż do śmierci. A choć w tych listach nie widać wielkich sekretów, prosi, żeby się niedostawały w cudze ręce. Talleyrand całe życie drżał o los swoich autografów. W dziesięć niespełna lat później, można go było w nieprzyjemny wprowadzić kłopot, pokazując mu autograf z 13 września 1801 r., z podziękowaniem za dobrodziejstwo, wyświadczone przez Bonapartego jego rodzinie, i z takim finałem: *Permettez-moi d'emprunter à l'histoire d'une amitié célèbre ce qu'un ministre d'Henri IV disait à son maître: Depuis que je suis attaché à votre sort, je suis à vous, à la vie et à la mort*. Ludwikowi XVIII i Ludwikowi Filipowi już Talleyrand dozgonnej wierności nie obiecywał.

W ciągu roku 1803 znika z listów serdeczność i poufałość, i tytuł *citoyen*; Bonaparte jest tylko generałem i pierwszym konsulem. Na czele listu z 24 lipca 1804 r. po raz pierwszy figuruje: *Sire*. Talleyrand znowu wybrał się do wód; ztamtąd prosi cesarza o pozwolenie korespondowa-

<sup>1)</sup> *Lettres inédites de Talleyrand à Napoléon.*

nia z nim prywatnie; wspomina także, iż w powrocie zatrzyma się w Valençay. Był więc już wtedy właścicielem tego majątku, bardzo znacznego i nabytego przy pomocy Napoleona, który dał mu półtora miliona franków na skompletowanie ceny kupna <sup>1)</sup>. Z tego wynika, że biskup potrafił dorobić się fortuny w przeciągu niedługiego czasu. Później, kiedy stosunki z cesarzem się popsuly i częste wynikały sceny, Napoleon zapytał Talleyranda, jakim sposobem zebrał tyle pieniędzy? — N. Panie, — odparł — bardzo prostym: kupowałem rentę przed 18 brumaire i sprzedawałem nazajutrz. — On sam nie przeczył, że grał na giełdzie, ale zawsze dodając: pomimo, że grywałem niby napewne, straciłem tyle i tyle milionów.

W 1805 r., podczas kampanii austriackiej, Talleyrand pociągnął w pole za Napoleonem. Posiadał jeszcze wtedy zupełne zaufanie cesarza, ale coraz mniej wpływu na ważne postanowienia. Projekta najważniejszych depesz cesarz sam dyktował; wypadki wojenne często oddalały Talleyranda od głównej kwatery, będącej centrem, w którym wszystkie nici się zbiegały. Traktat z Prusami o Hannover z 15 grudnia 1805 r., Duroc i Haugwitz spisali pod dyktandem Napoleona. Na ministra spraw zagranicznych spadał obowiązek wytłumaczenia przed Europą faktów spełnionych. Talleyrand był w tem mistrzem, on, co nie cofnął się przed rolą adwokata w dwóch sprawach arcynieczystych, wypadków 10 sierpnia 1792 r. i zabójstwa księcia d'Enghien. Co się tyczy tego ostatniego, poświęcił w *Pamiętnikach* cały rozdział własnej obronie i dowodzeniu, że nie miał w tym dramacie innego udziału, jak ten, jaki z urzędu przypadła ministrowi spraw zagranicznych, to znaczy, że przedkładał Bonapartemu raporta agentów dyplomatycznych, wzmiankujące o pobycie księcia nad granicą, a potem zwykłym porządkiem umotywowował wobec gabinetów postępek pierwszego konsula. Nie

---

<sup>1)</sup> Nie mogąc dostać *La Biographie universelle de Michaud*, nie jestem w stanie podać wielu dat z prywatnego życia Talleyranda, nawet kiedy się ożenił. Sainte-Beuve, świadek niepodejrzany, ostrzega, że życiorys Talleyranda, w tem dziele zamieszczony, tchnie nienawiścią i nie całkiem zasługuje na wiarę.

też więcej Talleyrandowi dokumentami nikt nie dowiódł. Prawdopodobieństwo leży po stronie jego podań. Z natury nie był ani okrutnym, ani mściwym, nie miał żadnego interesu w śmierci ks. d'Enghien; natomiast musiał dbać o to, aby nie ściągać ohydy na głowę Bonapartego i nie utrudniać stosunków między nim i Europą monarchiczną. Jedyną jego winą, że nie użył swego wpływu, żeby zbrodni niedopuszczyć; czy miał po temu czas, sposobność i możność, to znowu trudne do rozwiązania pytanie. Napoleon był w owych dniach w tak wściekłym humorze, że Józefina i jej damy honorowe oddech w sobie tamowały. Talleyrand, leniwy i ociężały, trudno się ruszał z powodu nogi, wołał nie wkładać palca między drzwi i nie kompromitować się zbytkiem gorliwości. Po egzekucyi księcia, pozostawało mu do wyboru, albo zrobić, co zrobił, albo złożyć urząd i potem... pójść na pokutę do Trappistów. Kiedy mu radzono podać się do dymissyi, odrzekł: *Si Bonaparte s'est rendu coupable d'un crime, ce n'est pas une raison pour que je me rende coupable d'une sottise.*

## VI.

Z Strassburga, po batalii pod Ulmem, Talleyrand posłał cesarzowi znakomitą i godną uwagi pracę, z projektem przymierza austriackiego.

Europa — pisał — liczy obecnie cztery wielkie mocarstwa; Prusy bowiem uchodzą jedynie w opinii powszechnej za wielkie mocarstwo dlatego, iż jeden z monarchów pruskich wielkich dopełnił rzeczy, i że nawyknięto brać za jedno Fryderyka II i państwo, które okrył sławą. W rzeczywistości Prusy, z rozkawałkowanym terytoryum i zewsząd otwartem, z niewdzięczną ziemią i dziesięciomilionową ludnością, z ubogim przemysłem i brakiem kapitałów, są zaledwie pierwszym państwem drugiego rzędu. Na czele wielkich mocarstw stoi Francya, potężniejsza od każdego z pozostałych, zdolna oprzeć się wszystkim. Z liczby innych mocarstw, dwa, Anglia i Austria, są naturalnymi nieprzyjaciołmi Francyi; trzecie, Rosya, oddzielona od Francyi olbrzymią przestrzenią, nie jest

naszym wrogiem bezpośrednim, lecz tylko pośrednim, jako przeciwnik najdawniejszych sprzymierzeńców Francyi (Szwecyi, Danii, Turcyi). Dopóki Austria i Anglia nie przestaną rywalizować z Francją, pozostaną z konieczności w zgodzie i przymierzu z sobą. Dopóki Austria nie wejdzie w współzawodnictwo z Rosją, Anglii łatwo przyjdzie związać je wspólnem przymierzem. Dopóki Rosja stykać się będzie z Turcją i dopóki nie porzuci zamiaru podboju Turcyi, Francya uważać musi Rosję za swego wroga. W tych warunkach, grozi Europie nieprzerwany szereg wojen, traktaty pokojowe będą zawieszaniem broni i krew ludzka lać się nie ustanie. W tych wszystkich wojnach Francya będzie musiała brać udział. Alians Francyi z Prusami uważany był niegdyś, jako zadatek pokoju na kontynencie. Obecnie jest on niemożliwym. Polityka pruska, bojaźliwa, podstępna i chciwa, dąży do zysków bez ryzyka, do zwycięstw bez wojny; król dzisiejszy (Fryderyk Wilhelm III), człowiek jeszcze młody i mający zapewne przed sobą długie panowanie, ma pociąg do skąpstwa i spokój miłuje. Zostawmy przeto Prusy na boku i starajmy się usunąć przyczyny niezgody między Francją i Austrią, temsamem rozdzielić interesa Austrii i Anglii i oba te mocarstwa obrócić przeciwko Rosyi, a temsamem byt Turcyi zabezpieczyć. Aby to osiągnąć, należy najpierw położyć koniec bezpośredniemu sąsiedowaniu Francyi z Austrią. Wenecya powinna utworzyć państwo odrębne i niepodległe, oddzielające Austrię od Francyi, republikę, z instytucjami arystokratycznymi. Domowi austriackiemu należy odebrać możność wywierania przewagi na Szwajcaryę i południowe Niemcy, i wszystkie te ofiary wynagrodzić Austrii na wschodniej granicy. Austria była niegdyś przedmurzem od Turków, dziś niech się stanie przedmurzem od Rosyi. Dajmy Austrii Mołdawię i Wołoszczyznę, Bessarabię i część północną Bułgarii; bogate prowincye, panowanie na Dunaju, przystęp do morza Czarnego, skompensują utratę Wenecyi i Tryestu. Austria pragnie posiadania księstw naddunajskich i z bolem widziałaby ich przejście w ręce Rosyi. Co do Turków, czują oni własną słabość i wiedzą, że rozległość państwa przyspiesza utonięcie dominującego żywiołu w pod-

bitej ludności. Utrata kilku prowincyj, wzmocni Turcyę i przedłuży jej byt.

Wśród nowych stosunków, polityka Austrii przyjmie odmienny kierunek. Posiadanie Mołdawii i Wołoszczyzny wywoła antagonizm z Rosyą, odwróci uwagę i siły Austrii ku Wschodowi. Zamiast popierać plany tureckie Rosyi, Austriya będzie je krzyżować i z potrzeby zbliży się ku Francyi. Anglia nie znajdzie wtedy sprzymierzeńców na stałym lądzie. Rosyanie przerzucą się ku południowej Azji, a tam bieg wypadków sprowadzi kiedyś starcie między Rosyą i Anglią <sup>1)</sup>.

Plan Talleyranda był wykonalny, wobec przewagi Napoleona nad Austryą i na kontynencie. Osiągnąć miał skutek, jaki w naszych czasach osiągnął ks. Bismark, podobnemi środkami. W końcu, i co najważniejsze, kładł wcześniej tamę dążeniu Napoleona do owładnięcia całej Europy, na czem Napoleon sobie kark skrzył i Francya niezmiernie wiele ucierpiała.

Cesarz musiał być uderzony planem Talleyranda, skoro zwołał radę *ad hoc* do Monachium; lecz niebawem uniosły go powodzenia wojenne i poszedł drogą wręcz przeciwną.

Wystawiano często Talleyranda jako rodzaj pasożyta, żyjącego z cudzych myśli i cudzej pracy, że gdy był ministrem, wszystko za niego odrabiali sekretarze, nawet korespondencyę z monarchami, którą on tylko, jak etykieta wymagała, przepisywał własną ręką. Jestto bajka, przez niechęć ukuta. Talleyrand nie robił sam tego, w czem się mógł wyręczyć; zresztą żaden człowiek wszystkiemu nie byłby wydolał. Nosząc na nodze ciężki przyrząd żelazny, nie mógł długo siedzieć przy stoliku; pismo świadczy, że ręka mu się trzęsła i że pióro trzymał z wielką trudnością. Opowiadania tych, co z nim wiele obcowali, dają pojęcie, jak pracował. Leżąc na sofie, mówił sekretarzowi, co i w jakim sensie trzeba zredagować. W tece miewał zawsze mnóstwo różnych notatek, które w potrzebie na jaw wychodziły. Potem kazał sobie czytać brulion, wskazywał poprawki i zmiany, często na bok odkładał i znowu po namyśle polecał przerabiać.

<sup>1)</sup> *Lettres inédites de Talleyrand à Napoléon*. 17 października 1805 r.

Listy czasem dyktował, najczęściej poprzestawał na ustnych instrukcyach. Z porównania brulionów z autografami, widać najlepiej jego własny udział w przepisywaniu; nietylko skracał i zmieniał wyrażenia, ale dodawał zdania całe, i wyciskał na rzeczy osobiste piętno swoje. Faktem jest, że wszystka korespondencya ministryalna, równie jak korespondencye z Wiednia, z czasów kongresu, i z Londynu, z czasów ambasady, przechodziła przez jego ręce.

Podążając za Napoleonem, Talleyrand przejechał wskrós Niemcy, widział pole bitwy pod Austerlitz, jeszcze pokryte trupami i rannymi. W Wiedniu ponownie odezwał się do cesarza w obronie Austrii, „niezbędnej dla przyszłego zbawienia ludów cywilizowanych“<sup>1)</sup>. Cesarz nie posłuchał i Talleyrandowi wymawiał, że w Pressburgu, wbrew jego rozkazom, zbyt miękko prowadził układy.

## VII.

Fox, następca Pitta, począł traktować z Francją o pokój, którego pierwszym warunkiem musiał być zwrot Hannoveru, ustąpionego przez Napoleona Prusom. Gabinet berliński, trzymając się zasady: *ce qui était bon à prendre, est bon à garder*, zwrotu odmówił. Z tego wynikła wojna między Francją i Prusami. Talleyrand i tym razem pociągnął za armią. Napoleon miał z pewną obawą rozpocząć kampanię; bitwa pod Jeną przekonała go, że Talleyrand słusznie liczył czasy Fryderyka W. do wspomnień minionych. W Berlinie cesarz otrzymał proklamacyę ks. de la Paix, zapowiadającą defekcyę Hiszpanii. Po Jenie, wystraszony Godoy wszystkiego się wyparł, ale, według Talleyranda, Napoleon, który już przedtem wygnał Burbonów z Neapolu, wtedy poprzysiągł zgubę Burbonów hiszpańskich. „A ja, — dodaje Talleyrand — poprzysiągłem sobie w duszy, że bez względu na cenę, przestanę być ministrem Napoleona, zaraz po powrocie do Francji. W mojem postanowieniu utwierdziło mnie barbarzyństwo, z jakim obszedł się z Prusami w Tylży.“ Podobno

<sup>1)</sup> *Lettres inédites de Talleyrand à Napoléon*. 5 grudnia 1805 r.

i tym razem pamięć niedopisała Talleyrandowi i datę przysięgi zawcześnie umieścił. Bardziej zbliżonem jest do prawdy przypuszczenie, że włóczęga, trudy i niewygody w niej doznane, zbrzydziły mu urząd.

Z Berlina na Poznań podążył do Warszawy, gdzie stanął w końcu grudnia 1806 r. i bawił do pierwszych dni maja następnego roku. Podróż w zimie po naszych drogach, mogła stanąć kością w gardle człowiekowi już niemłodemu, nietęgiego zdrowia i przywykłemu do wygod; w Poznaniu Talleyrand mieszkał w ciasnym pokoiku, z wchodem wprost z sieni; koło Łowicza, ugrzązłszy w błocie, przesiedział całą dobę w karecie. W Warszawie, Barante wysłany naprzód jako kwatermistrz, wynalazł mu przyzwoite pomieszczenie w pałacu Radziwiłłowskim, umeblowanym po europejsku, i łóżko z firankami. Koło ministra spraw zagranicznych zgromadziło się ciało dyplomatyczne. Talleyrand zaprzyjaźnił się z ks. Józefem Poniatowskim i jego siostrą panią Tyszkiewiczową; ta przyjaźń trwała aż do jej śmierci<sup>1)</sup>. Zresztą, przez te kilka miesięcy pracował, jak nigdy w życiu, i robił rzeczy, jakich nigdy się nie tykał; cesarz kazał mu bowiem zajmować się szyciem mundurów, zakładaniem szpitali, wysyłką zboża, mąki, sucharów, słoniny i wódki.

Napoleon żądał od Polaków jak najwięcej wojska, aby sobie samemu sił przysporzyć; reszta zależała od okoliczności. Deputacyi polskiej w Poznaniu powiedział: gdy będziecie mieć czterdzieści tysięcy żołnierza, staniecie się godni być narodem i godni mojej opieki. Proklamacyami i obietnicami poruszył umyślnie uczucie patriotyzmu; potem narzekał, że widzi więcej egzaltacyi, niż czynu. Talleyrand od dawna miał sympatye dla Polski, lecz krzyżować polityki cesarza nie miał ani możności, ani wielkiej ochoty. Obietnicami też Polaków nie łudził. Minister saski Senfft wspomina, że magnaci polscy złożyli na ręce Dalberga cztery miliony złotych dla Talleyranda, który po pewnym czasie pieniądze kazał zwrócić.

1) Ciało pani Tyszkiewiczowej, zmarłej w Tours w 1834 r., na jej życzenie pochowane zostało w Valençay w grobie rodzinnym pod kaplicą, wybudowaną przez Talleyranda.

Fakt ten zdaje się świadczyć, że i w Polsce wiadano, któredy trafia się do Talleyranda. Pozostaje do rozwiązania kwestya, czy był on w istocie tak przekupnym, jak go często wystawiano. Chateaubriand okropną rzucił nań obelgę: *Quand il ne conspire pas, il trafique*. Ale wiadomo, jaką straszną nienawiść Chateaubriand żywił do Talleyranda, jak był zawzięty w nienawiściach i jak szarpał bez litości swoich przeciwników. Wiadomo dalej, że Chateaubriand nigdy nie mógł przebaczyć Talleyrandowi, iż w początkach pierwszej i drugiej restauracyi, zajął miejsce rojalistów czystej krwi, a przedewszystkiem miejsce, z prawa należne genialnemu poecie, i skaził rządy prawowitej dynastyi narzuceniem liberalizmu. Mogły się znaleźć i inne osobiste powody, gdyż Talleyrand nie ukrywał antypatyi do autora *Geniuszu Chrystyanizmu*. Po wyjściu *Męczenników*, Fontanes recenzję książki, przepehnionej przesadnemi pochwałami, zakończył wzmianką, że bohater i bohaterka byli pożarci *par les bêtes*; Talleyrand dorzucił: *Comme l'ouvrage*. Bezpieczniej przeto, podania Chateaubrianda przyjmować z wielką ostrożnością. Z drugiej strony, nie ulega kwestyi, że Talleyrand, choć już w pióra porosły, choć obdarzony przez Napoleona księstwem Benewentu, z którego ciągnął znaczne dochody, nie opuszczał żadnej okazji pomnażania fortuny. Istniał zwyczaj, i przeszedł w regułę, podarunków, dawanych przez monarchów obcym ministrom i dyplomatom, po podpisaniu każdej umowy międzynarodowej, podarunków w kosztownościach i gotówce. Brali wszyscy, Talleyrand brał olbrzymie summy; sam obliczał na sześćdziesiąt milionów zysk z tego tytułu. Od Saksonii, dostał milion franków. W Warszawie księstwa Anhalt, Szwarzburg, Waldeck, Lippe, Reuss, zostały przyjęte do związku reńskiego; drobnym książętom bardzo szło o ten przywilej, gwarantujący im przynajmniej do czasu spokój i bezpieczeństwo. Napoleon żalił się później, że go Talleyrand oszukał, wystawiając w fałszywym świetle wartość tego nabytku. Z Pamiętników Gagerna, ministra nassauskiego, który te sprawy traktował, pokazuje się, że pieniądze grały w nich rolę. Gagern zaręcza, że targi bezpośrednie miejsca nie miały, lecz on sam taksował usługi Talleyranda, co najwięcej porozumiawszy się poprzednio z p. de Sainte-Foy. Ten, Montrond

i Dalberg <sup>1)</sup> figurują we wszystkich podejrzanych robotach Talleyranda.

Napoleon wiedział o wszystkim i tolerował do czasu. W Moguncyi, przed kampanią pruską, jednego z książąt niemieckich zapytał przy świadkach: Ile ciebie Talleyrand kosztował? Później, gdy Talleyrand popadł w niełaskę, cesarz nieraz mu wyrzucał przekupstwo, ale już to samo, że tak długo cierpiał branie pieniędzy przez Talleyranda, dowodzi, że Talleyrand nie sprzedał ani żadnej tajemnicy stanu, ani interesu Francyi.

## VIII.

Za powrotem do Paryża, Talleyrand złożył urząd ministra spraw zagranicznych; przy tej sposobności, będąc już wielkim szambelanem, otrzymał od cesarza nową synekurę, *honorable et lucrative*, wice-wielkiego elektora. Ostatni swój list ministryalny do cesarza, zakończył temi słowy: *Le premier et le dernier sentiment de ma vie sera la reconnaissance et le dévouement* <sup>2)</sup>. Łaski i zaufania nie postradał u Napoleona, który nie przestał zasięgać jego rady i używać do ważnych poleceń.

Talleyrand bez entuzjazmu położył swój podpis na traktacie z Prusami, i bez entuzjazmu negocjował w Tylży z Rosyanami, do których czuł wstręt. Pierwszy poniżał Prusy i siał tam nasienie zemsty; umowa z Rosyą zapowiadała nową erę zawikłań i karkołomnych przedsięwzięć. Wszystko, co Talleyrand w *Pamiętnikach* prawi o swoich sentymentach dla królowej Ludwiki, ma na celu skaptowanie czytelnika. Widok nieszczęśliwej kobiety, i lekceważące obejście z nią Napoleona, nie mogły mu być przyjemnymi, ale widział on gorsze sceny w swoim życiu i zniósł je z zimną krwią. Do

<sup>1)</sup> Dalberg, minister badenski w Paryżu, otrzymał od Napoleona tytuł książęcy i milionową dotację, wraz z naturalizacją. Po wejściu wojsk sprzymierzonych do Paryża, zasiadł on obok Talleyranda w rządzie tymczasowym.

<sup>2)</sup> *Lettres inédites*. 10 sierpnia 1807 r.

usunięcia się z urzędu, skłoniło go prawdopodobnie co innego; przekonał się, że niepodola trudom, jakie pociągało towarzyszenie cesarzowi w wojennych wyprawach, tudzież, że nieposiada dość wpływu, aby politykę cesarza na inną drogę kierować. W końcu zaś, nie miał ochoty być prostym *commis* i jak wół od rana do nocy pracować. Nie wynikało z tego bynajmniej, żeby był przestał wierzyć w trwałość rządów Napoleona, albo dla siebie marzył o *otium cum dignitate*, ani też, żeby się wdał w kabały i konspiracje przeciwko cesarzowi.

Wiedząc dobrze czem grozi igranie z ogniem pod bokiem takiego Argusa, dbał jak najmocniej o względy Napoleona, aby być o wszystkim powiadomionym, i módz, czy rada, w stosownej porze umieszczoną, czy też swoim wpływem w kraju i zagranicą ułatwić osiągnięcie celu, jaki sobie postawił.

Napoleon, obsypując ludzi, co mu służyli, zaszczytami i pieniędzmi, przywiązywał ich do siebie; lecz ci ludzie, tak szybko wyniesieni, zapragnęli w końcu spokoju i możności używania posiadanych darów. Już w r. 1805 istniała we Francyi partya, niechętna bezustannym wojnom. Dwa lata następne, pruska i polska kampania, w krajach, wydających się Francuzom dzikimi, wywołały nawet w wyższych wojskowych zniechęcenie. W Warszawie słyszano skargi, że Paryż ujrzą chyba w powrocie z Chin. Kula mogła dosięść cesarza i spowodować katastrofę, wszystko pochłaniającą. Dygnitarze cywilni jeszcze goręcej życzyli sobie pokoju, wzmocnienia dynastyi Bonapartów we Francyi i w Europie. Talleyrand, dalej od wielu w przyszłość patrzący, był naturalną głową tego stronnictwa i sprawy niezasypiał. Niepokoiła go wzrastająca zażyłość Napoleona z Aleksandrem I. Napoleon kusił Aleksandra projektem rozbioru Turcyi; w Tylży obiecał nie sprzeciwiać się aneksyi Mołdawii i Wołoszczyzny; dalsze zabory wiązał z planem wspólnej wyprawy do Indyj Wschodnich. Byłyto rzeczy dalekie, lecz tymczasem Napoleon otrzymał od Rosyi zamknięcie portów dla flagi angielskiej i Austrii odebrał sprzymierzeńca, co mu ułatwiało przeprowadzenie systemu blokady kontynentalnej,

planów hiszpańskich i innych zamiarów, mianowicie zamiaru powtórnej napaści na Austryę.

W styczniu 1808 r. Talleyrand otworzył się przed Metternichem. Cesarz — rzekł — żywi dwa projekta: rozbiór Turcyi i wyprawę indyjską; pierwszy ma realne podstawy, drugi jest romanssem. Austrya powinna w obu wziąć udział i wejść do Konstantynopola razem z Francuzami i Rosyanami. Francya i Rosya chcą Turcyę rozebrać; nic nie zmieni postanowienia cesarza, którego znasz charakter. Potoku wstrzymać nie zdołacie; jeżeli spróbujecie stanąć wpoprzek, będziecie zgniecieni, Austrya spadnie między państwa drugorzędne <sup>1)</sup>.—Nieco później sam Napoleon nadmienił Metternichowi, że upór Anglików może go zmusić do podjęcia rozbioru Turcyi; *il faut que vous en soyez*, pretensye geograficzne Austrii do Dunaju są słuszne.—Talleyrand zrobił zapewne swój krok, jeżeli nie z rozkazu cesarza, to zgodnie z jego myślą; tylko poszedł dalej, z widocznym zamiarem, aby Austryę przychylnie usposobić i odebrać Napoleonowi pozór do zaczepki. Metternichowi propozycya przypadła do smaku: Turcyi nie ocalimy, pisał do Stadionia; trzeba więc dopomódz w rozbiorze i starać się, żeby nam przypadł udział jak największy.—Gabinet wiedeński był innego zdania, sądził, że o własnych siłach zdoła Francycę pokonać; rachuby obalila katastrofa roku 1809.

Negocyacye z dworem hiszpańskim, poprzedzające inwazyę francuską i zamach na rodzinę królewską, prowadził Talleyrand, wskutek wyraźnego polecenia cesarza, razem z ministrem spraw zagranicznych, Champagny'm. Gdy sprawa wzięła zły obrót, Napoleon całą winę zwałił na Talleyranda, twierdząc, że on go namówił do tego przedsięwzięcia. Bliższem wydaje się prawdy, że Napoleon szukał kozła ofiarnego i znalazł. W lipcu 1808 r. Metternich donosił, że Talleyrand od kampanii pruskiej jest przeciwnikiem zaborczego systemu cesarza i najmocniej potępia przewrót w Hiszpanii. Talleyrand w *Pamiętnikach* to samo powtarza. Miał doradzać cesarzowi tylko okupacyę Katalonii, aby dwór hiszpański na

<sup>1)</sup> *Mémoires de Metternich: Metternich à Stadion. 18 janvier 1808.*

wodzy utrzymać, oraz w widokach przyłączenia tej prowincyi do Francyi, w zamian za Portugaliją.

Sprawa hiszpańska poróżniła ostatecznie Talleyranda z cesarzem. Talleyrand nietylko w oczy cesarzowi się sprzeciwiał, lecz w najostrzejszych wyrazach ganił jego postęпки przed ludźmi. Po zamachu w Bayonnie miał rzec: *On s'empare des couronnes, mais on ne les escamote pas*. Wszystko to dochodziło uszów cesarza, a krytyki człowieka na wyjątkowym stanowisku, ubodły go do głębi. Przez zemstę i żeby wielkiego szambelana w oczach świata skompromitować, osadził infantów hiszpańskich w Valençay. Talleyrand niepozostał dłużnym zapłaty za taki figiel. Otoczył infantów królewskimi honorami i uczynił to z taką ostentacją, że wszyscy zrozumieli o co chodzi. Chcąc nie chcąc, zrobił przytem dobry uczynek. Ci biedni książęta, którym w Madrycie niewolno było razem wyjść na spacer bez pozwolenia króla, dopiero na wygnaniu zaznali nieco swobody, nauczyli się jeździć konno i strzelać. Do czytania nie było sposobu ich nakłonić, zaledwie interesowały ich obrazki. Gospodarz niezapomniał o pociechach religijnych: *la grande infortune rend la foi plus vive et l'âme plus sensible*. Dzień kończyła wspólna modlitwa, gromadząca książąt, oficerów gwardyi, żandarmów i ex-biskupa.

Napoleon, wracając z Bayonny, zawezwał Talleyranda do Nantes. Tam zaszła między nimi sprzeczka o Hiszpanię. Talleyrand miał cesarzowi powiedzieć, że w każdym razie więcej stracił, niż zyskał, a zapytany, jak to rozumie, odparł: Świat wiele przebacza, szaleństwa, wiarołomstwo małżeńskie, winy względem przyjaciół; ale oszustwa w grze nie przebacza: przed takim człowiekiem wszystkie drzwi się zamykają.— Czy aż tak daleko się posunął, wolno powątpiewać, ale podobne sądy słyszał z jego ust Beugnot.

Pomimo nadwerężenia osobistych stosunków, cesarz zabrał Talleyranda do Erfurtu i porucił mu negocyacyę z Rosyą, główny kładąc nacisk na to, aby otrzymać od Aleksandra zobowiązanie, iż w razie wojny z Austryją, stanie po stronie Francyi. Widoki cesarza pokrzyżowały się z widokami Talleyranda; jeżeli też kiedy, to w Erfurcie, nie zgrzeszył przesadą w gorliwości. Aleksander przybył z uczuciem

zawodu, zachwiany i podejrzliwy. Pierwsze spotkanie monarchów, dla obu było kłopotliwe. Napoleon kazał pozostać Talleyrandowi i zarzucił gościa pytaniami o zdrowie małżonki i rodziny; Aleksander odplacił równą troskliwością. „Gdyby czas na to pozwolił—powiada Talleyrand—przyszłaby była nieomylnie kolej na kardynała Fesch“<sup>1)</sup>. Istotną negocjację Napoleon sam prowadził, wikłając Aleksandra w płataninę różnorodnych pokus. Talleyrand prędzej rozdmuchiwał zarzewie nieufności, tlejące na dnie duszy cara. Według Metternicha, miał wręcz powiedzieć Aleksandrowi: Co tu robisz, N. Panie? Twojem zadaniem uratować Europę, stawiając głowę Napoleonowi. Naród francuski jest narodem cywilizowanym, lecz jego monarcha cywilizowanym nie jest; w Rosyi rzeczy stoją odwrotnie; przeto cesarz rosyjski powinien być sprzymierzeńcem narodu francuskiego... Ren, Alpy, Pyrenee, są podbojami Francyi, reszta podbojem cesarza; Francya o to niedba.—Skoro tem się niepochwalił w *Pamiętnikach*, trzeba przypuścić, że Metternich był źle poinformowany. Pewnem jest przecież, że Aleksandra nakłaniał do zbliżenia się z Austryą i w Paryżu takiej samej rady udzielił Metternichowi, albowiem jedynie zgoda Austrii z Rosyą może ocalić resztki niepodległości Europy<sup>2)</sup>. Byłto godziwy sposób ukucia zba-wiennego hamulca na Napoleona. Francya na tem tylko zyskać mogła, i Talleyrand zdobyć rękojmnię spokojnego posiadania księstwa Benewentu, wraz z synekurami.

Cesarz wyjechał do Hiszpanii; podczas jego nieobecności nastąpiło zbliżenie między Talleyrandem i Fouché. Metternich przyrównywał ich obu do podróżnych na okręcie, sterowanym przez człowieka nie przy zdrowych zmysłach, i oczekujących chwili, kiedy przyjdzie im uchwycić ster w własne ręce. Innemi słowy, przewidywali możność śmierci Napoleona, od kuli, albo sztyletu. Talleyrand miał porozumiewać się z Muratem o objęciu tronu francuskiego, z wyłączeniem braci

<sup>1)</sup> Żeby zmierzyć złośliwość tej uwagi, trzeba pamiętać, że kardynał należał do członków rodziny, najmniej Bonapartom splendoru przyczyniających. Karyerę rozpoczął od tego, że był korsarzem.

<sup>2)</sup> Memoryał Metternicha z 4 grudnia r. 1808: *Mémoires*.

cesarza. W styczniu 1809 r. zaraz po powrocie Napoleona, burza wybuchła nad głową Talleyranda. W obecności arcykanclerza i ministra marynarki, cesarz zarzucił Talleyrandowi, że on i Fouché stoją na czele stronnictwa nieprzychylnego rządowi, i które zamierzało zmienić porządek następstwa tronu; potem wdał się w rozmaite rekryminacye z przeszłości; traktat pressburski nazwał *infamią i owocem korrupcyi*. Tegosamego dnia, Duroc, z rozkazu cesarza, zażądał u Talleyranda zwrotu klucza szambelańskiego.

## IX.

Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło: wraz z kluczem szambelańskim, Talleyrand pozbył się z domu małżonki.

W swoim czasie, gorąco popierał zawarcie konkordatu, pierwotnie jak najbardziej wstrętnej opinii powszechnej, szczególnie wojskowym. Po podpisaniu pokoju z Rzymem, otrzymał od papieża zdjęcie z siebie klątwy, tudzież pozwolenie noszenia odzieży świeckiej i sprawowania cywilnych urzędów. W testamencie nazwał to swoją sekularyzacją, chociaż *breve* nie zawierało wzmianki o zwolnieniu od ślubów kapłańskich. Wkrótce potem poznał panią Grand, rodem z Indyj Wschodnich, wdowę po Angliku, czy Amerykaninie, i postanowił z nią się ożenić, a niedostawszy ślubu kościelnego, poprzestał na cywilnym. Tym sposobem wszedł w nową kollizję z Kościołem.

Księżna Benewentu słynęła z piękności i głupoty, posuniętej do tego stopnia, że mając u siebie na obiedzie Anglika, nazwiskiem Robinson, zapytała go, co porabia *Piątek*? Z popelnionej przez pojęcie takiej gęsi niedorzeczności, Talleyrand uniewinniał się po swojemu drwinami: *Une femme d'esprit compromet souvent son mari, une femme stupide ne compromet qu'elle-même*. W dodatku, księżna Benewentu zakochała się w ks. San-Carlos, Hiszpanie. Gdy Talleyrand popadł w nieflaskę, Napoleon zakazał jego żonie pokazywać się u dworu i Hiszpana wyгнаł do Bourg; poczem pani Talleyrandowa z rozpaczey zamknęła się na wsi. Później stadło

połączyło się znowu pod jednym dachem. Od r. 1815 już razem nie mieszkali, a na nagrobku małżonki, Talleyrand polecił drobnitkami literami wyryć, że tam leży jego żona *cywilna*.

Talleyrand mógł po sobie najlepiej miarkować, jak wiele świat przebacza. Choć w niełaskę popadły, w kraju absolutnie rządzonym i wśród społeczeństwa gnębionego terroryzmem policyi napoleońskiej, zachował znaczenie, stanowisko wyjątkowe i w tamtych czasach jedyne. Składały się na to różne ingrediencye. Rozumem, dowcipem i sprytem, niejednen mógł dorównać Talleyrandowi, ale mało kto umiał tak, jak on, tych darów używać; pod tym względem Talleyrand był artystą skończonym i aktorem najpierwszego rzędu. W demokratyzującej się Francyi, tak zwane przedrewolucyjne maniere, grzeczność i uprzejmość, przypominające pokoje wersalskie, nieprzestały uroku wywierać. Stara arystokracja i nowa, tworzyły dwa światy odrębne; z porównania, tamta zwycięzko wychodziła. Cambacérès, niegdyś adwokat przy parlamencie w Aix, w Prowancyi, wziął na marszałka dworu swego dawnego prezydenta p. d'Aigrefeuille, który zaczął go tytułować *Altesse*; on mu na to: *Quand nous sommes entre nous, bornez-vous à m'appeller Monseigneur*. Gagern znowu opowiada, że w Warszawie Talleyrand od początku prosił, żeby go nietytułował *Altesse*, tylko poprostu *M. de Talleyrand*. Trzeba zaś wiedzieć, że Talleyrand miał do wysokiego stopnia rozwiniętą dumę rodową i pretensję należenia do najstarszych rodzin francuskich, co najmniej równych Burbonom. Otrzymawszy księstwo Benewentu, umyślnie zaniedbał dopełnić formalności, potrzebnych do zamieszczenia w księgach heraldycznych tytułu książęcego, który lekceważył, nadmieniając: *Je suis moins, et peut-être je suis plus*. Był niezmiernie gościnnie, wydawał dużo, trzymał doskonałego kucharza, lubił ludzi widywać, dawał bale dla dorosłych i dla dzieci, koncerty, przedstawienia teatralne, i wtedy ściągtał do swego domu najznakomitszych artystów. Pomimo kolosalnego majątku, popadał często w kłopoty pieniężne, wskutek nieudanych spekulacyj i z winy własnej hojności. Ta hojność była także swego rodzaju. Posuwając pogardę dla rodu ludzkiego i cynizm niemal do ostatnich granic, lekceważył za-

pewne regułę chrześcijańską i zasadę, żeby datek szedł w parze z dobrem słowem; lecz dalekim był również od faryzeuszowskiej polityki smarowania na wszelki przypadek ucha igielnego. Dawał, bo nierozumiał, żeby można niepodzielić się z drugim, i datek z jego ręki nieupokarzał obdarowanego.

Pomimo niełaski, zresztą urzędownie do *minimum* zredukowanej, stosunek z cesarzem nie zerwał się całkiem. Jako wice-elektor, Talleyrand zachował miejsce w wielkiej radzie i prawo do zasiadania w regencyi, na wypadek zejścia cesarza. W sprawie rozwodu i małżeństwa z Maryą Ludwiką wziął czynny udział; w wielu innych sprawach Napoleon zasięgał jego zdania. Pomimo wszystkiego, pomimo nienawiści obustronnej i nietajonej, pomimo gwałtownych scen i ciągłego kłóśnięcia się przy lada okazji, ci dwaj ludzie nie byli w stanie zerwać tajemnej nici, która ich łączyła. *On revient toujours à ses premiers amours*. Dziwny to był gatunek miłości, bardzo silny i trwały. Wpadłszy w gniew, Napoleon wylewał na głowę Talleyranda konewki obelg, oskarżał o sprzedajność, zdradę, intrygi, spiskowanie, autorstwo zabójstwa ks. d'Enghien i brudów hiszpańskich; ale gdy mu doradzano Talleyranda uwięzić, odpowiadał: *Jamais je ne donnerai la main à la perte d'un homme, qui m'a longtemps servi*. W r. 1812, Talleyrand potrzebował gwałtownie pieniędzy, z powodu bankructwa bankiera, z którym był w spółce; cesarz przyszedł mu w pomoc, odkupując pałac w Paryżu za 1,280.000 fr. Przed kampanią rosyjską chciał mu powierzyć zarząd Polski; po bitwie pod Lipskiem, sprawy zagraniczne. Podczas kongresu w Châtillon kilka razy powtarzał: *Ah! si Talleyrand était là, il me tirerait d'affaire*; podczas stu dni często żałował nieobecności swego dawnego ministra: *C'est encore l'homme qui connaît le mieux ce siècle et le monde, les cabinets et les peuples*.

Najeięższe obelgi Talleyrand znosił w milczeniu, z zimną krwią, wprawiającą świadków w zdumienie. Raz szepnął tylko na schodach: *Quel dommage qu'un aussi grand homme ait été si mal élevé...* W r. 1814, przed odjazdem cesarza do armii, miała miejsce nowa i podobno najgorsza awantura. Napoleon przez dziesięć minut lżył Talleyranda, który stojąc

przy kominie, zasłaniał się od ognia kapeluszem i tak spokojnie wyglądał, jak żeby szło o kogo innego. Z domu dopiero napisał do cesarza list tej treści, że kiedy cesarz ma tak złą o nim opinię, nie może myśleć o wejściu w danym razie do regencyi; składa przeto godność wice-elektora i prosi o pozwolenie usunięcia się na wieś. Dymissya nie została przyjętą; cesarz kazał prócz tego oznajmić Talleyrandowi, że może zostać, gdzie jest. W tym wypadku, Talleyrand poczuł, że mu już wolno cesarzowi stawić głowę—cesarz natomiast, że nie jest już dość silnym, żeby z takim człowiekiem otwarcie zerwać.

Za doznawane upokorzenie Talleyrand mścił się językiem, nicując wszystkie postęпки cesarza, słusznie i niesłusznie, potrzebnie i niepotrzebnie. Był oddawna stronnikiem przymierza austriackiego, oświadczył się za małżeństwem z arcyksiężniczką, lecz gdy oba przyszły do skutku, potępiał jedno i drugie: *L'Empereur pense-t-il que la maison de Habsbourg considère comme un honneur de s'allier avec la famille Bonaparte?* Była to święta prawda, jednak dla cesarza nieprzyjemna. Co się tyczyło przymierza, Talleyrand słusznie dowodził, że ono nie nie znaczy, dopóki Napoleon nie zwróci Austrii zabranych prowincyj; Austria swoich strat przeboleć nie potrafi i to popehnie ją prędzej czy później w ramiona wrogów Francyi. Kiedy Maret, ks. Bassano, objął zarząd spraw zagranicznych, Talleyrand, który go zawsze nie lubił, odezwał się: *Je ne connais pas de plus grande bête au monde que M. Maret, si ce n'est le duc de Bassano.* I to cesarzowi podobać się nie mogło. Na wiadomość o pożarze Moskwy, Talleyrand zakonkludował: *C'est le commencement de la fin!* Już wtedy ujrzał, zdaje się, miotłę Opatrzności w ruchu i począł myśleć, jak siebie ocalić od jej razów. Pytany o zdanie, nie szczędził Napoleonowi przestróg i rad zdrowych. Po przejściu Prusaków na stronę Rosyan, zalecał wejść bez zwłoki w układy, gdyż cesarz ma w rękę zastawy, które może oddać, ale i jutro stracić, a wtedy zniknie nadzieja pomyślnego skutku. Po zawieszeniu broni w Pradze, znowu nalegał o zawarcie pokoju i radził pospiech. Po bitwie pod Lipskiem, gdy sprzymierzeńcy ofiarowali Francyi naturalne jej granice, oświadczył się za przyjęciem warunków i rzekł

do cesarza: Najgorszy pokój nie wyrządzi nam tyle złego, co wojna, która szczęśliwie skończyć się nie może.— Wtedy Napoleon proponował Talleyrandowi tekę spraw zagranicznych, jeżeli złoży urząd wice-elektora. Jakto? — odpowiedział Talleyrand — jeżeli cesarz ufa mi, nie powinien mnie degradować; jeżeli zaufania do mnie nie ma, nie powinien mnie używać. Teraz nie czas na półśrodki. — Kiedy rzeczy już tak źle stanęły, że przyszło myśleć o bezpieczeństwie cesarzowej i króla rzymskiego, Talleyrand, po odbytej radzie, taki sens moralny wyciągnął z karyery swego pana: *Quelle chute dans l'histoire! Donner son nom à des aventures, au lieu de le donner à son siècle!* A potem, myśląc głośno, w obecności ministra policyi, ks. Rovigo, dodał: *Il ne convient pas à tout le monde de se laisser engloutir sous les ruines de cet édifice.*

Henryk Lisicki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# XENOFONT.

(Ciąg dalszy).

## II.

### **Pisma** <sup>1)</sup>).

Xenofont jest w porządku chronologicznym pierwszym filozofem, którego wszystkie dzieła do nas doszły, a najdawniejszy po Tucydycie przedstawiciel attyckiej prozy, nie tylko w jednym, jak dziejopisarz peloponeskiej wojny, lecz w wielu rodzajach literackich, doświadczający swego talentu. Rozmaitość treści i znakomity styl, tłumaczą dostatecznie, dlaczego późniejsi Bizantyńczycy zachowali wszystkie jego prace, a bardzo niestosownem jest

---

<sup>1)</sup> Najlepsze wydanie kompletne dzieł Xenofonta sporządzili Bornemann, Kühner i Breitenbach, z gruntownym komentarzem w 4 tomach (Gothae 1828); po nich Sauppe (Lipsiae 1865) w 5 tomach. Znakomite wydanie prof. Schenkla: *Xenophontis opp.* etc. Berolini 1866, 2 voll. nie zostało ukończonem. Niekompletne jest także, choć bardzo staranne i pożyteczne, wydanie grecko-niemieckie księgarni Engelmanna w Lipsku 1856 — 1881. Tomik pierwszy i drugi zawierają Cyropedyę, trzeci Anabazę, czwarty Pamiętniki, piąty Biesiadę. Wstępy i przypiski są krótkie, ale wystarczające; tekst grecki poprawny, przekład niemiecki zawsze jasny, a cza-

pytanie, czy dobrze zrobili<sup>1)</sup>, bo przypuściwszy nawet, że uratowali kilka rzeczy drugorzędnych lub niezupełnie pewnych, to i tych strata byłaby dzisiaj bardzo dotkliwą. Czy zaś tylko dlatego, że wszystkie jego pisma zachowane zo-

sem nawet artystyczny. Ci, którzy wolą czytać Xenofonta po francusku, znajdują w Talbota *Oeuvres complètes de Xenophon* (Paris, 1859) 2 voll. tłumaczenie, czyniące zadość nawet wybrednym żądaniom. Żal nam, że tego powiedzieć nie możemy o przekładach polskich. Aż do końca przeszłego wieku, nikt u nas nie pomyślał o przyswojeniu naszej literaturze tak znakomitego autora, a szkoda to wielka, bo byłby niewątpliwie przypadł do gustu wiejskiemu obywatelstwu. Dopiero w 1831 r. ogłosił znany Mrongovius przekład Anabazy: *Słowo Xenofonta o wyprawie wojennej Cyrusa* (W Gdańsku itd.); robota to uczciwa, ale więcej parafraza, niż przekład umiejętny i kunsztowny; język często niezgrabny, staroświecki, dla ucha nieznośny. Później znakomity hellenista prof. Antoni Bronikowski, jak wielu innych klasyków, tak i Xenofonta tłumaczył, ale z wyjątkiem *Ekonomika*, nie udał się mu żaden przekład. Przyczyna tego podwójna: pierwsza, że tłumaczył zbyt dosłownie, druga, że tłumaczył zawiele. Otóż język nasz, ukształcony na łacinie, nie pozwala na przekład dosłowny z greckiego, a siły człowieka są za słabe, żeby tłumaczyć wielu autorów. W przekładaniu nie możemy pokusić się o wierność fotograficzną, bez narażania na niezrozumiałość własnego języka, a psychologicznem niepodobieństwem, aby tensam uczony tłumaczył Homera, Herodota, Platona, Xenofonta, Tucydidesa i wiele innych rzeczy. W Niemczech, Francji, Anglii, Włoszech, poczytują za sprawę całego życia dobry przekład jednego autora starożytnego. Bonghi ciągle tłumaczy Platona, Barthélemy Saint-Hilaire Arystotelesa, Jewett Platona itd. W istocie, kto chce dobrze przełożyć autora, musi znać wszystkie jego wydania, wszystkie odmiany tekstu, wszystkie komentarze, a na takie przygotowanie, nie miał Bronikowski ani czasu, ani cierpliwości, ani potrzebnych funduszków. Xenofonta *Ekonomik* ukazał się w Poznaniu r. 1857, *Wspomnienia o Sokratesie* w Ostrowie i Wrocławiu r. 1868, *Hippika i Hipparch czyli jazda konna i naczelnik jazdy* w Ostrowie r. 1860.

<sup>1)</sup> K. O. Müller lub raczej prof. Heitz w tomie uzupełniającym jego *Gesch. der griech. Litt.* Tom II. Część 2-ga str. 92 (wyd. 4-te).

stały, zajmuje Xenofont niezwykle, nawet nieproporcjonalne stanowisko w literaturze <sup>1)</sup>, zobaczymy później.

Z dzieł historycznych, uchodziła zawsze Anabaza za niezrównane arcydzieło, podbijające czytelnika nadobną prostotą stylu, prawdomównem i bezstronnem opowiadaniem faktów, delikatnością spostrzeżeń psychologicznych, wytrawnem doświadczeniem wojskowem, bystrą, nigdy niezmęczoną uwagą na każdy szczegół ważniejszy w ciągu długiej, niebezpiecznej wyprawy. To też była ona zawsze rozkoszą młodzieży i wojskowych, czytawali ją Scypionowie, naśladował Cezar, zostawali pod jej urokiem wodzowie nowożytni, bo ten „najdawniejszy dziennik wojskowy,“ jak trafnie ją nazwał hr. *de la Luzerne*, jest zarazem doskonałym wzorem dobrego stylu i niepospolitej wymowy. A jeżeli nas nie rozczuła do łez, jak niegdyś *Diona Chryzostoma*, bo trzeba być Grekiem, aby odczuć całą piękność tego języka, jeżeli raczej mowa niejedna ludziom, którzy stracili gust do retoryki, może wydawać się zbyt długą, lub nawet niepotrzebną, to liczne inne ustępy, robią wrażenie głębokie nie tylko na wzniosłych, lecz i zwykłych umysłach. Opis bitwy pod *Kunaxą*, gdzie czytelnikowi, według dobrej uwagi *Plutarcha*, zdaje się, że jest w samym środku niebezpieczeństw, przebieg układów pomiędzy królem perskim a Grekami, charakterystyka każdego z pięciu wodzów, zdradzonych przez *Tyssafernesa*, obraz przygnębienia i rozpacz w zaciężnem wojsku, przejście przez góry *Karduchów*, widok morza z góry *Teches*, należą do pierwszorzędných kompozycyji literackich. Szturm *hoplitów*, uderzenie pancерnej konnicy perskiej, portrety *Klearcha* i *Menona*, tylko przez *Salwatora Rosę* lub *Rembrandta* mogłyby godnie być oddane. A w każdej z tych scen dramatycznych, ciemnych lub jasnych, ukazuje się postać autora, przez niego samego nakreślona, spokojna, pogodna, czynna, wierząca w pomoc bogów, pokorna, kochająca podwładnych, pełna fortelów, z dłonią przy mieczu, z gotowem zawsze słowem zachęty lub pociechy, nagany

<sup>1)</sup> Taki sąd *Heitza*, tamże str. 93.

lub pochwały. Doprawdy był to wódz wielki, a większy jeszcze artysta <sup>1)</sup>.

Mniejszą wartość mają Helleniki, ale nie tak małą, jak twierdzą niektórzy filologowie. Łatwo powiedzieć, że autor nie dorównał Herodotowi lub Tucydyclesowi, że pozba-

<sup>1)</sup> Z poszczególnych wydań Anabazy najważniejsze są Hug'a (Lipsiae 1878), Krügera (6-te wyd. 1871), Vollbrechta i t. d. Z rozlicznych kwestyj, namiętnie dyskutowanych przez nowszą krytykę, tylko kilka podnosimy: 1<sup>o</sup> Xenofont wydał Anabazę pod nazwą zmyśloną Temistogenesisa (Hell. III. 1. §. 2). Opowiada Tzetzes (Chil. VII. 930 sq.), że Fidiasz dwa posągi własnego dłuta podarował kochankowi, aby sprzedał je jako swoje, a Xenofont podobnie Anabazę pod imieniem przyjaciela ogłosił, by ten z niej miał sławę. Suidas (Vol. I. p. 1124) wie nawet, że Temistogenes był rzeczywistym autorem książki, którą niesłusznie potem przypisano Xenofontowi. Obie jednak wiadomości są zmyślane, a bez żadnej potrzeby przypuszczali Boeckh i Jacobs, że Temistogenes pomagał może Xenofontowi w układaniu Anabazy. Również niesłuszne twierdzenie Schenkla (*Xenophontische Studien* p. 636 w Sprawozd. wied. Akad. Umiej. Tom. 60 r. 1868), że Temistogenes napisał inną Anabazę, która bez wieści przepadła i że do niej odsyła czytelników Xenofont. Ale przed Suidasem nikt tej Anabazy nie znał, a on jej także nie widział, lecz Xenofontową tylko. Wolno więc wnosić, że on wiadomość całą zmyślił na podstawie tego ustępu w Hell. III. 1. §. 2: „Jak więc Cyrus wojsko zebrał i przeciw bratu wyruszył, jak zginął i jak Grecy szczęśliwie ocaleni dostali się do morza, zostało opowiedzianem przez Temistogenesisa z Syrakuzy.“ Pomimo tego oświadczenia starożytni (Cic. *de divin.* I. 25, 52; I. 54, 122), uważali Anabazę za dzieło Xenofonta, bo wedle słów Plutarcha (*de gloria Athen.* I) był on sam sobie historyą, opisawszy swoje dowództwo i szczęśliwe czyny, dobrał zaś sobie Temistogenesisa z Syrakuzy, aby zjednać sobie większą wiarę, gdy mówi o sobie, jak o drugiej osobie, innemu zaś sławy pisarskiej odstępował. Z tych słów Tzetzes bajkę swoją wysnuł, choć Plutarch żadnego udziału w napisaniu Anabazy nie przyznaje owemu Temistogenesowi i prawdopodobnie uważał go za osobistość fikcyjną.

2<sup>o</sup> Czas, w którym powstała Anabaza, daje się łatwo oznaczyć. Świeżość stylu, wielka liczba szczegó-

wiony jest zmysłu historycznego i t. p. Takie nie nie znaczące ogólniki nie dają wyobrażenia o talencie pisarza, a publiczność odstręczają od zaglądania do wielce ciekawej książki. Kto chce wydać sąd sprawiedliwy o „Dziejach greckich,” powinien wytlómaczyć ich założenie, cel ostatni, narzeczcie czasy, w których zostały napisane. Panuje dzisiaj powszechna zgoda, że rozpadają się na trzy różne, dopiero po śmierci autora złączone części. Pierwsza obejmuje Księgi I i II i jest dalszym ciągiem Historji Tucydidesa, którą Xenofont wydał z polecenia jego córki<sup>1)</sup>.

łów, ścisłość w opisywaniu niektórych miejscowości, każą główne jej części uważać za współczesne z wypadkami. Jest rzeczą bardzo naturalną, że człowiek lubiący pisać, zwłaszcza o rzeczach, które go zbliżka obchodziły, podczas długich odpoczynków w Trapezuncie, Kotoryi, Tracyi, a później w obozie spartańskim, na leżach zimowych, nie tylko robił obszernie zapiski, lecz nawet ważniejsze opracowywał epizody. Całość ukazała się oczywiście daleko później, nie przed r. 384, kiedy odwiedził go Megabyzus, ani też zaraz potem, lecz kilka lat później, gdyż mówi o polowaniach, corocznie odbywanych na cześć Artemidy, w których synowie jego brali udział. Ponieważ jednak w opisie uroczystości (Anab. V. 3, 7—13), kładzie same *imperfecta* (ἐποίει, μετέῳρον itd.), twierdzą Grote (Hist. VIII. 480) i Schenkl (*Xenoph. Stud.* I. 634; II. 153), że pisał to Xenofont po r. 371, kiedy już nie bawił w Scyllusie. Słusznie Rehdantz i Roquette odparli, że owe *imperfecta* tego bynajmniej nie dowodzą; nam zaś zdaje się, że Xenofont po wypędzeniu swoim ze Scyllusu, piszący Anabazę, byłby wspomniał o tym fakcie i wytlómaczył dawnym towarzyszom broni, co się stało z ich fundacją. Uważamy także za niewątpliwie, że Anabaza starsza niż tak zw. druga część Helleników (III—V. 4); do niej odnoszą się słowa w III. 1, 2, jak wytlómaczyłem wyżej, a druga część Helleników jest o wiele wcześniejszą od bitwy pod Leuktrą (r. 371), która tak stanowczą sprowadziła zmianę i w położeniu materyalnem autora i w jego przekonaniach politycznych.

<sup>1)</sup> Porówn. Marcell. Vit. Thucyd. §. 65. Diog. Laërt. II. 6. §. 57. Historia Tucydidesa urywa się na r. 411, czy dlatego, że reszta zginęła (Müller-Strübing), czy, że autor śmiercią zaskoczony, nie zdołał jej ukończyć. Jest prawdopodobnem, że chciał zrazu napisać tylko „wojnę

Opowiada sześć ostatnich lat wielkiej bratobójczej wojny, aż do zdobycia Aten, a korzystał prawdopodobnie z notatek wielkiego historyka; kończy zaś rzecz swoją na ogólnej amnestyi, pod naciskiem Trazybula wydanej przez zwycięską demokrację. Część ta, porządnie opracowana, przechodzi zwyczajem kroniki ważniejsze wypadki, a nie jest bez epizodów, wysoce zajmujących, jak bitwa przy Arginuzach i proces nieszczę-

Archidamasową, „potem plan rozszerzył i dodał „wyprawę sycylijską,“ nareszcie „wojnę decelejską,“ a przez to zmuszony był także pierwszą część przerobić. Jeżeli przyjmujemy z prof. Œwiklińskim (*De tempore quo Thucydides priorem historiae suae partem composuerit* Berolini 1873; *Entstehung der Thukydideischen Geschichte* w czasopiśmie *Hermes*. Tom XII, str. 23 i nast.), że większą część swego dzieła napisał przed r. 404, a po tym roku nie tylko ułożył trzy ostatnie księgi, lecz na nowo opracował ks. I—IV, Xenofont zaś opuścił Ateny w r. 401, powstaje trudność, czy w tych kilku latach da się wygodnie pomieścić i praca dość obszerna Tucydidesa i śmierć tegoż i napisanie dwóch pierwszych ksiąg Helleników. Rozwiązanie trudności zostawiam uczonemu znawcy Tucydidesa, ja zaś uważam część ową Helleników za dawniejszą od r. 401 dla następujących powodów: *a*) jest ona bezpośrednim dalszym ciągiem Historii Tucydidesa i niewątpliwie napisaną została z pomocą materyału, przez niego zebranego; *b*) taka praca dała się tylko wykonać w Atenach, gdzie Tucydides zmarł (Marcell. §. 32. Paus. I. 23, 9), a mogła *c*) być zrobioną tylko przed r. 394. W istocie pierwsze dwie księgi Helleników różnią się od następnych bezstronnością, po części przyjaznym usposobieniem dla Aten. To usposobienie znika po dekreście wygnania i pod wpływem przyjaźni z Agezylauszem. Jeżeli mimo to Roquette twierdzi (p. 56), że Hell. I—II. zostały napisane po r. 394 w Sparcie, a równocześnie podnosi ową różnicę (p. 53), uznawaną przez Niebuhra, Weil'a, Letronne itp., robi to dla bardzo wiotkiej hipotezy, że Tucydides zmarł pomiędzy r. 399—396. Przeciwnie, jeżeli zmarł niedługo po wojnie peloponeskiej (Letronne, Breitenbach), mógł Xenofont przed wyjazdem do Azji (r. 401) swoje dopełnienia wygodnie napisać. Uwaga Roquette'a (p. 55), że nie miał wtedy nawet 30 lat, nie warta zastanowienia, ani ta druga, że Cynegetyk napisany daleko gorszym stylem. Zobaczymy, że ten jest pierwszym, lecz jednym z dzieł późniejszych.

śliwych wodzów, którzy podczas burzy nie zdołali zebrać trupów i rozbitków. Dochodzi nawet przy śmierci Teramenesa do niezwykłej siły dramatycznej. Xenofont jest ciągle bezstronny; nie objawia żadnej niechęci do rodaków, która mu później tak bardzo zaszkodzić miała u potomnych.

W drugiej części (Ks. III—IV. 4), panuje ton zupełnie odmienny. Napisana znacznie później, prawdopodobnie po dojściu do skutku pokoju Antalecydasa, wychwala ona walki Spartanów zrazu przeciw Persom, potem przeciw Grekom, a przede wszystkim głosi wielkość Agezylausza. Autor tak dalece zostaje pod urokiem swego bohatera, że pochwała wszystko, co robi, wszystko co postanawia Sparta, nawet pokój obrzydliwy Antalecydasa, nawet nieludzkie zniszczenie Mantynei, a kończy rozdział trzeci piątej księgi taką pełną zadowolenia uwagą: „Lacedemończycy mieli wtedy położenie świetne. Tebańczycy i reszta Beocyan byli zupełnie pobici. Koryntyanie im oddani, Argiwczycy upokorzeni, Ateńczycy opuszczeni; oprócz tego ukarali swoich sprzymierzeńców niewiernych, a tak zdawało się, że założyły panowanie chlubne i zabezpieczone“<sup>1)</sup>. Nie da się zaprzeczyć, że w księgach tych Xenofont jest stronniczy, czasem niedokładny, a według nowożytnych pojęć, nawet niepatryotyczny, choć tutaj także, jako świadek naoczny wypadków w Azji, a niejednej akei w Grecyi, jest bardzo cennym źródłem. Trzecia nareszcie część (V.4—VII), pisana w późnej starości, słuszny podziw budzi świeżością opowiadania, dokładnością szczegółów, ciepłem uczuć. Prawda, że razi niesprawiedliwość dla Epaminondasa i Teb, ale za to autor, pogodzony z ojczyzną własną, nie ukrywa jej czynów chwalebnych, Lacedemończykom zaś nie szczędzi napomnień, ile razy nadarza się okazyja. Jeżeli się ma względ na autora naturę wskrósł subiektywną, której się nigdy pozbyć nie mógł, na nieszczęścia domowe, które spadły na niego w tych czasach, na późny wiek i trudność zbierania dokładnych

<sup>1)</sup> Poszczególne wydania Hellenikó w najlepsze są: Breitenbacha (Berlin, u Weidmanna), Bichsenschütza (Lipsk, u Teubnera), Zurborga i Grossera (Gotha, u Perthesa), Kurza (Monachium).

wiadomości o tak rozlicznych, wszystkie prawie powiaty Grecyi obejmujących wypadkach, nie można dosyć nachwalić się zalet tego pisma. Sprzysiężenie patryotów tebańskich i zdobycie Kadmei, charakterystyka młodego Kleonyma, ratującego za przyczyną Agezylausza swego ojca, wyprawy morskie Ifkratesa, bitwa pod Leuktrą, sprawy Jazona w Tesalii i zabójstwo Aleksandra z Fery, przepyszny opis wierności Fliazyczyków, mowa wspaniała ich posła do Ateńczyków, ostatni napad Epaminondasa na Peloponez, bitwa pod Mantineą, zostały nakreślone z taką żywością i siłą, że do prawdy nie czuć tam drżącej ręki starca. A jakie potężne światło historyozoficzne rozjaśnia upadek Sparty, gdy autor, przeczuwający niejako Bossueta lub Herdera, zaczyna (Ks. V. rozd. 4) od takiej głębokiej uwagi: „Można przytoczyć z dziejów Greków i barbarzyńców liczne wypadki, dowodzące, że bogowie mają na pieczy sprawiedliwych, a karzą bezbożnych.“ Nie można było surowiej potępić bezprawi lacedemońskich, ani znowu trafniej wyrazić boleści, trawiącej duszę tę helleńską, jak tem zakończeniem dzieła: „Po bitwie tej (Mantinejskiej), bardziej jeszcze, niż przedtem panują w całej Grecyi zamieszanie i niepokój.“ Rzeczywiście pod Mantineą zaczyna się konanie Grecyi. Xenofont nie miał odwagi pisać dalej jej dziejów, choć przeżył bitwę pamiętną o jakie sześć lat.

Do jego dzieł historycznych zaliczają się zwykle Agezylausz i dwie Rzeczypospolite, lacedemońska i ateńska. Tamten jest najdawniejszą biografią grecką, te pierwszymi politycznymi traktatami, jakie mamy, o dwóch najśłynniejszych konstytucyach greckich. Zachodzi jednak ta różnica, że „Rzeczpospolita Lacedemończyków“ opisuje główne jej urządzenia dokładnie i z niekłamanem uwielbieniem, a tylko na samym końcu ma kilka uwag krytycznych; przeciwnie „Rzeczpospolita Ateńczyków“ jest sprawozdaniem o jej wadach i niedostatkach, ułożonem dla nieprzyjaciół przez niechętnego jej polityka. Z tamtej mógł każdy Grek dowiedzieć się, jaką była konstytucya Likurga i jak funkcyonowała w szczegółach; z tej wynosił wyobrażenie o siłach, jakimi rozporządzało państwo ateńskie i o przyczynach rozkładu, jakie w sobie kryło. Opisu szczegółowego instytucyj tam nie masz, są tylko uwagi dorywcze,

pełne żółci, o położeniu niewolników i cudzoziemców, o niesprawiedliwym obchodzeniu się z sprzymierzeńcami, o wartości sił zbrojnych, lądowych i morskich, o powolności trybunałów i t. d. Pamflet ten nie może pochodzić od Xenofonta, bo był pisany w ciągu wojny peloponeskiej, kiedy Ateny stały jeszcze na czele licznej konfederacji. Dla biografii Xenofonta i dla zrozumienia jego stanowiska filozoficznego, kwestya autentyczności tego dziełka i dwóch poprzednich jest zresztą bardzo małej wagi <sup>1)</sup>.

- <sup>1)</sup> Starożytni wierzyli w autentyczność „Agezylausza“, dopiero Valkenaer, Lennep, Wytttenbach, Bernhardt, Sievers podnieśli mnóstwo zarzutów. Przeciw nim jednak wystąpili Weiske, Schneider, Dindorf, Delbrück, Manson, Kühn, Baumgarten. Zob. wydanie Heilanda: *Xenophontis Agesilaus cum adnotatione et prolegomenis de auctore et indole libri* (Lipsiae 1857) — który także za autentycznością się oświadcza. Zarzuty są bez wielkiego znaczenia, nawet te, które zestawil Roquette (p. 102—104). Jeżeli filologów razi nazwa *véos*, choć Agezylausz, gdy obejmował władzę, miał przeszło 40 lat, wolno bez ironii przypomnieć, że Xenofontowi dają 45 nawet 50 lat, choć także nazywa się *véos* lub *νεανίσκος* w Anabazie itd. Że niektóre ustępy dosłownie wyjęte są z Helleników, nawet K. O. Müllerowi nie wydaje się dostatecznym przeciw autentyczności dowodem, a niektóre różnice w stylu i poglądach, tłómaczą się, naszym zdaniem, bardzo łatwo tem, że „Agezylausz“ jest pochwałą, nie biografją, napisaną znacznie później, niż odnośne ustępy w Hell. III. 3 et 4. O wielkiej wartości literackiej dziełka zob. sąd Cycerona, niepośledniego znawcy (*ad famil. V. epist. 12, 7*) i wytrawnego Longina (*de sublim. p. 194 ed. Vaucher, Paris 1854*). Hipoteza Beckhousa, jakoby młodszy Xenofont, wnuk starszego, był autorem tego i kilku innych dzieł, przypisywanych jego dziadowi, jest zupełnie dowolna, bo nie wiemy na pewne, czy młodszy ten Xenofont istniał, ani czy co napisał.

„Rzeczpospolitę Lacedaemonczyków“ należy przeczytać w klasycznej edycji Haasego: *Xenophon de republica Lacedaemoniorum, emendavit et illustravit etc.* (Berolini 1833), gdzie także wyłożone są dowody za autentycznością. Powątpiewał o niej w starożytności Demetryusz z Magnezji, nie wiadomo dlaczego (Diog. Laërt. II. 6. §. 57), ale broni jej dostatecznie powaga Plutarcha (*Lycurg. c. 1*) i Longina (*de sublim. IV. 4*). Nowo-

Odmienne ma się rzecz z pisemkiem: „O podatkach“ Gdyby ta najdawniejsza rozprawa o skarbowości zajmowała się jedynie naprawą finansów ateńskich, nie mielibyśmy po-

żytni przeciwnicy, jak Manzo, Delbrück, Heyne, Ranke, Dindorf itd. nie przytoczyli ani jednego poważnego argumentu, a mają przeciw sobie nie tylko dość zgodne podanie starożytności, lecz takie fakta, jak zupełne podobieństwo stylu, znaną dla Sparty cześć Xenofonta, wyjątkową jego kompetencję do napisania takiej rzeczy itd. Czas zaś, w którym została napisana, da się w przybliżeniu oznaczyć zapomocą rozdz. I. 1, XIII. 2 et 6. Z pierwszego ustępu widać, że autor pisze po r. 404, bo Spartę nazywa najpotężniejszym i najslawniejszym miastem Grecyi; z drugiego, że wszędzie po miastach siedzą spartańscy harmostowie; z trzeciego, że tworzy się jakaś konfederacya, celem przeszkodzenia nowej hegemonii Lacedemończyków. Ponieważ prawnie hegemonia ich ustała z pokojem Antalecydasa (r. 387), a zawiązki nowej przeciw nim koalicji sięgają r. 383, gdy wyruszyli przeciw Olintowi i obsadzili Kadmeę tebańską, prawdopodobnie w tym roku lub w następnym została rzecz napisana. Dziwnem może się zdawać, że Arystoteles o niej nie wspomina, lecz ze wszystkich, którzy pisali o konstytucyi spartańskiej, wymienia tylko Tybrona (*Polit.* VII. 13, 11, p. 1333). Może Xenofonta miał na myśli, gdy gani bezwzględnych wielbicieli Sparty (*Polit.* IV. 1, 3. p. 1289). Tybrona zresztą, oprócz tej jednej wzmianki, zupełnie nieznamy. Czyby to był pseudonim, jak Temistogenes przy Anabazie?

„Rzeczpospolita Ateńczyków“ jest dzisiaj uważana powszechnie za najdawniejszy pomnik attyckiej prozy; według Kirchhoffa napisana w r. 424 (*Weber die Schrift vom Staat der Athener*, w Rozpr. berlińsk. Akad. Umiej. z r. 1874 i 1878), a wedle Schmidta nawet w r. 430 (*Memoire eines Oligarchen in Athen etc.* Jena 1876). Zob. także Boeckh: *Staatshaushaltung der Athener* Tom I, str. 432 (2-gie wyd.) oraz Lange: *De pristina libelli de rep. Athen. forma restituenda* (Lipsiae 1882). Wyznaję, że dowody przeciw autentyczności nie są tak silne, żeby zdołały usunąć wszelkie powątpiewanie na korzyść Xenofonta, który mógł napisać ten pamflet w latach 378—374, kiedy Ateny stały na czele nowej konfederacyi morskiej i pomagały Beotom przeciw Sparcie. Najpoprawniejszy tekst książeczki ogłosił Kirchhoff: *Xenophontis qui fertur libellus de republica Atheniensium etc.* Berolini 1881.

wodu do zatrzymywania się nad nią; ale fakt, że Xenofont ją napisał i sposób, jakim usiłował rozwiązać trudność, męczącą dziś, jak przed wiekami, zawiadowców skarbu publicznego, zasługują niewątpliwie na uwagę. Po nieszczęśliwej wojnie z sprzymierzeńcami (r. 358—355), skarb ateński był zupełnie pusty, a razem z ustaniem dochodów publicznych, znikał także dobrobyt prywatny. Większość drobnego mieszczaństwa, przywykła żyć kosztem państwa, pogrążoną została w nędzy. W takiej chwili krytycznej występuje Xenofont z swoim projektem. „Zawsze byłem przekonany, że jacy są naczelnicy, takie bywają i rzeczy - pospolite. Skoro jednak niektórzy rządcy ateńscy mówią, że wiedzą równie dobrze, jak inni ludzie, co jest sprawiedliwe, ale dla ubóstwa ludu zmuszeni byli postępować niesprawiedliwie z miastami sprzymierzonymi, postanowiłem zastanowić się, jakimi to środkami mogliby obywatele żyć z dochodów własnej ziemi, a to pono jest i najuczciwiej. Gdyby się to udało, znalazłoby się lekarstwo na ich ubóstwo (takie moje zdanie), ale co więcej, przestałoby być w podejrzeniu u reszty Greków“ <sup>1)</sup>. Po takim wstępie filozoficznym przechodzi autor bogactwa przyrodzone ojczyzny attyckiej. Wychwala klimat łagodny, żyzność ziemi, obfitość ryb w morzu. A w łonie ziemi kryją się niewyczerpane pokłady marmurów i srebra. Na tej fizykogeograficznej podstawie opiera się plan jego reform. Naprzód radzi przyciągać jak najwięcej cudzoziemców i ułatwiać im nabywanie gruntów w obrębie miasta <sup>2)</sup>, po czem spodziewa się znacznego przyrostu w dochodach, bo nowi półobywatele (*μειζοιστοι*) będą opłacali swoje podatki, a zostawiali dużo pieniędzy w kraju, bez pobierania jakichkolwiek emolumentów ze skarbu państwa. Także kupcom zagranicznym uprzyjemniać każe pobyt w mieście, przez hojną gościnność, łatwy wymiar sprawiedliwości, utrzymywanie dobrych sterników, budowę statków przewozowych i t. d. <sup>3)</sup>. Przeprowadzenie tych projektów jest łatwym, bo wystarcza na to, jak autor mówi, „kilka uchwał filantropijnych i nieco troskli-

<sup>1)</sup> *De vectigalibus, init.*

<sup>2)</sup> *ibid.* c. 2.

<sup>3)</sup> *ibid.* c. 3.

w ośei“<sup>1)</sup>). O wiele trudniejsze są dalsze projekta, po których mają obywatele spodziewać się gruntownej naprawy skarbu. Ma więc być zebrany kapitał narodowy zapomocą składek dobrowolnych, a nazwiska dawców z wyszczególnieniem sum, zostaną wyryte na tablicach, ku wieczystej pamiętce — honor tak wielki, że cudzoziemcy, miasta całe, królowie, książątka, satrapowie, niewątpliwie podpiszą znaczne sumy, byleby dostąpić tytułu „dobroczyńców miasta“<sup>2)</sup>). Za pieniądze te staną w Pireu nowe, przestworne hotele, bazy, magazyny wszelkiego rodzaju, nawet statki towarowe, główna zaś ich część pójdzie na rozszerzenie kopalni srebra. Tutaj wyobraźnia Xenofonta traci wszelką miarę. Przekonany, że pokłady kruszcowe w Laurium są niewyczerpane, tłómaczy rodakom, że nigdy nie będzie zanadto srebra na targu światowym. Może nastąpić hiperprodukcya miedzi, żelaza, płodów rolnych, ale nigdy srebra, bo im więcej go się posiada, tem więcej pragnie się go nabyć. W miarę, jak wzrasta dobrobyt, zwiększa się także używanie drogich kruszców, ale ta wedle Xenofonta zachodzi różnica, że złoto powszednieje i spada w cenie, srebro zaś nie tylko nie traci na wartości, lecz drożeje<sup>3)</sup>). Pomi- jam szczegóły reformy górniczej, podane przez autora, a podnoszę tylko korzyści, których spodziewa się po olbrzymiej spekulacyi. Są one doprawdy nieobliczone. Skarb państwa będzie miał poddostatkiem pieniędzy na wszystko. Uroczystości religijne będą obchodzone z dawnym blaskiem; kapłani, senatorowie, sędziowie, stan rycerski, otrzymają dawną płacę; nikt odtąd nie będzie cierpiał biedy, bo każdy, ubogi czy bogaty, dostanie pół drachmy dziennie, a nikt nie będzie ponosił ciężarów żadnych, bo wydatki na wojsko, flotę, instytucye publiczne, opędzane dawniej przez obywateli, teraz skarb publiczny weźmie na siebie<sup>4)</sup>). Nie wątpi zaś Xenofont, że tłumnie zgłoszą się akcyonaryusze, bo nie mogą korzystniej umieszczać swoich kapitałów. Bogaty bowiem, pobie-

1) *ibid.* c. 3. §. 6: δεῖ οὐδὲν ἀλλ' ἢ ψηφίσματα τε φιλόανθρωπα καὶ ἐπιμελείας.

2) *ibid.* c. 3. §. 11.

3) *ibid.* c. 4. §. 7—10.

4) *ibid.* c. 6.

rający, jak każdy inny, pół drachmy dziennie, może dochód ten (180 drachm rocznie) uważać za procent roczny z złożonego kapitału; jeżeli zatem podpisze 100 drachm, będzie miał olbrzymi procent, bo 180%, a jeżeli złoży 1000 drachm, będzie z nich miał 18%, co także jest nie złym interesem<sup>1)</sup>. Co do ostatniego punktu mogłoby zdawać się czytelnikom, nie znającym ówczesnych stosunków, że Xenofont żartował sobie z ateńskich kapitalistów, przedstawiając im taki interes jako wielce korzystny. Bo skoro każdy obywatel miał popierać pół drachmy dziennie, bez względu na sumę złożoną, wychodzili najlepiej ci, którzy nie dali, albo też dali jak najmniej. Jednakże w razie udania się tych projektów, odnosili bogaci bardzo dodatnie korzyści, bo na przypadek wojny, nie byłiby już pociągani do dźwigania nadzwyczajnych ciężarów, jak uzbrajanie statków, dostarczanie koni, pamiętanie o własnym rynsztunku i t. d., a podczas pokoju byłiby wolni od wystawiania chorów i podobnych wydatków na cele artystyczne i religijne<sup>2)</sup>. Mógł zatem Xenofont przypuszczać, że skromny żołąd roczny będzie im wydawał się nie złą dywidendą od podpisanej akcyi.

Wątpię, czy pomimo świetnych obietnic znalazł Xenofont choć jednego kapitalistę, ryzykującego pieniądze swoje na oczywistą zgubę. Po przeczytaniu jego projektu, powiedziano niewątpliwie, że zna się na koniach, psach, polowaniu, wojskowych sprawach, ale nie ma wyobrażenia o skarbowości. To też byłaby praca stracona, krytykować utopię, której ta jest najśłabsza strona, że nie liczy się z ludźmi. Podczas pewnej kłótni z Xenofontem, Chiryzof ze Sparty w te odezwał się słowa: „Słyszę, że wy Ateńczycy dzielni jesteście w okradaniu skarbu publicznego“<sup>3)</sup>. Łatwiej było znaleźć kapitały, niż ludzi rozumnych a uczciwych, którzy z należytem poświęceniem (oni także pobieraliby tylko pół drachmy dziennie) chcieliby i umieli prowadzić tak rozległe, zawikłane, męczące a niewdzięczne przedsięwzięcia, wystawione na złośliwą krytykę podejrzliwej demokracji. Gdyby

1) *ibid.* c. 3. §. 9—11.

2) Zob. *Oecon.* c. 2. §. 5—8.

3) *Anab.* IV. 6, 16.

ludzi takich istniała w Atenach wystarczająca liczba, za czasów Xenofonta, nie byłoby miasto zeszło do stanu poniżenia i ubóstwa, w którym on je widział w 355 r. A przy braku ludzi, nawet projekt najlepszy, nie potrafiłby uratować ginącego państwa.

Nie projekt zresztą zadziwia (zjawily się daleko fantastyczniejsze), lecz usposobienie duszy, w którym pisał go filozof. Czytelnik, który po Cyropedyi lub Ekonomiku lub Rzeczypospolitej Lacedemonczyków bierze do ręki rozprawkę „o dochodach,” znajduje się nagle w innej atmosferze, oddycha powietrzem nowem, odmiennem. Nie chce się wierzyć, że tensam pisarz dawniej uwielbiał rolnictwo, jako źródło dobroczynne enót wszelakich <sup>1)</sup>, a twarde Likurga prawa uważał za najlepszą konstytucyę polityczną <sup>2)</sup>, posiadanie pieniędzy za rzecz niepotrzebną, lub nawet szkodliwą <sup>3)</sup>, teraz zaś „bezpieczeństwo i chwałę“ miasta ojezystego <sup>4)</sup> opiera na bogactwach, zyskanych przez wyuzdaną spekulacyę. Jak Paryżanin za drugiego cesarstwa, tak on pragnie wzrostu olbrzymiego ludności miejskiej <sup>5)</sup>, a przede wszystkim podniesienia się ceny gruntów <sup>6)</sup>. Gdy to nastąpi, będzie miasto (tak autor zaręcza) nie tylko bogatszem, lecz i posłuszniejszym, karniejszem, nawet bitniejszym <sup>7)</sup>, a co ważniejsze i o co głównie autorowi chodzi, potrafi w wszystkich Ateńczyków wyżywić groszem publicznym <sup>8)</sup>.

Z rozlicznych utopij społeczno-politycznych, z którymi spotkać się nieraz przychodzi w ciągu dziejów filozofii, Xeno-

<sup>1)</sup> Oecon. 5.

<sup>2)</sup> Resp. Laced. 1.

<sup>3)</sup> *ibid.* 7. Por. Oecon. c. 1. §. 14.

<sup>4)</sup> De vectig. 6. §. 1: ἀσφαλέστερον δὲ οἰκήσομεν, ἐνκλιέστεροι δὲ ἐσόμεθα.

<sup>5)</sup> *ibid.* 4. §. 50: πολυάνθρωπος γένοιτο πόλις.

<sup>6)</sup> *ibid.*: „grunta miałyby tam (w okolicy kopalni) takąsamą wartość dla nabywców, jak w najbliższem sąsiedztwie miasta.“

<sup>7)</sup> *ibid.* §. 51: ἀλλὰ καὶ ἐνπειθεστέραν καὶ εὐτακτοτέραν καὶ εὐπολεμωτέραν γενέσθαι [sc. τὴν πόλιν].

<sup>8)</sup> *ibid.* c. 4. §. 33: πᾶσιν Ἀθηναίοις τροφὴν ἀπὸ κοινοῦ γενέσθαι.

fontowa najniemoralniejsza, bo każe obywatela karmić kosztem państwa a nie obowiązuje go do żadnej pracy. Tej ciężar przeciwnie spada na niewolników, którzy w kopalniach, warsztatach lub innych zakładach publicznych na to pracują, aby każdy Ateńczyk miał swoje trzy obole dziennie, mógł bez troski chodzić do teatru lub do odeonu, przysłuchiwać się w portyku jakiego gimnazyum rozprawom sofistów, podziwiać na rynku talent mowców, występujących z humanitarnymi projektami, albo też w Pireu nacieszyć się wielobarwnym tłumem cudzoziemców i setkami żagli, spieszących do portu, bo „i któż—pyta dumnie autor—nie potrzebuje miasta naszego, gdy zażywa pokoju?“<sup>1)</sup> Rzeczywiście potrzeba nieustającego pokoju, aby kwitnąć mogło takie Eldorado, bez obudzenia zazdrości u sąsiadów, a nawet cieszyć się ich sympatjami. To też pokój przedewszystkiem! Xenofont wynosi pod niebiosa jego błogie skutki, wylicza wszystkie korzyści materyalne, które on sprowadzi na Ateny.<sup>2)</sup> Jeżeli ta zmiana uczuć słusznie zadziwia w starym żołnierzu, należy jednak przyznać, że jest logiczną, bo najmniejsza chmurka na politycznym horyzoncie, rzuciłaby popłoch w tę naiwnie dobroduszną spekulację, polegającą na dwóch fikcyjach, że kopalnie attyckie są niewyczerpane i że wartość srebra nigdy się nie obniży. Ale nawet w pokoju mogła rzecz, na tak kruchych dźwigana podporach, runąć każdej chwili, ile razy niewolnik przypominał sobie, że jest człowiekiem. Jeżeli w naszych państwach, posiadających potężne i karne armie, bezrobocia wyrządzają olbrzymie szkody, to w zniewieściałych miastach greckich powstanie niewolników powodowało klęski nieobliczone. Prawda, że zwykły niewolnik ateński był łagodnego usposobienia i dobrem obejściem panów pogodził się ze swoim losem, ale dola robotnika w kopalniach była nierównie cięższą. Trzymany daleko od łaskawego oblicza pańskiego, wyzyskiwany przez dozorców lub dzierżawców, źle karmiony, okrutnie karany, najczęściej pod ziemią, co dla ludzi południowych jest może największem umartwieniem, często dziczał i zrywał swoje pęta, szerząc

<sup>1)</sup> *ibid.* c. 5 §. 3.

<sup>2)</sup> Zob. cały rozdz. 5.

niepojęte spustoszenie i ruiny. „Gdy przedsiębiorcy kopalni w Attyce—powiada De Pauw—w sposób nieludzki obchodzili się z swymi niewolnikami, przyszła na nich kolej okrutnego odwetu. Mniej więcej sto lat przed naszą erą, nieszczęśliwi ci sprzyśleli się między sobą, zbuntowali się przeciw panom, wyszli uzbrojeni z łona ziemi, napełnili wszystko pożogą i mordem, wzięli szturmem Sunium, zanieśli spustoszenie do pobliskich miasteczek i do tego stopnia zniszczyli całe wybrzeże morskie Attyki, że nie zdołało więcej się podnieść i że przestano zupełnie używać owych kopalni. Taki był koniec cheiwości i taki koniec tyranii“<sup>1)</sup>.

Milego doznaje wrażenia czytelnik, gdy po rozprawce „o dochodach“<sup>2)</sup>, bierze do rąk pisma o polowaniu, koniach i konnej jeździe. W nich na każdej stronie odzywa się znawca doświadczony, którego trafne uwagi jeszcze dzisiaj, po dwudziestu kilku wiekach, mają wartość niepoślednią. Cynegetyk to najdawniejsza i najlepsza książka myśliwska po grecku; naśladowali ją Arryan i rzekomy Oppian, ale nie przewyższyli. Po cokolwiek szumnym wstę-

<sup>1)</sup> *Recherches philosophiques sur les Grecs*. Tom I, p. 51.

<sup>2)</sup> Najnowsze wydania Zurborga: *De re ditibus libellus etc.* (Berlin 1874) i Ludw. Dindorfa w *Xenophontis scripta minora*. (Lipsiae 1888 Teubner). Powątpiewania Onkena i kilku innych o autentyczności dziełka rozproszył Zurborg: *De Xenophontis libello qui Πόροι inscribitur*. Berolini 1874; zostało ono napisanem w r. 355, zaraz po ukończonej wojnie ze sprzymierzeńcami (Boeckh, Krüger, Schneider, Bergk, Cobet, Schaefer, Curtius), jak widać z rozd. 4. §. 25 (wojna decelejska wspomniana, jako rzecz bardzo dawna) i z rozd. 5, §. 6, gdzie mowa o pierwszym odpadnięciu sprzymierzeńców podczas wojny peloponeskiej, o przywróceniu ateńskiej hegemonii w r. 378 i nowej tejże utracie podczas wojny r. 357—355. Ta ostatnia wojna musiała być co dopiero ukończoną (rozd. 4, §. 40: τὸν νῦν πόλεμον), Ateny zaś używały chwilowego pokoju (c. 4. §. 40; 5. §. 12; 4 §. 4 et 43), co wszystko przypada na r. 355 lub 354. Przypuszczenie Hagen'a, że książeczka napisana w r. 346, po ukończeniu świętej wojny focyjskiej, kiedy Xenofont już nie żył, oraz niepotrzebną hipotezę Beckhausa, że autorem jest jakiś Xenofont młodszy, zbija obszernie Roquette: *De Xenophontis vita* p. 92—94.

pie o zacności myśliwstwa, które jako wynalazek bogów, od nich dostało się Chironowi, a od niego znowu najznakomitszym bohaterom Grecyi, dowiadujemy się, jakie powinny być warunki dobrego myśliwego <sup>1)</sup>, jakie sieci, psy i tychże tresowanie <sup>2)</sup>. Następuje prześliczna psychologia zająca, który ze wszystkich gatunków zwierzyny najwięcej przypadł Xenofontowi do serca <sup>3)</sup>. Jeleń i dzik mają swoje osobne, bardzo zajmujące rozdziały <sup>4)</sup>, pełne praktycznych przepisów, a dwa ostatnie poświęcone są wychwalaniu myśliwstwa i jego obronie od niewczesnych lub nieszczerých zarzutów. „Przodkowie nasi wiedzieli, że łowom zawdzięczali swoją wyższość nad nieprzyjaciołmi i dlatego robili z nich przedmiot nauki dla młodzieży... Spozrzegli bowiem, że ta jedna zabawa przynosi młodym największe korzyści, bo wyrabia w nich wstrzeźliwość, sprawiedliwość i poczucie rzeczywistości. Rozumieli, że jej zawdzięczają swoje powodzenia na wojnie i że nie odrywa ona młodych od szlachetnych studyów, jak to czynią inne brzydkie rozkosze, których nie potrzeba uczyć. Ci, którzy lubią łowy, wychodzą na dobrych żołnierzy i dowódców, bo najlepsi są ci, którzy przez znoszenie trudów

<sup>1)</sup> Rozd. 2: „Polujący sieciami (ten rodzaj myśliwstwa przeważnie opisuje autor) powinien kochać swą sztukę i mówić po grecku (dla wykluczenia cudzoziemców i niewolników), liczyć około 20 lat, mieć ciało zwinne, silne i ducha mężnego, aby w ten sposób znosił trudy i cieszył się swym dziełem.“

<sup>2)</sup> Cyneg. c. 2—4. Ciekawy opis dwóch ras psich, przez Greków do polowania używanych, kastorydów (pochodzących z psiarni półbożka Kastora) i alopekidów (mieszkańców z lisa). Warto porównać z charakterystyką dobrego psa myśliwskiego u Xenofonta (c. 4) rozdział „O znakach, po których można poznać dobrego i pięknego psa“ w dziele *La Vénerie de Jacques de Fouilloux, seigneur dudit lieu etc.* (Paris 1640, Pierre Durand), oraz Jana Ostroroga: *Myślistwo z ogary* (Kraków, 1618), zwłaszcza księgi wtóre: „Mają psi wszelacy pięcioro mistrstwo albo rzemiosło, po którym je przezywamy“ i t. d. i rozdział: „Wady też we psiech a osobliwie pięcioro“ i t. d.

<sup>3)</sup> Cyneg. c. 5. Cały ten rozdział należy do piękniejszych zoologicznych spostrzeżeń.

<sup>4)</sup> *Ibid.* c. 9 et 10.

oddalają od duszy i ciała hańbiące nałogi, a nabywają miłość enoty; oni nigdy nie dopuszczają, żeby wyrządzono krzywdę ich miastu lub szkodę ich krajowi“<sup>1)</sup>).

Daje potem odprawę tym, którzy po zbyt niem zamiłowaniu w łowach lękają się zubożenia dla spraw domowych, a kończy rozdział przedostatni temi pięknemi słowy: „Dawni uczniowie Chirona, których pamięć wznowilem, młodość swoją zaczynali od myśliwstwa, a nauczali się licznych i pięknych rzeczy. Za ich pomocą posiadli ową wielką enotę, którą dziś jeszcze w nich podziwiamy. Oczywiście jest, że wszyscy ją kochają, ale gdy wypada przez trud ją sobie przyswoić, wielu ją porzuca. Niepewne bowiem jej nabywanie, a pewne są trudy, które jej towarzyszą. Zapewne, gdyby miała ciało widzialne, ludzie mniejby może zaniedbywali enotę, wiedząc, że jak sama dla nich jest widzialną, tak oni także przez nią mogą być widziani. Kto bowiem jest pod okiem kochanka, stawa się lepszym i nie robi brzydkiego lub złego, z obawy, by snąć przez niego nie został dostrzeżonym. Ale gdy ludzie mniemają, że enota na nich nie patrzy, czynią jawnie wiele złych i brzydkich rzeczy, sami jej nie widząc. Ona jednak wszędzie jest obecną, dlatego, że nieśmiertelna, i wynagradza dobrych a karze złych. Gdyby więc wiedzieli, że ona na nich ma oczy otwarte, kwapiliby się ku trudom i ćwiczeniom, których ostatnim celem jest jej nabycie, a tak przywłaszczyliby ją sobie“<sup>2)</sup>).

Ostatni rozdział książeczki, może najciekawszy. Autor zwykle jak najrzadziej o sobie wspomina i tyle tylko, ile potrzeba do zrozumienia ciągłości opowiadania; ale tutaj nagle otwiera duszę swoją, usprawiedliwia stanowisko, zajęte wobec różnych szkół filozoficznych i literackich, broni metody swojej pisarskiej i postępowania z młodymi. „Podziwiam tak zwanych sofistów, którzy po większej części mówią, że wiedzą młodych do enoty, a prowadzą ich przeciwnie. Nie spotkałem bowiem dotąd nikogo, któregooby sofiści dzisiejsi zrobili dobrym człowiekiem, ani nie ogłosili żadnej książki, któraby czytelnika zrobiła koniecznie dobrym. Przeciwnie piszą mnó-

<sup>1)</sup> *ibid.* c. 12. §. 6—9.

<sup>2)</sup> *Cyneg.* c. 12. § 18—22.

stwo rzeczy, które dla młodych są czezą zabawką, bez żadnej wzmianki o cnocie. Marnują także czas tych, którzy się spodziewali czegoś od nich nauczyć, odcinając ich od rzeczy korzystnych, a ucząc tylko złych. Silnie przeto wyrzucam im takie zdrożności, a także i to, że w pismach swoich uganniają się za słowami, a nie dbają o myśli porządne, któreby młodzież wkładały do cnoty. Ja wprawdzie nieuczonym jestem człowiekiem, ale wiem, że najlepiej uczyć się od natury, jak być dobrym; potem od tych, którzy rzeczywiście wiedzą coś dobrego; nie zaś szukać wiedzy u tych, którzy umieją tylko zwodzić. Styl mój może pozbawiony jest sofistycznych ozdób, ani ich nie szukam; lecz staram się to powiedzieć, co potrzebnem jest wiedzieć tym, którzy chcą przez dobre wychowanie osiąść cnotę. Słowa bowiem nie są zdolne wychować, lecz myśli, jeśli są dobre<sup>1)</sup>.

Ustęp ten pod niejednym względem ciekawy. Naprzód dlatego, że autor się broni. Ale przeciw komu? Nazywa siebie człowiekiem nieuczonym, którego styl nie posiada wdzięków sofistycznych. Widocznie zaczepiono go i silnie, skoro wraca raz jeszcze do tego zarzutu: „Wiem dobrze, że oni piszą pięknie i metodycznie, a łatwo im przychodzi, zarzucać mi pospiech i brak porządku. Ale ja tak sobie piszę, byleby wyrazić się słusznie i wychować ludzi mądrych i dobrych, nie zaś sofistów żadnych. Nie pragnę bowiem, aby pisma moje wydawały się pożytecznemi, lecz aby niemi były i zachowały nazawsze swoją wartość<sup>2)</sup>. Tak mało ocalało z ówczesnej literatury polemicznej, że nadaremny trud, chcieć wysledzić, kto z literatów ateńskich lub koryneckich tak ostro zaczął starego żołnierza<sup>3)</sup>. Był

<sup>1)</sup> Cyneg. c. 13. §. 1—5.

<sup>2)</sup> Cyneg. c. 13. §. 7: *ἴνα ἀνεξέλεγκτα ἦ εἰς ἀεί* (dosłownie: niezbite na zawsze).

<sup>3)</sup> Teichmüllera hipoteza, że to zrobił Izokrates w mo-  
wie *κατὰ τῶν σοφιστῶν* (około r. 390), obrażony przez  
Xenofonta pamiętniki o Sokratesie i że Cyne-  
getyk odpowiada na jego krytykę (w *Liter. Fehden etc.*  
Breslau 1818, p. 85—87), właściwie nie opiera się na ni-  
czem, bo a) nie wiadomo, czy „Pamiętniki“ były już wtedy  
ogłoszone; b) nie zawierały niczego, coby mogło urazić

to niewątpliwie sofista jaki lub cała nawet klika, patrząca zazdrośnie na rosnącą jego sławę autorską. To też przeciw sofistom w ogóle, z tąsamą, jak Platon, występuje stanowczością. Nazywa ich ludźmi, którzy dowcipkują w słowach, nie dbając o myśli<sup>1)</sup>, mędrkami, którzy mówią na to, aby zwodzić, a piszą dla zysku, nikomu zaś nie przynoszą korzyści. „Nie było między nimi ani nie masz mędrca (σοφός), lecz każdemu wystarcza, że nazywa się sofistą, choć to wyraz hańbiący u ludzi dobrze myślących<sup>2)</sup>).

Przekonanie to, wypowiedziane u końca długiej kariery autorskiej, bardzo cenne, bo dowodzi, że po za Atenami takiesame panowało zdanie o sofistach, jak w dyalogach Platona. Jeżeli Grote tego ostatniego obwinia, że on pierwszy nadał wyrazowi niegdyś czcigodnemu nowe, niezwykle znaczenie, to sam przykład Xenofonta wystarcza na obalenie niesłusznego zarzutu. Pisarz Cynegetyku rozwijał się samodzielnie, po za wpływem Platona; jeżeli przeczytał który z jego dyalogów, to tak późno, że ani poglądów swoich, ani sposobu mówienia nie zmienił<sup>3)</sup>; ale tradycye Sokratesa, pamięć tego, co widział i słyszał na około swego mistrza, zdrowy rozsądek i delikatne sumienie, ustaliły w nim powoli takisam sąd o sofistach, jaki napoty-

---

mówcę; c) nie zachodziło żadne literackie współzawodnictwo pomiędzy profesorem wymowy a wygnańcem, przebywającym w obozie Agezylausza; d) przy schyłku życia, kiedy pisał swój Cynegetyk, pozostawał Xenofont w najlepszych stosunkach z Izokratesem, autorem mowy pochwalnej na cześć jego syna Gryllusa.

1) Cyneget. c. 13. §. 6: *ὅτι ἐν τοῖς ὀνόμασι σοφίζονται καὶ οὐκ ἐν τοῖς νοήμασιν.*

2) Cyneget. c. 13. §. 8.

3) Wszystko, co Teichmüller mówi o polemice Platona z Xenofontem, jest, jak poniżej przekonamy się, pozbawionem podstawy. Alluzya do platońskiego *Fedra*, którą znalazł Kaibel (*Xenophons Kynegetikos* w czasop. *Hermes*. Tom XXV. p. 585) jest arcywątpliwą; taksamo alluzye do mowy Izokratesa *περὶ ἀριδόσεως*. Mowa ta pochodzi z r. 353, kiedy Xenofont może już nie żył. Zresztą w Cynegetyku nie ma żadnej myśli, któraby nie znalazła się w podobnej formie w innych pismach Xenofonta.

kamy u Platona. A także to godne uwagi, że do końca życia, choć stronił od metafizyki a dyalektyką się nie zajmował, uważał za święty obowiązek swój, nawet w piśmie o polowaniu, bronić interesów filozofii przeciw szalbierstwu sofistów. „Radzę więc wystrzegać się nauk sofistów, a nie lekceważyć twierdzeń filozofów, bo sofiści polują na bogatych i młodych, filozofowie zaś są przystępni i przyjacielscy dla wszystkich, a nie miarkują swego szacunku wedle dobrej lub złej fortuny człowieka“<sup>1)</sup>. Nie ulega wątpliwości, że przez filozofów rozumie autor siebie i wszystkich prawdziwych uczniów Sokratesa—przez sofistów tych, z którymi walczył mistrz jego przez życie całe, a których plemię nie wyginęło jeszcze, kiedy Xenofont zstępuje do grobu<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Cyneg. c. 13. §. 9.

<sup>2)</sup> Autentyczność Cynegetyka (*Κυνηγετικός*) we wszystkich jego częściach jest dzisiaj dość powszechnie uznawaną. Przeciwnikiem był niegdyś Valkenaër, a dzisiaj Sittl, Seymour, i kilku nowszych. (Zob. jednak Kaibela artykuł w *Hermes* XXV. p. 582). Ale wielka panuje różnica zdań co do jego daty. Dittenberger i Roquette np. mają go za pierwszą pracę Xenofonta, ponieważ nie zawiera ani jednego *μήν* ani *ῥοῦν* ani *τοιαροῦν* i t. d. (Roquette obliczył nawet, że jest w nim 535 δὲ czyli 20 na jedną stronę, gdy przeciwnie w innych pismach Xenofonta przypada ich tylko 10 lub 13 na stronę, a w dialogach nawet 8 lub 9!). Heitz i Christ także sądzą, że to utwór młodociany, dla stylu niewprawnego; Schneider, Nitsche, Linck odnoszą go do pobytu w Scyllusie (p. r. 387), kiedy autor wiele polował. Tylko Kaibel ogłosił go za produkt starości (*Hermes*. Tom XXV, p. 581 i nast.), w czem ma niewątpliwie słuszność, choć niektóre argumenta jego są bardzo słabe, zwłaszcza domniemanie nadsładowanie Izokratesa. Xenofont wyraźnie mówi, że pisze dla młodych (c. 1. §. 18: *παραινῶ τοῖς νέοις*; c. 13. §. 17: *τοῖς νέοις*), a w dwóch ostatnich rozdziałach występuje jako autor, który dużo napisał i nieraz był zaczepiany. Zarzut Roquette, że tylko zwierzyną attyką zajmuje się, a liczne pomija bestye, widziane w Azji (w krótkim rozdz. 11-ym jest tylko pobieźna wzmianka o polowaniu na lwy, lamparty, rysie, pantery i niedźwiedzie) można zbyć tą prostą uwagą, że książka przeznaczona jest dla młodzieży greckiej, a ta przedewszystkiem zaprawiała się na zajęcach, jeleniach i dzikach. W te właśnie gatunki

Dwie książeczki „Dowódzca konnicy“ (*Ἱππορχικός*) i „Konna jazda“ (*περὶ ἵππιξιῆς*) należą do najcenniejszych zabytków greckiej literatury, bo wyjaśniają mnóstwo szczegółów, skądinąd nieznanych, czy wojskowej czy jezdzieckiej sztuki. Hipparchik jest najdawniejszą instrukcją kawalerii i daje nam pojęcie dokładne o stanie tej gałęzi wojska pod koniec IV stulecia w Atenach. Napisany w czasach przymierza ze Spartą i obawy przed napadem tebańskim (r. 363)<sup>1)</sup>, krótko przed bitwą pod Mantyneą, podaje rady praktyczne, ku podniesieniu nielicznej i podupadłej jazdy ojezystej. Podczas wyprawy Cyrusa, na wielkich równinach Mezopotamii okazało się wielkie jej znaczenie, zwłaszcza pod koniec bitwy; jeżeli Grecy uskuteczniili szczęśliwie pamiętny swój odwrót, było to po części zasługą konnicy, którą Xenofont, zaraz po objęciu komendy, stworzył z piechurów, umięających jako tako siedzieć na koniu<sup>2)</sup>. Jeszcze więcej nauczył się ją cenić podczas szybkich kampanij Agezylausza, i wszelkiej perswazyi użył, aby skłonić Spartę do zreformowania tego gatunku armii. W pismach swoich chętnie o nim rozprawia, a „Rotmistrz“ jest jakoby pamiętnik starego kawalerzysty, w którym streścił bogate doświadczenie długiej i chlubnej służby wojskowej. Jak Froissart kronikę swoją od modlitwy do Stwórcy, tak sędziwy wojak zaczyna od tego, że każe dowódcy przedewszystkiem pamiętać o bogach. „Naprzód powinieneś<sup>3)</sup> ofiary składać bogom i prosić, aby podczas twego dowództwa dawali ci zawsze to myśleć, mó-

---

zwierzyny obfitowały okolice Scyllusu, jak wiemy z Anabazy i z Pauzanasza; prawdopodobnie tam dopiero zebrał Xenofont swoje cenne doświadczenia, bo w Attyce mógł chyba polować pomiędzy r. 404—401. Utyskiwania narzeczcie na niezgrabność stylu są zupełnie nieuzasadnione. (Zob. wspomniany artykuł Kaibela w *Hermes*. Tom XXV, str. 582). Przekład polski pisemka przez Ant. Bronikowskiego, mało dzisiaj znany, ukazał się w r. 1860 w „Dodatku“ styczniowym do *Czasu*.

<sup>1)</sup> Wynika to z rozdz. 7, 3 i 9, 4.

<sup>2)</sup> *Anab.* III. 3, 12—20.

<sup>3)</sup> Dziełko było prawdopodobnie napisane dla Kefizodora, który dowodził jazdą ateńską pod Mantyneą. Zob. *Krügera Histor. phil. Studien*, II, str. 272 i następna.

wie i czynić, co im jest przyjemne, a co tobie, przyjacielom i miastu wyjść może na miłość, sławę i pożytek. Zjednawszy sobie przychylność bogów, odbądź przegląd twojej konnicy i t. d.“<sup>1)</sup>. Ta cześć dla bogów przenika całe dziełko ku zgorszeniu niektórych filologów<sup>2)</sup>, którzy widocznie nie zrozumieli, że karnośći wojskowej odnowić nie można, bez spotęgowania uczucia religijnego. Starożytny obywatel bił się za dom i za świątynię. To też przewidując zarzut zbytnej pobożności kończy on dziełko w ten sposób: „Jeżeli kto dziwi się, że tyle razy napisałem słowa „z pomocą Boga“ (*σὺν θεῷ πράττειν*), to niechaj wie, że gdyby znalazł się często w niebezpieczeństwie, mniej by się dziwował; niech także zważy, że na wojnie przeciwnicy sobie nawzajem robią zasadzki, a rzadko wiedzą, jaki będzie ich wynik. W takich więc wypadkach nie można nikogo lepiej się poradzić, prócz bogów, bo ci wszystko wiedzą i komu chcą, objawiają za pomocą ofiar, ptaków, głosów i snów. Oczywiście chętniej używają rad swoich tym, którzy nietylko w potrzebie ich się pytają, co czynić mają, lecz także w powodzeniu wedle możliwości winną cześć im wyrządzają“<sup>3)</sup>.

Hippika czyli „Sztuka jeździecka“ napisana z tem samem co Hipparchik doświadczeniem, ale zachowała większą aktualność. Jeżeli rola konnicy, uzbrojenie, sposób walki znacznie się zmieniły w nowożytnej wojskowości, to sztuka obchodzenia się z koniem, siedzenia na nim, chowania go, pozostała w głównych częściach tasama. To tłumaczy, dlaczego „Rotmistrz“ dla naszych kawalerzystów mało jest przydatny, przeciwnie Hippika wedle znawców dziś jeszcze z wielkim pożytkiem się czyta<sup>4)</sup>. A jest to naj-

<sup>1)</sup> Hipparch. c. I. §. 1.

<sup>2)</sup> Christ: „pobożne i fachowe przepisy do naprawy jazdy ateńskiej.“ (*Gesch. der griech. Litt.* p. 275).

<sup>3)</sup> Hipparch. c. 9. §. 8—9.

<sup>4)</sup> Zob. słynną publikację hr. Savary de Lancosme-Brèves: *Guide de l'ami du cheval* (Paris. 1855. Tom I), który nieraz z podziwem mówi o naszym autorze. Z Polaków, którzy pisali o koniach, pierwszy hr. Maryan Czapski dwa dziełka Xenofonta należycie ocenił, w swojej „Historji powszechnej konia.“ Tom I. str.

dawniejsza książka podręczna, bo Symona dziełko, na którym ona polega <sup>1)</sup>, przepadło, z wyjątkiem nielicznych ułamków <sup>2)</sup>. Napisał Xenofont swoją pracę w późnym wieku <sup>3)</sup>, a jak w Hipparchiku ma głównie na oku obowiązki dowódcy, tak tutaj sposoby nabywania i ujeżdżania konia. Zaczyna od kupna żrebca i wyklada szczegółowo jego tressurę; daje cenne rady, co do nabywania koni już ujeżdżonych; rozprawia o stajni i strawie końskiej, o obowiązkach masztalerza, o siedzeniu na koniu i ćwiczeniach w maneżu, o skakaniu przez rowy, o małym i wielkim galopie, z góry i pod górę (kluska nie używano dla braku strzemion), o przygotowaniach wojennych, wędzidlach, munsztukach, trzymaniu cugli, pochodach uroczystych, nareszcie o uzbrojeniu jeźdźca. Wszystko to trafne, zastosowane do potrzeb miejscowych, oparte na znajomości psychologicznej zwierzęcia, a przedstawione z tak żywą dokładnością, jak gdyby niektóre z tych

---

123—130. Najdawniejsza nasza „Hippika to jest o koniach księgi.“ (W Krakowie r. 1647) została napisaną przez Dorohostajskiego, bez znajomości Xenofonta, z niemalą szkodą przedmiotu.

- 1) Hippica c. 1. §. 1: „Napisał książkę o sztuce jeździeckiej także Symon (*Σίμων*), który w Atenach przed Eleuzynium ustawił konia spiżowego, a na jego podstawie kazał wyrzeźbić swoje czyny. Otóż zdania, które znalazłem u niego, zgodne z mojem zapatrywaniem, pomieściłem w mojej pracy, i chętnie podaję przyjacielom, bo tuszę sobie, że większą sobie wiarę zjednam, gdy tak znakomity znawca koni tosamo, co ja, utrzymuje. Co on zaś opuścił, starać się będę uzupełnić.“
- 2) Zob. Fr. Blass: *Simonis de re equestri libri fragm.* w dziele zbiorowem: *Lib. miscel. ed. a societ. philol.* Bonnae, 1863.
- 3) Hippica 1. §. 1: „Gdy przez długą praktykę konnej jazdy nabraliśmy przekonania, że znamy się na tej sztuce, pragniemy także młodszym przyjacielom naszym pokazać, jak wedle naszego mniemania można najlepiej obchodzić się z koniem.“ Ponieważ Hipparchik najrychlej został napisany w r. 363, a Hippika dopiero po nim (zob. rozd. XII. 14: „Takie dla zwyczajnego jeźdźcy napisaliśmy rady, nauki i ćwiczenia, co zaś dowódcy konnicy przystoi wiedzieć i czynić, wyłożyliśmy w innej książce“), miał autor jakie 68 lat, gdy go pisał.

rozdziałów miały służyć za komentarz do nieśmiertelnego fryzu Fidyaszowego, gdzie na tyłach panatenejskiej processyi, parskająca, niecierpliwa toczy się fala dziarskich koni, o szerokich czolach i piersiach, krótkich i muskularnych zagięciach szyi, suchych, silnych nogach, z grzywami w szczotkę strzyżonemi, z długimi ogonami, które igrają z wiatrem— a na nich młodzież, piękna jak półbogi, siedząca z wdziękiem niewypowiedzianym, lekką a pewną dłonią przymuszająca ogniste porywy rumaków do regularnego rytmu uroczystego, krótkiego galopu <sup>1)</sup>).

Zatrzymałem się dłużej nad pracami historycznemi i technicznemi Xenofonta, bo w nich także dużo znaleźć można pięknych, etycznych poglądów, a potem nie masz w języku naszym poważnej historii literatury greckiej, do której mógłbym odsyłać po dalsze szczegóły czytelnika, pragnącego poznać w całości wszechstronną piśmienność ucznia Sokratesowego. Oczywiście w daleko wyższym stopniu powinny nas zająć te dzieła, któremi wzbogacił przedewszystkiem etykę i politykę, a nieraz mimochodem innym gałęziom wiedzy filozoficznej przysporzył niejedną myśl nową i głęboką. Z problemów politycznych był i pozostanie najważniejszym stosunek władzy do poddanych. Xenofont zajmował się nim od młodości, a znajomość zarówno Grecyi, jak Persyi, dawała mu możność traktowania go z różnych punktów widzenia, sposobem ujemnym i dodatnim. Grek rozumiał, że wolno tylko rządzić chętnymi <sup>2)</sup>, a to za najwyższe, prawie boskie szczęście uważał; panować zaś nad niechętnymi, piętnował mianem tyranii, która sama w sobie mieściła karę najsroższą, bo skazywała jej wykonawcę na męki łącie piekielne <sup>3)</sup>. Otóż problem tak żywotny dla greckich obywateli, przechodzących często z wyuzdanej anarchii pod jarzmo dzikiego despotyzmu, czy małej liczby oligarchów czy samozwańczego jedynowładzcy, wyłożył Xenofont w Hieronie i Cyropedyi, aby na tle zmyślonej historii

1) Zob. oba dziełka w najnowszym wydaniu Lud. Dindorfa: *Xenophontis scripta minora* (Lipsiae 1888, Teubner).

2) Xenoph. Oecon. c. 21. §. 12: τὸ ἐθελότων ἄρχεῖν.

3) *Ibid.*: τὸ δὲ ἀκούτων τυραννέειν etc.

okazać złe skutki tyranii, błogie zaś owoce patryarchalnej monarchii.

„Hieron“ to krótki dyalog pomiędzy Symonidesem poetą a Hieronem, który za czasów Xerxesa po bracie Gelonie odziedziczył potężne państwo Syrakusańskie. Opiekun sztuk pięknych i przyjaciel poetów, zapraszał ich do swojej stolicy i cieszył się, że Pindar, Symonides, Eschyl, Bakchylides używali mu blasku swojej muzy. Pomimo to wiódł życie przygnębione, pełne obaw, niespokojne, a charakter jego stawał się z dniem każdym więcej ponurym i okrutnym. Pewnego razu zapytał go Symonides, czy teraz na tronie czuje się szczęśliwszym, czy też niegdyś, gdy jeszcze był człowiekiem prywatnym<sup>1)</sup>. Na to Hieron: „Wiedz dobrze, Symonidesie, że królowie (*τύραννοι*) daleko mniej mają uciech, niż ludzie zwyczajni, którzy żyją w skromnym dostatku, a daleko więcej i częściej wystawieni są na cierpienia<sup>2)</sup>. Gdy to pocie wydawało się nieprawdopodobnem, przechodzi z nim król po kolei wszystkie przyjemności zmysłowe, a przy każdej pokazuje, że nierównie lepsze jest położenie poddanych, niż panującego. Wzrok np. dostarcza licznych i szlachetnych wrażeń, ale cóż z tego, kiedy panujący ich rzadko doznaje, nie mogąc ani bezpiecznie podróżować, ani chodzić do teatru, ani uczestniczyć w wielkich uroczystościach ludowych; zawsze lęka się zasadzek i musi najczęściej prowadzić życie zamknięte. Podobnież ma się ze zmysłem słuchu, bo chociaż wiele pochwał obija się o jego uszy, a nigdy żadna nagana, to jednak ciągły brak krytyki nie sprawia przyjemności, zwłaszcza gdy pod milczeniem ukrywa się głęboka nienawiść, a pochwały są wstrętne, bo nieszczerze. Ma wprawdzie despota lepszą kuchnię i droższe perfumy, ale inni z tąsamą lub większą przyjemnością pożywają skromne potrawy, byleby zdrowe, a perfumy (o które tak dbali Grecy) więcej robią przyjemności tym, którzy przychodzą do pałacu, niż samemu właścicielowi.

Gdy na to wszystko zgodzili się król i jego przyjaciel,

<sup>1)</sup> Hier. c. 1. §. 1.

<sup>2)</sup> *ibid.* c. 1. §. 8.

pozostała jeszcze kwestya miłosnych rozkoszy. Przypuszcza Symonides, że w nich przynajmniej każdy panujący posiada niewyczerpane źródło najwyższego szczęścia, bo wszystko, co najpiękniejsze, jest lub być może na jego zawołanie. Otóż na tym także punkcie (rzecze Hieron) jesteśmy w niekorzystniejszym położeniu od naszych poddanych, bo miłość i przyjaźń wprawiają w zachwyt, gdy są wzajemne, ale przemocą nie można uczuć tych zdobywać, a gdy czasem kto dobrowolnie je nam objawia, nie mamy prawa wierzyć w ich szczerłość. Wszystkie zamachy na życie królów pochodziły od osób, które zdawały się być do nich przywiązane <sup>1)</sup>).

Nie można dalej posunąć pesymizmu—a jednak Symonides nie daje tezy swojej za przegraną. „W tem przewyższacie ludzi prywatnych, że możecie powziąć wielkie zamiary i zaraz je skutecznic, że mając pieniędzy poddostatkiem, nabywacie najlepsze konie, najpiękniejsze zbroje, najbogatsze stroje dla waszych kobiet, najwspanialsze pałace, napełnione najdroższym sprzętem, sługi najliczniejsze i najzdolniejsze; nareszcie więcej od kogokolwiek możecie szkodzić nieprzyjaciółom, a dobrze czynić przyjaciołom <sup>2)</sup>.“—„Tak rozumieją tłumy, woła Hieron, bo sądzą wedle pozorów; ale że taki mądry człowiek, jak ty, Symonidesie, nie widzi prawdy, temu ogromnie się dziwię. Przekonałem się, że samowładzca zawsze nieszczęśliwy, bo wielkich dóbr mało używa, a wielkich nieszczęść całe brzemie dźwiga. Czy pokój, czy wojna, on zawsze w niebezpieczeństwie, bo zawsze otaczany strażą; zawsze w każdym obywatelu przeczuwa nieprzyjaciela, a mścić się nie może, by snąć nie osłabić swego państwa. Nie ma on szczerych przyjaciół, nie liczy na niczyją dobrą wiarę, nie odbywa żadnej podróży bez zbrojnego orszaku, lęka się trucizny w każdej potrawie i w każdym napoju <sup>3)</sup>. Jeszcze gorsze to, że bynajmniej publiczna opinia nie czuwa nad życiem samowładzcy. Jeżeli kto zabije zwyczajnego obywatela, miasta greckie wypędzają go, gdziekolwiek się zjawi, ale tyranobójcom okazują cześć największą, stawiają nawet

<sup>1)</sup> Hier. c. 1. §. 26—38.

<sup>2)</sup> *ibid.* c. 2. §. 2.

<sup>3)</sup> *ibid.* c. 2. §. 3—c. 4. §. 2.

posagi <sup>1)</sup>. Ani w własnej rodzinie samowładzca nie jest bezpiecznym; większość zginęła z rąk najbliższych krewnych <sup>2)</sup>; z obywateli zaś, im kto szlachetniejszy i mędrzy i sprawiedliwszy, tem więcej go się obawia, a tak nie pozostaje mu nic innego, jak opierać się na niewolnikach, najemnych cudzoziemcach i zbrodniarzach <sup>3)</sup>. W pokoju i podczas wojny wypada mu żywić armię, bo inaczej jest zgubionym, a nie mogąc podołać tak znacznym wydatkom, zmuszony jest łupić świątynie i obdzierać ludzi bogatych <sup>4)</sup>. Musi być patriotą (*πατριώτης*), bo bez swego miasta nie może istnieć ani być szczęśliwym, ale tyrania zmusza go własnej ojczyźnie złorzeczyć, bo nie cieszy się, patrząc na obywateli odważnych i dobrze uzbrojonych. On przekłada obcych nad swoich i z nich bierze swoich siepaczy, a gdy żyzne lato przynosi obfitość płodów ziemi, on jeden się nie cieszy, bo wie, że poddani, im są biedniejsi, tem lepiej słuchają <sup>5)</sup>. Po tem rozpaczliwym zeznaniu, Hieron z czułą tęsknotą przywodzi sobie na pamięć owe niezliczone przyjemności, owe serdeczne stosunki, których niegdyś używał przed objęciem władzy <sup>6)</sup>. Wtedy mądry Symonides mu przerywa. „Musi być jednak cześć rzeczą bardzo wielką, skoro ludzie, byleby jej dostąpili, każdy trud znoszą, każde niebezpieczeństwo podejmują! Wy także, zdaje się, pomimo tak wielkich nieszczęść, towarzyszących, jak mówisz, tyranii, jednak skwapliwie za nią się uganiacie, abyście doznawali czci, aby wszyscy spełniali wasze rozkazy bez namysłu, wszyscy mieli na was oczy zwrócone, wszyscy powstawali z siedzeń, ustępowali z drogi i t. d. Żadna przyjemność ludzka nie jest tak bliską bóstwa, jak radosne uczucie, że się jest czczonym“ <sup>7)</sup>. Hieron jednak bynajmniej nie jest przekonany. Przyznaje, że cześć jest najwyższem szczęściem, jakiego zaznać można na ziemi, ale powinna być wyrazem prawdziwej miłości, pochodzić od

<sup>1)</sup> *ibid.* c. 4. §. 3—5.

<sup>2)</sup> *ibid.* c. 3. §. 8.

<sup>3)</sup> *ibid.* c. 5. §. 1—3.

<sup>4)</sup> *ibid.* c. 4. §. 11.

<sup>5)</sup> *ibid.* c. 5. §. 3—4.

<sup>6)</sup> *ibid.* c. 6.

<sup>7)</sup> *ibid.* c. 7, §. 1—4.

ludzi, którzy wieńczą swego dobroczyńcę za cnoty i zasługi. „Tego, który taką cześć odbiera, uważam za szczęśliwego, bo zamiast robić na niego zasadzki, wszyscy czuwają nad tem, aby żył bez obaw, bez zazdrości, bez niebezpieczeństw itd. Ale samowładzca żyje jak zbrodniarz, który przez wszystkich za nieprawość swoją skazany jest na śmierć“<sup>1)</sup>.

„Dla czego więc, pyta Symonides, nie uwalniasz się od samowładztwa, jeżeli jest tak wielkiem złem?“—Bo i to nie-szczęście (odpowiada Hieron) do niego przyczepione, że porzucić go nie można, dla własnego bezpieczeństwa. W ciągu panowania, każdy panujący robi sobie tylu nieprzyjaciół, że naraziłby się na zemstę ogólną, gdyby powrócił do stanu prywatnego. „Jeżeli kto, o Symonidesie, powinien obwiesić się, to samowładzca, bo on jeden nic nie korzysta, czy że zachowa swoją biedę, czy ją porzuci!“<sup>2)</sup>. Poeta zgadza się na wszystko, ale nie przestaje wlewać słów pociechy do zbolalej duszy przyjaciela. Przez ostatnie cztery rozdziały dialogu<sup>3)</sup> on przeważnie mówi i trafniemi argumentami wyklada, że nieszczęścia wyliczone nie koniecznie towarzyszą władzy królewskiej. Może ona służyć zarówno do dobrego, jak złego, a stosownem jej używaniem unika się nienawiści, a zdobywa się miłość. Każde słowo miłe, każda grzeczność mała, większe robią wrażenie, gdy od wyższych pochodzą, niż gdy od równych. Wspaniała powierzchowność ma prawie zawsze urok dla widzów. Może panujący oddawać społeczeństwu usługi nadzwyczajne, otaczać troskliwą opieką każdą gałąź życia publicznego, popierać handel, przemysł i sztuki piękne, nareszcie czuwać nad dobrym wymiarem sprawiedliwości, karząc winowajców, wynagradzając tych, którzy sumiennie spełnili swe obowiązki. Nawet wojsko zaciężne, źródło licznych niepokojów, może on doprowadzić do takiej karności, że nie będzie dla kraju ciężarem, lecz cenną pomocą. Wtedy samowładzca osiągnie ów cel idealny, którego dotąd napróżno szukał pan Syrakuzy: będzie miał dobrowolnych poddanych, którzy za wspólną zgodą będą czuwali nad jego życiem;

<sup>1)</sup> *ibid.* c. 7. §. 5—10.

<sup>2)</sup> *ibid.* c. 7. §. 11—13.

<sup>3)</sup> *ibid.* c. 8—11.

wtedy będzie mógł podróżować bezpiecznie, ukazać się na każdej uroczystości; wtedy będzie szczęśliwym, a nikt mu szczęścia nie będzie zazdrościł. „Bądź więc dobrej otuchy, Hieronie (tak kończy poeta); wzbogacaj przyjaciół, a siebie wzbogacisz; wzmagaj siły miasta, a sobie przysporzysz potęgę; zdobądź mu sprzymierzeńców. Ojczyznę uważaj za dom twój, obywatele za towarzyszy, przyjaciół za dzieci, dzieci jak twoją duszę, a wszystkich staraj się zwyciężać dobrodziejstwami. Jeżeli bowiem podbijesz przyjaciół dobrą uczynnością, nie potrafią oprzeć się tobie nieprzyjaciele, a gdy wszystko to uczynisz, wiedz dobrze, że z wszystkich ludzkich dóbr zdobędziesz najpiękniejsze i najpożądane. Będziesz szczęśliwym, a nie obudzisz zazdrości (*εὐδαιμονῶν γὰρ οὐ φθονηθήσει*)“<sup>1)</sup>. Tą wspaniałą radą zamyka autor swoje dziełko. Nie można było skuteczniej odeprzeć pesymizmu panujących.

Z innego punktu widzenia, nierównie wyższego, przedstawia Platon przedmiot podobny w *Gorgiaszu*<sup>2)</sup>. Tam Polus sofista utrzymuje, że Archelausz szczęśliwy, choć przez zbrodnie okropne zajął tron Macedonii, do którego nie miał prawa; Sokrates przeciwnie dowodzi, że jest nieszczęśliwy, jeśli niesprawiedliwy. Posuwa się nawet do szczytnego twierdzenia, że człowiek niesprawiedliwy zawsze jest nieszczęśliwy—nieszczęśliwszy, jeżeli nie ponosi kary, a zbrodnie jego zostają niepomszczone, mniej nieszczęśliwy, jeżeli odbiera karę i dostaje należyłą zapłatę od bogów i ludzi<sup>3)</sup>. Na tym przykładzie okazać można całą różnicę talentu w obu pisarzach. Xenofont, aby óznaczyć sumę szczęścia doczesnego, odważa skrupulatnie wszystkie przyjemności i wszystkie cierpienia, podpadające pod zmysły; Platon przestaje na ogólnej zasadzie, że wyrządzać krzywdę, jest większem nieszczęściem, niż jej doznawać<sup>4)</sup>. Jeżeli zaś kto popełnił krzywdę, a za nią kary nie ponosi, przybywa mu nowe nieszczęście, zatem samowładzca zawsze

<sup>1)</sup> *ibid.* c. 11. *sub fine*.

<sup>2)</sup> *Gorg.* p. 470. d. sq.

<sup>3)</sup> *ibid.* p. 472. e.

<sup>4)</sup> *ibid.* p. 473. a: τὸ ἀδικεῖν τοῦ ἀδικεῖσθαι κακίον εἶναι.

będzie nieszczęśliwy, choćby dla tego, że nie jest karany. Taki pogląd jest niewątpliwie wyższy, jest ogólnie ludzki, obliczony dla pokoleń przyszłych; ale Xenofont, jako człowiek zacny i szlachetny, przede wszystkim zaś praktyczny, pomija stronę metafizyczną problemu, a dochodzi do wniosków, łatwych i przystępnych. Według Platona byłby Hieron poddać się musiał karze zasłużonej, chcąc zmniejszyć swoje nieszczęście; według Xenofonta wystarcza, że pamięć dawnych krzywd zatrze dobrymi czynami. To jest praktyczne, bo możebne; każdy samowładca mógł pójść za tą radą, a tego spodziewał się autor po swoim Hieronie. Nie trudno odgadnąć, kto pod tą nazwą się kryje. Lata męskie Xenofonta przypadły na rządy starszego Dyonizego (r. 405—367), który z niesłychaną bezwzględnością naprzód własnym poddanym, potem wielu innym miastom greckim dał się we znaki. Liczne szczegóły o jego bezprawiach, komiczne anegdotki o jego podejrzliwości, były znane powszechnie<sup>1)</sup>; mógł Xenofont ich się nasłuchać w armii Cyrusa, a później w obozie Agezylausza, gdzie służył nie jeden Syrakuzanin. Gdy zaś mieszkał w Scyllusie, widział wspaniałe poselstwo pana Syrakuzy, przybyłe na igrzyska olimpijskie w r. 384; był świadkiem oburzenia powszechnego, z jakim rzucano się na jego dworzan, cieszący się z przegranej jego koni na wyścigach, gwizdano podczas czytania jego tragedji<sup>2)</sup>. Mógł wtedy autor przekonać się, jak niebezpiecznym, nawet niepodobnym było dla Dyonizego, ukazać się po za granicami swego państwa, jeżeli jego pełnomocników spotkała taka zniewaga, i jak nieszczęśliwy był żywot tego, który razem z Artaxerxesem uchodził za najpotężniejszego monarchę swego czasu<sup>3)</sup>. Na udowodnienie tezy, że ten, kto przemocą panuje nad niechętnymi, naraża się na cierpienia największe, nie było trafniejszego przykładu nad postać samowładcy syrakuzńskiego, ale Xenofont był zbyt rozumny i praktyczny, aby wprost zaczął wszechwładnego sprzymierzeńca Sparty. Nie mógł spodziewać się, że napisaniem drobnej książeczki

<sup>1)</sup> Zob. *Cic. Tusc.* V. 20. §. 57—63; *De off.* II. 7. §. 24—25.

<sup>2)</sup> Zob. Grote: *History of Greece.* Vol. X. p. 304—315.

<sup>3)</sup> Diodor. XV. c. 23: *οἱ μέγιστοι τῶν τότε δυναστῶν.*

wywróci jego rządu, lub że mu tak przemówi do sumienia, aby na starość zmieniał swoją politykę gwałtowną i bezprawną. Dla tego uważam za prawdopodobne, że dopiero po jego śmierci rzecz ogłosił (r. 367), kiedy oczy Greków zwrócone były na jego syna, a bardziej jeszcze na Diona, przystępnego radom filozofów. Po nim mógł, jak Platon, wyglądać urzeczywistnienia swoich ideałów politycznych, a nie chcąc urazić Dyonizego młodszego, wprowadził do rozmowy Hierona, który z jego ojcem, oprócz wielu innych rysów, ten także miał wspólny, że lubił obcować z poetami i czułym był na ich pochwały. Syrakuzą zaś była jedynym tłem stosownym do podobnej rozmowy, bo tam od stu lat samowładztwo było zwykłą formą rządu <sup>1)</sup>.

Nie wystarczało jednak pokazać w żywych kolorach, jak rozpaczliwym jest położenie tego, który nad niechętnymi włada; trzeba było także wyłożyć, jak można rozkazywać poddanym chętnym. To drugie zadanie, o wiele ważniejsze, bo w niem zamyka się problem najlepszej formy rządu, przedmiotem jest *Cyropedyi*, jednej z piękniejszych i ciekawszych książek Xenofonta, a jak w dyalogu poprzednim Hieron, tak tutaj Cyrus jest bohaterem romansu, bo *Cyropedia* to najdawniejszy romans historyczny <sup>2)</sup>. Że autor cudzoziemcowi powierzył główną rolę w zmyślonej historii, akcję zaś przeniósł do dalekich barbarzyńskich krajów, tem się tłumaczy, że Grecy żadnych nie znosili samowładców, nawet dobrych, w rodzaju Pizystrata; byłby więc nadaremnie szukał w dziejach greckich jakiej postaci, którejby mógł z pewnem prawdopodobieństwem przypisywać zasady monarchiczne, uznawane dobrowolnie przez poddanych. W Persyi władza podobna istniała od wieków, a jej założy-

<sup>1)</sup> Czy Xenofont był kiedy gościem Dyonizego, jak chce Athen. Deipnosoph. X. c. 7. p. 427, jest wątpliwem. Przypuszczenie Delbrücka, że myślał o Jazonie, króliku tessalskim, pisząc *Hieroną*, jest wymuszone; powątpiewanie Sitzlera o autentyczności pisemka zupełnie niesłuszne.

<sup>2)</sup> *Cic. epist. ad Quint.* I. 1, 8: *Cyrus ille a Xenophonte non ad historiae fidem scriptus, sed ad effigiem iusti imperii.* Prawda historyczna bezustannie pomijana dla względów dydaktycznych.

ciel, otoczony aureolą dawnej przeszłości, nie budził w narodzie greckim żadnych przykrych wspomnień. Co więcej! był nawet popularnym dla młodszego Cyrusa, znanego ze swoich filhelleńskich uczuć. Autor, jak wielu Greków owego czasu, przekonany był, że młody książę posiadał wszystkie zalety dobrego panującego i że na tronie byłby znakomitym przykładem wszechwładnego monarchy, rządzącego wedle zasad najszlachetniejszych<sup>1)</sup>. Jego to rysy, po części wyidealizowane, przeniósł na protoplastę dynastyi Achemenidów.

W krótkiej przedmowie<sup>2)</sup> zastanawia się autor nad nietrwałością greckich konstytucyj; demokracje, oligarchie, despotyczne rządy samozwańczych tyranów, następują po sobie z przerażającą szybkością. A nawet w domach prywatnych mało jest ojców rodzin, którzy umieją zdobyć sobie należyte posłuszeństwo. Z drugiej strony woły słuchają swego skotarza, wszelakie trzody swoich pasterzy, a nigdy nie słyszano, aby się przeciw nim buntowały. Co więcej! trzoda każda krnąbrniejszą jest przeciw obcym, niż przeciw swojemu panu, ludzie zaś najchętniej tym się opierają, którzy chcą nad nimi przewodzić. Ztąd wniosek oczywisty, że człowiekowi łatwiej panować nad innemi stworzeniami, niżeli nad ludźmi<sup>3)</sup>. Wśród tych smutnych uwag, przychodzi autorowi na myśl wielka postać Cyrusa, który niegdyś nad nieprzejrzaniem panował państwem, rozliczne miasta i różnorodne kraje pod swoim berłem połączył, a jednak chętnie słuchany był przez tych, którzy nigdy go nie widzieli, a nawet przez takich, którzy nie spodziewali się, że kiedykolwiek go będą oglądali. Ten niezwykły przykład ma dowodzić, że sztuka rządzenia nie jest ani niemożliwą, ani nawet trudną, jeżeli kto umiejętnie do niej

<sup>1)</sup> W Ekonomiku (rozdz. 4. §. 18 i nast.) stawiany jako wzór dowódczy, którego chętnie słuchają podwładni i przy którym trwają niewzruszenie w niebezpieczeństwach. W Anabazie (I. 7. 3) wielbi on Greków dla wolności, którą posiadają i zaręcza, że za nią oddałby wszystkie skarby swoje.

<sup>2)</sup> Cyrop. I. 1.

<sup>3)</sup> *ibid.* I. 1. §. 3: πάντων τῶν ἄλλων ὁἶον εἶη ζώων ἢ ἀνθρώπων ἄρχειν.

się zabiera <sup>1)</sup>). Aby przekonać o tem czytelników, przechodzi zatem wychowanie swego bohatera, a choć całe jego życie opowiada, przezwał jednak dzieło „Wychowaniem Cyrusa“ (*Κύρου παιδεία*), jakoby rozwój cielesny i duchowy młodego księcia tłómaczył wszystkie jego późniejsze powodzenia, na wojnie i w pokoju, a tłómaczył przedewszystkiem, dla czego został dobrym panującym.

Skoro zaczął od wychowania, musiał autor spotkać się z trudnem pytaniem: Kto ma prawo a kto obowiązek wychowywać młode pokolenie? Jak dzisiaj, tak i w starożytności, były zdania o tem podzielone; wiele miast greckich wcale nie zajmowało się edukacją młodzieży, zostawiając ją pieczy rodziców; od złych zaś wybryków starożytności broniono się najczęściej za pomocą surowych praw kryminalnych <sup>2)</sup>). Można system taki określić w dwóch słowach: zupełna obojętność na niedorosłych, surowa repressya dla starych. Szczęściem nie wszystkie miasta greckie hołdowały tak zgubnej teorii; Sparta i Kreta usiłowały od lat dziecińczych wychowywać młode pokolenie na dobrych obywateli. Wszyscy zresztą filozofowie, którzy wyszli ze szkoły Sokratesa, byli przeciwnikami teorii indyferentyzmu państwa w rzeczach wychowania, uważając za rzecz daleko rozumniejszą nie mieć wcale złych obywateli, niż stanowić przeciw nim surowe prawa. To też Xenofont wychwala prawa perskie (jest to właściwie upiększona konstytucya spartańska), które od dzieciństwa do późnej starości trzymają wszystkich obywateli pod rygorem wychowawczym. W tym celu ludność męska kraju podzielona na cztery klasy: na chłopców, młodzieńców, dorosłych ludzi i starców. Każde miasto ma rynek olbrzymi, zwany „wolnym“ (*ἐλευθέρα ἀγορά*), gdzie niewolno targów żadnych odbywać; tam stoją pałac królewski i gmachy rządowe a dokoła rozciągają się cztery place, przeznaczone dla czterech klas ludności <sup>3)</sup>). Chłopcy ze wschodem słońca zbierają się na miejscu im wskazanem, gdzie pod

<sup>1)</sup> *ibid.*: οὐτε τῶν ἀδυνάτων οὐτε τῶν χαλεπῶν ἔργων ἢ τὸ ἀποθρόων ἀρχεῖν, ἄν τις ἐπισταμένως τοῦτο πράττη.

<sup>2)</sup> *Cyrop.* I. 2. §. 2.

<sup>3)</sup> *ibid.* I. 2. §. 3—4.

golem niebem dzień cały spędzają na ćwiczeniach gimnastycznych, na strzelaniu z łuku i rzucaniu oszczepem; przede wszystkim zaś uczą się sprawiedliwości, tak jak w Grecyi chłopcy uczą się czytać. Jest ona wykładana praktycznie, objaśniona codziennymi faktami z życia dzieci. Nauczyciel zajęty ciągle wymierzaniem sprawiedliwości, przyrzeczeniem nie szczędzi chłosty ani trafnych rad. Pożywienie przynoszą chłopcy ze sobą, kawał pszennego chleba i trochę gorzkiej musztardy, zrobionej z nasion rzeżuchy <sup>1)</sup>. Kto spragniony, może napić się wody z pobliskiej rzeki, nabrawszy jej własnym drewnianym pucharzem. Wszyscy jedzą razem, pod dozorem przełożonego <sup>2)</sup>.

Z ukończonym rokiem szesnastym, przechodzą wszyscy do klasy młodzieńców czyli efebów, gdzie życie jeszcze twardsze, bo oprócz służby publicznej we dnie i w nocy, muszą towarzyszyć królowi na polowania, trudne i niebezpieczne <sup>3)</sup>. Po dziesięciu latach, spędzonych na tego rodzaju ćwiczeniach, zaliczają się do mężczyzn dorosłych (*εις τοὺς τελειὸν ἀρδρας*), wśród których pozostają do roku pięćdziesiątego pierwszego; nareszcie należą do starszych (*εις τοὺς γεραιτέρων*). Tamci zajęci głównie wojną, ci zaś rządami kraju; oni to mianują wszystkich urzędników, cywilnych i wojskowych; sądzą wszystkie sprawy, tak młodzieży, jak dorosłych, a sądzą według kodeksu bardzo surowego, bo na większe przestępstwa jest kara śmierci, na mniejsze wypędzenie z klasy, do której należał winowajca, co pociąga za sobą utratę nazawsze praw obywatelskich czyli śmierć polityczną <sup>4)</sup>.

Sam autor robi uwagę, że to wzorowe wychowanie tylko bogatszym jest przystępne. Oni tylko w młodości i wieku dojrzałym mogą swobodnie zupełnie oddać się karierze publicznej. Jest także druga trudność, że kto chce dostać się do klasy wyższej, musi poprzednio przejść przez wszystkie

1) O przyjemności tego przysmaku daje wyobrażenie greckie przysłowie: *Κάρδαμα βλέπειν* „mieć minę kwaśną.“

2) *Cyrop.* I. 2. §. 8.

3) *ibid.* I. 2. §. 9—12.

4) *ibid.* I. 2 §. 13—14.

niższe. Starsi, którzy jedni tylko mogą piastować wszystkie urzędy, musieli z odznaczeniem przebyć trzy klasy niższe, a tak najwyższe dostojenstwa, choć w teorii mogą się wszystkim Persom dostać w udziale, są jednak w praktyce przywilejem małej tylko liczby, która wespół z królem zarządza krajem <sup>1)</sup>). Oczywiście taki system, obliczony wyłącznie na małą liczbę szlachty, i to najbogatszą, nie może być dobry, skoro większą część ludności pozbawia edukacyi publicznej, a temsamem praw politycznych; ale Xenofontowi, zapatrującemu się na stosunki lacedemońskie, wydawała się nie liczna, a karnie wychowana szlachta, wystarczającą dla pomyślności rzeczy pospolitej. To pewna, że nie wątpił o błogich skutkach swojej teorii, a potwierdzenie jej znalazł w suchym temperamencie Persów, który im pozwala długo nie spluwać, ani nosa wycierać, ani innych potrzeb ciała nie załatwiać, bo wszystko to u nich uchodzi za owoc dobrego wychowania. Czegось podobnego w wyższej mierze spodziewał się także dla ducha po swojej idealnej pedagogice <sup>2)</sup>).

Cyrus do lat dwunastu chowany z młodzieżą perską, dzieli jej trudy i zabawy. Nieraz odbierający chłostę, nieraz na twarde wystawiony próby, przewyższa rówieśników cnotą i żołnierską odwagą. Mając silne poczucie sprawiedliwości, zostaje zamianowany dozorcą swoich towarzyszy. Wtedy to wydarzyła się znana anegdotka o dużym chłopcu z krótką tuniką, który mniejszemu zdjął długą a oddał swoją własną. Cyrus osądził, że dobrze się stało, bo każdy miał ubranie wedle miary, ale był karany za to od mistrza, bo nie był powinien zastanawiać się, dla kogo dłuższa tunika jest odpowiedniejsza, lecz czyją ona jest własnością. Usłyszał wtedy taką definicyę: słusznem jest, co jest wedle praw, a gwałtem, co im jest przeciwne <sup>3)</sup>). Nareszcie matka zabrała go na dwór dziada Astyagesa i tam zaczyna się szereg milutkich scen, między młodym chłopcem, a królem i jego dworzanami, które autor oddał z niezrównanym wdziękiem.

<sup>1)</sup> Cyrop. §. 15.

<sup>2)</sup> *ibid.* §. 16.

<sup>3)</sup> *ibid.* I. 3. §. 17: τὸ μὲν νόμιμον δίκαιον εἶναι τὸ δὲ ἄνομον βίαιον.

Pieszczotliwe, naiwnie dziecinne paplotanie malca, wypełnia kilka rozdziałów i nie ma sobie równego w greckiej literaturze, pod względem słodyczy i nadobności języka. Musiał uroczo gwarzyć autor w kółku rodzinnem, skoro umiał napisać takie strony <sup>1)</sup>). Następuje przepyszny opis łowów <sup>2)</sup>) i potyczki z konnicą assyryjską, podczas której Cyrus przyrównany do szlachetnego ogara, który niewyuczony jeszcze, rzuca się nieroztropnie na odyńca <sup>3)</sup>). A ta rozmowa długa Cyrusa z ojcem, przepełniona doświadczeniem wojskowym, o niezbędnych przymiotach dobrego wodza, taka jasna i przeźroczysta, potoczysta od niechęcenia; w niej myśli płyną jedna za drugą, bez trudu, bo ten, co mówi, zna swój przedmiot znakomicie <sup>4)</sup>). Ten jeden rozdział tłómaczy dostatecznie, dla czego Cycero czytywał Cyropedyę, gdy w Cilicyi gotował wyprawę wojenną <sup>5)</sup>), i dla czego nigdy jej z rąk nie wypuszczał Scipio afrykański <sup>6)</sup>).

Dalsze losy Cyrusa pomijam, nie mogąc w skróceniu powtórzyć niezliczonych epizodów, przenoszących nas co chwila do Medyi, Armenii, Mezopotamii, Lidyi i znowu pod mury Babilonu, nareszcie do Syryi i Egiptu. Prawda i fikcja tak pomieszane, czas i przestrzeń tak dowolnie traktowane, że właściwie wszystko, co działo się wielkiego Persowie od Cyrusa do Dariusza, przypisano jednemu bohaterowi. A ten bohater mało podobny do pół dzikiego, acz szlachetnego założyciela olbrzymiej monarchii, jakiego znamy z źródeł historycznych. Jestto idealny Ateńczyk, z czasów Peryklesa, wspaniałomyślny dla nieprzyjaciół, czuły z przyjaciółmi, zawsze sprawiedliwy, wzniosły i dobry, umiejący przekonywać, rozkazywać i działać; jestto spotęgowany Xenofont; jak on, namiętny myśliwy, jeździec niezmordowany, wódz czujny i przebiegły, polityk umiarkowany, spokojny i sympatyczny, pobożny czciciel bogów, dobry ojciec rodziny,

<sup>1)</sup> Zob. rozdz. 3 i 4 ks. I.

<sup>2)</sup> *Cyrop.* I. 4. §. 7—11. Zob. tamże krótkie przemówienie Cyrusa do towarzyszy przy rozdzielaniu zwierzyny.

<sup>3)</sup> *ibid.* §. 21.

<sup>4)</sup> Tamże, cały rozdz. 6.

<sup>5)</sup> *Epist. ad famil.* IX. 25.

<sup>6)</sup> *Cic. ad Quint. Frat.* I, 1. 8.

rządca, jakich mało. Obok niego przesuwają się postacie, jedne plastyczne, delikatnie wymodelowane, jak posągi Praxytelesa; inne zlekka naszkicowane, jak wdzięczne Eufroniusza rysunki na czarach attyckich. *Cyaxares*, król Medyi, zaniepokojony powrotem swoich wodzów, podejrzewający nawet sławę swego siostrzeńca Cyrusa; *Feraulas*, człowiek niskiego pochodzenia, który przez dzielność i poświęcenie dochodzi do wielkich zaszczytów; *Gadatas* i *Abadatas*, wierni sprzymierzeńcy, a jak lwy odważni w bitwie; *Tygranes*, królewicz armeński, jakoby drugi Cyrus, ale cokolwiek mniejszy, i jego nauczyciel, jakiś mędrzec indyjski, którego ojciec każe stracić, zazdrosny o miłość syna. A wśród tych osób rycerskich, ukazujących się już to zdaleka, na wojennym wozie, w zgiełku bitew i kurzawie pogoni, już to zbliższy, przy stole biesiadnym albo w rannem kole, zjawiają się uroczyste kobiety, czyste jak *Penelopa*, kochające jak *Andromacha* lub *Alcestis*. Nowym, niezrównanym wdziękiem, okrasza *Xenofont* każdy portret niewieści. Żona królewicza armeńskiego dostała się do niewoli; gdy mąż po nią przybywa do obozu, pyta go Cyrus, ile da okupu. „A ożenił się niedawno i kochał żonę po nad wszystko. Ja, o Cyrusie, rzecze *Tygranes*, oddałbym nawet życie moje, byleby ona nie została niewolnicą.—Weź ją, odpowiada Cyrus, bo nie uważam jej za zdobytą na wojnie; wszak nigdy przedemną nie uciekałeś!“ Po uczcie, cała rodzina królewska, obdarzona wolnością, odjeżdża z radością do domu. Tam zaczyna się rozmowa o Cyrusie. Jedni chwala jego mądrość, inni niezłomność lub łagodność, piękność lub wielkość. „Wtedy *Tygranes* pyta żony: Czy tobie, Armenko, Cyrus także wydał się pięknym?—Na *Jowisza*, odrzekła, nie patrzałam nawet na niego!—Na kogo więc miałaś oczy zwrócone?—Na tego, przebóg, który powiedział, że oddałby życie swoje, byleby nie była niewolnicą!“<sup>1)</sup> Taki to zwrot delikatny, że trzeba cofnąć się aż do *Homera*, by usłyszeć podobną rozmowę między małżonkami.

Słynna jest miłość *Panthei*, kreacya wzniosła i czuła, gdzie uroczysty spokój muzy epicznej i patetyczna namięt-

<sup>1)</sup> *Cyrop.* III. 1. §. 36—41.

ność Eurypidesa, kojarzą się w całość przedziwną. Wzięta do niewoli, gdy mąż jej Abradatas, potężny król Suzyany, walczy po stronie przeciwnej, odrzuca hołdy młodego Araspesa, który sehnie z miłości bez nadziei, a podbita wielkodusznością Cyrusa, nakłania męża do porzucenia sprawy assyryjskiej<sup>1)</sup>. Abradatas, z nieprzyjaciela zostawszy wiernym sprzymierzeńcem, wyrusza z Cyrusem przeciw Krezusowi. Przed bitwą Panthea wkłada mu nowy hełm złoty i płaszcz purpurowy i odnawia ślub wieczystej miłości; on modli się do boga najwyższego, by mu pozwolił okazać się godnym mężem Panthei i godnym przyjacielem Cyrusa. Ona długo towarzyszy wozowi; on raz jeszcze do niej się zwraca i woła: „Bądź dobrej myśli, bądź zdrowa, już odejdz Pantheo!“ Wtedy zemdląłą odnosi służba do namiotu<sup>2)</sup>. Następuje bitwa olbrzymia, w której ważą się losy Azji. Abradatas wpada na falangę egipską i po zaciętej walce ginie, ale zamięszanie tak wielkie, że nikt o tem nie wie. Xenofont, mistrz nadzwyczajny w opisanii bitew, w tej przewyższył siebie samego. Widzimy setki wozów z sierpami, pędzące w różnych kierunkach, konnicę lidyjską, pierzchającą na widok wielbłądów, lekką piechotę perską, rozbijaną przez ogromne oszczepy Egipcyan, wieże ruchome, ciągnięte przez woły, z których padają strzały i kamienie. Gdy na jedną z nich wchodzi Cyrus, aby rozpatrzyć się po dolinie, widzi ją całą okrytą końmi, ludźmi, wozami, uciekającymi i ścigającymi; zwyciężającymi i zwyciężonymi. Tylko Egipcyanie stoją niewzruszeni pod gradem pocisków, zwarłszy się w niezłomny czworobok, pod zasłoną swoich długich tarczy. Cyrus ofiaruje im zaszczytną kapitulację, bitwa skończona, Sardes zdobyte, Krezus pojmany<sup>3)</sup>. Ale nie widać Abradatasą. Dopiero nazajutrz znajduje Cyrus zwłoki jego nad brzegiem Paktolu i przy nich siedzącą Pantheę. Bierze jego rękę, ale ta zostaje mu w dłoni, bo odcięta; Panthea z krzykiem odbiera ją, całuje i napowrót do trupa przykłada. „To ucierpiał, woła, nietylko dla mnie, lecz i dla ciebie, Cyrusie! Ja nierozsądna

<sup>1)</sup> *ibid.* IV. 6. §. 11; V. 1. §. 2—18; VI. 1. §. 31—49.

<sup>2)</sup> *ibid.* VI. 4. §. 2—11.

<sup>3)</sup> *ibid.* VII. 1. 15—46.

nalegałam usilnie, aby tak działał, żeby okazał się godnym twojej przyjaźni!“ Król długo płacze w milezeniu; potem rzecze: „Temu, niewiasto, dostał się koniec najpiękniejszy, bo umarł zwycięzcą!“ i przyrzeka jej swoją opiekę. Ona na to: „Bądź bez troski, Cyrusie; nie ukryję przed tobą, do kogo pragnę się udać.“ Gdy król odszedł, aby zająć się pogrzebem, ona każe eunuchom oddalić się, a wydawszy starej piastunce ostatnie polecenie, przebija się, składa głowę na piersiach małżonka i umiera <sup>1)</sup>). Opowiedziawszy czułym stylem nieszczęśliwy los szlachetnej pary, autor nie tylko zasłużył sobie na wdzięczność wszystkich późniejszych kochanków, lecz także w literaturze erotycznej zapewnił sobie trwałe imię i nieraz był naśladowany <sup>2)</sup>).

Ostatnia (VIII) księga najspokojniejsza, bez wzruszających epizodów, bez wielkich, świetnych wypadków. Nawet zdobycie Syrii i Egiptu tylko pobieżnie dotknięte. Za to szeroko autor rozwodzi się nad pracą organizatorską Cyrusa. Przechodzi urządzenie administracyi w rozległym państwie, ustanowienie dostojeństw dworskich i wspaniałej etykiety, odbywanie polowań, wyścigów, uczt nadzwyczajnych, przeróżne sposoby, któremi Cyrus zjednywa sobie miłość poddanych. Nareszcie żeni się z córką swego wuja Cyaxaresa i po nim dziedziczy Medyę. Podbiwszy jeszcze Syryę i Egipt, panuje szczęśliwie długie lata. Ale pewnej nocy jakaś postać nadludzka do niego w te się słowa odzywa: „Przygotuj się Cyrusie, bo już do bogów odejdziesz!“ Zrozumiał wtedy, że zbliża się koniec jego życia. Zwoławszy więc synów i dignitarzy państwa, miał do nich mowę wspaniałą, której część o nieśmiertelności duszy przełożył Cycero w dziełku *De senectute* <sup>3)</sup>); potem czule wszystkich pożegnał, zasłonił głowę i umarł <sup>4)</sup>). Następuje jeszcze jeden rozdział, ostatni, jakoby palinodya całego dzieła, napisany w tym celu widocznie, by snąć nie obudziły się jakie sympatyje dla Persów

<sup>1)</sup> *ibid.* VII. 3.

<sup>2)</sup> Zob. Wielanda romans: *Araspes und Panthea*, oraz Ferd. Bendera poezye: *Panthea*.

<sup>3)</sup> Cato maj. c. 22. §. 79—81.

<sup>4)</sup> Cyrop. VIII. 7.

w duszach czytelników. Dowodzi w nim autor, że imperyum Cyrusa zaczęło psuć się zaraz po jego śmierci i że stan jego późniejszy w niczem nie podobny do wyłożonego w Cyropedyi. Odślania jego zgniliznę moralną, jako upadek wojskowy i polityczny. Niektórym uczonym zdawało się, że rozdział w tak odmiennym napisany tonie, nie od Xenofonta pochodzi, lecz później został dodany <sup>1)</sup>. Nie zważyli jednak, że bez niego byłoby dzieło zrobiło najgorsze wrażenie na Grekach, a zupełnie chybiło celu. Nie chciał autor wysławiać Persów, lecz na tle dawnych ich dziejów przedstawić obraz idealnego rządcy, z którego mogłoby skorzystać młode pokolenie. Ale poprzestawszy na samej apoteozie obcego władcy, którego potomków tyle razy pokonał oręż grecki, byłby autor obraził miłość własną swego narodu — i stanął w rażącej sprzeczności z istniejącem położeniem rzeczy. Każdy Grek przecież wiedział, że potęga perska, do szczętu spróchniała, stała tylko niezgodą jego rodaków, że upadek Babilonu, nawet Suzy był tylko kwestyą czasu, że wystarczało znaleźć męża, umiającego zjednoczyć wszystkie plemiona i miasta greckie do wspólnej akcji, a wróg wiekowy helleńskiej wolności zostanie wyrzucony za Tygrys i dalej jeszcze. Temu uczuciu patryotycznemu, dał autor wyraz w dumnych, a prawdziwych słowach: „Oni tak podupadli, że nigdy bez Greków wojny nie zaczynają, ani między sobą ani przeciw Grekom; przekonali się bowiem, że także przeciw Grekom tylko zapomocą Greków wojnę prowadzić mogą“ <sup>2)</sup>.

Jeżeli upadek moralny Persów, wymalowany ponuremi kolorami, miał łechtąć dumę patryotyczną greckich czytelników, to równocześnie musiał ich przekonać o wadliwości wyłożonej przez autora teorii państwowej. Czy bowiem da się

<sup>1)</sup> Valekenauer, F. A. Wolf, Beckhaus, Bergk. Zob. jednak Roquette: *de Xenophontis vita*, p. 87—90, który dobrze broni autentyczności tego rozdziału. Styl zupełnie Xenofontowy, oburzenie zaś, z którem wspomina (c. 8. §. 4) haniebną zdradę Reomitresa, dowodzi, że to był fakt współczesny. Otóż fakt ten wydarzył się w r. 362 lub 361 (Diodor. XV. 92), kiedy właśnie Xenofont kończył swoje dzieło.

<sup>2)</sup> Cyrop. VIII. 8. §. 26.

pomyśleć, że naród, niegdyś bitny, wstrzemięźliwy i honorowy, pomimo konstytucyi, nadanej mu przez wielkiego prawodawcę, w niespełna sto lat utracił wszystkie zalety dzielnych pradziadów, jeżeli konstytucya ta była rzeczywiście dobrą? A to pytanie, takie proste i naturalne, nie da się zbyć odpowiedzią, że konstytucya była dobrą, ale ludzie się zepsuli. Jeżeli bowiem ona nie mogła zapobiedz zepsuciu, była wadliwą albo niewystarczającą; w obu razach cel książki chybiony. Chciał autor w uzupełnieniu Hierona ukazać nam ideał sprawiedliwego rządcy, panującego nad chętnymi poddanymi, i nie da się zaprzeczyć, że osobistość Cyrusa jest nader miła, ludzka, szlachetna, dbała o dobro i rozwój swoich ludów. Jeżeli kto, to on powinien być kochanym przez wszystkich, czuć się bezpiecznym i szczęśliwym, zasypiać bez troski i obawy. Tymczasem on także otacza się liczną strażą, bo wie, że „Babilon z wielkich miast najnieprzyjaźniej dla niego usposobiony i że nigdzie człowiek nie może być łatwiej pokonanym, jak przy jedzeniu lub picciu, w kąpieli, na łożu lub we śnie“ <sup>1)</sup>). Tworzy więc straż pałacową z samych rzezańców, bo tych uważa za najwierniejszych z ludzi <sup>2)</sup>), a „zważywszy, że straż ta niedostateczna w porównaniu z mnóstwem źle usposobionych ludzi“ <sup>3)</sup>), zaciąga z pośród biednej ludności perskiej „dziesięć tysięcy kopijników, którzy dzień i noc odbywają wartę naokoło pałacu, ile razy w nim przebywa, a gdy wychodzi, maszerują po obu bokach królewskiego orszaku“ <sup>4)</sup>). A jak gdyby nie było jeszcze dosyć tych wszystkich środków bezpieczeństwa, ustanawia osobną załogę miejską w Babilonie <sup>5)</sup>) i namawia wielką część szlachty perskiej, aby pozostała przy nim, gotowa na każdą potrzebę <sup>6)</sup>). Komu nie przychodzi tu na myśl słowa Pisma św.: „Oto łoże Salomonowe sześćdziesiąt męźnych obstało, z najmęźniejszych Izraelu; wszyscy trzymając miecze i bardzo ćwiczeni ku bitwie; każdego miecz przy boku jego dla

<sup>1)</sup> Cyrop. VII. 5. §. 58—59.

<sup>2)</sup> *ibid.* VII. 5. §. 65.

<sup>3)</sup> *ibid.* VII. 5. §. 66: τὸ πλεθὸς τῶν δυσμενῶς ἐχόντων.

<sup>4)</sup> *ibid.* VII. 5. §. 68.

<sup>5)</sup> *ibid.* VII. 5. §. 69.

<sup>6)</sup> *ibid.* VII. 5. §. 72—86.

strachów nocnych“<sup>1)</sup>). Doprawdy, mógł pocieszać się Hieron, że niegdyś Salomon i Cyrus także nie spali bezpieczniej od niego, choć panowali niby to nad chętnymi. To też głównej tezy swojej autor nie udowodnił, a nawet to zarzucić mu można, że Cyrus pomimo wielkich zalet swoich, nie jest zupełnie stosownym jej przedstawicielem, skoro dobrowolnie słuchali go właściwie tylko Persowie, wszystkie zaś inne ludy z przymusu, bo orężem pokonane. Dla tego nie jest on wiele szczęśliwszy od Hierona, pod względem bezpieczeństwa swej osoby.

Ale nie dowiódł nawet autor ani drugiej tezy swojej, tak często traktowanej przez Sokratesa i jego uczniów, że można cnoty nauczać. Założenie było takie, że prawa perskie z góry tak wychowują młodzież, aby nigdy nie miała pragnień brzydkich lub podłych<sup>2)</sup>). Widzi w tem autor wyższość edukacyi tamecznej, nad grecką, i ciągle wraca do tej myśli, że bohater jego sprawiedliwym jest królem, bo za młodu nauczył się sprawiedliwości<sup>3)</sup>). Jakże więc stało się, że jego synowie, chowani według tejsamej metody i przez takiego ojca, nie byli w niczem do niego podobni? „Gdy Cyrus umarł, zaraz jego synowie popadli w niezgodę, zaraz miasta i ludy zbuntowały się, a wszystko obróciło się w gorsze“<sup>4)</sup>). Tej zagadki autor nie rozwiązał, a temsamem nie przekonał nas o dobroci swego systemu wychowawczego. U niego Cyrus umierający przypomina synom, że ich od początku tak chował, aby starszym zawsze cześć oddawali, od młodszych zaś ją odbierali. „Przyjmujcie więc słowa moje, jako stary i prawny obyczaj“<sup>5)</sup>). Mimo tych czułych napomnień i starannego wychowania, zaraz po śmierci ojca młodszy brat buntuje się przeciw starszemu, a ten odslania się samowolnym okrutnikiem. Albo więc najlepsza edukacya nie potrafi złej natury przerobić, albo też Cyrus łudził się, jeżeli był przekonany, że dobrze synów wychował. Czy oświadczymy

1) Cant. Cantic. III. 7—8.

2) Cyrop. I. 1. §. 3.

3) Zob. rozmowę Cyrusa z matką (I. 3. §. 16—18).

4) Cyrop. VIII. 8. §. 2.

5) *ibid.* VIII. 8. §. 10.

się za pierwszym, czy za drugim, zawsze teza Xenofonta szwankuje, bo w pierwszym razie edukacja publiczna ukazała się niedostateczną dla synów Cyrusa, w drugim dla niego samego, skoro nie nauczył się rzeczy najważniejszej, chować własne dzieci.

Nierównie trafniej, a w zgodzie z historią, Platon trudność rozwiązał. On także zajmuje się osobą Cyrusa i wielkie jego powodzenie uważa za owoc staroperskiego wychowania <sup>1)</sup>. Ale dodaje czempredzej, że chociaż był wielkim wodzem i patryotą, nie znał się na prowadzeniu dzieci, a zajęty ciągle wojną, zostawiał je pod opieką kobiet. Tak stało się, że jego synowie, chowani w haremie, pod strażą rzezańców, nie surowo po persku, lecz miękko po medyjsku, nauczyli się zbytków i zuchwalstwa, a Kambyzes, po śmierci ojca zabiwszy brata, sam dla pijaństwa i niezdolności do rządów berło i życie utracił <sup>2)</sup>. Wina zatem cała za wybryki synów i zmarnowanie władzy, u Platona na ojca spada, który zaniedbał ich wychowanie; ale to zwykła kolej rzeczy, wedle Platona, że dzieci królów i ludzi bogatych chowają się w zbytkach i rozkoszy. Stwierdza to jeszcze przykładem Daryusza, który podobnie jak Cyrus był zrazu zwyczajnym śmiertelnikiem, i dla tego twarzą, cnotliwą odebrał edukację; ale syn jego Xerxes już chowany był w przepychu królewskim. „O Daryuszu, woła Platon, słusznie ciebie zarzut spotyka, że błąd Cyrusa nie ciebie nie nauczył, skoro Xerxesa w tych samych, co Cyrus Kambyzesa, chowałeś obyczajach; to też tęsamą odebrawszy edukację, podobnego, jak Kambyzes, losu doznał i t. d.“ <sup>3)</sup>. Widzimy, że Platon dobrze

<sup>1)</sup> *Leg. III.* 12. p. 694—696. Mógł Platon znać Cyropedyę, ale z tego miejsca niekoniecznie to wynika. Powszechnie wtedy Cyrus uchodził za przedstawiciela idealnej monarchii, tak jak Sardanapal był uosobioną rozpustą na tronie. Zob. *Plat. Menex.* p. 239. *Leg. III.* p. 693. *Epist. IV.* p. 320. Porówn. *Arist. Polit. V.* 10. p. 1310. Napisał Antistenes aż dwa dialogi: „Cyrusa większego i mniejszego“; (Zob. Mullach: *Fragm. Philos. Graecor.* Tom. II. p. 271), ale niewiadomo czy je znał Xenofont. Zresztą nie mogły mu być bardzo przydatne.

<sup>2)</sup> *Leg. III.* 12. p. 695. *a. b.*

<sup>3)</sup> *Leg. III.* 12. p. 695. *d. e.*

tłomaczy wyrodzenie się Kambyzesa i upadek potęgi perskiej; Xenofont obu faktów dostatecznie nie umotywował, a przez to dobrowolnie podkopał znaczenie swojej tezy. Nie da się ona zresztą obronić żadnym sposobem. Utopią jest przypuszczać, że syn lub wnuk zubożonego dorobkowicza, postawiony w zupełnie odmiennych warunkach, potrafi zachować cnoty ojca lub dziada. Cnota potrzebuje bodźca, a ten najczęściej znika lub traci siłę swoją, gdy zmienia się okoliczności. Wychowanie Persów było wyborne, ale obliczone na obywateli równych i wolnych ubożego kraju. Gdyby Cyrus i towarzysze jego tam zakończyli swe życie, nie byłiby nigdy zboczyli z drogi cnoty, a synów swoich chowali na ten sam sposób, raz dla braku pokus, potem dla silnej opinii publicznej, która byłaby surowo karciała każde zrywanie z tradycjami ojczyzestmi. Cyrus byłby w najlepszym razie został naczelnikiem nielicznego plemienia, z władzą bardzo ograniczoną, a jego towarzysze sędziami lub starszymi biednych wiosek. Ale ci górale bez potrzeb, wstrzemięźliwi, karni, hartowni, podbiwszy Azyę, wynoszą Cyrusa na władzcę olbrzymiego państwa, a ten towarzyszy swoich mianuje satrapami rozległych, bogatych prowincyj. Może być, że wszyscy aż do śmierci zachowali dawną prostotę i nieskazitelność, ale nikt nie uwierzy, żeby ich synowie lub wnuki, na czele wielkich fortun, rozkazując niewolnikom, nie licząc się z opinią wolnych i równych obywateli, oddaleni od króla, który coraz więcej stawał się nieprzystępnym a każdemu wolę swą wszechwładną narzucał, potrafili wieść żywot twardy, ubogi, enotliwy, nie mając do tego znikąd zachęty, a wystawieni na pokusy niezliczone. Takiemu zadaniu nadludzkiemu nie sprostałaby nawet edukacya Xenofonta.

Chociaż myśl główna Cyropedyi jest niewykonalną utopią, jednak dla formy i treści zasługuje dzieło na niemałe pochwały. Pierwsza to powieść dydaktyczna, napisana stylem nadobnym, z wyobraźnią często żywą a zawsze czystą. Prawda, że bohaterowie są czasem bardzo do siebie podobni, za wiele mówią, a nawet się powtarzają, ale te niedostatki towarzyszą całemu rodzajowi, który dla tego, że dydaktyczny, zwykle usuwa akcyę na plan drugi, robi ją przedmiotem roztropnych uwag, a tak osobom i sprawom nadaje pewną sztywność,

suchość, chłód nawet. To też nie dziw, że wielu krytyków potępiło ryczałtem cały ten gatunek literacki. Wytykają jego nudność, pedanterję, wymuszoność, brak intrygi miłosnej i bladeść naszkicowanych charakterów. Pomimo jednak tych utyskiwań, literatura ta i nadal istnieć będzie i cieszyć się względami takich czytelników, którzy w przyjemnej, łatwej formie pragną zapoznać się z jaką kwestyą specjalną. Nie ulega wątpliwości, że temu zadaniu Cyropedya najzupełniej odpowiada i że wojskowy, myśliwy, pedagog, przedewszystkiem zaś ludzie wysoko stojący, znajdują w niej rozdziały, pełne najzdrowszej nauki. To tłumaczy, dla czego pilnie czytowaną była, zwłaszcza w kołach wojskowych i dworskich, od Scypionów aż do cesarzy bizantyńskich i później we Francyi za Ludwika XIV, i dla czego aż do naszych czasów pozostała książką ulubioną w szkołach dobrze prowadzonych. A jeżeli z dumą macierzyńską spoglądać może na liczne, urodziwe potomstwo, ciągnące się po przez literatury nowożytne aż do „Przygód Telemaka,“ „Podróży młodego Anacharsisa,“ „Emila“ i „Pana Podstolego,“ może także z chlubą to o sobie powiedzieć, że nie została przewyższoną przez żadne z swoich dzieci <sup>1)</sup>.

Przebiegliśmy większą część dzieł Xenofonta, poprzestawszy przy każdym z nich na krótkiej ocenie. Pokazało się, że pod względem treści jestto pisarz bogaty i płodny, który w dziejopisarzkim zawodzie głośne sobie zdobył imię, na wielu innych zaś polach piśmiennictwa, przed nim albo mało albo wcale nie uprawianych, stworzył nowe, znakomite wzory, dotąd nie przewyższone. Jeżeli Helleniki nie dorównywają nieśmiertelnym areydzielom Herodota i Tucydyesa, to Anabaza pozostanie na zawsze celującą monografią wojskową, Ageszylausz pierwszą udaną próbą panegyricznej biografii, Cynegetyk, Hipparchik, Hippika cennymi przykładami fachowego traktowania podobnych przedmiotów, Rzecz-

---

<sup>1)</sup> Najlepsze wydanie krytyczne sporządził Hug (Lipsiae 1878); zasługują na uznanie także edycya Vollbrechta (u Teubnera) i Rehdantz-Carnutha (u Weidmanna). Smutno pomyśleć, że literatura nasza nie posiada dotąd przekładu znakomitej książki.

pospolita Lacedemończyków i Dochody do-  
 bremi okazami politycznej i finansowej literatury, nareszcie  
 Hieron i Cyropedya świetnymi produktami belletrystyki  
 moralizującej. A bogatej i rozmaitej treści wtóruje przedzi-  
 wna doskonałość stylu. Starożytni, wytrawni znawcy dobrego  
 wysławiania się, nie szczędzą mu pochwał. Cycero mowę  
 jego znajduje słodsza od miodu; przypuszcza nawet, że Muzy  
 same odzywały się przez jego usta <sup>1)</sup>. Kwintyliani wielbi  
 jego wdzięk bez afektacyi, jego styl, modelowany przez  
 Gracye, jego usta, na których rozsiadła się bogini wymowy <sup>2)</sup>.  
 U greckich pisarzy z niemniejszym spotykamy się podziwem;  
 Dionizy z Halikarnassu, Diogenes z Laerty, Dion  
 Chryzostom, Lucyan, Longin, Hermogenes, rozko-  
 szują w słodyczy, jasności i przezroczystości jego dykcyi <sup>3)</sup>.  
 Rzeczywiście sposobna ona jest do traktowania wszystkich  
 przedmiotów i można z niej zestawić, jak to zrobił rzekomy  
 Arystydes w swojej „Retoryce,“ przykłady na wszystkie  
 rodzaje stylu. Według trafnej uwagi Dionisa Chryzostoma  
 można w każdym położeniu, w każdej potrzebie znaleźć wzór  
 dobrego mówienia lub pisania w tym autorze wszechstronnym.  
 A jego zasługa wyda się jeszcze większa, gdy zważymy, że  
 od lat młodocianych przebywał na obczyźnie, wśród ludzi  
 niepiśmiennych, mówiących źle po attycku lub narzeczem od-  
 miennem. Jeżeli od nich nauczył się niejednego zwrotu, który  
 mógł razić delikatne ucho ateńskie <sup>4)</sup>, to z drugiej strony  
 przez pilne czytanie dawnych autorów, zwłaszcza Homera

<sup>1)</sup> Orat. 9, 32; Brut. 35, 132; Orat. 19, 62: *Xenophon-  
tis voce Musas quasi locutas ferunt.*

<sup>2)</sup> Instit. orat. X, 1, 82: *Xenophontis illam iucunditatem  
inaffectatam, sed quam nulli consequi affectatio possit, ut  
ipsae sermonem finxisse Gratiae videantur etc.*

<sup>3)</sup> Dion. Halicar. *Epist. ad Cnei. Pomp.* 4. p. 777. Diog.  
Laërt. II. 6. §. 57: *Ἀττικὴ Μοῦσα*, gdzie może z Sui-  
dasem (*sub voce*) należy czytać *μῆλιττα*; Dio Chrysost.  
or. 18. p. 480, gdzie unosi się nad stylem Anabazy. De-  
metr. *de elocut.* §. 80. 89. et 279. Hermog. *de ideis*  
2. 12. (*edid Walz* Tom III. p. 392).

<sup>4)</sup> Wszystkie grzechy Xenofonta przeciw czystemu attycz-  
mowi wyliczył Sauppe w swoim *Lexilogus Xenophonteus*  
(Lipsiae 1869) i w pierwszym tomie swego wydania.

i Herodota <sup>1)</sup> wzbogacił prozę attycką; zrobił ją giętszą i przygotował ów język powszechny (*κοινή*), który głównie zaprawiał się na jego dziełach, a do zdobycia Konstantynopola pozostał mową ludzi cywilizowanych po obu stronach morza egejskiego.

---

<sup>1)</sup> Zob. cytaty poprzednie z Hermogenesa i Dionizego z Halikarnassu.

*X. Dr Stefan Pawlicki.*

(Dokończenie nastąpi).

# KALLAY O ANDRASSYM.

(Dokończenie).

Franciszek Deak urodził się 13 października 1803 r. w Söjtorze, w komitacie zalskim<sup>1)</sup>. Ojciec jego miał niewielką posiadłość ziemską i trudnił się rolnictwem. Deakowie należą do uboższej szlachty, ale ród ich jest starożytnym. Matka autora węgierskiego *corpus iuris*, znakomitego Verböczyego, była z domu Deaków. W herbie ich znajdujemy książkę i pióro, godła nie noszące na sobie feudalnej cechy, które miały zawczasu wskazywać, z kąd płynie sława na to nazwisko. Franciszek Deak był w szkołach w Györze, następnie przeszedł kurs prawa w Raabie i rozpoczął tam zawód adwokacki, oddając się zarazem i polityce, która wówczas w Węgrzech pochłaniała wszystkie umysły.

Wiekowy, nieugięty opór Madziarów, przeciwko nieprawnym krokom dworu wiedeńskiego, uciszony podczas wojen napoleońskich, obudził się żywiej, niż kiedykolwiek. Wbrew brzmieniu starodawnych praw węgierskich, niezwoływano sejmu od 1811 r. Od r. 1822 do 1824 starał się rząd otrzymać wprost od komitatów podatki i rekrutów, których potrzebował, aby nie zwoływać zgromadzenia, którego wymagań obawiał się. Chcąc zjednać sobie zwolenników, nadał

---

<sup>1)</sup> W szkicu tym o Deaku trzymamy się głównie pracy znakomitego publicysty francuskiego, p. Emila de Laveleye, ogłoszonej w zeszycie *Revue des deux Mondes* z 1 listopada 1868 r.

on prawo głosu drobnej szlacheie, której liczba wynosiła przeszło sześćkroć sto tysięcy głów w królestwie węgierskiem. W jednym komitacie zalskim było przeszło 20.000 ubogiej szlachty, uprawiającej ziemię własnymi rękami. Biedni, ale dumni, ciemni, ale pyszniący się swem madziarskiem pochodzeniem, stanowili oni najruchliwszą część narodu, w której nienawiść Austrii była najbardziej zakorzenioną, najtrudniejszą do przejednania. Udając się wprost do nich i nadając im władzę, rząd popełnił jeden z tych błędów, których nie mogą uniknąć dynastye, chcące stawić opór rozwojowi wolności, kosztem legalności. Środek ten chybił celu. Popularni mowcy obudzili ducha opozycyi. Trzeba było nareszcie zwołać sejm. Gdy ten się zebrał w 1825 r., rząd ujrzał z przerażeniem na swej własnej ziemi, w królewskim mieście Presburgu, tesame zasady rewolucyi, to dążenie do równości i wolności, które Świąte przymierze i Francya pod panowaniem króla z Bożej łaski, zgmiotły we Włoszech i Hiszpanii. Izby zredagowały odezwę, pełną grózb, i chciały oddać pod sąd komisarzy królewskich. Burzę uśmierzone dzięki palatynowi i koncessyom wiedeńskim, a sejm 1825 r. przezwano „sejmem odrodzenia,“ bo od niego zaczyna się w Węgrzech obudzenie życia politycznego.

Młody Deak rzucił się z całym zapalem w wir ruchu, który porywał wówczas prawie wszystkich jego rodaków. Brał czynny udział w namiętnych rozprawach sejmiku komitatu zalskiego, gdzie jako szlacheie i jako adwokat miał prawo zasiadać. Cztery razy do roku zgromadzała się w głównem mieście komitatu kongregacya, w której brali udział szlachta, duchowni różnych wyznań, doktorowie, nauczyciele, rejenci, prawnicy. W zwykłych czasach, liczba obecnych była bardzo mała. Ale skoro tylko ważniejsza kwestya stała na porządku dziennym, przybywały tłumy, posiedzenie stawało się burzliwem, mowcy mówili z kolei wśród sykań i oklasków, i częstokroć przeciwne stronnictwa dochodziły do bójki. Zgromadzenie komitatów wybierało wszystkich urzędników, sędziów, rejentów i dwóch posłów, przedstawiających każdy z 52 komitatów na sejmie. Nadto wygotowywało instrukcye dla swoich posłów.

Młody Deak uzyskał wkrótce na zgromadzeniu swego komitatu wpływ, usprawiedliwiony wczesną dojrzałością jego umysłu i głębokiem prawnem wykształceniem. Podzielał on zasady opozycyi i chciał urządzić społeczeństwo węgierskie na zasadach równości i sprawiedliwości, a zarazem bronić starodawnych swobód i instytucyj, rozwijać język i narodowość węgierską. W dyskusjach odznaczał się jasnością wykładu, ścisłością wywodów i nadzwyczajnem umiarkowaniem. Wiedział czego chciał, i dążył do celu stanowczo i wytrwale, co nadaje zawsze i wszędzie, a przede wszystkim w licznych zgromadzeniach, wielką potęgę. Wkrótce stronnictwo opozycyjne uznało go za naczelnika swego w komitacie, za zdolnego do zasiadania w sejmie. „Młodzież grecka — mówi p. Laveleye — wprawiała się na igrzyskach do stanowczych rozpraw na polu boju. Podobnie i młodzież węgierska, dążąca do kierowania losami swego kraju, wprawiała się w rozprawach komitatu do trudnej i szlachetnej sztuki krasomowstwa i wtajemniczała się w zawód publiczny. Starożytna instytucya komitatów, trwająca przeszło tysiąc lat, jest dziś najlepszą szkołą do życia publicznego, jaką może posiadać naród wolny. W tej to szkole wyrobili się wszyscy mężowie stanu, wszyscy mowcy węgierscy. Za jej pośrednictwem zeszło zamilowanie wolności do najniższych warstw ludu. Napróżno będzie się szczycić naród Izba, błyszczącą światłem i wymową w stolicy; jeżeli tylko w prowincyach instytucye miejscowe pozbawione są życia, swobody działania i niezależności, rząd parlamentarny nie puści korzeni w narodzie, nie będzie miał warunków trwałości.“ W 1825 r., gdy Antoni Deak, starszy brat Franciszka, dotknięty chorobą, która miała wkrótce położyć kres jego życiu, złożył mandat poselski, wybrano jego posłem, chociaż wówczas liczył tylko dwadzieścia dwa lat. Gdy w sejmie odezwał się po raz pierwszy, Dyonizy Pazmandy, który mu odpowiadał, winszował mu tak szczęśliwego pierwszego wystąpienia. Na sejmie od 1832 do 1836 r. widzimy go już, jako naczelnika opozycyi. Istotnie była ona bez wodza, gdyż dotychczasowy przywódzca, Paweł Nagy, stracił był swój wpływ przez zbytne ustępstwa rządowi i stal się nawet podejrzanym swemu stronnictwu. Zalety, które wyniosły Deaka na czoło stronnictwa, nie uderzają

odrazu, nie zwracają na niego uwagi. Nauka jego nie obejmowała różnorodnych przedmiotów, ale znał on gruntownie historię Węgier, a przede wszystkim historię poprzednich sejmów. Wymowa jego, pozbawiona blasku i wschodniej okazałości, tak zwykłej u Madziarów, oświecała żywo każdy przedmiot, wykazywała słabą stronę przeciwnika i zbijała go z nieubłaganą logiką. Pośród zgromadzenia, skłonnego do przesady i do zbieżeń w mowie, ściśle wiązanie jego myśli i umiarkowanie, z jakim żądał tylko tego, co można było zaraz urzeczywistnić, nadawały mu niezaprzeczoną wyższość. Wszędzie jest rzeczą trudną kierować stronnictwem opozycyjnym, skłonnem do przesady, wprowadzić w niem karność, nadać mu spójnię. Stokroć to jednak trudniejsze w Węgrzech, z powodu gwałtowności charakterów i drażliwości osobistej. Deak dokazał tego bez wysiłku, bez wyrachowania, jedynie wskutek swego trybu myśli i postępowania. Zawsze unikał wszystkiego, co mogłoby urazić miłość własną przyjaciół, a nawet nieprzyjaciół, nigdy nie dawał uczuć swojej wyższości, nie wysuwał się naprzód, starał się, aby jego zwolennicy mieli sposobność wyłożenia swych myśli, wykazania swej wartości. Wreszcie kiedy sam wypowiadał swoje myśli, czynił to z prostotą, z pewnym rodzajem obawy i bez żadnej chęci narzucania ich innym.

W historii węgierskiej sejm 1832 do 1836 r. jest jednym z najważniejszych w bieżącym stuleciu. Naprzód rozpoczęły się na nim rozprawy o *gravaminach*, to jest o naruszaniu przez rząd starodawnych praw i przywilejów narodu węgierskiego, lub zapoznawaniu ich ducha. Następnie przystąpiła Izba do rozpatrywania projektów reform społecznych, a opozycya domagała się równości dla wszystkich i zniesienia przywilejów. Przyznać należy, że i wyższa szlachta węgierska, ożywiona tym szlachetnym duchem, który uniósł arystokrację francuską w nocy 4 sierpnia, była za zniesieniem przywilejów. Natomiast rząd wiedeński, pod kierownictwem ks. Metternicha, sprzeciwiał się reformom. Z powodu tych kwestyj miał Deak szereg mów, które imię jego rozniosły po kraju. Podnosił on też głos w obronie Polski i domagał się prawa przytułku dla Polaków, którzy schronili się

do Węgier. Od tego czasu głos jego stanowił o losie wniosku — on kierował większością Izby.

Gdy sesja izb została zamkniętą, rząd zaczął uciekać się do ostatecznych środków dla przytłumienia ruchu, porywającego kraj cały. Sądy skazały Wesselenyego, a Lovassyego i Kossutha, młodych trybunów, którzy rozszerzali w narodzie zapal, wtrącono do więzienia. „Wieczne zaślepienie rządów! — woła publicysta francuski. — Skoro naród zaczyna burzyć się dla uzyskania większej swobody, lub sprawiedliwego obejścia się, sądzą one, że powstrzymają ruch, uderzając w tych, którzy kierują masą. To jednak do niczego nie prowadzi i gotuje tylko wybuch, który wszystko obali, podobnie jak u maszynisty bez rozumu, zniecierpliwionego świstem pary, gdyby zamknął klapę, siła wrząca nie mając drogi wyjścia, rozerwałaby kocioł.“

Pod wpływem rozdrażnienia, wywołanego powyżej wzmiankowanymi krokami, zgromadził się sejm w 1839 r. z mocnem postanowieniem zmuszenia rządu do uszanowania odwiecznych praw jego. Opozycya prowadzona przez Deaka, szła naprzód tak świadomie swego celu, z taką oględnością i mądrością, że rząd przestraszył się. Palatyn wezwał Deaka na naradę i przekonał się z rozmowy z nim, że należy ustąpić. Kossuth został uwolniony, ale jego przyjaciel Lovassy umarł w więzieniu. Hr. Rhaday, poseł komitatu peszteńskiego, któremu wytoczono proces o obrazę majestatu, aby mu nie dać zasiadać w Izbie, otrzymał amnestyę. Deak miał więc już dostateczny wpływ, aby służyć za pośrednika między narodem i Koroną, i pojednać ich, zapewniwszy nietykalność swobód konstytucyjnych, które uważał jako podstawę istnienia Węgier.

Niezwykłe wydarzenie zwiększyło jeszcze szacunek narodu dla niego. Podczas agitacyi, poprzedzającej wybory na sejm 1843 r., powstał on z całą mocą przeciwko przywilejom, uwalniającym szlachtę od płacenia podatków. W komitacie zalskim, równie jak i w całym kraju, istniały dwa stronnictwa: jedno, powołujące się na prawa nabyte, starodawne tradycye, świętą konstytucyę, z której nie wolno wyjąć ani jednego kamienia, z obawy, aby gmach cały nie runął — drugie, mówiące o równości, sprawiedliwości, ogólnym interesie,

o zasadach cywilizacji nowożytnej i dążące do nadania tych samych praw wszystkim. „Szlachta chodackowa“ (*bocskoros namesek*) była liczna w komitacie zalskim i stronnictwu konserwatywnemu udało się ją przeciągnąć na swą stronę pod hasłem: „Nie chcemy płacić podatków.“ Deak nie został wybranym przy pierwszym głosowaniu, i przeciwnicy jego posunęli się aż do grożenia mu w jego własnym domu w Kehidzie. Ale stronnicy jego nie chcieli poddać się tak łatwo, jak ich kandydat, poszli za przykładem stronnictwa zachowawczego, uciekli się do obietnic, przekupstwa, gróźb a nawet do gwałtów. Przy powtórznym głosowaniu przyszło do starcia, krew popłynęła, ale reformiści zwyciężyli.

Deak powstał z całą energią przeciwko krokom swoich przyjaciół; on im zawczasu oświadczył, że nie przyjmie mandatu, zdobytego sposobami, które potępia; nie chciano mu wierzyć; sądzono, że skoro będzie wybrany, nie będzie mógł odmówić. Był nieugięty. „Nie znam—mówił on—dwóch miar i dwóch wag. Nie mogę korzystać z bezprawia, które potępiam u moich przeciwników.“ Odmowa ta, cechująca wielką odwagę, musiała go wiele kosztować, nie z powodu utraty krzesła poselskiego, ale z powodu zawodu, jaki czynił tym, którzy się poświęcali dla powodzenia jego kandydatury. Nie jeden z nich narażał się osobiście, wydał wiele pieniędzy i zadłużył się, a w nagrodę za to otrzymywał naganę. Zawód przyjaciół jego był straszny; w gniewie swoim nie szczędzili mu cierpkich wymówek; poświęcał on tryumf zasad i interesa publicznej drażliwości osobistej i drobiazgowym skrupułom, co było wedle nich godnym potępienia egoizmem. W polityce najtrudniej opierać się przyjaciołom. „Deak miał tę odwagę — mówi p. Laveleye — i swoją odmową, której żadne wyrzuty zachwiać nie mogły, oddał krajowi większą usługę, jak zajęciem miejsca w Izbie. Gdy chodzi o danie całemu narodowi nauki moralnej, słowa niewiele znaczą. Czyn, szlachetny przykład, mają większą doniosłość, jak najbardziej poruszająca wymowa.“

Nieobecność Deaka w sejmie wywarła wielkie wrażenie. „We Francji — mówił Eugeniusz Beöthy na posiedzeniu Izby—po śmierci Latour d’Auvergna codziennie w pułku jego czytano przy apelu jego imię i głos jeden odpowiadał: „Zgi-

nał na polu chwały.“ W Niemczech w dniu koronacyi cesarza zapytywano: „Czy jest choć jeden Dahlberg między zgromadzonymi.“ Wnoszę, aby przy otwarciu każdego sejmku zapytywano: „Czy jest Deak między nami?“—Zsedenyi, wedle obyczaju angielskiego, oddał w imieniu stronnictwa konserwatywnego sprawiedliwość swemu przeciwnikowi politycznemu, i nie wahał się wyrzec, że zabrakło Izbie najuczciwszego człowieka w Węgrzech. Dzienniki najrozmaitszych odcieni przemawiały w tym samym duchu. Było tryumf uczciwości politycznej. Nikt nie odważył się zająć wakującego miejsca Deaka i na sejmie 1843 r. komitat zalski miał tylko jednego przedstawiciela.

Po wyjściu z więzienia, Kossuth rozpoczął wydawnictwo dziennika *Pesti Hirlap*, który broniąc z talentem i odwagą prawa narodu, zjednał swemu redaktorowi ogromną popularność. Szechenyi, zaniepokojony gwałtownością Kossutha, napadł nań w dziele *Kelet Nepe*, i odtąd rozdwojenie między dwoma odcieniami stronnictwa reformy, coraz bardziej zarysowywało się. Deak w ciągu tego czasu trzymał się ciągle na uboczu, ale pozostawał wiernym swym zasadom. We wszystkich wówczas rozbieganych kwestyach o swobodzie druku, równouprawieniu wyznań, prawie wyborczem miast, zniesieniu przywilejów, był on za idącymi daleko reformami. Ale do tych reform chciał dojść legalnie, drogą systematycznego rozwoju, i stanowczo odrzucał projekta zerwania z Austryą, które wówczas zaczęły się pojawiać. „Jestem — powtarzał on często—reformatorem, a nie rewolucjonistą.“ Znamienity publicysta, przyjaciel i współpracownik Deaka, Eötvös, wyrażał w piśmie wspólne ich myśli. Wedle nich, napady Szechenyego na Kossutha były nieraz przesadne, ale nie podzielali oni zapatrywań Kossutha w kwestyi reorganizacyi politycznej Węgier. Kossuth chciał bowiem rozszerzyć i tak już obszerny zakres działań komitatów, wówczas gdy Deak i Eötvös utrzymywali, że przy odpowiedzialnem ministeryum i sejmie, mającym odpowiedni zakres działania, byłoby szkodliwem, żeby zgromadzenia prowincjonalne miały prawo zawieszając działalność praw, stanowionych przez sejm. Kwestya granic władzy centralnej stała się wówczas w Węgrzech przedmiotem rozpraw, godnych zająć miejsce obok sławnego amerykańskiego

skiego *Federalisty* w czasie konstituowania się Stanów Zjednoczonych.

W 1846 r. Deak chorował i jeździł leczyć się do wód krajowych i zagranicznych. Powrócił nieco zdrowszy, za słaby jednak, aby mógł przyjąć ofiarowany mu w czasie wyborów 1847 r. mandat. Stan kraju mocno go niepokoił. Nie widział innego wyjścia, jak despotyzm lub rewolucya. Nie było harmonii między fundamentem i szczytem węgierskiej konstytucyi. Mechanizm rządu reprezentacyjnego, tworzący się całe wieki, był tak skomplikowany, że tamował swobodny przystęp nowym ideom, wrzającym na zgromadzeniach komitatów. Tylko posłowie mieli prawo proponować zmianę istniejących przepisów, ale trudno było przeprowadzić jaki wniosek. Tracono czas na drażniących rozprawach. Izba magnatów zwykle przerabiała projekta praw, które jej przedkładano. Sejm przyjmował część zmian i odsyłał projekt napowrót do Izby magnatów. Słowem, byłato wymiana not i odpowiedzi bez końca. Jeżeli nareszcie potrafią porozumieć się, trzeba było wyprawić elaborat jeszcze do kancelaryi węgierskiej w Wiedniu, która odsyłała go napowrót z nowemi zmianami i restryktem, albo wcale nie odpowiadała. Tym sposobem Izba niższa, wyłoniona z namiętnych zgromadzeń komitatów, była pozbawioną wszelkiej władzy. Każdą obietnicę dworu wiedeńskiego witano tysiącznemi *eljen*; jeżeli namiestnik króla, *personalis regius*, użył wyrażenia sprzecznego z prawami narodu, wołano zewsząd *gravamen* i jakiś prawnik roztrząsał poprzednie wypadki. Sejm był więc silną zaporą przeciwko samowoli, ale nie mógł stać się organem postępu i reformy. Sejm 1843 do 1846 r. nie przyniósł żadnych owoców, a opozycyi brakło wodza, będącego w stanie prowadzić ją do boju.

Po wyborach 1847 r. większość opozycyi zgrupowała się koło Kossutha, który wziął za dewizę: „Z wami, albo bez was, a nawet przeciwko wam.“ Szechenyi wzywał Deaka, aby mu pomógł utworzyć stronnictwo umiarkowane pod hasłem: „Postęp i wolność bez rewolucyi,“ któreby walczyło zarazem i z Kossuthem i z rządem. Deak odmawiał, sądząc, że nie wolno mu było osłabiać stronnictwa narodowego jawnem rozdwojeniem, i wołał narażać się na niebezpieczeństwo powstania, niż dawać broń w ręce despotyzmu. W tym cza-

sie wykazywali dwaj posłowie, Bezerecy i Perczel, że swobody węgierskie są zagrożone, póki dziedziczne kraje Habsburgów podlegają rządowi despotycznemu. Tensam monarcha nie może być jednocześnie samowładnym panem w Wiedniu i królem konstytucyjnym w Presburgu. Wszzechwładztwo ludu i samorząd nie mogą długo istnieć obok metternichowskiego bezgranicznego ucisku.

Gdy odbicie lutowej rewolucyi obaliło stary porządek, mógł się Deak łudzić czas jakiś, że życzenia Węgier spełnią się, nawet i co do krajów dziedzicznych. Twierdzą jednak, że jego wiara w przyszłość wkrótce zachwiała się, gdy ujrzał narody i przywódców tak mało uzdolnionych do rzeczywistej wolności, piastunów władzy tak przesiąkniętych staremi autokratycznymi ideami, narodowości tak zaślepione, tak niesprawiedliwe w swoich żądaniach i we wzajemnych nienawiściach. Wówczas uczuł wielki smutek i powtarzał często: „Jestto początek końca.“

Gdy hr. Ludwik Batthyany tworzył pierwsze węgierskie ministeryum, udał się i do Deaka, który był jedynym możliwym pośrednikiem między Kossuthem a Szechenyim. Deak nie lubił urzędów, ale przywykłszy stawić interesa kraju wyżej jak własne zamięlowania, przyjął po pewnem wahaniu się 17 marca 1848 r. tekę ministerstwa sprawiedliwości. Wówczas już słynne prawa 1848 r., które zostały na nowo przywrócone w 1867 r., były opracowane. Chociaż Deak potępiał pewne postanowienia w nich zawarte, przyłożył jednak wszelkich starań, aby je jaknajrychlej przeprowadzić, dla przyspieszenia oswobodzenia niższych stanów, bez podburzania ich przeciwko wyższym. Byłoby wedle jego własnego zeznania, najtrudniejszą jego pracą. Świeżo uwolnieni chłopcy wyobrażali sobie, że rozdziela pomiędzy nich ziemie dziedziców. Tłumnie się więc zbiegali ku niemu ludzie różnych narodowości, z różnych stron kraju, dla uzyskania sprawiedliwości. W Węgrzech ministrowie są nadzwyczaj przystępni. Pozostają częstokroć nadal w skromnych mieszkaniach, które jako prywatni zajmowali, i przyjmują każdego w oznaczonych godzinach. Wieczorem zwykle bywają w klubie, gdzie każdy może swobodnie rozmawiać z nimi. Pozostają więc w zetknięciu z publicznością i są obznajomieni

z ogólną opinią. Deak mieszkał w 1848 r. w hotelu *Arcyksięcia Stefana*. Raniutko przyjmował zewsząd do niego zbiegających się włościan. Tłómaczył im nowe prawa, oswobadzające ich od pańszczyzny. Wykazywał im, że przy wolności i równości wobec prawa, mogą się wzbogacać pracą; oświecał i pocieszał. Wlewał w nich miłość sprawiedliwości i miłość kraju, które go ożywiały, i odchodzący od niego wracali do domów swoich, gotowi przelać krew pod wodźstwem swych dawnych panów, w obronie tych praw, na których niesprawiedliwość użalali się.

W swoim zarządzie przyjął Deak za hasło tę piękną maksymę, którą często powtarzał podwładnym: „Powinniście być sprawiedliwymi, abyście mogli być wolnymi.“ Powtarzał im również: „Bądźcie sprawiedliwymi dla małych, jeżeli chcecie, aby potężni byli sprawiedliwymi dla was.“ Współ z Szalayem i Eötvösem rozpoczął on wypracowanie kodeksu kryminalnego, którego wysoką wartość uznali znani kryminaliści niemieccy, i wygotował prawo o przysięgłych. W ministerium popierał zawsze z Batthyanyim, Szechenyim, Eötvösem, Meszarosem i Klauzalem kroki, prowadzące do zgody z Austryą. Ale między dworem wiedeńskim, który nasyłał tłumy Kroatów i Serbów na Węgry, dla wydarcia im praw, z musu nadanych, a zapaleczywymi patryotami, którzy tylko w powstaniu upatrywali zbawienie, nie było pola działania dla stronnictwa, chcącego trzymać się ściśle drogi legalnej. W czasach rewolucyjnych tylko krańcowe stronnictwa pozostają wobec siebie. Dziennik *15 Marcius*, chcąc Deaka pozbawić uroku, wziął za stały epigraf: „Precz z polityką tablabirów;“ prawie wszystkie komitaty węgierskie bowiem mianowały Deaka *tablabirem*, to jest członkiem trybunału prowincjonalnego. Tę tedy oznakę szacunku całego narodu starano się zmienić w śmieszność!

Wkroczenie bana Jelacicza na czele Kroatów do południowych komitatów i zamordowanie na moście peszteńskim generała Lamberga, przysłanego przez cesarza dla porozumienia się co do organizacyi wojska, czyniły walkę nieuniknioną. Węgierski Tyrteusz, Petöfi, tworzył wojenne śpiewy: „Nadszedł czas dziś lub nigdy“ i „Już bębny wzywają nas do broni,“ które kraj cały, powstając, śpiewał, tak jak we

Francyi w 1793 r. śpiewano Marsylianę dążąc ku granicom. Rola Deaka zdawała się skończoną. Mimo to pracował on gorliwie nad pojednaniem Węgier z rządem, albowiem tylko pojednanie mogło ochronić kraj od wielkich klęsk. We wrześniu udał się do Wiednia na czele deputacyi. Układy nie doszły jednak do skutku i rozstano się z wzajemnem rozdrażnieniem. W początkach października wystąpił on z ministeryum, ale pozostał w Izbie. Gdy ksiązę Windischgraetz na czele zwycięskiej armii przybył pod mury Budy, obie Izby postanowiły, na wniosek Batthyanyego, wysłać doń deputacyę, w skład której weszli: arcybiskup z Erlau, Batthyany, Grzegorz i Antoni Maylathowie i Deak. Deputacya przybyła do obozu d. 31 grudnia 1848 r., ale marszałek kazał jej powiedzieć, że nie będzie traktować z buntownikami. Wyrazy te drogo kosztowały Austryę. Skutkiem ich była upokarzająca porażka wojsk cesarskich przez wojska węgierskie, a następnie jeszcze bardziej upokarzająca pomoc Rosyi, której Austria ówczesna zawdzięczała swe ocalenie. Węgrom nie pozostało innego wyjścia, jak chwycić za miecz Bethlenów i Rakocznych. Ale Deak, mąż prawa, nie miał już nic do czynienia tam, gdzie wypadek bitew stanowił o losach kraju. Pierwsza część jego politycznej kariery kończy się też w smutnym dniu św. Sylwestra, w którym wrócił z obozu austriackiego. Wkrótce sejm przeniósł się do Debreczyna, ale Deak nie szedł za nim.

Gdy wojska austriackie opanowały Węgry, Deak mieszkał w Kehidzie, nie ukrywając się. Ani przekonania, ani usposobienie jego nie uzdolniały go do wzięcia pożytecznego udziału w powstaniu, wołał więc stać na uboczu. Pamiętne są krwawe egzekucye po Villagoskiej kapitulacyi. Hr. Batthyany, hr. Leiningen, Nagy Sandor, Damjanich, Török, Aulich, Lanner, Kiss zostali powieszani lub rozstrzelani. Deaka nie niepokojono, w czasie, gdy dawni jego towarzysze ocalali się ucieczką. Nawet nie dopytywano się go o nie. Powoli wrócił on do dawnego trybu życia i jeździł do Pesztu lub do Wiednia, stosownie do swoich interesów. Z zapalem oddawał się ulubionym studyom, ale nie wydawał nic, coby jego pogląd na ówczesne położenie kraju zdradzało. Gdy Eötvös, Paweł Somsich, Edward Zsedenyi, hr. Antoni Szcz-

sen wydawali poważne dzieła, w których dopominali się o prawa swego kraju, rządzonego jak kraj zawojowany, Deak milczał. Milczenie trwało lat dziesięć i rzecz dziwna — mówi francuski publicysta — w tym czasie rósł Deak w oczach wszystkich, a wpływ jego stawał się wszechwładnym. W jaki sposób, niewiadomo. Nigdy nie zaczynał sam mówić o sprawach publicznych. Gdy go zapytywano, odpowiadał w kilku wyrazach. Nie taił się ze swemi myślami, ale nie starał się ich rozpowszechniać, wiedząc, że reakcyja musi iść swoim trybem. Przypatrywał się spokojnie i z pozorną obojętnością centralizacyjnym doświadczeniom barona Bacha, przekonany, że one muszą spełznąć na niczem. Do tego czasu uważał wszelkie starania za daremne. Sprzedawszy Kehidę, przeniósł się na mieszkanie do Pesztu, gdzie widywał mało ludzi. Corocznie poświęcał znaczną część swoich skromnych dochodów na wspieranie ubogich przyjaciół i na jałmużny. Odzyskał nawet wesołość i po dniu poświęconym pracy, lubił spędzić wieczór w gronie przyjaciół, przy kuflu piwa. Takie zachowanie drażniło gorętsze dusze, i towarzysz jego z ministerstwa, Szemere, pisał o nim, że „Deak w swej samotności wygląda jak wyrocznia, do której nikt nie śmie udać się po radę.“

Gdy gabinet węgierski zamyślał o nowem urządzeniu Węgier, starał się porozumieć z Deakiem. Wówczas to napisał on list, przedrukowany przez wszystkie dzienniki, w którym oświadcza, że nie może przyczynić się do tego, gdyż sposób, w jaki ministerjum chce urządzić interesa Węgier, nie zgadza się z jego zasadami. Pomimo oporu „mędrca ojczyzny“ (*orszag bolcse*) chciał minister Bach wymienić z nim „kilka rozsądnych wyrazów.“ W ciągu kilku posiedzeń rozwijał mu i motywował plany centralistów: chcą oni utworzyć państwo austriackie, podobnie jak są urządzone państwa francuskie, angielskie, hiszpańskie, nadać pojedynczym prowincjom najobszerniejsze prawa dla załatwiania miejscowych interesów, ale przyznać rządowi centralnemu władzę konieczną dla zachowania jedności państwowej; aby Austria mogła istnieć, potrzeba jej dać niezbędne do istnienia warunki. Na wszystkie rozumowania ministra, Deak odpowiadał: „Niech mi pan wybaczy, znam tylko konstytucyę

węgierską. Póki ona nie jest wprowadzona w życie, nie nie mogę, gdyż niczem nie jestem.“ Napróżno minister nalegał— postanowienie Deaka było niezachwiane.

Układy, które rząd austriacki prowadził z Deakiem, jako z przedstawicielem Węgier, przyczyniły się jeszcze bardziej do powiększenia jego wpływu. Powód tego nadzwyczajnego stanowiska tłumaczy nam list Węgra, pisany w 1860 r. „W oczach Deaka — mówi on — prawda i sprawiedliwość stoją wyżej jak wszelkie interesa polityczne, nawet jak interesa jego ojezyny, gdyby one mogły być w sprzeczności z prawdą. Mówią, że perły tracą blask, jeżeli osoba, która je nosi, zachoruje. Deak przestałby być samym sobą, gdyby miał przyłożyć rękę do tego, co uważałby za bezprawie, chociażby to miało oswobodzić kraj jego od ucisku. On nie uczyniłby nie takiego, czegoby sumienie nie pozwoliło mu zrobić, a nikt nie wie, do jakiego stopnia posuwa on skrupuły. Wzrok jego przenikliwy, trafność sądu niezrównana, a mimoto waha się, tak dalece się obawia zrobić fałszywy krok. Wskutek tego wielu ludzi, widząc go nieruchomym, podczas gdy w swej niecierpliwości chcieliby, aby szedł naprzód, oskarża go o brak odwagi. Ale prostota życia, nieposzlakowana prawość charakteru, logiczność jego postępowania politycznego, które nie zmieniło się od 40 lat, uderzają naród. On wie, że Deak nie da się przekupić, że obietnice i groźby nie zachwieją go, że ani starania dworu, ani szemrania tłumu, ani zakłęcia przyjaciół, ani obawa śmierci, ani nawet szal patryotyczny nie sprowadzą go z drogi, którą sobie nakreślił. On przyznaje mu nadludzką mądrość, oględność i przezorność, mogącą obejść wszelkie sidła, wyjść cało z wszelkich niebezpieczeństw. Deak jest w oczach tłumów typem sprawiedliwości, głosem prawdy, kamieniem probierczym zdrowego rozsądku. On nie obudza zapału, gdyż nie starał się nigdy o pociągnięcie kogokolwiek bądź swojemi mowami lub pismami. Ale cały naród wierzy w to, że od niego tylko powinien otrzymywać hasło. Żadne stronnictwo nie potrafi pociągnąć narodu bez przyzwolenia Deaka, gdyż każdy wierzy w to, że on tylko może powiedzieć, kiedy będzie roztropnie i słusznie rozpocząć działanie. Wygnańcy, jakkolwiek popularni, nie znaleźliby odgłosu w kraju, gdyby

Deak milczał; ale niech on podniesie się, niech przemówi, a całe Węgry staną jak jeden mąż.“ List ten tłómaczy nam, dlaczego Węgry nie korzystały ani z wojny włoskiej w 1859 r. ani z wojny niemieckiej w 1866 r. dla zrzucenia znieawidzonego jarzma. Bo „mędrzec ojczyzny“ nie pragnął zniszczenia Austrii — nie wydał hasła do walki.

Dnia 20 października 1860 r. nadał cesarz Franciszek Józef swoim ludom, dyplomem cesarskim, konstytucyę. Na mocy tego dyplomu miała Rada państwa, złożona z deputowanych całej monarchii, stanowić o wspólnych interesach, o dyplomacyi, skarbowości, wojsku, a resztę pozostawiono sejmom prowincjonalnym. Z początku dyplom wywarł w Węgrzech dobre wrażenie. Ale czyż mogły Węgry poprzestać na skromnej roli jednej z prowincyj cesarstwa, zamiast stanowienia nadal niezależnego królestwa św. Stefana? Deak oświadczał, że wedle niego jedyną podstawą, na której zgoda możliwa, są prawa 1848 r. Sądził jednak, że Węgrzy prędzej dojdą do celu zapomocą układów, prowadzonych ze stałością, jak zapomocą gwałtownych kroków.

W grudniu mieli Deak i jego przyjaciel Eötvös długie posłuchanie u Cesarza. Zapewne Deak wyniósł z niego przekonanie, że porozumienie było możliwe, bo po powrocie do Węgier, zmienił tryb postępowania i po dwunastoletniem trzymaniu się na uboczu, zaczął znowu poświęcać się życiu publicznemu. W tych czasach zajmowano się reformą sądownictwa komitatów i reformą prawodawstwa węgierskiego, i on też ze zwykłym umiarkowaniem i stałością wziął udział w tych pracach.

Jako pierwsze, najbliższe ustępstwo dla Węgier przez Austrię uczynione, musimy uważać to, że wybory sejmowe odbyły się wedle prawa wyborczego z r. 1848. Miało to miejsce w marcu pod wpływem rozdrażnienia, wywołanego patentem z 26 lutego 1861 r., który rozszerzał zakres działania władzy centralnej, stanowił, że Węgry będą miały odtąd 85 przedstawicieli w Reichsracie, a przyznawał oddzielną reprezentacyę Siedmiogrodowi i Kroacyi, wskutek czego te *partes adnexae* królestwa św. Stefana, nie posyłałyby posłów do Pesztu. Patent z 26 lutego uważali Węgrzy za targnięcie się na prawa ich kraju. Nieufność ku wszystkiemu, co po-

chodziło z Wiednia i nienawiść ku rządowi, były tak wielkie, że spory zaczęły się przed otwarciem sejmu. Wedle prawa z 1848 r., sejmy miały zbierać się w Peszcie. Ministerium natomiast zwołało sejm do Budy, gdzie jest pałac cesarski. Przed otwarciem sejmu zgromadzili się posłowie dla naradzenia się nad tem, co mają robić. Umiarkowani chcieli udać się na uroczyste posiedzenie, dla zagajenia sejmu w Budzie, a następnie przenieść się do Pesztu. Posłowie lewicy chcieli zmusić rząd do uszanowania całego dzieła 1848 r. i nawet co do drobnych formalności nie dopuszczali żadnych ustępstw. Proponowali więc ogłosić za zdrajcę każdego posła, któryby był obecnym na uroczystem posiedzeniu w Budzie. Na to powstał Deak i oświadczył, że chociaż uznaje prawa 1848 r. i nie lubi urzędowych ceremonij, uda się jednak do Budy, chociażby miał tam być sam jeden. Krańcowa opozycja miała większość, a mimo to wniosek Deaka utrzymał się.

Po rozpoczęciu obrad w Peszcie należało rozstrzygnąć, w jakiej formie przedstawić skargi i żądania. Lewica pod wodzą hr. Telekiego była za rezolucyą. Deak natomiast proponował wyłożyć zasady i żądania sejmu w adresie, gdyż rezolucya mogła urazić cesarza i zamknąć drogę do dalszych układów. Mowa, postępowanie powinno być stanowe, ale pocóż dążyć do nieuchronnej walki. Jeżeli ona nieunikniona, —mówił Deak—niech odpowiedzialność spada na dwór, a nie na sejm.

Redakcyę adresu poruczył sejm Deakowi, który go z swoim przyjacielem, publicystą Csengerym, opracował. W dniu, w którym Deak miał czytać swój projekt adresu, rozeszła się nowina po Peszcie, że naczelnik opozycyi, hr. Władysław Teleki odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu. Deak, wzruszony tym wypadkiem, zażądał głosu na początku posiedzenia, aby oddać należną cześć swemu przeciwnikowi politycznemu; ale wzruszenie jego było tak silne, że łyż tamowały mu głos. Izba podzielała jego uczucia i posiedzenie zostało odroczone. Dopiero 13 maja odczytał Deak projekt adresu, który zwrócił na niego uwagę całego świata. Na sejmie węgierskim wydarzył się wówczas wypadek, nie mający podobnego w rocznikach innych krajów konstytucyj-

nych. Opozycja krańcowa, aczkolwiek straciła przywódcę, miała większość kilku głosów i chciała, żeby Izba przyjęła rezolucję. Tisza i Ghyezy, którzy zastąpili Telekiego, pracowali nad tem usilnie — a jednakże lewica postanowiła, że w chwili głosowania trzech jej członków opuści salę, ażeby adres Deaka został przyjęty, żaden zaś ze stronników rezolucyi nie był zmuszony do głosowania przeciwko rezolucyi. Ostatnie wyrazy mowy Deaka wywarły głębokie wrażenie: „Może kto będzie twierdził, że polityka moja bojaźliwa i nikczemna. Ten tylko tehorz i nikeczemnik, kto myśli o sobie, wówczas gdy ważą się losy jego kraju; ale nie zasługuje na zarzuty ten, który nie dbając o swoje interesa, myśli tylko o niebezpieczeństwach, grożących krajowi. Gdy o nas tylko idzie, możemy narażać się. Ale gdy idzie o tych, którzy poruczyli nam losy swe, gdy o kraj chodzi, wówczas nie należy nie poruczać trafowi, oględność staje się obowiązkiem. *Powinniśmy wszystko poświęcać dla ojczyzny, ale ojczyzny samej nie mamy prawa narażać.* Wiem, że nasi wrogowie podczas smutnych lat, które przeżyliśmy, przepelnili kielich goryczy. Wiem, że byłoby dla nas pewnego rodzaju cierpką rozkoszą dać wybuchnąć tak długo tłumionym uczuciom z powodu krzywd i uraz, jakich doznawaliśmy, i nie krępować naszego oburzenia, nie oglądać się na skutki, któreby mogły wyniknąć. I ja także podzielałam rozdrażnienie wszystkich Węgrów przeciwko tym, którzy zgubili tyłu ludzi i przyczynili tyle smutku i żaloby krajowi. Ale czuję w sobie siłę kochać goręcej kraj mój, aniżeli nienawidzić moich nieprzyjaciół. Wolę przytłumić urazy, któremi przepelniona dusza moja, jak dać się skłonić do czynu, mogącego szkodzić Węgom. Znam całą potęgę opinii publicznej. Przyznaję, że należy zwracać na nią wielką uwagę. Ale mam szczerego przyjaciela, który głośniejsz przemawia do mego serca, niż opinia publiczna, przyjaciela, który się nie daje ugiąć, którego wskazówki są dla mnie święte i którego nagana zabilaby mnie. Tym nieskazitelnym przyjacielem jest moje sumienie.“

Mowca sądził, że mówi przed nieprzyjazną sobie większością i że naraża swą popularność, a tymczasem zwycięstwo jego było zupełne. Nigdy dziwny wpływ jego nie ukazał się widoczniej. Najuporczywsi jego nieprzyjaciele byli rozbrojeni.

Projekt adresu wywołał w całym kraju wybuch dumy narodowej. Dzienniki wiedeńskie przyznały, że nikt w cesarstwie nie potrafi odpowiedzieć równie świetnie na ten mistrzowski dokument. Wykazując, jakie prawa historia i traktaty przyznawały Węgrom wobec Austrii, wskazywał on narodowi, fanatycznie przywiązanemu do swej przeszłości, legalną drogę oporu, na której miał wytrwać do końca. W pamiętnym adresie, ten, którego zwano „mędrcem ojczyzny,“ oświadcza, że Węgry nie mogą przyjąć nadanej konstytucyi. One pragną, aby im wrócono ich starą konstytucyę, będącą wynikiem ich historycznego rozwoju, przyznaną przez traktaty, uświęconą doświadczeniem wieków, którą naród sam wedle potrzeb czasu zmieniać może. Prawo, słuszność, świętość umów przemawiają za nami — mówił Deak, — przeciwko nam tylko siła oręża. Chcą, aby Węgry były częścią składową monarchii, prowincją cesarstwa austriackiego, jednolitego, dotychczas nie istniejącego państwa. Nie możemy zgodzić się na to, nie poświęciwszy naszej niezależności i przekazanej nam przez przodków węgierskiej konstytucyi, a tego nie mamy prawa uczynić. Pragmatyczna Sankeya, na mocy której cesarz jest królem węgierskim, uważa nasz kraj za państwo niezależne. Następcy Karola VI, Marya Teresa, Leopold II, Franciszek I, Ferdynand V, przyznawali naszą niezależność i prawo płacenia tylko przewotowanych przez sejm podatków. Tylko Józef II nie koronował się, aby nie przyznać naszych przywilejów w dyplomie koronacyjnym. To też Węgry nie uznawały go nigdy za swego prawego władcę i rozporządzenia jego nie zostały zamieszczone w zbiorze praw naszych. Pragmatyczna Sankeya i wszystkie traktaty, utworzyły rodzaj unii osobistej między Węgrami i krajami dziedzicznymi. Nigdzie niema śladu rzeczywistej unii. Najoczywistszy interes kraju zabrania nam nadać prawo rozporządzania naszym wojskiem i skarbem zgromadzeniu, w którym posłowie nasi byliby w mniejszości. Austria ma w Niemczech interesa, które zupełnie nas nie obchodzą, i należy do związku niemieckiego, do którego Węgry nie należą. Mogłyby zatem one być wplątane w wojnę, która ich wcale nie obchodzi. Dalej żądał adres przyłączenia napowrót do korony św. Stefana wszystkich *partes adnexae*: Siedmiogrodu, Kroacyi, Sławonii, Po-

granicza Wojskowego, i kończył się jasnym i stanowczym oświadczeniem, że nigdy Węgry nie wysłały posłów do centralnego parlamentu, nigdy nie wyrzekną się niezależności i swobód, zapewnionych przez konstytucyę, prawa, dyplomy koronacyjne i traktaty.

Uderza w tym dokumencie — pisze p. Laveleye, — że Deak powołuje się tylko na prawo historyczne, a ani razu, chociażby nawiasowo, nie odwołuje się do prawa naturalnego. Zwykle przeciwnie postępują ci, którzy stawiają opór monarchom i chcą wprowadzać swobodne instytucye. Prawa ludzi, tworzących społeczeństwo — twierdzą oni — nie opierają się na ich historii, ale na ich naturze; nadużycie nie przestaje być nadużyciem, dlatego że trwa długo. Ale Deak, znajdując wszystkie nowożytne swobody w starodawnej konstytucyi swego kraju i broniąc jej przeciwko starożytnej dynastyi, stanął na twardym gruncie, opierając się na tradycyi. Wspierał się na tejsamej zasadzie, z której monarcha wyprowadzał swoją prawowitość. Wiedział on, jaką siłę nadaje tradycya swobodzie. Anglia i Stany Zjednoczone zachowują swe instytucye, bo doszły do nich powoli, drogą systematycznego rozwoju i mają tradycyę. Francya nie może ustrzedz swobody, którą tak często bohatercko wywalczała, ponieważ zdobywa ją nagle, w chwili szału narodowego i ani wychowanie, ani historia nie uzdolniły jej do korzystania ze swobody. Wszędzie tradycya ma swój udział i kto chce obejść się bez niej, pada. W sztukach tworzą ludzie natchnieni swe arcydzieła zapomocą tradycyi. Wielkie epece narodowe, są to przekazywane, przetwarzane legendy, którym poeta nadał ostateczne kształty. Dramata również opierają się na tradycyi. Malarstwo dąży do doskonałości łatwą do śledzenia we Włoszech, nieprzerwaną, tradycyjną drogą. Jeszcze większy udział tradycyi w rzeźbie i w architekturze. Jeżeli sięgniemy do początków nowożytnych wynalazków, użycia pary, elektryczności, to przekonamy się, że doszliśmy do nich drogą stopniowych ulepszeń. Społeczeństwo, równie jak przyroda, powinno rozwijać się systematycznie. Zadziwiające zmiany, których ślady nosi na sobie powierzchnia kuli ziemskiej, odbywały się kolejno, stopniowo, w ciągu wieków. Podobnie i nasze ustawy, nasze prawa muszą uleść głębokim zmianom,

ale gwałtowne, nie będą ani najbardziej odpowiednie, ani najtrwalsze.

Adres Deaka został bardzo źle przyjęty w Wiedniu, i kancelarya cesarska odpowiedziała nań reskrytem z dnia 21 lipca, w którym twierdziła, że unia między Węgrami i krajami dziedzicznymi była zupełną, że Węgry zawsze musiały brać udział w ogólnych wypadkach, że prawa 1848 r. nie mogły być całkowicie wprowadzone w życie, gdyż takie wprowadzenie ich, spowodowałoby wielkie zamieszania, i że zarówno w interesie cesarstwa jak i królestwa, należało jak najspieszniej przysłać deputowanych do Rady państwa w Wiedniu dla radzenia o sprawach wspólnych. Krótko mówiąc, byle Węgry zgodziły się na wysyłanie posłów do parlamentu, ustąpiłoby im co do reszty. Ale Węgrzy, to ludzie o „nieugiętych karkach“, o których wspomina Pismo święte. Niepodobna skłonić ich do ustępstw, kiedy opierają się na prawie historycznem. Jestto naród żołnierzy i prawników. Każdy z nich, zbrojny w miecz i *corpus iuris*. Gdy jeden nie dopisze, bronią się drugim. Reskrypt cesarski wywołał gwałtowne niezadowolenie. Oba stronnictwa Izby zlały się w jedno, postanowiły nie poddać się nigdy nakazom z Wiednia i poleciły Deakowi zredagować to postanowienie.

Nowy adres Deaka przyjęto jednomyślnie. Powtarza on wszystkie argumenta pierwszego adresu, rozwija je, wspiera licznymi przykładami historycznymi, obala z nieubłaganą logiką wszystkie twierdzenia reskryptu cesarskiego. Jako rozprawa prawna, jestto arcydzieło, które pociągnęłoby niewątpliwie za sobą pomyślny wyrok każdego trybunału. Jestto streszczenie historii politycznej Węgier, wykład ich prawa konstytucyjnego. Spór nie przedstawiał wyjścia. Pan Schmerling chciał sprowadzić królestwo św. Stefana na stopę prowincyi austriackiej. Deak i cały naród węgierski żądał wszechwładnego sejmu z ministeryum odpowiedzialnem w Peszcie. Adres stwierdzał, że wszelkie dalsze rozprawy byłyby nadaremne. 21 sierpnia 1861 r. rozpuszczono sejm. Ponieważ istniał przepis, zabraniający rozpuszczać Izby przed rozpatrzeniem budżetu, wniesiono uroczysty protest do protokołu, w którym posłowie oświadczają, że ustępują tylko wobec siły. Podczas tej pięciomiesięcznej walki sejmowej, Deak po-

siadał nieograniczone zaufanie Izby, mówił i układał się w jej imieniu, słowem Węgry uosobiły się w nim.

We wrześniu 1861 r. wszystkie autonomiczne rady komitatów i gmin miejskich zostały rozpuszczone. Komisarze królewscy objęli zarząd. Jak za czasów Bacha, powrócono do rządów samowładnych. Jednocześnie dla odosobnienia i osłabienia Węgrów, budzono uczucie narodowe w Krocacji i w Siedmiogrodzie, starano się pobudzić Rumunów i Sasów, na korzyść których zniżono census wyborczy, aby wysłali swych deputowanych do Wiednia. „Możemy czekać“—mawiał p. Schmerling, licząc na to, że opór Węgrów zmięknie z czasem. Tymczasem Prusy, dążące do zajęcia pierwszego miejsca w Niemczech, groziły Austrii od północy, a Włochy, domagające się Wenecyi, od południa. Na wiosnę 1865 r. spostrzegł Cesarz niebezpieczeństwo. Zapomocą magnatów stronnictwa zachowawczego, Maylatha i Sennyeya zwrócono się ponownie do Deaka, i skromny peszteński adwokat, podał znowu warunki, na których zgoda z Węgrami była możliwa. Niezależność Węgiei ma być zapewnioną, a wspólne interesa powinny się załatwiać za wspólnem porozumieniem. Jest to już zarys przyszłego dualizmu.

W czerwcu został Franciszek Józef z zapalem przyjęty w Budzie. Manifestem wrześniowym zawiesiło ministerstwo Belerediego lutową konstytucyę z 1861 r., dla wypracowania nowej ustawy, któraby i Węgry mogły przyjąć. Nareszcie w grudniu 1865 r. otworzył Cesarz osobiście sejm w Peszcie. Powitano go z przepychem i zapalem, Węgrzy bowiem nie dowierzali cesarzowi austriackiemu, a mimoto kochali swego króla. Z obu stron spodziewano się, że będzie można dojść do porozumienia. Deak stał jednak mocno przy zasadzie zachowania „ciągłości prawa.“ Żądał, aby rząd austriacki uznał prawa z 1848 r., przewotowane przez sejm i zatwierdzone przez monarchę. Dopiero odpowiedzialne ministerium węgierskie mogłoby przedłożyć Izbie zmiany, uważane za konieczne. Pogląd ten wyłożyła Izba w adresie. Ministerstwo Belerediego, chcąc zadowolnić Czechów i Kroatów, nie mogło zdecydować się na ustępstwa, drażniące ich, i odpowiedziało na adres reskryptem z lutego 1866 r. Sejm został

odroczoney i Austrya pospieszyła na pole walki przeciwko Prusom i Włochom, nie zabezpieczywszy się co do Węgier.

Zostawszy kanclerzem austryackim, uznał Beust, że należało przedewszystkiem dojść do zgody z Węgrami, i rozpoczął układy, które zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. W ciągu tych rozpraw, musimy ponownie podziwiać moc logiki i nadzwyczajny zdrowy rozsądek Deaka. Broniąc swego projektu przeciwko zarzutom Tiszy i Ghiczyego, nie ukrywa on słabych jego stron, stara się tylko dowieść, że w obecnych okolicznościach należy go przyjąć. Przytem pozostaje wiernym swojej głównej zasadzie: nie robić żadnych ustępstw co do istoty rzeczy, ale ustępować w szczegółach. Przeprowadziwszy ugodę, osiągnął cel, do którego zawsze dążył. Węgry odzyskały swe swobody, niezależność ich została zawarowaną, ciągłość prawa zachowaną, z drugiej zaś strony państwa dziedziczne otrzymywały konstytucyę, co było zarazem i gwarancyą dla konstytucyi węgierskiej.

Jedną z najwybitniejszych cech charakteru Deaka, jest bezinteresowność, posunięta tak daleko, że może napróżno byłoby szukać w naszym stuleciu kogokolwiekbądź, do porównania z nim w tym względzie. Nie przyjął on nigdy żadnej nagrody za swoje usługi, nawet z rąk wdzięcznego narodu. Historya przedstawia wielkich obywateli obojętnych na zaszczyty i bogactwa, u których miłość ojczyzny góruje nad próżnością i chciwością. Ale i dla sere, najbardziej nieczułych dla dóbr ziemskich, mają jeszcze częstokroć popularność, oklaski tłumów, wieniec laurowy, będący wyrazem wdzięczności całego narodu, niepospolity urok. I na to Deak wydaje się obojętnym. Jedynym bodźcem jego, jest miłość kraju, jedyną nagrodą, której pragnie, wewnętrzne przekonanie, że spełnił swój obowiązek.

Wedle zwyczaju, przekazanego z czasów, gdy królowie węgierscy byli obieralni, palatyn zapytywał zgromadzony lud, czy uznaje wybranego króla, i po twierdzącej odpowiedzi, wkładał mu koronę na głowę. Urząd palatyna podczas koronacyi Cesarza na króla węgierskiego był wakującym i chciano go znieść. Sejm więc postanowił, ażeby Deak, który umożliwił tę uroczystość, włożył koronę na głowę króla. Deak z początku wypraszał się, ale gdy nalegano i chciano go prawie

zmusić do przyjęcia, uniósł się i oświadczył w największym rozdrażnieniu, że gotów raczej złożyć mandat poselski, jak przyjmując ofiarowany mu zaszczyt. Cesarz także chciał mu okazać swą wdzięczność, ale Deak ani chciał słyszeć o tem. Oświadczył, że nie przyjmie nawet portretu cesarza, nie z powodu braku przywiązania lub godnego monarsze szacunku, ale dlatego, że wedle niego człowiek, który spełnił obowiązek, nie potrzebuje, aby go za to wynagradzano. W sejmie noszono się z myślą uchwalenia nagrody narodowej dla niego. Wkrótce jednak wniosek ten cofnięto, gdyż wiedziano zbyt dobrze, że Deak odmówi z oburzeniem. Gdy Cesarz zapytał prezesa ministrów, czy nie mógłby uczynić czegoś, coby było przyjemnem „mędrcomu ojczyzny,“ hr. Andrassy odpowiedział mu: „Wasza Królewska Mość mając w swjem rozporządzeniu skarby, godności i zaszczyty, może uczynić wiele dla każdego, ale dla Deaka nic.“ W dzień koronacji, bojąc się owacyi, Deak schronił się do swego mieszkania w hotelu *Królowej angielskiej*.

Nowe ministeryum węgierskie chciało widzieć Deaka na swoim czele, ale on nie zgodził się na to, i 18 lutego został hr. Juliusz Andrassy zamianowany prezesem ministerstwa. Deak pozostał dalej na czele większości, popierającej rząd, która od swego przywódcy stronnictwem Deaka nazywała się. We wszystkich ważnych kwestyach, głos Deaka, stojącego na czele tej większości, był stanowczym, nic się nie działo bez jego rady. Położenie ministerstwa byłoby zatem było bardzo trudnem, gdyby nie jego szlachetny, wyrozumiały charakter i osobisty stosunek z członkami gabinetu, którzy wyszli z łona jego stronnictwa. Z prac jego dalszych wspomnimy tu tylko projekt ugody z Kroacją, natchniony duchem sprawiedliwości, który go cechuje, a który on wspólnie z Eötvösem wypracował. Projekt ten przyjęto w Zagrzebiu illuminacją. Ostatni raz w Izbie przemawiał Deak dnia 23 czerwca 1874 r. o stosunku Kościoła do państwa. W 1875 r. nie chciał już przyjmować mandatu, ze względu na stan swego zdrowia. Dał się wprawdzie skłonić do przyjęcia wyboru, ale już więcej nie pojawił się w Izbie. Umarł w nocy z 28 na 29 stycznia 1876 r. w Peszcie. Dopiero po śmierci mógł go wdzięczny naród uczcić; 3 lutego pochowano go na koszt

państwa, wzniesiono mu pomnik w Peszcie, a jeden pokój w Akademii poświęcony został wyłącznie pamiątkom po Deaku. Przechowują tam skromne meble, które mu służyły za życia, szarfy od wieńców z jego pogrzebu i inne pamiątki.

Po tem krótkiem tle historycznem, na którem w dziejach Węgier bieżącego stulecia występują przedewszystkiem wielkie postacie skreślonych przez nas dwóch mężów stanu, z kolei przejść nam wreszcie należy do „trzeciego w tym związku“ znakomitym, do najmłodszego z nich, którego właśnie obraz nakreślił nam niedawno p. Benjamin Kallay, na uroczystem posiedzeniu Akademii peszteńskiej, do hr. Juliusza Andrassyego. Przy tej sposobności przedewszystkiem musimy naprzód zwrócić uwagę naszych czytelników na sposób, w jaki najbardziej powołani do przemawiania w imieniu swych rodaków mężowie stanu węgierscy zapatrują się na misję cywilizacyjną Węgier i na stosunek elementu węgierskiego do innych narodowości, zamieszkujących wraz z nimi ziemie korony św. Stefana.

„Zaledwie minął rok — mówił p. Kallay — od chwili, gdy naród węgierski, w ciężkim smutku, gromadził się przy zwłokach hr. Juliusza Andrassyego w tym gmachu. A zaiste, Akademia, to ognisko kultury węgierskiej, jest w obszernej naszej ojczyźnie najbardziej odpowiedniem miejscem dla uczczenia naszego, niedawno zgasłego męża stanu, nigdzie bowiem nie istnieje tak ścisły związek między ogólnemi celami rozwoju duchownego a dążnościami praktycznej polityki, jak u nas. Cała przeszłość równie jak i przyszłość naszego narodu wskazują, że, nie mogąc polegać na liczbie, musimy występować w tym kraju, zamieszkałym przez rozliczne plemiona, jako przedstawiciele kultury, i szerząc ją, zapewnić sobie zarazem i polityczną przewagę. Przez tysiąc lat potrafiliśmy zapewnić sobie byt nasz narodowy, tylko dzięki temu, żeśmy nigdy nie sprzeniewierzali się zachodniej kulturze, ideom, które zachodnia cywilizacya wytwarza. I na przyszłość możemy tylko w takim razie liczyć na zachowanie przewodniego stanowiska, jeżeli pozostaniemy wierni powołaniu, które nam w szeregach walczących za rozwój duchowy ludzkości zostało wytknięte. Nikt nie był bardziej przejęty

słusznoscia tego zapatrywania, nikt nie pozostal mu bardziej wiernym az do grobu, jak hr. Juliusz Andrassy. W 1861 r. powiedzial on: „Jakkolwiekbyśmy w danym razie nazwali idee postepowe ludzkości: chrześcijaństwem, swoboda religijną lub konstytucjonalizmem — zawsze walczył nasz naród pod ich choragwią. Jeżeli otrzymywaliśmy ciosy, to na polach bitew, gdzie o nie walczone.“ A w kilka lat potem mówił: „Są narody, które aby istnieć, potrzebują tylko wytknąć sobie, jako cel ostateczny, interes swej rasy i swej mowy. Być może, że nas Opatrzność dlatego w tak małej liczbie stworzyła, aby w tej części świata istniał naród, który może zachować byt, li tylko walcząc za najświętsze cele ludzkości.“ Słowa te wyrażają najgłębsze przekonanie, ostateczny cel dążeń Andrassyego, wskazują kierunek jego działalności. Wielkie i szczytne jest zadanie, które on za misję narodu węgierskiego uważał. Dążyć do osiągnięcia tego celu, prowadzić naród drogą wiodącą do niego, to było jedynym życzeniem Andrassyego, bodźcem całego jego życia, od chwili gdy rozpoczął zawód publiczny. Nie chodziło mu o władzę dla władzy, nie ambicya, nie chęć sławy kierowały nim. Idealem jego był: *węgierski polityczny*<sup>1)</sup> *naród w węgierskiem państwie*. Urzeczywistnieniu tego ideału poświęcił on całą swoją siłę, wszystkie swoje talenta.

„Wyda się to może paradoksem — mówił dalej p. Kallay — a jednak jestto prawdą, że hr. Andrassy, który na polu politycznym tyle laurów zbierał i w najtrudniejszym położeniu umiał wynaleźć praktyczną drogę wyjścia, był jednym z największych idealistów. A jednak temu zawdzięczał on swoje największe powodzenia. Przed trzydziestu laty powiedział był: „Historya uczy nas, że przyszłość najpotężniejszych nawet monarchij zależy od idei, które one przedstawiają, i że tylko te idee stanowią wartość ich dla ludzkości.“ Ten, co tak myślał, musiał wysoko cenić idee i ideały. I w istocie miał on rację. W walkach życia w ogóle, a zwłaszcza na polu polityki, ten, który

<sup>1)</sup> *Die ungarische politische Nation*, t. j. taki, w którymby każdy obywatel korony św. Stefana czuł się obywatelem węgierskim.

zadawalnia się małemi codziennemi powodzeniami, nie jest w stanie wznieść się do wielkich pomysłów i wielkich czynów. Tylko wiara w ideały, daje jednostkom i narodom siłę, konieczną do przewyciężenia wszelkich trudności, która wiedzie do ostatecznego tryumfu. Szczęściem to dla Węgier, że hr. Andrassy nie zstąpił nigdy z wyżyn ideału, i że jedynym przedmiotem jego idealizmu była pomyślność narodu węgierskiego. Wcielal on wszystkie dobre strony i zalety swego narodu, przedstawiał najściślej istotę ducha węgierskiego. Czuł i myślał jak prawdziwy Węgier, a tylko cywilizacya zachodnia, która go tak zachwycala, zamalgamowała się u niego z pierwotnemi węgierskiemi pojęciami. Był najznakomitszym przedstawicielem zachodniej cywilizacyi, zaszczonej na narodowym węgierskim pniu. W tem polegała jego siła, to stanowiło jego urok, nawet wobec obcych. Hr. Andrassy był jednak dalekim od wszelkiej jednostronności, i walcząc za idee, był jednocześnie jednym z najbardziej praktycznych mężów stanu. W jego politycznem działaniu uderza nas harmonia między idealizmem a praktycznem pojęciem każdej sprawy. Nigdy nie spuszczał z oka swego głównego celu, ale zmysł jego praktyczny wskazywał mu, że należy strzedz się przesadnego, bezowocnego doktrynalizmu. Zawsze liczył się z okolicznościami, nie zważając na to, że go współcześni fałszywie lub nawet wcale nie zrozumieli.

W początkach 1848 r. zajmowano się w Węgrzech prawem wyborczem i Andrassy oświadczył się za wyższem *census*. Zarzuceno mu, że uczynił to ze stanowiska arystokratyczno-konserwatywnego. Mylono się; idee postępowe nie miały w Węgrzech szerszego wyznawcy od Andrassyego. Chodziło mu — mówi p. Kallay — o wyższy cel, o zapewnienie przewagi elementu węgierskiego, silnie reprezentowanego między posiadaczami ziemskimi, i dlatego bez wahania poświęcił hasło liberalizmu. Nikt bardziej od niego nie kochał swego narodu, swej mowy. Myśląc jednak o przyszłej wielkości Węgier, wiedział on, że nie należy myśleć wyłącznie o narodowych interesach plemienia węgierskiego. Andrassy czuł, że w państwie, zamieszkałem przez rozliczne plemiona, stała przewaga jednej rasy nie da się zapewnić, uwzględniając wyłącznie interesa jej narodowości i języka.

Natomiast wierzył, że narodowości, zamieszkujące razem kraj jeden, są ściślej związane przez wiekowe pożycie, wspólną historię i walki o prawa i swobody, aniżeli przez język i narodowość. Z drugiej strony wierzył, że między temi narodowościami, Węgrzy zawsze walczyli za idee postępu, obficie od innych przelewali krew swoją za wzniosłe ideały ludzkości, że mają silniejsze poczucie potrzeb i interesów państwa i są bardziej uzdolnieni do utworzenia państwa. Węgrzy zatem są powołani do zjednoczenia około siebie innych narodowości, zamieszkujących ziemię węgierską, i do wytworzenia z tej etnograficznej i językowej mieszaniny, pod swoim imieniem i przewodnictwem, jednolitej politycznej narodowości<sup>1)</sup>. Andrassy nie wątpił, że rola ta, dzięki ich przeszłości, należy się Węgrom. I dlatego sądził on słusznie, że każdy, dbały o przyszłość narodu węgierskiego, pracuje zarazem i dla wszystkich innych narodowości tego państwa, oraz dla jego przyszłości. Nie dziwnego, że tak myślący i czujący, był Andrassy jednym z pierwszych, którzy się przyłączyli do ruchu na wiosnę 1848 r. Spodziewał się on wówczas, że jestto początek epoki, w której wzajemne porozumienie między koroną i narodem, zapewni państwu węgierskiemu jego prawa historyczne, swobodne instytucje, wolność i warunki pożądane do rozwoju życia państwowego. Miał nadzieję uzyskać to wszystko na drodze legalnej, legalnemi środkami. Ale już wówczas doszedł do przekonania, że naród węgierski osiągnie te cele tylko wówczas, gdy „oprócz własnej siły, spotęgowanej jednością, będzie jeszcze mógł liczyć na sympatyę i poparcie innych.“ Poparcia zaś szukał on nie w dali, ale tam, gdzie ono z natury rzeczy najłatwiej dałoby się znaleźć. Dnia 9 maja pisał w swem sprawozdaniu do komitatu zemplińskiego: „Uczucie wolności wywołuje życzliwość, a życzliwość ta będzie podsycaną i wzmocnioną przez wspólność interesów z narodami, z którymi historia i prawo zapomocą Sankeyi Pragmatycznej nas spoiło.“ Zatem polityczny kierunek, któremu Andrassy w 1848 r. hoł-

<sup>1)</sup> Przypominamy naszym czytelnikom, że przytaczamy tu zawsze zapatrywania hr. Andrassyego, tak, jak nam je przedstawia p. Kallay.

dował, nie różnił się już właściwie od kierunku, do zwycięstwa którego on w 1867 r. tak znacznie się przyczynił.

Tymczasem ruch, rozpoczęty pod hasłem reform legalnych, przeistoczył się, jak to często w życiu narodów się wydarza, w powstanie. Andrassy wytrwał do końca pod jego sztandarem. Sądził z początku, że sprawy tak się powikłały, iż nie było innego wyjścia, jak zbrojny opór. Następnie nie zgadzało się z jego szlachetnym charakterem rzucać w niebezpieczeństwie sprawę, do której raz dobrowolnie przystąpił. Powstanie zostało pokonane i Andrassy wraz z wielu innymi rodakami szukał schronienia zagranicą. W emigracyi nie należał do liczby tych, którzy się niczego nie uczą i nie zapominają. Pamiętał wprawdzie ciągle o ojczyźnie i myślał o jej przyszłości, ale umiał uchronić się zarówno od optymistycznych wrażeń, jak i od rozpaczliwej rezygnacyi. Czas jakiś podzielał i on złudzenia emigracyi, liczył na sympatyje Zachodu dla sprawy węgierskiej i budował na niej swe nadzieje. Wkrótce jednak dostrzegł, że sympatyje te, to ognie sztuczne, a niektóre gabinety, zwłaszcza Francya i Piemont, gotowe wyzyskać emigracyę przeciw Austrii, dla swych celów. Natomiast w Anglii przywiązywano wielką wagę do zachowania między Niemcami, Rosyą i Turcyą, chociażby absolutnie rządzonej Austrii, i nawet niechętni jej mężowie stanu uznawali, że, w tej części Europy, gdzie leży Austria, świat cywilizowany potrzebuje silnego państwa, któreby dzięki silnej swej armii, mogło być pożądanym sprzymierzeńcem. Badając ściślej kierunki polityczne bieżących czasów, dostrzegł Andrassy, że dążność Piemontu do zjednoczenia Włoch, znajduje na całym półwyspie silne sympatyje i że szybko rozwijające się Prusy, są powołane do zjednoczenia Niemiec. Wszystko zatem wskazywało, że druga połowa XIX w. będzie epoką powstania wielkich państw. To niepokoiło go ze względu na przyszłość Węgier. Bez obcej pomocy, a na tę liczyć nie można, nie byłaby ponowna nierówna walka i tak wycieńczonego narodu, aktem samobójstwa? A gdy na Zachodzie istnieje dążność do powstania wielkich państw, od północnego zaś wschodu ciąży olbrzymie państwo carów, nie byłoby Węgry, w przypuszczeniu, że ich niezależność na gruzach Austrii dałaby się

osiągnąć, w najniez szczęśliwszem położeniu, w jakim naród znajdować się może, mianowicie w stanie pozornej niezależności a rzeczywistej zależności od potężnego sąsiada?

Drogę wyjścia wskazywała mu tu historia Węgier. Za ledwie Węgrzy osiedli w ziemiach, które obecnie zajmują i państwo węgierskie zaczęło się krystalizować, miało ono częstsze i bliższe stosunki z zachodnimi swymi sąsiadami, niż z innymi. I nie tylko zachodni ci sąsiedzi starali się wciągnąć Węgry w sferę swojej władzy, ale i Węgry dążyły nieraz do rozciągnięcia zwierzchnictwa korony św. Stefana na kraje, wchodzące w skład obecnej Austrii. Współzawodnictwo to, trwające wieki całe, służy w każdym razie za dowód, że obustronnie uczuwano potrzebę bliższych wzajemnych stosunków. W początkach XVI wieku grożące od Wschodu niebezpieczeństwo, skłoniło obie strony do ściślej-szego związku. Nie da się jednak zaprzeczyć, że i inne głębsze przyczyny przemawiały za nim. Łącząc ściślej-szym węzłem kraje dziedziczne z Węgrami, czerpała dynastia habsburska nową siłę do spełnienia zadania swego w świętem rzymskiem cesarstwie, a nawet w razie jego rozpadnięcia się. Węgry natomiast znajdowały w tym związku pomost, łączący ich z cywilizacją zachodnią, który zabezpieczał ich zarazem i od najazdu wschodu i od zgnilizny wschodniej cywilizacji. Z historii węgierskiej, począwszy od klęski pod Mohaczem, dadzą się wyciągnąć dalsze nauki. Wówczas przeszła korona węgierska na dom habsburski, ale Węgry nie stały się krajem dziedzicznym Habsburgów, nie weszły w skład cesarstwa niemieckiego i zachowały i nadal swoje odrębne stanowisko państwowe i swój byt narodowy, na mocy praw przyznanych i zatwierdzanych przez swoich panujących. Nieraz powstawały spory między narodem i koroną, i obie strony nieraz chwytaly za broń. Ale jestto jednym z najbardziej uderzających zjawisk historycznych, że na którąś stronę po długoletnich zapasach przechyliło się zwycięstwo, żaden z walczących nie wyzyskał swego powodzenia bezwzględnie, w zupełności. Walka kończyła się zawsze ugodą. Dynastia potwierdzała nanowo prawa i przywileje kraju, naród składał hołd swemu monarsze szczerze i otwarcie. Walka z Bocskajem, z Bethlenem, z Jerzym Rakoczym kończyła się pokojem,

który był niczem innym, jak ugodą; walka z Franciszkiem Rakoczym zakończyła się traktatem Szatmarskim; następnie wydaną została Sankeya Pragmatyczna, a dziesięcioletni spór pod koniec XVIII w. zakończył się w drodze prawodawczej w 1790—1791 r. Dlaczegoż więc i po wypadkach 1849 r. nie miała nastąpić nowa ugoda między narodem a koroną? Wszak zgoda była zarówno dla narodu jak dla dynastji, ze względu na wielkie interesa, które ich łączyły, konieczną, była warunkiem egzystencji dla obu stron. Czyż nie należało uwzględnić także tak silnego w Węgrzech, tradycyjnie przekazanego przywiązania do dynastji. Węgier upatruje w koronie św. Stefana symbol i rękojmię rozwoju państwowego i narodowego życia. Z przywiązania do korony, wypływa silne monarchiczne uczucie i przywiązanie do dynastji. Urok ten korony wytworzył wzajemny stosunek narodu i dynastji. Pomimo długoletnich walk, prawa narodu nie zostały nigdy przedawnione, a ciągłość dynastji w poczuciu narodu, nie została nigdy przerwana. Wyciągając zatem z historii właściwą naukę, doszedł Andrassy do przekonania, że prawa narodu należy odzyskać nie w drodze walki, ale w drodze szczerzego pojednania z dynastją.

W tych czasach i w Węgrzech poczęto inaczej zapatrywać się na sprawy publiczne. Naród chciał żyć. Ani wspomnienia przeszłości, ani złudzenia przyszłości nie wystarczały; chciano wyzyskać warunki rozwoju i opinia publiczna gotowa była stopniowo zdobywać te warunki, zadawalniając się z początku mniejszem. I w istocie jednostka może rzucać się w przepaść, jak Kureyusz, ale nigdy naród! Duch pojednawczy rozszerzał się w narodzie. Andrassy wiedział o tem; sądził, że pora mu wracać do kraju, i otrzymawszy amnestję, jeden z pierwszych z emigracyi powrócił do ojczyzny. Odtąd postanowił poświęcić wszystkie swe siły sprawie pojednania monarchy z narodem, ale nie wypierał się swojej przeszłości, nie zapominał o niej. Sądził bowiem, że tylko pospolita dusza lekceważąco odzywa się o pierwszych porywach swych lat młodzieńczych. Wkrótce po powrocie rozpoczął działalność swą na polu społecznem i politycznem. Połączył się z najlepszymi swego narodu, a zwłaszcza zbliżył się do mędrca, którego poglądy tak były zbliżone do jego za-

patrywań i któremu należy się wieczna sława za postawienie zasady, że prawo można tylko wtenczas stracić, jeżeli się go dobrowolnie wyrzekamy. Andrassy podzielał w zupełności tę zasadę i w sześćdziesiątych latach znajdujemy go też między przywódcami tych, którzy walczyli za nieulegające przedawnieniu prawa kraju. Ale samo prawo bez władzy nie wystarcza dla rozwoju państwa, a Andrassy dążył do postępu. Jego też to w znacznej części zasługą, że po zabezpieczeniu praw państwowych, czynniki władzy odpowiednio urządzone zostały. Miał on to szczęście, że ujrzał urzeczywistnienie ideału, o którym marzył jako dwudziestopięcioletni młodzieniec, to jest szczere, zupełne pojednanie między dynastją a narodem. W dziele tem wziął on tak znaczny udział, że podczas koronacyi przypadł mu zaszczyt włożenia korony św. Stefana na głowę króla.

Nie mogąc zaprzeczyć wielkich powodzeń hr. Andraszyego, chcieli niektórzy ludzie przypisać je jego szczęściu, a nie zasługom. Nie wiedzieli oni, że polityczne powodzenia zawdzięcza się nie szczęściu, ani pomyślnym, nieprzewidzianym wypadkom, ale uzdolnieniu, silnej woli, odwadze, wytrwałości, czynności, umiejętności korzystania z okoliczności. Ludzi, postępujących z samowiedzą i konsekwencyą, widuje się rzadko. Widok ich wywołuje silne wrażenie i obudza oczekiwania dalszych powodzeń. A skoro tylko wytworzy się przekonanie, że człowiek ten potrzebuje tylko zająć się pewną sprawą, aby ją przeprowadzić, to przekonanie to staje się rzeczywistością. Bez trudu jednak i walki, nie się nie da osiągnąć. Pod jednym tylko względem szczęście Andraszyemu dopisało. Nawet jego talent wielki zostałby był sparaliżowanym, gdyby nie znalazł potężnego poparcia w światłym umyśle i łasce swego monarchy. Król i jego doradzca, tak się wzajemnie rozumieli, że może trudno w historyi znaleźć drugi przykład podobnego wzajemnego porozumienia. Monarcha, który przedewszystkiem ceni prawość charakteru, który idąc za popędem serca, gotów własne urazy przebaczać, a tylko dla siebie jest bezwzględny, który gotów ponieść najcięższą ofiarę z pogodnym umysłem i spokojem, gdy tego dobro państwa wymaga, i który w najtrudniejszych okolicznościach umiał trafnie wynaleźć właściwą drogę — taki monarcha po-

jął i ocenił dążności Andrassyego i dał mu swe poparcie i zaufanie. To było jedynem, ale zarazem i największem szczęściem Andrassyego, podobnie jak i szczęściem dla Węgier jest to, że im panuje mądry i dobry Franciszek Józef.

I tak nastąpiło szczere zobopólne pojednanie między narodem a Koroną. Zapewne historia wspominać będzie z wdzięcznością ten udział Andrassyego w przywróceniu konstytucyi i stosunku z Austryą. Ale dzieło ugody 1867 roku związanem zostanie z innem imieniem. Nie on był przywódcą w długiej, pomyślnie zakończonej walce. Był tylko najwybitniejszym pomocnikiem Deaka.

Dopiero od chwili, gdy Andrassy stanął na czele nowo utworzonego odpowiedzialnego ministryum, rozpoczyna się peryod historii Węgier, który nosi wybitne piętno jego indywidualności, i który słusznie *erą Andrassyego* powinien być nazwanym. Należy mu się to nietylko ze względu na wielkie dzieła, dokonane przez jego ministryum, i na instytucye, powołane do życia, ale przede wszystkim ze względu na kierunek, który on nadał polityce wewnętrznej Węgier, a którego pomyślne skutki do dziś dnia wykazują się.

Główną cechą polityki wewnętrznej Andrassyego jest ściśle, niewzruszone trzymanie się zasad ugody 1867 r. Zasady te nietylko odpowiadały jego wymaganiom, ale uważał je on za jedynie pewną i możliwą podstawę, na której naród węgierski mógł osiągnąć korzyści, wynikające z prawa rozporządzenia sobą, zapomocą samodzielnych narodowych instytucyj. Pragnął on więc, aby nie tykano prawno-państwowych podstaw, na których spoczywa byt narodowy Węgier, i odpierał z całą stanowczością wszelkie próby uczynienia wyłomu w ugodzie.

A było to bardzo potrzebnem, bo chociaż cały naród powitał z radością rządy konstytucyjne, nie cały naród jednak był zadowolniony z poszczególnych warunków ugody. Powstała silna opozycja, która zgodziła się wprowadzić na połączenie się z Austryą i na wspólną dynastye, ale nie zgadzała się na zasady ugody. W interesie Węgier walczył Andrassy przeciwko tej opozycji, gdyż był przekonany, że to, czego ona domagała się, nie dałoby się osiągnąć, że prowa-

dziło naród do negacyi, do bezczynności. A naród węgierski potrzebował czynów, postępu, aby wybrnąć z zabagnienia, które i tak już zbyt długo we wszystkich stosunkach życia społecznego panowało. W walce tej pozostał on zwycięzcą, pomimo tego, że mu natura odmówiła daru wymowy, która na polu walk parlamentarnych tak często rozstrzyga. Nie umiał on olśnić swoich słuchaczy szumnemi frazesami ani ich porwać, ale gdy z trudem wychodziły wyrazy z ust jego, każdy czuł, że on wierzy głęboko w prawdę tego co mówi, i że wie czego chce. W tem tkwi tajemnica jego siły na polu dyskusyi parlamentarnej i w ogóle w życiu politycznym; gdyż od początku historyi, we wszystkich warstwach społecznych, w każdym narodzie może człowiek tylko w takim razie pozostawać przez dłuższy czas przywódcą swoich bliźnich, jeżeli ma silną wolę i wie czego chce. Z równą stanowczością, jak przeciwko napadom opozycyi, bronił Andrassy prawa Węgier przeciwko kierunkom, które do czasu ugody panowały w Wiedniu. A wreszcie miał też i wiele trudności do przezwyciężenia w łonie własnego stronnictwa. Już to samo utrudniało jego stanowisko, że był głową rządu, ale nie przywódcą partyi, do której należał, która popierała rząd. Nadto w wielkiem stronnictwie, które ugodę do skutku doprowadziło, było wielu takich, którzy nie umieli zerwać z dawnymi poglądami, usprawiedliwionemi w czasach, gdy Węgry nie miały swojego rządu. Wówczas uważali oni każdy rząd za złe konieczne, które wprawdzie musi być tolerowanem, ale którego strzedz się należy. To tradycyjne niedowierzanie rządowi, objawiało się częstokroć w początkach ery konstytucyjnej. Ci, którzy osiągnęli tak wielkie rezultaty, trzymając się uparczywie prawa i zabezpieczając jego ciągłość, skłaniali się do wzmocnienia tej instytucyi, która strzeże prawa narodu, i chcieli, aby parlament nie ograniczał się na kontrolowaniu rządu, ale żeby wpływał bezpośrednio na jego postanowienia. Gdyby te zapatrywania zdołano wprowadzić w życie, wszelka władza przeszłaby do parlamentu, a rząd stałby się bezsilnym. Andrassy wierzył tymczasem, że Węgry bardziej niż jakibądź naród na świecie, potrzebują silnego rządu. Tylko silny, energiczny rząd może podoląć trudnościom, wynikającym ze stosunku Węgier do Austrii i z istniejących

w kraju odśrodkowych dążeń. Władza rządowa ma to samo zadanie w życiu narodowym, jakie przypada woli w organizmie jednostki. Równie jak rozum, wiedza, zdolności jednostki, zapomocą woli dadzą się wyzyskać, tak i rząd może tylko wówczas otrzymać rezultaty, jeżeli działa odpowiednio do ducha i usposobienia narodu. Natomiast rząd powstający z łona większości narodu i opierający się na jego zaufaniu, jakkolwiekby był silnym, nie może być nigdy niebezpiecznym dla narodu. I niewątpliwie jestto jedna z największych zasług wewnętrznej polityki hr. Andrassyego, że rozwał tradycyjne uprzedzenia przeciwko władzy rządu i umożliwił utworzenie silnego rządu konstytucyjnego w Węgrzech.

Dążąc do utworzenia silnego rządu, kierował się Andrassy nie żądzą władzy, ale poczuciem potrzeby jej dla Węgier. Chodziło mu o odrodzenie, o rozkwit ojczyzny. Dlatego powołał do swego ministeryum ludzi, wysoko wykształconych, czynnych i energicznych, a nie lubił otaczać się miernościami, jak to czynią niektórzy, ażeby swoją indywidualność tem bardziej uwydatnić. Pracując nad odrodzeniem Węgier, postępował Andrassy jak żeglarz, który zaopatrując swój okręt w potężną maszynę parową, zachowuje i żagle, które mu się jeszcze przydać mogą. Nie chciał on zrywać z przeszłością, pragnął zachować starodawne instytucje, a tylko starał się powołać do życia nowe, odpowiednie do wymagań nowoczesnej cywilizacji, któreby Węgry wieść mogły na drodze postępu. Ale te nowe instytucje wymagały znacznych ofiar od narodu, wówczas gdy korzyści wynikające z nich, dopiero z czasem uwydatniły się. Byłoby tedy niesprawiedliwością, robić gabinet Andrassyego odpowiedzialnym za zły stan finansów, który trwał jeszcze dość długo i po jego ustąpieniu. Żaden naród na świecie nie może osiągnąć wielkich, trwałych rezultatów, bez znacznych ofiar i wysiłków. Dziś, gdy nastala pomyślna epoka dla Węgier, nie da się zaprzeczyć, że ofiary, do których Andrassy potrafił skłonić swoich rodaków, nie były niepożyteczne. Nigdy nie lękał się on wymagać ofiar, nie oglądając się na to, że one podkopać mogą jego popularność. Działał zawsze wedle swego przekonania, i powołując do życia instytucję, którą cały naród powitał z radością i zadowoleniem, tworząc *ar-*

*mię honwedów*, miał również na względzie głębokie poczucie jej potrzeby, nie zaś chęć zjednania sobie popularności.

Andrassy upatrywał najsilniejszą rękojmię dla przyszłości Węgier w sile zbrojnej Austro-Węgier, w armii wspólnej. Tak silnie wierzył w jej potrzebę, że ostatnią swoją mowę poświęcił jej obronie. Ale jeżeli wspólna armia była niezbędną dla dualistycznej monarchii, z drugiej strony sądził on, że każda z części składowych monarchii, powinna posiadać wszelkie cechy władzy. Pragnął tylko, aby to się stało bez narażenia wspólnych interesów, a raczej z pożytkiem dla nich. To jest idea armii honwedów, którą on utworzył. Armia honwedów stanowi nieodłączną część armii wspólnej i jest zarazem przedstawicielką odrębności państwowej Węgier. W ten sposób wlał Andrassy życie w formy, utworzone przez ugodę 1867 roku, i dał możność narodowi rozwijać się swobodnie w każdym kierunku. Działalność jego ministerium znalazła ogólne uznanie w narodzie. Zarzucali mu niektórzy, i to więcej zwolennicy, niż przeciwnicy, że zanadto zajmował się polityką zagraniczną, i wyrażali obawę, że przez to mogą cierpieć interesa Węgier. Ale Andrassy sądził, że jako minister-prezydent Węgier spełnia tylko swój obowiązek, nie zaniebując zagranicznej polityki. Tylko podrzędna prowincya — mówił on — może nie troszczyć się o politykę zagraniczną, Węgry zaś od czasu zawarcia ugody, są czynnikiem równouprawnionym z drugą połową monarchii; nietylko więc dualistyczny ustrój monarchii, ale i stosunki jej do państw ościennych obchodzą Węgry; węgierski prezydent ministrów tedy nie powinien ograniczyć się na tem, aby niedopuszczać tego, coby w dziedzinie polityki zagranicznej było szkodliwym ze stanowiska węgierskiego, ale winien starać się, aby nic się nie działo na szkodę monarchii, i aby niczego nie zaniebano, co stanowisko jej mocarstwowe wzmocnić i uświetnić może. Tak pojmował on zadanie prezydenta ministrów, i nie dziwnego, że pewny i wytrawny sąd i polot jego myśli, zapewniły mu w krótkim czasie wielki wpływ w radzie monarchy. Powoli zaczęto upatrywać w nim nietylko w Węgrzech, ale i w Austrii przyszłego ministra spraw zagranicznych. I w istocie, 13 listopada 1871 r. został Andrassy ministrem spraw zagranicznych Austro-Węgier.

W kołach dyplomacyi europejskiej, wywołała nominacya jego pewien niepokój. Lękano się jego porywczego, węgierskiego temperamentu. Jak nieusprawiedliwione były te obawy!—mówi p. Kallay. Węgier bywa często niepowściągliwym w mowie, ale nie w czynach. Żaden może naród nie wykazał w ciągu tysiąca lat tyle umiarkowania i rozwagi w swem postępowaniu, tyle zmysłu politycznego, co Węgrzy. Wkrótce przekonano się, że Andrassy jest prawdziwym mężem stanu, mającym bystry umysł, rozwagę, przenikliwość i silną wolę. A ponieważ te zalety jedną zawsze i wszędzie uznanie i szacunek, w krótkim więc czasie wyrobił on sobie znaczny wpływ i wybitne stanowisko między dyplomatai. Niejeden szczegół jego działalności, pokrywa dziś jeszcze zasłona tajemnicy, ale powodzenia jego polityki i osiągnięte rezultaty, już obecnie widzimy. Jeżeli więc niezawsze możemy prześledzić drogę, którą on szedł, dla osiągnięcia swoich celów, to w każdym razie jesteśmy w stanie wskazać zasady i kierunek jego polityki zagranicznej. Naprzód pragnął on, ażeby monarchia austro-węgierska, nietylko ze względu na swą przestrzeń i liczbę mieszkańców, zaliczała się do pierwszorzędných mocarstw, ale żeby też występowała jako pierwszorządne mocarstwo. Powtóre chciał, ażeby monarchia skierowała swe siły tam, gdzie one, pomimo niedogodnego geograficznego położenia, wskutek nowego ukształtowania się stosunków europejskich, z największym pożytkiem mogą być użyte. To były dwa główne cele jego zagranicznej polityki. Pragnąc, ażeby stanowisko mocarstwowe Austro-Węgier silniej zaznaczonem zostało, nie myślał on jednak o ryzykownych przedsięwzięciach, któreby mogły zakłócić pokój. Chciał tylko, aby zagraniczna polityka monarchii, uwzględniała interesa wszystkich składowych jej czynników, aby znaczenie jej urosło i Europa czyniła zadość jej życzeniu. Pragnął podnieść urok dynastyi, do czego ze względu na monarchiczny ustrój państwa, wielką przywiązywał wagę. W pierwszym cyrkularzu oznajmiając, że obejmuje urzędowanie, oświadczył się szczerze i stanowczo za polityką pokojową. Dążył jednak nie do pokoju za jakąbądź cenę, ale do pożytecznego i czynnego pokoju, do pokoju, który się nie ogranicza na spokojnem używaniu najcenniejszych dla narodów dóbr, ale broni

ich stanowczo i dąży do ich rozwoju. To się daje osiągnąć tylko wówczas, gdy działalność państwa na zewnątrz nie ustaje podczas pokoju, albowiem nawet najbardziej zaprzyjaźnione państwa, wywierają na siebie pewien nacisk, i tylko odpowiedni odpór może ochronić je od szkodliwych skutków tego nacisku. Pomimo olbrzymiego ciśnienia atmosfery, nawet najmniejszy balon pozostaje nadętym, póki sprężystość gazu, który go napełnia, nie osłabnie. Równie i państwo potrzebuje sprężystości dla oparcia się naciskowi z zewnątrz. Ale podobnie jak sprężystość gazu, rzadko tylko spowodowuje pęknięcie balonu, tak i odpieranie nacisku z zewnątrz nie prowadzi do wojny, ani do zatargów, ale stanowi jeden z głównych warunków zachowania równowagi. Andrassy dał więc stopniowo, ale stanowczo, sąsiednim państwom do zrozumienia że Austro-Węgry cenią nadzwyczaj wysoko dobrodziejstwa pokoju, ale że wartość pokoju zmniejszyłaby się w ich oczach, gdyby monarchia miała go zapewnić kosztem swego mocarstwowego stanowiska. Aby to stanowisko utrwalić, brał on czynny udział we wszystkich ważniejszych międzynarodowych sprawach. W sprawach zaś, które, wedle niego, monarchię szczególnie obchodziły i wchodziły w zakres jej wpływu, brał inicjatywę i zastrzegał sobie swobodę działania. Jasna i stanowcza polityka Andrassyego, szczerłość i wyrazistość jego mowy, zjednały mu też ogólne zaufanie i uznanie. Wraz z powagą ministra, rosła i powaga państwa. W krótkim czasie stały się Austro-Węgry, jak to Andrassy w jednej ze swoich not twierdził, „koniecznym warunkiem równowagi europejskiej, niezbędną rękojmnią pokoju“.

Zapewniając stanowisko mocarstwowe Austro-Węgier, które w życiu państwa jest temsamem, czem pewność siebie w życiu jednostki, spełniał Andrassy tylko część zadania swego. Jednym z najwyraźniejszych rysów jego charakteru, był popęd do wielkich czynów. Wiedział on, że świat nie stoi, i że biada tym, którzy nie idą wraz z nim. Mąż stanu nie może jednak ograniczać się na tem, że nie pozostaje w tyle. Powinien on zapomocą własnych idei wpływać na dalszy rozwój wypadków.

Lata 1870 i 1871 stanowią granicę najważniejszej epoki bieżącego stulecia. Walka, która wówczas w zachodniej Eu-

ropie toczyła się, miała donioślejsze skutki, aniżeli gwałtowne przewroty na początku bieżącego wieku. W jesieni 1870 r. wkracza król włoski do Rzymu i zjednoczenie Włoch staje się zupełnem. Na początku 1871 r., budzi się z długiego snu cesarstwo niemieckie, silniejsze niż kiedykolwiek. W tych warunkach nie mogło być mowy o tem, ażeby Austro-Węgry odzyskały swe dawniejsze stanowisko we Włoszech lub w Niemczech. Chodziło tylko o to, czy miały one zachować się obojętnie i zimno wobec obu nowo-powstałych państw pierwszorzędnych, czy też zbliżyć się do nich. Andrassy sądził, że monarchia, aby nie być osamotnioną, powinna stanąć z nimi na stopie przyjaznej. Tyle jednak z biegiem czasu nagromadziło się niechęci, niedowierzania, nieporozumień i uraz, że należało postępować w tym kierunku powoli i oględnie, z taktem i wytrwałością, aby przezwyciężyć wszelkie zawady. Wkrótce potem zjazd w Wenecyi, ten wzniosły przykład osobistego zaparcia się ze strony Cesarza, wykazał, że polityka Andrassyego zaczyna przynosić owoce.

O pożytkach zbliżenia się do Niemiec, myślał Andrassy oddawna. Na wiosnę w 1848 r. pisał on o pożytku „zbliżenia się, warując nietykalność narodowości węgierskiej i niezależności Węgier, z tem plemieniem, które było kolebką cywilizacyi i wynalazło proch i druk, owe najpotężniejsze narzędzia ludzkości“. W 1861 r. mówił w ciągu dyskusyi adresowej, że „przyszłość Prus spoczywa w jedności Niemiec.“ Ten, co w młodości tak jasno widział przyszłość, musiał gorąco pragnąć zbliżenia się do Niemiec, zostawszy ministrem spraw zagranicznych. Mylą się jednak ci, którzy myślą, że Andrassy zbliżył się do Rosyi tylko po to, ażeby łatwiej osiągnąć przyjaźń Niemiec. Polityka jego wobec obu wielkich mocarstw, była zupełnie samodzielną. I wkrótce już pokazało się, jak słusznie postępował Andrassy, dążąc do zbliżenia się do Niemiec. Przymierze z niemi, które on zawarł, stanowi dziś kamień węgielny międzynarodowej polityki europejskiej. Zabezpieczywszy monarchię od zachodu, skierował on swą działalność na wschód, gdzie na misyę jej zapatrywał się nie z wyłącznie węgierskiego, ale z ogólnego stanowiska.

Dla Europy sprawa wschodnia rozpoczyna się od chwili, gdy Turcy zdobyli Konstantynopol, chociaż już uprzednio wyprawy krzyżowe uchyliły poczęści pokrywającą ją zasłonę. Dla Węgier sprawa wschodnia jest znacznie dawniejszą. Od chwili ich przybycia nad brzegi Dunaju, zdradza się u nich dążność wejścia w bliższe stosunki z półwyspem bałkańskim. Potężna rzeka, przecinająca i łącząca tyle krajów, dążenie ludów północnych na południe, niedająca się zaprzeczyć przewaga plemion zamieszkujących obszerne równiny, urok mórz otaczających półwysep i nareszcie ta okoliczność, że na półwyspie bałkańskim nie utworzyło się jednolite państwo, ale przeciwnie, panujące tam rozbieżności, nieustannie pobudzało do wkraczania w jego granice — to są powody, które wpływały na politykę wschodnią Węgier od najdawniejszych czasów. Cała epoka Arpadów jest poniekąd wypełniona ciężeniem na półwysep bałkański. Ludwik Wielki i Maciej Korwin, często tam pojawiali się. A i za panowania Habsburgów, ilekroć stosowna nadarzała się pora, odziedziczona od Węgrów polityka wschodnia, która niegdyś w całym znaczeniu tego wyrazu była węgierską narodową polityką, nęciła monarchię. Niewątpliwie te tradycje przeszłości, nie pozostawały bez wpływu na Andrassyego. Ale praktyczny jego umysł umiał uwzględnić wynikające ze zmienionych czasów i okoliczności warunki. On nie chciał burzyć istniejącego porządku, przeciwnie, pragnął go zachować. Sądził jednak, że byłoby omyłką sztucznie podtrzymywać to, co z natury rzeczy skazanem jest na upadek. Nie podkopując tego co istniało, nie powstrzymywał on rozwoju utworów, mających warunki życia. Już wówczas oznajmił Andrassy, że śledzi z prawdziwą życzliwością samodzielny rozwój państw bałkańskich, i że nie pragnie wywierać na nich żadnego wpływu, pod warunkiem, że i inne mocarstwa nie będą tego czynić; monarchia nie może bowiem tolerować tworzenia się państw, które w chwili stanowczej przeciwko niej zwróciłyby się mogły. Obawiał się on, ażeby pod opieką państwa, wrogiego Austro-Węgrom, nie utworzyło się wielkie jednolite państwo bałkańskie od Czarnego do Adryatyckiego morza, któreby Austrię żelaznym pierścieniem otoczyło. Dla uniknięcia tego niebezpieczeństwa, powinna monarchia mieć się ciągle na baczności, brać czynny

udział w sprawach wschodnich i zdobyć sobie punkt oporu na półwyspie bałkańskim. Tym odpowiednim punktem oporu, wydawała mu się Bośnia. Prowincya ta, otoczona z dwóch stron przez monarchię Austro-Węgierską, była zarówno przez swe położenie geograficzne, jak i przez historyczne wspomnienia, bardziej zbliżoną do Austrii, niż wszelka inna część bałkańskiego półwyspu. Nieraz mawiał hr. Andrassy, że państwo Habsburgów nie pragnie zaborów, i mówił to szczerze. Nie chodziło mu tu wcale o tytuł prawny. Pragnął jedynie usadowić się na półwyspie bałkańskim. Zajęcie tych prowincyj, położyc miało kres nieustannym rozruchom, które tamowały ich rozwój. Sądził dalej, że rządy monarchii w Bośni i Hercegowinie będą przykładem i napomnieniem dla sąsiednich państewek, gdyż na wschodzie tylko państwo, mogące wywierać bezpośredni nacisk, posiada powagę. Wobec tego wierzył on, że zajęcie Bośni i Hercegowiny stanie się czynnikiem spokoju i trwałości na półwyspie bałkańskim. Na polu polityki wschodniej, spotykał się Andrassy nieustannie z Rosyą, która wschód za przedmiot, leżący w wyłącznym zakresie swej potęgi uważa. Tu niepodobna było rozminąć się. Należało zatem się zdecydować, czy nie wypada wyrzec się wszelkich zamiarów na wschodzie, wobec potężnego współzawodnika? Na to Andrassy nie mógł zgodzić się żadną miarą. Pozostawiając bowiem Rosyi pole wolne na wschodzie, wyrzekała się monarchia austriacka stanowiska pierwszorzędnego mocarstwa i dążyła, być może powoli, ale niechybnie, do upadku. Chodziło więc tylko o to, czy Austria ma wystąpić zbrojnie przeciwko Rosyi, dla zabezpieczenia swego wpływu na wschodzie. Andrassy nie cofał się i przed wojną, ale uważał za swój obowiązek, nie przecinać wężła mieczem, póki wszelka nadzieja pokojowego załatwienia tej sprawy nie zniknie. Ze względu na olbrzymie ofiary, jakie wojna za sobą pociąga, chciał on naprzód wyczerpać wszelkie środki dyplomatyczne. Wiedział wprawdzie, że cele, do których dążył, nieprędko i nie bez trudności dadzą się osiągnąć. Póki jednak istnieją chociażby najslabsze szanse pokojowego załatwienia sprawy, nie chciał sięgać do miecza. Zapewne odpowiednio do istoty polityki, nie mógł hr. Andrassy otwarcie wypowiedzieć, jakie są jego ostateczne cele, ani jakimi

drogami do nich podąża. Z tego powodu również w Węgrzech jak i w Austrii wielu nie rozumiało jego polityki, lub uważało ją za chybioną. Ale czyż nie miał Andrassy słuszności — pyta p. Kallay — starając się rozstrzygnąć sprawę wschodnią w drodze pokojowej? Mylił się tylko — mówi on — sądząc, że już wówczas osiągnie to, co w owym czasie przynajmniej, nie było do osiągnięcia. Nie należy jednak zapominać, że w dziedzinie polityki ten tylko nie myli się, co nie nie robi. Prawdziwą cechą wielkiego męża stanu jest to, że nawet wówczas, gdy zawód go spotka, potrafi wyjść zwycięsko z trudnego położenia. W tym też względzie zajmuje Andrassy wybitne miejsce między politykami. Wkrótce po pokoju w San Stefano, zawarty został traktat w Berlinie, który świat uspokoił, gdyż usunął zawikłania, jakie musiały wyniknąć z jednostronnego załatwienia kwestyi wschodniej. Traktat ten był świetnym usprawiedliwieniem polityki Andrassyego, dzięki której, monarchia zajęła w rządzie państw europejskich tak wysokie stanowisko, jakiego nie zajmowała od lat wielu.

Wkrótce potem część opinii publicznej w Austrii zwróciła się przeciwko zajęciu Bośni. Andrassy stawiał mężne czoło wszelkim napadom, z energią i wytrwałością prowadził dalej świeżo rozpoczęte dzieło, i w końcu, aczkolwiek z trudem, zapewnił zwycięstwo swej polityce, mocno przekonany, że z czasem, gdy ona przynosić zacznie spodziewane owoce, historia przyzna mu słuszność. Prędzej niż się spodziewał, spełniły się jego oczekiwania.

Wkrótce potem zawarł Andrassy przymierze z Niemcami, które słusznie za największe jego dzieło uważają. Jestto wprawdzie obronne a nie zaczepne przymierze, ale z ducha jego wynika, że ono dalej sięga. Duch tego przymierza przeszedł w poczucie ludów. Waruje ono obu stronom równe korzyści i nakłada na nie równe obowiązki. Przyjaźń między niemi, oparta na dobrem zrozumieniu wzajemnych interesów, jest z jednej strony rękojmią, że wszelkie sprawy wśród nich wedle zasad słuszności rozstrzygnięte zostaną, podczas gdy ich związek stanowi potęgę, zapewniającą obydwu bezpieczeństwo nazewnątrz. Sojusz ten stał się też najsilniejszym filarem pokoju europejskiego i zachodniej cywilizacyi.

Wkrótce po zawarciu przymierza z Niemcami, cofnął się Andrassy do życia prywatnego. Wiedział, że na trwałych podstawach, które wytworzył, monarchia czas pewien będzie miała spokój. Nadto sądził on, że mąż stanu, który dzięki swemu usposobieniu, żadnemu czynów, osiągnie wielkie rezultaty, dobrze czyni, gdy doszedł do celu, pozostawia rozwój wypadków naturalnemu ich biegowi i przynajmniej na czas jakiś oddaje kierunek spraw publicznych innym. Ustąpienie jego, wywarło wielkie wrażenie. Wówczas bowiem opozycya przeciwko okupacyi Bośni, była znacznie osłabła, i z prawdziwem ubolewaniem przyjęto wieść o jego dymisji. Ale i jako człowiek prywatny, nieprzestał on nadal zajmować się polityką, lecz ilekroć widział tego potrzebę, wypowiadał otwarcie swe zdanie. W ostatnich latach życia, które Andrassy w ojczystym kraju przepędził, występował przede wszystkim jako człowiek prywatny, a nie jako polityk. Dzięki swym zaletom osobistym, zajmowałby on wszędzie i w każdym położeniu wybitne stanowisko. Nie więc dziwnego, że z jego przeszłością i stanowiskiem, indywidualność jego jeszcze bardziej uwydatniała się. Głównymi cechami jego charakteru, były szczerłość i otwartość. One stanowiły jego siłę, im zawdzięcza on wpływ, który na innych wywierał. Jego pewność siebie, nie znała żadnych przeszkód, ale przytem nigdy nie wpadał w zarozumiałość. Z usposobienia był namiętnym, i temu zawdzięczał swą nieustanną dążność do czynu. Po mistrzowsku jednak umiał panować nad swojemi namiętnościami. Silne uczucia łączyły się u niego z samodzielnością myśli. Połączenie ich wywoływało bogactwo idei i ten sympatyczny sposób wykładu, który zawsze wywierał silne wrażenie na słuchaczy. Andrassy nie miał nigdy wrogów, ale tylko przeciwników. Mając silne poczucie godności osobistej, cenił każdego, wedle jego osobistej wartości. Z głębi duszy jego wypływało uznanie dla czynów ducha i woli ludzkiej, a idea postępu nie miała szerszego zwolennika. Znajdujemy w nim jednocześnie i wielkiego męża stanu i wielkiego człowieka.

Na zakończenie swych uwag, wyznaje p. Kallay, że śledząc przez długi szereg lat tę potężną, a tak sympatyczną postać, skreślił jej obraz, wiedziony szczerem przywiązaniem

i miłością. Niemiej przeto śmie twierdzić, że sława jego nie zaginie wraz z nim, i że blask, który on Węgrom przysporzył, przetrwa tak długo, jak Węgry istnieć będą.

Szcześliwe Węgry, które w trudnej epoce swego historycznego żywota, od 1825 do 1880 r. znalazły takich przywódców, jak Szechenyi, Deak i Andrassy. A epoka ta historyi Węgier, jest bardzo nauczającą i dla nas. Zapewne, położenie Węgrów było o wiele lepszem od naszego. Podlegali oni jednemu monarsze, pochodzącemu z dynastyi, którą sami, dobrowolnie na tron swój powołali i przechowali żywą tradycyę swych swobód, które każdy król przy koronacyi zatwierdzał. Ale od 1825 do 1867 r., z wyjątkiem krótko trwającego ministryum Batthyanyego i rewolucyjnych rządów Kossutha, nie mieli oni swego narodowego rządu. Patryoci ich musieli stawać w obronie niezależności i praw narodu, podobnie jak u nas; spełnianie obowiązków obywatelskich, mogło ich wieść do więzienia lub na rusztowanie, a przywódcy narodu, pozbawieni tej siły, tego uroku, jaki nadaje człowiekowi władza, musieli ją czerpać w swej wyższości moralnej, w uznaniu i zaufaniu rodaków. Mąż stanu, kierujący losami kraju, posiadający zaufanie monarchy, może nie dbać o uznanie. Taki Richelieu lub Bismark działali nieraz wbrew woli narodu, a wielkie czyny, których dokonali, utrwaliły ich stanowisko, pomimo że znano ich słabości i wady ich charakteru. Ale przywódzca narodu, dobijającego się praw swoich, musi mieć nie tylko silną wolę i świadomość celu, do którego dąży, lecz i nieposzlakowany, niezależny charakter, patryotyzm i wysokie poczucie godności narodowej. Tylko w takim razie może on być oględnym, nie tracąc zaufania rodaków. Nauczającym jest też w tym względzie postępowanie Szechenyego, Deaka i Andrassyego. Czytelnicy zapamiętali może ustępy z ich mów, które przytoczyliśmy. Nie jest-że szczytnym Deak, oświadczający, że „podziela rozdrażnienie wszystkich Węgrów przeciwko tym, którzy zgubili tyłu ludzi i przyczynili tyle smutku i żaloby krajowi. Ale czuje on w sobie siłę kochać goręcej kraj, aniżeli nienawidzić swoich nieprzyjaciół.“ W październiku 1871 r. oświadczył hr. Andrassy, że podał się do dymissyi, jeżeli kierunek hr. Hohenwarta zwycięży.

Na zapytania Cesarza, ktoby mógł objąć po nim prezydium ministerstwa węgierskiego, odpowiedział: „Wasza Cesarska Mość ma wielu ludzi, którzy jako urzędnicy służyli pod najrozmaitszemi politycznemi kierunkami. O takich ludziach można powiedzieć to samo, co o chorągwi pułkowej, która jest tem cenniejszą, im więcej kul ją przedziurawi. Przeciwnie, mój charakter polityczny straciłby wszelką wartość, gdyby w nim była najmiejsza skaza.“ Nie dziwnego, że naród mógł ufać i ufał takim ludziom. I nie także dziwnego, że stronnictwo pod dowództwem człowieka, posiadającego silną wolę, zmysł polityczny, nieposzlakowany i niezależny charakter, patryotyzm i wysokie poczucie godności narodowej, skupiło w krótkim czasie co było lepszego i oględniejszego w narodzie, i stworzyło ów rząd moralny w Węgrzech, zanim zdobyło niezależny rząd narodowy.

*Józef Popowski.*

## STRONNICTWO MŁODOCZESKIE.



Zabierając się do opisu wzrostu, programu i niektórych wybitnych osobistości obozu młodoczeskiego, należy nam zastrzedz się przede wszystkim przeciwko przypuszczeniu, jakobyśmy z nim identyfikowali naród czeski i czynili go odpowiedzialnym za dotychczasowe i przyszłe występy młodoczeskie. Odrzucamy stanowczo teorię, według której posłowie młodoczesy, ponieważ w marcu r. b. zdobyli 35 mandatów do Rady państwa, które mogą utracić za rok, albo co najdłużej za 5 lat, temsamem musieli być uważani jako wierni i jedyni reprezentanci przekonań całego narodu czeskiego. Oni sami dawniej stanowczo potępiali taką teorię. W 1885 r. klub czeski w Radzie państwa liczył około 60 członków, partya młodoczeska składała się z 5, a jednak ciągle dowodziła, że ona, nie zaś owa ogromna większość, reprezentuje naród czeski. Naród ten, co Czesi zawsze podnoszą bardzo dobitnie, liczy 6 milionów w Czechach, na Morawie i na Szląsku. Tymczasem z posłów morawskich ani jeden nie należy do partyi młodoczeskiej. Posłowie tej partyi nie reprezentują więc nic innego, jak miasta i gminy włościańskie Czech, i to dzięki okoliczności, że w ostatnich wyborach trzecia część wyborców wstrzymała się od głosowania, zamiast przechylić swemi głosami szalę zwycięstwa na stronę Staroczechów. Nie można też żadną miarą uznać, aby 19 wielkich właścicieli Czech, którzy zasiadają w klubie „konserwatystów,” nie mieli żadnego prawa być uważanymi jako reprezentanci narodu czeskiego. Taka ultrademokra-

tyczna teoria nie przemawia do naszego przekonania. My zatem klub młodoczeski, w dzisiejszym składzie, uważamy jako wynik prądu radykalnego, który ogarnął pewną część wyborców czeskich, ale nie możemy go uważać jako wierny i trwały wyraz opinii całego narodu czeskiego. Jeżeli zaś każdy uczciwy i rozumny rząd wiedeński liczyć się musi z rzeczywistymi prawami, potrzebami i życzeniami Czechów, to konieczność taka nie zachodzi bynajmniej względem poselskiego klubu młodoczeskiego, który wprawdzie w dwóch tegorocznych sesjach parlamentu robił dużo hałasu, począwszy od projektu adresu, aż do tego potwornego finale mowy p. Edwarda Gregra (1 grudnia), ale do którego ostatecznie całkiem przystawa uwaga Guizota w dziejach Cromwella: „Stronnictwa skrajne nie czują nigdy swej słabości, ponieważ swą gorączkę uważają jako siłę.“

## I.

Kto, nieznając dokładnie stosunków czeskich, poprze staje na informacjach dzienników, które zwykle omawiają tylko ostatnią z rzędu „kwestję“, nie dbając o pragmatyczny rozwój spraw publicznych, mógłby przypuszczać, że jedynym powodem zwycięstwa stronnictwa młodoczeskiego w ostatnich wyborach, jest ugoda niemiecko-czeska ze stycznia r. 1890. W tem mylnem zdaniu mogłyby nas utwierdzić niektóre głosy staroczeskie, wystawiające razporaz stronnictwo staroczeskie, jako nieszczęśliwą ofiarę tej ugody — przedewszystkiem zaś nibyto autentyczne oświadczenia Młodoczechów, którzy z tej ugody i z powszechnego oburzenia, jakie wywołała wśród ludu czeskiego, wyprowadzają swoje zwycięstwo, i niejako swą dzisiejszą rację bytu.

I tak zaraz na początku nowej sesji Izby poselskiej, w rozprawach nad budżetem 16 czerwca r. b., najzdolniejszy mowca obozu młodoczeskiego, p. Edward Gregr, oświadczył: „Gdy przed oczyma narodu czeskiego otworzyła się przepaść tak zwanej ugody niemiecko-czeskiej, która nie zmierza do czego innego, jak do złożenia narodu czeskiego

związanego i skrępowanego u stóp swego najzaciętszego wroga (oklaski z ław młodoczeskich) — wtedy pękła bezprzykładna cierpliwość tego narodu, i siłą elementarną odrzucił on na bok stronnictwo, obstawające przy polityce najzgubniejszej w swych następstwach. To, szanowni panowie, jest naturalne i proste wytłómaczenie stanowczego przewrotu w Czechach, który stronnictwa, i, jak sądzę, także rząd, wprowadził w tak wielkie zdumienie.“ (Protokół stenograficzny XI sesyi, str. 777).

Podobnie w drugich tegorocznych rozprawach nad budżetem 22 października, młodoczeski poseł Dyk mówił: „Stoimy na początku nowej epoki polityki austriackiej, zainaugurowanej tak zwanymi konferencyami ugodowemi; w tej polityce my, posłowie narodu czeskiego, widzimy nietylko niebezpieczeństwo dla naszego narodu, lecz dla całego państwa,“ a w dwa dni potem poseł Herold wykladał: „Był to szlachetny błąd ze strony Staroczechów i konserwatystów, gdy przystali na ugodę wiedeńską, przypuszczając, że na tej drodze zabezpieczą pokój pomiędzy dwiema narodowościami krajowemi. Ale wy panowie (do Niemców) uczyniliście wszystko, aby dowieść narodowi czeskiemu, że mieliście na oku tylko wasze specyalne życzenia. Dziś milczą Staroczesi i konserwatyści. I cóżby mogli powiedzieć narodowi czeskiemu? Najświetniejsza wymowa ministra, największa zdolność posła, najuczciwsze nazwisko szlachezca czeskiego, tracą wpływ wszelki, wobec zupełnej świadomości naszego narodu, że owa ugoda jest dla niego szkodliwą, narusza nasze prawa i podkopuje historyczne prawo czeskie.“

Z tych i podobnych niezliczonych głosów poselskich i dziennikarskich, trzeba by zatem wnosić naprzód, że ugoda czesko-niemiecka stanowi istotnie zamach na interes narodu czeskiego, chociaż takiemu mniemaniu zaprzecza bezstronne rozważenie jej tekstu, jakoteż fakt, że ugodę zawarli ze strony czeskiej ks. Jerzy Lobkowicz, hr. Ryszard Clam-Martinic, hr. Kinsky, Rieger, Mattusz i Zeithamer, a jednomyślnie przyjął ją klub staroczeski 26 stycznia 1890 r. — powtóre, że dzisiejsza parlamentarna frakcyja młodoczeska zawdzięcza swe mandaty nagłemu przewrotowi stosunków, sprowadzonemu „siłą elementarną,“ wolą całego ludu czeskiego, który odrazu

zrozumiał, albo przynajmniej przeczuwał niebezpieczeństwa tej zdradzieckiej ugody!

A jednak te nibyto logiczne wnioski, są błędne. Zwycięstwo swe Młodoczesi zawdzięczają całej seryi błędów, popełnionych przez stronnictwo staroczeskie, które to błędy wszystkie możemy sprowadzić pod jeden mianownik: zgubnej taktyki odgrywania równocześnie roli stronnictwa rządowego i opozycji, powtórę zaś swej nieustannej, systematycznej i niewątpliwie bardzo zręcznej agitacji radykalnej. Ugoda czeska i niemiecka jest tylko z rzędu ostatnią fazą, w której się zaznaczyły tak owe błędy Staroczechów, jak owa zręczność w agitacji Młodoczechów. Że tak jest, że zwycięstwo Młodoczechów w tegorocznych wyborach do Izby poselskiej, było tylko niejako uwieńczeniem ich długoletniej rozkładowej działalności, nie zaś skutkiem nagłego zwrotu opinii publicznej w Czechach, tego dowodzi dostatecznie fakt następujący. W wyborach do sejmu krajowego w r. 1889, gdy zatem nie było jeszcze mowy o ugodzie niemiecko-czeskiej, kandydaci młodoczesy odnieśli tak stanowcze zwycięstwo, że już wtedy niedobitki obozu staroczeskiego myślały o złożeniu mandatów, a w każdym razie powszechnie przewidywano, że w wyborach do Rady państwa wszystkie mandaty dostaną się Młodoczechom. Ten jeden fakt najdobitniej zbija twierdzenie, jakoby dopiero ugoda niemiecko-czeska była sprowadziła zwrot w Czechach.

Właściwie moglibyśmy poprzestać na podniesieniu tego całkiem przekonywującego dowodu. Ponieważ nam tu jednak chodzi o dokładne wyjaśnienie charakteru stronnictwa młodoczeskiego, musimy sięgnąć w dalszą przeszłość, aby śledzić agitację i powolne postępy radykalizmu w Czechach.

Jak wiadomo, w r. 1879 oba stronnictwa czeskie na wspólnem posiedzeniu, postanowiły obesać radę państwa. Pomiędzy posłami czeskimi było wtedy 6 Młodoczechów: Julian Gregr, Trojan, Czelakowsky, dwaj Adamkowie i Kuczera; pp. Vaszaty i Tilszer wówczas byli Staroczechami. Zjazd stronnictwa młodoczeskiego dnia 14 września uchwalił następującą rezolucję:

„1) W terażniejszych okolicznościach klub prawnopoli-  
tyczny (t. j. wspólny klub poselski) może uchwalić, aby in-

teresa narodu bronione były drogą parlamentarnej czynności w Radzie państwa, i zalecamy naszym posłom, aby wspólnie z innymi posłami czeskimi, z wszelką energią starali się o przeprowadzenie zupełnego równouprawnienia językowego, rozszerzenie samorządu i sprowadzenie związku prowincyj czeskich (wyrazu „prawo historyczne“ widocznie unikano). 2) Posłowie nasi mają się starać o utwierdzenie i rozszerzenie swobód politycznych, o wprowadzenie powszechnego głosowania, a opierać się wszelkim reakcyjnym i klerykalnym dążeniom. 3) W razie, gdyby brali w Radzie państwa udział w rozprawach o kwestyi Bośni, nie powinni przystać na nic, co by naruszało solidarność interesów słowiańskich i szkodziło swobodnemu rozwojowi Słowian południowych.“

W Radzie państwa powstał wtedy wspólny „klub czeski,“ obejmujący Staroczechów, Młodoczechów, szlachtę historyczną i Morawian, zaś 20 kwietnia 1880 r. rozpoczął się szereg ważnych ustępstw dla Czechów rozporządzeniem ministra sprawiedliwości Stremayera, dotyczącem przeprowadzenia zupełnego równouprawnienia w sądach Czech, i to w ten sposób, że nadal nietylko sądy także w okręgach niemieckich miały przyjmować skargi w języku czeskim, ale również od każdego urzędnika sądowego wymagano znajomości obu języków krajowych. Począwszy od tej chwili, można dostrzedz wzmaganie się prądu radykalnego po każdym nowem ustępie. Jeszcze w tym samym 1880 roku, 19 grudnia, p. Julian Gregr złożył mandat poselski. W oświadczeniu, ogłoszonym równocześnie w *Narodnich Listach*, p. Gregr oświadczył, że uznaje wprawdzie pożyteczność przymierza klubu czeskiego z rządem i prawicą, sam jednak pragnie zachować sobie zupełną swobodę krytyki; dla tego występuje z parlamentu i z klubu. Odtąd zaczyna się w *Narodnich Listach* systematyczna agitacya przeciwko posłom staroczeskim i gabinetowi hr. Taaffego. W roku następnym, dzięki tym podburzeniom, namiętność już tak się wzmogła, że w czerwcu (1881 roku) na wezwanie ogłoszone w *Narodnich Listach*, studenci czescy udali się do Kuchelbadu (Chuchli) pod Pragę, gdzie się wywiązała znana bójka z Niemcami.

Rok 1882 przyniósł Czechom naprzód wszechnicę czeską (28 lutego), potem ważną ustawę o podzieleniu kuryi wiel-

kich właścicieli Czech na 6 okręgów wyborczych, co zapewniało na zawsze pewną ilość mandatów stronnictwu przychylnemu Czechom. Pomimo tego ruch radykalny coraz to występuje namiętniej, posługując się mianowicie oświadczeniem p. Riegera w sprawie języka niemieckiego. Na przedstawienia pewnego grona studentów czeskich, protestujących przeciwko egzaminom z języka niemieckiego, Dr. Rieger odpowiedział 20 lipca 1882 r.:

„Nie może pomiędzy nami zachodzić wątpliwość, że geograficzne położenie narodu naszego, potrzeba przyjacielskiego obcowania z naszymi ziomkami niemieckimi, piastowanie materyalnych interesów kraju, zwłaszcza zaś cel wszechstronnego wykształcenia, któremu niemiecka literatura, obok innych, jest źródłem nad miarę bogatym, dowodzą potrzeby, aby każdy wykształcony człowiek pomiędzy nami znał dokładnie język niemiecki.“

Wtedy za przykładem *Narodnich Listów*, we wszystkich dziennikach i zebraniach młodoczeskich, rozpoczęła się hałaśliwa agitacya przeciwko p. Riegerowi i Staroczechom, jako ludziom bez świadomości narodowej, germanizatorom i zdrajcom! Wszystkie te wyrzuty p. Edward Gregr, który w ostatnich trzech latach pozostawał na uboczu, zestawił w wydanej pod tytułem *Slovo osudne* broszurze, która zaczyna się od słów: „Kiedy 20 lipca r. z. pan Dr. Rieger napisał i ogłosił znany swój sąd, że „potrzeba, aby każdy wykształcony pomiędzy nami znał dokładnie język niemiecki,“ zachwiałem się na te słowa. Nie pamiętam, aby w życiu pełnym walki i sporów, cokolwiek byłoby mnie tak silnie dotknęło i przestraszyło, jak właśnie przytoczone zdanie najwybitniejszego męża narodu naszego. Miałem przecucie, jakoby się było coś stało, z czego może się zrodzić wielkie nieszczęście, jak gdyby nad głową moją było coś pękło, jak gdyby się było coś złamało, co ma wspierać sufit nad głowami naszymi, jak gdyby były się zachwiały fundamenta tysięcletniego gmachu naszej narodowości.“ Nie było więc wcale potrzeba ugody czesko-niemieckiej 1890 r., aby p. Edwarda Gregra napełnić przekonaniem, że naród czeski ginie! Na to wystarczało w r. 1882 tak proste i naturalne oświadczenie p. Riegera. Zbijał je p. Gregr w wymienionej broszurze

takimi argumentami: „Najślawniejszy nasz król Jerzy Podjebradzki znał tylko język czeski a po trosze łaćski, jednak stał się najślawniejszym władcą swojej epoki, mądrość zaś jego rządziła polityką całej Europy“ (? str. 24), albo: „Z niemieczyzną zajedziem co najdalej do Hamburga lub do Wiednia; ze słowiańską niemieczyzną natomiast dostaniesz się aż pod bramy Carogrodu i do granic chińskich,“ (str. 30), albo: „I w politycznym względzie płynęłyby nam z tego ogromne wygody, gdybyśmy po niemiecku nie umieli“ (str. 41), itd., itd. Argumenta — równie przekonywujące, jak te, któremi p. Ed. Gregr obecnie dowodzi szkodliwości ugody niemiecko-czeskiej!

Rok 1883 dostarczył Młodoczechom nowego pretekstu do agitacyi. Dnia 2 maja nastąpiła publikacya znanej nowelli szkolnej. W odnośnych rozprawach w Izbie poselskiej, poseł Tilszer przerzucił się w sposób bardzo głośny na stronę Młodoczechów, i odtąd walka „przeciwko dążnościom klerykalnym“ Staroczechów stała się nowem hasłem. Dnia 18 maja nastąpiło rozwiązanie wybranego w r. 1878 sejmu czeskiego, w którym Niemcy mieli większość. Dzięki poparciu rządu, przy nowych wyborach w kuryi wielkich właścicieli zwyciężyło stronnictwo konserwatywne, a zatem powstała nowa, czeska, albo raczej przychylna Czechom większość. Było to zatem wielkiem dla nich ustępstwem. Pomimo tego prąd radykalny nieustannie się wzmacnia. Na jesień, p. Edward Gregr zdobywa po zaciętej walce mandat roudnicki posła Tonnera i w listopadzie wstępuje do Izby poselskiej, gdzie wskutek efektownej pierwszej mowy, otwierają się przed nim bramy klubu czeskiego.

Do dawnych pretekstów agitacyi przeciwko Staroczechom i rządowi w r. 1884, przybywa nowy: namiętna opozycya przeciwko przedłużeniu koncessyi Kolei Północnej. Ale najświetniej wzmacnia się prąd młodoczeski w latach 1885 i 1886, i to na tle „solidarności słowiańskiej,“ a raczej russofilizmu. Powstanie w Płowdiwie 18 września 1885 r. obudza w Pradze ogromny zapal, w którym rywalizują Staroczesi z Młodoczechami. W wojnie serbsko-bułgarskiej zapal ten coraz wyraźniej przybiera tendencyę anti-austryacką, po strąceniu ks. Aleksandra z tronu w sierpniu r. 1886 i za czasów sławnej missyi Kaulbarsa

cechę stanowczo russofilską. Na tle tej kwestyi bułgarskiej, dokonał się fatalny przełom w taktyce Staroczechów. Przedtem dosyć konsekwentnie stawali oni na stanowisku stronnictwa należącego do większości parlamentarnej i przychylnego rządowi. Odtąd porwani „słowiańsko“—młodoczeskim prądem, wprawdzie w Radzie państwa i w delegacyach starali się wytrwać na owem stanowisku, natomiast w Czechach, zwłaszcza w dziennikach, coraz wyraźniej zaznaczało się ich zbliżenie do prądu młodoczeskiego. W delegacyi, pp. Rieger i Mattusz głosowali za temi wszystkimi środkami, które brutalny zamach Rosyi na autonomię Bułgarii i na austriacką strefę interesów czynił niezbędnymi; w Czechach Staroczesi nie mieli odwagi bronić wytrwale tej rozumnej polityki i użyć bardzo pomyślnej sposobności do wyleczenia ludności z russofilizmu. P. Mattusza obwoływano bezkarnie i prawie bez odpowiedzi, jako zdrajcę interesów słowiańskich, t. j. rosyjskich; odtąd za ustępującymi zwolna Staroczechami, coraz szerszem korytem toczą się wezbrane fale russofilskiego radykalizmu młodoczeskiego.

Zmiany podobne w taktyce stronnictw, dokonywują się powoli, prawie nieznanie i przy podobnych symptomatach, jak odpływ i przypływ morza. Jeszcze 18 maja 1887 r., gdy klub czeski pod wpływem konserwatystów, wykluczył ze swego grona p. Edwarda Gregra i pięciu jego radykalnych towarzyszy, mogło się wydawać, że Staroczesi są zdecydowani do wytrwałej walki z prądem radykalnym. Atoli już w kilka miesięcy po tem próba nie udała się. Dnia 1 sierpnia minister oświaty, baron Gautsch ogłosił rozporządzenie, dotyczące zniesienia pewnego szeregu szkół średnich, które miały więcej profesorów, niż uczniów, a pomiędzy nimi kilku czeskich. Gdyby stronnictwo staroczeskie było wtedy posiadało jeszcze silną wolę wytrwania na stanowisku zajętem w r. 1879, byłoby naprzód rozważało te rozporządzenia chłodno, aby następnie ewentualnie postarać się w drodze poufnej o ich cofnięcie. Tymczasem, ulegając coraz wyraźniej prądowi młodoczeskiemu, Staroczesi w dziennikach i na zebraniach rozpoczęli hałaśliwą agitację przeciwko p. Gautschowi. Najwięcej z tego błędu skorzystali Młodoczesi, zwłaszcza, gdy potem na jesień posłowie staroczescy

w Radzie państwa widzieli się zmuszonymi dokonać odwrotu. Wzburzone masy wyborców nie rozumiały tej konieczności, i odtąd każdy wybór uzupełniający, wypadł na korzyść Młodoczechów, których frakcyja z 5 zwiększyła się na 10.

Po jednej stronie wzmagający się z każdym dniem na tle russofilizmu szowinizm, wyznawający namiętną nienawiść do duchowieństwa, do szlachty, do rządu, do parlamentarnych sprzymierzeńców, zwłaszcza Polaków; po drugiej, staroczeskiej stronie, coraz to słabnący opór, a nawet skłonność do kompromisu z Młodoczechami — oto smutny obraz lat tych, zapowiadający bliski upadek stronnictwa staroczeskiego. Daremnie w rozprawach nad budżetem sejmu czeskiego, 5 października r. 1888 ówczesny poseł a dzisiejszy namiestnik hr. Franciszek Thun w znakomitej mowie wykazywał konieczność stłumienia ruchu radykalnego, zwłaszcza w kołach nauczycieli wiejskich. Nie było za późno, nigdy do tego nie jest zapóźno — ale stronnictwo staroczeskie nie zdobyło się na taki akt cywilnej odwagi. Tak nadeszły wybory do sejmu r. 1889.

Jak wiadomo, skończyły się one stanowczem zwycięstwem Młodoczechów w gminach wiejskich, a po części także w miejskich. Nam chodzi tu o to, aby wykazać, że wszystkie te hasła, któremi stronnictwo radykalne walczy od r. 1890, nie są bynajmniej gwałtownym i szczerym wybuchem oburzenia, wywołanego ugodą czesko-niemiecką, lecz że one oddawna wchodziły w repertoar Młodoczechów. We wszystkich mowach kandydatów młodoczeskich, na wiosnę r. 1889 można było się doczytać, że Staroczesi — zgubili naród. Wystarczy jednak przypomnieć walny zjazd stronnictwa młodoczeskiego, który się odbył w Pradze 15 marca r. 1889. Na zjeździe tym oświadczył p. Edward Gregr, że spadła na naród czeski „cała nawałnica szkód, poniżenia i obraz,“ że nastąpił „upadek groźny we wszystkich kierunkach publicznego życia,“ i zapanowała „ekonomiczna nędza.“ Teraz dopiero spadło bielmo z oczu narodu czeskiego, „który z grozą patrzy na *przepaść*, nad której kraniec zaprowadziła go nieszczęsna polityka staroczeska, i przejęty trwogą woła: pomocy, pomocy!“ — *notabene* to wszystko na rok *przed* ugodą! Mowę

swą p. Gregr zakończył następującym wybuchem śmiesznego szowinizmu: „My nie jesteśmy słabymi (jak powiedział p. Rieger); naród czeski, naród pilny, naród sławny, naród, *bez któregoby państwo austryackie nie mogło istnieć dwa tygodnie* (wybornie!), nie jest słabym, gdy nim być nie chce; naród ten wydaje się tylko słabym, gdy klęka przed ministrami.“ Wynikiem tego rodzaju patryotyzmu był postawiony potem w sejmie wniosek p. Juliusza Gregra, domagający się przywrócenia historycznego prawa Czech, czyli, jak to wnioskodawca wyjaśnił w swej mowie, *unii personalnej* pomiędzy Austryą a Czechami. W mowie nad tym wnioskiem, w listopadzie 1889 r., p. Edward Gregr wykazywał, że Staroczeši przez 10 lat dla narodu czeskiego nie zdobyli niczego; p. Spindler twierdził nawet, że w Radzie państwa przyczynili się do utwierdzenia polityki „germanizacyi i centralizacyi;“ p. Horak dowodził, że skutkiem fałszywej polityki w kraju zapanowała najcięższa nędza; p. Dworzak zapewniał, że w bilansie ostatniego 20-lecia naród czeski widzi rubrykę swych ofiar przepelnioną, a rubrykę zdobyczy próżną, wskutek czego powstało powszechne niezadowolenie; p. Vaszaty w niezmiernie długiej mowie oskarżał Staroczechów o wyparcie się dawnych ideałów, zaniedbanie powinności, służalstwo <sup>1)</sup>, kłamstwo, i t. d., a p. Riegera porównał z Koryolanem; wreszcie wszyscy mowcy młodoczescy zapowiadali z wielką pewnością zupełną porażkę Staroczechów w przyszłych wyborach do Rady państwa.

Wprawdzie wszystkie te zarzuty były niesłuszne, bo przeciwnie, jako tako bezstronne oko w bilansie dziesięciolecia 1879—1889 odkrywało bardzo bogatą rubrykę aktywów czeskich, t. j. zdobyczy politycznych, językowych i ekonomicznych, których w r. 1879 nie można się było nawet spodziewać. Natomiast już w r. 1889 było niewątpliwą rze-

1) P. Vaszaty użył w tem miejscu następującego drastycznego porównania: „Niedźwiedz, panowie, dopóki, jak go Bóg stworzył, chodzi, ludziom napędza strachu i szacunku (?), ale skoro z koszykiem w ustach po ulicach tańczy na powrozie, tylko dzieci zbiegają się koło niego. (Wybornie)“. Protokół stenograficzny obrad sejmku czeskiego, str. 454.

czą, że wybory do Rady państwa skończą się zwycięstwem Młodoczechów, jeżeli Staroczesi nie wyleczą się w ostatniej chwili z tych błędów, które pomimo tylu zdobyczy, sprowadziły ich porażkę przy wyborach do sejmu krajowego. To było rzeczą niewątpliwą, gdy jeszcze nikt nawet nie domyślał się, że hr. Taaffe zwoła konferencję ugodową. A zatem nie ta uroda, lecz dalszy szereg błędów Staroczechów, czyli krótko mówiąc, dalszy ciąg samobójczej taktyki popierania w Wiedniu gabinetu a odgrywania w Czechach roli opozycji, jakoteż ciąg dalszy tejsamej namiętnej, zręcznej, bezwzględnej, posługującej się tylko nowem hasłem agitacyi Młodoczechów — sprowadził przewrót r. 1891.

W nawiasie mówiąc, Staroczesi, i to bardzo wybitni, i dziś twierdzą, że właściwie rząd sprowadził ich upadek. Nie zgłębiając nader trudnego pytania, czy sprawy w Czechach byłyby wzięły inny obrót, gdyby hr. Taaffe w r. 1879 naraz był Czechów obdarzył temi wszystkimi następstwami, których im udzielił w ciągu lat 10 — zaznaczamy tylko, że właśnie ciągle utyskiwanie na rząd, dostarczyło Młodoczechom najskuteczniejszych środków agitacyi. Nic bowiem nie przemawiało głośniej do przekonania mas, jak wyrzuty młodoczeskie, że Staroczesi popierają w parlamencie gabinet, który sami muszą oskarżać o niechęć dla Czechów!

## II.

Aby stronnictwo, które w ciągu 10 lat wzrastało pod sztandarem namiętnej walki przeciwko najzasłużeńszym ludziom narodu, przeciwko szlachcie i duchowieństwu, przeciwko interesom konserwatywnym i religijnym, przeciwko najbardziej uprawnionym interesom państwa na polu stosunków zagranicznych, z ultraradykalnego mogło się nagle zamienić w umiarkowane i tworzyć czynnik sojuszków parlamentarnych dodatniego kierunku — jest to *a priori* rzeczą całkiem nieprawdopodobną; co więcej, nie jest nawet rzeczą pożądaną. Takie bowiem przeobrażenie stronnictwa młodoczeskiego w stronnictwo umiarkowane, stwierdzając nibyto teorię, że stronnictwa skrajne dostąpiwszy władzy,

względnie mandatów poselskich, natychmiast wytrzeźwiają z radykalizmu, zwiększyłyby tylko znowu zastęp konserwatystów chwiejnych. Istotnie, gdyby można zawsze liczyć na podobne ewolucye stronnictw radykalnych *in melius*, nie mielibyśmy żadnego zasadniczego powodu, opierać się wzrostowi radykalizmu; bo cóż to szkodzi, że tylu a tylu polityków dobija się mandatów pod sztandarem radykalnym, jeżeli możemy liczyć na to, że go potem odłożą na bok? Chodziłoby wtedy tylko jeszcze o osoby, nie o zasady, i konserwatyści mogliby z olimpijskim spokojem przypatrywać się wszędzie agitacyom radykalizmu, a nie ciężłyby na nich obowiązek opierania mu się, ile sił starczy!

Owa teorya jednak rzeczywiście jest fałszywa. Że czasem stronnictwa skrajne, dostąpiwszy władzy, weszły na drogę umiarkowania, nie przeczymy. Nawet Staroczesi przed r. 1879 byli przeważnie stronnictwem liberalnem, chociaż zawsze zachowywali pewne umiarkowanie w stosunkach do szlachty historycznej i Kościoła. Ale też pokazało się, jak trudno im przyszło, pomimo znacznego wpływu, jaki na nich wywierał śp. hr. Henryk Clam-Martinic, zamienić się w stronnictwo konserwatywne. To ciągle wahanie się pomiędzy wymaganiami roztropnego konserwatyzmu, a dawnymi nalogami opozycyjnemi, które spowodziło upadek Staroczechów, najdobitniej świadczy o trudności stanowczego przeobrażenia się stronnictw. Tymczasem zaś dzieje wszystkich narodów, a zwłaszcza Czech, wykazują, że bardzo często stronnictwa skrajne, osiągnąwszy przewagę, nietylko wcale nie myślą o pomiarkowaniu się, lecz przeciwnie, postępując obraną drogą, dochodzą do zupełnej anarchii. Jakoż radykalna partya Hussytów stawała się coraz radykalniejszą, aż została wytępiona w sławnej bitwie pod Lipanawi; taksamo w dwa wieki później radykalna partya protestancka, postępując coraz raźniej na drodze rokoszu, spowodziła detronizacyę Habsburgów i klęskę pod Białą Górą. Wprawdzie francuski dziejopisarz Czech, prof. Denis w swych „Dziejach upadku Czech“ zauważa: *La sagesse suprême — et les sages du monde le comprennent très rarement, — consiste, à certaines heures, à suivre les passionés et les imprudens*“ (Tom II. str. 454), atoli jestto tylko jeden z licznych, olśniewających

paradoksów, zawartych w tem przecenionem dziele. Natomiast do przekonania rozumnych ludzi zawsze więcej trafi roztropne zdanie Amerykanina, Aleksandra Hamiltona: „Obowiązkiem tych, którzy posiadają szacunek i powagę, jest opierać się chwilowej namiętności narodu, skoroby mogła narazić na niebezpieczeństwo, najważniejsze i żywotne jego interesa“<sup>1)</sup>.

To też zadaniem konserwatystów czeskich jest zwalczać i dalej, chociaż stracili chwilowo mandaty poselskie, prąd radykalny, a konserwatywne stronnictwa innych prowincyj nie mogą, jak życzyć im w tej pracy sukcesu, i to za wzorem samego monarchy, który od dwóch lat nieustannie osobiście w sposób najdosadniejszy potępia ruch młodoczeski. Ostatecznie możnaby przypuścić, że z dzisiejszych 35 posłów młodoczeskich, niektórzy, dostawszy się do tej *eigenthümliche Gesellschaft*, jak ją nazwał Cesarz w r. 1889, raczej przypadkiem, przez omyłkę, lub wskutek osobistych nieporozumień z przywódcami staroczeskimi, powrócą na stanowisko

---

1) Młodoczesi bardzo żywo się oburzają, jeżeli ich kto posądza o zamysły antidynastyczne, a nawet bez takich posądzeń aż nadto często powołują się na wypróbowaną lojalność narodu czeskiego. Nie poddawając jej wcale w wątpliwość, wiemy jednak z dziejów czeskich, że nieraz pewne stronnictwa umiały pociągnąć naród na drogi antidynastyczne. I tak po wygaśnięciu linii Luksemburczyków, prawem dziedzictwa korona czeska przypadła Habsburgom, co nie zapobiegło wybraniu Jerzego Podiebrada gubernatorem a potem królem Czech (r. 1458). W sto lat potem, w r. 1547, spisek przeciw Habsburgom został stłumiony w zarzewiu. W r. 1618 wybuchło powstanie, nastąpiła detronizacya Habsburgów i wybrano królem Fryderyka Palatyna nadreńskiego. W r. 1740 Stany czeskie przyjęły jako króla elektora bawarskiego Karola, a nawet arcybiskup pragski dokonał jego koronacyi, czego mu Marya Teresa nie zapomniała do śmierci. W r. 1848 ojeowie dzisiejszych Młodoczechów w Pradze, zaraz po zamknięciu kongresu słowiańskiego, wszczęli rokosz, a tylko ks. Windischgratz natychmiast go armatami stłumił. Wobec tych historycznych faktów, wymienione zapewnienia Młodoczechów, mają tylko problematyczną wartość, a w każdym razie nie za to nie ręczy, aby w Czechach stronnictwu radykalnemu trudniej przyszło, niż u innych narodów, zabłąkać się na manowce antidynastyczne.

umiarkowane — ale że stronnictwo młodoczeskie nie zamieni się w umiarkowane, a tem mniej w konserwatywne, tego jesteśmy pewni.

Radykalizm zwykle zaznacza się równocześnie skrajnością co do celów, jakoteż co do środków, których używa, aby dopiąć celu. Jeden z więcej znanych członków klubu młodoczeskiego, prof. Masaryk, w mowie, wygłoszonej tego lata przed swymi wyborcami, oświadczył, że zgadza się tylko na pierwszą, ale nie uznaje konieczności drugiej, chociaż niedługo potem w innej mowie groził ewentualnem odmówieniem podatków, co w jako-tako normalnych stosunkach państwowych stanowi oczywiście najskrajniejszy środek opozycji. Bądź co bądź, to pewne, że główną tu rzeczą jest skrajność celu; chociażby bowiem stronnictwo najlegalniejszymi i najprzychylniejszymi środkami dążyło do celu, zasłużyłoby sobie na stanowczy opór wszystkich czynników zachowawczych, jeżeli to cel jest radykalny. O tem zaś, czy pewien cel jest radykalny lub nie — rozstrzygają dane stosunki i chwila. *Il y a dans la vie des peuples des moments où l'on peut tout faire et d'autres où il peut être dangereux de déplacer une enseigne* — powiada słusznie Montesquieu. I tak też tensam cel polityczny, który dziś jest godziwy, jutro może swą skrajnością odstręczać wszystkich rozważnych ludzi.

Zapatrując się z tego stanowiska na parlamentarną czynność klubu młodoczeskiego w Radzie państwa, uznajemy wprawdzie, że pozostawała ona w karbach legalnych, co jednak nie wyklucza radykalizmu *in re*. I tak zaraz projekt adresu, wniesiony w komisji adresowej przez posła dra Kaizla dnia 29 kwietnia, co do formy zasługiwał na wszelkie pochwały. P. Kaizl w r. 1885 wstąpił do Izby poselskiej jako kandydat staroczeski, w r. 1887 złożył mandat poselski, teraz ponownie pojawił się w Izbie, jako członek klubu młodoczeskiego, ale zajmując się przeważnie kwestyami ekonomicznymi, przekonania swemi politycznymi właściwie nie należą do Młodoczechów. Jednakże w swym projekcie adresu nie mógł on pominąć dwóch dezyderatów: wprowadzenia powszechnego głosowania i przywrócenia historycznego prawa Czech. To drugie żądanie wymaga zupełnej zmiany konstytucyi austriackiej, po części także austriacko-węgierskiej ugody,

a zatem większości  $\frac{2}{3}$  części głosów w obu Izbach Rady państwa, nadto zaś przyzwolenia Węgrów, zależy więc od warunków niemożliwych, zwłaszcza w czasach międzynarodowego napięcia i zbrojnego pokoju tegoczesnego. Jest to zatem cel niewątpliwie skrajny, o którego niemożliwości sam wnioskodawca był przeświadczony, i którego wysunięcie mogło być tylko uważane jako demonstracja polityczna. W każdym razie przywrócenie historycznego prawa Czech, t. j. połączenie Czech, Morawii i Szlązka, i obdarzenie ich podobnym samorządem, jaki posiadają Węgry, nie może stanowić podstawy kooperacji stronnictw umiarkowanych w parlamencie, któremu mowa tronowa zakreśliła wykluczenie kwestyj, nie już prawno-politycznych, ale wszelkich politycznych w ogóle.

Obszerniej rozwijał program stronnictwa młodoczeskiego kompetentniejszy jego reprezentant, p. Edward Gregr, w generalnych rozprawach nad budżetem 16 czerwca r. b. — oczywiście program parlamentarny, wygładzony, wypolerowany, salonowy, ujęty w inne słowa, niż te, któremi tenże mówca i jego koledzy porywają słuchaczy na zgromadzeniach ludowych w Czechach. Pan Gregr oświadczył, że wobec fałszywych informacyj, które dotarły nawet do tronu, zamierza objaśnić właściwy program stronnictwa swego. „Przedewszystkiem — rzekł — jesteśmy stronnictwem narodowym; zabezpieczenie i rozwój narodowości naszej uważamy jako nasze główne zadanie.“ Nic słuszniejszego i nic legalniejszego, powiemy, bo wszakże to samo zabezpiecza narodowościom artykuł 19 konstytucyi. Równie słusznie dalej p. Gregr mówi: „Nie znam większej i bardziej potępienia godnej zbrodni, jak uciskanie narodowości, bądź to środkami brutalnej przemocy, bądź to środkami politycznego podstęp“ i na to zgoda. Dodaje jednak: „a to właśnie dzieje się w Austrii.“ Takie oświadczenie w ustach Czecha, musi już obudzić pewne podejrzenia, które się wzmagają jeszcze, gdy mówca ciągnie dalej: „Nawet system hr. Taaffego, który ciągle mówi o pogodzeniu i o równych prawach narodowości, starał się, gdzie tylko było możliwem, hamować rozwój i podniesienie narodowości czeskiej. Prawda, że się to nie działo w sposób prostacki i brutalny, jak za dawniejszych rządów, ale za to po najrozmaits-

szych manowcach, a więc w sposób o wiele niebezpieczniejszy. “

Kiedy zważymy, że Czesi od dawna posiadają aż nadto czeskich szkół ludowych i średnich, że na mocy rozporządzeń ministra Stremayera z r. 1880 i Prażaka z r. 1886 otrzymali zupełne równouprawnienie w sądach i urzędach, że założono pierwszą wszechnicę i pierwszą Akademię Umiejętności czeską, że dzięki poparciu hr. Taaffego i konserwatystów posiadają większość w sejmie czeskim, nie możemy z powyższych słów p. Gregra wyprowadzić innego wniosku, jak ten, że Młodoczechom chodzi, pod firmą równouprawnienia, o inne rzeczy, niż o zabezpieczenie i rozwój swej narodowości. Wniosek taki popierają aż nadto pretensye innych mówców młodoczeskich, dopełniające mowy p. Gregra, jak n. p. ta, aby w protokóle stenograficznym Izby, umieszczano wszystkie mowy, wygłaszane po czesku. Sędziwy marszałek Smolka, nie podejrzany zaiste o niechęć dla Czechów, już kilkakrotnie był zmuszony odeprzeć te pretensye. Rzeczywiście, aby wszystkie mowy, wygłaszane w innych językach, mogły być umieszczane w protokóle stenograficznym, potrzebaby albo prezydenta, któryby władał siedmioma językami, lub siedmiu prezydentów, zdolnych zawsze podjąć się kontroli mówcy; albo też Młodoczesi domagają się takiego równouprawnienia tylko dla swego języka, a zatem prezydentem mógłby być wybrany tylko poseł, władający językiem czeskim. W pierwszym razie parlamentaryzm austriacki stałby się niemożliwym; w drugim razie wszystkie inne narody słusznieby się uskarżały na przywileje samych Czechów; a w każdym razie tym podobne pretensye Młodoczechów, o ile są czemś więcej, jak prostą demonstracją, odsłaniają po za hasłem zabezpieczenia i rozwoju własnej narodowości, pewien chorobliwy szowinizm.

Jako drugi punkt programu młodoczeskiego, p. Gregr wymienił przywrócenie historycznego prawa korony czeskiej. „Swemi ostatnimi wyborami, naród czeski podniósł znowu wysoko sztandar historycznego prawa Czech; wysłał nowych posłów do Rady państwa, aby odważnie i z niezachwianą wytrwałością podjęli walkę o prawo historyczne. Wszystkich sił użyjemy, aby się wywiązać z tego patryo-

tycznego obowiązku.“ Że to jest cel, jak na teraz, skrajny, i to bardzo skrajny, nie ulega wątpliwości. Ale nadto logicznym sposobem nie można stawać równocześnie na podstawie zasady narodowości i prawa historycznego. Pierwsze jest zasadą całkiem nową i sprzeczną z prawem historycznym. Gdyby, jak to proponował radykalny poseł Imbriani na interparlamentarnej konferencji rzymskiej, międzynarodowe stosunki miały być uporządkowane wyłącznie na podstawie narodowościowej, ani jedno z większych państw nie ostałoby się przy swych granicach historycznych. Zastosowanie zasady narodowości do Czech, nie znaczy nic innego, jak podział dawnego królestwa czeskiego na prowincję czeską i niemiecką. Bo o tem p. Gregr marzyć nie może, aby się udało Czechom zczeszczyć 2½ miliona Niemców królestwa czeskiego. Młodoczezi zatem niewątpliwie popełniają gruby błąd przeciwko logice, gdy równocześnie wywieszają sztandar narodowości i historycznego prawa. Najpoważniejszymi obrońcami tego ostatniego od r. 1860, była tak zwana szlachta historyczna, i to właśnie dla tego, że stojąc po nad narodowościami, mogła stawać na stanowisku prawnopolitycznym.

Trzeci punkt programu młodoczeskiego, według oświadczenia p. Edwarda Gregra, jest: wolnomyślność. „Jesteśmy, powiada, stronnictwem wolnomyślnem; rozwój postępowy i wolność obywatelska, stanowi ważny punkt programu naszego, któremu byliśmy zawsze i pozostaniemy wiernymi.“ W imię wolnomyślności, p. Gregr żąda zmiany ustaw wyborczych, prawa prasowego i t. d., rozwodząc żale nad częstymi konfiskatami dzienników młodoczeskich — gdy czytając bezstronnie *Narodne Listy* i inne dzienniki tego kierunku, przeciwnie często dziwimy się wyraźnej pobłażliwości władz w Czechach.

W każdym razie wszystkie te punkta programu młodoczeskiego, jak mechaniczne równouprawienie narodowości, przywrócenie czeskiego prawa historycznego, co wymaga radykalnego przewrotu tegoczesnego ustroju konstytucyjnego, wolnomyślne dezyderata, jak nagle wprowadzenie powszechnego głosowania lub zupełnej wolności prasy — nie tworzą podstawy, na której jakiegokolwiek stronnictwo konserwatywne,

a choćby tylko umiarkowane, mogło się sprzymierzyć z frakcją młodoczeską.

*In dem was er weise verschweigt, zeigt sich der Meister des Styls.* Zatem p. Gregr pominął milczeniem jeden bardzo ważny punkt programu młodoczeskiego. Inny zaś „dyplomata“ młodoczeski, Dr. Herold na posiedzeniu 22 czerwca posunął się jeszcze dalej. Oświadczył bowiem, że panslawizm jest mrzonką i wymysłem Niemców, wreszcie dodał: „Jeżeli sojusz austriacko-niemiecki ma cel zabezpieczyć i utwierdzić pokój Europy, którego wszystkie ludy gorąco pragną, jeżeli nie pociąga za sobą żadnej innej konsekwencji, natenczas sądzę, że kiedyś wszystkie narody bez różnicy będą wdzięczne dzisiejszym kierownikom państwa.“

Kto zna stosunki czeskie a mianowicie hasła, pod jakimi Młodoćzesi dobijali się mandatów, nie mógł tego oświadczenia p. Herolda przyjąć, jak tylko z najwyższym sceptycyzmem. Jakoż we dwa dni potem powstał Dr. Vaszaty, aby, zaznaczywszy, że nie był nigdy w Moskwie, dowodzić, że zwycięstwo Rosyi nie tylko Czechom przyniosłoby korzyść, ale nie szkodziłoby także Polakom i Madziarom, że Austria powinna się koniecznie zbliżyć do Rosyi, że sojusz potrójny uważa jako szkodliwy, że Austria nie ma na półwyspie bałkańskim żadnych interesów, że od Rosyi otrzymałaby niewątpliwie wolną drogę handlową do Saloniki, byle uznała historyczne prawo Rosyi do Carogrodu. — To wszystko jest tylko kwintessencją tysięcznych mów i artykułów młodoczeskich, któreśmy czytali przez 10 lat. *Nie* podzielałając zatem bynajmniej zdania referenta prof. Bilińskiego, który na temże posiedzeniu 24 czerwca zauważył, że p. Vaszaty należy do rządu „zapewne *niewiele* Czechów, którzy w swem sercu myślą całkiem po rosyjsku,“ podziwialiśmy odwagę prof. Tilszera, który w imieniu klubu młodoczeskiego zaznaczył: „Nasz pogląd na politykę zagraniczną wypowiedział poseł Herold, a Dr. Vaszaty przemawiał wyłącznie w swoim imieniu.“ Podziwialiśmy tę odwagę w dyplomacji, ale nie wierzyliśmy ani chwili, aby dopisała.

Jakoż potem odbywały się różne narady Młodoćzechów w Wiedniu i w Pradze, i sprawa została wytoczona przed zgromadzenie wyborcze. Tam właściwie jeden tylko prof.

Masaryk oświadczył wyraźnie, że nie podziela zdania pana Vaszatego. Natomiast sam p. Herold na zebraniu w Pilźnie (26 lipca) uniewinniał się, że jedynie z taktycznych powodów, aby przeszkodzić zbliżeniu się Polaków do lewicy, klub musiał desawuować Vaszatego, że zresztą wszyscy z nim zgadzają się w miłości do Rosyi. Rezultat całej tej dyplomatycznej komedyi był ten, że p. Vaszaty na jesień powrócił do Izby jako tryumfator, i w rozprawach nad budżetem 22 października całą swą mowę russofilską, wygłoszoną 24 czerwca, a przedtem już kilkanaście razy, powtórzył... tylko jeszcze w dobitniejszych słowach. Teraz zaś klub młodoczeski nie zdobył się na żadne zastrzeżenie, a sam p. Rieger, zaiste kompetentny w tej kwestyi i nie posądzany o osobistą przyjaźń dla Vaszatego, oświadczył, iż ten „najszczerzej i najkonsekwentniej“ wypowiada poglądy młodoczeskie. Nie wchodząc wcale w rozbiór tych poglądów, niewątpliwie jednak zbliżenie się Austrii do Rosyi i zerwanie sojuszu z dotychczasowymi sprzymierzeńcami, stanowi zupełny, skrajny przewrót na polu polityki zagranicznej; i na tem zatem polu stronnictwo młodoczeskie dąży do celów radykalnych.

Co do środków, jakich używa, pomijamy wprost anarchiczne, jak uliczne bójki studentów i czeladników z policyantami, częste demonstracye przed zakładami niemieckimi, gorszące sceny, jakie się ogrywały w czasie wystawy, które sam Cesarz potępił dobitnie w Pradze w rozmowie z burmistrzem Dr. Scholzem, a w Wiedniu z delegatem Drem Dostalem. Co do tych ulicznych objawów szowinizmu młodoczeskiego możemy zaznaczyć z żalem, że właśnie wystawa krajowa, chociaż w jej urządzeniu koła młodoczeskie nie miały prawie żadnego udziału, niewątpliwie przyczyniła się niemało do spotęgowania ruchu radykalnego. Pomijamy także zachowanie się frakcyi młodoczeskiej w sejmie czeskim w roku bieżącym i w ubiegłym, gdzie po części za pomocą obstrukcyi, po części terroryzowaniem Staroczechów, obrzucanych w pełnym sejmie przydomkami „zdrajców“, usiłowała zwichnąć projekta ugodowe.

Natomiast warto zastanowić się nieco bliżej nad taktyką frakcyi młodoczeskiej w Izbie poselskiej. Dwie ubiegłe sessye

nowej kadencji parlamentarnej, zupełnie tę taktykę wyjaśniły. Na wiosnę przewidywano, że Młodocześci, stósownie do mów wygłaszanych przed wyborcami i do artykułów prasy radykalnej, wystąpią w Izbie w roli opozycyi hałaśliwej, na wzór skrajnej lewicy sejmu węgierskiego, lub frakcyi irlandzkiej za kierownictwa Parnella. Przewidywania te nie ziściły się zupełnie. Pomimo wszelkiego radykalizmu swego, Młodocześci zrozumieli, że takim występowaniem drastycznym tem ściślej tylko połączą przeciwko sobie wszelkie stronnictwa umiarkowane i te z rządem. Ich taktyka zatem na teraz zmierza przedewszystkiem do tego, aby nie dopuścić skonsolidowania się stosunków parlamentarnych, aby pomiędzy trzema głównymi obozami umiarkowanymi się nie zgodę, to wnioskiem o wprowadzeniu bezpośrednich wyborów, to ujęciem się za znanym wnioskiem p. Plenera, to przypominaniem dawnych krzywd i rozdmuchiowaniem dawnych uraz, to frazesami liberalnymi, obliczonymi na lewicę, to frazesami o słowiańskiej solidarności, obliczonymi przedewszystkiem na Słowian południowych, to otwartemi groźbami, któremi usiłują nastraszyć posłów morawskich, zarzucając im zdradę solidarności czeskiej, albo konserwatywną szlachtę z Czech, którą obwiniają o przeniwierzenie się historycznemu prawu.

Równocześnie z temi manewrami dynamiki parlamentarnej, idą wyraźne podżegania przeciwko nam Rusinów, a pomimo tego usilne zabiegi o pozyskanie sobie w imię radykalizmu pewnych gorących i mniej bacznych żywiołów pomiędzy nami, jakoteż systematyczne podburzanie Słoweńców i Dalmatyńców do wystąpienia z „klubu konserwatystów“ i utworzenia odrębnej słowiańskiej frakcyi, któraby ulegała kierownictwu młodoczeskiemu. Klub hr. Hohenwarta, jak to otwarcie w marcu wypowiedział p. Mattusz w rozmowie z jednym z korespondentów *Czasu*, powstał głównie w interesie Czechów, aby tworzyć przeciwwagę przeciwko lewicy. Że jednak klub ten tworzy niewątpliwie ważny czynnik dodatni, Młodocześci dążą otwarcie do jego rozsadzenia. Oni potrzebują zupełnej anarchii w parlamencie, walki wszystkich stronnictw z sobą i z rządem. A nawet niedawno *Narodni*

*Listy* z naiwną szczerością oświadczyły <sup>1)</sup>, że właściwym zadaniem frakcyi młodoczeskiej jest — zniszczyć parlamentaryzm austriacki. Na jego gruzach ma powstać samodzielne państwo czeskie, pod kierownictwem p. Juliana Gregra!

### III.

Od początku tegorocznej sesyi Rady państwa powtarzały się razporaz pogłoski o bliskim rozpadnięciu się klubu młodoczeskiego. Najczęściej zapowiadano wykluczenie, względnie wystąpienie p. Vaszatego i kilku jego osobistych przyjaciół, poczem klub, uwolniony od żywiołów najbardziej skrajnych, zawróci na tory umiarkowania. Pogłoski te opierały się na niewątpliwym antagonizmie pomiędzy prof. Masarykiem a Drem Vaszatym, zresztą zaś na niedokładnej znajomości stosunków w obozie młodoczeskim. Rzeczywiście bowiem prof. Masaryk i dwaj jego koledzy, prof. Kaizl, który zasiadał w Izbie poselskiej od r. 1885 do 1887 jako Staroczech, i Dr. Kramarz, czyli tak zwani „realiści“, do stronnictwa młodoczeskiego dostali się późno, i tylko jakoby przypadkiem, przez ogół młodoczeski bywają uważani za intruzów, i wcale tam nie posiadają tyle wpływu, aby, po ewentualnem wystąpieniu p. Vaszatego, zdołali kierować klubem młodoczeskim. Bądź co bądź, warto jednak przypatrzeć się nieco bliżej przynajmniej naczelnikowi „realistów.“ Prof. Tomasz Masaryk urodził się 7 marca 1850 r. w Goeding na Morawie, uczył się w Wiedniu ślusarstwa, potem w Cejcy kowalstwa. Dopiero od 15 roku życia uczęszczał do gimnazyum, naprzód w Bernie, potem w Wiedniu, tu też w r. 1875 uzyskał stopień doktora filozofii. Odbywszy podróż do Ameryki, w r. 1879 zaczął wykładać filozofię na wszechnicy wiedeńskiej, w r. 1882 był nowo mianowany profesorem nadzwyczajnym tego przedmiotu przy założonej wszechnicy czeskiej. Tutaj natychmiast skupił około siebie grono młodszych profesorów, w r. 1883 założył czasopismo *Ateneum*, w r. 1886 tygodnik *Czas*, i bardzo wyraźnie zaznaczał pretensye do naprawienia stosunków cze-

<sup>1)</sup> W Nr. 306 z 6 listopada r. b.

kich we wszystkich kierunkach. Pretensye te zrazu objawiały się w ostrej krytyce postępowania tak Staroczechów, jak Młodoczechów. O ile *Ateneum* gromiło przesadny szowinizm narodowy, zamiłowanie w pustych demonstracyach i teatralnych obchodach, fałszowanie dziejów czeskich w interesie radykalizmu i t. d., czynność „realistów“ zapowiadała zwrot wielce pożyteczny. Nie wachali się też rozpocząć walki z najbardziej zakorzenionemi przesądami. Autentyczność tak zwanego rękopisu króloworskiego w Czechach jest *une fable convenue*. Pomiedzy uczonymi czeskimi bardzo jest rozpowszechnione zdanie, że ów sławny rękopis został podrobiony, ale z patryotycznych względów wzdygają się wypowiedzieć to publicznie. Prof. Masaryk z wielką śmiałością i stanowczością podjął się walki przeciwko rękopisowi, ściałnął na siebie gwałtowne pociski tak Staroczechów, jak Młodoczechów, zwłaszcza p. Juliana Gregra w *Narodnich Listach* — ale właśnie tą kampanią zwrócił na siebie powszechną uwagę.

Potem rozpoczął układy to z Staroczechami, to z Młodoczechami. W r. 1889 zdawało się, że „realiści“ złączą się ze stronnictwem staroczeskiem. Jakoż pono tylko pewne osobiste stosunki przeszkodziły temu. Nagle w r. 1890 ocknęli się w obozie młodoczeskim. W jednym przynajmniej punkcie pomiedzy prof. Masarykiem a Młodoczechami zachodzi stanowcza różnica: pan Masaryk nie jest russofilem. Już w roku 1889 korespondentowi *Bohemii* (nr. 55 z 24 lutego) oświadczył: „Co do mnie (bo koledzy realiści Kaizl i Kramarz lgną do Rosyi), sądzę, że wśród narodu czeskigo niema i nie może być politycznej skłonności do Rosyi. Przystajemy z Ameryką w ściślejszych związkach, niż z Rosyą. Tej u nas wcale nie znają, to też zbyt wielkie znaczenie przywiązują do dążności rusofilskich. Bo jakże rozumny polityk może myśleć o związkach z narodem, którego nie znamy, i który nas nie zna? Większość narodu czeskigo jest katolicka, mniejszość protestancka. Mojem zdaniem, rzeczywiste porozumienie z Rosyą mogłoby przyjść do skutku tylko na religijnej podstawie, tymczasem sądzę, że naród nasz nie przyjmie prawosławia.“

Że ta ostatnia uwaga prof. Masaryka wynika z głębszego zrozumienia rzeczy, świadczą o tem jego *Slovanske*

*Studye, I*<sup>1)</sup>. Tam na przykładzie Iwana Wasilewicza Kirejewskiego bardzo on gruntownie wykazuje, że tak zwani słowianofile rosyjscy od samego początku dążyli do celów religijno-schizmatyckich. To też Rosya nie zadowalnia się wcale słowiańsko-braterską miłością osadników czeskich na Wołyniu, lecz zmusza ich do przejścia na prawosławie! Że zaś niepodobna przypuścić, aby cały naród czeski poszedł za przykładem kolonistów czeskich, przeto uwaga prof. Masaryka jest niezawodnie trafna. Jednakże, oprócz zdobycia Czechów dla prawosławia, Rosya ma jeszcze niektóre, mniej daleko sięgające, ale zawsze dość niebezpieczne cele: mianowicie zakłócenie wewnętrznego porządku i pokoju w Austrii. Właśnie w tych zabiegach polityka rosyjska pod firmą solidarności słowiańskiej spotyka się z radykalizmem młodoczeskim. Dla Rosyi „solidarność słowiańska“ jest środkiem rozsądzenia Austro-Węgier, dla ludu czeskiego jest ona przeciwem hasłem, dla stronnictwa młodoczeskiego pretekstem najskuteczniejszej agitacji.

To pewna, że prof. Masaryk jest jedynym z posłów młodoczeskich, który już dawniej o stosunku do Rosyi wygłaszał wytrawniejsze zdania — mianowicie też w rozprawie o kwestyi prusko-rosyjskiej w *Ateneum* nr. 14 i 15 r. b. — i który w ostatnich czasach odważnie na zgromadzeniach ludowych w Czechach występował przeciwko p. Vaszatemu, wykazując niedorzeczność niektórych, powtarzanych najczęściej w Czechach twierdzeń, jak np. tego, że zbliżenie się Austrii do Rosyi musiałoby koniecznie sprowadzić w polityce wewnętrznej korzystny zwrot dla Czechów. Pan Masaryk nie należy zatem do russofilów. Możliwy go przeciwnie podejrywać o pewne sympatyje dla Niemców; jakoż niejednokrotnie w rozmowach a nawet na zgromadzeniach wyborezych, podnosił wspólne interesa Czechów i Niemców, zwłaszcza na polu ekonomicznem. To też fakt, że tenże prof. Masaryk zawdzięcza swój mandat poselski opozycyi przeciwko ugodzie niemiecko-czeskiej, przypomina nam głęboką uwagę Tacyty:

<sup>1)</sup> Praga, 1889. Por. *Przeгляд Polski*, zeszyt styczniowy r. 1890, str. 170.

*Mihi, quanto plura recentium seu veterum revolvo, tanto magis ludibria rerum mortalium cunctis in negotiis observantur.*

Kiedy prof. Masaryk nie myślał jeszcze o karierze parlamentarnej, a zatem swych zdań nie stósował do chwilowych potrzeb politycznych, w r. 1881, w dziele *Der Selbstmord* podzielił narody wchodzące w skład Austrii na dwie klasy: oświeconych bez religii, i religijnych bez oświaty. „Najdalej postąpili w oświacie Niemcy. Z tych mieszkańcy prowincyj alpejskich, a zwłaszcza Tyrolczycy, są kościelnymi i religijnymi, natomiast reszta Niemców jest akościelna i areligijna (?)“

„Po Niemcach, Czesi najdalej postąpili w oświacie (?) Brutalną kontrreformacją wprowadzeni napowrót na łono Kościoła katolickiego, wpadli w zupełny letarg, aż dopiero w bieżącym stuleciu obudzili się do narodowej samoistności. W krótkim czasie naród czeski dokonał bardzo wiele; ale wszystkie postępy nie wynagradzają utraty religijności (oczywiście protestanckiej, bo p. Masaryk jest protestantem). Czesi przedstawiają szczególny przykład religijnej połowiczności. Pamięć Husa w ostatnich czasach wśród wykształconej części narodu tak mocno odżyła, że kardynał Schwarzenberg przed ostatnim soborem mógł wypowiedzieć obawę, że kraj wkrótce stanie się husyckim. Ale ten husytyzm jest rośliną sztuczną; lud wiejski, zwłaszcza na Morawie, kocha duchowieństwo, które od niedawna stało się niezmiernie ultramontańskim. Husytyzm więc jest tylko liberalną zabawką dzienników i większej części oświeconych, ale nie oznacza, jak dawniej, religijnego prądu, lecz tylko nibyto oświeconą (*aufklaererische*) połowiczność i chwiejność, połączoną z stanowczą, narodową świadomością.“

„Polacy, hołdujący przeważnie narodowemu pesymizmowi (?), pod względem religijnym nie znajdują się w pomyślniejszem położeniu, niż dwa inne narody. Chętnie wprowadzie przy okazji przyznawają się do katolicyzmu, ale to u nas w Austrii nie znaczy, a dla Polaków jest tylko sposobnością zaznaczenia współczucia dla ciemnionych przez schizmę ziomeków pod panowaniem rosyjskiem. W zwyczajach i w przekonaniach naśladować Francuzów, wykształcony Polak jest połowiczny i bez hartu (*haltlos*). Zwłaszcza bar-

dzo liczna szlachta często przyswoiła sobie obce wzory, nie rozróżniając należycie złych od dobrych.“

„Inne narodowości są mało oświecone; posiadają jeszcze dawny jednolity, chrześcijański pogląd na świat, i dla tego też bardziej kochają życie od swych oświeceńszych współobywateli“ (str. 189—190).

Powyższe wywody prof. Masaryka wymagają różnych zastrzeżeń. Mianowicie o nas, powtórzył on komunały niemieckie. Niepodobna też, aby autor Włochów, t. j. najoświeceniwszy z narodów, wchodzących w skład monarchii, zaliczał do drugiej kategorii; o nich tylko zatem zapomniał. Ale mniejsza o to. Ważniejsza, że p. Masaryk wtedy nie pomyślał wcale o tej klasyfikacji ludów austriackich, którą się posługują zwykle politycy młodoczescy. W parlamencie dzielą oni zwykle ludność na słowiańską i niesłowiańską, domagając się od pierwszej gorliwego popierania interesów czeskich i zasadniczej walki z Niemcami. Ale jeżeli podział p. Masaryka narodów na oświecone bez religii i religijne bez oświaty, jest niewątpliwie fałszywy, to także klasyfikacja, oparta na szczepowym pokrewieństwie, trafna w naukowych dziełach etnograficznych, nie może wcale tworzyć podstawy dla bieżącej polityki. Bo jeżeli całą kwestyę czeską można sprowadzić do jednego mianownika antagonizmu do Niemców, to naszych, więcej skomplikowanych stosunków narodowych nie można sprowadzić do tegosamego mianownika. Lepiej to rozumie p. Masaryk, niż jego przeciwnik Dr. Vaszaty, któremu zdaje się, że każde odezwanie się w imię tego, co on rozumie przez solidarność słowiańską, powinno posłów polskich zjednać dla sojuszu z Młodoczechami.

Pan Vaszaty, urodzony w r. 1836, syn włościanina, od r. 1863 adwokat w Pradze, w 1879 r. był wybrany do Rady państwa jako kandydat staroczeski przeciwko znanemu p. Tonnerowi, który wtedy występował jako kandydat młodoczeski. P. Vaszaty wtedy stał na czele spółki wydawniczej staroczeskiej *Politik*, i był bardzo zaprzyjaźniony z Drem Riegerem, którego później w sejmie czeskim nazwał zdrajcą. Russofilem był oddawna. Jako prezes „Krużoku ruskiego,“ wypowiadał swe gorące sympatyje dla Rosyi, później wygłaszał je w Izbie poselskiej i na zebraniach wyborczych.

Byłoby jednak grubym błędem uważać p. Vaszatego za monomana, którego zdanie nie obowiązuje klubu młodoczeskiego, i którego łatwo będzie można pozbyć się. Pan Vaszaty, stary kawaler, majątny, ale charakteru posępnego, jako mówca lubujący się w przesadzie, szorstki w obejściu, posiada licznych osobistych nieprzyjaciół. Jak przed r. 1885 w klubie staroczeskim występował namiętnie, to przeciwko hrabiemu Clam-Martinićowi, to przeciwko Riegerowi, to przeciwko ministrowi Prażakowi, tak teraz w młodoczeskim klubie walczy z „realistami.“ Publicznie na zebraniach wyborezych oświadczył, że nie należało wybierać ludzi zależnych od rządu, jak prof. Masaryk i Kaizl, publicznie zgromił realistę Kramarza za nieoględne odezwanie się o czeskiem prawie historycznem. Prócz tych, jest jeszcze w klubie młodoczeskim kilku innych, osobiście obrażonych przez p. Vaszatego członków. To dostatecznie tłómaczy powtarzające się nieustannie pogłoski o wystąpieniu p. Vaszatego, lub nawet wykluczeniu go z klubu młodoczeskiego.

Jednakże russofilskie zasady p. Vaszatego z temi osobistemi zatargami nie pozostają w żadnym związku. Owszem, jeżeli p. Vaszaty posiada dużo osobistych przeciwników, to wpływ jego w obozie młodoczeskim opiera się właśnie na jego śmiałym i szczerym russofilizmie. Pan Vaszaty dojrzał wtedy, kiedy zapal dla Rosyi w Czechach stanął w swym zenicie — około r. 1868. Gdy w r. 1879 posłowie staroczescy wstąpili do Rady państwa, wskutek doznanych przez Rosyę w wojnie wschodniej i na kongresie berlińskim niepowodzeń russofilizm w Czechach nieco osłabł; należało się wtedy spodziewać, że dzięki systemowi rządowemu, sprawiedliwemu i uwzględniającemu moralne i materyalne potrzeby Czechów, jakoteż dzięki wejściu klubu czeskiego w przymierze z kołem polskiem i konserwatystami niemieckimi, Czesi zupełnie się wyleczą z russofilizmu. Te nadzieje nie sprawdziły się, posłowie staroczescy jednakże w Radzie państwa i w delegacyi unikali wszelkiej demonstracyi russofilskich.

Tylko p. Vaszaty szedł dawną drogą, i od roku 1882 z wzrastającą werwą przy każdej sposobności wygłaszał swój zapal dla Rosyi. Właśnie ten russofilizm stał się pomostem

między nim a Młodozechami. Prof. Masaryk wykształcony w odmiennej atmosferze, w Wiedniu i w Ameryce, niedawno na jednym z zebrań publicznych w Czechach oświadczył, że „na sprawy słowiańskie trzeba się zapatrywać ze stanowiska czeskiego.“ Nam to wydaje się rzeczą tak prostą i przyrodzoną, że jesteśmy skłonni uważać zdanie prof. Masaryka jako komunał i pleonazm, a nie pojmujemy, że mogło wywołać oburzenie. Ale w Czechach właśnie to jest główną kwestyą: czy na sprawy słowiańskie zapatrywać się ze stanowiska czeskiego, czy odwrotnie, na sprawy czeskie ze stanowiska słowiańskiego? Stanowisko „słowiańskie,“ zwłaszcza dla kół radykalnych, jest tam stanowiskiem russofilskim. jeżeli nie rosyjskiem, i to poprostu na podstawie prozaicznego rozumowania, że Rosya jest najpotężniejszym państwem słowiańskiem, a zatem dopiero ona Rzeszy słowiańskiej nadaje pewną realną siłę. To rozumowanie, wolne od wszelkiego sentymentalizmu i zapału, ale przemawiające najskuteczniej do praktycznego zmysłu ludu czeskiego, powtarza się nieustannie w *Narodnich Listach*, ale także aż nazbyt często w pracach nibyto poważniejszych, niż efemeryczne artykuły dziennikarskie.

Przejęty takimi zasadami p. Vaszaty, nie patrzy na sprawy słowiańskie ze stanowiska czeskiego, jak radzi prof. Masaryk, lecz przeciwnie, na sprawy czeskie patrzy ze stanowiska słowiańsko-rosyjskiego, i dla tego mówi „jak gdyby czuł w swem sercu po rosyjsku“ — jak to zauważył w Radzie państwa prof. Biliński. Ale p. Vaszaty czuje i mówi tak bez wszelkiej świadomości anormalności takiego stanowiska. Nie należy on do rzędu agentów rosyjskich, płatnych, lub pozyskanych obietnicami, którzy mówią i czynią to, co im nakazują chlebobawcy, chociażby posiadali świadomość, że czynią źle. Nie afszuje też russofilizmu z ambicyi. Nie należy do rzędu tych polityków, o których powiada Mézières: *Pour ne pas être abandonné par ceux qui le suivent, l'ambitieux se fait le complice des violences qu'il désapprouve.* Nie, w umyśle p. Vaszatego *das Ich* i *das Nicht-Ich*, jak rozróżnia Fichte, w danym razie więc przekonanie czeskie i przekonanie słowiańsko-rosyjskie, tak zupełnie zlały się, że tam wszelki dualizm ustał; patrząc na wszystko przez pryzmat

uczuc i interesów rosyjskich, jest on mocno przekonany, że patrzy przez prawy pryzmat czeski.

I właśnie ta szczerość, ta nieświadomość różnicy tych dwóch stanowisk, to zupełnie wzięcie się posła czeskiego w poglądy rosyjskie, które na nas działa jak dziwaczna monomania, stanowią podstawę znacznego wpływu p. Vaszatego w obozie młodoczeskim. Jest on niejako wcieleniem tych wszystkich prądów russofilskich, które od kilkudziesięciu lat rozpowszechniano w Czechach, to z przekonania, to z nienawiści do Niemców, to jako środek pospolitej agitacji, a któremu stanowczo i systematycznie opierać się nie śmiało żadne ze stronnictw czeskich. Jest on wybitnym okazem wpływu, jaki pewien prąd, choćby najszlachetniejszy, ale szerzony przez dziesiątki lat, wywiera na całe pokolenia. Bo tylko przypadkowa okoliczność, że p. Vaszaty swe mowy russofilskie wygłasza jako poseł w Radzie państwa, sprawia, że po za Czechami uważają go jako fenomen. Na prawdę, tysiące Czechów, chociaż nie wszyscy umieją wypowiadać tak ściśle swe przekonania, czują i myślą tak samo, jak pan Vaszaty. To też nie ludzimy się wcale, aby wykluczenie p. Vaszatego z klubu młodoczeskiego oznaczało zwrot w dążnościach russofilskich. Zwrot ten spowodzić może tylko długoletnia wytrwała praca, albo też — katastrofa Rosyi. W gruncie bowiem jedynie ta pozorna ogromna siła Rosyi w opinii niektórych Słowian austriackich spowodziła owe zmieszanie stanowiska słowiańskiego ze stanowiskiem rosyjskiem.

Ze stanowczym, otwartym i szczerym russofilizmem p. Vaszatego napozór pozostaje w sprzeczności fakt, że w swych mowach zawsze szeroko i tonem głębokiego przekonania wyklada on wielkie korzyści, jakich Austria może się spodziewać po ścisłym sojuszu z Rosyą. Byle jej pozwoliła zabrać półwysp bałkański z Carogrodem, i wyrzekając się wszelkich innych pragnień, zawarła sojusz z Rosyą, Austria będzie zabezpieczona na zawsze, zdoła rozpuścić stałą armię, niżyc wydatki o grube miliony i t. d. Wywody takie obudzają podejrzenie, że p. Vaszaty nie jest zupełnie szczerym. Podejrzenie to jednak nie jest wcale uzasadnionem. Pan Vaszaty *jest* zupełnie szczerym. Tylko trzeba pamiętać, co on rozumie przez Austryę, albo Austro-Węgry? Wychodzi

on naprzód z założenia, że w monarchii habsburskiej Słowianie tworzą większość ludności. Zdanie to jest mylne, bo rzeczywiście Niemcy, Madziarowie, Włosi i Rumuńczycy nieco przewyższają ludność słowiańską — ale owa mylna przesłanka powtarza się nie tylko zawsze w mowach p. Vaszatego i dziennikach młodoczeskich, lecz czasem nawet w innych. Powtórę p. Vaszaty hołduje demokratyczno-mechanicznej teorii, która w stosunkach narodowych jako rozstrzygający czynnik uważa same gołe liczby, a zatem wyłącznie liczy głosy, nigdy ich zaś nie waży. Na mocy tej teorii, mniejsza o to, czy Polaków, wolno ni ztąd ni zowąd utopić w morzu słowiańskim, i co powiedzą Niemcy i Madziarowie, którzy *de facto* są o wiele silniejsi, niżby można wnosić z samych liczb ludności — Austro-Węgry są państwem słowiańskim. Jako takie, z natury rzeczy nie powinny się spierać z Rosją, ani o półwysep bałkański, ani o inne rzeczy, lecz — spieszenie uznać hegemonię rosyjską! Pan Vaszaty odznacza się więc ścisłą konsekwencją. To, co uważa jako szczęście dla Czech, przenosi tylko na całą monarchię austriacko-węgierską. Opiekunче pikiety kozackie od Bogumina przez Cheb i Salzburg aż do Tryestu; w Wiedniu, po zburzeniu parlamentu, co według *Narodnich Listów*, jest zadaniem frakcyi młodoczeskiej, Kaulbars w roli Repnina; a w razie oporu Madziarów lub Niemców nowa wyprawa *à la* Paskiewicz — oto obraz przyszłości, zdolny wprawić w zapał szczerego Słowianina rosyjskiego autoramentu!...

Jakkolwiek Dr. Vaszaty niewątpliwie z ścisłą konsekwencją wygłasza ostatnie cele prądu russofilskiego, nie twierdzimy bynajmniej, aby całe stronnictwo młodoczeskie lub klub poselski młodoczeski wyraźnie i świadomo zdążał do tych samych celów. Pomiędzy niemi, a dzisiejszym *status quo*, jest jeszcze dosyć zapór, i to bardzo silnych, o które się rozbijają fale radykalizmu młodoczeskiego. To jednak pewna, że to stronnictwo nie znajduje się na drodze właściwej i nie postępuje w tym kierunku, na któryby się zgodzić mogły czynniki zachowawcze monarchii. Można to było przewidzieć zaraz po wyborach, i to też stwierdziła dotych-

czasowa parlamentarna taktyka frakcyi młodoczeskiej. Stronnictwa, które swą rację bytu i swe mandaty poselskie nie zawdzięczają rzeczywistej potrzebie narodowej, ani dodatnim zasadom, lecz wyłącznie agitacyi i prądom niezdrowym, tylko w całkiem anormalnych stosunkach dochodzą do pewnego znaczenia. W normalnych są i muszą być skazane na same zawody. Dotychczasowa parlamentarna czynność 35 posłów młodoczeskich jest też nieprzerwanem pasmem zawodów, poczynwszy od adresu w kwietniu, aż do teatralnego, bez wszelkich poważnych następstw „zwycięstwa“ w sprawie wniosku p. Plenera. Im więcej takich zawodów dozna radykalizm młodoczeski, tem rychlej albo terażniejsi posłowie młodoczescy wyleczą się z szowinizmu radykalnego, albo też, co byłoby rzeczą w interesie zasad politycznych pomyślniejszą, ludność czeska odwróci się od nich, i powierzy mandaty żywiołom wytrawnym.

\* \* \*

Powyższe uwagi o stronnictwie młodoczeskiem, jak najzupełniej potwierdziła wygłoszona już po ich napisaniu mowa p. Edwarda Gregra (16 grudnia). W tej iście szalonej mowie, najwybitniejszy i najbardziej wpływowy, obok swego brata Juliusza, przywódzca młodoczeski, śmiałą ręką podniósł zasłonę, ukrywającą ponurą otechłań dzikiej nienawiści do Austrii. Państwem „gwałtu i przemocy,“ upiorem, „w którego objęciach usycha każdy naród słowiański,“ łupieżcą, „wyciskającym Czechy, jak cytrynę,“ nazwał Austryę; wszystkich jej mężów stanu oskarżał o niechęć do Czechów, o których zapewniał, że wśród nich „coraz to potężniej wzmagają się nienawiść do Austrii“ i pragnienie „wydostania się z tej babilońskiej niewoli.“ Nietylko z powodu uczuć, z jakich powstała, ale także z powodu wyraźnie zamierzonego efektu na masy w Czechach, mowa ta jest manifestacją wręcz rewolucyjną. W tem, co się odnosi do wrzekomego wyzyskiwania Czech przez Austryę, p. Gregr dopuścił się poprostu plagiatu znanego pamfletu Jonatana Swifta: *The present miserable state of Ireland*, chociaż w rzeczywistości żadną miarą nie można z uciskiem Irlandyi porównać rządów au-

stryackich w Czechach, które na polu interesów ekonomicznych zawsze doznawały nietylko opieki, lecz najwyraźniejszych przywilejów, i dzięki faworom wszystkich z kolei rządów wiedeńskich, stały się, nie jak Irlandya, krajem głodu i nędzy, lecz jednym z najbogatszych i najbardziej kwitnących w Europie. Wszakże minęło dopiero 2 miesiące od zamknięcia wystawy jubileuszowej, która tak dobitnie wyjaśniła dobrobyt Czech i rozkwit przemysłu krajowego we wszystkich gałęziach! Z ekonomicznego stanowiska wytaczać Austrii akt oskarżenia, to po stronie Czecha mogłoby się wydawać szaleństwem, gdyby w tem nie była metody, i gdyby właśnie ten rodzaj najmniej usprawiedliwionej opozycyi nie stanowił oddawna jednego z głównych i najniebezpieczniejszych środków agitacyi młodoczeskiej.

Druga część mowy p. Gregra odnosi się do wynarodowienia Czechów. Nie warto zastanawiać się nad hipotezą, czy naród czeski dziś znajdowałby się w korzystniejszym położeniu, gdyby w r. 1526 sejm czeski nie był wybrał królem arcyksięcia Ferdynanda? Natomiast to jest rzeczą pewną, że gdyby w r. 1621 był się utrzymał wezwany na tron czeski przez stany protestanckie naczelnik niemieckiej Unii protestanckiej, Palatyn nadreński Fryderyk, Czechy dziś byłyby krajem taksamo niemieckim, jak ościenna Saksonia. To uznawają nietylko wszyscy wytrawni politycy czescy, ale także niedawno wypowiedział to, wcale Habsburgom nieprzychylny francuski dziejopisarz Czech prof. Denis w cytowanym już dziele: *Fin de l'indépendance bohème* (Paryż, 1890, 2 tomy). Ostatecznie można było uniewinniać pewną przesadę w reklamacyach praw narodowościowych, wygłaszanych np. w r. 1878, tj. za rządów nieprzyjaznego Czechom gabinetu lewicy. Dziś jednak, po 10-letnich uczeiwych usiłowaniach rządu, zmierzających do zaspokojenia rzeczywistych narodowych potrzeb Czechów, tychsamyh reklamacyj, namiętnych skarg, tudzież zapewnień, że hr. Taaffe nie wyświadczał narodowi czeskiemu nic dobrego i że taksamo, jak poprzednicy jego, stara się tylko zgermanizować Czechy, nie można żadną miarą uniewinniać przesadą patryotyczną; są one raczej objawem bezprzykładnej niewdzięczności, a nadto na zimno obmyślanym manewrem bezsumiennych agitatorów. P. Gregr wyraźnie oświadczył, że

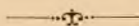
swych napaści nie wymierzył przeciwko dynastji; atoli takie zastrzeżenie w niczem nie może złagodzić podburzającego efektu mowy jego. Gdyby bowiem istotnie Austria, jak twierdzi trybun młodoczeski, od 4 wieków do dnia dzisiejszego była gwałcicielem narodowych praw i materialnych interesów Czechów, natenczas byłoby im bardzo trudno, rozróżnić stanowczo pomiędzy państwem a dynastją.

Bądź co bądź, ta mowa p. Gregra jest manifestem nie tylko przeciwko rządowi dzisiejszemu, lecz także przeciwko samej Austrii. Słusznie jeden z dzienników morawskich zauważa o niej: „Nie widzimy w mowie p. Gregra ani odwagi, ani patriotyzmu, ani energii, lecz tylko niezmierną lekkomyślność, albo zaślepienie człowieka, którego mądrość polityczna wyczerpała się. Podobne rzeczy można wygłaszać tylko w przededniu dobrze przygotowanej rewelucji, inaczej męza pozbawiają reszty szacunku. Tylko wyraźny wróg i uwodziciel narodu naszego, może go w taki sposób oszukiwać i bałamucić. Ze stanowiska najświętszych interesów naszego narodu, protestujemy przeciwko mowie Gregra.“ Jak Morawianie i jak w imieniu wielkich właścicieli ks. Karol Schwarzenberg, tak przeciwko tej mowie potwornej zaprotestowali także mężowie zaufania stronnictwa staroczeskiego. Nie powinno jednak skończyć się na tych protestacyach, lecz właśnie ten gwałtowny wybuch rewolucyjnego szowinizmu młodoczeskiego, powinien stać się początkiem stanowczego zwrotu w polityce czeskiej. Konieczność takiego zwrotu jest tem niewątpliwsza, im mniej można się spodziewać, aby w samem łonie stronnictwa młodoczeskiego wytworzyła się reakcyja przeciwko temu prądowi, który się tak dobitnie zaznaczył w owej mowie. W Radzie państwa ani jeden poseł młodoczeski nie miał odwagi zganić p. Gregra. „Dyplomata“ Młodoczech, p. Herold, chociaż w tonie łagodniejszym, zatwierdził wywody p. Gregra. Pogłoska, jakoby parlamentarna komisya klubu młodoczeskiego była z powodu mowy p. Gregra wypowiedziała ubolewanie, nie sprawdziła się. Przeciwnie, *Narodni Listy* codziennie ogłaszają nazwiska różnych korporacyj, które nadesłały rezolucye na cześć mowy, chociaż ze względu na prokuratora nie mogą już ogłaszać tekstu tych rezolucji. A nadto obie ostatnie mowy pp.

Vaszatego i Gregra, dopełniające się nawzajem, pod osłoną nietykalności poselskiej w tysiącnych egzemplarzach obiegają po Czechach. To nie są improwizacye zapału mowców-poetów, ani wykolejenia krasomowczego talentu w gorączce! P. Gregr, jak dr Vaszaty, są to ludzie zimni, którzy obliczają wszystko, długo przygotowują swe mowy, a nie improwizują niczego. Także ostatnia mowa p. Gregra niewątpliwie, jak dawniejsze, w kilka dni, zanim była wygłoszona w Izbie poselskiej, już w przekładzie czeskim czekała ustawiona w drukarni *Narodnich Listów*. Jestto co do treści i co do stylu najdokładniejsza i najwierniejsza manifestacya prądu młodoczeskiego. To też, chociaż chcielibyśmy spodziewać się, że niektórzy z posłów młodoczeskich, wskutek tego *pronunciamento* opamiętają się, to jednak przedewszystkiem wykazuje ono gwałtowną potrzebę systematycznej walki wszystkich żywiołów zachowawczych z prądem radykalnym w Czechach. Naród czeski nie powinien opłacić wybryków trybunów *à la Gregr*, ale w interesie państwa i zasad konserwatywnych trzeba użyć wszystkich środków, aby zapobiedz nadal takim wybrykom, a przedewszystkiem ich oddziaływaniu na tłumy. Kiedy układano regulamin Izby poselskiej, nie przypuszczano, że pod osłoną nietykalności poselskiej, wygłaszane będą pamflety, zawierające akt zdrady stanu i rewolucyjne hasła. W żadnem normalnem społeczeństwie takich zbroczeń ścierpieć nie można. I nie można pozwolić na to, aby w Czechach, na korzyść obcych wrogów monarchii, wpajano w ludność pod firmą nietykalności poselskiej, dziką nienawiść przeciwko monarchii.

E. Lipnicki.

# TRAKTATY HANDLOWE.



Nie w przenośnem, ale w istotnem znaczeniu tego słowa, stoją obecnie traktaty handlowe na porządku dziennym dyskusyi europejskiej. W Wiedniu, Peszcie, Berlinie, Rzymie, Brukselli, Bernie, zajmują się ciała ustawodawcze równocześnie traktatami, jakie między sobą Austro-Węgry, Niemcy, Włochy, Belgia, Szwajcarya od 1 lutego b. r. zawrzeć zamierzają; zajmuje się nimi prasa i opinia publiczna w całej Europie, bo wszyscy czują i widzą, że to sprawa ogromnie doniosła, sięgająca swem znaczeniem i po za sferę materialnych interesów i po za granice polityczne państw zawierających te traktaty.

Jak różnostronną jest doniosłość, tak też różnorodnemi są przyczyny, które tę wielką akcyę wywołały. Chcąc wszystkie te przyczyny zbadać i odsłonić, należałoby cofnąć się wstecz o cała lata, badać całą politykę handlową Europy, tak często zależną bądź to od ściśle politycznych interesów, bądź też od panujących w społeczeństwie idei i prądów, zmuszoną liczyć się ze zmianami politycznego czy gospodarczego porządku rzeczy. Zostawiając na później przedstawienie tej ważnej strony w historii XIX w., można tu zaznaczyć, że bezpośrednim powodem tej wielkiej akcyi, powodem niedozwalającym jej opóźnienia, był fakt gaśnięcia obecnie całego szeregu traktatów. Ostatnie dziesięciolecie powołało wogóle mało traktatów handlowych do życia, opartych na obszernych taryfach cłowych i obowiązujących przez t. zw. związanie po-

zycy do utrzymania danej wysokości cła; w wielu wypadkach ograniczono się tylko do wzajemnego przyznawania sobie najkorzystniejszego traktowania, przez co jednak wykluczonem tylko było różniczkowe, gorsze od innych, bynajmniej zaś nie było zapewnionem w ogóle korzystne traktowanie; każda korzyść przyznana innym państwom, stawała się bezpośrednio udziałem państwa, mającego zapewnionem najkorzystniejsze traktowanie, ale taksamo i ginęła z chwilą, gdy ją innym państwom odebrano. Niemal wszystkie państwa zaprowadziły u siebie autonomiczne taryfy cłowe, z charakterem wybitnie protekcyjnym. Istniejące traktaty handlowe wykluczały ich ogólne zastosowanie, ale traktaty te właśnie teraz w znacznej liczbie miały wygasnąć. Już w r. 1891 zgasły traktaty Rumunii z Niemcami, Anglią, Włochami, Belgią, Rosyą i Turcyą; na 1 lutego 1892 r. gasną dotychczasowe traktaty Niemiec z Szwajcaryą i Hiszpanią, Austro-Węgier z Szwajcaryą, Szwajcaryi z Włochami, Włoch z Portugalią i Hiszpanią, Hiszpanii z Szwecyą, Szwajcaryą i Belgią, Francyi z Belgią, Portugalią, Szwecyą, Hiszpanią, Szwajcaryą, Hollandyą; piętnaście traktatów miało zgasnąć, zmieniając bezpośrednio handlowe położenie państw kontrahujących, oddziałując pośrednio na wszystkie te państwa, które jedynie na podstawie powyższych traktatów korzystały rzeczywiście z przyznanego im przywileju najkorzystniejszego traktowania.

Nastał przeto istotnie moment krytyczny, wobec którego rządy musiały sobie postawić kategoryczne pytanie: co zrobić? Albo trzeba się było zdecydować na zapanowanie autonomicznych taryf cłowych w Europie, układanych przez każde państwo dla siebie samodzielnie, bez pytania się zagranicy; albo trzeba było podjąć usiłowania, aby szereg nowych traktatów powołać do życia. Pierwsza ewentualność dawała każdemu krajowi ostatecznie tylko możliwość zabezpieczenia sobie krajowego targu dla krajowych towarów, ale nie zapewniała bynajmniej samodzielności ekonomicznej, nie zapewniała utrzymania się wszystkich istniejących gałęzi produkcji krajowej, niejednokrotnie zależnej w swem istnieniu od otrzymania zagranicznego surowca. Autonomia zupełna taryf cłowych, tak co do dowozu, jak przewozu i wywozu, przysługująca każdemu państwu zarówno, mogąca zmieniać i uzupełniać taryfy

w dowolnym kierunku i dowolnej wysokości, groziła zupełnym przewrotem w dotychczasowych stosunkach międzynarodowej wymiany, w istniejących warunkach zakupu i zbytu. Przesilenie ekonomiczne, spotęgowane niefortunniemi reformami monetarnemi, jakie po r. 1873 w całym świecie uczuć się dało, przyczyniło się w wysokim stopniu do odjęcia za-inaugurowanym przez Napoleona III po r. 1860 traktatom handlowym wolnohandlowego charakteru; wszędzie wystąpiła dążność ochrony własnego targu; autonomiczne taryfy, obowiązujące wszystkie państwa z chwilą zgaśnięcia ich traktatów, przybrały w wielu wypadkach charakter więcej niż protekcyjny, niemal prohibicyjny. Do walki cłowej podjęto wszędzie usiłowania; obok taryf ugodowych powstały taryfy autonomiczne, podzielone tu i owdzie na taryfę maksymalną, obowiązującą w zasadzie, i taryfę minimalną, odnoszącą się tylko do pewnych grup towarów, a przyznaną drugim państwom tylko na podstawie otrzymanych od nich szczególnych korzyści taryfowych.

Nie sama jednak wysokość cła w taryfach autonomicznych czyni je groźnemi dla państw sąsiednich; gorszą ich wadą jest nieograniczoność czasu; każdej chwili mogą one być zmienione, mogą każdej chwili zakłócić i potargać historycznie powstałe stosunki handlowe. Okoliczność ta jest mniejszej wagi dla państw tak wielkich i ekonomicznie potężnych, że ostatecznie mogłyby same sobie wystarczyć, jak do pewnego stopnia Stany Zjednoczone; taksamo i dla państw z świetnie rozwiniętym i bardzo bogatym przemysłem, jak Anglia, dla państw, których eksport opiera się głównie na niezbędnych surowcach, jak po części Rosya, bo tu nie niknie szansa przerzucenia w danych warunkach cła na konsumentów importującego kraju. Ale ta niestałość warunków zbytu na cudzych rynkach, staje się klęską tak dla państw, wysoce zagranicą zadłużonych, jak dla państw eksportujących głównie fabrykaty, a nie mających w tej produkcji stanowczej technicznej przewagi, potrzebujących i dla zatrudnienia i dla wyżywienia swego przemysłu dowozu cudzego surowca. Obie te kategorye państw zdążać muszą do zapłacenia zagranicy, zarówno jej procentów, jak jej wywozu, towarami a nie kapitałem, obie muszą więc produkować na eksport, a położe-

nie ich pogarsza się w miarę utraty obcych targów czy utrudnienia zbytu na tych targach.

Od merkantylistów do skrajnych wolnohandlowców, powtarza się w życiu narodów wieczny błąd przeceniania znaczenia i korzyści zagranicznego handlu; ich teoria i praktyka, pomimo licznych różnic w motywowaniu i w obranych środkach akcyi, zdążała do rozwoju tego handlu, upatrując w nim i próbiez i czynnik pomyślności kraju. Oba te kierunki przeoczały, że im więcej wzrasta zagraniczny handel, tem więcej wzrasta zależność kraju od zagranicy, tem ryzykowniejszem staje się jego położenie. Wielki eksport kraju nosi w sobie zarodek przyszłych przesilen. Żadne państwo nie rozstrzyga o warunkach zbytu swego na cudzych rynkach; zapewnienie ich sobie domaga się nieraz ofiar znacznych w własnej taryfie cłowej na rzecz zagranicy; dla ofiar tych istnieje w własnych krajowych stosunkach zawsze pewna granica, a ocena ich znaczenia przysługuje nie czyniącemu je państwu, lecz tym, na których rzecz gotowiśmy je uczynić; pomimo obniżenia własnej taryfy do najniższych możliwych granic, nie mamy żadnej rękojmi, czy zagranica uzna te ustępstwa za dostatecznie wielkie, aby przyznać nam pożądaną zniżkę w swej taryfie i ztąd znośne warunki zbytu dla naszych wyrobów na jej targu zapewnić. Ocena to ściśle subiektywna; nawet udowodniona wzajemna korzyść, nie poręcza uzyskania odpowiedniego porozumienia z zagranicą, nie poręcza utrzymania już istniejącego porozumienia. Niepewność ta i niebezpieczeństwo wzrasta stopniowo, nie jakościowo jednak, z chwilą zarzucenia polityki traktatowej, zapanowania taryfowej autonomii. I jakoś i trwałość warunków zbytu zagranicą staje się natenczas zupełnie niepewną i nieokreśloną. Wadliwą więc jest polityka, starająca się przeważnie o rozwój eksportowej produkcji kraju; wadliwą owa znana handlowo-polityczna zasada: kupuj surowce, sprzedawaj fabrykaty—bo jej stosowanie odciąga ręce od pracy nad wytworami, któreby zawsze w kraju miały zapewniony zbyt, przeciąga kapitał i pracę do produkcji wywozowej, mogącej chwilowo przynieść korzyści, ale wywołującej dwustronną zależność od zagranicy, przy kupnie surowców i przy sprzedaży swych wyrobów, grożącej przesileniami, skutkiem zmian tak w fak-

tycznych stosunkach, jak w polityce handlowej zagranicy, na co dany kraj nie posiada rozstrzygającego wpływu. Już sam rozwój ekonomiczny, do którego w każdym znaczniejszym kraju ostatecznie przyjść musi, doprowadzi z konieczności do powstania zasobnej i zdolnej krajowej produkcji przetwarzającej, a to równoznacznem ze stopniową zniżką dowozu z zagranicy. Kraj, który poczyną tracić zbyt zagranicą, wchodzi w fazę przesileni i ubożenia; fabryki zmniejszają lub zawieszają swą pracę, mnóstwo kapitału marnieje, mnóstwo ludzi zostaje bez chleba; zaniedbane dotąd gałęzie krajowej produkcji nie mogą się rozwinąć odrazu, nie mogą natychmiast zaspokoić potrzeb, dotąd przeważnie zagranicznym wytworem zaspakajanych; dowóz trwać musi jeszcze pomimo tracenia wywozu, a to sprowadza kraj na pochyłą płaszczyznę zadłużania wobec zagranicy. Nie podnoszenie produkcji na eksport, grożącej przesileniami, a ztąd socyalnie niepożądaney, ale raczej rozwój wszystkich potrzebnych a możliwych gałęzi produkcji krajowej i wytworzenie harmonijnego ich współdziałania, winno być przewodnią myślą polityki ekonomicznej. Dla społeczeństwa ważniejszą jest trwałość i pewność, chociażby skromnych warunków bytu, aniżeli chwilowe świetne powodzenie, przerywane gwałtownymi przesileniami. Im mniejszą zależność od zagranicy, tem zdrowsze i pewniejsze warunki ekonomicznego rozwoju. Polityka to dojrutkostwa, dać się oslepiac chwilowem powodzeniem, przeoczac przyszłe niebezpieczeństwa, pocieszając się na myśl o nich maksymą: jakoś to będzie.

Pomimo niebezpieczeństwa, wynikającego z wielkiej produkcji na eksport, muszą nieraz kraje utrzymywać ją, a ztąd naturalnie i starać się o najkorzystniejsze dla niej warunki. Praktyczna polityka musi liczyć się z faktycznymi stosunkami własnego kraju. Czy i o ile może kraj obyć się bez zagranicy, na to mają wpływ tak obszar i położenie kraju, jak jego rozwój ekonomiczny i jego pozycja finansowa. Anglia ze swemi koloniami, Stany Zjednoczone, Rosya, i obszarem swem i położeniem różnych swych składowych części, mogą — co też istotnie uczyniono — rozważać kwestyę, czyby nie należało się odgrodzić od świata, samemu sobie wystarczyć. Reszta państw niema ani takich obszarów, ani tego położe-

nia; nie mają one przeto równie dogodnych warunków naturalnych dla podjęcia takiej polityki. Ale i posiadając nawet takie warunki, nie każde państwo mogłoby pomyśleć o natychmiastowem ograniczaniu się do siebie; zaporą w tym kierunku może być tak stan zadłużenia, jak faktyczny dotychczasowy rozwój produkcji. Oplata procentów i spłata długów zagranicą, może dokonać się z korzyścią dla kraju tylko przez trwałą i odpowiednio wysoką nadwyżkę towarowego wywozu, i kraj nie może zaniechać wywozu, dopóki ma długi, a ztąd musi się starać o uzyskanie najkorzystniejszych warunków zbytu dla swych towarów zagranicą, czego żadna autonomiczna taryfa cłowa nigdy nie zdoła ani osiągnąć ani zapewnić. Każda gałąź produkcji wymaga współudziału ludzi, specjalnie technicznie w danym kierunku uzdolnionych, i kapitałów, przybierających formę różnych specjalnych urządzeń i maszyn; upadek każdej gałęzi wywołuje przesilenie w organizmie gospodarczym społeczeństwa, bo ani ludzie, ani kapitały nie mogą odrazu i bez strat przejść do innej produkcji; ludzie przechodząc do innego zawodu, przechodzą tam jako zwyczajni robotnicy; ich dawne specjalne uzdolnienie, nie znajdzie zastosowania; kapitał zakładowy nie da się nigdy w całości wyciągnąć z powrotem, w znacznej części ginie on dla społeczeństwa, zmniejszając przez to ogólną zasobność. Wycofane z jednej gałęzi produkcji praca i kapitał, szukać muszą zatrudnienia w innej; dopóki go nie znajdą, są w nader przykrych warunkach, mogących się stać wprost groźnemi dla społeczeństwa, a znalazłszy nowe zatrudnienie staczać muszą walkę o zbyt na targu krajowym, która znów, jak każda walka, nie obejdzie się bez strat, wstrząśnień i boleści. Utrata dotychczasowych zagranicznych rynków zbytu, powoduje też — o ile nie znajdzie się nowych — przesilenie w produkcji krajowej, doprowadza do zmiany gospodarczych stosunków kraju, która osłabia go na czas pewien, jak wszędzie i zawsze każda faza przejściowa. Uznając więc nawet ryzyko wynikające ze stosunkowo wielkich rozmiarów eksportowej produkcji, nie mogą społeczeństwa gwałtownie chcieć kres temu położyć, mogą myśleć tylko o zmianach stopniowych, a i tu muszą uwzględnić wszystkie stosunki, aby nie osłabiać się w nieodpowiedniej chwili.

Z faktów ekonomicznych musiała przedewszystkiem zwrócić na siebie uwagę wzrastająca dążność cłowego odgrodzenia się Stanów Zjednoczonych, Rosyi, Francyi, która już doprowadziła do taryf autonomicznych, niemal prohibicyjnych. Dla państw środkowej Europy, mających do niedawna z powyższemi państwami żywą wymianę, a obecnie zagrożonych utratą odnośnego eksportu, nastął przymus poważnego osądzenia sytuacji. Ztąd wynikła owa wielka akcja środkowo-europejska, celem stworzenia dla kontrahujących państw na podstawie 12-letnich traktatów handlowych wielkiego targowiska, a na podjęcie tej akcji nie było bez wpływu i ogólne polityczne położenie. Trójprzymierze podjęło zadanie utrzymania *status quo*—Rosya i Francya zapewniają dotąd o swych pokojowych zamiarach, ale Rosya uznaje obecny stan Bułgarii za pogwałcenie traktatów, a Francya gotowa każdej chwili do podjęcia akcji celem odzyskania Alzacyi i Lotaryngii, byle miała korzystną sposobność. Jak 100 lat temu nie uznawała Rosya Konstytucyi 3 maja, ale akcyę przeciw niej podjęła dopiero, gdy była do niej gotową, i wtedy też — po ukończeniu wojny z Turcyą — wkroczyła w ziemię Rzeczypospolitej, aby „stan prawny, naruszony rewolucyą z 3 maja“ przywrócić, tak dziś mocarstwa trójprzymierza obawiać się muszą, że Rosya „dla przywrócenia stanu prawnego w Bułgarii“ rozpocznie akcyę, gdy się dostatecznie przygotuje, gdy się uczuje na siłach. Jedynie własnem nieustannem doskonaleniem gotowości do wojny zdoła trójprzymierze utrudniać i opóźniać gotowość Rosyi, opóźniać naruszenie przez Rosyę istniejącego stanu rzeczy. Trójprzymierze musi mieć siłę do przetrzymania tego stanu z jego wydatkami, nie może ryzykować ekonomicznych przemian wewnętrznych, które zwłaszcza w Niemczech mogłyby do groźnych zakłóceń prowadzić, a przez to zaszkodzić politycznym interesom sprzymierzonych państw. Ztąd słuszną jest owa wybitnie w tej akcji traktatowej występująca dążność polityczna: ekonomicznego porozumienia się wśród trójprzymierza. Trzeba uznać, że rządy zrozumiały położenie i spełniły, czego ono się domagało.

Pierwsze kroki w tej sprawie podjęto już w lipcu 1890 r.; pod koniec r. 1890 przystąpiono, porozumiewszy

się co do zasadniczego kierunku polityki handlowej, i to stworzenia szerokiej nowej traktatowej podstawy dla międzynarodowej wymiany w Europie, do szczegółowego omawiania i podstaw i treści traktatów, a odnośne rokowania toczyły się przez długie miesiące i w Wiedniu i w Berlinie i w Monachium; w grudniu r. 1891 przystąpiono do ich podpisania, bezpośrednio poczem przedłożono parlamentowi austriackiemu, węgierskiemu, niemieckiemu: 1) Traktat cłowo-handlowy między Austro-Węgrami a cesarstwem niemieckiem, 2) Ugodę o zarazach bydłych między Austro-Węgrami a cesarstwem niemieckiem, 3) Ugodę o wzajemnej ochronie wynalazków, marek handlowych i wzorów między Austro-Węgrami a cesarstwem niemieckiem, 4) Traktat handlowy i żegluzny między Austro-Węgrami i Włochami, 5) Traktat handlowy i żegluzny między Austro-Węgrami i Belgią, 6) Traktat handlowy ze Szwajcaryą.— Tak w Berlinie, jak w Wiedniu oświadczyły rządy, że uważają te przedłożenia jako jednolitą całość; istotnie też dopiero przez to połączenie nabierają one swej właściwej wielkiej doniosłości.

W parlamencie i w prasie podniesiono zarzut przeciwko rządowi, że za późno wniosły tę grupę całą traktatów do Izby, pozbawiając je przez to możności rzeczowego rozbioru i ewentualnych poprawek. Wobec tego zarzutu można jednak podnieść, że rokowania rozpoczęto dawno i prowadzono długo, tak iż o zamierzonym umyślnem opóźnieniu chyba nie można mówić. Co zaś do rzeczowego rozbioru i poprawek, to należy pamiętać, że chcąc w drodze ugody osiągnąć korzyści, trzeba przyznawać ustępstwa; a keya rozwinięta przeciw ustępstwom uczynionym, niweczyłaby zarazem i osiągnięte korzyści; nie można więc nigdy przy ocenie wartości traktatu, opierać sądu na wyrwanych pozycjach. Ocenienie musi dalej, aby było racjonalnem i skutecznem, być systematycznem; ono musi uwzględnić stopniowe ocenie surowców, wytworów półgotowych, gotowych, pomocniczych, musi realnie ocenić, które stadyum produkeyi przetwarzającej jest w kraju najwyższym rozwinięciem, względnie najwięcej potrzebuje ochrony; stawianie poprawek w taryfie cłowej na wyrwyki, w miarę jak podniosą się skargi, i to jeszcze może agitacją nie rzeczową

wywołane, musiałyby wyjść na niekorzyść kraju, bo łamałyby niezbędną systematyczność taryfy cłowej.

Austro-Węgry i Niemcy, aby mówić głównie o tych państwach, ze względu i na ich przeważne znaczenie i na przynależność ziem polskich do nich, zyskały na lat 12 trwałą podstawę dla handlu między sobą, oraz z Włochami, Szwajcaryą, Belgią. Jak ważnym jest handel z temi 4 państwami razem, dla Austro-Węgiei, o tem poucza najlepiej podana tu tablica (zob. str. nast.), a jak dla Austro-Węgiei Niemcy, tak znów dla Niemiec mają stosunki handlowe z Austro-Węgrami przeważne znaczenie. Ogólny wywóz Niemiec wynosił:

z tego do Austrii:

1887 r.	3190 mil. marek,	303.8 mil. marek	równe	9.5 <sup>0</sup> / <sub>0</sub>
1888 r.	3352 " "	320.7 " "	" "	9.5 <sup>0</sup> / <sub>0</sub>
1889 r.	3256 " "	340.7 " "	" "	10.4 <sup>0</sup> / <sub>0</sub>
1890 r.	3409 " "	351.0 " "	" "	10.3 <sup>0</sup> / <sub>0</sub>

a przywóz do Niemiec z Austro-Węgiei, uczynił w tych latach 13.3, 14.2, 13.1, 14.0<sup>0</sup>/<sub>0</sub> ogólnego przywozu. Dołączony do traktatów handlowych memoriał niemieckiego rządu, podając powyższe cyfry, zaznacza też, że po Anglii przypada Austro-Węgom pierwsze miejsce w statystyce zagranicznego handlu Niemiec. Dla obu tych mocarstw ma przeto traktat handlowy obustronnie bardzo wielkie znaczenie.

Cheąc rozpatrzyć się nieco szczegółowiej w korzyściach i ustępstwach, zawartych w tych traktatach, wypada zaznaczyć na wstępie, że Niemcy zyskały korzystniejsze warunki dla swego przemysłu, a uczyniły ustępstwa przy płodach rolniczych, przy winie. Łączny dowóz surowców do Niemiec wynosił w latach 1880—1890 przeciętnie 2206 milionów marek, a po strąceniu własnego wywozu surowców wynosiła przeciętna nadwyżka dowozu surowców 1357 mil. marek; w r. 1889 wykazują te pozycje już 2818, względnie 2033 mil. marek, w 1890 r. 2966, względnie 2120 mil. marek. Wywóz fabrykatów z Niemiec równocześnie nie wzrastał odpowiednio; wynosił on w latach 1880—1890 przeciętnie 2260 mil. marek, a po strąceniu własnego dowozu fabrykatów tylko 1211 mil. marek, 1889 r. wyniósł 2382, względnie 1185, 1890 r. 2482, względnie 1286 mil. marek. Wobec tych stosunków musiało rządowi Niemiec zależeć na zyskaniu korzystniej-

# Porównanie wartości całego dowozu i wywozu Austro-Węgier z wartością handlu austro-węgierskiego z Niemcami, Włochami, Szwajcaryą i Belgią

(w tysiącach guldenów w. a.)

	Dowóz do Austro-Węgier						Wywóz z Austro-Węgier					
	1890	1889	1888	1887	1886	1885	1890	1889	1888	1887	1886	1885
Łączna wartość handlu terytorjum cłowego Austro-Węgier (wyjąwszy szlachetne kruszce)	609700	589161	533068	568573	539223	557948	771376	766178	728795	672930	698632	672083
Handel Austro-Węgier (wyj. szl. kruszce):												
z Niemcami . . . . .	192999	186717	182445	183680	176607	173944	323797	310124	272472	262033	249255	234616
z Włochami . . . . .	38286	42421	40853	45708	46484	45738	65635	75030	66989	123455	110828	108892
z Szwajcaryą . . . . .	18169	18310	16400	19121	18705	18635	47352	50601	47453	44278	47351	32405
z Belgią . . . . .	2552	3273	3370	2506	1957	2446	849	970	1652	940	457	493
Wartość handlu z temi 4 państwami . . . . .	252006	250721	243068	251015	243753	240763	437633	436725	388566	430706	407891	376406
Co czyni w procentach łącznej wartości całego zagranicznego handlu .	41·33	42·56	45·60	44·15	45·20	43·15	56·73	57·00	53·32	64·00	58·38	56·01
Udział procentowy w łącznej wartości handlu wynosi u:												
Niemiec . . . . .	31·65	31·69	34·22	32·31	32·75	31·18	41·97	40·47	37·38	38·94	35·67	34·91
Włoch . . . . .	6·28	7·20	7·66	8·03	8·62	8·20	8·51	9·79	9·19	18·35	15·87	16·20
Szwajcaryi . . . . .	2·98	3·11	3·08	3·36	3·47	3·33	6·14	6·61	6·51	6·57	6·77	4·82
Belgii . . . . .	0·42	0·56	0·64	0·45	0·36	0·44	0·11	0·13	0·24	0·14	0·07	0·08

szych warunków zbytu dla swego przemysłu; w tym celu też ofiarował ustępstwa przy cłach od surowca, a przez to zyska przemysł niemiecki podwójnie, bo otrzymał możliwość tańszego zaopatrywania się w surowce, co wiele podnosi jego zdolność konkurencyjną, zyskał niższe cło przy dowozie na targi szeregu państw.

Ze sfer rolniczych niemieckich podniosły się liczne skargi przeciw traktatom, jako poświęcającym interes rolnictwa na rzecz przemysłu; skargi na poświęcenie interesów producentów wina możemy pominąć, bo nas one nie dotyczą, natomiast skargi rolnicze każą nam zwrócić uwagę na położenie rolnictwa w zaborze pruskim. Straty, jakie tam w ciągu ostatnich lat ponieśliśmy w ziemi, odbiły się wszędzie echem bolesnem, i ztąd z obawą przychodzi myśleć o pogorszeniu położenia rolnictwa w Niemczech, bo toby mogło jeszcze dalej znacznie proces wywłaszczenia u nas posunąć. Kanclerz niemiecki starał się przy odnośnej dyskusyi w parlamencie przedstawić niżkę ceł zbożowych, jako nieuniknione a mniejsze zło, jakie w ogóle zagrażało rolnictwu. Zwracał on uwagę, że traktaty okupione ceną niżki ceł zbożowych, zapewniają utrzymanie silnego przemysłu, ztąd zachowują dla rolnictwa silnego konsumenta w kraju; bez traktatów mógł przemysł niemiecki ucierpieć bardzo, a im trudniejszym byłoby jego położenie, tem słabszym byłby odbiorcą na płody rolnicze, tem głośniej więc i ogólniej podniosłoby się wołanie za zniesieniem ceł zbożowych. Wywód ten nie jest bezpodstawny, bo istotnie eksport fabrykatów niemieckich zmniejszył się relatywnie, a mianowicie do Rosyi; dalsza nagła niżka tego eksportu mogła poważne następstwa wywołać. A zresztą można przypomnieć, że tak jak zaprowadzenie ceł zbożowych w r. 1879 i ich podwyższenie w r. 1885 nie tylko nie podrożyło ceny zboża, ale nawet niżki powstrzymać nie zdołało, tak nie można też upatrywać w niżce ceł koniecznego powodu niżki ceny. Liczyć się z jej możliwością naturalnie zawsze trzeba, aby nie doznać zawodu w swych rachunkach, i ztąd należy na innej drodze starać się o zrównoważenie ewentualnej straty, ze niżki ceł mogącej wyniknąć. Środki po temu leżą tak w prywatnej, jak w publicznej sferze działania. Wadą to wielu t. zw. wzorowych gospodarstw nie-

mieckich, która się i u nas w zaborze pruskim dość często pojawia, że więcej tam dbano o t. zw. racjonalną technikę gospodarczą, niż o inteligentną ekonomikę, zamało uwzględniano, że gospodarstwo rolne jest przedsiębiorstwem, jak każde inne, i że wtedy dopiero można mówić, że jest dobrze prowadzonym, gdy daje zyski. Rzeczą to indywidualnego działania, zastosować technikę własnego gospodarstwa do postulatów ekonomiki, a uczyniwszy to, można poważne rezultaty osiągnąć. Prywatne to działanie winno znaleźć poparcie i uzupełnienie przez akcyę publiczną, a mianowicie przez reformę obowiązku dominiów do utrzymywania niezdolnych do pracy, ich wdów i dzieci, na podstawie dwuletniej niegdyś służby, po której mogły nastąpić całe lata włóczęgi po świecie, przez ułatwienie stosunków robotniczych w ogóle. Rząd winien w interesie rolnictwa we wschodnich prowincjach zerwać stanowczo z tradycją wydziałów, uchylić wszystkie utrudnienia, jakie do dziś tamują przyływ robotnika z Królestwa Polskiego, znieść utrudnienia w prywatnem parcelowaniu ziemi i kolonizowaniu, przemienić komisję kolonizacyjną z wstępną maszyną polityczną w ściśle agraryjną instytucyę, podejmującą i rozwiązującą agraryjne problemy. Koło polskie w Berlinie nieraz już stawiało te postulaty; obecna niżka cel zbożowych tem więcej je uzasadnia, bo rząd winien wszystko uczynić, aby zapobiedz ewentualnym złym skutkom traktatów.

Austro-Węgry przyznały na rzecz Niemiec niżki główne przy cłach przemysłowych, mianowicie też w dziale żelaza; natomiast zyskały ze strony Niemiec niżkę cła na surowce, mianowicie zboże, drzewo, rośliny handlowe (chmiel), oraz uregulowanie pozytywne stałych warunków eksportu bydła, zależnego dotychczas od jednostronnej tylko oceny Niemiec. Austriackie motywa do traktatów handlowych zaznaczają, że z przeciętnego eksportu, wynoszącego w latach 1885—1890 r. 718 mil. guld., 445 mil. równe 62% przypada na eksport surowców i środków żywności, dla których znów cesarstwo niemieckie jest i najbliższym i głównym konsumentem. Cło zbożowe niżono przy pszenicy i życie z 5 na 3.5 m., przy owsie z 4 na 2.80, jęczmieniu z 2.25 na 2, mące z 10.50 na 7.30, przy chmielu z 20 na 14 m.; przy drzewie

wynosi zmiana cła przy niektórych pozycjach do 20<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. Eksport bydła austriackiego do Niemiec w ostatnich latach ucierpiał bardzo skutkiem jednostronnie przez Niemcy stawianych utrudnień: w r. 1877 wprowadzono z Austrii do Niemiec krów 54.452, a w r. 1890 tylko 28.491, wołów w tych latach 106.758 względnie 12.474, młodocianego bydła 29.545 względnie 14.735, trzody chlewnej 578.448 względnie 161.628. Przyznana obecnie zniżka cel w odnośnych pozycjach dochodzi do 15<sup>0</sup>/<sub>0</sub>; cło na konie w wysokości 20 m. zostało związaniem, na źrebięta do 2 lat niższe na 10 m. Wartość eksportu koni do Niemiec oszacowano w r. 1890 na przeszło 9 mil. marek; uczynił on 32.018 sztuk; upewnienie się co do stałości odnośnego cła ma więc już samo przez się wielkie znaczenie, które też wzrastać będzie w miarę wzrostu tego eksportu. W Prusiech często dziś podnoszą ze sfer rolniczych skargi na zarząd stadnin rządowych, że dostarczają tylko materiału dla produkcji koni wojskowych, za żywych i za lekkich dla potrzeb intensywnej uprawy roli; hodowla koni zmieniła się w bardzo wielu gospodarstwach, przybiera kierunek cięższy, pociągowy, ten kierunek dominuje już w wielu prowincjach Niemiec, wobec czego mogą się dla Austro-Węgier otworzyć widoki korzystnego i wzrastającego eksportu bydła i koni.

Korzyści, przyznane Austrii, odnoszą się głównie do rolnictwa, które taksamo odniesie korzyść ze zmniejszenia austriackiego cła na żelazo i wolności od cła superfosfatów. Należy jednak pamiętać, że ze zniżki cel zbożowych korzystać będą nietylko Austro-Węgry, ale wszystkie państwa, mające w Niemczech przywilej najkorzystniejszego traktowania, a więc Anglia z koloniami, Stany Zjednoczone, Francya. Różniczkowemi są te cła obecnie jedynie wobec Rosyi, ale trwałość tego stanu nie jest ani poręczoną, ani prawdopodobną; zresztą zboże rosyjskie liczyć może na równouprawnienie z innemi we Francyi, a ztąd mógłby handel zbożowy eksportem znacznym francuskiego zboża do Niemiec stworzyć we Francyi korzystny rynek zbytu dla zboża rosyjskiego. Większej wagi nabiera przeto ugoda co do dowozu austriackiego bydła do Niemiec, bo ta opierając się na spe-

cyalnych urządzeniach weterynarskich z natury rzeczy nie może się bez wszystkiego i na inne państwa rozszerzać. Ugoda ta wejdzie w życie dopiero w rok po traktatach, a zostanie zastosowaną w całej pełni aż z chwilą, gdy w Austro-Węgrzech, tak jak w Niemczech, zorganizowanem będzie ustawodawstwo o zarazie płucnej. Obostrzenia policyi weterynarskiej można z uznaniem powitać. Im więcej starania indywidualne i towarzystw rolniczych podnoszą hodowlę bydła w kraju, im przeto więcej pracy i kapitału tkwi w tej gałęzi produkcyi i bogactwa krajowego, tem konieczniejszymi są te obostrzenia, aby niedbałość jednostek nie stawała się powodem klęski ogólnej. Ugoda odnośna zastrzega, że w razie pojawienia się zarazy płucnej w jakiej miejscowości, może bydło całego kraju być wyjętem z pod prawa dowozu do Niemiec; przepis ten uwidocznia dosadnio, jak zgubną dla kraju może być niedbałość jednostek, niedostateczność prewencyjnego i repressyjnego działania policyi weterynarskiej. Skoro zaś te starania odniosą skutek, to trwała możność eksportu bydła zdoła nader korzystnie wpłynąć na położenie całego rolnictwa. Podniesienie hodowli, nienarażonej na zamknięcie granicy, ułatwi korzystną dla wzbogacenia gleby zmianę płodozmianu, i może się ztąd stać czynnikiem, dźwigającym ogólnie a skutecznie nasze rolnictwo.

Traktat Austro-Węgier z Włochami da się scharakteryzować jako utrzymanie traktatowego *status quo*, przyczem jedynie przyznano Włochom podniesienie ich cła na wyroby lniane, zyskując od nich natomiast niższą ceł co najmniej równowązą w licznych innych gałęziach przemysłu. Jakkolwiek bezpośrednio handlowe stosunki Austro-Węgier z Belgią są nader małe, jak to widać z podanej wyżej statystyki, leżało jednak w ogólnym interesie Austrii wciągnięcie i Belgii w związek traktatowy, co pośrednio może przynieść korzyść poważną. Cła belgijskie są w ogóle niskie, ważną przeto jest pewność utrzymania ich na tym poziomie przez lat 12. Autonomiczna generalna taryfa Szwajcaryi z 10 kwietnia 1891 r. przybrała w wielu pozycjach charakter wybitnie protekcyjny, ztąd też osiągnięcie przez traktat zmodyfikowanej taryfy konwencyonalnej, już za korzyść uznanem być musi.

Reassumując ten pogląd na znaczenie traktatów handlowych, zwłaszcza dla Austro-Węgier i Niemiec, można zaznaczyć, że oba te państwa zyskują ułatwienie eksportu faktycznie najważniejszych gałęzi swej produkcji, i zyskują *stałość* warunków tego eksportu na lat 12. Łącząc szereg państw w wzajemnym obrocie na podstawie konwencyonalnej taryfy, wytwarzają punkt krystallizacyjny dla dalszego rozszerzania znaczenia traktatów. Na tej podstawie istnieje też nadzieja otwarcia i zapewnienia zbytu dla produktów środkowo-europejskich w państwach Bałkańskich, co zwłaszcza dla przemysłu Austro-Węgier mogłoby być niemałego znaczenia, stanowić niejako kompensatę za koncesye w traktacie handlowym, na rzecz Niemiec uczynione. Zapewniając sobie na lat 12 zagranicą zbyt dla produktów tych gałęzi produkcji, które faktycznie po nad potrzebę targu krajowego wytwarzać mogą, unikają oba cesarstwa, co socyalnie jest bardzo ważnem, wewnętrznej przemiany swego organizmu gospodarczego, któraby je czasowo na osłabienie pewne mogła narazić. Ale z tem większą ostrożnością winny Anstro-Węgry przystępować do zamierzonej reformy waluty, aby fałszywym krokiem w tej sprawie nie zakwestyonować wszystkich dodatnich rezultatów, jakie zawarte traktaty handlowe istotnie przynieść mogą.

Prócz strony ekonomicznej i socyalnej, domagającej się przede wszystkim *pewności* zarobku dla robotnika, zapewnienia egzystencji istniejącym gospodarstwom, przedstawiają traktaty handlowe jeszcze stronę finansową i polityczną. Dochód z ceł przedstawia ważną bardzo pozycję w państwowych dochodach monarchii austro-węgierskiej, i wszelki znaczniejszy ubytek byłby tu wprost niepożądanym; zniżka ceł może spowodzić wyższy dowóz i ztąd utrzymać wysokość dochodu, ale to tylko jest możność, a nie pewność; ubytek okazać się może, i nie można się ludzić, aby łatwem było, pokryć go innostronnym dochodem. Zwiększony obrót prawdopodobnie podniesie dochód z kolei, ztąd ułatwi pokrycie ewentualnego niedoboru, ale i pod tym względem niema żadnej pewności. Dopiero przyszłość zdoła stanowczo pouczyć o finansowych następstwach traktatów handlowych, a ta oko-

liczność nakłada obowiązek ostrożnego obchodzenia się tymczasem z finansami państwa.

Co do strony politycznej, to naprzód zwraca uwagę fakt przystąpienia Szwajcaryi i Belgii do traktatów handlowych państw trójprzymierza. Przed 26 laty podpisano w Paryżu unię monetarną lacińską, w skład której weszły Francya, Włochy, Belgia, Szwajcaryja. Ministerjum Napoleona III podnosiło z tryumfem ten sukces swej dyplomacyi. Dziś Francya stoi handlowo odosobniona, a państwa jednej z nią unii monetarnej, przeszły do obozu przeciwników politycznych. Nie brak też głosów, mówiących o bliskim przemysłowym Sedanie dla Francyi. Pomimo tak ostentacyjnie afiszowanego stosunku politycznego, stoi Rosya dotąd na stanowisku dopuszczania karabinów i trochę pieśni francuskich, ale nie ułatwiła wstępu dla francuskich towarów. Artykuł 11 frankfurckiego pokoju zapewnia Francyi w Niemczech i na odwrót, na czas nieograniczony — co dziś ogólnie za błąd tego traktatu uważają — przywilej traktowania na równi z Anglią, Austryją, Rosyą, Belgią, Hollandyą i Szwajcaryją; czy ten traktat nie ulegnie zmianie w przyszłości, za to nikt ręczyć nie może; bądź jak bądź znajduje się Francya w odosobnieniu; nie ona rozstrzygnęła o międzynarodowym ukształtowaniu stosunków handlowych na końcu XIX wieku.

Kiedy przed dwoma laty wyszły znane edykta Wilhelma II o kwestyi socyalnej, zaznaczono na tem miejscu, że widnieje z nich inny duch, niż w systemie Bismarka. Tosamo można powiedzieć i o traktatach handlowych. Epoka ignorowania sąsiadów pod każdym, prócz pod militarnym względem, minęła w polityce niemieckiej; jej miejsce zajęła dążność szerokiego międzynarodowego porozumienia. Obranie tej drogi, wyższej etycznie, może też mieć nader doniosłe następstwa praktyczne. W miarę rozwoju ludzkości, mnożą się sprawy, które nigdy w drodze autonomicznego ustawodawstwa, ale jedynie w drodze międzynarodowego porozumienia dobrze załatwić się dadzą. Wstąpienie na tę drogę przez mocarstwa trójprzymierza, musi też być uznanem zasadniczo za krok dodatni, za istotny krok naprzód w ogólnym rozwoju międzynarodowym.

I w parlamencie niemieckim stwierdzono to zanikanie ducha bismarkowskiej ery. Książę Carolath-Schönaich, oświadczając się sam za traktatami, zaznaczając ich wielkie znaczenie dla Niemiec, podniósł z naciskiem, że minęła już moda, gdy podług opozycji lub uległości wobec przedłożeń rządowych, pierwszy przedstawiciel niemieckiego rządu stawiał dla stronnictw i posłów kryteria *der Reichsfeindlichkeit*. Minał system żelaznego kanclerza, minęła i jego metoda, a to zanikanie brutalności w systemie i metodzie akcji dominującego swą potęgą państwa, musi znów być ogólnie za pożądane zjawisko uznaniem. Przyszły historyk będzie też musiał tę zmianę w Niemczech, zainaugurowaną przez cesarza Wilhelma II, powitać jako dodatnią zmianę na korzyść i Niemiec i ludzkości.

Przyjąć albo odrzucić? Z takim hasłem rozpoczęła w Niemczech na długo przed ogłoszeniem traktatów prasa, zostająca w stosunkach z ekskanclerzem, walkę przeciwko całej tej akcji. Posłowie nasi tak w Berlinie, jak w Wiedniu, wystąpili stanowczo w obronie tej akcji, oświadczyli się za przyjęciem traktatów, podnosząc równocześnie ich wielostronną doniosłość. W społeczeństwie znalazło to stanowisko kół naszych uznanie i poparcie; niema tu różnicy zdania pomiędzy społeczeństwem a jego delegacją.

Dając swe poparcie traktatom handlowym, spełnili posłowie nasi swe zadanie w tej sprawie. Ale po za zadaniem delegacji naszej, jest w tej sprawie zadanie społeczeństwa, a tem jest wyzyskanie stworzonej sytuacji, która zwłaszcza dla Galicyi istotnie korzystnie się przedstawia. W dziedzinie produkcji, winna podwoić się troskliwa i umiejętna praca; tyloletnie usiłowania i towarzystw rolniczych i prywatne w kierunku podniesienia hodowli bydła, należy podejmować dalej; w sprawie chowu koni, może byłoby na czasie pomyśleć o założeniu krajowego rejestru, na wzór założonych w Prusiech wschodnich i innych prowincyach Niemiec *Stutbuchów*; w hodowli koni pełnej krwi, nie możemy marzyć na teraz o zdobyciu sobie stanowiska, ale chów koni półkrwi, i tak już w niejednej stadninie galicyjskiej wysoko doprowadzony, może byłoby słusznem ogólnie zreformować,

jakkolwiek jednolicie zorganizować, przez to zapewnić mu rodzaj pewnej handlowej marki i na tej drodze zbyt z tej gałęzi produkcji, cieszącej się u nas dotąd może więcej zamiłowaniem, niż fachową wiedzą i konsekwencyą, powiększyć i zyskownym uczynić; że akcyja rządu w tej sprawie była u nas dotąd niedostateczną, to ogólnie i uznanem jest i wiadomem. Ale skoro hodowla nabiera wogóle większego znaczenia, to z tem większym naciskiem podnieść trzeba dawne postulaty kraju wobec rządu tak co do subwencji dla towarzystw rolniczych, lepszego materiału pełnej krwi dla chowu koni, założenia i dobrego wyposażenia stacyj doświadczalnych dla nawozów sztucznych, gleby, nasion, jak co do reformy sprzedaży i ceny soli bydłowej i kainitu. Trzeba tu zerwać z fiskalnym biurokratyzmem, który nawet skarbowi nie przyniesie tych korzyści, jakie właśnie zgodna z interesem kraju reforma sprzedaży soli i kainitu (poręczanie zawartości, odstawa na kolej) bezpośrednio i pośrednio dla skarbu przynieśćby mogła.

Po za produkcyą, zostaje zbyt. Organizacya dotychczasowa zbytu płodów rolniczych w Galicyi, jest wysoce niezadawalniająca, a jak długo to się na korzyść nie zmieni, tak długo kraj nie będzie miał ze swej produkcji odpowiedniej korzyści. Reforma tego handlu jest trudną, liczne podjęte próby nie udawały się, ale mimoto nie można jej pomijać; naturalnie, chcąc z wielkim handlem wejść w bezpośrednią styczność, należy najdokładniej zastosować się do terminu odstawy i do próbki towaru, towar tej jakości produkować, jaka największy popyt na targu znajduje. Przy produkcy już należy pamiętać o zbycie, co, jak wiadomo, z taką umiejętnością i z takim skutkiem uczynili rolnicy w Stanach Zjednoczonych. Powiększenie sieci kolejowej, odpowiednia organizacya taryf kolejowych, dalsza praca nad siecią dróg krajowych, winny też nie schodzić z naszej uwagi.

Im więcej zdołamy uczynić w kierunku ulepszenia naszej produkcy i warunków zbytu, tem większą zdołamy odnieść korzyść z traktatów handlowych. Odnosząc jednak tę korzyść, należy pamiętać, że ona może być przejściową, że to korzystne położenie po latach 12 zmienić się może. Ztąd trzeba pracować usilnie, aby to położenie w całej pełni

wyzyskać, ale wyzyskaną zwyczaję dochodu należy uważać jako niepewną, jako przejściową, na której nie można opierać ani wyższej skali potrzeb, ani wyższego szacunku własnej ziemi i ztąd wyższych działów rodzinnych. Zwyczaję tę dochodu należy użyć na kapitalizację, na wzmożenie zasobności naszych gospodarstw. Tem tylko wzbijały się ekonomicznie w górę narody, a jedynie na rzetelnej podstawie ekonomicznej zyskują one dość zasobów, aby spełnić wszystkie swe zadania, aby stanąć silnie tak w polityce, jak w cywilizacji.

*Dr Józef Milewski.*

## Kronika literacka.

---

— *Powstanie i upadek Konstytucyi 3 maja*, według dokumentów oryginalnych napisał Paweł Popiel. Z podobizną pisma króla Stanisława Augusta do Szczęsnego Potockiego. (W Krakowie, nakładem Spółki Wydawniczej Polskiej. 1891. W drukarni „Czasu,” 8cc, str. 72.) — Stuletnia rocznica 3-go maja zaznaczyła się w literaturze historycznej pracami małych rozmiarów, ale wagi wcale niemałej, odnoszącemi się do sprawy Konstytucyi. Pomnikowe dzieło Kalinki jest wprawdzie; ale i ono nie wyczerpuje wszystkich kwestyj i szczegółów, a spodziewać się można, że długo jeszcze po nas ludzie dowiadywać się będą o tej sprawie rzeczy nowych, odkrywać tajemnice i rozwiązywać zagadnienia. Po Kalince zostało takich wiele, a stuletnia rocznica, naturalnie, zwróciła na nie uwagę ludzi myślących i trudniących się historią. Taki był początek dwóch znakomitych w tym przedmiocie rozpraw, przeznaczonych nietylko na użytek i pożytek ludzi dzisiejszych, ale na to, by w literaturze 3-go maja zostały, jako dokumenta niezbędne dla historyków późniejszych. Prof. Balzer napisał książkę małej objętości, ale taką, że po niej nikt już w całej Polsce nie będzie miał wymówki, jeżeli nie będzie dobrze wiedział, jaka była konstytucya Rzeczypospolitej przed Trzecim Maja, dlaczego i w czym była zła a potrzebowała poprawy, ani też jaka była treść, dążność, wartość i zasługa konstytucyi nowej. Wszystko to wyłożone jest tak jasno, dokładnie, zrozumiale — a dodajmy i tak pięknie — że kto tylko chce, może się ztamtąd doskonale nauczyć wszystkiego, co człowiek oświecony o ustawie 3-go maja wiedzieć powinien. To jest rzecz, przeznaczona do najszerszego i najbardziej praktycznego użytku. Prof. Smolka, w odczycie swoim na publicznem posiedzeniu Akademii Umiejętności, zajął się kwestyą szczegółową, niezmiernie ważną, dla historyka niezmiernie pojętną, a dla myślącego czytelnika ciekawą, dyplomatyczną kwe-

styą stosunku mocarstw zagranicznych do przygotowującej się zmiany, i wykrył, jak mądra polityka i ostrożna postawa cesarza Leopolda II. pomagała szczerze a przezornie wzmocnieniu Rzeczypospolitej, jak robiła to, czego Polska sama nie byłaby mogła dokazać, wciągając inne państwa do obrony konstytucyi polskiej, jak wreszcie ucieczka i uwięzienie Ludwika XVI pokrzyżowały i poplątały fatalnie tę politykę, którą nagła śmierć cesarza przewalała i udaremniła.

Historykom naszym trzeba oddać sprawiedliwość, że zrozumieli i doskonale wykonali swój obowiązek, że przy okazji tej rocznicy rzucili wiele światła na sprawę 3-go maja.

Ale teraz przybywa trzecia z rzędu praca, również na objętość mała a duża na wagę, głos i świadectwo w tej sprawie, które zawsze odtąd powinny być słuchane. Pisał ją nie historyk z zawodu, tylko człowiek, który całe życie o kwestyach politycznych myślał w ich zasadniczej istocie, jak w ich praktycznej naturze, Polak, który całe życie ważył i roztrząsał w umyśle i sumieniu powody upadku i przeszkody odrodzenia Polski, człowiek moralny wreszcie i chrześcjanin, który do ludzkich czynów przykłada miarę boskich praw, i zawsze chce dojść (a zwykle trafnie dochodzi) co było i w jakiej mierze, dobre, a co złe.

Te trzy warunki były koniecznie potrzebne temu, kto miał podjąć i rozważyć — może rozstrzygnąć — niektóre pytania odnoszące się do 3-go maja, i to pytania właśnie, które choć politycznie i historycznie mniej ważne, nas przecie obchodzą niezmiernie żywo, a w tym roku stawały nam w myśli natężonej, boleśniej niż zwykle. Pomimo Kalinki — po części wskutku Kalinki właśnie — powstało pośród nas pytanie, czy ogłoszenie ustawy 3-go maja w tej formie i w tej chwili nie było politycznym błędem? Czy nie lepiej było zataić i zacząć się cierpliwie, z Rosyą nie zrywać, a przeczekać Katarzynę? Czy przymierze pruskie nie było łatwowiernością i pomyłką, trudną do darowania? a wreszcie jaka jest prawdziwa miara winy każdego z ludzi działających, króla, przywódców partyi konstytucyjnej, opozycyi, i wreszcie sejmu samego, jako takiego.

Na te pytania odpowiada p. Paweł Popiel; a odpowiedź stanowi jedną stronę wartości i zasługi jego pisma. Drugą jest nie opowiadanie o tem, co się działo od 3-go maja do akcesu króla do konfederacyi Targowickiej (opowiadania niema, bo to bardzo treściwe i zbite), ale uchwycenie i pokazanie wszystkich głównych politycznych i psychologicznych pierwiastków, wszystkich głównych momentów i zwrotów, które wywołały i stanowiły historię tych kilkunastu miesięcy. Kalinka zatrzymuje się jak wiadomo na dniu 5 maja; essencya tego co się działo do 24 lipca 1792 r., znajduje się na kilkunastu kartkach książeczki pana Popiela.

Zaczyna się rzecz od krótkiego lecz dokładnego przypomnienia powodów niezupełności polskiego społeczeństwa, i skutku tego słabości polskiego państwa, oraz zamiarów i prób jego poprawy. Tu mielibyśmy do zrobienia tę uwagę, że nie można tej dążności uważać za poczynającą się od Skargi i od Górnickiego; jest ona dawniejsza od obu, a Górnicki — którego zresztą nikt więcej od nas nie ceni i nie lubi — z całym swoim jasnym widzeniem rzeczy, był reformatorem zbyt ostrożnym, a skutecznym być nie mógł, skoro przez tę ostrożność właśnie *Rozmowy* swojej nie wydał (żeby nie raziała opinii). Modrzewski, piszący zaraz po śmierci Zygmunta Starego, nie mógł mieć tyle politycznego doświadczenia, co Górnicki po trzech elekcyach, ale w rzeczach społecznych jest reformatorem i głębszym i śmielszym od niego. Statyści zaś z pierwszej połowy XVIII wieku, mianowicie Karwicki, wiążą się owszem z Górnickim, i z niego czerpią niektóre swoje pomysły. Zamierzona reforma Czartoryskich, jej zbawiennosc, ich błędy w postępowaniu, oznaczone równie krótko a dosadnie; powód upadku ich myśli, określony trafnie i słusznie tym aforyzmem: „zakorzenione błędy mas, tylko siła przewycięża“.

Po tym krótkim wstępie przechodzimy do powszechniejszego już rozumienia potrzeby zmian, i do Czteroletniego Sejmu, i spotykamy się z pytaniem „czy było politycznie zawierzać obietnicom i pomocy króla pruskiego, lub też pozostać w sojuszu z Rosyą“, i „przeczekać Katarzynę“ jak się wyrażał Chreptowicz. Kalinka, jak widać z wielu ustępów *Sejmu*, skłania się do tego ostatniego zdania. Pan Popiel broni przeciwnego, może zbyt gorąco. Że w owych latach nikt nie mógł przewidywać Napoleona, i opierać polityki na wpływie, jaki jego wojny mogły wyrzucić na Polskę, to pewna; ale to było do przypuszczenia i przewidzenia, że Katarzyna Rzeczypospolitej ze słabości i zależności wypuścić nie zechce, że otrząsającą się z nich zechce zatrzymać w tym stanie siłą, i że Katarzyna (przy swoim wieku i swoim rodzaju życia) długo już żyć nie będzie. Nie można więc mówić, że ta polityka „przeczekania“ była niemożliwą albo złą; ale można pojąć i wytłómaczyć, dlaczego w owym czasie musiała wydawać się złą. I to robi p. Popiel doskonale, świetnie. Z przenikliwością bystrą wchodzi we wszystkie względy politycznego położenia i psychologicznego usposobienia ówczesnej Polski, i mówi, że narodowa miłość własna, że naturalny pociąg do Zachodu, że nadzieja stosunku a w części przypomina z cywilizowanymi mocarstwami, że wreszcie i sama już dobrze znana polityka Rosyi i sposób brutalny prowadzenia tej polityki, musiały zwrócić ku Prusom ówczesnych polityków polskich, nie dość jeszcze doświadczonych i wprawnych, zbyt długo odwykłych od dyplomatycznego działania, by mogli byli na dwie strony razem podejrzyc i strzedz się. Co się zaś tyczy

samej kwestyi zasadniczej, p. Popiel nie przeczy, że twórcy Konstytucyi, a zwłaszcza Ignacy Potocki, powinni byli mniej Prusom dowierzać, ale mówi, że w sprawach publicznych jak prywatnych „kiedy zachodzi wątpliwość, jaką drogę obrać, zawsze należy obrać szlachetniejszą. Ratować, choćby już nie byt, ale dobrą sławę. Nie można od ludzi żądać, żeby znosili upodlenie, w nadziei politycznych korzyści. Przyłączenie do Rosyi, znaczy zawsze zlanie, zabsorbowanie“. A kiedy przeciw temu twierdzeniu niektórzy przytaczają Królestwo Kongresowe jako argument, to p. Popiel odpowiada im przykładem nadbałtyckich Niemców, którzy przeciw Rosyi nie buntowali się nigdy, służyli jej nie tylko wiernie, ale względem nas niedogodziwie, a przecie doczekali się takiego samego losu.

Po uchwaleniu i zaprzysiężeniu Konstytucyi, następuje kwestya druga. Czy prawdą jest — jak twierdziła konfederacya Targowicka, a do dziś dnia powtarzają historycy rosyjscy — że uchwała 3-go maja nie była prawnie i prawomocnie powzięta? W ustępie bardzo pięknym, pełnym siły, myśli i słowa, jest stanowcza odpowiedź, — Nie! Wszystko kłamstwo i wykręt. Tajemnica była, bo była konieczną; podejścia i nieprawego a choćby tylko nieformalnego uchwalenia ustawy, nie było; było owszem skrupulatne aż do zbytku poszanowanie wolności poselskich głosów, i wszystkich prawnych, czy zwyczajowych form. Nie było Jakobińskiego ducha, a choć był doktryneryzm ówczesnych francuskich teoryj, to był właśnie ten wielki rozum praktyczny, że ustawa 3-go Maja z rzeczywistych stosunków wychodziła, na nich się opierała, i poprawiała je, nie przewracając do góry nogami. Czy była żywotną? pytać nie można, skoro nie miała czasu skutków swoich okazać w praktyce. Ale jeżeli nawet przyszła za późno na to, by ratować byt Polski, to nie za późno na to, by ratować jej dobrą sławę i ducha; i to zrobiła. Wspaniałe słowa Burke'a, porównanie między polską regeneracyą a francuską rewolucyą, i świadectwa „panów chrześcijańskich“ od Piusa VI poczynawszy, zamykają tę materję.

Następuje to, co działo się po 3 maja — to, czego w dziele Kalinki już niema. Stanowisko państw europejskich względem zmienionej Polski, zjazd w Pillnitz, elektor ociągający się z przyjęciem ofiarowanego następstwa (z obawy Rosyi), nasza wielka pomyłka, żeśmy się wcześniej z tej strony nie ubezpieczyli, życzliwość i czynna pomoc cesarza Leopolda, mileżenie Katarzyny. Sejm zalimitowany schodzi się na nowo we wrześniu; bierze się do spraw skarbowych i sądowych. Pan Popiel zwraca (pierwszy) uwagę na to, jak ten Sejm sam się wyrobił i postąpił: im później, tem mniej marnego gadania, deklamacyi, straty czasu, tem bardziej o rzeczy i do rzeczy mówią, a do rzeczywistego skutku dążą.

Tymczasem zaczyna się działanie opozycyi, i Rosyi na nią. Rzewuski i Szczęsny Potocki w Wiedniu, potem w Jassach.

Sejm wzywa ich do powrotu i do wykonania przysięgi na Konstytucyę; bezskutecznie. Król, chcąc ich nad brzegiem przepaści zatrzymać, wysłał do Jass Stanisława Potockiego z listem do Szczęsnego (bardzo pięknym i wzruszającym — fac-simile jego podane jest jako aneks); znowu bez skutku. Wtedy w Sejmie wniosek o odjęcie im urzędów, w ironicznej i energicznej mowie Kicińskiego; z ich strony ciągle jednanie sobie stronników w Sejmie, i prośby o pozwolenie przyjazdu do Petersburga, którego Katarzyna nie daje. Dopiero gdy cesarz Leopold umarł, gdy król pruski był pozyskany dla planu drugiego rozbioru, gdy groźna postawa Anglii zmieniła się skutkiem pokoju Rosyi z Turcyą a przyjscia whigów do władzy, dopiero imperatorowa wzięła się do dzieła, pozwolenie przyjazdu dała, i konfederacya w Targowicy niby zawiązana, stanęła w Petersburgu.

Tu, i następnie, z okazji wojny r. 1792 i akcesu króla do tej konfederacyi, znowu pytanie: kto winien? Najsurowszym jest p. Popiel naturalnie dla twórców i naczelników konfederacyi Targowickiej. Wymówka dobrej wiary, jaką tłómaczył niegdys Leon Rzewuski swego dziada w *Kronice Podhoreckiej*, wystarczyć nie może. „Jakto? Ludzie jak Potocki i Rzewuski, nie mogli widzieć błędów elekcyjnego tronu i *liberum veto*?“. A jeżeli nawet istotnie nie widzieli, to zarzuty jakie jej robili, powody ich konfederacyi, te dobrej wiary w siebie nie miały. Konstytucyca gwarantowała religię katolicką, uznawała aż nadto dobitnie stanowisko i prerogatywy szlachty“; zatem „późniejsze zarzuty Jakobińskich tendencyj są równie niesprawiedliwe, jak robiony wcześniej przez Szczęsnego, że Konstytucyca grozi *absoluto dominio*. Gdyby nie Targowica, podział drugi albo nie byłby nastąpił, albo byłby nastąpił po uporeczywej i ogólnej walce, któraby zostawiła sławę i wyrobiła narodowy charakter, złała lud, mieszczaństwo i szlachtę, wspólnem zmieszaniem krwi i życia ofiary. Sejm skonfederowany sprowadził jedność w kraju; Targowica wprowadziła rozdział i to jej zbrodnia... jurgieltów nie potrzebowali... ale potrzebowali zaspokoić swoją pychę, swoje zawiści, swoje uprzedzenia“.

Nie tu miejsce na dodatkowe i własne uwagi, a jednak trudno jedną taką powstrzymać. Są tacy, którzy uniewinniają poniekąd konfederacyę Targowicką polityką Czartoryskich: oni dali przykład, kiedy elekcyę Stanisława Augusta zrobili z rosyjską pomocą — konfederacya Targowicka poszła tylko za tym przykładem, kiedy z tą samą pomocą swoją politykę chciała prowadzić. Rozumowanie fałszywe. Nikt nie przeczy, że starzy Czartoryscy zrobili bardzo źle, bo nie należy nigdy używać państwa obcego do wewnętrznych spraw własnego. Ale przed pierwszym rozbiorem miała ta wina wymówkę w nieznanomości istotnych zamiarów Rosyi. Po tem doświadczeniu, nie miała już żadnej.

Król? Zawinił dużo przez swoją miękką pojednawczość, kiedy do ministeryum przyjął przeciwników Konstytucyi, Kossakowskiego, Chreptowicza i Branickiego, żeby ich nieszkodliwymi uczynić; zawinił także, kiedy się dał złudzić pozornym spokojem Katarzyny i przypuścił, że ona może naprawdę nie zlego nie knuje; zawinił najgorzej (to wiemy), że nie poszedł do obozu i nie zginął, ale się cofnął i akces do konfederacyi Targowickiej podpisał. Pan Popiel uważa — znowu pierwszy — że Stanisław August strudzony, już stary, przerażony swoją odpowiedzialnością i nagłym obrotem wszystkich stosunków przeciw sobie i Konstytucyi, w tych czasach zaczął słabnąć i tępieć na umyśle. A prócz tego powód najważniejszy: „Czy ten człowiek mógł wstać z tej kanapy“ — (na której wymalował go Matejko) — „pójść do obozu, rozpocząć twarde życie, wytrzymać hazard przegranej albo wążęcej się na ostrzu szabli walki?“ Był rozumny i z dobrymi chęciami, ale wiotki i bez charakteru, bez zasad... „Połowę nocy spędzał w ciężkich chwilach na modlitwie. Ale łaska Pana Boga, siła, jaką ona daje, nie przychodzi na żądanie: zarabia się na nią całym ciągiem życia, które (choć nie bez usterek i słabości, bo to rzecz ludzka) walczy ze słabością i zwycięża ją“.

Ignacy Potocki znowu, „piękna to osobistość“, ale „królowi nie dowierzał, a Lucchesinemu dawał się uwodzić. Bezinteresownie, prawda; ale jakoby zwyczajem dawnych panów polskich, co się opierali w swjej polityce o ościenną potencję. Że się nie skłaniał do Rosyi, to mu się chwali; ale mniej zaufany w swjej nieomyślności, byłby wcześniej odgadł pruskiej polityki zdrady“.

Sejm wreszcie — czy i Sejm winien? Tak: bo naprzód „nie dość czuwał nad zaopatrzeniem skarbu i obrony“, potem królowi oddał władzę prawie dyskrecyonalną, ale zapóźno, w chwili, kiedy nieprzyjaciel już wkraçał, i bez środków do prowadzenia wojny, a sam się zlimitował i rozjechał. Po co? czy po to, żeby odpowiedzialność zwalić na króla, a z nim jej nie dzielić? W każdym razie nie po to, żeby rozprószyć się po województwach, i powołać, poruszyć je do obrony. I to jest, co w całej tej sprawie, autora książki boli i wstydzi najbardziej. „Jeżeli nie było czasu tworzyć regimentu zagranicznego autoramentu, ani kawaleryi narodowej, to szlachcic z szablą, chłop z kosą, i to nie w liczbie czterech tysięcy, jak pod Raclawicami, ale w kilkakroć sto tysięcy, byliby obronili ojczyznę, a w każdym razie jej sławę. A może i ojczyznę; bo pytanie, czy obawa oporu nie byłaby Rosyi onieśmieliła, czyby nie pobudziła chwiejności nowego władzcy Austrii, a nie zawstydziła złej wiary pruskiego alianta? Tak się nie stało.“

Wahaniem króla, który jeszcze w czerwcu mówi i pisze, że jego honor związany z ustawą 3-go maja, którego Deboli

(szlachetna i mądra figura) na gwałt całą siłą do obozu chce wypchnąć, wahaniem króla, jego propozycją zostawienia tronu W. Księciu Konstantemu i jego ustąpieniem przed groźbą Katarzyny, na którą właśnie należało odpowiedzieć udaniem się do wojska, kończy się streszczenie wypadków. W zakończeniu jest jeszcze raz oceniona wartość, zasługa, i błogie skutki Trzeciego Maja, a potem zastosowanie jego historycznej i politycznej nauki do naszych czasów i powinności, raczej do wszelkich. Oto, jak ono brzmi:

„Narody czerpią siłę z uszanowania prawa i prawd, któremi ludzkość społeczna żyje. Z tych najpotrzebniejsza jest“ — (po religijnej wierze i tradycji) — „potrzeba zgody i miłości pośród warstw ludności, pomiędzy którymi może być antagonizm sztuczny, ale nie rzetelny. Demokracja, w której żyjemy, właściwie zrozumiana, daje nie jednakowe wszystkim stanowisko, ale jednakowe prawo, aby je zdobyć. Sztucznie wywoływać antagonizm warstw ludności, pod pozorem, że nie wszyscy mają jednakowy wpływ, to jedno, co budzi namiętności, które zaspokojone być nie mogą, i zakłócać spokój społeczny w czasie, w którym potrzebny jak nigdy“.

Jeżeli w pracy prof. Balzera mamy wyjaśnioną stronę polityczną i społeczną, w pracy prof. Smolki stronę dyplomatyczną Trzeciego Maja, to w pracy p. Popiela wyjaśniona jest trzecia jego strona, moralna (jeżeli się tak wyrazić można): wymierzona jest każdemu sprawiedliwość, oznaczona jest miara, zasługi i winy każdego. Dlatego uważamy tę małą książkę za potrzebne i szczęśliwe uzupełnienie dwóch poprzednich; wyrok zaś w niej ogłoszony, za tak słuszny i sumienny, oparty na takim gruntownym zbadaniu i wyrozumieniu ludzi, stosunków, okoliczności lagodzących i obciążających, że sądzimy, wyrok będzie stanowczym, pytanie rozstrzygniętem, chyba, że nowe jakie, a dotąd nie odkryte świadectwa ukażą nam ludzi i rzeczy w świetle odmiennem. Ta kwestya winy i jej stopnia, nie jest zaś podług nas sama przez się tylko zajmująca: ona jest i praktycznie ważna. Rozwiązanie jej może służyć do sądzenia ludzi i działań w wypadkach innych, ale w usposobieniach podobnych: do sądzenia i strzeżenia siebie samych, do tego moralnego wychowania obywateli, które przygotowuje i ułatwia ich rzetelne polityczne wykształcenie. Rzekliśmy wyżej, że kto tę pracę — na pozór drobną — chciał podjąć, ten potrzebował przygotować się do niej bacznie przez całe życie rozważaniem spraw politycznych, spraw polskich w szczególności, i czujnym pielegnowaniem chrześcijańskiego i polskiego sumienia w sobie samym. Teraz dodamy, że i te warunki jeszcze nie wystarczały. Trzeba było takiego człowieka, któryby Sejm Czteroletni znał nie z książek i papierów, jak rzecz martwą, jak go my dzisiejsi znamy, ale który przez swoich starszych był z nim tak złączony i obezna-

ny, jak my naprzykład jesteśmy z rokiem 1830, któryby był widział i palcem dotykał, jak drgały jeszcze w starszych te uczucia, które tworzyły rok 1791 — któryby słyszał, co oni mówili o ludziach i zdarzeniach, jak sądzili postęпки i okoliczności. Znajomość żywa Czteroletniego Sejmu, żywe odbicie jego uczuć i pojęć, były potrzebne do takiego o nim sądu. Wielkie bogactwo źródeł, odziedziczone po Marcynie Badenim papiery z kancelaryi królewskiej, były oczywiście ogromną tu pomocą, a znane przez całe życie, wertowane wielokrotnie może i *nocturna manu*, musiały przed swoim pilnym czytelnikiem odsłonić wiele tajemnic, wiele go o czasach i ludziach nauczyć. Ale i to jeszcze nie byłoby wystarczyło. Tradycyjna znajomość rzeczy jest wyborna i konieczna, ale trzeba jeszcze, żeby ta tradycja nie była przechowaną i zapamiętaną martwo, ślepo, niewolniczo, ale żeby była kontrolowaną wszystkimi odkryciami i prawdami, do jakich przez wiek czasu doszła swoim badaniem nauka. Ludzie, którzy pamięcią i uczuciem łączą się jeszcze z tem, co było przed stu laty, a umysłem i sądem obejmują wszystko, co przyniósł z sobą czas nowszy, ci mają dopiero zebrane razem wszystkie doskonałe warunki do znajomości swego narodu, do gruntownego a sprawiedliwego o nim sądu. Tacy są bardzo rzadcy; ale im rzadsi, tem cenniejsi. Szczęśliwe społeczeństwo, które ich pośród siebie ma; w ich doświadczeniach i radach, znajdzie, gdy zechce, prawdziwe skarby nietylko wielkiego rozumu, ale polskiego rozumu, i ducha. Mamyż dodawać, że jednym z takich rzadkich, jest właśnie autor tej książki? że ona, pisana w wieku bardzo sędziwym, a wśród najboleśniejszych rodzinnych niespokojności i nieszczęść, jest budującym, ale i rozrzuwającym, prawdziwie czei godnym dowodem i przykładem tego uczucia obowiązku i tego publicznego ducha, który wszystko umieć przemódz i stłumić, a zrobi i powie co potrzeba, kiedy potrzeba, choćby to najtrudniej przyszło? Albo czy trzeba mówić, że są na tych kartach takie polityczne lub moralne spostrzeżenia, pełne treści i wagi, iż godne być maksymami, a ujęte w taką jędrną, klasyczną formę, że jaki stary Rzymianin mógłby je podpisać? To już zbyt czyste. Kiedy czytelnik wie, że pisał Paweł Popiel, to się już sam domyśli, co z tego umysłu, z tego sumienia i z tego pióra wyjść mogło <sup>1)</sup>. S. T.

— *Pamiętniki 1798—1865 Gustawa Olizara*, z przedmową J. Leszczyca. (Lwów, nakładem Gubrynowicza i Schmidta, 1892, str. XLIV, 300). — Szujski w swej *Historji polskiej* ubolewa na jednym miejscu, iż u nas wiecznie wszystko stało

<sup>1)</sup> Ze względu na drugie (daj Boże) wydanie, uważamy za powinność zwrócić uwagę na liczne błędy druku w niniejszem, które wypadnie poprawić. Kasztelanowa *kamieniecka*, *Laubesini*, Sejm otwarty w roku 1789 i t. d.

ludźmi, nie instytucjami, i ztąd z śmiercią pojedynczych filarów Rzpltej cała budowa rysować się poczyniała. Fatalność ta naszego społecznego ustroju i na pogrobowych dziejach tem bardziej się znaczy, a stanowi ona bodziec niewątpliwy do indywidualnych usiłowań i działalności, widokiem skutków dobrej woli jednego nieraz człowieka, dźwigającego w górę całe społeczeństwo i unoszącego niby Atlas na swych barkach samże byt i przyszłość narodu. Długo przychodzi poszczególnym dzielnicom kraju żyć spuścizną każdorazowych swych przewodników, oddychać atmosferą moralną, jaką oni wokół siebie wytworzyli, karmić się ich przykładem i enotą. Wielkopolska n. p. miała wielu mężów znakomitych, którzy około r. 1840 i po nim wywołali w Poznańskim niebyswałe zbudzenie ducha. Ale ci wszyscy żołnierze i pracownicy zawdzięczali skuteczność praktyczną i ześrodkowanie swych usiłowań dwom wielkim umysłom, dwom zwłaszcza wielkim sercom, które z kolei, na przeciwnych pod pewnemi względami krańcach, jednaką tylko tchnący „świętą miłością kochanej ojczyzny,“ objęli dowództwo dusz i byli osiłą wszelkich robót i życia. Naprzód Karol Marcinkowski, później Jan Koźmian byli właściwymi sprawcami wszystkiego, co się podówczas na ziemi wielkopolskiej robiło, budowało i organizowało. A Bogu dzięki, po kolei wszystkie okolice naszego kraju, miewały właściwych ożywcicieli i żywicieli ducha, których wpływ na długie promieniał pokolenia. Czem był Tadeusz Czacki dla Wołynia, wiemy z historii, z tradycyi, z świadectw współczesnych. Ale wciąż jeszcze przybysza światła ku lepszemu rozpoznaniu tej szlachetnej postaci i jego pełnych poświęcenia zabiegów.

W tej chwili, dwa różne Pamiętniki uzupełniają nam jego wizerunek, a wraz i poznać lepiej dają dawny Wołyń, tak różny od dzisiejszego, tak pełnem jeszcze nawet po rozbiorze oddychający życiem, tak bujny pod względem ludzi, ich czynności i zdolności. Pamiętnik szefa Drzewieckiego, *Pamiętnik Gustawa Olizara*, w jednakie nas wprowadzają okolice i stosunki, z różnicą tylko wieku piszących. Drzewiecki był współpracownikiem Czackiego, Olizar uczniem szkoły Krzemienieckiej; Drzewiecki w legionach doznał „dreszczów zmartwychwstania“ i zanucił, że „nie zginęła,“ Olizar był marszałkiem szlachty kijowskiej w przededniu burzy, która się zerwała w Warszawie w dniu 29 listopada i wyrwała poniekąd z nurtów Dniepru sameż słupy graniczne Chrobrego, niszcząc i zmiatając niemal wszelkie kresowe ślady polskości. Oba pamiętniki czytać przychodzi z niewypowiedzianym bólem serca, z powodu ciągle nasuwających się porównań między tem co jest dzisiaj, a tem co było wczoraj. Szef Drzewiecki do nas przemawia z powagą starego legionisty, towarzysza Kościuszki, przyjaciela Kniaziewicza; we wspomnieniach Gustawa Olizara odnajdujemy raczej człowieka salonowego, biegłego mistrza w zatraconej dziś sztuce

pokojowej szermierki słowa, przygodnego poetę, który w obóz klasyków stosunkami wplątany, był jednak skończonym romantykiem, aż do zamieszkania pod Judahu skałą. Pamiętnik w późnym kreślonym wieku, z luźnych ztąd urósł wspomnień, a nie został dokończonym, urywając się nagle po drugim uwiecznieniu ich autora. Śmierć wytrąciła pióro z ręki piszącego, spóźniwszy się o dwa lata, skoro mu przyszło patrzeć w 1863 r. na nowe, sroższe jeszcze kłęski ojczyste. A szkoda nam dalszego ciągu zapisków starca, bo choć w nich właściwie nie dużo nowego plonu ani też głębszych poglądów się znalazło, miła pogadanka niesie nam pełno zajmujących anegdot, ciekawych szczegółów i ginących w ustnej tradycji wiadomości.

Początek Pamiętnika cofa nas w najświetniejsze czasy krzemienieckie, a nie tak nie uwydatnia srogiej odmiany losów, jak opis kościołów i gmachów pobożną ofiarnością przodków naszych wzniesionych, które dziś są oddane na użytek kilkuset prawosławnych, kiedy ośmiotysięczna parafia katolicka w najętej chacie krwawą i łzawą swą ofiarę odprawiać musi. Jak tu ongi za powodem Czackiego kipiało życie, naukowe i towarzyskie zarazem! W pamiętnikach Drzewieckiego doczytujemy się, iż dla każdego z mieszkańców Wołynia imię Czackiego znaczyło tyle co cnota, obywatelstwo, poświęcenie. „Czackiemu — pisze Olizar — obowiązani są ludzie dzisiejsi i młodzież kraju naszego za wszczęcie w ich serca niewygasłego ducha poczciwości.“ Na innem miejscu nazywa on zakłady krzemienieckie szkołą jedności. Jakiej sławy zażywało liceum Czackiego w oczach samychże wrogów, najlepiej świadczy pytanie, zadawane stale przy śledztwach porewolucyjnych: był-li w Krzemieńcu? — skoro już to samo było grzechem w oczach Moskali, i najpewniejszym upewnieniem patriotyizmu. Pełno się tu znalazło ciekawych szczegółów co do ustroju szkoły, choćby w spisie jej nauczycieli i roztrząsaniu systematu, który zbyt surowe wzbudził krytyki, w miarę jak doświadczałyśmy potrzeby specjalnego wykształcenia, podczas gdy w Krzemieńcu chodziło raczej o ogólniejszą kulturę, i ztąd wszystkiego ucząc się potrochu, nie pogłębiano żadnego przedmiotu. Ale należy się postawić na ówczesnym stopniu oświaty i metody naukowej, a nie sądzić z dzisiejszego punktu widzenia. W każdym razie wpływ samegoż Czackiego mógł tylko dodatnio działać na młodzież krzemieniecką. „On to nas pierwszy oswoił z myślą, że w każdym wyższym urzędniku człowieka i serca najpierw wypatrywać należy.“ Kształcenie młodzi do publicznego życia było główną myślą założyciela liceum. Ale w tym działając wciąż celu, skarbił sobie zarazem serca uczniów. „On z nami był studentem — pisze Olizar — a widząc go tego samego dnia chodzącego z rana z pierwszymi matadorami kraju, błyszczącego odznakami dostojęństw, a wie-

czorem w sieraczkowym surducie grającego z nami w piłkę lub goniącego do mety, jakże go było nie kochać.“ To też gdy nadeszła wieść o jego zgonie w r. 1813, lament powszechny napełnił wołyńską stolicę, i rozpacz ogólna ujawniła ogólne też przywiązanie. Ostała się jednak przez kilkanaście jeszcze lat ta warownia ducha polskiego na kresach; ale i ona runąć miała wraz z wszystkimi instytucjami polskimi w zabranych prowincjach, a z tą osobną fatalnością przywiązaną do naszych zakładów, fundusze jej, zebrane z ofiarności obywatelskiej, wróg zagarnął, osadzając seminaryum prawosławne w samymże gmachu licealnym!

Olizar nie miał w nim dokonać studyów. Opowiada nam, jak za powodem przebiegłego nadwornego medyka przerwał nauki, aby towarzyszyć do Włoch schorzałemu ojcu. Droga im wypadła na Wiedeń w chwili kongresu, „na którym królowie zdawali się bawić jak dzieci, co się surowego pozbyli bakałarza, a Talleyrand patrzył na te gody z obojętną ciekawością, jakby ten, co wszystkiego biesiadnikom dostarczył.“ Siedemnastoletni Olizar, na włoskiej ziemi rychło i przedwcześnie dojrzał; kochał się na prawo i na lewo, nawet piękna Paulina Borghese, siostra Napoleona, przez pewien czas była przedmiotem jego zapałów młodzieńczych, i w jej to otoczeniu, na jej dworze poznał hrabiankę Karolinę de Molo, z którą po dwutygodniowej znajomości się zaręczył — i ożenił, — wraz i rodziców oblubienicy poślubiając. Nie chcąc się bowiem rozłączać z córką, towarzyszyli nowożeńcom do Polski, i tak się dali we znaki zięciowi, iż wolał się z młodą i piękną małżonką rozłączyć, niż dłużej znosić w domu stosunki do tego stopnia niemożliwe, iż pomawiano nawet owych cudzoziemców o zamach na życie Olizara, który wszakże tego szczegółu w swym pamiętniku nie umieścił, acz nie zaprzeczał, gdy go o to za życia pytano. Później zaślubił on Józefę hr. Ożarowską, siostrę znanego z świętobliwości księdza Wiktora, który na Bielanach w habicie Kameduły dokonał umartwionego żywota.

Jeden z bardziej zajmujących rozdziałów zbyt krótkiego pamiętnika przenosi nas do Warszawy, gdzie młody Olizar należał do świetnej plejady, uczęszczającej na czwartkowe obiady u generała Krasieńskiego, aby wespół z Osieńskim, Franciszkiem Morawskim, Koźmianem znęcać się nad Jaxą Marcinkowskim. Olizar nawet osobny napisał poemat pod tytułem: *Jaxiada*. Ale podobnie jak Morawski, autor pamiętnika wbrew otoczeniu zaśniedziałych klasyków, przeczuwał geniusz Mickiewicza, a nawet odważył się stanąć nieraz w jego obronie, żeby tylko wspomnieć wiersz do Kropińskiego z ustępem:

Ty nie tykaj Mickiewicza!  
Rumak dzielny, jeździec taki  
Niech powietrzne zwiedza szlaki.

Niech ten Farys polskiej ziemi  
 Aż tej krainy dosięga,  
 Gdzie żal, rozpacz, łzy... i z nimi  
 Olbrzymów władza dosięga.

A i Mickiewicz miał się kiedyś zwrócić do Olizara w ostatnim z Sonetów Krymskich. Apostrofa do młodego poety i porównanie serca i pamięci z morzem rozbijającym się o Judahuską skałę, upamiętnia tu romantyczną samotnię, gdzie się schronił Olizar w najkrytyczniejszej chwili życia, kiedy po rozstaniu z pierwszą małżonką, zakochał się w córce wroga, Maryi Rajewskiej. Zacość domu, wdzięk osobisty młodej dziewczyny, zobopólna skłonność, wszystko zdawało się rokować szczęście, a skrupuł łączenia się z nieprzyjacielskim plemieniem, uspakajala prywatna niby dyspensa, udzielona przez najlepszych z Polaków, ks. Adama Czartoryskiego, Niemcewicza i innych. Jenerał Rajewski zmierzył atoli przepaść religijną i szczepową, rozłączającą obie narodowości, i w najdelikatniej odczutyim liście przedstawił Olizarowi niemożliwość budowania szczęścia na podobnych podwalinach. Marya Rajewska wyszła za ks. Wołkońskiego, i niebawem towarzyszyła mężowi do Nerczyńska, gdzie go udział w spisku Dekabrystów zawiódł. A tymczasem zrozpaczony Olizar, na ból serdeczny szukał osłody w całym rynsztunku ówczesnego romantyzmu, rzucał stanowisko marszałka szlachty kijowskiej, aby się schronić do Krymu i tam u stóp góry Ajudah nabyć za *dwie ruble* kawał ziemi, w jaki później włożył do 80,000, zabudowaniem i obsadzeniem dzikiej skały, której nadał miano greckie *kardjatrikon*, czyli *lekarstwo serca*, i tam dłużej zamieszkał, snując treny, przynoszące mu wprawdzie ulgę, lecz dalekie od nieśmiertelności wróżonej im przez Mickiewicza, gdy obiecywał, że z owych pieśni „wieki uplotą ozdobę twych skroni.“

Inne atoli korzyści miał osiągnąć dobrowolny pustelnik z usunięcia się chwilowego z Kijowa i urzędu swego. Wspomina on dwie mianowicie czynności swe na tem wysokim stanowisku, które mu prawdziwą przynoszą chlubę. On to wniósł projekt oczyszczowania i usamowolnienia włościan w gubernii kijowskiej, bolejąc, iż głos jego przebrzmiał daremnie, i że zamiast dobrowolnie *dać* to, co niebawem nam *wziąć* mieli, straciliśmy zaś usługę i przewodnictwo w społecznej odmianie. On także zakrzętał się głównie około zbudowania katolickiego kościoła w Kijowie. Była to chwila dziwna, w następstwa brzemienna, zbliżająca „przyjaciół Moskali“ do Polaków. Spiskowcy unikali jednak zwierzeń, mimo bliskich z Olizarem stosunków, bądź z powodu jego wysokiego urzędu, bądź ze względu na jego ścisły stosunek z domem Rajewskich. Załedwie w przededniu wyjazdu do Krymu, jeden z wtajemniczonych odkrył przed nim sieć dwustronnej w Polsce i Rosyi konspiracyi, winszując mu chwilowego

usunięcia się z waru idących wypadków. Nagła śmierć Aleksandra I, w której Olizar upatruje tyfus, nie zamach lub otrucie, zastała jeszcze marszałka kijowskiego w romantycznej swej ustroni w Krymie. Jak dalece chwila była sposobną do zarządzenia jakiego politycznego przewrotu, dowodzi fakt, iż Olizar pociągnięty został natychmiast do przysięgi na wierność „cesarzowi Konstantemu,“ i dopiero za powrotem do domu dowiedział się, że nie Konstanty, lecz Mikołaj obwołany carem. Acz nie uczestniczył w spisku Dekabrystów, wystarczyły bliskie i przyjazne z nimi stosunki, aby go skompromitować. Wszakże i do niego Bestużew „rękę wyciągał,“ podobnie jak do Mickiewicza, owszem, dwukrotnie nawet do jego domu zajeżdżał, spiesząc do walki o swobodę Rosyi, która trwać miała zaledwie  *pół godziny*. Wszakże Murawiew Apostoł był jednym z najbliższych znajomych Olizara, i wogóle, wszystkie naczelne Dekabrystów postacie przesuwają się w zwięzłym opowiadaniu nieświadomego ich zamiarów przyjaciela. Szlachetne to i sympatyczne osobistości, acz i wobec nich razporaz pobrzmiwa zapewnienie Ksawerego Branickiego, który, gdy mu ktoś mówił, iż i między Moskalami są ludzie, z porywczą żywością odparł: „Nie wierz waćpan temu!“

Rozdział odnoszący się do Branickiego, jest bezwątpienia jednym z najciekawszych tej ciekawej książki. Doskonałe anegdoty dają charakterystyczny obraz domu Białocerkiewskiego, który mimo obcego pochodzenia jego pani, tak dalece był zachował staropolskie i nawskróś polskie cechy. Wyborną jest wstępna rozmowa Olizara, gdy po raz pierwszy tam zajechał, a stary hetman Branicki, którego żona poufale  *Braniem* nazywała, spytał, ażali prawda, że się z cudzoziemką ożenił? — „Prawda, mości hrabio.“ — „A piękna?“ — „Dosyć.“ — „A młoda?“ — „Mego wieku.“ — „To bogata?“ — „Niestety nie.“ — „To przynajmniej bardzo znakomitego domu? — „Genealogii nie rozbierałem.“ — „Toś kiep!“ — zawołał bez ogródki starzec, z rubaszną lecz ojcowską dla młodzieńca przychylnością. Pochopny do łagodzenia ostrych sądów swych ziemian, Olizar powtarza tu pamiętny wiersz Dyzmy Tomaszewskiego:

Insza jest kraj swój zdradzić... insza dać się złudzić.

Trudno nam dziś rozstrzygać o czynnikach, które ówczesnych ludzi pociągały w dobrej wierze na tę lub ową stronę. Nie brak rad empirycznych, gdy okręt idzie na dno, lub choremu bliska śmierć grozi. Coraz nam teraz jawniej, iż wielu z tych, którym na razie wyrzucano, iż zdradzili ojczyznę, tylko się pomylili w środkach ratunku... Wszakże nawet Złotnicki, upatrujący w konfederacji Targowieckiej ochronę przywilejów szlacheckich, układał projekt regulowania następstwa i elekcji za życia panującego, aby uniknąć nieładu bezkrólewia.

Ostatnie rozdziały poświęcone są dwukrotnemu uwięzieniu Olizara. Cudzoziemiec byłby z tego uwił czterotomowe wspomnienia, potrząsając kajdanami i strojąc się w cierniowy wieniec więziennych doświadczeń. Ale u nas los to tak powszedni, iż ztąd zapiski męczeńskie tęzną prostotą najzwyczajszego niby i nieuniknionego przeznaczenia. Olizar n. p. dostał się do Petropawłowskiej fortecy, której kaźnie świeżo z taką grozą opisał nam Amerykanin Kennan. Polski jeniec nie rozwodzi się nad przebytymi cierpieniami, acz razporaz wyrывa mu się słowo, pozwalające zmierzyć otchłań doznanych tamże udręczeń. Porwany z Kijowa, wieziony wprost do Pałacu Zimowego, tam miał być stawionym wprost przed Mikołaja, i na carskich też pokojach pierwsze zniósł badania, aby następnie być osadzonym w Petropawłowskiej fortecy, snadź w wysokiej randze oskarżonych, skoro jego celka znalazła się naprzeciw tej, którą zajmował Bestużew Rjumin. Zamiast wyszczególniać więzienne cierpienia, spotęgowane mniemaniem, iż z wiosną wezbrana Newa zaleje kazamaty i położy kres mękom uwięzionych, Olizar owszem, z wielką prostotą i wzruszeniem opowiada, że w owej to chwili najwyższego ucisku, łaska Boża go doścignęła i zmrozoną duszę swem światłem oblała. Zda się nam odnajdywać jedną z najrzewniejszych przypowieści Calderona, który w swem *Vida e sueno* opowiada, iż pewien mędrzec, znajdujący się w ostateczności niedostatku, gdy głód swój zaspakajał uszczkniętymi nad drogą korzonkami, jął wyrzekać, iż nadeń nieszczęśliwszego niema człowieka. Aż tu spostrzegł idącego za sobą żebraka, który się karmił odrzuconemi przez niego roślinkami. „Tak i ty z moich utrapień jeszczebyś gotów swą rozkosz uczynić,“ mówi nieszczęśliwa Rosaura do nieszczęśliwszego od siebie Zygmunta. I z duszy Olizara wyrывa się owa skarga, kiedy w tem biedny żołdat prosi go o wstawienie i obronę przed pałkami, które mu grożą za szczygnięcie z głodu kaszy więźniów. „Bóg w swem miłosierdziu chciał mnie przekonać, że są nieszczęśliwsi odemnie, zaczawszy od tego, który jest moim strażnikiem!“

W rozmyślaniach samotnej celi więziennej, Olizar znalazł Boga i utwierdził się w głębokich uczuciach religijnych, których nie był wyniósł z domu ni epoki, a które odtąd przyłgnęły do jego duszy, aby ją na całe życie ukrzepić.

Z doświadczeń więziennych najwięcej nas uderzyły kilkakrotne wspomnienia o ks. Antonim Jabłonowskim, który, zdaniem piszącego, „ani tytułu zasług nie miał, ani tyle wzgardy nie zasłużył, jaka od współczesnych na niego spadła.“ Owszem, Olizar raczej go nieszczęśliwym, aniżeli winnym mianuje: „Ten człowiek miał dobre serce i szlachetne dążności; świetne, ale nie ugruntowane na zasadach religijnych wychowanie zagraniczne zrobiło go pastwą zmysłów i namiętności własnych. Przyzwyczajony do wygod i zbytków życia, uląkł się cierpień fizycz-

nych, jakimi go straszono! Ufał zrazu może zbyt w swój rozum, przeniósł później wielkie upokorzenia, ale w zeznaniach swoich nie mijał się z prawdą dla poprawienia osobistego położenia.“ A dalej autor największym błędem Jabłonowskiego nazywa jego ślepe zawierzenie Pestelowi, któremu dał był z pamięci własnoręcznie spisana listę osób, należących do związku patriotycznego polskiego. „Pestel wbrew ustawie wymógł to na nim, jako dowód, że oba związki wspólnie się porozumiawszy, wspólnie też działać będą. Ta lista była przez Pestela, jako własnoręczne pismo Jabłonowskiego, cesarzowi oddana. Z niej jak z rejestru więziono i przywożono kogo chciano, a to wszystko szło potem na karb nędznych wyznań Jabłonowskiego.“

Przytaczamy te słowa, zmniejszające winę nieszczęśliwego, który za powrotem z Sybiru, gdzie kilkunastoletnią męką okupił chwilę słabości, dziwił się, gdy mu rodacy przez niego skompromitowani, rękę z zapomnieniem urazy podawali, jak to uczynił Olizar.

Olizara samotność więzienna, Jabłonowskiego tęsknota sybirska, nawróciły ku wierze przodków i jej praktyce. W lepszych tylko duszach cierpienie takie przynosi skutki i wniebowzięcie.

Z więziennych wspomnień Olizara, warto jeszcze przytoczyć śpiewane na różne nuty rozmowy, i ostatnie zaklęcie Bestużewa, który przezuwając bliski a sromotny wyrok, nucił dość głośno, aby być dosłyszany przez sąsiadów: „Biedna Rosyo! przejdzie wiele pokoleń, zanim znajdziemy mściciela! Gdy będziesz wolnym, odnajdź me zwłoki i pochowaj pod mogiłą Askolda w Kijowie. Tam bo marzyłem i rozmyślałem o szczęściu mojej ojczyzny!“

Na innem miejscu tłómaczy nam Olizar powód nocnych posiedzeń komisji śledczej, raz, że nagłe ocknienie przebudzonych miało działać na szczerłość ich zeznań, a powtóre, że członkowie komisji po teatrze i zabawach wieczornych znajdowali tę porę najwłaściwszą do prowadzenia indagacyj.

Nagle, bez żadnego uprzedzenia, znalazł się Olizar pewnego dnia wolnym. Oddano mu nawet worek, zamykający wszystkie jego papiery, w których nie kompromitującego, mimo najlepszej chęci nie znaleziono. Na nieszczęście, wracającemu do Polski, między Tułą a Orłem ów worek się urwał; pozbierany przez prostego muzyka, oddanym został sprawnikowi i odesłanym napowrót do Petersburga, zaczem po dwóch tygodniach nowe nastąpiło aresztowanie; tym razem Olizar znalazł się w kijowskim więzieniu, wraz z sędziwym Piotrem Potockim starostą szczerzeckim, który tylko ubolewał, iż złodzieje Moskale ukradli mu bodaj ostatnią w życiu wiosnę, za kratami spędzoną. Nie badano o nic więźniów, trzymając ich tylko *en disponibilité de pendaison*, jak się jeden z nich wyraził. Z Kijowa wystany do

Warszawy i stawiony przed komisją, której przewodniczył Stanisław ordynat Zamoyski, Olizar zniósł niemałe ciężki w koszarach pruskich, ponieważ więzienie u Karmelitów było wówczas przepełnionem. I znów uwolniony, jak pakiet napowrót do Kijowa zawrócony, autor pamiętnika wspomina charakterystyczne listy, które wiozł do gubernatora kijowskiego dodany byłemu więźniowi oficer policyjny. W pierwszym z tych listów było napisane pokwitowanie: „hrabiego Olizara i jego papiery odebrano!“ w drugim: „hrabiego Olizara i jego papiery jako niepotrzebne odsyłają się!“

Komentarza nie potrzeba na ten sposób traktowania ludzi w XIX wieku! dodaje piszący, zamykając na tem przerwane odtąd, niestety, zapiski, których najciekawsze rysy spróbowa- liśmy podnieść, a wraz i radzi pochwyciliśmy dodatnie odgłosy zacnego do pobłażania i wyrozumiałości pochopnego serca. Tyle nam się nasłuchać przychodzi zgryźliwych oskarżeń i waśni, że takie pogodne ocenianie i uniewinnianie ludzi i wypadków, przy cierpliwem znoszeniu najcięższych osobistych doświadczeń, i chę- tnej z siebie ofiary, bez żalu do nikogo i niczego, z słowami przebaczenia dla samychże wrogów, zostawia wrażenie zdrowe i pogodne, jak pogodną była dusza starca, który do końca dni swoich upatrywał w życiu powinność i siłę, co też w osobnej piosence wyśpiewał, z powracającą wciąż zwrotką: „Trzeba żyć!“ Dla zwątpiałego i znękanego dziś pokolenia, lepsze to zaiste hasło, od żalobnego *Memento mori*. Nie odpoczynek śmierci, lecz obowiązek życia przypominać nam i stawiać przed oczyma należy.

Z przydługiego sprawozdania, czytelnicy poznają wartość niniejszej publikacji, za którą rzetelna wdzięczność się należy bezimiennemu wydawcy, ukrywającemu się pod pseudonimem Leszczyca. Szkoda tylko, iż niedopilnowanie korekty w ustępach francuzkich zostawiło w druku istne horrenda, które z trudno- ścią zrozumieć nieraz przychodzi. To już nie sztuczki szatanka drukarzy, *the printer's devil*, lecz proste i nie do darowania niedbalstwo, oszpecające staranne zkaładniąd wydawnictwo.

M.

— X. Dr. Adam Kopyciński: *O stosunku kapitału do pracy* (Tarnów, 1891, str. 194). W bieżącej literaturze ekono- micznej rozróżnić można trzy zasadniczo przeciwne sobie kierunki, dające się krótko scharakteryzować: jako liberalny, re- wolucyjny i społeczny. Kierunek *liberalny*, datujący od Fizyokra- tów i Adama Smitha, uznający wyłącznie wpływ prawd natu- ralnych w gospodarczej dziedzinie, a jako aksjomat dla polityki ekonomicznej stawiający zasadę *laissez faire*, znalazł ostatni swój, bezwzględny wyraz w angielskiej i niemieckiej szkole wolnohandlowej, a obecnie prócz we Francyi należy on już w *nauce* ekonomii do przeszłości; w *życiu* ma jeszcze swe wiel-

kie znaczenie przez ustawy, jakie w ciągu wieku całego wydawano pod jego wpływem, przez prasę, zależną od warstw, którym ten właśnie kierunek antypaństwowy i antietyczny sprzyja, przez ludzi, którzy nauczywszy się niegdyś, że wolna konkurencja jest jedyną racjonalną organizacją, *iuraverunt in verba magistris* i już niczego więcej ni z książek ni z życia się nie nauczyli. — Kierunek *rewolucyjny* (socjalistyczny, komunistyczny) zdąży do radykalnej przemiany istniejącego ustroju gospodarczego; upatrywa w wolnej konkurencji bezwzględny środek ciągłego wywłaszczania warstw słabszych na rzecz wielkiego kapitału, nie wierzy w żadne reformy, w skuteczność jakiegokolwiek ograniczeń wolnej konkurencji, uważa za konieczną przemianę kapitału prywatnego w kapitał kolektywny, a różnice pojawiają się tylko w programie akcyi, przyczem jedna część pcha do rewolucyi, inna spokojnie oczekuje nieuniknionego jej zdaniem pogarszania się stosunków, wzrostu rozdziału między pracą a kapitałem; tymczasem zaś szereguje swych zwolenników i stara się w myśl projektu Lasalle'a zyskać wpływ w ciałach ustawodawczych i z czasem użyć zależnej od siebie władzy państwa wyłącznie na korzyść stanu czwartego. Wywłaszczyciele mas mają być wywłaszczeni przez masy i na ich rzecz. — Kierunek *społeczny* (socjalny) uznaje w wielu punktach słuszność krytyki socjalistów, nie godzi się na liberalizm ekonomiczny, ani w jego teoretycznych podstawach, ani w praktycznych wynikach, uznaje solidarność interesów i obowiązków poszczególnych warstw społeczeństwa; domaga się, aby nauka zajęła się nie tylko jak liberalizm kwestyą produkcji, ani tylko jak socjalizm kwestyą rozdziału społecznego dochodu, ale aby zajęła się jednym i drugim, całością gospodarczego życia społecznego, aby w życiu i w polityce gospodarczej nie zapominano o moralnych interesach i obowiązkach, aby stworzono nową, zgodną z zadaniami społeczeństwa organizację gospodarczego życia, reformując odpowiednio pozytywne ustawodawstwo. Społeczny ten kierunek dziś przeważa w nauce, poczyna przeważać i w życiu, czego wynikiem różne reformy socjalno-polityczne; dzielą go zwykle na dwa odłamy: *państwowy* (prawny) i *kościelny* (religijny). Pierwszy z nich nie negując bynajmniej znaczenia religii, względnie etyki, dla gospodarczego życia, owszem domagając się uwzględnienia jej przepisów, kładzie jednak główny nacisk na akcyę państwa, żąda reformy ustaw i *nowej* organizacji gospodarczego życia; uznaje on zasługę ekonomicznego liberalizmu, w zniesieniu dawnej, przestarzałej organizacji (np. pańszczyzny) upatruje jego winę, że o wytworzeniu nowej pozytywnej organizacji nie pomyślał a postawiwszy hasło walki ekonomicznej musiał do rozbicia społeczeństwa, do pobicia ucziwszych i słabszych, do zdezorganizowania i zdemoralizowania ludów prowadzić. Kierunek społeczno-kościelny, z obawą pewną i nie-

dowierzaniem patrzy na reformę socjalną, prowadzoną przez państwo, chce ożywienia na nowo ducha korporacyjnego; upatruje w związkach robotniczych czy rękodzielniczych, w stowarzyszeniach produkcyjnych i konsumpcyjnych, w ożywieniu życia religijnego. w częściowym powrocie do dawnej organizacji przemysłowej główne i najlepsze środki wybrnięcia z groźnego dziś stanu kwestyi socjalnej. Ztąd też nazwano-go nieraz *reakcyjnym*, i to równie w celach dyskredytowania go w opinii, jak też niemieccy liberałowie, zwolenników kierunku państwowego *Staats-* albo *Kathedersocialisten* nazywali. Podczas kiedy liberalizm doszedł do nihilizmu państwowego, twierdząc, że najlepszym rząd, co nie nie robi, tylko spełnia służbę bezpieczeństwa (*Rechtsschutzproducent*) a socjalizm kończy negacją indywidualności ludzkiej, absorbując wszystko przez państwo, to oba odłamy kierunku społecznego uznają szeroką sferę dla działania indywidualnego i szeroką dla państwowego, a różnią się tylko co do *granicy* tych sfer, co do *źródła*, z którego inicjatywa czy forma jakiej organizacji ma wyniknąć.

Książka X. Dr. Kopycińskiego jest zreassumowaniem zapatrywań stronnictwa liberalnego, socjalistycznego i katolickiego na kwestyę socjalną; autor zaznacza to w przedmowie i na tytule, pisze, że skreślił te zapatrywania wyłącznie dla użytku tych, którym okoliczności nie dozwalały rozpatrzyć się bezpośrednio w olbrzymim materiale kwestyi socjalnej; a jako cel wydania swej książki podaje, „by zdolniejszych zachęcić i do dalszego badania i do zawiązywania w naszej ojezynie stowarzyszeń rękodzielniczych i robotniczych na zasadach ściśle katolickich, które i nędzę usuwają i wiarę uspioną budzą i nadzieję w lepszą przyszłość w sercach tylu zrozpaczonych ozywają.“ Dwa te oświadczenia autora musi krytyk uwzględnić i o nich przy ocenie pamiętać.

Podawszy pojęcie kwestyi socjalnej, przechodzi autor z kolei naukę liberalizmu, reakcyi przeciw niemu, socjalizmu, podaje krytykę zasad radykalnego socjalizmu, poczem przechodzi w pięciu dalszych rozdziałach chrześcijańskie zasady i odnośne projekta stronnictwa katolickiego, prawo własności, prawo pracy, obowiązki państwa. Zasługę główną książki upatrywać należy też w tem, że szczupłą naszą literaturę ekonomiczną wogóle, a w szczególności nieistniejącą u nas prawie literaturę kierunku socjalno-religijnego, dla którego właśnie w polskim społeczeństwie tyle jest podstawy i pola, pojawieniem swem powiększa, i stosując się do ogółu przeciętnie wykształconych czytelników naszych, niemogących z fachowych ściśle publikacyj odnośnych korzystać, ułatwia tym kołom zorientowanie się dostateczne w wielkości i nagłości problemu, a przez to gotuje w szerszych warstwach świadomą reakcyę myśli i czynu tak przeciw ponętnym nieraz dla gorętszych i młodszych serc uludom socya-

lizmu, jak przeciw wygodnym dla zamożniejszych, dla posiadających a obniżającym moralność i podkopującym poczucie społecznych obowiązków, budzącym materyalne tylko apetyty doktrynom ekonomicznego liberalizmu. „Ważne to dla chrześcianina pytanie, co on ma czynić wobec ścierania się dwóch prądów... czy wszystko pozostawić inicjatywie państwa i milczeć, czyli też starać się o pewne zmiany w ustroju ekonomicznym i politycznym społeczeństwa, a nawet i w polityczne stronnictwo do osiągnięcia celu złączyć się“ (str. 42) i w dalszym ciągu słusznie gani autor kwietyzm naszego ogółu wobec tych zagadnień, bezmyślne nieraz bronienie, a przynajmniej tolerowanie anti-chrześcijańskiej manchesterskiej doktryny.

Przyznając tę zasługę książce X. Dr. Kopycińskiego, należy jednak ze stanowiska krytyki podnieść różne niedokładności, od korekty aż do samego układu książki, przez co otrzymuje się wrażenie zbyt pospiesznego i pisania i wydania dzieła. Główne zasady liberalizmu i socjalizmu, są należycie przedstawione, ale autor nie dość wykazał ich zgubność praktyczną; mianem szkoły manchesterskiej, będącej ostatecznym wyrazem liberalizmu, obejmuje już i autorów znacznie dawniejszych tego kierunku, a *in der Hitze des Gefechtes* robi liberalizmowi niesłuszny zarzut popierania militarystyki i omnipotencji państwa (str. 160). Tak, liberalne stronnictwo sprzeniewierzając się swej nazwie, chciało z nienawiści do Kościoła odebrać mu wszelką swobodę i oddać go zupełnie w ręce państwa, ale niesłusznem jest robić ekonomicznemu liberalizmowi zarzut, wynikający z przeniewierzenia się jego zasadom. A niezem tak nie popiera się przeciwnika, jak robiąc mu niesłuszne zarzuty! — Omawiając reakcję przeciw ekonomicznemu liberalizmowi, wymienia tu autor niesłusznie Dunoyera Bastiata, Milla, a pomija Lista, pomija całą niemiecką szkołę historyczną (Stein, Roscher, Hildebrandt, Knies), pomija i cały socjalno-prawny kierunek (Schäffle, Wagner, Schmoller, Brentano, Gide), z którym autor stawiającą tezę, że tylko Kościół (str. 108) zdoła rozwiązać kwestję socjalną, powinien się był rozprawić. Wszakże on sam (str. 151) mówi, że stosunek między pracodawcą a robotnikiem może tylko państwo uporządkować, a więc bez państwa obejść się nie można. My, pisząc w r. z. w tem piśmie o kwestyi socjalnej zaznaczyliśmy wyraźnie, że samo twarde i grube ramię państwa nie starczy, że tu potrzeba pomocy moralnych czynników — ale taksamo trzeba przestrzedz przed przecenianiem ich wpływu. Kościół nie ma egzekutywy świeckiej i dla tego nie jest w stanie obronić społeczeństwa przed wszechstronnym wyzyskiem ze strony tych, którzy nie stosują się do zasad chrześcijańskiej etyki. Punkt ten dlatego jedynie podnosimy, aby uwidocznic co wyżej napisaliśmy, że tu spór się toczy o granicę sfery działania państwa, Kościoła, ludzi. — Jak to pominięcie rozprawienia się z kierunkiem spo-

leczno-prawnym, tak też właśnie, w książce owianej takim ciepłem do religii i ojczyzny, jako lukę podnieść trzeba pominięcie Fr. List'a (*Nationales System der Politischen Oekonomie*). Pisał on: *Es giebt weit grössere Uebel, als einen Stand der Proletarier: leere Schatzkammern, Nationalunmacht, Nationalknechtschaft, Nationaltodt*. Teza to doniosła dla Polaka, piszącego o kwestyi socyalnej; nasuwa ona pytanie, czy też inne problemy nie są dla nas pilniejsze, niż kwestya socyalna, czy nam może groźniejszy od niej problem nie grozi: ubożenie nie jednej warstwy, ale całego społeczeństwa. Tego pytania pominąć nie należało.

Kwestya socyalna nasuwa taki ogrom przedmiotów do roztrząsania, że chcąc w krótkiej książce o wszystkim coś powiedzieć, nie można jej omówić wyczerpująco; z konieczności popada się nieraz w pobieżność, a zarzut ten musi z natury rzeczy spotkać niejeden rozdział w tej książce, zwłaszcza ustęp o prawie spadkowym, uwzględnionem tylko jako pochodny tytuł własności. Terminologia prawnicza i ekonomiczna, jest też często niestosowną (prawo rzeczowe i prawo rzeczywiste); ustęp o prawie pracy jest lepszy, i autor dobrze zaznacza fałszywy pogląd liberalizmu i odmienny odeń chrześcijański pogląd na robotnika (str. 153). Również dobrym jest rozdział, streszczający pomysły i działanie stronnictwa katolickiego; zrećźnie charakteryzuje autor zadanie polityki socyalnej, bo pobudza do myślenia, wykazując chrześcijańskie uprawnione stanowisko i prawa i własności, wytwarzające *obustronne* i prawa i obowiązki; w ich równowadze widzi rozwiązanie, przez co wykazuje, że każdy w swym zakresie i *pro parte sua* przyczynić się może do łagodzenia i rozwiązania kwestyi socyalnej. Ztąd można pragnąć szczerze, aby wskazane przez autora koła i czytały tę książkę, i stósowały ją w życiu.

Dr. J. Milewski.

— Wincenty Zakrzewski: *Historja powszechna na klasy wyższe szkół średnich*. Tom I. *Historja starożytna*. (Lwów, 1891, str. 269). — Pisanie książek dla młodzieży, należy do zadań bardzo trudnych. Jeżeli uczoney wydając dzieło na źródłach oparte, bada starannie wartość dokumentów, to piszący dzieło dla młodzieży ma zadanie prawa trudniejsze, aby z gotowego materiału wybrać to, co najważniejsze, co stanowi istotną treść, co będzie pokarmem zdrowym dla duszy młodocianej nieraz na całe życie. Zdanie to, pozornie paradoksalne, jest dla pedagogów jasne, a i dla inteligentnej publiczności, której dzieci do szkół uczęszczają, także bezwątpienia zrozumiałe. Uczony, zwłaszcza pracujący z zamilowaniem nad jaką poszczególną gałęzią przedmiotu schodząc z tego piedestału do młodzieniaszków i ich pojęć, musi mieć dobrą dozę zaparcia się, musi umieć hamować naturalną chęć, aby im wszystko opowiedzieć, wszechstronnie oświecić, rozwiązać drobne a przecież tak ciekawe zagadnienia krytyczne, kombinować i t. d. Ileż tu razy trzeba miłość własną na bok usu-

nać, powiedzieć mało a dokładnie, rozrachować czas nauki i możebność pomieszczenia. Ilość godzin szkolnych stanowi ramy, których rozszerzyć nie można, ani z drugiej strony zanadto uszczuplić. Jestto zadanie n. p. jak dla malarza, któremu daje się ramy i każe w nich umieścić obraz z warunkami względnej doskonałości. To też częstokroć nauka ścisła poszczycić się może pięknym owocem badań poszczególnych, odkryć, uzupełnień i sprostowań, które stanowią jej chwałę, posiada dzieła gruntowne przeznaczone dla wybranej publiczności—a książki szkolnej, któraby w oznaczonej mierze podała, ile z tych badań udzielić młodzieży jako *viaticum* przed wypuszczeniem jej do samoistnej pracy, niema.

Ze książka dotąd do nauki historii starożytnej w szkole używana (Gindely-Markiewicz) nie spełniała swego zadania należycie, wiedzieli o tem wszyscy uczący. Historia Wschodu była bałamuctwem starej tradycyi i nowych odkryć; grecka i rzymska nie mogły się pozbyć starego systemu oddzielania historii wypadków wojennych od obrazu kultury narodu, a rzymska, oprócz tejsze wady, nie śmiała zerwać z tradycją dawno w nauce pogrzebaną, i zaczynając seryą królów i mniej więcej dokładnemi opowiadaniem o ich dziejach i pierwszych czasach republiki, nie miała odwagi powiedzieć, że te bajeczne dzieje są nie lepszem opowiadaniem, jak wieść o Kraku i Lechu, i że epoki późniejsze stanowią treść właściwą historii wielkiej Romy.

Nowe dzieło prof. Zakrzewskiego ma przedewszystkiem tę zasługę, że stara się zgodnie z obecnym stanem nauki przedstawić świat starożytny. Opowiadanie jest logiczne, proste, jasne i zrozumiałe, tak, że uczeń przy pewnem *kierownictwie* pojmuje je z całą gruntowością. Otwórzmy np. czy ustęp o mazdyczmie i Daryuszu, czy o wojnach perskich, czy określenie Hellenizmu czy pryncypatu Augusta i t. d.;—znajdziemy wszędzie tę prostotę i jasność w opowiadaniu. Uczeń poznaje narody klasyczne takimi, jakimi były w istocie, gdyż tuż obok wojen mieszczą się obrazy ich urządzeń społecznych, ich religii, nauki i sztuki, nieomal ich życia codziennego. Na największą pochwałę zasługują przedewszystkiem dwie innowacye: 1) wprowadzenie tłustego druku na oznaczenie słówkiem lub dwoma treśći jakiegokolwiek reformy czy walki, które umożliwiają po przeczytaniu, w mgnieniu oka utrwalić istotę przeczytanej rzeczy w pamięci; 2) wprowadzenie poglądów krótkich i niezmiernie treściwych na miniony, a więc już dobrze poznany rozdział. Jeżeli powtarzanie jest często szkopułem, o który utyka praca kilkoletnia nauczyciela i ucznia, to do powtarzania jest dzieło prof. Zakrzewskiego możliwie najlepsze z dotąd używanych. Uczeń tylko musi się do sposobu wykładu przyzwyczaić, gdyż ścisłość wyrażania się sprawia, że czytanie musi być bardzo uważne, a streszczenie tego, co już samo niejako jest streszczeniem, wymaga znacznej pracy.

Czy materiał nie jest za wielki, trudno na to dzisiaj od-

powiedzieć, gdy książka jest zaledwo kilka miesięcy w użyciu. Być może, że spamiętanie wszystkiego będzie przez długie lata nabożnem życzeniem pedagogów przy średnich zdolnościach uczniów i klassach zwykle przepelnionych, ale przynajmniej co i ile z tego się zapamięta, będzie miało wartość istotną. — Dodajemy tu nawiasowo, że książka i dla publiczności szerszej, a historią z zawodu nie zajmującej się, jest przystępnem źródłem do poznania tego zamkniętego świata, którego piękność z wiekowej odległości wygląda jak obraz zamglony z ateńską Akropolidą w pośrodku. Zamiłowanie autora do przedmiotu widoczne wszędzie, najjaśniej może występuje przy historii greckiej, gdzie pojedyncze ustępy tak plastycznie przedstawiają cywilizację, opartą o mędrców i polityków ateńskich. Z drugiej strony przedstawienie Rzymu od chwili, kiedy się staje potęgą światową do końca starożytności, prowadzone jest tak systematycznie, iż czytający, bez naprowadzań osobistych, kończąc lekturę, sam w duszy dopowie: więc tak, świat ten przeżył się i runąć musiał, aby zrobić miejsce nowym pojęciom i nowym ludom w historii. — Możliwość wprawdzie z autorem posprzeczać się, czy nie wciągnął w tytuł *Historii starożytnej* i wieków średnich, ale istniejące przepisy szkolne tak określają starożytność, jak ją autor przeprowadził t. j. do upadku Rzymu — a dzieło to, przedewszystkiem dla szkoły pisane.

Sądźmy, że praktyka kilkoletnia sama wskaże, co i jak w następnych wydaniach zmienić lub uzupełnić będzie potrzeba. Kilka takich uwag, o których słuszności zresztą dzisiaj przesądzać trudno, notujemy, jak je przy czytaniu zauważyliśmy. Co do początku cywilizacji, autor nie jasno się wyraża. Zaczyna od Egiptu jako najstarszego, później zdaje sprawę z doliny Eufratu, a w streszczeniu historii Wschodu przypuszcza, że obie cywilizacje były może współczesne. To ucznia bałamuci. Wszak z badań najnowszych (F. Hommel: *Abriss der Geschichte der Vorderasiatischen Kulturvölker und Ägyptens* — w znanym zbiorze J. Müllera, Nördlingen 1889) pokazuje się, że naprzód idzie kultura Chaldei, a potem Egiptu — coby zresztą było tylko sprawdzeniem opowiadań Mojżesza, a odpowiadałoby dobrze poglądom egiptologów o klasie panującej, która przyszedłszy z Azji w Nilowej dolinie nad rasą ciemną zapanowała. W opowiadaniu pięknem o Indyach, możnaby uzasadnić lepiej powody gwałtownie szybkiego rozszerzenia się buddyzmu, a była nią wielka niedola klas niższych; w opowiadaniu o Krezusie, cała bajka o spaleniu upada przez prostą uwagę, że dla Cyrusa ogień jako element święty nie mógł służyć do palenia przeciwnika.

Historia Grecji pisana z wielkiem zamiłowaniem. Możliwość chyba określić dobitniej władzę negacyjną eforatu; w Atenach uwidocznić, że naturalną przyczyną nadzwyczajnego rozwoju było powolne przejście form rządu, często tak nieznaczące, że historia nie wie, kiedy się reszta monarchizmu kończy, a re-

publika zaczyna, kiedy przywileje klas wyższych rozplywają się w ogólnej demokracji; przy wojnie peloponezkiej zaznaczyć mocniej, że Ateny dążyły do zagarnięcia całego świata greckiego a więc i kolonij zachodnich, i że plan Alcybiadesa już i za czasów Peryklesa przygotowano (Naupaktos, Zakyntos, Korcyra, Thurioi — więc droga do Sycylii wytyczona), — że Ateny ocaliła od 30 tyranów walka królestwa (Pauzaniusz II) z eforatem (Lysander), — że nakoniec Ateny, tworząc drugi związek za czasów Epaminondasa, nie przez lekkomyślność nie dotrzymały związkowym przyrzeczeń, ale z powodu wyczerpania finansów i ogromu wydatków na flotę wobec systemu wojska zaciężnego.

Jeżeli w historii Grecyi nie wiele, to i nie więcej uwag nasunęło się w historii Rzymu. Za ledwo tu i owdzie możnaby się zapytać jak, n. p.: czy Wenetowie włoscy byli illirskiego pochodzenia? Wszak Cezar z ich braćmi walczył przy ujściu Loiry, a ci byli Celtami. Słusznie wyliczone elementa, z których Rzym powstał — ale czyż przy całej bajeczności element sabiński z osadą na Kapitołu jakiego wpływu nie wywarł? Wszak legendy, w szczegółach bałamutne, pewien realny grunt mają. Lub na co przypuszczać osobną epokę Tarkwiniuszów etruskich, a osobno za republiki drugą epokę podbojów Etrusków, kiedy to widocznie epoka jedna, uświetniona budowlami i wprowadzeniem ceremoniału religijnego i państwowego. Stanowisko plebejów przedstawione bardzo dobrze; chyba dla uzupełnienia dodać, że to byli właściwie *clientes regis*, więc za republiki dążenie ich do wyzwolenia się z pod opieki każdorazowego konsula jest pierwszym momentem walki długoletniej o obywatelstwo. — Autor podniósł Hannibala i interesująco przedstawił olbrzymie zapasy, ale talenta tego syna niegodnej go Kartaginy jeszcze lepiej widzimy, wiedząc, że armia punicka miała przygotować teren do opanowania Italii, a druga pod Hasdrubalem dzieła dokończyć; wszak Rzymianie pojmując położenie po strasznej bitwie pod Kannami, główne siły odesłali do Hiszpanii, aby to wstrzymać.

Do trudnych partyj w historii, należy sprawa Gracchów. Uczeń sympatyzując z tymi idealistami, nie łatwo zdaje sobie sprawę, dlaczego nie zwyciężyli — nawet u Cyncerona znajdzie ich pochwałę. Praktyka szkolna każe zwykle zaznaczać najmocniej *chęć* Tyberjusza Graccha, aby średni stan ratować, a *kollixyę* wykonania tej niemożebności wobec naturalnego rozwoju wypadków, wobec cen, jakie na swoje wyroby nakładał rzemieślnik i rolnik, a właściciel latifundiów, mogący taniej zboże produkować i każący greckim niewolnikom w sposób prawie fabryczny i lepiej i taniej przygotować narzędzia.

Możeby młodszy L. Drusus na słówko podniesienia zasłużył, jako optymata, który z zaparciem się własnej miłości chciał uzdrowić anormalne stosunki Rzymu, przez przypuszczenie Italików do obywatelstwa, gdy przeciw niemu podały sobie ręce

skrajna oligarchia i demagogia. I zaprawdę, nieby nie pomogła wojna związkowa, gdyby nie klęski pierwszego roku i strach przed Mitrydatem. — Do rozwoju monarchizmu i cesarstwa trudno co dodać, trudniej ztąd coś odjąć. Oprócz zapomnianej bitwy Konstantyna przy Pons Milvius (r. 312), gdzie legiony po pierwszy raz pod sztandarami krzyża walczyły, obraz ten jest skończony.

Pomijamy drobne usterki w książkach zawsze i wszędzie napotymane, jest ich tu w dodatku znacznie mniej, jak gdzieindziej. Zresztą nie znaleźliśmy nigdzie fałszu, nigdzie nic dla młodzieży starszej niestosownego, powyższe zaś uwagi są, jak czytelnik widzi, tylko prośbą o zamarkowanie mocniejszej pewnej interpretacji wypadków dziejowych, która interpretacya młodym pewnie nie zaszkodzi. A jeżeli zawadziliśmy o słowo »interpretacya«, to jeszcze raz wyrażamy nasze zapatrywanie na tę sprawę. Idealem książki szkolnej nie jest obiektywna bezstronność, lecz przy całej prawdzie pewne rozświecenie tego, co uczy pięknością, a przeraża brzydotą. Wzgląd wychowawczy na młodzieńca, który będzie kiedyś może zabierał głos w sprawach ważnych, jest tu decydującym, a mówią Francuzi, »że się wraca do pierwszej miłości«, Rzymianie zaś dodają »że historia życia mistrzynią«. Jeżeli autor tak pięknie podniósł historję Aten, dlaczego nie wyraził zdania o Sparcie? Dlaczego nie wskazał, że ekskluzywność wojenna tego państwa nie pozwoliła mu ani śladu w dziejach cywilizacyi pozostawić, że Spartanie zgubili Leonidasa, dwuznaczną rolę już za wyprawy Xerxesa odgrywali, a zdobyli się na największą umysłową potęgę w spodlonym Lyzandrze, w pokoju Antalkidasa i niszczeniu miast greckich na brzegu macedońskim (Olynt)? Na sąd ostrzejszy zasłużył też Alcybiades, jako rzeczywisty demagog, nie lepszy od Kleona, ale nie zasłużył nań Perykles, co zresztą sam autor później usprawiedliwia. Jeżeli o mniejszych talentach wspomnieć, to brakuje w opowiadaniu wzmianki o sympatycznym Timeleonie. Autor najlepiej osądzi, czy co z tych uwag da się zużytkować. Zamieściliśmy je w nadziei, że niejednen bez należytego przewodnictwa do zajmującej książki się zabierze — więc i wskazówki do ocenienia osób i wypadków w następnych wydaniach dzieła, ułatwią mu zrozumienie. Czytelnik zamykając książkę prof. Zakrzewskiego, po namyśle przyznaje chętnie, że dzieło godne mistrza, i życzy, aby to dzieło o siłach żywotnych i zasobie wielkim eruducyi wychowało szeregi pokoleń na chwałę i pociechą narodu.

Cz. Rozmowski.

---

— *Bossuet*, par M. G. Lanson. (Lecène Oudin et Cie. Paris, 1891). — Nie brak dzieł o „orle z Meaux,“ i wbrew twierdzeniu autora, że *il y a peu d'années encore, Bossuet était ruiné*, sądzymy, że zawsze posiadał on zwolenników — może mniej licznych, stósownie do prądów chwili — lecz nigdy opuszczo-

nym i zapomnianym nie był, od jednych dla swych zasad, od drugich dla swych zalet pisarskich. Nadto jest to jedna z tych intelligencyj, która zawsze zwraca na siebie uwagę ludzi poważniejszych i nęci do bliższego zaznajomienia się, acz nie każdy takim jak p. Lanson zapalonym wielbicielem będzie. Oto streszczenie jego poglądu. W religii daje nam Bossuet „ideę chrześcijańską w sposób najlogiczniejszy, najskuteczniejszy i najponętniejszy, w polityce najlepszą, najrozsądniejszą, najlepiej przypadającą do potrzeb praktycznych formułę teorii konserwatywnej, tradycyi i powagi; w moralności, opierając się na Ewangelii, ale także i na znajomości człowieka, przedstawia nam najwyższy ideał, jaki sobie wyobrazić można, ale ideał przystosowany do naszej natury, ideał który nie zniechęca, ale przeciwnie pociąga i pobudza usiłowanie, ideał, nakoniec, który wyrabia te dwa główne popędy naszej duszy: potrzebę działania i pragnienie szczęścia.“

Nie zdaje się, aby p. Lanson w dziele swem coś bardzo nowego powiedział o Bossuecie; raczej podniósł tylko do potęgi, zalety człowieka i pisarza; a co do metody traktowania przedmiotu, użył tej, którą wprowadzono do Sorbonny w przygotowywaniu do egzaminów *licence ès lettres*. Polega ona na wszechstronnem studjowaniu danej osobistości literackiej, na ocenieniu jej zdolności pisarskich, kierunku politycznego, filozoficznego, i t. p. To też program książki p. Lanson zawiera: 1) *Bossuet jako człowiek i jako pisarz*. 2) *Mowca*. 3) *Wychowanie Delfina*. 4) *Idee polityczne Bossueta*. 5) *Bossuet historykiem*. 6) *Teologia i „kontrowersya“*. 7) *Bossuet biskupem w Condom i w Meaux*. 8) *Kierownikiem sumienia*. 9) *Filozofia Bossueta*. Przechodząc kolejno każdą z wymienionych części, w każdej przynajmniej autor swemu bohaterowi pierwszorzędną zaletę: jako pisarz, posiada on „styl prosty, a ten przymiot zawiera wszystkie inne... Ci, którzy uważają Bossueta za nadętego retora, albo go nie czytali, albo nie zrozumieli... Niema pisarza w XVII w., któryby więcej kwestyj żywotnych niewyczerpanego interesu traktował, i to w sposób równie silny jak poważny.“ Kazania „tak jak są, to jest ich bruliony, pozwalają nam ocenić talent krasomówczy, i stawiają go na właściwem, to jest na pierwszym miejscu, a pokazują go równie doskonałym w kazaniach jak w mowach pogrzebowych.“ Jeśli autor nie może pochwalić bezwarunkowo pierwszych wystąpień młodego księdza, to nawet w usterkach dopatruje zapowiedzi przyszłych zalet. „Okoliczności zrobiły zeń polityka i historyka, lecz go nie zaskoczyły niespodzianie; teologia przygotowała go do wszystkiego; dla umysłu takiego, jak ten, ona była kluczem i podstawą wszystkich umiejętności.“ Wprawdzie o *Polityce wyjętej z Pisma św.* powiada autor, iż nie jest dziełem doskonałym, ale że się w niem znajduje „nieskończenie wiele rozsądku, nauki praktycznej i doktryna polityczna, której

można nie podzielać, ale gdzie bezwątpienia trudno się dopatrzyć śladu fanatyzmu lub błahostek,“ a dalej mówi: „Na swój czas było to dzieło szlachetne i — jakkolwiek się dziwnem wyda wyrażenie — było liberalnem.“ W *Rozprawie o historii powszechnej*, Bossuet okazał najrzadsze przymioty historyka; jest panem swego przedmiotu — ogarnia go, przenika, porządkuje, nadaje mu kształt i tłumaczy go. Jako filozof, zapatruje się na ogrom faktów, układa je w szereg nieustannych przyczyn i skutków... chwytą wszędzie rys charakterystyczny. *Historia zmian kościołów protestanckich* jest „przedziwna,“ *Maksymy i uwagi nad komedją* są „jednym z jego arcydzieł,“ *Elévations sur les Mystères i Medytacje o Ewangelii* zaledwo ustępują *Naśladowaniu Chrystusa*... Geniusz jego obejmował powszechność i rzucił się naprzód do badania praw i typów.“ Jako dusz-pasterza „można w nim tylko chwalić i podziwiać bez zastrzeżeń ideał życia religijnego (pamiętajmy, że to mówi wolnomyślny pisarz), ku któremu, to słodyczą zniewalającą, to stanowczą powagę, stara się kierować wybrane dusze, jakie wyróżnił. Jego listy w tej materji (*lettres de direction*) są arcydziełami zdrowego rozsądku i sprytu (*finesse*), oraz ucziwej kazuistyki, która ujmuje próżnych trosk, ale nie płodnych usiłowań.“ Nawet powierzchowność jego, jest, według słów autora, w harmonii z istotą wewnętrzną: „Był to dobrze zbudowany Burgundczyk, wspaniałej postawy i silnego temperamentu, o krwi bogatej i gorącej, bez nerwów — piękna równowaga zdrowia fizycznego z równowagą moralną.“

Znane są powszechnie zarzuty co do wychowania Delfina i sporu z Fenelonem. P. Lanson broni Bossueta i tu; w pierwszym razie zwała całą winę na ucznia, w drugim przypisuje Bossuetowi słusność; broni go nawet w zdaniu o Edykiei Nantejskim. Wreszcie tak kończy: „Jestto jeden z najlepszych ludzi, jeden z najsilniejszych umysłów jakie były, i nie wiem, kogoby można wyżej nadeń postawić — chyba kilku świętych z legendy.“

Gdyby nie widoczna szczerłość przekonań, niejednemu dzieło p. Lanson wydałoby się panegirykiem, i to nawet nudnym; tak zaś, jest tylko apologią, nie dziełem poważnej, wszechstronnej krytyki. Mimo to jednak, autor zna dobrze swój przedmiot, ale się uchyla nieraz od wypowiedzenia swego zdania i poprzestaje głównie na tłumaczeniu, dla czego Bossuet tak a nie inaczej myślał lub działał. Jestto rzecz dobra, ale niedostateczna; krytyka powinna wykazać nietylko, *dla czego tak jest*, lecz *jak być powinno*; otóż tej konkluzji autor unika, nie wiadomo dla czego. Jeśli mógł ocenić *Maximes et Réflexions*, że są arcydziełem, że *Historia zmian kościołów protestanckich* jest *admirable*, nie rzucimy, dlaczego nie chce ocenić stanowiska Bossueta co do Edyktu Nantejskiego i poprzestaje na półśłó-

kach: „Nie mówię, żeby Bossuet miał słuszność, myśląc tak o zniesieniu Edyktu z Nantes, albo o rewolucyi angielskiej; są to materye, do spierania się o nie gdzieindziej.“ Dlaczego *gdzieindziej?* W poważnem studyum nie o komplementa, lecz o prawdę iść powinno, i jeśli mógł autor chwalić to, co mu sumienie chwalić kazało — może również zganić to, co mu sumienie ganić każe. P. Lanson tego nie zrobił, i takim połowicznym sądem zaszkodził swej pracy. Robi ona wrażenie czegoś niezupelnego, niedokończonego, i nie całkiem zadawalnia czytelnika.

K. O.

— *Le Régent, l'abbé Dubois et les Anglais, d'après les sources britanniques* par Louis Wiesener. (Paris, Hachette et Cie, 1891). — Tytuł wskazuje, że jestto przyczynek do smutnej pamięci epoki małoletniego Ludwika XV, według źródeł angielskich, mało lub wcale niespożytkowanych dotąd, a jak autor zapowiada, ma to być dopiero pierwsza część obszernej pracy, przed dwudziestu laty łącznie z innymi rozpoczętej. Świeżo wydany spory tom zawiera ledwo przeciąg czasu dwuletni, od 1715 do 1717 r., czyli do traktatu w Hadze. Jako źródła służyły archiwa angielskie, *do niedawna wcale nie badane przez francuskich dziejopisarzy (?)*: naprzód serya dokumentów odnoszących się do Francyi, dalej serya Niemiec i Hollandyi, nakoniec zbiory prywatne, w których powiodło się autorowi znaleźć brakujące w *Record-Office* dowody.

Celem tego pierwszego tomu jest wytłómaczenie ówczesnych powodów to przyjaźni, to niezgody między Francją i Anglią, które niewtajemniczonym mogły się wydawać dziwną mieszaniną celów i przyczyn, oraz budzić przeróżne domysły a sądy o głównych działaczach. Dla wyjaśnienia tych „kwestyj tak roztrząsanych a pokrytych jeszcze głęboką ciemnością,“ musiał autor cofnąć się do czasów poprzedzających Regencyę i związłe przedstawic ówczesne stanowisko swej ojczyzny w Europie.

Stosunki Francyi z Anglią w tej chwili były zwyczajnie sąsiedzkie, to jest nieszczególne. Wśród kilku kwestyj spornych, cierniem drażniącym stała się Dunkerka, owo „gniazdo rozbójnicze, plaga handlu angielskiego“, które Ludwik XIV traktatem Utrechtskim (11 kwietnia 1713 r.) obowiązywał się zrównać z ziemią, a czego dotrzymać nie myślał wcale, bo burząc port jeden zakładał drugi o dwie mile dalej, większy i mocniejszy od pierwszego, Mardick. Niemniej ważną dla angielskiego dworu sprawą były roszczenia Pretendenta, popieranego przez dwór wersalski; wreszcie inne jeszcze widmo dręczyło Jerzego I-go. Lękał się on, by król hiszpański nie starał się o regencyę, a nawet o koronę francuską po śmierci „króla-słońca“, więc, by zapobiedz tak groźnym niebezpieczeństwom, pierwszy, na ośm miesięcy przed zgonem Ludwika XIV ofiarował ks. Orleańskiemu,

krewnemu swemu <sup>1)</sup> pomoc tak do otrzymania rządów państwa jakoteż korony, wraze gdyby prawy następca, wówczas pięcioletni i bardzo wątły, zeszedł ze świata. Ks. Orleański przystał chętnie na owe propozycye, a cała „intryga pozostała tajemnicą. Ci, którzy ją podejrzewali, jak Saint-Simon, nie domyślali się ani jej charakteru, ani jej doniosłości.“

Zostawszy regentem, ks. Orleański sprzeniewierzył się swym obietnicom; raz, że powziął zamiar wydać jedną z swych córek za Pretendenta, drugi, że napotkał trudności niezależne od jego woli. Jedną z nich była ta, że „nie posiadał nie w charakterze nakazującego uszanowanie, i oddawna, zdaje się, wziął za zadanie zniesławić się złemi obyczajami. Badawczość jego umysłu, którą posunął aż do odgadywania przyszłości, zamiłowanie nauk, zwłaszcza chemii, czyniły go podejrzany. W tych czasach laboratoryum ze swemi tajemnicami uchodziło za sztuki dyabelskie. On sam przepędził raz noc w kopalniach w Vanves i Vaugirard, wzywając nadaremnie (jak sam to wyznał) ducha ciemności.“ Kilka wypadków śmierci, zaszytych w rodzinie królewskiej, przypisano truciznom (*poudres de succession*), a że zbrodniarzem bywa ten, komu zbrodnia przynosi korzyść, jak twierdzi stary aksjomat, zatem widziano w tem rękę Regenta. Przy najłżejszej niedyspozycyi następcy, podejrzania się wzmagaly i podnosiły szemrania; to też „pomimo pewnych liberalnych rozporządzeń, które zaznaczyły początek jego rządów, i które opinia przyjęła przychylnie, długo pozostał on niepopularnym.“ Źle widziany od szlachty, mógł oburzyć przeciw sobie i masy, idąc wbrew ich usposobieniu, oraz tradycyi; masy owe nienawidziły Anglii i stały po stronie wygnanych Stuartów.

Ministrowi Dubois przypadła rola „usunąć pewne trudności, przyczynić się do ich rozwiązania. Był on robotnikiem zręcznym i szczęśliwym, ale nie wynalazcą systemu politycznego Regencyi.“ W dziele swem p. Wiesener w części rehabilituje osławionego X. Dubois, lecz upewnia, że nie miał ku temu z góry powziętego zamiaru, a tylko wierny prawdzie historycznej, chce sprostować błędne mniemanie, rozpowszechnione przez uprzedzenia współczesnych. Gdy rozpoczęte przyjazne propozycye przez dwór angielski, nie wydały z objęciem rządów państwa przez ks. Orleańskiego spodziewanych owoców, zachwiała się harmonia między gabinetami; ale gdy następnie Regent „oceniając lepiej sytuację“ starał się pojednać ze swym królewskim kuzynem, ten zażądał w dowód szczerości sojuszu, wydalenia Pretendenta z granic francuzkich. Ks. Orleański nie mógł się zgodzić na

<sup>1)</sup> Matka Filipa Orleańskiego, Karolina Elżbieta, była siostrzenicą Zofii, matki Jerzego I., która ją wychowała z przywiązaniem macierzyńskim, i nawzajem od siostrzenicy jak od córki była kochaną.

rzecz zniesławiającą go w oczach Europy — i nanowo rozpoczęły się kwasy. Zażegnała je dyplomacya; poseł francuzki de Chateaufort potrafił załagodzić urazę angielskiego władcy i przeskodzić odrodzeniu się dawniejszej przeciw Francji koalicji. Tu występuje na scenę Dubois, dzięki któremu niebawem został zawarty alians odporno-zaczepty Wielkiej Brytanii z odwieczną jej antagonistką. Alians ten rozmaicie był tłómaczonym; „historycy francuzcy widzieli w nim cudowne skutki przekonywającego geniuszu pralata,“ źródła angielskie sprowadzają ów cud do zwykłych rozmiarów kombinacyj ludzkich. „Wobec powodzenia i ambicyi cara Piotra, który w wojnie przeciw Karolowi XII posunąwszy się do Elby chce odgrywać rolę w Niemczech, monarcha niemiecki trwoży się jednocześnie o elektorat hannowerski i o swoje królestwo W. Brytanii, bo myśl możliwego sojuszu między władzą moskiewską a Regentem powstała nagle w jego głowie. Już widzi wkraczającego Pretendenta do Anglii, już pragnie gorąco sam tego sojuszu, który onegdaj jeszcze zamierzał zawrzeć tylko wtedy, gdy mu się będzie podobało, i tak, by upokorzyć Regenta. Jeśli zachodzą jakie trudności lub zwłoki, wpada w gniew, i to się stanie jednym z nienajmniejszych powodów nienajmniejszej, jaka nagle spadnie na głównego sekretarza stanu.“

Pomijając wiele ciekawych szczegółów książki, odnoszących się do spraw wewnętrznych i zewnętrznych, oraz do osób, notujemy jeszcze kilka mimochodem, jako dowód skrupulatnej uwagi autora na wszystko, co rysem charakterystycznym lub zajmującym być może; tak n. p. dowiadujemy się, że Jerzy Hannowerski nie posiadał wcale języka swych nowych poddanych, a jego ministrowie nie posiadali niemieczyny, przeto wszystkie pisma, zwłaszcza do zewnętrznych spraw się odnoszące, które pilnie śledził, musiały być redagowane po francuzku. Dla naszej specjalnie wiadomości dodajemy, że lord John Dalrymple Stair, poseł na dworze Ludwika XIV i Regenta „był posłanym w misyi nadzwyczajnej do króla polskiego Augusta II, gdy tenże powtórnie na tron wstąpił po przegranej Karola XII pod Pułtawą, w celu zawarcia aliansu obronnego między obu koronami, polską i angielską.“ August Saski i lord Stair znali się, biorąc razem udział w wojnach pod wodzą Marlborougha.

Sprawozdanie z cennej pracy p. Wiesenera, zamknijemy przytoczeniem kilku głównych jego zdań, które zmieniają powszechny sąd o księdzu Dubois, który znowu, nawiasem mówiąc, nie był księdzem: *Dubois portait le petit collet et le titre d'abbé sans être dans les ordres.* Co do rzekomej pensyi, wypłacanej przedajnemu dygnitarzowi, autor, nie znalazłszy nigdzie śladu takiej w dokumentach, mówi, że „wszystko się składa na to, aby z pewnością odłożyć tę legendę do tych potwarzy, jakimi historia jest upstrzoną.“ Co do zarzutów, robionych przez Saint Simona dawniej, Micheleta później — pomijając mniej ważnych

pisarzy — autor twierdzi śmiało, acz nie bez słuszności (choć do pewnego tylko, zdaniem naszym, stopnia), że „można podejrzewać, iż gdyby Dubois zamiast być synem aptekarza, a jak się Saint Simon odzywa, *de la lie du peuple*, był przynajmniej *un cadet de Gascogne*, toby panowie ówczesni odmalowali go innymi farbami i pod inną postacią.“ — „W naszym mniemaniu — kończy autor, przebiegając cały szereg znanych rekryminacyj — Dubois nie zdemoralizował swego ucznia ani świadomie, przez pobłażliwość lub podniecie, ani nieświadomie przez złe przykłady. Nie był na żoldzie angielskim; nie wytruł rodziny królewskiej; nie miał żony w kraju, a tem mniej był bigamem. Maż to znaczyć, że go chcemy przedstawić czytelnikom jako człowieka bez wad i przyjąć opinię, wręcz przeciwną utartej? Weale nie; chcemy tylko jak najwięcej zbliżyć się do rzeczywistości. — Dubois był obdarzony wielkimi zaletami umysłowymi, jasną, bystrą, energiczną inteligencją, śmiałymi pomysłami, które go oświecały i prowadziły wtedy, gdy inni zmieszani niepokoili się w bezpłodnem wahaniu. Wolny od kastowych przesądów z powodu swego niskiego pochodzenia, był gotów, jako człowiek nowy, wejść na drogi nowe, a ambicya go parła... Trzeba przyznać, że charakter nie stał na równi z umysłem i serce nie sprostało głowie. Śmiały, bez skrupułów, przesiąknięty Gil-Blasem i Frontinem — można się zgodzić na to, co powiadają o jego zamilowaniu do intryg i wybiegów, choć nie tak dalece, jak twierdzi Saint-Simon, że *dym fałszu mimo jego woli wychodził przez wszystkie jego pory, a nawet z jego wesółości*.“ Że był „złym z upodobania i z rozmysłu,“ nie daje się dowieść: „przeciętna liczba uwięzionych za jego ministerstwa w Bastyllii spadła z 66 (cyfra z ostatnich pięciu lat za Ludwika XIV) do 43.“... Listy matki Regenta potwierdzają, iż nie był tak złym, przewrotnym i demoralizującym wychowawcą, jak utrzymują współcześni. Rzeczywiście listy owe są w tonie uprzejmym, nawet przyjaznym; tchną zaufaniem i szacunkiem. O zasadach religijnych X. Dubois nie chce autor wyrokować; co do polityki, dokumenta i fakta wykazują, że sojusz z Anglią był pomysłem Jerzego I, i że z propozycją onego przybył lord Stair, a reprezentantem Regenta był zrazu nie Dubois, lecz ksiądz de Thésut, że gdy następnie zajął jego miejsce, był li wykonawcą woli i wiernem odbiciem usposobienia swego pana, a tylko widział lepiej od niego, co i jak działać wypada. Przyznaje zresztą, że był podejrzliwym, to unoszącym się, to upadającym na duchu, ambitnym i nie lubiącym dzielić się z drugimi wpływem i sławą, ale za to szedł do celu z wielką wytrwałością. Z wiekiem zmniejszyła się pracowitość a zwiększyła drażliwość, tak, iż wybuchy gniewu wyglądały na wybuchy szaleństwa. A w konkluzji: „Nie żądamy od X. Dubois, w ciągu jego karyery, wzniosłych uczuć, śmiałych poglądów, wielkich

myśli, które idą z serca. Zostawmy mu miejsce niepospolitego *homme d'affaires*, w gruncie dobrego Francuza, lecz nie mieszmy go wśród wielkich polityków. Wielu go poniżyło z krzyżącą niesprawiedliwością, inni go przecenili, zwłaszcza przecenił on sam siebie przed samym sobą — ale polityka której służył i do której tryumfu się przyczynił, warta więcej, podług nas, od tej, którą prowadzono na dawnym dworze.“

Na tym sądzie o *abbé Dubois*, który prawdopodobnie wywoła jeszcze dyskusję co do drugorzędnych rysów, gdyż w pierwszorzędnych, zdaje się, ma wszelkie prawdopodobieństwo za sobą wraz z dowodami „czarno na białem,“ zamykamy sprawozdanie o dziele p. Ludwika Wiesenera, obfitującym w liczne szczegóły z danej chwili dziejowej a odznaczającym się ścisłością, metodą, pracowitem badaniem, które się dotrzeć stara do dna rzeczy, i jak najwyraźniej przedstawić takową czytelnikowi, oraz obszernem odczytaniem, które mu pozwoliło nagromadzić tyle materiału w jednym tomie, iż na dwa dałby się on rozłożyć. Każdy, kto z ową epoką zechce się dziś poznać, anie będzie mógł sięgnąć do źródeł, będzie musiał liczyć się z pracą p. Wiesenera, która nowe światło wprowadza do obranej [przezeń chwili dziejowej, choć jej wszechstronnie nie omawia, a nawet nie ma zamiaru omawiać.

K. O.

— Emile Bergerat: *Théâtre en vers* (1884—1887) Préface de *Théodore de Banville*. (Paris 1891 Svo. str. 383 édition Charpentier.) Poezyę wygnano dziś z powierzchni ziemi, wypędzono z życia, wyrugowano z książki, wyproszone nawet ze sceny, która zdawała się być jej królestwem naturalnem i wiecznym. Ludzie zapomnieli o dawnej bogini, żyją bez niej, a wcale wygodnie i wesoło żyją. Nawet zakochani, owi kapłani, co ogień święty utrzymywali w ciągłym tleniu na ołtarzu poezyi, nawet oni obywają się bez niej. Na ziemi istnieje — któżby dawniej to przypuścił! — miłość bez poezyi. Wprawdzie znajdują się jeszcze tu i owdzie starzy i siwi, jak nie są lysi, — wielbiciele jej, którzy usiłują przypomnieć ludziom zubożetniałym, że poezya jest rzeczą piękną, a zarazem tak potrzebną człowiekowi, jak sen, jak chleb, woda i powietrze. Ale coraz ich mniej. Jeden po drugim opuszczają ten padół — prozy; ścigani śmiechem, szyderstwem i urągówkami współczesnych, zwłaszcza młodszych, łamią swe lutnie i biegną kryć się — pod ziemię. Wkrótce zabraknie ich zupełnie, bo matki dziś nie rodzą poetów, przynajmniej we Francyi. Tak zwani symboliści, dekadenci, magowie, którzy w Paryżu przybierają szumny tytuł następców Wiktora Hugo, nie służą na niego. Nie są to poeci, lecz dziwaki—artyści, ale spaczni i schorzali. Niby pracują nad dziełem »odrodzenia« poezyi, a właściwie ogałacają ją ze wszystkiego co w niej jest pięknem i — poetyckiem. Zamiast poematów, tworzą dziwolągi bez nazwy. Pewien żartowniś scharakteryzował ich znakomicie, twierdząc, że

zamierzają »przerobić« utwory minionych poetów. La Fontaine'a wierszyk znany *La cigale et la fourmi*, zaczynający się od słów:

La cigale ayant chanté  
Tout l'été...

zmieniają w ten sposób:

La cigale ayant gueulé  
Tout l'été...

Na scenie, nawet i tej przekrzywionej »poezyi« nie znajdziesz. Teatrem owładnęła proza wszechwładnie. A przez prozę należy rozumieć nie tylko mowę »wolną«, w przeciwstawieniu do mowy »wiązanej«, ale treść i formy zmateryalizowane, grube, płaskie, pozbawione etycznych i estetycznych aspiracji, stanowiące istotę nowoczesnej sztuki dramatycznej.

Przeciw temu prądowi »prozaicznemu« czyli przeciw dążeniom realistów i naturalistów, którym ulegają dziś powoli dyrektorowie i reżyserowie scen, autorowie, artyści i krytycy teatralni, wraz z całą publicznością francuską, nadaremnie reagować pragnie, a raczej pragnął, bo nie wiemy ażali ponowi bezskuteczne próby, p. Emil Bergerat. Napisał on kilka poematów, ubranych w szatę dramatyczną, ale napróżno z niemi do drzwi kierowników scen paryskich pukał; żadne się nie otworzyły. Widząc, że nie zdoła wystawić swych utworów, wydał je w książce. Czy mu się to na co przyda? Wątpimy. Nikt nie chciał go słuchać, nikt zapewne nie będzie chciał go czytać. Ignorują Paryżanie poetę dramatycznego, choć każdy zna pewnego Calibana, pisującego komiczne kroniki do wielkich codziennych pism stolicy nadsekwańskiej. Taki to zwykły los poety w naszych czasach. Rozgłos zdobywa sobie nie utworami poważnemi, ale artykułikami, pisanemi »na kolanie«, dla chleba.

Niewielką będzie dlań pociechą, że poświęcimy chwilę uwagi biednemu, zapoznanemu poecie dramatycznemu. Tendencją, duchem, budową i stylem, prace p. Bergerata różnią się od dzieł sztuki, będących dziś w modzie. Tworzy on dramata, które są poematami dlatego przedewszystkiem, że dają na życie pogląd idealny, że w nich poruszają się postacie nie tyle z natury zdjęte, ile wymarzone przez artystę, moralnie doskonałe i piękne; że wreszcie składają się z scen barwnych, dekoracyjnych, zwykle wybieranych wśród motywów historycznych, które pozwalają poecie zapomnieć o szarej powszedniości dnia bieżącego. Chyba niepotrzeba dodać, że autor napisał je wierszem, wierszem bogatym, o szerokim zamachu, o ciepłym kolorycie, wierszem komicznym i dramatycznym naprzemian, pełnym efektów, których proza nie zna i znać nie może.

Wiersze p. Bergerat są reminiscencją poetyki Teodora de Bauville, twórcy komicznego rodzaju, nazwanego przez niego samego: *genre funambulesque*, króla rymu dziwnego, autora sztuk: *Pierre Gringoire* i *Le baiser*. To naśladowanie Banville'a co praw-

da pozbawia Bergerat'a oryginalności, ale bynajmniej nie wpływa ujemnie na zalety jego kompozycyi — przeciwnie.

Wpóśród trzech autorów, wydanych pod wspólnym tytułem: *Théâtre en vers (Enguerrade, La nuit bergamasque, Le capitaine Fracasse)*, jeden, mianowicie pierwszy, zasługuje na wyróżnienie. Uosabia on rodzaj talentu autora. *Enguerrade* (poemat dramatyczny w pięciu aktach, z podwójnym prologiem, jak głosi wzmianka umieszczona pod tytułem) jest poematem miłości. Opisuje dzieje miłości, wslawia, apologuje miłość. Wszystko w nim odbywa się przez i dla miłości, z niego wyłania się jedno uczucie, dominujące u poety: miłość miłości. Oto treść *Enguerrady*. Młody następca tronu sycylijskiego, listownie zawiadamia swą nieznaną kuzynkę, księżniczkę sycylijską, że nie godzi się na projekt ich rodziców połączenia ich. Księżniczka dotknięta do żywego w swej dumie tą rekuzą, postanawia zemścić się i w tym celu jedzie do Sycylii. W pobliżu Palermo spotyka młodzieńca pięknego, który ujrzawszy ją, pada na kolana w napadzie zachwytu, miłości, a dowiedziawszy się, że została przez kogoś obrażoną, przysięga »krwią śmiałka obelgę zmyć«. Młodzieniec ten jest napół zwaryowanym lekkomyślnikiem, którego dzisiejsze pokolenie żadną miarą zrozumieć nie może. Żyje jak cygan artysta, przysiągł niegdyś, że nigdy na tronie nie zasiądzie, do którego ma prawo. Teraz niebaczny przysiągł znowu, że siebie samego zabije, bo on jest tym śmiałkiem, co obraził księżniczkę. W niemalym znajduje się kłopotcie, aby daną przyjaciółom i wybranej obietnicę spełnić, a księżniczka także, bo młodzieniec tak jej się podobał, że nie chce jego zgonu. Nie ma jednak rady, musi on albo złamać przysięgę, albo zginąć. Umiera więc, jak na monarchę i jak na kochanka przystoi, na polu bitwy i w objęciu ukochanej, krainę żyjących opuszczającej za nim.

W *Enguerradzie* nie należy szukać sensu, logiki, prawdy historycznej i psychologicznej, lecz barw, słońca, pięknych kostiumów, szczyku broni, dźwięcznych rymów, oraz wyidealizowanego uczucia, szlachetnych porywów, słowem treści i zewnętrznej szaty poezyi.

Nie będziemy tu oceniać dwóch innych poematów Bergerat'a, bo trzebaby chyba powtórzyć to, co się powiedziało o *Enguerrade*. Dodamy tylko, że *Kapitan Fracasse* jest przeróbką powieści Teofila Gautier, którą każdy chyba czytał i pamięta.

Że »sztuki« podobnego pokroju nie zyskują oklasków utilitarnych, praktycznych i rozumnych synów XIX wieku, nie dziwne. Teodor de Banville przed śmiercią napisał do *Teatru wierszem* Emila Bergerat, wstępne słowo, w którym zaznacza dla kogo one były skomponowane. »*Enguerrade* odpowiada — pisze on — potrzebie, powiem więcej, pragnieniu namiętnemu. Sprzykrzyły nam się płaskość i bezbarwność teatru i piśmiennictwa pospolitego i merkantylnego, które dziś panuje. Tęskniliśmy

za heroizmem, ideałami, przesadą nawet i niepospolitością. Tych czynników dostarczył nam Bergerat. Zaśpiewał on tryumfalny hymn na cześć piękna, ku któremu nasze oczy i serca zwracały się z utęsknieniem. Dzięki mu za to.« Banville nie przemawia jednak w imieniu społeczności, lecz »garstki wybranych«. »Poemat *Enguerrade* — powiada on wyraźnie — zachwyci tylko umysły delikatne, myśliciele, poszukiwaczy intelektualnych wrażeń, kobiety także, słowem tych wszystkich, którzy tworzą w Paryżu »grono wybranych« (*une glorieuse élite*).

M. M.

— *Les idées morales du temps présent*, par Edouard Rod. 1 vol. (Paris. Librairie académique Didier. Perrin et Comp. 1891. in 16. 318, VII). — Nie jestto pierwsze dzieło treści filozoficznej profesora genewskiego uniwersytetu. Jego książkę *Le sens de la vie* uwieńczyła Akademia francuska nagrodą *Jouy*. Oprócz kilku tomów powieści i nowellek, wydał on jeszcze: *La course à la mort*, a w ostatnich miesiącach pracował nad traktatem pod tytułem: *Vouloir et pouvoir*. Książka, którą mamy przed sobą, zbliża się treścią do jego dawniejszych: *Etudes sur le XIX siècle*. Dedykując swe dzieło panu Pawłowi Desjardins, jednemu z wybitniejszych przedstawicieli zwrotu religijnego we Francji, stawia sobie autor za zadanie badać w niem opinie religijne i moralne kilku bardziej wpływowych kierowników myśli ludzkiej (naturalnie głównie we Francji) w ciągu ostatniej połowy wieku.

Jakkolwiek przyznaje się p. Rod do wielkiego uwielbienia dla talentu pisarskiego Ernesta Renana, uważa go wszakże za inicjatora kierunku *negatywnego* w nauce moralności, choć nie doszły seminarzysta zachował zawsze w źle zrozumianej pobożności swojej, ślady oglądy i gorliwości, którą mu wpoili nauki biskupa Dupanloup i dawnych jego mistrzów z Saint-Sulpice. Autor podaje podróż do Jerozolimy Renana, jako punkt zwrotny w jego rozwoju duchowym: chwila to, w której zerwawszy ostatecznie z Kościołem i tradycją jego, sądzi, iż może pomimo to pozostać wiernym uczniem Chrystusowym, twierdzi, że miłość może się ostać bez wiary, że prawda nie istnieje samodzielnie, jako cel naszych dążeń, ale żyje dla każdego człowieka w jego własnej duszy, polega tylko na *poszukiwaniu prawdy*. Zaiste, nie potrzeba było Renana, żeby odkryć te dogodne zasady religii: na nich spoczywa protestancki duch negacyi i tak zwanej wolności sumienia. Moralność nauczana przez Renana, bardzo dowolnie więc ma granice, a wcielił on ją w postaciach swoich bohaterów, w osobie Pana Jezusa, w Marku Aureliuszu, w Spinozie itd., z których każdy, jak ich przedstawia, jest właściwie tylko uosobieniem jego własnego ducha i zasad przezeń wyznawanych.

W przeciwstawieniu do jego złudzeń optymistycznych, stawia autor mizantropię i zgorzkniały pesymizm Artura Schopen-

hauera, pesymizm bynajmniej nie wytłómaczony wypadkami jego kariery, gdyż do późnej starości († 1860) przeszedł wędrowną życiową wygodnie i bez wytężenia, ale odziedziczony może w spadku krwi po ojcu samobójcy. Nieplenny i niszczący ten zarodek smutku, trawiącej rozpaczy i ciasnego egoizmu, udzielił się licznym zwolennikom „frankfurckiego mędrca“, którzy z nauki jego przejęli tylko pogardę dla ludzkości i nienawiść, a nie uwzględnili, że pod potępieniem złego, ukrywa się uznanie dla cnoty.

Emil Zola i Paweł Bourget wywrą niezawodnie wpływ niepomierny na ostatnią generację XIX wieku, i to nietylko we Francji samej, ale wszędzie, gdzie ludzie myślą i czytają; lecz znaczną różnicę zaznacza p. Rod w skutkach i mierze ich działalności. Pomimo, iż nie może się oprzeć mimowolnej do Zoli sympatii, nazywa go „brutalnym malarzem nierządów społecznych“ (str. 74). Według niego, Zola jest moralistą z instynktu, a jednak ideę moralności niweczy; mieni się być przedstawicielem najgłówniejszym *naturalizmu*, a teoryom jego braknie prawdy i zgodności ścisłej z ową *naturą*, którą sobie za przewodniczkę obrał. Z powieści jego przebija, iż kształcił się na dziełach Klaudyusza Bernard, ale czytelnika przeprowadza przez tyle błota nim mu ukaże nagrodę, która ma cnotę uwieńczyć, lub karę, która w końcu występku ukarze — przytem złe jest u niego tak wyraźnie tylko skutkiem i następstwem dawnego złego, a dobre wynikiem sprzyjających okoliczności, bynajmniej zaś nie własną zasługą, że obrazy jego stanowią bardzo zgubną naukę dla umysłów, któreby w nich prawdę życiową czerpać chciały. Powieści Zoli o tyle tylko zgodne są z prawdą, o ile się oddalają od jego własnych dogmatów i teoryj „naukowych“ i pod tym tylko chyba względem posiadają pewną zaletę ścisłe literacką, że jako charakterystyczne owoce swej epoki, świadczyć będą wiernie u potomności o gustach i instynktach pewnej kategorii obecnej generacji.—Pomimo, iż autor okazuje daleko mniejszą sympatię dla Bourgeta, czytelnika mimowoli przejmuje wielki pociąg ku tej dziełnej, bystrej i czynnej inteligencji. Z pesymisty na modłę Renana, stał się Bourget autorem owej przedmowy do *Disciple*, w której zdaje się powracać do dawno opuszczonych, prawie już chrześcijańskich zasad. Przedmowa ta nie wstrzymała go jednak od napisania powieści samej, której niezdrowe i trujące analizowania naprawdę niejednego „ucznia“ niemoralności utworzą. Podczas gdy Zola talent swój poświęca odzwierciedleniu obyczajów dobrych czy złych (a prawie zawsze złych) bez psychologicznego ich umotywowania, Bourgeta nie odstępuje prawie nigdy idea wyższa, moralna, nawet religijna. Niepospolitą jest jego zasługą, iż myśl ludzką naprowadza na zagmatwane problemata życiowe, czytelników podnosi z poziomu materji, myśl ich usamodzielnia i wznosi, ostrzy rozum na kamieniu włas-

nej, wszystko rozumiejącej i najszersze horyzonty obejmującej inteligencji. Z drugiej jednak strony zestawienie to wypada na niekorzyść Bourgeta z tego względu, iż podczas gdy Zoli dobitne, surowe, pospolite opisy zepsucia wzbudzają tylko do niego odrazę, autor *Mensonges*, *Un coeur de femme* i przeróżnych innych *amours*, przebywając głównie w salonach, w boudoirach damskich i wyższych sferach towarzyskich, ubiera zgorzenie w tak urocze barwy, iż czytelnika pobiera pokusa czy przymrzążyć na tak pojętny występek i przebaczyć mu za cenę dobrego tonu i wytwornego obejścia jego bohaterów.

Do szkoły Bourgeta należy Juliusz Lemaître kierunkiem intelektualnym swego umysłu, ale wiarą, a raczej po części brakiem wiary zbliża się raczej do Renana. Niedawno zaś zmarły Edmund Scherer stoi już na rozdrożu dwóch prądów, negatywnego i dodatniego, i pesymista z usposobienia, *rozumowaniem* nawpół jeszcze jest sceptykiem, podczas gdy *rozumieniem* jest już prawie wierzącym. W długim szeregu artykułów do *Temps*, zebranych w 9 tomach jego: *Etudes sur la littérature contemporaine*, nie mogąc się zgodzić z doktrynami czasu, pomimo wrodzonej oglądy, ostro, gwałtownie prawie, piętnował on płody nowszej literatury we Francji. Baudelaire i szkoła „dekadentów“ służy przedewszystkiem za cel jego najkrwawszych pocisków. Jednak prace jego, może wskutek zbytnej surowości sądów, nie wywarły za życia autora wpływu, którego się po nich można było spodziewać.

Aleksander Dumas syn, jaśniejszą już sobie od poprzedników wytknął drogę, z większą odwagą na nią wstępuje i na pewne już szlaki naprowadza swoich czytelników. Walczy on z ustalonymi zasadami moralności, które od wieków rządzą społeczeństwem, a które ustanowione przez silnych, wymierzone są tylko i zawsze przeciwko słabym. Ale siłę do walki czerpie w samem uczuciu sprawiedliwości i słuszności, nie opierając się jeszcze na religii, ani na Bogu, w którego wierzy *tout bien que mal* (str. 202), ale, jeśli się tak wyrazić godzi, po dyletancku, dla zaspokojenia potrzeby swego serca — nie rozumu. Ztąd dzieła jego, ożywione w gruncie ideą moralną, nie osiągnęły celu, który sobie ich autor naznaczył, ale bez jego wiedzy i woli dowiodły raz jeszcze, że ludzkość nie może się ostać na zasadach *wolnej moralności*, że po za prawami uczciwości i sprawiedliwości musi przeczekać jakąś dźwignię silniejszą i bardziej niewzruszoną, myśl wieczną, słowem Boskiego prawodawcę swego.

Ferdynand Brunetière już otwarcie opiera się na tradycji i w przeciwstawieniu do nowożytnego ducha analizy i sceptycznego naturalizmu, powraca duchem do spuścizny, którą nam zostawił wiek XVII.

Pomimo, iż pana Rod zajmują głównie tylko pisarze francuscy i ślady, które pozostawili w umysłach współczesnych, je-

den z najciekawszych może ustępów swej książki poświęcił on hr. Leonowi Tołstojowi, jako wybitnemu „przedstawicielowi odrodzenia duchowego“, który ciesząc się niezmierną poczytnością we Francyi, wywiera ogromny wpływ na młodszą generację po świecie całym. Żeby ludzkość na drogę prawdy sprowadzić, nie powraca on jak Brunetiére wstecz, do wzorów dawno przebrzmiałych, ale przyjmując ludzkość taką, jaką ją nam przekazał postęp czasu, przykłada topór do korzenia, walczy przeciwko posadom złego i pragnąc odbudować społeczeństwo na całkiem nowych podwalinach, próbuje w sercach bliźnich zaszczerpić zasady moralności. Książki jego przedstawiając złe w całej jego ohydzie, posiadają jednak tę wyższość nad powieściami naturalistów, że to złe motywują i podają zarazem środki poprawy. Dumas chce reformować prawa społeczne — Tołstoj walczy wprost z namiętnościami, a dopełnieniem jego reformatorskiego dzieła jest życie, jakie wiedzie w Jasnej Polanie.

Ostatni szkic w tej ciekawej książce, maluje nam już kierunek pisarzy, opierających się otwarcie na religii Chrystusowej. E. Melchior de Vogüé na ich czele zrywa z tradycją obiektywizmu i z zasadą: sztuka dla sztuki, która rządziła ostatnią połową wieku, a pisarzowi nadaje szczytne posłannictwo kierownika dusz, missyonarza wiary i moralności.

Do owych pisarzy chrześcijańskich, których posiew daj Boże, aby zeszedł jaknajprędzej, policzyć możemy również i samego prof. Rod. Książka jego, ślicznym, łatwym językiem napisana, tak iż od niej oderwać się trudno, świadczy nietylko o żywej inteligencyi autora, ale i o jego zasadach prawie katolickich, które, może czasem nawet wbrew jego woli i wiedzy, w ciągu jego pracy na jaw występują. H.

— T. de Wyzewa: *Le mouvement socialiste en Europe. Les hommes et les idées.* (Paris, 1892 édit Perrin et Cie, 8vo. str. 283.) Bardzo wiele w naszych czasach napisano dzieł gruntownie naukowych o socyalizmie i o jego ewolucyi w Europie zachodniej, ale nikt jeszcze, jak się zdaje, kwestyi socyalnej nie studyował i nie przedstawił z punktu widzenia, obranego przez p. T. Wyzewę. Zajmowano się dotąd prawie wyłącznie doktrynami socyalistycznymi, ich abstrakcyjną etyką i wartością praktyczną, o ludziach zaś, którzy te doktryny wyznają, powiedziano tylko niewiele, wspomniano o nich zaledwo tu i owdzie mimochodem. Pierwszy p. Wyzewa odstąpił od tej metody. Trafnie zauważył on, że sprawa, która dziś powszechną na siebie zwraca uwagę, słowem kwestya socyalna, nie będzie znaną dokładnie i wszechstronnie dopóty, dopóki któryś z historyografów socyalizmu nie zaznajomi szerokiej publiczności z »charakterem, z usposobieniem z wychowaniem i z przekonaniem ludzi, kierujących ruchem, dążącym do przekształcenia ustroju społeczności.« W żadnem stronnictwie — pisze on — naczelnicy nie mają tyle wpływu, co

w obozie socjalistycznym. Tłumy, z którego składa się ten obóz, nie rozumieją teoryj abstrakcyjnych, słuchają więc intelligentniejszych jednostek, ufają im ślepo, postępują wedle ich wskazówek. Robotnicy stanowiący główny kontyngens sił socjalizmu, nie doktryn, ale ludzi są wyznawcami. Oto przykłady. Typografowie paryscy w samej rzeczy są »allemanistami«, jedynie dla tego, że p. Allemane trudni się typografią. Dla tych samych przyczyn mechanicy nadsekwańscy postępują według zasad zmarłego Joffrina. Górnicy i tkacze z północnych departamentów Francyi uznają Marksa poglądy, bo p. Guesde je uznaje, a p. Guesde wśród nich niegdyś machał kilofem. Gdy poeta-socjalista, Clement, zerwał z Guesde'm, aby przyłączyć się do stronnictwa Allemane'a, wszyscy prawie robotnicy, zamieszkali w dolinach ardeńskich, z kolektywistów stali się possybilistami. Słusznie tedy twierdzić można, że przeszłe losy socjalizmu nie tyle zależą od mniejszej lub większej wartości praktycznej jego doktryn, ile od zdolności i energii przywódców, którzy nadto uosabiają charakter kierunku przewrotu«.

P. Wyzewa więc nie bez celową przedsięwziął pracę, kreśląc portrety wybitniejszych osobistości obozu socjalistycznego. I rzeczywiście czytelnik z *Le mouvement socialiste en Europe*, dowiaduje się rzeczy, które krytyka teoretyczna pozostawiała w cieniu; są to zakulisowe szczegóły, nie dotyczące wielkich wytycznych zasad, za któremi wyłącznie śledziła dotychczas krytyka, szczegóły napozór blahe, a w rzeczy samej bardzo ważne, jak n. n. owo rozdzielenie się socjalistów na grupy i koterye, za działaniem szefów, nie różniących się w swoich przekonaniach, ale ulegających bardziej ludzkim pobudkom zazdrości, ambicji, chęci wywyższenia się kosztem kolegów.

Autor podzielił swoją pracę na cztery części. W pierwszej podał portrety przywódców socjalistów francuskich, w drugiej — niemieckich, w trzeciej — belgijskich, w czwartej — angielskich. Przy sposobności zaznaczył, jakie są w tych poszczególnych państwach rysy charakterystyczne socjalizmu, który nawiasem mówiąc pomimo celu napozór wspólnego kosmopolityzmowi sztucznemu, i mimo wspólności doktryn socjalistów, rozrzuconych po całym świecie, zachowuje wszędzie narodowe cechy i zewnętrzne strony.

Oto w głównych zarysach treść dzieła p. Wyzewy. We Francyi dwaj ludzie »reprezentują« dwa wielkie kierunki socjalistyczne, obok których widnieją liczne grupy mniejsze, prowadzone przez drobnych naczelników, których do działania na własną rękę pobudzają, jak już wyżej zaznaczyliśmy, nie różnice przekonań, ale względy natury politycznej. Pierwszym z tych ludzi jest pan Malon. »P. Malon, — powiada p. de Wyzewa, — w młodości zajmował niezaszczytny wcale urząd pastucha bydła na wsi. Nauczył się sam czytać i pisać, a następnie wielu innych rzeczy. Przybył za czasów drugiego cesarstwa do Paryża, gdzie pra-

cowal w farbiarni, a w chwilach wypoczynku pisywał poematy. Z czasem stał się figurą wybitną wśród robotników; założył pismo: *La revue socialiste*, chwycił za pióro, poświęcił się literaturze i dziennikarstwu. Wydał niedawno dzieło p. t. *Le socialisme intégral*, gdzie znajdziesz obok błędów gramatycznych wiele myśli rozsądnych, które trzeba dopiero wygrzebywać z pod nawału wiedzy encyklopedycznej i ideologicznych zapatrywań, nagromadzonych bez ładu w tej książce. P. Malon jest socjalistą umiarkowanym, tytułuje się on »possybilistą« (od wyrazu *possible*), bo zadowolnia się na razie żądaniem od społeczeństwa drobnych reform i ustępstw na rzecz proletaryatu, sądząc, że tym sposobem, powoli, bez wstrząśnienia dojdzie do idealnego stanu rzeczy, w którym, ma się rozumieć, własność prywatna nie istniałaby, a przynajmniej własność przemysłowa. Dobroduszny i uczciwy ten idealista nikomu źle nie życzy, więc kapitalistów chce wynagrodzić odszkodowaniem, a posiadaczy renty państwowej radzi pozbyć się drogą amortyzacji. Program p. Malon, podoba się nędzarzom francuskim, gdyż obiecuje im natychmiastowe korzyści. To też opuszczają dłoń tłumnie radykalistycznego i ponurego wodza kolektywistów francuskich, p. Guesde, który odmawia tych zdobyczy cząstkowych, wychodząc z tej zasady, że osłabiają one w proletaryacie chęć do walki. Zdaniem p. Guesde socjaliści powinni starać się obecnie jedynie o zagarnięcie władzy, aby potem mózdz społeczeństwu podyktować warunki. Udało mu się już owdadnąć Radą miejską paryżką, teraz oczy swoje zwraca ku Palais-Bourbon.

Brak miejsca zmusza nas zamilczeć o innych francuskich socjalistach, jak Lafargue, Vaillant, Allemane, Brousse i t. d. i odrazu przenieść się do Niemiec. W Niemczech dotąd wszechwładnie narodem socjalistycznym rządili Bebel i Liebknecht, ale odkąd weszli do Reichstagu na czele 34 innych, wiernych im druhów, spoczywają na laurach. Bezczylność ich, zniecierpliwiała już wielu wyborców, z których jedni odstąpili ich dla p. Wenera, drudzy skupili się około osoby p. Vollmara. Stronnictwo wernerowskie jest czysto rewolucyjnym; wierzy ono, że tylko drogą gwałtownego przewrotu zrealizują socjaliści swój ideal. Stronnictwo p. Vollmara twierdzi, że i przez akcyę parlamentarną można osiągnąć reformy znaczne w organizacji społecznej, ale że należy »chcieć« działać energicznie, o czem zdaje się zapominać, stary i walką zmęczony Bebel. Dowódzca tej grupy socjalistycznej jest jedną z najciekawszych postaci wśród socjalistów, którzy obfitują w figury oryginalne i typowe. Volmar pochodzi z starego rodu bawarskiego *freiherr'ów* von Vollmar. Jako oficer odbył kampanię francusko-pruską, z której kaleką na obydwie nogi powrócił. Porzuciwszy służbę wojskową, zerwał z arystokratycznym światem, do którego tak wychowaniem jak pochodzeniem należał, poszedł »w socjalisty« i w krótkim czasie na czele stronnictwa stanął. Wkrótce będzie on, jak się zdaje, panem 800.000

wyborców, którzy w r. 1889 oddali swe głosy kandydatom socjalistycznym.

W Belgii socjalizm wyróżnia się od francuskiego i niemieckiego wartością swoją i umiarkowaniem. Przez usta dwóch swych wodzów, Jana Volders i Ludwika Bertrand żąda od rządu zaprowadzenia powszechnego głosowania i popierania procesu przejścia własności przemysłowej z rąk kapitalistów w ręce stowarzyszeń robotniczych. W Gandawie p. Anseele jest raczej filantropem, niż socjalistą. Całego siebie poświęcił rozwojowi, założonego swojemi funduszami stowarzyszenia konsumpcyjnego i t. zw. »domu ludowego«, który jest rodzajem kasyna robotniczego. W Anglii zdaniem p. Wyzewy, socjalizm w ścisłym tego słowa znaczeniu nie istnieje. Zastępują go sekty religijne. Z socjalistów prawdziwych wymienić należy p. Morris'a, fabrykanta dywanów, mecenas sztuki, poetę, »najbardziej natchnionego i najzdolniejszego dziś w Anglii artystę«, powiada p. de Wyzewa, ideologa przytem, jakich mało.

Żałujemy, że nie możemy szczegółowo żadnego z »portretów« p. Wyzewy tutaj przedłożyć, co zbyt dużo zabrałoby miejsca, gdyż autor starannie cieniuje swoje szkice, nie opuszcza żadnych szczegółów, które mogą przydać mu się do scharakteryzowania jego bohaterów. Trzeba nam było zadowolnić się określeniem planu pracy naszego ziomka, chcąc zwrócić na nią uwagę czytelników, którzy niewątpliwie samą książkę: *Le mouvement socialiste en Europe* zapragną poznać po przeczytaniu tej krótkiej wzmianki. Nie pożałujaj zaś tego, bo książkę p. Wyzewy czyta się, jak powieść, a z większym niż ze stu powieści pożytkiem. »Wśród całego steku wydawnictw, które leżą na moim stole, — powiada w jednej ze swoich kronik paryski dziennikarz, Felicjan Champ-saur — zaledwie dwie odkładam na bok, a resztę wrzucam do kominka. Jedną z tych faworyzowanych książek jest właśnie: *Le mouvement socialiste en Europe*, p. T. Wyzewy. Na zakończenie pragniemy ostrzedz przyszłych p. Wyzewy czytelników przed złudzeniem, jakiemu uległby mogli, przerzucając jego ciekawą książkę. P. de Wyzewa odzywa się zwykle o ludziach, których opisuje, tak, jakby godził się z ich dążeniami, jakby pochwalał ich postępowanie, słowem, jakby był sam socjalistą. Socjalistą jednak nie jest, a jeżeli sympatycznie przedstawia socjalistycznych naczelników, to jedynie dlatego, że szanuje w nich przekonania błędne może, ale podyktowane nieraz humanitaryzmem i chęcią poprawienia stosunków wadliwych, panujących obecnie na świecie. P. Wyzewa nie tylko nie jest socjalistą, ale nawet nie zalicza się do tych ponurych pessimistów, którzy przepowiadają światu kataklizm, wywołany zbrojnym powstaniem mas, kataklizm, który tysiącletnią przeszłość cywilizację ma zdruzgotać, niby trzęsienie ziemi. Wedle niego socjalizm nie ma przyszłości; może on »niepokoić ludzkość«, ale nie poruszy jej z posad.

Socjaliści umieją doskonale organizować się, ale popadają w bezczynność, skoro tylko nadchodzi chwila stósowna do zrealizowania dezyderatów swoich. Dowodem Bebel i Liebknecht w Niemczech, a we Franeyi żalosne losy socyalistów od stu lat.

M. M.

### Z literatury powieściowej.

— *The witch of Prague*, by F. Marion Crawford. (1891). —

Doczytując się powyższego tytułu, mniemaliśmy, że nas autor cofnie w czasy Husytów, w wieki ciemnoty i zabobonu, kiedy wierzono jeszcze w czarownice i wiedziono takowe na stos i rusztowanie. Tymczasem dziwna ta powieść raczej wkracza w wiek XX, aniżeliby miała dawniejsze odzwierciedlać dzieje, a wysnutą jest z chorobliwych, pseudo-naukowych zakus i objawów psychicznych, zarażających społeczność nowoczesną, bodaj straszniejszymi zabobonami od tych, które nas w minionych rażą wiekach. Szczególny-bo pociąg ma obecnie angielska literatura do uprawiania szlaków nadzwyczajności, przechodzącej granicę prawdopodobieństwa. Znikła gdzieś równowaga i miara umysłów albiońskich, a w tych głowach, napozór wystudzonych, kotłuje fantazyja do czerwoności rozpalona. Dość przypomnieć dziwaczne utwory Stevensona, Ridder-Haggarda i innych koryfeuszów osobnego w literaturze prądu. Obecnie i pełen wdzięku biograf rodziny *Saracinesków* przerzuca się na tory fantasmagoryj, wprawionych w sztuczne ramy przypuszczalnej możliwości.

Tyle już odkryć i wynalazków odmieniło nadspodziewanie dotychczasowe warunki życia, tyle cudów pod naszymi dzieje się oczyma, o których się naszym ojcom nie śniło, że czemużby stawiać granice rozbujającym nadziejom, niezem nie spętany podbojom ludzkiego postępu i wiedzy? Czemu nie przypuszczać, że ostatecznie i termin śmierci da się w nieskończoność przewlec, że nauka zdoła opanować wszystkie prawa natury i utrzymać iskry życiową w odnowionych organizmach samychże starców? Pewien uczony oryginał poświęca życie temu zagadnieniu, i to bynajmniej nie z ogólnej żądzy wyświadczenia dobroczynnej usługi ludzkości, lecz z czysto samolubnych pobudek zachowania sobie samemu bodaj przecenionego skarbu życia i wyproszenia się od śmierci. Pomyślny zbieg okoliczności ułatwia mu uczone eksperymenta i dociekania. Wpada na domysł, iż byle jakimkolwiek sposobem zażegnać chwilę ostatecznego rozkładu i naznaczony moment śmierci przeżyć bezpiecznie, sprawa zostałaby w połowie wygraną. Hipnotyczne uśpienie, wstrzymując stopniowanie fizycznego zniszczenia, wydaje mu się być najpewniejszym środkiem ochronnym, Byle przespać złą godzinę i w niej nie wyzionąć ducha, można liczyć na całe następstwo lat i drugi peryod zatrzymanego tym sposobem życia, silniejszego stokroć, bo dziedziczącego spadek za-

skarbionych tym razem zasobów roztropności, doświadczenia i tęgości. Zostawiony własnym próbom i usiłowaniom, Keyork Arabian możeby do niczego nie doszedł. Ale napotyka on niezwykle na swej drodze sprzymierzeńców i wyjątkowe narzędzia zamierzonych eksperymentów. *The witch of Prague*, to czarodziejka raczej, nie czarownica żadna. Młoda, piękna, bogata, o zagadkowym pochodzeniu i obliczu napiętnowanem dziwnym wyrazem nierównych barwą oczu, *Unorna* posiada w najwyższym stopniu siłę magnetyczną, hipnotyzuje spojrzeniem, dotknięciem ręki, dochodzi do cudownych i nadzwyczajnych rezultatów, jakie Keyork postanawia zużytkować ku swym celom, próbując skutków swej metody na sędziwym mędrca, który złamany życiem i zawodami, jako żebrak został przyciągnięty pod dach bogatej pani, a teraz, jej sztuką uspiiony, staraniami rozropnej higieny i medycyny przemyślnie otoczony, rośnie w siłę i mądrość, dojrzewającą w sennej odpocznieniu. Keyork cieszy się już uwieńczeniem swego odkrycia, obmyśla tylko środki ożywienia i odrodzenia przetrzymanego za graniczne słupy życia człowieka, gdy wtem odwieczny czynnik, który i Troję zgubił i występuje zwycięsko we wszystkich ludzkich sprawach i zabiegach, mać plany wspólnie dotąd przeprowadzane. Zachodzi do Unorny »Wędrowiec miłości«, *the Wanderer*, nie inaczej w powieści nazwany, bo odkąd utracił ukochaną Beatryx, nie spoczął już nigdy, obiegając miasta i sioła w nadziei odnalezienia wydartego sobie ideału. Unorna odrazu całą namiętną duszą przywiązuje się do nieznanego, ale wraz spostrzega, iż cały zatopiony w umiłowanem wspomnieniu, nigdy mu się nie sprzeniewierzy, nigdy nowego nie ukocha przedmiotu, wiecznie tęskniąc za niezapomnianą Beatryx. W zapamiętaniu miłości i rozpacz, Unorna ucieka się do ciemnych praktyk swego rzemiosła, i suggestyą, snem hipnotycznym, zaciera zupełnie pamięć Beatryxy w sercu Wędrowca. Ale wraz i wszelką zdolność gorętszego uczucia duszy jego odejmuje. Nie wspomina on już utraconej, lecz jednocześnie wszystkie czulsze i tkliwsze struny w duszy jego głuchną i milkną niepowrotnie. Posuwając się coraz dalej na drodze fałszu i sztuczek hipnotycznych, Unorna w szale swym próbuje suggestyi, która Wędrowcowi daje złudzenie, iż ona to jest utraconą, umiłowaną Beatryx. Zupełne powodzenie uwieńcza ten podstęp nikczemny. Zimny dotąd dla czarodziejki Wędrowiec, najczulszemi nazywa ją wyrazami, mnoży zakłęcia i pieszczoty, i tak dokładnie rozpoznaje dawną Beatryx w Unornie, iż nawet płomieniejące włosy tej ostatniej, w oczach jego zaćmionych kruczemi mu się być zdają. Niby więc Unorna stanęła u szczytu żądź i marzeń, wsłuchując się w zakochane wyznania umiłowanego. Tymczasem ta właśnie próba łamie budowę fałszu i podstepu. Kochać, a być kochaną w pożyczanej szacie i charakterze, nie dla siebie, lecz za inną, oto, co druzgoce pychę Unorny. Nie raz już, w szale swym narażała starego i sennego swego pensyo-

narza na gorączkę i podkopujące całe rusztowanie rozpoczętego eksperymentu wzruszenia, zadając mu pytania, wymagające wysiłek jasnowidzenia. I teraz oto do niego się ucieka w ducha zamęcie i rozstroju, po niedoszłych zbrodniach, do których się uprzednio z chłodnem wyrachowaniem zabrała. Ale snadź próba się udała, termin śmierci minął, a odrodzony i obudzony mędrzec, w powadze patriarchy zstępuje, aby Unornie prawą wskazywać drogę, odsunąć zmyry senne i połączenie Wędrowca z prawdziwą Beatryxą sprowadzić. Cóż, że Unornie serce przytem pęknie? wszystko lepszem, aniżeli źle czynić i błędzić. Z jej zgonem rozwiewają się nadzieje Keyorka, ożywione pomyslnym obrotem pierwszego eksperymentu, który wszakże przedwcześnie przerwany, bodaj trwale wyda skutki.

Szkielec to powieści tak niesłychanie fantastycznej, że się nieraz w głowie kręci pomięszaniem nadprzyrodzonych zjawisk z przyrodzonymi warunkami życia. Pewna sprzeczność zachodzi między założeniem, biorącym niby naseryo możliwość teoryi Keorka, a ogólną tendencją powieści, wskazującej na całą grozę duchowej zależności i dusznej niewoli, w jaką popadają ofiary hipnotycznej sugestyi. Wśród nadzwyczajnych epizodów opowiadania, wspomnijmy dzieje pięknego Izraelity, którego Keyork z pomocą Unorny usypia, aby transfuzją młodej krwi śpiącego odmłodzić starca. Sugestia południowej podróży opanowuje tak zupełnie Izraela Kafkę, iż pewien jest, że obiegł Włochy całe, i że tam porażony słońcem, przez niezręcznego felczera został o wielką utratę krwi przywieziony, czem się tłómaczy obecne jego osłabienie. A przez ten cały miesiąc mniemanej wędrówki, spoczywał on uśpiony w domu Unorny, dla ułatwienia zamierzonego eksperymentu. Straszne są karty męczeństwa Symona Abelesa, neofity niegdyś przez żydów zamordowanego w Pradze, a ściśle historyczne, jak zaręcza autor. W mściwem wyrachowaniu Unorna, Izraela Kafkę identyfikuje w sennem uśpieniu z męczennikiem chrześcijańskim, kładzie mu w usta wyznania wiary, aż do krwi rozlewu. Zbudzony i przypadkiem o tem powiadomiony młodzieńiec, darować gotów czarodziejce wszystko, nawet pomiatanie jego miłością, ale nie daruje jej sponiewierania jego fanatycznych przekonań religijnych, i na życie jej godzi. A tymczasem ona sama nietylko życie, lecz i duszę radaby zniszczyć, zgładzić na wieki w znienawidzonej rywalce, znów walcząc straszną bronią sugestyi, aby ją do ostatecznej, najstraszliwszej doprowadzić zbrodni. Święci Aniołowie czuwają nad niewinną Beatryx i ocalają od zasadzek Unorny, w której uderza dość zresztą częste, choć sprzeczne zespolenie mętnej religijności z zabobonami objawów magnetycznych i praktyk hipnotycznych. Wspomnijmy tu np. piękny obraz zbudzenia się uśpionego sumienia w czarodziejce, gdy zakonnice w chórze zawodzą pieśń wieczną: *Te lucis ante terminum*, i wszystkie słowa hymnu, jak wraz potępiać się zdają praktyki hipnotyczne:

Procul recedant somnia  
Et noctium phantasmata...

Nieraz głębsza myśl filozoficzna błysnie w toku opowiadania; znalazło się miejsce i na zachwycające opisy, a biegły artysta, który tak umiejętnie i pięknie potrafił odwzorowywać stosunki i krajobrazy włoskie, niemniej trafnie oddał północny, tajemniczy pomrok historycznego miasta, dodając na jednym miejscu, iż przebywanie w stolicach, pełnych dawnych pamiątek i zabytków przeszłości, działa odmładzająco, choćby porównaniem wieku głazów i murów z latami ludzi dzisiejszych.

Ciekawa ta próba i powieść ma swą dodatnią stronę i zacią tendencyę, wykazaniem strasznych niebezpieczeństw i zbrodni hipnotyzmu w ostatecznem takowego zastosowaniu. Ale stanowczo znalazło się tu nadużycie fantastyczności i czytelnik ze znudzeniem zamyka książkę, która zarazem i uwagę męczy, i za nerwy szarpie, i gmatwa jasność myśli, a jednak zajmuje i przyciąga, nietylko misternem opracowaniem, lecz i samymże przedmiotem, narzucającym się w chwili obecnej, która raz więcej sprawdza słusność orzeczenia francuskiego myśliciela: *L'homme n'est pas naturellement impie, mais il est essentiellement idolâtre*. Im więcej gaśnie wiara, znika religia, słabnie pobożność, ginie chrześcijaństwo na ziemi, tem częstsze rodzą się bałwochwaltwa i rośnie zastęp fałszywych proroków, poczet złudnych kierunków i mamidel, błędnych gwiazd i ognistych miraży.

N.

— *The phantom Rickshaw and other Stories*, by Rudyard Kipling. («The English Library» — 1891). — Już na tem miejscu zdawaliśmy niedawno sprawę z najgłośniejszej dotąd powieści młodego a obiecującego autora, w którym krytyka angielska upatruje nowego Dickensa. Byłby to jednak całkiem odmienny Dickens, o indyjskiej przymieszce, dodającej oryginalności jego utworom, które trudno przysłoby nieraz dokładnie zrozumieć bez uprzedniego przygotowania się do ich czytania wertowaniem podróży po Indyach, takich, jak wędrówki barona Hübnera, zapiski Lady Dufferin, albo i wrażenia hr. Karola Lanckorońskiego, który nawet w Lahore wspomina mile spotkanie z tamecznym dyrektorem muzeum i szkoły sztuk pięknych, »zachwycającym staruszką, pełnym zapału dla swego zawodu, panem Kipling«. Jestto zapewne ojciec niepospolitego powieściopisarza, hr. Lanckoroński dodaje zaś o nim, iż uczniem był rzeźbiarza francuskiego Carrier-Belleuse, a wraz i malarstwo uprawia. Artystyczny pierwiastek po rodzicu spadkiem otrzymany, znaczy się i w powieściach syna, Rudyarda Kiplinga. Wkracza on fantazyą w dwa światy równo zakłète, Wschodu i sztuki, co jego utworom dodaje coś z tej woni egzotycznej, tak uwydatnionej w niektórych pisarzach nowego świata. A wszakże i Bret-Harte'a nieraz nazwano kalifornijskim Dickensem.

P. Rudyard Kipling tembardziej za to zaszczytne przy-

równanie zasługuje, iż rozumie wybornie dziecięce niedole, rozkosze i zachcianki, a niniejszy tomik, z luźnych złożony nowellek, najświetniejszych nam tego dostarcza przykładów, zwłaszcza w opowiadaniu zatytułowanem: *His majesty the King*. Tym królem w domu, to dziecię, zrazu z swego majestatu ogołocone i stracone głuchą niechęcią, która rodziców jego rozdziela. Jakiś list kobiecy, znaleziony w papierach małżonka, wysokiego w Indyach urzędnika, starczył, aby trwała i szaloną zazdrość wzbudzić w żonie, która z swej zgryzoty i żalu urabia sobie bóstwo domowe, w głębokości zgorzkniałego serca czczona i pieszczona. Ztąd niema już pieszczot dla dziecka swego, a wraz i ojciec stroni od domu, gdzie go czeka tylko chłód i pełne niemego wyrzutu spojrzenie. Chłopczyk rośnie tedy w opuszczeniu i samotności, na łasce bony. A tak marzy o uścisku matki, o zabawie u stóp ojca! Ale ten, wiecznie zajęty, a matka warem rozrywek światowych unieść się daje, aby zapomnieć a bodaj i pomścić swą urazę. Raz malec znajduje na stole dopieroco przyniesioną paczkę, i z chęci przywłaszczenia sobie sznurka, dociera do zawartości, brylantowej gwiazdy, która go zachwyca. Gdyby ją nosić na czole, świetlaną uwieńczyć się koroną? a potem przyznać się i oddać. Pokusa na razie zbyt silna. Acz chłopczyk wie, jak źle jest sięgać po nieswoje rzeczy, ukrywa on chyba z nieba spadłą gwiazdeczkę, i trzy tygodnie z rządu walczy z sumieniem, z grozą, że pójdzie do więzienia jak pospolity złodziej. Zaleknienie i niepokój w końcu nabawiają go silnej gorączki; rodzice spotykają się przy łóżeczku chorego dziecka, które wybucha wyznaniem — i z pod najróżnorodniejszych skarbów swoich wydobywa gwiazdkę, owiniętą w ćwiartkę listowego papieru. Na tej ćwiartce obca ręka wypisała: „Jeśli tę gwiazdę jutro do czoła przypniesz, dowiem się ztąd czego się spodziewać mogę.« Mąż czyta ową tyle znaczącą kartkę, przed trzema tygodniami napisaną; szept łkającej u węgłowia kobiety coś mówi, coś tłómaczy, na co głos męski głuchym stłumionym odpowiada dźwiękiem: »Alboż tak daleko cie uniosła chęć odwetu i zemsty? Chyba teraz między nami kwita. Dajmy pokój urojonym żalom, czyż warto sobie niemi psuć i zatruwać życie?« Łączą się dłonie skłóconych, łączą serca rozłączonych, nad łóżeczkiem chorego dziecięcia, które wraca do życia i zdrowia w przemienionym jakoby świecie, w atmosferze pieszczot i miłości. Skutek ten popełnionej zbrodni, chyba w nim pomiesza wszelkie pojęcia moralności. Chłopczyk przywłaszczył sobie gwiazdkę brylantową, dopuścił się haniebnego czynu, i oto w nagrodę posiadł serca rodziców! Niepodobna atoli streścić głębokiego patosu tej prostej opowieści, która tu kilka innych posiadała siostrę naprzód w nowelli *The drums of the Fore and Aft*, umieszczonej już w *Revue des deux Mondes* w numerze z 1 Grudnia r. 1891. w tłómaczeniu francuskim p. t.; *Deus petits tambours*. Jestto historia dwóch małych doboszów pułku tracącego

serce, wobec pierwszego starcia z dzikimi Afganami; pulk ten wraca do ataku pod wpływem rycerskich dźwięków bębna i piszczałki. Po odniesionem zwycięstwie, wódz angielski swojej taktyce przypisuje tryumf, choć cała ztąd zasługa raczej przypada na karb tych dwojga bohaterskich dzieci, złożonych po bitwie w żołnierskiej mogile, które szły naprzód i przed frontem padły, zagrzwawszy słabnącego ducha starszych współtowarzyszów.—Następnie jeszcze do tego cyklu dziecięcych sylwetek, należy *Wee Willie Winkie*, wdzięczna historia synka pułkownika, który jest kochaniem oficerów i żołnierzy, i w swej przedwczesnej rycerskości, na kucyku dogania amazonkę, która się za linie bezpieczeństwa wysunęła, narażając się na zasadzki wrogich Afganów, i z dzielnością małego bohatera stawia czoło dzikim Azyatom w obronie piękności. Niezwykłe te stosunki, pozwalają zmierzyć wpływ ich hartowny na wyrobienie charakterów, na kształtowanie zdrowia i woli w dzieciach Albionu, rozsypanych w jej dalekich koloniach.

Ale jeśli nowelki o dzieciach, rzewnością i misternością obserwacyi przypominają nam kreacye mistrza rodzaju, który stworzył całą galeryę typów dziecięcych w *Copperfieldzie*, w *Nicholas Nickleby*, w *Little Dorrit*, główną wartość niniejszego tomiku stanowią fantasmagorye początku, z taką opisaną grozą, że nawet najmniej nerwowy czytelnik bez dreszczów nie potrafi dokończyć kilku wstępnych opowiadań. P. Kipling wspomina, iż żyjąc w krainie słynącej z duchów i strachów, do każdej bodaj w Indyach miejscowości przywiązanych, daremnie zawsze uganiał za osobistem z niemi zetknięciem i osobistem też doświadczeniem. Raz tylko mniemał, iż nareszcie mu się posiąść udało na własną rękę nadzwyczajną przygodę z duchami. W samotnem, rządowem *bungalow* przez całą noc spać mu nie dają odgłosy gry bilardowej, toczącej się w przyległej izbie; słyszy uderzenia kijów, trącanie kul, i wszystkie odgłosy ożywionej partyi. Grozę jego potęguje zarządca stacyi, opowiadający, iż tu niegdyś istniała przemurowana dziś sala bilardowa, że inżynierowie budujący miejscową kolej część nocy spędzali na zgrywaniu się wzajemnem, i że nawet jeden z nich nagle wśród zabawy życie tu zakończył. Niestety! po nocy pełnej lęku i grozy, rankiem przekonać się dowodnie podróznikowi przychodzi, iż te wszystkie nadprzyrodzone odgłosy wytłómaczyć należało pościgiem goniących się po pustej izbie szczurów, i miarowemi uderzeniami storów o niedomknięte okna! Rozczarowanie następuje zupełne, a wraz nie nowe spostrzeżenie, iż nigdy z pierwszej ręki nie przychodzi odebrać opowieści o duchach, zawsze ją raczej trzecia osoba podaje.

Na razie p. Kipling występuje w tym pośrednim charakterze, gromadząc kilka nadzwyczajnych faktów, które się chyba gorączką, indyjskim klimatem sprawiona, wytłómaczyć dają. Tytułowa nowelka *The phantom Rickshaw* opowiada dzieje młodego urzędnika czy oficera, który zaręczywszy się z młodą *miss*,

zrywa dawniejsze a przelotne węzły serdeczne, powodując tem śmierć kochającej a nie kochanej już kobiety. Zaledwie umarła, niknie spokój i szczęście młodzieńca. Ilekroć bowiem konno z nową narzeczoną wyjedzie, wiecznie mu zachodzi drogę *rickshaw* jego ofiary, indyjski wehikuł, otoczony służbą w liberyi dobrze mu znanej. Zjawisko to istotne czy ułudne, zatruwa życie młodego Anglika, sprowadza zerwanie z narzeczoną, a doprowadza go do tak straszego wytrącenia z rzeczywistego świata, iż odtąd stale towarzysząc po modnych spacerach w Simla, dawnej, opuszczonej a wracającej z za świata kochance, zatracą świadomość graicy dwóch światów; owszem, zdaje mu się, iż tylko on i pojawiająca się, aby go dręczyć, nieboszczka, są realnemi postaciami, a reszta ludzi duchami tylko i ułudnemi zjawiskami. Trudno oddać całą okropność tej pogrobowej zemsty i pokuty, wiodącej do ostatecznego postradania zmysłów i zdrowia. — Niemniej bujna fantastyczność prześwieca w opowiadaniu niejakiego *Juke Morrowbie*, który także w przystępie gorączki, tłómaczącej wiele, odkrył osadę »niedomarłych«, rzekomo właściwą Indyom instytucyę. Gdy tam cholera wybuchnie, coprędzej grzebią trupów, nie sprawdzwszy nawet ażali w nich iskra życia nie tleje. Nieraz nieboszczyk zdradza jeszcze ostatek technienia, zaczem coprędzej zatykają mu usta mułem, aby koniec przyspieszyć i urzędowego podania śmierci nie narażać na konieczność cofnięcia. Bywają atoli oporniejsi, którzy umrzeć żadną miarą nie chcą, a że nie wolno im wracać już do świata żyjących, straceni bywają do lejkowatej otchłani w nadbrzeżnych piaskach, zkad ich już żadna ludzka nie wydobędzie siła, i gdzie się ich marne życie wlece w nieskończoność, utrwalone peryodycznem dostarczaniem żywności ludzkiej trzodzie »niedomarłych«. *Juke Morrowbie* pędząc konno po równinie, wpada poniewolnie do takiej osady wytrąconych z życia nieszczęśliwych, opisując całą grozę tych żywych - nieżywych, pogrzebanych przedśmiertnie i w grobowem niemal wygnaniu i więzieniu swoim, chowających jeszcze w samychże granicach tej zacieśnionej krainy cieniów śmierci, wileże skłonności walczących o byt zapasników życia. Istną nocną zmorą to straszliwe opowiadanie i straszniejsze jeszcze a stokroć mniej jasne, następne, które już chyba tylko znawca dokładny Indyj zrozumieć potrafi. Mnóstwo pomniejszych rysów i wyrażeń uchodzi bystrości powszedniego a nieobyłego z miejscowemi stosunkami i nerwami czytelnika, który wszelako obok rozrywki, nabiera w toku książki dokładniejszego stokroć wyobrażenia o tych dalekich kresach Brytańskiego państwa, aniżeliby go zdobył wertowaniem najuczeńszych dzieł etnograficznych i podróży. A zarazem autor podnosi wciąż ów węzeł tajemny, łączący ziomek na obczyźnie, ową miłość, która się pod wpływem tęsknoty kształtuje i rozwija »I tak up. p. R. przed kilkunastu laty na dwa dni przybywa w odwiedziny do pana P. Wbrew zamiarowi, skutkiem napadu gorączki, p. R. zosta-

je u p. P. przez całe sześć tygodni, przewraca mu do góry nogami cały porządek domowy, przeszkadza mu w pracy i zajęciach, i nieledwie w łóżku pana P. umiera. Ktoby myślał, iż od-tąd pan P. czuje się zobowiązany do dożywotniej względem pa-na R. wdzięczności, corocznie składając jej dowody, choćby tylko przesyłaniem sutej kolendy dzieciom tego ostatniego! Taksamo wszędy się dzieje. Ludzie, którzy nie tają, iż ciebie mają za skoń-czonego osła, kobiety, które cię oczerniają i wymyślają przeciw twej żonie, gotowi wszyscy na śmierć się zamęczyć w twej usłu-dze, jeśli cię bieda lub choroba przyciśnie.»

Niewiadomo jeszcze, jak się rozwinię świtający od wscho-du talent, ale poznane już onego próby i płody stwierdzają i uspra-wiedliwiają niezawodnie sypane mu zachęty przez najsurowszą nawet, zwłaszcza wobec utworów wyobraźni, krytykę angielską.

N.

— Hermann Sudermann: *Frau Sorge*. (Verlag von Lehmann, Berlin 1892). — Ta *Frau Sorge*, o imieniu z ostatnich scen drugiej części *Fausta* zapożyczonem, »pani troska,« to bar-dzo okrutna i niemilosierna władczyni; nad kolebką biednego dziecka stanęła i zabrała mu serce, jak waż się tam wśliznęła, zatrutym oddechem niszcząc wszystko, co jasnego daje młodość, troskliwie stróżując nad tem, by chrzestne jej dziecko nie zaznało przypadkiem chwili szczęścia. A cóż ten niewolnik, któremu skrę-powała już nie ciało, ale wszystkie władze duszy, mówi? Oto poddaje się z martwą rezygnacją w jej panowanie. »Tacy ludzie jak my, muszą dobrowolnie zrzec się szczęścia; nawet gdy jest blisko, nie widzą go — coś szarego stanie zawsze między nimi, a szczęściem; jedyne, co w mocy ich jest, to czuwać nad szczęś-ciem innych i nad tem, by im jak najlepiej szło.« — »Ależ ja chcę być także trochę szczęśliwym« — usiłuje się bronić bohater. Da-remno! troska oprzędła już tak ową biedną duszę, że nawet w chwili zastoju nieszczęść, wnet sobie ona wyszukuje jakiś po-wód do lęku, do trwogi, do troski... Żywioł smutku wewnętrz-nego jest jedynym, w którym żyć umie. Oto tło i barwa naj-nowszej powieści głośnego już dziś Hermanna Sudermann'a, który zrobił sobie sławę swemi studjami z socyalnego życia Berlina, a i u nas stał się już znanym z kilku sztuk, przedsta-wianych w tłómaczeniu w teatrach polskich. Cokolwiek o tych utworach sądzić przyjdzie, w każdym razie przyznać należy, że je stworzył niepomierny talent najnowszego pokroju, a choć zda-nia krytyki, wyrzucającej niezdrową atmosferę *Honoru* i niezdrową tendencję kierunku, w którym zdolny pisarz pracuje, choć dramat *Sodoms Ende* nieledwie upadł na deskach w Berlinie — mimo to jednak, Sudermann imię sobie już zrobił i liczyć się z nim trzeba. Z tem też większą skwapliwością i my nową *Frau Sorge* poznać pragnęliśmy.

Otóż powieść ta, smutna, powolna i chyba pozbawiona

najzupelniej warunków, by ją brać za rozrywkę, jest przedewszystkiem charakterystycznym objawem owego specjalnego u Niemców daru zagłębiania się w codzienność szarą i zwyczajną: Sudermann ze zdolnością niezwykłą biegłego i cierpliwego obserwatora, napisał *Frau Sorge*, dając tą powieścią swą nowy dokument do owych wszystkich materyałów, jakie już mamy dla poznania najnowszych dusz, bezgranicznie smutnych, pozbawionych słodkiego błogosławieństwa nadziei. Nie silił się na wyszukanie sztucznych i niezwykłych ram, nie pociągały go ani awanturnicze przygody światowych pesymistów, ani szukał bohatera między ludźmi, którym wykształcenie dało w rękę niebezpieczny skalpel analizy, bezużytecznie własne »ja« męczącej. *Pani Troska*, ta szara, smutna wróżka, znalazła ofiarę w zubożałym domu farmera; maly Paweł otworzył oczy w chwili, gdy rodzice jego z własnej winy muszą porzucić stary dom ojców, przesiedlić się na zwykłą gospodę wieśniaczą. Cień tej gorzkiej godziny stał się przekleństwem dziecka; nie zazna ono już nigdy w swych naiwnych prostych radościach niezamąconego spokoju; bawiąc się, nie umie włożyć w zabawę całej duszy, hałasować i psoty urządzać jak bracia, bez względu na gniew ojca i lzy matki. Z przedziwną delikatnością umiał Sudermann te wszystkie rysy wewnętrznego charakteru uchwycić w dziecku, umiał rósć z niem; a te mikroskopijne smutki, powoli się zmieniające z bezwiednych na świadome, te małe chwile szczęścia, witane z nieufnością, bo towarzyszy im przecucie troski — owo dążenie, owa tęsknota do czegoś, coby zappełniło otchłań duchową, nasyciło głód światła i głód szczęścia — wszystko to oddane po mistrzowsku. W Pawle Meyerhoferze każdy widzi tylko poczciwego, spokojnego i dość smutnego chłopca; uznają wszyscy jego sumiennosc, punktualnosc w pracy; z laskawie protekcyjną twarzą, bo ten wytrwały pracownik nie umie odrobinką blagi, niby światłem bengalskiem, olśnić i wyrzucić wrażenia. Jedna matka, nieszczęśliwa, zamęczona kobieta, której *Frau Sorge* wypila wszystką odwagę i wiarę w życie, odczuwa wartosc moralną swego ukochanego Pawła; ale ani ona, ani on nie wdają się w zrozumienie własnych dusz. Że Paweł mimo braku wykształcenia na subtelniejszy umysł od braci, obdarzonych patentami, że mimo kurzu i znoju codziennej prostej pracy, jest o niebo wyższym od swych towarzyszy, to rozumie tylko towarzyszka jego lat dziecinnych. I ją nawiedziła *Frau Sorge*, i w długich trwogach o życie ubóstwianej matki Elżbieta dojrzała, a sercem przejrzała skorupę świetnego blichtru, ucząc się nie brać pozorów, tylko pragnąć treści. Sercem odczuła, tak jak i matka Pawła, wartosc moralną tego wytrwałego pracownika; kobiety mają mniej zdolności zrozumienia ludzi przez bystrą obserwację, przez chłodne i bezstronne badanie, ale jeżeli nie umieją analizować, to Opatrzność obdarzyła je pewnym instynktem, który, jeżeli nie jest rozmyslnie skrzywiony, da zawsze odczuć szlachetnosc i wyższość

moralną. Tak i w Sudermanna powieści się dzieje, gdy tylko dwie kobiety na prawdę oddają cześć szlachetnym pobudkom, jakie kierują każdym czynem Pawła. One rozumieją bezinteresowną jego ofiarność, oślanie siebie samego dla dobra innych, bez rachunku i względów; świat, opinia otacza Pawła swem uznaniem dopiero wtedy, gdy powodzenie przyszło i ozłociło jego pracę. Ale znowu świat i opinia odwróca się od niego, gdy sam zniszczy pracę swą i weźmie na swe barki nieszczęście i karę, by od wstydu i hańby uchronić ojca, a tylko znowu serce kochającej kobiety zostanie mu wierne i zapragnie stać się nagrodą temu, którego tak *Frau Sorge* pilnie strzegła. Czy potrafi uwolnić go z jej rąk? wątpimy. Dużo może wierne serce, ale miłość nie zawsze potrafi zażegnać nieszczęście, uwolnić od klątwy przeszłości ukochaną istotę. To nie w jej mocy. Taka dusza, jak dusza Pawła, zawsze będzie się smucić — to los, który sobie przyniosła na ziemię.

Sudermann wykazał aż nadto dobrze, że ten czynnik wewnętrznej troski wrodzonym bywa, i nie ogranicza się na pałacach, lecz wchodzi i do chat, i do boleści ubóstwa, głodu, dołącza przejmujący brak duchowej radości. To jest już choroba, z którą się rodzi człowiek i która nęka go i dręczy zawsze; czasem przycicha na chwilę w obec pogodnych dni, ale minotego gdzieś przyczajona na dnie duszy wypełźnie w chwili, gdy się o niej zapomina, i z błahego słowa, z drobnej niezręczności, jaką się popełniło, czyni sobie narzędzie tortury wewnętrznej. *Frau Sorge* wygrzebuje z przeszłości wszystko, co może boleć, czyha nad tem, by się nie zagoiły rany, by przyszłość, pozbawiona nadziei, zostawała jak straszne widziadło podczas bezsennych nocy — i biedny, umęczony trwogą bezpodstawną człowiek lęka się, drży i upada, nim jeszcze powstał do walki. Gdy *Frau Sorge* nawiedzi umysł wysubtylizowany, wyuczony psychologii samego siebie, jeszcze choroba się pogarsza, bo analiza staje się zwierciadłem, podwajajacem widziadła, szkłem powiększajacem każdy duchowy smutek do potwornych rozmiarów. Prosta dusza Pawła, który dzień cały musi walczyć z materyalną nędzą, z codziennym głodem brać się za bary, wyrwać nędzy władzę nad sobą i swemi, nie ma czasu na wpatrywanie się w siebie. I dlatego to tak po mistrzowsku Sudermann zrozumiał, że tylko ludzie wćwiczeni w filozofowanie umieją rozmyślać porządnie nad sobą, a wglębiając się w własną duszę, jej żale i rozpacz, dzielić na rozdziały, omawiać po porządku każdą charakterystyczną cechę tej choroby przekłetej, co ją nęka. Wydaje nam się też jednym z największych dowodów niepowszedniego talentu Sudermanna to, że nie wdając się w właściwą francuskim pisarzom rozwlekłość, nie opisuje duszy swego bohatera w długich dySSERTACYACH, ale w codziennych jego losach czyni wypukłem wszystko, co jest objawem jego wewnętrznego charakteru. To wielka zdobycz, właściwa nie-

wielu powieściopisarzom, nie opowiadającym, jako dzieje przeszłości kolei dusz ludzkich, ale umiejących chwycić je w momencie życia i ruchu, i utrwalić to słowo, uwydatnić ten gest właśnie, który niby nie odróżnia się od gestów ludzi innych, a jednak ma owo niepochwytne *coś*, co tworzy indywidualność. Paweł Meyerhofer nie różni się zewnętrznie od wielu innych, a jednak jak on jest charakterystycznie oddanym w tej zaciętości pracy, która ciągła i wielka i pomyślna, w końcu nie zadawalnia go, nie może uwolnić od przycejanej troski, co mu ciągle wybiera z duszy spokój i wiarę w szczęście. Boi się przyjemności nawet, bo już chorobliwa twoga ukazuje mu mękę wspomnień miłych w chwilach boleści; lęka się wszystkiego, coby mogło tkliwości jego dać zadowolenie, bo potem szare życie tem twardszem by się wydało. *Frau Sorge* zasłania oczy Pawła i zaciemnia wzrok jego, by uniemożliwić mu zobaczenie szczęścia i odkrycie miłości w wier-nem, a cichem sercu, które niezapytane milczeć musi, choć to milczenie jest nieszczęściem dla dwojga istot.

I dopiero trzeba bardzo dramatycznej i bardzo naciągniętej sytuacji, by wyrwać Pawła z owego smutku, w którym pogrążony, przechodzi koło kochającej go i kochanej przez niego istoty. Na swój sposób, to znaczy na paradoks, przetłómaczył Sudermann tajemnicę uwolnienia się z rąk okrutnej *Frau Sorge*: żeby się jej pozbyć, musi nawiedzony przez nią oddać jej wszystko to w ofierze, co mu najmilsze. I dlatego autor każe czynem, graniczącym ze zbrodnią, uleczyć się Pawłowi. Ojciec jego, stary, przesiąknięty nienawiścią bezpodstawną człowiek, idzie palić owego mniemanego nieprzyjaciela. Paweł dostrzega to zapóźno; nie ma już ratunku, ani możliwości dobiegnąć, by przestrzedz i uchronić od zbrodni — cóż więc czyni?... Wie, że ojciec podpalając, zwracać oczy będzie na własną zagrodę; więc Paweł ją podpali i okropnością niespodziewanego nieszczęścia przeszkodzi zbrodni. Nie obchodzi go nic: ani to, że prerażenie zabije starca, ani że zniszczy pracę całego jego życia — byle tamtych ocalić i ojca od zbrodni uwolnić. Przenikające wrażenie czyni opis tej walki i postanowienia Pawła; jakaż to energia pióra, umiejącego wstrząsnąć czytelnikiem, a zarazem siła i potęga w oddaniu tej strasznej chwili! I ta zbrodnia — bo czyn podpalenia, choćby tylko z szkodą własną, to rodzaj samobójstwa pracy, której pomyślność nie w mocy ludzkiej, ale z daru Bożego — ta zbrodnia z szlachetnych pobudek, wstrząsając Pawłem, ma uwolnić go od przekleństwa troski, i on wtedy o sobie mówi, że dopiero teraz przyszło mu poczucie godności własnej i poczucie siły? *Diese That hat mich freigemacht*. Dlaczego? jakim prawem? Chyba lekarstwo gorsze od choroby; wysiłek do popełnienia straszego czynu, jeżeli zerwał pęta, jakimi omotała go troska, to w duszy prawej, jaką był Paweł, stał się poważnym początkiem realnych już katuszy i wyrzutów sumienia. To też za paradoks zgubny uważać

trzeba podobne przetłómaczenie owej cudownej recepty na troskę: *Alles opfern, was man lieb hat*; człowiek bowiem dotknięty chorobą wewnętrznego smutku, jeżeli jest chrześcianinem, uwolnić się zdoła także tylko czynem odwagi z rąk *Frau Sorge*, wówczas zaś ofiaruje w dań jej własną słabość i powie sobie, że egoizmem jest »troszczyć się o wiele, gdy jednego tylko potrzeba,« że grzech rozraniać duszę własną smutkiem, gdy tyle nędzy na ziemi, którą lecząc, sam się uzdrowi, bo zapomni o sobie.

M. Rawicz.

— G. Verga: *Storia di una capinera*. (Milano. Fratelli Treves editori. 1891). — Marząc o otworzeniu w domu »Przeładowym« osobnego okienka na niwę umysłowości włoskiej, zażądaliśmy świeżo w jednej z najznacniejszych księgarni wiedeńskich świeżych płodów zaalpejskiej literatury. Nieliczno wskazano nam ich poczet, tłómacząc, iż ztamtąd płynie wyłącznie niemal fala dzieł ekonomicznej treści, a belletrystyka względnie mało dostarcza plonu. Kilka zaledwie znanych nazwisk, stale na okładkach błyska. Występuje znów de Amicis, najpoczytniejszy z włoskich autorów, z ilustrowanym dytyrambem na cześć najszlachetniejszego z trunków; płodniejszy od niego Barrili, przedstawia się tu archaiczną powieścią o dość szerokim rozgłosie, zatytułowaną *Amori Antichi*; pani Serao idzie w zawody z miłą angielską powieściopisarką, Rhodą Broughton, tożsamością tytułu, jeśli nie treści, skoro *Addio amore* zda się żywym przetłómaczeniem dramatycznego: *Goodbye, sweetheart!* Wtem uderza nas imię Vergi, na kilku tomach różnej objętości. Kto wczoraj usłyszał po raz pierwszy operę Mascagniego: *Cavalleria Rusticana*, rad dziś poznać autora, który dostarczał wątku i natchnienia młodemu włoskiemu maestro. Wybór trudny, bo oto tytuł: *I vinti*, jak wraz przemawia do zwyciężonych i pobitych; ale księgarz gwałtem namawia na drobniejszy utwór, zalecający się ósmem z kolei wydaniem.

*Storia di una capinera* wygląda napozór tak niewinnie, jak dzieje ptaszka o czarnem upięzieniu główki, które dostarczyły tytułu powieści. Tymczasem pokazuje się niebawem, po wstępnych zaraz kartkach, iż tu bynajmniej o ptasie niedole nie chodzi, jeno o gwałtowną napaść na klasztor. Skrzydlaty jeniec o ciasną rozbijający się klatkę, ma być obrazem rozpaczycy serca, skazanego na życie zakonne, wbrew własnej woli i chęci. Są to niby listy sieroty, której ojciec powtórnie się ożenił, miejsca w domu zabrakło, posagu nie było, a więc samoz przeznaczenie jakoby rozstrzygało o przyszłości, wiodąc ją do cichej przystani klasztoru, gdzie wychowaną została. Nic zrazu nie maći spokoju dziewczęcia i jej zgody z losem. Na nieszczęście, cholera rozprasa pensjonat i postulantki, a więc i jej przychodzi opuścić progi domu Bożego i z rodziną wyjechać na wieś, gdzie oddychając szerszem powietrzem, ocenia po raz pierwszy zacieśnienie krat i furty. Oczywiście, w tem rozbudzeniu nieświadomej siebie mło-

dości, i tkliwsze uczucia się budzą. Daremnie! pisanem jej być mniszka, rodzina nie przypuszcza odmiany postanowienia; po ustaniu zarazy odwożą ją do klasztoru, przyspieszają oblóczyny, a ukochany Nino zaślubia młodszą siostrę. Rzecz napisana tem podstępniej, że bez wyraźnej nienawiści do klasztorów, z ogólnikowemi tylko komunalami o wydziedziczeniu zamkniętych w nich ofiar, które żadnych ludzkich już pociech ni szczęścia nie zaznają. O upojeniu poświęceniem się Bogu i służbie bliźniego, o szczytności wyrzeczenia i powołania, autor pojęcia nie ma, w ogóle składając ciągle dowody zupełnej religijnej niewiadomości i zaślepienia. Natomiast zabląkały się tu mętne przypomnienia o rozślawionej i zużytkowanej tylokrotnie przez sekciarzy *Monaca di Cracovia*, w drastycznym opisie więzionej w klasztorze oblakanej. Stopniowanie podniecenia nerwów rozpaczą i gorączką, doprowadza do ostatecznego rozwiązania powieści, kończącej się śmiercią poniewolnej zakonnicy.

Nad wyraz niesmaczna treść, jest zarazem i bardzo nudna i bardzo wątpa. Czar języka, tej śpiewnej mowy, brzmiącej zawsze w uchu jak melodyjna kantylena, jedynie utrzymuje i więzi uwagę czytelnika, nasuwając mu porównanie między poszczególnemi stylami nowoczesnych pisarzy włoskich. Dziwne bo między nimi zachodzą różnice. Podczas gdy Bonghiego np. trudno zrozumieć, tak zawile u niego bywają zwroty i peryody, Verga tak jasnem posługuje się piórem, iż bodaj każdy, nawet mniej biegły w włoskim języku, bez żadnej uciążliwości te karty przebiegnie. Tylko nie zasługują one zgoła na bliższe poznanie, a zacofanie piśmiennictwa transalpińskiego nigdy się jawnie nie uwydatniło. Wyrzucano nam niedawno, iż zbyt wolno uczestniając w prądach ogólno ludzkiej literatury, zabieramy się n. p. do uprawiania niwy powieści historycznej, w pół wieku po wyczerpaniu tegoż rodzaju na zachodzie, gdy raczej psychologiczne studia są na porządku dziennym, a dziejowe obrazy i epopee zwietrzały. Tymczasem we Włoszech rzekomy zastój jeszcze chyba być musi znaczniejszym, bo już nie historyczny rodzaj, lecz jeszcze dawniejszy, romansów utkanych z korespondencyj i poufnych zapisków, w najlepsze tam kwitnie. Czytając zwierzenia *di una capinera*, żywcem nam stanęło w pamięci klasyczne naśladowanie *Werthera*, które w początkach wieku napisał Ugo Foscolo p. t. *Ultime lettere di Jacopo Ortiz*. Schemat i szablon tu i tam jednaki, podobne okrzyki i wykrzykniki miłości i bólu, zwietrzałe w epoce dyskretnej, bardziej skoncentrowanych i w sobie zamkniętych uczuć. Jedynym nowoczesnym nabytkiem i przymieszką, to niechęć przeciw klasztorom i Kościołowi, wsiana na grunt italski przez obecnych kierowników ducha włoskiego, który pod wpływem chrześcijańskiego natchnienia, inne zaiste tworzył arcydzieła, aniżeli dzisiejsze literackie paszkwile i plewy.

N.

## Przegląd polityczny.

Kraków, 31 grudnia 1891.

Kończymy stary rok, jak zawsze, z ufnością w Boga, ale z większą niż oddawna, nadzieją, w przyszłość. Pomimo wielu zajęć i klęsk, nie można zaprzeczyć, że rok ten rozpoznał sprawy, które mogą wydać dobre skutki, i był charakterystyczny dla nowych prądów rządzących ludzkością.

Czy jednak przyszłość odpowie nadziejom? Niejedno już stulecie kończyło się takim rodzajem nowej zorzy, która w dalszym ciągu doprowadzała do rozczarowań i katastrof. Ludy przechodziły tak z jednego wieku do drugiego, zawsze w przekonaniu, że z nowem stuleciem nastanie wiek złoty—dotąd jednak tego złotego wieku nie widać!

Na czem właściwie polega ta, w ubiegłym roku tak widzialna i prawie dotykalna zmiana atmosfery politycznej i społecznej, trudno dokładnie oznaczyć. Niezaprzeczonem jest jednakowoż, że datuje ona od upadku Bismarka. Ten człowiek ciążył jak kula ołowiana u stóp rządzących i rządzonych. Od jego upadku, poruszają się i monarchowie i ludy swobodniej, oddychają wolniej. Największą rolę w tej zmianie prądów, odegrał bezsprzecznie cesarz Wilhelm II. Nie wiemy, jaki ostateczny sąd wyda o tym monarsze historia, ale wiemy już dzisiaj, że Wilhelm II. należy do władców, których rządy nie przeminą niepostrzeżenie. Młody cesarz, posiada z jednej strony poważne poczucie swoich obowiązków, z drugiej niepokromioną chęć czynów — dwa

przymioty, charakteryzujące zawsze ludzi o znaczeniu historycznym. Mało może jeszcze zwrócono uwagi na to, że Wilhelm II, pomimo wyznawanego kultu idei i narodowości niemieckiej, okazał się dotychczas więcej monarchą humanitarnym, niż specjalnie niemieckim. Jest niezawodnie pewna sprzeczność w tym fakcie, że monarcha, który przy każdej sposobności zaznaczał swój charakter niemiecki, zajmował się dotychczas w pierwszej linii sprawami ogólnie humanitarnymi: sprawą socjalistyczną, sprawą wychowania publicznego, a w ostatnim miesiącu sprawami ekonomicznymi. Jest dalej pewna sprzeczność i w tem, że ten cesarz wielkoniemiecki przy każdej sposobności starał się o zbliżenie ludów Europy do siebie, a nie o ich rozdział. Wilhelm II starał się o zbliżenie Niemiec do Francji — pamiętny jest pobyt cesarzowej wdowy po Fryderyku III w Paryżu, zniesienie przymusu paszportowego w Alzacyi i Lotaryngii, przyjęcie uczonych francuskich np. Juliusza Simona na dworze berlińskim; o zbliżenie Niemiec do Anglii — znanym jest jego pobyt w Anglii; starał się o *szczerę* stosunki z Austryą; Wilhelm II dążył i wewnątrz swojego państwa do zbliżenia pojedynczych narodowości do siebie. Ten monarcha narodowościowo niemiecki, po raz pierwszy od dawnych czasów uczynił pewne ulgi w systemie germanizacyjnym w Poznańskim, i ten władca niemiecki po raz pierwszy oparł swoje rządy w części na posłach — polskich.

W tem uosobieniu humanitarnem Wilhelma II, wypada zapewne szukać po większej części powodu, dlaczego sprawy ogólnie humanitarne, sprawy społeczne i ekonomiczne, stanęły po ustąpieniu Bismarka, w całej Europie, jeszcze więcej niż dawniej, na porządku dziennym. Wpływowi Wilhelma II wypada z drugiej strony także zapewne przypisać powstanie owego prądu zbliżenia pojedynczych ludów do siebie, który stanowi cechę ubiegłego roku i zapowiadać się zdaje nową erę dla Europy. Prąd ten nigdy zaś charakterystyczniej nie wystąpił na jaw, jak w owej lidze słowej, zainaugurowanej przez traktaty handlowe, jakie zostały zawarte w ubiegłym miesiącu. Mówiąc o niej obszernie na innym miejscu, zapisujemy na tem tylko fakt podpisania traktatów handlowych, z tą uwagą, że ta unia słowa dzieli wprawdzie

Europę jeszcze więcej może, niż liga polityczna, na dwa obozy — z jednej strony Austria, Niemcy, Włochy i kilka drobnych państw, krążących jak satelity około słońce, z drugiej Rosya i Francya również zapewne z kilku satellitami w orszaku.

Widzimy tedy w Europie dwa prądy, walczące ze sobą: z jednej strony, prąd zbliżenia ludów do siebie, z drugiej prąd odosobnienia. Reprezentantem pierwszego prądu jest Wilhelm II; przedstawicielem drugiego, car Aleksander III. Około pierwszego grupuje się liga pokojowa, po stronie drugiego staje Francya.

Sprawy ekonomiczne służyły tak w pierwszej linii celom politycznym. Francya, odosobniając się, pod względem słowem, od reszty Europy, była tylko wyrazem polityki zasklepienia, wyznawanej przez cara. Unia znowu słowa państw środkowej Europy, miała służyć za kit, łączący jeszcze silniej niż dotychczas przyjaciół politycznych, a skutkiem siły atrakcyjnej, jaką posiadają zawsze tego rodzaju wielkie grupy, przyczynić się do zbliżenia innych jeszcze państw do ligii pokojowej, a przez to do utrwalenia pokoju. Członkowie ligi pokojowej uważali swoje terytorya państwowe za rodzaj obszaru wspólnego, na którym stosunkowo do potrzeb, czynili sobie wzajemnie koncessye. Łatwo pojąć, że największe ustępstwa przyznały i Niemcy i Austria trzeciemu sprzymierzeńcowi, Włochom, raz dlatego, że jego interesa ekonomiczne są stosunkowo najgorsze, a powtóre dlatego, że Włochy należą obecnie do państw, których przyjaźń jest najbardziej poszukiwaną. Włochy więc, jak w ostatnich czasach prawie zawsze, zrobiły na traktatach handlowych najlepszy interes.

Wzmocnienie przyjaźni Włoch przez ustępstwa ekonomiczne, przyszło w sam czas, albowiem właśnie w chwili podpisania traktatów handlowych odzywały się w tem państwie głosy, występujące otwarcie przeciwko jednemu z członków ligi, przeciwko Austrii, a przyczyną tego wzburzenia była — co dla znających stosunki austriackie wydawałoby się rzeczą niemożliwą — mowa, wypowiedziana w delegacyach przez tak ostrożnego i liczącego się ze słowami hr. Kalnokyego. Hrabia Kalnoky wypowiedział wprawdzie jedynie to, co jako minister państwa katolickiego i minister

cesarza noszącego tytuł „apostolskiego“, wypowiedzieć był powinien, ale dla Włoch wystarczał już fakt, że hr. Kalnoky dotknął „kwestyi“, albo jak się on wyraził „problematu“ stanowiska Papieża, ażeby wystąpić z całym sztucznym oburzeniem przeciwko Austrii. Wszystkie rządy włoskie, a także i rząd margrabiego Rudiniego, postawiły zasadę, że stanowisko Papieża należy do spraw wewnętrznej polityki włoskiej, do której żadne państwo ościenne nie ma prawa się mieszać. Rząd austriacki jednak, jako przedstawiciel państwa katolickiego, musi wychodzić z tej zasady, że stanowisko Papieża nie może mu być zupełnie obojętne, i że ma prawo i obowiązek o tej sprawie mówić i na rozwój jej wywierać odpowiedni wpływ. Rząd austriacki nie tyka jedności włoskiej ani jej stolicy w Rzymie, ale nie może z drugiej strony uważać obecnego stanowiska Papieża za odpowiadające interesom Kościoła, skoro jedna ze stron ugadzających się, t. j. Papież na ugodę proponowaną mu przez rząd włoski ustawą gwarancyjną z r. 1871 dotychczas się nie zgodził. Da rząd austriackiego jest więc „sprawa papieska“ dotychczas jeszcze „nierozwiązanym problematem“. Jeżeli hr. Kanoky wyraził w delegacyach przekonanie, że życzyłyby sobie, ażeby sprawa ta załatwioną została w sposób dogodny dla Papieża, to wyraził jedynie przekonanie całej ludności katolickiej Austrii, chociaż z drugiej strony jest pewnem, że w obecnych stosunkach to przekonanie pozostanie niestety tylko rodzajem *pium desiderium*. Hrabia Kalnoky należy tak z przekonania osobistego jak i z tradycyj familijnych, do katolików konserwatywnych, a więc śmiało można twierdzić, że ta mowa, wypowiedziana, jak wielu utrzymywało, *ex abrupto*, odpowiadała jego wewnętrznym przekonaniom, chociaż może nie liczone na to, że wywoła ona we Włoszech tak silne wrażenie.

Wrażenie to było wprawdzie więcej sztucznie wywołane. Znani irredentyści Bovio, Imbriani, chcieli skorzystać ze sprawy, ażeby wystąpić otwarcie w parlamencie włoskim przeciwko Austrii i wzniesć nanowo okrzyk wojenny: Tryest i Trydent — a stary Crispi, który dotąd nie może zapomnieć że utracił władzę, uważał chwilę za sposobną do wystąpienia na scenę. Walka zmieniła się w pojedynek między

Rudinim a Crispim, w którym pierwszy pozostał zwycięzcą. 248 głosami przyjęto porządek dzienny, pochwalający wewnętrzną i kościelną politykę ministerstwa Rudiniego, a tylko 92 głosów oświadczyło się przeciwko temu porządkowi dziennemu. Cała sprawa miała więc dla ministerstwa Rudiniego najlepszy skutek, a i dla stosunku między Austryją a Włochami była o tyle korzystną, że dała sposobność do wymiany zapatrywań między dyplomacją austryacką a włoską, w kwestyi uważanej za najdrażliwszą, więc stanowiącej w gruncie rzeczy powód do wzajemnej nieufności. Na ten wynik nie byli przygotowani nieprzyjaciele ligi pokojowej, którzy z prawdziwą przyjemnością byli świadkami tej nagle powstałej walki między Austryją a Włochami, i wskazując na debatę w delegacyach, na skutek interpelacyi Zallingera i na późniejsze rozprawy w izbie włoskiej, powtarzali: Patrzcie, jak ci przyjaciele się kochają!

Nietylko w Austryi, ale i we Francyi zajmowała sprawa Kościoła uwagę publiczną, a charakterystycznym jest zjawiskiem, że względy na Włochy, rozstrzygające były dla stanowiska, jakie zajęły rządy i austryacki i francuski w tej sprawie. Demonstracye, jakim ulegli w październiku pielgrzymi francuscy w Rzymie, zamiast skłonić rząd francuski do ujęcia się za swymi poddanymi, skłoniły go do odnowienia zakazu urządzania pielgrzymek do Rzymu ze strony biskupów francuskich, bez uprzedniego pozwolenia ministra wyznań. Okólnik ministra Fallièresa wywołał ogólne niezadowolenie między katolikami francuskimi. Biskup z Aix, Gouthe-Soulard, który wystosował w tej sprawie otwarte pismo do ministra, został skazany na 5000 fr. kary. Walka między Rzeczpospolitą a Kościołem, która w ostatnich czasach, głównie za staraniem kardynała Lavigerie, zaczynała ustawać, przybrała nanowo większe rozmiary, i nie brak było głosów, które przepowiadały dla Francyi początek „Kulturkampfu.“ Ale rząd francuski chwyci się drogi pośredniej. Pozwoli katolików gnębić we Francyi, a znieważać zagranicą, lecz do wywołania otwartej i zupełnej walki, nie ma ani odwagi, ani nawet ochoty. Boi się radykałów na jedną stronę, a katolików na drugą.

Podobnemu oglądaniu się na dwie strony, wypada zapewne przypisać i wystąpienie rządu francuskiego w sprawie wypędzenia korrespondenta agencji dziennikarskiej paryskiej Chadournea z Bułgarii. Nie ulega wątpliwości, że rząd bułgarski miał, według praktyki rządów w ostatnich czasach, prawo do wydalenia nieprzyjaznego mu dziennikarza, po za granice Bułgarii. Prawo to do wydalania obcych poddanych, właśnie w ostatnich czasach niejednokrotnie było w użyciu. My Polacy, doświadczyliśmy surowości tego prawa przed kilku laty w Poznańskim, a kiedy ks. Bismark wydał z Wielkopolski także i poddanych austriackich, rząd austriacki nie chciał przeciwko temu wystąpić. Przed niedawnym dopiero czasem wydało ówczesne ministerstwo Crispiego z Włoch korrespondenta tejsamej agencji dziennikarskiej paryskiej, Lavalettea, a rząd francuski wtedy nie podjął żadnej akcji dyplomatycznej. Krok więc jego wobec Bułgarii, zerwania stosunków dyplomatycznych, skutkiem wydalenia Chadournea, stoi w sprzeczności z dotychczasowem zachowaniem Francyi w podobnych sprawach, i niestety, także i z praktyką rządów europejskich. Nie jesteśmy z pewnością zwolennikami wydałań, ale nie można się dziwić, że rząd bułgarski nie chciał znosić agitatora i nieprzyjaciela, pod formą urzędnika obcego państwa; a wobec praktyki rządów europejskich, przyznać mu trzeba prawo do tego rodzaju zarządzeń. Rząd francuski działał więc, jak powszechnie oświadczano, jedynie jako przyjaciel Rosyi, zrywając z Bułgaryą, z którą i Rosya żądnych niechce utrzymywać stosunków dyplomatycznych. Czy jednak rząd francuski nie postępuje wogóle na Wschodzie według pewnych stałych planów, to jeszcze pytanie.

Nie brak polityków, którzy utrzymują, że Francyi zależy na wzbudzeniu zawikłań na Wschodzie. Francya, pomimo całej przyjaźni dla Rosyi i całego pozornego zaufania w zamysły cara, nie jest pewną, jakie stanowisko zajęłby on w chwili rozstrzygającej. Pisemnych układów między Francją a Rosją niema, a osobistość cara jest nieobliczalna. Gdyby przyszło do walki tylko między Francją a Niemcami, to zależałby los Francyi właśnie od tej nieobliczalnej osobistości, i kto wie, czy Aleksander III by się nie cofnął w krytycznej chwili? Zupełnie inne stanowisko zajęłaby

jednak Francya, gdyby przyszło najpierw do walki na Wschodzie. W chwili, w której car tam zostałby wmięszany w walkę, w tej chwili Francya miałaby pewność, że nie sama stanęłaby do zapasów z Niemcami. Ztąd pochodzi, że rząd francuzki, który okazuje rzeczywiście usposobienie pokojowe w stosunkach do Niemiec i wogóle do ligi pokojowej, działa zupełnie inaczej w stosunkach do państw Wschodu. Reprezentanci dyplomatyczni Francyi na Wschodzie wmięszani byli we wszystkie intrygi przeciwko pokojowi państwewek wschodnich, a jedną z najważniejszych ról miał w nich zawsze odgrywać i obecny konsul generalny Francyi w Zofii, Lanel. Podobne zapatrywanie o tej dwulicowości rządu francuzkiego znaleźliśmy nietylko u części dziennikarstwa niemieckiego, ale co dziwniejsza, także w niektórych dziennikach rosyjskich. Z tego stanowiska wychodząc, zdaje się pewnem, że i postępowanie w sprawie Chadourne'a było tylko ogniwwem w łańcuchu ogólnej polityki rządu francuzkiego. Rząd rosyjski nie wesprze jednak zapewne Francyi w tej sprawie, z samego początku straconej, i przeminie ona bez żadnych ważniejszych następstw. Rząd rosyjski nie może już dlatego popierać akcji francuskiej w tej sprawie, że niedawno sam oświadczył w nocie wystosowanej do rządu bułgarskiego względem wydalenia rzekomych nihilistów z Bułgaryi, „że rząd bułgarski ma prawo do wydalenia obcych poddanych z Bułgaryi.“

Rząd rosyjski ma zresztą dosyć do czynienia we własnym kraju, ażeby chciał już teraz, bez odpowiedniego przygotowania, rozpoczynać politykę awanturniczą. W podróży, jaką car przedsięwziął, powracając z Liwadyi do Gieczyny, mógł się najlepiej przekonać o nędzy swoich poddanych. Pomimo zakazów policji, gromadziły się na stacyach całe tłumy wynędzniałego chłopstwa, które dotąd jeszcze żyje w przekonaniu, że car wszystko może. Na czele komisji, jaką Aleksander III ustanowił dla akcji wsparcia, stanął carewicz, członkami mianowani zostali ludzie posiadający zaufanie cara, jak adjutant generalny Kaufmann, jak prokurator synodu Pobiedonoscew, ministrowie Durnowo, Ostrowskij, Woroncowa-Daszko. Czy jednak komisya będzie w stanie zapobiedz dalszej katastrofie głodowej, czy będzie w stanie pomódz

tam, gdzie, jak to niedawno obrachował w publicznym wykładzie prof. Izajew w petersburskiej Akademii umiejętności, potrzeba co najmniej 300 milionów rubli, ażeby wesprzeć blisko 40 milionów ludzi bez środków do życia? Czy uda się pomoc na tak ogromną skalę w państwie, w którym wszystko jest zbutwiałe, w państwie, którego system rządowy Custine trafnie scharakteryzował jako „absolutyzm, łagodzony przez przekupstwo“? Czy uda się dalej usunąć coraz więcej szerzące się w Rosyi przekonanie, że na drodze, którą obecnie rząd kroczy, dalej pójść nie można? Od rozstrzygnięcia tego pytania, zależy więcej niż los Rosyi — zależy może pokój Europy. To jest punkt czarny na horyzoncie politycznym w końcu bieżącego roku.

Widzimy tak na Zachodzie dążenie do zbliżenia ludów do siebie, na Wschodzie dążenie do odosobnienia, groźne dla Zachodu. Na Zachodzie znajduje to dążenie zbliżenia i pogodzenia ludów punkt oparcia w młodym Wilhelmie II-gim i w doświadczoneym, ale z młodzieńczą rzeźwością stosującym się do okoliczności cesarzu Franciszku Józefie, a najcenniejszym wynikiem ubiegłego roku było zyskanie przekonania, że dążenie to pokojowe jest stałem i silnem. Aż do początku ubiegłego roku nie miano zaufania do osobistości Wilhelma II i jego doradców, obawiano się jego zmienności — z końcem roku zaczęła panować ufność i względem tego młodego monarchy i względem jego kanclerza, „hrabiego“ Caprivi, który jest — *mirabile dictu* — najwięcej pokojowo usposobionym generałem. Na Zachodzie wschodzi więc nowa jutrzienka pokojowa i wiele obiecująca dla ludów, na Wschodzie panują i nadal — ciemności.

Jeżeli w Niemczech zaczął właśnie w ubiegłym roku występować na jaw nowy kurs, w jakim sterował rząd młodego cesarza po upadku Bismarka, to i w polityce wewnętrznej austriackiej dała się uczuwać w tym samym czasie pewna zmiana, jeżeli nie kursu, to wiatru. Nie utrzymujemy, że zmiana rządzących w Niemczech wpłynęła na politykę wewnętrzną austriacką, ale konstatujemy fakt uderzający, że z ustąpieniem Bismarka i z coraz większem poczuciem samodzielności Wilhelma II, zaczyna w Austrii wiać

wiatr przyjazny partyi liberalnej niemieckiej. To zejście było zapewne zupełnie przypadkowe. Od chwili zresztą, w której hr. Taaffe rozwiązał Radę państwa i rozpisał nowe wybory, wydając ów znany manifest, w którym wzywał wszystkie partie umiarkowane do ugrupowania się pod sztandarem rządu, od chwili dalej, w której zniknęła z widowni prawie zupełnie partya Staroczechów, ustępując miejsca żywiołom radykalnym, od tej chwili musiało coraz więcej rósć znaczenie najsilniejszej partyi w parlamencie, t. j. partyi złączonej lewicy niemieckiej. Ta partya przeceniała jednak swoje znaczenie i dążyła wprost do usunięcia ministerstwa hr. Taaffego. Rozpoczęła się wtedy walka zakulisowa między tą partyą a hr. Taaffe. W walce tej hr. Taaffe, o ile obecnie sądzić można, pozostał zwycięzcą, a to dzięki przedewszystkiem zaufaniu, jakim obdarza go zawsze Cesarz, i dzięki stosunkom parlamentarnym, z których potrafił on skorzystać w sposób nadzwyczaj zręczny. Nieszczęściem jest dla lewicy, że ani sama nie może stanowić większości w parlamencie, ani nie potrafiła sobie, dotychczasowem postępowaniem, zyskać sympatyj i zaufania u innych klubów parlamentarnych. Najważniejszą rolę odgrywał w całej tej sprawie ugrupowania stronnictw klub polski. Lewica dążyła do połączenia z nami, ale tylko z nami, przez co chciała nas zmusić, bez odpowiednich gwarancyj na przyszłość, do odgrywania roli mniejszości w projektowanej większości. Klub polski najzupełniej więc słusznie postąpił, kiedy powziął w ubiegłym miesiącu postanowienie, że uważa za warunek nieodzowny, ażeby do projektowanej większości należał i klub Hohenwartha, i kiedy wyraził oprócz tego chęć trwania i nadal przy tendencyach autonomistycznych i narodowych. Nie widzimy powodu, dlaczego miałby konserwatywny klub Hohenwartha być wykluczony z większości parlamentarnej i zmuszany do opozycyi? Wypada i nad tem się zastanowić, że, wykluczając ten klub z większości, przyczynilibyśmy się do jego nieuniknionego rozbicia, a przez to oddalibyśmy najgorszą przysługę państwu. Wykluczenie klubu Hohenwartha z większości byłoby wzmocnieniem klubów radykalnych słowiańskich, w pierwszej linii wzmocnieniem Młodoczechów, z którymi połączyliby się z pewnością Słowency i inni. Jestto doprawdy trudne do pojęcia zaślepienie

partyjne, że Niemcy liberalni, i to Niemcy przeważnie czescy, sami pracują nad tem, ażeby odjąć Niemcom konserwatywnym wszelki wpływ na żywioły słowiańskie o odcieniu radykalnym. Czyż byłoby to korzyścią dla państwa i dla żywiołu niemieckiego w Austrii a głównie w Czechach, gdyby około Młodoczechów ugrupowali się Słowenci i inni w jeden silny radykalny klub słowiański? Czyż Niemcom czeskim zależy na wzmoczeniu siły Młodoczechów?

Jakiś czas się wydawało, że uda się hr. Taaffemu, wobec oporu lewicy względem połączenia z klubem Hohenwartha, rządzić z większością *von Fall zu Fall*. Ostatnie szalone wystąpienie mowców młodoczeskich podczas rozprawy budżetowej, dalej groźba lewicy, że w ważniejszych sprawach będzie oponowała rządowi, groźba wprowadzona w życie przy sposobności wniosku Plenera o znizeniu podatku dla drobnych przemysłowców, zmusiły jednak hr. Taaffego do paktowania z lewicą. Lewica otrzymała, jako jedną z żądanych *Bürgschaften*, ministra bez teki, hr. Khuenburga, którego zadaniem ma być pośredniczenie między ministerstwem a partya — być, jak się wyraziła *Neue freie Presse, Wachtposten* w ministerstwie. Rozwiązanie tego rodzaju, jest w każdym razie ciekawe; złośliwi mogliby utrzymywać, że stanowi ono ustanowienie kurateli nad ministerstwem. Zbytecznie mówić, że tylko *Nova Pressa* może tak pojmować rolę nowego ministra, ale nie on sam, ani gabinet.

Rozwiązanie to jest w każdym razie wyraźnym symptomem, że lewica, *jak na teraz*, nie widzi możliwości uzyskania zmiany całego ministerstwa lub jego większości. W związku więc z tem stoi zapewne wiadomość, że dotychczasowy szef partyi, Plener, nosi się z myślą złożenia mandatu. O ile wiemy, wiadomość ta jest prawdziwą, chociaż jej spełnienie nastąpi dopiero po jakimś czasie. Deputowany Plener, powołany zapewne zostanie na jedną z wysokich posad administracyjnych, które jednak nie stoją w żadnym związku z polityką, a którato posada, jak utrzymują niektóre koła, ma być rodzajem czyścica — purgatorium dla oczyszczenia go z naleciałości partyjnych, zanim pozostanie powołany, w dalszej przyszłości, na jaką kierującą posadę.

Czy wszystkie te nadzieje się spełnią, nie wiemy. Wy-

nika jednak z nich, że lewica uważa obecne rozwiązanie sprawy za prowizoryum; ależ wiadomo jest, że w Austrii tylko prowizorya są trwałe. W każdym razie, choć *Nowa Pressa* przeznaczając nowemu ministrowi zaszczytną rolę dozorey i gubernera gabinetu z ramienia lewicy, to wyznać trzeba, że potężna partya, która niedawno wybierała się rządzić, musiała nateraz znacznie spokornieć, kiedy poprzestała na jednym ministrze... bez teki!

Nominacya księdza prałata Stablewskiego na arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego, jest faktem dokonanym; konsekracya jego ma się odbyć w przyszłym miesiącu. Tą szczęśliwą wiadomością chcemy skończyć rok stary; ten ingres do gnieźnieńskiej katedry, ma być pierwszym wypadkiem roku nowego — niechże mu będzie wróżbą szczęśliwą! Witamy nowego arcybiskupa z radością rzewną i dawno nie doświadczoną, z wdzięcznością dla Ojca św. serdeczną, z wdzięcznością, którą wyznajemy chętnie, dla cesarza Wilhelma; mógł był postąpić względem nas gorzej, a postąpił dobrze. Żeby było, gdybyśmy tego nie uznali. Arcybiskupowi życzymy długich lat i wszelkich łask, wszelkiej pomocy od Boga; ale winniśmy mu — pamiętajmy — pomoc od siebie. Jeżeli społeczeństwo świeckie nie zrozumieć, jak należy, mnogich trudności jego stanowiska, jeżeli zamiast ufnością, uszanowaniem, poparciem, otoczy go obojętnością i podejrzliwością, zmarnieje i on, i jego stanowisko. Społeczeństwo, któreby nie oceniło należycie, jak wiele przez tę nominacyę odzyskało, dałoby tylko dowód, że odzyskać tej pozycyi nie było godnem. Przekonani jesteśmy najmocniej, że tak nie jest. Ale mówimy i ostrzegamy dlatego, że słyszeliśmy już podstępne i przewrotne głosy. Nie są liczne, ani niebezpieczne, ale są równie głupie, jak złe. Słusznie też w Wielkopolsce, jako takie, odepchnięte i potępione.

Druga nominacya, biskupa łucko-żytomierskiego na metropolię mohylowską, budzi w nas życzenia równie gorące, ale w tym stanie ucisku i prześladowania, nie budzą one radości, tylko smutek, obawę o wszystkich, a pożałowanie dla tych, którzy mają być pasterzami nieszczęsnej trzody wilkom poddanej. Upamiętania Rosyi spodziewać się nie śmiemy; zmiłowania Boskiego prosimy. Gromadzą się niby chmury i nad

nią: straszny jest ten głód, na przestrzeni tak wielkiej, jak pół Europy. Może on jest ostrzeżeniem; ale jeżeli tak, to ostrzeżenie „przejdzie straszne, lecz niezrozumiane.“ Jednak klęski takie bywały nieraz początkiem ważnych wypadków, a widmo wojny, niedawno jeszcze stało przed nami groźne. Wielu przypuszczało, że w przedsięwzięciu nazewnątrz, Rosya zechce szukać środka przeciw wewnętrznym możliwym zaburzeniom. Dziś ten niepokój ucichł, i rok kończy się w spokoju. My tego nie żałujemy, i wojny z pewnością nie pragniemy. Na jej przypadek tylko, kiedykolwiekby przyszła, mamy jedną uwagę do zrobienia: oto, że w takim razie należy swoje karty trzymać w swoim ręku, ale nie być kartą w cudzem. Groźby wojenne, rozlegające się w ciągu ubiegłego roku, natchnęły nam tę przestrozę.

\* \* \*

# BOHATER OSTATNIEJ POWIEŚCI SIENKIEWICZA.

(Studyum nad „Bez dogmatu“).

*L'énervernement des sensations, l'inconstance du dilettantisme ont été les plaies sociales de l'empire romain.*

Bourget.

Z rąk, z których zachwyceni i wysoce podniesieni na duchu, otrzymaliśmy obraz, pełen *poetycznej* prawdy przeszłości naszej, bierzemy teraz dzieło, które mogło być się stać krystallizacją naszej narodowej terażniejszości. Nieraz slyszalem żal tych poważnych głosów, które główny kładą nacisk na narodowo-moralny charakter literatury, że autor tą nową powieścią zeszedł „z właściwej mu drogi,“ i odwrotnie znowu, żalowali gdzieniedzie wytworni smakosze, gustujący wybitne dzieła najpierw z punktu arcydzieła, że tej „właściwej drogi“ już poprzednio nie skrócił. Jak gdyby u wielkiego umysłu, w chwili, kiedy jest w pełni wysoce znaczącego rozwoju, i kiedy bogactwem tego rozwoju właśnie zdwojone rodzi nadzieje, o właściwej drodze mówić lub zgoła sądzić można, jak gdyby u genialnych talentów inna droga była lub mogła być właściwą, prócz tej, po której stąpając i wznosząc się, zostają zawsze wiernymi swej twórczej sile? Zawsze to się powtarza: w szerokich masach i w publiczności nie leży przecież dar i instynkt kształtowania terażniejszości, lub wytapienia szczerzego kruszeu z ukrytych brył przeszłości; one po za terażniejszość, po za granicę dotychczasowej działalności i nie

widzą i nie patrzą i instynktowych swych pragnień nie formułują, ale pełne wrażliwości, pełne wdzięczności, klaszczą i wołają ustawicznie: *bis! bis!* Ale wybitny umysł tylko do pewnego punktu może być na usługi tej publiczności, tylko do pewnego punktu może być niestrudzonym i gościnnym gospodarzem. Otworzył też Sienkiewicz w swej trylogii naościę podwoje swego dworu, staropolską gościnnością rozszerzył nawet znacznie jego mury, podzielił się wszystkim co miał. Ale po za gościnnym panem, po za człowiekiem, który tak chętnie dzieli się i udziela, kryje się umysł głęboki, niezbędne mu są chwile samotności i chwile dumania, i wtedy w szarych tych godzinach inni zupełnie goście witają; wsuwa się jedna myśl po drugiej, nie odziana w zbroję i barwne szaty naszej narodowej przeszłości, ale zjawia się w chwiejnych kształtach terażniejszości, w mgławych zarysach przyszłości, każda prowadząc za ręce nieodstępne dwie towarzyszki: zwątpienie i nadzieję. A że i im gościnności nie odmówi, lecz wda się z niemi w „długie, przyjazne wieczorne rozmowy,“ to pewna, bo to nietylko bogate serce, ale i umysł bogaty. Nikt ze siebie człowieka nowożytnego wyzuć nie może; zwrócenie się myślą ku terażniejszości, jest wewnętrzną koniecznością, jest postulatem, nietylko może człowieka umysłowego, ale i wprost artysty. Artysta wie, jak żłudne są te wołania: *bis! bis!* Nietylko wyobraźnia, ale i myśl żyć chce i żyć musi.

Z góry więc wiemy to i widzimy: dzieło takie nasycone myślą nowożytną, nie będzie budziło tak jak tamte fantazyi czytelnika, nie będzie tu już wyobraźnia nasza, budząc się z uspienia, kiełkowała, jak gleba pod działaniem wiosennych słońca promieni. Szybszy i gwałtowniejszy proces umysłowy, powieścią tą wzniecony, nie będzie równał się żadnej funkeji, żadnej fazie łagodnej przyrody. Będzie to może raczej płomień, który w miarę ostrożności i umiejętności w użyciu go, będzie grzał, palił, lub rozkładał. Tylko wobec dzieł fantazyi istnieje publiczność; dzieło myśli i idei do samych jednostek się zwraca. Grają tu mniej uczucia, a bardziej przekonania; niema tu więc pola dla wdzięcznej i powolnej fantazyi, przeciwnie wystąpić tu musi harda i samoistna myśl.

Wszelkie nasze wiary, przekonania, pragnienia i nadzieje społeczne, moralne, umysłowe (i estetyczne także) tworzą elementa tego wielkiego aparatu alarmującego, z którym są połączone wszystkie nasze mózgi i serca. W tem społeczeństwie, z tem społeczeństwem żyjemy, nie jest ono nam, nie może ono nam być obojętnem, już choćby dlatego, że równocześnie chodzi o nas samych, o naszą własną skórę. W każdym z nas siedzi bądźco bądź kawał tego Łukomskiego, owego najświetniejszego szkicu, jaki kiedykolwiek może z pod pióra Sienkiewicza wyszedł. Ale jakiegokolwiek i jak rozmaite organa do przyjęcia i podjęcia takiego dzieła, jak *Bez Dogmatu*, jednostkom u nas są dane, czy to o wrażliwości wrodzonej i przez częstą estetyczną kontemplację bardziej jeszcze podniecone i nawet może wyrafinowane, czy też wyłącznie etyczne i nieprzystępne, jak gdyby opasane grubym i prostokątnym murem *non licet*, a bezwzględną surowością sądu graniczące prawie z uporem—to przecież wszyscyśmy upoważnieni poniekąd i może powołani wziąć udział w powszechnem głosowaniu nad tem dziełem. A głosowanie to nie może się odbywać kuryami, ale osobiście; nikt tu za sąsiada ręczyć, a choćby i bardzo pragnął, odpowiadać i głosować nie może. Tak więc i tak zwany „krytyk“ musi zejść z trybuny, musi przestać być pośrednikiem między publicznością a dziełem; nie śmie i nie może prosić o mandat prawyborcy, kontent jeżeli jego głos wirylny dopuszczonym zostanie. Nikogo więc on tu nie zastępuje i za nikogo nie odpowiada.

Ale to obniżenie swego stanowiska okupuje większą wolnością; zastępując bowiem tak nieskończenie mało, bo siebie samego tylko, nabędzie prawa do wypowiedzenia nie tylko swych myśli, ale i tego, co to czasem tak trudno i ciężko w sobie zamknąć—będzie mu wolno wypowiadać się ze swych osobistych uczuć. Niech mi więc wybaczy i autor i czytelnik. Autor niech będzie pobłażliwym dla mej zupełnej otwartości, czytelnik zaś niech mi przebaczy, że nie będąc i nie czując się upoważnionym i powołanym do sądzenia religii i etyki Leona Płoszowskiego, nie będę mógł służyć za wyraz ewentualnej niechęci, lub być może tu i owdzie dotkniętego albo nawet i zrażonego uczucia. Na tym punkcie czytelnik i tak nigdy niczyjego pośrednictwa nie potrzebował, a sądy takie,

ostre czy pobłażliwe, niech zapadają w samotności, w ciszy duszy i sumienia. Zresztą są przedmioty i kwestye tak poważne, że sądzić je głośno i z naciskiem w artykule literackim, trąci czasem płaską i niedelikatną emfazą; w publicystyce mogą te *sacra mixta profanis* tak razić, jak mnie rażą mszalne i święte przybory na widowni wszystkich przechodniów za szkłem u jubilera świecące i opatrzone karteczką z napisaną ceną.

---

Fale morskie drogą jakiegoś tajemniczego procesu assymilacyjnego rodzą i budzą myśli nasze, które, tak jak one, w nieustannym ruchu i kołysaniu, przechodzą jedne w drugie, bezustannie nawzajem wyrzucając się i pochłaniając. Obłoki po nad głowami wędrowców, przeciągające się ustawicznie w coraz to nowe kształty, niewolą prawie nasz umysł, ażeby w nie włożyć nasze kształty i wpisać nasze myśli. Ale rzecz dziwna: choć serca tych wędrowców tak mogą być sobie bliskie, myśli ich zrodzone falami, obrazy przez ich wyobraźnię wpisane w „chmury ulotne, niebios żeglarze,“ będą odmienne. Polonius tylko potrafi za swym Hamletem odczytać w tych chmurach kolejno wielbłąda, łasicę i wieloryba. Podobnie jak z temi chmurami i falami, dzieje się i z muzyką, która jest raczej folią tylko i podniętą naszych myśli i uczuć. Przymusu tu niema żadnego, bo nie zna go ani uczucie, ani fantazya. Ta skarga, którą się tak często słyszy o nierozumieniu jakiejś muzyki, redukuje się do tego zazwyczaj, że ucho nie jest obeznane, nie jest jeszcze obsłuchane z pewną techniką lub pewnym kompozytorem, że czynność umysłowa, absorbowana jeszcze zupełnie słuchaniem, nie znajduje zbywającej siły, by sama dalej tworzyć mogła; dlatego „nie rozumie“ się zwykle tylko nowych kompozytorów. Tak zwane znawstwo muzyki, ogranicza się zazwyczaj tylko na znawstwie oddania, na znawstwie reprodukcji, a nie na znawstwie produkcji samej. Zrozumienie samej muzyki, zrozumienie jej tak cieniowanej i filigranowanej konstrukcji i psychologii melicznej, jest może wiedzą najtrudniejszą, do której chyba w pewnym oddaleniu tylko znawstwo liryki, zrozumienie tej wspólnej gry muzykalnego

i logicznego pierwiastku dorównać można. Ale tem po-  
nętniejszą i łatwiejszą jest interpretacya muzyki, owo formu-  
lowanie własnych myśli wedle obcej formy, owa powabna  
*gra myśli*, która może—proszę wybaczyć tej naukowej here-  
zyi — nietylko w sztuce, lecz i w większej połowie badań  
naukowych, jest nietylko główną podnieta, ale i rezultatem.  
Niech jednak będzie jak chce, w każdym razie jest Leon Pło-  
szowski uprawnionym (nawet bez tego przedrażnionego sub-  
jektywizmu, który go cechuje), w Beethovenowskie kompo-  
zycye włożyć przedewszystkiem te uczucia i te myśli, które  
go najbardziej rozgrzewają lub najdotkliwiej palą. Summuje  
on też wrażenie, odniesione z najprzedniejszej części, z finału  
Beethovenowskiej *Cis-mol* w słowie „ucisk;“ sąsiad jego  
mógłby może, szczęśliwszy od niego, odnaleźć w niej, mówiąc  
z Goethem: *das Doppelglück der Töne und der Liebe*. Ale  
wolność za wolność! Niech mi więc wybaczy, że i ja (ach!  
jakżebym pragnął znaleźć sposób uniknięcia tego „ja“ i prze-  
praszam czytelnika za wszystkie razy, co się z niem jeszcze  
będzie musiał spotkać!) wrażenie ogólne i ostateczne, odnie-  
sione z jego trzechtomowego dziennika, z tych nerwowo drga-  
jących fal jego myśli, z tej brzemieniem ołowianych chmur  
przygniatającej go niemocy, zesummuje w słowie „ucisk.“ Bo  
brzegiem tych obłoków nie biegnie złocisty rąbek, zapowia-  
dający, że słońce zwycięży i stopi ich ołowiane masy, bo  
grzbietem tych fal nie łyśka i nie igra matowo-srebrna łuska  
księżycy, któryby spokojnem światłem przemógł gazy chmur,  
przed nim się jeszcze ścielące. Nie, nie! Tam gdzie te chmury  
się piętrzą, nie zejdzie dzień jasny dla trzeźwej pracy, tam  
gdzie te fale bezbarwną masą się cisną, nie zejdzie noc cudna.  
Pracować nam trzeźwo nie dajesz, panie Leonie, i cudnie nie  
dajesz nam marzyć. Zabrałeś nam tak wiele.

Mimoto, jak sam to przyznaje, odzywa się w nim nie-  
raz stary romantyk. Podziela on nawet z romantykami dru-  
giej epoki i niektóre literackie nawyki: tak chętnie  
i często np. upatruje w *Hamlecie* swój prototyp, tak nęciłoby  
go może i w swych rysach zmęczonych trochę życiem i uży-  
ciem odnaleźć Hamletową „zchorzałą bladeść wątpienia“  
i w biednym księciu, któremu tragiczne położenie serce ścisła,  
nogi wiąże, ręce krępuje i tak na bezczynność skazuje, znaleźć

amnestyę i wytłómaczenie na swą „nieudolność życiową.“ Ale nikt w ulotnych notatkach dziennika, nie będzie szukał krytyki dramaturgicznej i rozwiązania zagadki tego dramatu, bo mógłby zawieść się taksamo, jak gdyby naprzykład wedle wskazówki p. Leona, chciał szukać za źródłem Hamleta „w krwawej i dzikiej kronice Holinsheda,“ w której to kronice Henryków i Ryszardów naturalnie ani słowa o Hamlecie-by nie znalazł. Natomiast przeoczył Leon ten bolesny wykrzyk prawdziwie męskiej rezygnacji duszy, któraby tak ze świata tego zejść pragnęła... gdyby

the everlasting had not fix'd  
His canon 'gainst self-slaughter

(żeby też Przedwieczny nie był wznioł prawa swego przeciw samobójstwu!)

A to prawo stoi do dziś dnia, a przeciw niemu targnął się ten, który cierpiał nieskończenie mniej od Hamleta i który odczuwał za szczyt niedoli czuć w sobie drgnienia nieśmiertelnej siły, a musieć umrzeć (I, 177)! Tylko, że równać ich niewolno, bo Hamlet cierpiał „tylko“ sercem i umysłem, tu zaś istnieją inne prawa w tych obszarach po za granicami dobrego i złego *jenseits von Gut und Böse*; normalne warunki moralnego bytu są zniesione, panuje wszechmocnie tylko newroza, a gdy jak to Leon na wyjeździe z Gasteinu notuje (III, 225), „uczucie jakiegoś potężnego podstawi się w newrozę nowożytnego przeanalizowanego sceptyka, wtedy opanowuje go z uporczywością choroby“ — i jak widzimy — choroby śmiertelnej.

Pewno, że w ten sposób tłómaczona zbrodnia zmniejsza się o połowę. Ale zdaje mi się, że i w świecie moralnym panują te same prawa co w przyrodzie; może więc i w świecie moralnym taksamo jak „w przyrodzie nie ginie,“ może więc ta druga połowa winy i zbrodni rozkłada się równomiernie na lata, miesiące, godziny, które ją poprzedziły, ujmując każdej po odrobince z jej krasy, wartości i godności. Zaiste zrezygnować z życia, a je podeptać, to nie są pojęcia identyczne, a Leon zdaje mi się nie zrezygnował z życia, ale je podeptał, kiedy niezliczone czasy aż do zpowszednie-

nia i do zubożenia powtarzał sobie i wmawiał w siebie nicość swoją, nicość życia, nicość świata, kładąc tem samem wówczas już ducha swego ubranego w całun „zaniku woli“ do trumny. Ale ten „zanik woli“, to już etapu ostatnia, ostatnie to już stadium nieuleczalne w życiu i chorobie tego charakteru młodzieńczego i zgrzybiałego, roztkliwionego zarazem i cynicznego; poprzedza ją faza, której nam nie opowiada, faza „zaniku poezyi“.

Całe jego życie wytepiło w nim poezję, pierwszą podstawę, ową łączność bezpośredniego odczuwania, ową władzę łączenia i konturowania. Nie lubię szkolnych terminów, ale wobec umysłu, jak sam twierdzi, przeanalizowanego, trudno uniknąć słowa *synteza*. Otóż synteza ta może być dwójaka: jedna opierająca się na fantazyi i uczuciu, przyrodzona i tradycyjna, druga powstająca z myślenia i kombinacji filozoficznej — wywalczona, będąca osobistą zasługą. Do zdobycia drugiej, niema Leon odpowiednich organów umysłowych, ale miał sposobność utrzymania pierwszej. Cały jego sceptycyzm i pesymizm, jest rezultatem opadłej, zwietrzałej fantazyi a nie zawiedzonej walki umysłowej.

W dramacie *Werthera*, z którym nieraz mi tu jeszcze spotkać się wypadnie, zdaje mi się być punktem zwrotnym to zeznanie: „Cierpię dużo, bom zatracił to, co życia mego jedyną było rozkoszą, ową świętą siłę ożyweczą, którą światy całe dokoła siebie stwarzałem“. Otóż zwrotny ten punkt w życiu tem leży gdzieś daleko poza obrębem dzieła naszego, wyprzedza może pierwsze kartki tego dziennika o lat kilka. Przypominają mu się tylko rzadko te „drgania nieśmiertelnej siły“, jak po skwarnym dniu luskające światelka het, na krańcu widnokregu.

Rzecz jasna, możnaby sądzić, że analiza (a więc duch czasu) tego jest powodem, że ona to krzyżuje i hamuje podloty poezyi i że ona tę nieprzerwaną linię poetycznego myślenia i życia, zakreślającą się z nieświadomą śmiałością geniusza, rozkłada na niezliczoną ilość punktów i drobnych „prostych“, że ona to ten rysunek od wolnej ręki zamienia na figurę geometryczną. Byłoby to pozornie słusznem zupełnie, tylko, że zdaniem mojem ma się rzecz odwrotnie. Najpierw, że ta jego analiza żywiąca się samemi myśla-

mi i zamysłami, ta analiza analizy, opierająca się na samej obserwacji, a nie na czynach, jest bezowocną i bezskuteczną; funkcjonuje ona znakomicie, ale jak znakomicie skonstruowany warsztat tkacki — bez przędzy.

Poezya w umyśle tym, ta jedyna dla niego i jemu podobnych siła łącząca i utrzymująca, już dawno z umysłu jego uleciała i zostawiła opustoszałe komnaty, zabrała ze sobą swe posągi i swe bóstwa. Leon teraz w tych opustoszałych komnatkach męczy się i szaleje, biorąc pod lupę wielkie pomysły *al fresco* i zdobiąc opuszczone kolumny swemi bezdogmacikami. Poezya jest u niego organem obumarłym, rudymen-tem części ciała spensyonowanej, przypadkowo do dziś dnia zachowanym i odziedziczonym po formach dawnej egzystencji.

A następnie, gdyby poezya i analiza równocześnie w umyśle jego panowały, widać by w jego dzienniku ślady tych starć i potyczek, walczyłyby one o władzę i pierwszeństwo, i sądzę, że musiałaby wygrać pierwsza. — Musiałaby wygrać, bo siła instynktu przemoże stokrotnie siłę świadomości; bo siła żywiołu nieskończenie jest potężniejszą od siły jakiegobądź dzieła ręką ludzką stworzonego, bo ta poezya ciągnie nas ku sobie czarem tajemniczym ukochanego wzroku, ponętą drogich wspomnień, magnesem potęgi co z naszego wnętrza wyrzuca co niejasne i nieczyste, a przyciąga to, co w nas jest cząstką lepszą i wyższą, bo w niej jest prawda, a analiza w najlepszym razie dać może tylko pojedyncze prawdy.

Jak spostrzeżenia i opisy Leona Płoszowskiego, tak też i jego myśli i uczucia są nieskończenie wykończone — w szczegółach. Umysł jego rzuca nieraz smugi najsilniejszego elektrycznego światła na pewne przedmioty, które wówczas występują z jasnością i ostrością, zwykłemu wzrokowi przy zwykłym oświetleniu niedostrzegalną. On odróżnia świat, ludzi, życie pojedynczemi objawami, które też oddaje z precyzją słowa zdumiewającą, z trafnością obrazowania precudną. Ale niema tam nigdzie szerokiego widnokręgu, opromienionego blaskiem myśli prostych i wzniosłych, jak promienie wschodzącego słońca. Cały jego sposób niespokojnego i niepokojącego sposobu myślenia, wyrzywa go bardziej z życia, niż podnosi. Przykre karty romansu w Pegli zapo-

wiadały jakąś silną i męską reakcyę, dni serdeczniejszego zbliżenia się do Anielki, gorętszy uścisk dłoni, te drobne mimowolne i nie zamierzone dowody wzajemności, te chwile dla kochających się milcząco najszcześniejsze lub jedynie szczęśliwe, obiecywały mi jakieś wzniesienie się natury ponad swą niemoc, jakąś myśl męską, będącą już czynu połową, spodziewałam się, że gdzieś nagle i niespodziewanie zagra krew rodu Płoszowskich, którzy przecież nie mogli od początku przez kilka wieków żyć ustawicznie jako „morituri“ i „hybrydy“. Ale on sam ma się już za potomka (a czasem nawet za ostatniego potomka) przeżytego rodu; a psychologii takich rodów poświęca najpiękniejsze, a sądzę, że i najgłębszą kartkę swego dziennika. Rzecz inna, czy nasza stosunkowo i w porównaniu z innymi narodami krótka historia, usprawiedliwia i pozwala na tyle rodów przeżytych? Cóżby robiły te cywilizacye zachodnie, dwa razy starsze, a cztery razy głębsze od naszej, które już w VIII wieku swojską mową pisały, modliły się i śpiewały? A wiemy bardzo dobrze, że tam nie sami są *homines novi*. Ale w każdym razie będzie miało określenie to rodów przeżytych, jako zdrowych organizmów o braku harmonii duchowej, nietylko zaletę bystrego spostrzeżenia, lecz prawie zasługę cennego odkrycia.

Wielki przełom w historii naszej dotknął te rody najwięcej, bo zabrał im nietylko idealne mienie, ale i zerwał więzy, które ich z tem idealnem mieniem łączyły, ów od dziada na ojca, od ojca na syna w pozornie niekończącej się kolei dziedziczącej się z a w ód, który jest czasem lwią częścią każdego dziedzictwa. Tam, gdzie mądrością, miłością a może nieraz i zaparciem się siebie, nowe węzły z tem idealnem mieniem nawiązane nie zostały, tam zostali potomkowie tych rodów wyrzuceni z kolei wieków, z kolei, jak mówi Wallenstein:

des ewig Gestrigen

Was immer war und immer wiederkehrt

Und morgen gilt, weil's heute hat gegolten!

Tem też zdaje mi się, da się najłatwiej wytłómaczyć coraz to bardziej wzmagająca się przewaga umysłowa i życiowa żywiołu kobiecego w tych rodach; kobieta bowiem

wskutek tego przelomu nie straciła zawodu swego, został on dla niej tensam, niezmienny, ten zawód, będący zarazem obowiązkiem i posłannictwem; za tem przemawia i to, że w przeżytych rodach innych narodów przewaga kobieca nie występuje zupełnie lub nie objawiła się tak silnie. Dalszem i naturalnem następstwem tego jest wzmaganie się kobiecości w potomstwie męskiem i przewaga uczuciowości w jego życiu i myślach. Ale *enggebunden ist des Weibes Glück*; uczucie wystarczy na opromienienie węższego tego zakresu; lecz będzie to światło za słabe na oświetlenie, a tembardziej na wydobyć fermentu w tem szerokim kole działalności męskiej, w tem kole obowiązku, po za którego obwodem zakreśla się dopiero o wiele szersze jeszcze koło posłannictwa, mające z tamtem kołem wspólny punkt środkowy, ale nieskończenie dłuższą średnicę.

A Leon Płoszowski ze swym pierwotnie tak zdrowym i silnym organizmem, ale z tym brakiem harmonii i zawodu w wyższem znaczeniu oddający sam siebie na pastwę wszelkim uczuciom i uczuciowościom, traktujący życie swe jak fejleton, a wyrażający swą maksymę życiową aforyzmem świetnym, jako nagłówek fejletonu — czyż nie wydaje się on więcej jako typ i wzór kończącej się jednej fazy... polskiej kultury, niż jako essencya, wyciśnięta z zatrutego kwiecica wielkiej kultury światowej?

Wysoce charakterystycznym i przez autora z zachwycającą bystrością podchwycyconem, jest sp. strzeżenie Leona, zawarte w najpiękniejszej, bo umysłowo najgłębszej części, w drugiej połowie trzeciego tomu. Otóż pod dniem 10 listopada notuje on: „Co za dziwne pojęcie, że uczuciowość ludzi nowożytnych zmniejsza się. Czasem myślę, że jest przeciwnie. To inna rzecz, że brak czerwonych kulek w naszej krwi będzie wytwarzał uczucia nienormalne i chorobliwe; tragedia uczuciowa ludzka raczej się przezto zwiększy, niż zmniejszy.“

Każdy artysta, mówi Michał Anioł, maluje ostatecznie samego siebie — a jest to może najkrótsza, paradoksalna prawie definicya związku psychologii z techniką, nadzmysłowej strony sztuki z jej stroną zmysłową. Leon Płoszowski artystą wprawdzie nie jest, mniej prawie niż sądzi, ale równa go z artystami jego wygórowany subiektywizm, podsycany

codziennie nowemi kartkami dziennika. To, co o ludziach i rzeczach mówi, jest tylko rozszerzeniem Leona Płoszowskiego; cały świat tego trzechtomowego dzieła dzieli się i mierzy podziałką duchową jego bezdogmatowego bohatera. Do niego więc samego, do tego potomka gasnącego rodu, odnosi się w pierwszej linii ta ulotna pozornie uwaga o tragedji uczuciowej ludzkiej. I tutaj, jest on pierwszym aktorem, jest tragedji tej, jak mawiali Grecy, „protagonistą“. W słowach tych leży, zdaje mi się, klucz do całej umysłowej części dzieła tego. Otóż ta tragedia uczuciowa zdaje mi się być tylko dopełnieniem, i, że tak powiem, niewieścią i muzykalną stroną całej tragedji ludzkiej; nie w tragedji uczuciowej zaś, lecz w tragedji umysłowej, w walce, w porażkach i tryumfach świata umysłowego leży tej tragedji ludzkiej cała groza, cała cierpkość, ale i cała wspaniałość.

Organizm duchowy Leona nie rokuje mu w tej walce powodzenia; zbywa mu na pierwszym warunku, na możliwości łatwego skoncentrowania i zmobilizowania swych sił umysłowych. Myśli jego zrodzone w sereu lub nerwach, nie stają do walki z uczuciami, jak siła równa z równą. Organem, który między nim, a światem zewnętrznym pośredniczy, są czasem wyłącznie tylko nerwy; dlatego też świat ten zewnętrzny działa na niego często wrażeniami surowo zmysłowemi. Całe to przywłaszczenie sobie zewnętrznych objawów umysłowych, cała ta endosmoza duchowa odbywa się prawie bez jego osobistego przyczynienia się, z tą mimowolną, i niedostrzegalną i nie dającą się skontrolować siłą fizycznego prawa. Wszystkie te zewnętrzne wrażenia zmysłowe i umysłowe, wnikają w niego na podstawie kapilarności jego organizmu duchowego, w stanie już tak zdrobniałym i segregowanym, że mózg jego ogranicza się prawie tylko do funkcji negatywnych, do niedopuszczenia, by te pojedyncze uczucia, wrażenia, spostrzeżenia, z sobą się połączyć i zlać mogły. Analiza jest tu mniej rozłożeniem całości na części składowe, ile raczej tylko funkcją, doprowadzającą te refleksa i odłamki świata zewnętrznego do świadomości jego umysłu. Tak więc wsiąka świat w takie umysły, jak Leona Płoszowskiego, cząstkami tylko; umysły takie opierają się jedynie na fragmentach, nie na całości, grają w nich pojedyncze

tylko silne myśli, bez spokoju i wyższości właściwej potęgi myślenia.

A rzecz dziwna! Mimo tego ustawicznego odczuwania swego „ja“, mimo całego wrażliwego subiektywizmu, nie dojdą one nigdy do prawdziwego wzniosłego indywidualizmu. Będą postacie takie czemś może większem, wybredniejszem od typu, ale nie dojdą nigdy do znaczenia symbolu. Czy Sienkiewicz rzeczywiście na tem poprzestać zamierzał? Czy rodząc pierwsze kontury dzieła tego, nie miał zamiarów wyższych od stworzenia „szkicu węglem“ w nadnaturalnej wielkości; lub czy może poskromiwszy przez długie lata cudnej epickiej twórczości w sobie nowożytnego człowieka, nie mógł się teraz opędzić natarczywości tłoczących się myśli, głębokich i bystrych spostrzeżeń, i nie chcąc ich uronić, z nerwową może szybkością szkicował tylko i konturował, późniejsze barwy gdzie-niegdzie tylko markując? Może powodem, że dzieło to nie do oczekiwań się końca twórczego procesu duchowego, jest to, że się nie doczekało skończonego procesu artystycznego. Może i tu materya nie jest dostatecznie zwalczona formą; może i to dzieło, jak tyle dzieł nowożytnego umysłu, zawisło w połowie drogi między jaskrawym i impresyonistycznym szkicem a skończoną artystyczną konstrukcją. Na to więc, czy autor rzeczywiście zamierzał dać w Leonie Płoszowskim odblask tylko, a nie ferment naszego nowożytnego życia umysłowego, lub czy i tutaj znowu, jak w wielu najprzedniejszych dziełach umysłu polskiego, szybka i niepowściągliwa krewkość naszej artystycznej twórczości była przyczyną, że bohatera swego nie doprowadził do wagi symbolu i do wyżyn ideału (naturalnie w słowa tego estetycznem, a nie etycznym znaczeniu)—na to chyba przyszłe pokolenie dać może odpowiedź. Ono będzie mogło odpowiedzieć, czy *Bez Dogmatu* jest tylko wytwornym i ostatnim wyrazem impresyonizmu, czy też przeciwnie zapowiedzią i dziełem epoki przejściowej do kreacji, mających się stać symbolem umysłowej walki naszego narodu, tego rdzenia naszego życia, tego nasienia naszej przyszłości. Wszelkie inne bowiem usiłowania, zabiegi i zdobycze, mogą nam dać co najwięcej tylko lepszą i wygodniejszą terażniejszość w przyszłości — prawdziwej przyszłości one nam nie dadzą. Nie moja to

tylko wiara i nie moje to tylko przekonanie. Tę przyszłość da nam tylko duchowa walka spokojna, głęboka, rzetelna, żywotnością swą chroniąca od pedantyzmu, uroczą powagą odtrącająca natrętny, wiecznie uśmiechnięty i wiecznie z siebie zadowolony dyletantyzm. Może się ona toczyć będzie szlakami sztuki, może i literatury, może, co prawdopodobniejszem, drogą wiedzy ścisłych, może nawet objawi się formą śmiałej konstrukcyi filozoficznej—ale niech przyjdzie, bo bez niej się nie ostoimy!

Ale i z innego jeszcze punktu widzenia na dzieło to zapatrywać się można. Ten, który stworzył tyle myśli żyjących kształtami i tyle wyobraźni szczytną naszą historią uzmysłowił ten, który dał tyle ze siebie samego, by stworzyć dzieło, któreby bardziej niż jakiegokolwiek inne serca krzepiło i podnosiło umysły, ma zapewne prawo podzielić się z rzeszą przyjaciół i wielbicieli nie tylko dobrem, ale i złem, ma zapewne prawo, gdy jest smutnym i zgnębionym, ciężar tego smutku i zgnębienia przelać w nowy utwór, i tak dokonać na sobie samym dzieła umysłowej „*katharsis*“, tego rzeczywistego i zarazem jedyne go przywileju artysty-poety: wyzwolenie się z gniotących go uczuć przez artystyczne ich uzmysłowienie. To, co nam się może wydawać nie harmonijnem i raziącym, może być wynikiem serca rozgoryczonego terażniejszością i może się okazać jako objaw niezwykłej rozpiętości poglądu na dzieje narodu naszego. Wolno Sofoklesowi do własnej trylogii dokomponować grę satyrową. Gdyby więc autor chciał nam przedstawić w Leonie Płoszowskim tak zwaną „odwrotną stronę medalu“, byłaby to ironia najbardziej cierpka, jaką może zna literatura światowa, bo rysy tego geniuszu bez teki, wydolikaczone i wyrafinowane, mają się do fizygnomii owych wielkich bohaterów i „małych rycerzy“, jak delikatne kopie w *aqua forcie*, wykonane subtelną ręką rokokowego rytownika, do cierpkiej siły i rzeźbiarskiej faktury Dürer'owskiego drzeworytu. Cienie olbrzymiej długości, padające z dzieła tego na nasze społeczeństwo, sprawiłyby wprawdzie to, żeby ów cały świat XVII wieku już samym kontrastem tem jaśniej błyszczał; ten trzechtomowy romans zaś musiałby się zredukować do znaczenia epilogu, stać się środkiem do tem silniejszego oświetlenia tam-

tych dzieł, napisanych „dla pokrzepienia serc“. Ale taka redukcya znaczenia tego dzieła, nie mogła, zdaje mi się, być zamiarem autora.

Historyozofowie twierdzą, że myśli i idee przewodnie żyją zazwyczaj przez trzy pokolenia, że w trzecim wyczerpują i wycieńczają się stanowczo; po degeneracyi trzeciego pokolenia następuje w czwartym, będącym znowu pierwszym nowej epoki, regeneracya, która sobie nowe gniazdo ścieli i nowemi silami do nowych celów dąży. Leon Płoszowski, ów członek emigracyi poemigracyjnej, nosi cechy wybitne dziecka trzeciego pokolenia, tak, jak doskonałym reprezentantem pierwszego jest — Hrabia z *Pana Tadeusza*. Wspólną jest dziadkowi i wnukowi owa „eksterrytoryalność“ poglądów i form życia, wspólne im są te nieco zbyt wolne węzły, łączące ich z krajem rodzinnym, utrzymywane bardziej z konieczności, niż z instynktowego przywiązania; a przedewszystkiem objawia się ta wspólność równomiernie w pierwszym i w trzecim pokoleniu ową draperyą zagranicznego powiewu umysłowego, tam u dziadka w formie nie szkodliwej elegancko rycerskiej romantyczności z Keep-sake'u, tu w formie bladolicego pesymizmu i interesującego skeptycyzmu *à 3. frs. 50 c. le volume.*

Skeptycyzm ten i pesymizm wyrobił się więc u niego w zetknięciu się — jak to często sam otwarcie wyznaje — z wielką kulturą światową. Trzema drogami do niej doszedł i z nią się spoufalił. Wpłynęła ona na niego najmocniej może tą stroną najbardziej zewnętrzną, t. j. życiem i towarzysstwem; zetknął się następnie z nią przez sztukę, tę pośredniczkę między życiem zmysłowym a umysłowym; zapoznał się wreszcie z filozofią, z lotnym wyskokiem tej kultury, skodyfikowanym przez ciężką walkę umysłową i ujętym w karby systemu nieugiętą wolą pracującego umysłu.

Życie i towarzystwo ze wszystkich tych trzech czynników obcego świata dało mu najwięcej, a bodaj czy nie najwięcej mu wzięło. Szkoda, że ta wrodzona skłonność analizowania nie obudziła się w nim już gdzieś za czasów warszawskich; szkoda, że nie mógł odnaleźć w biurku jakiego urywku dawnego dziennika z czasów uniwersyteckich lub

pierwszych lat paryskich, i tak historię swą uzupełnić. Nie opowiada nam też, ale może każe się domyślać, że wpływy Calvich i Metzów, nie dość obeznanych z teraźniejszością i dających wychowanie o zakroju bardziej kobiecym, nie zahartowały go dostatecznie do życia. Ale w każdym razie mogły to być powody jedynie drugo- i trzeciorzędne. Główną przyczyną tego pół-rozkładu, w którym żyje, zdają się być przecież „godziny hali“ i salonowość, ta wytworność towarzyska, która bardzo często posiada tylko zewnętrzną warstwę wytworności duchowej. Misterność w tym zawodzie odziedziczył Leon po części po ojcu, po części jest ona owocem własnego upodobania i nałogu. Życie takie nie daje wielkiego szczęścia, ale dużo drobnego zadowolenia; nie robi ono sławnym, ale bardzo głośnym; nie może zaspokoić wielkiej ambicyi, ale nieprzerwanym szeregiem miłych sukcesów odurza i apetyt do wszelkich zdobyczy zabija. Salonowość ta przeniknęła go zupełnie, wkradła się w jego każdy ruch i każde słowo, kieruje jego ustami i ręką tak dalece, że Leon Płoszowski wystrzegając się tak pilnie, żeby dziennika nie pisał po literacku, pisze go nieraz po salonowemu. Nie trąci jego wytworny styl ani Bourgetem ani Maupassantem, ani jakimkolwiek innym nowożytnym pisarzem francuskim, choć umysłowo jest może najbardziej zbliżonym do Baudelaire'a; gdzieniegdzie tylko zawieruszy się jakiś gallikanizm, tak n. p. gdy mu Anielka wydaje się tak powabną „żeby ją schrustać można“, co znaczy tyle: *qu'elle était belle à croquer*. Ale natomiast przejął się tą niwelującą i egalizującą gładkością paryzkiego salonu i jego literackim wyrazem, którym jest fejleton. Odnajdujemy ten pierwiastek fejletonowy w tych *petits mots*, w reminiscencyach dawnych powodzeń „wyższych salonów“, w tych *impromptus* umysłowych z połyskiem myśli genialnych, w zwrotach, któremi tak często kończy swoje zapiski, tak jak ongi *avec un beau tour de phrase* pozbywał się swego *vis-à-vis*, by się tem szczerzej oddać swojej sąsiadce. Cały styl lub raczej ta maniera fejletonowego sposobu pisania, pełna umysłowych *bibelots*, porównań i paradoksów, ze swą aforystyczną bystrością spostrzeżeń, kłującą i głęboką jak szpilka, rada każdą najpoważniejszą melodyę zredukować do  $\frac{3}{4}$  walcowego taktu

i każdy ponury koloryt do pstrości akwarelli, pochodzi wprost ze salonu i od salonowości. Naturalnie, odnosi się to tylko do kartek, gdzie notuje i rozważa rzeczy, dla których jest obojętnym albo zobojętniał. Ale na rzeczy najboleśniejże nawet znajdzie ten styl jeszcze porównanie, i najgwałtowniejsze wzburzenie serca zdoła się jeszcze w dzienniku pana Leona ubrać w gładkie zdanie i wdzięcznie ułożone słowa. Nie może to być prawie inaczej u człowieka, który jest nie tylko światowcem, ale jako *Leon l'Invincible II* błyszczącym salonowcem.

Większa połowa może tego przygnębiaenia umysłowego jest wynikiem — przepraszam za wyrażenie — „katzenjammeru“, i przygnębiaenia fizycznego, a te niezliczone „nie wiem“ wylegają i krążą koło niego jak émy w owych szarych dniach znużenia i przesytu po zbyt zapalczywych „godzinach hali“, któremi to słowy Leon szermierkę salonową i — buduarową określa.

Bo i ten pierwotny, tak zdrowy organizm fizyczny, nie wyszedł cały z tego życia. Dlategoż i miłość jego, w swym rezultacie tak wzniosła i czysta, okazuje objawy, graniczące prawie ze zbroczeniem, dające się wytłómaczyć chyba tylko nerwami, niebezpiecznie przedrażnionemi. Mam tu na myśli te dwa ataki, paroksyzmy prawie jakiejś zmysłowej lubieżności dręczenia tej jego „najdroższej głowy“. Pierwszy zaiste bardzo przykry, pod którym i czytelnik niemal cierpi, w Płoszowie, opowiedziany przy końcu drugiego tomu, drugi w Gasteinie; oba razy następuje potem reakcyja zupełna, niewolnicze, służalcze poddanie się jej. Tylko barbarzyńskie lub nerwowo mocno chore i osłabione natury (bo i tutaj ostateczności stykają się) tak odczuwają. Ale być może, że zbywa mi na subtelności dla zrozumienia tych odcieni nowożytnej psycho-patologii!

Czemś jeszcze przysłużył mu się ten wielki świat francuski, a mianowicie swym dyletantyzmem, którego lotne nasienie przyjmuje się tak niezmiernie łatwo na glebach, nie wziętych pod racjonalną kulturę, zachwaszczając je zupełnie. Zdaje sobie Leon z niego doskonale sprawę, ale im bardziej go rozumie, tem mniej zdoła go wykorzenić; jak w ogóle wszystkie jego analizy kończą się skonstatowaniem uczuć, wad, sytuacji, błędów, bez zamiaru nawet podniesienia, usu-

nięcia, wykorzenia ich. Bez zaprzeczenia jest ta skłonność do dyletantyzmu właściwością nie osobistą, lecz prawie narodową, a między motywami, assymilizującemi nas ze światem francuskim, jednym z najsilniejszych. Zachodzi atoli ta jedna wielka różnica, że dyletantyzm francuski jest czynnym i twórczym, a nasz biernym i spożywającym tylko, i że tamten polega na tworzeniu, a nasz na przyjmowaniu i używaniu; w tej nieustającej *exposition universelle*, jaką jest umysłowy i towarzyski świat francuski, są oni wystawcami, a my publicznością.

*L'esprit d'analyse poussé très loin aboutit nécessairement au dilettantisme*, a w dalszej konsekwencji tego słusznego zdania Bourget'a, dyletantyzm taki, będący tylko romantyczną przyprawą łatwego i pełnego drobnych uciech życia, prowadzi znowu z konieczności do sybarytyzmu. Leon Płoszowski z uznania godną otwartością, której wartość tylko trochę umniejsza łatwość i obojętność prawie, z jaką te wyznania składa i powtarza, zmęczonego sybarytyzmu tego zupełnie nie tai. Z wielką lubością zapisuje, jak wieczorami w Pegli w Villa Laura, chcąc widocznie dzięki milionom dygotającego Davisa rywalizować z przepyszną sąsiadką, z willą Pallavicini-Durazzo, przy otwartem oknie, owiany świeżym powiewem morza raz jeszcze odczuwa i smakuje przeżyte chwile z panią Davisową. Nie robię mu zbyteżnego wyrzutu z tego stosunku, i ostatecznie nie bardzo też zaważy jeden epizod mniej lub więcej na szali życia, dotychczas ze samych epizodów składającego się. Że atoli zmysłową podniętę pięknej co prawda nagości tego sybarytyzmu zmysłowego, podwaja jeszcze zarzuconą nań przezroczystą gazą sybarytyzmu umysłowego, budzi, we mnie przynajmniej, niesmak i prawie wstręt. Spotykamy się nietylko w literaturze z takim stosunkiem, jakiego był niemym świadkiem błękit nieba w Pegli i pan Davis; ale pani Laura rozłożona w łodzi i czytająca Dantego, graniczy prawie z wyuzdaniem. Przecież i Dantemu, mówiąc ulubionym na Babuino frazesem, należało się coś z tej *netteté du plumage*. Albo może ten sponiewierany tutaj Dante, a mający znowu się stać typem czystego stosunku z Anielką, na jakim Leon wreszcie poprzestaje, ma być niejako symbolem reakcyi i regeneracyi duchowej, dokonującej się

w Leonie przez czysto duchową miłość w Gasteinie? Może i tu nie wyrozumiałem dosyć finezyj artystycznych i intencji autora, i może mówiąc znowu z Bourget'em: *L'homme un peu simple s'irrite si aisément contre la finesse, qu'il ne comprend pas!*

Ale ta wielka kultura, do której Leon się zbliżył, nie jest i nie może być uważaną za żywioł wrogi tylko, odbiera ona dużo tym niebaczny, ale też odważni dużo zdobywają. Posiada ona przecież czynnik jeden, który działa wielką siłą spojenia, wywyższenia i przetapiania tych wszystkich odłamków i urywków biżuteryi w nowe, trwałe i piękne kształty, a jest nim sztuka.

I tu właśnie jest punkt bardzo ważny, w którym Leon stanął o wiele niżej, zdaniem mojem, niż mu to przez jego zdolności, środki, wychowanie — a może i przez pierwotny plan autora, przeznaczonem było. Nie mogę tu dobrze wyrozumieć Płoszowskiego syna, jak też na przykład nie mogę wyrozumieć Płoszowskiego ojca, który przyszej synowej zapisuje Madonnę Sassoferata. Kapliczkowa i lukrowana świętość tego malarza, będzie wprawdzie w rozmownicy Sacré Coeur przedmiotem serdecznego zachwytu zakonnice i ich wychowanie, ale przecież żadną miarą nie może zadowolnić bardziej męskiego i wybrednego smaku. Leon był przecież, jak twierdzi, „człowiekiem typu helleńskiego“, i miał nawet „niewątpliwie duszę starożytnego Greka“ (II, 221). Nie znaczy to tyle (jeżeli w ogóle nie jest tylko aforyzmem, pochodzącym z ust pani Davisowej), że Leon ma wielką, prawdziwą, a co ważniejsza, bezwiedną prawie i szczerze naiwną potrzebę żyć życiem sztuki, życiem formy? Jeżeli w ogóle czegoś poważnie pragnął i żądał wśród rozpraszającego i rozkładającego go życia i dyletantyzmu, jeżeli rzeczywiście szukał gdzieś i w czymś umysłowego ukojenia, to przecież musiałby był z namiętnością prawie oddać się sztuce, artystycznej kontemplacji i kombinacji. Spotkać się stanowczo, jak najbliżej się zaprzyjaźnić ze sztuką, zdawało mi się być umysłową koniecznością, wewnętrznem przeznaczeniem takiego życia i takiego organizmu. Zniknęła, jakeśmy to już widzieli, z umysłu i serca jego, poezya, ale pozostały po niej resztki poetyczności; w ogóle eteryczna poezya nie działa dostatecznie na nerwy nowożytnych „przeanalizowanych“, po-

trzebujących silniejszej podniety zmysłowej — ale zostało malarstwo nowożytne, które ze swą wyrafinowaną elegancyą, ze swym impresyjonizmem bystrym a nie głębokim, jest naturalnym prawie typem i bratem po duchu organizmów umysłowych rodzaju Leona Płoszowskiego.

Co więcej, jest jeszcze muzyka nowożytna, która w wielu kreacyach najprzedniejszych, staje się już wprost apoteozą newrozy i wyrazem nowożytnego pesymizmu. Schopenhauer, z którego ideami Leon, o ile wnosić można, serdecznie się spoufała, całą tę muzykę przepowiedział i wywołał. A rzeczywiście, jeżeli już egzystuje w człowieku przerafinowanym, ateńskiego pochodzenia, a więc mającym wyższe umysłowe aspiracje i pretensye, tak genialna delikatność czucia, taka mimozowata wrażliwość i drażliwość, to przypuszczałem, że objawi się ona częściej przenikliwem odczuwaniem nowożytnej patologii muzykalnej. A jeżeli nie Schopenhauer, to pani Laura, ten pyszny typ *d'une femme du Wagnerianisme* zdawała być się przeznaczona do wprowadzenia go w ten świat tonów i dyssonansów. Dzisiejszy świat artystyczny, jeżeli się rzeczywiście tak jak Leon w nim i z nim żyje, dotyka, porusza i podrażnia nasze nerwy tak silnie, że trzeba być prawie artystycznie jałowym lub bardzo wygodnym, żeby tak mało z tych wrażeń przemienionych w myśli spłynęło „od mózgu przez ramię do pióra“. W umyśle, któremu już szelest gumowego płaszcza psuje rzewne chwile pożegnania z poczciwą przyjaciółką, z misternie oddaną Klarą Hilst, spodziewałem się znaleźć choć odrobinę tej najnowszej filozofii muzycznej, która myśli i mierzy nie Kantowskimi kategoryami, ale bezimiennymi uczuciami, dla których psychologia jeszcze terminów nie wynalazła a które jedynie kombinacyami tonów i instrumentów i pozornymi dyssonansami najnowszej szkoły mogą być oddane. Rzeczywiście trudno nam uwierzyć, jak dominującą rolę dzisiaj w umysłowym życiu Niemiec, Francji i Włoch muzyka odgrywa. W muzyce dzisiejszej jest najsubtelniejszy i najdelikatniejszy wyskok, którym się kondensują wszystkie unoszące się w atmosferze duchowej pesymizmy, rozdrażnienia zmysłów, osłabienie woli, rezygnacye ze świata. Biedny Nietzsche, który z przeraźliwą i jasnowidzącą przenikliwością to wszystko zrozumiał, i który po-

dobne przechodził fazy rozwoju i powrotu zapatrywań estetycznych, jak je widzimy w ostatnich romansach i w zbiorze studyów literackich Bourget'a, znajdzie kiedyś może jeszcze mistrza, który wydobędzie całą tragikę i całą umysłową zasługę takiej rzeczywistej głębokiej analizy, takiego umysłowego eksperymentu, dokonanego kosztem wynalazcy, znajdzie on może swego Goethego, jak biedny Jerusalem go znalazł w *Wertherze*.

Między niezaspokojonemi zasadami etyki i między nieodpoczywającą nigdy analizą nowożytną wiedzy i nowożytnego ducha (a ostatecznie obie te biedy dokuczają Leonowi), byłaby sztuka wystąpiła w jego życiu jako czynnik łączący, a odwracając analizę nerwów własnych na analizę nerwów obcych, na produkcję muzyczną i artystyczną, byłaby była w nim wyrobiła zamiłowanie, coś, graniczącego z zawodową pracą, byłaby myślom jego podsunęła materię, w której one by się wcielić i jako tako krystalizować mogły. Nie byłaby więc jedna kobieta więcej, jako dziewczyna z obczyzny, *Das Mädchen aus der Fremde*, zawadziła ostatecznie w romansie, który jak tyle wybitnych dzieł artystycznych naszego ducha twórczego, żeby choć tylko wspomnieć Słowackiego *Horsztyńskich*, cierpi może nawet na jakąś poly-erotykę; bo przesuwają się i tutaj przed naszymi oczami trzy przedmioty i trzy rodzaje miłości.

Raz, w chwili jakiegoś przelotnego cynizmu, zdaje się mu, „że my mężczyźni, do żadnej kobiety bez myśli ubocznej zbliżyć się nie możemy“. Uwaga ta, jak tyle innych przeleciała tylko przez jego pióro, ale obawiam się prawdziwie, że to zbliżenie się jego do sztuki także nie jest wolne od jakiegoś zamiaru ubocznego.

Może rzeczywiście trzeba być narodem o wiele starszym, bardziej wytrawnym i dojrzałym, i spoczywać na niższych warstwach kultury niż my, niż szczepek słowiański w ogóle, ażeby sztukę odczuwać czysto, jako świat wyższy, ale mimo to realny, jako świat formy — i w istnienie świata tego wierzyć. Wiara ta jest częściej rzeczywiście udziałem i prerogatywą tych narodów i pokoleń, których mózg dużo się trudził abstrakcją myśli, filozofią, matematyką; a owo nieuniknione zestawienie „sztuki i nauki“, nie jest tylko od-

świętym komunalem, i może rzeczywiście te wysiłki i wytężenia mózgu, ta abstrakcyja umysłowa umożliwia pojęcie sztuki, tej abstrakcyi zmysłowej. W samej rzeczy zdaje mi się, jakobyśmy się do wytworzenia i dokładnego odgraniczenia pojedynczych przestrzeni świata umysłowego, do wytworzenia czystych *ras umysłowych* bardzo mało jeszcze byli przyczynili. Nie zważaliśmy często na to, co tak pięknie mówi Alfred de Vigny: *qu'il faut séparer la vie politique de la vie poétique*. Świat filozofii i abstrakcyi przenosimy często do świata uczuć i fantazyi, zdaje się nawet, jakoby w naszym charakterze narodowym czy szczepowym leżała jakaś niemożebność odczuwania sztuki bez pożądlivości.

Dzieci śmieją się z tych wróbli, o których im opowiadamy, że dziobały winogrona przez greckiego artystę misternie malowane. My w dalszym ciągu śmiejemy się z dzieci, gdy w gabinecie figur woskowych przestraszone cofają się przed przyprawionemi wąsami i idyotycznemi szklannemi oczami wystawionych tam sławnych ludzi — uważajmy, żeby na nas kiedy kolej nie przyszła... W takim pojmowaniu sztuki, która do trzech czwartych działa na nas materyą t. j. swą stroną uboczną, a w drobnej części tylko rzeczą główną t. j. formą, w takim pojmowaniu, że forma jest tylko dopełnieniem treści, podczas gdy zdaniem mojem rzecz się ma odwrotnie, leży coś chłopięcego i niedojrzałego. Zbytνια nasza wrażliwość i zbyt zmysłowa fantazyja sprawiają więc to, że sztuka zamiast nas podnosić i skupiać, bardziej tylko rozluźnia i czyni zniewieściałymi. Tak też z pewnym pozorem słuszności starają się moralisci *quand-même*, mierzący powierzchwnie idealnie zakreslającej się figury klockowatą kostką swoich „zasad“, w szerszych warstwach zaszcześcić przekonanie, że w sztuce samej leży ten pierwiastek rozkładający, że ona jest nam zbyt cenną, że jest tylko zbyt cenną oprawą zbyt cennego i zbyt cennego dzieła, leżącego na salonowym stole. Ztąd też powstaje to gmatwanie i bałamucenie pojęć, to przenoszenie ich dowolne ze świata zmysłowego do świata sztuki i na odwrót. Leon Płoszowski, który „potrzebuje sztuki tylko, jako dopełnienia wszelkiego rodzaju przyjemnych i rozkosznych wrażeń życiowych“ jest typowym, ale i bardzo eleganckim wyrazem takiego naszego nie-

dostatecznego pojmowania sztuki; a, żeby choć jeden przykład przytoczyć, przypominam czytelnikowi jego artystyczne glossy nad twarzą Laury z 20 kwietnia (I, str. 220 i 221). Pragnąłem znaleźć w nim coś więcej jak typ; a widząc, że miał wszelkie dane po temu, żeby się wzniesć ponad postać typową i swoją wysoką liczbą wartość przeciętnej wypadkowej znacznie podwyższyć, spodziewałem się, że sztuka w duszy jego zupełnie inaczej się odbije i że będzie mu coś więcej jak tylko zaprawą życia.

Czy i z filozofią ma się inaczej? Zapewne, że nie była mu czynnikiem dodatnim, bo czynnika takiego w ogóle trudno znaleźć dla tej natury dogmatycznej w swej niedogmatyczności. Ale odkąd i w jakiej formie ta filozofia zaczęła na niego działać? Czy i przez jakie książki i wypadki życiowe prowadziła go ta droga od wiary do niewiary, albo raczej od dogmatów Metzowskich do bezdogmatów paryskich — tego nam w całej trzechtomowej historii swego życia niestety nie opowiada. Skazuje nas na domysły tylko i na konjekтуры; należy więc przypuścić, że cały ten proces odbywał się bez silniejszych wstrząśnień i że jest rezultatem bardziej nieświadomej niedbałości tylko o swe mienie duchowe. Przerzucał on kartki tych grubych tomów i rozcinał w podróży te cienkie broszurki, które przypadkowo przechodzącego koło wystawy księgarskich nęcącemi tytułami zaciekawiały, po to tylko, ażeby w nich znaleźć potwierdzenie i filozoficzne usprawiedliwienie owych myśli, które się wylęgały w chwilach czczego i smętnego zadumania *d' un homme sur son retour*. Podobnie jak miłośnik muzyki w chwilach czystości i niewinności uczuć sięga za Mozartem, lub chcąc dać wyraz jakiemuś przedzierającym się uczuciu prometejskiej siły, wybierze Beethovena, tak i Leon Płoszowski zaczął sobie dobierać i kooptować takich filozofów, w których znajdował filozoficzną amnestję na rozmaite „zaniki“ i „dni odpływu“. Filozofowie ci wydają mi się być u niego skutkiem bardziej, niż przyczyną.

Żadnym filozofem, zdaje się, nieprzejął on się do głębi; żaden też za jego czyny odpowiedzialnym być nie może, bo Leon nie był ich uczniem, ale zawsze tylko eksternistą.

Najjaskrawsze są różnice, otoczone samemi podobieństwami. Analogie między *Bez Dogmatu* a *Disciple'm* są tak wielkie i tak w oczy bijące, iż każdemu czytelnikowi prawie nasunęło się w pierwszej chwili przypuszczenie jakiegoś głębszego wpływu, wywartego przez analistę francuzkiego na umysł pierwszego naszego pisarza, i to wpływu, sięgającego o wiele głębiej, po za formalny motyw dziennika. Jak często, tak i tym razem pozory łudzą. Mylność takiego przypuszczenia wykazuje sam wzgląd czasowy: Bourget datuje przedmowę do *Disciple'a* z dnia 5 czerwca r. 1889, Sienkiewicz, o ile mi wiadomo, już na wiosnę tego roku dzieło swoje miał zasadniczo obmyślane, a od jesieni r. 1889 zaczęło ono w odcinkach *Czasu* wychodzić. Ale sam argument czasowy nie wystarcza. Rezultaty, opierające się jedynie na przypadkowo zgadzającej się dacie, kwestyę przecinają, ale jej nie rozstrzygają. Gdyby dzieło polskie nawet o dwa lata n. p. było młodszem, nie należałoby zdaniem mojem przypuszczać większego wpływu. Wzgląd formalny, pomysł dziennika rozstrzygać nie może. Założenie pierwotne charakterów, co prawda, wykazuje znaczne analogie: słodka, poetycznie piękna religijność lat dziecięcych, posunięta prawie do egzaltacyi, wielka bystrość w obserwowaniu siebie samych, zmysłowość pełna namiętności. Ale u Leona jest to namiętność jedyna; wszystko inne, co lubi lub pragnie, jest rzeczą zmiennego upodobania. U Roberta Greslou przeciwnie: namiętność zmysłowa jest dopełnieniem tylko namiętności umysłowej; jest w nim zuchwała energia, jakiś niepomowany szal ucieleśnienia słów swego mistrza, jakaś dzika żądza, podszyta zwierzęcym egoizmem zmysłów złożenia żywego świadectwa tej nowej nauki. Tu jest dogmat, pełen fatalistycznej zaciekłości, tu jest duma, pełna bezecnej wyniosłości, tu jest zawiązek i rozwój wielkiej tragedyi. Dawniej, kiedy Charlotty jeszcze nie znał i kiedy we wszystkich żyłach i kroplach krwi nie zagrała jeszcze chuć barbarzyńskiej zdobyczy, dusza jego, jak się mistrzowi spowiada, była *philosophique, réfléchie et lucide*; tak określa chwile równowagi sił. U Leona chwile spokoju są chwilami zupełnego zastoju sił; „żyje on wtedy życiem roślinnem i jak sam

dwukrotnie mówi, ogarnia go drzemka, jak gdyby był ciągle zanurzonym w ciepłej kąpieli“.

Robert Greslou, to skała rozsadzona wewnętrznym wulkanicznym ogniem, a bryły zapadające się w niezmierną otchłań, słupy płomieni wydobywające się z wnętrza ziemi są zapowiedzią pożogi i zniszczenia, napęniają nas tragiczną grozą jakiegoś dzieła spustoszenia, które przyroda na sobie samej dokonuje. Leon Płoszowski przeciwnie ostatecznie wkłęsa i zapada się ciężarem warstw górnych tej skały, miazdzących spodnie podkłady, zwietrzałe i podmulone „falami odpływu“. Zwątpienia *Disciple'a* są jak wampiry, krew mu wysysają; dla powątpiewania Leona, to tylko nieszkodliwe nietoperze, które ustawicznie straszą, ale nie ranią.

Wszedłszy już raz na drogę literackich paralel, nie chcę pominąć nader wybitnej książki, jednej z najgłębszych, jakie literatura niemiecka po wojnie francuskiej wydała. Przeszła ona u nas niepostrzeżenie, jak tyle najcenniejszych owoców germańskiego świata umysłowego, z którym mimo licznych i ścisłych stosunków naukowych i innych, jakoś szczerze zapoznać się nie umiemy lub nie chcemy. Mam tu na myśli tak na wskrós oryginalny, również w formie dziennika pisany, dwutomowy romans sławnego estetyka, a przede wszystkim bardzo głębokiego i samoistnego myśliciela, Teodora Vischera: *Auch Einer. Eine Reisebekanntschaft* (1878). Jestto historia człowieka, którego artystyczna dusza z formami, a którego idealizm z treścią nowożytnego życia pogodzić się nie może. W rzeczach wielkich i drobnych, gryzie go i dokucza mu to, co żartobliwie nazywa złośliwością przedmiotu, *die Tücke des Objektes*. Co pocnie, czego się tknie, wszystko się w jego rękach rwie i paczy. W ironiach, sarkazmach, w bezowocnych irytacyach, rozprasza się jego życie. Odbija się to i w jego dzienniku, pełnym cierpkich uśmiechów, łzawej ironii, niepohamowanych napadów złości, graniczących z dziwactwem. Ale z tych nurtów życia, rwących brzegi jego, wynosi cało i czysto, jak drogą istotę, wyratowaną szczęśliwie od utonięcia, ten swój szczerzy, piękny, rzetelny idealizm; charakteryzuje on się tak trafnie, jako „Prometeusz w zmniejszonym formacie, rozsiekany nie przez sępy, ale przez — wróble.“

Nieudolnością i szorstkością towarzyską, guzowatą i chropowatą powierzchownością swego stylu, graniczącą prawie o artystyczną niemoc, ale niewyczerpaną, niezwykniętą, nigdy i niczem niedającą się zbić z toru siłą intelektualną, staje się Einhart, bohater tej „znajomości podróżnej,“ najzupełniejszym antypodem Leona Płoszowskiego. Przyszły badacz psychologii narodów XIX wieku, nie będzie mógł pominąć obu tych wzorowych, wystawowych okazów. Podwójnie bije w oczy ta zasadnicza różnica zdań i charakterów, gdy podobnych dotyczą się tematów; tak mówi np. *Auch Einer*: „Służba mospanie, służba, to cała rzecz. Zasada moralna powinaby brzmieć: Będziesz służył! Ale czyż to pojmie ten, który widzi jednostki tylko poklasowane na gatunki, a po za temi gatunkami zaraz nicość! Czyż może to pojąć ten, który nie miarkuje, że ruchliwość i czynność wielu a wielu wypracowała jakieś coś, to co po nad ich głowami się wznosi, to górne piętro, stały porządek, wieczne prawidła, którym służyć czystą staje się rozkoszą, bo taka służba wznosi sługę do sfer niepodlegających czasowości.“ A w drugim tomie, w którym odbywa się ten pociągający proces zmęznienia jego energii, dodaje: „Tak powstał w tym świecie, świat drugi, powstała nad naturą, natura druga. Nazywam to drugim piętrem, a to mi na moją prywatną potrzebę wystarcza.“ Z jego pióra też wypłynęło to piękne zdanie: *Das Moralische versteht sich eigentlich ganz von selbst*. Pessimizm i filozofię nowożytną sądzi on tak: „Nihilizm i pessimizm, toż-to właściwie spóźnione owoce tylko romantyki. To tylko fazy i objawy jej procesu rozkładowego. Schopenhauer to Heine we filozofii. Wiedzą oni dobrze, ile tam złęgc obok niejednej rzeczy pięknej w tem dolnem piętrze, w naturze, ale nie chcą widzieć, że się po nad niem wybudowało wzniosłe, drugie, *prawo*, obiektywne, silniejsze od swawoli, nie pytające za uciechą czy boleścią, ale użyzające przecież wielkiego szczęścia służbą, pracą nad skarbem wyższym po nad czasu warunki.“

Taką daje odprawę wyższy pogład Schopenhauerowi. Nie jestto sąd estetyka, który wie i wiedzieć musi, że między głębokiem mistrzostwem słowa Schopenhauera, między tą filozofią, której każda kartka nosi wytłoczone piętno przekonania, a błyskotliwemi efektami Heinego, tym umysłem, roz-

sypującym się raketami aforyzmów i rasowo tak charakterystycznych paradoksów, porównanie żadne zachodzić nie może. Ale jestto wykrzyk antypatii, i to antypatii jedynie usprawiedliwionej, bo pochodzącej z wyższego poczucia etycznego, i tryskającej z umysłu czującego się powołanym, by ostrzedz i obronić tych, co sami się strzedz i bronić nie umieją.

I tu znowu tylko szczerze żałować mi wypada, że nam autor tak skąpo udziela wiadomości o duchowym procesie, o przeszłości filozoficznej swego bohatera; tak radziłyśmy wiedzieć, czy i o ile Schopenhauer — a przytacza go Leon kilkakrotnie — ze swym pesymizmem, rzeczywiście mocno i głęboko na niego wpłynął, czy też i on należał może tylko do tych „kooptowanych.“ Schopenhauer mógłby być wprawdzie przyczyną tego pesymizmu, ale „bezdogmatowość“ i „beztokowość“ Leona bardzo trudno tylko z tej filozofii ponurej, a przecież w swych postulatach bardzo stanowczej, wysnuć się dają.

Może i tu idąc za Einhartem, na miejsce Schopenhauera wolno substytuować — Heinego? Spotykamy się z tem niemiłym nazwiskiem wprawdzie raz jeden tylko, ale wpływy bezwiedne bywają najsilniejsze.

Podobnie jak w średnich wiekach literatura ludowa miała swe odrębne koła bajek i podań, i odrębnych od poezji rycerskiej czciła bohaterów, i swe osobne miała ideały, tak też i w naszym XIX wieku istnieje taki osobny zakres myśli i pomysłów, jakaś wyłączająca się z ogółu grupa zdań, sądów, wytwarzających się i utrzymywanych wyłącznie prawie przez publicystykę i kosztem jej czytelników. Ma ta publicystyka swe osobne ideały i swych własnych cesarów. Kiedyś, gdy już będzie danem historykowi-psychologowi zdala patrzeć na wypadki wieku naszego, wyda to się bardzo jasnym. Jestto świat międzynarodowy o międzynarodowych pomysłach; styka on się z tym światem, polegającym na narodowościach, powierzchownie wprawdzie, ale na niezliczonych punktach. I co charakterystycznym — wysuwa ona naprzód i utrzymuje przez dłuższy czas na pewnej wysokości ludzi, których imiona w ich własnym narodzie błędnieją lub zbladły. Heine jest zapewne pierwszą wielkością tego odrębnego

świata. Historia publicystyki jest zarazem historią sławy i wpływu Heinego. Kto tylko dłuższy czas z publicystyką naszych wielkich miast się stykał, musiał uleść choćby tylko powierzchownie jego wpływowi. Myśli jego i idee są dziś jeszcze środkiem wymiany, kursują one jak drobna moneta; starł się na niej zupełnie pierwotny stempel, trudno nam prawie udowodnić jej mennicę, przestaje często już być walem, ale jest jeszcze konwencyonalnym znaczkiem. „Nasza Warszawka,“ która skazaną została na to, by do trzech czwartych swe potrzeby duchowe zaspakajała drogą publicystyki, oddała Heinemu hołd bardzo przesadny. Żaden z wielkich geniuszów i myślicieli nie doczekał się (ale radbym dodać: nie doczekał się jeszcze) tylu tłumaczeń, tylu zachwyków, tylu parafraz. Zwłaszcza w czasie, kiedy Leon Płoszowski spędził lata uniwersyteckie w Warszawie, wpływ Heinego był najsilniejszy. On, który się zawsze tak chętnie w kołach literacko-artystycznych obracał, nie mógł się z pod tego wpływu usunąć i pisał poezyjki, tak przypominające mi polyskującą się gładkością, kokieterią słów i przesadnym wydelikaceniem formy i treści, poezye Heinego z *Buch der Lieder*.

I dziwi mię tylko, że kwiaty  
 Pod twemi stopami nie rosną,  
 Ty złoty mój ptaku skrzydlaty,  
 Ty maju, ty rajy, ty wiosno!

Tam się więc już może urobiły te formy stylowe pesymizmu, a życie dołało tylko treści do tak przygotowanych naczyń. Ten pesymizm Leona Płoszowskiego (czuję to i szczerze przepraszam czytelnika, że się wyrażam niejasno i niezgrabnie) ma coś publicystycznego, coś literackiego w sobie. Mimowoli myśli zaczynają biegnąć tak przysposobionemi korytami, treść zaczyna się modelować wedle formy; gdy przyszło potem pełne życie, zaczynał Leon wyniki i straty dni pojedynczych grupować wedle rubryk tego literackiego pesymizmu.

W trzech punktach głównych podziałala tedy, jak to wspomniałem, kultura światowa na giętki i podatny, ale po-

zbawiony zupełnie siły odporu umysł Leona: sumując wynik tego trojkiego procesu, powiedzieć można, że w życiu i towarzystwie duch jego się rozprószył, że sztuką i dyletantyzmem się rozdrobił, a współdziałaniem filozofii się rozłożył.

---

Oto wypowiedziałem się otwarcie ze wszystkiego, w czem dzieło to zawiodło moje nieusprawiedliwione zapewne nadzieje i nie zadowolniło mych osobistych, a więc przypadkowych, i ani czytelnika, a tem mniej autora nie obchodzących, pragnień. Ale tem większą czuję dla autora wdzięczność, iż mogę z równą otwartością przyłączyć się do zdania ogólnego i wypowiedzieć się także z tego ciepłego uwielbienia, jakie budzi i utrzymuje strona uczuciowa i ten cały proces wznoszącego się i oczyszczającego się ducha przez miłość. Nie znam — bez zastrzeżeń, bez ogródek mogę to powiedzieć — nie po *Wertherze* w tym punkcie równego. Ta miłość jest tak prawdziwa, a przez pokonanie tak naturalnej i z taką otwartością wypowiedzianej namiętności pragnienia, tak poważna! Uczucie Leona, które znamy, i owe Anielki, których się domyślamy, nie są ani podpatrzone ani podsłuchane, ale są odczute wprost z tem sympatycznym dostrojeniem ducha twórczego, jakie się znajduje tylko u wielkich mistrzów, jak się dostrajają n. p. wiele kompozytorowie muzyczni do bohaterkiej treści historycznego tekstu. Miłość ta niczego nie chce dowodzić, do niczego przekonać, przed niczem przestrzedz; nie chce ona przez Leona i Anielkę łączyć ścierających się stanów, nienawidzących się pokoleń, lub z instynktowym wstrętem odpychających się narodów; nie chce ona też jarzmem małżeństwa sprzęgać przeciwnych sobie przekonań lub ratować upadających majątków; nie chce być ofiarą nieczyją i niczego, nie chce być niczem, jak samą miłością tylko. A zaiste miłość warta, żeby i dla niej coś uczyniono. Tak pojąć miłość dziś, gdzie wszystko ma służyć jakimś celom ogólnym, to znaczy tyle, co przypomnieć raz jeszcze, czem ona jest; tak ją przedstawić, to już jest wielkiego talentu nie zaletą umysłową, ale zaletą duchową, jest czemś więcej jeszcze, jest wprost błogosławieństwem na niem spoczywajacem. Wyswo-

bodzić miłość z pod wpływów ubocznych, z pod najrozmaitszych celów, to już krok ważny do wyswobodzenia sztuki, dla której miłość, to uczucie w uczuciu, będzie zawsze najsilniejszym fermentem.

Słyszałem nieraz zdania, i to bardzo słuszne, że i tą uczuciową stroną, romans ten tak stanowczo odróżnia się od swego polskiego rodzeństwa starszego i młodszego. Pochodzi to ztąd, że nie jesteśmy zbyt psuci i odwykliśmy prawie widzieć w literaturze miłość, wolną od wszelkiego zamiaru i tendencji, i że autor z niej wyłączył wszystko, każdą cząstkę, atom każdy, któreby nie były cząstką lub atomem miłości. Nawet życie umysłowe, które przecież nie raz jest „miłością cząstką najlepszą“, nie odgrywa tu większej roli, a poezyi, która zdawałaby się nieodłączną od miłości, jak woń od kwiatu, jest tyle tylko, by miłość wyżyć mogła. Jest ona tutaj zredukowana i skoncentrowana prawie do psychologicznej abstrakcyi.

Ale każda umysłowa właściwość znakomitego pióra odbija się i wewnątrz właściwością stylową. Szorstkość lub delikatność, drobiazgowość lub zamaszystość przenika umysł rzeźbiarza, przejawia się nawet we fałdach płaszcza i w najdrobniejszych akcesoryach stworzonego monumentu. Tak samo i tutaj; ta psychologia oczyszczona od wszelkich przywilejów i wyamputowana od wszystkich postronnych objawów życiowych, przeciska się aż do najdrobniejszych właściwości stylowych. To zdanie się stanowcze poezyi, nie tylko w treści ale i w formie, uczyni dzieło to znakiem demarkacyjnym i punktem zwrotnym w historycznym rozwoju naszej prozy.

Pomyśleć sobie, że jeszcze pół wieku temu żyli wszyscy nasi wieley poci, że wszystko co u nas wówczas miało zdrowe płuca, oddychało świeżym powiewem poezyi, pomyśleć sobie że pół wieku temu na umysłowej niwie narodu, były tylko — jak mówi liryka hiszpańska — *primavera y flos*, że mieniły się same pączki i kwiaty — a że dziś, po pół wieku zapomnieliśmy prawie, jak świeży wiersz polski wygląda! Najwybitniejszy nasz pisarz daje nam dziś dzieło, którego bohater z niczem nie waleząc i niczego nie łamiąc, ale zwalczony i złamany, pisze sobie i miłości swojej rozumowaną i wykończoną prozą trzechtomową pieśń *de profundis*. A przyznać

trzeba niestety, że bohater ten pochodzi z krwi i kości, albo raczej z braku krwi i kości dość licznej cząstki narodu naszego.

Wiem dobrze, że mnie laskawy czytelnik w powyższej wzmiance o *Wertherze* Goethego fałszywie nie zrozumiał. Całe światy leżą między tą psychologicznie badawczą i kontrolującą się miłością Leona i jego zmysłem myślenia, a temi ogromami poezyi i bezmiarami miłości Werthera. Werther odbiera sobie życie nie tylko z miłości, ale bo się ze swemi ideałami na tym świecie, na którym wedle przepięknych słów Schillera „w bezmiernych obszarach bujają idee, lecz twardo w przestrzeni zderzają się rzeczy“, pogodzić nie umiał; jest on czemś, ma wyraźną i bardzo piękną umysłową fizyognomię, nim jeszcze Lotte poznał, a samobójstwo jego staje się, jeżeli tak powiedzieć można, jakimś czynem dodatniej rozpacz. Po nim zostaje wspomnienie myśli tak dodatnich, że aż błędnie prawie fakt samobójstwa. Czem i jakim był Leon przed poznaniem albo raczej przed powtórnem, a teraz już nierozłącznem pokochaniem Anielki, wiemy. Dla Leona miłość jej była wyspą odludną, do kola morzem oblaną, bez promyka nadziei możliwego powrotu: gdy ona zapadła, zginął i on. Krótko mówiąc, tamten ginie, bo nie zdoła na świecie się podziąć ze swemi ideałami — ten, bo po śmierci Anielki nie umie się podziąć ze swoją materją.

Ale nie trzeba zapomnieć, że udział osobisty Goethego był o wiele bliższym w *Wertherze*, niż go przy *Bez Dogmatu* przypuszczam. Są ślady nawet, usprawiedliwiające mniemanie, że Werther powstał z rzeczywistych listów, pisanych do Merka, przyjaciela z wetzlarskiej epoki. W każdym razie mamy wyznania uczucia i myśli Werthera, co dobrze mieć na uwadze, we formie listów, a nie we formie pamiętnika. Adresat, którym ostatecznie jest każdy czytelnik, wprawdzie na rozwój myśli i tok spraw wpływu nie wywiera. Ale ta forma listu, ta technika stylu warunkuje i technikę myśli; nim list skończymy i wyszlemy, musimy się z jakąś myślą do pewnego punktu przynajmniej załatwić i uporać. Zamknięty list zamyka też po części i poruszoną w nim sprawę; forma listu daje jeszcze oprócz tego i to ułatwienie techniczne, że można w nim opowiadać, a nie tylko spowiadać

się. W dzienniku zaś dłuższe opowiadanie, szczególnie rzeczy ubocznych, jak n. p. wyścigów warszawskich, nasuwa podejrzenie, że są pisane dla przyszłego czytelnika. Kto w liście uczuciami i wypadkami ze swym przyjacielem się podziela, uniknie przedewszystkiem pozorów, że jest analistą tylko swych rozdrażnień i kronikarzem swoich nerwów. Już tem samem, że każdy list pojedyncze fazy umysłowe zamyka, zdoła rozwój umysłowy dotrzymać kroku rozwojowi faktów; zeznania zaś we formie dziennika stają się bardziej motywem opóźniającym i hamującym ów i tak dość powoli płynący rozwój wypadków zewnętrznych.

Ale jest jeszcze większa różnica techniczna. *Werther* jest dziełem tej epoki, kiedy akcesorya i dekoracye nie odgrywały żadnej prawie roli, kiedy osobistości uboczne szematyzowano, zaledwie markując je kilkoma konturami. Całe światło skupiało się w jednej lub dwóch postaciach głównych; na inne spadały tylko promienie, przez pierwsze osobistości nie absorbowane. Romans *Bez Dogmatu* przeciwnie powstał w epoce szkiców i fejletonów, tak jaskrawego i wyrazistego oddawania akcesoryów i osób ubocznych; ale co sztuka nowożytna zyskuje przez wielorakość i naturalistyczną pstrość typów, to traci na jednolitości stylu, na kształtującej sile osobistości głównej: Albert, mąż Lotty, w porównaniu z Kromickim, jest oddany prawie nieudolnie, ale czy Anielka może się szczycić idealną krasą i duchową wyrazistością Lotty?

Na koniec różnica największa! Cała tragedia Werthera jest fazą epoki jakiegoś elementarnego podniesienia umysłowego w całym świecie, jakiegoś odmłodnienia i wydoskonalenia myśli ludzkiej, jak gdyby ta myśl ludzka w wiekach poprzednich, nie była nigdy doznała wielkich zawodów, jak gdyby jej skrzydła nie były opadły, jak gdyby nie była po wielkich wysileniach już nieraz leżała latami w letargicznym zwątpieniu, okryta całunem mistycyzmu, tą jedyną pociechą, tą religią nadwątlonych nerwów i rozstrojonych organizmów. Tragiczny zgon Werthera jest koniecznością dziejową, a z punktu, do którego on dotarł, wychodzi szereg wielkich zdobywców; duch, co ze słów jego wieje, rozdmuchał żar prometeuszowego ognia i rozniecił potęgę Faustowskiej siły wątpie-

nia i działania. Ale zbrodnia Leona Płoszowskiego nie jest żadną ofiarą; nikogo on krwią swoją nie odkupi, podwoi chyba tylko rozpaczliwą demencyę i panikę, wśród zaraźliwej trwogi odstępstwa i ucieczki, a niebieski dymek ścielący się w komnacie na Babuino nad trupem Leona Płoszowskiego, będzie jedynem zabarwieniem tej przeraźliwej ciszy. Wytworny znawca tych stron ujemnych wysokiej kultury przypuszcza, „że ostateczne bankructwo nowożytnej wiedzy, poprzedzonym będzie przez rozpacz bezbrzeżną, w wielu umysłach, że otchłań czarna, z której wydobywamy się w boleściach, po to, by się znów wśród boleści dać przez nią pochłonąć, roztworzy się przed temi zropczonemi duszami czarna i próżna na wieki<sup>1)</sup>.“ Ale czy doszedł Leon do ostatecznych wiedzy wyników? Gdzie te walki i zapasy w jego życiu, gdzie te wyprzedzające fazy tych rozpaczliwych walk umysłowych u niego, lub u antenatów jego rodu i narodu? Pewno, że umysłowych cierpień znieśliśmy więcej, jak kto inny — ale stoczyliśmy mało umysłowych walk.

Was von den Vätern du ererbet hast,  
Erwirb es, um es zu besitzen.

Każde pokolenie musi swą pracę umysłową zaczynać na nowo, a odziedziczyć może po przodkach co najwięcej tylko martwy materyał i umysłową władzę rządzenia. Nikt w takiej pracy umysłowej sąsiadem swoim zastąpić się nie może, a tem mniej jeszcze pracą jego ojca i dziada. Nie wystarczy mieć kończyny tylko wielkiej cywilizacyi, bo ona będzie zewnętrzna. Trzeba starać się o to, żeby ona przeschepiając się i mnożąc się z pokolenia na pokolenie, przeniknęła cały nasz organizm. Żadna faza kultury przeskoczyć się nie da, w miarę więc tylko możemy tamtym uczestniczyć w biesiadzie, gdy oni po żniwach zebrane owoce pracy kilku pokoleń spożywać zasięda. Ale też i na odwrót, gdy oni targani szalem rozpaczy, wśród pieśni grobowych, przejmujących nas dreszczem, ideom i ideałom swoim pogrzeb

<sup>1)</sup> Bourget: *Essais de Psychologie contemporaine*. 1887, str. 94.

sprawiają, to nie wiem zaiste, po co my w tym kondukcje udział brać i pieśniom ich wtórować mamy. A jeżeli Leon, jako turysta w tym świecie umysłowym, wstrząśnięty do głębi widokiem tego pogrzebu, sądzi, że i jego straty były takie same, to zaiste sensytywność jego była większa od jego pamięci, bo ponieśliśmy straty zupełnie inne.

Błądził on tak często, kołysząc n. p. umysł na falach owych *causeries romaines* i sądząc, że one są szczytem i dostatecznym wyrazem życia umysłowego. Ale równocześnie instyktowo przeczuwa, „że pod nami coś się dzieje, że jest jakaś walka o byt, życie realne pełne napiętności i codziennych wysileni“ i widzi, że to życie wyciąga żyłastą pięść ku tym co siadają sobie“ wiecznie po jakichś terasach i rozprawiają o sztuce, literaturze, miłości i kobiecie“,—a przecież na skonstatowaniu faktu poprzestaje. Ale zdaniem mojem zbłądził bardziej jeszcze swą wiarą, „że do tego oderwanego świata mniej więcej należą wszyscy ludzie, posiadający wyższą kulturę, należy poniekąd nauka, literatura i sztuka“. Wie dobrze Sienkiewicz, że tak nie jest; ale obawiam się, że uwierzą bardziej jego gorzej poinformowanemu Leonowi. Jest coś, co łączy pałac i skromny dom i co subsumuje obie budowy pod jedno pojęcie t. j. styl. W budowie naszej biada, gdyby sztuka i nauki były tylko czezym ornamentem, a nie wypływem wewnętrznej potrzeby i umysłowej dojrzałości. Prawda, że przy dzisiejszym pospiechu i przy dzisiejszych wymaganiach powierzchownej dekoracji, wszechwładne inżynierstwo do surowych czworograniastych bud przyczepia stiuki i dekoracje, wyrabiane fabrycznie z *papiermaché*. Tak dekoracya zamiast być rezultatem, staje się surrogatem stylu. Ale w pośrodku, pomiędzy rozprawiającymi na terasach i ironizującymi z góry, a między rubasznymi z dołu, są siły, co nie chcą się dać wykreślić jednym zamachem cienkiego piórka z góry, ani upodlić bredniami ośmiogodzinnej pracy z dołu. Tam pośrodku między temi owocami o chorobliwym aromacie zgnilizny, której sobie nawzajem stykając się udzielają, a między temi cierpkimi jak oet dziczkami, między tymi przerafinowanymi, a pół-dzikimi, są ci, co mają potrzeby trochę wyższe ponad zaspokojenie żołądka, jak „ci u dołu“ i pragnienia nieco zdrowsze od zado-

wolnienia jedynie hubieżności umysłowej, jak „ci u góry“. Leży pośrodku między oboma, pole wielkie, które oby się stało polem wielkich umysłowych zapasów! Nie lekceważmy słowa Bourget'a, weźmy i do nas tę jego bolesną przestrożę: *S'il est une vérité bonne à méditer, c'est que nous avons préludé à nos désastres de 1870 par l'infériorité de notre effort intellectuel*. Wielu z nas pragnęło od dawna i pragnie tak szczerze, dzieła jakiegoś wyższego, któreby nam dało duchowy obraz tej walki, któreby nam się mogło stać dokumentem estetycznym, że tą kulturą i nad nią zapanować możemy. Widząc mało i zbyt blisko patrząc, nie wiemy drogi i nie śmiemy jej nikomu wskazywać. Często spostrzegamy wielkie siły umysłowe narodu naszego wówczas dopiero, kiedy one są już silami zmarnowanymi. Ale on, ale Sienkiewicz, który wydobył tyle potęgi umysłowej z naszej przeszłości, odnajdzie jasnowidzącym okiem wielkiego pisarza te źródła, z kąd zdrój tej siły wytryśnie. Mimo newrozy i rozdrażnień, mimo zwątpień i zaniku woli, mimo *fin de siècle, détente i décadence* i mimo wrzekomej nieproduktywności słowiańskiej, nie mogą się nasze niezbędne duchowe wymagania i nadzieje a dodam: i dzieła wielkiego pisarza rozbijać tak, jak tym razem o niedostateczność umysłową bohatera, którego historią są dzieje deprawacyi, dokonanej przez wysoką kulturę na organizmie do niej niedorosłym.

*Dr Jan Bołoz Antoniewicz.*

# XENOFONT.

(Dokończenie).

## III.

### **Filozofia.**

Zachowaliśmy na osobną rozprawę pisma filozoficzne Xenofonta, które choćby dla tego tworzą grupę oddzielną, że powtarzają lub zdają się powtarzać nie autora myśli, lecz Sokratesa. Bez nich byłoby znaczenie jego literackie niezmnieszone; podziwianoby Anabazę i Cyropedyę, jako wzory greckiej prozy, ale historia filozofii nie miałaby powodu zajmować się nim zbliska. Gdyby przeciwnie napisał tylko utwory, które teraz rozbierać zamierzamy, z pewnością nie byłby dostąpił szerokiego rozgłosu w literaturze, ani wywierał wpływu donośnego na rozwój greckiego języka; miałby jednak pamięć zapewnioną w dziejach filozofii, skoro należał do grona wybranych ludzi, którzy obcowali z Sokratesem i przez Opatrzność wybrani zostali na spadkobierców jego myśli. Niewątpliwie skromniejszą jest jego rola od wiekopomnej missyi Platona, ale nie zapominałmy, że być uczniem i jednym z orędowników ateńskiego męczennika prawdy, przekazać potomnym jego myśli, choćby w formie niekompletnej, utrwalić w niepoślednich pomnikach choć kilka rysów jego szczytnego charakteru, jest to tak

wielki przywilej, że każdy historyk filozofii powinien uczcić go należytym wspomnieniem.

Dawniej już, przy Sokratesie, wyłożyłem pogląd mój na cel i wartość głównego z pism filozoficznych Xenofonta, tak zwanych „Pamiętników“<sup>1)</sup>. Teraz krótki rozbiór niechaj odsoni całą ich piękność<sup>2)</sup>. „Często się dziwiłem (taki po-

<sup>1)</sup> Zob. Tom I, str. 375 i nast.

<sup>2)</sup> Znaczenie „Pamiętników“ (*Ἀπομνημονεύματα*) zostało w naszych czasach najniesłuszniej obniżone przez wyuzdaną krytykę filologów, znajdujących wszędzie przeróbki lub dodatki późniejszych interpolatorów. Pierwszy L. Dindorf w swoim wydaniu oxfordzkim (r. 1857) postawił nieuzasadnioną hipotezę licznych interpolacyj. Po nim Krohn (*Sokrates und Xenophon*. Halle 1875) ledwo piątą część tekstu zachował jako autentyczną; resztę odrzucił, jakoby później dodaną. Jeszcze radykalniej postąpił sobie Schenkl (*Xenophontische Studien* w Sprawozd. Wiedeń. Akad. Umiejët. Tom 80, str. 87—182), który dzisiejszy tekst ogłosił za lichą przeróbkę z III wieku przed Chr., wyrwaną z pierwotnego związku swego z „Ekonomikiem“ i „Biesiadą.“ Ostatnie nareszcie wydanie Gilberta (Teubner 1888 r.) sporządzone według tych dowolnych hipotez i praca Hartmanna: *Analecta Xenophontea* (Ludg. Bat. 1887 r.) do reszty zburzyły jedność Xenofontowej kompozycji. Gdyby szło według myśli tych panów, pozostałaby z pięknego dzieła, po odrzuceniu najlepszych rozdziałów, kupa niepowiązanych uwag i anegdotek. Dopóki trwać będzie ta szalona ἀθέτησις nowożytnych Alexandryjczyków, stają się niemożliwe poważne badania nad filozofią starożytnych autorów, bo każdej chwili zachodzi obawa, że tekst, na którym się opieramy, może okazać się podrobionym. Szczęściem w samych Niemczech, gdzie mania ta najbardziej panuje, zaczyna się zwrot ku lepszemu, jak widać z artykułu A. Döringa: *Die Disposition von Xenophons Memorabilien als Hülfsmittel positiver Kritik* (*Archiv für Gesch. der Philos.* Tom IV str. 34 i nast.), w którym autor dowodzi, że dzieło to nie jest luźną, niekunsztowną kompozycją (jak chce Dümmler: *Akademika*, p. 125), lecz organiczną całością, napisaną wedle ścisłej dyspozycji. O tem zresztą nie wątpiono nigdy w Anglii, Francyi, Włoszech, a kto zna sztukę pisarską Xenofonta, ten z góry jest przekonany, że nie mógł napisać rzeczy nieporządnie obmyślanej. Z wydań opatrzonych w przypiski, zasługują na wyszczególnienie Kühnera (Teubner) i Breitenbacha (Weidmann).

czątek), jakeimi to dowodami przekonali Ateńczyków oskarżyciele Sokratesa, że zasługiwał na śmierć wobec miasta. Skarga bowiem przeciw niemu była mniej więcej taka: grzeszy Sokrates, że nie uznaje bogów, w które miasto wierzy, lecz inne, nowe bóstwa wprowadza; grzeszy także, że psuje młodzież.“ Na oba punkta odpowiadają dwa pierwsze rozdziały pierwszej księgi; naprzód wykazuje autor, że Sokrates zawsze był skrupulatnym czcicielem bogów<sup>1)</sup>; potem, że nigdy nie nakłaniał młodzieży do złego życia, cheiwości, nieposłuszeństwa prawom, jak świadczy jego postępowanie z Krytyaszem i Alcybiadesem; przeciwnie, usiłował zawsze uczniów wyleczyć z namiętności, a zapalić do cnoty<sup>2)</sup>. Konkluzya zatem pierwszego rozdziału, że był najpobożniejszym z ludzi; konkluzya drugiego, że za korzystny wpływ na młodzież, godzien największych zaszczytów.

Gdyby autor był poprzestał na dwóch pierwszych rozdziałach, mielibyśmy niezbyt długą, wystarczającą jednak odpowiedź na zwykłe zarzuty, jakie od czasów procesu podnoszono w pewnych kołach mieszczaństwa ateńskiego. Ale Xenofont, piszący kilkanaście lat po procesie<sup>3)</sup>, wytknął sobie zadanie szersze. Nie chciał bogatej publicystyki, która zjawiała się w Atenach za i przeciw Sokratesowi po jego śmierci, pomnożyć o nową broszurę, zwłaszcza, że krótką apologię mistrza już był ogłosił<sup>4)</sup>, lecz uważał za stosow-

<sup>1)</sup> *Memor.* I. 1.

<sup>2)</sup> *ibid.* I. 2.

<sup>3)</sup> Według Brandisa około r. 394, według Schenkla niedługo po r. 390, nareszcie Dindorf i Roquette przekładają lata 384—380. Data, którą Schenkł przyjmuje, jest bardzo prawdopodobną, w tem znaczeniu, że wtedy ostatecznie Xenofont rzecz w całość ułożył i wygładził. Ale treść licznych rozmów, które przytacza, jeszcze za życia Sokratesa spisał. Zob. Diog. Laërt. II. 6. § 48: *ἵποσημειωσάμενος*.

<sup>4)</sup> Większość filologów odrzuca Apologię za przykładem Valckenaera. Niektórzy, jak Schenkł, Heitz, Kaibel uważają sprawę za zupełnie ukończoną. Jeden Cobet odmiennego jest zdania. Kto jednak nie oszołomiony frazesem: „powszechnie przyjmują,“ spokojnie rzecz rozważa, dochodzi do przekonania, że argumenta przeciw autentyczności tego dziełka nie wiele ważą, a trudności rozwiązują

niejsze w dodatni sposób wyłożyć jego działanie i przedstawić go takim, jakim był rzeczywiście. W tym celu do obrony ujemnej dodał jeszcze usprawiedliwienie dodatnie, istotne. Nie chciał tylko zbijać zarzutów, zawartych w oskarżeniu, lecz w obszernym obrazie roztoczyć przed okiem bezstronnego widza główne czyny i nauki mistrza. Ta druga obrona nie tylko uzupełniała pierwszą, lecz o wiele była skuteczniejszą, bo wyrabiała w czytelniku przekonanie, że tak nieskazitelne życie i tak zdrowa, ucziwa nauka, nie dawały przystępu nawet lekkim podejrzeniom, cóż dopiero grubym zarzutom. Oprócz tego autor, skłonny z natury swojej do moralizowania innych, chętnie skorzystał z tak wybornej okazji, aby wszystko, co przyswoił sobie z nauk mistrza, a niejedno także własne doświadczenie, wyłożyć dla pożytku innych. Usiłuje więc wykazać, że wszystkim, którzy z nim obcowali, korzyść przynosił, już to przez czyny swoje, już to przez słowa <sup>1)</sup>. Czynom poświęcony jest rozdział trzeci, w czwartym zaś przechodzi autor do nauk.

Uderza pewien brak symetrii w tym rozkładzie, skoro tylko jeden rozdział (I. 3) zajmuje się czynami, a trzydzieści pięć (I. 4—IV. 7) słowami Sokratesa, ale tłumaczy się przez wyjątkową naturę zadania. Nie zarzucano mędrcewi żadnych czynów hańbiących, lecz przedewszystkiem wpływ zgubny na młodzież, a ten objawiał się głównie w nauczaniu. Chcąc więc okazać, że wpływ Sokratesa był zbawienny, mógł autor krótko dotknąć eotliwego życia, o którym nie powątpiewano, ale musiał obszernie rozwodzić się nad nauczaniem. Narzekano, że w życiu osobistem był nieskazitelny, ale dysputami

się w ten sposób, że ustępy w Apologii, przypominające tekst Pamiętników, są dawniejsze i prawdopodobnie przez samego autora do niego zostały wcielone, punkta zaś, w których xenofontowa Apologia różni się od platońskiej, nie dowodzą, że autor miał gorsze informacje od Platona, lecz że miał lepsze. Zob. trafne uwagi Rogera Bonghi w *Dialoghi di Platone* (Roma 1880. Vol. I. p. 162—174). Rzecz zasługuje w każdym razie na nowe, gruntowne zbadanie.

<sup>1)</sup> *Memor.* I. 3. § I: ὡς δὲ δὴ καὶ ὠφελεῖν ἐδόξει μοι τοὺς ξυνόοντας τὰ μὲν ἔργῳ δεικνύων ἑαυτὸν οἷος ἦν, τὰ δὲ καὶ διαλεγόμενος.

głowy przewracał. „Niech zatem rozważą jego codzienne rozmowy z tymi, którzy z nim obcowali, a potem niech osądzą, czy był zdolen zrobić ich lepszymi. Opowiem więc na przód rozmowę, którą w mojej obecności miał o Bóstwie z Arystodemem itd.“<sup>1)</sup> Słusznie zaczyna Xenofont od wykładu teologii, skoro mistrza jego obwiniano o kacerstwo. Po tym ślicznym rozdziale, którego nie wyparłby się Fénelon, następuje rozmowa o wstrzemięźliwości, (I. 5), i druga z Antyfontem sofistą, który wyrzucał Sokratesowi sposób życia prostaczy i nauczanie za darmo (I. 6); potem kilka uwag, jak Sokrates ostrzegał uczniów przed chępliwością i próżną chwałą (I. 7); nareszcie słynna rozmowa z Arystypem o wstrzemięźliwości i wspaniała przypowieść Prodyka o Heraklesie na rozstajnej drodze (II. 1). Wszystkie te rozdziały powiązane są wspólną myślą, że celem człowieka: panowanie nad sobą i nabywanie cnoty.

Ale nie przestawali nieprzyjaciele na ogólnym zarzucie, jako Sokrates nie umiał młodzieży wkładać do cnoty; zarzucali mu (jak to niegdyś zrobił Arystofanes), że buntuje dzieci przeciw rodzicom, wpaja lekceważenie dla krewnych, rozrywa związki przyjaźni. Nie można było lepiej odpowiedzieć, jak napomnieniem, które Sokrates daje najstarszemu synowi, oburzonemu na Xantypkę; piękna tam wyrażona zachęta do wdzięczności i synowskiej miłości (II. 2); potem o korzyściach miłości braterskiej rozprawia, godząc dwóch braci zwaśnionych (II. 3); wynosi przyjaźń po nad wszystko i wykłada obszernie sposoby, jakimi ją zdobywać można (II. 4—6); nareszcie nad skutecznem wspieraniem i przywiązaniem do siebie biednych krewnych lub znajomych rozwodzi się w ostatnich rozdziałach (II. 7—10). Jest oczywiście, że cała druga księga z wyjątkiem pierwszego rozdziału (podział nie pochodzi od samego Xenofonta), stanowi znowu jakoby wspólny jeden traktat o domowych cnotach. W poprzedniej części (I. 4—II. 1) chodziło o korzyści, odnoszone z nauk Sokratesa w dziedzinie cnót osobistych; tutaj (II. 2—10) korzyści wyliczone są, przebywające

<sup>1)</sup> *Memor.* I. 4. §. 1—2.

w daleko wyższej sferze cnót domowych, będących podpora i rękonią życia rodzinnego.

Po za ciasnem kołem życia rodzinnego, nieprzejrzana rozciąga się arena życia publicznego. Tam najcięższe miotano zarzuty na filozofa, a także najniebezpieczniejsze, bo gwałtownie przemawiały do namiętności. Mówiono, że jest nieprzyjacielem demokracji, że gardzi ojczystą konstytucją, że wychowuje uczniów na gwałtownych ciemiężycieli, deprecyjących zuchwale równość obywatelską i szacunek praw. Znowu autor pod jedną myślą przewodnią w szeregu rozmów wyłuszcza zasady polityczne mistrza. Przechodzi obowiązki sumiennego wodza (III. 1 et 2), potem dobrego rotmistrza (III. 3); dowodzi, że przymioty wodza są tesame, co przezornego rządcy domu (III. 4); tłumaczy synowi Peryklesa przyczyny upadku Aten i środki odrodzenia narodowego (III. 5); Glaukona (brata Platona), młodzieńca niedoświadczonego a pełnego ambicji, odwołuje od zajmowania się sprawami publicznymi (III. 6); a przeciwnie skromnego acz zdolnego Charmidesa (który był wujem Platona) namawia usilnie do służenia Rzeczypospolitej (III. 7). Widzimy, że pierwsza połowa trzeciej księgi stanowi ciąg nieprzerwany rozpraw politycznych, jakoby traktat o przednich obowiązkach dobrego obywatela.

Następują rozdziały (III. 8—14), które zdają się być pozbawione związku wewnętrznego. Słyszymy rozmowę z Arystypem o dobrem (*ἀγαθόν*) i pięknem (*καλόν* III. 8); uwagi o męstwie, mądrości, zawiści, próżnowaniu itp. (III. 9); rady udzielane Parrhazyuszowi w malarstwie, Klitonowi w rzeźbiarstwie, Pistyaszowi w robieniu pancerzy (III. 10); rozmowę z Teodotą heterą, której także Sokrates nie szczędzi rad życzliwych (III. 11). Nareszcie uwagi o ćwiczeniach gimnastycznych (III. 12), o gniewie, apetycie, trudach i podróżach (III. 13), o dobrej kuchni i wstrzeźliwości (III. 14) kończą tę księgę, dosłownie wypchaną głębokimi myślami. Na pierwsze spojrzenie różne te dyskusje nie mają ze sobą nic wspólnego; po bliższej jednak rozwadze znajdziemy, że między sobą i z pierwszą połową księgi ściśle są powiązane. Cała księga poświęcona cnotom społecznym; po wyłożeniu politycznych,

pozostawały liczne zajęcia prywatne, mające interes publiczny, bo potrzebne do utrzymania społeczeństwa. Obywatel ateński, obok urzędów publicznych i służby wojskowej, miał swoją specjalność, z której żył; był rolnikiem, kupcem, przemysłowcem, artystą, nauczycielem. Postawiwszy więc tężę ogólną, że obcowanie z Sokratesem wyrabiało enoty i zdolności społeczne, logicznie autor sobie poczyna, gdy korzyści te nie tylko w życiu politycznym uwydatnia, lecz także w skromniejszej sferze pracy codziennej, która w wielorakiej zostająca spójni z dobrem ogólnem, wymaga fachowych, społecznych przymiotów, aby z powodzeniem mogła być spełniona. To też występują w tych rozmowach sami specjaliści (nawet hetera w mniemaniu Greków do nich należała)<sup>1)</sup>; spotykamy filozofów, artystów, fabrykantów, a enoty, o których tutaj mowa, mają także charakter społeczny, jak pilny udział w ćwiczeniach gimnastycznych, wytrzymałość w podróżach, wstrzemięźliwość w ucztach i t. p.

Zupełnie jednolitą całość przedstawia księga czwarta. Dotąd przechodził autor korzyści, jakie mogli starzy i mło-

<sup>1)</sup> Rady przez Sokratesa udzielane heterze, jak ma przywabić skutecznie swoich czcicieli, obrażają nasze uczucie chrześcijańskie; warto jednak rozważyć słowa uczonego de Pauw: „Nigdy, w żadnym narodzie na kuli ziemskiej piękne kobiety nie obudzały podobnego, jak u Greków, entuzjazmu. Jak tylko zjawiała się jedna (co na prawdę wydarzało się bardzo rzadko), zaraz jej imię powtarzano z ust do ust od kończyn Peloponezu aż do granic Macedonii, a ztąd w umysłach powstawał ferment, podobny do zaraźliwej gorączki. Żony najczulsze nie zdołały więcej odciągnąć swoich mężów ani matki najenergiczniejsze nie mogły powstrzymać swoich synów. Nareszcie widziano naród cały u nóg Laidy, a Grecyę całą podbitą przez Syrcylianę—czego nie zdołały dokazać ani wojska Persów, ani polityka podstępna Spartanów. Wiadomo zresztą, do jakiego szczytu sławy doszła Aspazya, jakie honory oddawano Frynie za życia, a jakie Pithyonice nawet po śmierci. Jej mauzoleum, wystawione między Atenami a Eleuzyną, było najwspanialszym pomnikiem, jaki istniał na całym obszarze Grecyi, według świadectwa Dicearcha i Pauzanasza, którzy go oglądali. (*Recherches philosophiques sur le Grecs*. Tome I. p. 123).

dzi wyciągać z obcowania z Sokratesem, stosownie do pozycji społecznych, przez nich zajmowanych; teraz ukazuje nam w pełnym blasku sztukę pedagogiczną swego mistrza. Starannie badał młodych zdolności, zanim ich przypuszczał do swojej poufałości; gdy zaś przyłgnęli do niego, każdego kształcił w enocie i mądrości drogą odmienną (IV. 1). Wybrany przykład młodego, pięknego Eutydemą, który ma ogromne wyobrażenie o wiedzy swojej, a po długich, serdecznych rozmowach z filozofem, nabiera przekonania, że jest kompletnym nieukiem (IV. 2). Ten obszerny rozdział należy do najlepiej pomyślanych w całym dziele. Następuje nowa z Eutydemem rozmowa o religii, która wedle Sokratesa jest podwaliną wszelkich cnót i niezbędnym przygotowaniem do życia publicznego (IV. 3). I ten rozdział, jednym z przedniejszych. Po religii, która jest jakoby sprawiedliwością względem bogów, następuje wykład sprawiedliwości w stosunkach ludzkich. Tu rozprawiają Sokrates i Hippiasz sofista, w obecności autora (IV. 4). Potem znowu Eutydem się zjawia, któremu Sokrates naprzód zgubne skutki niewstrzeżliwości tłumaczy (IV. 5), potem korzyści niezliczone, odnoszone z dyalektyki, do której wstrzeżliwość jest najlepszym przygotowaniem; aby to stwierdzić żywym przykładem, odbywa on z uczniem długie repetycje z tej nauki (IV. 6). Niektóre poglądy Sokratesa na stronę praktyczną nauk matematycznych i na potrzebę obznajomienia się z wróżbiarstwem, zamykają ten traktat, poświęcony głównie jego sztuce pedagogicznej (IV. 7). Ostatni rozdział (IV. 8) w sposób naturalny powiązany z poprzedzającym. Polecał Sokrates pilne zajmowanie się wróżbiarstwem, przez które bogowie ludziom objawiają swoją wolę, ale sam bardzo źle na niem wyszedł (tak mówiono), skoro demonium, którego się radził, nie pozwoliło mu bronić się we własnym procesie. Zarzut zbija autor uwagą, że śmierć dla mędrca była największym szczęściem; dobrze więc zrobił, że usłuchał bogów i nie przygotował sądowej obrony. Hermogenesowi, który do niej namąwiał, odpowiada, że uważa dzieje żywota swojego za obronę, aż nadto dostateczną; jeżeli zaś mimo to śmierć poniesie,

będzie ona wielkiem dla niego dobrodziejstwem, bo przyjdzie w porę i z wyraźnej woli bogów.

Czytelnik, który cierpliwie towarzyszył żmudnemu rozbirowi, mógł przekonać się, że „Pamiętniki“ są dobrze ułożoną książką i w swobodnej, wdzięcznej formie przeprowadzają konsekwentnie rehabilitację wielkiego mędrca. Oczywiście nie są to pamiętniki w znaczeniu nowożytnem; nie zawierają ciekawych zapisków o ludziach, z którymi żył, ani o wypadkach, do których należał. Nie można z nich ułożyć biografii Sokratesa, ani rozświecić współczesnej historii. Jeżeli mimochodem przytoczone są zdarzenia, anegdotki, dowcipy, to zawsze z tym zamiarem, aby służyły do lepszego uwydatnienia tej jednej myśli, że wszystko co robił Sokrates, wszystko co głosił, przynosiło korzyść tym, którzy z nim obcowali. Ten cel apologetyczny taki widoczny, tak zawsze obecny autorowi, że mógł właściwiej dzieło swoje nazwać „Obroną,“ gdyby nie długość i niezwykła jego forma. Apologia zresztą oznaczała podówczas w Atenach osobny rodzaj mów, wygłaszanych do sędziów lub do ludów; nie tedy dziwnego, że dla nowej formy literackiej potrzebny był nowy wyraz, a choć więcej zapowiadał, niż pismo zawierało, usprawiedliwiał się jednak faktem, że autor głównie swoje własne przytacza wspomnienia <sup>1)</sup>. W każdym razie osiągnął cel swój

<sup>1)</sup> *Memor.* I. 3. § 1: τούτων δὴ γράφω ὅποσα ἂν διαμνημονεύσω. Przytacza swoją rozmowę z Sokratesem I. 3. §. 8—14; powiada, że był obecnym przy rozmowie z Arystodemem I. 4. § 1; mógł być obecnym przy rozmowie z Antyfontem I. 6. § 1—10, przysłuchiwać się dyspacie z Arystypem II. 4. §. 1; powiada, że słyszał inną rozmowę tejsamej treści II. 5. § 1; był niewątpliwie przy długiej rozmowie z Krytobulem II. 6 itd. Uderza, że autor raz tylko bierze udział w rozmowie (I. 3. §. 8—14); dlatego bardzo prawdopodobny jest domysł Döringa (*Archiv für Gesch. der Philos.* Tom IV. p. 56), że ukrywa się pod nazwą młodego Eutydema w IV ks. Za tem w istocie nie jedno przemawia, np. bardzo szczegółowa charakterystyka pięknego młodzieńca i jego biblioteki (IV. 2. § 1—7) i poufna, długa, bez świadków prowadzona rozmowa (IV. 2. § 8—39), którą mógł autor

najzupełniej; a każdy czytelnik bezstronny przykłaśnie słowom, któremi kończy swoje piękne dzieło: „Z pośród tych, którzy znali Sokratesa takim, jakim był, ci wszyscy co ubiegają się o cnotę, nie przestają dziś jeszcze za nim tęsknić, jako za najlepszym do nabywania jej pomocnikiem. Mnie przynajmniej, który go widziałem takim, jak opisałem, wydawał się tak pobożnym, że nigdy nie robił bez zezwolenia bogów, tak sprawiedliwym, że nigdy nie wyrządził nikomu najmniejszej krzywdy, największe zaś oddawał przysługi tym, którzy z nim przestawali, tak wstrzeмиęźliwym, że nigdy nad to, co lepsze, nie przekładał tego, co przyjemniejsze, tak roztropnym, że w osądzeniu tego, co lepsze lub gorsze, nigdy się nie mylił, lecz sam sobie wystarczał do znajomości tych rzeczy, tak nareszcie zdolnym do rozprawiania i dawania pojęć dokładnych o tych rzeczach, a także umiejącym innych badać, przekonać o błędzie, zachęcać do cnoty i uczciwości. Słowem, wydawał mi się najlepszym i najszcześliwszym człowiekiem. Kto zaś nie zgadza się ze mną, niech porówna charakter innych ludzi, a potem niechaj sądzi“<sup>1)</sup>).

usłyszeć tylko od Sokratesa albo od Eutydema, ale jedno i drugie jest nieprawdopodobne; bardzo ważna z tymże Eutydemem rozprawa odbywa się wobec Xenofonta (IV. 3), a o drugiej, dosyć poufnej, powiada: „Wiem, że się odbyła“ (IV. 5. § 1); nareszcie próbki sokratesowej dyalektyki prawie wszystkie brane są ze wspomnień Eutydema (IV. 6. § 2—11). Niezwykła ta rola, nadana mu w IV ks., dowodzi, że zostawał w bliskiej zażyłości z Sokratesem i że był jednego mniej więcej z autorem wieku. Otóż nie znamy żadnego Eutydema, któryby tym warunkom odpowiadał; Xenofontowy zaś z wszystkich rysów do autora podobny. Gdyby kto chciał równomiennego kochanka Krytyasza w I. 2. §. 29 identyfikować z Eutydemem IV ks. (czemu bez głębszego powodu przeczy Döring), miałby nietylko słuszność, lecz i wytlómaczenie, dlaczego autor przybrał obce nazwisko.

<sup>1)</sup> *Memor.* IV. 8. § 11. Na pytanie: przeciw komu w pierwszej linii zwraca się Xenofont w Pamiętnikach swoich? odpowiedział Cobet znaną hipotezą o Polikratesie; za nim oświadczyli się Dindorf, Sauppe, Bergk, Brandiss, Ueberweg, Heitz;

Zwykle za dalszy ciąg „Pamiętników“ uchodzi „Ekonomik“, choć w zupełnie innym napisany tonie i zamiarze. Autor nie broni swego mistrza, nie powtarza żadnej z jego nauk, lecz każe mu opowiadać to, co niegdyś usłyszał od Ischomacha. Rzecz nie obszerna, po mistrzowsku napisana, rozpada się na dwie nierówne połowy. W mniejszej

przeciw niemu Büchschütz, Breitenbach, Blass. Potem energicznie w jego obronie wystąpił Schenkł (*Xenophon. Studien* w Rozpr. Wied. Akad. Umiej. T. 80, str. 87 i nast.), ale nie przekonał wszystkich (Zob. Roquette: *De Xenoph. vita* p. 67—70). Wiemy z Izokratesa (*Busiris* § 4 et 5, z czem porówn. Diog. Laërt. II. 5. § 38), że Polikrates, lichy retor a nauczyciel smutnej pamięci Zoilusa, oprócz „Obrony Busirisa“, osławionego dla okrucieństw swoich, napisał „Oskarżenie Sokratesa“, aby usprawiedliwić jego potępienie. Cobet i zwolennicy jego przypuszczają, że ó *κατήγορος*, na którego zarzuty odpowiada Xenofont w 2 rozdz. I ks., zawsze oznacza Polikratesa, ponieważ ten zarzucił Sokratesowi: a) wychowanie Aleybiadesa (*Isocrat. Busir.* 5), b) podziwianie Odyseusza, który królów napominał słowem, a biednych ludzi okładał kijem (*Schol. in Aristid. or. ἐπὲρ τὸν τετράκορ*); Xenofont zaś na oba zarzuty zdaje się odpowiadać w *Memor.* I. 2. § 12. sq. i w I. 2. § 58—60. Jednakże uważny rozbiór dwóch tych miejsc dowodzi przeciwnie, że autor czytał lub słyszał te zarzuty w formie, znacznie różniącej się od słów Polikratesa; potem uderza, że nie mówi o jakiejś pisanej mowie, jaką była Polikratesa rzecz, lecz stale używa formułki: *ἐπι ὁ κατήγορος*, na wstępie zaś kładzie oskarżycieli w liczbie mnogiej *οἱ γοαυάμεροι*, a raz zamiast *κατήγορος* pisze *ὁ γοαυάμερος* (I. 2. § 64) tj. ten, który głównie podtrzymywał skargę, Meletus. Zresztą spór ten bardzo podobny do burzy w szklance wody, skoro czytelnik niewątpliwie myślał o Meletusie, a nawet Schenkł przyznaje (p. 97), że nie chodziło tak bardzo o zbijanie lichej ramoty Polikratesa, jak raczej o przedstawienie wiernego, żywego obrazu Sokratesa, w całej pełni działania duchowego itd. Jeżeli zaś Schenkł twierdzi, że Xenofont o procesie Sokratesa tylko to wiedział, co wyczytał z mowy Polikratesa (p. 96), lub że mowa ta zrobiła w Grecyi ogromne wrażenie (p. 88), zostaje to w rażącej sprzeczności z faktami zkądanymi.

(rozd. 1—6), służącej za wstęp, rozprawia Sokrates z Krytobulem, tymsamym, którego w Pamiętnikach tak dowcipnie strofował za to, że pocałował syna Alcybiadesowego <sup>1)</sup>). Zgodzili się na to, że ekonomia jest sztuką rządzenia dobrze własnym lub obcym domem, ale tylko wtedy jest doskonale wykonywana, gdy nie podlega się namiętnościom (rozd. 1). Jednakże Krytobul, człowiek bogaty, pragnie dowiedzieć się, jakimby sposobem mógł pomnożyć swój majątek; filozof zrazu zasłania się brakiem doświadczenia, ponieważ sam nigdy tem się nie zajmował, i odsyła go do wprawnych finansistów (rozd. 2). Gdy powtórnie przyjaciel nastawa, rzuca on kilka uwag ogólnych, których suma ta jest, że podstawą dobrej ekonomii jest porządek i należyte stosowanie środków do celu (rozd. 3); potwierdza to przykładem młodszego Cyrusa, który nie tylko prowincyę, lecz i prywatny majątek swój wzorowo administrował (rozd. 4). Z powodu księcia perskiego, który sam uprawiał swoje ogrody, Sokrates w gorących słowach wychwala rolnictwo, „matkę i piastunkę wszelkich sztuk innych“ <sup>2)</sup>, „nauczycielkę sprawiedliwości“ <sup>3)</sup>. Wszystko to wydaje się dziwnem w ustach filozofa, który rzadko wychodził za miasto, bo „niczego nie mogły go pola i drzewa nauczyć“ <sup>4)</sup>, ale podobało się niewątpliwie Ateńczykom. W każdym razie swoje najszczerze objawił przekonanie autor w tych słowach: „Dziwnemby zdało mi się, gdyby który wolny obywatel albo majątek posiadał przyjemniejszy nad ziemię, albo dla życia swego wynalazł zajęcie słodsze lub korzystniejsze“ <sup>5)</sup>. Gdy więc zgodziły się obie strony na to, że ekonomia jest sztuką pomnażania własności, a z wszystkich zatrudnień najprzedniejszym jest rolnictwo, podnosi Krytobul zarzut, że na niem nie wszyscy dobrze wychodzą; prosi więc o szczegółowy wykład tej nauki (rozd. 6). Tutaj Sokrates, który nigdy nie gospodarował na wsi, musiał ustąpić słowa

1) *Memor.* I. 3, § 8—14.

2) *Oecon.* 5. § 17: τὴν γεωργίαν τῶν ἄλλων τεχνῶν μητέρα καὶ τροφὸν εἶναι.

3) *ibid.* 5. § 12: καὶ δικαιοσύνην διδάσκει.

4) *Plat. Phaedr.* p. 230 d.

5) *Oecon.* 5. § 11.

specjaliście. Odkrył takiego w osobie dzielnego Ischomacha, a co od niego usłyszał, powtarza Krytobulowi.

Druga część „*Ekonomika*,” zawierająca rady Ischomacha (rozdz. 7—21), należy do najpiękniejszych rzeczy, jakie napisano o urządzeniu życia na wsi. Stosunek męża do żony jest, jak na owe czasy, zadziwiający. Żona Ischomacha miała lat piętnaście, gdy się pobrali, a była według ateńskiego zwyczaju tak chowana, aby wiedziała jak najmniej, a była jak najwięcej uległą<sup>1)</sup>. Oczywiście z taką istotą mówi się jak najmniej, co już Sokrates zauważył w rozmowie z Krytobulem<sup>2)</sup>. Postanawia więc Ischomach wykształcić ją na rozumną i zapobiegliwą, kochającą a pełną godności panią domu. W tym celu ma z nią rozmowę w kilka tygodni po ślubie, która nietylko piękną jego duszę, lecz także ciekawe odsłania wnętrze pożycia małżeńskiego w Atenach. „Powiedz mi, niewiasto, czy już zaczynasz rozumieć dlaczego ciebie pojąłem, a twoi rodzice mnie ciebie oddali?<sup>3)</sup>. Nie czekając odpowiedzi—zresztą nie łatwo potrafi na takie pytanie odpowiedzieć piętnastoletnia mężatka—tak ciągnie dalej: „Gdy Bóg nam da dzieci, będziemy radzili o ich wychowaniu najlepszym, bo wspólne to szczęście nasze, zyskać w nich najdzielniejszych pomocników i karmicieli na starość. Ale już teraz dom ten jest nam wspólny. Wszystko bowiem, co moje, do wspólności oddaję, a ty także, cokolwiek wniosłaś, do wspólnego oddałaś użytku. Jednakże teraz nie chodzi o policzenie, kto z nas więcej oddał, jak raczej o przeświadczenie, że ten więcej oddał, kto lepszym będzie współnikiem.“ Ona na to odrzekła zdziwiona: „Ale w czymże ci pomagać mogę? jaka moja władza? wszak wszystko do ciebie należy,

1) *Oecon.* 7. § 5—6.

2) *Oecon.* 3. § 12: „Jesteśmy tu sami przyjaciele razem; bądź więc szczerym Krytobulu! Czy powierzasz komu więcej spraw ważnych, jak żonie? — Nikomu! odrzekł. — Czy rozmawiasz z kim rzadziej, jak z żoną? — Doprawdy, że z nikiem!“ — Żona Krytobula odebrała takiesame, jak Ischomachowa, wychowanie; widziała i słyszała w domu rodzicielskim jak najmniej, *ὡς ἡδέναιτο ἐλάχιστα ἑορακῶν καὶ ἀκροῦνται. ibid.* § 13.

3) *Oecon.* 7. § 10.

a moją rzeczą, jak mówiła mi matka, być roztropną (*σοφρορείν*)!“ „Na Jowisza, odparł *Ischomach*, mnie ojciec to samo mówił, ale zadaniem roztropnych małżonków jest tak działać, żeby to, co posiadają, zachowało się jak najlepiej, a przybywało jak najwięcej, choć zawsze uczciwie i sprawiedliwie.“ Żona: „Ale w czym przypuszczasz, że potrafię majątek nasz pomnożyć?“ *Ischomach*: „Przez Jowisza, staraj się spełniać jak najlepiej to, do czego bogowie ciebie stworzyli, a na co prawo pozwala!“ „A cóż to takiego?“ zapytała żona <sup>1)</sup>). Tłómaczy jej wtedy obszernie, że jak matka pszczoł w ulu, tak ona czuwać ma nad pracą w domu, gdy on na zewnątrz będzie zajmował się interesami. Wśród obowiązków dobrej pani domu, warto zapisać pielęgnowanie chorych niewolników. „Na Jowisza, zawołała, będzie to najprzyjemniejszy obowiązek, gdyż troskliwie leżeni, będą poczuwali się do wdzięczności i większej, niż przedtem, życzliwości“ <sup>2)</sup>). Kończy swoje rady *Ischomach* takim czułem i wdzięcznym życzeniem: „Największem mojem szczęściem będzie, jeśli okażesz się lepszą odemnie i sługą mnie swoim uczynisz, a nie będziesz się obawiała, żeby z postępem wieku nie zmniejszył się szacunek dla ciebie. Powinnas przeciwnie ufać silnie, że zestarawszy się, tem więcej będziesz w rodzinie cenioną, im lepszą okazałaś się dla mnie towarzyszką, a dla dzieci i domu opiekunką. Piękność bowiem i dobroć nie mijają z urodą ciała, lecz razem z enotami w ciągu życia rosną w mniemaniu ludzi“ <sup>3)</sup>).

Dalsze dwie rozmowy, prowadzone w tym samym tonie delikatnym i na tejsamej równej stopie, odnoszą się do organizacyi domu (rozdz. 8 i 9). Góruje w nich myśl stałego, wzorowego porządku. Każda rzecz powinna być na swoim miejscu, każda czynność odbywać się w należytych czasie. Następuje dowcipna filippika przeciw zbytecznemu strojeniu się i malowaniu kobiet i niepotrzebnej kokieteryi (rozdz. 10); po niej idą praktyczne, zwięzłe rady, jak mężczyzna może zachować zdrowie ciała, szacunek sąsiadów, miłość przyja-

<sup>1)</sup> *Oecon.* 7. § 12—17.

<sup>2)</sup> *ibid.* 7. § 37.

<sup>3)</sup> *ibid.* 7. § 42—43.

ciół, fortunę ucziwie nabytą (rozdz. 11). Tym sposobem nakreślił autor zajmujący obraz głównych obowiązków dobrego stadła małżeńskiego. Pozostała kwestya niezmiernie ważna. Jeżeli dzisiaj trudno o zdolnego, ucziwego rządzcę majątku, to w starożytności szukano go z latarką Diogenesa. Rzadko bywało, że ubogi obywatel zgłaszał się na taką posadę<sup>1)</sup>; najczęściej posługiwano się starszym niewolnikiem, który obudzał jakie takie zaufanie. A stanowisko jego było równie trudne, jak niewdzięczne, bo miał do czynienia z niewolnikami, którzy go nie lubili, i z panem, który go lekceważył i podejrywał. Nie dziw tedy, że autor aż trzy rozdziały (12—14) poświęcił tej sprawie, i szczegółowe wyłożył przepisy, jak wychować dobrego włodarza (*ἐπιτροπος*), jak wkładać go w posłuszeństwo, jak wyrabiać w nim poczucie sprawiedliwości. Hasłem pana w postępowaniu z służbą powinno być perskie przysłowie: oko pańskie konia tuczy<sup>2)</sup>. Xenofont pierwszy przyswoił je greckiej mowie<sup>3)</sup>.

Ostatnia część dziełka (rozdz. 15—21) poświęcona rolnictwu. Czytają się tam szczegółowe uwagi o gatunkach gleby i ugoru<sup>4)</sup>, o siejbie i pieleniu<sup>5)</sup>, żniwach, młóccc i oczyszczaniu ziarna<sup>6)</sup>, nareszcie o sadzeniu drzew, hodo-

<sup>1)</sup> Zob. przykład Eutherusa w *Memor.* II. 8.

<sup>2)</sup> *Oecon.* 12. § 20: „Król perski dostawszy dobrego konia, chciał jak najprędzej go wypaść. Zapytał więc jednego ze znających się na chowie koni, co najprędzej konia tuczy (*τί τάχιστα παρήνει ἵππον*); ten zaś odrzekł, jak opowiadają: oko pańskie (*δεσπότην ὀφθαλμός*).“

<sup>3)</sup> Od Xenofonta rzecz przeszła do Arystotelesa (*Oecon.* I), później do Columelli (IV. 18), Pliniusza Starszego (XVIII. 8). Znaną jest powszechnie piękna bajka La Fontaina.

<sup>4)</sup> *ibid.* 16. Xenofont każe ugor przeorać w skwarze letnim, w samo południe: „wiem dokładnie, że nie ma lepszego sposobu, aby wydobyć chwast na wierzeh, dać mu zeschnąć w upale, a ziemię wystawiać na upał słoneczny.“

<sup>5)</sup> Ciekawe porównanie, że siewacz powinien mieć lekką i wprawną rękę, jak grający na cytrze (*ὡσπερ τοῖς κιθαρισταῖς ἢ χεῖρ*). *Oecon.* 17. § 7.

<sup>6)</sup> Zżęcie odbywa się sierpem, młócka przez deptanie wołów, mułów, koni na skalistym boisku, pod gołem niebem, zupełnie jak dzisiaj jeszcze we Włoszech i Grecyi. *Oecon.* 18.

waniu winnych latorośli, fig i oliwek <sup>1)</sup>). Daje potem autor rady ogólne gospodarze; tłumaczy, dlaczego tyłu właścicieli bankrutuje; przypomina, jak potrzebną jest w rolnictwie umiejętność rozkazywania, a kończy tem głębokiem, pełnem obywatelskich uczuć oświadczeniem: „Jeżeli zdarza się, że pan ukazuje się przy pracy, a jego robotnicy nie znakomitego nie zdziałają, choć on dotkliwie może karać leniwych, a hojnie wynagradzać pilnych, to takiego pana nie umiałbym podziwiać; ale gdy kto widokiem swoim poruszy pracowników i wleje w każdego z nich zapal, a we wszystkich współubieganie się i nadzwyczajną ambicję, o takim powiem, że ma duszę iście królewską. A to, mojem zdaniem, najważniejsze w każdym dziele ludzkim, najbardziej zaś w rolnictwie. Nie powiem jednak, na Jowisza, że można sztukę tę nabyć przez proste przypatrywanie się lub przez jaki wykład improwizowany; przeciwnie, twierdzę, że na to, by ją osiąść, potrzeba wykształcenia i dobrej natury, a co największe, boskiego natchnienia. Panować bowiem nad chętnymi nie wydaje mi się bynajmniej cnotą ludzką, lecz boską, a daną jest ona jawnie tylko tym, którym dostała się mądrość w udziale. Panować zaś nad niechętnymi dają bogowie, wedle mego zdania, tym, których uważają za godnych męki piekielnej. Coś podobnego o Tantalu opo-

<sup>1)</sup> Oecon. 19. § 17—19: „Już dawno ci mówię, że rolnictwo jest tak ludzką i łagodną sztuką (*οὐτὼ φιλόανθρωπος ἐστὶ καὶ πραεὶα τέχνη*), że dość przypatrzeć się i przysłuchać jemu, aby je poznać. W wielu rzeczach ono uczy, jak najwłaściwiej do niego należy się zabierać. Zaraz naprzykład wino na drzewo się pnące, jeżeli które jest w pobliżu, uczy nas, jak je podpierać. Kiedy zaś liście rozpościera swoje, a grona jeszcze są delikatne, uczy nas, jak ocieniać wystawione w tej porze na słońce. Gdy znowu czas nadszedł, aby jagody w słońcu nabierały słodyczy, traci latorośl swoje liście, a tak uczy nas odsłaniać i pomagać dojrzewaniu jagód. Nareszcie gdy obrodziło wino, ukazuje nam tutaj dojrzałe grona, a tam jeszcze kwaśne, przez co daje nam naukę, że mamy je obierać tak, jak obierają się figi, to jest w miarę jak dojrzewają.“ Kto przypatrywał się hodowaniu wina, wie, że zakrywanie lub odkrywanie gron, wedle pory roku, stanowi jedno z ważniejszych zajęć w tej uprawie.

wiadają, że ciągle trawiony jest w Hadesie obawą, by snąc po raz drugi nie umarł“<sup>1)</sup>).

Tak więc problem dobrych rządów, wyczerpująco traktowany w Hieronie i Cyropedyi, nigdy nie przestawał zajmować autora. Wypowiedział go w Ekonomiku w tej samej formie podwójnej, z którą spotkaliśmy się w innych pismach: największym szczęściem jest panować nad chętnymi, największą karą rozkazywać niechętnym. Że na tej mądrej zasadzie oparł rządy państwa, było rozumnie; że na niej zbudował także gospodarstwo domowe, było zarazem szlachetnie. W krótkim zdaniu wskazał i ranę społeczną swoich czasów i lekarstwo, zdolne ją zagoić. Niejeden Grek, przed którym kryła się żona z wszystkim, co robiła, a drżeli niewolnicy, po przeczytaniu Ekonomika zazdrościł Ischomachowi szczęścia, że panuje nad chętnymi, a poruszony uczuciem ludzkości, spróbował może pójść za jego przykładem. Jego natura taka miłująca i sympatyczna, postępowanie z żoną takie delikatne, obchodzenie się ze służbą i niewolnikami takie sprawiedliwe i nacechowane taką dobrocią, że nie sposób go nie pokochać, a od miłości do naśladowania krok jeden. Nie wątpię, że wielu czytelników, zwłaszcza w Atenach, gdzie pod egidą Pallady lepsze i gorętsze były serca, niż w innych miastach greckich, pod wrażeniem złotej książeczki, wyleczyło się z niejednej przywary, pozbyło się niejednego przesądu, zreformowało niejedno nadużycie w domach swoich. Bo też autor kojarzy w sobie dwie rzeczy, które już z osobna wiele ważą, a razem nieprzepartą mają siłę: rozumną teorię i własny przykład. Czytelnik czuje, że teoretyk ten zasady swoje zwykł stwierdzać czynem, że moralista ten, cnoty, które głosi, w życiu praktykuje. Ischomach, choć zmyślona postać, jest jednak pełen życia; to Xenofont, w zaciszu wiejskiem, na łonie szczęśliwej rodziny, dający z siebie przykład doskonałego męża, ojca i pana, umiejący łączyć dwa przymioty, zwykle nie idące w parze: energię i słodycz charakteru, miłość i porządek.

<sup>1)</sup> Oecon. 21. § 10—12. Skala nad głową Tantalą zawieszona, groziła upadkiem. Zob. *Cic. Tusc.* IV. 16, 35.

Jakże wtedy się dziwić, że książka napisana z takim ciepłem i doświadczeniem, zawierająca jakoby domowe wspomnienia autora, zaraz po zjawieniu się zdobyła sobie liczną publiczność i zachowała ją do naszych czasów! Nawet nowożytni filologowie, którzy chętnie obniżają znaczenie autora nie szczędzą jej pochwał, a większą jeszcze rękojmnią jej wartości, że Cycceron, obdarzony przedziwnym gustem literackim, przełożył ją na język łaciński<sup>1)</sup>. Czerpał z niej Wergil, gdy pisał swoje Georgiki<sup>2)</sup>, korzystali Pliniusz starszy i Columella, a choć wiele po niej zjawilo się dzieł o ekonomii, u Greków i Rzymian, pozostała ona zawsze pierwszą, nietylko chronologicznie, lecz i z wartości, bo żaden autor późniejszy nie łączył w tymsamym, co Xenofont, stopniu, wszystkich przymiotów, potrzebnych głowie rodziny; żaden też nie dorównał mu sztuką pisarską. Ekonomik, to prawdziwie piękny utwór, *liber pulcherri-mus*, jak nazwał go św. Hieronim<sup>3)</sup>; starannie wykończony obraz życia szlacheckiego na wsi<sup>4)</sup>, który ceniony nawet w średnich wiekach, podziwiany i tłómaczony w czasach Odrodzenia u wszystkich ludów cywilizowanych, niestety u nas do niedawna (jestto zagadka psychologiczna) zupełnie był nieznan, u nas, ceniących życie na wsi po nad wszystko, i tylko o niem marzących<sup>5)</sup>.

1) Cycceron zrobił przekład swój w młodości: *De off.* II. 24, 87. Prawie wszystkie resztki tej pracy zachował Columella: *De re rustica. lib. XI et XII.* Jeden dłuższy ustęp (*Oecon.* 4. §. 20—25) sam Cycceron umieścił, choć skrócony, w książce *De senect.* 17, 59.

2) Porówn. Virg. *Georg.* I. 50 sq. z *Oecon.* 16; *Georg.* II. 228. sq. z *Oecon.* 19.

3) *Ad Algas. quaest. VI.*

4) O hipotezie Schenkla jakoby Ekonomik nie był książką dla siebie, lecz niegdyś stanowił część Pamiętników, wspomnę przy Biesiadzie Xenofonta.

5) Przekład Bronikowskiego ukazał się dopiero w r. 1857. Zdaje się, że do końca przeszłego wieku jak innych pisma Xenofonta, tak Ekonomika u nas zupełnie nie znano. Nawet Sebastyan Petrycy go nie znał; inaczej byłby o nim wspomniął w przypiskach do swojej „Oekonomiki Aristotelesowej“ (r. 1618). Porównanie tej drugiej, nie-

W „Pamiętnikach“ i w „Ekonomiku“ poznaliśmy poważnego mędrca, który dyskutuje o wielkich problemach życia, a pragnie wszystkim wskazać drogę do enoty. To jednak nie cały Sokrates. Jeżeli podbijał umysły przez bystre definicje i ścisłe dedukcje, to przyciągał serca przez dowcip i wesołość. Ktoby wyobrażał sobie, że ciągle dysputował po ulicach, portykach lub ogrodach, miałby jednostronne o nim wyobrażenie, bo widziałyby tylko jego profil poważny. Ale były chwile, kiedy przy pucharze śmiał się na całe gardło; rzucał wśród biesiadników jowialne fraszki; szczerą, prawie dziecinną radością, rozgrzewał najchłodniejszych towarzyszy. Takim był na uczcie, którą bogaty Kalliasz dał dla młodego Autolika. Poznaliśmy już dawniej (przy Protagorasie, który tam czasem mieszkał) dom jego w mieście <sup>1)</sup>; przenieśmy się teraz do jego willi w Pireu, gdzie odbywa się „Sympozyum.“

Na miejscu honorowem siedzi skromny Autolik, zwycięzca w pankracyum, obok swego ojca Likona, który jest Ateńczykiem starego kroju; Sokrates i jego przyjaciele spoczywają za stołami na łóżach. Zrazu wszyscy jedzą w milczeniu, „jak gdyby wyższa potęga im to przykazała,“ takie na nich robi wrażenie obecność pięknego chłopca. „Piękność jest doprawdy czemś królewskim, zwłaszcza gdy ją kto posiada razem z wstydlivością i enotą, jak wtedy Autolik. Bo jak meteor, gdy w nocy się zjawia, wszystkich oczy ku sobie zwraca, tak podówczas piękność Autolika wszystkich spojrzenia ku sobie pociągnęła“ <sup>2)</sup>. Ale niebawem triclinium się ożywia. Wehodzi Filip błazen (*γελωτοποιός*) i do śmiechu pobudza; wnoszą stoły, a po odśpiewaniu peanu, zabierają się wszyscy do wspólnego picia, co było właściwym celem greckiego sympozyum. Zrazu nie panuje ład żaden, jak przy tego rodzaju zabawach w dostatnim domu greckim. Tancerka popisuje się różnemi sztukami; po-

---

slusznie Arystotelesowi przypisanej, z dziełem Xenofonta nastęrczało się tem bardziej, że ona w wielu ustępach na niem polega.

<sup>1)</sup> Tom I. str. 338.

<sup>2)</sup> *Xenoph. Sympos.* I. § 8—10.

tem chłopiec, jej towarzysz, śpiewa wtórując sobie na cytrze; nareszcie Sokrates proponuje, żeby bawiono się ogólną rozmową, często przy niej spełniając drobne czary. Zaczynają więc po kolei przechwalać się z swoich doskonałości. Kalliasz przekonany, że robi ludzi lepszymi; Nicerat dumny, że umie całego Homera na pamięć; Krytobul szczeni się swoją pięknnością, Antystenes ubóstwem itd. Sokrates zapytany, z czego on się chwali, odpowiada z miną poważną: „z rufiaństwa“ (*ἐπιμαστοροπεία*). Wszyscy wtedy w śmiech<sup>1)</sup>; on zaś tłumaczy, że dobrego rufiana (*μαστοροποιός*) zadaniem jest, łączyć ludzi ku wzajemnemu upodobaniu w sobie, co on zawsze robił. Dodaje wszakże, że Antystenes także doświadczony w tej sztuce, skoro Kalliasza zapoznał tak gruntownie z Hippiaszem i Prodykiem, a jego samego z jakimś Eschylem z Flius, że od owej chwili więcej rozłączyć się nie mogli<sup>2)</sup>. Pięknie także odpowiada stary Likon: „Czyż nie wiecie, że jestem dumny z tego syna mego?“ „A ten, zauważył ktoś, oczywiście ze swego zwycięstwa!“ Ale Autolik zaczerwienił się i odrzekł: „Broń Boże! bynajmniej!“ — Wtedy wszyscy uradowani, że go nareszcie usłyszeli mówiącego, spojrzeli na niego, a jeden zapytał: „Z czego więc, Autoliku, dumny jesteś?“ — „Z ojca mego!“ odparł, i zarazem przytulił się do niego. Co widząc Kalliasz, zawołał: „Doprawdy, Likonie, czy wiesz, że jesteś najbogatszym z ludzi?“ — „Na Jowisza, odrzekł, tego doprawdy nie wiem!“ — „Ale przecie dobrze wiesz, żebyś skarbów króla perskiego nie przyjął za swego syna!“ — „Rzeczywiście przekonałeś mnie, odparł Likon, że zdaję się być najbogatszym z ludzi!“<sup>3)</sup>.

To były jednak same tezy, wygłaszane po części z Arystofanesową, trochę grubą wesołością. Sokrates żąda, aby każdy dowiódł, że to, z czego się chlubi, rzeczywiście coś warte. Robią to wszyscy ochoczo, w krótszych lub dłuższych mowach, jak kto umie, przerywani co chwilę przez uwagi satyryczne przyjaciół. Z sześciu mów, które teraz są wygła-

<sup>1)</sup> *ibid.* 3. § 10.

<sup>2)</sup> *ibid.* 4. § 56—63.

<sup>3)</sup> *ibid.* 3. §. 12—13.

szane, zasługuje na uwagę trzecia Krytobula <sup>1)</sup>, bo ona nietylko najdłuższa i Sokrates do niej się wtrąca, lecz także jest osią, naokoło której rozwija się akcja późniejsza. Krytobul, dumny z swojej piękności, wysławia ją jako rodzielkę enót w tych wszystkich duszach, które dostają się pod jej panowanie; temat najpopularniejszy u Greków, a w cokolwiek zmienionej formie u wszystkich ludów późniejszych. Po nim reszta mówi, każdy w innym tonie, nawet Filip błazen i Syrakuzanin kuglarz biorą udział w krasomówczych zapędach i po swojemu dowodzą, że mają rację chełpić się ze swoich zdolności. Pozostał jeden Sokrates. Nie trudno było mu wykazać, że rufiaństwo, jak on je pojmuje, jest błogą w skutkach umiejętnością, bo odkrywa tajemne sympaty, zapomocą których on ludzi do siebie sprowadza i jednoczy. Jednakże mowa jego nie dlatego ostatnią jest w szeregu panegiryków, aby była ich zakończeniem, lecz ma służyć za przejście do ważniejszej sprawy. Jakiegokolwiek mogą być zasługi Sokratesa w sztuce, którą tak dziwacznie nazwał, byłby nierównie większym, gdyby sam podbijał serca miłością. Ale na to potrzeba, żeby był pięknym. Otóż tę jego myśl ukrytą, z nadzwyczajnem poczuciem artystycznym przeprowadził autor. Gdy bowiem Krytobul sławił skutki dobroczynne swojej piękności, rzucił mu Sokrates żartobliwe wyzwanie, że nie ustępuje jemu co do piękności <sup>2)</sup>. Teraz gospodarz domu przypomina wyzwanie i żąda, aby rozprawili się między sobą. Stawają więc do walki, a tancerka i chłopiec grający na cytrze, mają rozstrzygnąć, kto piękniejszy, Krytobul czy Sokrates. Scena ta przeprowadzona z nadzwyczajnym humorem.

Każde filozof naprzód postawić obok siebie lampę, aby wszyscy mogli go lepiej widzieć; potem zadaje kilka pytań Krytobulowi, z których wynika, że to piękniejsze, co lepiej odpowiada przeznaczeniu swemu. „Moje więc oczy (argumentuje dalej), są piękniejsze od twoich! — Jakto? — Ponieważ twoje patrzą tylko przed sobą, moje zaś wystają z głowy

<sup>1)</sup> *ibid.* 4. §. 10—28.

<sup>2)</sup> *ibid.* 4. §. 19—20.

i także to widzą, co jest z boku“<sup>1)</sup>. W podobnym tonie chwali nos swój spłaszczony i usta o grubych wywróconych wargach: „Twoje nozdrza (Krytobul miał zwykły nos prosty) schylone są ku ziemi, moje zaś na oścież otwarte, mogą więc zewsząd przyjmować w siebie wonie. Pytasz, dlaczego nos spłaszczony piękniejszy od prostego? Bo nie przegradza, lecz pozwala wzrokowi natychmiast widzieć, co mu się podoba; wysoki zaś nos, jakby mur jaki, pogardliwie oczy zasłania“<sup>2)</sup>. Zgnębiony takimi argumentami Krytobul woła, że co do ust zgadza się chętnie, że Sokratesa są piękniejsze, bo potrafią od razu więcej odgryść, a dla grubych warg także jego pocałunki powinny być słodsze. Na tę nutę wesołą ciągnie się dalej dyskusya, aż nareszcie sędziowie przystępują do głosowania. Jak można było przewidzieć, Krytobul ogłoszony zwycięzcą, a nieszczęśliwy jego rywal w piękności tem się pociesza, że sędziowie przekupieni.

Po tym rozdziale (V), który już Wielandowi słusznie wydał się być jednym z najpiękniejszych przykładów humorystycznego dowcipkowania<sup>3)</sup>, następują dwa inne (VI, VII), także krótkie, ukazujące charakter filozofa z innej strony. Tam mieliśmy próbkę jego słynnej ironii, tutaj cierpliwość jego i dobroć podziwiamy. Syrakuzanin, znudzony dysputami i tem, że goście więcej Sokratesem zajmują się, niż jego sztukami, mówi z przekąsem: „Więc tyś to ten Sokrates, którego zowią „myślicielem“ (ἰσχυρολογῆς)?“ — „Czyż nie lepiej tak się nazywać, jak człowiekiem bez myśli (ἀλογόστονος)?“ odpowiada filozof. Wtedy kuglarz robi się coraz niegrzeczniejszym; wyrzuca mu, jak ongi Arystofanes, że nie wierzy w bogi, tylko w chmury; pyta, jak daleko od niego do pchły, którą widzi itd. Słyszając to obecni, oburzają się na zuchwałego Syrakuzanina, ale mityguje ich Sokrates cierpliwy, a gdy wrzawa wzrasta, intonuje pieśń i każe wszystkim śpiewać chórem. Tak przywrócono jakiś spokój, a tymczasem gotuje się tancerka, żeby po raz drugi wyko-

<sup>1)</sup> Symp. 5. §. 5.

<sup>2)</sup> *ibid.* 5. §. 6.

<sup>3)</sup> *Versuch über das xenophontische Gastmahl (Werke, Tom XXXVII str. 300. Wyd. Hempela w Berlinie).*

nać taniec mieczów. Zapomniawszy Sokrates o doznanych urazach, tłumaczy Syrakuzaninowi, że dla wesołej uczty byłby stosowniejszy żywy obraz z mitologii. Trafnością pomysłu uderzony wychodzi kuglarz, aby nowe przedstawienie przygotować. Sokrates zaś, odsłoniwszy w tym epizodzie i swoje poczciwe serce i wielkoduszną cierpliwość, zaczyna wspaniałą, długi dyskurs o miłości (rozd. VIII).

Rozdział ten, nie tylko pięknym jest klejnotem, zdobiącym utwór, w którym jest osadzony, lecz także bogatym przyczynkiem do dziejów myślenia ludzkiego. Wrócimy później, przy Platonie, raz jeszcze do zadziwiającej rozprawy; tutaj wystarcza, że jej myśl główną podnosimy i cel ostatni. Dwie są Afrodyty, powiada mędrzec, niebieska i pospolita (*οὐρανία τε καὶ πάριδος*); obie mają swoje ołtarze i świątynie, ale pierwszej świętsze składają się ofiary, drugiej lekkomyślniejsze <sup>1)</sup>, ta bowiem nasyła pożądanie ciał, tamta zaś rodzi miłość dusz, pragnienie przyjaźni i pięknych czynów <sup>2)</sup>. Otóż nie ulega wątpliwości, że miłość duszy jest o wiele lepszą od miłości ciała <sup>3)</sup>. Wszak bez przyjaźni żaden stosunek nie ma wartości; przyjaźń zaś wtedy jest miła i dobrowolna, gdy polega na szacunku przymiotów duchowych; przeciwnie ci, którzy pożądają ciał, najczęściej tych przymiotów nie lubią. Ale gdyby nawet kto kochał ciało i duszę razem, to i w takim razie miłość duszy wyższa jest, bo wzrasta ciągle z postępem wieku i rozumu, gdy tamta z wiekiem upada <sup>4)</sup>. Nic w tem dziwnego, skoro miłość cielesna sprowadza nasylenie i niesmak; miłość duchowa nigdy nie doznaje przesytu, a posiada urok ogromny dla stron obu, ukazując coraz większe korzyści <sup>5)</sup>. Obcowanie z takim, który kocha ciało, jest zatem rzeczą niegodną, bo on podobny do żebraka, który ciągle o coś prosi, podobny do dzierżawcy pola, który nie dba o jego ulepszenie,

<sup>1)</sup> Symp 8 § 9.

<sup>2)</sup> *ibid.* 8. § 10.

<sup>3)</sup> *ibid.* 8. § 12: *πολὴν κρείττων ἐστὶν ὁ τῆς ψυχῆς ἢ ὁ τοῦ σώματος ἔρωσ.*

<sup>4)</sup> *ibid.* 8. § 13—14.

<sup>5)</sup> *ibid.* 8. § 15—22.

lecz pragnie z niego wydobyć jak największe zyski<sup>1)</sup>. Narreszcie miłość duchowa jest bodźcem do szlachetnych czynów; jeżeli zaś Pa u z a n i a s z gdzieś twierdzi, że miłość ciała może zrodzić czyny podobne, zdanie takie pozbawione wszelkiej podstawy, bo nawet cielesny miłośnik pokłada większe zaufanie w kochanej osobie, jeżeli w niej odkrywa wielkie cnoty duchowe<sup>2)</sup>.

Z pełnego, krasomówczego organizmu zachowałem tylko suchy szkielet, ale wystarcza do uwydatnienia niezwykłych, nowych poglądów, jakie rozwija Sokrates w obecności Kalliasza i jego gości. Zapewne od początku świata rozprawiano o potędze miłości, ale przedmiotem filozoficznych badań zrobiono ją dopiero w wieku Peryklesa<sup>3)</sup>; tensam mędrzec, który pierwszy, wedle Cyncerona<sup>4)</sup>, filozofię z nieba na ziemię sprowadził i do zajmowania się życiem ludzkim nakłonił, pierwszy także teorię miłości wyłożył, udoskonaloną później przez wielkiego Platona. To zaś w niej przedewszystkiem uderza i razi, że twórca jej, człowiek najenotliwszy, zmuszony jest (takie było położenie rzeczy) zaczynać od patologii dla nas niewymownie wstrętnej i występować przeciw zdrożnościom, które niejednemu z ówczesnych ludzi wydawały się dozwoloną umizgów miłosnych nagrodą. Przez to rzecz cała musiała wypaść jednostronnie, a pomimo nadzwyczajnego talentu, z którym Xenofont rozwiązał trudne zadanie, obudzić w sercach niegreckich czytelników ekliwość nieprzyjemną.

Zrobił Wieland<sup>5)</sup> słuszną uwagę, że wszystko, co Xenofont mówi o Autoliku, pięknej połowicznej istocie między chłopięcym a młodzieńczym wiekiem, i jego do Kalliasza stosunku, da się słowo w słowo powtórzyć o dobrze wychowanej, niewinnej, czternastoletniej paniencie i zalotniku, cieszącym się względami jej rodziców. Wielki literat niemiecki znajduje w tem nietylko wdzięk pewien estetyczny,

<sup>1)</sup> Symp. 8. § 23—27.

<sup>2)</sup> *ibid.* 8. § 33—36.

<sup>3)</sup> Wspomnimy o nich później przy „Biesiadzie“ platońskiej.

<sup>4)</sup> Tusc. V. 4, 10. Por. *De rep.* I. 10, 15.

<sup>5)</sup> *Versuch über das xenophontische Gastmahl.* (*Werke*, Tom XXXVII. p. 297).

lecz nawet moralny, bo Autolik idealnie cnotliwy, a Kalliasz „szlachetny i przyzwoity.“ Jednakże to drugie jest bardzo wątpliwe, nawet nieprawdopodobne, a potem nie przyjaźń czuła Kalliasza dla Autolika obraża uczucia estetyczne czytelnika, lecz rozmowy, prowadzone w ich obecności o niebezpieczeństwach takiego stosunku. Jeżeli zaś przenosimy się w usposobienie dawnych Greków (co nie zawsze łatwo), poruszających w swoich męskich zebraniach niejedną kwestyę, którejby nie zniosły uszy niewieście, należy bezwzględnie podziwiać długą mowę Sokratesa, i zgrabny dowcip, z jakim Xenofont ją odtworzył<sup>1)</sup>. Mowa ta w istocie jest przesiąknięta lekką ironią, bo Sokrates, któremu nie mogło być tajemnym życie rozpustne Kalliasza, przypuszcza z góry, że jego przyjaźń dla Autolika z najszlachetniejszych powstała pobudek, a wyłożywszy, jaką być powinna prawdziwa miłość duszy, każe mu dziękować bogom, że natchnęli mu tak szczytne uczucie. Że zaś, według pojęć greckich, nie mógł lepiej okazać się godnym przyjaźni Autolika, jak przez znakomite czyny, gorąco Sokrates go napomina, aby w zupełności poświęcił się służbie rzeczypospolitej<sup>2)</sup>. Wmawiając w niego cnoty, których się po nim w przyszłości dopiero spodziewał, dowiódł filozof wielkiej znajomości serca ludzkiego; w każdym razie osiągnął skutek, którego pragnął. Kalliasz spojrzawszy ukradkiem na Autolika, przyjmuje

<sup>1)</sup> Autor nie mógł być obecnym przy biesiadzie, bo odbyła się na początku sierpnia r. 421 (Ol. 89<sub>3</sub>), kiedy był jeszcze dzieckiem. Ztąd należy słowa οἷς δὲ παραγερόμενος (Symp. I. 1. § 1) uważać za fikcyę, czego już dostrzegł Athen. Deipnosoph. V. p. 216. (gdzie także mowa o niektórych fikcyach historycznych w dyalogach Platona). Mimo to nie mamy powodu powątpiewać o wiarygodności ważniejszych szczegółów, które mógł autor łatwo zebrać u Sokratesa i u samego Autolika. Zwycięstwo jego w pankracyum, uwiecznione przez rzeźbiarzy (Plin. Hist. nat. XXXIV. 8. Pausan. I. 8; IX. 32) niewątpliwie długo wspomniano, a taksamo i biesiadę w domu Kalliasza. Tę zaś miłostki komedyopisarz Eupolis nielitościwie wydrwił w „Autoliku“, którego dość spore ułamki zob. w Kocha Comitorum attic. fragm. Tom I. p. 267—296.

<sup>2)</sup> Symp. 8. § 37—41.

radę Sokratesa. Zwyciężyła chwilowo jego lepsza natura; nie Sokratesa to wina, że nie wytrwał w karierze publicznej<sup>1)</sup>. Autolik, jak wiadomo, przez życie całe był wzorem enotliwego obywatela; poniósł śmierć za to, że stanął mężnie w obronie honoru swego miasta<sup>2)</sup>. Ale na innych także obecnych zrobiła mowa Sokratesa wrażenie głębokie; dał jemu wyraz Likon stary w tych słowach: „Na Junone, wydajesz mi się Sokratesie dzielnym człowiekiem.“ I wyszedł z synem swoim na spacer<sup>3)</sup>. Delikatność Xenofonta także w tym szczególe przebija; młodzieniaszek odchodzi z ojcem, aby nie patrzeć na scenę ostatnią, która byłaby obraziła jego skromność.

Rzeczywiście epilog (rozdz. IX) jest tylko dla dorosłych. Syrakuzanin skończywszy swoje reżyserskie przygotowania, każe w środku sali jadalnej ustawić wysoki fotel, na którym niebawem zasiada Aryadna, wyglądająca przybycia Dionizego bożka. Wkrótce i ten ukazuje się, niby podehmielony, a przy odgłosie fletu zaczyna się taniec bacchusowy, pełen namiętnej mimiki, opisany wykwintnym, ciepłym stylem. Gdy nareszcie bożek odprowadza Aryadnę jakoby do ślubnej komnaty, entuzjazm ogarnia gości patrzących na piękną parę; „kawalerowie przysięgają, że wkrótce się ożenią, żonaci dosiadają koni, aby czempredzej powrócić do swoich żon. Ale Sokrates i ci co pozostali, udali się z Kalliaszem do Likona i jego syna, aby z nimi się przechadzać“<sup>4)</sup>.

Prześliczny epilog pokazuje w całym blasku talent artystyczny autora. Mógł poprzestać na mowie Sokratesa i zbudowanych słuchaczy odesłać do domu. Ale plastyczna wyobraźnia jego chciała w żywej scenie uwidocznić naukę mistrza. Jej konkluzją niedomówioną było, że miłość ciała dozwolona tylko w małżeństwie, po za niem jedynie przyjaźń

1) Doszedłszy do najwyższych urzędów, zaniedbywał coraz bardziej obowiązki, stracił majątek na hulankach i umarł w zupełnej nędzy. Zob. Cobeta *Prosopographia Xenophontea* p. 67. sq.

2) Zob. zgon jego u Plut. *Vita Lysand.* 15. Porówn. Cobeta *Prosopographia Xenoph.* p. 55.

3) *Symp.* 9. § 1.

4) *Symp.* 9. § 7.

dusz istnieje, związanych wzajemną cnotliwą sympatją. Nie jest to kompletna teoria miłości, ale zawsze to silny fundament, na którym wznieść można metafizyczną spekulację. Do tej nie wystarczał talent Xenofonta, który w kwestych oderwanych tylko chciał i umiał być moralistą, a każdą teorię ubierał w dotykalne kształty chwilowego zdarzenia; każdą myśl ogólną wcielał w jakąś osobę, która mówi; każdą zasadę w jakiś postępek, który wyjawia jej złe lub dobre skutki. W tem świetle sądzona, wydaje się jego „Biesiada“ wykończonem, pięknem dziełem<sup>1)</sup>. Prze-

<sup>1)</sup> Uczony Schenkl (*Xenophont. Stud.* II. p. 144. sq.) zupełnie się nie poznał na wartości artystycznej „Sympozyum“, skoro uważał je za rozdział „Pamiętników“, choć do nich ani z formy ani z treści nie jest podobnem. Wyobrażał sobie, że od pierwotnych „Pamiętników“ odłączono na-przód Sympozyum, aby je postawić przeciw platońskiemu; potem Ekonomika, którego wcielono do zbioru pism gospodarczych; nareszcie pierwsze cztery księgi zostały przero-bione przez jakiegoś Stoika i zaopatrzone w osobne zakoń-czenie. Hipoteza ta, co do samych Pamiętników, jest zu-pełnie dowolną, jak wykazaliśmy poprzednio (str. 63 i 68). Co do Ekono-mika, przytacza Schenkl dwa argumenta: a) niezwykle początek dziełka, *ἤζουσα δὲ ποιεῖ*; b) świadectwo Galena (vol. 12. p. 288. ed. Chart.), że Ekonomik był ostatnią księgą (*τὸ ἐσχάτον*) Pamiętników. Pierwszą trudność rozwiązano już dawno w ten sposób, że au-tor pisząc Ekonomika, myślał o Pamiętnikach, które już były ogłoszone, a naśladował może manierę Eschinesa (Zob. Heitza w K. O. Müllera *Gesch. der griech. Litt.* Tom II. 2. p. 109 i 110). Powaga zaś Galena nie jest w tym razie żadną, jak sam Schenkl uznał (II. p. 145—146), bo wymyślił ową hipotezę dla zbijania gramatyków, utrzymu-jących, że starożytni zaczęli niekiedy książki swoje od δὲ. Nareszcie „Biesiada“ wedle Schenkla dlatego nie mo-gła być dziełem samoistnem, bo zaczyna się od wyrazów: *ἀλλ' ἐμοὶ δοκεῖ* (*Xenoph. Stud.* II. p. 150). Początek jest niezwykle, to prawda, ale nie razi; byłby jednak zupełnie śmieszny, gdyby Biesiada bezpośrednio, jak chce Schenkl, następowała po Ekonomiku, jako dalszy rozdział. Wy-starczy przeczytać tego koniec a tamtej początek, żeby się o tem przekonać. Kto po bałamutnych tych hipotezach, zbijanych słusznie przez Roquette (*De Xenoph. vita* p. 73 sq.), pragnie przeczytać gruntowny, zdrowy wykład

bieg akcyi przedstawiony z miniaturową dokładnością. Nie tylko mowy biesiadników, lecz także gesta, głosy, śmiechy i płacz wiernie są oddane. W tem właśnie różni się ta uczta od wszystkich późniejszych. Xenofont, jak kilka innych, tak i ten rodzaj literatury stworzył, ale z wyjątkiem Platona, żaden z jego naśladowców mu nie dorównał, bo żaden nie umiał, czy nie chciał odmalować rzeczywistej biesiady. Wszyscy poprzestali na ramach konwenyonalnych, w które wsadzili jak najwięcej mów, bez indywidualizacji, bez życia prawdziwego. U Xenofonta przeciwnie panuje zupełna harmonia, pomiędzy sceneryą a osobami, pomiędzy zabawą a dysputą; sam ostrzega czytelnika, że „nie tylko ważne sprawy dzielnych ludzi warte są zapamiętania, lecz także ich krotchwile“<sup>1)</sup>. Może na tem źle wyszła filozofia, ale też nikt jej nie wykląda przy pucharze; co jeśli raz się udało Platonowi, nie wolno ztąd obwiniać Xenofonta, że nie pokusił się o coś podobnego, zwłaszcza, że swoje Sympozjum napisał przed platońskim<sup>2)</sup>. Wytknąwszy sobie cel skromniejszy, najzupełniej go osiągnął, a wartość jego utworu nie na tem nie traci, że platoński ma nierównie większe znaczenie w rozwoju ludzkiej umysłowości. Miłośnik piękna oba sympozyja, choć różnią się tonem, kolorytem i pomysłem, przeczyta z tąsamą radością, z jaką po wielkich płótnach Pawła Werończyka ogląda drobne obrazy rodzajowe Adryana van Ostade, Terburga lub Gabyriela Metzua. Wszędzie idea piękna doskonale urzeczy-

---

„Biesiady“, znajdzie go w Rettiga obszernym wstępie (p. 1—93) do *Xenophons Gastmahl, griech. und deutsch.* (Leipzig 1881 Engelmann). Tamże wyborny komentarz od str. 174—273. Powątpiewania niektórych skrajnych krytyków o autentyczności Xenofontowego dzieła, np. Steinharta (*Leben Platons* p. 301), Krohna (*Sokrates und Xenophon* p. 98), Herchnera (*De symposio quod fertur Xenophontis*, Halle 1875), nie zasługują na poważną odpowiedź. Zob. Schenkla *Xenoph. Studien* III. p. 143. (Sprawozdanie wied. Akad. Umiej. Tom 83. r. 1876) i Heitza w K. O. Müllera *Gesch. der griech. Litt.* Tom II. p. 108.

<sup>1)</sup> Sympos. I. *init.*

<sup>2)</sup> Dość powszechne to zdanie uzasadnimy przy rozbiorze Biesiady platońskiej.

wistniona, a ta niewątpliwie pochwała należy się także Biesiadzie Xenofonta <sup>1)</sup>.

Gdy teraz, po przejrzeniu dzieł greckiego pisarza, szukamy filozofii, która w nich złożona, spotykamy się z wy-

<sup>1)</sup> Skończywszy przegląd pism Xenofonta, nie mogę pominąć kwestyi spornej o następstwo ich chronologiczne. Ponieważ w nich alluzyj do wypadków współczesnych bardzo mało, można tylko w przybliżeniu oznaczyć ich powstanie, a to też przy każdym z nich, wedle możności zrobiłem. Odkąd jednak Dittenberger wystąpił ze swoją statystyką spójników (Hermes Tom XVI. p. 321 sq.) rozpowszechniło się mniemanie, że w niej posiadamy nieomylny sposób oznaczania chronologii każdego pisma. Ponieważ przy dyalogach Platona raz jeszcze będziemy musieli zająć się tą teorią, tutaj tylko jej wyniki podaję, odnoszące się do Xenofonta. Dittenberger przyjmuje jako zasadę niewzruszoną, że im starsze pismo jakie attyckie, tem mniej zawiera spójników takich, jak *μήν*. *ἀλλὰ μήν*, *καὶ μήν*, im późniejsze, tem więcej ma ich, a oprócz tego *γε μήν*, *τίς μήν* i t. p. złożone spójniki. Według tego zjawiska językowego podzielił Dittenberger dzieła Xenofonta na cztery grupy: *a*) Cynegetyk i pierwsza część Helleników (I—II. 3); *b*) Ekonomik; *c*) Pamiętniki, Hieron, Sympozyum, druga część Helleników (II. 3—V. 1, 36), Anabaza, Cyropedya; *d*) O dochodach, Konna jazda, Rotmistrz, Rzeczpospolita Lacedemończyków, trzecia część Helleników (V. 1, 36 aż do końca), Agezylausz. W takim następstwie miał Xenofont ogłosić swoje pisma. Ale ten porządek chronologiczny bardzo nieprawdopodobny, a co gorsza, w niezgodzie z prawem statystycznym, odkrytem niby przez autora. (Zob. Roquette: *De Xenoph. vitu* p. 36—38). Podjął się zatem Roquette tejsamej pracy w daleko w szerszych rozmiarach i bogaty zebrał materiał statystyczny. Ułożył zaś jako rezultat swoich badań taki spis dzieł Xenofontowych:

r. 402. Cynegetyk.	365. Hipparchik.
393. Część I Helleników.	364. Cyropedya.
386. Ekonomik.	365. O konnej jeździe.
384—380. Pamiętniki.	357. Część III. Helleników.
383. Hieron.	355. O dochodach.
380. Sympozyum.	—
378. Rzeczposp. Laced.	429. napisana „Rzeczp. Ateń.
371. Anabaza.	? Apologia Sokratesa.
po 371. Część II Helleników.	357—338. Agezylausz.

padkiem dziwnym, choć nieraz powtarzającym się w dziejach literatury. Wszędzie w nich pełno myśli filozoficznych, ale nigdzie nie masz filozoficznego systemu. Autor, który przez wiele lat obcował z największym filozofem, który w jego otoczeniu nasłuchiwał się dysput bez liczby, który widocznie sam wiele odbył ćwiczeń dyalektycznych, unika starannie wszystkich zaciekań, które mogłyby uchodzić za filozofię, choć w *Cynegetyku*, jak wspomniałem, sam się zalicza do jej obrońców. O pedagogice, etyce, polityce, ekonomii społecznej, rozwija myśli głębokie, trafne, czasem zadziwiająca, ale bardzo rzadko zahacza je o jakąś zasadę ogólną, któraby je dźwigała swoją potęgą logiczną. Wykłada, jak urządzić państwo, jak chować dzieci, jak prowadzić dom i rodzinę, ale napróżnobyśmy się mozolili, pragnąc z jego *Cyropedyi* wydobyć zarys naukowy polityki lub pedagogiki. Pokazałoby się, że brak tam zupełny, zarówno zasad ogólnych, jak szczegółowych dedukcyj, bez których o właściwej nauce nie może być mowy. Widocznie był to umysł tak praktyczny, że tylko zajmowało go stosowanie prawd ogólnych do potrzeb rzeczywistych; tłumaczenie ich i dowodzenie było mu obojętnem. Może nie

---

Ta chronologia jednak również dowolna, jak Dittenbergera, bo *Cynegetyk* został napisany w starości, Część I. *Helleników* prawdopodobnie przed wyprawą Cyrusa, *Ekonomik* niewątpliwie przed *Pamiętnikami* i t. d. Ponieważ statystyka partykuł (spójników) nie dała dotąd żadnych pewnych wyników, lepiej pozostać przy metodzie dawnej, posługującej się alluzjami historycznymi lub też cechami literackimi każdego pisma. Otrzymamy wtedy taki porządek:

a) Część I. *Hell.* przed 401 r.; b) *Pamiętniki*, *Ekonomik*, *Sympozyum* od 390 — 385; c) *Anabaza*, Część II. *Helleników*, przed 371; d) *Hieron* 367; e) *Hipparchik*, *Hippika* 363; f) Część III. *Helleników*, *Cynegetyk* przed 357; g) *O dochodach* r. 355. Te daty są po części zupełnie pewne, po części bardzo zbliżone do prawdy. *Cyropedia* zaś przypada na ostatni dziesiątek lat życia autora, *Rzeczpospolita Lacedemonczyków* może napisana pomiędzy 383 — 382; nareszcie *Agezylausz* zaraz po r. 358.

czuł się na siłach, aby takiej podejmować się pracy; może też, co prawdopodobniejsze, miał wstręt nieprzezwyciężony do wszelkich oderwanych spekulacyj.

Są jednak pojęcia metafizyczne, o których nawet nie-teoretyk koniecznie rozprawiać musi, jeżeli chce osiągnąć skutek donośny. Kto, jak Xenofont, opiera porządek moralny na prawie bożem, powinien mieć przeciw niedowiarkom gotowe dowody, że takie prawo istnieje rzeczywiście; kto, jak on, enotliwym obiecuje nagrody wieczyste, powinien wykazać, że człowiek ma duszę nieśmiertelną. A dwie te prawdy poruszają tyle innych kwestyj nadprzyrodzonych, że z nich wyrasta, jeżeli nie teologia zupełna, to w każdym razie teodycea. W istocie ta, zdaje się, najwięcej zaprzętała praktyczny umysł Xenofonta, bo nie tylko często mówi o rządach Opatrzności, lecz nawet dwa razy naszkicował jej teorię. W rozmowie z Arystodemem<sup>1)</sup> przywodzi, jakoby w zarodku, prawie wszystkie owe słynne argumenta, które w późniejszej teologii skryształizowały się w tak rozlicznych i wykończonych kształtach. Arystodem lekceważy bogi ojczyście, nie modli się do nich, nie składa im ofiar. Sokrates słusznie przypuszcza, że on nie bardzo wierzy w istnienie Bóstwa i dlatego pyta, czy więcej podziwia rozum Polikleita lub Zeuxysa, czy też rozum Tego, który zrobił, nie jakieś obrazy bez duszy i ruchu (*εἰδωλα ἄσφωρά τε καὶ ἀκίνητα*), lecz jestestwa żywe, rozumne i samodzielne<sup>2)</sup>. Oczywiście Arystodem gotów uczynić drugie, gdyby był pewny, że stworzenia żywe nie powstały przypadkiem (*τύχη*). Sokrates dowodzi mu wtedy, że nie powstało przypadkiem, co służy jakiejś korzyści<sup>3)</sup>, czyli jak później powie Arystoteles, co zostało zrobione dla jakiegoś celu. Potem tak ciągnie dalej filozof: „Czyż więc nie zdaje się tobie, że ten, który stworzył ludzi od początku (*ὁ ἐξ ἀρχῆς ποιῶν ἀνθρώπους*), dla ich korzyści dał im przyrządy do odbierania wrażeń zmysło-

1) *Memor.* I. 4. § 2. sq.

2) *ibid.* I. 4. § 4: ζῶα ἔμψωρα τε καὶ ἐνεργά.

3) *ibid.* I. 4. § 4: ἐπ' ὠφελείᾳ. W terminologii Xenofonta odpowiada ὠφελεία naszej celowości.

wych? oczy, aby widzieli rzeczy widzialne; uszy, aby słyszeli, co się słyszeć daje itd.“<sup>1)</sup> Przechodzi szczegółowo rozumne urządzenie każdego zmysłu i wyprzedzając teleologię Platona i Arystotelesa, podziwia Opatrzność (*πρόνοια*), że oko powiekami ubezpieczyła, jakoby drzwiami, które wedle potrzeby otwierają się lub zamykają; przed niem jako przetak rzęsy umieściła ku zasłonie od wiatru, a nad niem brwi, jakoby daszek ochronny od potu itd.<sup>2)</sup> W końcu woła Arystodem przekonany: „Jeżeli się tak rozważa te rzeczy, to zupełnie podobne są do kunsztownego utworu mądrego jakiegoś Stwórcy, kochającego żywe istoty (*σοφῶν τινὸς δημιουργοῦ καὶ φιλοζῴου*)<sup>3)</sup>. Do tych rozumowań zwolennicy argumentu fizykoteleologicznego nie dodali nowego. Musi być Bóg, skoro Jego mądrość i dobroć objawiają się w każdym stworzeniu. „Czyż nie wlał On w ojców pragnienia zrodzenia, w matki ochoty karmienia, w ich potomstwo najwyższej miłości życia, najwyższej obawy śmierci? Bezwątpienia to wszystko wygląda, jak gdyby przygotowaniem było przez Kogoś, co postanowił, żeby istniały jestestwa żywe!“

Na zarzut Arystodema, że widzi artystów, których dzieła podziwia, ale nigdy nie widział bogów, panów świata, odpowiada Sokrates pięknem porównaniem, że duszy także nikt nie widzi, choć ciałem porusza i rządzi. „Powinieneś zatem twierdzić, że ani ty nie nie robisz z rozumnym zamiarem, lecz wszystko przypadkiem!“<sup>4)</sup> — „Doprawdy, rzecz Arystodem, nie lekceważę Bóstwa, lecz za zbyt wzniosłe Je uważam, by potrzebowało mojego kultu.“ — Sokrates: „Czyż nie tembardziej czcić Je powinieneś, im Ono wznioślejsze, a mimo to raczy się Tobą opiekować? — Arystodem: „Wiedz dobrze, że nie zaniedbywałbym bogów, gdybym przekonany był, że oni w czemkolwiek troszczą się o ludzi!“<sup>5)</sup> — To wyznanie sceptyczne daje

<sup>1)</sup> *ibid.* I. 4. § 5.

<sup>2)</sup> *ibid.* I. 4. § 6.

<sup>3)</sup> *ibid.* I. 4. § 7.

<sup>4)</sup> *ibid.* I. 4. § 9.

<sup>5)</sup> *ibid.* I. 4. § 10.

Sokratesowi pochop do rozwodzenia się nad Opatrznością, obsypującą formalnie ród ludzki swemi dobrodziejstwami. Wymienia przywilej prostej postawy, cudowną zgrabność ręki ludzkiej, nad którą już unosił się Anaxagoras <sup>1)</sup>, doskonałość mowy itp. cielesne przymioty, świadczące o pieczołowitości Stwórcy <sup>2)</sup>. Jeszcze wymowniejszym się robi, gdy wylicza duchowe przymioty człowieka; jeżeli gdzie, to w nich widoczne jest działanie Opatrzności.

„Nie było Bogu (τῷ θεῷ) dosyć na tem, że miał pieczę o ciało, lecz, co najważniejsze, osadził w człowieku duszę najprzedniejszą <sup>3)</sup>. Bo czyż naprzód jest inne stworzenie żywe, którego dusza wie o tem, że są bogowie, sprawy największych i najpiękniejszych rzeczy? Powtóre, który inny ród, oprócz ludzi, oddaje cześć bogom? Jaka inna dusza lepiej od ludzkiej uzdolnioną jest, by zabezpieczyć się od głodu, pragnienia, zimna, gorąca, dopomagać sobie w chorobach, ćwiczyć siły ciała, trudzić się nad nauką albo zachować w pamięci to, co słyszała lub widziała lub pojęła? Czyż tobie nie jest jasnym, że w porównaniu z innymi żywymi jestestwami, ludzie żyją jak bogowie, przewyższając je z natury swojej i ciałem i duchem? Ani ten bowiem, ktoby miał ciało wolu, rozum zaś człowieka, nie zdołałby robić, coby chciał; ani też stworzenia, które mają ręce, ale nie mają rozumu, nie odnoszą z nich żadnej wyższej korzyści! Ty zaś, choć oba te najcenniejsze dary posiadłeś, nie wierzysz, że bogowie mają pieczę o tobie? Cóż więc mają uczynić, abys przekonany był, że o ciebie się troszczą?“ <sup>4)</sup>.

Pomijam resztę. Wystarcza ustęp przytoczony, aby dać wyobrażenie o tem, co z dziedziny rozmów teologicznych najlepiej sobie autor przyswoił. Dowodzić istnienia Boga za pomocą celowości i pięknego ładu, panujących wszędzie w świecie, musiało w szczególny sposób podobać się umysłowi, który w czynach i pismach swoich zawsze lubił jasność, harmonię i rozumne stosowanie środków do celu. Ale

<sup>1)</sup> Zob. Tom I. str. 305.

<sup>2)</sup> *Memor.* I. 4. § 11—12.

<sup>3)</sup> καὶ τὴν ψυχὴν κρατίστην τῷ ἀνθρώπῳ ἐρέουσα.

<sup>4)</sup> *Memor.* I. 4. § 13—14.

także serce jego sympatyzowało z podobną argumentacją, która w pełnym świetle wystawiwszy dobrodziejstwa, spadające w porządku przyrodzonym na rodzaj ludzki, pobudzała słuchaczy do niezmiernej dla Bóstwa wdzięczności, a przez to do większej pobożności. W innym rozdziale Pamiętników (IV. 3), autor pod przybranem Eutydema nazwiskiem (jak mnie się zdaje), długą z mistrzem rozmowę powtarza, gdzie w takisam sposób wyłożona pieczołowitość Bóstwa o powołanie rodu ludzkiego. — „Powiedz mi, Eutydemie, czy przyszło ci kiedy na myśl zastanawiać się nad tem, jak troskliwie przygotowali bogowie to, czego ludzie potrzebują?“ — Eutydem odpowiada, że nigdy o tem nie pomyślał; za czym wymienia Sokrates rozliczne dobroczynne urządzenia Opatrzności: światło słoneczne we dnie, a księżyc a i gwiazd po nocach, rozdział życia ludzkiego na czuwanie i sen, następstwo pór roku, błogie korzyści ognia, stósowną odległość słońca od ziemi itd. — „Zaprawdę, woła Eutydem, bogowie mają wielkie staranie o ludzi“ <sup>1)</sup>. — A jak poprzednio Arystodema, tak teraz Eutydema zachęca Sokrates, aby po rozważaniu ich dzieł, czeił i szanował bogów <sup>2)</sup>.

Oczywiście umysł praktyczny, zwracający głównie uwagę na czyny bogów, na ich stosunek do stworzeń, zwłaszcza do ludzi, tylko mimochodem będzie potraçał o samą naturę, przymioty i wewnętrzną istotę Bóstwa. Takie mistyczne zagłębiania się nie były obce Sokratesowi, ale z uczniów nie każdy miał skłonność lub zdolność towarzyszenia jemu w nadziemskiej podróży, u końca której oglądać można „k s z t a ł t y b o g ó w“ (*τὰς μορφὰς τῶν θεῶν*) <sup>3)</sup>. „Rozważ, że nawet słońce, choć wszystkim zdaje się być widzialnem, nie pozwala ludziom oglądać siebie dokładnie, a gdy zuchwale kto w nie wpatrywać się usiłuje, pozbawia go wzroku <sup>4)</sup>. Mimo tej niewidzialności Bóstwa dla oczu cielesnych, a nieobjętości dla wzroku duchowego, rzuca Xenofont, zwłaszcza wtedy, gdy

<sup>1)</sup> *Memor.* IV. 3. § 12.

<sup>2)</sup> *ibid.* IV. 3. § 14: *ἐξαρχῆ σου τὰ ἔργα αὐτῶν ὁρῶντι σέβασθαι καὶ τιμᾶν τοὺς θεούς.*

<sup>3)</sup> *ibid.* IV. 3. § 13.

<sup>4)</sup> *ibid.* IV. 3. § 14.

istnienia Jego dowodzi, niektóre myśli głębokie i piękne o naturze Jego, które żal budzą w czytelniku, że więcej ich nie zachował z rozpraw swego mistrza.

Przedewszystkiem lubi on jedność Bóstwa silnie zatwierdzać. Prawda, że często mówi o bogach w liczbie mnogiej, ale gdy chce oznaczyć pierwszą i pełną przyczynę bytu, lub najwyższego rządzcę świata, używa liczby pojedynczej: „Ten, który stworzył ludzi od początku;“ „mądry Stwórca jakiś, który kocha żywe istoty“. Nawet tak się wyraża: „In ni bogowie, gdy nam dobrodziejstw swoich użyzczają, dając je, nie ukazują nam się widzialnym sposobem; a Ten, który wszechświat cały, gdzie wszystkie są piękne i dobre rzeczy, ułożył i utrzymuje, który wszystko, czego używamy, zachowuje nieuszkodzonem, zdrowem i młodem, i chyżej od myśli, nigdy nie chybiąc, każdą usługę oddaje, Ten także, choć widzimy, że największe sprawy spełnia, w prowadzeniu tychże dla nas jest niewidzialnym“<sup>1)</sup>. Wobec tego jasnego oświadczenia nie godzi się powątpiewać, że Xenofont, za przykładem swego mistrza był monoteistą<sup>2)</sup> i tylko najwyższego Boga miał za Boga prawdziwego, bo „ten tylko, jak trafnie Fouillée tłómaczy<sup>3)</sup>, jest dobrem zupełnem, z którego pochodzi wszelka dobroć i piękność.“

Ten Bóg najwyższy, jeden w sobie, niewidzialny, zatem niecielesny, wieczysty (ὁ εἰς ἀρχῆς ποιῶν), jest „tak wielki i tak usposobiony, że wszystko razem widzi, wszystko słyszy, wszędzie jest obecny i razem wszystko ma w swojej

<sup>1)</sup> *Memor.* IV. 3. § 13. (Por. I. 4. § 13.), gdzie zrazu Bóg położony w liczbie pojedynczej (τῷ θεῷ), tam gdzie mowa o stworzeniu duszy: potem w dalszym ciągu bogowie (θεῶν) nazwani są „sprawcami największych i najpiękniejszych rzeczy.“ Monoteizm Sokratesa i następnych filozofów greckich nie wyklucza niższych bogów i dlatego nie jest monoteizmem czystym, dokładnym. Często jednak o Bogu najwyższym używa tak wzniosłych wyrazów, że zbliża się do monoteizmu żydowskiego, a wtedy niższym bogom przypada rola aniołów. Okaże się to przy Platonie.

<sup>2)</sup> Zob. przyp. poprzedni.

<sup>3)</sup> *La philosophie de Socrate.* Vol. II. p. 109.

pieczy“<sup>1)</sup>). Nie można było lepiej wyrazić wszechwiedzy, wszechobecności, wszechmocy bożej. Słowa te przypominają szczytny polot muzy Parmenidesowej, a zapowiadają mistyczny zachwyt Platona. „Rozważ, mój drogi, mówi Sokrates do Arystodema, że i rozum w tobie przebywający, ciałem twojem wedle upodobania swego włada. Powinieneś zatem przyjąć, że Rozum, zamieszkały w wszechświecie (*τὴν ἐν τῷ παντί φρόνησιν*), także wszystko urządza, jak Mu miło jest; bynajmniej zaś nie sądzi, że twoje oko może wprawdzie sięgać na wiele stadyów, żrenica zaś Boga nie zdoła naraz widzieć wszystkiego; lub że twoja dusza umie się troszczyć i o sprawy tutejsze i o to, co w Egipcie się dzieje i Sycylii, a rozum boży nie potrafi razem czuwać nad wszystkim!“<sup>2)</sup>). Moglibyśmy jeszcze kilka podobnych przytoczyć ustępów z Pamiętników i z Cyropedyi, ale nie dodałyby nic nowego do obrazu przekonań teologicznych, jakie sobie wyrobił Xenofont pod wpływem dawniej zasłyszanych nauk. Są one piękne i przynoszą zaszczyt obudwom: jemu i mistrzowi. Jeżeli ten je wyłożył, to uczeń dobrze je sobie przyswoił i niejednym szczegółem pomnożył. Są jednak niekompletne. Teologia Xenofonta streszcza się w jednym dowodzie na istnienie Bóstwa, branym z celowości stworzeń, z ładu i piękności świata, a na nich opiera się jego teoria Opatrzności. Z atrybutów Boga te tylko są podnoszone, które mają wprost związek z rządami Opatrzności. Dla umysłu Xenofonta i jego celów pedagogiczno-moralizujących wystarczało to najzupełniej, ale nie wolno ztąd wnosić, że także mistrza jego nauka o Bogu zamykała się w tychsamych ramach. Zobaczymy później, że Platon niektóre inne jej części, przez Xenofonta zaniebane, przedziwnie zużytkował. Niewątpliwie mistrz zapuszczał się w długie, dyalektyczne rozprawy o najwyższej Dobroci, o jej stosunku do Piękna i Prawdy najwyższej; zastanawiał się obszernie nad pobudką, dla której Dobroć

<sup>1)</sup> *Memor.* I. 4. § 18: τὸ θεῖον ὅτι τοσοῦτον καὶ τοιοῦτόν ἐστιν ὥσθ' ἅμα πάντα ὁρᾶν καὶ πάντα ἀκούειν καὶ πανταχοῦ παρῆναι καὶ ἅμα πάντων ἐπιμελεῖσθαι.

<sup>2)</sup> *ibid.* I. 4. § 17.

najwyższa powołała wszystko do życia, i nad sposobem, jakim to uskuteczniła. W powyższych ustępach są niektóre wskazówki, po których zgadywać można, że Sokrates to robił, choć szczegóły zostały starannie przez ucznia pominięte. Widocznie obawiał się metafizyki.

A jeszcze dotkliwszy jest brak wszelkiej kosmologii. Wszyscy filozofowie pierwszej epoki, z wyjątkiem Eleatów, badają przyrodę, szukają pierwszej zasady wszechrzeczy, usiłują tłómaczyć powstanie świata. Widzieliśmy, że także Sokrates przez lat wiele, z nadzwyczajnem upodobaniem oddawał się tym studjóm <sup>1)</sup>, ale w starości ich zaniechał. Mamy na to, pominąwszy własne jego słowa w Fedonie, pośredni dowód w Tymeusz, najbardziej przyrodniczym z dyalogów platońskich, gdzie nie on, lecz gość z Lokri wyklada genezę nieba i ziemi, a bezpośrednio świadectwo Xenofonta, że chociaż znał dobrze matematykę i astronomię, kazał jednak tych nauk uczyć się tylko o tyle, o ile potrzebne były do interesów życia praktycznego. „Posuwać zaś studjum astronomiczne aż do poznania gwiazd stałych, planet i komet, trawić czas na badaniu ich odległości od ziemi, ich obiegów i przyczyn tychże, usilnie odradzał, bo żadnego stąd, jak mówił, nie widział pożytku. Chociaż sam z nimi był obeznany, dodawał wszakże, że one gotowe są całe życie ludzkie pochłonać, odrywać zaś od wielu innych pożytecznych rzeczy. Zupełnie zaś odwodził od zgłębiania kwestyi, jakimi to sposobami Bóg urządza zjawiska niebieskie; bo ani nie wierzył, że ludzie potrafią to kiedy odkryć ani nie sądził, że robi rzecz miłą bogom, kto szuka tego, czego sami nie chcieli objawić. Dodawał nawet, że zagraża niebezpieczeństwo, by szperacz taki nie gadał niesłychanych niedorzeczności, jakto przytrafiło się Anaxagorasowi, który bardzo wzbіл się w dumę, że niby to tłómaczył urządzenia bogów itd.“ <sup>2)</sup>. Ciekawy ten ustęp tłómaczy niespodziewanie

<sup>1)</sup> Zob. Tom I. str. 373.

<sup>2)</sup> *Memor.* IV. 7. § 5—6. Tłómaczę przez „gwiazdy stałe“ wyrazy: τὰ μὴ ἐν τῇ αὐτῇ περιφορᾷ ὄντα (= nie mające udziału w tym samym obrocie sc. nieba). Autor ruch ich z jednej strony odróżnia od obiegu słońca i księżyca, po których „poznać można czas nocy, miesiąca i lata;“ z dru-

nietylko usposobienie starego Sokratesa, lecz także stopień wykształcenia samego Xenofonta. Nie znając nauk ścisłych, nie mógł mieć pociągu do metafizyki, do której one są koniecznym przygotowaniem.

Była jednak rzecz, która mimo jego woli ciągnęła go ku nadziemskim krajom i kazała filozofować. Los duszy ludzkiej obchodził go w szczególny sposób, bo był zawsze moralistą. Czy po tem życiu doczeka się ona lepszej istności? Czy spotka się z nagrodą za wierne przestrzeganie ustaw bożych? lub też w nie się rozplynie? W Pamiętnikach wprost nie dotyka tej kwestyi, ale z kilku myśli, rzuconych w przytoczonych rozmowach, łatwo da się odgadnąć jego własne i mistrza jego przekonanie. „Bóg nam dał duszę najdoskonalszą;“ „dusza ma udział w tem, co boskie;“ „dusza panuje w nas, choć nie jest widzialną.“ Te wyrażenia aż nazbyt jasno odsłaniają wiarę w nieśmiertelność naszej duchowej istoty. Ale także systematycznie uzasadnił autor swą wiarę w mowie umiერajάcego Cyrusa, który, jak nieraz już zauważono, w chwili zgonu jest wizerunkiem Sokratesa. Jest tam szereg argumentów; jedne brane są z ogólnej wiary ludowej, inne mają charakter więcej naukowy i niewątpliwie od samego mędrca pochodzą. „Nie jesteście przecie w tem mniemaniu (mówi król do synów), że niczem nie będę, gdy zakończę żywot ludzki! Wszak ani teraz nie widzieliście duszy mojej, lecz tylko z jej czynów poznawaliście, że istnieje!“ Po tym pierwszym argumencie, następują dwa inne, z powszechnej tradycyi ludów. „Czyż nie wiecie, jakie strachy mordercom, jakie mściwe zgryzoty zbrodniarzom nasylają dusze niewinnie zamordowanych? Lub czyż przypuszczacie, że oddawanoby ciągle cześć umarłym, gdyby ich dusze nie miały stąd żadnej pociechy?“ Czwarty argument jest bardziej filozoficzny; spotkamy się z nim raz jeszcze w Fe-

---

giej strony, od ruchu planet i komet. Za komentarz może posłużyć Diog. Laërt. VII. § 144: τῶν δὲ ἀστροῶν τὰ μὲν ἀπλανῆ συμπεριφέρεσθαι τῷ ὅλῳ οὐρανῷ, τὰ δὲ πλανώμενα κατ' ἰδίαν κινεῖσθαι κινήσεις.

donie: „Ja przynajmniej, o dzieci moje, nigdy uwierzyć nie mogłem, żeby dusza, dopóki jest w ciele znikomem, żyła; od niego zaś oddzielona, umierała. Widzę bowiem, że dusza śmiertelne ciała, przez cały czas, co w nich przebywa, przy życiu utrzymuje.“ Argument piąty taką ma postać: „Ani o tem nie jestem przekonany, że dusza stanie się pozbawioną rozumu, przez same rozłączenie się z ciałem bezrozumnym. Jest przeciwnie prawdopodobnem, że gdy duch został wydzielony, czysty i bez przymieszki, wtedy także najrozumniejszym się stawa.“ Na poparcie tego przywodzi król nowy, szósty argument: „Gdy człowiek się rozkłada, oczywiście każdy z jego pierwiastków do czegoś podobnego wraca, z wyjątkiem duszy, która jedna nie jest widziana, ani gdy obecną jest, ani gdy odchodzi.“ Nareszcie jeden jeszcze argument (siódmy) ma autor w zapasie: „Rozważcie także, że nic tak nie jest podobnem do śmierci człowieka, jak sen. Otóż we śnie dusza ludzka najbardziej boską się okazuje i podczas niego nawet rzeczy przyszłe choć w części przewiduje. Wtedy bowiem zdaje się, że najwięcej jest swobodną.“ Jaką wartość należy argumentom tym przyznać, powiemy później, przy Platonie. To już teraz niewątpliwe, że były właściwe Sokratesowi, od niego zaś przeszły do uczniów. Ale to także warto podnieść, że w zupełnie podobny sposób, jak Sokrates w platońskiej Apologii, tutaj Cyrus, po wyłożeniu swoich argumentów, kończy pozornie sceptyczną, a bardzo głęboką uwagą: „Jeżeli tak rzeczy się mają, jak sędzę, a dusza opuszcza ciało, wtedy przez szacunek dla niej, zróbcie to, o co proszę; jeżeli zaś tak nie jest, a dusza moja pozostanie w ciele i z niem umrze, wtedy przynajmniej bogów się lękajcie nieśmiertelnych, wszechwiednych i wszechmogących, którzy ten także porządek wszechświata utrzymują nieuszkodzonym, niestarzejącym się, nienaruszonym, a zawsze niewypowiedzianie pięknym i wielkim. Tych obawiając się, nigdy nie czynicie ani nie zamysłajcie nic bezbożnego lub niegodziwego. Po bogach zaś miejcie wzgląd na cały rodzaj ludzki, ciągle odnawiający się; w jego pamięci koniecznie żyć będą wasze czyny, jako wszystkim jawne, bo nie dopuszczą bogowie, abyście po-

zostali w ukryciu i t. d.“<sup>1)</sup> Pomijam resztę. Nie można dobitniej afirmować nieśmiertelności duszy. Nie wszystkie z przytoczonych dowodów zdołają się ostać wobec krytyki naukowej, ale wszystkie razem robią na czytelniku wrażenie głębokie. Samo ich nagromadzenie świadczy, że autor nie tylko sam przejęty był swoją wiarą, lecz gorąco pragnął zaszcześcić ją w innych. Dlatego wszystko, co usłyszał od mistrza swego na korzyść tej wiary, włożył w usta króla umierającego. Nie osłabia w niczem siły tej wiary lekka ironia w jednym z końcowych ustępów: „Zwołujcie jednak wszystkich Persów i sprzymierzeńców do mego grobowca, aby mi wieszowali, że teraz już będę bezpiecznym i nie doznam więcej żadnego nieszczęścia, czy będę razem z Bóstwem czy też niczem nie będę“<sup>2)</sup>. Pozorny ten see-

<sup>1)</sup> Cyrop. VIII. 7. § 17—23.

<sup>2)</sup> *ibid.* VIII. 7. § 27: *ὅτι ἐν τῷ ἀσφαλεῖ ἤδη ἔσομαι ὡς μηδὲν ἂν ἐτι κακὸν παθεῖν, μήτε ἤν μετὰ τοῦ θείου γένομαι μήτε ἤν μηδὲν ἔτι ὦ.* Obszernie tęsamą myśl rozwija Sokrates w platońskiej Apologii, rozdz. 32 (p. 40 c): „Rozważmy jeszcze i w następujący sposób, jak wielce uzasadnioną jest otucha, że to, co mnie spotkało, dobrem jest dla mnie. Otóż umrzeć — jestto jedno z dwojga: albo stać się niczem i nie posiadać po śmierci żadnej o niczem świadomości, albo też zgodnie z tem, co ludzie mówią, śmierć sprowadza jakąś dla duszy przemianę, jest przesiedleniem się jej z tego tu miejsca na inne. Jeśli to jest zupełne znieczulenie, coś podobnego do snu, podczas którego śpiącemu nie roi się nawet żadne marzenie senne, to śmierć cudną byłaby wygraną. Sądzę bowiem, że jeśliby komu wypadło wybrać jedną noc taką, podczas której spał tak mocno, że mu się nawet żadne nie przyśniło widzenie, porównać potem z nocą tą inne noce i dni własnego swego życia, a wreszcie rozejrzeć się w nich i orzec, ile też dni i nocy w życiu swoim przeżył lepiej i przyjemniej od jednej tej nocy — sądzą, powtarzam, że nietylko człowiek zwyczajny, lecz nawet sam wielki król perski doszedłby do wniosku, że w porównaniu z innymi dniami i nocami, noce takie na palcach policzyć może. Jeśli więc śmierć jest czemś podobnem, to według mnie doprawdy jest ona oczywiście wygraną; bo w takim razie cała wieczność, pokazuje się, jest niczem więcej, jak jedną tylko nocą. Jeśli zaś przeciwnie śmierć jest niejako wędrówką ztąd do innego miejsca i t. d.“ (tłóm. Maszewski).

ptycyzm, nie dozwolony w chrześcijańskim myślicielu, był obliczony na czytelników, nie wierzących w nieśmiertelność duszy. Mogli bowiem podnieść zarzut, że Cyrus i Sokrates tylko wtedy zasługują na miano szczęśliwych, jeżeli się sprawdzi ich nadzieja wiecznego obcowania z Bóstwem. Autor, wchodząc w ten sposób myślenia, opowiada, że gdyby się nie ziściła, to i tak będzie szczęśliwy bohater, umierający z tem błogiem przeświadczeniem, że przez życie całe kochał cnotę i był posłuszny bogom. Nie należy tracić z oczu ważnej okoliczności, ukazującej pozorny sceptycyzm w właściwym świetle, że w obu razach słuchacze, do których zwracają się Cyrus xenofontowy i Sokrates platoński (w Apologii), są najmocniej przekonani o istnieniu Bóstwa, a tylko powątpiewają lub zdają się powątpiewać o życiu wiecznem dusz ludzkich. Przeciw ateistom byliby użyli zupełnie innej argumentacji.

Z Etyki sokratesowej zachował Xenofont wiele myśli wspaniałych, ale zwykle urywkowym sposobem, bo więcej dbał o zastosowanie prawd ogólnych do potrzeb chwili bieżącej, niż o ich fundament metafizyczny. Kładzie n. p. w usta młodego Cyrusa taką definicyę sprawiedliwości: „Słusznem jest to, co jest wedle praw, a niesłusznem, co im jest przeciwne“<sup>1)</sup> Znaleźli niektórzy, że takie określenie najwyższego pojęcia etycznego bardzo jest ułomne, skoro prawa różnią się wedle narodów, a nawet w tym samym narodzie ulegają ciągłym zmianom; przypominano słynny paradox Pascala: *Plaisante justice qu'une rivière borne! Vérité au deçà des Pyrénées — erreur au delà!* a winę za nieudolną definicyę składano na Sokratesa, który w Pamiętnikach zupełnie to samo mówi: „Sprawiedliwym jest, co jest wedle praw“<sup>2)</sup>. Grote nawet twierdzi, że tylko był wielkim w ujemnem wywracaniu obcych definicyj, ale bardzo słabym w stawianiu własnych<sup>3)</sup>. Gdy jednak zważymy, że Cyrusowi robi matka u Xenofonta

<sup>1)</sup> Cyrop. I. 3. § 17.

<sup>2)</sup> Memor. IV. 4. § 12: τὸ νόμιμον δίκαιον εἶναι.

<sup>3)</sup> Plato and the other companions of Sokrates. Vol. III. p. 588. Porówn. także Vol. I. p. 365 sq.

tejsamą obiektywę, jakoby inna była sprawiedliwość Medów, inna Persów <sup>1)</sup>, trudno przypuścić, że autor uważał istotę sprawiedliwości za wyrób etnologicznych czynników, według myśli nowszych socyologów, a kto przeczytał uważnie rozmowę Sokratesa z Hippiaszem, zdziwi się niemało, że nieustraszonego wyznawcę sprawiedliwości zrobiono oportunistą, który to zawsze miał za dobre i sprawiedliwe, co każdorazowy rząd państwa stanowi. Początek rozmowy zapewne może taki zrodzić przesąd, bo Hippiasz nie przyjmował sprawiedliwości ani prawom nie przyznawał mocy obowiązującej. Potrzeba więc było zapomocą indukcji przekonać go o błędzie. Na jego pytanie: co jest wedle praw (*νόμιμον*) a co jest sprawiedliwe (*δίκαιον*)? — odpowiada Sokrates także pytaniem: „Czy znasz prawa państwa“ (*νόμους πόλεως*) — Hippiasz: „Znam.“ — Sokrates: „Co przez nie rozumiesz?“ — Hippiasz: „To, co za wspólną ugodą obywatele postanowili, że wolno czynić lub należy zaniechać.“ — Sokrates: „Zatem wedle praw postępuje (*νόμιμος ἄν εἴη*), kto wedle nich w państwie żyje, przeciw prawom zaś, kto je przekracza!“ — Hippiasz: „Nie inaczej.“ — Sokrates: „Wszak i sprawiedliwie czyni, kto im jest posłuszny, a niesprawiedliwie, kto im nieposłuszny?“ — Hippiasz: „Nie może być inaczej.“ — Sokrates: „Zatem wedle praw postępujący (*νόμιμος*) jest sprawiedliwy, a wbrew prawom poczynający sobie (*ἄνομος*) jest niesprawiedliwy (*ἄδικος*) <sup>2)</sup>. — Robi wtedy sofistą zarzut, że ani prawa, ani winne im posłuszeństwo, nie są poważną rzeczą, skoro prawodawcy sami prawa swoje znęszają lub zmieniają. Sokrates zbija sofistat dowcipną uwagą, że nie należałoby wtedy ani tych pochwalać, którzy podczas wojny pełnią swój obowiązek, ani na odwrót tych, którzy w pokoju dobrze się sprawują, bo po wojnie każde państwo pokój zawiera, a gdy trwało czas jakiś w pokoju, przechodzi znowu w stan wojny. Przykładem zaś Sparty (do której Hippiasz wybierał się z odczytami) stwierdza Sokrates błogie dla rzeczypospolitej skutki, gdy obywatele posłuszni są pra-

<sup>1)</sup> Cyrop. I. 3. § 18.

<sup>2)</sup> Memor. IV. 4. § 13.

wom istniejącym, a nie troszczą się o to, że mogą kiedyś być zniesione. Hippiasz pokonany broń składa: „Nie sędzę, na Jowisza, żebym miał zdanie odmienne od tego, które wyłożyłeś o sprawiedliwości!“ Zgodzili się obaj na to, że „wedle praw“ i „sprawiedliwe“ jest zupełnie to samo (*νόμιόν τε καὶ δίκαιον τὸ αὐτὸ εἶναι*)<sup>1)</sup>.

Czyż powiemy z Grote'em lub innymi, że Sokrates, a za jego przykładem także Xenofont są legalistami, którzy treść praw pisanych uważają za jedno z sprawiedliwością? Zapewne, gdyby na tem była się zakończyła rozmowa. Wtedy rzeczywiście obie strony poprzestałyby na zewnętrznej, grubej sprawiedliwości, której się czyni zadość, przestrzeganiem ustaw państwowych. Ale filozofowi chodziło o więcej, i dlatego pyta na nowo: „Czy znasz, Hippiaszu, także jakie prawa niepisane (*ἀγράφοις νόμοις*)?“ — Hippiasz: „Takie, które w każdym kraju za prawa są uważane!“ — Sokrates: „Czyś gotów twierdzić, że ludzie je sobie nadali?“ — Hippiasz: „Nigdybym tego nie twierdził, bo ludzie nie mogli się wszyscy razem zebrać, ani też nie używają jednego języka.“ — Sokrates: „Kto więc, sądzisz, nadał te prawa?“ — Hippiasz: „Sędzę, że bogowie nadali ludziom te prawa, bo u wszystkich za pierwsze prawo uchodzi cześć bogów!“<sup>2)</sup>. — Zadziwiający polot myśli! Jak ptak, zanim wzbije skrzydła pod niebo, musi w rozpędzie odepchnąć się od ziemi, tak myśliciel ateński naprzód stawa na twardym gruncie praw pisanych, potem do niepisanych wznosi się, wszystkim ludziom wspólnych, nareszcie u siedzib bogów nieśmiertelnych zatrzymuje się, potwierdzających swoją powagą najświętszą wszelkie prawo, i to, które ludzie nadali sobie, i to, które od nich dawniejsze. Wykazuje Hippiaszowi, że nie tylko kult bogów, lecz także cześć rodziców, wdzięczność dla dobroczyńców i t. d. polegają na prawach niepisanych, za których pogwałcenie spada zawsze niechybnie kara na winowajców, gdy przeciwieństwo praw ludzkich przestępca nieraz ująć może kary, albo ukrywszy się, albo używszy przemocy. Ta niechybność kary

<sup>1)</sup> *ibid.* IV. 4. § 14—18.

<sup>2)</sup> *ibid.* IV. 4. § 19.

mszcząca każdą zniewagę, wyrządzoną prawom bożym, nie-pisanym, świadczy wymownie o boskim ich początku. „Na Jowisza, woła Hippiasz, wszystko to podobne do bogów. Że bowiem prawa same w sobie zawierają kary na przestępców, dowodzi, mojem zdaniem, że od większego, niż ludzkiego, prawodawcy pochodzą.“ — Sokrates: „Czy zaś sądzisz, Hippiaszu, że bogowie stanowią rzeczy sprawiedliwe lub też co innego?“ — Hippiasz: „Nic innego, na Jowisza, bo i któż potrafiłby stanowić sprawiedliwe rzeczy, jeżeli nie Bóg?“ — Sokrates: „Zatem i bogom się podoba, o Hippiaszu, żeby jedno i to samo było sprawiedliwe i wedle praw“ (τὸ αὐτὸ δίκαιόν τε καὶ νόμιμον εἶναι) <sup>1)</sup>.

Z przytoczonych ustępów można dokładnie poznać sposób, w jaki przyswajał sobie Xenofont problemy mistrza i do swoich potrzeb stósował. Jeżeli do nich dodamy już poprzednio wyszczególnione teorie pedagogiczne, religijne i polityczne, otrzymamy całokształt dosyć ponętny pojęć etycznych, które autor uważał za wystarczające do życia cnotliwego. Oczywiście samo ich jądro do mistrza należy, bogate zaś ubarwienie i przeprowadzenie w różnych dziedzinach pracy społecznej, jest po części dziełem ucznia. Przez staranną analizę, daje się cenne to jądro oddzielić, a wtedy przedstawia się ono jako wiara silna, poparta niejednym argumentem naukowym, w Boga Najwyższego i Najlepszego, który świat stworzył dla człowieka, a po śmierci gotuje mu wieczystą nagrodę, jeżeli sumiennie przestrzegał odwiecznych zasad sprawiedliwości. W tych jednak słowach streszczony pogląd Sokratesa na świat i życie ludzkie, ma raczej formę religijną i etyczną, niż dyalektyczną; wygląda tak, jak nieraz może mistrz go wykladał ludziom praktycznym, owym Krytonom, Arystodemom, Hermogenesom i tylu innym, codziennym towarzyszom, którzy więcej interesowali się wynikami jego badań, niż subtelną drogą, do nich wiodącą. Szczęściem zachowały się w pismach Xenofonta pewne ślady, po których odgadnąć można także formę dyalektyczną myśli sokratesowej; cenne resztki, wyglądające jak kawałki potłuczonych rzeźb, osadzone

<sup>1)</sup> *ibid.* IV. 4. § 24—25.

z pośpiechem w ceglany murze. Jednym z takich kawałków, pozwalającym jeszcze odgadnąć całość precudną, od której pochodzi, jest wyraz dyalektyka. Kwitła ona powszechnie u Eleatów i Sofistów, ale Sokrates nadał jej formę nową, sposobniejszą do odkrycia prawdy. „Rozprawianie (*διαλέγεσθαι*), mawiał, ztąd się tak nazywa, że ludzie razem się schodzą i radzą wspólnie o rzeczach, rozbierając (*διαλέγοντας*) je według rodzajów“<sup>1)</sup>. Tłómaczy nam także Xenofont cel, do którego zmierzała taka analiza rodzajów: „Sądził, że ci, którzy wiedzą, co każda rzecz jest (*τί ἕκαστον εἶη τῶν ὄντων*), także innym potrafią to wytłómaczyć... dlatego nie ustawał z przyjaciółmi rozważać, co każda rzecz jest“<sup>2)</sup>. Chodziło więc mędrocwi o dobrą definicyę każdej rzeczy, bo w definicyi wyraża się jej istota<sup>3)</sup>. Że to była praca rozległa i trudna, wyznaje uczeń otwarcie<sup>4)</sup>; że dotyczyła najszczytniejszych problemów życia ludzkiego, powiada wyraźnie: „on zawsze rozprawiał o rzeczach ludzkich, badając, co pobożne a co bezbożne; co piękne a co brzydkie; co sprawiedliwe a co niesprawiedliwe; co roztropność, szaleństwo; co męstwo, tchórzostwo; co państwo, mąż stanu; co panowanie nad ludźmi a co panujący; a taksamo o innych rzeczach, o których sądził, że ci, co je znają, dobrzy są i szlachetni, a ci, co ich nie znają, zasługują na miano niewolników“<sup>5)</sup>.

Zwykle mówią, że Sokrates zmałał pod piórem Xeno

1) *Memor.* IV. 5. § 12.

2) *ibid.* IV. 6. § 1.

3) Xenofontowe „wiedzieć, co każda rzecz jest“ odpowiada zupełnie „ogólnej definicyi“ (*τὸ ὀρίζεσθαι καθόλον*) Arystotelesa, jak widać z słów następnych: *πάντα μὲν ὄν, ἢ διωρίζετο* i t. d. (IV. 6. § 1). Że to definiowanie odbywało się zapomocą analizy rodzajów (*κατὰ γένη*), powiedziano poprzednio IV. 5. § 12.

4) *Memor.* IV. 6. § 1: Dlatego przytacza autor tylko definicye pobożności (§ 2—4), sprawiedliwości (§ 5—6), mądrości (§ 7), dobra (§ 8), piękna (§ 9), męstwa (§ 10—11), królestwa i tyranii (§ 12), podawszy przy każdej krótką argnmentacyę, do niej wiodącą.

5) *ibid.* I. 1. § 16.

fonta. Wytłómaczyłem na innem miejscu <sup>1)</sup>, w jakim znaczeniu należy brać to zmalenie. Uczeń każe mu często mówić o rzeczach małych, jeżeli godzi się nazywać małemi potrzeby dusz ludzkich, którym Sokrates dawał dobre rady lub które wyprowadzał z błędu. Ale obok „małych spraw,“ jak przekonaliliśmy się, traktują się nieraz bardzo wielkie, o ile na nie zezwalały indywidualność Xenofonta i cel apologetyczny „Pamiętników.“ Jego nawskróś niefilozoficzna a szczerze praktyczna natura, choć nie lubiła metafizyki, musiała czasem do niej zaglądać; ztąd wzniosłe niektóre teologiczne i psychologiczne wywody, a co ważniejsze, czasem z jakiego półsłówka lub krótkiego, nawiasowego zdania, dowiadujemy się o mnóstwie kwestyj, których nie chciał czy nie śmiał dotykać, mimo to, że stanowiły ulubione, prawie codzienne zajęcie mistrza. Przykład dyalektyki, tak krótko a niedbale wspomnianej, dowodzi, że poza „Pamiętnikami“ rozciągał się nieprzejrzany horyzont, obejmowany przez potężną myśl mędrca. Może być przykro czytelnikowi, że tylko od czasu do czasu widzi z daleka po przez gęste drzewa zwyczajnych dyskusyj, szmat błękitnego nieba, ale nie może mieć za to żalu do Xenofonta, który nie miał pretensyi być filozofem teoretycznym w zwykłym znaczeniu słowa. Nie każdemu danem jest pisać dyalogi takiego zakroju, jak Fedon lub Parmenides <sup>2)</sup>.

Niejeden z czytelników zawoła zniecierpliwiony, że zbyt długo zatrzymaliśmy się przy Xenofontcie, skoro poświęciłem mu dwa razy tyle arkuszy, ile Zeller kartek w swojej czterotomowej „Filozofii Greków“, bo chociaż nie był filozofem teoretycznym, wszelako myli się uczonej profesor w tem,

<sup>1)</sup> Tom I. str. 378.

<sup>2)</sup> Kilka ciekawych uwag o pięknie i jego tożsamości z dobrem, znajduje się w *Memor.* III 8. § 4—10; tamże III. 10. niektóre poglądy na istotę sztuk pięknych. Powrócimy do nich przy estetyce platońskiej. Teorya miłości lekko naszkicowana w *Memor.* I. 3. § 8—15; IV. 1. § 2. Sympos. 8. § 9—36. Teorya prawdziwego dobra i szczęśliwości znajduje się w *Memor.* IV. 2. § 31—36. Teorya woli w *Memor.* IV. 5. § 1—11; 6. § 3—6. III. 9. § 4—7. Teorya cnoty w *Memor.* IV. 1. § 2—5.

że „historia filozofii mało ma do powiedzenia o Xenofoncie“<sup>1)</sup>). Zupełnie inny a sprawiedliwszy sąd o Xenofoncie wydal Strümpell, przypisujący mu rozwijanie myśli sokratesowej w kierunku etyki zastosowanej, przez co niejako uzupełnił Platona, który ją rozwijał w kierunku teoretycznym<sup>2)</sup>). Ujemne zaś zdanie Zellera tem dziwniejsze, że przecież autora naszego uważa za „myśliciela i wiernego Sokratyka“<sup>3)</sup>), jak gdyby dwa te przymioty nie wystarczały do zapewnienia mu miejsca zaszczytnego u dziejopisarzów filozofii, zwłaszcza, że wszystkich innych Sokratyków pisma zaginęły<sup>4)</sup>). Można więc tylko od niego dowie-

1) *Die Philosophie der Griechen*. Tom II. str. 240 (4te wyd).

2) *Geschichte der prakti-chen Philosophie der Greichen* str. 466 i nast.

3) *Die Philos. der Griechen*, II. p. 238: *Man wird in diesen Ausführungen den denkenden Kopf und den treuen Sokratiker nicht verkennen.*

4) Sokratykami w ścisłej znaczeniu nazywają się ci z uczniów wielkiego Ateńczyka, którzy ani szkół nie założyli, jak Euklides, Fedon, Arystyp, ani samodzielnych, nowych systemów, jak Platon, lecz po większej części przestawali na praktykowaniu cnót mistrza, a częściej żywym słowem, niż pisanem rozszerzali zasady jego wśród bliższych znajomych. Z wyjątkiem Xenofonta pisali jeszcze o filozofii Sokratesa: Eschines, obecny przy śmierci mistrza (Plato Phaed. p. 59. b), później na dworze młodszego Dionizego (Diog. Laërt. II. 7. § 60—64, gdzie krótka jego biografia) i zaprzyjaźniony z Arystypem (Diog. Laërt. II. 8. § 82). Ten autor wiele ceniony (Cie. Brut. 85, 292; *De invent.* I. 31, 51) ogłosił siedm dyałogów, których szczerze resztki zebrał K. Fr. Hermann: *De Aeschinis Socratici reliquiis*. Goettingae 1850. Czy który z nich ocalał wśród dyałogów Platona, zobaczymy później. Symmiasza i Cebesza pisma (obaj w Fedonie rozmawiają z Sokratesem), wymienione u Diog. Laërt. II. 15. § 124 et 16. § 125 zaginęły, oprócz „obrazu Cebesza“ (*πίραξ*, tabula Cebetis), który jednak należy do czasów daleko późniejszych, może do I. wieku przed Chr. Nareszcie dyałogi Symona szewca, w którego warsztacie podobno Sokrates często przesiadywał (Diog. Laërt. II. 13. § 122) także przepadły, jeżeli istniały kiedykolwiek autentycznym sposobem, a pomysł Teichmüllera (*Literar. Fehden*. Tom II. str. 105 i nast., str. 203 i nast.), że tak zwane *διαλέξεις*

dzieć się, jak wyglądały niektóre myśli mistrza, zanim Platon je oblókł w lśniącą szatę genialnej wyobraźni.

Ale jest inny jeszcze powód, dla którego powinniśmy interesować się Xenofontem. Filozofia, nawet gdy oderwanymi zajęta badaniami, nie traci z oczu żywotnych potrzeb ludzkości. Choć często zapuszcza się w niedostrzeżone krainy metafizyki, nie przestaje jednak pragnąć, aby prawda każda przez nią odkryta, przybrała kształt dotykalny w świecie doczesnym. Co więcej! jej górnolotne podróże nie mają innego celu, krom sprowadzania prawdy na ziemię. Jeżeli, jak niegdyś Prometeusz, wzbija się ku słońcu, to tym jedynie wiedziona zamiarem, aby śmiertelnikom przynieść gorejącą pochodnię. Pracująca w niebiosach, nie zapomina nigdy o ziemskim padole i skrzętną ręką rzuca na jego łany zasiew piękna, prawdy i dobra. W sztuki i nauki, w organizm społeczny i w dusze jednostek wszczepia ożywcze idee. Żaden z wielkich jej przedstawicieli nie zaniedbał praktycznych zadań życia; Platon i Arystoteles, a za ich przykładem wszyscy późniejsi, uważali „praktyczną filozofię“ za cel ostatni teoretycznych badań nad Bogiem i światem. To też nie dziw, że po dotykalnych owocach oceniano wartość ich spekulacyi, a sąd taki najbardziej wtedy jest uzasadniony, gdy myśliciel dużo rozprawiał, a nie nie napisał. Je-

---

*ἠθικά* (wyd. u Mullacha *Fragm. Philos. Graecor.* Tom I. p. 544—552), są streszczeniem owych dyalogów, zrobionem po dorycku przez autora dla starszego Dionizego, jest jedną z licznych fantastycznych hipotez, które pozwalał sobie genialny uczony, gdy puszczał wodze bujnej wyobraźni. Zob. o tych pięciu *διαλέξεις* Th. Bergk: *Fünf Abhandlungen zur Gesch. der griech. Philos. und Astronomie* Leipzig 1883, str. 117 i nast., oraz artykuły Blassa w *Jahrb. für class. Philol.* 1881. str. 739; Schanza w *Hermes* 1884. Tom XIX. zeszyt 3; Feliksa Tocco w czasop. *La filosofia delle scuole italiane* 1885. Tom XXXII. p. 266. Ten ostatni zbija gruntownie hipotezę Teichmüllera, a nie przypuszcza, że owe *διαλέξεις* pochodzą od jakiego ucznia sokratesowego. To pewna, że z całej literatury Sokratyków zachowały się tylko pisma Xenofonta i że z nich tylko można powziąć dokładniejsze wyobrażenie o tem, jak nauki Sokratesa odbijały się w głowach szerszej, niefachowej publiczności.

zeli bowiem z słuszną ciekawością odtwarzamy teorye Sokratesa, nie mniej godziwe jest zainteresowanie się skutkami jego nauczania w młodych i starych, którzy powierzali mu swoje dusze <sup>1)</sup>. Zastęp ich nie mały, ale żaden z nich nie jest nam tak dobrze znany, jak Xenofont. Może być, że niejednego z nich dzieje zewnętrzne zostały nam dokładniej przekazane, ale tylko o Xenofoncie możemy powiedzieć, że znamy jego życie wewnętrzne. Odsłania przed nami w pismach swoich tyle rysów szczegółowych swojej pięknej i szlachetnej natury; zwierza się z tylu poruszeń, walk i zamiarów, że choć widzimy go przed sobą w najodmienniejszych położeniach, w najrozmaitszych chwilach, wiemy zawsze na pewno, co czuł, myślał i robił. A zawsze takisam, zawsze w zgodzie z sobą, zawsze pragnący zrobić wszystko jak najlepiej. Czy mówi do żołnierzy lub rozkazuje czeladce; czy bawi się z żoną i dziećmi lub ucztuje z przyjaciółmi; czy obchodzi gospodarstwo lub za jeleniem ugania się w kniei; czy w młodości nad Ilysem przechadza się z filozofami lub w Koryncie na starość pisze w samotnej bibliotece dzieje swego narodu; zawsze pomny hasła „*γνώθι σεαυτόν*,” którem mistrz jego nową inaugurował epokę ducha ludzkiego <sup>2)</sup>, zawsze pokorny wobec bogów, litosny dla biednych i ucieżonych, serdeczny dla wszystkich, w całym znaczeniu piękny i dobry, *καλὸς καὶ ἀγαθός*. Wierny naśladowca mistrza <sup>3)</sup>, pokazał w swej osobie, jak przez filozofię zostać doskonałym obywatelem. To jego znaczenie dziejowe tak jest donośne, że póki pisać będą ludzie życie Sokratesa, póty zawsze kłaść będą obok niego wizerunek wiernego ucznia, by każdy w tem zwierciadle mógł przypatrzeć się szczytnej teorii, urzeczywistnionej w pięknych czynach. Dla narodów zaś, przeważnie na roli powołanych do pełnienia cnót społecznych, pisma rycerza ateńskiego, który miecz za-

1) Pięknie mówi Sokrates do Hippokratesa: „Zamierzasz duszę swoją powierzyć sofście, aby ją kształcił“ *μέλλεις τήν ψυχὴν τὴν σουτοῦ παρασχεῖν θεραπεύειν ἀνδρὶ σοφιστῆ*. (Plat. Protag. p. 312. b.).

2) Zob. Cyrop. VII. 2. § 20 sq. Memor. IV. 2. § 24. Porówn. Tom I. str. 49. przyp.

3) Diog. Laërt. II. 6. § 56: *Σωκράτην ζηλώσας ἀκριβῶς*.

mienił na lemiesz, mają wartość iscie wyjątkową, bo można z nich nie tylko wydobywać wzniosłe zasady etyczne, przydatne do wszystkich przygód życia, lecz, co ważniejsze, także przekonać się, że „wieś spokojna, wieś wesola“ potrafi zamienić się w promieniejące ognisko oświaty, byleby jej właściciel, za przykładem wielkiego ucznia sokratesowego, „filozofię praktyczną“ zechciał wprowadzić do dworu swego i do chat wieśniaczych.

*X. Dr Stefan Pawlicki.*

# TALLEYRAND.

---

(Ciąg dalszy).

## X.

Talleyrand powiada, że Napoleona nie zdradził i przeciw niemu nie konspirował. Można mu uwierzyć na słowo. Napoleon sam siebie zgubił, nieumiarkowaniem i uporem. Konspiracye były najzupełniej zbyteczne, i, dopóki Savary czuwał w Paryżu, bardzo niebezpieczne.

Jak wielu innych, tylko wcześniej od wielu, Talleyrand w przewidywaniu katastrofy baczył na to, żeby nie zostać pogrzebanym pod gruzami. Podpierać walącego się budynku nie myślał; gromadził koło siebie malkontentów i rozdmuchiwał niechęć przeciwko Napoleonowi, kombinował, szukał wyjścia i czekał cierpliwie. Stałego planu nie miał, nawet mieć nie mógł, bo w początkach niewiadomo było, jaki obrót wezmą wypadki wojenne, później zaś, co postanowią monarchowie sprzymierzeni. Jeden gabinet angielski wcześniej począł się skłaniać ku restauracyi Burbonów, czemu Austria w duchu sprzyjała, czyniąc jednak swą decyzję zawisłą od zgody dwóch innych sprzymierzeńców, mianowicie cesarza Aleksandra, który Burbonów nie lubił, chciał kwestyę tronu pozostawić woli zgromadzenia narodowego i protegował kandydaturę ks. Eugeniusza Beauharnais, albo Bernadottego. Napoleon prawdopodobnie musiał ustąpić ze sceny, ale i utrzymanie go na tronie było możliwem; prócz tego istniały inne

kombinacye, regencya Maryi Ludwiki, albo oddanie korony księciu Orleańskiemu.

Talleyrand nie miał żadnych stosunków z Burbonami; powrotu ich niekoniecznie pragnął. Charaktery i przeszłość książąt krwi nie rokowały wiele dobrego; byli obcy Francyi i Francya o nich zapomniała; rojaliści, otaczający pretendentów, zamierzali przywrócić dawny porządek przedrewolucyjny, usunąć nowych ludzi, karać i mścić się. Robić pierwszy krok do Burbonów, Talleyrand nie widział powodu; wolał urządzić się tak, żeby oni do niego przyszli, i żeby on im postawił swoje warunki. W temsamem położeniu chciał znaleźć się wobec wszystkich bez wyjątku kandydatów do tronu, niedopuszczyć powrotu rządów absolutnych, bezwzględnej reakcyi, i nakoniec pominięcia własnej osoby.

Na to trzeba było przedewszystkiem nie ruszać się z Paryża i doczekać wejścia wojsk sprzymierzonych. Napoleon rozkazał cesarzowej wraz z regencyą usunąć się do Blois. Posłuszny rozkazowi, Talleyrand, w galowym powozie z wielką pompą ruszył w drogę, umówiwszy się poprzednio z panią de Rémusat, że jej mąż czekać będzie z oddziałem gwardyi narodowej u rogatek, powóz wice-elektora zatrzyma i do domu zawróci. Tak się stało. Talleyrand został w Paryżu, gdzie był pierwszą figurą, we Francyi najznakomitszą, w Europie najlepiej znaną.

Traf ułatwił mu dalsze ruchy. Cesarz Aleksander, który z królem pruskim najwcześniej wszedł do Paryża, miał zamieszkać w pałacu Elizejskim, lecz w ostatniej chwili otrzymał ostrzeżenie fałszywe, że pałac jest podminowany. Przed cesarzem i z jego polecenia, pojechał do Paryża Nesselrode, późniejszy kanclerz, dawniej sekretarz ambasady rosyjskiej w Paryżu, dobry znajomy Talleyranda. Chcąc zasięgnąć języka, Nesselrode udał się prosto do wice-elektora, który rzucił mu się na szyję i od stóp do głów pudrem obsypał; czesano go bowiem właśnie w tej chwili. W tem nadszedł posłaniec od cesarza, z doniesieniem, że cesarz w Elysée wysiąść nie może. Talleyrand oddał na rozkazy cesarza swój własny dom, *rue Saint-Florentin*, i gościa wziął pod swoje skrzydła.

Aleksandra sprawa tronu francuskiego mocno obchodziła. W ciągu kampanii doznawał ciągłych zawodów; Met-

ternich niweczył najpiękniejsze jego projekta, sprzeciwił się oddaniu mu naczelnego dowództwa, niechciał słuchać o kandydatach cesarza do korony francuskiej, jeszcze mniej o wyborze króla przez zgromadzenie narodowe. Było zaś punkt kapitalny dla Aleksandra, liczył bowiem, że za tę cenę zdobędzie popularność we Francyi i w całej Europie liberalnej. Trzeba było kuć żelazo, póki gorące, zanim nadjedzie cesarz austriacki z Metternichem.

Talleyrand po namyśle przechylił się już na stronę Burbonów. Wszyscy inni kandydaci do tronu reprezentowali tylko albo siebie samych, albo drobne stronnictwo, albo koterję. Burboni mieli za sobą długie wieki historii francuskiej, i to wszystkie bez wyjątku stronnictwa uznawały, choć nie wszystkie głośno. Teorya prawowitości później powstała; tymczasem jeszcze inne względy przemawiały na korzyść Burbonów. Wszystkie rządy porewolucyjne wyłoniły się z faktów spełnionych, dokonanych siłą materyalną, i wszystkie po kolei naprzód zawiodły pokładane w nich nadzieje, potem zaś upadły również pod naciskiem siły; pozostawało więc spróbować przeciwnej drogi, oprzeć się na jakimś pierwiastku moralnym, a takim, najbliższym pierwiastkiem była tradycya historyczna. W końcu, powrót Burbonów zapowiadała logika powszechna; sam Napoleon często powtarzał, że na tronie siedzieć może tylko on, albo Ludwik XVIII.

Zagadnięty przez Aleksandra o kwestyę dynastyi, Talleyrand także poczuł, że trzeba się spieszyć, aby faktem spełnionym uprzędzić sprzymierzeńców i pretendenta. Jeden punkt oparcia miał już w gabinecie angielskim z góry zapewniony; pozostawało wybić z głowy Aleksandrowi niewczesne mrzonki. Na wzmiankę o Burbonach, Aleksander się skrzywił, swoim zwyczajem zażenował, i, nie chcąc otwarcie stanąć w sprzeczności z gospodarzem domu, zapytał: jakim sposobem przekonać się może, że Francya pragnie powrotu dawnej dynastyi. — Z uchwały senatu, odrzekł Talleyrand, pewny, że senat uchwali wszystko, czego on zażąda.

Rozmowa miała miejsce 31 marca 1814 r. Tegosamego dnia rozlepiono na rogach ulic odezwę Aleksandra, oznajmiającą, że monarchowie sprzymierzeni nie wejdą w układy ani z Napoleonem Bonaparte, ani z nikim z jego rodziny, oraz,

że uznają i zagwarantują konstytucyę, jaką naród francuski sobie nada. Proklamacya wzywała senat do wyboru rządu tymczasowego. Talleyrand, jako wice-prezes tego ciała, zwołał senat i wieczorem 2 kwietnia przyniósł Aleksandrowi uchwałę, orzekającą detronizacyę Napoleona, tudzież przywrócenie monarchii Burbonów, z gwarancyami konstytucyjnymi. Cesarz miał się zdumieć, ujrzawszy pod uchwałą wiele nazwisk ludzi, którzy niegdyś wotowali śmierć Ludwika XVI.

Klamka zapadła, niwecząc rozmaite widoki. Klauzula o konstytucyi była nieprzyjemną niespodzianką dla gabinetu austriackiego, a dla Burbonów i rojalistów czystej krwi, dotkliwym razem. Talleyrand, obrany prezesem rządu tymczasowego, popełnił wielką nieostrożność, zgadzając się na umieszczenie Napoleona na wyspie Elbie; pomysł wyszedł od cesarza Aleksandra. Dodać należy, że miał na barkach inne, zwłoki niecierpiące sprawy.

Ludwik XVIII zdążył powoli do stolicy; hr. d'Artois go wyprzedził. Damy z przedmieścia Saint-Germain przedstawiały Talleyrandowi, jak pilno być musi księciu ujrzeć nareszcie i przycisnąć do serca swego dawnego przyjaciela; Talleyrand zapewniał, że i on niemniej gorąco pragnie rzucić się w ramiona księcia, ale woli to odłożyć na później. Po abdykacyi Napoleona, d'Artois, wzięwszy tytuł namiestnika królestwa, 12 kwietnia odbył uroczysty wjazd do Paryża. Talleyrand, na czele rządu, przyjął księcia u bram miasta. Oparty na szyi konia księcia, wyrecytował powitanie, z kilkunastu słów złożone; książe, łkając, zaledwie zdołał wymówić: *Je suis trop heureux... trop heureux...* Orszak udał się do kościoła Notre-Dame, wśród frenetycznych okrzyków tłumu. Po skończonej ceremonii, wypadło zredagować opis uroczystości i przytoczyć mowę namiestnika królewskiego, który właściwie nic nie powiedział. Talleyrand porucił redakcyę Beugnotowi, z zaleceniem, żeby nie przesolił poezyą. Gdy Beugnot przyniósł brulion, zapytał: *Voyons, qu'a dit Monsieur?*<sup>1)</sup> Trzeba mu przecież coś w usta włożyć?... Po różnych przeróbkach, Beugnot skomponował słynny frazes: *Rien n'est changé, il n'y a qu'un Français de plus!*

<sup>1)</sup> Brata królewskiego dawnym obyczajem nazywano *Monsieur*.

Talleyrand klasnął w ręce: *C'est bien là le discours de Monsieur...* bądź spokojny, jutro księżę będzie przekonany, że tak a nie inaczej się wyraził.

Senat nie pokazał się podczas przyjęcia. Wzięcie tytułu namiestnika, nie podobało się i zaniepokoiło zwolenników konstytucyi. Stał się kompromis taki, że senat ofiarował namiestnictwo księciu, który nawzajem zapewnił, że król niewątpliwie przyjmie zasady konstytucyi.

Obowiązki urzędu nie pozwoliły Talleyrandowi pospieszyć na spotkanie Ludwika XVIII. Na swoje miejsce wysłał ks. de Liancourt, mocno skompromitowanego w rewolucyi. Liancourt wrócił, nie widziawszy króla i doznawszy nader zimnego przyjęcia u p. de Blacas. Talleyrand się zdziwił i zgorszył. *Qu'est-ce que ce Blacas?* mówił. *Je ne sais pas, d'où il vient et me soucie assez peu de le savoir.* Teraz inne nastały czasy. Pod rządem konstytucyjnym zdolność daje znaczenie i wpływ... I dopiero w Compiègne zjawił się u króla. Przyjęcia doznał bardzo serdecznego; Ludwik XVIII zaczął nawet od polechtania jego dumy: *Nos maisons datent de la même époque;* gdyby twoi przodkowie byli zręczniejsi od moich, tybyś odezwał się teraz do mnie: siadaj, pomówimy o interesach; *aujourd'hui c'est moi qui vous dis: asseyez-vous et causons...* Audyencya trwała długo, Talleyrand wykladał królowi stan rzeczy i usiłował nawrócić króla do swoich zapatrywań, bez wielkiego skutku. Ludwik XVIII, *le roi nichard*, jak go Talleyrand nazywał, nie wchodząc w kontrowersa, dał tylko do zrozumienia, że Francya dostanie konstytucyę, a Talleyrand sprawy zagraniczne. Nie obeszło się podobno bez ironicznych przytyków ze strony króla do ludzi, którzy podczas rewolucyi trudzili się o własne wyniesienie, podczas gdy on cierpliwie czekał i doczekał powrotu na tron. Wreszcie król miał zapytać Talleyranda, jakim sposobem wyrzucił dyrektoryat i Bonapartego; na co Talleyrand odrzekł z niewinną miną: *Mon Dieu, Sire, je n'ai rien fait pour cela. C'est quelque chose d'inexplicable que j'ai en moi et qui porte malheur aux gouvernements qui me négligent.*

Obietnica konstytucyi nie wystarczała Talleyrandowi; żądał, żeby król przyjął konstytucyę taką, jaką Francya sama sobie nada, czyli wyraźniej mówiąc, jaką on, Talley-

rand, przepisze. Kiedy jednak kwestyę wyraźnie postawił, król przerwał mu: *Vous me demandez d'accepter de vous une constitution, et vous ne voulez pas en accepter une de ma part. C'est très-naturel, mais mon cher Monsieur de Talleyrand, alors, moi, je serai debout, et vous assis.*

Po takiej odprawie, król, z pominięciem Talleyranda, wyznaczył komisję, której powierzył wypracowanie projektu karty konstytucyjnej. Talleyrand otrzymał tytuł księcia i tekę spraw zagranicznych, *de facto* piastowaną. Jeszcze przed przybyciem króla, zawarł z mocarstwami sprzymierzonymi konwencyę z 23 kwietnia 1814 r., zapewniającą Francyi granice z r. 1792 i ewakuacyę terytorium francuskiego. Zarazem Francya odzyskała 250.000 żołnierzy, zamkniętych w fortecach po różnych stronach Europy, i przeszło sto tysięcy jeńców wojennych, tudzież artyleryę i znaczne zapasy amunicyi. Byłato wielka usługa, oddana Francyi i monarchii, lecz ze strony rojalistów odplacona niewdzięcznością.

Ludwik XVIII miał wysokie wyobrażenie o godności monarszej i przekonanie, że cała władza jemu się należy; rozumiał jednak, że okoliczności wymagają ustępstw. Pragnąc umrzeć na tronie i miłując swój spokój, nie targował się o drobnostki; co nie przeszkadzało, że rad był odebrać, co można. Do rewolucyi i do ludzi w rewolucyę wmięszanych, czuł wstręt nieprzewyciężony, z musu znosił *ce tas de coquins*, żadnemu nie dowierzał. Karta konstytucyjna, udzielona przez króla, była bardzo liberalna, może nawet, jak na początek, zanadto liberalna, lecz król bał się przewagi nad sobą swoich ministrów, w których upatrywał naturalnych przeciwników władzy monarszej. Sprzęgał więc razem istoty, żyć z sobą w zgodzie niemogące; wszelka wyższość umysła ciężyla mu niezmiernie. Obok tego Ludwik XVIII posiadał wielkie zalety, był cierpliwy, wyrozumiały, uprzejmy w obejściu, nieprzystępny pochlebstwu. Emigrantów trzymał krótko; rodzinie łatwiej ulegał. Dawny towarzysz wygnania, *ce certain M. de Blacas*, człowiek uczeiwy i wierny, ale ograniczony, zarozumiały i próżny, otrzymał ministerstwo domu królewskiego; przez jego ręce przechodziły wszystkie postanowienia króla, z wyjątkiem spraw zagranicznych, które król wprost z Talleyrandem traktował. Talleyranda kłui w oczy

ten intruz. Król to starał się załagodzić: *Ce pauvre Blacas, il aime la France, il m'aime, mais on dit qu'il est suffisant...* — *Ah! oui*, przyznał Talleyrand, *suffisant et insuffisant*. — I z *suffizantem*, jak dawniej i u nas mówiono, musiał na współkę ciągnąć wóz państwa. Twardsza jeszcze sprawa była z hr. d'Artois i z ks. Berry. Artois był o tyle sercowy i wrażliwy, o ile król obojętny i chłodny; przytem czuły na pochlebstwa, pragnący się przypodobać, wartki, żądny wpływu; Berry siedział pod pantoflem emigrantów, którzy nie mogli strawić, że nie oni po swojemu rządzą Francją; wszystko, co się działo, było wedle nich złe i zgubne dla monarchii. Talleyrand specjalnie stanął im kością w gardle. Wyrzucali mu pospiech przy zawarciu traktatu kwietniowego i przedwczesne oddanie fortec sprzymierzonym. Ks. Berry publicznie na radzie odezwał się: panu de Talleyrand było dziwnie pilno podpisać ten nieszczęśliwy traktat. — Niestety, tak, mości książę, spieszyłem się, ale wielu członków senatu wyrzucało mi także, że okazałem zawiele pospiechu przy oddaniu domowi królewskiemu korony, której mógł nie odzyskać. — Nieco później, ks. Berry wspomniał o świetnej roli, jaką Francya odegrać będzie mogła, gdy trzykroć sto tysięcy wojska, wracającego z fortec i z niewoli, stanie na ziemi ojczystej. — Więc książę mniemasz, zapytał Talleyrand, że ta armia przyda się Francji? — Niezawodnie! — Otóż tę armię Francya zawdzięcza owemu nieszczęsnemu traktatowi z 23 kwietnia.

Ludwik XVIII, podzielał w duchu uczucia i antypatyę książąt, którzy odrazu stanęli w opozycyi z systemem rządowym. Wpływ książąt był czysto negacyjny; zrobić nie mogli nic, ale mogli dużo psuć i niechętnych utwierdzać w przekonaniu, że świeżo zaprowadzony porządek jest tylko tymczasowym, tylko wstępem do innego, trwałego i lepszego. Obawa zaś owego lepszego porządku, prześladowała jak zhora młodą Francję, o której istotnem usposobieniu rodzina królewska miała najfalszywsze pojęcia. Okrzyki tłumu, witającego króla i książąt, i pobożne życzenia emigrantów, brano w Tuileries za najlepszą monetę, za nieomylny dowód, że naród chwilowo obłąkany, nawrócił się do prawowitej dynastyi i w jej obronie stanąć gotów, jak jeden mąż. Lud-

wik XVIII chętnie w to wszystko wierzył, a temsamem skłonniejszy się robił do popuszczania cugli koteryi swego brata.

Talleyrand prędko dał za wygrane w wewnętrznej polityce, ujrawszy wdzięczniejsze pole w Wiedniu, na kongresie. Dobrał sobie trzech pełnomocników i liczną świtę. Dalberg miał mu służyć za konfidenta, oraz do puszczenia w obieg tajemnic, które winny były dojść do wiadomości różnych osób. Alexis de Noailles, dawny adjutant hr. d'Artois, utrzymując z nim korespondencję niby sekretną, miał zaspakajać ciekawość jego *et de ses petits faiseurs diplomatiques*, bez szkody dla interesów, traktujących się w Wiedniu. Margrabia La Tour du Pin wzięty został do wizowania paszportów; La Besnardière, zdolny i wypróbowany urzędnik ministerstwa spraw zagranicznych, do zawiadywania kancelaryą, złożoną z kilku sekretarzy; w ich liczbie był Perray, później autor mnóstwa pamfletów na Talleyranda.

Jeszcze w 1809 r. Talleyrand ożenił swego synowca, Edmunda de Périgord, którego wyznaczył swoim spadkobiercą, z księżniczką Dorotą Kurlandzką, najmłodszą *des trois Grâces*. Swatem, na prośbę Talleyranda, był cesarz Aleksander; tym sposobem Talleyrand uniknął interwencji w tę sprawę Napoleona i nałożenia sobie synowicy. Pani Edmundowa de Périgord pojechała do Wiednia, w roli gospodyni domu swego stryja. Młoda, piękna i rozumna, przez matkę i siostry mająca gotowe stosunki z towarzystwem wiedeńskim i całą arystokracją międzynarodową, prędko zdobyła sobie stanowisko w Wiedniu i w swoim zakresie doskonale reprezentowała Francję; *elle sut attirer et plaire, et me fut fort utile*, świadczy Talleyrand. Od tego czasu pozostała nieodstępną towarzyszką stryja, który ją pokochał i wysoko cenił.

## XI.

Na mocy traktatu paryskiego z 30 maja 1814 r., Francya otrzymała granice z roku 1792, oraz zwrot prawie wszystkich kolonij; w porównaniu przeto z rokiem 1789, wyszła

z katastrofy napoleońskiej powiększoną, przez nabycie fortecy Landau z okręgiem, Awinionu, Montbéliard, Sabaudyi i skrawków, przy sprostowaniu granicy jej przypadłych. Prócz tego, pozostały przy niej dzieła sztuki, w różnych czasach w Europie prawem zdobyczy zagrabione. Kosztów wojennych nie płaciła żadnych; odzyskała gotową armię z materiałem wojennym; obce wojska opuściły ziemię francuską.

Zaszczytny i korzystny dla Francyi, pokój paryski przynosił chlubę członkowi, co ten pokój negocyował. Talleyrand umiał wziąć się do rzeczy; dopomogły mu przeróżne okoliczności. Po długich i krwawych wojnach, ogarnęła umysł potrzeba spokoju i wypoczynku, ogólny nastrój ku pojednaniu i zgodzie. Sprzymierzeńcy, upojeni radością i pewnym rodzajem zdziwienia, że im się udało przemódz Napoleona, unikali wszystkiego, co mogło zadraskać uczucie Francuzów. Pozostawała wreszcie do załatwienia sprawa nader ważna dla sprzymierzonych mocarstw, podział łupów, czem miał się zająć kongres do Wiednia zwołany.

Postanowionem było w zasadzie, że Hollandya, zwrócona domowi Orańskiemu, otrzyma rozszerzenie granic; że Szwajcarya zachowa byt niepodległy i samorząd; że państwa niemieckie, pozostając niezawisłemi, zwiążą się w federacyę; że Włochy północne przypadną Austrii, reszta zaś półwyspu będzie podzieloną na osobne państwa. Byłyto wszystko ogólniki, kwestye otwarte, oczekujące odpowiedzi; prócz tego należało rozstrzygnąć los Saksonii i Księstwa Warszawskiego. Traktat orzekł, iż podział terytoryów mieć winien na celu istotną i trwałą równowagę; co w braku stałej miary i wagi, otwierało szranki dla egoizmu i chciwości ludzkiej.

Stanowisko Francyi na kongresie było o tyle ułatwionem, że Francya dla siebie niczego więcej żądać nie mogła i nie zamierzała. Ludwik XVIII dbał mocno o usunięcie z Neapolu Murata na rzecz Burbonów, lecz Murat, jako kreatura Napoleona, mniej-więcej zawadzał całej Europie. Główną rzeczą dla Francyi było, odzyskać należne jej miejsce w rzędzie wielkich mocarstw i w systemie europejskim. Tymczasem, sekretny artykuł traktatu paryskiego niósł, że rozdział terytoryów, oraz ustanowienie równowagi, dopełnione będzie na kongresie na zasadach, jakie mocarstwa sprzymierzone

między sobą ułożą, co równało się wykluczeniu Francji od udziału w dziele, obchodzącem przyszłość całej Europy. Pomimo wszelkich oświadczeń o potrzebie zgody, jedności i braterstwa, w gabinetach istniały silne uprzedzenia i niechęci ku Francji, którą, po części sprawiedliwie, czyniono odpowiedzialną za wybryki rewolucyjne i gwałty napoleońskie. Sprzymierzone mocarstwa pragnęły trzymać Francję pod kuratelą i otoczyć ją kwarantanną od zarazy rewolucyjnej. Ten zamiar zniszczyć, było głównem i niełatwem zadaniem pełnomocnika króla arcychrześcijańskiego.

Talleyrand posiadał wszystkie potrzebne kwalifikacye. Lepszego wyboru Ludwik XVIII nie mógł uczynić; w dodatku, pozbywał się z domu cenzora i zabezpieczał od *uroku*, zgubnego rządów, zaniedbującym kulawego czarodzieja. Co się tyczyło wierności Talleyranda, król mógł być spokojny, że dopóki siedzieć będzie na tronie, Talleyrand go nie opuści i nie zdradzi. Na wypadek zaś jakiego nieszczęścia, król liczył na niewidzialną rękę, która go już raz wróciła z wygnania.

Wybierając się do Wiednia, Talleyrand przewidywał podobno niedaleki upadek Burbonów, wskutek błędów w polityce wewnętrznej, i miał na myśli dwie kombinacye: regencyę z synem Napoleona, albo powołanie na tron Orleanów. W obu alternatywach, zawadą byłby Napoleon i Murat; należało zatem jednego usunąć z Elby, drugiego z Neapolu. Na tym punkcie widoki króla stykały się z widokami przebiegłego pełnomocnika.

W Wiedniu dwie drogi stały otworem dla Talleyranda. Mógł pozostać neutralnym, trzymać się na uboczu i czekać, aż sprzymierzeńcy między sobą się poróżnią, co według wszelkiego prawdopodobieństwa musiało niezadługo nastąpić, a wtedy stanąć po stronie interesom bliższej Francji, lub też odrazu wystąpić w roli poplecznika strony, mającej za sobą większe szanse zwycięstwa i przyspieszyć rozdwojenie między sprzymierzeńcami.

Neutralność obiecywała większy pożytek dla Francji, można bowiem było sprzedać się więcej dającemu; ale neutralność nie przypadła do gustu, ani Ludwikowi XVIII, ani Talleyrandowi. Króla byłaby do głębi ubodła myśl, że jego

pełnomocnik siedzi na szarym końcu i nie nie znaczy; winę zwałiby był na Talleyranda, któremu podrzędna rola jeszcze mniej się uśmiechała. Chciał godnie się postawić, i w oczach króla, i w oczach Europy.

Polityka zagraniczna Francyi była oddawna wykolejona, nie tradycyi zerwana. Odkąd, jeszcze za Ludwika XV, rywalizacya z domem austryackim straciła rację bytu, mężowie stanu z czasów monarchii, kręcili się wkoło, daremnie szukając wyjścia i stałego kierunku. System propagandy i podbojów, czyli system rewolucyi i Napoleona, upadł pod brzemieniem własnych win, obrzydł Francyi i Europie. Naród, w zgodzie z dynastją, wyrzekł się myśli podbojów i pragnął pokoju. Zasada przymierzy z małemi państwami, nie znajdowała zastosowania. Porta, nie brawszy udziału w wojnie, nie zasiadała na kongresie; Szwecya, związana z koalicją, odwróciła się od Francyi; państwa niemieckie ciężyły bardziej ku Austrii, Prusom, lub Rosyi; Saksonia istniała ledwie z imienia. Wielkie mocarstwa łączyły traktaty, wspólność wielu interesów, świeże wspomnienia, wreszcie wstręt i podejrzliwość ku Francuzom; żadne nie przypuszczało myśli przymierza z Francją.

Rozglądając się po Europie, Talleyrand ujrzał szczelinę, pozwalającą mieć nadzieję, że klin w nią wciśnięty, rozsądzić może poczwórne przymierze. Szczelinę tworzyła sprzeczność między widokami Austrii i widokami północnych mocarstw. Austrii program, bardzo obszerny, obejmował następane punkta główne. We Włoszech, posiadanie Lombardyi i Wenecyi, na co godzili się wszyscy, nie wyjmując Francyi, która oponowała tylko rozciągnięciu wpływu austryackiego na cały półwysep, bez względu na formę. W Niemczech, Austria pragnęła powetować utratę korony cesarskiej, zapewnieniem sobie przewagi, opartej na sztucznym rozkładzie sił i na organizacyi związku niemieckiego; lecz w tej sprawie sama sobie przysposabiała współzawodnika w Prusach. Od Kaunitza, wszyscy austryaccy statysci wyrzekali na ambicyę, cheiwość i złą wiarę Prusaków; wszyscy uznawali Prusy za wroga Austrii, i wszyscy dopomagali znosić cegły na fundamenta wielkości Hohenzollernów. W epoce wojen napoleońskich, przyjaźń Prus stała się niezbędną

Austrii, lecz postępowanie gabinetu berlińskiego nie wkładało na Austryę wielkich obowiązków wdzięczności. Nie tyle też przez wdzięczność, jak wskutek błędnej budowy swojej teorii o równowadze na północy i w środku Europy, Metternich obstawał przy zasadzie, że Prusy odzyskać winny rozległość i ludność, jaką przed rokiem 1806 posiadały. Tejsamej zasady trzymały się Anglia i Rosya, lecz zachodziła wielka różnica zdań, co do geograficznego położenia odbudowanych Prus. Cesarz Aleksander, chcąc Księstwo Warszawskie w całości zatrzymać przy sobie, upatrywał kompensatę dla Prus w Saksonii; gabinet londyński na to zezwalał, podczas gdy Austria dążyła do ocalenia Saksonii, zabezpieczającej jej własne granice. Według planu austriackiego, Prusy miały otrzymać ekwiwalent za Saksonię nad Wisłą, w Polsce, chociażby za cenę ofiar od strony Galicyi, o którą Austria nie wiele się troszczyła. Nadto, tym sposobem granice Rosyi mogły być cofnięte dalej od środka Europy, i Prusom przypadała straż Niemiec od nacisku północnego sąsiada.

Program powyższy stanowił *maximum*, o które starać się należało, ale z którego niejedno mogło odpaść. Cesarz Franciszek i Metternich, bywając często na wozie i pod wozem, przyszli do przekonania, że głowy o mur nie warto rozbijać. Najsilniejsze mieli też postanowienie, nie tylko wojny unikać, lecz strzedz się waśni między sprzymierzonymi, rozpadnięcia poczwórnego aliansu, który należało utrzymać i zachować na wypadek, zawsze możliwy, nowego starcia z Francją. Polskie projekta Aleksandra niewypowiedzianą odrazę budziły w Wiedniu, lecz nietracono nadziei, że cesarz w końcu ustąpi; od tego był kunszt Metternicha, który tyle i tyle odniósł nad nim bezkrwawych zwycięstw. Szukać poparcia u Francyi, nikomu przez myśl nie przeszło; nie przeszkadzało to jednak, że w pewnych chwilach, sukkurs w osobie Talleyranda przez Opatrzność zesłany, mógł być Austrii bardzo na rękę. Talleyrand i to zapewne zmiarkowawszy, zawczasu odpowiednio się urządził. Ku Austrii ciągnęły go nadto dawne sympatye, tudzież wzgląd, że Austria była głową moralną koalicji i prawie zawsze swoją przeprowadzała wolę.

## XII.

Ciekawą jest instrukcja, jaką Talleyrand wedle zwyczaju sam dla siebie zredagował.

Na wstępie, opierając się na brzmieniu traktatu paryskiego, dowodził, że kongres, jako powszechny, obejmować winien wszystkie państwa, wielkie i małe, biorące udział w wojnie, traktatem zakończonej; czyli całą Europę, z wyjątkiem Turcyi i Szwajcaryi. Szło mu o przypuszczenie do obrad kongresu pełnomocników państw drugorzędnych i drobnych państw niemieckich, między którymi znajdowało się wielu dawnych klientów Francyi. Oczywiście było, że każde takie państwo zechce zachować swój byt i niezawisłość, przysięgając powiększyć się. Interes Francyi był jasny: należało te dążenia popierać, aby niedopuszczyć wzrostu wielkich mocarstw, i na kongresie zjednać sobie stronników.

W dalszym ciągu, z własnej definicyi prawa publicznego, Talleyrand wyciągnął wniosek, że władza panującego nie może być nabyta drogą podboju, ani też przejść na zdobywcę, bez wyraźnej zgody poprzedniego monarchy, oraz nie będąc uznaną przez inne państwa; gdzie zaś monarchy nie było, lub nie ma, i gdzie cessa wskutek tego stała się niepodobną, zastąpić ją może sankcja Europy.

Cały ten wywód, bardzo długi, szczegółowy i przykładami objaśniony, miał na celu rozmaite manipulacje, mianowicie Saksonię, Polskę i Neapol. Neapol Talleyrand wliczał do kategorii krajów spornych, dlatego, że nie wszystkie państwa uznały Murata, którego nigdy po nazwisku nie wymieniając, nazywał: *celui qui règne à Naples*, i któremu odmawiał prawa wysłania pełnomocnika na kongres. Saksonię i Księstwo Warszawskie liczył do krajów, których monarcha utracił posiadanie, bez przekazania swoich praw innemu, ale których nikt inny sobie nie przywłaszczył. Los ich miał być rozstrzygnięty przez decyzję kongresu.

Bardzo trafnie określił Talleyrand teorię równowagi europejskiej. Równość sił między państwami istnieć nie może, i prędzej byłaby szkodliwą niż pożyteczną. Właściwa równowaga spoczywa w stosunku siły odpornej do siły zaczepnej;

gdyby Europa składała się z państw tak uorganizowanych, że *minimum* siły odpornej najmniejszego państwa równałoby się *maximum* siły zaczepnej największego, istniałaby w Europie równowaga prawdziwa, wypływająca z natury rzeczy. Tego w Europie nie ma i być nie może; poprzestać zatem trzeba na równowadze sztucznej i o tyle trwalej, o ile wielkie mocarstwa rządzić się będą duchem umiarkowania i sprawiedliwości.

Zobaczymy, jak Talleyrand chciał tę równowagę osiągnąć.

Oddać całe Włochy Austrii nikt nie myśli, i Austriya tego nie żąda, bo straciłaby Włochy w ciągu kilku lat, jeżeli nie miesięcy. Ale grozi inna kombinacya, zapewniająca Austrii trwale panowanie na całym półwyspie, jeżeli Austriya otrzyma Włochy północne, jeżeli Modena, Parma, Placencya i Toskania dostanie się członkom domu austriackiego i Murat nie przestanie panować w Neapolu. Aby temu zapobiedz, należy oddać Neapol prawowitej dynastyi, Toskanię królowej Etruryi, Stolicy apostolskiej Legaeye, wreszcie powiększyć Sardynię i prawa domu Carignan do następstwa tronu ostatecznie uregulować. Najlepiej byłoby Muratowi nie dać; w najgorszym razie, można osadzić go na wyspach Jońskich.

W Niemczech należy położyć tamę przewadze Prus. Prusy są ambitnemi z konieczności, wskutek swojej fizycznej budowy. Wszelki pretekst bywa dla nich dobrym; żaden skrupuł ich nie powstrzymuje; własna korzyść trzyma miejsce prawa. Takim sposobem, Prusy w przeciągu lat sześćdziesięciu i trzech, wzrosły z niecałych czterech milionów ludności do dziesięciu i stworzyły sobie ramy na olbrzymią monarchię. Straszny upadek, jaki na siebie niepomiarowaną ambicyą ściągnęły, nie posłużył im za naukę. Obecnie emissaryusze pruscy agitują w całych Niemczech, przepowiadając najazd francuski i wystawiając Prusy jako jedyne go zbawcę. Prusy pożądamy Belgii, prowincyj nadreńskich, Luksemburga. Wszystko ma być stracone, jeżeli Moguncya im nie przypadnie. Nie będą nigdy bezpieczne, jeżeli nie posiadą Saksonii. Sprzymierzeni postanowili podobno przywrócić Prusom dawną ilość mieszkańców. Jeżeli tak dalej pójdzie, niebawem Prusy będą miały dwadzieścia milionów ludności i całe Niemcy

zagarną. Trzeba poskromić tę nienasyconą ambicję, redukując o ile można obszar Prus i wpływ na Niemcy. Pierwsze osiągnąć można przez zachowanie bytu drobnych państw i powiększenie średnich. Kiedy zaś drobne państwa nadal istnieć mają, tem więcej Saksonia ocaloną być winna. Król saski przez lat czterdzieści rządził krajem po ojcowsku, dając przykład cnót monarszych i ludzkich. Zaskoczony burzą w podeszłym wieku, ugiął się pod ramieniem, które tylu innych złamało, lecz z pobudek naturalnych i zaszczytnych, jakich nie miało wielu innych, którzy większą obciążeni winą, zasypują go teraz wyrzutami. Świetność znosił z umiarkowaniem, jak dziś znosi godnie nieszczęście. Z Francją łączą go węzły pokrewieństwa; z drugiej strony, zabór Saksonii byłby pierwszym krokiem do opanowania Niemiec przez Prusy. Gdyby nawet przyjsć miało do usunięcia z tronu dzisiejszej dynastji, tron przypaść winien linii książęcej domu saskiego.

Organizacya związku niemieckiego, nie kusząc się o doskonałość, powinna dążyć do tego, aby w małych państwach poddani nie byli uciemiężeni, aby wielkie państwa nie gnioły małych i nie mogły wyzyskiwać ich na własną korzyść.

Odbudowanie Polski byłoby rzeczą dobrą i nawet bardzo dobrą, *un bien et un très-grand bien*, — ale pod trzema warunkami: żeby Polska była istotnie niepodległą, żeby miała silną konstytucję, żeby nie trzeba było wynagradzać Austrii i Prusom ubytku ztąd wynikającego.

Talleyrand z góry stawiał pewnik, że wszystkie trzy warunki są niepodobne do osiągnięcia, a najtrudniejszym drugi. W tym ostatnim punkcie mylił się z gruntu, widząc rzeczy przez pryzmat zachodnich teoryj i wyobrażeń.

Co się tyczy pierwszego, istotnej niepodległości, prawdą było, że Rosya, czyli ściślej mówiąc, cesarz Aleksander, chciał Polskę przywrócić nie po to, żeby oddać, co ma, tylko po to, żeby nabyć, czego nie posiadał. Posiadłszy całą Polskę, Rosya posuwała się wprawdzie daleko ku środkowi Europy, ale nie jest wcale dowiedzionem, żeby to posunięcie się Rosyi, miało być dla całej Europy tak wielkiem niebezpieczeństwem, jak Talleyrand twierdził. Państwo piętnasto-milionowe; mające osobny rząd, skarb i wojsko, zawsze coś znaczyć musiało, z czem Rosya musiałaby się liczyć. Religiją, cywilizacyą,

przeszłością, Polska była w każdym razie bliższą Zachodowi, niż Wschodowi. Polaków i Rosyan dzieliły prócz tego dawne urazy i świeże niechęci. To wszystko rokowało prędzej niezgodę niż zgodę, a wtedy Polska stawała się hamulcem dla Rosyi i rodzajem wału obronnego dla Europy. Z czasem Polacy mogli nabrać rozumu i wykształcenia politycznego, wzmódz się w siły, ucywilizować Rosyę i na jej politykę wpływ przeważny wywierać. Zależało to naturalnie od wielu okoliczności; pierwszym jednak warunkiem było, naprawić krzywdę, przez rozbiory narodowi wyrządzoną i przywrócić mu możność normalnego rozwoju.

Talleyrandowi zdawało się mało prawdopodobnem, żeby Polacy raz z Rosyą połączeni, zechcieli nanowo się oderwać. Natomiast, z apodyktyczną pewnością orzekał, że Polska niepodległa popaść musi w anarchię, ponownie stracić niepodległość i pójść pod cudze jarzmo. Obszar bowiem kraju wyklucza istnienie prawdziwej arystokracji; monarchia utrzymać się nie może tam, gdzie lud nie posiada swobód cywilnych, podczas gdy szlachta ma wolność polityczną, albo jest niezależną. Polska składa się jakby z dwóch narodów odmiennych, którym wypadaloby nadać podwójne instytucye, znoszące się wzajemnie. Przywracając Polskę, niepodobna pozbawić szlachty swobód politycznych, ani też lud obdarzyć swobodą cywilną, która byłaby marnem słowem, dopóki lud nie posiada środków do niezawisłego życia, własności, przemysłu, sztuk i wszystkiego, co czas jeden dać może. Polska mogła wyjść z anarchii jedynie drogą absolutyzmu; nie mając zaś w sobie pierwiastków, niezbędnych do wytworzenia władzy absolutnej, popadła pod cudze jarzmo, skoro sąsiednie mocarstwa tego zechciały. Postępy, uczynione przez dzielnice, przypadłe narodom dalej w cywilizacyi posuniętym, dowodzą, jakim szczęściem podbój stał się dla Polski.

W całej tej gadaninie jeden punkt nieulegał zaprzeczeniu, że w Polsce przed rozbiorami panowała anarchia, że anarchia zrodziła niemoc, z czego państwa sąsiednie skorzystały, aby Polskę rozebrać. Na anarchię, prócz absolutyzmu, były i inne lekarstwa. Konstytucya 3 maja dowiodła, że w Polsce są ludzie, rozumiejący potrzebę wewnętrznej naprawy. Czy reformy wówczas przez sejm uchwalone, wiodły

do celu, nikt nie wie i wiedzieć nie może, bo nie zostawiono Polakom czasu do wprowadzenia tych reform w życie. Epoka napoleońska nie przeszła w Polsce bez śladu. W Polakach obudził się patryotyzm, z gnuśnych stali się mężnymi. O ile nauczyli się rządności, czas i praktyka dopiero okazać mogły. Przywracając Polskę, Europa zachowywała prawo i możliwość przepisania Polsce formy rządu i wyboru króla. Sprawa mogła być ciężka, zwłaszcza w początku, z edukacją polityczną szlachty, ale kwestya cywilnej wolności ludu, w niczem nie przeszkadzała odbudowaniu Polski. Chłop byłby po dawnemu uprawiał ziemię, płacił podatki, dawał rekruta i rządu słuchał, a znalazłszy w królu opiekuna, przekształcił się w krótkim czasie w zawziętego monarchistę. Nie zaś nie stało na zawadzie, żeby stopniowo poprawiać jego byt i prawa rozszerzać.

Talleyrand niedarmo był Francuzem. Nasłuchawszy się w młodości o anarchii polskiej, związał z sobą te dwa pojęcia, Polski i anarchii, i rozumując, wracał do punktu wyjścia. Inaczej wreszcie robić nie mógł, chcąc z góry dowieść, że nie pozostaje, jak rzeczy przywrócić do stanu, w jakim były po trzecim rozbiorze. Kosztem Polski, spodziewał się uratować Saksonię, tudzież ominąć sprawę kompensaty dla Austrii za Galicyę. Austria wtedy zażądałaby wynagrodzenia we Włoszech, pod tą lub ową formą, i swoje pretensye poparła przypomnieniem strat, w Polsce poniesionych.

A dla uciszenia skrupułów Ludwika XVIII i własnych, Talleyrand taki stawil nam horoskop: pozostając nadal podzieloną, Polska nie będzie nazawsze zniweczona; Polacy, nie tworząc politycznego ciała, tworzyć nie przestaną jednej rodziny; nie mając jednej ojezyny, zachowają jedną mowę, łączyć ich przeto będzie węzeł najsilniejszy i najtrwalszy; pod obcym panowaniem, dojdą do wieku męskiego, czego dobieć się nie zdołali w ciągu dziewięciu wieków niepodległości, a wtedy niedaleką będzie chwila zjednoczenia się wszystkich u ogólnego ogniska.

W dodatku do instrukcyi, Talleyrand otrzymał upoważnienie, oświadczyć pełnomocnikom Austrii i Bawaryi, że liczyć mogą na pomoc wojskową Francyi, aby sprzeciwić się

widokom Rosyi i Prus względem Polski i Saksonii, tudzież donieść to do wiadomości pełnomocnika angielskiego, jeżeli będzie nadzieja, że Anglia przyłączy się do związku.

### XIII.

Przybywszy do Wiednia, 23 września 1814 r., Talleyrand znalazł wielką zmianę w usposobieniu dyplomacyi europejskiej względem Francyi. Opinia publiczna w Niemczech ganiała zbytek szlachetności w obejściu się z Francuzami, którzy przez tyle lat gnębili i niszczyli Niemcy, od krańca do krańca, a zamiast zasłużonej kary, otrzymali traktat paryski, zostawiający Francję większą, niż była przed rewolucją. Pełnomocnicy mocarstw sprzymierzonych, *fort blasés sur les jouissances que donne la générosité*, wyłącznie zajęci podziałem łupów, bardziej niż kiedykolwiek trwali w zamiarze ułożenia najważniejszych spraw między sobą, bez udziału Francyi i państw drugorzędnych.

Na przeszkodzie stała niejedność między samymi sprzymierzeńcami, z których każdy miał swój program, swoje widoki, albo poboczne zobowiązania. Cesarz Aleksander uważał Księstwo Warszawskie za zdobycz wojenną i chciał zatrzymać przy sobie, a związany z królem pruskim osobistą przyjaźnią i umową, zapewniającą Prusom rozległość i ludność, jakie posiadały przed rokiem 1806, upatrywał dla nich kompensatę w Saksonii. Tym sposobem postawił się w sprzeczności z Austryą, której program obejmował nietykalność Saksonii, tudzież powrót w Polsce do granic trzeciego rozbioru. Gabinet wiedeński nigdzie nie znajdował poparcia, gdyż Prusy trzymały z Rosyą, Anglia zaś, chcąc pokoju i tylko pokoju, za jakąbądź cenę, sprzyjała wzmocnieniu Prus i o los Saksonii nie dbała. Zamiar usunięcia Francyi na bok, niepozwalał Austryi zbliżyć się do niej; nadto obawiano się, że poparcie pełnomocników francuskich przyjdzie okupić ustępstwami we Włoszech, gdzie cesarz Franciszek i Ludwik XVIII pragnęli osadzić na tronach jak najwięcej członków swoich rodzin.

Pełnomocnicy czterech gabinetów naradzali się między sobą, nie mogąc trafić do końca; tymczasem, zwlekano z urzędowem otwarciem kongresu. Gdy kongres nie został otwarty 1 października, jak był powinien, Talleyrand upomniął się o wyznaczenie nowego terminu, dając do zrozumienia, że mu pilno wracać do domu, gdzie jest potrzebny. Jednocześnie uderzył do pełnomocników małych państw, obrażonych taktyką matadorów; począł oraz wyrzekać przed Metternichem i Nesselrodem, z którym łączyły go dawne stosunki. Skutek był taki, że wraz z posłem hiszpańskim Labradorem, otrzymał zaproszenie na konferencyę w kancelaryi stanu. Prócz nich obecni byli: Metternich, Nesselrode, Castlereagh, Hardenberg, Humboldt i sekretarz Gentz. Na stole leżały protokoły narad, w czwórkę odbywanych. Pierwszy głos zabrał Metternich, po nim Hardenberg; obadwa wspomnieli o powszechnem życzeniu pokoju i najlepszych chęciach *mocarstw sprzymierzonych*. Talleyrand wszedł na nich zgóry, pytając, przeciw komu zwrócone jest przymierze? Czy przeciw Napoleonowi, zamkniętemu na Elbie? czy przeciw Francyi, z którą zawarto pokój? czy przeciw Ludwikowi XVIII, który traktat paryski ratyfikował i pokój poręczył? Jeżeli są jeszcze, dodał, sprzymierzeni, ja tu nie mam co robić. Ja jeden może nie żądam nic, prócz względów Francyi należnych, natomiast przynoszę wam nieskończenie wiele. Obecność między wami pełnomocnika Ludwika XVIII uświęca zasady, na jakich spoczywa porządek społeczny. Europie przedewszystkiem potrzeba rękojmi, że podbój prawa nie rodzi, wskrzeszenia zasady prawowitości, z której wypłynie porządek i stałość. Traktat paryski orzeka, że wszystkie państwa, w wojnie udział biorące, wyszlą pełnomocników na kongres; pytam więc, kiedy kongres powszechny będzie otwarty i kiedy rozpoczną się narady? Gdyby pewne mocarstwa uprzywilejowane, chciały przywłaszczyć sobie dyktaturę, nie mógłbym, stojąc na gruncie traktatu, przyznać postanowieniom ich mocy obowiązującej, ani też zajmować się wnioskami, z ich strony postawionemi.

Labrador sekundował Talleyrandowi z całych sił. Zgromadzenie wpadło w niemały kłopot. Metternich począł przekładać, że poprzednie narady miały jedynie na celu uprościć

prace kongresu; na co Talleyrand zauważył, że nic nie przeszkadza, aby komisye *ad hoc* wyznaczone, zajęły się rozbiorem ważniejszych spraw.

Spostrzegliśmy swoją przewagę, którą zawdzięczał temu, że miał prawo i słusność po sobie, oraz przytomności umysłu i ciętości języka, Talleyrand wyraził zdziwienie, dlaczego sam jeden z całej ambasady francuskiej został wezwany. Metternich odrzekł, że na ten raz wyjątkowo zaproszono tylko ministrów spraw zagranicznych i naczelników gabinetu; Labrador nie był wprawdzie ani jednym ani drugim, ale jego obecność usprawiedliwia nieobecność w Wiedniu ministra hiszpańskiego. Koło Hardenberga siedział Humboldt; co ten tu robił? Odpowiedziano, że wypadło zrobić wyjątek, z powodu głuchoty Hardenberga. *S'il s'agit d'infirmités, chacun peut avoir les siennes et les faire valoir*, odciał się Talleyrand; co wolno głuchemu, powinno być wolno i kulawemu. Jakoż odtąd przyprowadzał z sobą Dalberga.

Wszczęła się mowa, jakie państwa mają być przypuszczone do kongresu. Teorya prawowitości Talleyranda, zmierzała do wykluczenia Murata, któremu Austria niedawno jeszcze traktatem zagwarantowała tron neapolitański i aneksyę części posiadłości papieskich. Skoro padło nazwisko Murata, Labrador wystąpił z filippiką przeciwko uzurpatorowi, Talleyrand zaś udał zdziwienie: *De quel roi de Naples parlez-vous? nous ne savons, qui c'est?...* Hardenbergowi, występującemu z uwagą, że mocarstwa uznały Murata i poręczyły mu koronę, przerwał słowami: Ci, co mu koronę poręczyli, nie powinni byli tego czynić, więc i poręczyć nie mogli. — Metternicha musiało to ukłuć w okolicy serca, pałał bowiem afektem ku małżonce uzurpatora, a podpis jego stał na traktacie. Nie wdając się w spory o zasady, przy każdej wzmiance o detronizacyi Murata, straszył kolegów armią neapolitańską.

Talleyrand dokazał, że poczwórne narady ustały, przynajmniej formalnie. Otwarcie kongresu jeszcze kazało czekać na siebie; medytowano nad deklaracyą, przeznaczoną dla Europy. Projekt Talleyranda nie podobał się sprzymierzeńcom i nawzajem.

Do Wiednia zjechał tymczasem cesarz Aleksander. Już w Paryżu stosunki cesarza z Talleyrandem znacznie oziębły,

Talleyrand bowiem zbyt prędko wyemancypował się z pod opieki Aleksandra, który czuł urazę i do Ludwika XVIII za lekceważenie dobrych rad, zwłaszcza w kwestyi swobód konstytucyjnych. Na audyencyi, udzielonej Talleyrandowi, cesarz zaczął od pytań, co słychać we Francyi, jaki jest stan umysłów, co porabiają idee liberalne, co mówi armia, jak zachowują się Izby? — i kołem zdązał do swego: Trzeba tutaj ukończyć nasze interesa; każdy powinien otrzymać, co mu dogadza.

— I do czego ma prawo, wtrącił Talleyrand.

— Co do mnie, zatrzymam, com zajął.

— W. C. Mość nie będzie żądać nic więcej nad to, co mu się z prawa należy.

— Jestem w zgodzie z wielkimi mocarstwami.

— Niewiem, czy W. C. Mość liczy Francję do rzędu wielkich mocarstw?

— Naturalnie; ale, jeżeli dogodność nic nie znaczy, co ją ma zastąpić?

— Najpierw idzie prawo, potem dopiero dogodność.

— Dogodność Europy tyle znaczy, co prawo.

— Serce W. C. Mości tych słów nie podziela.

— *Non, non, les convenances de l'Europe sont le droit.*

Kulawy lis wziął się bić głową o mur:

— *Europe, Europe, malheureuse Europe! Sera-t-il dit que vous l'aurez perdue, sire?!*

Cesarz zawołał:

— Wolę wojnę, jak wyrzec się tego, co trzymam w ręku.

Talleyrand, w postawie człowieka smutkiem przejętego, z opuszczonemi rękami i zwieszoną głową, szepnął:

— Wina nie na nas spadnie... — i zamilkł.

Aleksander, zbity z tropu, powtórzywszy parę razy: *Oui, plutôt la guerre*, zaczął machać rękami i wołać, że czas jechać do teatru; potem wyszedł, wrócił, schwycił Talleyranda wpół, potrząsał nim i pożegnał, jakby nie swoim głosem: *Adieu, adieu, nous nous reverrons.*

Polska i Saksonia wcale nazwane nie były, choć o nie chodziło. Cesarz, mówiąc o królu saskim, użył wyrażenia: *Ceux qui ont trahi la cause de l'Europe*; na co Talleyrand

odparł: *Sire, c'est là une question de dates, et l'effet des embarras dans lesquels on a pu être jeté par les circonstances.* Byłato alluzya aż nadto przezroczysta do Tylży. Gdy raz wymknęło się cesarzowi słowo *sprzymierzeni*, Talleyrand nieomieszkał zaatakować go o anachronizm; Aleksander się uniewinnił, składając to na karb przyzwyczajenia.

Niemałym klinem dla sprzymierzonych była nota Talleyranda, domagająca się otwarcia kongresu; nota, zredagowana w urzędowej formie i podpisana. Prusacy nazwali ją *un brandon de discorde*. Inni delikatnie wyrzucali Talleyrandowi podpis, sprawiający, że niepodobieństwem było na nią urzędownie odpowiedzieć.

— Kiedy wy piszecie i podpisujecie między sobą—tłumaczył się Talleyrand—dlaczego mnie ma być niewolno was naśladować?

— Więc musimy dać odpowiedź?

— Tak się zdaje.

Stańto na tem, że wyznaczona będzie nowa data, 1 listopada, otwarcia kongresu. Talleyrand żądał, żeby dodano, kto będzie zasiadał w kongresie i na jakich zasadach kongres ma obradować. Nowy kłopot. Metternich nie pragnął obecności pełnomocnika Murata, ale bał się, że Murat, raz wyraźnie wykluczony, wpadnie w wściekłość i rzuci się na Austryaków, nie dość silnych we Włoszech.

W ciągu poufnych rozmów, ztąd wynikłych, Talleyrand spróbował kusić Metternicha. Zaczął od tego, że go ukąsił. Metternich wspomniał o nowym projekcie deklaracyi, który zapewne Francję zadowolni, ale którego nie miał u siebie. *Probablement, il est en communication chez les alliés*, rzucił Talleyrand mimochodem. Wieczne dogryzanie sprzymierzeńcami sprzykrzyło się Metternichowi. *Ne parlez plus d'alliés*, zawołał z niecierpliwością, *il n'y en a plus!* Wtedy ex-biskup wystąpił z kazaniem: Są między nami tacy, co powinnyby być w przymierzu z sobą; to znaczy, że nawet bez wyraźnego układu, powinnyby być jednej myśli i jednej woli. Jak Austria może pozwalać Rosyi sadowić się na granicy Węgier i Czech? Jak Austria scierpieć może przejście ojcowizny swego dawnego i dobrego sąsiada i krewnego (Saksonii) na własność naturalnego wroga Habsburgów? Czy to nie dziwne, żeby

Francya temu oponowała, podczas gdy Austria na wszystko przystaje?

Nie chcąc wchodzić w eksplikacye, Metternich uzalił się, że Talleyrand mu nie ufa. — Nieraz doznałem zawodu, westchnął kusiciel; i teraz wszystko przedemną ukrywacie. Co do mnie, nie mam sekretów, tajemnicy z niczego robić nie potrzebuję; jestto wyższość tych, co stoją przy zasadach. Leży tu papier i pióro. Gotów jestem podpisać, że Francya dla siebie nie żąda, nie nawet nie przyjmie.

— Ale macie sprawę neapolitańską — zarzucił Metternich; — to właściwie wasza sprawa?

— Nie moja,—zaprotestował Talleyrand—tylko wspólna wszystkich. Dla mnie, to rzecz zasady. Żądam, żeby w Neapolu panował ten, cò panować powinien, i nie więcej. Co do reszty, będę mówić otwarcie. Czuje, że król saski może być zmuszonym poczynić ustępstwa, ale nie przystanę nigdy na zabór całej Saksonii przez Prusaków. Nie przystanę również na oddanie Prusom Moguncyi i Luksemburga. Nie przystanę, żeby Rosya wzrosła w Europie do czterdziestu czterech milionów ludności i granicę swoją do Odry posunęła. Ale, jeżeli Luksemburg przypadnie Hollandyi, a Moguncya Bawaryi, jeżeli Saksonia zachowa byt i król saski tron przodków, jeżeli Rosya nie przekroczy Wisły, nie będę miał nic do zarzucenia w tej stronie Europy.

Z czystem sumieniem mógł Metternich zaręczyć, że i on niczego innego nie pragnie. Francya może być spokojną, mówił, Prusy nie dostaną ani Luksemburga, ani Moguncyi; Austria nie życzy sobie posunięcia granic Rosyi w głąb Europy; z Saksonii starać się będzie choć część dla króla ocalić. O jedno tylko prosił, mianowicie o odłożenie sprawy neapolitańskiej, dokąd siły austriackie we Włoszech nie będą wzmocnione.

Z rezultatu obie strony były zadowolnione, lecz Metternich zapewne bardziej, niż Talleyrand, przekonał się bowiem, że skoro zechce, znajdzie gotowe poparcie, którego nateraz nie potrzebował, nie przestawszy wierzyć w skłonność Rosyi i Prus do ustępstw.

Po tej rozmowie, sprawa deklaracyi łatwiej poszła. Talleyrand, zdobywszy przypuszczenie do kongresu Hiszpa-

nii, Portugalii i Szwecyi, oraz widoki pomyślnego rozstrzygnięcia sprawy o Neapol, nie targował się o tekst. Żądał tylko, aby deklaracja, pióra Gentza, zawierała zdanie: otwarcie kongresu nastąpi zgodnie z zasadami prawa publicznego. W zgromadzeniu wszczął się tumult niesłychany. Hardenberg, głuchy, więc głośno mówiący, krzyczał: *Cela va sans dire...* Talleyrand odparł spokojnie: *Cela ira mieux en le disant.* Humboldt, forsownym głosem, przyszedł w pomoc swemu kanclerzowi: *Que fait ici le droit public?! Talleyrand nie pozostał dłużnym z odpowiedzią: Il fait que vous y êtes...* Nakoniec Gentz przedstawił Metternichowi, że trudno ominąć wzmiankę o prawie publicznem w akcie tego rodzaju, i wymógł przyjęcie wstawki, proponowanej przez Talleyranda. Nazwano to zwycięstwem Francyi.

#### XIV.

*Talleyrand fait ici le ministre de Louis XIV*, odezwał się cesarz Aleksander. Gentz wyrzekał na fanfaronady Francuzów, szczególnie Dalberga. Talleyrand pisał do króla, że swoim podwładnym zaleca *la simplicité et la candeur*, ale i sam nie grzeszył wstrzemięźliwością języka, strasząc Europę gniewem króla arcychrześcijańskiego, obrońcy prawa i sprawiedliwości. W gruncie, straszyl na kredyt. Ludwik XVIII kontent był z postawy swego ministra, bo mu ona pochlebiała; dobro krewnych mocno go obchodziło, kazał ich bronić, ale, jak na filozofa przystało, przewidywał zawczasu konieczność kapitulacyi: *Je ne puis pas employer la force pour faire triompher le bon droit, mais je puis toujours refuser d'être garant de l'iniquité: nous verrons si pour cela on osera m'attaquer...* Dobrze prawo znaczyło dla Polski trzy-półówkę, dla Saksonii restauracyę króla saskiego na tronie. Na wypadek porażki dobrego prawa, Ludwik XVIII ofiarował Fryderykowi Augustowi gościnność i chleb powszedni.

W Wiedniu nikt nie wierzył w przedsiębiorczość króla arcychrześcijańskiego. Jedni sądzili, że Francya nie jest w możności czynnie wystąpić; inni, że nie ma woli po temu. Talleyrand tak mało liczył na swego pana, iż jako *remedium*

na zawikłania kongresu, podsuwał projekt wystąpienia z deklaracją, oznajmującą, jakich zasad trzyma się Francya, i to dopiero kiedyś później. Szczęściem dla niego, niezgoda coraz bardziej wkradła się między sprzymierzonych; cesarz Aleksander niezręcznem wzięciem się do rzeczy, podkopywał własne stanowisko.

Rosya używała przewagi wyjątkowej i niezaprzeczonej. Ona pierwsza złamała potęgę Napoleona i mogąc poprzestać na uwolnieniu się od obcego najazdu, podjęła w interesie Europy trudy i koszta dalszej walki. Z kampanii 1812 r. Europa wyciągnęła naukę, że każda wojna zaczepna z Rosyą skończy się nieomylnie klęską, podobną do napoleońskiej. Cesarz Aleksander zachował armię na stopie wojennej i nie cofnął jej z Niemiec. Będąc monarchą samowładnym, nie potrzebował oglądać się na względy, krępujące innych monarchów. Rosya posiadała pewnego sprzymierzeńca w Prusach, opętanych chciwością i żądzą zemsty.

Kto wie, co byłoby się stało, gdyby cesarz Aleksander, postawiwszy swoje *ultimatum*, czekał cierpliwie, co inni poczną. Ci inni pragnęli i potrzebowali pokoju. Austria, jakkolwiek nie bezbronna, wiodła, jak zwykle, politykę nad siły. Niepewna swego we Włoszech, mocno zainteresowana w Niemczech, w zasadzie przychylna wzmocnieniu Prus, niedowierzająca Francyi, i z tego powodu dbała o dobre stosunki z Rosyą i Prusami, liczyć nie mogła nawet na pomoc państw niemieckich; podczas gdy Anglia, nie będąca w stanie odegrać przeważnej roli militarnej na kontynencie, nalegała na układ między sprzymierzonymi, i w kwestyi saskiej przerzuciła się całkowicie na stronę Rosyi i Prus. Anglicy sprzyjali Prusom, jako państwu protestanckiemu; silne Prusy były w ich oczach niezbędne, aby bronić Niemcy i od Rosyi i od Francyi, równoważyć w Niemczech wpływ Austrii i być niejako placówką angielską na półnoocy.

Cierpliwość wiele mogła dokazać, ale Aleksander nie miał cierpliwości ani za grosz. Przeceniając usługi, oddane sprzymierzeńcom i Europie, sądził się w prawie żądać stosownego wynagrodzenia, pod postacią uległości dla wszystkich swoich planów, upodobań, i niestety, kaprysów. Dbal niesłychanie o marne tytuły dobroczyńcy i pacyfikatora świata,

aniola pokoju, orędownika liberalizmu. Czuly na pochlebstwo, chciał wszystkim dogodzić i wszystkim się przypodobać; obietnice nie go nie kosztowały, potem mu ciężyły i wprowadzały w kollizye z własnym interesem. Prócz własnych planów, daleko sięgających, wziął na barki mnóstwo cudzych interesów, familijnych i prywatnych, i uparł się wszystkie, ważne czy drobne, osobiście załatwiać, z monarchami i z ministrami, na audyencyach urzędowych, na balach, przy herbacie, gdzie się sposobność zdarzyła. Z natury nieśmiały, łatwo się mieszał, gdy mu kto kontrował, i wtedy, albo mu się wyrwały niepotrzebne pogróżki, które nikogo nie przstraszały, albo sam cofał się dalej, niż należało. W podróży do Pesztu <sup>1)</sup>, spróbował ubić interesa w cztery oczy z cesarzem Franciszkim, który urwał rozmowę, odsyłając go do Metternicha, bo do interesów są ministrowie. Przyjmując lorda Stewart, posła angielskiego w Wiedniu, oświadczył z kopyta: *Nous allons faire une grande et belle chose: relever la Pologne*, i dodał, że koronę przeznaczą jednemu z braci, albo szwagrowi, ks. Oldenburgskiemu. Stewart odpowiedział, że taka niepodległość nie będzie niepodległością, i że nie myśli, aby Anglię, jakkolwiek mniej od innych mocarstw w sprawie polskiej interesowaną, taka kombinacya zadowolniła. Podobne zwierzenia czyniąc na prawo i na lewo, poruszał osie gniazdo, a co gorzej, zdradzał się, że sam jeszcze nie wie, czego właściwie chce. Tę nieszczęśliwą polską koronę coraz komu innemu przeznaczał, tak, że w końcu nie-

<sup>1)</sup> Ludwik XVIII pasyami lubił dykteryjki; Talleyrand miał podobne gusta; obaj przeto cudnie się bawili kosztem bliźniego. Oto ustęp z listu Talleyranda, poświęcony obrabianiu Aleksandra: „Cesarz ciągle swoim zwyczajem mówi o ideach liberalnych: one zapewne podsunęły mu myśl zwiedzenia pola bitwy pod Wagram, *pour faire la cour à ses hôtes*. Wybiera się do Pesztu, zamówił tam sobie bal, na którym wystąpi w ubiorze węgierskim. Przed balem, albo po balu, pójdzie płakać na grobie siostry (żony Palatyna). Zaprosił na tę ceremonię wszystkich tutejszych Greków, którzy niezawodnie pospieszają oglądać jedynego monarchę tegosamego, co oni, obrządku. Nie wiem, do jakiego stopnia to przypada do smaku tutejszemu dworowi, ale wątpię, żeby się bardzo podobało.“ 13 października 1814 r.

wiadomo było czego się trzymać; podejrzowano zatem, że ostatecznie tamci pójdą w ką, a cesarz sam ogłosi się królem. Właśni ministrowie i powiernicy cesarza, zbici z tropu metamorfozami, jakim ulegał szkie, nigdy niewykończony, polityki cesarskiej, znajdowali się w trudnem położeniu wobec obcych. Dyplomaeya rosyjska pod Aleksandrem nie odznaczała się jednolitością i karnością; dużo w niej było cudzoziemców, zwłaszcza Teutonów, świeżo przyjętych do służby i trzymających w duchu z swoimi; cesarz często zmieniał politykę i jej wykonawców, którym wielką swobodę słowa i ruchów zostawiał. Nesselrode bil czołem przed Europą i luminarzami Europy, Metternichem i Talleyrandem; Pozzo di Borgo, Korsykanin z rodu, Francuz z upodobań, z wyobrażeń kosmopolita, wszedłszy w służbę rosyjską przez nienawiść do Napoleona, miał tylko na oku ambasadę paryską; Grek, Capo d'Istria, zwany przez Metternicha Janem Apokalyptą dyplomacyi, głowa bałamutna i zbałamucona liberalnemi zacheiankami, czekał, kiedy przyjdzie kolej na oswobodzenie jego własnej ojczyzny; Anstett pod rosyjskim mundurem Niemcem pozostał; Razumowski przerobił się na Wiedeńczyka. Ku Polsce wszyscy tehnęli uprzedzeniem i niechęcią. Jeszcze w 1813 r. Nesselrode przedstawił cesarzowi memoryał, potępiający przywrócenie Polski, pod wszelką formą, *comme une mesure éminemment antinationale*: zwracając Polsce zupełną niepodległość, Rosya utraci trzy lub cztery najpiękniejsze prowincye i obrazi uczucia narodu, który w wojnie 1812 r. tak wielkie poniósł ofiary; Polacy sami nie życzą sobie przejść pod berło Rosyi; w razie połączenia dwóch koron, cesarz rosyjski będzie zarazem autokratą i królem konstytucyjnym; zaledwie Dniepr i Dźwina dzielić będą tak sprzeczne instytucye polityczne, wynikną z tego ustawiczne starcia i jedno musi w końcu pochłonać drugie... Takie były precedensa człowieka, który na kongresie miał obowiązek bronić polskich planów Aleksandra. Wprawdzie, ulegając woli monarszej, Nesselrode na wstępnej konferencyi pełnomocników mocarstw sprzymierzonych, oznajmił zamiar cesarza zatrzymania Księstwa Warszawskiego, jako zdobyczy wojennej, lecz łatwo sobie wystawić, czy czynił to w sposób, świadczący o silnej woli wytrwania do końca.

Metternich zaraz replikował, że Księstwo Warszawskie nie było zdobyte samym orężem Rosyi, ale przy pomocy innych sprzymierzeńców. Wojska rosyjskie zajęły Warszawę dopiero wskutek umowy zawartej z Schwarzenbergiem. Rosya ma niezaprzeczenie prawo do kompensat; dwór wiedeński nie sprzeciwia się aneksyi większej części Księstwa do Rosyi, jednak bez Krakowa i Zamościa, jako zbyt zbliżonych do Wiednia. Część Księstwa, wraz z Finlandyą i Bessarabią, tworzy dostateczne wynagrodzenie dla Rosyi, nie naruszając równowagi europejskiej. Austria nie myśli wzniecać wojny, z powodu roszezeń rosyjskich, musi jednak dbać o odwrócenie następstw, jakie w niedalekiej przyszłości pociągnąby za sobą nieomieszkało rozstrzygnięcie kwestyi Księstwa Warszawskiego w myśl planów Rosyi, zwłaszcza gdyby Rosya wskrzesiła nazwę Polski, wbrew istniejącym traktatom.

Castlereagh oświadczył imieniem Anglii, że opinia publiczna jego kraju przyjąłaby przychylnie odbudowanie Polski, lecz mając na względzie potrzebę utrzymania pokoju i zgody, gabinet londyński życzy sobie, aby trzy mocarstwa rozbiorowe porozumiały się z sobą w tej sprawie, i aby Rosya umiarkowała swoje pretensye. Hardenberg zaś zastrzegł dla Prus w każdym razie Toruń, z dodatkiem, że Prusy do odbudowania Polski ręki nie przyłożą.

Tak rzeczy stały przez wrzesień i październik, kiedy Castlereagh, naciśnięty z różnych stron, na scenę wystąpił. Naczelnik gabinetu londyńskiego, flegmatyk i pedant, musiał zważać na opinię parlamentu, Polsce przychylną, zresztą wszystko dość obojętnie traktował *et avait besoin d'être soutenu*. Metternich znalazł gotową dla niego podporę w rodzonym bracie, Stewarcie, który będąc przez długie lata posłem angielskim w Wiedniu, podzielał widoki Austrii. Naciśnięty przez podpory, Castlereagh zażądał u cesarza Aleksandra audyencji. Cesarz sam pojechał do niego i pierwszy wniósł na stół kwestyę polską, mówiąc, że nie pojmuje, dlaczego Anglia i Francya są przeciwne przywróceniu królestwa polskiego; będzie to zadośćuczynieniem dla obrażonej przez rozbiory moralności publicznej i gatunkiem ekspiacyi. Nie idzie teraz wprawdzie o odbudowanie całej Polski w dawnych granicach, ale to może nastąpić później, jeżeli Europa tego ży-

czyć sobie będzie. Obecnie byłoby to przedwczesnem; naród potrzebuje być przysposobionym do niepodległości, a najlepszą szkołą będzie królestwo, utworzone z części Polski i obdarzone odpowiednimi instytucjami. Koszta cesarz sam poniesie, albowiem królestwo obejmie tylko prowincye, które dzierży prawem zdobyczy, tudzież Białystok i Tarnopol, dawniej Rosyi przypadłe. Cesarz wszelkie ofiary chętnie poniesie, idąc za głosem sumienia, aby pocieszyć naród nieszczęśliwy, a także w interesie cywilizacyi, własnego honoru i chwały.

W odpowiedzi, Castlereagh wystosował do cesarza memoriał z dowodzeniem, że dobro Europy wymaga zamknięcia raz na zawsze tego źródła niezgody, czyli innemi słowy, zupełnego podziału Polski. *Il ne conclut rien et paraît éviter de conclure*, skarżył się Talleyrand przed królem; traktuje rzecz obojętnie, i, co gorzej, w sprawie saskiej nietylko odmawia pomocy, lecz twierdzi nawet, że kara za zdradę króla saskiego będzie zbawiennym przykładem dla Niemiec i dla Europy. Jeżeli cesarz Aleksander uprze się, Austria ustąpić, nie ustąpi, ale będzie zwlekać w nieskończoność. Tymczasem grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. W Niemczech bierze górę jakobinizm i peha do zjednoczenia Niemiec, czego Francya scierpieć nie może, odkąd nie posiada Belgii i lewego brzegu Renu. Nikt zresztą nie przewidzi, dokąd potoczy się taka massa olbrzymia, raz w ruch wprawiona. Odroczenie kongresu, a nawet zwłoka, gotowa ułatwić wybuch. Należy przeto starać się, aby prace kongresu poszły szybszym krokiem i zostały ukończone. Ani honor, ani bezpieczeństwo Europy nie pozwala ustąpić Rosyi i Prusom. Austrii nie zbywa może na ochocie przeciwstawienia siły sile, ale zbywa na woli. Rozporządza ona znaczną armią, obawia się jednak ruchów rewolucyjnych we Włoszech i liczyć tylko może na Bawaryę i Wirtemberg; pomoc innych państw niemieckich jest prawdopodobną, lecz niepewną; pomocy francuskiej Austria życzy sobie, sądzi przecieź, że na Francyę trudno liczyć. Osoba, bliska Metternichowi, odezwała się przed Dalbergiem: —Wasze poselstwo bardzo zręcznie przemawia, na nieszczęście działać nie chcecie; my zaś także sami działać nie chcemy. W. Kr. Mości wiadomo, jak wojny nie lubię i nie pragnę,

mniemam jednak, że dość wojnę pokazać, aby jej uniknąć. Przewiduję również, że jeżeli cesarz Aleksander wytrwa w uporze, Metternich zapyta mnie, do jakiego stopnia Austria polegać może na Francyi. Nasze instrukcye zdają się upoważniać mnie do obietnicy przyścia w pomoc Austrii, lecz, aby móżd dać wyraźną odpowiedź, potrzebuję specjalnego pozwolenia W. Kr. Mości (17 października r. 1814).

Do wyraźnego postawienia kwestyi ze strony Austrii, było w każdym razie bardzo jeszcze daleko, i to musialo nie być obcem Talleyrandowi; ale wiedząc, że w Paryżu pod nim dołki kopią, potrzebował zmiarkować usposobienie króla. Odpowiedź Ludwika XVIII przekonała go, że słusznie żądał specjalnego upoważnienia do układów z Austrią. Król, aby wszystkim dogodzić, a siebie zbytecznie nie narazić, kazał sobie przysłać projekt poprzednio wspomnianej deklaracyi i obiecał zająć się postawieniem armii na odpowiedniej stopie: *pour prouver qu'il y a quelque chose derrière*. Deklaracya ukazała się nieprędko i była nader wodnista. Nakazane przez króla uzbrojenia, ograniczyły do skompletowania armii na stopę pokoju; nie przeszły jednak niepostrzeżone i później wzmoeniły stanowisko Talleyranda w Wiedniu.

## XV.

Zbliżał się 1 listopada, termin urzędowego otwarcia kongresu, ale do zgody było coraz dalej. Sprzymierzeni trwali w zamiarze ułożenia się między sobą, bez Francyi, którą Anglia szczególnie pragnęła odosobnić i wpływu na lądzie i morzach pozbawić; *du reste, tout était intrigue, mystère et incohérence*. Cesarz Aleksander, cofnąwszy swoje wojsko z Saksonii, wpuścił tam Prusaków, jak żeby pokazać Europie, że na swoim postawi, ale po dawnemu nie porzucił systemu osobistej dyplomacyi.

U Talleyranda zjawił się ks. Adam Czartoryski z długo odkładaną wizytą i z tłómaczeniem, że zwlekał, wiedząc, jak Talleyrand źle jest dla Polski usposobiony. Talleyrand zaprzeczył: Owszem, lepiej niż ktokolwiek, chcemy bowiem Polski całej i niepodległej,— a na westchnienie Czartoryskiego:

Piękna rzeczby to była, na nieszczęście, mocarstwa nigdy na odbudowanie Polski nie przystaną, — odrzekł: W takim razie Polska nas nie obchodzi, ważniejszym dla nas byt Saksonii. Jeżeli kwestya polska redukuje się do kwestyi granic, niech Austria i Prusy patrzą własnego bezpieczeństwa. Skoro one zostaną zaspokojone, nie będziemy przeszkadzać cesarzowi dać tej części Polski, jaka mu przypadnie, takiej formy rządu, jaką za stosowne uzna. W zamian żądamy nie-tykalności Saksonii.

Po Czartoryskim przyszedł Nesselrode. Obaj byli wysłani z tysamym interesem, aby przygotować grunt do rozmowy cesarza z Talleyrandem, której cesarz sam zażądał.

Aleksander, widocznie rozdrażniony, zasypał Talleyranda wymówkami, dlaczego tak prędko zmienił zdanie, w Paryżu Polsce przychylnie. Talleyrand znowu powtórzył, że był i jest za odbudowaniem Polski niepodległej w dawnych granicach; teraz sprawa inaczej stanęła, idzie o rozgraniczenie, zapewniające Austrii i Prusom bezpieczeństwo.

Cesarz się uniósł: Mam dwakroć sto tysięcy wojska w Księstwie Warszawskim, niech mnie ztamtąd kto wypędzi. Saksonię dałem Prusom; jeżeli król saski dobrowolnie nie złoży korony, będzie wywieziony do Rosyi i tam umrze, jak Stanisław Poniatowski. Wasze prawo publiczne i wasze pargaminy u mnie nic nie znaczą. Dałem słowo i słowa dotrzymam. Król saski jest zdrajcą...

Talleyrand odpowiedział morałem z katechizmu monarchicznego: *Sire, la qualification de traître ne peut jamais être donnée à un roi, et il importe qu'elle ne puisse jamais lui être donnée*, a na wzmiankę o wywiezieniu króla saskiego do Rosyi: *Le congrès n'a pas été réuni pour voir un pareil attentat.*

Negocyacya przybrała, z winy Aleksandra, charakter szermierki językowej, sąsiadującej z pospolitą kłótnią. Pod koniec cesarz się poprawił, uroczyście oświadczając: Król pruski będzie zarazem królem saskim, tak, jak ja cesarzem rosyjskim i królem polskim; przychylność w tej sprawie Francyi, będzie miarą mojej przychylności dla niej. — Tem pożegnawszy Talleyranda, zatrzymał u siebie przyniesioną listę krajów, jakie możnaby dać Prusom zamiast Saksonii.

Po niejakiem namyśle Ludwik XVIII przysłał Talleyrandowi żądane pełnomocnictwo do traktowania z Austryją; nie tań jednak, że przykro mu byłoby wiązać się z Austryją, zwłaszcza samą. Poczciwy król wynalazł ciekawy argument w obronie Saksonii: przykład Karola XII. Śmierć Patkula świadczyła, jak Karol był mściwym i mało skrupulatnym w obejściu się z prawem narodów, a przecież, pozbawiwszy Augusta II korony polskiej, nie poważył się wydrzeć mu Saksonii. Niech dziś Europa naśladuje przykład Karola XII i poprzestanie na odebraniu królowi saskiemu tytułu Księcia Warszawskiego. — Przewidując, że tego gatunku reminiscencye historyczne skutku nie odniosą, Talleyrand argument zatrzymał przy sobie. Pełnomocnictwo także zamknął w stoliku.

Metternich, żeby uniknąć otwartej scyssyi między sprzymierzeńcami i zyskać na czasie, odmówił rozdzielenia sprawy saskiej od polskiej; obie miały być razem traktowane i rozstrzygnięte. Przeciwko zajęciu Saksonii przez Prusaków nawet protestu nie wniósł; w urzędowych zaś notach, oświadczał, że tylko konieczność mogłaby przełamać wstręt moralny i polityczny Austrii do zaboru Saksonii przez Prusy. Wyglądało to na kapitulację. Cesarz Franciszek miał wręcz powiedzieć swemu szwagrowi, ks. Antoniemu saskiemu, że Saksonia jest dla nich tak dobrze, jak stracona. Myśl zwrócenia się w stronę Francyi, nikomu w Wiedniu w głowie nie powstała.

Ludwik XVIII czuł szczególny pociąg do księcia regenta i Anglii, nieodpłacany wzajemnością. W kwestyi polskiej, Castlereagh stał przynajmniej teoretycznie przy Francyi, lecz Saksonię bez wahania oddawał na łup Prusaków, głośno przyznając, że ani pryncypia, *qui n'étaient pas son fort*, ani żaden wstręt, moralny lub polityczny, nie przeszkadza mu dać zbawienną nauczkę Niemcom i światu, oraz wzmocnić Prusy. Dopiero niejakię wrażeń zrobiła na nim uwaga, że Anglia niepowinna powierzać Lipska Prusakom, z którymi nie jest pewną żyć w zgodzie, podczas gdy z Saksonią wojny toczyć nigdy nie będzie; swobodny przystęp na jarmarki lipskie, mocno obchodził handel angielski. Pomimo to, uważał

się przed Talleyrandem na upór Francyi w sprawie saskiej, nierównie ważniejszej od polskiej.

Talleyrand pokazał mu na karcie, jak Prusy, usadowione w Saksonii, będą mogły w kilka tygodni zawojować Czechy i dostać się do serca monarchii austryackiej. Anglik, w geografii nie mocniejszy niż w pryncypiach, potrząsł głową. Talleyrandowi przypomniał się wykrzyknik Kaunitza: *C'est prodigieux tout ce que ces Anglais ignorent!*... Ale pilniejszym uchem słuchał, o potrzebie położenia tamy ambicyi północnego olbrzyma: ruchy wojsk rosyjskich nad granicą turecką były wymownym argumentem.

— Dobre to wszystko, ozwał się wreszcie; ale Francya ma dwadzieścia pięć milionów ludności, które my taksujemy na czterdzieści... gdybyście przynajmniej wyrzekli się zamiaru odzyskania lewego brzegu Renu...

Gdy Talleyrand tego się wyparł, Anglik jeszcze westchnął:

— Armia francuska w Niemczech obudzi rozmaite wspomnienia,— a w końcu naiwnie przyznał, że bez Francyi i bez Talleyranda, wszystko byłoby dawno ukończone, bo w gruncie mocarstwa są jednej myśli.

Ile ta jedność była warta, pokazało się niebawem, przy otwarciu kongresu, z mowy Metternicha, której sens był taki, że przed wyborem komisyj, mających rozdzielić między siebie rozmaite sprawy, każde mocarstwo powinno ułożyć się z innemi o punkta bezpośrednio go obchodzące <sup>1)</sup>. Równało się to wyznaniu, że porozumienie dotąd nie postąpiło. Jakoż przestano na wyborze komisyi do sprawdzenia pełnomocnictw, oraz na rozpoczęciu formalnych układów w sprawach

<sup>1)</sup> Talleyrand w raporcie do Paryża tak sparodyował przemówienie Metternicha:

*Il nous dit: que toutes les affaires avaient deux faces; que ce congrès n'était pas un congrès; que son ouverture n'était pas proprement une ouverture; que les commissions n'étaient pas des commissions; que dans la réunion des puissances à Vienne, il ne fallait considérer que l'avantage d'une Europe sans distances; qu'on resterait d'accord, ou qu'on ne le serait pas.*

najmniej drażliwych; szwajcarskiej i włoskiej. Polska i Saksonia pozostały przedmiotem zakulisowych targów.

Metternich, już osobiście poróżniony z cesarzem Aleksandrem, zwrócił się do Talleyranda z prośbą, aby zbytecznie nie napierał, gdyż Austria i Anglia postanowiły niedopuszczyć przekroczenia Wisły przez Rosyę; o Saksonię toczą się układy z Prusami, ofiarowano Prusakom około pół miliona dusz w Saksonii, mianowicie Wittemberg, potrzebny dla zasłonięcia Berlina; w ten sposób, król saski będzie mógł zachować koronę i półtora miliona poddanych. W parę dni później, w obecności Nesselrodego i Castlereagh'a, wystąpił przed Talleyrandem z oświadczeniami przyjaźni dla Francji; potem zaś prosił, aby Talleyrand, odkładając na bok swary, dopomógł im ruszyć z miejsca.

Ex-biskup odpowiedział morałami: On nikomu wody nie mać, nie ma dla nikogo tajemnic, podczas gdy oni robią codzien w sekrecie mnóstwo rzeczy, o których poselstwo francuskie dowiaduje się dopiero z brukowych pogłosek. Wszystkie trudności pochodzą z odwlekania otwarcia kongresu. Ten kongres trzeba raz zebrać; czem wcześniej, tem lepiej. Zwłoka dowodzi chyba nieczystego sumienia. Nie czekając na formalne sprawdzenie pełnomocnictw, co może długo potrwać, nie przeszkadza zgromadzić pełnomocników i wyznaczyć komisye, którym każdy swoje żądanie przedłoży.

Castlereagh, przyznając mu słuszność w rzeczy, ubolewał, że sama nazwa kongresu przestrasza Prusaków, szczególnie Hardenberga. Metternich powrócił do swego, że zebranie kongresu najlepiej odłożyć do chwili, kiedy stanie zgoda, przynajmniej w najważniejszych sprawach. W jednej — której nie nazwał, ale która znaczyła Polskę — *on est en présence*; co do organizacyi Niemiec, wszystko idzie gładko; niebawem przyjdzie kolej na Szwajcaryę, w czem Francya powinna wziąć udział; we Włoszech są komplikacye... w interesie spokoju Włoch i Europy, wypada kwestyi neapolitańskiej nie rozstrzygać na kongresie, odłożyć ją na później, tembardziej, że sama siła rzeczy sprowadzi restauracyę Burbonów.

— Siła rzeczy, odparł Talleyrand, dziwnej teraz nabyła potęgi. Los Neapolu musi być na kongresie rozstrzygnięty. Co najwięcej zgodzić się mogą na to, żeby sprawy

włoskie rozbierać porządkiem geograficznym, wtedy Neapol przyjdzie na ostatku. Uorganizujmy Włochy, oznaczmy granice w północnych i środkowych Włoszech, usuńmy zewsząd obce wojska, zaprowadźmy wszędzie prawowite rządy i regularną administrację, określcie następstwo tronu w Sardynii, wyslijcie arcyksięcia do Medyolanu jako namiestnika, uznajcie prawa królowej Etrury do Toskanii, oddajcie papieżowi co do papieża należy i co Austria zajęła, a wtedy Murat zejdzie do rządu prostego rozbójnika.

Skutek rozmowy był taki, że sprawy włoskie poszły nieco rażniejszym krokiem.

## XVI.

Zwłoka wyszła ostatecznie na korzyść Talleyranda. Wojskowi austriacy poczęli kiwać głowami na usadowienie się Prusaków na drodze do Czech; różni doradcy donieśli o tem cesarzowi Franciszkowi, który miał zwyczaj zasięgać zdania u całego świata. Ze swojej strony Talleyrand trafił wprost do cesarza przez hr. Sickingen. Skończyło się na zwołaniu wielkiej rady wojennej, i ta orzekła, że bezpieczeństwo monarchii i Niemiec wymaga, aby Rosya nie posunęła dalej swych granic, tudzież, żeby bieg rzeki Saali nie dostał się w ręce Prusaków. Orzeczenie rady związało do pewnego stopnia ręce Metternichowi, i cesarz wystąpił teraz jako obrońca Saksonii, mocno obrony potrzebującej.

W. ks. Konstanty, z polecenia Aleksandra, udał się do Warszawy, aby organizować armię polską. Aleksander dał się słyszeć ze zdaniem, że gdy on zaprowadzi swoją administrację w Księstwie Warszawskim, a Prusacy swoją w Saksonii, niedaleko będzie do objęcia tych krajów na własność. I tak się niby zdawało. Pomimo to, protest króla saskiego przeciwko okupacyi pruskiej, złożono do akt. Castlereagh z Metternichem wymogli na Hardenbergu obietnicę poparcia dla siebie w sprawie polskiej; Aleksander pomięszał im szyki. Zaprosiwszy króla pruskiego na obiad do siebie, odwołał się do jego przyjaźni i serca, zaklinał, aby go nieopuszczał

w chwili, kiedy jest tak bliskim spełnienia swoich najgorętszych życzeń przez odbudowanie Polski. Fryderyk-Wilhelm poprzysiągł wierność i wytrwałość. Zawołano Hardenberga, który musiał przyrzec, że zastosuje się do woli króla.

Metternich zganił uległość Hardenberga, lecz gdy chwilowo złe nie było do naprawienia, o pół kroku posunął się ku Talleyrandowi, który nie wiedział nawet napewne, co się dzieje między sprzymierzeńcami i co oni między sobą piszą. Chodziła wprawdzie po mieście wieść o scenie, jaka miała zajść między Aleksandrem i Metternichem, w ciągu której ostatni miał grozić cesarzowi odbudowaniem Polski przez Austryę, na szkodę Rosyi, a cesarz gromić kanclerza, jak on jeden śmie przybierać *un ton de révolte*; lecz co do Saksonii, postawa Austrii nie przestawała być zagadkową.

Przy nadarzonej sposobności, Talleyrand jał się przedstawiać Metternichowi po przyjacielsku, jak źle robi, zamalo myśląc o sobie. Mąż publiczny musi nieraz i w niejednym ustąpić, ustąpić z najczystszych pobudek, lecz gdy świat tych pobudek nie zna i sądzi tylko po widomych rezultatach, niepodobna uniknąć niesprawiedliwych oskarżeń. Trzeba więc choć przyjaciół postawić w możności prostowania fałszywych sądów. I tak, oskarżają Metternicha, że poświęcił Saksonię... Natenczas Metternich wy dobył kopię noty do Prusaków, w której oddawał im całą Saksonię, pod warunkiem, że Prusy odstąpią cesarza Aleksandra w kwestyi polskiej i zrzekną się Moguncyi. Po tem, co zaszło między monarchami, Austrya wprawdzie niewiele ryzykowała; lecz koniec końcem, sposób, w jaki Saksonii bronila, wart był tyle, co groźba odbudowania Polski na rachunek Austrii.

Castlereagh, korespondujący ustawicznie z Aleksandrem, postawił również alternatywę: albo odbudowanie Polski niepodległej w dawnych granicach, albo powrót do trzeciego rozbioru. Odbudowanie Polski znaczyło olbrzymią wojnę, na którą Anglia nie myślała dać ani jednego żołnierza; gabinet angielski trwał przytem w chęci niedopuszczenia interwencji francuskiej w sprawę kontynentalne. Co się tyczyło Saksonii, Castlereagh uważał aneksyę jej do Prus za rzecz skończoną. W Paryżu, Wellington twierdził, że działa on w sprzecz-

ności z otrzymanymi instrukcjami<sup>1)</sup>); gdy mu jednak Blacas poddał myśl zawarcia między Anglią, Francją i Hiszpanią konwencyi, mającej jedynie na celu wykład zasad, wspólnych tym mocarstwom, Wellington znalazł to zbyt cennym. Taka u wszystkich Anglików przeważała niechęć ku Francji.

Cesarz Aleksander, sądząc się zabezpieczonym ze strony Prus, nanowo spróbował szczęścia z Talleyrandem. Spokajniejszy go w prywatnym domu, przymówił się o poproszenie o audyencyę. Mowa była naturalnie o Polsce i Saksonii. Z obu stron wytoczono ciężką artyleryę zasad, prawa narodów, dobra Europy, odpowiedzialności przed światem i historią. Aleksander zagalopował się, twierdząc, że jest w zgodzie z Austrią, i co do Polski, i co do Saksonii. Talleyrand wiedział, że tak źle jeszcze nie jest. Nareszcie, cesarz uciekł się do argumentu, iż Francja podobno także przypuszcza podział Saksonii? Nie mogąc zaprzeczyć, Talleyrand zasłonił się interesem utrzymania pokoju. Wtedy Aleksander zarzucił, że właśnie Sasi najbardziej obawiają się podziału; wolą raczej przejść wszyscy razem pod berło Prus; podział jest największem nieszczęściem, jakie naród spotkać może. — NPane, wtrącił Talleyrand, gdyby to rozumowanie zastosować do Polaków?... — Cesarz się obruszył: Rozbiór Polski nastąpił nie z mojej winy, naprawa krzywdy nie odemnie samego zależy; kiedyś stać się to może.

Do Wiednia doszły słuchy o uzbrojeniach we Francji. Cesarz spytał, ile w tem prawdy, a po wyjaśnieniach Talleyranda, zaproponował mu targ. *Ecoutez, faisons un marché: soyez aimable pour moi dans la question de la Saxe, et je le serai pour vous dans celle de Naples.* Gdy zaś Talleyrand zareplikował: W. C. Mość niezawodnie zarówno z Francją pragnie powrotu do Neapolu prawowitej dynastji — Aleksander zwinął chorągiewkę: *Eh bien! persuadez aux Prussiens de me rendre ma parole.*

Talleyrand, widząc, jak cesarz sam się cofa, udał niewiniątko: NPane, z Prusakami bardzo rzadko się widu-

<sup>1)</sup> Dokumenta z r. 1814 i 1815 są dotąd w Londynie nieprzystępne obcym. Oneken miał otrzymać wypisy z archiwów, których jeszcze nie ogłosił.

jemy; oni mnie zresztą słuchać nie zechcą; za to W. C. Mość wszystko u nich może, mianowicie u króla, i ma w dodatku czem ich zaspokoić. — Jakim sposobem? — Kawalkiem Polski. — Jakto? mam własnym kosztem drugiemu dogadzać?

Wejście cesarzowej przerwało rozmowę. Po chwili, Aleksander rzekł: *Résumons-nous*. Zrekapitulowawszy swoje argumenta, Talleyrand zakończył tem, że będzie obstawał przy pozostawieniu królowi saskiemu półtora miliona dusz... *Vous insistez trop sur une chose décidée*, odparł cesarz.

*Tout a été calme et doux*, donosił Talleyrand Ludwikowi XVIII. Cesarz chciał się dowiedzieć, co ma sądzić o naszych zbrojeniach; zmiarkować, czy Francya byłaby skłonna wejść z nim w przymierze; poznać nasze widoki w kwestyi saskiej, którą nazwał rzeczą zdecydowaną, ale tonem, wnosząc pozwalającym, że owa rzecz postanowiona, może uleść odwołaniu. Cesarz czuje się związanym, więcej niż przyjaźnią, obietnicami, jakie poczynił królowi pruskiemu; a jeżeli się nie mylę, byłby bardzo kontent znaleźć uczciwy pretekst do wycofania się przyzwoicie. Tak było, niestety. Aleksander w podobnym sensie odezwał się do Schwarzenberga, który przyciśnięty przezeń, aby mówił otwarcie, jako przyjaciel, po niejakiem wahaniu wręcz powiedział cesarzowi, że jego postępowanie względem Austrii, jest nieszczerze i nielojalne, że jego pretensye dążą do postawienia monarchii austriackiej w niebezpiecznem położeniu, z czego wyniknie wojna, może nie teraz, lecz za półtora roku lub za dwa lata najpóźniej.

W rzeczy samej, Schwarzenberg przewidywał wybuch wojny i radził nieociągać się z przygotowaniem. Wskutek tego rząd austriacki wzmacniał załogi w Galicyi. Metternich zapytał Bawarów, czy byliby skłonni oddać do dyspozycyi Austrii dwadzieścia pięć tysięcy ludzi; Wrede obiecał trzy razy tyle, jeżeli Francya przyłączy się do związku i jeżeli Bawarya otrzyma udział w subsydyach, jakich Anglia zapewne pospieszy dostarczyć. Nadworna rada wojenna wypracowała plan kampanii: Austriya, Bawarya i inne państwa niemieckie, miały wyprowadzić w pole trzykroć dwadzieścia tysięcy ludzi; dwakroć przeznaczonych działać pod Schwarzenbergiem nad Wisłą, sto dwadzieścia pod Wredem nad

Elbą i Odrą. Lecz plan ten przewidywał, że Francya wystawi korpus stutysięczny, którego jedna połowa zasłoni armię czeską od oskrzydlenia, druga zatrudni Prusaków nad Renem. W tem tkwiła główna trudność, Austrya bowiem bała się współki z Francuzami.

Rachuby na pomoc Niemiec również okazały się zawodne. Wirtemberg przerzucił się na stronę Rosyi. Cesarz Aleksander przez ks. Leopolda Koburgskiego wymógł cofnięcie wspólnej noty małych państw z protestem przeciwko zaborowi Saksonii. Jedna Bawarya wytrwała przy Austryi, oglądającej się na Anglię, której pomoc pieniężna była nieodzowną do prowadzenia wojny. — Kiedy się jest w lidze, powtarzał Castlereagh, trzeba w niej pozostać. Liga w jego ustach znaczyła poczwórne przymierze. Metternicha strachem przejmowała zawziętość Talleyranda na Murata, któremu Austrya świeżo sprzedała dwadzieścia pięć tysięcy karabinów. Przyciśnięty o to do muru przez Talleyranda, wszystkiego się wyparł i swoją taktykę w sprawie neapolitańskiej uniewinniał tem, że nie można wszędzie naraz ognia podkładać. Ale o zamiarze podłożenia ognia nad Wisłą i Elbą, weale nie wspominał.

Wewnętrzny stan Francyi budził uzasadnione obawy. Bonapartyzm dawał znaki życia, armia szemrała, podczas wojny mogły w niej odżyć wspomnienia napoleońskie, Austryi i Niemcom aż nadto pamiętne. Ludwik XVIII, jakkolwiek dbały o dobro krewnych, do których i króla saskiego zaliczał, zdawał się na Opatrzność, bo ludzie przeciw woli Bożej nie poradzą. Obiecywał wytrwać przy zasadach, aby może zasłużyć u potomności na: *Justum ac tenacem propositi virum*. Wrzenie umysłów we Francyi, bynajmniej go nie dziwiło. — Spię tak spokojnie, jak za najmłodszych lat, pisał do Talleyranda. Przewidywałem od początku fermentacyę, nieuniknioną wśród tylu sprzecznych pierwiastków; prędzej czy później, chmury się same rozejdą.

## XVII.

Pełnomocnicy czterech mocarstw zasypywali się wzajemnie replikami i duplikami w procesie o Polskę i Saksonię, z wielkim pożytkiem handlarzy papieru. Na tem schodził czas, niezajęty przez festyny i spektakle wszelkiego gatunku. Dwór austriacki wydawał olbrzymie sumy na żywienie i bawienie swoich gości; Talleyranda gorszyło popolitowanie się głów koronowanych, których całe tuziny spotykanoo co wieczór po domach prywatnych. Kunszt zaś Metternicha tak określał: *Son grand art est de nous faire perdre du temps, croyant par là en gagner*. Lecz taktyka Metternicha była naturalnem następstwem fałszywego położenia, w jakim znaleźli się sprzymierzeni, zamieściwszy w traktacie paryskim klauzulę, że podział terytoryów i ustanowienie równowagi nastąpi odpowiednio do przyjętych przez nich zasad, które tak dobrze wtenczas, jak i teraz im samym były niewiadome.

Cesarz Aleksander, niekontent z Nesselrodego, którego miękkości przypisywał swoje niepowodzenia, sformował sobie nową radę przyboczną. Weszli do niej Capo d' Istria, Stein i Czartoryski. Pierwszy mógł chyba mgliste pomysły cesarza jeszcze bardziej pomącić. Stein, prześladowany przez Napoleona, był przy Aleksandrze stróżem interesów niemieckich i unitaryzmu pod wodzą Prus; nadto przeciwnikiem przywrócenia Polski, w czem upatrywał niebezpieczeństwo dla Austrii i Prus; odradzał również nadania Polakom konstytucyi, aby nie stwarzać sprzeczności między zasadniczymi ustawami i formą rządu obu krajów; Polaków uważał za niezdolnych rządzić się konstytucyjnie, i co najwięcej, przypuszczał dla nich udział w miejscowym zarządzie. Mając jednak przed wszystkim na uwadze interes pruski i przewagę Prusaków w Niemczech, uznał korzystniejszym dążyć do zamiany Warszawy na Saksonię i zaprzestał sprzeciwiać się polskiemu projektowi cesarza, który używał go w stosunkach z gabinetem berlińskim. Czartoryskiemu, *dont la perspication n'égalait pas à beaucoup près la loyauté*,—powiada Talleyrand—przy-  
padła rola pośrednika między cesarzem i Francuzami.

Aleksander kołysał się nadzieją, że Talleyranda nakłoni do zawarcia z sobą przymierza. W tym celu zgadzał się pozostawić królowi saskiemu zawiązek państwa, *un noyau*; Francyi ofiarował swoje poparcie w sprawie neapolitańskiej, tudzież rękę siostry dla ks. Berry <sup>1)</sup>. W początku Restauracyi, Ludwik XVIII mocno sobie życzył małżeństwa rosyjskiego; teraz, ochłodłszy, postawił warunek, że przyszła księżna Berry stanie na ziemi francuskiej katoliczką: *faisant profession ouverte de la religion catholique, apostolique, romaine*. Zmianie religii opierała się cesarzowa matka; w każdym zaś razie dwór rosyjski obstawał przy tem, aby przejście na katolicyzm odbyło się dopiero po zawarciu małżeństwa, na obcej ziemi i w formie, jak najmniej zwracającej uwagę. Talleyrand odetchnął. Postawa Ludwika XVIII niweczyła projekta małżeńskie, a wraz z małżeństwem znikał z horyzontu i alians, w sprawie neapolitańskiej niepotrzebny, gdyż wszyscy monarchowie brzydzili się uzurpatorem i kreaturą człowieka z *Elby*.

Natomiast pod koniec roku, Austria i Anglia poczęły wyraźniej zbliżać się ku Francyi. Metternicha skłoniła do tego nieudana próba porozumienia się wprost z Rosyą. Castlereagh, podrażniony bezskuteczną korespondencyą z Aleksandrem, którą cesarz urwał w sposób obraźliwy, niecierpliwił się leniwym chodem kongresu. Obaj zaczęli przypuszczać Talleyranda do swoich sekretów, komunikować mu noty, wymieniane z Rosyanami i Prusakami. Castlereagh trwał jednak zawsze przy swoim, że kiedy się jest w lidze, należy w niej zostać. Jednego razu nareszcie, przyszedłszy do Talleyranda, aby się rozmówić w sprawie komisji statystycznej, mającej sprawdzić obliczenia rozległości i ludności w Polsce i w Saksonii, przedstawione przez Austryaków i Prusaków, napomknął, że bez pomocy Francuzów nigdy kongres do końca nie dojdzie.

— Wszystko do niczego nie prowadzi — odezwał się Talleyrand — jeżeli naprzód nie ustanowimy zasad i reguł, i nieuznamy wyraźnie praw króla saskiego do Saksonii. Co

---

<sup>1)</sup> W. Ks. Anny Pawłowny, która miała wyjść za Napoleona, a w końcu wyszła za króla Hollenderskiego.

się tyczy tego ostatniego punktu, moglibyśmy zawrzeć konwencyę w trzech: Anglia, Austria i Francya.

Anglik się stropił:

— Czy konwencya ma znaczyć przymierze?

— Konwencya — odparł Talleyrand — może nie znaczyć przymierza, albo jeżeli chcecie, może być przymierzem; co do mnie, nie mam nic przeciw temu.

— Kiedy bo przymierze suponuje wojnę, lub gotowo do wojny doprowadzić; my zaś chcemy wojny uniknąć.

— I ja jestem tego zdania, że wojny należy się wystrzegać, byle bez uszczerbku dla honoru, dla sprawiedliwości i dla przyszłego bezpieczeństwa i spokoju Europy.

— Wojna byłaby w Anglii niepopularna — zarzucił jeszcze Castlereagh.

— Wojna byłaby i u was popularną, — wtrącił Talleyrand — gdybyście naznaczyli jej cel wzniosły, prawdziwie europejski.

— Jaki cel?

— Odbudowanie Polski.

Anglik namyśliwszy się, potrząsł głową:

— Jeszcze nie...

Talleyrand przyznał się królowi, że nadał umyślnie taki obrót rozmowie, żeby Anglika *wysondować*. Lecz sondy nie zdołał zapuścić do gruntu, tam, gdzie była schowana miłość dla ligi, wraz z mocnem postanowieniem usunięcia Francyi od rzeczywistego wpływu na sprawy kongresowe. Przekonał się o tem zaraz nazajutrz rano, gdy Stewart przyniósł nowinę, że na komisję statystyczną jest powszechna zgoda, ale pełnomocnik francuski ma być z niej wykluczony. Zapytany, kto mianowicie chce Francuzów wyłączyć, zaręczył, że nie jego brat, i wyjąkał: sprzymierzeni...

Talleyrand wpadłszy w gniew, zagroził wyjazdem z Wiednia. Sprzymierzeńcy skapitulowali. Wieczorem tegosamego dnia, Castlereagh zawiadomił Talleyranda, że stanie się za dość jego życzeniu. Dalberg zasiadł w komisji statystycznej, obok Prusaków, których obecność pozwalała wnosić, że swoje pretensye zmodyfikują i zastosują do wyniku narad komisji.

Inna komisya, do której wszedł Razumowski, Capo d' Istria, Metternich i Hardenberg, zajęła się kwestyą roz-

graniczenia w Polsce. Rosya wstąpiła przez to także na drogę kompromisu. Aleksander ponownie wysłał Czartoryskiego do Talleyranda z dwoma poleceniami, jednym dziwniejszem od drugiego. Najpierw, kazał oświadczyć, że go najniesluszniej pomawiają o odstępstwo od zasad, gdyż wierny pozostał swojej zasadzie niezmiennej, jaką jest szczęście ludów; powtóre, że prześladowuje go obawa, że król saski, powróciwszy na tron przodków, może się uczuć bardzo nieszczęśliwym, wskutek utraty znacznej części swojej spuścizny. — Talleyrand miał w zanadrzu odpowiedź: szczęście ludów było zasadą wszystkich przywódców rewolucyi francuskiej, bez różnicy epoki; król saski, pozbawiony tronu i uwięziony, będzie niezawodnie jeszcze nieszczęśliwszy. — Z poselstwa zaś dla siebie wyciągnął sens moralny, że skrupuły cesarza nie świadczą o silnej woli oszczędzenia królowi saskiemu smutków, jakie sprawi utrata kawałka ojcowizny.

Na schyłku roku 1814, stanął pokój między Anglią i Stanami Zjednoczonymi Ameryki północnej. Anglia miała ręce wolniejsze w Europie. W parlamencie upomniano się za Polską i za Saksonią; książe regent posłał w tym duchu instrukcye swoim pełnomocnikom w Wiedniu i zrzekł się powiększenia Hannoveru, jeżeli król saski koronę odzyska. Castle-reagh, do żywego dotknięty tonem, jaki Rosya i Prusy przybrały na konferencyach, i zaniepokojony myślą, że mu przyjdzie stanąć przed parlamentem z próżnymi rękami, uczuł potrzebę zdobycia świadectwa czarno na białem, że robił wszystko, co było w jego możności i nie cofnął się nawet przed użyciem heroiczych środków. Gdy więc Talleyrand wspominał ponownie o konwencyi, przyniósł mu brulion umowy, przez siebie artykułami zredagowany. Talleyrand aż podskoczył z radości. Cyrograf był bardzo niewinnej natury, spisany naprędce i nieporządnie, ale... *avec des gens d'un caractère faible il fallait se presser de finir*. Po wspólnej naradzie z Metternichem, który odrazu zmiarkował, że się na żadne niebezpieczeństwo nie wystawi, i po poczynieniu nieznacznych poprawek, tegosamego dnia w nocy podpisany został słynny traktat z 3 stycznia 1815 r.

Według brzmienia traktatu, Anglia, Austria i Francya zawarły między sobą przymierze odporne, w przekonaniu, że

mocarstwa, powołane do uzupełnienia postanowień traktatu paryskiego, aby móżd wiernie i godnie wywiązać się z tak ważnego obowiązku, powinny używać zupełnego bezpieczeństwa i zupełnej niezależności. Wobec roszczeń świeżo podniesionych, wypada im zatem obmyśleć środki odparcia zaczepki, wyniknąć mogącej wskutek postawionych przez nie wniosków, sprawiedliwością i słuszością wskazanych. Następuje XIV artykułów. Artykułem pierwszym strony podpisane zobowiązały się wzajemnie działać w porozumieniu z sobą, z całą bezinteresownością i dobrą wiarą, i dążyć do tego, aby postanowienia traktatu paryskiego uzupełnione zostały zgodnie z prawdziwym duchem tegoż traktatu. Gdyby w następstwie wniosków wspólnie postawionych, jedno z mocarstw podpisanych zostało zaczepione, wszystkie trzy pospieszą zaczepkę odeprzeć, dostarczając sił niżej wymienionych.

Zaraz w drugim artykule zastrzeżone było, iż na wypadek, gdyby jedno z mocarstw podpisanych, ujrzało się zagrożonem, z powodów poprzednim artykułem wymienionych, dwa inne użyją przyjacielskiego pośrednictwa, aby zaczepki niedopuszczyć.

Dalsze artykuły, III, IV i V, stanowiły, że w razie zaczepki, każde mocarstwo wystawi sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi, określały skład korpusów i zostawiały Anglii swobodę dostarczenia subsydyów w pieniądzach zamiast wojska.

Artykuł VI pozostawiał późniejszemu układowi ułożenie planu kampanii, kwestyę dowództwa naczelnego i zaopatrzenia armii w żywność i amunicyę.

Artykuł VII zastrzegł możność wzmocnienia sił czynnych odpowiednio do potrzeby.

Artykuł VIII warował, że pokój może być zawarty tylko wspólnie, przez wszystkie państwa w wojnie udział biorące.

Artykuł IX pozwalał każdemu mocarstwu zaciągać względem innych zobowiązania, o ile takowe sprzeciwiać się nie będą celowi obecnego przymierza.

Artykuł X i XI utrzymywał traktat paryski w całej mocy, tak we wszystkim, co się tyczyło granic mocarstw podpisanych, jakoteż przy traktowaniu innych przedmiotów.

Artykuł XII przewidywał przystąpienie innych państw

do związku, w czasie i na warunkach przez trzy mocarstwa oznaczonych.

Artykuł XIII zaliczał Hannower i Hollandyę do posiadłości, najście których pociągnie za sobą obowiązek solidarnej obrony.

Artykuł XIV wyznaczał termin ratyfikacyi przed upływem sześciu tygodni.

Stary nałóg zapewne sprawił, że dodano do konwencyi osobny artykuł sekretny, wymieniający Bawaryę, Hannower i Hollandyę, jako państwa, które zaproszone będą do przystąpienia do traktatu.

*Henryk Lisicki.*

(Dalszy ciąg nastąpi).

# TWÓRCZOŚĆ W PRZEMYSŁE.

(STUDYUM EKONOMICZNO - PRAWNICZE).

---

## Wstęp.

Dużo pisano ostatniemi czasy o sposobach podniesienia lub zaszczeplenia przemysłu w Galicyi. Sprawa ta była przedmiotem i ściślejszych prac naukowych i fejetonów w piśmiech peryodycznych, dyskusyj i polemik codziennych. Zwracano w nich uwagę na wiele faktów ciekawych, na liczne środki zaradzenia złemu; lecz — o ile wiem — nie wspomniano nigdzie o jednym niezbędnym warunku rozwoju przemysłu, warunku, którego dopełnianie jest zarazem środkiem pedagogicznym w przemyśle i zachętą do jego kształcenia. Tym warunkiem jest *indywidualizm* w przemyśle, t. j. to, co przemysłowi pewnego kraju nadaje charakter właściwy, odrębny, samoistny.

Najwybitniejszym czynnikiem, wytwarzającym ów indywidualizm, jest wynalazek; a po za nim grupują się artyzm w przemyśle i cały szereg przymiotów produkcji, dążących do ulepszenia i doskonalenia znanych już i gdzieindziej na jeden sposób wyrabianych towarów.

Zwrócenie ogólnej uwagi na powyższe czynniki, rozpoznanie ich istoty i metody w zastosowaniu, tudzież powszechniejsze dla nich zajęcie — może się stać pożytecznem dla rozwoju naszego przemysłu. Oto powód, dla którego postanowiłem choćby w ogólnych tylko zarysach pisać o nich, a głównie o znaczeniu wynalazków przemysłowych.

Zapewne słowa te przeczyta niejednen z czytelników z uśmiechem ironii lub z niechęcią.

„Jakżeż — powie sobie — naród, który powinien w przemyśle uczyć się jeszcze wiele, co Zachód już umie, ma dziś na własnych wynalazkach przemysł swój opierać — dziś, gdy siła Niagary wprzęgnięta przez ludzi w druty lamp elektrycznych oświeca całe miasta, gdy fonografy głos dziadów przechowują dla wnuków, lub telefony przerzucają ludzką mowę jak piłkę z miejsca na miejsce. Zachęcenie do wynalazków u nas — to znowu jedna z mrzonek, fantazyjka, prześcigająca w śmiałości dotychczasowe zamki lodowe imaginacyi galicyjskiej lub projekt godny bohatera ramot Wilkońskiego.“

Z zapatrywaniem powyższem mógłbym wdać się w polemikę; przytoczyć zwłaszcza wielką liczbę przykładów, wziętych z życia i wykazujących, że najlepszym środkiem pedagogicznym, jest rozbudzenie w tym, kogo się kształci, woli i siły do samodzielnej pracy. Przykładów dostarczyłyby pod tym względem wszystkie dziedziny pracy, zacząwszy np. od sztuki pływania, którą uczący się pokochał i zdobył sobie dopiero od czasu, gdy sam w głębię się rzucił — a skończywszy na najpoważniejszych naukach, np. na historii, którą jako umiejętność pojął uczeń choć z drobnym zasobem wiedzy, gdy za wskazówkami profesora napisał pracę samodzielną, twórczą, konstrukcyjną. Mógłbym dalej w polemice powyższej wskazać i na to, że naród polski ma wiele fantazyi twórczej, że np. w wieku XIX dokonał genialnych dzieł w naukach i sztukach pięknych, i że, jak to przy innej sposobności na przykładach, choć dotychczas nielicznych stwierdzę, nie brak mu i fantazyi potrzebnej do twórczości przemysłowej.

Uważam jednak podobną polemikę za zbytęcną, choćby zapatrywanie powyż przytoczone — jak przypuszczam — mieli powziąć w pierwszej chwili niektórzy czytelnicy. Zapatrywanie to polegałoby bowiem tylko na małym nieporozumieniu co do pojęcia dzisiejszego wynalazku.

Dlatego ośmielam się zwrócić do nich z prośbą, aby nie zrażali się wstępem i zechcieli — równie jak inni czytelnicy — przeczytać łaskawie do końca te kartki, uzupełniając braki własną refleksyą. Może się potem przekonają, że mieli o

wynalazku dzisiejszym zbyt wysokie pojęcie, że tenże w zwykłych i prawie codziennych objawach, nie jest więcej jakąś boską tajemnicą, dostępną jedynie dla kapłanów genialnej twórczości, ale może się stać *wynikiem sumiennej pracy ludzi uzdolnionych*.

Jeżeli jednak objawem tym zainteresują się i pojną go szersze warstwy społeczeństwa naszego, jeżeli na wynalazki nowsze i na ich *źródła i sposób powstania* zwrócą szkoły przemysłowe większą uwagę niż dotychczas, to wytrwała praca połączy się z wrodzoną naszych ziomków fantazyą i stworzy swojskie, a temsamem i opokowe podstawy rozwoju przemysłowego w naszym kraju.

## I.

### Ogólny rzut oka na indywidualizm i postęp w przemyśle.

Rok 1851 — rok pierwszej wystawy *światowej*, dzielący na równe połowy wiek XIX, jest zarazem słupem granicznym dwóch epok w historii nowoczesnego wielkiego przemysłu. Pierwsza z nich rozpoczyna się na kontynencie naszym jeszcze z końcem wieku XVIII: wśród morza krwi i rewolucyi łamie geniusz techniczny więzy dotychczasowe; przebiega wśród twórczej działalności owego oswobodzonego geniuszu w ciągu naszego wieku i wśród pracy milionów rąk ludzkich, a kończy się pierwszą wystawą światową w Londynie. Druga epoka, rozpoczynając się tem, czem zakończyła pierwsza: zebrany na jednym miejscu i tryumfującym targiem całego świata — ma przebieg podobny do pierwszej, ale okazałszy i zarazem niespokojniejszy, bo urozmaicony międzynarodową walką przemysłową, i bodaj, czy się nie skończy taksamo jak zaczęła epoka pierwsza: wybuchem nowych wulkanów ludzkości i krwi tonią. Co po niej nastąpi? o tem podobno nie śniło się ani temu panu Bellamy, co opisuje wiek XXI.

Ducha wynalazczego w przemyśle wypuszczono na światło dzienne na kontynencie w czasie francuskiej rewolucyi. Okuty dotychczas w więzy przez przepisy cechowe, marniał w ciemnościach prawie zapomniany przez ludzi, aż naraz,

oswobodzony rozrósł się szybko wśród szczęśliwych warunków, i podając dłoń wówczas już potężnemu i szczerze pielęgnowanemu geniuszowi przemysłowemu w Anglii — zadziwił z nim razem świat cały twórczą potęgą. Jego wynalazcza siła, objawiła się we wszystkich gałęziach przemysłu: odkryto nieznane dotąd siły przyrody, wprzągnięto je w nowe maszyny i oddano przemysłowi na usługi. W przeciągu kilkudziesięciu lat, ziemia zmieniła swą fizyognomię. Odrutowano ją szynami żelaznymi, po których z nieznaną dotąd szybkością posuwać się poczęły kotły parowe, zagłuszające trąbkę pocztową — echo przeszłości; powbijano w ziemię słupy i powiązano je drutami telegraficznymi, roznoszącymi myśl ludzką w jednej chwili w najodleglejsze miejsca; na gruzach warsztatów rzemieślniczych wzniesiono piętrowe fabryki; pod powierzchnią ziemi powstały tysiące nowych kopalni, a na wodzie para poczęła poruszać statki.

Równoległe z temi zmianami, nastąpiły przewroty socjalne. Runął drobny przemysł, a drobni przemysłowcy wśród walki o byt popadli w zależność kontraktem zawarowaną, i pracę swoją dotychczas samodzielną, zamienili na usługi około maszyn. Wyswobodzony politycznie stan trzeci, przywdział kurtę niebieską robotniczą i czuć począł, że mu w niej nie dobrze, że wolności wymarzonej nie ma, bo płaca robotnicza ledwie wystarcza mu na najkonieczniejsze potrzeby do życia, a zerwanie kontraktu z fabrykantem, rzuca go na pastwę nędzy i śmierci głodowej. Słuchać więc począł proroków, głoszących mu albo nowe zasady, na których porządek społeczny zbudowanym być powinien, albo wprost anarchię. Tak zatliło się zarzewie przyszłego wulkanu, którego wstrząśnięć podziemnych nasze społeczeństwo z trwogą podsłuchuje.

---

Gdy tak *przemysł wolny* powiększył bajecznie klasę zależnych *robotników* i spowodował w ten sposób w warstwach tegoż samego społeczeństwa przewroty socjalne, które się w wielkim zakresie już w pierwszej połowie XIX wieku objawiły, przygotowywał *wolny handel* narodów przewroty ekonomiczne *międzynarodowe*, które z całą siłą wystąpiły dopiero w drugiej połowie wieku XIX.

Teorya wolnego handlu — wynalazek angielski, łączący się z imieniem ojca ekonomistów politycznych, *Smithem*, doszedł do charakterystycznego znaczenia *na wystawie londyńskiej z r. 1851*. Anglia zgromadziła na niej olśniewające i zdumiewające produkta przemysłu, przede wszystkim zachodnich państw europejskich, i wprawiwszy w podziw świat cały, wezwała wszystkie ludy z hasłem *wolnego międzynarodowego handlu do wzajemnej konkurencyi*. Hasło to urzeczywistniła ostatecznie w traktacie zawartym z Francją w roku 1860 — poczem znowu Francya skłoniła inne państwa europejskie do zawarcia podobnych traktatów. Wolny handel międzynarodowy pobudził do życia wielkie targi świata, stojące dotąd każdemu otworem, a równocześnie rozpoczęła się walka o byt między wielkim przemysłem ludów najwięcej ucywilizowanych i mniej przemysłowemi państwami. Przemysł Zachodu wdzierać się począł w rynki zbytu drobniejszych przemysłowców wschodnich ludów Europy, wydzierać im piędź po piędzi z obszarów ich dawnej klienteli i zamieniać ich temsamem w żebraków.

*To wdzieranie się w targi obce, jest objawem nowym*, bo jakkolwiek wymiana międzynarodowa towarów istniała i dawniej, to jednak obcy przemysł nie pozbawiał nigdy w sposób gwałtowny klienteli — przemysłowców własnego narodu.

Skutek ten osiągnano obecnie przy łatwej komunikacyi i niskich cłach przez *taniość, nowość, gust, albo niezwykłą dobroć produkcji i towaru*.

O ile przemysł kraju konkurującego, pomimo cel i kosztów transportu, nie zdołał wytrzymać konkurencyi pod względem jednego z powyższych czterech przymiotów, musiał ustąpić z targu wobec zagranicznych przemysłowców, i na odwrót: przemysł nowy o tyle miał rację bytu i mógł się utwierdzić w jednym z tych ogółconych z przemysłu krajów, o ile pod względem jednego przynajmniej przymiotu dorównać lub przewyższyć potrafił zagranicę. Jestto pewnik, z którym *każda recepta na nowy przemysł* liczyć się warunkowo musi. Nawoływanie *kupujących do względów patryotycznych* przy kupowaniu, do wspierania kosztem własnym wyrobu krajowego, może mieć jedynie chwilowy skutek i to

w sferach gotowej do poświęceń publiczności. Smutny jednak stan *przemysłu*, którego istnienie od *poświęceń* zależy. *Przemysł ma jedynie zdrową podstawę w egoizmie i producentów i konsumentów.*

*Taniość towaru* — najłatwiejszy środek dla większego przemysłu zdobycia: choćby na czas krótki targu, jest przymiotem w ogólności niedostępnym (nie uwzględniając wyjątkowych stosunków) dla słabo rozwiniętego lub mającego się rozwinąć przemysłu. *Taniość towaru* zależy bowiem w pierwszej linii od niskich kosztów produkcji, a te znowu od fabrykacji *en gros*, wymagającej wielkich kapitałów zakładowych, wyćwiczonego robotnika i rutyny w produkcji. Są to czynniki, których w kraju, jak nasz, zubożałym, nieprzemysłowym i niedoświadczonym, osiągnąć nie można.

Możemy się jednak pocieszyć, choć w wyścigach o zniżanie cen produkcji do minimum, nie weźmiemy udziału. — Strata nie jest wielka, gdyż ostatnimi zwłaszcza czasy zdegenerowało się dążenie do produkcji taniej, a ci co je propagują, tracą jeden targ zbytu po drugim.

Objaw ten pochodzi ztąd, iż dążenie do zniżania cen, oddziaływało w sposób bardzo niekorzystny na produkcję. Przemysłowcy zaczęli się posługiwać materiałem gorszym, przy fabrykacji dopuszczając się niedokładności, a przytem nadawać towarowi pozór lepszego, niż nim jest w rzeczywistości i za lepszy go spieniężać. W ten sposób, obok wielkich olbrzymów fabrycznych, pływających po morzu wolnej konkurencji kolosem produkcji i zbytu, kierowanym niesłychaną rutyną, pojawili się pływacy, unoszący się na powierzchni wody przez powietrzne pęcherze oszustwa lub inne niedostrzegalne dla kupującego sztuczki. Liczba tych ostatnich wzrastać zaczęła w sposób zastraszający, a konsument wykształcony (używam tu utartego już terminu ekonomicznego) stracił zaufanie do towarów, o których nie wie, z czyjej fabryki pochodzą, i dziś ogląda się już zwykle za takimi, za którymi stoi pewna gwarancja, choćby miał i więcej zapłacić. Aby nie tracić targu, obniżyli owi pęcherzowi pływacy ceny towaru do granic bajecznych, szukając zbytu w kolach najuboższych

konsumentów lub za granicami, gdzie ich się jeszcze nie zna. Surdut nowy za 3 złr., kapelusz za 50 cent., broszka za 10 centów i t. p., — oto ceny towarów eksportowanych przez kupców wiedeńskich do krajów południowo-słowiańskich, do Turcyi, Egiptu, Małej Azji i t. p., po części — choć dziś już w mniejszej ilości — do Dalmacyi i Galicyi. Miałem sposobność obejrzyć raz surdut przeznaczony do eksportu, a kosztujący *loco* Wiedeń 3 złr. Kołnierz np. był przyklejony klejem do sztywnego papieru. Oczywiście po pierwszym deszczu ze surduta odpadł. Fabrykanci takich towarów zalewają niemi zwykle przez pewien czas targ. Gdy publiczność pozna się na jego lichocie, wówczas pospieszają z nim na inne targi, w których jeszcze nie są znani, i zmieniają w kapitał zaufanie dobrodusznych biedaków. To zaufanie stało się więc dla wolnej konkurencyi ziemią urodzajną, z której się wyciska soki żywotne, a gdy ich nie stanie, podąża się w inne strony, aby tam metodę dewastacyi i zniszczenia dalej prowadzić.

Te i tym podobne wybryki wolnej konkurencyi, ułatwiły nie raz milionowym kapitałom zawładnięcie straconych przez wolną konkurencyę pozycyj. Zmonopolizowawszy wówczas przez kartele lub przez zjednoczenie w przedsiębiorstwie bardzo rozległym, pewną gałąź produkcji, utrzymywały wprawdzie towar w dobrej jakości, lecz i podwyższały zarazem ceny niezmiernie wysoko i wyzyskiwały w ten sposób konsumentów. Tak z deszczu wpadał i wpada konsument pod rynną.

Nieograniczona wolność w konkurencyi, jest więc znowu przykładem, jak to najpiękniej brzmiące hasła wolności prowadzą do najgorszych rezultatów, gdy pod ich sztandarem staną ludzie źli a sprytni, umiejący hasła owe kapitalizować. Z wprowadzeniem wolności pamiętać powinny narody także o środkach, któremiby pod prężieź stawiały lub bez litości gnębiły owych pęcherzowych pływaków, pijawki obcej krwi, szachrajów, czy jak tam nazwać tych *chevaliers d'industrie*.

Środkiem, wprost przeciw nim skierowanym, są ustawy o *concurrence déloyale*. W Austrii ustaw tych nie ma. *Istnieją jednakże ustawy, które od grabieży rabusiów przemysłowych chronią dobre imię i dobrą sławę fabryki i te wszystkie właściwości produktu lub produkcji, w których wcieloną została myśl twórcza producenta.* Cel ten urzeczywistniają

ustawy przez ochronę „marek ochronnych“ i firmy, tudzież przez ochronę wynalazków i nowych wzorów towarowych.

Musimy przedewszystkiem rzucić okiem na wszystkie powyższe ustawy, aby potem na szerszem tle rozebrać jeszcze raz nieco bliżej ustawy patentowe, odnoszące się do wynalazków.

I. Wśród mnóstwa bezimiennych towarów, zajmują wyjątkowe stanowisko towary, na których uwidocznione są firmy, od jakich pochodzą, albo znaczki, zwane markami ochronnymi, wskazujące również pewne znane pochodzenie.

Kupujący poszukuje ich na targu, i płaci za nie więcej, jeżeli firma lub marka, któremi są opatrzone, *ma ustaloną dobrą sławę w świecie kupieckim.*

Prawo używania firmy lub marki ochronnej, jest wyłącznym prawem tego, kto firmę zarejestrował według przepisów prawa handlowego, lub markę pierwszy zgłosił (w Austrii w Izbie handlowej i przemysłowej, pośrednio w Ministerstwie handlu). Ochroną prawa firmy zajmuje się w Austrii głównie ustawa przemysłowa z 20 grudnia 1859 r. (Dz. ust. p. L. 22), względnie nowella przemysłowa z 15 marca 1883 (L. 39 Dz. u. p.).

Ustawa o markach ochronnych pochodzi z Francji. Marki jako znaczki, które wskazują na pochodzenie fabryczne czy rękodzielnicze, były pierwotnie środkiem policyjnym cechów miejskich. Rewolucya francuska zniosła cechy, uznała jednak równocześnie potrzebę zatrzymania marek, jako znaczków ku ochronie klienteli tych przedsiębiorstw, które uczciwą i rzetelną produkcją pozyskały pewien zbyt i dobrą sławę.

W tej myśli ogłoszono 22 Germinala roku XI pierwszą ustawę o ochronie marek. Zbawienne jej skutki stały się powodem zaprowadzenia podobnych ustaw i w innych państwach, naprzód w Belgii, Saksonii, Austrii (ustawa z 7-go grudnia 1858 r.), potem w Anglii, Włoszech, Stanach Zjednoczonych, Rosyi i t. d., wreszcie po przyłączeniu Alzacyi i Lotaryngii w całych Niemczech (w roku 1874 30-go listopada).

Ustawy, chroniące prawo firmy, łączą się z rozwojem kodeksów handlowych i ustaw przemysłowych.

Towary, opatrzone nazwiskiem firmy lub marką ochronną słynnej fabryki, tworzą arystokrację w stosunku do masy bezimiennych towarów, które zapelniają targi wolnej konkurencyi. Są one rodzajem arystokracji rodowej, bo na pierwszy rzut oka wyglądają tak, jak owe towarowe pospólstwo — może w rzeczywistości od niego więcej nie są warte, ale wskazują na znakomite pochodzenie fabryki, mającej sławę. Kupiec zaśniejszy woli je, bo wie, iż pochodzenie daje pewną gwarancję przymiotów wewnętrznych. Wśród tej arystokracji rodowej, uwijają się z podrobionemi lub podobnemi markami inne towary, które chcą uchodzić za coś lepszego niż są, (różni pseudoszlachejce, pseudohrabowie i t. p. z biletami zaopatrzonemi w korony), mający łatwowiernego kupca tak długo, aż prawdziwy szlachejce nie pociągnie owego półpanka przed kratki sądowe, lub administracyjne. Tak np. w Galicyi miała i ma dobrą sławę, zwłaszcza u dobrych gospodyń, kawa ze sławnej fabryki austryackiej „Heinrich Franck Söhne.“ Pudelka, w których się ową kawę sprzedaje, zaopatrzone są marką, przedstawiającą w niebieskim kolorze fabrykę „Franck Söhne,“ otoczoną rysunkiem linii połamanych i przerywających się w dość gustowny sposób, wśród których na dole mieści się nazwisko firmy „Franck Söhne.“ Inny kawiarz markę podrobił, lecz sądząc, że ramienia sprawiedliwości łatwiej uniknie, umieścił tam, gdzie w marce rzeczywistej był napis Franck Söhne, słowa „Französes Caffé,“ lub coś podobnego. Kucharka zadawałniała się ogólnem wrażeniem obrazka i kupowała pod podrobioną marką gorszą kawę; pani wytłómaczyć sobie nie mogła, dlaczego kawa coraz gorsza, lecz przekonawszy się, że obrazek na pudelku ten sam, z losem się pogodziła, a fabrykant nieuczciwy, zdobył choć czasowo klientelę zacnej firmy.

Nigdzie może nie napotyka się tyle złej woli i nieuczciwości w przemyśle i handlu, jak w dziedzinie podrabiania marek ochronnych. Nieraz przepisy ustawy o markach ochronnych nie wystarczają, aby z należyłą energią wkroczyć; daje się wówczas czuć brak ustaw o *concurrance déloyale*. Ale jeżeli zastosowanie ustawy z r. 1890 jest w danym przy-

padku możliwe, powinnyby nasi sędziowie z większą surowością, niż się to dotychczas dzieje, z przestępcami postępować. *Trzeba kar surowych, gdzie przekroczenie jest do skutecznienia łatwe, a korzyści z niego nieobliczalne.* W tych przypadkach nie wystarcza przy wymiarze kary sam czynnik winy. Sędzia powinien korzystać z granic szerokich, jakie mu ustawa udziela, i utworzyć w karze także przeciwwagę korzyści ekonomicznej i puklerz silny dla uczciwości przemysłowej.

II. Wśród pospólstwa towarowego wolnej konkurencyi, o którym wyżej była mowa, wynosi się nad poziom ogółu także arystokracja ducha, sztuki i twórczości. Naprzód kilka słów o pierwszej. Monopol, choć czasowy, otrzymuje na swój towar ten przemysłowiec, który towarowi nadał kształt dotychczas nieznaną, odrębny. Może być przez to towar piękniejszy lub brzydszy, to dla ustawy jest obojętne. Warunkiem monopolu, o którym mowa, t. zw. monopolu *wzoru*, jest nowość *kształtu* i zgłoszenie u władzy ustawą powołanej (w Austrii: w Izbie handlowej i przemysłowej). Sam towar pozostaje w *swym celu ekonomicznym* takisam, jak dotychczas znany; jedynie zewnętrzne jego wykonanie ma być odmienne i nowe. Gdyby na istocie towaru polegała twórczość przemysłowca, wówczas nie podpadałby towar pod ochronę „wzoru,” ale pod ochronę „wynalazku.“

Publiczność rozstrzyga o *wartości* takich praw wyłącznych. Jeżeli wzór jest bez smaku, wówczas nie znajdzie przemysłowiec kupców, którzyby za niego więcej zapłacili, niż za zwykłe towary. Przy rzeczach w wykonczeniu niezwykłe pięknych, może monopol przynieść szczęśliwemu posiadaczowi miliony.

Wzór nowy może się odnosić do jakiegoś rysunku, umieszczonego na towarze, np. na szklankach, wazach, i t. p., do rysunku w hafcie, do ugrupowania nitek w tkackich wyrobach, do całego kształtu towaru, np. w miejsce przycisku kamiennego, przycisk szklany w formie jabłka, lub przycisk przedstawiający jakąś rzeźbę; może dalej wzór polegać na ugrupowaniu barw, w kombinacji linii i t. p. Najwięcej znaczenia w przemyśle mają wzory rysunkowe. M. J o b a r d

w swoim dziele: *Brevets d'invention* (Bruxelles, 1848), zestawia wartość nowych wzorów obok wartości wynalazków, i wspomina, że firmy paryskie Fortier, Delisle, Bietry, Salandrouze płaciły niejednokrotnie po 20.000 franków swym rysownikom za wzory i rysunki na szale, tapety lub dywany.

Rysownik, twórca owych wzorów przemysłowych, które się opłacają, może, lecz nie musi być kapłanem prawdziwego piękna (o ile w ogólności o prawdziwym pięknie można mówić). To bowiem, co decyduje o powodzeniu i wartości ekonomicznej wzoru, nie polega na artyzmie wykonania, ale na powabie, guście chwilowym publiczności, smaku, nieraz kaprysie. Czasem rozstrzygają inne okoliczności o powodzeniu wzoru: jakiś dowcip w rysunku, tendencya polityczna, wyrażona w nim, ba, nawet kształt przez swą niezmierną brzydotę ciekawy!

Aby robić miliony na wzorach, trzeba mieć umysł ruchliwy jak woda, bogaty w pomysły jak kaprys kobiety, a przytem trzeźwy jak rachunek. Takim umysłem obdarzony jest Francuz, i dlatego przedewszystkiem bez jego przemysłu, świat cywilizowany obejść się nie może i żadne represalia celne nie wstrzymają towaru francuskiego, który modę tworzyć i smakiem kierować będzie.

Mimo to, ci pełni artystycznych kaprysów Francuzi ugięli karku przed smakiem japońskim. Na wystawie z roku 1889, więcej może widać było i w architekturze pawilonów, i w drobnych przedmiotach linii i barw japońskich, jak francuskich. Naturalnie Japończycy nie odnieśli z tego wielkich korzyści; wzorów swoich nie umieli spożytkować. Były one dla Francuzów dziedziną wolnej eksploatacyi. Eksport japoński do Francyi zwiększył się, ale korzyści z monopolu wzorów były nazawsze stracone.

Nie w tym rozmiarze, lecz dość podobny przykład nastrocza i Galicya. Prześliczne wzory haftów i wyszywań, pochodzących w części z Galicyi wschodniej, a w części z Bukowiny, podobały się nadzwyczaj w Wiedniu, na wszystkich wystawach, począwszy od r. 1873. Dzisiaj wzory te zdobyły sobie prawo obywatelstwa w całej Austrii, i z wielkiem powodzeniem są naśladowane. Czy wzór wyzyskano jednak jako kapitał? Czy kto przed wystawieniem wzorów na widok publiczny, przed zapoznaniem go ze światem, zro-

bił próby zmonopolizowania owych wzorów i skapitalizowania ich na korzyść jakiej np. w tym celu utworzonej spółki? Biedni Rusini darowali na pastwę łupu wielkiego przemysłu swój gust, i to w czasach, w których się za wszystko płaci. A ileż to podobnych skarbów smaku i gustu kryje się jeszcze może w naszym kraju!

Prof. Łuszczkiewicz, omawiając w *Czasie* z 14 listopada 1891 r. (Nr. 261) zeszyt I i II wydawnictwa krajowej komisji dla spraw przemysłowych, zwrócił uwagę na to, że dawne zabytki rękodzielnictwa polskiego odznaczają się gustem, godnym dziś jeszcze naśladownictwa. Jeżeli tak jest, toć należałoby być ostrożnym przy ogłaszaniu wzorów z naszej przeszłości przemysłowej. Przyznaję doniosłość publikacji — wiem, że świat ten piękna wtedy dla archeologii i historii kultury stanie się przystępnym, kiedy się wzory zbierze i ogłosi; wiem, że publikacja zabytków przemysłu może mieć w szkołach przemysłowych wielkie pedagogiczne znaczenie — z tem wszystkim jednak muszę wyrazić obawę, aby z wydawnictwa wszystkich najpiękniejszych zabytków nie zyskały jedynie ościenne narody, które za niczem tak nie polują, jak za wzorami przemysłowemi. Niemieckie fabryki np., gdzie mogą, eksploatują gust francuski, ale nie pogardzą z pewnością nowem tak oryginalnem źródłem, jak owe polskie zabytki. Konkurować z niemieckimi fabrykami, pod równymi warunkami produkcji, nie możemy — a równe warunki stworzy właśnie ogłoszenie drukiem wzorów — ale możemy zdobyć nawet niemieckie rynki, jeżeli na nie przywieziemy gustowne przedmioty, które nam wyłącznie (choćby czasowo) będzie wolno wyrabiać.

Z chwilą publikacji, wzór przestaje być nowym, a temsamem eksploatacja wyłączna jest nazawsze stracona. Nie wiem, czy komisya przemysłowa galicyjska zdała sobie z tego sprawę, godząc się na ogłaszanie drukiem wszystkich wzorów najlepszych. Czyżby nie należało ograniczyć się do wzorów pięknych, które dla przemysłu artystycznego dziś nie mają bezpośredniego znaczenia? Zabytki dostarczające wzorów dla dzisiejszych przedmiotów i towaru, mogłaby przecież komisya w cichości zbierać, kategoryzować, i opracowawszy je, w Izbach handlowych zgłaszać. W ten sposób

rozporządzały w przeciągu krótkiego może czasu monopolami wzorów, któreby w drodze — jaką uzna za najstosowniejszą — mogła istniejącym spółkom lub stowarzyszeniom sprzedawać lub rozdarowywać, lub nowe przedsiębiorstwa na tak urodzajnej glebie do życia powoływać. Jeżeli co, to właśnie monopol choćby czasowy, jest najwłaściwszym środkiem do pobudzania i rozwijania przemysłu. Jak drzewo młode potrzebuje oparkanionej szkółki, jak jarzynka swych inspektów, tak i przemysł początkujący rozwinię się prawidłowo tylko wtedy, gdy w samych początkach nie będzie musiał walczyć z wichrami i innymi dzikimi elementami wolnej konkurencji.

Monopolem choć czasowym (w Austrii trwa on lat 3), zdobywa sobie przemysłowiec, zręczny i posiadający towar z wzorem wartościowym, targi, a z niemi kapitał; ma, gdy monopol ustanie, tak silne stanowisko, iż potem o własnych siłach z wolną konkurencją zderzyć się może i nie zginie.

Publikacya wzorów, mających dziś praktyczne znaczenie dla przemysłu, przedstawia mi się tak, jak wyrzucanie na ulicę skarbów, zebranych przez ojców. Wypowiadając powyższe zdanie, muszę dodać, że nie mam zamiaru, krytykować bez zastrzeżenia wydawnictwa prof. Odrzywolskiego, względnie komisji krajowej. Nie wiem dokładnie, co będzie przedmiotem publikacji, i brak mi tej znajomości kraju, jaką posiada poważna nasza instytucya przemysłowa. Wypowiedziałem tylko moje osobiste zapatrywanie, nad którym sąd pozostawiam z chęcią lepiej odemnie poinformowanym, a wypowiedziałem je tylko dlatego, bo czasem i zdanie mniej ze stosunkami obznajomionych, może się na coś przydać.

Ustawy ochrony wzorów przemysłowych, są pochodzenia francuskiego. Pierwszy ślad rozporządzenia mającego cel popowyzszy, sięga r. 1737 i 1744, w których wbrew regulaminom cechowym uznano wzorki jedwabów fabryk w Lyonie, i zakazano je naśladować.

Rozporządzenie to rozszerzono dla całego przemysłu w r. 1787 ustawą z 14 lipca, i sformułowano należycie w latach 1806 i 1825.

Anglia wprowadziła prawie równocześnie u siebie ochronę wzorów. Rząd austriacki ogłosił ustawę na wzór ustawy francuskiej 7-go grudnia 1858 (Dz. u. p. L. 237) a rosyjski w r. 1864.

Stosunkowo bardzo późno zaprowadziło państwo niemieckie u siebie ochronę wzorów przemysłowych, bo dopiero 11-go stycznia 1876 r., i to nawet stało się głównie wskutek skarg fabryk francuskich w Alzacyi i Lotaryngii, których wyroby naśladować poczęły w większym stopniu niż przed rokiem 1871 niemieckie fabryki. Przeszłego roku (1891) wydano w państwie niemieckiem ustawę, która w sposób wyczerpujący określa przepisy dotyczące się ochrony wzorów.

III. Do monopolu wzoru podobnym jest pod względem prawniczym, monopol nowego rodzaju produkcji, albo nowego całkiem produktu, albo wreszcie nowego ulepszenia przemysłowego.

Wynalazca, zgłosiwszy swój wynalazek u władzy do przyjmowania takich zgłoszeń powołanej, i otrzymawszy tak zwany *patent*, uzyskuje temsamem prawo wyłączne do swego wynalazku, t. j. on tylko może produkcję zgłoszoną wykonywać, towar wyrabiać, ulepszenie zastosowywać. Ktoby, nie uwzględniając patentu, równocześnie się tym samym przemysłem zajmował, tego może wynalazca i w drodze sądowej, karnej i cywilnej, a względnie administracyjnej ścigać. Jeżeli wynalazca patentu wykonywać nie chce, może patent ze wszystkimi z nim połączonemi prawami sprzedać, darować, zastawić, zamienić i t. p. — może samo prawo używania patentu przenieść na innych, a i to czasowo i na pewne geograficznie oznaczone części kraju lub całkowicie. Wszystkie powyższe prawa są jednak czasowo ograniczone, w Austrii trwają lat 15. Po zgaśnięciu patentu, wynalazek staje się przedmiotem wspólnym wszystkim, zdobyczą całego świata przemysłowego, niwą wolnej konkurencji.

Jak monopol wzoru ochronnego był uznaniem twórczości jednostki w artyzmie przemysłowym, tak patent jest uznaniem twórczości w technice przemysłu. Monopol wzoru ochronnego zachęcał do szukania nowych form produktu, i temsa-

mem kształcił gust i artyzm w przemyśle — choć, jakeśmy to wyżej poznali, prowadził czasem i na manowce; monopol, zwany patentem, zachęca do szukania nowych dóbr materialnych, lub nowych produkcji, i stał się, jak to poznamy, najsilniejszą dźwignią postępu przemysłowego XIX w.

Po tych kilku uwagach, zapoznamy się nieco bliżej z patentem, t. j. formą prawną, która wynalazek chroni, a potem z samą treścią, t. j. wynalazkiem i jego funkcją ekonomiczną.

## II.

### Historia ochrony wynalazku.

Ustawy patentowe mają dwie ojczyzny. Starszą z nich jest Anglia, młodszą Francya. Obie są *ojczyznami* ustaw patentowych, bo w jednej i w drugiej geniusz wynalazczy walczyć musiał o uznanie swych praw, w obu musiał budzić powoli uczucie ich konieczności, aż wreszcie państwowa władza wskutek walki tej i ogólnego przeświadczenia o potrzebie ustaw, uznała prawo wynalazcy, i aktem ustawodawczym je określiła. W Anglii nastąpiło uznanie ochrony wynalazku przez państwo w sposób łagodniejszy, przez długą, wytrwałą i spokojną walkę przygotowany. We Francyi geniusz wynalazczy połączył się z rewolucją i wymógł w sposób gwałtowny i krótki ogłoszenie swych praw. Anglia przeniosła ustawę patentową koloniami angielskimi do Ameryki — Francya zaś pobudziła do naśladownictwa państwa *kontynentalne* europejskie, a między niemi i Austryę, która prawie dosłownie ustawę patentową francuską przyjęła.

Walka wynalazcy, o której wyżej wspomniałem, objawiła się w kollizyi z ciasnymi granicami ustawowemi, głównie z regulaminami cechowemi, które nie dopuszczały odmiennych produkcji, jak regulaminem określonych. Wynalazca musiał więc, albo dopuszczać się przestępstwa owych przepisów, i nie troszcząc się o nie, wyrabiać nowe produkta pomimo zakazu — wówczas jednakże narażał się na kary — albo też prosić panującego o prawo wyjątkowe dla siebie. Praw wyjątkowych znały nowożytnie wieki w pierwszej po-

łowie niezliczone ilości, nazywając je przywilejami, monopolami i t. d. Otóż i wynalazca, lub ten, co nowy przemysł skądinąd importował, prosił o wyjątkowe prawo, którego celem było dopuszczenie i uznanie nowej produkcji, połączone najczęściej z zakazem wystósowanym do kupujących, kupowania nie gdzieindziej, jak u uprzywilejowanego, towaru przywilejem objętego.

W *Anglii* spotykamy się już w r. 1566 z przywilejem sukiennika *Hastingsa* na wyrób boi, udzielonym z tego względu, że go *Hastings* pierwszy z *Amsterdamu* do *Anglii* wprowadził. Odebrano mu jednak ten przywilej później, gdy się pokazało, że fabrykacya uprzywilejowana dawniej już w *Anglii* znana była. Królowie angielscy pamiętali przy udzielaniu przywilejów i o własnej kieszeni, nakazując płaćć uprzywilejowanym nieraz bardzo wysokie taksy. Potrzeba pieniędzy w kasach była powodem, że przywileje namnożyły się w zastraszający sposób, zwłaszcza, odkąd bez względu na nowość produkcji obdarzać poczęto monopolami produkcji tych, którym łaska monarsza sprzyjała. I tak, korzystała już królowa *Elżbieta* w bardzo szeroki sposób ze zwyczaju udzielania przywilejów i obciążyła przemysł angielski który z innych więzów się powoli emancypował, masą najróżnorodniejszych korzystnych i niekorzystnych przywilejów. Ona to *Hugenotom* chroniącym się we *Francyi*, udzieliła przywileju na przemysł wełniany i płócienny, importowany z *Francyi*; ona swemi przywilejami umożliwiła powstanie i nadzwyczajny rozwój kompanii wschodnio-indyjskiej i t. p. — *Jakób I* poszedł jednak w powyższym kierunku jeszcze dalej, a nadto dopuszczał się w obdarzaniu przywilejami takich nadużyć, że po kilku latach panowania, żaden rzemieślnik ani przemysłowiec angielski nie był pewnym, czy nie wkrocza w przywilejowe prawa jakiego ulubieńca królewskiego. Ten stan rzeczy wywołał walkę zaciętą, choć nie krwawą, między królem i parlamentem, która zakończyła się *ustawą z r. 1623*, znoszącą wszystkie dotychczasowe przywileje i monopole przemysłowe, prócz tych, które udzielone zostały na wynalazki. *Ustawa z r. 1623* jest zarazem *pierwszą ustawą patentową*, bo upoważniła wyraźnie króla do udzielania przywilejów na nowe wynalazki na przeciąg 21 lat.

Od r. 1623 miał więc każdy Anglik prawo wzbogacać przemysł nowemi wynalazkami, i ze swych wynalazków przez 21 lat wyłącznie korzystać. Prawo tego monopolu nie zależało od łaski monarszej, bo warunki jego były ustawą określone. Monopol wynalazku zapewniał korzyści materyalne i był silną podniętą do pracy i robienia nakładów, bo i praca i kapitał wielkim procentem wynalazcę nagradzały. W ten sposób egoizm, ów najczynniejszy czynnik postępu, pobudzał od r. 1623 cale masy społeczeństwa angielskiego do pracy samodzielnej i wynalazczej w przemyśle. Anglia stała się przez pracę dwuwiekową swego społeczeństwa na niwie postępu przemysłowego, krajem przodującym aż po nasze czasy całemu światu w przemyśle i krajem nieprzebranych bogactw.

Anglicy są jednak narodem zbyt zamkniętym w sobie, zbyt oddzielonym od Europy kontynentalnej i ludem zbyt zimnym i egoistycznym, aby kulturę swoją przeszczepiali łatwo gdzieindziej, jak między Anglikami. To też kiedy w Anglii w r. 1767 ubogi golarz Arkwright został za swój wynalazek nowej przędzalni baronem angielskim i pozostawił swym dziedzicom 800.000 funt. szterlingów, kiedy James Watt pobierał z jednej kopalni za dozwoleń używania wynalezionej przez siebie maszyny parowej, rocznie 40.000 funt. szterlingów, wówczas wynalazca wyrabiania sody ze soli kuchennej, Leblanc umierał we Francji na barłogu żebraczym.

Być może, że jeszcze inne okoliczności wpłynęły na to, że przykładu Anglii nie naśladował kontynent europejski. Anglia jest krajem rozwoju konserwatywnego, nie krępuje się zbyt normami z góry określonymi, dopuszcza wyjątków od ustaw, które się przeżyły, dozwała nawet, żeby w praktyce wyjątki te dochodziły do znaczenia zasady, i zaspakaja w ten sposób mimo ustaw przeciwnych, potrzeby społeczeństwa, z którymi się zawsze liczy. Ustawy nowe nie są też niczem innym, jak jasnym określeniem tego, co już dawno społeczeństwo za prawo uważa. Ustaw starych nie znosi się gwałtownie, nie odcina ostrym nożem od organizmu prawnego, lecz zostawia się je w spokoju, aż same przez wewnętrzne zbutwienie nie zeschną i nie odpadną. Zmiany w ustawodawstwie nie są więc połączone z *tym rozgłosem*,

*jaki jest konieczny, aby sąsiednie narody do naśladownictwa pobudzić.* Przykładu pod tym względem dostarcza zarówno zjawienie się ustawy z r. 1623, jak i późniejsze ustawy z r. 1835 i 1852, które dopiero wówczas ogłoszono, kiedy ustawa z r. 1623 nie była niczem więcej, jak szkieletem, około którego wzrosło na praktyce sądowej i administracyjnej rozległe prawo zwyczajowe.

Kolonie angielskie przeniosły do Ameryki ustawę patentową angielską, którą zastąpiły po oderwaniu się od Anglii ustawami z lat 1792 i 1800.

Całkiem odmienny obraz rozwoju ustaw patentowych przedstawia *Francya*, w której pierwsza ustawa patentowa z r. 1791, przychodzi na świat wśród gilotyn i krwi rozlewu, jako reakcyja przeciw szalonemu uciskowi dawnych cechów i przeciw nadużyciom w udzielaniu niczem nieuzasadnionych przywilejów i monopolów królewskich.

Nigdzie nie uciskały szranki cechowe postępu w przemyśle w tym stopniu, jak we Francyi. Zwłaszcza z końcem XVII i na początku XVIII wieku, namnożyła się niezliczona ilość daleko idących przepisów cechowych, a stróżami ich byli zarówno dygnitarze silnych swą organizacją cechów, jak i różni urzędnicy królewscy. Od r. 1691 przeszło prawo wyboru dygnitarzy cechowych na króla, który powiększył ich liczbę w przeciągu 10 lat do 40.000, i kazał sobie za nominację płacić znaczne sumy. Zadaniem tych urzędników, była najściślejsza kontrola nad wszelkimi gałęziami przemysłu. Kontrolowali też gdzie mogli, i jak mogli. Zaburzali spokój domowy, zdradzali każdą tajemnicę produkeyi; za brak nitki regulaminem przepisanej, niszczyć kazali całe magazyny, a gdy napotkali jakieś wyskoki fantazyi, nieokreślone przepisami, wówczas wieszali towar zaopatrzony nazwiskiem rzemieślnika na szubiennicy, i potem go niszczyli lub stawiali rzemieślnika pod pręgierz. Taką była działalność owych sławnych *conseillers du roi, controleurs, visiteurs, essayeurs*, o których wyraził się *Pontchartrain* w sprawozdaniu do Ludwika XIV: „Ile razy, Najjaśniejszy Panie, taki urząd

utworzysz, stwarza Bóg głupca, który go kupuje.“ Przepisy cechowe wywoływały także walki *pomiędzy samemi* cechami. Krawcy i tandeciarze paryscy n. p. prowadzili proces od r. 1530 do 1776 o pytanie, jaka jest granica między nowemi a używanemi sukniemi, i czy krawcom przysługuje prawo gotowe ubrania sprzedawać. Proces ten w całości kosztował nie wiele mniej od miliona franków.

Najjaskrawszym wyrazem owych żelaznych i ciasnych więzów, w których wszelka zdolność w przemyśle ginąć musiała i ginęła w zarodku, jest księga regulaminowa Colberta, która w ostatniem wydaniu obejmowała 4 tomy wielkie *in quarto*, z przeszło tysiącem uzupełniających regulaminów. Według tych regulaminów, wolno było n. p. kapelusznikom wyrabiać kapelusze z wełny, włosu króliczego lub sierści wielbłąda; nie wolno zaś było używać w produkcji włosa zajęczego. Ośmnaście regulaminów określało szerokość sukna wystawianego na sprzedaż i t. p.

Nie brak było i we Francji (jak w Anglii przed r. 1623) wyłomów z pod owych przepisów cechowych. Łaska monarsza stwarzała wyjątki od reguły, nazywała je przywilejami, i kazała za nie płacić. Czasem obdarzała przywilejami produkcję nową, częściej jednak, zwłaszcza za Ludwików XIV i XV tworzyła przywileje produkcji znanej lub od wynalazcy nabytej, na rzecz swych zauszników.

Tak n. p. otrzymuje Argaud w połowie XVII wieku przywilej na wyłączne wyrabianie lampy ze szkłem o podwójnym przeciągu. Wynalazek ten prosty, bo polegający na użyciu do lampy szkła z otworem z dwóch stron, jest jeszcze dziś w codziennem używaniu, n. p. przy lampach naftowych. Pomimo swego przywileju, musiał Argaud niejednokrotnie procesować się z cechami lampiarzy, ślusarzy, lutowników, a wreszcie blacharzy.

Szczęśliwszą była od niego pani de Maintenon. Nie wynalazła w przemyśle nic, a otrzymała od Ludwika XIV przywilej na wyłączny wyrób nowych paliw do pieca, za które wynalazcę król w inny sposób nagroził. Przywilej ten brzmi w sposób następujący:

*Aujourd'hui, dernier jour de septembre 1674, le roi étant à Versailles, voulant gratifier et traiter favorablement*

*dame Françoise d'Aubigné, veuve du feu sieur Scarron, S. M. lui a accordé et fait don du privilège et faculté de faire des âtres à des fourneaux, tours et cheminées d'une nouvelle invention.... Fait S. M. défense à toutes personnes de faire et contrefaire lesdits âtres à peine de 1500 livres d'amende, m'ayant S. M. commandé d'expédier à la-dite dame Scarron toutes lettres à ce necessaires et ce, pendant le présent brevet, qu'elle a signé de sa main et fait contrasigner par moi... Colbert.*

Niejednokrotnie udzielane były przywileje w tej formie, że nadawały wolność przemysłową i wynalazczą umiejscowionemu przemysłowi. Takie przywileje przysługiwały n. p. rzemieślnikom z Faubourg Saint-Antoine, i rzemieślnikom, pracującym w galeryach Luwru od r. 1602, przemysłowcom w Nimes od r. 1750 i t. p.

Jak swego czasu Jakób I w Anglii — tak i Ludwik XV obciążył niemiłosiernie przemysł różnego rodzaju przywilejami. Z jednej strony regulaminy cechowe i ich prężność, z drugiej strony bezpodstawne przywileje, a po za tem geniusz wynalazczy, rosnący coraz więcej w potęgę, mający w sobie siłę, która zburzy cały dotychczasowy porządek — oto czynniki, które wszystkie napinały się za Ludwika XIV i XVI, jedne jawnie, drugie tajemnie, aby stanąć do walki, kiedy we Francyi głos rewolucyi pobudzi i stare i nowe prądy do najkrwawszej rozprawy.

Czuł niebezpieczeństwo Turgot i Necker — pierwszy w r. 1776, drugi w r. 1779, dali początek zwrotowi ku lepszemu zniesieniem przymusu cechowego, a w r. 1787 za ich podniętą wypracowała Izba handlowa normandzka projekt ustawy patentowej. Z tem wszystkiem reformę właściwą przeprowadziła dopiero rewolucya. *Assemblée nationale* poleciła w r. 1790 wypracowanie projektu ustawy patentowej komisji dla rolnictwa i handlu, i po przyjęciu go, przedłożyła do sankeyi królowi 7 stycznia 1791.

Projekt otrzymał po pewnych zmianach sankeyę monarszą 25 maja 1791 roku.

Ustawa francuzka z r. 1791 wychodzi z założenia, że wynalazek, produkt myśli i pracy ludzkiej, jest przedewszystkiem najlepiej utwierdzoną własnością tego, kto jest jego

twórcą, i że prawo do wynalazku należy jak inne wrodzone lub nabyte prawa do „praw człowieka.“ Uzasadniewszy w ten sposób istnienie prawa do wynalazku, określa ustawa z r. 1791 warunki jego nabycia, granice i czas trwania, który ze względu na dobro publiczne, ogranicza na lat 5, 10 i 15. Główne przepisy ustawy francuskiej z r. 1791, częściowo zmieniane i uzupełniane — przetrwały do r. 1844, w którym pod dniem 5 lipca ogłoszono nową ustawę, liczącą się znacznie więcej z potrzebami przemysłu, i podającą przepisy na półwiekowym doświadczeniu oparte.

Za przykładem Francyi, poszły i inne państwa europejskie: naprzód Rosya, Prusy, potem Belgia, a w r. 1820 Austria.

Prusy pobudzone przykładem francuskim, ogłosiły w r. 1815 ustawę, lecz w redakcyi starały się zachować samodzielność. Ustawę w Prusach wypracowaną, przyjęła w r. 1820 Austria. W r. 1832 porzucono jednak w Austrii powyższą ustawę, a przyjęto *mutatis mutandis* ustawę francuską, której przepisy są podstawą zarówno ustawy z r. 1832, jak i ustawy do dziś dnia obowiązującej z 15 sierpnia 1852 r. (Dz. u. p. L. 184).

W Niemczech wprowadzono w pierwszej połowie XIX wieku w pojedynczych krajach ustawy, które jednak nie odpowiadały swemu zadaniu i ochrony wynalazkowi należytej nie dawały. To było powodem, że Niemcy utracili wiele umysłów twórczych, bądź na rzecz Anglii, bądź na rzecz Francyi. Jako przykład przytaczam Wilhelma (nie Fryderyka) Siemensa, sławnego elektryka i wynalazcę pieców regeneratywnych, który porzucił swą ojczyznę, aby w Anglii szukać opieki przeciw łupieżcom swych wynalazków. Państwo niemieckie uzyskało dobrą ustawę dopiero 25 maja 1877 roku <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> W rozdziale tym naszkicowałem tylko to z rozwoju prawa patentowego, co jest konieczną podstawą do zrozumienia dalszych rozdziałów. Nie mogąc, ze względu na cel tej rozprawki, zapuszczać się w dokładniejsze przedstawienie rzeczy, odsyłam czytelnika co do historyi rozwoju ustaw patentowych w Anglii, do dzieła Godson: *A Treatise on the law of patents for inventions*, Londyn, 1851, — we Francyi, Renouard: *Traité des brevets d'invention*, 3re

## III.

**Systemy prawa patentowego i ustawa patentowa w Austrii.**

Dwom źródłom, z których powstały ustawy patentowe, odpowiadają i dwa rodzaje systemów: jeden francuski, t. zw. system zgłoszenia, drugi na podstawach angielskich w Ameryce wykształcony, amerykański, t. zw. system badania. Na amerykańskim systemie polegają głównie ustawy patentowe w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, w Niemczech — po części w Szwecyi, Norwegii i w Rosyi. Anglia ma ustawę patentową, zajmującą pośrednie miejsce między systemem francuskim a systemem amerykańskim; a zresztą w Europie panuje system francuski.

System francuski zasadza się na tem, że ustawa oznacza wprawdzie warunki, pod któremi o patent starać się można, ale władza udzielająca patent, nie bada, czy wszystkie warunki ustawowe, a przede wszystkim warunek nowości wynalazku w danym przypadku istnieje. Kto poda o patent i określi w podaniu w sposób jasny przedmiot, będący albo wyrobem przemysłowym, albo jego ulepszeniem, albo wreszcie samą produkcją, ten otrzymuje bez dalszego badania patent. Patent udziela się więc na odpowiedzialność proszącego, a kontrolę nad warunkami ustawowemi oddaje się całemu społeczeństwu. Każdemu bowiem przysługuje prawo do wniesienia skargi o nieważność patentu. Jeżeli w procesie ulegnie powód, wówczas musi koszta procesu zapłacić oskarżonemu. Jeżeli zaś pozwany, t. j. właścicielowi patentu udowodni, że jego patent nie ma podstawy prawnej, wówczas pozwany nietylko musi zwrócić koszta procesu lub raczej procesów, bo bardzo często kilku odrazu proces prowadzi, ale nadto wynagrodzić szkodę tym, których

---

éd. Paris. 1865. — W Austrii A. v. Krauss: *Geist der Österreichischen Gesetzgebung zur Aufmunterung der Erfindungen*. Wien, 1835. — W Niemczech Dr. Kohler: *Deutsches Patentrecht*. Mannheim i Strassburg 1878, który podaje obszernie literaturę, zwłaszcza niemiecką.

we fabrykacyi niepokoił; a szkoda taka wynosi nieraz sumy olbrzymie. Aby drogi procesu kosztownego, o ile możności uniknąć, wprowadziły niektóre ustawy t. zw. postępowanie wywoławcze (*Aufgebotsverfahren*). Zasada się ono na tem, że zgłoszony przedmiot do patentowania, ogłasza urząd patentowy w osobnem na ten cel utrzymywanem piśmie patentowem, i wzywa wszystkich, komu na tem zależy, do wniesienia t. zw. zarzutów uzasadnionych (*Einspruch*). Podstawę zarzutów bada następnie urząd patentowy, i udziela lub nie udziela patentu. To postępowanie, będące właściwie nader summarycznem postępowaniem kontradyktoryjnym, (spornem) ma być według nowego projektu, wypracowanego przez ministerstwo handlu, zaprowadzonym także w Austryi.

Na podstawie systemu amerykańskiego, bada urząd patentowy każde zgłoszenie w sposób nader skrupulatny, posługując się w tym celu szperaniem w wielkich technicznych bibliotekach, i udziela patentu dopiero wtedy, gdy z wielkiem prawdopodobieństwem może wynalazek za nowy uznać. System ten wymaga olbrzymiego aparatu urzędniczego, a mimo to, jak doświadczenie okazało, nie daje gwarancyi należytej, że patent chroni prawdziwy wynalazek. Dobrą stroną tego systemu jest to, że patent, jako taki, ma zwyczajnie większą wartość i nie bywa używany, jak to przy systemie francuskim niejednokrotnie się zdarza, w celach reklamy lub chwilowego zaniepokojenia konkurencyjnych przedsiębiorstw.

Ażeby dać w tej rozprawie dokładniejsze pojęcie o prawie patentowem, zamieszczam poniżej najważniejsze zasady, które określa obowiązująca dziś w Austryi ustawa z dnia 15 sierpnia 1852 (L. 184 Dz. u. p.).

Patent, zwany w austryackiem prawie c. k. wyłącznym przywilejem (*k. k. ausschl. Privilegium*) udziela się jedynie na wynalazki, mające w przemyśle bezpośrednie zastosowanie. Można więc otrzymać patent na jakiś nowy produkt przemysłowy, na nowe ulepszenie znanego już produktu, albo wreszcie na pewien nowy sposób wyrabiania przemysłowego; nie można zaś otrzymać patentu na zasady lub teorye naukowe, na których polegają sposoby wyrobu

lub same produkta przemysłowe, lub na odkrycia dotyczące się zastosowania znanych przedmiotów do innych celów, niż dotąd służyły.

Rzecz tę wyjaśniają następujące przykłady. Odkrycie, że istnieje prąd elektryczny, że ten prąd porusza się w pewnym kierunku po dobrych przewodnikach i t. p., nie mogło być patentowane, ale przedmiotem patentu były przyrządy telegraficzne, telefoniczne i t. p.

Odkrycie prof. Wróblewskiego, które uwidoczniło możliwość skroplenia tlenu, przy pewnym ciśnieniu i niskiej nadzwyczaj temperaturze, równie jak i metoda skroplenia, nie mogły być przedmiotem patentu. Ale patentowanym mógłby być n. p. sam aparat, a względnie części nowe aparatu, skonstruowanego przez Wróblewskiego do powyższego celu.

Ciekawego przykładu dostarcza lampka Davyego. Od niepamiętnych czasów używali górnicy w kopalniach lampek odrutowanych, chcąc ochronić szkło od rozbicia. Tymczasem Davy odkrył, że drut na lampce spełnia oprócz ochrony szkła, jeszcze nierównie ważniejsze zadanie: zapobiega mianowicie eksplozyi gazów. Odkrycie to nader ważne, nie łączy się z wynalazkiem jakiegoś nowego produktu przemysłowego, i z tego powodu nie mogło być patentowane. Uważać je można, jak i powyż przytoczone odkrycia, za odkrycie zasady naukowej, a nie za wynalazek przemysłowy; mogły one więc być przedmiotem własności literackiej, a nie patentu.

Przeciwnie przedmiotem patentu są najróżnorodniejsze wyroby przemysłowe, narzędzia, maszyny, dodatki i maszyny uzupełniające inne maszyny, sposoby wyrobu przemysłowego, n. p. sposób nadawania większej twardości metalom, i t. p. — wszystko to pod warunkiem, że przedmiot patentu jest nowy.

Wyjątkowo nie mogą być przedmiotem patentu te wyroby przemysłowe, których patentowanie byłoby zgubnem lub szkodliwem ze względu na dobro publiczne. Tak n. p. wykluczone są od patentowania lekarstwa, bo ograniczenie ich produkcji, byłoby sprzeczne z ich potrzebą i przeznaczeniem. Kochina nie byłaby więc mogła być przedmiotem pa-

tentu. Podobnie nie możnaby otrzymać przywileju na wyroby służące do celów niemoralnych, lub niedorzecznych, n. p. na przyrządy nowe dla złodziei kieszonkowych, na gilotyny na muchy i t. p.

Za nowe uważa się wszystko to, co w *Austrii* nie jest znane ani z druków, ani z wyrobu przemysłowego. Wynalazek, zrobiony za granicą, może wprowadzić do *Austrii* pod ochroną patentu tylko sam wynalazca, lub ten, co wynalazek od niego nabył.

Wniesienie podania z opisem wynalazku, zabezpiecza patentowi pierwszeństwo wynalazku, ale pełnię praw otrzymuje wynalazca dopiero z chwilą wystawienia dokumentu patentowego.

Prawa właściciela patentu są podobne pod względem prawniczym do praw właściciela jakiejś rzeczy ruchomej. Właściciel patentu może bowiem swoim wynalazkiem dowolnie rozporządzać, może mianowicie towary przez siebie wynalezione wyrabiać lub sprzedawać, lub sposób wyrobu w swej fabryce zastosowywać, a każdego, ktoby przez naśladownictwo jego wynalazku prawa te naruszył, w drodze procesu ścigać. Jeżeli w tym ostatnim przypadku chodzi posiadaczowi patentu o zakazanie dalszego naruszania, albo jeżeli jego patent jest tajemny (z tajemnie przechowanym opisem), wówczas skargę wnosi się w sądzie; jeżeli zaś chodzi nietylko o zakaz naruszania, ale i o wymierzenie kary, wówczas skargę wnosi się u władzy politycznej I-ej instancyi tego miejsca, w którym naruszenie patentu nastąpiło. Skargę o wynagrodzenie szkody przez naruszenie patentu zrządzonej, należy wnieść do sądu.

Wynalazcy przysługuje więc po nadaniu mu patentu wyłączne prawo do wynalazku, monopol tego, co jest produktem jego myśli. Mając taki monopol, może wynalazca cenę dowolnie podwyższać lub zniżać, kierując się pod tym względem jedynie granicą, przy której ustawałby pokup rzeczy przez niego wyrobionych. Granicą tą są więc względy ekonomiczne, a nie prawne. Prawo udziela również wynalazcy możebność rozporządzania dowolnie samą istotą prawa wynalazku. Patent może być tedy sprzedany jednej lub wielu osobom (n. p. ulepszenie maszyny parowej wszystkim fabrykom maszyn parowych); następnie mogą być sprzedane

udziały patentu, oznaczone w stosunku do całości, t. zw. *partes pro indiviso*, n. p.  $\frac{1}{2}$ ,  $\frac{1}{3}$  patentu, albo udziały ograniczone na pewne kraje koronne, n. p. na Galicyę, na Dolną Austryę i t. p.; może być dalej przedmiotem kontraktu kupna-sprzedaży i samo prawo wykonywania i użytkowania patentu. Wykluczony jest jednak podział samej treści prawa patentowego (podział podobny prawnie do fizycznego podziału rzeczy ruchomej), bo patent jest jako taki prawem niepodzielnem. Jeżeliby więc patent opiewał na maszynę do robienia lodu, wówczas nie możnaby go podzielić na prawa do wyłącznego wyrabiania części tej maszyny, albo nie możnaby udzielić jednemu prawa sprzedaży patentu, a drugiemu prawa zastawienia go i t. p.

Oprócz kontraktu kupna, sprzedaży, może być patent także przedmiotem innych kontraktów, zmierzających do przeniesienia własności i w ogólności praw rzeczowych, n. p. kontraktu spółki, zamiany, zastawu, darowizny, ugody, kontraktu małżeńskiego, dziedziczenia i t. d.

Na posiadającego patent, nakłada ustawa dwa obowiązki, których zaniedbanie pociąga za sobą utratę patentu. Pierwszym jest obowiązek wykonywania patentu: mianowicie musi posiadający patent w pierwszym roku trwania patentu wyrób patentowany rozpocząć, i nie przerywać go przez dłuższy czas, jak przez 2 lata. Drugim obowiązkiem jest płacenie taks i należyci regestrowych — wynoszących razem w pierwszym roku 26 złr. 25 ct. i wzrastających stopniowo do 131 złr. 25 ct. w roku 15-ym. Patent gaśnie bezwzględnie po 15 latach, od chwili nadania go.

Ustawa patentowa w Austrii polega, jakżeśmy to wyżej zaznaczyli, na systemie francuskim. Skutkiem tego ogranicza się ministerstwo handlu, będące ustawą patentową, do badania, czy przedmiot patentu ma bezpośredni związek z wyrobem przemysłowym, czy opis wynalazku jest jasny, i czy nie zachodzi powód prawa publicznego, wykluczający możebność udzielenia patentu; a gdy pod powyższemi względami nie ma przeszkody, wystawia za zgodą ministerstwa handlu w Węgrzech dokument patentowy, mający ważność na całą monarchię austro-węgierską. Ministerstwo nie przyjmuje jednak żadnej gwarancyi, że warunki ustawowe w da-

nym przypadku rzeczywiście istniały. Skutkiem tego wolno każdemu posiadającemu zdolność prawną i ewentualnie zdolność do działania, ważność prawa patentowego z powodu braku wymogów ustawowych zacząć w drodze procesu, który w pierwszej i ostatniej instancji rozstrzygają w porozumieniu ministerstwa handlu obu połów monarchii.

Skarga o unieważnienie patentu, może się opierać na twierdzeniu i dowodzie, że opis patentu jest niedokładny i niejasny, że patent na wynalazek zagraniczny udzielono nie temu, kto do uzyskania patentu miał prawo, iż wynalazek nie jest nowy, albo, że był już patentowany.

Skarga może zmierzać także do uznania patentu za zgasły, jeżeli np. wynalazek nie był wykonywany.

Skarga zaczepiająca istnienie prawa patentu, może mieć za przedmiot cały patent, albo tylko jego części.

Natomiast należą procesy o prawo wynalazku, a zatem o prawo do patentu (o pytanie, kto miał prawo jako wynalazca lub jego prawonabywca patent uzyskać), do kompetencji zwyczajnych sądów.

Przed sąd należą również procesy o wszelkie wynagrodzenia szkody wynikającej z wykonania patentu.

*Fryderyk Zoll junior.*

(Dokończenie nastąpi).

# Słowo w długoletniej rozprawie.

---

W miarę, jak wychodziły artykuły *Nowej Reformy*, mające być odpowiedzią czy krytyką książki („pamfletu“) hr. Stanisława Tarnowskiego, dla mojej własnej przyjemności notowałem odpowiedź na co grubsze błędy czy fałsze. Były to dla mnie czasy bardzo ciężkie; nie myślałem koniecznie, aby kończyć rozprawę z długimi wywodami dziennika. Dziś, mojem zdaniem, rzecz przedawniona; kiedy jednak *Nowa Reforma* nie przestaje, a podobno nie przestanie obrzucać zarzutami znakomitego obywatela, przesyłam Wam i na Waszą odpowiedzialność upoważniam do druku pracę, o tyle tylko mającą wartość, o ile sprawdza i prostuje mylne a odnoszące się do dawniejszych czasów szczegóły.

## I.

Oburzenie na pamiątkową książkę hr. Tarnowskiego, które się tak wymownie objawiło w piętnastu artykułach *Nowej Reformy* <sup>1)</sup>, nie dziwi mnie weale: tylko prawda tak silnie uderzyć może i tak gwałtowną wywołać odpowiedź. Stronnicstwa zwykle przeciwników nie czytają, i dlatego polemika rzadko użyteczna. I ja zwykle na zarzuty, które mi

---

<sup>1)</sup> Wydanych następnie w osobnej odbitce p. t. *Dwie opinie*.

są czynione, nie odpowiadam. Są jednak wypadki, wobec których błędu albo fałszu bez odpowiedzi zostawić nie można, choćby dlatego tylko, aby ci, którzy je postawili, nie zostali w przekonaniu, że mieli słuszność, i aby oświecić ich dobrą wiarę, jeżeli ją posiadają.

W jubileuszowym roku pisma, któremu dal początek, Stanisław Tarnowski chciał streścić 25-cioletnią pracę swoją i swoich politycznych przyjaciół. Że się *N. Reformie* nie podoba, nie dziwię się wcale. Powtórzenie prawd żywotnych, których się nie zna, albo nie rozumie, może być wstrętne; ale powtarza się dla tych, którzy je przyjmują, dla tych, którzy z zasad logiczne i praktyczne wyprowadzają wnioski. Dlatego autor w początku książki jasno, stanowczo, i co u niego rzadko, zwięźle, zestawił zasady, które ludzi dzielą, a które w praktyce politycznego życia ludów, do przeciwnych zupełnie prowadzą prawnospołecznych zapatrywań, celów i form. Komukolwiek te pytania nie są obojętne, tego zadziwi logiczne przeprowadzenie sprawy, zwięźłość wywodów i znajomość historii prawa publicznego, jego literatury i przebiegu od XVI w., to jest od czasu, kiedy powstały stałe państwowe organizmy. Każdemu, czy przeciwnikowi, czy stronnikowi książki, polecam ten początkowy wywód, bo tylko taki da sobie radę w ocenieniu dążności, wartości stronnictw; tylko z takimi warto dyskutować, którzy początek praw człowieka i społeczeństwa wyprowadzają od woli Boga, nie zaś od woli i liczebnej przewagi człowieka. O p. Tarnowskiego tutaj mi nie idzie; idzie o przekonanie ogółu, które ta polemika tak łatwo, wobec trudnego i anormalnego położenia kraju, przy niemalej, jak przyznać muszę, zręczności, zwichnąć może.

Autor artykułów idzie wprost za książką i stosownie do jej podziałów, rozbiera.

Pierwszy artykuł poprzestaje na scharakteryzowaniu książki („pamfletu“), a wiążąc ją z *Próbkami rozstroju* tegoż autora, twierdzi, że tu, jak tam, na szkodę własnego stronnictwa wpadł w przesadę, z której ratować musiał figlarny Bobrzyński, a to wszystko dlatego, że wymarzył sobie jako źródło wszelkiego złego i anarchii, dawną i obecną demokrację. Z demokracją ani p. Tarnowski, ani jego stronnictwo

nie walczy wcale; wiedzą dobrze, że ustrój ten polityczny jest konieczną obecnego społeczeństwa fazą; przyjmują wszystkie jej warunki, rozumieją, że społeczeństwo, obok warunków moralnych, w jej ramach żyć i rozkwitać może, a dziś nawet musi; nie demokracja przeto jest anarchią, albo do anarchii prowadzi, ale pewien rodzaj demokratów, którzy monopolizując opinię, dążą do przewagi osobistych ambicji, a to za pośrednictwem niewytrawnej zawsze większości, pozyskiwanej pochlebstwem i obietnicami. Znana to, a nawet doskonale, autorowi artykułów historya, a ponieważ niewiem, kto on jest, nie mogę odwoływać się do jego stanowiska, jak on ustawnie odwołuje się z przekąsem do godności p. Tarnowskiego. Demokratami jesteśmy wszyscy. Równość przed prawem, dostępność urzędów i stanowiska, to jest demokracja—niepodburzana sztucznie, każdemu zapewniająca miejsce wedle jego siły i zasługi. Anarchistami są ci demokraci, którzy wmawiają w mniej oświeconych, że bez tych warunków, tych usiłowań, mogą wszystkiego dostąpić, a jeżeli nie dostępują, arystokraci, zacofańcy temu winni. Dajcie nam wpływ, a dostąpiście wszystkiego!

Hr. Tarnowski z demokracją nie walczy, bo zna jej warunki i konieczność; on walczy z ludźmi, co może, zapewne i w dobrej wierze, chcąc zapewnić ojczyźnie w przyszłości swobodę, w terażniejszości dla osobistych czy wymarzonych celów, *per fas et nefas*, chcą dorobić się popularności; ba! już się jej dorobili, kiedy twierdzą, że partya wpływów moralnych, rada nie rada, musi iść za ich rydwanem.

## II.

„Nie mogą wśród patryotów Polski istnieć dwie opinie pod względem uprawnienia powstania Listopadowego.“ Prawda! Polska ma zawsze prawo upomnieć się czynem o swój byt. Na to po stokroć zgoda. To wszyscy przyznają, i dziwiłby się można, że to przypominają Tarnowskiemu. Ale powiem *Nowej Reformie*, jeżeli to zrozumieć zechce albo potrafi: o swoje prawa można się upomnieć środkami zdrowymi, albo

anarchicznymi, takimi, co prowadzą do zbawienia, albo do zguby. Kiedy Kaliszanie na wzór francuskich liberałów rozpoczęli drażniącą a jałową na polu konstytucyjnym walkę, może nie byli demokratami; anarchistami byli niewątpliwie. Kiedy lekkomyślni, jak generał Umiński, a szlachetni fanatycy, jak Łukasieński, organizowali wolnomularstwo narodowe, będące w związku z wolnomularstwem europejskim, a tym sposobem gorączkowali usposobienie kraju, byli anarchistami, bo narzucali osobiste swoje, nie tyle przekonania, jak uczucia, narodowi, który nie miał osobnego bytu, ale wszystkie środki, aby do niego dochodzić. Żywioły były inne, ale jak dziś, tak podówczas, dwa były kierunki, podwójnych używano sposobów. Jeden szukał na drodze organicznej, do czego wszystkie były środki, wzmocnienia do tyła narodowych czynników, aby w chwili danej, choć odleglejszej, mógł nie tylko powstać, ale i żyć politycznie; drudzy, niecierpliwi, mniemali, że tajne związki przygotowują ducha, który oparty na 30.000 armii, a w sojuszu z mocno wzburzonym duchem rewolucyjnym Europy, zdoła wywalczyć niepodległość.

Dla tych ostatnich żąda *Nowa Reforma* uprawnienia, podnosi ich heroizm i tryumfującym głosem pyta: czy rządy rosyjskie w Polsce nie były anarchią? że zatem dążenia rewolucyjne nazywać anarchią, tyle znaczy, co uznawać legalność rządów rosyjskich w Polsce. Że te rządy, ten sojusz, nie wszystkim są tak bardzo przeciwne, tego mieliśmy dowód przed półtora rokiem w Paryżu, a przed paru tygodniami w Krakowie. Ale tu prosimy spokojnie rozmotać zręcznie osnuty sofizmat.

Rząd był nielegalny, bo naród ma zawsze prawo do samoistności, choć w 1815 r. kraj go przyjął jako dobrodziejstwo i względnie był korzystny dla Królestwa i zabranych krajów; ale środki przedsiębrane w tajemnicy, *bez misji*, były anarchiczne, jak były, choć w wyższym stopniu, w 1863 r., a są i dziś, u tych, którzy zbierają skarb narodowy.

Przechwala się *Nowa Reforma*, że stronnictwo moralnej powagi, opornie zwykle idzie za hasłami demokracji. Jeżeli tak, to biada mu, biada krajowi i samej demokracji, bo i ona od r. 1830, r. 1846, do r. 1863, aż do ostatnich

burd warszawskich, dźwiga odpowiedzialność za upadek konstytucyi r. 1815, za zniesienie statutu Litewskiego, samorządu w zabranych krajach, upadku Unii, zniesienia uniwersytetu w Wilnie i Warszawie, szkół w Krzemieńcu, Winnicy i Bazylikańskich, a w końcu całego systemu wychowania i jakiegokolwiek samorządu cywilnego w Królestwie Polskiem! Anarchia wszystko to zniweczyła. Czas, aby spokojnie i roztropnie patrzeć na stan obecny ojczyzny i jego przyczyny. Jeżeli lekkomyślna, szkolną karnością rozdrażniona młodzież, poparta zdaniem uczonego, ale najnieudolniejszego, a o swoją popularność trwożliwego polityka, odważa się brać na swoją odpowiedzialność losy ojczyzny; jeżeli na takie przedsięwzięcie wpływa prąd rewolucyjny z Francyi, która potrzebowała zatrudnienia Rosyi; jeżeli bez planu, bez wodza, rozpoczyna olbrzymią walkę—to zaprawdę, to *anarchia*, albo nie ma jej na świecie. „Potępiać prąd insurrekcyjny pod spiskową formą, kiedy innej być nie może, to *obłuda*.“ Zarzut tak bezwzględny, upoważnia do niemniej drastycznego wyrażenia; ale powiedzieć muszę, że niewiedzieć tu fałszu, to jest *głupstwo*. Kiedy Niemcewicz, Czartoryski, Mostowski, Brodziński, Wołowski, Gołuchowski, Dembiński i t. p. zaskoczeni wybuchem, nie wiedzieli co począć — czy i tu, wobec strasznej ruiny sprawy i kraju, *Nowa Reforma* będzie chwalić, że „powagi moralne“ już wówczas stały się posłuszne jej teoryi? Biada społeczeństwu, które tych powag nie ma, albo słuchać ich nie umie.

Czy więc ludzie 1831 r. byli bez zasługi? Byli heroiczni—zashżeni nie. I niech to będzie nauką dla młodzieży, która daje się unosić podniosłym hasłom, czy narodowym, czy humanitarnym. Heroiczni, bo przyplacili krwią; nie na nich ciąży odpowiedzialność, ale na niegodziwych ludziach, których byli narzędziem.

A powagi moralne w narodzie?

Jest pieśń; jak się ją usłyszy, krew wre w żyłach, serce bije gwałtownie, w głowie się kręci. To, co zamierzają, to głupstwo, to zguba. Ale nużby się też udało? i ja do tego należeć nie będę? — Oto jest pytanie, które wobec każdego szaleństwa Polak sobie robi. Ale była może, mojem zdaniem, inna przyczyna, albo kto woli, usprawiedliwienie:

Polska upadła, a nie stoczyła o swój byt poważnej walki. Konfederacya Barska, rewolucya Kościuszkowska, cóż to za walka 20 milionowego ludu, rozsiadłego od Odry do Dźwiny? Może należało, aby krew 100.000 ludzi zatwierdziła miłość niepodległości. Czy ten protest krwawy, mógł okupić straty wojskowe, polityczne, religijne, naukowe, tego nikt ostatecznie nie rozstrzygnie. My dziękujemy Panu Bogu, że ta walka była świetna, uznawana dziś przez nieprzyjaciół, czysta — aż póki jej nie skalął klub demokratyczny.

Autor artykułów *Nowej Reformy* przeczy, aby w 1830 r. objawiał się ruch demokratyczny. Czy *Nową Polskę* czytał? czy słyszał od współczesnych, jakie były obrady na klubie? czy mu znany rozdział, podejrzenia, spiski, płynące z tego środka, mowy Gurowskiego, artykuły Krępowieckiego, Ostrowskiego, Janowskiego, wreszcie sceny Bolimowskie i straszny dzień 15 sierpnia? Czy to byli anarchiści? pytam. A czy sprawę posunęli? czy przynajmniej uratowali naszą dobrą sławę? Tych ludzi winno społeczeństwo potępić, choć się to niepodoba *Nowej Reformie*, stracić z piedestału, na którym się sami stawiają. Podeptać — nie. Jednych tłómaczy zapał, drugich brak zasad, innych próżna chęć dotykania się spraw wielkich, którym nie dorosli. Dobrze. Ale niech uznają swój błąd, żałują nieszczęść, których stali się przyczyną. Wówczas uwierzemy, że od nich żadne już nie grozi niebezpieczeństwo.

Nie po raz pierwszy to już potępiam ludzi, którzy rozpoczęli powstanie Listopadowe, a sądzą i tych, co w zarozumieniu swoim wzięli na siebie straszną odpowiedzialność, i tych, co je swoją powagą podtrzymali. Ale niech mi wolno będzie w kilku słowach powiedzieć, jakie było usposobienie.

O spisku mała wiedziała liczba. Mówiono wiele; tem mniej wierzone. Najgorliwszych patryotów zaszedł zniecacka. Nie należy bawić się z ogniem. Słowy schlebiali młodzieży, a ta wzięła słowa naseryo. Klub patryotyczny próbował opanować opinią; była nadto trzeźwa. Klub zamknął posiedzenie. Chwilą stanowczą było ogłoszenie powstania przez Sejm, jako narodowe. Wyboru już nie było. Wątpię, aby w jakimkolwiek narodzie powtórzyło się to, co jako naoczni świadkowie poświadczycy możemy. Starzy, dawni wojskowi mundur wdziewają, młodzi oficerowie od ślubnego ołtarza sia-

dają na koń, niedorosłki rwą się od matek, chłopci od żon i roli śpiewająco odchodzą, a nie było przykładu przymusu, kiedy Galicya, Poznańskie, Rzplta Krakowska, znaczny zastęp prostych żołnierzy dostarczyły. — A jak się to biło, to opowiada Schmidt i Puzyrewski; nie wiem jednak, czy pierwszeństwo nie należy warstwie ludowej, co mogę poświadczyć, bo przez całą wojnę służyłem w szeregach, jak prosty żołnierz.

Nie twierdzę, aby ostatecznie dała się wywalczyć niepodległość, ale w sumieniu twierdzę, znając doskonale ówczesne jawne i tajne działanie, że Warszawa wzięta by nie była, gdyby nie demoralizacja, spowodowana działaniem demokratycznego klubu i stronnictwa.

Umiała przeto ówczesna *tak zwana* demokracja (bo demokracją rzetelną nie była), niewczesnie zacząć i haniebnie skończyć!

### III.

Czy mi przyjdzie każdy artykuł rozbierać? — Może. — Przepraszam więc i proszę o cierpliwość, bo to rzeczy dawne, mniej interesujące — ale każdy artykuł polemiki *Nowej Reformy* pełen błędów i fałszu, w faktach albo w sądzie.

Związki przed-listopadowe nie miały demokratycznej cechy; wolnomularstwo narodowe, patryotyczne, ale w związku i zależne od wolnomularstwa europejskiego, które knowało i gotowało ruchy rewolucyjne, bezwiednie stawało się ich narzędziem. Szkoła Podchorążych pod wpływem Lelewela, staro Mochmackiego, służyła *świeżej demokracji*, która się też czynnie objawiła, od pierwszych dni powstania, w klubie. Jakie ciągle stosunki partya rewolucyjna francuska utrzymywała z polskimi patryotami, wiadomo. Potrzebowała zneutralizować akcyę cesarza Mikołaja. Ruch w Polsce był dla niej konieczny. Gorętsze polskie dusze, nie mogąc znieść W. ks. Konstantego, chroniły się do Paryża, jak Morawski i inni. Zawiązywali stosunki z Lafayettem, a kierował nimi stary Maliszewski, który pamiętał czasy Konwentu i klubu Jakobinów. Te palne materyały przycichły po sądzie sejmowym.

Sejm 1830 r. odbył się w warunkach normalnych. Cesarz Mikołaj nie gwałcił konstytucyi; umysły były uspokojone, aż do rewolucyi Lipcowej. Naród ujarzmiony ma zawsze prawo powstać; ale naród polityczny używa tego prawa tylko, kiedy się da skutecznie. Kto nie powołany, na swą odpowiedzialność wywołuje katastrofę, ten ciężko winny; nie usprawiedliwia go ani zapal, ani dobra wiara, ani nawet poświęcenie, bo wolno poświęcić swoją osobę, ale nie losy ojczyzny, jak to powiedział znakomity mąż stanu węgierski.

Polemista *Nowej Reformy* zarzut lekkomyślności wydaje się śmiesznym, bo powstanie oparte na 30.000 armii, z chwiejnym korpusem litewskim, z zasobami skarbowemi, miało szanse powodzenia. — O szansach powodzenia zawsze dyskutować można: kto przewidzi wypadki opatrne, które losami ludzkości kierują? Tu idzie o to, czy Wysocki, Nabielak, Rydel i inni, mogli o tem słusznie stanowić. Wypadki orzekają. Kto *ex post facto* przywodzi przyczyny upadku, niczego nie dowodzi, bo należy obrachować i przewidzieć ich możebność. Prawdziwie śmiesznem jest, kiedy polemista *Nowej Reformy* zarzuca powstaniu, że nieumiało nawiązać do tradycyi Kościuszkowskiej, poruszając warstwy ludowe. A naprzód — Kościuszko uczynił to dopiero w swoim Połanieckim manifeście. Ale pytam, choćby najbardziej zaufanego w ruchach ludowych: czy gdy naród staje do wojny regularnej z przeciwnikiem silnym i zorganizowanym, rozluźnienie ustroju społecznego nie byłoby największym błędem? Ustrój rządowy musi działać, działać jak najregularniej, ściągać rekruta, wybierać podatki, przygotować żywność. Każdy już nie polityczny tylko, ale rozsądny człowiek zrozumie, że społeczeństwo, w którym prawa osobiste, własność, zakwestyonowane, karność zachwiana, sprężyscie działać nie może, popada w anarchię. Anarchii w czasie powstania w kraju nie było żadnej; bez żandarmeryi i policyi, bezpieczeństwo zupełne; między dworem i gromadą harmonia i jedność uczuć. Sejm niezaniebdał sprawy włościańskiej; znakomita dyskusya odbyta w tym przedmiocie; uchwały Sejmu, odnoszące się naprzód do dóbr narodowych, jak dowodzą wysokiej kultury w owych czasach, tak zasługują, aby były na chwałę polskiego narodu ogłoszone.

Powstanie rozpoczęte w 30.000, składa broń w 80.000. Czyja wina? zobaczymy. Czy warto po sześćdziesięciu latach rozbierać?—Jeżeli w jakim stronnictwie tesame powtarzają się błędy i uprzedzenia, tasama niepoprawność, to chociaż z żalem czy ze wstrętem, wypowiedzieć należy.

Ludzie, którzy 29 listopada podnieśli powstanie, nie mieli ani siły, ani odwagi, aby je owładnąć i poprowadzić, tak dla braku zdolności, jak dla tego, że ono było dla kraju niespodzianką. Sankcyę ruchowi dały bezwiednie powagi krajowe, zebrane w nocy u ks. Adama, dwuznaczną odezwą. Ludowe ruchy, zwłaszcza pośród mieszkańców tak patryotycznych stolicy, niepowstrzymane rosna. Rzecz w historii nieznaną: ruch szukał dopiero przywódcy. Domniemany przywódca, którego imię było w każdym ustach, ukrył się u przyjaciela. Na trzeci dzień dopiero, z obawy, aby zaburzenia ludowe nie wywołały nieporządku, wystąpił, a na jego skinienie karność powróciła na ulicach, a otucha w sercach obywatelskich. Coby chciał? coby myślał? nikt nie wiedział. Ale kiedy groźne jego słowa nie odpowiadały nadziejom, powstał natychmiast Klub Patryotyczny. Ten Klub dopiero dał mi zrozumieć potęgę i wpływ sławnego Jakobinów klubu. Kilka tysięcy ludzi zbrojnych, roznamiętnionych, przy słabem oświetleniu ogromnej starego teatru sali, miotanych mową to Zakrzewskiego, to Grzymały, to Mochnackiego, parło potężnie na opinie najdziwaczniejszymi rezolucjami. Mochnacki obraża Dyktatora; miasto oburzone; powstaje klub obywatelski, pod którego presyą i wskutek wzburzonej opinii, której większość nawet i szczególnie w uniwersyteckiej młodzieży była zdrowa, Klub Patryotyczny się rozwiązuje. Sejm zwołany uznał powstanie, jako narodowe, a od tej chwili było dla każdego obowiązującym. Zrazu powaga dyktatora, następnie groza chwili i walki, przytłumiły anarchię. Ale budzi się ona zawsze w chwili niepowodzenia, potęguje jego grozę i przyspiesza katastrofę. Tak się też stało. A nie przypuszczam, aby autor artykułów nie wiedział, jak po Ostrołęce klub odżył, na każdym kroku Rządowi, wodzowi utrudniał działanie, kiedy nie dość zewnętrznego, trzeba było czuwać nad wewnętrznym nieprzyjacielem—aż doprowadził do 15 sierpnia, rządów Krukowieckiego i wzięcia Warszawy. Kto zakłócił zaufanie, które

panowało w kraju?—anarchia. Kto wywołał Bolimowskie sceny?—anarchia. Kto splamił sprawę, dotąd jak kryształ czystą, nocą 15 sierpnia?—anarchiści. Kto się odwołuje do historii, powinien ją znać, a jeżeli w dobrej wierze chce bronić swoich zasad i swego stronnictwa, niech się nie odwołuje do chwil, co je najbardziej potępiają, a pamiętne hańbą i upadkiem najczystszej sprawy.

#### IV.

Znam równie dobrze, jak autor artykułów, i podzielam teorię o prawach, uczuciach i dążnościach w czynie narodów ujarzmionych, o szlachetnych porywach w chwili rozbuźzonego ruchu, nawet takich, co związane z rządem zaborczym, zdawały się pozbawione patryotycznego uczucia. Ale to nie o to idzie. Tu mnie, i zapewne i p. Tarnowskiemu o to idzie, że nie każdemu wolno w imię ojczyzny podnosić ruch zgubny i używać do tego niecnym środków, i o to, że samozwańczą demokrację musimy robić odpowiedzialną za wszystkie nieszczęścia r. 1846 i 1863. A z kądże ten ruch wyszedł? na czyje hasło? kto go przygotował? Partya rewolucyjna europejska z wielką przebiegłością korzystała z chorobliwego stanu każdego społeczeństwa, to wywołując zaburzenia w Hiszpanii, to wojnę przeciw *Sonderbundowi* w Szwajcaryi, to *gońkę* galicyjską w 1846 r. Autor artykułów, tych czasów oczywiście nie pamięta i nie zna. Gdyby był czytał *Prawdy żywotne* Prawdzickiego, gdyby znał *Ojczyźniaka* Trentowskiego, gdyby od współczesnych badań szczegółowo akcyę Centralizacyi Wersalskiej i jej agentów, nie śmiałyby nigdy powiedzieć, że demokracja ówczesna nie zasiewała pomiędzy ludem zawiści do szlachty.

Przygrywką była agitacya czysto demagogiczna ks. Ściegiennego, a w Galicyi uprawiano lud po karczmach, po jarmarkach; tylko, że z tej uprawy powstała niechęć do szlachty, a nie miłość ojczyzny. Znaczna liczba szlachty należała także do spisku; prawda. Bo niejako, co łatwo ówczesne stosunki i stan kultury tłómaczą, z rzetelnej miłości ojczyzny pod demokratyczny sztandar wciągnięta, gotowa

była lekkomyślnie dla mniemanego odzyskania niepodległości, poświęcić siebie i szlachtę całą, podobnie jak ten spiskowiec Krasińskiego, co w duchu poświęcenia sam siebie chciał powiesić, „choćem szlachcie, jak Bóg żywy!..“

Demokracja nie chciała rzezi, ale powinna była przewidzieć straszny odwet wobec nienawistnego czynnika, z którym wystąpiła do walki, a któremu ułatwiła wpływ na lud. O tym czynniku ani hr. Tarnowskiemu, ani mnie, nie jest trudno mówić. Czcimy co sprawiedliwe, dobroczynne; potępiamy fatalne, przewrotne a zgubne przeszłości błędy i korporacje, które je popełniły. Tak swych uczuć jesteśmy pewni, że nie tu zamilczeć nie potrzebujemy. Ale kraj ma prawo oczekiwać, aby rzetelne, sumienne stronnictwo demokratyczne wyrzekło się ludzi 1846 r., i uznało, że kto wiatr sieje, ten zbiera burze.

Na to czekamy, a póki to nie nastąpi, póty miałyby hr. Tarnowski prawo piętnować to stronnictwo jako anarchiczne, gdyby nie oświadczenie: „*że dziś są inne drogi, nie spiskowe, nie powstańcze, że na te nowe drogi wszedł naród cały, bez względu na stronnictwa i odcienia, weszli i ci, którzy przed 30 laty szli drogą polityki powstańczej, weszli szczerze, bez zastrzeżeń.*“

Jeżeli tak, to zgoda. A cieszymy się bardzo, że nieszczęścia kraju, doświadczenia dni ostatnich, a może i prawdy głoszone wytrwale i odważnie, do tego doprowadziły. A zatem precz z nieprzerwalnością powstania, precz z tajemną organizacją, precz z szkodliwemi, albo bezmyślnemi manifestacyami! Hr. Tarnowski nie chciał czego innego, ani w *Próbach rozstroju*, ani w *Doświadczeniach i rozmyślaniach*, i ma słuszną nadzieję, że autor artykułów uzna w końcu, iż 1846 rok ciąży na demokracji; że histryony we frygijskich czapkach, którzy uwijali się po krakowskich ulicach, wari kaźni; że czas organizację, która dobitnie objawiała się jeszcze w 1877 r., rozwiązać, zasłonić polskie społeczeństwo, już tak ubezwładnione przez podwójnych nieprzyjaciół, od porywów, jak majowe w Warszawie, a czuwać nad ludźmi, którzy zbierają *skarb narodowy*.

Co autor artykułu myśli, to mi obojętne. Nie piszę, aby go nawrócić, choć wierzę w dobrą jego wiarę. Ale mi nie

obojętne usiłowania, aby prawdy jedynie zbawienne, wypowiedziane śmiało, z niepospolitym talentem, ze zbytnią może polubownością, nie były zmarnowane; żeby zręczna i podstępna polemika, nie obalamuciła na wiatr stawianemi twierdzeniami, pokoleń, które przeszłości dokładnie znać nie mogą. Chwali się autor, że jego stronnictwo zwycięża wszędzie i *volentes trahit*. Jeżeli tak, dokąd nas doprowadziło? Niech spojrzy na swoje dzieło, i jeżeli może, niech się zarumieni albo w piersi uderzy, a wówczas uwierzmy, że stronnictwo jego weszło na nowe drogi, śmiało i bez zastrzeżeń.

## V.

Od Rankego nauczyłem się wiele, i więcej jeszcze można się nauczyć, tylko trzeba chcieć i umieć go czytać. Znamy dobrze teorię historycznych konieczności w wielkich wypadkach świata. Dogodna — bo uwalnia zbiorowych albo pojedynczych zbrodniarzy, usprawiedliwia Konwent i Iwana Groźnego, a tak, wykreśla ze spraw ludzkich zasady odwieczne prawdy i moralności, które chociaż często w polityce gwałcone, zaniedbane, niemniej jedynie bronią od barbarzyństwa. Tą teorią zastawiają się ludzie, którzy dobrowolnie, zuchwale wkraczają w dzieje narodu, arrogując sobie prawo początkowania. Konieczność historyczna ma dwa ostrza. Przed kilkunastu laty przypominam sobie dyplomatę rosyjskiego, który dowodził mi, że rozbiór Polski był koniecznością historyczną; raz na tę drogę wszedłszy, wszystko da się usprawiedliwić, jak pewna psychologiczna szkoła znosi odpowiedzialność za występki.

Dajmy temu pokój. Ludzie, narody, są przyczyną wypadków i losy swe gotują. Upadek Polski był może historyczną koniecznością, ale przygotowaną przez nierząd i egoizm panującej kasty. Inne pytanie, czy stosunki europejskie w roku 1860 nie dawały otuchy narodowym aspiracyom. Wszystkie warunki, przytoczone przez autora, a których nie powtarzam, budziły nadzieje w całym kraju; zapaliły się serca i głowy. Ludzie najpoważniejsi oczekiwali zmian politycznych, które miały być uzyskane albo przez wyrób sił

wewnętrznych, jak chciał p. Andrzej Zamoyski, albo przez stopniowe żądania i bierną opozycję z odwoływaniem się do r. 1815. Usposobienie cesarzy francuskich, przykład Włoch, dla niektórych ferment panujący w Rosyi, wszystko razem, przynaję, wywoływało oczekiwanie u jednych, nadzieje w drugich! Kwestya włościańska na porządku dziennym Towarzystwa Rolniczego, nie tyle roznamiętniała, jak służyła za środek. Zaczny prezes, najmniej czuł niebezpieczeństwa, przekonany, jak się wyrażał, że Polska kiedyś, jak owoc dojrzęła, odpadnie od Rosyi. W tej chwili, zapewne już dawno przygotowany spisek, zaczął objawiać działanie. Zwał się dotąd Komitetem. Zkąd brał rozkazy? na czym się opierał? czy rachował na wschód czy zachód? Nie wiem. To tylko pewna, że z rządem francuskim żadnych nie miał stosunków, bo w marcu mówił mi minister francuski, że powstanie wypadło w chwili najniegodniejszej dla cesarza. Starcia z siłą zbrojnę są wtenczas konieczne, kiedy są tacy, którzy je wywołują. Starcie na Krakowskiem Przedmieściu samo nie następiło. *Blut ist ein besonderer Saft*. Pięciu poległych dało innę barwę ruchowi, a wnet znaki na kapeluszach dały mu poczucie siły.

Wielopolski, obmyślany plan od kilku tygodni streścił w adresie, odwołującym się do r. 1815, którego nawet na zebraniu nocnem u p. Andrzeja nie chciano wysłuchać, bo aspiracye szły dalej. Przebieg dalszy, znany. Ale Wielopolski nie dał za wygranę, w przekonaniu, że otrzyma dla Królestwa autonomię, i że kiedyś, jak się cicho wyraził, jakęś część wody Wiślanej wpłynie do Newy — a w nadziei, że to kraj wdzięcznie przyjmie i poprze go, ujął rządy Królestwa w silne dłonie. Wszystko to niemal, co otrzymaliśmy w Galicyi wskutek wypadków i łaski Monarchy, szkoły, samorząd, język, naukę, administracyę dla Królestwa, zdobył sam jeden. Popełnił wielkie taktyczne błędy. Czy kraj ich nie popełnił? Na cóż się oględał? Zagranica milczała. Może na Rząd Narodowy, który się już pojawił! Autor artykułów cieszy się, że wbrew twierdzeniom p. Tarnowskiego, „tak umieliśmy w sobie ducha anarchicznego poskromić, że Rząd Narodowy, tajny, nieznany, nierozporządzający siłą państwowej administracyi, umiał jednak przez tak długi czas utrzymać posłuch

w narodzie.“ Te słowa muszę napiętnować, i warto, aby każdy Polak je zapamiętał. Co było sankcją rozporządzeń Rządu Narodowego? Nóż i postronek. Nie chwalcie się, że was słuchano. Smutne świadectwo dla społeczeństwa, które mogło słuchać tajnego, niewiedzieć gdzie prowadzącego rządu, i smutne świadectwo dla tego rządu, że mógł wymuszać posłuszeństwo tylko przez skrytobójstwa, które najpodlejsze budzą w człowieku uczucia: zawiść i tchórzostwo. Rozpisałem się, bo dość nacierpiałem z powodu takich plam na polkim charakterze. Ale mów co chcesz, tylko dajmy raz pokój Rządowi Narodowemu i jego rządowi. Z bólem dalej idę, boć tych wspomnień nie przywodzi się bez głębokiego wzruszenia. Stoję nad grobem, do nikogo nie mam żalu, sam słaby, tłómaczę ludzkie słabości; oddałem w chwili najstraszniejszego terroryzmu sprawiedliwość uczuciom, a nawet ludziom niektórym. Ale kiedy po latach 30 przychodzi apologia ludzi nieznanych, którzy są winni wszystkich nieszczęść, jakie spadły na całą ojczyznę—to chciałem powiedzieć straszne słowo. Ale nie. I dla nich proszę o światło upamiętania i przebaczenia. Oni przebaczyć nie umieją, ścigają Wielopolskiego, choć wiedzą, jak ścigany przez Rosyan! Puszczam mimo rozprawę, kto zniósł pańszczyznę, bo na nieszczęście już w ludzkie ustalone o tem przekonanie, i jestto poprostu albo zła wiara, albo niewiadomość, twierdzić „że powstanie styczniowe sięgnęło znacznie głębiej, niż którekolwiek inne i zostawiło tradycję polską tam, gdzie jej dawniej nie było!“

## VI.

Rozłam w opinii, dążności i działaniu, nie nastąpił, jak mniema *Nowa Reforma*, po wypadkach 1863 r. Rozłam ten istnieje oddawna, i jest konieczny, bo odnosi się do zasadniczych przekonań o początku ludzkości, społeczeństwa i prawa; objawił się w roku 1830, 1848, 1863 i po dzień dzisiejszy; stosownie do czasu i okoliczności, objawia się gwałtownie albo spokojnie. Są istotnie *dwie opinie*, dwie polityki. Jedna rozumie, że ustroj społeczny wskutek natury człowieka, jest *organiczny*, to jest jak w każdym organizmie rozwój hierar-

chiczny, a demokracja prawdziwa na tem zależy, aby dostęp dla tej hierarchii był dla każdego otwarty; druga, atomistycznie pojmując ludzkość, woli większości pojedynków, to jest *sile* a nie idei prawnej przyznaje początek władzy, prawa i całego społecznego *mechanizmu*. Otóż organizm prowadzi do harmonijnego ruchu ludzkości, to jest do wolności i ładu, *mechanizm* do anarchii albo despotyzmu.

Ale dajmy pokój tym rozróżnieniom, które jakkolwiek w skutkach nader ważne, mają tylko teoretyczną wartość, a przystąpmy do rzeczy.

Powtarzam, nie o p. Tarnowskiego mi idzie. Z nim i przyjaciółmi jego zgodny co do celu, nie zawsze bywałem zgodny co do środków; mówiłem to głośno i pamiętano mi to długo. Ale mi idzie o zarzuty, odnoszące się do polityki, postawione przez *Nową Reformę* tak zrećźnie, że wymagają wyjaśnienia: „Naród, który się ma rozwijać organicznie, przeszłości swojej wyprzeć się nie może.“ Dla kogo ta odezwa, czy nauka? Przeszłości podobno nie wypieraliśmy się nigdy; ale błędy i ciężkie przeciw ojczyźnie winy, żeby nie użyć surowszego wyrażenia, świętościami nie są; posłuchu dla tajnego rządu nie mamy nigdy za dowód karności narodowej, a jeżeli przyszłście do przekonania, że nie pora na strejki, nowe powstania, to należy je potępić nietylko na teraz, ale w przeszłości i przyszłości; i słusznie też *Przegląd Polski*, z odwagą, której mu potomność nie zapomni, skarcił niepoprawnych. Czy w tej pamiętnej, dziś osławionej polemice, nie było nuty fałszywej? Była. W takiej chwili, w pośród takiego przewrotu i bólu, ton ironiczny właściwym nie był; łaża w oku mogła być zalać dowcip i satyrę. Ale zapomnieć nie należy, że zuchwalstwo sprawców tyłu nieszczęść, wywoływało odwet, dlatego nieprzebaczony, bo zasłużony. Prawda; kiedy powagi moralne narodu z wielkim trudem usiłowały na drodze prawnej, bo w walce to z rządem, to z Rusinami, położyć fundament naszego politycznego bytu, stronnictwo postępowe krzątało się około wydawnictw, stowarzyszeń, odczytów, i tym podobnie, z gorliwością i wytrwałością, której życzyłyby należało stronnictwu organicznemu. Czy ta czynność gorączkowa, o barwie sekciarskiej, była zdrową? czy podjęta w myśli zdobycia albo podniesienia ludu? ani chcę,

ani mogą wchodzić. W każdym razie była szanowną, zasłużoną i natchnioną wyższymi pobudkami. Niektóre instytucje, jak kasy zaliczkowe, przyniosły wielką korzyść krajowi, a stronnictwu, co nie dziwnego, zapewniły wpływ należny; zapominać jednak nie należy, że jeżeli inicjatywa wyszła z obozu świeżej demokracji, to udział w nim brało wielu takich, co do niego nie należą. Rzecz była dobra, przystępowano do niej chętnie; a kiedy to przyznajemy, na co przechwałki? na co nieprawda? Kółka rolnicze od początku uważaliśmy za użyteczne, i podobno się nie mylę, że kiedy lat temu kilkanaście, p. Jackowski zjechał po raz pierwszy do Krakowa, to zaproszony komitet, w którym wówczas zasiadałem, jak z wdzięcznością przyjął jego przybycie, tak uznał doniosłość instytucji. Ale trzeba było czasu, aby się przyjęła. Jeżeli zaś świeża demokracja do tego się przyczyniła, to tem lepiej, i dla niej, jak dla kraju. Tylko takie narzędzie musi być w ręku moralnych powag i instytucji kraju, a nie traktowane dowolnie, w sposób amatorski. Dlatego przyznaję, że kiedy powstawało Towarzystwo Oświaty ludowej, nie wiem, jak moi przyjaciele polityczni, ale ja byłem mu przeciwny. Oświata ludowa jest w ręku Rady szkolnej, która przed Monarchą, krajem i swoim sumieniem odpowiada za kierunek swego działania. Żadne towarzystwo nie może dać podobnych rękojmi. Złożone dowolnie, przypadkowo, z ludzi, którym pochlebiać może, iż kosztem 1 reńskiego udział w takim dziele humanitarnem biorą, kierowane zarządem z wyboru, nie dają żadnej rękojmi. Że powstało usiłowaniem demokracji, wierzę, nawet jestem przekonany; może być zasługą w oczach stronnictwa, w mojem przekonaniu będzie szkodliwe. Jeżeli niem nie jest, to że nie dało się wprowadzić w życie bez udziału władzy duchownej, która rozumnie na chwilę zapobiegła złemu; ale już tej wiosny usiłowano, choć bezskutecznie, owładnąć zarząd. Co się nie udało dziś, nastąpić może jutro, i pod hasłem oświaty zorganizowane stronnictwo może osiągnąć polityczne znaczenie, lecz nie w wyborach, ale co gorsza w spaczeniu wyobrażeń dotąd zdrowego naszego ludu. Wiem dobrze, że ci, co poczynali to działanie, zamiarów socjalistycznych nie mieli i nie mają; ale wiem także, że ustrój raz wprowadzony w życie i działanie, może przejść łatwo z po-

stępem wyobrażeń w socyalistów ręce. Co ma robić Oświata ludowa wobec Rady szkolnej, Rad okręgowych i szkoły gminnej? Czytelnie. Jak tu trudny wybór, a jak łatwo o dobrą książkę we dworze i na probostwie! Angielski socyalista Morley powiada gdzieś: „Już my damy sobie radę z ludem, byle czytał nasze dzieła.“ Nikomu mojego nie narzucając zdania, które tu może być mylne, uważam Towarzystwo Oświaty ludowej za niepotrzebne, a jej działanie za szkodliwe.

## VII.

Jeszcze raz powtarzam: hr. Tarnowskiego bronić nie myślę. Nie dlatego, aby mi był obojętnym, ale dlatego, że bronić sam się potrafi. Hr. Tarnowski obrony też nie potrzebuje, kiedy mimo tak zręcznych, jeżeli nie podstępnie osnutych zarzutów *Nowej Reformy*, książka jego rozszerza się i w najszerszych kołach czytelników znajduje uznanie.—Wchodzi autor artykułów na polityczne pole: i owszem, ale tu już potrzeba trochę ścisłości! Określiłem dokładnie, co jest demokracja; wskazałem, że jak każdy nietylko publicysta, ale obywatel, a zatem i p. Tarnowski jest dziś demokratą; że walka nie toczy się z demokracją, ale z demokracją anarchiczną, która w spadku po r. 1863 odziedziczyła i nałóg konspiracy i resztki organizacy (jak się pokazało w roku 1877) i wszystkie zawiści i nienawiści, które tak się rozpleniły i w czasie powstania i po jego upadku, bo złe rodzi ze siebie straszne następstwa. Ale autor artykułów idzie dalej. On zlewa demokrację z opozycją tak dalece, że kiedy w r. 1867 2 marca p. Tarnowski i jego przyjaciele wotują z mniejszością (co i ja byłbym zrobił), pyta: czy on był także anarchista? Nie, szanowny autorze! Demokracja monopolium opozycyi nie ma. Oponować będziemy zawsze, ilekroć rząd wystąpi przeciwko interesom duchownym, politycznym albo materyalnym kraju. W opozycyi byliśmy w Radzie państwa 1868 roku; w opozycyi jesteśmy dziś, w kwestyi szkoły wyznaniowej; w opozycyi byliśmy w 1867 r., bo rozumieliśmy doskonale przepaść, jaka dzieliła Beusta od Belcredego. Jedni, szczęśliwsi w izbach, drudzy na drodze jedynie im

dostępnej, publicystyki, dowodzili, że Austria geograficznie, etnograficznie, historycznie i politycznie jest i konstytucyjnie powinna być, monarchią federalną. Tarnowski i jego przyjaciele poddali się większości. Chcący czy nie chcący oddano sprawiedliwość komu należało; był oponentem, ale nie był anarchista, tak jak cała nasza demokracja anarchiczną być nie potrzebuje, do jednakowych zapatrywań nikt jej zmuszać nie myśli. Przed wszystkim wolność, bo powtarzam z przodkami (o co mnie Leon Rzewuski „anarchistą“ nazywał): *malo periculosam libertatem quam quietum servitium*. Ależ zostawcie ją i nam, czego nie robicie, wmawiając służalstwo, odmawiając patriotyzmu, dlatego, że środki, których używacie, uważamy za zgubne.

Proste zaprzeczenie: *nie prawda*, nie wystarczy. Może autor artykułów nieprawdy nie mówił, może nie chciał się niezgody społecznej, może wieców miejskich nie organizował, w naukach, dawanych rzemieślnikom, prawdy historycznej nie fałszował—wierzę; człowiek z takim ogniem i talentem, tego nie potrzebował. Ale, czyż mamy wyjmować stokrotnie powtarzane zdania z *Nowej Reformy*, a cóż dopiero z *Kuryera Lwowskiego*? czy przypominać postępowanie stronnictwa nie demokratycznego, nie opozycyjnego, ale anarchicznego, w czasie procesu socyalistów, w czasie rozruchów przeciw krakowskiemu rektorowi, z powodu pogrzebu Mickiewicza, głównie w rocznicę 3-go maja? Czemuż tego opozycja demokratyczna nie zwalczała, ale raczej rozdmuchiwała, nie zapalał, ale namiętności młodzieży?

Słusznie chwalicie się z gorliwości w pisaniu, drukowaniu i rozszerzaniu pism ludowych. Ale czy ma być także waszą zasługą *Towarzystwo Staszycy*? — Zapewne; robimy za mało. Ale przynajmniej nie fałszujemy historii *ad usum Delphini*; nie walczymy o słowa. My bierzemy je jak były mówione i pisane, w intencje wchodzić nie możemy. Po upadku terroryzmu we Francyi, wielu zaprzeczało wyrzeczonym słowom i opiniom. Ale nieublagany *Monitor*, jakby na spiżu zachował ich słowa. Demokratyczne Monitory stoją otworem; przekonajcie się, czy Tarnowski mówił nieprawdę!

Ale stronnictwo, do którego p. Tarnowski tak *bałwochwalczo* przywiązany, nie umiało niby nigdy uznać po-

trzeb kraju, i tu wylicza autor nieskończony registr postulatów, które krajowi należą się albo są mu potrzebne. Co krajowi, narodowi naszemu należy się, to wszyscy wiemy, i na to z *Nową Reformą*, nawet z *Kuryerem Lwowskim* zgoda. Tylko nie zawsze wszystkiego żądać można i roztropność pozwala. Napoleon III słusznie mawiał, że polityka, to jest świadomość rzeczy możebnych. Wielka prawda. Większość naszych ludzi publicznych zrozumiała to doskonale i postępowaniem w Sejmie i Radzie państwa, nie serwilizmem, ale roztropnością zdobyła dla kraju wewnątrz swobody wszystkie dostępne krajowi, nie będącemu w pełni niezawisłości, zdobyła na zewnątrz wpływ i uszanowanie, a co najważniejsze, zaufanie Monarchy. Więcej jeszcze żądać można — powiadacie. Pytanie, czy te swobody jakie mamy, potrafilśmy zużytkować?

Otóż nasi polityczni ludzie właśnie tak postępowali, jak sobie życzy autor. „Z klęsk dzisiejszych czerpali siłę do jutrzejszego zwycięstwa,“ tylko nie o te sprawy walczyli, które wylicza *Nowa Reforma*. Z tych podnieśli tylko ważniejsze.

Kwestyonaryusz rządu *Taaffe-Dunajewski*, co do zorganizowania samorządu powiatów i gmin i zlania czynników krajowych i rządowych w jeden samodzielny ustrój, jestto autonomia, do której może nie dorośliśmy jeszcze; ale nie wolno poważnie robić z pomysłu tego, zarzutu najzdolniejszemu z naszych powag krajowych. Wszakże cały, tak zwany *projekt Dunajewskiego*, był oddaniem, podług mnie przedwczesnem, całego rządu w ręce obywatelstwa. Dziwną hallucynacją, którą tłumaczy namiętność, zdolny i zaorny poseł hr. Męciński, upatrzył w nim zamach na autonomię i z taką namiętnością wystąpił, że cała sprawa upadła. P. Tarnowski nie zajmował tu wcale wybitnej roli, i nie wiem, z kąd przychodzi do tego, aby i tu spotkał się z zarzutami autora.

Czy p. Tarnowski jest człowiekiem politycznym albo nie, o tem ostatecznie *Nowa Reforma* sądzić nie będzie.

Człowiek polityczny jest ten, który obiera najwłaściwsze a najskuteczniejsze środki, aby dojść do swojego celu. Opozycja nie jest tu ani wyłącznem ani koniecznem narzędziem. Najwyższą polityką w naszym kraju jest: umieć użyć okoliczności,

zaufania i szczęśliwych chwilowych stosunków. Nie trudno szermować ostremi słowy, nie trudno narzekać ustawnie, że kraj nie jest jeszcze w posiadaniu wszystkich swoich praw; zakres ten jest tak obszerny, żeby go nawet i wymowna *Nowa Reforma* nie potrafiła zapełnić. Na drodze, którą szedł p. Tarnowski ze swymi przyjaciółmi, otrzymaliśmy zdaje się wszystko, co naród, nie będący w pełni swej niepodległości, zdobyć może. Czy potrafilismy wszystko zużytkować? Na to odpowiada i materyalny i moralny stan kraju.

### VIII.

Publicysta *Nowej Reformy* p. Tarnowskiego zrozumieć nie może; zarzuca mu on ustawnie fanatyczne przywiązanie do swego stronnictwa. Publicysta *Nowej Reformy*, zdaje nam się, nie zna, co to jest miłość zasad; aby to znać, trzeba mieć zasady. Otóż p. Tarnowski nie jest ani Stańczykiem, ani antagonistą demokracji; jest poprostu człowiekiem zasad i dlatego nad wszystko je ceni, śmiało ich broni i do upadłego bronić będzie! Śmiało, nawet nie bardzo uprzejme zaprzeczenie w słowie: *nie prawda*, nic nie znaczy. Nagromadziwszy zarzutów, któremi wedle p. Tarnowskiego demokracja społeczeństwo, młodzież, miasta i lud psuje, pyta autor artykułów o dowody. Na to trzebaby niemal codziennie robić wyciągi z *Nowej Reformy* i z *Kuryera Lwowskiego*. Ale na co mamy się ludzić? Kto w dobrej wierze, do jakiegobądź stronnictwa należy, nie przyzna, że wskazane przez p. Tarnowskiego tak niebezpieczne działanie, ustawicznie się powtarza? Może ono być mniej więcej jaskrawe, mniej więcej zręczne, lecz celem jego jest rozstrój, nie powiem społecznych, ale tych codziennych stosunków, jakie w ostatnich miesiącach rozwinęło w warstwach ludowych. Chwileczkę się zatrzymuję i pytam każdego politycznego człowieka: czy pozostawienie milionu ludu bez hierarchicznego wpływu warstw wykształconych, od wieków z nim zbliżeniem, potrzebą wspólną, wiarą połączonych, może być dla społeczeństwa korzystnem? Czy wpływ ludzi nie wytrawnych, ani w nauce socyalnej, ani w nauce demokratycznej

nej, nie będzie dla niego szkodliwym? *Nowa Reforma* najlepiej wiedzieć może, jakie się objawiają skutki podobnego działania w najbliższych okolicach Krakowa. Dobrze mi wiadomo, że wybory powszechne, o których przebąkują u nas, zaprowadzone nie będą. Ale pytam, co by to były za wybory, przez klasę zgoła politycznie nie wyrobioną, a stojącą pod wpływem ludzi, którzy przez pochlebstwa wmawiają w nią, że dojrzała. Ktoby kierował takimi wyborami? propinatorowie, przybłedy polityczne, a w części i nauczyciele ludowi. Francya jest najlepszym dowodem, jakich to prawodawców wysłała do izby głosowanie powszechne! Czy być inaczej może? Nie. Człowiek ograniczony, nie jest w stanie ocenić warunków wyboru, i staje się ofiarą pochlebstwa, zawiści, albo przekupstwa!

Wyłączną autor artykułów zwraca uwagę na miasta. Dopóki duch miejski silny, korporacyjny, odważny nie rozwinie się w miastach, dopóty nasze społeczeństwo będzie jak okręt bez balastu. Dobrobyt, harmonijna organizacya, swoboda w miastach—oto jeden z najpierwszych warunków naszego pomyslnego rozwoju. Chwila po temu; do antagonizmu niema najmniejszego powodu, wobec miłości i zaufania, które wiążą stany, korporacye i lud z kierującą warstwą narodu. Oto szkopuł, o który rozbija się wszystko i który utrudnia jednogodne działanie ludzi zasad i ludzi czynu!

Ani powtarzać, ani odpowiadać nie możemy na liczne a głośłowne oskarżenia *Nowej Reformy*. W dobrej wierze autor artykułów nie może wierzyć temu, co mówi. Przebiegając spokojnie karty hr. Tarnowskiego, a znając dokładnie to, co się mówi, pisze i czyni jawnie albo w pół cieniu, nie znajdzie w nich nikt tendencyjnej nieprawdy! Jeżeli w kwestyi, podniesionej na wiecu lwowskim, błąd jeden popełnił, to rzecz ludzka, i to zapewne nie kosztowały go przyznać. Nie masz z czego tryumfować; ale wobec tak śmiałych zaprzeczeń *Nowej Reformy*, niech nam wolno będzie wspomnieć o jej usiłowaniach. Sfera miejska zamknięta w sobie i swoją wagą działa na społeczeństwo! Jeżeli tych lat, które w miłosierdziu swoim Opatrzność udzieliła naszemu koronnemu krajowi, nie użyjemy na organizacyę rzemiosł, rękodziel, fabryk w miastach, jeżeli nie nabędą tej samodziel-

ności, którą dopięły w trudniejszych okolicznościach miasta Poznańskie, to słusznie powtórzyć będzie można słowa wielkiego obywatela: „Polacy bez wolności obejść się nie mogą. Cóż, kiedy nie umieją jej użyć, kiedy ją mają.“

## IX.

Nie powiódł się autorowi zarzut przeciwko p. Tarnowskiemu i jego przyjaciółom, co do ich postępowania w 1867 r., a jeszcze mniej zestawienie sprawy kwestyonaryusza rządowego w 1868 r. Łatwiej niewątpliwie powtórzyć ów zarzut niedokładności sprawozdania o wiecu lwowskim i miotanie niezliczonych oskarżeń, z powodu głównego twierdzenia Tarnowskiego, że partya demokratyczna, jak dotąd wywoływała niekarność w szkołach, niezgodę w miastach, grozi rozstrojeniem ludu.

Sumienie publiczne kraju całego, we wszystkich jego dzielnicach, musiało uczuć prawdę, którą głosił Tarnowski, kiedy książka jego, bezprzykładnie czytana, rozszerzana, ocenioną została nad Wartą, nad Wisłą i wszędzie gdzie polski utrzymuje się język, i dotarła do najdalszych zakątków, wszędzie przyniosła światło, pociechę, i rozeszła się w całym nakładzie, tak, że nowy okazał się potrzebnym. Jeżeli sąd jaki może być stanowczy, to ten sąd całej polskiej publiczności.

Wobec tego też obojętne jest mi twierdzenie i zaprzeczanie spraw, które się działy wobec całej publiczności, a których ślad dróg utrwalił; ale nie mogło mi być obojętne niewłaściwe pojmowanie, czem była demokracja w Polsce od lat sześciudziesiąt. Usługi jej znane: wersalskie komitety przewracały głowy, a doprowadziły do katastrofy, której pamięć długo w tym koronnym pozostanie kraju.

Zdawało się, że po takich doświadczeniach, kraj otrzeźwieje. Aż tu powstał nowy apostoł, w osobie Mierosławskiego, który znowu potrafił, nie wiem, szaleństwem czy wymową, wrażliwej młodzieży opanować umysły. Dzisiaj dojść, o ile na ruch 1863 roku wpłynął Mierosławski, o ile rewolucyjny duch Europy z ks. Napoleonem na czele, niesłychanie trudno;

że się tam nie obeszło bez przymieszki rosyjskiego nihilizmu, nie ma wątpliwości. Mimo to wszystko, jak sobie wytłómaczyć sumienie ludzi, którzy w ciasnej wyobrażeń politycznych postawieni sferze, którzy bez zapewnienia sobie stosunków i pomocy, jak zrobili Włosi, naraz rozpoczynają walkę z potężnym, najpotężniejszym państwem Europy, prawda, chwilowo po wojnie tureckiej osłabionem, ale mogącym ogromem swej potęgi, zgnieść usiłowania poświęconej, ale nieobrachowanej odwagi? — Nie łudźmy się, szanowny autorze; to jest punkt, w którym się rozchodzimy. Nie idzie nam o drobne czy manifestacye czy pokusy; nam i hr. Tarnowskiemu idzie o to, że nawiązane podówczas stosunki, nigdy rozwiązane, a w każdym razie zaprzeczone, aż do artykułów *Nowej Reformy*, nie zostały. Prawdę mówiąc, zaprzeczonemi być nie mogły, bo fakta codziennie kłam by zaprzeczeniu zadały. Może autor artykułów wyrzeknie się duchowego udziału w składkach na skarb narodowy? może zaprzeczy, aby proklamacye z powodu 3-go maja, które znowu tyle nieszczęść na Królestwo sprowadziły, pochodziły od polskiej demokracji? Na to już sposobu niema, tembardziej, że widzimy gotujące się na tejsamej drodze nowe demonstracye.

*Paweł Popiel.*

## Kronika literacka.

---

— *Andrzej Patrycy Nidecki, jego życie i dzieła.* Przedstawił Kazimierz Morawski, prof. Uniw. Jagiell. (Kraków, nakładem Akademii Umiejętności. 1892, 8vo, stron 402). — Część pierwsza tego dzieła, dochodząca w opowiadaniu do roku 1572, znaną jest od lat kilku (1884). Druga, obejmująca lat mniej, ale nie mniej zdarzeń, kończy się na śmierci Patrycego w początkach roku 1587. W wydaniu obecnem wyszły obie części razem, jako cały żywot Andrzeja Nideckiego.

Co to za jeden? zapyta może nieśmiało ten lub ów czytelnik w chwili szczerości. Uczony filolog, a jak autor, z pewnością biegły w przedmiocie, zaręcza, najzasłużeńszy z Polaków na polu filologii klasycznej. Zapalony do swojej nauki, a wykształcony w niej przez pierwszych mistrzów włoskich, wydał *Fragmenta* Cycerona tak dobrze, że do dziś dnia krytycy i wydawcy opierają się na jego powadze. Był biegłym w trudnej sztuce krytyki i restytucji autentycznych tekstów. Oprócz tego należał do współczesnej walki religijnej i wydał *Parallèle* wiary katolickiej z naukami protestanckimi. Napisał książeczkę o buncie Gdańszczan za Batorego, i jakieś duże historyczne dzieło o Batorym, ale to zaginęło. Był za młodu sekretarzem dwóch biskupów, później królewskim. Był księdzem, miał różne beneficja, z czasem został kanonikiem krakowskim, a na rok niecały przed śmiercią, pierwszym biskupem iufflanckim. Potem zachorował i umarł. Oto wszystko.

Ale to jakoś nie wiele? i czy warto było pisać całą książkę o człowieku, o którym w historii nie słyhać, w literaturze także nie, bo komentarze choćby najuczciwsze do Cycerona jeszcze stanowiska w niej nie dają, co najwięcej w historii nauk filologicznych. Sekretarzy biskupich i królewskich było tylu, że jeden więcej obchodzić nas dziś bardzo nie może: czy on lepiej, czy gorzej pełnił swoje obowiązki w kancelaryi, to nam wszystko

jedno. Człowiekiem znaczącym i wpływającym na nasze losy oczywiście nie był, bo inaczej wiedzielibyśmy o nim z historii. Z wszelką zaś rewerencją dla Cyccerona, wyznać trzeba, że jakieś jego niecałe kawałki, choćby najuczeniej wydane i objaśnione, nie są znowu rzeczą tak wielkiej wagi, iżby dać mogły wielką zasługę i sławę. Że profesor filologii klassycznej chciał napisać żywot swego wielce zasłużonego poprzednika w nauce, nie słusniejszego, a dla filologów książka jego musi być bardzo ciekawą. Ale dla nas prostych ludzi.....?

Czytelniku, który tak myślisz i mówisz, otwórz, przeczytaj; a jeżeli masz w sobie najmniejszą iskierkę zapału dla XVI wieku, jeżeli choć trochę jesteś ciekawy, jak to w Polsce było za Zygmunta i za Batorego, jeżeli nie są ci zupełnie obojętni ówczesni ludzie i chciałbyś wiedzieć, jaki był ten lub ów z historii ci ogólnie znajomy, jeżeli myślisz, że warto jest mieć wyobrażenie, ile być może dokładne, o polskim społeczeństwie i polskiej oświacie, to czasu nie pożałujesz, i przyznasz, żeś się z tej książki wiele dowiedział.

Jestto bowiem tylko żywot uczonego filologa, ale jest studjum jedno z najlepszych i najbardziej zajmujących, jakie dotąd mamy o XVI wieku. Żywot filologa i wydania filologicznych ciekawości; ale ten żywot łączy się naprzód z całą kwestją humanistycznej oświaty w Polsce, od początków do końca XVI wieku; potem z kwestją religijną, tą główną arterią ówczesnego życia; potem z politycznymi zagadnieniami i zdarzeniami; potem z ludźmi, ze wszystkimi niemal znaczącymi ludźmi tego czasu, od króla na tronie i kardynała w purpurze, przez doktora w todze i senatora w delii, do kancelaryjnego skryby z piórem za uchem. Około Nideckiego figury i losów, skupia się to wszystko; on służy za sposób połączenia tych różnych wizerunków i wiadomości: ale (i to zdaniem niektórych jest jedynym błędem książki) ta główna tytułowa postać znika cokolwiek w zbiorze innych głośniejszych i wybitniejszych, tło ciekawsze i ważniejsze, niż sam portret Nideckiego. Zarzut, zdaniem naszym niesłuszny. Nidecki nie jest ani zaniebany, ani poświęcony; w proporcji całej książki zajmuje tyle miejsca, ile potrzeba, jest ciągle na widoku: a jest sam nie najmniej żywy i ciekawy ze swoją fizyognomią uczonego, porządnego człowieka, pamiętnego swoich interesów (na starość stał się nawet chciwym), dworaka bez uniżonej służbistości; w miarę zręczny, w miarę pokorny, w miarę gorliwy jako ksiądz, bez miary tylko w Cycceronie zakochany, nie bohater, ani wielki charakter, ale lepszy jednak od wielu, jest on ciekawym egzemplarzem prawdziwego (ale poważnego) humanisty. Jeżeli zaś wydaje się komu zaniebanym, to dlatego jedynie, że tego czytelnika więcej obchodzi Zebrzydowski, Krasiński, Myszkowski, a cóż dopiero Zamoyski i Batory, aniżeli Nidecki, i więcej na tamtych zważa, niż na niego. A występują tu oni wszyscy: o ile zaś w dzisiej-

szym stanie naszych wiadomości da się odgadnąć i skreślić właściwa fizyognomia każdego z nich, to jest schwycona i oddana; i nie w suchym opisie, ale w ruchu, w opowiadaniu pełnem życia, wdzięku, głębokiej znajomości epoki, i głębokiego i gorącego zapалу dla wszystkiego, co w niej było pięknem, głębokiej załości, że nie było tego więcej, i że to piękne słońce historii polskiej zaszło tak prędko, a na nowo wschodzić nie zaczyna.

Wstęp jest krótkim rysem historii nauk klasycznych w Polsce w wieku XV i w początkach XVI. Jak pierwsze promienie tej nowej oświaty przedzierały się na północ, jak pod koniec wieku XV uniwersytet staje się jej ogniskiem, ale rychło spostrzega się, że są w niej niebezpieczne pogańskie pierwiastki, jak wyradza się ztąd walka starego i nowego kierunku w akademii, jak humanizm zwycięża około roku 1520, i jak w jego dziejach rozróżniają się trzy okresy: pierwszy naiwnej ciekawości i podziwu, drugi zapалу bez granic i zupełnego naśladownictwa, trzeci wreszcie nauki krytycznej, badawczej. Do tego okresu należy już bohater książki, Nidecki.

Przychodzi on na świat (pierwszy rozdział książki) w Oświęcimie, jako syn rodziców niebogatych, ale nie nędznych znowu, jako szlachcic herbu Wieże. Do szkoły chodzi w Krakowie, u św. Jana, ale w tej niższej szkole ma profesorów dzielnych (Maricius i Novicampianus) i wychodzi z niej dobrze przygotowany do nauk klasycznych. Potem, już na uniwersytecie, znajduje przytułek u Franciszkanów, i dostaje się pod wpływ wielce w wierze podejrzanego spowiednika królowej Bony, Lismanina. Ten poleca młodego chłopca Zebrzydowskiemu, podówczas kujawskiemu biskupowi, na pisarza, i zaczyna się zawód dworski przyszłego uczonego. Po czterech latach umiera Samuel Maciejowski, Zebrzydowski obejmuje jego stolicę, a z nim sekretarz przenosi się do Krakowa. Tu wytworność i zbytek biskupiego dworu, uzione rozmowy (a pokątne wesole hulatyki), mięszanina zbytnej chwiłowo gorliwości i surowości w rzeczach wiary, na tle obojętności stałej i usposobienia wcale nie duchowego. Po paru latach biskup wysłał sekretarza do Padwy, gdzie się ustala jego powołanie i wartość jako uczonego. Organizacja uniwersytetu i jego ówczesny stan, a nacya Polska w nim, znakomici nauczyciele, a przed innymi sławni nieprzyjaciele, Sygoniusz i Robortello: kto się chce małym trudem dowiedzieć, jak było w Padwie, niech przeczyta piąty rozdział książki. Nie znajdzie nigdzie tych wiadomości podanych krócej, jaśniej, ze wszystkim co istotne i najpotrzebniejsze. Ścisła przyjaźń Nideckiego z Kochanowskim w Padwie zawarta, i powaga, jaką nasz młody uczonec zdobył sobie u wielkiego Pawła Manucjusza, naturalnie mają tu swoje miejsce osobne i zaszczytne.

Wraca do Polski w r. 1556 i trafia właśnie na chwilę najgorętszych zatargów religijnych; sługa Zebrzydowskiego, reda-

guje jego mowy i listy pasterskie, a zdaje się, jak on, siedzieć na dwóch stolkach i nie wiedzieć co ma myśleć i robić. Jednak o ile Zebrzydowski występuje w obronie kościoła, robi to z pomocą Nideckiego, który z czasem będzie w tej sprawie czynniejszym. Niebawem (1557 lub początki 1558 r.) powtórny wyjazd do Padwy, koleżeństwo z Górnickim, z Fogelwederem, z późniejszym wywłoką dyplomatą Dudyczem, i uzupełnienie nauk klasycznych pod Sygoniuszem, który właśnie wtedy zajęty jest zbieraniem *Fragmentów* Cycerona, co i pracę przyszłego ich wydawcy w tę stronę stanowczo zwróciło.

Po powrocie (1559) zawiązał Nidecki przyjaźń nową, która miała wiele znaczyć w jego życiu. Występuje na scenę Myszkowski. U niego (w Bierzanowie) przygotowują się do druku *Fragmenta*. Wydanie ich (1560) podnosi bardzo powagę Nideckiego u swoich i obcych. Już on jest sławnym uczonym, i ma swoje miejsce między znakomitymi ludźmi swego czasu. A gdy Zebrzydowski właśnie umarł, jego następcą Padniewski z zamiłowaniem otaczał się uczonymi, znaleźli się Nidecki w ciągłych i zażytych stosunkach z samym wyborem bystrych i kształconych umysłów. Szkice tych ludzi (Jakób Górski, Herbst, Royzjus, Montanus, Kochanowski), w rozdziale IX: *Humanizm i jego wpływy*.

Myszkowski obejmując podkanclerstwo, bierze z sobą Nideckiego do kancelaryi królewskiej, i odtąd należy on do ważnych spraw państwa, jeździ z podkanclerzym na sejmy i nieraz za królem, a głównie używany jest do spraw pruskich. To zajęcie wprowadza go w stosunek bezpośredni z biskupem warmińskim i z jego koadjutorem, a wpływ Hozyusza i Kromera sprawia, że dawny pomocnik Zebrzydowskiego staje się gorliwym i czynnym obrońcą kościoła: pod tym wpływem pisze on (1576) *Paralellę* Kościoła katolickiego z synagogami heretyków. Nie zaniedbuje przecież prac filologicznych, i drugie wydanie *Fragmentów* Cycerona, od pierwszego znacznie lepsze, znajduje wielkie powodzenie w świecie, i do dziś dnia utrzymuje między uczonymi sławę Patrycego.

Lata idą tymczasem. Myszkowski wstępuje na biskupstwo plockie, podkanclerstwo bierze Krasieński; w kancelaryi pracuje młody Zamoyski i Dymitr Solikowski, ale starszy i wprawny Nidecki ma w niej większą powagę, i u zwierzchnika zachowanie. W jego rękach jest cała korespondencya w sprawie Barskiej po królowej Bonie successyi. Na tem stanowisku, przeciążonego pracą, a skarżącego się nieraz na złe opatrzenie, zastaje go śmierć Zygmunta Augusta, która zamyka część pierwszą dzieła.

Zaczyna się druga, świetniejsza, bardziej jeszcze zajmująca. Nidecki zostaje podczas bezkrólewia sekretarzem osieroconej, zaniedbanej infantki Anny, a w około nich roztacza się pasmo zamieszkań, dwa bezkrólewia z krótkim intermezzo Henrykowego

panowania. Przykre położenie królowej Anny, jej charakter, jej zachcenia politycznej roli, jej marzenie o małżeństwie i jej małe śmieszności występują w rysach trafnych, żywych, a delikatnych, jak w dalszym ciągu jej stosunek z mężem. Przyjeżdża król Stefan. Nidecki pisze jego pierwszy manifest do panów chrześcijańskich z wywodem prawności elekcji, a następnie instrukcję dla posłów królewskich, udających się na sejm Rzeszy niemieckiej do Ratysbony. Niebawem król pruskiemi sprawami zajęty, zabiera królowej sekretarza i używa go do swoich potrzeb.

Rozdziały następne należą do rzeczy najlepszych i najpiękniejszych, jakie nam się zdarzyło czytać o Batorym i jego czasach. Żywot Nideckiego służy niemal za pretekst do treściwego ale dokładnego i żywego przedstawienia zdumiewającej wszechstronnej działalności króla, który od razu wszystko widzi, podejmuje, organizuje, naprawia lub stwarza. W sprawach religijnych najgorliwszy, najszczerzy i najroztropniejszy, staje się od razu filarem Kościoła w Polsce, jak w świeckich jest kamieniem węgielnym i kluczem sklepienia państwa, w cywilizacyjnych wielkim promotorem oświaty, a we wszystkich tym prawdziwie z Bożej łaski królem, który wyteża wszystkie siły na to, by powierzony sobie naród w samej głębi jego duszy i szpiku jego kości uzdrowić i odrodzić. Od najwspanialszych i najmędrzych politycznych zamysłów, aż do drobnych zwyczajów codziennego życia, ten człowiek idealny, równie prawy i prosty, jak wielki, porywa, zachwyca, zapala, wszystkim co myśli, co chce i co robi.... za późno! A ta tragiczność jego i naszych losów, to zrozumienie i uwielbienie po trzech wiekach, obok obojętności, krnąbrności i niechęci współczesnych, to zmarnowanie łaski Bożej, jaką dla nas Batory był i kara za zmarnowanie, przemawiają z każdej karty książki p. Morawskiego tak żywo i boleśnie, jak rzadko. Tem trafia książka do polskiego uczucia i podbija je; a dla rozumu znowu i wykształcenia, dla wyobraźni nawet, zajmujące i ponętne są niezmiernie wszystkie szczegóły, sprawy, stosunki, które się przesuwały przed oczyma czytelnika. Choćby tylko królowa Anna, ze swoim usposobieniem skwaszonym i przykrym stosunkiem do męża; stosunek dobrym być nie mógł, a mimo delikatnego zachowywania pozorów ze strony króla, dla niej upokarzającym być musiał. Fatalnym był dla nas, którzy, jak p. Morawski słusznie mówi, jeden raz pokazaliśmy uczucie dynastyczne, w tem miękkiem politowaniu dla biednej starej panny, która potomstwa mieć nie mogła. Żalę królowej, wieści o rozwodzie, paszkwile, jej podejrzliwość względem Zamoyskiego, sposób i formy jej życia dworskiego, wszystko to pełne życia i psychologicznej bystrej obserwacji. Z tym samym darem spokojnego wnikania w cudzą duszę i opisywania jej z zimną krwią, ale z doskonałym jej zrozumieniem, skreślony jest Zamoyski (rozdział XVI). *Kierunki duchowe za Batorego*, to wtrącony w opowiadanie obraz religijnego i umysłowego stanu

narodu w tych latach; chwiejność pojęć a luźność obyczaju w rzeczach religijnych, która ustępuje zwolna. ale jest jeszcze, nawet w dobrych ludziach, nawet w duchownych; stan szkół, i to, co król zamyśla i co robi, żeby je podnieść (zamiar stworzenia polskiego *Collège de France*, zamieniony później w akademię wileńską); stan piśmiennictwa, a w nim tróskliwość Batorego o kunszt dziejopisarski; a wśród tego szkice ciekawych osobistości, jak nuncyusze Caligari i Bolognetti. Karnkowski, Jezuici — to rozdział XV, znany już poprzednio z *Biblioteki Warszawskiej*.

Następuje dwór, a wśród jego niezbyt miłych stosunków Nidecki, który dał raz próbkę swego historycznego talentu w opisie gdańskiego buntu, a teraz pisze *Komentarze Memorabilium sui temporis*, w dziesięciu księgach, zachęcony przez króla i Zamoyckiego, chwalony przez Kromera i Heidensteina. I skończył je! Janocki je widział. Czemuż nie były wydane! Dziś leżą gdzieś nieznanie między zrabowanymi rękopisami jakiejś rosyjskiej biblioteki.

Co Nidecki robił *podczas wielkiej wojny* (rozdział XVII)? Witał króla pochwalnymi mowami, gdy wracał z wyprawy, troszczył się o swoje beneficya, których składania domagał się nuncyusz, bo Sobór Trydencki zakazał kumulowania kilku, a po zawarciu Zapolskiego pokoju, gdy chodziło o organizację kościoła w przyłączonych do Rzpltej Inflantach, został pierwszym biskupem nowo utworzonej dyecezyi wendeńskiej. Ale mniej ważne to, co on robił: co robił król, i to, co my robiliśmy niestety w tym czasie, to ciekawsze i znowu bardzo piękne karty książki. Z dziwną bystrością i z doskonałą znajomością historii, skreślone są wszystkie główne okoliczności tej wielkiej sprawy, zamiary króla, poparcie ich ze strony narodu w r. 1579, polityka Grzegorza XIII z tradycyjną niezajomością Rosyi i tradycyjnymi złudzeniami; pociąg wzajemny i zrozumienie się między Batorym a Possewinem; wreszcie słabnący zapal, a rosnące niechęci w dalszym ciągu, mniej szczęśliwa wyprawa na Psków, i smutny sejm roku 1582, na którym król chce porządek elekeyi opatrzeć, a posłowie prowadzeni przez swego oratora Niemojewskiego (doskonaly-znowu szkic głupiego a przewrotnego trybuna), w niesmacznych przechwałkach i pustych frazesach zmarnowali cały czas, a żadnej z potrzeb Rzpltej nie opatrzyli.

W następnym spokojnym roku 1583 wydaje znowu Nidecki cztery mowy Cyclerona z uczonemi komentarzami; wraca *à ses premiers amours*; ale już po raz ostatni. Zaraz potem następuje sprawa Zborowskich: król tak niepopularny, że go nawet sam prymas Karnkowski opuszcza, żeby się opinii nie narazić! Król układający właśnie z Syxtusem V plan wielkiej ligi przeciw Turkom, w Polsce niema stronników, ma tylko kilku ludzi, którzy go rozumieją i stoją przy nim wiernie.

W niespełna dwa miesiące po nim umierał w Wendzie Ni-decki, którego p. Morawski uważa za najznakomitszego filologa Polaka i którego obral za przedmiot swojej pracy.

Kończąc ją, zwraca się on tęsknym spojrzaniem na epokę, którą Polska rozpamiętywa z upodobaniem, »aby z niej zaczerpnąć sily i podniety do życia.« Jest gorycz w tem rozpamiętywaniu. Stać już tak wysoko pod wieloma względami, że trzeba było tylko trochę wysiłku i woli, żeby stanąć mocno i niewzruszenie na wieki, a niechęć, nieumieć zrobić tych potrzebnych ostatnich kroków, co za bolesna refleksya dla potomnych, którzy tę wiekową pracę burzenia mają odrabiać, i »gmach swój stawiać z niczego — powoli!« Ale nasuwa ta książka jednak i myśli weselsze, daje dowód i miarę pewnego dokonanego postępu, jest jego skutkiem. Kiedy nas uczono historyi polskiej, co to była za znajomość ogólnikowa i konwencyonalna! Zналиśmy nazwiska, i to w liczbie niewielkiej, nie znaleźmy ludzi, którzy je nosili. Wiedzieliśmy o Unii Lubelskiej i o wojnie moskiewskiej, ale stan religijny i stan wewnętrzny nie obchodził nas wcale. Już jako ludzie dorośli pytaliśmy nieraz jedni drugich, co to była ta *Exekucya*, o której mówią ludzie za Zygmunta Augusta? Wiedzieliśmy, że był Rey i Kochanowski, Górnicki i Skarga, ale o związku umysłowego życia Polski z humanizmem, o jego istocie i charakterze, mieliśmy zaledwo więcej pojęcia, jak o żelaznym wilku. Dziś? jak to wszystko zbliżone, rozpoznane, określone, jak my obeznani i spoufaleni z pojęciami, dążnościami, interesami stronnictw i ludzi, jak to wszystko nabrało życia, treści, rzeczywistości. Jesteśmy, jak człowiek z krótkim wzrokiem, który widział rzeczy jak przez mgłę i w oddali, a naraz dostał dobre szkła i widzi to samo wyraźniej, dokładniej i jaśniej. Żeby zaś do tej lepszej znajomości XVI wieku dojść, ile trzeba było mozolnej, ale i mądrej ożywczej pracy historyków? Pan Morawski jest w wieku XVI jak u siebie w domu, orientuje się w nim odrazu, wie, co gdzie jest i co do czego należy, i składa obraz jego stosunków, jak żeby to była rzecz łatwa i prosta. Książka jego, i inne jej podobne, jakich daj nam Boże więcej, to dalsze piętro tej budowy, której podstawne mury układała historyczna praca ostatnich lat dwudziestu kilku, to skutki tej pracy i z niej wyciągnięte wnioski. Jeżeli dojdziemy kiedyś do historyi polskiej cywilizacyi, to p. Morawski przyczyni się do tego dzieła swoją książką znacznie, bo ona jest właśnie jednym rozdziałem tej historyi, rozdziałem jednym z najbardziej zajmujących, skoro jego przedmiotem jest Polska Zygmunta Augusta i Batorego, jednym z najbardziej zajmujących także przez żywy, łatwy, a szlachetny sposób pisania. Słyszeliśmy zdanie, że *Patrycyat Lwowski* W. Łozińskiego i *Nidecki* Morawskiego, to są pomiędzy nowszemi dziełami te, które najwięcej światła rzucają na stan cywilizacyjny Polski; sądzymy, że tak jest. W każdym razie, autorowi należy się oddać tę sprawiedliwość, że jeżeli z za-

miłowaniem wpatrywał się w »włosenną bójność XVI wieku« i słuchał, jak »głos polski odzywał się wśród wymiany myśli i uczuć, które ludzkość zajmowały i nią wstrząsały, i nie był ostatnim«.... to dobrze dosłyszał różnych tego głosu dźwięków i tonów.

S. T.

— Prof. Dr Anatol Lewicki: *Cylex epistolaris saeculi decimi quinti. Tomus II. (Monumenta mediae aevi, t. XII)*. (Kraków, 1891. Nakładem Akademii Umiejętności). — Wydawca grube tomy aktów, a wydawca je dobrze — to dla historyka istne poświęcenie; trzy tomy pracy konstrukcyjnej możnaby na pisać w tysamym czasie, zanim się przygotuje do druku takie małe archiwum w formie książki. Opowiadanie historyczne każdy chętnie przeczyta, w danym razie rozejdzie się ono nawet między szerszą publicznością; taki zaś *codex* podobnym jest do kacyka, przed którym z daleka pada się na twarz, z wrodzonego już uczucia szacunku, ale w bliższą znajomość nikt z nim nie wchodzi inaczej, jak tylko z konieczności. Taka już jego dola — i inaczej być nie może. Za to każdy wydawca dobrego kodeksu pocieszyć się może tem, że ten szereg poczytnych, w nadobną formę przyodzianych prac historyograficznych, to po większej części jego wnuczki i prawnuczki duchowe, którym życia dostarczyło dziecię jego pierworodne, kodeks — tudzież tem także, że niejedna praca konstrukcyjna powstanie, zasłynie — i zginie w pamięci ludzkiej, przyémiona następną, lepszą, a ta znów trzecią, jeszcze lepszą, podczas gdy kodeks jego stoi niezruszenie, a imię wydawcy cytuje się coraz częściej. Skoro zaś już bawimy się w porównania, powiedzmy otwarcie, że prace konstrukcyjne, chociażby najlepsze, to planety — a kodeksy, to gwiazdy stałe historyograficznego systematu. Każdy dobry zbiór aktów staje się też po pewnym czasie słońcem, około którego poczną krążyć takie planety opracowań.

Kodeks, o którym tu mowa, wyda ich zapewne ilość znaczniejszą, będąc tak obfitym w treść, jak rzadko który, zachęcając na każdym kroku do poruszenia doniosłych zagadnień XV-w. Otwarte są rogatki XV stulecia! Rozpoczął tę pracę Szujski, wkrótce po zorganizowaniu Komisji historycznej, jeszcze przed zawiązaniem Akademii Umiejętności, w b. Towarzystwie naukowym krakowskim. Po kilkuletniej, mozolnej pracy, wyszedł w r. 1876 pierwszy tom *Kodeksu listów XV stulecia*, podzielony na dwie części: część I (1384—1444) opracował Dr August Sokołowski, część II (1444—1492) sam Szujski. W następnym roku zaczął Dr Antoni Prochaska zbierać materiały do swego *Kodeksu Witolda*, który wyszedł po sześciu latach, w r. 1882 (*Monumenta mediae aevi, t. VI*). W dwa lata potem, w r. 1884, Komisya historyczna poruciła prof. Lewickiemu kontynuację spuścizny Szujskiego, co do materiałów XV wieku. Ale materiały te odnaleźć się już nie dały! Niemniej przeto

prof. Lewicki zadania tego się podjął, jakkolwiek trzeba było wszystko zaczynać nanowo. W r. 1888 wyszedł *Index actorum saeculi XV*, ten prawdziwy klucz do XV wieku. Obecnie zaś, przed kilku zaledwie miesiącami, obdarzył nas wydawca drugim tomem *Kodeksu listów*; dodajmy, że praca około tomu trzeciego jest w pełnym toku, a możemy powiedzieć bez przesady, że imię prof. Lewickiego związane już jest trwale i raz na zawsze ze studjum dziejów naszych XV stulecia.

Drugi tom *Kodeksu listów XV stulecia* obejmuje akty tylko z lat 1382—1445. Materiału nowego do XV wieku zebrał wydawca tyle, że na lata następne, na czasy Kazimierza Jagiellończyka, trzeba było wyznaczyć osobny tom i pozostawić je do tomu trzeciego. Jaka tu obfitość materiału, osądzić można choćby z tego, że podczas gdy w tomie I czasy do bitwy pod Warną zajęły stronnice 150, w tomie II tekst aktów zajmuje stronnice 480. Wydatność tę nowych źródeł, zawdzięczają historycy przede wszystkim przeniesieniu zbiorów XX. Czartoryskich, tych dawnych zbiorów Puławskich, z Paryża do Krakowa, następnie zorganizowanej przez prof. Smolkę naukowej ekspedycji włoskiej. Skrzętny wydawca umiał wyzyskać należyte te dwie okoliczności, przyczem zaznaczyć należy, że praca w archiwum XX. Czartoryskich wcale nie była łatwą i wyrażenie „poszukiwania“ archiwalne, należy brać aż nazbyt często dosłownie, bez najmniejszej przenośni. Nie poprzestał na tem wydawca, zwrócił się do archiwów wrocławskich i do biblioteki Kurnickiej, a te źródła, z których korzystano, wydając tom I, przetrząsnął raz jeszcze. Pokłosie było obfitem; np. z kodeksu s. p. ks. Chodyńskiego mamy tu 34 nowych numerów, a z samej biblioteki Jagiellońskiej 40. Wsparł też wydawcę Dr Prochaska wypisami swemi z archiwum ministerjum spraw zagranicznych w Moskwie, z ces. publicznej biblioteki w Petersburgu, z Metryki Litewskiej, z biblioteki Ossolińskich i z biblioteki uniwersytetu pragskiego (ogółem numerów 32).

Uwzględniono w tej publikacji archiwów i bibliotek 16, które złożyły się razem na numerów 322, z tego nieznanych dotychczas całkiem 240, a znanych tylko z regestów lub fragmentów 42. Poprzedza akta *Index chronologicus*, wśród zwykłych zaś na końcu „indeksów“ znajdujemy nowość: obok osobnego indeksu *locorum et personarum* i osobnego *rerum*, jest oddzielnie *Index officiorum et dignitatum*, rzecz cenna dla historyka. Sam ten indeks urzędników, gdyby się pojawił oddzielnie, wzbudziłby musiał powszechną ciekawość; tutaj tworzy tylko cząstkę dodatku! W indeksie *rerum* zestawiono znów w osobnej rubryce wszystkie pieczęcie, o których w wydanych aktach była mowa; nowość ta znajdzie zapewne poklask i naśladowanie.

Same akta rozpoczynają się z rokiem 1382 szczęśliwą dla wydawcy wróżbą, bo pierwszy zaraz dokument przezeń wydany,

rozstrzyga wątpliwą dotychczas sprawę, a mianowicie pytanie, czy Zakon krzyżacki wkroczył wówczas na Litwę wezwany przez Jagiełłę, czy też z własnego natchnienia przybył, żeby być świadkiem wojny domowej pomiędzy Jagiełłą a Kiejstutem i wyzykskać ją do swoich celów. Okazuje się, że dopiero pod Trokami stanął układ Jagiełły z Zakonem, który przyrzekł, że się z Kiejstutem łączyć nie będzie. — Do dziejów ważnego roku 1386 znajdujemy kilka przyczynków, z których zwłaszcza dwa godne są powszechnej uwagi. Mianowicie Nr. 6 stwierdza, że na Gromnicy tego roku, odbył się jeszcze jeden zjazd, w Lublinie, który dopiero ostatecznie potwierdził umowy o powołanie Jagiełły na tron polski. Perłę zbioru stanowi Nr. 8. Z niego okazuje się, że na ślubie i koronacyi Jagiełły obecnym był arcybiskup Raguzy, Maffiolus, w charakterze legata Urbana VI; do jego to własnych rąk składał nowy król neofita przysięgę na ewangelię. A zatem i małżeństwo z Jadwigą dokonało się pod powagą głowy Kościoła! Nr. 11 z r. 1387 wykazuje, że Witold Halicza nie wziął szturmem, ale że kasztelan Benedykt, osadzony tam z ramienia korony węgierskiej, kapitulował. Oto próbki, jak doniosłym jest ten nowy „kodeks“ dla badaczy już na samym początku, tam, gdzie stosunkowo nie wiele jeszcze przynosi nowego <sup>1)</sup>.

Od roku 1410 dopiero sypią się w nim nowości, jak z rogu Amaltei; niema takiej sprawy pomiędzy r. 1410 a 1445, któraby tu nie znalazła wyjaśnień, a dużo jest takich, o których niebyśmy nawet nie wiedzieli, gdyby nie ta publikacya, np. o układzie książąt pomorskich z Zakonem, który zawarli niespełna w rok przed bitwą pod Grunwaldem (Nr. 28); tuż przed strasznym pogromem mamy akt przymierza cesarza Zygmunta z Zakonem (Nr. 30). Z roku następnego akt pokoju z Zakonem i zawieszenia broni z Zygmuntem, a z r. 1412 wezwanie od tegoż Zygmunta do Eryka króla duńskiego, ażeby wystąpił przeciw Polsce (Nr. 35, 36, 44). Wiele nowego światła na dzieje i sprawy Witolda rzuca Nr. 49. Oto w r. 1412 składa Witold przysięgę przyjaźni cesarzowi Zygmunutowi i jego dziedzicom, ślubuje, że nigdy nie targnie się na jego posiadłości. W akcie tym niema całkiem wzmianki ani o Jagiellę, ani o Koronie Polskiej; Witold działa tu zupełnie samodzielnie, jako *magnus dux Lithuaniae et Russiae*, a biskup wileński, starostowie wileński i połocki zaręczają za Witolda, nie oglądając się również całkiem na tego, który był *supremus dux Lithuaniae*. Jest tedy ten akt równie ważnym do historii stosunków polsko-litewskich, do historii unii,

<sup>1)</sup> Referent był w tem szczęśliwym położeniu, że jeszcze przed wyjściem kodeksu mógł korzystać z niektórych aktów nim objętych, w dwóch swych pracach: *Polityka Zakonu Niemieckiego w latach 1389 i 1390* i *Jagiello i Witold podczas unii Krewskiej*, gdzie też wśród konstrukeyi nieraz się na nie powołuje.

której badanie jest dziś na porządku dziennym. Jeszcze ciekawszym i donioślejszym jest pod tym względem Nr. 89 z r. 1418, z którego okazuje się, że Witold pragnął utworzyć dla Litwy odrębną hierarchię kościelną, osobną metropolię; niechciał tedy, ażeby Litwa należała do prowincyi kościelnej polskiej. Skarży się przed Marcinem V na arcybiskupa lwowskiego, że pragnie zagarnąć pod swoją władzę nowo-założone przez Witolda biskupstwo włodzimierskie.

Stronniczość cesarza Zygmunta, jako arbitra w sporze Zakonu z Polską, stwierdza się też teraz ostatecznie przez „czarne na białem“. Mamy piśmienne zobowiązanie się Zygmunta, dane Krzyżakom w Konstancyi w r. 1415, że tę sprawę załatwi *zu irem besten* (Nr. 60). Kilka aktów rozjaśnia nam bliżej ten „krzyżacki proces“. Wogóle czasy i sprawy związane z soborem kostnickim mają wydawcy wiele do zawdzięczenia. Znajdujemy cenne przyczynki do stosunku soboru i Jana XXIII do Jagielly, do nawrócenia Żmudzi, a — co najważniejsza — także do starań o unię Kościoła wschodniego z zachodnim. Warto zwrócić uwagę na to, że unia ta miała objąć także Multany, skąd szerzyłyby się miała na półwyspie Bałkańskim. Kiedy później, już po śmierci Witolda sprawa ta dojrzała, jako t. zw. „unia florencka“ przystąpił do niej biskup suczawski — ale został za to wygnany (Dodatek Nr. 11).

Najwięcej nowych dokumentów zebrał wydawca do sprawy husyckiej w Polsce, kiedy to jedno stronnictwo z zapalem chwyciło się sprawy czeskiej pod hasłem *linguam nostram magnificabimus*, a drugie biadało, że z tego nic nie wyniknie *nisi mala gentis nostrae* (Nr. 97). Do samych rokowań z Czechami o przyjęcie korony św. Wacława nie znaleziono wprawdzie i tym razem nic nowego, ale za to stanowisko Jagielly i Witolda coraz jaśniej się przedstawia. Ciekawem jest to, że już na wiosnę 1421 r. było postanowionem, że Zygmunt Korybut, a nie Witold osobiście, ruszy do Czech (Nr. 96). W razie, gdyby się Korybutowi powiodło znaleźć w Czechach posłuch, a zarazem usunąć od steru stronnictwa radykalne, byłby Witold (a może i sam Jagiello?) koronował się i wyrwałby Czechy ze związku Rzeszy Niemieckiej. Witold sam twierdził, że wyprawiając Korybuta do Czech, uczynił to w porozumieniu z papieżem (Nr. 111). Marcin V był jednak w tej sprawie — jak rzeczywiście trzeba było — wielce ostrożnym; oddzielał też stanowczo sprawę korony czeskiej, od herezyi czeskiej. O ileby o herezyę chodziło, w szeregu nowo tu wydanych dokumentów, zna zawsze jedno tylko stanowisko, że Polska winna się przyczynić do stanowczego jej stłumienia; to też ani Jagiello ani Witold nie bronią ani razu czeskiej herezyi i nigdy nie występują, jako opiekunowie Husytów. Cała rachuba polityczna Polski obliczoną była na to, że uda się Czechów pojednać z Kościołem. Gdy ta nadzieja za-

wiodła, runęła podstawa polskich planów względem korony św. Wacława; została tylko sprawa herezy i natenczas układa się w Polsce wyprawę przeciw Husytom, która byłaby przyszła do skutku, gdyby nie to, że sam Zygmunt nie życzył jej sobie i przeszkadzał jej wykonaniu. Takie pojmovanie sprawy husyckiej w Polsce, stwierdza nowy kodeks znaczną ilością nowych źródeł.

Niezmiernie cenne są nowe dokumenty do zamierzonej koronacyi Witolda. Mamy tu instrukcyę potrójnego poselstwa Zygmunta od cesarstwa, korony węgierskiej i czeskiej, na tę koronacyę (Nr. 183) i brulion samego dokumentu koronacyjnego (Nr. 182), apellacyę Polaków do papieża przeciw koronacyi (Nr. 179), którą to apellacyę prokurator Jagielly przedłożył także sejmowi Norymberskiemu r. 1430. Okazuje się, że Witold sam miał wątpliwości co do prawomocności koronacyi przez króla rzymskiego; Zygmunt uzbroidł się w przychylną opinię uniwersytetu wiedeńskiego (Nr. 181); przeciwnie, krakowski uniwersytet wyraził zdanie, że Zygmunt niema prawa koronować, ponieważ sam nawet nie jest na cesarza koronowany, ale jest tylko elektem, królem rzymskim (Nr. 185). W ostatniej chwili papież Marcin V występuje również stanowczo przeciw koronacyi (Nr. 186).

Z r. 1431 rozpoczyna się długi szereg materyalów do powstania Świdrygielly; są to bez wyjątku źródła pierwszorzędnej wartości, pochodzące po większej części wprost od Jagielly, Oleśnickiego i Świdrygielly. Nie mamy zamiaru omawiać ich tu bliżej, bo czytelnik będzie miał niedługo lepszą sposobność zapoznania się z ich treścią. Jak wiadomo, sam wydawca opracował tę sprawę monograficznie, a *Powstanie Świdrygielly* jest już pod prasą.

Z czasów soboru bazylejskiego, stwierdza nowy kodeks już niezawodnie, że po śmierci Jagielly Polska porzuciła Eugeniusza IV, a stanęła i to bardzo gorliwie po stronie Feliksa V. Dopiero Kazimierz Jagiellończyk złożył znów obedyencyę Mikołajowi V, następcy Eugeniusza. Oleśnicki był zagorzałym zwolennikiem soboru; posel jego w Bazylei, Jan z Lgoty, głosił w publicznej mowie (Nr. 282), że biskup krakowski nawet spojrzeć nie chciał na kapelusze kardynalski, ofiarowany mu przez Eugeniusza! Przyjął go potem od Feliksa V, a potem przyjął znów od Marcina V. — Z tychże czasów mamy i nader cenne polityczne nowości: projekt małżeństwa Warneńczyka z córką Albrechta II jeszcze za życia cesarza Zygmunta, projekt kandydatury tegoż Warneńczyka na tron węgierski już w r. 1437, tudzież starania otrzymania korony czeskiej dla królewicza Kazimierza jeszcze nawet po śmierci Albrechta II. W r. 1440 wyniesiono Władysława na tron węgierski. Kodeks prof. Lewickiego dostarcza znów wielu nowych wiadomości do tej unii polsko-węgierskiej i smutnego jej epilogu pod Warną, przede-

wszystkiem zaś stwierdza, że projekt unii wyszedł od Polaków i miał na celu od samego początku, podjęcie walki z Turcyą. Jakże przyjemnie czyta się manifest młodego króla o zwycięstwie odniesionem nad 40.000-ną armią turecką dnia 20 października 1443 r. (Nr. 295) i o drugim zwycięstwie 3 listopada tegoż roku (Nr. 296), z jakim uczuciem dumne wezwanie bohatera do załóg tureckich, w drodze pod Warnę, ażeby się wynosili do Azyi (Nr. 303)... gdy nagle o jeden numer później rozpoczyna się przegląd smutnych relacyj o bitwie warneńskiej!

Te są główne sprawy, których dotyka nowy tom *Kodeksu listów XV w.*; wszystkich spraw, przezeń objętych, nawet wymieniać nie sposób w zwykłym sprawozdaniu. Zaznaczyć tylko można, że również cennym jest on do wewnętrznych spraw, że i na tem polu wiele przynosi nowości.

W przedmowie zdaje wydawca obszernie sprawę ze źródeł, z których czerpał, i ze sposobu wydania aktów. Przy tej sposobności, streszczając zwięźle rezultaty swych poszukiwań, wyraża tu i ówdzie swe poglądy na niektóre zagadnienia historyczne. Z tych najdonioślejszem zapewne jest pytanie, czy Witold w sprawie husyckiej działał zawsze za wiedzą i wolą Jagielly i panów polskich. Prof. Lewicki jest tego zdania, że „to rzecz niezawodna.“ Obowiązkiem naszym jest jednak zwrócić uwagę czytelników, że nie wszyscy to zdanie podzielają. Kwestya ta nie została jeszcze wyczerpująco monograficznie opracowaną, tak, ażeby można orzec, że powiedziano już w tej sprawie ostatnie słowo. Kodeks prof. Lewickiego nie dostarcza też żadnego nowego stanowczego argumentu ani na tę, ani na ową stronę. Być może, że kiedyś po nowem monograficznem opracowaniu przedmiotu, okaże się, że polityka ta Witolda, to także zarazem polityka polska, jak twierdzi autor (str. XXXIV); taki wynik sprawy należy nawet uważać za prawdopodobny, skoro się za tem oświadcza najlepszy u nas znawca XV wieku, jakim bezsprzecznie jest prof. Lewicki, a ze zdaniem jego każdy rozsądny hędzie się musiał liczyć; bądźcobaż jednak, nie jestto jeszcze pewnikiem niezawodnym. Jak na teraz, trudno tu stanowczo twierdzić lub stanowczo przeczyć, ale wątpić wolno jeszcze o wszystkim i nie popełni grzechu przeciwko nauce ten, ktoby tę kwestyę chciał uważać jeszcze za otwartą. Główny szkopuł stanowi druga wyprawa Korybuta do Czech, przedsięwzięta zdaniem prof. Lewickiego (str. 202, pierwszy wiersz przypisku) wbrew woli Jagielly—a zatem i Witolda. Wytłómaczenie tej wyprawy nasuwa znaczne trudności, jeżeli przyjmujemy, że i Witold sobie jej nie życzył. Nasuwa się inne przypuszczenie, że Witold sobie jej życzył, a Jagiello tylko udawał, że się jej sprzeciwia, że tedy nie odbyła się ona wbrew woli Jagielly; albo też trzecie przypuszczenie, że zorganizował ją Witold z pomocą niektórych panów polskich wbrew Jagielle. Która z tych interpretacyj w przeszło-

ści okaże się prawdziwą, dziś trudno nawet przewidzieć; na dziś należy tylko przyjąć do wiadomości, jakiego zdania jest w tej mierze ten, który z odnośnemi źródłami bądźco bądź najbardziej jest obeznany, tj. wydawca *Kodeksu* <sup>1)</sup>.

O sposobie wydania aktów nie trzeba się rozpisywać; samo nazwisko wydawcy starczy każdemu za porękę, że publikacya stoi na każdym kroku na wyżynie najnowszych naukowych wymagań <sup>2)</sup>. Sumiennosc i pedantyczna, wzorowa skrupulatność i ścisłość towarzyszy każdemu aktowi; z największym zaś naciskiem podnieść należy, że wydawca nie wymijał nigdy żadnej, choćby największej trudności, ale z każdą—a było ich mnóstwo—zosobna dokładnie się rozprawił. Moglibyśmy przytoczyć cały registr miejsc, które musiały stanowić dla wydawcy trudny często do rozwiązania węzeł; można było pozostawiać je nierozplątanemi, niktby się nawet nie spostrzegł, że tu zachodzą jakie wątpliwości, a kto by się kiedyś przy jakiej pracy konstrukcyjnej spostrzegł, ten nie mógłby i tak mieć do wydawcy żadnych a żad-

<sup>1)</sup> Wątpliwosc również wzbudza interpretacya Nru 13, który zdaniem wydawcy odsłania nam „plany Jagielly zaraz po dokonaniu unii litewsko-polskiej przedsięwzięcia wielkiej wyprawy na Turków i Tatarów“ (str. XXXI). Czy w dziejach roku 1388 jest miejsce na taką wyprawę? Doniesiono wprawdzie papieżowi, że król ma taki zamiar (*ut asseritur . . . . disponis proficisci*) ale czy dokładnie poinformowano Urbana VI? Może chodzi tu tylko w ogóle o jakąś wyprawę na wschód, np. do tych prowincyj ruskich, zaleskich, które pozostawały pod zwierzchnoscia tatarską i ztąd wyrażenie *contra Turcos Tartaros*. Nie ulega kwestyi, że w Rzymie miano wówczas o geografii wschodniej Europy pojęcie może jeszcze słabsze, niż my dziś o centralnej Afryce, a w kancelaryi papieskiej nie rozróżniano tego dokładnie, gdzie Turek, gdzie Tatar, a gdzie *aliae barbaricae nationes*. Bezpośrednie dodanie tych ostatnich słów wskazują, że piszący dokument miał na myśli w ogóle jakieś, sobie bliżej nieznane, odległe wschodnie kraje.

Właśnie w tym czasie powziął Jagiello zamiar owładnięcia Wielkiego Nowogrodu, przyczem przygotowany był na ewentualność wojny z Moskwą. Czy nie do tego właśnie planu odnieść należy genezę tej bulli? Wszak Moskwa podlegała hanom, a więc byłoby też „coś prawdy“ w mniemaniu papieskiem, jakoby Jagiello zamierzał walczyć przeciw Tatarom. Dosłownie jednak brać tej bulli nie można.

<sup>2)</sup> Wytknąćby można, że w niektórych nagłówkach nie przeprowadzono jednolicie zasady podawania imion geograficznych w brzmieniu polskiem. Obok „Kraków“, „Sandomierz“, „Wrocław“, znajdujemy „Nissa“ (zam. „Nisz,“) i „Neumarkt“ (zam. „Szroda“). Ale to drobnotka i rzecz błaża. W Dodatku w N. 1, niepotrzebne były poszukiwania miejscowości do *datum Leone*. Przypadkowo znalazły się *Leony* niedaleko Wilna, ale nasze *datum Leone* oznacza po prostu Lwów; zdarzało nam się już spotykać takiesamo *Leone*, które niezawadnie oznaczało Lwów. Zresztą za takim tłumaczeniem przemawia w tem miejscu także itinerarium Witolda w r. 1393.

nych pretensyj. Ale prof. Lewicki chciał innym pracę ułatwić, nie dbając wcale o to, że na razie sam sobie znacznie ją utrudnia. Połowa tych not i przeprowadzonych *ad hoc* drobiazgowych poszukiwań, jakie tu znajdujemy, wystarczyłaby do pozyskania epitetu sumiennego wydawcy; ilość pracy podjętej przez naszego wydawcę, świadczy o czemś więcej, o gorliwości, o niezmiernem zamilowaniu, rzeklibyśmy, o zapale wydawniczym. Dla przykładu warto przejrzeć sposób opisania pieczęci przy Nr. 178 (str. 235 — 237), nie tylko oznaczono miejsce, gdzie każda wisi, czy niżej, czy wyżej, czy też równo w rzędzie i w którym, ale nadto jeszcze porównywał wydawca ważniejsze pieczęcie z innymi znanymi, a spostrzegłszy, że pieczęć krakowska radziecka w tej formie jest rzadka, zwraca na to uwagę czytelnika i jeszcze na przyrządek informuje go, gdzie o tej pieczęci można się czegoś dowiedzieć. Podobnych przykładów dałoby się wyliczyć sporo. To też, ktokolwiek do monograficznych studyów nad wiekiem XV się zabierze, każdy będzie wdzięcznie wspominał imię prof. Lewickiego, bo w jego kodeksie pewnie mu praca pójdzie najłatwiej i tutaj niewiele chyba straci czasu na to, co się w języku technicznym nazywa przygotowaniem materyału.

*Dr Feliks Koneczny.*

— Dr Maryan Udziela: *Medycyna i przesady lecznicze ludu polskiego*. (Warszawa, 1891, str. 288). — Książka ta jest nader cennym przyczynkiem do etnografii polskiej, podającym czytelnikowi mnóstwo ciekawych wiadomości do poznania ludu naszego, jego zwyczajów, zapatrywań, sposobu myślenia, patrzenia na naturę i tłómaczenia sobie jej praw. Dziełko Dra Udzieli nie rości sobie pretensyi do głębokiej naukowości; przecież uczy więcej, niż niejedno bardzo naukowe dzieło, i lepiej można zeń poznać lud nasz, niż z wielu bardzo poważnych i obszernych prac naukowych. Nie chcemy uwłaczać badaniom etnograficznym w innych kierunkach, bo są one niemniej ważne i potrzebne, śmiemy jednak sądzić, że jeżeli n. p. pomiary czaszek i innych kości różnych plemion, zamieszkujących naszą ojczyznę, pozwalają nam poznać bliżej budowę ich ciała, to tego rodzaju studia obyczajów, zwyczajów, nawet zabobonów ludu naszego, jak praca Dra Udzieli, dają nam obraz jego ducha; jeżeli studia nad wykopaliskami uczą nas, które miejsca zamieszkiwali nasi przodkowie, jakich używali w życiu praktycznym narzędzi, jak i z czego je wyrabiali, i w ten sposób starają się skreślić obraz ich kultury, jeżeli te studia wskazują drogi, po których się praojcowie nasi rozszerzali, szukając nowych warunków bytu, po jakich kroczyli szlakach, prowadząc handel z innymi narodami, to powyżej wymieniona książka wskazuje drogi znowu, po których chodzi jeszcze dzisiaj myśl ludu naszego i po których niezawodnie kroczyła w czasach najdawniejszych, bo jak wiadomo, nad lud nie ma wytrwalszych konserwatystów. Jego zwyczaje przechodzą tradycyjnje z ojca na

syna całemi pokoleniami, nie ulegając najmniejszym zmianom; a jak myśli i wierzy dziś lud prosty, tak niezawodnie myśleli i wierzyli w odległej przeszłości i ci z naszych dziadów, którzy czoło narodu stanowili, bo choć różnili się od niego majątkiem i przywilejami, to jednak łączył ich ściśle tensam tryb życia, stopień oświaty i widnokrag pojęć.

Szczupłość ram kronikarskiego sprawozdania, nie pozwala nam zaznajomić czytelnika, choćby nawet bardzo pobieżnie z treścią tej tak zajmującej książki, bo w tym celu wypadłoby ją właściwie całą przedrukować. Tyle tam ciekawych szczegółów z życia ludu naszego, że niewiedzieć, któryby choć dla przykładu przytoczyć. Autor starał się cały materiał, zebrany bardzo sumiennie, uporządkować systematycznie, na wzór podobnych zagranicznych publikacyj. Opisuje więc najpierw w części pierwszej *wogóle* zapatrywania ludu naszego na choroby, na ich źródła i objawy zewnętrzne, tudzież na sposób leczenia się i rodzaj »doktorów«, posiadających tajemnicę usunięcia choroby. W części drugiej przytacza *szczególno* zapatrywania ludowe na różne *specyalne* choroby i towarzyszące im zwyczaje w tym porządku, w jakim go spotykają w jego doczesnej wędrówce od łona matki i kolebki, aż do deski grobowej. W rozdziale VI dowiadujemy się, że nasze sielskie piękności niemniej dbają o zakonserwowanie swej pleti, jak ich siostry z miejskiego świata. Mają też i one swoje kosmetyki i swoją domową podręczną apteczkę, obfitującą w środki z wszelką pewnością higieniczniejsze od tych, których używają miejskie panie, a mające jeszcze tę wysoką zaletę, że są bardzo tanie. Polecamy je więc bardzo naszym czytelniczkom, przytaczając tu niektóre z nich słowami autora (str. 189): »Kobiety zawsze umieją sobie pomagać, gdy natura odmówi im wdzięków, lub milej powierchowności, która szybko mija z latami. Wstrętne malowidła twarzy są wyłącznym przywilejem mieszkanek miast, podczas gdy na wsi środki kosmetyczne są natury bardzo niewinnej i nie tak szkodliwe, jak miejskie. Deszczówka marcowa, jak i woda zebrana w czasie grzmotów i piorunów, utrzymuje płeć piękną i broni od piegów. Taksamo działa obmycie się śniegiem w dniu pierwszym marca. Pierwsza ablucya z kielicha, wiele pomaga do gładkości twarzy. Odwaru rośliny son (prawdopodobnie *Geranium pratense*) i pszeńca (*Melampyrum nemorosum*), który dziewczęta nazywają »bratczykiem,« używają do obmywania twarzy, w celu upiększenia. Sokiem fiołka trójbarwnego smarują sobie dziewczęta brwi, w przekonaniu, że ulubiony je pokocha, bo ziele to ma wielką moc pociągania do siebie. Gdy kobieta pierwszy raz spostrzeże na wiosnę jaskółki, to rękami uciera sobie twarz, jakoby się myła, a to dla nieopalenia się od słońca.«

J. Bryl.

— *Kronika Rodzinna*. Rok 1891. — Pismo każde dałoby się może uosobić mniejwięcej w jakiejś charakterystycznej postaci. Są

między niemi takie, które odrazu opinia ubralaby w szatę arlekina. są inne, które reprezentowałyby świetnie rozkochany awanturnik, machający z wielkim krzykiem mieczem frazesów, potrażający lwią grzywą i mimo dzikiego przewracania oczów, wiedzący zawsze, z której strony wzniesć ten krzyk i rozniecić ogień walki, aby przy nim swą pieczeń upiec nieznacznie, po cichu. Znalazłyby się pisma znowu, przedstawiające typ poważnego, zatopionego w sobie mędrca, który patrząc w przeszłość lub gdzieś obserwując zapamiętałe odległe horyzonty nie widzi, ani tego, co go otacza, ani terażniejszości, w której żyje. Prawda, że dzieje się również, iż gdy mu zwrócą uwagę na te wielkie błędy, otrząsa się z nich i naczepnawszy świeżego ożywczego powietrza, chce i umie stać się rzeczniakiem wytrawnym i wszechstronnym spraw socjeństwa, w którym istnieje. Umieć odmłodnić ... to dar wielki i wielka tajemnica bytu każdego wydawnictwa, jeżeli nie chce upaść winą swego zestarzenia się. Sekret taki wiecznego (jeśli co wiecznym na ziemi) życia dostępnym jest dla myśli ludzkiej, której organem słowo widome, ale trzeba i woli i siły i umiejętności, by znowu natchnąć tą energią i tem bogactwem pismo, zagrożone bezsilnością starości, by mu wrócić nowe życie, a zachować duch dawny...

*Kronika Rodzinna* zawsze w gronie pism naszych, była uosobieniem wytrawnej, rozumnej doradczyni w sprawach, obchodzących najżywiej byt rodzin. Była to poważna przyjaciółka matek, umiejająca dać radę we wszystkim, co mogłoby polepszyć stan socjeństwa, ulżyć jego nędzom ukrytym, jego potrzebom niewypowiedzianym. Przejrzyjmy tylko ubiegłe roczniki, by sobie zdać sprawę, ileto pożytecznych myśli podniosła *Kronika*, ile poruszyła kwestyj. Jedne z nich się przyjęły, drugie nie, ale jej zawsze w zasłudze przypadnie, że pierwsza w Polsce mówiła o potrzebie Domu Schronienia dla Nauczycielek steranych pracą, o Gospodach chrześcijańskich, Opiece nad sługami podnosiła mnóstwo zagadnień; ona interesujących, bo dobre chęci, by przyniosły pożytek, muszą mieć rozumną radę. *Kronika Rodzinna* za zadanie postawiła sobie czujnym okiem rozpoznawać potrzeby rodzin, zwracała uwagę matek na zle skutki zbytkownego wychowania dzieci, uczyła, jak te dzieci pożytecznie bawić się mają, ona to w *Książce młodej kobiety*, przez usta przedwcześnie zmarłej hr. Anastazyi Dzieduszyckiej dawała w swych lamach wiele rad mądrych, wiele pożytecznych wskazówek, jak mają się same wychowywać te panienki i te młode kobiety, które już za »skończone« uważają same siebie wedle zdania świata. *Kronika Rodzinna* myśląc o moralnem dobru rodzin, o rozumnem miłosierdziu, zwracała także uwagę i na byt ich materyalny. Dala najwięcej wybitny tego dowód w *Kwestyonaryuszu*, gdzie poruszyła kwestye bardzo na czasie, a palącej potrzeby, bo zwróciła uwagę na tę dysharmonię między rozchodem a docho-

dem, jaka gubi byt tylu rodzin, niepomych na dawną radę: »Dochód twój ma być jako palec trzeci u twej ręki, a rochód jako jej palec czwarty.« *Kronika* dalej myślała nad sposobami pracy użytecznej dla kobiet, które bądźco bądź jednak trudną mają drogę samoistnego zarobku, postawione między dylematem igły a nauczycielstwa. *Kronika* kładła nacisk na wagę umiejętności gospodarczej, którą słusznie uważa za podstawę pomyślności rodzin; roztrząsała kwestye, w jaki sposób mają się do swego zadania gospodyń przygotowywać młode osoby, aby mogły wykonywać ów wielki obowiązek rozumnego zarządzania domem. Oto co robiła ze strony wszelkich zagadnień, dotyczących się potrzeb rodzin, a zatem społeczeństwa; a z drugiej strony *Kronika Rodzinna* dawała szacowny literacki materyał, który często miał wielką wartość. Wszak w *Kronice* umieszczał Odyniec swe *Listy z podróży* i *Wspomnienia z przeszłości*. Tu drukowały się opisy Chili, pióra Ignacego Domeyki; tu ujrzały światło dzienne niejedne z archiwów rodzinnych wydobyte listy, jak n. p. szereg listów Zana, Stanisława Augusta, ks. Izabelli Czartoryskiej, notatki Stefana Witwickiego z opowiadań Kniaziewiczza, ciekawe pamiętniki Szczytta, pani Elżbiety z Rudominów Pakoszowej; często drukowała także *Kronika* wyjatki z rękopisów pośmiertnych, jak n. p. śliczne i bardzo mądre Pogadanki dla kobiet, w świecie żyjących, księżnej Sayn-Wittgenstein, Iwanowskiej z domu. Oprócz dawnych pamiątek, drukowała *Kronika* rozprawy filozoficzne i z dziedziny estetyki pióra hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, Stefanowskiego i innych. Za długoby było wylizcać wszystkie pożyteczne, ciekawe, a często i rzadkiej wartości artykuły i dawne archiwalne zabytki, które *Kronika Rodzinna* umieściła. Ale z krótkiego poglądu na jej dwudziestoletnie prawie istnienie, można sobie jasną zdać sprawę, iż wypełniała sumiennie i wiernie zadanie, które postawiła sobie wiernego służenia rodzinom, nauczania ich i doradzania w każdej kwestyi.

Mówiliśmy wyżej, że każde pismo można sobie w postaci jakiejś uosobić. *Kronikę* wystawialiśmy też sobie zawsze, jako poważną, czcigodną doradczynię. Ale czyż nie będzie to z uchybieniem dla zasług tej wypróbowanej przyjaciółki rodzin, gdy powiemy, że w ostatnich latach, a zwłaszcza w r. 1891, zauważyliśmy kilka znaków zesłabnienia, wieku, zmniejszenia sił? *Kronika* — wyznajmy to szczerze — robi nam nieco wrażenie osoby, którą pochylila starość, która zmęczona życiem, nie ma już ani tego zapału, ani tej wiary, co zapewnia zwycięstwo? Coraz mniej dorobku do dawnych zasług, a coraz więcej czerpania ze źródeł pośrednich, ograniczania się na nieco pobieżnem, niemal powierzchownem traktowaniu rzeczy bardzo ważnych. Ma się wrażenie, jakoby zwątpiła niejako w skuteczność i tych rad dobrych i tych projektów licznych, które podnosiła; wydaje się, jakby wyczerpała już zapas wszystkiego światła, jakby zaczęło brakować oliwy w tej lampie, którą niosła na większy

pożytek rodzin, oświecając przed nimi drogę trudną obowiązku i wytrwania. Są jeszcze błyski dawne, są kwestye nowe, które porusza, n. p. ów krótki artykulik p. t. *Niepowołane*, w którym tak rozumnie, jasno gromi ową rozpowszechniającą się coraz więcej modę pisania powieści i nowel, któremi panie i panny zarzucają niemilosiernie bióra redakcyj wszelkich, na większą chwałę cierpliwości redaktorów, a na większy pożytek kosztów; jak tam mądrze da-  
na radapracy starannej i długiej, jak wyśmiana owa pogarda gramatyki i znajomości języka własnego, któremi się często takie rękopisy odznaczają. Choć krótki, bardzo treściwy ten artykulik, tak jasno podnoszący zle strony nowej tej mody, że się tak wyrazimy, przypomniał nam dawne lata *Kroniki*, a tylko może dawniej wniknęłaby ona była i w psychologiczne powody i wykazała, gdzie, i jak ten baccillus piśmienniczy, rozszerzający się coraz więcej ku zgrozie redaktorów. Dalej dawne tradycye przypomniła sobie *Kronika*, gdy pokazuje nam »bez ratunku« powolnie konające ofiary raka i podnosi zasługę miłosierdzia, gdyby się o ulgę dla nich postarało, zawiązując stowarzyszenie na wzór francuskiego Towarzystwa Dam Kalwaryjskich. Od czynów zewnętrznego miłosierdzia nie tak daleko do tych cichych, a często trudniejszych i więcej męczących poświęceń domowego życia, do szczegółów drobnych obowiązku żony i gospodyni. By przygotować ją do tego, *Kronika* myśli i o materyalnej stronie. Jak ważną, jak konieczną jest znajomość gospodarstwa dla kobiety, to rzecz, którą dawno podnosiła. I w tym roczniku, w artykule »Kucharstwo,« *Kronika* znowu pisze o wielkiej wadze kwestyi żywienia rodzin, słusznie mówiąc, że często od dobrego obiadu zależy zdrowie fizyczne i spokój domowy. Daje opis szkoły kucharskiej w Sztokholmie, podnosząc ważność takowej, nawołując o założenie podobnej w Warszawie, aby tam każda młoda osoba, mająca wychodzić za mąż, mogła przejść kurs kucharstwa i tym sposobem obznajomić się z pokierowaniem własnego gospodarstwa. Z dawnych pamiętników, *Kronika* umieściła w ubiegłym roczniku *Pamiętnik wojewodziny Nakwaskiej*, ciekawe dorzucającej szczegóły z czasów Księstwa Warszawskiego. Z pośmiertnych rękopisów, dała nam artykuł, p. t.: *Samouctwo i fragmenta z podróży* Edmunda Stawiskiego, niedawno zmarłego ekonomisty i światłego gospodarza. Wogóle podróże najlepiej stoją w *Kronice*; bardzo zajmujący opis egipskiego życia i wrażeń, znajdujemy w obrazkach *Nad Nilem* pani A. Neumannowej. W dziale korespondencyi zasługują na wzmiankę listy z Londynu przez Miss Ashurst Biggs tem szczególnie, że ich autorka jest Angielka, która tak doskonale posiadała język polski, że mogła tłómaczyć na angielskie *Pana Tadeusza*. Najwięcej zapelniają łamy *Kroniki* sprawozdania z dzieł wyszłych i tłómaczenia obcych autorów. Często jednak nie zasługują one na to, jak n. p. nowelle wyglądające na bajki mamek Amerykanina Nathaniela Hawthorne. *Correspondant* duzo pomaga *Kronice*, która

ztamtąd dość się zapożycza, co jednak wobec wartości tego dwutygodnika nie jest dla *Kroniki* wcale szkodliwym. Dział powieści bardzo warty i bardzo mierny — ledwie o nim wspominać warto.

Wogóle przecież *Kronika Rodzinna*, zachowując swoją zacną tendencję, swe dobre chęci, zaczyna nieco tracić na wartości realnej... Kwestye wychowawcze, poruszane przez hr. Dzieduszyckiego i przez «Jednę z Matek» nie są omawiane już przez innych współpracowników. A jednak *Kronika Rodzinna*, opierając się na swoich tradycjach i odpowiadając swemu celowi, dział ten najstaranniej pielęgnować winna... Bo ileż to jest na tem polu do zrobienia! Ile wskazówek pożytecznych mogłaby dać matkom, wychowującym swe córki w domu. Ileby było rzeczy do roztrząsania w tej kwestyi, nigdy się wyczerpać nie mogącej, któraby zapewniła *Kronice* zwiększone znaczenie. Młodzież nasza ma bardzo pożyteczne pismo dla siebie w *Wieczorach Rodzinnych*. Podobno obie redaktorki blisko siebie stoją. Czemuż n. p. przez wysubtylizowaną delikatność uczucia nie polecają nigdy tego pisma, ucząc zarazem, jakie zagranica posiada pod tym względem dobre wydawnictwa. Dalej gdyby *Kronika* zając się chciała owym licznym kontyngensem młodych panienek i starszych panien, wskazując im pole pracy najstosowniejsze, wchodząc w szczegóły ich życia, często niezapełnionego, któremu brak wyraźnych obowiązków, jakie ma kobieta zameżna. Nie wszystkie samoistnie pracować potrzebują i mogą, mając domowe ognisko, przy którym jednak bezużytecznie nie wolno tracić czasu, marnować sił młodych, które niezużyte często w fermentcie goryczy niewyprawionej trawią się i marnieją... A ileż to jeszcze znalazłoby się innych kwestyj, odpowiadających zadaniu *Kroniki*... Ileż nasuwa się zagadnień, gdy patrzy się na stosunki społeczne, sprawy najbliższe, a jednak obchodzące cały ogół, jak stosunki z wsią, z ludem, którym tam w Królestwie jeszcze trudniej się zajmować, bo trzeba szukać sposobu, coby nie uraził podejrzeń. Radzibyśmy też w sprawozdaniach znajdować sąd docierający więcej do głębi rzeczy, a nie przesuwający się tylko po powierzchni. W dziale powieści byłyby także do życzenia więcej interesujące rzeczy. Powieść rozwieliła się teraz; coraz więcej staje się ona nieodzowną potrzebą do egzystencji każdego pisma, do którego czasami zwabi ciekawy tytuł romansu, a ten z zajęciem przeczytany obudza zainteresowanie dla innych artykułów i po rozrywce następuje nauka. Wogóle umieć zająć, to rzecz bardzo ważna: jak często się w świecie dzieje, że pod miłym uśmiechem i dowcipną formą przedostaje się łatwiej i rada i nauka i prośba o datek miłosierny, tak i w piśmiennictwie dużo znaczą owe akcesorya zewnętrzne. Złą rzeczą jest błaga, bo jest fałszem. Ale czy w interesie sprawy dobrej nie należałoby się uczyć umiejętności robienia głośniejszem i więcej znanem dobrego? «Chwalebnie jest umieć cierpieć — ale nie mniejszym jest obowiązek rozumnego działania» i zapewnienie powodzenia przez więcej blasku i świe-

tności, jakimi sprawę dobrą się otacza? — to radzić się odważamy *Kronice Rodzinnej*, a wyrażając wdzięczność za dawne usługi, radzibyśmy powitać ją znowu w dawnej żywotności. Dużo znaczy dobra wola. Ze nie brakuje jej w Polsce, na to mieliśmy niedawno dowód w odmłodzonej *Bibliotece Warszawskiej*.

M. Rawicz.

---

— *Mithridate Eupator roi de Pont*, par Théodore Reinach. (Paris, 1890, libraire de Firmin-Didot et Cie). — Ani postać Mitrydatesa IV, zwanego Eupatorem, tak ze wszech miar niezwykła i interesująca, ani jego walki z Rzymem, które tak stanowczo przyczyniły się do zmiany i nowego ukształtowania stosunków politycznych rzymskich, ani wreszcie jego działalność cywilizacyjna na wybrzeżach morza Czarnego, tak daleko sięgająca swemi skutkami w przyszłość, nie były dotąd przedmiotem głębszych studyów lub poważniejszej monografii. Okoliczność ta, a przedewszystkiem wielkie znaczenie panowania króla Pontu dla dziejów starożytnych, skłoniły i zachęciły uczonego francuskiego do wypełnienia luki. Po przygotowawczych studyach numizmatycznych, których owocem było dzieło, wydane w Paryżu w r. 1888 pod tytułem: *Trois royaumes de l'Asie Mineure (Cappadoce, Bithynie, Pont)*, étude de numismatique ancienne, zebrał autor olbrzymi materiał źródłowy, a uporządkowawszy go i zbadawszy krytycznie, dal nam na jego podstawie możliwie dokładny i wierny obraz tych wypadków, które pod koniec I i na początku II wieku przed Chr. rozgrywały się we wschodniej połowie późniejszego imperyum rzymskiego. Oparł się zaś autor w swej pracy na trojakiemu rodzaju źródłach, albowiem obok odnośnych dzieł współczesnych i późniejszych autorów greckich i łacińskich, które oczywiście w pierwszym rzędzie zużytkował, uwzględnił także jużto w obszerniejszych zbiorach zawarte jużto w peryodycznych publikacjach ogłaszane inskrypcye, oraz monety, pochodzące z owej epoki, które studyował celem zyskania pewniejszej podstawy dla chronologii. Zbytecznem byłoby nadmieniać, że autor nie pominął także prac nowszych historyków, jak Niebuhra, Neumanna, Duruy, Edwarda Meyera, a zwłaszcza Mommsena, których badania odnoszące się do historii Rzymu, pośrednio przynajmniej dzieje Pontu obejmowały i niejednen ich punkt wyświeciły. Wogóle autor, jak to sam we wstępie na str. XV zaznacza, nie zostawił świadomie żadnego źródła bez uwzględnienia, któreby go do odkrycia prawdy zaprowadzić mogło. Jakoż przyznać należy, że pomimo trudności wywiązał się z zadania w sposób nieledwie znakomity. Dzieło p. Reinacha, obejmujące wraz ze wstępem przeszło 500 stronic, imponuje bogactwem treści, zdumiewa obfitością wyzyskanych źródeł, a pociąga i przy-

kuwa do siebie czytelnika przejrzystością układu i dziwną jakąś świeżością.

Treść jego i układ są następujące. W księdze pierwszej (całość dzieli się na pięć ksiąg); mówi autor o pochodzeniu dynastji Mitrydatesów, podaje opis królestwa ponckiego pod względem fizycznym, klimatycznym i etnograficznym, kreśli jego dzieje pod panowaniem assyryjskiem i perskiem, a następnie pod pierwszymi królami aż do Mitrydatesa IV Eupatora. Na treść księgi drugiej składają się młodość i wychowanie Eupatora, jego stosunki familijne, pomyślne walki na północnych wybrzeżach morza Czarnego, podjęte w celu obrony osad greckich przed napadami dzikich narodów północnych, ujarzmienie Bastarnów, Celtów, Getów, zdobycie Małej Armenii i Kolchidy, wreszcie wojny, prowadzone w Małej Azji, w porozumieniu i z pomocą najpierw Nikomedesa III, króla Bitynii, a następnie Tigranesa, króla Armenii — skierowane zaś głównie przeciw graniczącej z Pontem Kappadocyi. Księgę trzecią wypełnia opis pierwszej wojny z Rzymianami: Mitrydates zagarnia prowincję rzymską w Azji, przeprowadza się do Grecji, zajmuje, i ogłasza się jej władcą — lecz klęski pod Cheroneą i Orchomenos zmuszają go do zawarcia pokoju w Dardanos, gdzie przyjmuje warunki postawione przez Sullę. Księga czwarta zawiera opis monarchii Mitrydatesowej i mistrzowsko skreślony wizerunek samego króla. Przedmiotem piątej i ostatniej księgi są ostatnie zapasy z Rzymianami i tragiczna śmierć Mitrydatesa. Następuje cenny appendyks, poświęcony rozbirowi źródeł. Składa się on z trzech części. W pierwszej omawia autor źródła literackie greckie, rzymskie i armeńskie; te ostatnie nie mają, według niego, żadnej prawie wartości. Część druga zawiera inskrypcje podane *in extenso*, trzecią zaś stanowi spis medalii, pochodzących z Pontu, Bitynii i Kappadocyi. Alfabetyczny spis rzeczy zamyka wreszcie całe dzieło. Załączona mapa państwa Mitrydatesowego, pięknie wykonane wizerunki Mitrydatesa, Tigranesa i Pompejusza, plany bitew pod Cheroneą i Orchomenos i widoki miast Amazyi i Pantikapei, podnoszą w wysokim stopniu wartość dzieła, przyczyniając się do jego zrozumienia i upiększenia.

Do najciekawszych rozdziałów książki należy bezsprzecznie zaliczyć te, w których autor odmalował postać króla Mitrydatesa, stanowiącego oś opowiadania i główną figurę w całym tym historycznym obrazie. Na podstawie powierzchownej zresztą charakterystyki, którą znajdujemy u Appiana i szczegółów dotyczących osoby królewskiej a porozrzuconych u innych autorów, odtworzył p. Reinach tak dokładnie i wyraziście zewnętrzne rysy i charakter tego władcy, że czytelnik zapomina, iż ma przed sobą postać, która przed dwoma tysiącami lat na widownię dziejową wystąpiła (około r. 110 przed Chr. pierwsza wyprawa na Krym, 110 lat przed + 1890 po Chr. = 2.000 lat). Oto

owe główne znamiona Eupatora. Był to mąż olbrzymiego wzrostu, niezwyklej siły i żelaznej woli. Zapamiętały myśliwy, nieutrudzony żołnierz, większą część życia przepędzał pod golem niebem. Wysoka intelligencya i żywość usposobienia, to dominujące jego przymioty. Sąd o osobach lub rzeczach posiadał szybki a trafny; stąd w wyborze przyjaciół lub wodzów rzadko się mylił. Mistrz w wyzyskiwaniu słabości ludzkich, zdobywał miasta i podbijał narody przekonywującą wymową, wyrachowaną hojnością, a zwłaszcza tolerancją religijną i przyjmowaniem zwyczajów i upodobań pozyskanych ludów. Niedostigły był w zawiązywaniu aliansów z sąsiadami, w budzeniu rewolucyi w ościennych państwach, w tłumieniu spisków we własnym kraju.

Jako panujący, był Mitrydates niezmordowanie czynnym; nikt nad niego nie brał poważniej obowiązków króla. Był on duszą i pierwszym motorem maszyny, którą zbudował; sam nią kierował, sam w niej wszystkiego doglądał. Znajomością języków, jakimi mówiono w jego państwie, przypomina Cyrusa, szybkością pochodów wojennych Cezara i Napoleona. Był Mitrydates według potrzeby wodzem i prostym szeregowcem, admirałem floty i majtkiem, sędzią, kapłanem, wszystkim, a mimo tego nie brakło mu czasu na polowania, uczyty, dysputy filozoficzne, czytanie dzieł historycznych, uprawianie medycyny, a nawet na pisanie długich listów miłosnych do swoich kochanek!

Wielki, gdy mu szczęście sprzyjało, większym się jeszcze okazał w nieszczęściu. Niepowodzenie podwajało jego energię i odmładzało na duchu. Rozpacz i zwątpienie nigdy do niego nie miały przystępu. Stąd Rzym bał się tej jego potęgi moralnej, i dopóki Mitrydates pozostawał przy życiu, nie wierzył w ostateczne swoje zwycięstwo. Będąc ambitnym, hańby i poniżenia lękał się bardziej niż śmierci, i dlatego niepokonany choć zwyciężony, jak żył, tak umarł po królewsku.

W osobie Mitrydatesa jako władcy, było coś despotycznego, przypominającego sułtanów tureckich. Dumny bez granic, w gniewie nie znający miary, był przytem podejrzliwy, mściwy, okrutny. Mienia i życia poddanych za nic nie miał; sztylet i trucizna, to ulubione narzędzia jego polityki. Nie brak mu jednak i dodatnich stron. Umiał być nieraz wspaniałomyślnym i wdzięcznym dla tych, którzy mu się czem przysłużyli.

Wychowanie otrzymał staranne. Język i literatura grecka nie były mu obce, uchodził nawet za dzielnego mowcę. Na jego dworze bawiła nie mała liczba poetów i uczonych greckich, których własnym kosztem utrzymywał. Sam się zajmował medycyną a zwłaszcza toksikologią, którą uprawiał w celach praktycznych. Przytem wszystkim miał Mitrydates duszę artysty. Muzykę lubił namiętnie, rzeźbę i architekturę popierał i zebrał piękną kolekcję drogich kamieni, pierwszy gabinet tego rodzaju, przenie-

siony później przez Pompejusza do Rzymu. Pod względem religijnym przeprowadził w swem państwie zasadę tolerancyi.

Panowanie Mitrydatesa miało z wielu względów bardzo doniosłe znaczenie w historii. Omawia je autor we wstępie, któryby mógł i powinien stanowić raczej zakończenie dzieła, gdyby równocześnie nie był jego uzasadnieniem. Ze względu na ważność przedmiotu i trafne w ogólności ocenienie roli, jaką król Pontu w dziejach świata starożytnego odegrał, uważamy za stosowne podać tu główne myśli, zawarte we wspomnianym wstępie.

W osobie Mitrydatesa połączyły się dwie wielkie cywilizacje, które przez długi czas walczyły o panowanie nad wschodnią połową morza Śródziemnego: cywilizacja perska i helleńska. Aleksander Wielki pierwszy powziął genialną myśl połączenia ich i stopienia w jedną wyższą, lecz przedwczesna śmierć nie pozwoliła mu jej urzeczywistnić. Mitrydates, Pers z pochodzenia a Grek przez wychowanie, podjął na nowo myśl swego poprzednika. Marzył on jeśli nie o odbudowaniu całego państwa Aleksandra Wielkiego, to przynajmniej o utworzeniu monarchii, któraby obejmowała wszystkie ziemie Azji i Europy, gdzie greczyzna stała się wyłącznym językiem klas rządzących i dźwignią postępu. Perska co do dynastji, religji urzędowej i urzędzeń administracyjnych i militarnych, byłaby ona helleńską przez język, sztuki i nauki, przez cywilizację. Że to było dążeniem jego ambicyj, dowodzą nietylko rzeczywiste zdobycze, lecz także daleko sięgające kombinacje jego polityki. Jednakże w urzeczywistnieniu tego wielkiego planu natrafił on na zaporę, jakiej nie znał zwycięzca macedoński. Tą zaporą była straszna i zazdrosna potęga Rzymu, który dążył do zagarnięcia drugiej połowy świata helleńskiego. Stąd wzajemna nienawiść i walka ze strony Rzymian o panowanie nad światem, ze strony Mitrydatesa o podział tego panowania. On bowiem pragnął tylko tego, co się spokojnie, siłą faktów, stało w pięć wieków później, kiedy po śmierci Teodozyusza, imperium rzymskie, rozpadając się pod własnym ciężarem, rozdzieliło się na dwie połowy, t. j. cesarstwo łacińskie w Rzymie i cesarstwo greckie w Konstantynopolu.

Jakkolwiek się zdawało, że Mitrydates bliskim był celu — upadł, a powodem jego upadku była niższość wschodu od zachodu pod względem armii i wodzów. Lecz jeśli wszelkie wysiłki króla Pontu nie mogły odwrócić tragicznego końca, to jednak upadek jego miał dla świata starożytnego takie same następstwa, jakieby miało jego zwycięstwo.

Pierwszem z nich, bardzo ważnem, było zjednoczenie całego świata helleńskiego pod panowaniem Rzymian, właśnie w tej formie, jaką mu chciał nadać Mitrydates. Drugiem następstwem było to, że przez zupełną absorpcję hellenizmu, państwo rzymskie weszło w bezpośrednie zetknięcie z ludami wcale odrębnej rasy i zasadniczo różnej kultury, wskutek czego dawny

antagonizm Azji i Europy, uspiiony na chwilę, na nowo się zbudził. Już sam Mitrydates zainaugurował ten nowy peryod walki wiekowej, występując pod koniec rządów swoich, jako prawdziwy władzca wschodu, otoczony eunuchami i haremem, i apellujący do fanatyzmu religijnego narodów. W ten sposób był on z jednej strony spadkobiercą Aleksandra Wielkiego, z drugiej zaś zapowiadał Orodosa i Chosroesa, a przygotowywał zdala Mahometa. Trzecią konsekwencją było przyspieszenie zmiany w urządzeniach politycznych i militarynych Rzymu, co znów pociągnęło za sobą utworzenie monarchii militaryjnej, która się stała konieczną formą rządów nad światem.

Prócz tych upatruje autor jeszcze inne skutki, dalekie, mniej wpadające w oczy, a jednak nie mniej ważne, skutki mianowicie zwycięstw odniesionych przez Mitrydatesa w początkach panowania. Dając posłuch zropanczonym wołaniom Greków krymskich, pospieszył im z pomocą i zabezpieczył przed napadami hord północnych. Tym sposobem uratował cywilizację, w tych krajach roznieconą, przed grożącą jej zagładą na długie czasy.

Upatrywać jednakże dalsze jeszcze następstwa i w bosporańskim państwie widzieć zawiązek dzisiejszej Rosyi, a w osobie Mitrydatesa Piotra Wielkiego, jak to czyni autor, byłoby znaczenie działalności Mitrydatesa przeceniać, analogię zadaleko posuwać i w obec małych podobieństw o różnicach wielkich zapominać.

Zarzucić dziełu francuskiego uczonego nie wieleby można. Pewną nadobfitość w opisach miast, krajów, ludów, w ogóle w szczegółach, pozostających nieraz w dość dalekim związku z osobą Mitrydatesa i jego państwa, mogłaby się może niepodobać, gdyby nie to, że te szczegóły i opisy są bardzo ciekawe i zajmujące. W układzie książki możnaby wytknąć to, że autor przerywa opowiadanie faktów historycznych opisem monarchii i osoby króla Pontu, umieszczonym w samym środku dzieła. Lepiej i jaśniej wystąpiłaby postać Mitrydatesa przed oczyma czytelnika, gdyby stanowiła zakończenie opowiadania historycznego. Byłby przez to uniknął autor powtarzania i odsyłania czytającego do drugiej połowy książki, której mu jeszcze nie przedstawił. Historyk z zawodu nie zgodziłby się może ze wszystkimi twierdzeniami autora, dotyczącymi zwłaszcza chronologii, musi jednak przyznać, że wszystkie trudniejsze kwestye poruszył, a wiele z nich wyjaśnił, lub przynajmniej wyjaśnić się starał.

W ogólności ujemne te strony nikną w obec wielkich zalet książki, która zaspokaja zarówno uczonego, szukającego prawdy, jak i szerszego czytelnika, polującego za wrażeniami. Czyta się ją z wciąż wzrastającym zaciekawieniem, odkłada zaś z wrażeniem, iż się czytało powieść, osnutą na tle rzeczywistych wypadków a kończącą się tragicznie.

*J. Piechota.*

— *Peel*, by I. R. Thursfield (London, ed. Macmillan, 1891). — Gdy 5 lipca r. 1788, Robert Peel światło dzienne ujrzał, ojciec jego — samemu dotąd córkami obdarzony — na kolana upadłszy, w uniesieniu wdzięczności ku Bogu, zawołał: »Syna tego poświecę na służbę krajową.« A czemuż był ojciec przyszedłego meża stanu? Wielkim panem, czy może wysokim w rządzie dygnitarzem. Bynajmniej; był prostym, ale już własną pracą zubożonym fabrykantem wyrobów bawełnianych, stanu swego do końca życia się nie wstydził, ani nosa nie zadzierał, jakkolwiek, uderzony rozumem i praktycznością poglądów fabrykanta na wszelkie ekonomiczne i przemysłowe sprawy, sam Pitt niejednokrotnie rad jego zasięgał. Uważał się stary Peel przede wszystkim za *a man of business*; polityką zajmował się tylko z wypadku, a torysem był z tradycyi, zasady i przekonania. Gdyby nie wypowiedziane przez ojca wyrazy przy urodzeniu syna, byłby tenże prawdopodobnie, za przykładem rodzica, mniej więcej wydoskonalone tkal perkaliki, ale słowny a zarazem praktyczny Anglik, zaraz od najmłodszych lat małego Roberta, starał się o to, aby go wychować na użytecznego, i o ile być może świetnego »sługę kraju,« wpajając w młody jego umysł przeświadczenie, że człowiek do wszystkiego dojść może »byle chciał;« umiał zaś *chcieć* stary Peel i żelazną wolę tę w spadku synowi przekazał.

Ukończywszy nauki w szkołach i na uniwersytecie o torysowskich zasadach, dwudziesto-pięcioletni Robert już był członkiem parlamentu, a w rok potem wstąpił do służby krajowej, w czasie ministeryum lordów Liverpool i Castlereagh. Było to na samym początku ważnego w Anglii przełomu. Arystokracja, posiadająca dotąd największy w kraju obszar ziemi i największy wpływ, z niemałym zdziwieniem widziała szybko wzrastającą siłę stanu średniego, oraz potęgę zubożających się przemysłowców. »Kupcy coraz to nowe odkrywają szlaki dla rozszerzenia przemysłu; stąd i fabrykanci coraz to większą ilość wyrabiają produktów,« pisze o epoce tej angielski historyk <sup>1)</sup>. Mnożące się przytem wynalazki rozmaitych maszyn, mających wnet zastąpić pracę ręczną, przyczyniały się nie mało także do przewrotu istniejącego dotąd porządku wśród warstw ludzi na życie zarabiających.

Jakkolwiek stanowczo i do końca życia do stronnictwa torysów należący, Robert Peel, przez stosunki rodzinne zbyt często ocierał się o fabrykantów i przemysłowców, aby się z czasem nie liczyć z tym coraz silniejszym prądem czasu, i nie jedną prądowi temu dobrowolną miał zrobić koncesyję, by mu jej czasem przemocą nie wyrwano. Ustępstwa te nie tylko z konieczności, ale i przez poczucie sprawiedliwości zrobione, były Peel'owi przez ultra-torysów za apostazyę do końca jego życia policzone. Ale jeśli każda zmiana — nawet gdy ją słuszność wywołuje — ma

<sup>1)</sup> Walpole: *History of England*, vol. I. p. 50.

być uważana za sprzeniewierzenie, toćby i nawrócenie grzesznika apostazją nazwane być mogło; na tej drodze łatwo do *absurdum* dojść można. Zrozumiał to Peel, i gdy do steru przyszedł, starannie unikał rozbratu między »porządkiem« i »postępem,« dwa silne czynniki te do rydwanu swego wprzągłszy; słusznie też pisze jego biograf: »Ostatni stopień nieuczciwości politycznej stanowi chwila, w której jedynym bodźcem stronnictwa, jest niedopuszczenie jakiegokolwiek wniosku partyi przeciwnej, nie zważywszy, czy wniosek ten ma słuszność za sobą, czy jej niema.«

Karyerę polityczną rozpoczął Peel w chwili, gdy aureolą świetnie prowadzonej i korzystnie zakończonej wojny z Napoleonem, torysowie znaleźli się wobec — wielce im wstrętnej — wewnętrznej kryzys. Przyszły *prime-minister*, z wrodzonym instynktem męża stanu, w następujący sposób wyrażał się o tej epoce, pisząc do przyjaciela: »Dziwny to objaw, iż w czasach gdy publiczna opinia na publiczne sprawy tak silnie wpływa, nigdy ona z nadanych sobie praw zadowoloną nie jest. Czyżby za ciasne już były kanały, któremi płynie? Lecz kanały te rozszerzyć, nie łatwym będzie zadaniem, zwłaszcza że tym, którzy je tworzyli, nie śniło się nawet, aby miał kiedy tak niespodziewany nastąpić przypływ rozmaitych rzeczulek i potoków.« — Kilkoletnia w różnych sekcjach ministeryalnych praca, przy gruntownej znajomości spraw krajowych i ludzi sprawy te prowadzących, między innymi zaletami rozwinęła u Peel'a niezwykły dar mądrego podziału czasu; stąd nie było w życiu jego owych chwil »straconych,« o których opiewa legenda, że je dyabeł w lot chwyta i do mieszka swego chowa. Może przecuciem wiedzeni, że mają w młodym Peel'u przyszłego — i to dużo od nich świetniejszego — zastępcę, u władzy będący ministrowie krzywem okiem na niego patrzyli, zwłaszcza Castlereagh, którego mierna inteligencya nie odpowiadała wysokości położenia. Dowiedziawszy się o jego tragicznym zgonie <sup>1)</sup>, ks. Metternich w następujący sposób o nim się wyraża: »Śmierć ta prawdziwą jest klęską; dla mnie jest ona stratą niepowetowaną. Można wszystko zastąpić rozumem, wszystko, wyjąwszy *doświadczenia*. Londonderry (tak się już wówczas Castlereagh nazywał), jedynym był w Anglii człowiekiem, gruntownie ze sprawami zagranicznymi obznajomionym; rozumiał mnie doskonale. Teraz trzeba będzie długich lat, zanim znaję drugiego, co by mi równe okazywał zaufanie <sup>2)</sup>.« W tym samym gabinecie co Castlereagh, był i Canning, dużo od premiera zdolniejszy, jeszcze przez Pitt'a do torysów wciągnięty, lecz przez tychże zawsze nieco uważany za awanturnika, z powodu że za lat młodych, gorącym był podobno jakobinem. Za tego to ministeryum

<sup>1)</sup> W napadzie czarnej melancholii, lord Castlereagh przerznął sobie gardło, dnia 12 sierpnia 1822 r.

<sup>2)</sup> *Pamiętniki księcia Metternicha*, tom III, str. 556.

powierzony został Peel'owi, stosunkowo do jego wieku wysoki urząd *Chief-Secretary* dla Irlandyi; sześćioletni tamże pobyt, zapoznał go z ujemnymi i dodatnimi stronami tego kraju; ujemne odstręczyły go od Irlandyi, dodatnie wzbudziły przeświadczenie, że rząd angielski srogo Irlandczyków krzywdzi. Przeszedłszy do władzy, miał z czasem Peel niejedną z tych krzywd usunąć, co tem bardziej za jego charakterem przemawia, że do końca życia Irlandyi nie lubił. Po tych sześciu latach urzędowania, spragniony niezależności i spoczynku, podał się Peel do dymisji, lecz niebawem jednogłośnie do parlamentu wybrany, stał się w nim bardzo czynnym członkiem, zwracając na siebie uwagę głęboką znajomością wszelkich ekonomicznych i finansowych kwestyj. W ciągu r. 1846 wszedł w związki małżeńskie z córką generała Floyd, osobą intelligentną i dobrą, która mu spokój i szczęście na resztę życia do domu wniosła.

Po śmierci lorda Castlereagh, król zażądał, aby jedną z tek ministeryalnych ofiarowano Peel'owi, a gdy wkrótce potem umarł i Canning (1827 r.), lord Wellington, niemal przemocą zmusił Peel'a, aby przyjął tekę spraw wewnętrznych, spraw łada dzieł wybuchem grożących z powodu rozpoczynającej się walki o emancypację katolików. Wiedział Wellington, że kwestya ta już się długo odkładać nie da, lecz wiedział także, że prócz Peel'a nikt jej przeprowadzić nie zdoła. W samej rzeczy, przeprowadził on ją z czasem, ku największemu zdumieniu, a może i oburzeniu torysów, nie mogących tego strawić, aby równouprawnienie innowierców do skutku przyjść miało za panowania czysto torysowskiego gabinetu. Inaczej się na to zapatrywał Peel; mawiał on zawsze, że wielkie w kraju zmiany, jedynie konserwatyści przeprowadzić mogą i przeprowadzić winni, i że nie należy zostawić whigom zaszczytu ogłoszenia *billu reformy* czyli prawa, znoszącego względem katolików wiekowy ostracyzm, oddawna o pomstę do Boga wolający. Po długich i namiętnych dyskusjach w parlamencie, prawo przyjętem zostało (r. 1829) i słusznie mógł biograf Peel'a napisać: »W jednej sessyi Peel i Wellington zdołali przemódz wroga dla sprawy usposobionego monarchę, wrogi kościół państwowy, wrogą Izbę lordów, i coraz bardziej wrogą publiczność.« Poczucie sprawiedliwości, władające Peel'em w całej tej sprawie, było tem większą u niego zasługą, że miał czysto anglo-saksoński wstręt i do katolicyzmu i do Irlandyi, ale miał też i nie mniej czysto anglo-saksońską cześć dla słuszności. Niedaleka przyszłość wymownie dowieść miała, że nie tylko słuszność, ale i zmysł polityczny były po stronie ministra, a za dni naszych najzagorzalszy torys jużby nie śmiał, z ówczesnymi torysami powtórzyć, że Peel stronictwu swemu się sprzeniewierzył.

Obyczaje parlamentaryzmu są wszakże zbyt głęboko zakorzenione w Anglii, aby niepopularny gabinet długo mógł się

utrzymać. Upadł zatem Wellington i Peel, ale upadł także — i to niepowrotnie — ów torysm *à outrance*, zastąpiony odąd torysmem, stosującym się do zasady Peel'a, mianowicie: przeprowadzać konieczne w kraju zmiany i reformy, a nie pozostawiać czynności tej zawsze mniej więcej radykalnym whigom.

Tymczasem zmiana monarchy w Anglii (r. 1830) spowodowała nowe do parlamentu wybory; te zaś, pod wpływem rewolucyi Lipcowej we Francyi, wkrótce potem i w Niderlandach, nie mogły niewypaść w duchu liberalnym. Chcąc nie chcąc, musiał więc nowy monarcha Wilhelm IV (wstępujący na tron po Jerzym IV) poddać się konieczności i przyjąć ministeryum whigów. Peel, wówczas jako *leader* torysów, stanął na czele opozycyi, zabierając się do walki z tem większą żarliwością, że widział, jak dotychczasowa przewaga klas wyższych, wobec wrastającej siły liberalizmu, coraz widoczniej grunt pod nogami traciła. Walka miała być świetną, tem świetniejszą, że na horyzoncie whigów dwie nowe ukazywały się gwiazdy: John Russel i Palmerston. Lecz nie trzeba sądzić, że whig to synonim »demagoga;« bynajmniej. I na dowód tego, na czele nowego gabinetu, staje członek arystokratycznego rodu, lord Grey, do szpiku kości wielki pan, lecz zarazem *the ideal patrician leader of a great popular movement*, »ruchu« jednak do reform, a nie do przewrotu zmierzającego. Pomimo umiarkowania nowych ministrów, tym razem silniejszym przeciw od nich okazał się duch czasu, i prądem europejskich wypadków porwani, radykalni członkowie z pomiędzy whigów jeli żądać rzeczy niemożliwych, czem spowodowali w końcu rozwiązanie parlamentu. Nowe wybory wypadły wprawdzie znów na korzyść liberalów, ale świeżem doświadczeniem nauczeni, żądania swe ograniczyli oni w dyskutującej się ważnej sprawie *billu reformy*, czyli prawa, mającego różne w kraju przeprowadzić zmiany w kierunku postępu. W trudnem był położeniu Peel; siła faktów i logika konieczności, wskazywały mu wyraźnie, że koniec końcem *bill reformy* przejdzie; ale z zasady konserwatysta, wraz z całym stronnictwem, do którego należał, głosował przeciwko zmianom, mającym nadać niższemu warstwowi społeczeństwa tak szerokie prawa. Czyż jednak było można żądać, aby naród angielski szedł »stepo,« w chwili, kiedy wszystkie narody na kontynencie ewalem »galopowały?» Przyjęty zatem został *bill reformy* większością dziewięćdziesięciu głosów, t. j. dużo mniejszą większością, niż się z początku spodziewano; tkwił już bowiem zaród rozdwojenia między whigami, gdyż stronnictwo to mnogo liczyło w łonie swem konserwatystów, ci zaś, choć nie należąc do torysów, mieli nie mniejsze od nich poszanowanie tradycyi, oraz starych instytucyj angielskich, i opierali się stanowczo zbyt daleko zmierzającym zachciankom radykałów. Anormalny stan taki długo też potrwać nie mógł, i już z końcem r. 1834, Robert Peel, w Rzymie wówczas bawiący, odebrał od

Wellingtona nagłace żądanie spiesznego przybycia do Londynu, gdzie, wskutek podania się do dymisji gabinetu whigów, mianowany został *prime-ministrem*. Składając mandat poselski, wydał do dawnych swych wyborców rodzaj manifestu (*Tamworth Manifest*), uchodzący do dziś dnia za inauguracyjny program torysów, stale trzymających się zasad konserwatywnych, lecz z pewnem uwzględnieniem zaszłych w całej Europie od lat kilku zmian; uwzględnienie to — zdaniem Peel'a — służyć właśnie miało za hamulec ku powstrzymaniu partyi ruchu.

Pokazało się wszakże niebawem, że punkt ciężkości niepowrotnie przeniósł się był do Izby gmin, i czteromiesięczne ministeryum Peel'a, było nieustajacą, nieraz bardzo zjadliwą szermierką między *premierem* a *leaderem* opozycji, lordem John Russel, o którym p. Thursfield twierdzi, że cała jego strategia ograniczała się na »obalaniu gabinetów, nie będących po jego myśli.« Jakkolwiek świadom, że dni jego urzędowania były policzone, Peel do ostatniej chwili starał się, aby »mniejszość doprowadzić do tego, by była większością,« i władzy nie złożył, aż się przekonał, że dłuższe utrzymanie gabinetu było niemożliwem. Ogrom przeprowadzonej parlamentarnej pracy, przez to krótko trwające piastowanie władzy, naprowadziło kogoś z ówczesnych polityków do powiedzenia, że jak Napoleon, tak i Peel »miał swoje sto dni.«

Zająwszy po Peel'u miejsce, lord Melbourne znalazł się niemal odrazu wobec groźnych zawikłań, spowodowanych po części niebezpieczną taktyką whigów, chwilowo — jedynie dla obalenia gabinetu torysów — łączących się z radykałami. Przez tychże, sztucznie uorganizowana a na najsroźszych krzywdach oparta agitacya w Irlandyi, coraz większe przybierała rozmiary; Kanada otwarty, a Jamaika tajemny podnosiły bunt; w Syrii i w Indyach tlał żar pod popiołem, a jako dodatek do tych karystyj, fatalny w budżecie był deficyt. Budziły się przytem pierwsze objawy owego kolosalnego ekonomicznego przewrotu, znanego pod mianem *Anti-Corn-Law-League*, którego mozolne przeprowadzenie — jedna z największych zasług Peel'a — miało wkrótce zmienić cały, od wieków istniejący w kraju system handlowy. Na widok tyłu na horyzoncie czarnych punktów, obawa o spokój kraju i szczerą wola podparcia bytu monarchii, sprowadziły rodzaj solidarności między obydwoma stronnictwami. Wbrew wszystkim sympatjom swym, torysowie naginali się zwolna do nowego porządku rzeczy, byle gwałtownym zapobiedz wstrząśnieniom, whigowie zaś coraz wyraźniej zrywali z radykałami, którym tak nieopatrznie byli chwilowo dłoń podali. Nie małem to było dla Peel'a wysileniem, by jako *leader* opozycji walkę prowadzić »z umiarkowaniem,« był to bowiem charakter absolutny, nie umiejący — ani chcący — przeciwnikowi z drogi ustępować; ale równocześnie był on Anglikiem, Anglik zaś, już ze zmysłem parlamentar-

nym chyba na świat przychodzi. Gdy Melbourne podał się do dymisyi (1841 r.), młodziutka królowa Wiktorya znowu Peel'owi powierzyła złożenie gabinetu. Po raz trzeci od lat kilku władzę obejmując, Peel czuł się tym razem w całej pełni swej siły; czuł także, że siłę tę naród uznaje, co nowym dla niego było bodźcem do przeprowadzenia ważnych wewnętrznych w kraju zmian». *Polityczne* usamowolnienie średniej klasy w Anglii — pisze p. Thursfield — przeprowadziło stronnictwo whigów; lecz tychże klas *ekonomiczne* usamowolnienie, skutecznie miał Peel, i to wbrew swemu stronnictwu.«

Sprawa zniesienia cla od zboża zagranicznego nie raz już w parlamencie dyskutowaną była, lecz z powodu gwałtownej opozycji Izby lordów, nigdy rozwiązana być nie zdołała. Z ekonomicznego i etycznego punktu widzenia, sprawę tę uważał Peel za słuszną, a zarazem za nieuniknioną, i to w bliskiej przyszłości; chciał ją wszakże przeprowadzić bez wielkiego w kraju wstrząśnienia, co zadaniem łatwym nie było, bo, jak pisze Walpole: »Jakie tylko być mogły dla męża stanu przeszkody, słały się one pod nogi Peel'owi i jego kolegom»<sup>1)</sup>. Ale przeszkodom tym śmiało on w oczy spojrział, mając za sobą takich ludzi, jak Wellington, Aberdeen, a co dziwniejsza, Gladstonea, ten, w lat kilka zażarty przeciwnik torysów. Natomiast, nieumiał, czy może niechciał, użyć Peel nowego, niepomiernie już ambitnego, ale i niepomiernie zdatnego do urzędu kandydata, Benjamin Disraeliego, uważał bowiem żydowskie jego pochodzenie za niekwalifikujące się do służby krajowej (*nous avons fait du chemin depuis!*), a prócz tego miał go za człowieka niebezpiecznego. Piękne za nadobne — miał mu się Disraeli za to srogą odplacić nienawiścią.

W przedstawionym Izdom budżecie, misternie główkę wychylało przyszłe prawo *Free-trade*, lecz tak misternie, iż się nawet koledzy Peel'a nie domyślali, że sam *premier* jest przeciwnikiem »protekcjonizmu.« Znawca ludzi, a szczerzy Peel'a zwolennik, Guizot, tak o nim w *Pamiętnikach* swych z powodu zbożowej kwestyi wspomina: »Co mnie głównie uderzało w rozmowie Sir Roberta Peel'a, to owe stałe i gwałtowne zajęcie jego myśli stanem klas robotniczych w Anglii, zajęcie zarówno moralne jak polityczne, a z pod którego, przy wymowie zimnej i nieco stłumionej, wyzierał taksamo niepokój człowieka jak przezorność męża stanu.« Sir Strafford Northcote, specjalista w sprawach finansowych, nie mniej podziwiał zmysł praktyczny Peel'a w tej sprawie. Tymczasem *prime-minister* zaskarbiał sobie coraz większe w narodzie uznanie arcymądnym prowadzeniem i zagranicznej i wewnętrznej polityki, czem sobie torował z wolna drogę ku przeprowadzeniu, tak jego stronnictwu wstrętnych praw, ja-

<sup>1)</sup> Walpole: *History of England*, vol. IV.

kiemi były *Free trade Bill* i *Income Tax*. Tem samym wiedziony poczuciem sprawiedliwości, starał się on ułagodzić srogie usposobienie korony i rządu dla Irlandyi, gdzie z nim walczył, w całej wówczas swej potędze, O'Connell, nie zawsze umiejący co prawda oprzeć się pokusie bratania się z partya ruchu »młodej Irlandyi,« coraz więcej zyskującej gruntu. Tego zakroju mąż stanu, jak był nim Peel, musiał widzieć, że nie gwałtowną, do rozpaczny Irlandczyków doprowadzającą repressyą, lecz przeciwnie, łagodzącymi środkami do korzystniejszego dojdzie się rozwiązania sprawy. Na przeszkodzie jego dobrym chęciom, stanął jednak ów nieprzełamany antagonizm dwóch narodów, nienawidzących się z tego właśnie powodu, że jeden z nich krzywdził, a drugi był krzywdzonym. Najtrwalsza to podobno, z ludzkich nienawiści.

W całej wszakże politycznej karierze Peel'a, żadna kwestya takiej nie wywołała parlamentarnej nawałnicy, jak owe *corn-law*, uważane dziś za tak słuszne i proste prawo, lecz wówczas będące jeszcze dla konserwatystów istnem *horrendum*, na równi z czerwonym sztandarem jakobinów lub czapką frygijską. Jakkolwiek sam konserwatysta i torys, Peel widział w przeprowadzeniu prawa wolnego handlu, dobrobyt klas niższych, element bogactwa dla kraju, a zarazem nowy bodziec dla rolników i wogóle dla ludzi pracy. Postanowił zatem, albo na swoim postawić, albo się podać do dymissyi, miał zaś do czynienia z czynnikami przez biografa w następujący sposób illustrowanymi: *Supreme prejudice and sublime mediocrity were banding themselves together against the statesman, who had dared for the second time in his career, to postpone party to the state.* Jak za czasów dyskusyi o *emancipation-bill* dla katolików, tak i teraz w kwestyi *corn-law*, nagabywano Peel'a o zdradę stanu, piętnując go mianem »renegata.« Jeden Wellington, z cywilną odwagą starca sytego chwały, stanął jak mur po stronie Peel'a, powtarzając: »Jedyny w obecnej chwili cel mego politycznego zawodu, jest utrzymanie Sir Roberta Peel'a u władzy. Dobre rządy są dla kraju rzeczą dużo ważniejszą, niż wszelkie handlowe sprawy.« Pomimo tak poważnej podpory, czując, że mu się coraz bardziej grunt z pod nóg usuwa, Peel podał się do dymissyi, a John Russel powołany został przez królową do złożenia nowego gabinetu. Pokazało się wszakże, że pomimo większości po stronie whigów, pomimo że we własnem stronnictwie mnóstwo miał przeciwników, dłoń Peel'a tak silnie położeniem wladła, iż Russel ministeryum złożyć nie zdołał i na prośbę monarchini Peel dymisyę cofnąć musiał. Tymczasem nędza w Irlandyi, spowodowana nieurodzajem na kartofle, bunt polityczny szybko zmieniała na bunt socyalny, w połączeniu z agraryjnemi zbrodniami. Disraeli, chcąc aby sprawa wolnego handlu co najmniej »odroczoną« była, chwycił copędzej wypadki w Irlandyi, i jako najbardziej piekącą sprawę, do dyskusyi w Izbie podał. Lecz taktyka przy-

szłego *premiera*, o stałość ówczesnego *premiera* rozbić się miała. Instynktem męża stanu wiedziony, wiedział Peel, że jeśli *corn-law* nie przeprowadzi w tej jeszcze sessyi, to tak ważną dla kraju, przez niego podaną i bronioną reformę, przeprowadzą whigowie, i całą chwałę dla swego stronnictwa tym sposobem pozyskają. Po długiej więc dopiero i gwałtownej walce zamierzonego celu dopiąwszy, podał się do dymisyi, tym razem nieodwołalnie. Jeszcze mu wszakże na chwilkę jasna zamigotać miała gwiazda; w chwili bowiem, gdy tekę prezesa ministrów u stóp młodej królowej składał, nadchodziła z New-Yorku ważna depesza, donosząca, że dzięki mistrzowskiej przezorności *premiera*, srogą wojną brzemienny konflikt między Anglią i Stanami Zjednoczonymi pokojowo załatwiony został. Mógł też Peel śmiało — po wyliczeniu mnogich żalów, jakie do niego żywili przeciwnicy wolnego handlu — pożegnałną swą mowę do parlamentu następującemi słowami zakończyć: »Po robionych mi takich srogich zarzutach, sądzę, że pamięć moja przecież wdzięcznie wspominaną będzie przez tych, których przeznaczeniem w życiu jest ciężka praca na chleb powszedni, a którym odtąd przyjdzie stargane siły obfita, tania, bo już nie *ocloną* żywnością podtrzymywać, żywnością tem przyjemniejszą do spożywania, że w niej już nie będzie żadnej przymieszki dawnego poczucia pokrzywdzenia i niesprawiedliwości.« Dziwnem zrządzeniem Opatrzności, prezes ministrów torysowskiego gabinetu, z krwi i kości konserwatysta, nadał tym sposobem — może bezwiednie — pierwszy ruch prądowi, mającemu coraz bardziej arystokratyczną dotąd Anglią demokratyzować.

Póki był u władzy, rządził arbitralnie, ani na chwilę nałożonej nań odpowiedzialności z oka nie spuszczać, osobistej wszakże ambicji nie miał; miał ją za to bardzo silną dla korony, dla rządu i dla swego stronnictwa. Otrzymawszy żadaną dymisję, pisał do przyjaciela: »Szczerze przebaczam przeciwnikom moim, że ściągęli na mnie błogosławieństwo pozbycia się władzy.« Powaga jego w kraju pozostała olbrzymią; używał jej przy każdej sposobności na korzyść korony, i jakkolwiek był do końca życia torysem, nie odmawiał whigom światłej rady, gdy się o nią do niego udawali; odmawiał jej wszakże stanowczo w sprawach zagranicznych, będących wówczas w rękach Palmerstona, którego miał za człowieka niepewnego i niebezpiecznego, w czem się podobno nie mylił.

Zgon tego nie zwykłej miary człowieka, był tragiczny; wróciwszy z sessyi parlamentarnej, trwającej od 9 wieczór do 6 zrana, a chcąc się otrząść ze zmęczenia, wyjechał na konny spacer; o paręset kroków od Buckingham-Palace, spłoszony koń tak niefortunnie jeźdźca zrzucił, że pomimo natychmiastowej pomocy pierwszych londyńskich lekarzy, oraz serdecznej troskliwości zrozpaczonej żony, w parę dni po wypadku, 2 lipca 1850 r. zakończył pracowity, mozolny, ale wcalem tego słowa znacze-

niu świetny żywot, pozostawiając powszechny, nie wyjąwszy przeciwników, żal po sobie w kraju.

Zobaczmy na zakończenie, co pisze o śmierci Peel'a kanclerz Metternich: »Wypadkiem, niemogącym jak tylko wielki w Anglii wywrzeć wpływ, jest zgon Sir Roberta Peel'a. Trzymał on w ręku szale, na których ważyły się: po jednej stronie stronnictwo *spokoju*, po drugiej, stronnictwo *ruchu*. Z ubytkiem jedyne go człowieka, będącego w stanie zadanie to wypełnić, szale niezawodnie, i to niebawem, poruszać się nieomieszkają«<sup>1)</sup> Jeszcze wymowniejszy, bo wprost z serca pochodzący okrzyk, wyrwa się wówczas księciu Albertowi (Prince Consort) w liście do księżnej Kent, matki królowej Wiktorii: »Od wyjazdu waszego, spada na nas cios po ciosie. Obecnie, śmierć wydziera nam *doskonałego* (*vortrefflichen*) Peela, najwierniejszego naszego przyjaciela, najsilniejszą podporę tronu, największego męża stanu tego wieku! Znaczą cały ogrom naszej straty, i to wskutek jeszcze tak okropnej śmierci«<sup>1)</sup>. Świadcstwo takich dwóch ludzi najlepiej dowodzi, czem był Robert Peel, i w kraju i po za krajem.

A. M. L.

— *Études et récits sur Alfred de Musset*, par la Vicomtesse de Janzé. (Paris, Plon et Nourrit, 1891). — Nie przybywa nam bodaj żaden rys nowy lub nieznan do wizerunku i charakterystyki autora *Rolli*, a jednak w luźnym zbiorce, ułożonym wytworną ręką jednej z najbieglejszych dziś salonowych w Paryżu przewodniczek, przesuwa się tyle osób wybitnych, tyle słów dowcipnych lub pamiętnych, że czytelnik, nawet świadom blahości treści, czyta i doczytuje do końca z zajęciem kartki, owiane czarem niektórych nazwisk, urokiem pewnych postaci, odzwierciedlonych w miłej pogadance pani de Janzé, która pod firmą Musseta, nagromadziła co niemiara wspomnień z dni co dopiero ubiegłych, a żyjących jeszcze ustną tradycją, jakiej zachowanie jest niezawodnie zasługą. Oczywiście, należy przyjmować niniejsze opowiadania i zwierzenia *cum grano salis*, biorąc w rachubę powierzchowność sądu, drobiazgowość rozstrzelonej uwagi i niedostatek ścisłych informacji, właściwy dyletantom literackiemu wielkoświatowej damy. Dyletantom ten bynajmniej się nie troska o dokładność, nieraz z śmiałością, na którą się tylko kobiece pióro odważyć zdoła, najdziwniejsze opowiada nam rzeczy. I tak n. p. bez zatknięcia się autorka cytuje nam wiersze Jerzego Browninga, nie bacząc, iż poeta którego Anglia oplakuje nosił imię Roberta. Z innej strony, nazywa p. Waliszewskiego *un poète et orateur éminent* (znamienitym mówcą i poetą); opowiada, iż Zygmunt Krasiński w uwiel-

<sup>1)</sup> *Mémoires du prince Metternich*, vol. VIII.

<sup>1)</sup> *Das Leben des Prinzen Albert*, von Theodor Martin, II. Band.

bieniu swem dla Musseta, kilka z jego utworów przepolszczył, a wielką swą fortunę poświęcał w znacznej części niesieniu pomocy wydziedziczonym z dóbr ziemskich wieszczom, jak Juliusz Słowacki! Takich wiadomości nie brak w toku żwawej pogadanki, bo trudno inaczej nazwać, w innem świetle przyjąć i ocenić niniejszą książkę.

Autorka snąc dużo się obracała wśród polskiej w Paryżu kolonii, sympatycznie wspomina znajomych sobie naszych rodaków, i nawet z okazji pani Kalergis zapuszcza się w szerszą charakterystykę Polki, w której niezawodnie coś trafnych znalazło się rysów. „W wyższych kołach międzynarodowego towarzystwa spotkać się można z dwoma typami Polek. Jeden, pełen wykwintności rodzimej, uderza wdziękiem i przystępnością, oraz przewodnią żądzą podobania się i podbijania wszystkich. Wdźwięk to lotny i niepokojący, bo u Polki więcej bywa równowagi serca, jak głowy. We wszystkim lubi ona nadzwyczajność i wykołajenie z utartych ścieżek; uwielbia wielkie czyny, szlachetne odwagi, niepospolite talenta, gubi się w snach i uroje niach, łatwe podaje ucho wyroczniom, magnetyzerom, wierzy w wpływ szczęśliwy lub zgubny pewnych osób, gotowa ludzi się nadprzyrodzonymi zjawiskami. Lubi świat namiętnie, zrywa z nim jednak często, aby znów do niego powracać. Zmieniać otoczenia i miejsca, podróżować nieustannie, jest dla niej potrzebą i rozkoszą. Instykt to dziedziczny plemienia skłonnego do koczowniczego życia, wśród równin, kniei i piasków ojczystych, zaczętemu wszędzie ciasno i nieswojsko. Natury wrażliwej, o niesłychanej ruchliwości wyobraźni, Polka łatwo daje się unosić fantazją lub nieuzasadnionymi sympatjami. W mowie swej jaskrawej i malowniczej, używa nieraz przesadzonych wyrażen, przekraczających granice zamiaru i myśli, ale kto zna tę skłonność do przesady, już się nią omylić nie daje. Mimo zbytku świetnej przeszłości, Polka za dni naszych odznacza się wielką prostotą, a nigdy jednak nie popada w prostactwo, posiadając przyrodzoną dystynkcyę, cechę dziedziczną córek Odyna (?!) Nie zna ona snobizmu, tej plagi dni naszych. Uprzejmość jej wszystkich zdobywa, ośmiela lękliwych, ożywia milczących. Umie ona dużo rzeczy, więcej z instyktu, jak z nauki, przyswaja sobie szybko literatury wszech krajów, i we wszystkim zdradza ten nadmiar i żywotności, co w niej wre i kipi. Gardząc współzawodnictwem światowem, nie zna wyrachowania lub podejrzliwych nieufności.“ Tu autorka wspomina Emilię Plater, Klaudyę Potocką, panią Augustową i inne „wielkie Polki,“ dodając, iż rodzina hr. Chamborda pragnęła koniecznie go ożenić z rodaczką Maryi Leszczyńskiej. O innym typie Polki egzotycznej krótszą tu i przykrą znajdujemy wzmiankę. Gatunek to zaprawiony i uzbrojony do walki; pod świetnem nazwiskiem, jakie nosi, znaleźć można zawsze pierwiastek niższego pocho-

dzenia. Marzenie fortuny wypełnia jej duszę i życie, a ta szalona ambicya u wstępu życia odjęła jej zdolność kochania; w zamian posiada ona istny geniusz i zmysł do interesów. Piękna, a więcej jeszcze zręczna, ma świadomość swej siły, ukrytej pod czarem syreniego głosu; otchłań to kwiatami przysuta. Główną jej bronią i narzędziem bywa pochlebstwo, równie wytrwale jak systematyczne; zachowuje ona złudny spokój nawet w nienawiści i wyrachowaniu, kroczy naprzód z twarzą pogodną uosobionej niewinności, sięjąc niezgodę, z której korzyści się spodziewa, nie zdradzając się nigdy, nie tracąc z oczu celu, i wieniecząc niemal wszystkie swe zamiary powodzeniem.“

Zdziwić nas gotowo tak szerokie zboczenie o Polkach, w książce, poświęconej pamięci Musseta. Ale bo autorka zastosowała do swego szkicu specyficznie niewieścią metodę. „Na co nam życie, mawiała sławna księżna Belgiojoso, odkąd już w patrzących na nas oczach nie dostrzegamy miłości?“ Rzekoma więc biografia poety zasada się na wyłącznym niemal opisywaniu sercowych w jego życiu epizodów, na wznawianiu całej galeryi muz, które z kolei były gwiazdą przewodnią skolatanego życia i natelnieniem rozstrajającej się coraz bardziej lutni. Pani Sand, pani Kalergis, Rachel, ks. Belgiojoso, i inne mniej głośnie przedmioty zmiennych uczuć i hołdów Musseta przesuwają się tu jak w galeryi, pełnej zajmujących portretów. Pierwsza miłość rozstrzygać zwykła o całym życiu. Biada, komu przypadło takową zapłonąć dla pani Sand. „Kto nie skosztował miłości tej kobiety, nie zaznał prawdziwej w życiu niedoli,“ mawiali o niej współcześni. Ież ona ludzi zlamala, w ile dusz wsaczyła trwałą rozpacz i gorycz! Co za tragedia w tem spotkaniu Juliusza Sandeau i Musseta, w noc czerwcową, opodal barykad 1848 r. Zapominając o waśni i zazdrości, która ich rozdzieliła, w obec bliskiej może śmierci, podali sobie ręce i do świtu przechadzali się spolem, opowiadając sobie nawzajem tragedję ich stosunku do jednej i tej samej kobiety, która posiadała fatalny dar zatknięcia w każdym sercu, co ją ukochało, jątrzącego się przez resztę życia grotu. Pani de Janzé odmawia zupełnie pani Sand wszelkiej czułości serca. „Namiętność twórcza i piśmienna tak nią owdładnęła, iż zatraciła zarazem zdolność kochania szczerze, jedną tylko zaprzatając się myślą: układania coraz to nowych romanów. „Znajdujemy na tem miejscu znaną anegdotę o hr. Bernardzie Potockim, który pragnął poznać panią Sand, i przedstawwszy się jej, w ciągu całogodzinnej rozmowy nic innego z niej wydobyć nie zdołał, jak tylko urwane odpowiedzi, potakujące naprzemian lub przeczące. Znużony próżnemi wysilkami, aby ją rozgadać, hr. Bernard pożegnał ją wreszcie, mówiąc: „Lękam się, iż pani przeszkadzam, zwłaszcza, że jak widzę, nie tyle masz upodobania w rozmowie, ile sądziłem.“ — „Pamiętaj, panie hrabio, odrzekła zagadnięta, iż podczas gdy sam bywasz w towa-

rzystwie, aby w niem błyszczeć dowcipem, ja przeciwnie, od-poczynku tylko szukam.“

Rozdział o pannie Rachel bardzo wypadł zajmująco. Au-torka słusznie uważa, iż ta wielka artystka, z natury swej do starożytnego należała świata, i że jej talent tylko na ściśle klas-sycznym gruncie należycie się rozwijał. Posiadała ona w naj-wyższym stopniu poczucie posągowego piękna, które odtwarzała w swych ruchach i pozach, w samychże fałdach spływającej po giętkiej kibici szaty. Głos jej głęboki i poważny, nie podnosił się nigdy do krzyku, nie zniżał do sztucznego tremolo, naduży-wanego za dni naszych przez fałszywy sentymentalizm artystek dzisiejszych; zmienna z natury, z temperamentu, Rachel zmienną była i z słabości charakteru, gotowego coraz to innym podda-wać się wpływowi. Musset zajął ją sprzecznością wesołego dow-cipu i smutnego bardzo serca, co nie rzadko z sobą idzie w pa-rze, a umieszczęśliwia tych, którzy posiadają owe skrajne dary swobody umysłu i duszy znękania, dodające im tylko osobnego uroku. Ciekawym jest ustęp o rzadkiej urodzie Racheli, gdy się zważy, iż była to zdobyta siłą woli piękność. W dziecięctwie miała być zupełnie brzydką, śmiesznie niemal szpetną. „Sama opowiadała, jak widok starożytnych w Luwrze posągów dał jej poznać całą wartość i cenę piękności, jak ślubowała sobie, iż musi stać się piękną, jak przez lat piętnaście wytrwale popra-wiała nieregularność swych rysów, korzystając bacznie z od-mian, które natura nieustannie wytwarza w każdym stworzeniu żyjącem. Urzeczywistniła w sobie nareszcie fenomen stwierdzony przez wielkiego rzeźbiarza francuskiego, Pradier, który zaręczał, iż zaprzątnięcie myśli pięknem, i ciało na podobieństwo piękna kształtuje. Zdobyła sobie ona tym sposobem oryginalną i wy-jątkową urodę, zasadzającą się bardziej na wyrazie, aniżeli na plastyce rysów, tak jednak wielką, że wszystkich porywała i zachwycała.“

Księżna Belgiojoso doczekała się tu nie tylko szerszego wspomnienia, lecz i charakterystycznego, a ręką poety wykona-nego szkicu tego ideału epoki skrajnego romantyzmu. Błądź jej lica, jak wraz odpowiadała wymaganiom, a raczej wymarzeniom chwili. Mówiono o niej, iż musiała być bardzo piękną — za życia — wglądała bowiem raczej jak powracające z za świata zjawisko. Po-lityka pochlōnęła wcześniej całą jej istotę, a gdy doczekała zorzy upra-gnionej włoskiej swobody i jedności, mogła się ludzić, iż ofiarą majątku i życia, ową jutrzenkę przybliżyła. Heine sławił Włochy jako ojczyznę Rafaela, Rossini'ego i księżnej Belgiojoso, trzech postaci wielających dlań piękno Italskiej ziemi. Musset na krótko tylko uległ wdziękowi czarodziejki, a gdy potargał przelotne węzły serca, krwawy jej w oczy cisnął wiersz, opie-wający *Umarłą*, co żyć nie umiała i wypuściła z ręki księgę, z której nie nigdy nie potrafiła wyczytać.

Jak widzimy, nie brak tu pobocznych wycieczek i wizerunków, oprawiających naczelną postać bohatera niniejszej pogadanki w szereg medalionów, przypominających jego bóstwa domowe, i zmieniających wciąż zapalę i zawody młodzieńcze przedmiotu. Nie zataiła autorka i smutnego a przedwczesnego zachodu zwarzonego życia. Zdaje się jednak, że Musset miał świadomość swego poniżenia, i usiłował się zeń dźwignąć, a nawet, jak się zdaje, podźwignął się przed zgonem. „Nie nazywajcie nałogiem tego, co mi jest nieszczęściem i chorobą!“ powtarzał wobec tych, co go próbowali strofować. Na kilka miesięcy przed zgonem, wyrzekł się całkiem podniecających napojów, zapóźno jednak, aby odzyskać zdrowie, doniszczono nieroztropnem a częstem upuszczaniem krwi, wedle metody lekarskiej, dziś zaniechanej. Zwycięstwo nad sobą zdawało się rokować mu pewne odrodzenie sił fizycznych i moralnych zarazem, gdy nagle śmierć rozwiała owe nadzieje. Koniec miał chrześcijański, i ta dusza, znękana poczuciem „nieskończoności“, uspokojona wiarą i uzbrojona jej pociechami wkroczyła w progi wieczności.

Pełnym poezji jest opis tych ostatnich dni, w których marzyły się konającemu najpiękniejsze melodie Beethovena, Mozarta, Chopina, Schuberta. Mniemał, iż współlokatorka domu, w którym zamieszkał, w sąsiedztwie jak dawniej wygrywa na fortepianie arcydzieła mistrzów. Nie domyślał się, iż młoda artystka wyprzedziła go o kilka miesięcy w mogile. Nie brak takich drobiazgowych wiadomości, które mają właściwe znaczenie i urok, uzupełniając nam biografię i moralne podobizny poetów. Literackiego sądu pani de Janzé niepodobna przyjąć bezwzględnie, ani też go autorka czytelnikowi narzuca. Jest niezawodnie nieco przesady w oddawaniu Mussetowi palmy pierwszeństwa nad innych poetów francuskich, jest słuszność w wieńczeniu jego skroni niewiedniejącym laurem młodości, której dał wyraz, może nie dość czysty i podniosły, ale prawdziwy, krystalizując w czarownej formie wszystkie męki co rozrywają serca, targane miłością i wątpliwością, namiętnością i smętnością życia początków. Autorka niniejszej książki nie postawiła ulubionemu poecie trwałego posagu, nie pokusiła się o napisanie wyczerpującej biografii, ale mnóstwo rysów ocaliła od zapomnienia, i na niejeden punkt życia czy twórczości pełniejsze rzuciła światło. Brak nam tu tylko większej surowości zasad i zdania, bez której niepodobna należycie oceniać poety, który lotne swe skrzydła zbyt często zniżał do ziemskich kałów, od jakich poezya winna raczej z wstrętem się odwracać, ucząc ludzi wyższe ukochać, do wyższych tylko zmierzając ideałów.

N.

### Z literatury powieściowej.

— Teodor Jeske-Choiński: *Po złote runo*. Powieść współczesna. (Warszawa. 1891, wydawn. Paprockiego, w 8-ce, str. 261). — Autor powieści p. t. *Z miłości*, upodobał sobie widocznie tak zwaną „powieść psychologiczną,” którą w modę u nas wprowadził belletrysta francuski, Paweł Bourget, bo oto znów napisał dzieło, należące do tej kategorii, mianowicie powieść współczesną p. t. *Po złote runo*. Z góry zaznaczyć należy, że utwór ten jest jednym z lepszych, jakie wydano w Polsce w roku zeszłym, a zarazem najlepszą może z dotychczasowych prób powieściowych p. Choińskiego. Nie zresztą w tem dziwnego, że autor, jako pisarz uprawia powieść psychologiczną z coraz wyraźniejszym talentem i z wzrastającym powodzeniem. Rodzaj to, szczególniejszej przypadający do natury jego zdolności. Psycholog musi posiadać wysoko rozwinięty zmysł krytyczny. Znany zaś krytyk i polemista warszawski urodził się z tym zmysłem, a doświadczenie życiowe mogło tylko rozwinąć tę jego zdolność, żeby nie powiedzieć dar. I rozwinęły w samej rzeczy, czego dowodem — *Po złote runo*. Książkę tę pisało pióro wytrawne, doświadczenie, rozporządzające przytem bogatym materiałem z dziedziny psychologii, materiałem, który jest owocem długoletnich spostrzeżeń i badań, słowem wyczerpującej pracy przygotowawczej. Takie pióro nie mogło napisać rzeczy miernej. *Po złote runo* rzeczywiście jest też gruntownem studyum psychologicznem, zarazem oryginalnem, a to głównie dzięki temu, że teza, jaką autor obrał za przedmiot badań, nie należy do pospolitych.

— Dwa istnieją rodzaje utylitarystów i materyalistów — musiał on sobie powiedzieć, nim zabrał się do pisania — etykę mają wspólną, ale różnią się pojęciami estetycznemi. Obydwa rodzaje składają się z egoistów, którzy wyznają jedynie to, co dowiesć mogą, jak na porządnym pozytywistów wypada, a zatem bezcelowość życia i nirwanę po za życiem, i prawo używania rozkoszy ziemskich, słowem ostatnie wyniki nowoczesnej filozofii. Złoty cielec, ma się rozumieć, ma w nich absolutnych czcicieli. Ale pierwszy rodzaj liczy samych zwycięzajnych *struggler for life*, o grubych zmysłowych instynktach, podczas gdy drugi stanowi dość ograniczoną kastę sybarytów i epikurejczyków, obdarzonych wprawdzie nie szlachetniejszymi, ale bardziej artystycznymi pragnieniami i dążeniami. Bohater mojej powieści będzie typem tej ostatniej kategorii — postanowił p. Choiński, chwytając za pióro.

Z stanowczą też konsekwencją przeprowadził zadanie, jakie sobie był wytknął. Postać, około której obraca się akcja powieści *Po złote runo*, Stanisław Radziejowski od początku do końca czyni zadość programowi. Uosabia bowiem typ wycho-wańca naszej epoki, przesiąkniętego sceptycyzmem i pogardą dla społeczności, która wydaje mu się narzędziem w rękach spryt-

nych i ambitnych jednostek, wierzącego jedynie w życie doczesne i pragnącego urządzić sobie jak najwygodniej tę przelotną podróż. Różni się on jednak od zwykłego, szablonowego materyalisty. Po długim pobycie zagranicą, wraca do wsi rodzinnej, gdzie zastaje ruiny. Niezaradny opiekun i ograniczony rządca, zniszczyli i zadłużyli mu ojcowiznę. Znajduje się w położeniu przykrem. Musi dorabiać się majątku, on, który myślał, że życie spłynie mu szerokim korytem, wolne od trosk o chleb powszedni. Ani chwili jednak nie namyśla się, rąk nie opuszcza, wie co mu czynić pozostaje. Ktoby jednak sądził, że on zaprzęże się do ciężkiej pracy około roli, a z drugiej strony, że zaprowadzi oszczędności groszowe, że odmawiać sobie będzie wszystkiego, co do życia koniecznym nie jest, ten omyliłby się. Takby postąpił prostak, a Radziejowski ma się za rozumnego człowieka. — Miałbym teraz włożyć głowę w jarzmo — rozumuje on — zaprzędzę się pospołu z chłopem i bydłkiem do pługa pospolitej pracy i męczyć się drobiazgowymi interesami od świtu do nocy? I to na co? Czy po to, aby utonąć za lat dwadzieścia, trzydzieści w bezdennych czeluściach nicości, zmieszać się z prochem, jak wszystko co istnieje, organiczne i nieorganiczne? Cudowne posłannictwo, ale dla głupców, którzy wierzą w celowość i sprawiedliwość śmiesznego porządku świata. A ponieważ Radziejowski do tych „głupców“ nie zalicza się, więc zabiera resztki kapitałów — około 3000 rubli — jedzie w świat „po złote runo,“ zkąd tytuł powieści.

Jedzie naprzód do Monte-Carlo, bo sądzi, że dość być rozumnym, aby opanować kapryśne skoki hazardu. Przekonawszy się po próbie, że ruleta i *trente et quarante* nie dadzą mu pożądanego miliona, porzuca je dla innej kombinacji, a tą kombinacją jest bogate ożenienie. Dwie partye mu się przytrafiają. Jedna z nich uczyniłaby go milionerem. Niejakaś panna Sommer, córka zubożonego fabrykanta podejrzanego pochodzenia, daje mu do zrozumienia, że chętnie zostałaby panią Radziejowską. Pospolity karyerowicz i posagolowca nie namyśliłby się ani jednej chwili, ale Radziejowski, który tem nie jest, przeciwnie odtrąca narzucającą mu się pannę. Ów potomek rycerskiego rodu, rządzi się mimowoli pojęciami arystokratycznymi, odzywającemi się co chwila, pomimo demokratyzmu, nabytego w aulach uniwersyteckich, w obcowaniu z ludźmi t. zw. postępowymi i brzydki się dorobkowiecami; „ordynaryjna ich pycha“ budzi w nim wstręt, odtrąca go płaska ich trywialność. Wątpi on przytem, aby żona, wybrana wśród nowych warstw, odpowiadała jego usposobieniu, i aby mogła mu zapewnić obok dobrobytu, spokój i miłe pożycie. Dlatego zwraca się do szlachcianki jak on, do panny Stefanii Mirskiej, która choć pewny, skromny jednak tylko przynieść mu może dobrobyt i ograniczoną nieco niezależność. Z panną

Mirską lepiej mu się wiedzie, niż z ruletą. Dość łatwo osiąga cel zamierzony i wraca do kraju, jako tryumfator.

Dopiął to, do czego zmierzał. Ma teraz żonę, nietylko bogatą, ale młodą, ładną, kochającą go, intelligentną, słowem skarb, którego nawet dobrze ocenić nie potrafi, przynajmniej na razie. Osiada na wsi, u siebie, w zamiarze odpoczęcia po burzach pierwszej młodości, na łonie wygod i bezczynności. Z początku z rozkoszą używa tych wygod i tej bezczynności, tem droższych, że był przez chwilę zagrożony ich utratą; lecz wkrótce zaczyna mu ciężyc monotonność takiego życia. Nudzi się i coraz częściej budzi się w nim krew senatorów i żołnierzy, z których pochodzi. Coraz częściej też przeklina okoliczności, jakie zamknęły przed nim publiczną arenę, na której pragnąłby wślad za przodkami pełnić jakąś rolę. Próbuje dla rozrywki wrócić do kawalerskich swych zajęć, ale nie znajduje w nich dawnego wdzięku. Bo od czasu ożenienia ulega przewrotowi. Zawdzięcza go towarzysze swej. Z początku złorzeczy mu, kiedyś będzie go błogosławił. Naprzód dziwi się żonie, potem admiruje ją. Obserwując ją konstatuje, że ona zawsze jest czynna, zawsze czemś zajęta, i że jak on ani nie nudzi się, ani choruje na wielką newrozę XIX w. Wychowana po polsku, zdala od wszelkich filozofij, pani Stefania Radziejowska nie rozumuje na temat pozytywizmu, materyalizmu, negatyizmu, sceptycyzmu, utylitaryzmu i t. p., ale zadawalnia się rolą żony, obywatelki kraju, przygotowuje się do przyszłej roli matki, i to jej wystarcza do szczęścia. Za jej wpływem Radziejowski „nawraca“ się. Powoli uczy się poznawać kraj, którego nie znalazł dobrze, i ludzi, których nie rozumiał, ich potrzeby i pragnienia. Przekonywuje się nareszcie, że i dla niego znalazłaby się „robota,“ gdyby tylko chciał się do niej zabrać. Ogarnia go wielki wstyd na myśl, że dotychczas był bezczynnym i nieużytecznym sybarytą, podczas gdy mógł stać się użytecznym członkiem społeczeństwa. I w końcu zrywa z sceptycyzmem i z filozofią epikureizmu i zamienia się w prawdziwego obywatela kraju, a metamorfoza przynosi mu tem większe zadowolenie, że zacieśnia węzły miłości, łączące go z autorką tej przemiany, którą dopiero teraz rozumie i z którą teraz dopiero współczuje.

Oto w głównych zarysach, nie osnowa, ale teza filozoficzna, rozwinięta w powieści *Po złote runo*. Dzięki jej zakończeniu, powieść tę można zaliczyć do utworów tendencyjnych, spełniających misję obywatelską, jak kilka innych, które już autor ułożył w celach stronnicych, z obowiązku członka obozu konserwatywnego i antiliberalnego. Zakończenie romansu, nawiasem mówiąc, przychodzi niespodziewanie, i nosi cechy kaprysu autorzkiego. Snać p. Choiński bezwzględny nie jest psychologiem, bo psycholog może inaczej byłby skończył swe dzieło. Wolął on zasłużyć sobie na nazwę moralisty, niż na tytuł badacza duszy ludzkiej. Swoją drogą nikt nie może zarzucić p. Choińskiemu,

że był nielogicznym, opisując na ostatnich stronach swej książki „nawrócenie“ swego bohatera. Autor w osobie Stanisława Radziejowskiego scharakteryzował człowieka z krwi i kości, a nie manekina, odpowiadającego pewnym teoryom. Radziejowski nie jest też jednolitym, ale składa się z różnych czynników. Z wychowania pozytywista, idealista z urodzenia, jak dowodzi naprzykład jego wybryk w stronę Monte-Carlo, uosabia on wyraźnie naturę Polaka i do tego szlachcica z wszelkimi odrębnościami. Jako taki, mógł on doskonale za działaniem obcego wpływu przekształcić się, zwłaszcza jeżeli zauważymy, że wpływ dobroczynny na niego wywierała kobieta, i to kobieta kochana. Chyba nikt nie zaprzeczy siły, jaką wywierają na Polaków niewiasty. Stała się ona przysłowiwą.

Postać Radziejowskiego jest więc dokładną odbitką z życia, najdokładniejszą, jaką dotąd stworzył p. Choiński, który nadto więcej także życia i realizmu wlał w drugorzędne osoby, występujące w powieści *Po złote runo*, aniżeli w postaci, grające rolę w innych jego utworach. Postęp ten zwłaszcza występuje dobitnie w rysunku kobiet. O formie, w jaką ubrał autor swoje dzieło, nie wiele da się powiedzieć. P. Choiński znany jest oddawna jako dzielny stylistą. Jednakowoż w powieści *Po złote runo* starał się on o wykończenie i o nagromadzenie szczegółów drobiazgowych, których brak razi w innych jego utworach, wyglądających trochę szkicowato. Najściślejszy realizm został zachowany przy każdej scenie, przy każdym obrazie, zawartym w ostatniej powieści. Wiadomo — dzienniki o tem donosiły — że p. Choiński po dwakroć jeździł do Monako, w poszukiwaniu wrażeń. Sumienności autora zawdzięcza *Po złote runo* doskonałe opisy, jak na przykład scena w sali rulety, która kipi życiem. Przez gorączkę gry, która Radziejowskiego ogarnia, widocznie autor osobiście przechodził.

M. M.

— *Abgar-Soltan: Klub nietoperzy.* Powieść. 2 tomy. (Lwów. 1892). — Jak w każdym większym, tak i w lwowskim teatrze mimowolnie zwraca uwagę jedna z łóż parterowych scenie przyległa, gdzie nigdy jasna kobieca nie zjawi się suknia. Prędko obcego przybysza objaśnia, że to łoża zarezerwowana członkom głównego kasyna. Przypatrzeć się warto bliżej tym, co tam siedzą. Jedni starsi, a z nich niektórzy włos siwy lekliwie czernidłem przykrywają, inni młodzi, a jednak o znużonych twarzach, ziewający bez skrupułu, ilekroć na scenie dramat lub poważna komedia. Ale są tam jeszcze i inni widzowie; ci jacyś więcej rześcy, o twarzach, które wiatr stepowy opalił i słońce ogorzałemi uczyniło, z bujną zuchowatą czupryną, ciekawemi oczyma. Ci obcy trochę w kasynowej łoży, której rok cały nie widzą, z pewnym mimowolnym respektem naśladują gesta, znużenie i żarty towarzyszków. Gdy wielki artysta potrafi oddać szlachetność z zapalem, gdy na scenie ozwa się święte hasła miłości ziemi ojczystej, gdy piękna

polska komedia odsłoni ku nauce słabość lub potęgę występku, wtedy u nich pierzcha ów wyraz znudzenia i przybraonej obojętności, i ci młodzi, którzy przecież lubią i umieją szumieć i głośnemu złemu holdować, gdzieś w głębi duszy odnajdą szczerzy zapal i zdrową wesołość. I wtedy kto obserwował tych widzów, pozujących na znudzenie i przemęczenie życiem, powie sobie, że przecież jeszcze nie zamarła w nich młodość i jej zapal, i siły dosyć jeszcze, by życie skierować na dobrą drogę, gdy dusz im nie przejadła rdza cynizmu.

Pan Władysław Kierbicz, około którego obraca się cały interes ostatniej powieści Abgar-Soltana, należy do tej właśnie kategorii złotej młodzieży. Gdy się patrzy na niego, trzeba sobie powiedzieć: znałem takiego! Ale to powiedzą ci tylko, co znają Podole i tamto pod rosyjskim zaborem i nasze galicyjskie, a nie zrozumieją może typu Władysława Kierbicza mieszkańcy miast, którzy biegli raczej w cichem i dyskretnem a zachowującym formy wszelkie zepsucia, wzruszą ramionami nad autorem, co raz ukazuje bohatera swego w szale bardzo dwuznacznej zabawy i znowu na kołanach w katedrze w gorącej modlitwie się korzającego, z sumieniem pełnem wyrzutów za zapomnienie wczorajsze. A jednak to człowiek równie szczerze nurzający się w mętnych źródłach bezwzględnej, niepohamowanej zabawy, i równie prawdziwie pragnący dobrego, i takich młodych ludzi, jak Władysław Kierbicz, dużo by się znalazło między tą młodzieżą, z wybryków sławną, którą w czambuł potępia surowa cnota. Abgar-Soltan poznał też dobrze te dusze i na doświadczeniu oparł psychologiczny rysunek charakteru swego bohatera; oparł go i na tle rodzimem, co też niemało znaczy, bo i ludzie, jak kwiaty, w niewszystkich okolicach ci sami. Podole, to szerokie bujne Podole, gdzie step idzie w dal i niebo zlewa się z ziemią, gdzie oko i myśl jak rumak stepowy nie zna granic i w nieskończoności się nurza, tam na Podolu wznoszą się takie, jak Władysław Kierbicz, typy. Niepohamowani w niczem, gotowi do szlachetnych czynów, do heroizmu nawet, ale równie spragnieni i tego kielicha, co tak słodko smakuje z początku, wkrótce zaś gorycz zostawia, a czasem i jad trucizny, wychylony do dna. Władysław Kierbicz, to jeden z tych spadkobierców dobrego imienia, który na utrzymanie tradycyi dostał zmniejszony majątek i zamiast go odbudować, uszczupla, bo szalone życie, szalenie kosztuje. On potrzebuje mieć zawsze i piękne konie i dobrą kuchnię, wielki dwór ze starych sług i najmodniejsze suknie. Ale gdyby to tylko, tacy jak Władysław Kierbicz, oszczędnie nieumieli się bawić! Niestety ma on sąsiada, co mądrze i roztropnie umie zachęcić go do szaleństw i od towarzysza zabawy uzyskać i podpis na weksel i pożyczkę, to wszystko zaś z drwiącym lekkim uśmiechem. Hrabia Karol, sąsiad to i krewny Władysława, dobrze wiedzący o tem, jak wesołem może być życie, gdy się ma pieniądze; tem przykrzej, gdy ich skapi i su-

rowa matka i uległy jej ojciec. Ale od czegoż Paryż i Wiedeń wykształcili syna? Przynajmniej potrafi on jako tako na prowincyi się bawić, dzięki sprytowi swemu, co umie wyzyskać zle instyukta sąsiada. Hrabia Karol więc zakłada szalone towarzystwo *Klub niecierpzy*, który, jak nocne potwoki, w cieniu tylko żyć będzie. Kierbicz prezesem, Jaś Mądrowski, całkiem głupi a olśniony tytułem młody dorobkowiec, za blazna w niem i admiratora: ot i Karol ma towarzystwo do zabawy i lekarstwo na nudy. Ale wkrótce grozi niebezpieczeństwo klubowi. Kierbicz zajął się piękną, miłą, lecz ubogą panną. Jakże tu do małżeństwa dopuścić?! Władysław żonaty, to źle; Władysław mężem kochanej kobiety, to jeszcze gorzej; ale najgorzej, że ożeniwszy się z ubogą dziewczyną, nie da się dalej wyzyskiwać. Więc Karol przemądrze przeskadza zamiarom Kierbicza; w nim samym wzbudza przeszkodę, obawę przed ubóstwem, stara się o rzucenie złego cienia w oczach panny na niego i dlatego wciąga go w hałaśliwą hulankę. Potem już łatwo niestworzone rzeczy na karb tego w kurs puścić, co zniechęci pannę Jadwigę. A ta panna Jadwiga, urocza i piękna, waha się właśnie, komu serce ma oddać: podoba się jej Kierbicz, pociąga jego zuchowata młodość, fantazyja i zapal — ale znowu szacunkiem i całą duszą spragnioną wszystkiego co piękne i dobre, wyróżnia Walerego Zienwicza, rozumnego obywatela, wzorowego gospodarza, który choć bardzo szumiał w pierwszej młodości, potem się ocknął i stał się wzorem rozumu, prawości i pracy. Bardzo ładnie i bardzo prawdziwie oddana jest w powieści ta chwila wahania, ta gotowość uczucia w sercu Jadwigi: bardzo misterna tam ważka i bardzo nieznaczone słowo na tę lub na ową przechyli ją stronę. Władysław Kierbicz, ponieważ jest typem nieopatrzego szaleńca, co boi się jasnej decyzji, któraby raz na zawsze w tę lub ową formę ułała jego przyszłość, marnuje sposobną chwilę i przeto traci Jadwigę. Jedno słowo na czas, a byłaby go pokochała na wieki. Ale on go nie powiedział i potem przyszła plotka, co zdarła zeń ów idealny nimbus, jakim wybranego każda młoda istota otacza; potem przyszedł na czas hołd wzorowego Zienwicza i wdzięczność dla niego za odważne słowo, powiedziane w jej obronie. Cóż tedy dziwnego, że Jadwiga tego wybrała?... A jednak żal trochę tego sympatycznego Kierbicza, bo czasem nie wedle wartości, ale wedle sympatyj dobrze się życzy ludziom. Jakże bowiem Władysław dzielnie i na ostro wziął się do pracy, wtedy, gdy jeszcze miał nadzieję uzyskania wzajemności Jadwigi, jak dobrze i porządnie gospodaruje, dogląda młocarni, ulubionej stadniny, a nadewszystko jak myśli o wygodzie przyszłej swojej pani i wedle tego zmienia i układa wszystko we dworze. Tymczasem daremnie. Jadwiga go odrzuca, bo już wdzięczność i szacunek dla Zienwicza zmieniły się w jej sercu na miłość. Biedny Władysław! I żal i złość i upokorzenie w nim waleją. Wspaniałomyślnie jednak pozwala być szczęśliwym Zien-

wiczowi, a autor, chcąc nas uspokoić o los swego bohatera, nieco za prędko i trochę niespodzianie, bez wielkich narad z prawdą, logiką i psychologią, które prezydować winny przy pisaniu każdej powieści, żeni nagle pana Władysława Kierbicza z sympatyczną, wesolą panienczką, która jest i bardzo ładna i bardzo zakochana i bardzo bogata. Hrabia Karol z desperacji zstępuje jeszcze o szczebel niżej i już nie w równej, ale w niższej od siebie sferze szuka towarzyszy hulank, zaszczycając ich kieszenie pełnem zaufaniem.

P. Abgar-Soltan jest już jednym z powieściopisarzy, którzy szeroką zdobyli sobie sympatyę. Podoba się jego humor dobry i dowcipne pióro, pociąga szczery zapał i pewna poezya, która przenika każdy jego utwór. Z Podola najchętniej czerpie on swe typy i swe zajmujące powieści, z ruskich stosunków wzięte, jak *Do celu* naprzykład. *Klub nietoperzy* grzeszy czasem techniką, choć się go czyta z zajęciem. Dużo się stać może za dni kilka, bo czasem dzień jeden, a nawet godzina stanowi o latach szczęścia lub długiej niedoli, ale gdy w powieści i ludzie i wypadki zależą od woli autora, to trochę dziwnie, a dziwniej jeszcze, gdy większa część tego, co bohater doświadczył, myślał, odczuł i przeżył, zamyka się w opisie trzech czy czterech dni, które stanowią tom jeden! Gdyby można było rozsunać to wszystko, podobno budowa powieści i jej architektoniczna strona dużo zyskałaby. W tomie drugim znowu całkiem na »przybudówkę« wygląda ów cały epizod zakochania i małżeństwa Władysława, będący potrochu reminiscencyą i »Basi hajduczka« i jazdy Oleńki z Kmicicem. Ale zawsze, choć *Klub nietoperzy* nie należy do wzorowo zbudowanych powieści, jest on jedną z więcej interesujących. Wybornie w niej n. p. oddane »Stimmung« (co może najlepiej na *atmosferę* się przetłómaczy) szlacheckiego dworu, jego tradycyi i życia; doskonały jest konserwatysta stary Stanisław, tytułujący zawsze młodego pana »wielmożnym«, gdy jego antagonistą, parweniuz w klasie ekonomów, Kropielnicki, zawsze »jaśnie panie« mówi! Ogółem biorąc, powieść to z talentem wyrabiającym się napisana, w wielu miejscach za długa i trochę nużąca, ale warta poznania, a odznaczająca się nadto zaeną i pocziwą tendencyą.

M. Rawicz.

— *Ćma*, przez M. Gawałewicza. (Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1892). — Mimo pogromu Francyi, wpływ jej nie umniejszył się na szlakach międzynarodowej umysłowości. Niedawno, pewien podróżnik, zapisujący odgłosy sztucznej nienawiści podniecanej dziś we Włoszech przeciw Francyi, sprawi dził, iż gdziekolwiek mu się tam zatrzymać przyszło, wszystkie teatry pełne były sztuk francuskich, wszystkie dzienniki w odcinkach podawały tłumaczone z francuskiego powieści, wszystkie wystawy księgarskie zalecały się nowościami paryskimi. Jeżeli się tak dzieje w kraju, broniącym się chwilowo od sojuszu z Fran-

cyą i zależności od Francyi, jakże silniej jeszcze oddziaływać musi jej wpływ spotęgowany odwieczną sympatyą tam, gdzie go przyjmują chętnie, gdzie mu ulegają świadomie! W każdej niemal z naszych powieści dałby się odnaleźć pierwiastek zagraniczny, odbicie wrażeń i wpływu któregoś z mistrzów rodzaju we Francyi; ów pierwiastek pozornie zanika nieraz, przetrawiony w alembiku innych stosunków, poglądów, warunków życia i myśli, a jednak odnaleźć go i rozpoznać można, a wraz i korzyści i niebezpieczeństwa stąd płynące się ujawniają. Podziwiając bystrość obserwacyi niektórych powieściopisarzy francuskich, zarzucano im słusznie, iż zbyt często, bodaj wyłącz nie, za przedmiot swych biegłych studyów obierają sobie rzadkie tylko wyjątki charakteru i życia, okoliczności i typy niebywałe, słowem objawy sporadyczne, położenia wyjątkowe, uczucia, rozkosze i bóle, które nie często podnoszą lub łamią serca i życia, a odbiegają natomiast zwyczajniejsze tory, zaniedbują pola powszedniejszych, a więc i prawdziwszych badań. Burze namiętności i przeciwności nie są bowiem przeciętnym klimatem duszy. Szarej mgły więcej bywa w życiu, aniżeli błyskawic i piorunów. Otóż słuszną wyrażać nam przychodzi obawę, aby i nasi pisarze, idąc w ślady francuskich, nie zaczęli nas darzyć odgłosami wyjątkowych tylko przygód i przełomów, zamiast odzwierciedlać zwyklesze przeznaczenia i typy.

Wspomnieliśmy z okazji innej powieści p. Gawalewicza, jak mu się chwali studyowanie warszawskich stosunków i postaci. Alboż do tych ostatnich należy *Ćma*? Tytuł to nie oryginalny, boć przed kilkoma laty *Quida* podobnież miano nadała jednemu z najszałeńszych wybryków swej rozbujającej fantazyi. Zapewne jej *Moths (Môle)* nasunęły p. Gawalewiczowi pokrewny tytuł, który na okładce błyska nie drukowaną literą, lecz dużym, nocnym motylem, rzuconym z boku przez zręcznego rysownika. Dedykacya: *Innym ćmom!* przykre na wstępie robi wrażenie; a przykrzejszym jeszcze jest początek, zagajenie powieści rozmową przyjaciół, z których jeden rzekomo przekłada drugim akta najsilniejszego w życiu uczucia i cierpienia. Jest coś niedelikatnego w tem nawet fikcyjnem oddawaniu na łup ciekawości własnych wrażeń i zawodów, własnego serdecznego archiwum z wymienieniem nazwiska i stosunków nieszczęsnej *Ćmy*, co nawet w powieściowym utworze razi. Wogóle zaś, mnóstwo tu rysów i ustępów, szczegółów i nawet wrażeń niemiłych podnieśćby można, a znalazł się i ten brak dobrego smaku, właściwy naszym powieściopisarzom, ilekroć wstępują w zakłęte szranki wielkiego niby świata, którego mowy, obyczaju, wykwintności żadną miarą pochwycić ani przyswoić sobie nie umieją. *Ćma* — to rodzaj polskiej niby Frou-Frou, istota słaba a wyobraźnia ognista, nie okiełznana hartownem wychowaniem, zgubiona próżniaczem życiem, którą poprostu żądza wrażeń i niezdrowa ciekawość nowych wzruszeń peha na ostateczne ma-

nowce. Zrazu prosta światowość pochłania młode życie; następuje przesyty i niesmak, a balast dobrze zrozumianych i wypełnionych powinności nie równoważy nacisku złego. Autor, chcąc usprawiedliwić biedną *Ćmę*, lejącą samochcą w otchłań i płomień, kędy zginać musi, część winy, jeśli nie całą winę zrzuca na tych, „co ją źle kochali,“ a więc na rodziców, którzy psuli jedyną zkę, na męża, który jej nie zrozumiał, ani też wyrozumiał zawilszych stron jej usposobienia, na pierwszego wielbiciela, który jej nie zatrzymał na pochyłości. A namby się przeciwnie zdawało, że to nie wina otaczających ją, choćby i ślepych miłości, lecz raczej zupełny brak tego wyższego uczucia i dźwigni w niej samej, oraz samolubne uspienie serca, doprowadziło ją do zguby, do obłądki i ostatecznej ruiny. Jeśli zaś u Płoszowskiego nie tyle brak *dogmatu*, ile brak zajęcia i pracy bezpośrednim powodem rozstroju, to i biedna *Ćma* ginie marnem trzepotaniem skrzydeł, bo jej nie nauczono używać ich do lotu ku wyższym rzeczom.

Autor wplótł tu w fikcyjne opowiadanie niejedyn rys znany i zapamiętany z najsmutniejszych kart naszego towarzyskiego życia w ostatnim ćwierćwieku, co niekiedy zda się niemal odejmować bezimiennosc jego bohaterce, schodzącej wstrętnem stopniowaniem szalu aż do pospolitej awantury z włoskim tenorem, który w przystępie zazdrości wczorajszą Aidę spycha w nurty jeziora Como, bo ta niegdyś wielka pani z warszawskiego świata, w pościgu za wrażeniami, zstąpiła aż na deski teatru i spróbowwała roli primadonny w operze medyolańskiej. I w wielu rysach przewodnich charakteru i w tragice losów *Ćmy* znać też świeże przypomnienia procesu pauny Wisnowskiej, z którą bohaterka niniejszego opowiadania więcej ma zresztą podobieństwa, aniżeli z którymkolwiek z wielkoświatowych motyli, co sobie w podobny sposób osmolily czy opalily skrzydła. Do ostateczności naciągnięte przygody nieszczęsnej *Ćmy* kończą się tedy niebywałą katastrofą, a choć im daleko do realizmu, z jakim podobne przedmioty bywają traktowane we Francyi, jest go jednak dosyć w samejże osnowie, ażeby tej książce odjąć rodzime cechy właściwej naszej naturze uczuciowości i uczciwości, egzotycznym raczej znacząc ją piętnem. Psychologia *Ćmy* nie jest zresztą dość konsekwentnie przeprowadzoną; *Ćma* z natury własnej nie bywa zła, owszem, najczęściej jest nawet bardzo dobrą. Tu zaś odrazu wyrasta na poczwarkę i potworka, bez serca i uczucia; nie jej nie wiąże, nie hamuje, nie nie budzi lepszych w gasnącej duszy pierwiastków. Autorowie francuscy trafniej oddali charakter biednej *Ćmy* — Frou-Frou, zostawiając jej do końca urok dobroci i nieszczęścia. Motyl nocny p. Gawalewicza wzbudza tylko odrazę, ani na chwilę nie czarując ani poruszając litością. Nie zgadzamy się też na ostateczne wyjaśnienie jej zbrocheń i smutnego końca porównaniem do zegarka o zbyt skomplikowanym mechanizmie i kółkach lada pyłkiem zepsutych i za-

trzymanych, co niby ma przedstawiać chorobliwą zawilość nowoczesnych uczuć i charakterów. Nierównie nam się lepiej podobają zdrowsze i prostsze powieści p. Gawalewicza, górujące talentem i osnową nad tą obcą przybłądą, która pozostanie rzadkiem zjawiskiem wśród naszego, w gruncie uczciwego społeczeństwa, i ztąd nie zasługuje na osobną monografię. M.

— *Mój testament — Mea — W sercu garbuska*, przez Esteję. (Kraków, nakładem Gebethnera i Sp., 1891). — Cóżby to za nieszczęście było, gdyby się nasze polskie panny i młode mężatki, na wzór bohaterek Estei kształciły, i cóżby za niemożliwe wskutek tego było życie naszych ojców, mężów, braci, kochanków! Widzieliśmy już w powieści *Kartki z życia kobiety*, jak się nad „ukochanym“ mężem *usque ad finem* znęcała hrabina Nina <sup>1)</sup>. Dziś widzimy — pożałowania wprawdzie godną, bo nieuleczalnie na serce chorą — młodą i piękną Elsę, obchodzącą się z ojcem bez żdzbla uszanowania, dręczącą bez litości, także „ukochanego“ narzeczonego, do bezustannych łez doprowadzającą najlepszą przyjaciółkę lat dziecinnych. Elsa wie, że żyć nie może, nie więc dziwnego, że ją to do melancholii usposabia; ale dla czegoż ma ten tak krótki właśnie czas używać jedynie na umęczenie tych, których niby kocha? Nie jest to logika duszy „kobiecej“, lecz logika duszy pozbawionej wiary, logika umysłu przesyconego dziełami Bourgeta et consortes. W niektórych ustępach powieści, misternie i nie bez pewnego artyzmu przedstawione są pogańskie uczucia Elsy; ale czyż znowu taka, na wpół panteistyczna, na pół po kozacku dzika istota, kogobądź szczerze zająć może? Autorka, umiłowawszy szczerze swoją bohaterkę, chce, żeby ją i otaczające w powieści osoby kochały, ale biedna Elsa — taka jaką nam ją Estėja przedstawia — umierając, nie zostawi po sobie wielkiej próżni, kobieta bowiem nie rozumem, nie nauką, nawet nie sztuką dom zapełnia, lecz poświęceniem, dobrocią i miłością. Jest zatem Elsa okazem ciekawym, ale może Bóg da, że w tym rodzaju pozostanie unikatem.

Nie mniej, ku utrapieniu męskiego rodu, ulepili bogowie miss *Meę* Sidney, ale że ów „ród męski“ koczując aż gdzieś w Kanadzie, mniejsza dla Europy zachodzi obawa, aby się w niej zasady pięknej miss tak prędko przyjęły. Ogłasza ona *à qui veut l'entendre*, „że wcale nie widzi, aby ten utrapiony mąż, był tak niezbędnym meblem... że ta mania dobierania się parami i wędrowania po świecie we dwójkę, powinna mieć swój koniec i t. d.“ Wziąwszy sobie młodego Francuza za kozła ofiarnego, każe mu łamane sztuki robić, własne i jego życie na szwank narażając, byle tylko wzniecić zazdrość w sercu Williama Simpson, którego, wbrew ogłoszanym zasadom, szalona ta dziewczyna kocha. William, z Herkulesową siłą, zawsze na czas

<sup>1)</sup> Por. *Przegląd* z października r. 1891.

zjawiając się niespodziewanie, z niebezpieczeństwa ją ocala, lecz znając krnąbrną naturę młodej Kanadyjki, żadnem nie zdradza się wzruszeniem, starannie uczucie swe ku niej ukrywając; wskutek tej psychologicznej taktyki, nie on do Mei, ale Mea do niego się zbliży. Ładny jest tego zbliżenia opis: „Księżyc obojętnie dosyć patrzył na tę zakochaną parę, bo od tyłu tysięcy lat będąc świadkiem podobnych scen, okropnie jest zblazowany staruszek; ale obowiązek swój spełniał święcie, srebrne smugi światła rzucając na twarz pięknej miss i jej ukochanego, na wzgórza ciche, klonowe, na nurty spokojnej rzeki, na białe balkony statku.“

Uporawszy się z Elsą i z Meą, przejdźmy z kolei do najlepszego z trzech obrazków, zawartych w tomiku tym, p. t. *W sercu garbuska*. Pan Walery jest garbaty, i dlatego że garbaty, jest zły, a będąc złym, jest i nieszczęśliwym. Ludziom, gdzie tylko się uda, dokucza; nienawidzą go więc, czem im się sownie wzajemnością nienawiści odpłaca. Do tej, niedolą rozgoryczonej duszy, po raz pierwszy „po ludzku“ przemawia zacna, jak anioł czysta Marcysia, i uczuciem głębokiej litości wiedziona, odnajduje w biednym garbusku mnóstwo zalet, o których mu się nigdy nie śniło. Pod dobroczynnym wpływem Marcysi, wali się zwolna w sercu p. Walerego całe rusztowanie goryczy i nienawiści od lat tyłu wzniesione. „Aż garb się zdumiał i miał pierwszy raz ochotę schować się w myślą dziurę ze wstydu za swego pana.“ Kto gniew i wstręt do bliźniego z duszy wyruguje, ten szczęśliwszych chwil doczekać się w życiu powinien; doczeka się ich więc i p. Walery w serdecznej, wzajemnością odpłaconej dla Marcysi miłości. Szkoda też, że autorka na tej stronicznej nie zakończyła powieści, a nam nie dozwoliła nacieszyć się tem tak długo wyczekiwaniem szczęściem biednego garbuska. Szkoda, ale nie dziw; Esteja należy bowiem do dzisiejszego pokolenia, które — świadomie i nieświadomie — gdy przypadkiem promyczek szczęścia nad kim zaświeci, czempredziej promyk ten czarną zakrywa zasłoną, jakby szczęście było czemś wstydliwem. Słuszniejby może było, oraz dla ludzkości korzystniej, wstydzić się nie samego „szczęścia“, ale tej właśnie, tak dziś ogólnie przyjętej manii odmawiania wszystkiego co dobre, nietylko biednym śmiertelnikom, ale nawet dzieciom fantazy? Takim to sposobem rozsiewa się po świecie ziarno smutku — to też „i bujnie smutek powschodził“, jak opiewa stara ukraińska pieśń. Natomiast, co w końcu powiastki bardzo miłe po sobie zostawia wrażenie, to, że ta, jeszcze przed rokiem piołunem przesycona dusza, raz ogrzana ciepłym promieniem domowego szczęścia, już ciepła nie traci, do dawnej goryczy nie wraca, ale przeciwnie, zebranych skarbów litości dla bliźniego używa, utrzymując z własnej pracy chorą i niewidomą siostrę zmarłej żony. W przeprowadzeniu tego psychologicznego procesu, dała Esteja dowód rzeczywistej delikatności uczuć. A. M. L.

# Przegląd polityczny.

---

Kraków, 31 stycznia 1892.

Do wszystkich ogólnych przeglądów politycznych, pisanych w ostatnich latach, da się zastosować odpowiedź Pierrota, w *Festin de Pierre* Molierowskim: *Nous disons toujours la même chose, parce que c'est toujours la même chose*. Wobec nagromadzonych materiałów palnych, polega cała polityka obecna na staraniu, ażeby żadne zajście polityczne nie stało się zarzewiem, a dyplomacya naszych czasów zasługuje rzeczywiście na miano „straży pożarnej.“ Z drugiej znowu strony, przyzwyczaił się ogół w tak wysokim stopniu do sądzenia o każdym zdarzeniu politycznym, jedynie ze stanowiska jego niebezpieczeństwa dla pokoju, że wszelka krytyka przedmiotowa ucicha, jeżeli tylko to niebezpieczeństwo dało się usunąć.

Właśnie przy końcu ubiegłego roku występowały na jaw nowe obawy względem utrzymania pokoju, obawy, których źródła wypadało szukać głównie w zapatrywaniach kół wiedeńskich na obecny stan rzeczy w Rosyi. Z początkiem nowego roku obawy te ucichły. W Niemczech i w Austryi zaczęła z początkiem roku przeważać przekonanie, że obecne stosunki wewnętrzne Rosyi są niebezpieczne — na wewnątrz, nie na zewnątrz. Rządy austriacki i niemiecki nabierają powoli innego wyobrażenia o potędze Rosyi, jak dotychczas to miało miejsce, głównie za wpływem Bismarka. Nie ulega wątpliwości, że Rosya przewyższa pod względem zasobów wewnętrznych wszystkie państwa Europy, że jej materiał ludności jest prawie niewyczerpalny, że jej siły

żywotne są ogromne, ale pomimoto pewnem jest, że ten ogromny, imponujący organizm, znajduje się, przynajmniej obecnie, w stanie ubezwładnienia. Właśnie ostatnia katastrofa głodowa dowiodła, że organizm ten jest chory, więcej jak przypuszczano, że administracya nie wytrzymałaby żadnej ważniejszej próby, że koleje nie odpowiadają wymaganiom; że rolnictwo jest w stanie upadku, że przekupstwo grasuje na wszystkich polach czynności państwowej, że armia nie jest dostatecznie zaopatrzoną. Niechaj Rosya dzisiaj rozpocznie jaką awanturniczą akcyę, a, według obecnie panującego przekonania, musi ponieść klęskę, tem więcej, że z drugiej strony tak Austria, jak i Niemcy, mają większą ufność do własnych sił, jak dawniej. Oba państwa poczyniły przygotowania nie celem wojny, ale celem zabezpieczenia na wypadek nieprzewidzianego napadu. Oba państwa są też na ten wypadek już dzisiaj tak zabezpieczone, że nie czują obaw. Do tej ufności we własne siły, przyczynia się bezsprzecznie w wielkiej części także charakter osobisty Wilhelma II, jego przekonanie, że jest powołany przez Opatrzność do większych dzieł, a przede wszystkim jego młodość. Do wzbudzenia tej ufności, przyczynia się także panująca obecnie między Austrią a Niemcami szczerłość w stosunkach, szczerłość, jakiej początku wypadła szukać w usunięciu Bismarka, szczerłość, która zdaje się być gwarancją, że jedno państwo może w chwili krytycznej rzeczywiście liczyć na drugie. Im więcej zresztą rośnie antagonizm między Rosją a Niemcami, antagonizm wynikający już ze sprzeczności dwóch takich osobistości, jak Aleksander III i Wilhelm II, tem silniejszym staje się węzeł, łączący Austrię z Niemcami, tem silniejsza wzajemna ufność.

Nowy rok rozpoczął się więc wśród ogólnego przekonania, że pokojowi Europy obecnie nic nie zagraża, i temu przekonaniu wypadła zapewne przypisać, że większość panujących nie uważała tym razem za potrzebne wyrażać publicznie swoich chęci i nadziei utrzymania pokoju. Pocóż uspokajać, skoro uspokojenie i tak przeważa? Z wyjątkiem więc prezydenta Carnota, który przy noworocznem przyjęciu oświadczył, że „spodziewa się, iż rok 1892 będzie rokiem pokojowym i pomyślnym, w którym będą mogły rządy poświęcić się coraz ważniejszym zadaniom ekonomicznym i socyalnym,“

z wyjątkiem dalej króla Humberta, który mówiąc o traktatach handlowych, wzmiankował, że „polityczne położenie Europy da łatwo przeprowadzić to dzieło pokoju“ — reszta rządzących przy rozpoczęciu nowego roku milczała. Milczał nawet cesarz Wilhelm II, dając i tym razem dowód, że mówi przedewszystkiem wtedy, kiedy świat na to nie jest przygotowanym.

Uspokojenie umysłów było tem łatwiejsze, że w inwentarzu starego roku, jaki objął rok 1892, nie było żadnej ważniejszej sprawy międzynarodowej w zawieszeniu, któraby wymagała szybkiego rozstrzygnięcia. Na wschodzie jest poprawdzie prawie wszystko w zawieszeniu, ale już hr. Beust powiedział, że sprawy wschodnie wtedy tylko stają się groźnemi, jeżeli które z wielkich mocarstw tego sobie życzy. Same przez się nie zagrażają sprawy wschodnie pokojowi Europy, ale jedynie jako—środek do pewnych celów w ręku mocarstw. Kto wie, czy nie chciał rząd francuski użyć pod wrażeniem pierwszej chwili, sprawy wydalenia Chadournea z Bułgarii za taki środek do pewnych celów? Kto wie, czy nie miał to być pierwszy krok do rozwiązania dramatu bułgarskiego, a przez to do zmuszenia Rosyi do energiczniejszej akcji? Kto wie dalej, czy obecna katastrofa głodowa, ubieżwładniająca siły rosyjskie, nie była przyczyną, że rząd francuski po zbyt obszernej ekspozycyi, przerwał sztukę i dał zdumionemu światu rozwiązanie, na jakie widzowie nie byli przygotowani, rozwiązanie, którego blahość kontrastuje z ekspozycją? Nie chcemy bawić się polityką konjekturalną, ale zaznaczamy, że w sprawie Chadournea poniosła dyplomacya francuska klęskę, tem dotkliwszą, że przez liliputowego przeciwnika zadana. Do tej klęski przyczyniło się w wielkiej części zachowanie rządu tureckiego, który wobec reklamacyj Francyi okazał wielką obojętność. Politycy francuscy utrzymywali, że dyplomacya austriacka działała w tej sprawie wspólnie z dyplomacyą niemiecką i włoską, i że tym złączonym usiłowaniom wypada przypisać zachowanie rządu tureckiego. O ile znamy stan rzeczy, wiemy, że rząd austriacki nie występował w tej sprawie zupełnie po stronie Bułgarii. I owszem, była ta sprawa dla rządu austriackiego niemilą, albowiem zwracała znowu uwagę na Bułgarię, w chwili,

jak w Wiedniu sądzono, krytycznej. Czy Niemcy i Włochy nie stanęły w niej otwarciej po stronie Bułgarii, to inne pytanie. Włochy nie potrzebują zachowywać w sprawach wschodnich takiego umiarkowania jak Austria, ani jak Niemcy, bo im na Rosyi nie zależy; ztąd więc zapewne pochodzi, że właśnie w sprawach, dotyczących Bułgarii, występował rząd włoski dotychczas zawsze w sposób jak najprzyjaźniejszy dla rządów ks. Koburga. Co się zaś tyczy Niemiec, to być może, że hr. Caprivi postępować będzie i tutaj odmiennie od ks. Bismarka. Zachowanie Niemiec w sprawach wschodnich, zależy jedynie od stosunków między Wilhelmem II a Aleksandrem III, a w obecnej chwili nie ubiega się rząd niemiecki zbyt silnie o względy Rosyi; że zaś rząd niemiecki zaczyna w sprawach wschodnich opuszczać rolę biernego widza, jaką starał się zawsze odgrywać ks. Bismark, tego dowodem jest wystąpienie ambasadora niemieckiego w Konstantynopolu, Radowitza, w sprawie egipskiej. Kiedy umarł Tewfik, a cały świat był przekonany, że rozpocznie się obecnie szereg zawikłań, udało się głównie Radowitzowi przez osobistą interwencyę u sułtana, nakłonić tegoż do mianowania syna Tewfika, Abbasa, wicekrólem Egiptu. Przez to szybkie mianowanie, została sprawa załatwiona i w Egipcie nie się nie zmieniło, jak tylko, że w miejsce jednej marynetki na tronie, poruszanej ręką Anglii, zasiadła obecnie druga. Po Tewfiku — Abbas. *Voilà tout.*

Wśród ogólnego uspokojenia, nabierały sprawy wewnętrzne pojedynczych państw tem większego znaczenia. W Niemczech, w Austrii, we Włoszech, w Szwajcaryi, stała na porządku dziennym sprawa traktatów handlowych. Cała Europa czyniła wrażenie wielkiej izby handlowej, gdzie niemówiono o niczem innem, jak o cłach, taryfach, wywozie, wwozie itp. Czy jednakowoż nawet pomiędzy „fachowymi,” jaey zabierali głos w parlamentach, było wielu, którzy mogli byli rzeczywiście ocenić skutki ekonomiczne tych traktatów w przyszłości, wątpimy.

Traktaty handlowe, jak to już powiedzieliśmy w naszym ostatnim przeglądzie politycznym, służyły raczej celom politycznym. Z tego stanowiska je więc głównie oceniano, i z tego stanowiska wypada się zapatrywać na tak sympat-

tyczne przyjęcie, jakie znalazły one w parlamentach. Okazało się przy tej sposobności, że trójprzymierze posiada w obecnej chwili rzeczywiście zwolenników w przeważającej większości ludności państw sprzymierzonych. To, co dawniej można było uważać za frazes, używany tylko przez organa rządowe, owo wyrażenie, że trójprzymierze weszło w krew ludności, można dzisiaj, szczególnie w zastosowaniu do przymierza między Austryą a Niemcami, uważać za odpowiadające rzeczywistości. We Włoszech istnieje wprawdzie jeszcze pewna nieufność względem Austrii, ale tam przeważało znowu przekonanie, że takich ekonomicznych zdobyczy, jak w obecnych traktatach, bez tego przymierza Włochy nigdy by nie uzyskały. Ponieważ zaś sprawy ekonomiczne stoją dziś u Włochów na pierwszym planie, więc i oni zgodzili się z radością na to ekonomiczne wzmocnienie trójprzymierza, a margrabia Rudini mógł jak na teraz z czystym sumieniem przyjąć wysoki order austriacki. W żadnym parlamencie nie napotkały traktaty handlowe na znaczniejszą opozycję i to „największe dzieło historyczne ostatnich dziesięciu lat“ — ulubione wyrażenia mówców parlamentarnych przy tej sposobności — przyjęte zostało bez dłuższych debat i spokojniej, jak jakakolwiek drobna sprawa polityki wewnętrznej. Do tego braku krytyki, przyczyniła się wprawdzie także zapewne trudność krytykowania tego rodzaju spraw, mało dostępnych dla ogółu, a łatwość unoszenia się nad niemi. Panegirykiem, nie krytyką, zakończył się więc ten okres pracy parlamentów.

Jestto zresztą faktem ogólnie się powtarzającym, że sprawy polityki zagranicznej mniej roznamiętniają reprezentantów ludności, jak sprawy polityki wewnętrznej. Rzecz łatwa zresztą do pojęcia i odpowiadająca naturze ludzkiej. Właśnie w ubiegłym miesiącu mieliśmy tego dowód we Francyi. Zajęcia osobiste, należące do polityki wewnętrznej, doprowadziły tam na publicznem posiedzeniu Izby, do walki na pięści między deputowanymi, wywołanej przez to, że reprezentant władzy, minister spraw wewnętrznych, uznał za stosowne publicznie wypoliczkować mowę, na niego uderzającego. Sceny, jakie miały miejsce na posiedzeniu Izby francuskiej w dniu 20 stycznia, rzucają dziwne, ale charakte-

rystyczne światło na obecne wewnętrzne stosunki Francji. W jak dziwnych zaiste rękach muszą się znajdować dzisiejsze tam rządy. Rzeczpospolita francuska obecnego pokroju, przypomina nie rzeczpospolitą ateńską, ale republiki południowo-amerykańskie. Umiarkowany i przyjazny rzeczypospolitej *Journal des Débats* musiał sam oświadczyć, że tego rodzaju sceny, degradową Francję do rzędu takich republik. Znający zaś stosunki francuskie, oświadczają otwarcie, że większość obecnych ministrów Francji, byłaby pod względem moralnym zupełnie na miejscu także w Peru, albo Chili, albo Argentynie. Rzeczypospolite mają jednak zawsze takich władców, na jakich zasługują, i pewnem jest, że obecni tam rządzący, z wyjątkiem prezydenta Carnota, odpowiadają ogólnemu poziomowi umysłów.

Jak na teraz, miała sprawa Constansa i Laura tę dobrą stronę, że oświeciła, jak nagły błysk, smutny stan, jeżeli nie Francji, to jej sfer rządzących. Jakikolwiek jest pan Laur (bardzo nieszczególny zapewne), to w każdym razie uwierzyć trudno, że człowiek, który posłowi dał w twarz w Izbie, zostaje ministrem choćby jedną godzinę po tym bohaterским czynie. Oprócz zajęć, dotyczących osobistości, obecnie rządzących Francją, zajmowały tam uwagę publiczną sprawy religijne, a głównie sprawa stosunku rzeczypospolitej do Kościoła. Od znanego wystąpienia kardynała Lavigerie nie brak było we Francji usiłowań ze strony Kościoła o zgodę z istniejącym rządem. Pretendenci do korony, łączyli swoje usiłowania głównie z ideą religijną i konserwatywną. I Papież i biskupi, oświadczyli wyraźnie, że Kościół nie wiąże się do żadnej formy rządu, tylko od każdej żąda swoich praw. Łatwo było republikanom skorzystać z tego i duchowieństwo na swoją stronę stanowczo przeciągnąć. Zamiast tego, zaszyły ograniczenia biskupów w ich swobodzie ruchów, wystąpienie w obronie napaści włoskiej na pielgrzymów francuskich i wreszcie otwarte głośne groźby zniesienia konkordatu. Na to pięciu kardynałów francuskich ogłosiło oświadczenie, w którym staje w sprzeczności ze stanowiskiem, zajętem przez kardynała Lavigerie; biskup z Nimes wystosował znowu otwarte pismo do kardynała arcybiskupa Tuluzy, w którym wyraża zupełną zgodę na zapatrywania kardyna-

łów. Równocześnie także nakazuje biskup w Bordeaux mody przy sposobności rozpoczęcia obrad Izby francuskiej. Nie potrzeba mówić, że rozstrzygnięcie w tego rodzaju sprawach zasadniczych, winno być zostawione Papieżowi, którego mądrości zawdzięcza Kościół w przeważnej części tak znakomite stanowisko, jakie zajmuje obecnie we wszystkich państwach Europy.

Leonowi XIII zawdzięcza Kościół katolicki, że rządy wszystkich państw Europy zwracają się z ufnością ku Kościołowi, i że wszędzie przeważa przekonanie, iż zadania państwowe bez pomocy Kościoła nie mogą być spełnione. To dążenie do wspólnej działalności Kościoła z państwem, występowało w ubiegłym miesiącu na jaw także w Niemczech, a właściwie w Prusach, gdzie przedłożona ustawa o szkołach ludowych normowała w przeważnej części konfesyjny charakter szkoły i wpływ Kościoła na szkoły katolickie. Ustawa ta napotkała na silną opozycję w Izbie i na jeszcze gwałtowniejszą krytykę ze strony prawie wszystkich, jak wiadomo, przeważnie przez Żydów redagowanych organów prasy niemieckiej, i dała pozór do podania się do dymisji ministra skarbu Miquela, który przedstawiany był swojego czasu przez organa liberalne, jako *der kommende Mann*, jako właściwy następca Bismarka. Można śmiało twierdzić, że cała ta kampania przeciwko ustawie o szkołach ludowych, nie była tyle zwróconą przeciwko samej ustawie, ile raczej przeciwko ogólnej polityce Wilhelma II, w którym liberalni wyczekiwali nowego messyasza, a który coraz więcej okazuje się monarchą umiarkowanym, o zasadach konserwatywnych. Zasada konfesyjności szkoły ludowej, była w Prusach zawsze uznana, a z tej zasady wynika także zasada wpływu, jaki powinien wywierać Kościół na szkoły katolickie. Wychowanie ludu może nastąpić jedynie na podstawie religii — na to zdanie muszą się zgodzić nawet najliberalniejsi — jakże zaś wychować lud religijnie, nie normując jaknajsilniej zasady konfesyjności szkoły ludowej? Wszak szkoła i familia winny się uzupełniać. Jeżeli uważamy za potrzebne w interesie społeczeństwa i państwa, ażeby lud był religijnie usposobionym, to musimy się starać, ażeby dziecko, które nabrało w domu przekonania religijnych, w szkole w nich było utwierdzanem —

i naodwrot. Bez konfesyjności szkoły ludowej, jest praca religijna ze strony rodziców pracą Penelopy, a z drugiej strony nie może bezkonfesyjność szkoły pozostać bez wpływu już i na starszą generację, wśród której dziecko się obraca i na którą mimowoli wpływa. Nie ulega wątpliwości, że te zapatrywania odniosą zwycięstwo w izbie pruskiej i że ustawa przedłożona przez hr. Zedlitza, zostanie przyjętą na korzyść dla społeczeństwa pruskiego w ogólności, a dla społeczeństwa naszego w Poznańskim w szczególności.

Pragniemy też szczerze, żeby ten postępek rządu pruskiego dał do myślenia parlamentowi i rządowi austriackiemu.

Kwestya religijna stała także i w Rosyi z początkiem nowego roku na porządku dziennym. Prokurator synodu, znany Pobiedonoscew ogłosił sprawozdanie roczne, z którego wynika, że kościołowi prawosławnemu grozi schyzma, przez rozszerzenie sekciarstw Sztundy i Paszkowiazmu. Obie sekty są dla kościoła prawosławnego niebezpieczniejsze, jak n. p. Raskolnicy, albowiem nie chodzi przy nich o odmienną formę, ale o rozszerzenie nowych idei, o coś z rodzaju protestantyzmu. To sprawozdanie Pobiedonoscewa dowodzi, że obecny system, panujący w Rosyi, doznaje klęsk na wszystkich polach. Doznał on ich już na polu politycznym, doznał na polu finansowym. Budżet noworoczny Wyszniegradzkiego skonstatował deficyt 75 milionów, i to nie biorąc względu na konieczne zmniejszenie dochodów, wskutek klęski głodowej; obecnie okazuje się, że doznał on klęsk i na polu religii, która jest tam jak najściślej połączoną z państwem. Myliliby się jednak, ktoby sądził, że ludzie, rządzący obecnie Rosyą, wyciągną z tych smutnych doświadczeń właściwą naukę na przyszłość i zmieniają dotychczasowy kierunek. Pobiedonoscew zamieszcza w swoim sprawozdaniu zdanie, pod tym względem nader charakterystyczne: „W Rosyi ma tylko kościół prawosławny rosyjski prawo do rozszerzania się; każda inna religia albo konfessya, pociąga synów rosyjskiego ludu w koło obcych mu uczuć i zapatrywań moralnych i intelektualnych.“ Z tego zdania, które znalazło z pewnością aprobatę cara, wynika, że na tolerancję religijną w Rosyi liczyć nie można, że przeciwnie, przygotować się trzeba na nową propagandę religijną, za pomocą dobrze nam znanych środków. Praca zaś ta na

polu religijnem ma i dalej służyć celom niwelacyjnym w obrębie carstwa, bo rząd rosyjski i teraz jest jeszcze przekonany, że zbawienie Rosyi zależy od powrotu do czystego moskwiczmu. Rząd rosyjski będzie więc i nadal walczył przeciwko Polakom, Niemcom, Ukraińcom, katolikom, protestantom, żydom i sekciarzom; i nadal będzie walczył przeciwko wszelkim nowym ideom, i przeciwko znienawidzonemu liberalizmowi, jaki chciał zaprowadzić Aleksander II, a walka ta prowadzona będzie — *usque ad finem*. Charakterystycznym jest zaś objawem, że Alexander III znajduje się w tej walce i teraz jeszcze w zupełnej harmonii z przeważną większością ludu rosyjskiego, że jest on może więcej wyrazem zapatrywań tego ludu, jak narzucającym mu swoje specjalne zapatrywania. Jedyne z wieści o sprzysiężeniach, aresztowaniach i attentatach, może ludzkość, poza granicami Rosyi, wnioskować, że dążności Aleksandra III napotykają na pewien opór, a z początkiem nowego roku wieści te były coraz liczniejsze. Rozwój rzeczy w Rosyi czyni też coraz więcej wrażenie dramatu szekspirowskiego, którego ponurość rośnie z każdą sceną, a koniec dziś niewiadomy, zapewne nie będzie wesołym.

W polityce wewnętrznej austriackiej nie brak było i w ubiegłym miesiącu niespodzianek. Hrabia Taaffe jest mistrzem w sztuce *częściowego* zadość-czynienia. Śmiało można powiedzieć, że za jego rządów nie było ani partyi, ani narodowości, a może ani osobistości w zupełności zaspokojonej, ale nie było także nikogo w zupełności niezaspokojonego. Starożytny filozof powiedział, że cnota polega na średniej mierze między dwoma ekstremami. Według tej zasady, jest hr. Taaffe najenotliwszym między obecnymi mężami stanu. Ktokolwiek więc sądził, że nominacya hr. Kuenburga ministrem bez teki, będzie wyraźnym zwrotem hr. Taaffego ku lewicy, ten zapoznawał w zupełności ową przewodnią ideę hr. Taaffego. I w rzeczywistości, zaraz po nominacyi hr. Kuenburga, nastąpiła nominacya prof. Bilińskiego na generalnego dyrektora kolei państwowych, a po zapowiedzi, że minister hr. Kuenburg będzie brał udział w obradach klubu liberalnej lewicy, nastąpiła zaraz zapowiedź, że minister hr. Falkenhayn będzie obecnym na posiedzeniach klubu konser-

watywnych. W ten sposób i koza była cała i wilk był, albo musiał udawać, że był syty. Ministerstwo hr. Taaffego jest więc w obecnym składzie rodzajem *mixtum compositum*. Obok ministrów, którzy nie są mężami zaufania pojedynczych klubów, a więc pp. Bacquehema, Gautscha, Schönborna, Welsersheimba, znajdują się jako mężowie zaufania trzech największych klubów, stanowiących większość parlamentarną: pp. Falkenhayn, Kuenburg, Zaleski, a nad wszystkimi unosi się hr. Taaffe. Do złączenia trzech klubów w parlamencie nie przyszło, ale za to przyszło do złączenia mężów zaufania tych trzech klubów pod jednym dachem rady ministrów na Herrengasse. Byliśmy w ten sposób świadkami strategicznego obejścia pozycyi, na razie nie do wzięcia, przyczem pp. Falkenhayn i Zaleski awansowali do rangi parlamentarnych ministrów. Zachodzi jedynie pytanie, czy ci mężowie zaufania klubów w radzie ministrów, będą na przyszłość zastępować zasady i życzenia hr. Taaffego wobec swoich klubów, czy też naodwrot, zasady swoich klubów wobec hr. Taaffego... Minister lewicy hr. Kuenburg oświadczył w mowie, jaką miał w klubie lewicy, że postępować będzie według tej ostatniej zasady, a jako wyjście z dylematu, podniósł równocześnie, że będzie ministrem „austryackim.“ Wzmiankowana mowa hr. Kuenburga, była w ogóle pod wielu względami ciekawą. Minister, który oświadcza, że postępować będzie przede wszystkim według życzeń szefa opozycyi, który oznacza dalej obecny stan rzeczy w polityce wewnętrznej austryackiej, jako „fazę przejściową,“ który nie chce przyjąć odpowiedzialności za nominację generalnego dyrektora kolei państwowych, którato nominacya już za czasów jego ministerstwa została ogłoszoną — taki minister należy z pewnością do rzadkości, nawet w Austrii.

Więcej niż gdziekolwiekbydź indziej, ma jednak zastosowanie w Austrii przysłowie niemieckie: *Es wird nichts so heiss gegessen, als es gekocht wird*. Pomimo tej mowy hr. Kuenburga, można więc uważać za rzecz pewną, że znajdzie i ten minister i lewica *modus vivendi* nawet w obecnej „fazie przejściowej.“ Rzeczą zaś będzie innych klubów, ażeby ta „faza przejściowa“ trwała jak najdłużej.

Lewica liczy na to, że Młodoczesi, którzy już rzeczywiście doszli do najwyższego szczytu opozycyi, będą prędzej czy później zmuszeni wystąpić z parlamentu, ażeby utrzymać ciągle więcej wymagającą popularność między wyborcami. Po wyjściu Młodoczebów, będzie, według rachunku mężów lewicy, mogła zostać utworzona większość z lewicy i z — Polaków. Jak nateraz, śmiało możemy twierdzić, że lewica *macht die Rechnung ohne—die Polen*. Równocześnie utrzymują się ciągle pogłoski o powołaniu p. Plenera na jeden z wysokich urzędów państwowych, a według naszych informacji, są te pogłoski uzasadnione. Przygotowują się więc w dalszej przyszłości dalsze zmiany, i bacznie trzeba mieć oko, ażeby nie dać się zaskoczyć nowym niespodziankom, w które obfituje rząd hr. Taaffego.

Oddawna przywykliśmy nie wyglądać politycznych zdarzeń z Wielkopolski. Kraj stłumiony żelazną ręką Prus, garstka posłów skazana z góry na to, by była zawsze maleńką mniejszością, sztuka i mądrość polityczna zasadzająca się na tem, żeby trwać i ten stan rzeczy przetrwać—oto co przez długie lata było tam do widzenia i do zapisania. Niespodzianie kraj ten znalazł się wobec zmian, które mają polityczną wagę, bo mogą mieć polityczne skutki, i znalazł się wobec niemałych politycznych trudności. Naprzód zszedł z dawnej drogi absolutnej opozycyi i biernej protestacyi; powiedzieliśmy już nieraz, że zdaniem naszym zwrot ten był potrzebny i roztropny. Jakie powody wpłynęły na rząd pruski, że ze swojej strony zrobił krok ku porozumieniu się z Polakami? to jego tajemnica. Ale kroki takie rzeczywiście są. Pierwszym było pozwolenie na *prywatną* naukę języka polskiego w szkołach ludowych. Nie lekceważymy tego ustępstwa, owszem, cenimy je jako znak i jako zadatek; ale więcej widzieć w nim jeszcze nie możemy. Jestto bowiem dopiero akt tolerancyi, nie zaś przyznanie prawa; a w praktyce koncessya ta wiele znaczyć nie może, bo tę naukę prywatną rodzice uczniów muszą osobno opłacać, co na wsi jest rzeczą bardzo uciążliwą, a często niemożliwą. Jakkolwiek-bądź, był w tem dowód, że usposobienie sfer rządzących nie jest tak nienawistne, jak było za czasów ks. Bismarka. Większym i istotnie bardzo znaczącym dowodem było wynie-

sienie Polaka na arcybiskupią stolicę gnieźnieńską i poznańską. W swoim czasie witaliśmy z radością wiadomość o tej nominacyi; dziś zapisujemy taksamo fakt dokonany. Konsekracya arcybiskupa Stablewskiego w Gnieźnie, i jego ingres do poznańskiego tumu, odbyły się z wielką uroczystością, w obecności rzez można całego kraju, który nader licznem zebraniem okazał, że rozumie i ceni znaczenie tego faktu, że przy swoim nowym pasterzu stoi cały wiernie, statecznie, z przekonaniem i postanowieniem. Przebiegu tych uroczystości nie opisujemy; zrobiły to pisma codzienne. Summarycznie tylko wskazujemy znaczenie faktu i następstwa, jakie on za sobą pociągnąć musi.

Co do znaczenia naprzód, zbytecznie mówić, że jakiegokolwiek były powody, zawsze był to akt dobrej woli ze strony cesarza Wilhelma i jego rządu, a dla nas fakt pomyślny. Zdawało się rzeczą nie do przypuszczenia, iżby po zmarłym arcybiskupie Niemcu, rząd dopuścił na tę stolicę Polaka, i za dawnych rządów z pewnością najusilniejsze starania Ojca św. nie byłyby odniosły skutku. Dziś nietylko rząd zgodził się na Polaka, ale — i to podobno z własnej już woli i inicjatywy cesarza — proponował kandydata, który przez lat kilkanaście jako poseł, jako znakomity polityczny umysł i mowca, stał zawsze w pierwszym rzędzie obrońców kraju a przeciwników rządowego systemu. Niepodobna w tem nie widzieć i nie uznać usposobienia, zmienionego na lepsze; i tak też rozumiała to cała ludność kraju. Składała ona hold czci i wierności Arcybiskupowi, ale nie tała, że po raz pierwszy, od czasów bardzo dawnych, czuje wdzięczność dla króla pruskiego. Stosunki wzajemne władz i kraju stały się mniej naprężone, uprzejmiejsze. Z obu stron jest zrobiony krok do jakiegoś zbliżenia, i z obu — zdaje się — jest jego chęć. Jestto więc w każdym razie na dziś położenie polityczne zmienione; czy zmiana rozwinie się, dojrzeje i sprowadzi dalsze skutki, to rzecz przyszłości. Ale bezpośrednio następstwem tej poczętej zmiany, są (jak zawsze) ogromne trudności. Przedewszystkiem niewiadomość, jakie są zamiary rządu, a jeżeli szczerze dobre, jak daleko on w nich iść zamierza? Dotąd nominacya arcybiskupa jest jedynym faktem rzeczywiście znaczącym; ale ten fakt nie zmienia jeszcze

nie w stosunkach prawnych kraju. Co będzie dalej? czy językowi przywrócone będą prawa? Czy urzędnicy, sędziowie, nauczyciele, będą mogli pełnić służbę na swojej ziemi lub nie? Czy komisya kolonizacyjna zmieni swój cel i charakter? To wszystko niewiadome; a jak długo niewiadome, tak długo ufność ze strony polskiej zupełną być nie może. Ciesząc się z tego co się stało i przyjmując to wdzięcznie, musi ten kraj pytać z obawą, co się stanie dalej? i dlatego w postępowaniu swoim musi być bardzo oględnym. Nie posuwać się zbyt skwapliwie w radości i wdzięczności; nie zaniedbać znowu tego, co może okazać, że ma szczerą chęć porozumienia. Trzeba wystrzegać się zarówno tej łatwowierności, w którą wpadliśmy przed stu laty, jak postawy sztywnej i odstręczającej. Granica między jednym a drugim, jest tak trudną do oznaczenia i do zachowania, że najczujniejszy takt, najdojrzała rozstropność stają się koniecznością i powinnością. Dotąd potrzeba ta była zrozumianą w teorii, a ta miara zachowaną w praktyce, tak powszechnie i tak doskonale przez całą znaczącą część ludności i opinii, że można spodziewać się ich i nadal.

Na tle tej trudności ogólnej i wspólnej, rysują się dopiero trudności poszczególnych osób i stanowisk—przede wszystkim areybiskupa samego. Jego rozstropność i zdolność jest zbyt doświadczona, iżby o niej mówić było potrzeba. Wszystkie jego słowa i kroki, od pamiętnej mowy na wiecu katolików w Toruniu, aż do pięknych i mądrych listów pasterskich, aż do drobniejszych przemówień (jak n. p. *zdrowia* Papieża i cesarza, w niektórych dziennikach przekręcone niedopoznania) odznaczały się właśnie tą szczęśliwą miarą i tą głęboką rozstropnością, której potrzeba. Ale choć człowiek trudnościom sprosta, to niemniej walkę z niemi może mieć ciężką. Z rządem dobre stosunki utrzymywać i musi, i powinien; dla katolików Niemców w swojej dyecezyi, musi być pasterzem tak czujnym i gorliwym, jak dla Polaków—inaczej nie byłby dobrym biskupem. Te jego powinności zaś, przy antagonizmie polskiej i niemieckiej ludności, i przy naszym drażliwym usposobieniu, mogą nie być należycie rozumiane i uwzględnione. Zależy też na tem niezmiernie, i naszym jest obowiązkiem, położenie areybiskupa dobrze rozu-

mieć, i nie utrudniać go, lecz owszem ułatwiać zrozumieniem i zaufaniem. On stał się wyrazem tego politycznego zwrotu i główną w nim osobą; dalsze działanie będzie prawdopodobnie około niego się skupiać i rozwijać. Religijny, jak polityczny nasz interes wymaga koniecznie ufności, poparcia, pomocy dla niego.

Dalszym czynnikiem w tych trudnościach, jest stanowisko cesarza Wilhelma. Nie dlatego tylko, że on sam niewiadomy, nieprzejrzany, niewypróbowany jeszcze, ale i dlatego wielce, że i on nie wszechmocny. Ta nowa droga, na jaką wszedł w stosunkach kościelnych i polskich, zwraca przeciw niemu potężną część opinii niemieckiej, której droga Bismarka wydaje się jedyną bezpieczną. Uroczyste przyjęcie arcybiskupa przez cesarza, przysięga przez niego samego odebrana, rzecz niesłychana w Berlinie, dołało oliwy do tego ognia. Protestancka zazdrość i pruska passya, wzburzone są przeciw cesarzowi. Łatwo więc być może, że jeżeli cesarz zechce tą lepszą drogą iść dalej, to spotka się z oporem do przewyciężenia trudnym. Znowu więc dla nas wynika ztąd potrzeba miary w żądaniach i taktu w naleganiu, roztropnego wyboru i chwili i środków. A z drugiej strony potrzeba tegosamego taktu, żeby nie cieszyć się i nie dziękować za nadto, bo w takim razie mogłoby się wydawać, że już wszystko spełnione, wszystkie żądania zaspokojone. Wreszcie konieczność oczywista, którą wskazywać prawie zbytecznie, ta, żeby tego dziś lepiej usposobionego cesarza niezem nie zrazić, nie odstręczyć, nie spłoszyć. Pod tym względem mamy uwagę do zrobienia nie Wielkopolanom, którzy dotąd, ile wiemy, w postępowaniu swoim żadnego błędu nie popełnili, ale naszym pismom galicyjskim. Nie było zręcznie, ani właściwie oznaczać nowego arcybiskupa tytułem Prymasa. Rzecz jest powszechnie wiadoma, że ten tytuł był jednym z wielkich powodów prześladowania kardynała Ledóchowskiego, że dla rządu pruskiego on jest drażniącym, wyzywającym. Nie chcemy zapewne ani cesarza Wilhelma drażnić, ani psuć stosunku, jaki pomiędzy nim a arcybiskupem Stabilewskim wyrabiać się zaczął? Ten tytuł, nam do wymówienia lub napisania przyjemny, może być użytym przeciw arcybiskupowi i po-

służyć niechętnym do psucia tego stosunku. Z naszego zaś własnego stanowiska, nie powinniśmy nim szafować. Jeżeli bowiem arcybiskup gnieźnieński ma być uważany za naszego Prymasa, to w takim razie był nim i zmarły ksiądz Dinder, najszanowniejszy, wyznajemy to szczerze, ale jednak temu pojęciu nie odpowiadający. Kilkakrotne użycie tego tytułu w głosach galicyjskich, uważane było w Poznaniu za błąd, mogący tam przynieść istotne szkody.

Streszcza się więc ta zmiana w słowach następujących. Wielkopolska weszła na nową drogę polityczną, musi zdawać sobie z tego sprawę i przyjąć logiczne następstwa swego postanowienia. Chce porozumienia z rządem niemieckim i spodziewa się ztąd dobrych skutków; skutki te może osiągnąć tylko przez postępowanie, istotnie pojednawcze. Musi zatem i państwu w jego interesach być życzliwą i pomocą, i nie zrobić nic takiego, coby drugą stronę mogło drażnić albo niepokoić.

Ale ta droga, naszym zdaniem, roztropnie i słusznie obrana, bo jedyna dla tego kraju, ma kres zakryty. Nie wiemy, jak daleko ona idzie, i odkryć tego nie jesteśmy w możności. Oprócz tego jest wzgląd drugi, ten, że mamy do czynienia z żywiołem bardzo silnym, a nam od wieków bardzo nienawistnym. Jego interes, dobrze zrozumiany, mógłby w tym razie być rękojmią jego rzetelności, ale tego nie wiemy, jak on głęboko jest zrozumiany, a mamy powody mniemać, że nie jest zrozumiany powszechnie. Zatem porozumieć się potrzebujemy, chcemy, i możemy — ale ufać i dowierzać nie możemy, i nie prędko będziemy mogli. W przyszłości, po wielu faktycznych rzeczywistych dowodach dobrej woli i dobrej wiary — może! Dziś nie. Z tego wynika, że powinniśmy postępować względem rządu i państwa z dobrą wolą i dobrą wiarą, ale bez łatwowierności, bez złudzeń, trzeźwo, ostrożnie, z zimną krwią. *Ne quid nimis* w uprzejmości, jak w sztywności, w żądaniach i naleganiach, jak w umiarkowaniu i wyrozumiałości; zachować się rzetelnie i uczciwie, ale na rzetelność strony drugiej mieć zawsze oczy otwarte; nie mieć nerwów, i nie wpadać w niecierpliwość i gniew na swoich, czy na tamtych, jeżeli się zdarzy (a zawsze zdarzyć się musi) coś, co nam się nie spodoba i będzie nieprzyjemnem

i pod takim wrażeniem drogi nie zmieniać, ani jej sobie nie utrudniać.

Łatwo to nie jest, ale nie jest niemożliwe. A na koniec powiemy z całego serca, krajowi, i jego posłom, i jego duchownemu Pasterzowi: „Daj Boże szczęście.“

\* \* \*

## NASZE GIMNAZYJA I RADA SZKOLNA KRAJOWA.



Jesienią 1890 r. ogłosiła Rada szkolna krajowa sprawozdanie o stanie szkół średnich tak dokładne, otwarte i szczere, tak jasno wskazujące na braki naszych szkół i na środki, któreby mogły im zapobiedz, że musiało to zwrócić żywą uwagę wszystkich interesujących się szkolnictwem średnim tj., jak u nas, głównie gimnazyjami. Przedłożone urzędowo sejmowi, sprawozdanie wywołało w jego komisji szkolnej obszerną i wyczerpującą dyskusyę, zakończoną i tam i w sejmie samym wyrażeniem uznania i wdzięczności dla Rady szkolnej i kierunku jej pracy. Do tej dyskusyi i poprzedniego sprawozdania nawiązuje nowe *Sprawozdanie c. k. Rady szkolnej krajowej o stanie szkół średnich galicyjskich w r. szkol. 1890/91*, które się ukazało świeżo (Lwów, 1891, str. 30 i XXV, 4-to) i które mamy właśnie przed sobą. Stwierdzając we wstępie tę łączność z poprzednim sprawozdaniem, obecne nowe uważa za zbyteczne powtarzać to, co tam już wypowiedziano, natomiast daje w postaci wstępnych uwag ogólny pogląd i streszczenie głównych zasad, przewodniczących działaniu dzisiejszej Rady szkolnej i w końcu wzywa do dyskusyi, słusznie twierdząc, że „poważna i szczerza dyskusya spraw szkolnych w publicystyce“ może i powinna rozproszyć błędne o nich wyobrażenia, a tem samem przynieść skuteczną pomoc Radzie szkolnej w staraniu o pomyślny szkół rozwój.

Wstęp ten zatem jest poniekąd programem Rady szkolnej. Wypowiada w nim ona przekonanie, że pomyślny rezultat wychowania szkolnego zależy od nauczycieli i sposobu nauczania, jakoteż od współdziałania ze szkołą domu rodzicielskiego i społeczeństwa, nierównie więcej, niż od jakiejś bądź zmiany systemu i planu nauk w szkołach; wskazuje zatem, w jaki sposób na te czynniki zwraca uwagę, nie oglądając się na teraz na możliwą w przyszłości zmianę systemu.

Zdaniem naszym jest to stanowisko jedynie słuszne. Możliwa w przyszłości zmiana ustroju i planu nauk w gimnazjach przedstawia się dotychczas w zarysach tak mglistych i tak nieuchwytnych, że byłoby to błędem zasadniczym, gdyby się zarząd szkolny chciał już dzisiaj z nią liczyć, gdyby w oczekiwaniu jej i przewidywaniu zaniedbał uczynić wszystko, co tylko można, aby dzisiejszy system wszechstronnie rozwinać, wyzyskać i w wykonaniu udoskonalić. Gdzieindziej toczy się już od lat wielu dyskusya nad tem, w jaki sposób i w jakim kierunku możnaby istniejący dziś system gimnazyalny zmienić zasadniczo; nigdzie jeszcze dotychczas, o ile wiem, do praktycznych i pozytywnych wyników dyskusya ta nie doprowadziła. U nas dotąd wcale jeszcze nie było dyskusyi takiej, poważnej i wyczerpującej, któraby dała jakiegobądź konkretne wskazówki do zmian przyszłych; wszelkie zatem projekty zmiany musiałyby występować poniekąd po omacku—i dlatego Rada szkolna czyni słusznie, że od nich usuwa się na teraz zupełnie. To bowiem nie podlega najmniejszej wątpliwości, że zanim zarząd szkolny może wziąć pod rozwagę jakiegokolwiek zmiany zasadnicze, musi wprzód mieć poniekąd uторowaną drogę do tego przez rozległą dyskusyę w pismach fachowych lub w ogóle w dziennikach, przez dokładnie obmyślane i umotywowane projekty osób lub korporacyj prywatnych ze szkolnictwem należycie obznajomionych, lub nawet, co jeszcze lepiej, przez prywatnie podjęte i przeprowadzone próby praktyczne wprowadzenia w życie odmiennego systemu. Dyskusya nad tem jest więc niezaprzeczenie pożądaną, choćby w tym celu, żeby się wyklarowały niejasne o tem wyobrażenia, żeby sobie zdać sprawę z granic, w jakich się powinna obracać.

W braku bowiem dyskusyi gruntownej i poważnej

o zmianie systemu, u nas słyhać tylko niejednokrotnie dorywcze zarzuty i krytyki dzisiejszego planu nauk i zamysły, niemotywowane, radykalnej jego zmiany. Znaleziono nawet już kozła ofiarnego, na którego zwała się wszelkie winy: filologię klasyczną; znaleziono i formułkę zbawczą, która miałaby gimnazyja odrodzić: oparcie wykształcenia wyłącznie na podstawie narodowej. Dobry był — dodaje się pospolicie — ustrój gimnazyjów austriackich w swoim czasie, w r. 1849, kiedy go zaprowadzono; ale odtąd upłynęło już blisko pół wieku, zmieniły się potrzeby i ustrój ten wymaga gruntownej zmiany i zastosowania do nowych tych potrzeb. Na te jednak zarzuty, zdaje mi się, odpowiedź jest o wiele łatwiejsza, niż się wydaje tym, co je robią. Każda zasada słuszna i prawdziwa, przeprowadzona do ostatecznych konsekwencyj, jednostronnie, staje się niewątpliwie szkodliwą i błędną. Że wykształcenie gimnazyjalne powinno się liczyć z właściwościami narodowymi i że się do nich musi poniekąd stosować — to żadnej nie podlega wątpliwości; ale zarazem niemniejszym jestto pewnikiem, że oprzeć je wyłącznie na podstawie narodowej byłaby to błędna a więc szkodliwa jednostronność. Byłoby to bowiem wnoszenie przez szkolnictwo w zakres życia umysłowego tego zgubnego prądu i kierunku, który się na nieszczęście tak jaskrawo objawiał i objawia jeszcze w zakresie życia politycznego i ekonomicznego; byłoby to stworzeniem na polu duchowem sztucznych granic, ceł prohibicyjnych i rugów obcokrajowców. Jednostronne zastosowanie w wychowaniu publicznem podstawy narodowej, musiałoby z czasem sprowadzić niemożność zupełną porozumienia się i wspólnej pracy pomiędzy ludźmi różnych państw i narodowości, a w końcu odbiłoby się zgubnie na cywilizacyi powszechnej, która dotąd zawsze zależała i na przyszłość zależeć musi od wzajemnego oddziaływania na siebie różnych narodów, od ich własnego rozwoju odmiennego, ale koniecznie opartego na wspólnej wszystkim podstawie. Mogą więc takie myśli powstawać w głowie zacietrzewionych szowinistów, do szkoły wstępu jednak mieć nie powinny, bo gimnazyjów zadaniem pierwszym i najważniejszym jest kształcić młodzież na ludzi cywilizowanych, przyswoić im dorobek cywilizacyi dotychczasowej i wzbudzić

w nich poczucie własnej z nią łączności, żeby potem każdy, choćby w skromnym zakresie, sam do jej postępu i rozwoju mógł się przyczyniać.

Jednostronny ten kierunek na polu politycznym i ekonomicznym, wybijawszy już aż do zbytku, wysilił się i — jak się zdaje — zaczyna się dzisiaj przesilać. Tem mniej powodu, żeby go krzewić tam, dokąd jeszcze nie dotarł, bo do gimnazyów nie dostał się dotychczas nigdzie. Nam zaś przystało to mniej, niż komukolwiek innemu, bośmy już doświadczyli, w XVII i pierwszej połowie XVIII wieku, jak zgubne dla życia umysłowego pociąga skutki odgradzać się i w sobie zasklepieać, nie troszcząc się o cywilizację zachodnią. Na zachodzie zaś, chociaż i tam nie braknie głosów odzywających się sporadycznie przeciwko filologii klasycznej (właściwie ztamtąd one odbijają się u nas nieco spóźnionem echem), wszędzie jeszcze — i zapewne na długo — uważana jest właśnie filologia klasyczna za ten grunt wspólny, na którym opierać się powinno wykształcenie gimnazyalne u różnych narodów; wszędzie tam języki starożytne i znajomość starożytności jest jeszcze tego wykształcenia podstawą.

Prawda, że ustrój gimnazyów austriackich nie zmienił się prawie od r. 1849 (choć i w nim zaszły pewne zmiany, zresztą nieznaczne, w r. 1884); ależ we Francji w 20 ostatnich latach zajmowano się gorliwiej może, niż gdziekolwiek indziej, reformami całego szkolnictwa i uregulowano je całkiem świeżo. Kto zaś zechce porównać z planem nauki w naszych gimnazyach programy dla gimnazyów francuskich, ułożone przed niespełna dwoma laty, w r. 1890, pod kierunkiem i za sprawą rządu rzeczypospolitej liberalnej aż do radykalizmu prawie, ten się przekona od razu, że zasadniczych różnic pomiędzy niemi a naszymi niema, że zwłaszcza filologia klasyczna odgrywa tam o wiele znaczniejszą niż u nas rolę. Znak to bodaj niechybny, że i u nas, gdyby przyjsć miało rychło do jakichś zmian systemu, nie będą one bynajmniej radykalne i zasadnicze, że więc na nie już dzisiaj zbyt ciężko oglądać się nie należy, zwłaszcza, że przy różnorodności stosunków austriackich wszelka tutaj zmiana z większemi niż gdzieindziej połączona jest trudnościami; ustawodawstwo zaś o gimnazyach, jak wiadomo, do nas nie należy.

Wspomniano przed chwilą Francję. Prawda, jest tam obok gimnazyów wiele innych rodzajów szkół średnich, których u nas braknie zupełnie. Boć u nas gimnazyja stanowią ogromną ich większość, 26; obok nich mamy tylko parę ( $3\frac{1}{2}$ ) szkół realnych. Te nie mają właściwie dotąd programu, o którego wykonanie w całej pełni możnaby się starać, bo ten, tymczasowy, który istnieje w galicyjskich szkołach realnych, różni się wielce a niekorzystnie od planu innych szkół realnych austriackich, a polega na tymczasowym rozporządzeniu ministeryalnym. Z poprzedniego sprawozdania Rady szkolnej dowiedzieliśmy się, że ona jeszcze w r. 1886 przedłożyła ministerstwu projekt nowej poprawnej organizacyi szkół realnych. Ostatnie sprawozdanie milczy o tem; snąc jeszcze tego projektu nie załatwiono w ministerstwie dotychczas. Należałoby koniecznie upomnieć się i naglić o załatwienie tej sprawy zwlekanej już rok szósty; znaczniejszy napływ bowiem do szkół realnych, który nastął już od lat kilku, nie ustał i w obu latach ostatnich i przyrost uczniów jest tam o wiele większy stosunkowo, niż w gimnazyjach. Z ostatniego sprawozdania widzimy, że wynosił on w  $3\frac{1}{2}$  szkołach realnych blisko 11% (zapisanych w r. 1889/90 1050, w r. 1891/92 1178), gdy tymczasem w gimnazyjach był tylko nieco większy nad 2% (12.555 w 1889/90, 12.826 w 1891/92); jest to zaś zwrot niewątpliwie bardzo korzystny, który potrzeba poprzeć i tem samem choć w części przyczynić się do zmniejszenia tego nadzwyczajnego przepełnienia gimnazyów, które jest ich największą plagą, które utrudnia, niekiedy nawet prawie unieemożliwia, wszelkie starania nauczycieli o pomyślny wynik nauki szkolnej.

Że ten pomyślny wynik zawisł w pierwszym rządzie od osoby nauczycieli i ich sposobu nauczania, jestto pewnik niezbity. Z radością więc dowiadujemy się z ostatniego sprawozdania, iż wielka liczba nauczycieli dorosła w zupełności swemu zadaniu. Z uznaniem trzeba także przyjąć do wiadomości, że Rada szkolna nie zaniedbuje niczego, aby stan nauczycielski otoczyć najżyczliwszą opieką; z największem zaś uznaniem podnieść zasadę, którą wygłasza ostatnie sprawozdanie, że skuteczna praca szkolna i naukowa dają w oczach Rady szkolnej pierwszeństwo bezwzględne przed

latami służby przy wszelkich odznaczeniach. Jestto niezaprzeczenie środek nader skuteczny, aby do służby nauczycielskiej zachęcić i pociągnąć większą ilość młodzieży zdolniejszej, która dziś od niej coraz bardziej zaczyna stronić; ale, dodajmy zaraz, środek ten sam przez się nie jest jeszcze, naszym zdaniem, wystarczający, żeby zwalczyć i usunąć ten brak sił nauczycielskich, który stwierdza ostatnie sprawozdanie, a który zaczyna grozić rychłym rozstrojem wszystkich stosunków szkolnych.

Całkiem słusznie zaznaczono w ostatniem sprawozdaniu, że dziś zawód nauczycielski otwiera o wiele korzystniejsze widoki niż dawniej, że dziś nie potrzebuje się nikt wstępujący do niego obawiać, iż będzie musiał przez długie lata wyczekiwać jako suplent na posadę etatową. Jakoż tych posad przybyło już bardzo wiele, a niebawem przybędzie jeszcze więcej, skoro udało się zabiegom Rady szkolnej już wyjednać, że z początkiem najbliższego roku szkolnego powstają dwa nowe gimnazya, 5-te we Lwowie i 4-te w Krakowie, właściwie na Podgórzu. Wspomina o tem już ostatnie sprawozdanie; świeżo doniosły dzienniki, że już postanowiono także otworzyć wkrótce nowe gimnazjum państwowe w Buczaczu, gdzie dotąd istniało tylko prywatne (Bazyliiańskie) gimnazjum niższe. Kiedy w r. 1874 było obok 179 nauczycieli aż 225 suplentów, a w r. 1883 obok 225 nauczycieli 214 suplentów, to w r. 1888 było już 313 nauczycieli, a tylko 217 suplentów, w r. 1890 (1 kwietnia) 324 nauczycieli i 201 suplentów, a w r. 1891 (1 października) 364 nauczycieli i 194 suplentów. Stosunek zatem liczby nauczycieli do suplentów zmienił się bardzo korzystnie; na nieszczęście, współcześnie wśród ogólnej liczby suplentów zmienił się i zmienia ciągle niekorzystnie stosunek liczby egzaminowanych, tj. wykwalifikowanych do zajęcia posady nauczycielskiej, do nieposiadających kwalifikacyj tj. takich, którzy właściwie, zgodnie z przepisami, nie powinny być w służbie. W roku bowiem 1883 z 214 suplentów kwalifikację nauczycielską miało 120, w 1888 w 217 tylko 100, r. 1890 z 201 tylko 90 (właściwie nawet tylko 70, bo 20 miało kwalifikację częściową dopiero), r. 1891 ze 194 tylko 50 (a właściwie 34; 16 ma kwalifikację niezupełną). Znaczy to, że

w ciągu lat 8 liczba suplentów nieposiadających żadnej jeszcze kwalifikacyj (prócz odbytych studyów uniwersyteckich) wzrosła przeszło o 50%, bo z 94 na 144 (a nawet właściwie 160).

Przytoczone powyżej cyfry pokazują tedy dowodnie, że przyrost wykwalifikowanych należycie kandydatów na nowe posady etatowe nie zostaje w żadnym stosunku do przyrostu nowych posad, lecz przeciwnie zmniejsza się prawie równie szybko, jak liczba posad się pomnaża. Zjawisko to prawdziwie przestraszające; jeżeli w rychłym czasie nie zajdzie znaczna w tem zmiana, to niebawem zabraknie zupełnie kandydatów ukwalifikowanych i nie będzie można wcale nowych posad tworzyć, nie mając kim ich obsadzić. Już dziś niema ani jednego wykwalifikowanego kandydata do nauczania niektórych przedmiotów, mianowicie języków polskiego i ruskiego. Jakaż tego braku przyczyna? jakich użyć środków zaradczych, żeby temu złemu zapobiedz?

Przyczyny są niewątpliwie różne. Z pewnością pamięć dawniejszych stosunków, kiedy to nawet zdolni i wykwalifikowani kandydaci musieli jako suplenci czekać przez całe lata na posady, i dziś jeszcze odstrasza niejednego od poświęcenia się zawodowi nauczycielskiemu. U nas nieraz i na niejednem polu wspomnienia stosunków dawnych utrzymują się aż nazbyt natarczywie i długo, chociaż się stosunki zmieniają zupełnie. Na to jedyny środek: pouczać jaknajczęściej i najskuteczniej o zmienionych stosunkach, jakto właśnie czynią sprawozdania Rady szkolnej. Ale drugą przyczyną jest niewątpliwie i to także, iż bądźco bądź stan nauczycielski jest upośledzony w porównaniu do innych stanów, wymagających również studyów wyższych. Na razie łatwo zostać nauczycielem, nawet bez kwalifikacyi uzyskać suplenturę, mając kwalifikacyę otrzymać rychło posadę. Ale też na tem prawie i koniec; dla sił wybitniejszych bardzo mało tu pola do coraz wyższego awansu w służbie. Toć zostawszy nauczycielem ma się tylko dla wszystkich już jednakie podwyższanie pensyi co lat 5 wskutek kwinkweniów, w czem najzdolniejsi młodszy muszą pozostać w tyle za starszymi. Dla zdolniejszych pedagogów jest jeszcze dyrektorstwo; tych z pośród nauczycieli, którzyby chcieli praco-

wać naukowo, nęcić jednak nie bardzo może; o inspektorstwie zaś mogą chyba marzyć tylko wyjątki. W ogóle, wciągający nauczycieli w ogólną hierarchię urzędniczą, zamknięto ich w ściślejszych ramach możliwego awansu, niż jakąkolwiek inną gałęź służby rządowej. Gdzieindziej, w innych państwach, jest cały szereg stopni w hierarchii nauczycielskiej, które się zdobywa większą pracą i zdolnością w swoim zawodzie. Że u nas jest inaczej, nad tem słusznie można ubolewać; Rada szkolna jednakże nie może wpływać bezpośrednio na zmianę tych stosunków, a nie wątpimy, że wpływać będzie pośrednio przy każdej sposobności, która się tylko nadarzy. Poprawa materyalnego stanowiska nauczycieli, otwarcie im rozleglejszych widoków na przyszłość, byłoby z pewnością najwłaściwszym środkiem do zachęcenia większej liczby zdolniejszej młodzieży do zawodu nauczycielskiego; zanim zaś to w przyszłości nie nastąpi, byłoby pożądanem niezmiernie, aby przynajmniej jakaś część nauczycieli najzdolniejszych, niekoniecznie najstarszych, mogła uzyskać uznanie w postaci dodatków osobistych. Praktykuje się to już niekiedy, ale zbyt rzadko, o wiele rzadziej u nas, niż gdzieindziej.

Tem jednak, co najbardziej upośledza społecznie stan nauczycielski, jest ów olbrzymi i wciąż rosnący zastęp suplentów bez kwalifikacyj i w ogóle całe suplentów stanowisko; toć do każdego innego rodzaju służby rządowej nie można się dostać bez kwalifikacyi, ale gdy się raz do niego dostanie, ma się od początku stanowisko jasne i określone, gdy tymczasem suplent jest tylko rodzajem diurnisty. Ten zastęp suplentów nieegzaminowanych jest, naszym zdaniem, najcięższą kulą u nogi Rady szkolnej, która jej utrudnia niezmiernie wszelkie pożądane udoskonalenie szkoły, a to tem bardziej, że tego złego sama Rada szkolna zwalczyć nie może i porusza się poniekąd w błędnem kole. Napływ do gimnazyów zmusza roztwierać ciągle nowe klasy równoległe, a więc przyjmować każdego, kto się do suplentury zgłasza; a tymczasem należałoby przyjmować tylko wykwalifikowanych i to dopiero po odbyciu praktyki. Gdyby zaś Rada szkolna chciała się tej zasady, tj. istniejących przepisów, trzymać ściśle, trzebaby zwinąć około 80 klas równorzędnych. Czyż podobna tego żądać od Rady szkolnej?

Oczywiście spodziewać się tego nie można. Jakież więc na to sposób? Mimo wszystkich trudności, naszym zdaniem, Rada szkolna powinna w interesie stanu nauczycielskiego i nauki uczynić, co tylko się da, aby liczba suplentów nieegzaminowanych się zmniejszyła, aby przy mianowaniu nowych robiono koniecznie jakiś wybór. W zakresie szkolnictwa ludowego uchwaliła już Rada szkolna, że należy wstrzymać się z organizowaniem nowych szkół, dopóki nie pomnoży się zastęp wykwalifikowanych nauczycieli. Sądzę, że z tegoż powodu należałoby także i w gimnazyjach postąpić analogicznie, a więc: 1) zaniechać tworzenia nowych klas równorzędnych; 2) z pośród zgłaszających się o suplenturę nieegzaminowanych kandydatów przyjmować tylko takich, którzy się zobowiążą i dadzą gwarancję, że w najrychlejszym czasie postarają się o odzyskanie kwalifikacyj; 3) udzielać w najszerszym jak tylko można zakresie urlopów lub zmniejszenia przepisanej liczby godzin tym z pośród już mianowanych suplentów, którzy się do złożenia egzaminów przygotowują; 4) szczególnie zaś jaknajczęściej opróżnione lekcye rozdzielać między innych nauczycieli, przyznając im remunera-cję za nadobowiązkowe zajęcia. Możliwość do tego daje udzielane na czas i znowu przedłużone upoważnienie p. Ministra oświaty, środek zaś to podobno ze wszystkich najwłaściwszy, aby zaradzać chwilowo brakowi sił nauczycielskich, nie tylko dla tego, że uwalnia od wprowadzania do szkoły nowych niedoświadczonych żywiołów, ale i dla tego także, iż daje nauczycielom możliwość poprawienia swego losu materialnego przez zajęcia w samym zakładzie szkolnym i uwolnić ich może od szukania ubocznego zarobku w formie lekcyj prywatnych. Z uznaniem podnieść należy, że środków wymienionych powyżej pod 3 i 4 już się Rada szkolna chwyciła; życzyć sobie trzeba, aby je mogła jak najczęściej zastosowywać. Użycie naraz ich wszystkich sprowadzi według wszelkiego prawdopodobieństwa znaczne zmniejszenie się liczby suplentów bez kwalifikacyi, a wzrost wykwalifikowanych, zwłaszcza, jeśli się równocześnie uprości i skróci egzamina kwalifikacyjne, co już jest w toku. Podjęto bowiem już pierwsze kroki w tym celu, ażeby ci kandydaci stanu nauczycielskiego, którzy w czasie swych studyów dokonywali prac

piśmiennych, mogli uzyskać na tej podstawie uwolnienie od egzaminu piśmiennego, który dotychczas przewlekał uzyskanie kwalifikacyi, mianowicie przez tych kandydatów, co przedtem do służby nauczycielskiej już wstąpili.

Jest to zresztą rzeczą notoryczną, że już dziś najzdolniejsi i najpilniejsi kandydaci nie zgłaszają się do suplentury przed uzyskaniem kwalifikacyi, jeżeli ich do tego nie zmusza konieczność; że czynią to zwykle mniej zdolni, którzy na długo egzamin odkładać zamierzają, a dla których usuwa się on w dal nieskończoną prawie, gdy raz na siebie wezmą obowiązki nauczycielskie, a często jeszcze i inne, i przez to uzyskanie kwalifikacyi dobrowolnie sobie utrudnią. Starać się zatem koniecznie trzeba, aby wszyscy, którzy zawodowi nauczycielskiemu chcą się poświęcić, natychmiast po ukończeniu studyów nabywali kwalifikacyi. Rada szkolna bezpośrednio nie może w tym kierunku wiele zrobić; mogą jednak i powinny wesprzeć jej zabiegi inne czynniki, a mianowicie te, w których rękę znajduje się szafunek stypendyami.

Ktokolwiek przypatrzył się u nas bliżej sprawie rozdawnictwa licznych u nas stypendyów, ten z pewnością przyzna, że się one w znacznej części marnują i nie osiągają tego celu, do którego by służyć powinny. Sprawy stypendyów traktuje się dzisiaj ze stanowiska miłosierdzia chrześcijańskiego i dobroczynności, nie zaś ze stanowiska pożytku społecznego; liczne a drobne stypendya, które nie wystarczają na utrzymanie, nie mogą pozwolić obdarzonemu, aby się oddał tylko własnemu wykształceniu, ale też i nie nakładają na niego żadnych zobowiązań, są rodzajem jałmużny, nie zaś środkiem mającym zapewnić społeczeństwu potrzebnych w przyszłości pracowników. Reforma gruntowna i radykalna sposobu rozdawnictwa stypendyów jest nieodzownie potrzebna, jeżeli mają przynosić rzeczywistą korzyść, reforma w kierunku wskazanym poniekąd przez istniejące przepisy, żeby drobniejsze stypendya systematycznie łączyć razem czyli kumulować, ale za to też na stypendystów nałożyć ściśle określone obowiązki. Z 20 stypendystów, którzy będą mieli poczucie swej odpowiedzialności i nauczą się sumiennie spełniać obowiązki dobrowolnie przyjęte, będzie kraj miał całkiem inny, nieporównanie większy

pożytek, niż z całej setki stypendystów, dla których dziś stypendya są dogodną tylko zapomogą i nie obowiązują do niczego; to oczywiste dla każdego, kto się zechce nad tem zastanowić. Przy troszeczce dobrej woli, reforma taka, zgodna z wszystkimi dawnymi a najlepszymi tradycjami naszymi, nie jest bynajmniej trudna, chociaż z praktyką dzisiejszą się nie zgadza.

Nie podobna się tutaj nad sprawą stypendyów dłużej i szczegółowo rozwódzić, wartoby ją samą dla siebie dokładnie roztrząsnąć i zbadać; nie godziło się jej pominąć tu milezeniem, bo mógłby to być środek walny do przysporzenia krajowi najlepszych sił nauczycielskich, których tak bardzo braknąć zaczyna. Ze stypendystów kandydatów stanu nauczycielskiego łatwoby było stworzyć, jak za czasów Komisji Edukacyjnej, seminarya nauczycielskie, których członkowie po ukończeniu studyów, zatrzymując przez rok jeszcze stypendya, musieliby przez ten czas i naukową uzyskać kwalifikacyę i nabyć wprawy pedagogicznej. W tym zakresie Sejm i Wydział krajowy mogą uczynić bardzo wiele i zabiegi Rady szkolnej ułatwić ogromnie, tylko trzeba nabyć jasnego poglądu i zrozumienia rzeczy; takie bowiem załatwienie uchwał odpowiednich przeszłorocznej sesji sejmowej, jakiego już próbowano <sup>1)</sup>, nie może przynieść zgoła żadnego rezultatu.

W dzisiejszych warunkach dziwić się wcale nie można, że nie wszyscy nauczyciele mają należyte przygotowanie dydaktyczne, potrzebną biegłość i wprawę w sposobie nauczania. U nas, gdzie żaden zgoła kandydat nie przechodzi przepisanego roku próby, który właśnie do nabycia tej wprawy ma służyć, gdzie żaden przechodzić go nie może, bo w braku dostatecznej ilości nauczycieli odrazu bywa zaprzęgany do całkowitych obowiązków nauczycielskich, znaczenie dyrektorów i inspektorów jest o wiele trudniejsze, niżli gdziekol-

---

<sup>1)</sup> Mianowicie udzielać stypendya studentom, oddającym się nauce tych przedmiotów, do których braknie najbardziej nauczycieli; cóż, kiedy te stypendya szczupłe nie pozwalają się oddać tylko nauce wyłącznie i nie nakładają też obowiązku, żeby stypendyści starali się zaraz o uzyskanie kwalifikacyi.

wiek indziej. Z wielkiem przeto uznaniem należy przyjąć wszelkie zarządzenia Rady szkolnej, żeby jednych i drugich uwolnić od pracy czysto biórowej i dać im możność jak najszerszą, aby kierowali działaniem i pouczali objaśnieniami poczynających swój zawód młodszych nauczycieli. Pod tym względem należy pójść jak najdalej i starać się na wszelki sposób, ażeby dyrektorowie, słusznie w sprawozdaniu nazwani duszą każdego zakładu szkolnego, zupełnie przestali być urzędnikami manipulacyjno-administracyjnymi; w tym celu należałoby przynajmniej w przepehionych zakładach dodać im pomocników do tych czynności. Możeby się udało wreszcie wynaleść na ten cel jakieś fundusze. Na co zaś przedewszystkiem nie wolno ich szczędzić, to na umozebnienie Radzie szkolnej, żeby przez instrukcye, pouczenia i książki szkolne mogła pracować skutecznie nad udoskonaleniem sposobu nauczania i ustaleniem jego metody. Tutaj bowiem jest pole, aby czuwając pilnie nad wykonaniem dokładnem obowiązującego planu i systemu naukowego, zastosować go w praktyce do naszych potrzeb i uwzględnić należyte właściwości naszej młodzieży. Żądając słusznie od nauczycieli dobrej znajomości istniejących instrukcyj ministeryalnych z r. 1884, zaznacza zarazem ostatnie sprawozdanie, że nie są one tak peremptoryczne, aby krępowały samodzielność nauczyciela i wpływ Rady szkolnej. Można je więc i należy w niejednym rozwinąć lub po części zmodyfikować, potrzeba własne obmyśleć instrukcye dla tych przedmiotów, jak język polski i niemiecki, dla których ich jeszcze niema. Rada szkolna to już czyni dotychczas i czynić będzie niewątpliwie nadal: to zaś wymaga oczywiście rosnącego nakładu, na koszta ankiet, narad i t. p.

A tak samo jest z pracą w zakresie książek szkolnych. Na tem polu Rada szkolna może się już poszczycić namacalnym dowodem i skutkiem gorliwych zabiegów z lat ostatnich w postaci całego szeregu nowych oryginalnie dla naszych szkół napisanych książek szkolnych. Zapewne, że i te nowe książki nie są doskonałe, że je z czasem zastąpią jeszcze lepsze, bo tak się też dzieć powinno; ale jakiegokolwiek ta lub owa z nowych książek posiada jeszcze wady lub usterki, to jednak nie podlega wątpliwości, że wszystkie są

lepsze od dawniejszych. Na tem polu zapanował tak żywy ruch, jakiego u nas od bardzo dawna nie widziano. Pracę nad udoskonaleniem podręczników szkolnych, w której Rada szkolna wszędzie bierze inicjatywę i którą tak usilnie rozbudzić i pokierować się stara, umożliwiło jej poparcie Sejmu krajowego, który jej dostarczył w tym celu pewnego funduszu do dyspozycyi. Czy wobec żywego ruchu dotychczasowy fundusz wystarczy nadal, można mieć wątpliwości; nie można jednak wątpić, że Sejm nie zaniedbałby dostarczyć na przyszłość funduszu znaczniejszego, widząc pomyślne wyniki już gotowe, ale na których poprzestać nie należy. Z okólnika Rady szkolnej do Dyrekcji szkół średnich z 20 marca 1891 r. widoczna, że myśli ona nie tylko o książkach szkolnych, w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz i o książkach nadających się do lektury domowej dla młodzieży. W tym zaś zakresie jest jeszcze wszystko do zrobienia, jest pole do działalności na długie lata i potrzeba jak moralnego tak i materyalnego poparcia.

Wszystkie jednak starania Rady szkolnej i wszystkie wysiłki nauczycieli nie wydadzą upragnionego skutku i niezdolają postawić nauczania gimnazyalnego na stopniu należytych, dopóki nie ustanie to nadzwyczajne przepełnienie gimnazyów naszych, które nieustannie daje się uczuć w sposób dotkliwy. Nie chodzi już o przepełnienie co do ilości uczniów, bo na to może poradzić tworzenie nowych klas i zakładów, lecz przede wszystkim co do ich jakości; chodzi o tych uczniów niezdolnych, z którymi nie wiedzieć weale, co począć. „Dzisiaj wszyscy garną się do gimnazyum bez względu na to, czy mają do tego zdolność czy nie“, lamentuje świeżo jeden z nauczycieli (*Muzeum* ze stycznia 1892 r., str. 13), stwierdzając po raz setny, co już ze smutkiem zauważyło wielu, i dodając: „nauczyciele w obec tej przewagi uczniów niezdolnych są bezradni“. Obok braku sił nauczycielskich, to właśnie jest najcięższą naszych gimnazyów klęską, tem cięższą, że następstwa tego zjawiska później odbijają się najfatalniej na całym społeczeństwie. Dwojaki tego złego źródło: nieznajomość i niezrozumienie celu gimnazyów, jako też brak szkół innego rodzaju; w dwojaki też sposób trzeba je tamować: 1) bezwzględnem usuwaniem z gimnazyów szko-

dliwego balastu uczniów niezdolnych, nim będzie zapóźno na to; 2) zakładaniem jak najliczniejszych szkół innych, praktycznych, dokądby mogła się udać młodzież, nie posiadająca warunków niezbędnych dla nauki gimnazyalnej. Na to jednak Rada szkolna wpływać bezpośrednio nie może, skoro nie podlegają jej wszelkie szkoły fachowe.

Na tem to polu potrzeba współdziałania ze szkołą całego społeczeństwa, bodaj więcej jeszcze, niż współdziałania domu rodzicielskiego. Od większości bowiem rodziców takich uczniów nieuzdolnionych do gimnazyów, choć nieraz wcale zdolnych do innego rodzaju nauki, nie można zgoła się spodziewać, żeby sami potrafili to zrozumieć; niepodobna nawet wymagać, aby nabyli raz wreszcie przekonania, że celem gimnazjum nie jest bynajmniej przygotowanie praktyczne do przyszłego zawodu ani bezpośrednia korzyść praktyczna. Tych wszystkich żadne pouczenia nie powstrzymają od posyłania dzieci do gimnazjum, zwłaszcza jeśli jest na miejscu lub w pobliżu, a nie ma tam żadnej szkoły innego rodzaju. Na takich oddziaływać i wpływać bezpośrednio musi w pierwszym rzędzie sama szkoła ścisłą i sprawiedliwą klasyfikacją. Pod tym względem grzeszyła ona nieraz, a może jeszcze i dzisiaj grzeszy, zbytnią pobłażliwością; zwłaszcza wobec uczniów niezdolnych wprawdzie, lecz pracowitych i pilnych, okazywano niejednokrotnie skłonność do poprzestawiania na zdobytych z mozołem wynikach, chociaż mimo to były niedostateczne, i przyjmowano chęć i pracę w zastępstwie niezbędnej zdolności.

Dziś Rada szkolna słusznie żąda sprawiedliwości zupełnej w klasyfikacji; każdy nauczyciel miękkiego serca powinien o tem pamiętać, że przez zbytnią pobłażliwość wobec niezdolnego ucznia, lękając się wyrzucić mu urojoną krzywdę, w rzeczywistości wyrządza krzywdę rzetelną społeczeństwu, a nawet w gruncie rzeczy samemu uczniowi. Całkiem bowiem inaczej wyglądałyby u nas wszystkie stosunki, gdyby mnóstwo uczniów, mianowicie w wyższych klasach gimnazyów, silących się wbrew zdolnościom niedostatecznym na nabycie wyższego wykształcenia, aby się potem, po wysiłkach daremnych, prędzej lub później zmarnować, zawczasu odwrócono od tych studyów dla nich bezplodnych i skierowano do

takich zawodów, do których wystarcza mniejszy zasób zdolności umysłowych, a od których się u nas stroni dziś jeszcze dość powszechnie, że niestety z konieczności potrzeba się uciekać do pomocy obcych i obcych pracowników musi się do kraju sprowadzać. Szczególniej niezbędną jest ścisła i surowa sprawiedliwość w klasyfikacji na rozdrożu między gimnazjum niższem i wyższem, w klasie 4 i 5. Właściwie potrzebny by tu był ogólny egzamin przejściowy; o ile zaprowadzenie go napotyka na trudności praktyczne, trzeba właśnie zdwojoną ścisłością klasyfikacji go zastąpić. Przez niższe bowiem klasy można się od biedy przebić samą pilnością, a w braku, jak dotąd, dostatecznej ilości szkół praktycznych przebić się muszą i tacy także, którzy nie zamierzają się starać o studia wyższe. Tu więc można jeszcze do pewnej miary pofolgować pobłażliwości. Do wyższych klas jednakże powinni koniecznie dostawać się tylko tacy uczniowie, którzy niewątpliwie mają do tego uzdolnienie. Wtedy dopiero będą mogły gimnazja nasze okazać, jakie naprawdę powinny wydawać rezultaty, wtedy dopiero będzie można osądzić sprawiedliwie istotną wartość i systemu szkolnego i sposobu nauczania.

Jeżeli jednak od znacznej części rodziców, bez wykształcenia, nie można wymagać ani spodziewać się należytego zrozumienia celu gimnazyów i swego do szkoły stosunku, tem większe mają w obec niej obowiązki ci rodzice, którzy górując nad innymi swem stanowiskiem i własnem wykształceniem, powinni by szkole jej zadanie ułatwiać. Że jednak tak niestety nie jest, że stosunek do szkoły intelligentniejszych na pozór rodziców jest niezdrowy bardzo, tego ostatnie sprawozdanie podaje jaskrawe przykłady, wspominając o setkach skarg zanoszonych przed Radę szkolną, które tak dobrze jak wszystkie po dokładnem zbadaniu okazały się bezpodstawnymi. Dowód to niezaprzeczony dziwnego zaślepienia i zamętu w pojęciach, jakoby szkoła miała służyć urojonym pretensyom pojedynczych jednostek, nie zaś ogólnemu pożytkowi całego społeczeństwa. Tem większy jest obowiązek społeczeństwa, aby ją wzięło w opiekę, aby wszyscy, którzy lepiej od innych zadanie jej rozumieją, poczuli o tem przy każdej sposobności koła jak najszersze

i wpływali na korzystną zmianę błędnych albo skrzywionych wyobrażeń. Dlatego należy uznać za szczęśliwą myśl powziętą świeżo przez krakowskie Koło Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, aby w najbliższym czasie urządzić nawpół publiczne konferencye, w których mają doświadczeni i ze szkolnictwem dokładnie obznajomieni pedagogowie objaśniać sprawy szkolne, zwłaszcza zaś wyświecić obowiązki domu rodzicielskiego i nadzoru pozaszkolnego względem samej szkoły i jej zadania. Rozsądne omawianie przez dziennikarstwo zarządzeń szkolnych mogłoby również przynieść nie-małą korzyść; z wszelką słusznością wygląda go Rada szkolna i pragnie gorąco.

Są zwłaszcza niektóre zarządzenia, które potrzebną kontrolę nad młodzieżą szkolną ze strony całego społeczeństwa mogłyby niepospolicie ułatwić; w tym rzędzie zaś stoi na pierwszym miejscu uchwalona już przez Sejm w roku przeszłym potrzeba umundurowania uczniów, przyjęta przez wszystkich świadomych rzeczy, a szczególnie przez Radę szkolną, z największą radością, a której przecież dotychczas nie stało się jeszcze zadość. Trudno zrozumieć, co temu stanęło na przeszkodzie; nie można wątpić, że Rada szkolna sprawy tej i nadal nie spuści z oka; należy przeto się spodziewać, że przecież w końcu znajdzie pomyślne załatwienie, którego w interesie szkolnictwa potrzeba pragnąć jak najrychlej.

Gdyby się miało wchodzić w szczegóły nauki gimnazjalnej i zastanawiać nad tem, co w tym względzie uczyniono w ostatnim roku, co do zrobienia pozostaje, można i należałoby długo się jeszcze o tem wszystkiem rozwodzić. Na tem miejscu chodziło nam tylko o to, żeby się zastanowić nieco nad temi głównymi punktami, które w swem sprawozdaniu Rada szkolna wysunęła naprzód jako zasadnicze, jako swój program na najbliższą przyszłość, żeby zaznaczyć i stwierdzić zupełne uznanie jego słuszności. Istotnie, głównem złem w naszych gimnazyach jest ich nadzwyczajne przepełnienie żywiołami nieodpowiedniami i fałszywy stosunek do szkoły rodziców i opiekunów młodzieży; głównem dla nich niebezpieczeństwem rosnący brak sił nauczycielskich. To złe należy zwalczać wszelkiemi sposobami, a nie myśleć na teraz wcale o zmianie systemu czy planu nauk.

Dopiero gdy się dzisiejsze wadliwości usunie całkowicie, może wtedy nadejdzie pora na zmiany donioślejsze, prawdopodobnie zaś wyklarują się niejasne dzisiaj jeszcze pojęcia o ich znaczeniu, potrzebie i rozmiarach. Naszem zdaniem, zwolennicy takich zmian radykalnych ludzą się napróżno; z pewnością nie doczeka się ich wcale dzisiaj żyjące pokolenie, chyba żeby miały zajść niespodzianie jakieś przewroty na innych polach, których w rachubę brać nie można. Dzisiaj więc do zmian dążyć, byłoby to uganiać się za marnym cieniem, zaniedbując najbliższy obowiązek; w najlepszym razie byłoby to rozstrzelać uwagę na dwie strony — a toby na gimnazyach odbić się musiało zgubnie. Do takiego przedsięwzięcia nie wolno zarządowi szkolnemu przykładać ręki ani wydawać hasła.

*W. Zakrzewski.*

# TALLEYRAND.

---

(Ciąg dalszy).

## XVIII.

Koalicja nie istnieje! — tryumfował Talleyrand, donosząc Ludwikowi XVIII o zawarciu traktatu. — Koalicja rozbita nazawsze! Francja wyszła z odosobnienia, idzie ręką w rękę z dwoma wielkimi mocarstwami i z trzema drugiego rzędu; niezadługo skupią się około niej wszystkie państwa, niewyznające zasad rewolucyjnych. Król arcychrześcijański będzie głową ligi, utworzonej w obronie zasad, jakie on pierwszy w Europie głosił.

Francja wyszła o tyle z odosobnienia, że pełnomocnicy francuscy brali odtąd udział w wszystkich pracach kongresu; w pięć dni po zawarciu traktatu, Talleyrand został zaproszony do komisji dla spraw polskich. Lecz poczwórne przy mierze było tylko chwilowo zawieszono. Austria bądźco bądź nieprzestała być bliższą Rosji i Prus, niż Francji; podział Polski, będący jednym z głównych celów traktatu styczniowego, miał nanowo ścieśnić rozluźnione węzły. Anglia wiązała się z Francją w przewidywaniu wypadków, które prawdopodobnie miały nastąpić, i z zastrzeżeniem, że Francja dla siebie nie nie zażąda.

W zamian za zaszczepienie Francji do koncertu europejskiego, Talleyrand, podpisując traktat, poręczył Austrii i Anglii ich wspólny program, obejmujący podział

Polski i przywrócenie Prusom dawnych rozmiarów; Austrii w dodatku zapewnił bezpieczeństwo na czeskiej granicy, przez utrzymanie Saksonii, której byt monarchii austryacką bezpośrednio dotykał, podczas gdy dla Francji stanowił punkt bardzo podrzędny. Z drugiej strony, Talleyrand sam sobie ręce związał w kwestyach granicznych nad Wisłą, Elbą i Odrą. Tam Austria była bezpośrednio interesowaną; skoro więc ona czyniła ustępstwa, Anglia nie miała powodu targować się o cudze dobro i dla świętego spokoju wołała powiedzieć: Amen! Natenczas dwóch członków ligi stawało naprzeciw trzeciego, który od początku głosił, że kwestya rozgraniczenia Francję wcale nie, lub bardzo mało obchodzi.

Wprawdzie wojna mogła wyniknąć i otworzyć nowe horyzonty; lecz na samo wspomnienie wojny, wszysej się żegnali i prosili Pana Boga, żeby ich nie wodził na pokuszenie; jeden z artykułów styczniowego traktatu, włożył nawet na podpisanych obowiązek użycia przyjacielskiej interwencji, aby zaczepkę odwrócić.

Talleyrand zawczasu uspokajał Ludwika XVIII: *Il est grandement à croire que la Russie et la Prusse ne voudront pas courir les chances de la guerre*; jak długo zaś Rosya i Prusy nie wystąpią zaczepnie, traktat pozostanie martwą literą. W samej rzeczy, Rosya i Prusy nie o zaczepce, lecz o kompromisie myślały. Na konferencyi, odbytej 30 grudnia 1814 r., Razumowski, obstając przy pozostawieniu Rosyi Księstwa Warszawskiego, z wyjątkiem niektórych części, ustępował Kraków i Toruń z okręgiem, aby z nich utworzyć miasta wolne, pod opieką trzech mocarstw. Wyjątek niektórych części Księstwa nie mógł znaczyć co innego, jak zwrot kawałka Polski Austrii i Prusom; o Toruń i Kraków nie warto było wszczynać wojny. W dniu podpisania traktatu, 3 stycznia, Metternich przedłożył swój projekt podziału Polski: Rosya zatrzyma Księstwo Warszawskie; część okręgu krakowskiego na prawym brzegu Wisły, z Wieliczką i Bochnią, oraz Tarnopol, przypadnie Austrii; Kraków i Toruń utworzą wolne miasta; część Księstwa wróci do Prus. Projekt austryacki nie różnił się zatem mocno od rosyjskiego. Co się tyczyło Prusaków, trwali oni przy tem, co im dawniejsze umowy przyrzekły; byle im zwrócono rozległość i lud-

ność z przed roku 1806, reszta mniej ich obchodziła; pożądamy Saksonii, nie gardzili Warszawą; o obronne granice dbali, ale sztukowana kompensata po różnych stronach, nad Wisłą, Elbą i Renem, obiecywała także pewne zyski, przy umiejętnem traktowaniu wartości ziemi i wartości dusz. Wszak sam Talleyrand twierdził, że chłop polski, ubogi, niedbały o uprawę gruntu, mieszkający w drewnianej chałupie, nie może iść w porównanie z zamożnym i pracowitym chłopem saskim lub nadreńskim. Prusacy dla formy jeszcze obstawali przy zaborze całej Saksonii i przeniesieniu króla saskiego nad Ren, lecz ich pretensye straciły widoki powodzenia, gdy Razumowski przyjął w zasadzie, 7 stycznia, propozycyę austriackie i gdy Anglicy opatrzyli się, że król saski nad Renem będzie wassalem francuskim.

Rozpoczęto, na wniosek Talleyranda, traktować z Bawaryą i z drobiazgiem niemieckim, o przystąpienie do traktatu; Bawaryą odrazu przystała, ksiązę hesski obiecał dostarczyć sześć tysięcy zbrojnych. Tekst traktatu pozostał utrzymany w sekrecie, ale doszło do wiadomości interesowanych, że coś się knuje. Castlereagh znalazł się w niemalym kłopotcie, gdy Aleksander raptem wystąpił z zapytaniem, ile jest prawdy w tem, co mówią o przymierzu Anglii z Francją, Austryą i Bawaryą? — Nie sądząc się w prawie, pisał, rozgłaszać zawarcie traktatu, i nie chcąc mówić nieprawdy, zapewniłem cesarza, że postępując zgodnie z intencjami, jakie wyraził, nie potrzebuje niczego obawiać się ze strony tych mocarstw. Nie zataiłem jednak, że ton Hardenberga na ostatniem posiedzeniu słusznie zaniepokoił mocarstwa, dbające o własną niezawisłość <sup>1)</sup>.—Po ustępstwach, zrobionych przez Aleksandra w Polsce, pogrożka mogła mieć na celu już tylko Prusy. Żeby zaś Prusom odwrót ułatwić, Talleyrand na piśmie oświadczył, że Francya użyje całego wpływu, aby króla saskiego skłonić do ustępstw, jakie Francya, wspólnie z Anglią i Austryą, za konieczne uzna. Ale trzem mocarstwom traktatowym trudno przychodziło nawet określenie owych ustępstw koniecznych. Gabinet wiedeński twierdził, że

<sup>1)</sup> 8 stycznia.— Oncken: *Das Zeitalter der Revolution, des Kaiserreiches und der Befreiungskriege.*

bezpieczeństwo Austrii nie pozwala na oddanie Prusom forte Torgau i Erfurtu; Talleyrand popierał Metternicha, nie bardzo mocno; Castlereagh zaś stanął po stronie Prusaków i z góry zapowiedział, że Anglia w tej kwestyi nie czuje się związaną traktatem.

Talleyrand naprzemiennie wmawiał w Ludwika XVIII, że się wielkie rzeczy gotują, i znowu zapewniał, że nie ma powodu obawiać się wojny. Zaraz na wstępie, zażądał od króla wysłania do Wiednia, w największym sekrecie, generała Ricard, aby na wszelki wypadek ułożyć z Austryakami, co potrzeba. Nie wiedząc jeszcze, jak król przyjmie wiadomość o zawarciu traktatu, powtórnie zaręczył, że w jego przekonaniu wojny wcale nie będzie, lecz zaproponował królowi rozpoczęcie układów z Portą o dywersję na wypadek wybuchu wojny i nadmienił, że w Wiedniu postara się Szwecyę wciągnąć do przymierza.

Ludwika XVIII niezmiernie uradowała rola, jaką raptem grać zaczął w Europie, oraz zbliżenie między Francją i Anglią, czego oddawna gorąco pragnął. Pospieszył przeto ratyfikować traktat, obiecał wysłać do Wiednia generała Ricard, *avec toute la célérité possible et tout le mystère possible*; myśl układów z Turcyą także pochwalił. Zresztą, w ciemni niebity i przez Wellingtona dostatecznie powiadomiony, jaki wstręt Anglia czuje do wszelkiej wojny, o laurach wojennych dla siebie nie marzył, i nikogo o podobne marzenia nie posądzał. Dlatego wzmianka o wejściu Szwecyi do ligi, mniej mu się podobała: po co bowiem było bratać się z krajem, w którym kiedyś zasiąść miał na tronie Bernadotte, kreatura Buonapartego? Współka z Szwecyą, pisał do Talleyranda, to delikatna materya. Rosyanie mogą prędko stanąć w Sztokholmie, lepiej więc może Szwedów nie narażać na niebezpieczeństwo? Gustaw IV wprawdzie zabdykował dobrowolnie, ale czy Gustaw miał prawo zrzec się praw swego syna do tronu? Jeżeli nie miał, elekeya Bernadottego jest nieważna... *Pendant que nous sommes en bon train, tâchons de terminer l'affaire de Naples.*

W przekonaniu Ludwika XVIII, praktyczna wartość traktatu winna była okazać się w sprawie neapolitańskiej. Poczciwy król, bardzo wyrozumiały na słabości cielesne, któ-

rym sam składał, albo przynajmniej udawał, że składa daninę, okropnie się gorszył romansami Metternicha z połowicą uzurpatora, chociaż te romanse należały już do historii, i sądził, że cesarz Franciszek, nie wiedząc właściwie o co chodzi, pozwala swemu ministrowi wodzić się za nos: *Ce qui nuit au bon droit, c'est la cause la plus honteuse dont l'histoire ait jusqu'ici fait mention; car si Antoine abandonna lâchement sa flotte et son armée, du moins c'était lui-même et non pas son ministre que Cléopâtre avait subjugué.* — Wskutek tego ominęła Metternicha błękitna wstęga orderu św. Ducha.

Kleopatra neapolitańska dużo mniej w tym wypadku winną była, aniżeli Ludwik XVIII mniemał. Wiedeński Antoniusz umiał swemu sercu nakazać milczenie, tem łatwiej, że pod ręką miał pocieszycielkę, bliską znajomą Talleyranda; lecz na pierwszym planie stała rzecz pilniejsza, sprawa saska, o którą targ szedł z wielkim oporem, nietylko z winy Rosyan i Prusaków. Castlereagh, autor traktatu styczniowego, nie przestał popierać rozszerzeń pruskich i tem zmuszał do ustępstw Metternicha, którego Talleyrand pomawiał o lekko-myślność i obojętność: *Il traite la question de la Saxe avec une légèreté et une insouciance dont je suis toujours émerveillé, quelque habitude que j'aie de les lui voir.* Ale i reprezentant głowy ligi, Talleyrand, doszedł do odkrycia, że w sprawie saskiej są dwie kwestye odrębne: kwestya legitymizmu, najważniejsza, która wyjdzie cało, jeżeli król saski odzyska tron, oraz kwestya równowagi, która może i musi ponieść uszczerbek.

Talleyrand odstępował Prusakom z Saksonii pół miliona dusz, Metternich siedmkroć, Castlereagh cały milion. Prusacy wszystkim odpowiadali: to nie dosyć; szczególnie napierali się Lipska, niby ich krwią zdobytego i obiecane go im przez monarchów sprzymierzonych jeszcze na polu bitwy.

Takie targi potrwać mogły parę lat, lecz cesarz Aleksander, raz dawszy za wygraną, zapragnął zdziwić świat wspaniałomyślnością. Z własnego popędu więc obiecał użyć swego wpływu na Prusaków, żeby ich nakłonić do umiarkowania, i Austrii ofiarował cyrkuł Tarnopolski. Austria podziękowała, prosząc, aby raczej takasama ilość mieszkańców

przypadła Prusom nad Wisłą, jako kompensata za odpowiednie ustępstwo od strony Saksonii. Innemi słowy, potentat, przeciw któremu traktat styczniowy był wymierzony, z własnej ochoty poszedł w służbę ligi. Wreszcie i Opatrzność lidze dopomogła. Castlereagh musiał wracać do domu, gdzie jego obecności wymagały sprawy parlamentarne. W Wiedniu wszystkim uprzykrzył się jego upór. Związawszy się z Austryą i Francją, w celu obrony Saksonii, niezaprzestał popierać po dawnemu Prusaków i ich pretensyi do Saksonii, tłómacząc się tem, że dbać musi o swój *character*, o swoją odpowiedzialność przed parlamentem, na co inni zważać nie potrzebują. Zastąpił go w Wiedniu Wellington, Francuzom przychylny i sympatyczny; nie taki, jak poprzednik, sztywny i uparty, przytem lepiej obeznany z geografją polityczną i militarną. Przyjeżdżając z Paryża, wystawił Francyi dobre świadectwo, że król jest lubiany i szanowany, że armia, nie zupełnie pewna, gdyby jej wewnątrz użyto, z ochotą poszłaby na obcych. Zdanie Wellingtona wiele ważyło u sprzymierzonych, mianowicie u cesarza Aleksandra. Powagi swej użył na wybicie z głowy przesadzonych żądań Prusakom, którym obiecano kawał przyległy z Saksonii, sto tysięcy dusz od Hollandyi, pięćdziesiąt od Hannoveru, Erfurt, Fuldę; Aleksander dodał do tego Toruń. Saksonii miało pozostać około półtora miliona ludności.

Żeby usprawiedliwić przed Ludwikiem XVIII taki obrót rzeczy, nie zupełnie odpowiadający widokom traktatu, przed miesiącem zaledwie podpisanego, Talleyrand uciekł się do wybiegu: pozostawała mu droga protestu, ale protest byłby skompromitował zasadę prawowitości, jakby cudem ocaloną. Zarazem traktatowi wystawił nagrobek, z napisem: wojny nikt toczyć nie myśli i prawie nikt toczyć nie jest w stanie; generał Ricard niepotrzebnie fatygował się do Wiednia<sup>1)</sup>. Dla króla miał inne zabawki: obchód żałobny za Ludwika XVI i małżeństwo ks. Berry. Ludwik XVIII spieszył się przymnożyć następców do tronu; myśli aliansu rosyjskiego jeszcze całkiem nie porzucił, ale ten alians Talleyrandowi bardzo niesmakował. Żeby więc uprzędzić przybycie do Paryża jene-

<sup>1)</sup> 8 lutego 1815 r.

rała Pozzo di Borgo, opatrzonego w instrukcyę Aleksandra w tej sprawie, posłał królowi długi list, wyłącznie małżeństwu poświęcony. Zaraz na początku pochwalil warunek postawiony przez króla, aby księżna Berry stanęła na ziemi francuskiej katoliczką: król arcychrześcijański nie może na tym punkcie przekroczyć granicy, jakiej Bonaparte przekroczyć nie śmiał. Przed ośmioma miesiącami, związek rodzinny z Rosyą przedstawiał pewne korzyści, przeważyć zdolne inne względy; odkąd Opatrzność wzięła na siebie trud umocnienia tronu, jej ręką odbudowanego, odkąd tron otoczony jest miłością narodu, odkąd koalicya nie istnieje, Francya nie potrzebuje oglądać się na cudzą pomoc, i król nie potrzebuje robić na rzecz konieczności ofiary z względów, jakie w sprawie podobnej są głównymi. W. ks. Anna ma za sobą piękność i postawę, zalety nader pożądane na tronie francuskim, Francuzi bowiem, więcej niż każdy inny naród, czują potrzebę móżd powiedzieć o swoich księżkach: *Le monde, en les voyant, reconnaît ses maîtres!*... W. księżna odebrała podobno staranne wychowanie, ma odznaczać się dobrocią, nakoniec liczy lat dwadzieścia i jeden, nie daje przeto powodu do obaw, jakie rodzi przedczesne zamażpójście. Przeciwno niej przemawia naprzód to, że miała zostać żoną Bonapartego. Dalej, pamiętać należy, jaki był stan umysłowy Piotra III i Pawła; sądząc z przykładu Gustawa IV, nieboszczyka króla duńskiego i panującego księcia Oldenburgskiego, wnosić należy, że kalectwo umysłowe jest dziedzicznym apanażem domu holsztyńskiego, i obawiać się wniesienia podobnej spuścizny w dom Burbonów. Zmiana religii, którą przypisanoby naturalnie politycznym pobudkom, nie omieszkałaby przyczynić się do upowszechnienia między ludem choroby naszego czasu, indyferentyzmu w rzeczach wiary. Dom Burbonów znajduje się w konieczności zawierania związków małżeńskich z rodzinami, niższymi od siebie, albowiem nie ma równego sobie w Europie; mógłby zatem spokrewnić się z domem holsztyńskim, jakkolwiek w porównaniu z innemi na Północy, nowym; lecz skoro dom Burbonów zaszczyca inny swoim wyborem, ten zaszczycony powinien zaszczyt, jaki go spotyka, umieć cenić należycie i nie mniemać, że obszerność posiadłości kompensuje świeżość po-

chodzenia. Z drugiej strony, gdy trzy siostry W. ks. Anny powychodziły za małych książąt niemieckich, ks. Berry wszedłby w bliskie pokrewieństwo z mnóstwem książątek, umieszczonych na najniższym szczeblu hierarchii europejskiej. Rosya, przed stu laty prawie nieznaną w Europie, przez małżeństwa zjednała sobie możność wywierania wpływu na Europę; po wstąpieniu na tron francuski księżniczki rosyjskiej, wpływ Rosyi jeszcze się wzmoże; bo, chociaż Francya nigdy sprzyjać nie będzie ambicyi i rewolucyjnym ideom cesarza Aleksandra, inne mocarstwa powezmą ku niej nieufność i zdała od niej trzymać się będą.

Cywilny małżonek owdowiałej pani Grand, umiał w potrzebie rozprawiać jak mędrzec o godności małżeństwa; ekskomunikowany biskup-filozof, na wspólkę z królem-filozofem, przeklinał indyferentyzm religijny, szerzący się między ludem. Lecz argumentem najskuteczniejszym wobec Ludwika XVIII, było podobno przypomnienie o swatach Bonapartego, tudzież ostatni ustęp listu Talleyranda: Wydaje mi się odpowiedniemi wielkości domu Burbonów, aby w epoce, kiedy wszystkie jego gałęzie, jedną rozbite burzą, razem się podniosły, w własnym łonie szukał środków swego rozrodzenia; jakoż słyszę wielkie pochwały, oddawane córce następcy tronu Obojga-Sycylii...

I na tem się skończyło. Marya-Karolina sycylijska wyszła w 1816 r. za ks. Berry i była matką ostatniego z starszej linii Burbonów.

## XIX.

Okolo połowy lutego, Saksonii został się już tylko milion trzykroć sto tysięcy dusz. Talleyrand pocieszał Ludwika XVIII, że Saksonia nie przestanie być państwem trzeciego rzędu; król bowiem dawniej kilka razy powtarzał, że nieścierpi, aby Saksonia spadła między państwa czwartego lub piątego rzędu. Polska już Talleyranda nie a nie nie obchodziła; dosyć miał kłopotu z Neapolem, o który Ludwik XVIII w każdym liście nalegał, i który samemu Talleyrandowi sen odbierał. W ciągu ostatnich miesięcy, prawowita

dynastyja straciła we Francyi urok nowości, nie przysporzywszy sobie zwolenników; Napoleon zaś siedział na Elbie, jak orzeł w klatce, i tęsknił za swobodą. Możliwość upadku Burbonów i możliwość powrotu na scenę Napoleona, zarówno kazaly Talleyrandowi spieszyć się z wygnaniem uzurpatora z Neapolu.

Murat nie miał w Wiedniu ani jednego stronnika; wszyscy monarchowie uważali go za intruza, awanturnika i człowieka niebezpiecznego, którego pozbyć się należało. Dopóki Murat siedział w Neapolu, Austria czuła się zagrożoną we Włoszech, i wobec strachu o własną skórę, traktaty z Muratem nie były ważną przeszkodą. Chciano tylko uniknąć skandalu i zbrojnego starcia, które mogło za sobą pociągnąć wybuch ruchów rewolucyjnych na całym półwyspie. Metternich bał się rewolucyi jak ognia, i mówił sobie w duchu: jakoś to będzie! Tymczasem zwlekał z rozstrzygnięciem, co mu w dodatku ułatwiało targ z Francją o korony włoskie dla arcyksiążąt.

Dla dodania odwagi Metternichowi, Talleyrand znalazł się w nieprzyjemnej konieczności: wypadło mu odzyskać łaski cesarza Aleksandra. Wtedy zaś właśnie, jakby umyślnie naprzekór, Ludwik XVIII wystąpił z swojemi skrupułami szwedzkiemi, zmierzającemi ku temu, aby mocarstwa unieważniły wybór Bernadottego, dawno przez Europę uznany. Kongres i tak był przeciążony procesami; wznawiać nowy, więcej niż wątpliwej natury, znaczyło narazić się wszystkim, zwłaszcza zaś Aleksandrowi. Obok wszelkich tytułów prawnych, Bernadotte miał za sobą usługi oddane koalicyi, oraz szczególną protekcyę cesarza, który w 1814 r. przeznaczał mu koronę francuską. Talleyrand jął się więc przekładać królowi, że skoro wojny być nie ma, odpada potrzeba układów z Szwecją; Bernadotte nie jest uzurpatorem; naród go wybrał i król adoptował; zakwestyonować następstwo tronu, znaczy obrazić samego króla. Nie dobrze jest, że taki człowiek może kiedyś nosić koronę, ale na to nie ma rady. Dla Francyi sprawą pierwszorzędnej wagi jest Neapol; trudności są wielkie, nie obejdzie się bez pomocy Rosyi i Prus.

Obrońca prawa i moralności wyciągał teraz rękę do burzycieli porządku i spokoju Europy. Rad nie rad, musiał

pójść z prośbą do Aleksandra. Cesarz przyjął go litanią wyrzutów: dlaczego tak zawzięcie psuł polskie projekta; dlaczego w Szwajcaryi skrzywdził liberalów; dlaczego nie wyjednał dla ks. Eugeniusza Beauharnais; dlaczego nie przyszła dotąd do skutku sprawa małżeństwa?... Talleyrand wyparł się w żywe oczy, jakoby kiedykolwiek sprzeciwiał się cesarzowi w Polsce, i całą winę zwałił na Anglików. Co do małżeństwa, sam Aleksander ułatwił mu odwrót, opowiadając, że świeżo odmówił rękę siostry królowi hiszpańskiemu, który nie zgadzał się na urządzenie dla królowej kaplicy prawosławnej w Madrycie.—Nanie, rzekł Talleyrand, z postępku króla arekatolickiego W. C. Mość wniesie, co jest obowiązkiem króla arcyechrześcijańskiego.—I tak, na wszystko znajdował odpowiedź, a gdy z czego nie mógł się inaczej wykreśćić, kładł to na karb Metternicha, znienawidzonego przez cesarza.

Aleksander niezaniebdał upomnieć się o wykonanie umowy, zawartej z Napoleonem, mocą której Francya obowiązała się wypłacić znaczne summy rodzinie Bonapartów. Zrazu, Talleyrand złożył się tem, że od pięciu miesięcy bawiąc w Wiedniu, nie wie co robią w Paryżu; ale spostrzegłszy, jaki z tego tytułu można wyciągnąć pożytek, począł przedstawiać cesarzowi, że wobec wrzenia umysłów we Włoszech, lepiej nie dostarczać Bonapartom środków materialnych, których oni mogą na złe użyć. W Neapolu siedzi Murat... I; niepytany ani nieproszony, wdał się w rozprawę nad różnicą między Muratem i Bernadottem; pierwszy jest uzurpatorem, drugi prawnym następcą tronu szwedzkiego. Pogłaskawszy tem Aleksandra po sercu, dobył z kieszeni *Almanach królewski*, w którym nazwisko Bernadottego stało wydrukowane między monarchami. Pokazało się, że ani Aleksander, ani Bernadotte nie spodziewali się takiego honoru. Za miłą niespodziankę, Aleksander odwdzieczył się z lichwą, nazywając Murata *une canaille qui nous a tous trahi*, a następnie dodał: *S'il résiste, il faudra le chasser...* tylko Wellington powiada, że to rzecz trudna, z powodu przewozu morzem znacznej ilości wojska. — Nanie, zawołał Talleyrand, nie żądam ani jednego żołnierza; proszę tylko o wiersz, jeden

wierszyk w traktacie: Francya z Hiszpanią podejmą się reszty.

W nawiasie przyznaje otwarcie: wiedziałem naprzód, że wojska mi nie dadzą. Stosowało się to do Rosyi i Anglii. Z Austryą sprawa stała inaczej. Po zamieszczeniu owego wierszyka w traktacie, Austryi nie pozostawało, jak podjąć się roli egzekutora, dla własnego bezpieczeństwa we Włoszech. Metternich już to obiecywał, skoro Austrya zgromadzi na półwyspie odpowiednie siły. Castlereagh, na wypadek gdyby Murat poddał się dobrowolnie wyrokowi Europy, przyrzekł dla niego pensyę angielską; żądał jednak w zamian, aby Francya zrzekła się z swojej strony prawa do handlu niewolnikami, który w koloniach francuskich jeszcze przez lat cztery był dozwolony.

Żółwi pochód neapolitańskiej historii przyspieszył Murat przez własną porywczosć, żądając od gabinetu wiedeńskiego wolnego przechodu dla swoich wojsk, przez okolice, zajęte wojskiem austryackiem. Nie poprzestając na tem, Murat wysłał notę do Talleyranda z zapytaniem, dlaczego pełnomocnicy francuscy przeciw niemu w Wiedniu występują, oraz czy Francya jest z nim, lub nie jest w pokoju. Za namową Metternicha, minister Murata noty nie doręczył, lecz Austrya oświadczyła, że nieścierpi przechodu obcych wojsk przez swoje terytoryum. Postanowiono jednocześnie przeprowadzić do Włoch siły austryackie, skoncentrowane nad granicą polską i saską.

Sprawa Saksonii była ukończoną, polska na ukończeniu; pozostawało tylko oznaczyć linie graniczne. Aleksander oddał Austryi Tarnopol i co żądał nad Wisłą, z wyjątkiem Krakowa; Prusom Poznańskie i Toruń, zawarowawszy sobie tytuł króla polskiego i możność nadania konstytucyi królestwu. Wszystkie gwarancye, na korzyść Polaków w traktacie zamieszczone, były osobistem dziełem cesarza, okupionem kosztem terytoryalnych ustępstw. Ani Francya, ani Anglia za nami się nie ujmowała. Austrya i Prusy widziały w konstytucyi kamień obrazy i zgorszenia, lecz ustąpiły, przekonawszy się, że Aleksander nie ustąpi i że Anglia z Francją ich na tym punkcie nie poprą. Anglicy całemu światu zalecali naśladowanie swoich form parlamentarych; Castle-

reagh kontent był mieć czem zasłonić się przed parlamentem. Co do Talleyranda dbał on o Polskę tyle, co o Chiny, ale nie przestał wierzyć w zbawienność zasad konstytucyjnych i rad był przypodobać się Anglikom, u których tentował o przedłużenie pod tą lub ową postacią traktatu styczniowego. Castlereagh jednak odmówił, pod pozorem, że charakter Metternicha nie budzi ufności.

Prawo narodów nie przeszkodziło wydrzeć królowi saskiemu części ojcowizny, ale to samo prawo narodów wymagało, aby król saski zrzekł się niby dobrowolnie swoich praw do zabranego mu kraju. Dopóki Europa nie dobiła targu, Fryderyk August był trzymany w Berlinie pod strażą. Teraz pozwolono mu wyjechać do Austrii. Nie chcąc i nie mogąc pokazywać się w Wiedniu, król osiadł w Pressburgu. Metternich, Wellington i Talleyrand zostali tam wysłani w sprawie renuncyacji.

W Pressburgu mieszkała pani de Brionne, przyjaciółka Talleyranda jeszcze z przedrewolucyjnych czasów. *Madame de Brionne!... Madame de Brionne!!... Madame de Brionne!!!... Oh! il faut que la politique attende!...* Pobiegł paść jej do nóg, które łzami skropił. Staruszka, nad grobem stojąca — zgasła bowiem w kilka dni później — objęła w ramiona marnotrawnego syna: *Vous voilà donc enfin!... J'ai pu être mécontente de vous, mais je n'ai pas cessé un moment de vous aimer...* Takie spotkanie, po dwudziestu pięciu latach, mogło kamień poruszyć; Talleyrand poszedł nad Dunaj zaczerpnąć świeżego powietrza. Wróciwszy, miał co opowiadać. Pani de Brionne powtarzała: *Votre position est belle, bien belle...* Dwa trony zwrócił prawowitym monarchom...

Wieczorem odbyła się egzekucya króla saskiego. Metternich przedstawił życzenia mocarstw; król, nie nie przyrzekając, ale i nie odmawiając wyraźnie, obiecał wysłać pełnomocnika na kongres. Po kilku konferencyach z tym pełnomocnikiem, stanął układ między Saksonią i Prusami: *Non pas à la satisfaction de l'une et de l'autre, mais d'accord entre elles; ainsi le principe de la légitimité n'eut point à souffrir dans cette importante circonstance*, pisał Talleyrand do króla. — Kładziono mu w usta maksymę, że mowa dana

jest człowiekowi dla ukrycia myśli; jeżeli tego nie powiedział, to swoją maksymę praktykował.

Organizacya Niemiec i Szwajcaryi poszła po woli Austrii. We Włoszech, Austria również przeprowadziła swoje zamysły prawie całkowicie. Talleyrand długo opierał się uposażeniu tam Maryi Ludwiki, chcąc wydziedziczyć wszystkich członków rodziny Bonapartów, nawet tak mało, jak cesarzowa, dbających o zaszczyt należenia do niej; lecz cesarz austriacki załatwił tę sprawę wprost z Ludwikiem XVIII. Za to z głęboką satysfakcją widział Talleyrand, jak cesarz Franciszek wnuka traktuje, że syn Napoleona żadnego tronu nie dostanie i nawet nazwiskiem nie będzie przypominał swego pochodzenia.

Pobył Napoleona na Elbie wszystkich niepokojem przejmował. Zamierzano wysłać go na wyspy Azorskie, o pięćset mil od lądu odległe; lecz ta sprawa obchodziła miłość własną cesarza Aleksandra, chcącego wspaniałomyślnością imponować swemu wrogowi. Przecież, pomimo wszelkich obaw i przepowiedni, pomimo budzenia się bonapartyzmu we Francyi, nikt nie przeczuwał, jak bliskim jest powrót na scenę *człowieka z Elby*. Monarchowie gotowali się do wyjazdu.

## XX.

W nocy z 6 na 7 marca miała miejsce u Metternicha narada pełnomocników pięciu mocarstw, trwająca do trzeciej z rana. Metternich zakazał się budzić, dopóki nie zadzwoni. Pomimo zakazu, kamerdyner wszedł około szóstej godziny z depeszą, przyniesioną przez umyślnego posłańca; na kopercie stało: od konsula w Genui—pilno. Metternich odłożył na bok depeszę, nieotwartą, ale nie mógł zasnąć. Około w pół do ósmej, skuszony ciekawością, otworzył kopertę; zawierała doniesienie, że Napoleon znikł z Elby, w niewiadomym kierunku. O ósmej Metternich poszedł z raportem do cesarza Franciszka, który bez namysłu polecił mu oświadczyć cesarzowi rosyjskiemu i królowi pruskiemu, że Austria zdecydowaną jest zbrojnie przeciw Bonapartemu wystąpić. Aleksander

i Fryderyk Wilhelm nie wahali się także ani chwili z posłaniem wojsku rozkazów ciągnięcia ku granicy francuskiej.

O dziesiątej, pełnomocnicy Anglii, Francji, Prus i Rosji zgromadzili się u Metternicha. Pierwszy przyszedł Talleyrand, przekonany, że Napoleon wylądował we Włoszech. Metternich mu z góry przepowiedział, że pójdzie prosto na Paryż.

Tędy czy owędy, straszny człowiek znowu na wierzach wypłynął, z mocnem postanowieniem pokazania, co umie. Talleyrand udawał, przynajmniej przed królem, że go to mało obchodzi: *Toute entreprise de sa part sur la France serait celle d'un bandit*. Dowiedziawszy się o wylądowaniu bandyty na wybrzeżach francuskich, pisał do króla: *Cet incident, d'ailleurs si désagréable, aura du moins cet avantage, qu'il hâtera ici la conclusion des affaires*. Spieszno mu niby było stanąć przy królu; ale można dać głowę, że wołał w Wiedniu burzę przeczekać, wiedząc doskonale, że w domu nikt go słuchać nie zechce, i nie bardzo ufając w tęgość rojalistów. Królowi zalecił marszałka Macdonalda, jako człowieka zupełnie pewnego; co do reszty, zdawał się na mądrość i przezorność króla. Nieco później, gdy do Wiednia doszły wieści o zwyciężkim pochodzie Napoleona, radził Ludwikowi XVIII schronić się do fortecy nad północną granicą, zgromadzić tam izby i unikać pozorów rozdwojenia między sprawą dynastji i sprawą narodu—więc emigracyi i umizgów do obcego wojska.

Ludwik XVIII dosiadywał w Paryżu, nietyłe przez heroizm i politykę, jak dlatego, że przykro i ciężko mu było ruszyć się z Tuileries, które Napoleon doskonale wyrestaurował i urządził. Gdy armia przeszła na stronę uzurpatora, czemu żadna siła ludzka nie mogła przeszkodzić, królowi nie pozostało, jak Paryż i Francję opuścić. Można było przecież oszczędzić monarsze wyjazdu, będącego ucieczką. Ale król i rojaliści ludzili się od początku do końca, biorąc własne życzenia za rzeczywistość. Już z Ostendy, król zapewniał Talleyranda: *Buonaparte a pour lui la force armée, tous les coeurs sont à moi*. Blacas, przyznawszy, że król tylko dzięki marszałkowi Mortier opuścić mógł Lille *sinon sans danger, du moins sans accident*, wychwalał doskonały duch gwardyi narodowej i ludności w całym kraju: wszystko przyłączy się

do wojsk sprzymierzonych, spieszących dla przywrócenia prawowitej władzy. Polegając na dwudziestu pięciu milionach sere, dosiadywano w Paryżu do ostatniej chwili, i króla wywieziono z takim pośpiechem, że cała garderoba królewska składała się z kilku koszul i starych, ukochanych pantofli.

Zawiniątko zginęło w drodze. — Zabrali mi moje koszule, skarżył się Ludwik XVIII w Lille przed Macdonaldem; ale niczem koszule w porównaniu z pantoflami: kiedyś może dowiesz się, jakim dobrodziejstwem są pantofle dobrze wydeptane! — Dla starego króla, cierpiącego w najwyższym stopniu na pedogre, strata pantofli była w rzeczy samej dotkliwym ciosem; dotkliwszym jednak, niestety, niż katastrofa, pozbawiająca go naraz pantofli i tronu. O tron był spokojny, licząc, nie na serca narodu, ale na przewagę obcych wojsk. Rodzina panująca i rojaliści z zupełną obojętnością znosili myśl, że wrócą do Francyi drogą, utworowaną przez cudze bagnety.

Pobyt dworu w Ostendzie, dał powód do pogłoski, że król zamierza odpłynąć do Anglii; żeby temu zaprzeczyć, dwór przeniósł się do Gandawy<sup>1)</sup>. W Gandawie wszystko szło dawnym porządkiem, jak w Tuileries; rada gabinetowa zbierała się regularnie pod prezydencyą króla, koło którego skupili się rojaliści najczystszej wody. Powrót Burbonów na tron wydawał im się niemniej pewnym, jak wschód i zachód słońca o naznaczonej w kalendarzu godzinie; *modus* wcale ich nie obchodził; natomiast zawczasu układali, jak będą karać winowajców i usuwać ludzi źle myślących.

Restauracya Ludwika XVIII nie była wcale tak niezawodną, jak w Gandawie mniemano. Mocarstwa, podpisane na deklaracyi z 13 marca<sup>2)</sup>, ogłosiły Bonapartego za uzur-

<sup>1)</sup> W początkach drugiej Restauracyi, każdy suplikant, proszący o posadę, kłął się, że wraca prosto z Gandawy, gdzie z królem dzielił wygnanie. Talleyrand w końcu zapytał jednego: *Dites-moi franchement si vous avez été à Gand, ou si vous n'avez fait qu'en revenir? Car, voyez-vous, on y était à Gand six ou sept cents, et, à ma connaissance, il en est revenu plus de cinquante mille.*

<sup>2)</sup> Anglia, Austria, Francya, Hiszpania, Portugalia, Prusy, Rosya i Szwecya.

patora, z którym traktować nie będą, i zobowiązały się szanować traktat paryski; o przywróceniu na tron Burbonów ani deklaracya ani traktat nie zawierały najmniejszej wzmianki. Dawni sprzymierzeńcy odnowili między sobą umowę z Chaulmont, teraz wyłącznie jakoby zwróconą przeciwko Bonapartemu: koalicya przeto odżyła. Z tego wszystkiego wynikało tylko, że mocarstwa mają mocne postanowienie Napoleona w Europie nie ścierpieć.

Napoleon, stanąwszy w Tuileries, spróbował odnowić stosunki z Europą, lecz bez skutku. Pisma, adresowane do gabinetów mocarstw zagranicznych, pozostały bez odpowiedzi. Flahaut, wysłany do Wiednia, musiał wrócić z Sztutgardu. Napoleonowi wpadł w ręce traktat styczniowy; znalazł go podobno w biurku Ludwika XVIII i przez bawiącego w Paryżu sekretarza ambasady rosyjskiej, Butiakina, posłał eżemprędzej Aleksandrowi. Aleksander zawołał do siebie Metternicha, pokazał mu *corpus delicti*, napastł się widokiem zakłopotanej miny winowajcy, papier rzucił w ogień i powiedział, że wszystko puszcza w niepamięć, ale żąda sekretu przed Talleyrandem. Teraz Talleyrand wpadł w łapkę, o czem się dopiero później przekonał. Tymczasem Aleksander i jemu powtarzał o zapomnieniu uraz, bo jedyną jego myślą walka z wrogiem Europy; w głębi duszy przecież nikomu nie przebaczył i szczególnie zawział się na Burbonów i ich pełnomocnika.

Do Wiednia spadł raptem Montrond, którego Fouché wysłał na zwiady, czy regencya Maryi Ludwiki ma jakie szanse za sobą. Prócz tego, Montrond, osobisty przyjaciel Ludwika Filipa Orleańskiego, chciał zmiarkować szanse Orleanów do tronu. Usłyszawszy od Metternicha, że Austria o regencyi ani myśli, i od Nesselrodego, że cesarz Aleksander z góry wyklucza od tronu całą rodzinę Bonapartów, Montrond uderzył do Talleyranda. Co sobie do uszów szeptali, niewiadomo. Wedle relacyi Talleyranda, złożonej Ludwikowi XVIII, Montrond miał go zapytać, czy się odważy ściągnąć wojnę na Francję; on zaś miał odrzec: Przeczytaj deklaracyę mocarstw, z której przekonasz się, że wojna toczyć się będzie nie z Francją, lecz z *człowiekiem z Elby*. — Według Bulwera, Montrond wtenczas napomknął o Orleanie,

a Talleyrand odpowiedział jak wyrocznia: *La porte n'est pas ouverte, mais si elle venait jamais à s'ouvrir, il n'y avait pas nécessité de la fermer avec violence.*

Słowa powyższe zgadzały się z taktyką Talleyranda. Ludwik Filip dopiero począł wkładać się do roli pretendenta. W owej chwili bawił w Anglii—czem się Ludwikowi XVIII mocno naraził, — aby dać poznać, że niesolidaryzuje się ze starszą linią i umywa ręce od skutków grożącego Francyi najazdu. Stronnictwa jeszcze nieposiadał we Francyi; drzwi były przeto zamknięte. Ludwik XVIII mógł wrócić, albo nie wrócić na tron, lecz dopóki nie stracił widoków odzyskania tronu, Talleyrand nie czuł w sobie powołania drzwi wyłamywać. Właściwszem i pilniejszym uznał wzmocnić własne stanowisko u króla, obsaczonego przez rojalistów, którym wypadki dały rację, dowodząc, że okrasa liberalna nie ocaliła prawowitej dynastyi.

W liście z 23 kwietnia, Talleyrand, zgodnie z prawdą, ostrzegł Ludwika XVIII, że niepowinien mniemać, jakoby wszystkie mocarstwa miały niewzruszony zamiar przywrócenia Burbonów na tron. Przy układaniu deklaracyi z 13 marca, wszyscy zgadzali się, dopóki szło o Bonapartego; ale skoro wszczęła się mowa o zamieszczeniu wzmianki, że ostatecznym celem wojny będzie powrót prawowitej dynastyi, zdania się podzieliły. Jedni mówili, że to się samo rozumie; inni obawiali się, że wzmianka zniechęci mnóstwo ludzi, którzy zdradziwszy rząd, gotowi są Bonapartego odstąpić za cenę ustępstw, jakie król jeden może wyraźnie obiecać i udzielić. Szczególnie cesarz Aleksander wzdragał się i wzdraga kwestyę tronu przesądzać. Czuje on do króla urazę, bo go ominęła błękitna wstęga, którą dostał regent angielski; potem, za to, że ks. Wicencyi (Caulaincourt) nie został powołany do izby parów, choć cesarz o to się wstawiał; wreszcie, o niedojściu do skutku małżeństwa siostry z ks. Berry; boli go również, że karta konstytucyjna odstąpiła od punktów, jakie zalecał w Paryżu. Pod wpływem urazy, cesarz sądzi po swojemu o położeniu Francyi i króla.

Następuje obszerna relacya, co cesarz miał mówić o Francyi różnym osobom, mianowicie lordowi Clancarty. Relacya mogła być wierną, mogła być upiększoną. Wierna, czy

upstrzona dodatkami, zawierała niezawodnie wszystko, co Talleyrandowi dolegało.

Cesarz miał rozpowiadać rzeczy następujące: Upadek Bonapartego będzie dopiero połową naszego dzieła. Pozostanie jeszcze zabezpieczyć spokój Europy, która spokoju nie odzyska, dopóki Francya nie będzie spokojna, to znaczy, zadowolniona ze swego rządu. Dynastia Burbonów ma za sobą tylko jedną połowę narodu, bierną, która od dwudziestu sześciu lat znosi wszelkie przewroty, nad każdym ubolewa i żadnemu nie umie przeszkodzić. Druga połowa, ta, co jest na widowni, działa, rządzi i za cały naród uchodzi, nie podda się dobrowolnie rządowi, który świeżo zdradziła, a gdyby się nawet poddawała, nie dochowa mu wierności. Mamyż więc uciekać się do siły, aby ją do poddania zmusić, albo do wojny eksterminacyjnej, żeby ją wytępić? Kto zaręczy za skutek?... Monarchowie mają obowiązki względem Europy i względem siebie samych; przypuściwszy więc, że restauracya Burbonów przyjdzie łatwo, potrzebują rękojmi, że ten porządek będzie trwałym. A gdzież są te rękojmie? Co wczoraj się stało, może się znowu niezadługo powtórzyć, ale w chwili, kiedy monarchowie nie będą zgromadzeni na jednym miejscu i nie będą mieli miliona żołnierzy pod bronią. Restauracyi Ludwika XVIII wszyscy pragną; ja pierwszy pragnę jej gorąco; lecz życzenia nasze mogą rozbić się o nieprzełamane przeszkody. Obowiązkiem przeto naszym zastanowić się wcześniej, czy nie ma innej kombinacyi możliwej. Arcyksiężna Marya Ludwika nie chce słyszeć o powrocie do Francyi, nie ma zatem mowy o regencyi. Ale jest książę Orleański, Francuz, Burbon, z Burbonką ożeniony; ma synów, za młodu służył sprawie konstytucyjnej, nosił kokardę trójkolorową...

Nastraszywszy Ludwika XVIII Orleanem, Talleyrand pospieszył dodać od siebie, że dotąd nikt nie podziela opinii Aleksandra. Austria znajduje niewczesnem wdawać się w rozbiór ewentualności, które mogą wcale nie zajść. Król pruski, najlepiej usposobiony dla Burbonów, radzi królowi uprzedzić zebranie kollegiów wyborezych, zwołanych przez Napoleona, i wydać proklamacyę, poręczającą wszystkim stronnictwom swobody konstytucyjne. Jestto nawet wspólne życzenie mo-

carstw; niektóre życzą sobie nadto, żeby król zwałił popełnione błędy na ministrów i już teraz utworzył nowy gabinet z ludzi, którzy rozmaitym partynom dadzą pożądane rękojmie.

Przyszła w końcu kolej na najdrażliwszą materję, bo na krytykę pierwszej Restauracyi. Talleyrand, schowany za cesarza Aleksandra, przedkłada królowi długi spis grzechów. Już przed rokiem należało się obawiać upadku Burbonów. Uczucia i opinie książąt, obce były nowym pokoleniom narodu. Król otoczył się ludźmi, godnymi zapewne szacunku, ale którzy Francyi nie znali i których Francya także nie znała, ludźmi, bez znajomości ducha czasu i bez doświadczenia. Człowiek najpowszechniej znieawidzony — *un certain M. de Blacas* — używał właśnie nieograniczonego zaufania monarchy. Jeszcze więcej wyrządzili złego książęta krwi, którym król pozwolił wywierać wpływ na bieg interesów, i na to niema lekarstwa. Uprzedzenia przeciwko książętom wynikłe, szkodzą więcej dynastyi, niż niechęci przeciwko samemu królowi, albowiem największe obawy rodzą właśnie domniemani następcy tronu. Ludwik XVIII sam mógłby łatwo zdobyć miłość narodu, lecz z winy książąt nie zdoła zapewne wzmocnić się na tronie.

Pigułkę Talléyranda ozłocił, zapewniając Ludwika XVIII o szczerych sympatyach wszystkich monarchów dla jego osoby. Co się tyczyło książąt, raz jeszcze powtórzył: Szczerśliwy byłbym móżdż dodać, że równą sympatyą cieszy się brat królewski, ks. d'Angoulême i ks. Berry. — Aby zaś nie pozostawała żadna wątpliwość, do czego zmierza, tak zakonkludował: Gdy władza raz będzie skupioną w rękach króla i odpowiedzialnych ministrów, obdarzonych zaufaniem monarchy i narodu, zatrze się pomалу złe wrażenie, wewnątrz i zewnątrz przez omyłki lub przez niebaczność sprawione.

W odpowiedzi, Ludwik XVIII wezwał Talleyranda, aby czempredzej przybył do Gandawy, gdyż takich rzeczy niepodobna listownie traktować. Podobno król czuł potrzebę podpory i obrony od nacisku emigrantów; między wierszami można to z listu króla wyczytać. Zastępca ministra spraw zagranicznych, Jancourt, również sobie życzył przybycia Talleyranda, pod którym wszyscy dołki kopali, zwłaszcza Blacas i Chateaubriand, mianowany ministrem stanu.

Talleyrand jeszcze cały miesiąc w Wiedniu przesiedział, twierdząc, że musi doczekać podpisania aktu końcowego kongresu, 'co intryganci chcą puścić w odwłokę i pewne sprawy pozostawić nierozstrzygnięte; imię zaś króla powinno znaleźć miejsce w akcie, stwierdzającym zgodę między wszystkimi mocarstwami. W *Pamiętnikach* powiada, że chciał otrzymać od mocarstw zobowiązanie wyraźne, podpisane i nieodwołalne, przed rozpoczęciem wojny, której wynik mógł długo pozostać wątpliwym. Prawdopodobnem jest, że w przewidywaniu długiej walki z Napoleonem, wołał przeczekać w Wiedniu, aż się pokaże, czy Ludwik XVIII odzyska koronę. Dopiero 10 czerwca ruszył w drogę.

Dla człowieka cheiwego, kongres wiedeński był rzadką okazją obfitego połowu pieniędzy. Na Genta spadł istny deszcz złoty, chociaż nie sprzedawał się, w właściwem znaczeniu słowa. Różne inne drugorzędne figury obłowiły się porządnie, lecz między matadorami dyplomacyi, przekupstwem nikt się nie skaził. Gadaniny o milionach, zebranych przez Metternicha, pokazały się być czystym wymysłem. Talleyrand, za Benewent, wraz z wszystkimi donacyami napoleońskimi za granicą, wracający do korony, dostał od Ferdynanda IV tytuł księcia Dino, ale bez księstwa. Tabakierki z brylantami, rozdawane przez monarchów przy podpisaniu traktatu wiedeńskiego, mogły razem przedstawiać wartość kilkudziesięciu tysięcy franków. Jeżeli co więcej zarobił, to na giełdzie. Chodziła wieść, że od Burbonów neapolitańskich wyłudził sześć milionów franków. Perrey, sekretarz Talleyranda, rozповідаł, że był posłany do Neapolu po odbiór pieniędzy, że przywiózł przekaz na dom Baringa, że Talleyrand uściskał go z radości, ale mu nie zwrócił pięciuset franków, wydanych nad kwotę, przeznaczoną na podróż, i mocno się skrzywił, zobaczywszy u sekretarza na szyi order neapolitański. Ale Perrey jest bardzo nieczystem źródłem. Przez dwadzieścia lat będąc sekretarzem Talleyranda, mógł naturalnie wiele rzeczy wiedzieć o swoim panu, na którego rozsiewał niezliczone potwarze, produkując autografy, przez siebie fabrykowane, umiał bowiem naśladować pismo Talleyranda.

## XXI.

W Brukselli Talleyrand dowiedział się o porażce Napoleona pod Waterloo. Ludwik XVIII już był opuścił Gandawę, zdążając w ślad za armią angielską, ku granicy francuskiej. Taki skutek odniosły rady Talleyranda, który jeszcze w jednym z ostatnich listów nalegał, żeby król strzegł się wszystkiego, co go może postawić w fałszywym położeniu względem narodu, i narazić na odpowiedzialność za klęski i nieszczęścia, jakie wojna ściągnąć na kraj nieomieszka. Lecz król był zdania, że to nikomu nie zaszkodzi, jeżeli on wróci do Paryża najkrótszą drogą, choćby pod zasłoną angielskich bagnatów.

Dopiero w Mons, Talleyrand dopędził króla, na wsiadaniem do powozu, i doznał bardzo suchego przyjęcia. Według anegdotycznej wersji, Talleyrand prędko zmiarkowawszy, że popadł w niełaskę, miał prosić króla o pozwolenie odbycia kuracyi w Karlsbadzie na swoją wątrobę, a król miał odrzec: *Certainement, M. de Talleyrand; j'ai entendu dire que ces eaux sont excellentes.* Ta wersja wydaje mi się tyle warta, co i druga, że Talleyrand z Wiednia udał się naprzód do Karlsbadu i ztamtąd przyjechał do Gandawy; tymczasem, ani w Karlsbadzie, ani w Gandawie nogą nie postął. Chateaubriand rozpowiada znowu, jak Talleyrand, zimno przyjęty w Mons przez Ludwika XVIII, już siedzącego w karecie, pisał się ze złości, wygadując na niewdzięczność i ślepotę Burbonów, a potem dopiero zdecydował się zażądać dymisyi.

Talleyrand w *Pamiętnikach* pisze, że miał u króla audyencyę i przytacza szczegóły rozmowy. Fakt audyencyi nie ulega, zdaje się, wątpieniu, albowiem Ludwik XVIII, jakkolwiek pilno mu było w drogę, nie mógł odmówić przyjęcia człowiekowi, który świeżo oddał mu wielkie usługi. A skoro audyencya miała miejsce, niema powodu podejrzwać Talleyranda, że dopiero w *Pamiętnikach* skomponował relacyę, zaszczytną dla siebie. Uwagi wreszcie, jakie królowi przedstawiał, były bardzo proste i podyktowane przez wspólny ich interes, mianowicie: Król nie powinien pokazywać się na

ziemi francuskiej w szeregach obcych wojsk, bo zaszkodzi własnej sprawie i obrazi dumę narodu; winien raczej bez eskorty przez Szwajcaryę udać się do Lyonu, lub na inne miejsce, gdzie niema cudzoziemców; tam ustanowić siedzibę rządu i zgromadzić izby. W Lyonie król będzie niezawisłym od sprzymierzonych, co w Paryżu osiągnąć się nie da; będąc niezawisłym, łatwiej zdoła bronić interesów Francyi, na wypadek, gdyby sprzymierzeni, po odniesionem zwycięstwie, zmienili ton i zamiary. Rozmaite oznaki każą się tego obawiać. Powrót sprzymierzonych do zasad jest zanadto świeży, aby można bezwarunkowo zaufać ludziom, nawykłym mierzyc swoje prawo swojemi pretensjami, a pretensye stosować do posiadanej siły. Gdyby sprzymierzeni przeobrazili się na nieprzyjaciół, król znajdzie się w stolicy na ich łasce i niełasce. Godzina powrotu króla do Paryża wybije wtedy, gdy stolica będzie oczyszczona z obcych wojsk i z fakeyonistów.

Z wyjątkiem końca rozmowy, który mógł zostać upiękuszony po zawodzie, doznanym ze strony sprzymierzonych mocarstw, rada, udzielona królowi, usunięcia się do Lyonu, była niezaprzeczeniem zdrową i życzliwą, tudzież zgodną z tem, co Talleyrand poprzednio królowi zalecał i co obcy, Burbonom życzliwi, również doradzali <sup>1)</sup>. Gdy Ludwik XVIII nie okazywał ochoty zmienić postanowienia, Talleyrand oświadczył, że w razie nieprzyjęcia jego rad, *il lui serait impossible de diriger les affaires du roi.*

Dbając o władzę i o własne stanowisko, Talleyrand zwykł był unikać stawiania rzeczy na ostrzu noża; być więc może, że zamiast wyraźnie nadmienić o dymisyi, poprzestał na wzmiance o kuracyi w Karlsbadzie, aby formalnie urlop

<sup>1)</sup> Metternich w liście do Talleyranda z Mannheimu, z 24 czerwca 1815 r., odradzał naprzód zamianowania komisarzy francuskich przy wojskach sprzymierzonych: *la chose tournerait entièrement contre le roi.* A dalej pisał: *Faites aller le roi en France, où vous voudrez, pourvu qu'il soit seul chez lui, entouré de Français, loin des baïonnettes étrangères et des secours de l'étranger. La grande armée dont Bonaparte veut se servir, est celle de l'émigration. Or, le roi cessera d'être émigré le jour, où il sera chez lui, au milieu des siens.*

tylko otrzymać. W Mons zabawił całą dobę. Wieczorem przy obiedzie u mera miasta, był wesół i rozmowny, jak rzadko, a swoim zaufanym wspominał, że z prawdziwą przyjemnością pozbył się służby u kliki niewdzięczników, którym niepodobna dogodzić.

Czekał zapewne, jaki skutek osiągnie memoriał, wręczony Ludwikowi XVIII i zawierający, obok sprawozdania z czynności kongresowych, program wewnętrznej polityki.

Z pierwszej części buchały kłęby kadzidła dla Ludwika XVIII. On, wróciwszy na tron, wskrzesił politykę, opartą na moralności, i wprowadził ją w stosunki międzynarodowe; wskutek tego Europa znalazła niewzruszoną podstawę dla swego spokoju i przyszłego szczęścia; broniąc zasady legitymizmu, Francya odzyskała należny sobie wpływ w radzie Europy. Na nieszczęście, zasada legitymizmu, tryumfująca na kongresie, doznała szwanku we Francyi. Z tego Talleyrand wziął assumpt do wejścia w osie gniazdo spraw domowych, aby, jak się wyrażał, spełnić obowiązek, ciężący na każdym zagranicznym wysłańcu króla, obowiązek zdania sprawy, jak w obcych krajach sądzone są postęпки rządu i jakie wywołują uwagi.

Z braku ochoty, czy też odwagi do wytaczania procesu pierwszej Restauracyi, poprzestał na ogólnem zdaniu, że ludzie łatwiej znoszą wszelki stały porządek rzeczy, nawet ich zasady obrażający, jeżeli ten porządek nie budzi obaw na przyszłość, nie ulega z dnia na dzień zmianom, których kresu niepodobna przewidzieć. Potem, robiąc rewolucyonistów koźłem ofiarnym, nadmieniał, że przestraszyły ich, nie początkowe postęпки rządu, lecz późniejsze. I tak, mieli oni zimno przyjąć usunięcie z izby parów sześćdziesięciu kilku senatorów, ale obeszła ich mocno projektowana reorganizacya Instytutu <sup>1)</sup>, dalej zmiany osobiste w sądzie kassacyjnym.

Argumenta nie wydają się bardzo przekonującemi, więcej zaś grzechów, i ważniejszych, Talleyrand nie był

<sup>1)</sup> Reorganizacya Instytutu nastąpiła dopiero w marcu 1816 r. Przywrócono Instytutowi dawną nazwę Akademii. Wykluczeni zostali członkowie rodziny Bonapartów, kardynał Maury, Cambacérés, Siéyès, Garat, Merlin, Roederer, Monge, Carnot, Grégoire i t. d.

w stanie wyliczyć, z tej prostej przyczyny, że pierwsza Restauracya nie tem przewiniła, co zrobiła istotnie, tylko tem, co jej adherenci zrobić przy okazji zamierzali. Do nich pil Talleyrand w dalszym ciągu:

Zasadę legitymizmu podkopali w sposób o wiele niebezpieczniejszy obrońcy władzy prawowitej, nieumiejąc odróżnić źródła władzy od jej wykonania, i sądząc, że władza prawowita winna być temsamem absolutną. Tymczasem, sposób wykonywania władzy winien być zastosowany do wymagań czasu i miejsca. W naszej zaś epoce, duch czasu wymaga, aby w wielkich państwach cywilizowanych władza monarsza wykonywaną była z udziałem ciał, wyszłych z łona społeczeństwa. Przeczyć temu, znaczy wydać wojnę opinii całego świata; to zaś czyniło wielu ludzi, blisko tronu stojących. Cała siła stanowiska króla, spoczywała w enocie i dobrej wierze, jakie królowi przyznawano. Osłabiły ją naciągane interpretacye niektórych artykułów karty konstytucyjnej<sup>1)</sup>. Poczęto wątpić o szczerości rządu, podejrzawać, że uważa on kartę konstytucyjną jako tymczasowe ustępstwo, spowodowane chwilowem położeniem. Niektóre nominacye zdwoiły obawy powrotu reakcyi<sup>2)</sup>. Niepokój pełną w objęcia partyi rewolucyjnej wszystkich zwolenników zasad konstytucyjnych i wszystkich tych, co dbali o nowy porządek,

1) Rozporządzenie z 7 czerwca 1814 r. o święceniu niedzieli, wzięto we Francyi za zamach na kartę konstytucyjną, poręczającą swobodę wyznań. W Anglii, po hotelach, w każdym pokoju znajduje się na ścianie przybita kartka z paragrafem billu o święceniu niedzieli; w niedzielę wszystkie sklepy i miejsca publiczne są zamknięte, przynajmniej od ulicy; na kolei chodzi zaledwie połowa pociągów, pocztę i telegraf równie zamknięte. Nikt przecież nie skarży się na pogwałcenie swobody sumienia.

2) Talleyrand przytacza jeden tylko przykład, nominację hr. de Bruges na wielkiego kanclerza legii honorowej. Bruges przed rewolucją służył w marynarce francuskiej, emigrował i wstąpił w szeregi angielskie. Wybór był bezwątpienia niestosowny, ale wiele zaszkodzić nie mógł, kanclerstwo było bowiem prostą synekurą. Dowodzi to tylko wielkiej niezręczności ze strony rządu, a ze strony społeczeństwa chorobliwego rozdrażnienia.

pod wpływem doktryn wielkiej rewolucyi ustanowiony. Temu, bardziej niż przywiązaniu do swojej osoby, zawdzięczał Bonaparte odzyskanie w kraju i w wojsku wielu stronników, wraz z nim wychowanych i wzrosłych wśród Rewolucyi.

Wszystko było prawdą, i to także prawdą, że legitymizm ma swoje dobre i złe strony, oraz, że złe strony powszechniej były znane od dobrych, bo już na lat dwadzieścia, jeżeli nie więcej, przed Rewolucyą, wzięto się wszystko, na czem stało społeczeństwo, *dyskutować, egzaminować, analizować* i burzyć.

Dziś — pisał dalej Talleyrand — każdy pyta: co to jest prawowitość, z kąd wyszła i z czego się składa? Dopóki uczucia religijne były głęboko w sercach wryte i w umysłach wszechmocne, ludzie mogli wierzyć w boskie pochodzenie władzy monarszej i w boskie prawo rodzin panujących. Odkąd zaledwie ślady tych uczuć pozostały, odkąd węzły religijne pękły, lub rozwolniły się co najmniej, nikt nie chce przyznać prawowitości boskiego pochodzenia. W opinii powszechnej, rządy istnieją dla narodów; prawowitą władzą jest ta, która narodowi zapewnia szczęście i spokój. Z tego wynika, że prawowitą jest władza, mająca za sobą długie lata istnienia; i w samej rzeczy, taka władza, wzmocniona uszanowaniem, jakie rodzą wspomnienia przeszłości, tudzież przywiązaniem, jakie każdy człowiek żywi do rodu swego pana, mającego za sobą odwieczny tytuł posiadania, najrzadziej wydaje los narodu na niebezpieczne hazardy. Ale, gdy ludzie poczną myśleć, iż nadużycia władzy przeważają nad jej dobrodziejstwami, prawowitość staje się dla nich czystą chimera. Aby temu zapobiedz i wlać w naród ufność ku władzy prawowitej, należy ukonstytuować rząd w sposób, wszelkie obawy usuwający. Leży to zarówno w interesie monarchy i narodu, władza absolutna bowiem byłaby dziś nieznośnym ciężarem i dla rządzących i dla rządzonych. Przed Rewolucyą, władzę monarchy ograniczały wielkie ciała ukonstytuowane, magistratura, duchowieństwo i szlachta, za pośrednictwem których monarcha rządził. Obecnie, gdy te ciała nieistnieją, wypada stworzyć nowe, wskazane przez opinię powszechną. Odkąd zwłaszcza powaga religii nie może użyzyć poparcia władzy monarszej, władza monarsza nie

może znaleźć podpory gdzieindziej, jak w opinii, i dlatego musi iść w zgodzie z opinią, dać ludowi rękojmię, że nie przeciwko jego dobru przedsięwziąć nie zdoła, nie posunie się do arbitralnych postępków, nie omyli się w wyborze środków. Nie wystarcza zaufanie w cnoty i przymioty monarchy, jak on, znikome. Zaufanie powinno mieć niewzruszone podstawy w instytucjach niezmiennych i w formie rządu, przez opinię wieku wymaganą. Wszyscy żądają rękojmi, i dla monarchy, i dla poddanych; a nikt tych rękojmi nie uważałby za dostateczne, gdyby swoboda osobista nie była prawnie zabezpieczoną, gdyby wolność druku nie była zapewnioną i gdyby prawo nie poprzestało na ściganiu przestępstw, drukiem popełnionych, gdyby sądownictwo nie było niezależne, gdyby władza sądowa w pewnych wypadkach była powierzona władzom administracyjnym, gdyby do rady monarchy miały wstęp osoby nieodpowiedzialne, nakoniec, gdyby prawo nie było wyrazem woli zbiorowej trzech ciał odrębnych: *si la loi n'était pas l'expression d'une volonté, formée par la réunion de trois volontés distinctes.*

Późniejsze wypadki dowiodły, że lekarstwa zalecane przez Talleyranda, nie były w stanie uleczyć Francuzów z gorączki, zaszczeplonej przez wielką Rewolucję, ale nie ulega kwestyi, że naród tego wszystkiego żądał i że Ludwik XVIII nie mógł ostać się na tronie inaczej, jak kosztem ustępstw, głosem publicznym wymaganych.

## XXII.

*Le roi se fit traîner en France.* Po upływie doby, Talleyrand dopędził Ludwika XVIII w Cambrai, *pour se mettre comme le roi dans les bagages de l'armée anglaise.* Rojaliści, a nawet Chateaubriand, mieli go błagać, aby nieopuszczał króla, wystawionego na pokusy sprzymierzeńców. Zkąd im to tak nagle przyszło do głowy, Talleyrand nie powiada; może prędzej jemu samemu zrobiło się żal urzędu. W każdym razie, walczył z sobą niedługo i niewzywany poszedł oddać się na usługi kliki niewdzięczników.

Przyjęcie znalazł nadspodziewanie dobre. Ludwik XVIII, zamiarkowawszy z rozmów z Anglikami, że Anglia i wszyscy sprzymierzeńcy nie przypuszczają wyłącznych rządów jednej koteryi, nawrócił do swego systemu równowagi ministeryalnej. Z wszystkich ludzi, splamionych rewolucyą, Talleyrand najmniej ciężył królowi; nadto obiecywał być podporą wobec hr. d'Artois, podporą bardziej niż kiedy potrzebną, skoro z ukochanym Blacasem tak czy owak rozstać się wypadało. Wellington dał królowi do zrozumienia, że jeśli chce zapewnić sobie przychylność Anglii, powinien utrzymać na czele rządu człowieka, któremu Anglia ufa. Sam wreszcie d'Artois, nienawidzący w Talleyrandzie liberała, lecz jeszcze bardziej nienawidzący faworytów królewskich, radził bratu pogodzić się z człowiekiem potrzebnym i użytecznym. W końcu, Guizot, imieniem konstytucjonalistów, przyobiecał pomoc swego stronnictwa, pod warunkiem, że Talleyrand pozostanie u władzy.

Wszystko więc złożyło się na utorowanie Talleyrandowi drogi do naczelnictwa gabinetu, który miał być sformowany po powrocie do Paryża. Na pochwałę Talleyranda dodać trzeba, że od swoich zasad nie odstąpił i zaraz na wstępie zabrał się do naprawiania błędów, pod jego nieobecność popełnionych.

Poprzednio, 25 czerwca, król wydał był proklamacyę, datowaną z Cateau-Cambrésis, która wszystkich obraziła. Sprzymierzeńcom nie podobał się ustęp, niosący, jako król i rodzina królewska niechcieli przyłączyć swoich ramion do narzędzi, jakich Opatrzność użyła na ukaranie zdrady. Francuzom niedostateczną wydała się obietnica utrzymania konstytucyi; wszystkich zaś, co niemieli czystego sumienia, zaniepokoiła zapowiedź nagrody dla dobrych i kary dla winnych, oraz skupienie około tronu wiernych, co dali dowody odwagi i przywiązania. Talleyrand zażądał w Cambrai nowego manifestu swojej redakcyi, zawierającego publiczną spowiedź z grzechów pierwszej Restauracyi. O to powstała pierwsza sprzeczka, świadcząca, że król, książęta krwi i pierwszy minister, nigdy zgodzić się nie zdołają.

Na radzie ministrów, pod prezydencyą króla, Beugnot odczytał projekt Talleyranda. Ludwik XVIII, skrzywiwszy się, kazał czytać po raz drugi. Następnie zabrał głos hr.

d'Artois, że monarchia okryje się wstydem, manifest każe bowiem królowi prosić o przebaczenie za winy, popełnione przez powolność dla swoich uczuć i przyjaźni, tudzież przyrzekać poprawę w przyszłości. Talleyrand bronił swego dzieła, twierdząc, że wszystko, co w niem jest, jest potrzebne i stosownie umieszczone: *le roi a fait des fautes, ses affections l'ont égaré; il n'y a là rien de trop*. Wtedy d'Artois spytał, czy to do niego ma się stosować, a gdy Talleyrand z naciskiem powtórzył: *Oui, Monsieur a fait beaucoup de mal...* uniósł się i zawołał: *Le prince s'oublie!...*

*Je le crains, mais la vérité m'emporte*, odciął się Talleyrand. Ks. Berry wziął ojca w obronę; król mu przerwał: *Assez, mon neveu: c'est à moi seul à faire justice de ce qui se dit en ma présence...* nie pochwalam ani brzmienia proklamacyi, ani dyskusyi, jaka się toczyła; redaktor zmieni swój projekt, mając na uwadze względy przyzwoitości, jakie należy zachować, gdy się przemawia przez moje usta.

*Mais ce n'est pas lui, qui a enfilé toutes ces sottises-là...* odezwał się jeszcze ks. Berry, pokazując Beugnota. Kto głupstwa nanizal, wszyscy doskonale wiedzieli. Ludwik XVIII wszystkim usta zamknął: *Mon neveu, cessez d'interrompre, s'il vous plait, et passons à un autre sujet*.

Projekt Talleyranda, wygładzony i zapewne rozwodniony, ukazał się 28 czerwca, pod nazwiskiem deklaracyi z Cambrai. Niepodobna wiedzieć ściśle, w czym Talleyrand ustąpił; manifest zawierał jednak zdania takie: *Mon gouvernement devait faire des fautes, peut-être en a-t-il fait... l'expérience seule pouvait avertir, elle ne sera pas perdue*. Król przyrzekł zachować kartę konstytucyjną i dodać do niej rękojmię, zapewniające jej dobrodziejstwa, mianowicie rękojmię najsilniejszą: *l'unité du ministère*. Osobny ustęp zbijał bajkę o przywróceniu dziesięcin i praw feudalnych i koił obawy nabywców dóbr narodowych. Drażliwy paragraf, tycający się wielkich i małych winowajców, tak opiewał: *C'est parmi tous les Français que j'aimerai à choisir ceux, qui doivent approcher de ma personne et de ma famille. Je ne veux exclure de ma présence que ces hommes, dont la renommée est un sujet de douleur pour la France et d'effroi pour l'Europe... J'aperçois beaucoup de mes sujets égarés et quel-*

*ques coupables. Je promets, moi qui n'ai jamais promis en vain, l'Europe entière le sait, de pardonner, à l'égard des Français égarés, tout ce qui s'est passé depuis le jour où j'ai quitté Lille, au milieu de tant de larmes, jusqu'au jour où je suis rentré à Cambrai, au milieu de tant d'acclamations. Cependant, le sang de mes sujets a coulé par une trahison dont les annales du monde n'offrent pas d'exemple. Cette trahison a appelé l'étranger au coeur de la France; chaque jour me révèle un désastre nouveau. Je dois donc pour la dignité de mon trône, pour l'intérêt de mes peuples, pour le repos de l'Europe, excepter du pardon les instigateurs et les acteurs de cette trame horrible. Ils seront désignés à la vengeance des lois par les deux Chambres, que je me propose d'assembler incessamment.*

Wspaniała proza, dobra dla filozofów i półfilozofów, zamądra dla mas; jak wszystko, co wychodziło z pod pióra Talleyranda. Amnestya za wypadki, zaszłe między wyjazdem króla z Lille i przybyciem do Cambrai, niewielkie uczyniła wrażenie, karząc bowiem, wypadłoby dziesiątkować cały naród. Królobójców trapiła myśl, że mogą uleść zemście prawa. Konstytucjonalistów uradował najbardziej podpis Talleyranda pod deklaracyą; ten podpis był również zadatkem, że prześladowania i proskrypcye nie będą miały miejsca, przynajmniej na wielką skalę, i że wstęp do urzędów nie stanie się monopolem emigracyjnej koteryi.

Już w drodze do Paryża okazało się, jakim zlem jest obecność króla wśród obcego wojska. Rozmaici intryganci poczęli starać się o protekeyę Anglików i Wellingtona, o którym wiedziano powszechnie, jak wiele może u Ludwika XVIII. Przez Wellingtona Fouché wyrobił dla siebie ministerstwo policyi. Obecność królobójcy w radzie rodzonego brata Ludwika XVI, była policzkiem, wymierzonym moralności i wszystkiemu, co ludzie najobojętniejsi zwykli szanować; w następstwie zaś zawiodła rachuby tych, co widzieli w niej korzyść dla rządu i dobry nabytek dla dynastyi.

Talleyrand, jako naczelnik gabinetu, musiał królowi formalnie przedstawić nowego ministra, bo tego wymagała etykieta; będąc kulawym, miał zwyczaj opierać się na ramieniu osoby, kolo niego idącej. Ztąd powstał krwawy sar-

kazm Chateaubrianda: *Le vice appuyé sur le bras du crime*; sarkazm, i w przenośni, i literalnie uzasadniony. Przystając na koleżeństwo z ks. Otrantu, Talleyrand popełnił nieprzebaczoną niedorzeczność, której rozmiarów może nie czuł, wskutek starego nałogu nieprzebierania w ludziach; ale przynajmniej połowa winy ciąży na królu i na protektorach ks. Otrantu. Król rad był zrobić figla bliźniemu i zgrzeszył uległością dla Anglików, mających przesadzone wyobrażenie o znaczeniu, wpływach i zręczności swego kandydata do teki ministra policyi. Sława najprzebieglejszego człowieka pod słońcem, zaimponowała nawet wielu rojalistom; chętnie uwierzyli, że Fouché jest niezbędnym dla bezpieczeństwa drugiej Restauracyi, trzyma bowiem w ręku nici intryg, jakie już raz tron Burbonów obaliły. Tegosamego zdania miał być Metternich, i to jest do prawdy podobne, gdyż w Austryi natenczas komisarz policyi uchodził za gatunek gwoździka w koronie. Jeden cesarz Aleksander nie pochwalił wejścia królobójcy do gabinetu, ale podobno głównie dlatego, że ganił wszystko, co dogadzało Anglikom i Austryakom.

Talleyrand, nie mając całkiem czystego sumienia wobec Aleksandra, aby cesarza przejednać, ofiarował teki ministerjalne dwom jego ulubieńcom; Pozzo di Borgo wołał przecież pozostać w służbie rosyjskiej, a ks. Richelieu wymówił się nieznamościami stosunków francuskich, które od lat dwudziestu pięciu stracił z oczu. Odmowa pomnożyła trudności w sformowaniu gabinetu; trzeba było poprzestać na ludziach nijakich. Sprawy zagraniczne zatrzymał Talleyrand; wojsko objął marszałek Gouvion-Saint-Cyr, sprawiedliwość i tymczasowo sprawy wewnętrzne Pasquier, marynarkę Jaucourt, ministerstwo domu królewskiego hr. Pradel. Skarb został w rękach barona Louis, niegdyś księdza, przed rewolucyą częstego gościa śniadań u Talleyranda, potem członka rady stanu za cesarstwa, znakomitego finansisty, który ocalił kredyt Francyi i szybką spłatą kosztów wojennych przyspieszył chwilę odejścia wojsk sprzymierzonych.

## XXIII.

Prusaków ogarnęła wściekłość odwetu i pomsty. Blücher leciał jak szalony prosto na Paryż, powiadając, że miasto każe zrabować. Na rabunek nie byliby zezwolili monarchowie sprzymierzeni; sami Blücher, gorszy w mowie, niż w uczynku, dla szulerstwa zapomniał o świecie, duiując i nocując w Palais-Royal, zkad go gwałtem musiano wyciągać. Ale za niego czuwał Gneisenau, imieniem armii, wyrzekającej, że dyplomaci marnują korzyści krwią żołnierza zdobyte.

W 1814 r. Prusacy zostali, ich zdaniem, ciężko skrzywdzeni. Nie dostała im się Alzacya i Lotaryngia, o czem marzył Stein. Wyrachowali, że od Francyi należy im się sto siedmdziesiąt milionów za dostawy podczas kampanii rosyjskiej; odprawiono ich z kwitkiem. Żądali zwrotu dzieł sztuki, zabranych w Niemczech, i to się nieudało. Wskutek decyzji monarchów sprzymierzonych, wszystko, co było wystawione w muzeach, miało tam pozostać. Ludwik XVIII obiecał zwrócić przedmioty jeszcze nie rozpakowane, ale Francuzi zdołali rewizye uprzędzić. W pakach znaleziono słomę, albo same bohomazy. Prusacy odzyskali tylko *Wiktoryę* z bramy brandenburskiej i szpadę Fryderyka W.

Przy układach z Prusakami i Anglikami o drugą kapitulacyę Paryża, Francuzi chcieli zamieścić warunek, zabezpieczający im posiadanie wszystkich dzieł sztuki, różnemi czasy po Europie zagrabionych. Po ich stronie był precedens roku 1814. Co nieodebrano Francyi, pokonanej w walce z Europą, tego nie powinna była utracić Francya, sprzymierzona z Europą w walce przeciw Bonapartemu. Prusacy, co do siebie, warunek odrzucili, zapowiadając, że wywiozą swoją własność, gdziekolwiek znajdą. Wtedy Wellington wystąpił w obronie innych poszkodowanych, mianowicie papieża, Toskanii i Hollandyi, mających równe z Prusakami prawa do odzyskania swoich skarbów. Wskutek tego, kapitulacya o dziełach sztuki zupełnie mileżała. Po wejściu do Paryża, Prusacy jęli się pładrować po zbiorach. Niemcy i Włosi wystąpili z pretensyami na drodze dyplomatycznej, i, poparci przez

Wellingtona, który twierdził, że moralność każe dać Francji nauczkę, otrzymali satysfakcyę. Canovie, przyslanemu w tym interesie z Rzymu, podobno Wellington dostarczył funduszów na opakowanie *Laokoona* i innych arcydzieł. Zabrano nawet przedmioty, cedowane Francji na mocy traktatów.

Zišciły się obawy i przepowiednie Talleyranda. Sprzymierzeni traktowali Francycę, jak kraj podbity; król nie był w stanie bronić narodu, musiał przypatrywać się gwałtom i znosić tysiączne przykrości. Przed oknami biednego króla, pruscy żołnierze rozwieszali brudną bieliznę. Prusakom przyszło do głowy wysadzić w powietrze most, niegdyś przez Napoleona nazwany *Pont d'Jena*; most uratowała interwencya Wellingtona i Talleyranda <sup>1)</sup>. Lecz niczem to było w porównaniu z tem, co się działo po kraju, w okolicach, zajętych przez Prusaków, Austryaków i Bawarów, którzy posuwając

<sup>1)</sup> Beugnot opowiada, że Talleyrand wysłał go w sprawie mostu do Blüchera, zalecając użyć najenergiczniejszych wyrażen: *dites les choses les plus fortes sur le chagrin que le roi éprouve.* — Czy mogę zagrozić, że król każe zawieść się na most i razem z mostem wyleci w powietrze? — *Non, pas précisément; on ne nous croit pas faits pour un tel héroïsme, mais dites quelque chose de bon et fort; vous entendez bien: quelque chose de fort.*

Przechował się jednak autograf listu króla, z 15 lipca, do Talleyranda, w którym król każe mu udać się do Anglików o pomoc i tak kończy: *quant à moi, s'il le faut, je me porterai sur le pont; on me fera sauter si l'on veut.*

Ludwik XVIII był z pewnością jak najmocniej przekonany, że Prusacy nie posuną się tak daleko; dowodzi to tylko, że w potrzebie umiał przybrać piękną postawę.

Talleyrand mógł mieć dobre powody ukryć przed Prusakami tani heroizm swego pana. Sprawa niecierpiała zwłoki, gdyż robotnicy kuli minę w moście; obeszło się jednak bez heroicznych środków. Z Blücherem, sprowadzonym w najgorszym humorze z Palais-Royal i mówiącym bardzo źle po francusku, Beugnot nie mógł wprost trafić do końca, lecz szef sztabu bez trudu zamiar wyperswadował marszałkowi, któremu pilno było wracać do szulerni.

Dopiero dowiedziawszy się o pomyślnym rezultacie poselstwa, Talleyrand miał się odezwać do Beugnota: *Puisque les choses se sont passées de la sorte, on pourrait tirer parti de votre idée de ce matin, que le roi avait me-*

się coraz dalej, gnębili mieszkańców rekwizycyami, zabierali kasy publiczne, ściągali podatki i kontrybucye.

Ludwik XVIII po niewczasie przekonał się, jakim błędem był powrót do stolicy, zajętej przez obce wojska. W liście do Talleyranda, 21 lipca, przewiduje, że postępowanie wojsk sprzymierzonych popchnie naród do powszechnego powstania, jak w Hiszpanii; gdy wiek i kalectwo nie pozwala mu stanąć na czele, opuści Francję i zażąda przytułku u króla hiszpańskiego: *Je ne veux pas sembler conniver aux violences dont je gémiss... j'aime mieux être dans une prison qu'aux Tuileries, témoin passif du malheur de mes peuples.* Lecz ulżywszy sobie w ten sposób, król ani myślał nawet o biernym oporze; słowne zaś protesta były grochem na ścianę. Baron Louis okupem stu milionów wyjednał układ z sprzymierzeńcami, którzy zobowiązali się nie przekraczać linii demarkacyjnej, zaprzestać nakładania kontrybucyj i wszędzie przywrócić władze królewskie.

Natenczas sprzymierzeńcy oznajmili, że żądać będą od Francyi rękojmi na przyszłość, nie wymieniając, jakich. U Prusaków gwarancye znaczyły rozbiór Francyi. Jeszcze przed wejściem do Paryża, Gneisenau napierał Hardenberga o dwie rzeczy: zabór Alzacyi i Lotaryngii, i wydanie Napoleona w ręce pruskie, aby go postawić przed sąd wojenny i rozstrzelać. Wellington od pierwszego słowa zapowiedział, że z sądu nie będzie; Anglia Napoleona trzyma, na wolność nie puści, ale go nikomu nie wyda i mordować nie pozwoli. Pretensye do Alzacyi również nie znalazły odgłosu w żadnym gabinecie; natomiast przyjęła się myśl ukarania

---

*né de se faire porter sur le pont pour sauter de compagnie: il y a là matière d'un bon article de journal, arrangez cela.*

Tu ktoś minął się z prawdą. Albo Talleyrand schował list króla do kieszeni, albo Beugnot przywłaszczył sobie cudzy koncept.

Nazwę mostu zmieniono na *Pont de l'École militaire*, co dało powód do gry słów, której Prusacy szczęściem nie zrozumieli. Utrzymują oni, że most ocalał przypadkiem, bo pierwsza mina nie wybuchła; dalsze zaś próby powstrzymał przyjazd Fryderyka Wilhelma III.

Francyi, zamknięcia jej w przedrewolucyjnych granicach i oddania na pewien przeciąg czasu pod kuratelę europejską.

Było to oczywiście złamaniem przyrzeczeń, zawartych w deklaracji mocarstw z 13 marca, która niosła, że wojna toczyć się będzie nie z Francją, lecz z Bonapartem, i że traktat paryski w całej moey zostanie utrzymany. Na Anglię i Wellingtona spadał podwójny obowiązek ujęcia się za Francją, Anglia bowiem najgoręcej popierała restaurację Ludwika XVIII, a Wellington zalecił królowi Talleyranda, jako człowieka posiadającego zaufanie Anglii; należało przeto oszczędzić dynastyi i ministrowi, upokorzenia wobec narodu. Miano kupić Anglików argumentem, że Hollandya nie będzie bezpieczną, jeżeli nie odzyska dawnej granicy belgijskiej. Główną jednak pobudką u wszystkich była obawa, że Francya nie zostanie spokojną i spokoju Europy nie uszanuje. Dlatego chciano wzmocnić pochworne przymierze, świeżo wskrzeszone; za czem szła konieczność zadowolenia Prusaków, u których zemsta tym razem więcej ważyła niż chciwość.

Koło połowy września, sprzymierzeńcy oznajmili rządowi francuskiemu swoje warunki:

Sprostowanie granic w ten sposób, że Francya z przedrewolucyjnych i porewolucyjnych granic utraci około dwóch trzecich tego, co nabyła na moey traktatu paryskiego, mianowicie od strony Niemiec Landau i Saarlouis, od strony Hollandyi okręgi dawniej do Belgii należące, od strony Sardynii całą Sabaudyę;

Zburzenie raz na zawsze fortecy w Hunindze;

Sześćset milionów kosztów wojennych, oraz dwieście milionów na budowę fortec w krajach sąsiednich;

Pozostawienie w pasie granicznym przez lat siedm na koszcie Francyi korpusu wojsk sprzymierzonych, sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi liczącego.

Trudno brać za złe ówczesnej Europie, jeżeli po tylu gorzkich doświadczeniach, dbała o własne bezpieczeństwo i własny spokój. Tron Burbonów stał na bardzo kruchych nogach; w razie jego upadku, groziło przyjscie rządu jeszcze słabszego; z tego powodu okkupacya terytoryum francuskiego przez wojska sprzymierzone, jakkolwiek Francyi wstrętna,

była nieuniknioną koniecznością, i dla samych Francuzów przykrem, lecz zbawiennem lekarstwem. Europa nie miała także obowiązku rujnować się na wojnę z Napoleonem, którego rządy były klęską i dla Francyi. Lecz w kwestyi granic, mocarstwa sprzymierzone obraziły prawo narodów, elementarną moralność i przyzwoitość, bez dopięcia zamierzonego celu, albowiem sprostowanie granic nie umniejszyło siły zaczepnej Francyi i nie wzmocniło siły odpornej państw sąsiednich.

Talleyrandowi nie trudno przyszło dowieść, że żądania sprzymierzonych nie posiadają prawnej podstawy; lecz wiedząc, że ich uporu nie przełamie, przyjął w zasadzie trzy główne punkta: sprostowanie granic tam, gdzie traktat paryski granice dawnej Francyi rozszerzył, spłatę kosztów wojennych i okupacyę z skróconym terminem. Spodziewał się tym sposobem rzeczy sprowadzić na drogę układów i w toku układów skłonić Anglię i Austryę do ulg na korzyść Francyi, aby skończyło się na nieznacznych ustępstwach terytoryalnych, trzystu lub czterystu milionach kosztów wojennych i zajęciu kilku fortec nadgranicznych do czasu reorganizacyi armii francuskiej.

Nie nie przeszkadzało potargować się z sprzymierzeńcami, którzy postawiwszy swoje warunki wraz z projektem traktatu, związali sami sobie ręce, że więcej żądać nie będą. Odpowiedź sprzymierzonych nie zawierała też odmowy rozpoczęcia układów; owszem, kwestyę pieniężną i kwestyę okupacyi odkładali oni wyraźnie do ustnej narady; wreszcie nota z 22 września poświęconą była głównie uzasadnieniu potrzeby rękojmi. Dwory sprzymierzone — czytamy tam — uznają za główny swój cel przywrócenie porządku i wzmocnienie władzy królewskiej we Francyi, lecz przekonane są, że Francya nie może używać stałego pokoju, dopóki sąsiednie narody nie przestaną żywić ku niej żalu i ciągłych obaw. Dlatego przyjęły zasadę sprawiedliwego wynagrodzenia za straty i ofiary w przeszłości poniesione, tudzież zasadę dostatecznych rękojmi bezpieczeństwa dla państw ościennych, jako podstawy trwałego układu i środek położenia tamy wszelkiej waśni. Oczywiście jest dziś, że potrzeba rękojmi stała się pilniejszą, niż w chwili zawarcia traktatu parys-

kiego. Ostatnie wypadki przejęły strachem całą Europę i pociągnęły za sobą dotkliwe straty i koszta, nieodłączne od powszechnego uzbrojenia. Trudno wymazać z pamięci współczesnych wspomnienia podobnego przewrotu. Co ich w 1814 r. zaspokoić mogło, to dziś nie wystarcza. Francya musi dać Europie nowy zakład bezpieczeństwa i powinna to uczynić przez uczucie słuszności i w dobrze zrozumianym własnym interesie, gdyż dla spokoju i szczęścia Francuzów trzeba, aby ich sąsiedzi byli również szczęśliwi i spokojni <sup>1)</sup>. Powyższe względy skłoniły dwory sprzymierzone zażądać od Francyi niejakich ustępstw terytoryalnych. Rozmiary tych ustępstw, wraz z wyborem punktów, na jakich one mają nastąpić, świadczą, że mocarstwa, dalekie od zaborezych widoków, miały jedynie na oku bezpieczeństwo sąsiednich krajów. Żądane ustępstwa nie naruszają ciągłości granic francuskich, nie osłabiają Francyi ani pod względem administracyjnym, ani militarnym; Francya pozostanie nadal państwem najlepiej zaokrąglonem i najbardziej obrotnem w Europie, jako też najobficiej uposażonem w środki odparcia wszelkiego najazdu.

Ku końcowi, nota protestowała w imię równości i wzajemności międzynarodowej przeciwko różnicy, jaką gabinet francuski pośrednio chciał ustanowić między obszarem dawnej Francyi przedrewolucyjnej i późniejszymi nabytkami terytoryalnemi. Zdaniem sprzymierzonych, przypominało to rewolucyjną doktrynę nietykalności granic Francyi i najwstrętniejszy rozdział arbitralnego kodeksu międzynarodowego, jaki Europie narzucić usiłowali naczelnicy i apostołowie Rewolucyi; w dalszem zaś następstwie Francyi, wolno byłoby rozszerzać się bez końca i bez niebezpieczeństwa uszczerbku dawnych posiadłości, w razie nieszczęśliwego obrotu wojny.

Ton, w jakim sprzymierzeńcy przemawiali, był nieprzyjemny i mało obiecujący; lecz położenia rzeczy odpowiedź mocarstw w niczem nie zmieniała. Francyi, zalanej przez obce wojska i pozbawionej własnej armii, którą dekret kró-

---

<sup>1)</sup> Niedawno dla spokoju i szczęścia Europy trzeba było, żeby Francya była spokojną, szczęśliwą i z swego rządu zadowolnioną.

lewski rozwiązał, nie pozostało nic innego, jak drogą układów tentować o ulgi w warunkach. Nie do czego innego zmierzał Talleyrand, już poprzednio przyjąwszy w zasadzie propozycje mocarstw. Ludwika XVIII odpowiedź mocarstw miała mocno przestraszyć; oświadczył Talleyrandowi, że trzeba negocjować, *prendre des tempéraments*, ustąpić dopiero w ostatniej konieczności, ale w końcu ustąpić. Natenczas 23 września Talleyrand wraz z całym gabinetem podał się do dymisyi.

Wszystko, co prawi o swoim niezmiernem oburzeniu na postępowanie sprzymierzonych, o niepodobieństwie wchodzenia w układy o cessay terytoryalne, można śmiało na bok odłożyć, skoro on sam dążył do otwarcia układów, w nadziei, że skończy się na niebardzo dotkliwych ofiarach. Powody dymisyi leżały w czem innem; wszystko rwało mu się w rękach. Skorzystał zatem z pretekstu *pour faire une belle sortie*, żeby móż powiedzieć, że ustąpił, nie chcąc podpisać traktatu, krzywdzącego Francję.

## XXIV.

Najpierw, w niwecz poszło stanowisko Talleyranda, w Wiedniu mozolnie zdobyte; zraziwszy ku sobie cesarza Aleksandra, nie zdołał pozyskać trwałej przychylności Anglii i Austrii. Metternich i Castlereagh, dopiero gdy zawisło nad nimi przyjsie do władzy ks. Richelieu, uchodzącego za kreaturę Aleksandra, jeli się błagać Talleyranda o cofnięcie dymisyi; Castlereagh użył nawet słów, przypominających najlepsze czasy wiedeńskie: *Pourquoi ne voulez-vous pas être ministre de l'Europe avec nous?* Gdy Europa traktowała Francję jako swego przeciwnika, Talleyrand musiał odpowiedzieć: *Je ne veux être que le ministre de la France.* Lecz, aby godnie pełnić te obowiązki, potrzebował być pewnym zupełnego poparcia ze strony króla.

Heroiczne zapędy Ludwika XVIII kończyły się zawsze, niestety, na listownych ekspektoracyach. O rewolucyjne podboje nie dbał on wcale i z ojcowizny gotów był ustąpić, dla świętego spokoju. Odkąd Fouché wystąpił z gabinetu i ksią-

żeta krwi zostali usunięci z rady, królowi dotkliwie ciążyła kuratela ministeryalna, w jakiej Talleyrand go trzymał. Rad był przeto pozbyć się pierwszego ministra i chętnie słuchał, co mu kładli w uszy jego przeciwnicy.

Hr. d'Artois nie przebaczał Talleyrandowi swego wypędzenia z raju. *Un jour Votre Majesté me remercia pour ce qui déplait à Votre Altesse Royale*, przedkładał Talleyrand księciu, chcąc tem wyrazić, że dla następcy tronu najlepiej nie brać na siebie odpowiedzialności za uczynki poprzedniego panowania. Jeszcze zawziętszą była koterya emigracyjna, dążąca do utworzenia wraz z bratem królewskim pokątnego rządu. Raziły ją konstytucyjne porządki Talleyranda, opieka i skryta pomoc, niesiona ludziom proskrybowanym, wreszcie pewna hardość w stosunkach ze sprzymierzeńcami. Ośmieleni wynikiem wyborów do Izby deputowanych, przeprowadzonych w ich duchu pod naciskiem obcych bagnetów, rojaliści upatrzyli w sprzymierzeńcach zadatek powodzenia dalszych swoich planów, i dla tego namawiali króla do powolności względem Europy. Kiedy wkońcu cesarz Aleksander obiecał wziąć Francję w opiekę, jeżeli ks. Richelieu obejmie naczelnictwo gabinetu, król dał poznać Talleyrandowi, iż jest zawada.

Opuszczony przez króla, Talleyrand nie miał najmniejszej szansy szczęśliwego poprowadzenia układów z mocarstwami, ani też wybrnięcia z wewnętrznych trudności, które były niezmierne, i którym mądrość Salomona może niepotrafilaby podolać. Talleyrand traktował rzeczy z doktrynerską naiwnością i filozoficznym spokojem, pozwalającym wątpić, czy w danem położeniu był odpowiednim człowiekiem.

Kiedy sprzymierzeńcy po raz pierwszy nadmienili o gwarancyach, jakie Francya powinna dać Europie, Talleyrand odpisał, co następuje: „Najlepszą gwarancyą przeciwko nowym przewrotom, stanowią instytucye polityczne, jakiemi Francya rządzić się będzie. Izba panów złożona będzie z członków dziedzicznych. Izba deputowanych oprze się na zasadzie, zapewniającej harmonię czynników prawodawczych. Obydwie Izby podniosą z królem przywilej inicjatywy, dawniej tylko królowi służący. Prawodawstwo, będąc wyrazem zbiorowej woli trzech odrębnych czynników, da wszelkie rę-

kojnie bezstronności. Gabinet, już utworzony, posiada siłę, jakiej użyjeza jedność; będąc odpowiedzialnym, posłuży za rękojmnię przeciwko nadużyciom władzy. Niezależność sądownictwa jest zabezpieczona; kara konfiskaty nazawsze usunięta. Król uchylił przepisy, tamujące swobodę druku. Wszystkie instytucye wykluczają zarówno absolutyzm i swawolę; z równem szezęściem poskromią one ducha podbojów, zrodzonego wśród wyjątkowych okoliczności, które się więcej nie ponowią. Nie będzie we Francyi dynastyi rewolucyjnej, zmuszonej dążyć do obalenia prawowitych tronów, ani też tyrana, zniewolonego ludzić naród perspektywą chwały i w ten sposób odwracać uwagę powszechną od codziennych dolegliwości. Bonaparte znajduje się w rękach monarchów sprzysiężonych. Główni współwinni ostatniej jego zbrodni są w rękach sprawiedliwości, narzędzia jego despotyzmu wygnane z Francyi, lub wydalone za stolicę. Duch podbojów miał główne siedlisko w wojsku, lecz ten duch osłabł w miarę ostatnich niepowodzeń i wskutek przekonania, że Europa jest dziś inną, niż dawniej. Z drugiej strony, żołnierz całe życie spędzając w szeregach, tam widział swoją rodzinę i ojczyznę; innej wcale nie znał. Nowa organizaeya wojskowa ułatwi żołnierzom częste zetknięcie z rodzinami i zajęciami domowemi, przez co oduczy ich stwarzać sobie uczucia i interesa, odrębne od uczuć i interesów kraju.

Nie inny był program wewnętrznej polityki Talleyranda, program teoretycznie bardzo dobry, ale w którego zbawienność autor zbyt naiwnie wierzył, i był zdaje się przekonany, że wszystko pójdzie samo jak z płatka. W tem mocno się mylił. Pomimo tyloletnich doświadczeń, Talleyrand nie przestał być konstytucjonalistą z Konstytuanty, po wierzchu tylko legitymizmem ocukrowanym.

Rząd nie posiadał elementarnych narzędzi. Armia napoleońska była rozwiązana i do czasu sformowania nowej, kraj był ogołocony z siły zbrojnej, niezbędnej wobec namiętności silnie grających w rządzie, zwłaszcza na południu, gdyż przyszło do krwawych starć. Nowa armia miała się składać z resztek dawnej, z resztek najmniej zarażonych bonapartyzmem, lecz niemniej przywiązanych do trójkolorowej chorągwi, orłów i widomych znaków minionej chwały.

Wojsko napoleońskie liczyło około czterdziestu tysięcy oficerów, z których przynajmniej połowa musiała uleść reformie, pójść na pół żołdu, znaleźć się bez zajęcia i sposobu do życia, utworzyć armię malkontentów, niebezpiecznych dla każdego rządu, dla Burbonów tem niebezpieczniejszych, że przy nowej organizacyi starano się naturalnie usunąć z szeregów żywioly najbardziej sfanatyzowane, ludzi niepewnych, niespokojnych, móralnie i umysłowo najniżej stojących, którzy swą krzywdę kładli na karb dynastyi i wyszli na jej śmiertelnych wrogów.

W spadku po Napoleonie dostał się Burbonom arsenał instrumentów panowania, których Ludwik XVIII weale nie zamierzał na rdzewienie skazywać. Francya tak wreszcie przywykła była do centralizacyi i ścisłej opieki administracyjnej, że stały się one koniecznemi; ale niepodobieństwem było pozostawić administracyę w rękach urzędników zsolidaryzowanych z dawnym porządkiem, jeszcze zaś trudniej wynaleźć ludzi, umięających poprzestać na ścisłem pełnieniu obowiązków i ustrzedz się zbytku gorliwości, bardzo zdradliwej ze względu na czasy i chorobliwe rozdrażnienie umysłów w narodzie. Brak uregulowanej administracyi dał się zaraz uczuć przy wyborach do Izby deputowanych.

Zgromadzić napowrót dawną Izbę, po tylu dowodach jej małoduszności, sama przyzwoitość niepozwalala. System konstytucyjny Talleyranda kazał nie zwlekać z wyborami, aby przyspieszyć puszczenie w ruch maszyny rządowej. Prefekci i podprefekci nowego autoramentu nie umieli zabrać się do rzeczy, kierunek wyborów dostał się więc w ręce zagorzałych rojalistów, którzy jedni wiedzieli czego chcą, jedni byli czynni i ruchliwi, i potrafili zjednać sobie poparcie wojsk sprzymierzonych. Talleyrand pomnożył liczbę deputowanych i do lat dwudziestu pięciu obniżył granicę wieku wybieralności. Skutek był taki, że do Izby weszli w przeważnej liczbie rojaliści skrajnego odcienia, po największej części młodzi, nieobeznani z parlamentaryzmem.

Gabinet przedstawiający politykę umiarkowania i pojednania, znalazł się wobec Izby, otwarcie dążącej do przełania władzy na jedno stromietwo, którego celem było zburzyć wszystko, co rewolucya zrobiła. Z dwóch innych czyn-

ników prawodawczych, król nie obiecywał być wierną podporą gabinetu Talleryanda i Izba parów przedstawiła zagadkową wartość. O zasadę dziedziczności wynikł pierwszy spór między Talleyrandem i Ludwikiem XVIII, który długo opowiadał, twierdząc, że nie może i nie powinien ogalać korony z wszelkiego wpływu na najznakomitsze ciało w państwie. Talleyrand nie ustąpił, co król sobie zapisał w pamięci, lecz dziedziczność mogła wydać spodziewane owoce dopiero w drugim albo w trzecim pokoleniu. Tymczasem do Izby parów weszli ludzie zdezoryentowani, przygniecenii uczuciem zmienności rzeczy ludzkich, niezdolni stać się dla rządu ani zbawiennym hamulcem, ani silną podporą. Ta Izba dziedziczna była później celem pocisków swego własnego twórcy; kiedy mówiono Talleyrandowi, że tam przynajmniej są sumienia, odrzekł: *Ah! oui; beaucoup, beaucoup de consciences; un tel en a au moins deux.*

Przy nominacji parów wypadło rozstrzygnąć los dawnych dygnitarzy, którzy zbyt łatwo służbę u różnych panów zmieniali. Talleyrand, pragnąc proskrypcyę o ile można zredukować, chciał, żeby król uznał jako dymisyonowanych, parów z r. 1814, którzy zasiedli następnie w Izbie, przez Napoleona podczas stu dni utworzonej. Ułożenie listy osób, mających pójść pod sąd za czyny po wyładowaniu Bonapartego popelnione, miało być poruczone Izdom. Talleyrand nie przypuszczał zwycięstwa skrajnego stronnictwa przy wyborach; liczył, że czas ukoji namiętności, i że uda mu się zachęcić rojalistów, jeżeli nie całkiem, to w większej części zniweczyć. Lecz Fouché, teraz pokorne narzędzie rojalistów, przedstawił radzie ministrów gotowe listy proskrypcyjne, przeszło sto nazwisk obejmujące. Gdy król zgodził się w zasadzie na wniosek ministra policyi, Talleyrand tyle tylko otrzymał, że listę zredukowano do połowy. Ney, Labédoyère, Grouchy, Cambonne, Clausel, Lavalette, Rovigo, dwaj bracia Lallemand i inni w liczbie dziewiętnastu, mieli być sądownie ścigani; reszta, między nimi: Soult, Exelmans, Vandamme, Lamarque, Lobau, Marbot, Boulay de la Meurthe, uległa internowaniu i nadzorowi policyi.

Rząd miał prawo i obowiązek ukarać zdradę, złamanie przysięgi, ale zbyt surowość nie była do twarzy mo-

narsze, który królobójcę do swej rady przypuścił. W takich warunkach, kara wyglądała na prostą zemstę; odłożywszy zaś na bok wszystkie inne względy, należało nie zapominać, iż zemsta słabemu nie wychodzi na pożytek. Jedną z wielkich usług, oddanych przez Talleyranda drugiej Restauracyi, była pobłażliwość w traktowaniu zwyciężonych. Uległszy woli króla w sprawie proskrypeyi, kazał wszystkich nią dotkniętych ostrzedz poufnie, dostarczył im paszportów i pieniędzy na drogę z funduszów swego wydziału w kwocie czterechkroć sześćdziesięciu tysięcy franków. Ney i Labédoyère sami nie chcieli z tego dobrodziejstwa korzystać.

Świadczy to, że Talleyrand złego serca nie miał; innym źródłem pobłażliwości był niewątpliwie indyferentyzm, płynący z braku wszelkich zasad, z braku wiary w jakiegokolwiek prawdy niewzruszone, w końcu z doświadczeń własnego życia. Przebaczał największe upadki, bo wszystkie przypisywał temu, że człowiek upadły nie umiał wybrać stosownej pory, kiedy można upaść bezpiecznie i z korzyścią dla siebie. Na wycieczki przeciwko zdrajcom owego czasu, miał zwyczaj odpowiadać: *Tout ceci ne prouve qu'une chose, c'est que leur montres avançaient et que tout le monde était à l'heure.*

Nieco później udalo się Talleyrandowi wyparować ks. Otrantu z gabinetu, ale był to jego śpiew labędzi. Nawet w razie gładkiego obrotu układów z sprzymierzeńcami, dni gabinetu były najprawdopodobniej policzone i nie długie. Musiało przyjść niebawem do starcia z Izbą deputowanych, gabinet zaś nie posiadał w swem łonie mowców i taktyków parlamentarnych. Niegdyś w Zgromadzeniu Narodowem, Talleyrand bywał chętnie słuchanym, dzięki oryginalnej formie, w jaką umiał ubierać filozoficzne doktryny, wszystkich czarując urokiem nowości. W późniejszych czasach już nigdy nie brał udziału w rozprawach parlamentarnych i wszelkich dysput unikał z zasady, jako daremnych. Na zebraniach dyplomatycznych miał zwyczaj słuchać i mileżeć, jak gdyby wszystko aprobował; dopiero gdy inni nagadali się do syta, występował ze swoim zdaniem, treściwie wyrażonem i naprzód najściślej rozważonem. Z Izbą z kilku setek głów złożoną, do

tę niesforną i wrażliwą, podobna taktyka nie obiecywała pomyślnego skutku. Trzeba było wreszcie zawsze stać na stanowisku i schodzić ostatnim, co przechodziło fizyczną możność Talleyranda, z powodu wieku i kalectwa. Czuł on to dobrze i dlatego tem skorzej uchwycił pretekst, pozwalający mu usunąć się z honorem.

Z honorem, lecz nie bez żalu, zle tajonego. Ludzie publiczni bardzo rzadko umieją znieść z prawdziwym spokojem rozbrat z władzą; każdego mniej więcej trapi robak zawodzonej ambicji, malej lub wzniosłej, odpowiednio do miary i gatunku człowieka. Jeszcze rzadszą bywa umiejętność milezenia, które może być bardzo wymownem, a najmocniej imponuje. Nie będąc z natury i zwyczaju gadułą, Talleyrand nie wdawał się w łokciowe filippiki na króla i swego następcę, na czem nikt nie zyskał.

Ludwik XVIII dostał pierwszy zasłużone ciężki. Zrobiwszy Talleyranda wielkim szambelanem, z pensją dożywotnią stu tysięcy franków, na ostatniej urzędowej audyencji, w obliczu wszystkich ministrów, król w te słowa miał przemówić do człowieka, któremu zawdzięczał w znacznej części koronę i piękne chwile początków swego panowania:

*Vous voyez à quoi les circonstances me forcent; j'ai à vous remercier de votre zèle, vous êtes sans reproche, et rien ne vous empêche de rester tranquillement à Paris.*

Talleyrandowi krew do głowy uderzyła, ale języka nie zapomniał i podniesionym głosem odrzekł: *J'ai eu le bonheur de rendre au roi assez de services pour croire qu'ils n'ont pas été oubliés; je ne comprendrais pas ce qui pourrait me forcer à quitter Paris. J'y resterai et je serai trop heureux d'apprendre qu'on ne fera pas suivre au roi une ligne capable de compromettre sa dynastie et la France.*

Następca Talleyranda, ks. Richelieu, opuściwszy Francję w początkach rewolucji, wstąpił do służby rosyjskiej, ale trzymał się zdaleka od emigrantów, dążących do poruszenia całej Europy przeciwko własnej ojczyźnie. Ustanowiony przez cesarza Aleksandra gubernatorem Krymu, rzucił w tym dzikim kraju pierwszy posiew cywilizacji, stworzył Odesę i zostawił po sobie najlepsze, dotąd żyjące wspomnienie. Prawy, szlachetny i bezinteresowny, miernego talentu, pięk-

nej postawy i wytwornych form, do Aleksandra był przywiązany przez wdzięczność i pewien rodzaj admiracyi, jaką cesarz wzbudzał w ludziach, skłonnych do entuzjazmu. Gdy Talleyrand mu ofiarował ministerstwo domu królewskiego, odmówił, dając za powód, że nie zna stosunków francuskich i pragnie wrócić do Odessy, aby ukończyć rozpoczęte dzieło; postąpił wtedy niezawodnie z całą szczerością, a jeżeli co przemilczał, to wstręt do koleżeństwa z ks. Otrantu. Talleyrand chciał go mieć w gabinecie, jako amulet przeciwko niełasce cesarza Aleksandra, i odmowę wziął bardzo do serca. Tem bardziej obraził się przyjęciem naczelnictwa gabinetu i teki spraw zagranicznych, chociaż widocznem było, że nastąpiło to w zupełnie odmiennych warunkach, na życzenie Ludwika XVIII i cesarza Aleksandra, w widokach korzystnego dla Francyi obrotu układów z mocarstwami sprzymierzonymi.

Pytany, czy Richelieu potrafi rządzić Francją, Talleyrand odparł: *Très certainement; personne ne connaît mieux la Crimée...* a w Pamiętnikach, nazwawszy swego następcę *un très bon homme, mais novice en diplomatie et tant soit peu crédule*, piórem w żółci zmaczanem dodaje: *Persuadé qu'entre les images de la Divinité sur la terre il n'y en avait pas de plus belle et de plus digne que l'empereur Alexandre, le duc de Richelieu n'imagina rien de mieux, en se chargeant des affaires de la France, que d'aller implorer les lumières et l'appui de ce prince.* Tak źle nie było. Aleksander oprócz pomsty na Talleyrandzie, chciał mieć w Paryżu na czele rządu człowieka, który nie będzie knuł w Europie na szkodę Rosyi, i swego dopiął; lecz Richelieu nie stał się bynajmniej marynetką w cudzych rękach. Anglomania Ludwika XVIII neutralizowała w potrzebie rusofilstwo pierwszego ministra, który był ucziwym Francuzem i, kierując się zdrowym rozsądkiem, bardzo wielkie trudności szczęśliwie zdołał ominąć.

## XXV.

Na wielkich uroczystościach dworskich, Talleyrand stawał regularnie za tronem, oparty na długiej lasce, podobnej

do kuli. Król traktował go zimno, książęta krwi i dworacy nie szcędzili złośliwych spojrzeń; on wszystko znośił obojętnie. Obey bez porównania wyżej go cenili, niż swoi, których namiętności i ulud nie podzielał. Zaściankowych polityków i nowicyuszów, w Izbie deputowanych rej wodzących, trzymał zdala od siebie; na posiedzenia Izby parów rzadko uczęszczał i wpływu tam nieużywał, z powodu niechęci, jakie wzbudzał zarówno w rojalistach i w bonapartystach. Od czasu do czasu zabierał głos, aby przypomnieć światu, że żyje, jest w pełni sił umysłowych, wierny dawnym opiniom i w pewnych warunkach gotów służyć krajowi.

W lecie 1821 r. wystąpił w obronie swobody druku, jako składowej części rządu reprezentacyjnego i jednego z najistotniejszych narzędzi tego rządu, i postawił dwie tezy: że wolność druku jest potrzebą czasu, oraz, że każdy rząd, opierający się zbyt długo i zbyt upornie temu, co czas za niezbędne uznał, swój własny byt naraża. Duch ludzki, mówił, nigdy nie spoczywa, wczorajsze odkrycia są dlań środkiem do nowych odkryć; lecz w pewnych porach trawiony bywa potrzebą produkeyi, w innych zaś odpoczywa i porządkuje zdobyte skarby. Taką epoką szczęśliwą był wiek XVII, gdy umysł ludzki zapragnął użyć do syta bogactw, nagromadzonych dzięki wynalazkowi druku, i tworzyć arcydzieła. Największe genjusze czasu Ludwika XIV pracowały w zawody nad przyozdobieniem porządku społecznego, po za którym i nad którym nie widziano nic więcej, i który miał trwać tak długo, jak chwala wielkiego monarchy. Po wyczerpaniu kopalni starożytnej, umysł ludzki ujrzał się zniewolonym szukać dla siebie innego pola i nowość znalazł w badaniach spekulacyjnych, obejmujących całą przyszłość o niewiadomych granicach. Po poetycznych prawidłaach *Telemaka* nastąpiły teorye *Ducha Praw*, *Port-Royal* ustąpił miejsca *Encyklopedyi*. Nieszczęścia spadły na Francję w epoce rewolucyjnej, nie powinny zacierać zasługi wzniosłych umysłów, którym zawdzięczamy odkrycie wielkich prawd i które nie są odpowiedzialne za szalony pospiech, z jakim Francya rzuciła się na drogę, przez nich pokazaną. Jedynie trzymając się wymagań czasu, można być pewnym, że się nie zbłądzi. A jeżeli chcemy poznać istotne wymagania czasu

w 1789 r., zajrzyjmy do *Kajetów* stanowych, których treści Konstytuanta wiernie się trzymała, uchwalając swobodę wyznań, równość wobec prawa, swobodę osobistą, swobodę druku. W innych punktach Konstytuanta poszła odmienną drogą, a przecież, pomimo wszystkich błędów i klęsk, potomność przyznaje Konstytuancie chwałę rzucenia podstaw nowego prawa publicznego. Bądźmy również pewni, że to, co w ciągu długiego szeregu lat ludzie światli zgodnie uznali za dobre i pożyteczne, jest koniecznością czasu. Tak się rzecz ma z swobodą druku. Rządy słusznie nie spieszą się z zadość uczynieniem nowym potrzebom społeczeństw; lecz ustępstwa raz udzielone, powinny być ściśle dotrzymane, aby nie podawać w podejrzenie dobrej wiary rządu. W naszych czasach nie łatwo przychodzi oszukiwać. *Il y a quelqu' un qui a plus d' esprit que Voltaire, plus d'esprit que Bonaparte, plus d'esprit que chacun des Directeurs, que chacun des ministres passés, présents, à venir: c'est tout le monde.* Gdy prasa jest swobodna, gdy każdy wie, że jego interesa mają lub znajdą obrońcę, każdy czeka cierpliwie, aż wybije godzina sprawiedliwości; lecz gdy prasa jest skrzepowana, nieukontentowanie powszechne zmusza prędko rząd do pobłażania, albo do zbytku represyi.

Przez usta Talleyranda odezwał się znowu konstytucjonista z Konstytuanty, niezdający sobie sprawy z radykalnej przemiany stosunków, sprowadzonej udziałem mas w życiu politycznem. W klasach oświeconych zbawienne następstwa swobody druku, mogły równoważyć zło, z jej nadużycia wynikłe; do umysłów ciemnych, ogłocoonych z własnego sądu i doświadczenia, znajdowały przystęp prawie same tylko najgorsze i najdrożniejsze produkta prasy. W ciągu dziesięciu lat, licząc od powrotu Burbonów i nadania swobody druku, rozsprzedano we Francyi przeszło półtrzecia miliona egzemplarzy pism przeciwko wierze, religii i obyczajom; młodzieży i robotnikom sprzedawano je za pół ceny, a koszta ponosiło stronnictwo rewolucyjne, przygotowujące grunt do społecznych i politycznych przewrotów. W Paryżu, na ośmkroć mieszkańców, liczono dwadzieścia tysięcy mężczyzn i ośmdziesiąt tysięcy kobiet, wyznających jakąkolwiek religię; trzecia część ludności nie była weale ochrzczoną; w cyr-

kułach zamieszkałych przez najniższą klasę, trafiało się ledwie jedno małżeństwo na dwadzieścia par, żyjących w konkubinacie<sup>1)</sup>. Propaganda ateizmu wychodziła nietylko na szkodę dusz i moralności. Te tłumy bez Boga i wiary, były ciągłą groźbą dla spokoju publicznego, stanowiąc armię uliczną, posłuszną skinieniu przywódców i która naprzód Burbonów, a potem Orleanów obaliła.

Rokiem później Talleyrand dał nowy znak życia, komentując w Izbie parów kartę konstytucyjną i zamiary jej twórców. Nakoniec, w 1823 r., powstał przeciwko wyprawie hiszpańskiej i przepowiedział Burbonom los Bonapartego. Wyprawa była we Francji niepopularna; sam jej autor, Chateaubriand, wątpił o pomyślnym rezultacie wielkiego przedsięwzięcia rojalistów. Ale fortuna odwróciła się od Talleyranda, który miał żywić nadzieję, że w razie złego obrotu rzeczy, będzie wezwany na ratunek. Burboni zebrali w Hiszpanii laury, nietrwale wprawdzie, zadające jednak kłam proctwom człowieka, otoczonego urokiem nieomyślności. To odebrało Talleyrandowi ochotę do mieszania się do polityki; spadły nań prócz tego rozmaite ciosy.

Bonapartyści z niesłychaną zawziętością prześladowali Talleyranda, jego niezliczonym zdradom przypisując upadek cesarstwa. Savary ogłosił ustęp swoich *Pamiętników*, poświęcony sprawie ks. d'Enghien i zwałający winę instygatorstwa na Talleyranda. Osoba oskarżyciela o tyle ważyła, że dawny minister policyi Napoleona mógł wiedzieć całą prawdę; oskarżenie zaś przyszło na rękę rojalistom, nienawidzącym oskarżonego. Talleyrand zamierzał dochodzić potwarzy przed Izbą parów, lecz Ludwik XVIII upoważnienia odmówił i za całą satysfakcyę zakazał Savaremu pokazywać się u dworu. Zakaz był ogłoszony w dziennikach; w parę dni później król rzekł Talleyrandowi: *Vous et les vôtres pourrez venir ici sans crainte de mauvaises rencontres*; plama niemniej została niezmyta.

Jednocześnie, pojawiła się wieść, jako Talleyrand w 1814 r. zamierzał kazać zamordować Napoleona, w dro-

<sup>1)</sup> *Mémoires de Metternich*. Metternich do cesarza Franciszka 28 marca 1825.

dze na Elbę. Autorem wieści był Armand de Maubreuil, margrabia d'Orsavault. Syn dobrej rodziny bretońskiej, bil się niegdyś z Wandejczykami, potem służył pod Napoleonem w Hiszpanii. Wypędzony z armii, w porze kiedy nieprzebierano w ludziach, dostał się na dwór, równie niewybredny, króla Hieronima westfalskiego. I ztamtąd przepędzony, spekulował na dostawach dla wojska, stracił mienie i po upadku Napoleona przekabacił się na gorącego stronnika Burbonów. Po wejściu sprzymierzonych do Paryża, Maubreuil potrafił dotrzeć do domu Talleyranda, gdzie było siedlisko rządu tymczasowego. Wedle jego wersji, sekretarz generalny rządu, Roux Laborie, miał mu zaproponować, imieniem Talleyranda, zabicie Napoleona i obiecać w nagrodę stopień jeneralski i gubernatorstwo prowincyi. Wedle innej wersji, Maubreuil miał sam ofiarować, że Napoleona zabije za dziesięć milionów, a jeden z świadków sceny, albo Pradt, albo Louis, zawołał: *Dix millions! mais ce n'est rien pour débarasser le monde d'un tel fléau!*... Bądźcobądź, Maubreuil otrzymał paszport, jako wysłaniec rządu w missyi tajnej, i przepustki od dowódców wojsk sprzymierzonych. Talleyrand powiada, że w owym czasie takich sekretnych posłańców były setki, że posyłano każdego, co się pod rękę nawinał, aby zawiadomić władze w kraju o powrocie Burbonów na tron. Maubreuil twierdził, że missya sekretna znaczyła zamordowanie Napoleona, lecz on w drodze sumieniem ruszony, od zamiaru odstąpił. Za to, spotkawszy po drodze królowę westfalską, zatrzymał ją, obrab z pieniędzy, srebra i kosztowności i z lupem wrócił do Paryża, gdzie wskutek skargi królowej, poszedł do kozy. Wypuszczony na wolność w marcu 1815 r. znowu uwięziony z rozkazu Napoleona, uciekł z więzienia do Belgii, gdzie go napowrót przytrzymało na żądanie Ludwika XVIII. Tym razem wolność miał zawdzięczać protekcyi króla holenderskiego. W 1816 r. w Paryżu, raz jeszcze aresztowany, zbiegł w sposób, pozwalający wnosić, że policya ułatwiła mu ucieczkę. Tułając się zagranicą, drukował pamflety na Talleyranda, jako sprawcę doznanych krzywdf; w r. 1827 zaś, wróciwszy potajemnie do Francyi, napadł na niego w kościele katedralnym w Saint-Denis, podczas żałobnego obchodu za Ludwika XVI, obił i powalił na ziemię.

Ukarany pięcioletniem więzieniem, nie zaprzestał swoich wycieczek; za Ludwika Filipa wytaczał Talleyrandowi procesy i w oczach wielu osób uchodzić potrafił za ofiarę największego krętaacza, jakiego ziemia wydała. Wszystko zaś razem wzięwszy, zdaje się nie ulegać kwestyi, że Talleyrand miał prawo z tej historyi taki sens moralny wyciągnąć: *Donnez-moi de l'argent, ou je ferai du scandale* <sup>1)</sup>.

Talleyrand poniósł prócz tego bardzo znaczne straty majątkowe, przez upadek domu handlowego, założonego jego funduszami. Odtąd większą część roku spędzał w Valençay. W najbliższem sąsiedztwie, w Rochecotte, mieszkała pani Edmundowa de Périgord, nosząca teraz tytuł księżnej Dino i separowana z mężem. Zatargi małżeńskie nie zamęciły harmonii między stryjem i synowicą, której córeczka, Paulina, późniejsza pani de Castellane, była w szczególnych laskach u dziadka, i w końcu ułatwiła mu przeprawę na tamten świat. *La douce approche d'une jolie enfant a un grand charme*, pisał o niej Talleyrand do pani Mollien, jednej z swoich zwykłych korespondentek, miał ich bowiem kilka i zdawałoby się, że chętniej pisywał do kobiet, niż do mężczyzn.

Pomimo namiętności Francuzów do zbierania autografów, stosunkowo bardzo mała ilość listów prywatnych Talleyranda wyszła dotąd na jaw. Z rewolucyjnych czasów znalazło się zaledwie parę do Choiseula, do pani de Staël i do lorda Lansdowne, chociaż trudno przypuścić, aby człowiek, tak życiu towarzyskiemu oddany, czynił był wyjątek od powszechnej reguły i niepisywał wcale, gdy wszyscy pisywali bez miary. Brak listów z epoki napoleońskiej tłómaczy do pewnego stopnia ostrożność. Z epoki kongresowej przechowało się parę bilecików. Dopiero od rozstania się z Ludwikiem XVIII kollekeya autografów staje się obfitszą, a nader obfitą po objęciu przez Talleyranda ambasady londyńskiej, lecz wtedy pani Adelaida, siostra Ludwika Filipa, i księżna de Vaudémont służyły ambasadorowi do znoszenia się z królem.

W ostatnich kilku latach panowania Burbonów, Talleyrand odzywa się do swoich korespondentek, jako poezciwy staruszek, którego jeszcze wszystko zajmuje, ale który ni-

<sup>1)</sup> W liście do pani Mollien, cytowanym przez Sainte-Beuve'a.

ezem bardzo się nie troszczy, bo dobrze mówi *le bonhomme* Lafontaine:

Patience et longueur du temps  
Font plus que force ni que rage.

Pogoda i deszcz, własne reumatyzmy i dolegliwości pani Dino, drobne ploteczki i anegdutki, *les amours des doctrinaires*, czyli wejście w stan małżeński Rémusat'a i Guizota, śmierć Canninga z przeładowania żołądka, czasem wzmianka pobieżna o jakim wypadku politycznym, lub o nowej książce — taka jest treść tych listów, na które mógłby się zdobyć najzwyklejszy śmiertelnik. Przy tej sposobności, Sainte-Beuve trafną robi uwagę, że u ludzi tego pokolenia dobry smak, z jakiego słynęli, nie szedł w parze z dobrym smakiem artystycznym i literackim i że w poezyi szczególnie trzymali się oni konwencyonalnych form *et des lieux communs*, z pierwotnej edukacji zaczerpniętych <sup>1)</sup>. Rzadkie są w tej korespondencji owe błyski dowcipu, które zjednały Talleyrandowi osobny rodzaj sławy. Z piórem w rękę bywał najczęściej sentencyonalny, czasem nieco suchy i ciężki; co nie przeszkadza, żeby nie miał być innym w rozmowie. Czy wszystkie dowcipy, jakie mu legenda przypisuje, były jego osobistą własnością, to znowu inna materya. Ojcowstwo

<sup>1)</sup> Sainte-Beuve przytacza w dowód list Talleyranda z wód w Bourbon, gdzie wraz z nim bawił generał Dupont, znany z kapitulacji Baylen, w nieszezęściu metroman. Recytował on swoje wiersze Talleyrandowi, który znalazł bardzo piękną następną strofę, opiewającą smutne losy pary słońców w niewoli:

Loin du rivage de Golconde  
L'hôte géant de ces déserts,  
De sa solitude profonde  
Chérit l'image dans ses fers.  
Jamais son épouse enchaînée  
Ne vent d'un servile hyménée  
Subir les honteuses douceurs;  
L'amour en vain gronde et l'accuse;  
Sa jalouse fierté refuse  
Des sujets à ses oppresseurs...

słynnego określenia zabójstwa ks. d'Enghien: *C'est pire qu'un crime, c'est une faute*, z Talleyrandem dzieli Fouché i Boulay de la Meurthe. Niemniej słynny portret Talleyranda: *C'est un bas de soie rempli de boue*, miał wedle jednych wymyśleć lord Granville, wedle innych Lannes, Lasalle i wreszcie Napoleon, z tą odmianą, że w późnosze było coś brzydszego od błota. Podobnego gatunku koncepta, bardzo często zrodzone niewiadomo gdzie, obiegają z ust do ust pod coraz inną etykietą, aż przylgną do człowieka, który w powszechnem mniemaniu najlepiej zasługuje na zaszczyt autorstwa. A wtedy należą do historyi, jako charakterystyczne rysy znakomych osobistości i znamiona czasu i obyczajów.

*Henryk Lisicki.*

(Dalszy ciąg nastąpi).

# TWÓRCZOŚĆ W PRZEMYŚLE.

(STUDIUM EKONOMICZNO - PRAWNICZE).



(Dokończenie).

## IV.

### Wynalazek dzisiejszy i dawniejszy.

Wprowadzenie ustaw patentowych jest znowu jednym krokiem naprzód w rozszerzaniu zakresu praw jednostce przyznanych. Z wielkiego obszaru tego, co stanowiło wspólną własność wszystkich, wydzielane zostają jedne przedmioty za drugimi, aby służyły bezpośrednio jednostkom. Praca indywidualna doskonali je i kształci na własną korzyść i daje w ten sposób przykład i podstawę dla coraz to nowszych i lepszych pomysłów. Z niemi bogaci się ogólna cywilizacya. Powstawanie i pomnażanie wyłącznych praw jednostki, rozpoczyna się jeszcze w czasach przedhistorycznych, gdy nasi proajcowie w skóry odziewać się poczęli, aby ochronić się od zimna, i tem się żywili, co upolowali. Skóra zabitego zwierzęcia i mięso z niego, a potem narzędzie, jakim zaczęto polować, to początki własności. Za niemi grupują się sprzęty, zrobione ręką ludzką, jako własność tego, co je zrobił, dalej

dom i trzoda, znacznie później grunt, a po upływie wieków, i las. Liczba owych praw indywidualnych rośnie i rośnie tak, iż dziś obejmuje już prawa do światła (służebności światła), do powietrza (prawo do słupa powietrza nad własną ziemią), do wody (służebności prawa prywatnego i prawa wodne, polegające na ustawie wodnej), do zwierzyny w lesie (prawo polowania), do zwierząt w wodzie (prawo rybołówstwa), do myśli twórczej na zewnątrz objawionej (własność literacka, prawo wynalazku i wzoru ochronnego), do klienteli, związanej z firmą i marką ochronną i t. p. Im większy postęp, tem więcej dziedzin, nad którymi jednostka zapanowywać może. Zwłaszcza prawo patentowe rozszerzyło ich zakres niezmiernie, i tworząc monopole wynalazku, otwarło nowe olbrzymie źródła bogactw. Jak dziewicze lasy i tłuste ziemie za morzami dla kolonisty, tak wynalazki są dla myśliciela przedmiotem zawłaszczenia, tylko, że pierwsze kończą się znowu morzami, gdy tymczasem drugie nie mają granic, bo ich źródłem jest — bezgraniczna praca ludzka i pęd fantazyi. W ten sposób spełnia się choć w części maksyma Lamartinea: *Le progrès le plus urgent à faire consiste à rendre l'accessibilité de la propriété plus facile à tous.*

Z faktem powyższym pomnożenia praw indywidualnych przez prawo patentowe, łączy się inny fakt t. j. *zwrócenie się całych mas do szukania owych skarbów patentowych.* Podczas gdy dawniej wynalazek stał jak bóg na piedestale, do którego poważyl się przystąpić tylko *geniusz* lub potrafił nim *przypadek*, to teraz wynalazek spopularyzował się, wmięszal się w tłumy, siłę zaś swoją widzi w pracy zbiorowej mas, a nie w dziełach genialnych tylko jednostek, któremi od czasu do czasu Opatrzność ludzkość obdarza.

Nad objawem tym należy się nieco zastanowić. *Przed zaprowadzeniem ustaw patentowych, nie myślał przeciętny a nawet niezwykle człowiek o wynalazkach.* Ciasne wychowanie cechowych robotników w granicach regulaminów, zabijało myśl samodzielniejszą w zarodku. Nauki przyrodnicze były jak każda nauka przywilejem niewielu. Zrobić wynalazek, znaczyło więc rzucić rękawicę światu i dotychczasowym jego tradycyom, i stanąć poza poziomem swej epoki. Wynalazek mógł zatem zrobić albo geniusz, albo nasunąć go przypadek.

I w jednym i w drugim razie, czekały jednak wynalazcę walki z dotychczasową tradycją, śmiech, szyderstwa a nieraz niebezpieczeństwa. Są to rzeczy tak każdemu jeszcze z lat dziecinnych znane (odkąd zaczął czytać owe rozpowszechnione wszędzie książki o wielkich wynalazkach), że przykładów stwierdzających powyższe zdanie, nie potrzebuję przytaczać.

Co było powodem, że genialni wynalazcy, mimo przeszkód, walkę dla ludzkości i postępu podejmowali? Z pewnością nie miłość ludzkości, zwłaszcza, że ta, jak jeden mąż stawiała solidarnie szubiennice, areszty cechowe, pręgierz e stosy i t. p., na niszczenie w zarodku wielkich myśli — zapewne i nie wyłącznie nadzieja przyszłej sławy, błogosławieństw potomności, lub nadzieja wielkich dzieł, które na pierwszym dziele się oprą, bo ta nadzieja zbyt odległa, a temsamem i pobudka za słaba, aby mogła bóle ciężkich zapasów zrównoważyć. Powodem, dla którego geniusz owe walki podejmuje i przytem zapomina o najbliższem szczęściu, jest i było zawsze to, że jest *geniuszem*, że pała w nim święty ogień tworzenia, że woła mu w głębi duszy nieustannie głos: pędź pędź naprzód. Geniusz więc tworzy, bo tworzenie jest jego powołaniem, zaspokojeniem wewnętrznej potrzeby, i, co za tem idzie, prawdziwą rozkoszą.

Geniusz nie umie jednak dzieła przez siebie stworzonego w praktyczny sposób na własną korzyść wyzyskać; wydobywa przeciwnie swój wynalazek na światło dzienne, pragnąc podzielić się nim jak światłem dziennem, z wszystkimi. O prawo *do życia* dla swego wynalazku, gotów jest i był walczyć zapamiętale, ale nie posiada w stosunku do swego tworu dość egoizmu, aby wziąć udział w zapasach o *wyłączne* prawo wynalazcy. To też gdyby wynalazki skuteczniejsi byli sami geniusze, nie mielibyśmy ustaw patentowych.

Jednakże źródłem wynalazków były i przypadki, które dostrzegali ludzie z talentem, przyczyny ich zrozumieli i na własne cele praktyczne wyzyskiwali. Jak skarbem nadspodziewanie znalezionym, niechętnie dzieli się człowiek z innymi, tak ukrywał szczęśliwiec przed innymi ludźmi wynalazek przypadkowy i starał się go wyzyskać na wyłączną swą korzyść, albo przez zachowanie bezwzględnej tajemnicy

albo przez uzyskanie w drodze łaski monarszej *wyłącznego prawa* do swego wynalazku. Takim ludziom zawdzięczamy ustawy patentowe. Oni pozyskiwali w przywilejach królewskich nie tylko *uznanie* swych wynalazków i *prawa ich bytu* wbrew regulaminom cechowym, ale i pierwsze monopole wynalazcze. Zdobywaniem praw dla siebie walczyli zaś, lubo bezwiednie, o zasady, które z czasem ustawami się stały. Egoizm ich miał więc i swe dobre strony, a usprawiedliwiony był zupełnie trudnościami, z którymi każdy wynalazca walczyć musiał. Z drugiej strony jednak postępowanie owych samolubów, miało złe skutki. Gdy wynalazek mógł pozostać tajemnicą, przepadał dla przemysłu niejednokrotnie ze śmiercią wynalazcy i czasem dopiero przy późniejszych wynalazkach spostrzeżono, że coś podobnego już pierwej znane było. I tak nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w wojnie 30-letniej posługiwano się substancją, która proch strzelniczy pozbawiała na pewien czas własności eksplodujących (*Simplicissimus* Księga 6 Rozd. 13.) Lipskie wydanie z r. 1848 str. 81). Wynalazek ten, zachowany w tajemnicy, nie był nigdy potem stosowany, aż wreszcie w r. 1865, Gale, inżynier angielski, wynalazł substancję o tychsamych właściwościach. Podobnie fosfor odkryto już w r. 1669 podczas pożaru w Hamburgu, fabrykację zachowano jednak w tajemnicy, i potrzeba było dopiero powtórnego odkrycia fosforu przez Kunkela von Löwenstern, aby w przemyśle się rozpowszechnił. Podobnie rzecz się miała i z chińską porcelaną i srebrem (pak-fong) i t. d...

Zarówno jednak wynalazki genialne jak i wynalazki przypadkowe, były czemś niezwykajnem, nader rzadkiem, pojawiały się w różnych czasach i w różnych miejscach bez ciągłości, bez ścisłego uzupełniania. Wprawdzie to, co odkryli jedni, było podniętą dla innych do szukania dalej w raz oznaczonym kierunku, i skutkiem tego wynalazki jedne stały się ostatecznie źródłem wynalazków drugich — ale pomiędzy nimi mijały wielkie nieraz czasu przestrzenie. Wynalazki z czasów przedpatentowych robią — perspektywicznie — wrażenie błędnych ogników, pojawiających się tu i owdzie w ciemności; czasem zaświecą silniej, ale ognia szerokiego nie wzniecą.

Ten obraz zmienia się zupełnie z chwilą wprowadzenia ustaw patentowych. Ustawy patentowe roztwierają — jak wyżej wspomniano — naościę drogę do nowej obiecanej ziemi wynalazków, i zapewniają kolonistom tej ziemi *prawną* ochronę. Prześladowania nowych myśli ustają, a ustawa sama zachęca do robienia wynalazków i wynagradza je monopolami. To też podróż do tej nowej obiecanej, nie jest więcej wyjątkowem dziełem śmiałych i pełnych boskiej tanzyi podróżników, lecz staje się przedsięwzięciem codziennem, praktykowanem przez całe szeregi kolonistów, którym gleba ojczowska za ciasna. Podróżują, bo słyszą, że w ziemi obiecanej zdobyć można miliony. Ci z nich, co posiadają zdolności odpowiednie i wytrwałość, w nadziejach nie zawo-  
dzą się. Ci jednak, którzy się przeliczą ze swemi siłami, zasobami i wytrwałością, wrócą czasem z połowy drogi znękani, czasem w nowej ziemi zmarnieją wśród głodu i chłodu, a czasem przedarłszy się przez dziewicze lasy trudności, zginą, zostawiając tylko po sobie ślad dla innych, co mniej może mają fantazyi, a więcej siły i wytrwałości.

Wynalazek stał się zatem od czasu zaprowadzenia patentów, zdobyczą *pracy* w całym tego słowa znaczeniu, pracy, która jest zbiorową i ciągłą. Skutkiem tego, postępuje przemysł ruchem spokojnym, stałym, wszechstronnym, i niezmiernie szybkim, podczas gdy dawniej postępował skokami gwałtownymi, ale rzadkimi, których rezultat w porównaniu z dzisiejszym, był bardzo skromny. Nie wynika z tego, żeby i dziś, tu i owdzie nie przyspieszył postępu przemysłowego przypadek, który nasunie skarby nowych myśli, albo geniusz, który skarby z siebie wydobędzie, ale ani jeden, ani drugi nie jaśnieją więcej tak, jak jaśniały w czasach przedpatentowych. I nie ma się co dziwić: wszak i wśród pustyni na mile ciągną oko beduina oazy, podczas gdy wśród ziem uprawnych pomija podróżny bez uwagi czarnoziemy. Jeżeli wśród mas wynalazków, pojawi się wynalazek podstawowy, mogący mieć większą doniosłość i szersze zastosowanie, wówczas rzucają się na niego całe szeregi inżynierów i przemysłowców, jak mrówki na miejsce rozgrzebane w mrowisku, pracują nad jego ulepszeniem i zastosowaniem do nowych dziedzin, a na każde takie ulepszenie biorą znowu patenta.

Na wynalazek, stanowiący pewną skończoną w sobie całość, np. prasę hydrauliczną, prasę drukarską, młocarnię parową, motor gazowy Deutza i t. d., składały się nieraz setki pomysłów, z których każdy zostawał przez pewien czas pod ochroną patentu. Każdy z nich miał za przedmiot jakąś nową konstrukcyę lub ulepszenie, a suma ich utworzyła maszynę, która zadziwia nas pomysłowością, dokładnością w wykonaniu i t. p., co znowu nie wyklucza możliwości, że tasama maszyna po kilkudziesięciu latach, będzie jeszcze nierównie doskonalszą i praktyczniejszą.

Aby przebieg ten wyjaśnić, wskażę na kilka przykładów. Zaczynam od najgłośniejszego wynalazku, t. j. od maszyny parowej. Początki jej sięgają kociołka *Papina* i podobnych odkryć margrabiego *Worcester* i *Salomona de Caus*. Odkrycia te odnoszą się jednak wszystkie do stwierdzenia prężności pary, były więc odkryciami naukowemi, które i dziś nie mogłyby podlegać patentom. Zastosował je *Savery*, Anglik, który skonstruował pierwszy maszynę parową. Para zgęszczona w rurach, wywoływała ciągły ruch a przytem były rury oddzielone od kotła parowego. Para poruszała i podnosiła wodę. Wynalazek ten został patentowany około roku 1700. *Newcomen* wprowadził w rury tłoki i połączył je zapomocą sztaby z przyrządem poruszonym, i wziął również na to ulepszenie patent. Skutkiem tego wniósł *Savery* skargę o unieważnienie patentu *Newcomena*, poczem obaj wynalazcy złączyli się w spółkę, mającą na celu eksploatacyę tak zwanej ulepszonej atmosferycznej maszyny. Cały szereg ulepszeń tej maszyny, które doprowadziły do jej najrozleglejszego zastosowania w fabrykach, kolejach żelaznych i t. d. wynalazł dopiero *James Watt*, którego prawie całe życie wyteżone było w kierunku doskonalenia maszyny parowej. Jednakże nie on sam pracował w tym kierunku. Równocześnie z nim przyczyniali się do doskonalenia maszyny parowej *Washbrough*, który umieścił dźwignię na osi koła i połączył ją z tłokiem, w celu przemienienia ruchu liniowego na kołowy, *Fitzgerald* i *Murray*, z których pierwszy wynalazł koło rozpędowe, drugi wentyl z zasówką, (wentyl bezpieczeństwa jest jeszcze wynalazkiem *Papina*) i t. d. Z tem wszystkim nie ulega wątpliwości, iż ojcem maszyny

parowej musimy nazwać *Watta*, gdyż suma głównych urządzeń, które maszynę parową tworzą, ma swe źródło w długim szeregu znakomitych jego wynalazków.

Szereg wynalazców, którzy wynaleźli statek parowy, rozpoczyna się *Blaskiem de Garay* i dochodzi do punktu kulminacyjnego w *Fultonie*, który pierwszy na wielką skalę skutkiem swych wynalazków mógł rozpocząć przemysłowy wyrób statków. Maszyna parowa przeszła od czasów Wattowskich szalone zmiany, zanim otrzymała dzisiejszy kształt. Od śmierci Watta, udzielono na różne jej ulepszenia około 300 patentów.

Podobnych przykładów coraz więcej udoskonalonych wynalazków, dostarczają nam wszystkie większe wynalazki nowsze. Zamglone w śwych początkach lub połączone z imionami wielkich *Galileuszów*, *Torricellich*, *Newtonów*, *Voltów*, *Galvanich* itd., nabierają coraz lepszych i doskonalszych, czasem od początkowych całkiem odmiennych i nowych kształtów, aż wreszcie stają wobec nas jak skończone arcydzieła, w postaci lamp elektrycznych, telegrafów, telefonów, dynamoelektrycznych motorów, lunet, teleskopów, przyrządów fotograficznych, nowych ciał chemicznych, maszyn do robienia lodu, lub skomplikowanych mechanizmów z tysiącem dźwigni, bloków, równi pochyłych i t. d.

A jeżeli zaglądnijemy do biur patentowych, to się dowiemy, że wszystkie te arcydzieła są znowu przedmiotem nowych prac twórczych, nowych ulepszeń i udoskonalień. Tam się dowiemy, że nie ma prawie dziedziny przemysłu, w którejby fabrykant nie musiał ciągle poprawiać swej fabrykacji i samych przyrządów. Żadna śrubka, żadne kółko maszynowe, nie może liczyć na czas dłuższy istnienia. Dziś jeszcze uważane za najlepsze, musi jutro ustąpić miejsca lepszemu od siebie i zadowolnić się schowkiem w magazynie starego żelaza. Rzadko się też zdarza, aby patent, choćby najlepszy, trwał niezmiennie przez lat 15. Najczęściej zaraz w drugim, trzecim roku, lub później, zastępują go całkiem inne patenta, albo uzupełniają podstawowy patent.

Aby dać pojęcie o rozległości i masie tych ulepszeń bez końca, przytoczę kilka dat zaczerpniętych z ministerstwa handlu.

W r. 1890 udzieliło ministerstwo 4010 nowych patentów; przedłużyło za zapłaceniem taks rocznych, 5821 dawniej udzielonych patentów; tak, że w dniu 1-ym stycznia 1891 r., istniało w Austrii 9831 ważnych patentów; z tej liczby przypada na Galicyę około 15-cie patentów. W roku 1890 zgasło przez niezapłacenie taks, lub przestało istnieć skutkiem orzeczeń ministerjalnych 2869 patentów. Dochód z taks wynosił w r. 1890 nie wiele mniej niż 30),000 zlr.

Dla porównania przytaczam, że w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej zgłoszono w r. 1890: 41,048 wynalazków, a z tych patentowano 26,208.

Z istniejących patentów austriackich naliczyłem (za pomyłki w jednostkach nie mogę brać odpowiedzialności przy niezmiernie trudnem zestawieniu) patentów dotyczących przyrządów alarmowych 11, armat 36, automatów sprzedających np. cukierki lub umieszczonych na wagach 23, baterij elektrycznych 40, bielarni 36, dachówek 32, drutów i maszyn do wyrabiania tychże 23, drukarni 25, maszyn dynamo-elektrycznych 33, dźwigni 25, elektrycznych świateł 54, gazowych motorów 48, w ogólności przemysłu gazowego 115, farbowania 107, filtrowania 60, środków zamykania flaszek 43, maszyn do robienia guzików 46, kotłów 45, lamp 107, sposobów łączenia wagonów 56, strzelb i karabinów 53, naboji 27, opalania 42, palników (brennery) 38, maszyn do pisania 15, maszyn parowych 70, pras 50, sygnałów 72, maszyn do szycia 69, stali 20, telegrafów 43, telefonów 32, wentylów 63, wag 53, wagonów 15 i t. d

W powyższym wykazie zestawilem przeważnie te grupy przemysłowych wyrobów, w których najwięcej pojawiło się wynalazków. Dążność do robienia wynalazków jest jednak różną w różnych czasach i zależy od różnych okoliczności. I tak np. w Austrii nikt prawie nie zajmował się pracą nad wynalazkami elektrycznymi, aż do elektrycznej wystawy wiedeńskiej. Od tego zaś czasu — zwłaszcza bezpośrednio po wystawie — namnożyły się w sposób nadzwyczajny patenty elektryczne.

Ale i najniepokazniejsze gałęzie przemysłu mogą się również wykazać patentami. W r. 1890 istniały np. dwa patenty na nowe knoty do lampek olejnych świecących się przed

obrazami świętych. Jeden z nich był własnością firmy francuskiej *Guillon*, drugi własnością barona *Gersheima*. Patenty te nie musiały być bez wartości, skoro firma francuska przeprowadziła długi i kosztowny proces o unieważnienie patentu *Gersheima*.

Jaśniejszy pogląd na rozpowszechnienie patentów i spularyzowanie wynalazku, jak powyższe daty, dałby stosunek wartości istniejących patentów, a raczej stosunek używanych w przemyśle i patentowanych maszyn i produktów do kapitału zakładowego, umieszczonego w przemyśle w przedmiotach, które nie zostają wcale pod ochroną patentu. W Austrii obliczenie tego stosunku jest prawie niepodobieństwem, bo brak należytych podstaw do obliczenia wartości zamiennej i użytkowej patentów. Miarą wartości patentów są po części ceny, za które wynalazcy swe patenta sprzedają, głównie jednak orzeczenia sądowe, oznaczające wysokość szkód, które powstały przez naruszenie patentów. Atoli orzeczenia sądowe nie dają u nas podstawy do obliczania wartości patentów, a pochodzi to ztąd, że proces o wynagrodzenie szkody, jak cały proces cywilny, polega w Austrii na ciasnych formułach dowodowych, krępujących sędziego na każdym kroku i przeszkadzających mu w wymierzaniu sprawiedliwego wyroku.

W Ameryce obliczono powyższy stosunek i okazało się, że z kapitału zajętego w przemyśle przypada 90% na patenta, a tylko 10% na przedmioty, które nie zostają pod ochroną patentów.

Daty zwyż przytoczone, uwi doczniły zapewne w sposób dostateczny, czem jest właściwie dziś pojedynczy wynalazek, jakim drobiazgiem w swym codziennym objawie, jakim molekułem w wielkim postępie przemysłu! Mimo to nie należy go całkiem pozbawiać aureoli, jaką był dawniej otoczony. I dziś należy mu się ona, jeżeli w miejsce pojedynczego objawu, postawi się większą ich ilość.

Bióro patentowe peszteńskie *Benedek Lajos et Comp.*, używa na podaniach i opisach wynalazku pięknie wykończony winiety. Tło jej stanowi rozległe pole zasłane zębata mi kolami, resztkami walców, transmisyj fabrycznych, szczątkami płyt i ścian żelaznych; znać, że runęła niedawno fabryka zniszczona przez stra-

szną jakąś siłę, która potrafiła połamać i zgruchotać żelaza. Po tem pobojuwisku maszynowem pędzi na rydwanie, zaprzężonym dwoma białemi pegazami jakiś bóg, podobny do Apollina, lecz nie Apollo. Rydwan i pegazy ledwie dotykają ziemi, zawalonej gruzami, a bóg popędza je gdzieś ku wysokościami i wzrokiem zda się chce przebić mgły, zasłaniające mu widnokrąg. Tak apoteozuje wynalazczego geniusza biuro patentowe, biuro, którego zadaniem jest sformułowanie opisów dzisiejszych wynalazków na żądanie wynalazcy i przedkładanie ich ministerstwu. Śmieszna jest ta apoteoza, gdy spojrzymy na poszczególnego wynalazcę, człowieka pracy, podobnego do Faustowskiego Wagnera, co chce zrobić Homunculusa, a szczęśliwym jest, gdy znajdzie glisty. Śmieszność ta ustaje jednak, gdy wzrokiem naszym obejmujemy skutki pracy tysięcy takich Wagnerów. To, co w jednostce słabe i nikłe, wzrasta w masie w potęgę, przed którą uginają się kolana, a myśl nasuwa wówczas Sofoklesowskie *zovdèr àρθρόπων δεινότητων ποτε*. Ów duch zbiorowy, geniusz złożony z tysiąca dążeń ma boskie oblicze i godzien jest boskiego rydwana i boskich pegazów

Ciekawy to rzeczywiście i charakterystyczny objaw, że z powstaniem praw *indywidualnych*, patentowych, spotężniał *skojarzony* i *zbiorowy* duch wynalazcy. Gdy prawa patentowego nie było, jaśniały na kartach historii wynalazków wielkie *imiona*; dziś jaśnieją wielkie *dziela*. Dawnych wynalazców wynagradzała sława i bogosławieństwa potomności—dzisiejsi wynalazcy przyjmują nagrodę za życia w pieniądzu, ale pamięć po nich mija jak sen.

## V.

### Patent w stosunku do istniejącego przemysłu.

Wykazaliśmy w rozdziale o naturze prawnej patentu, że treścią prawa patentowego, jest wykonywanie *wyłączne* wynalazku. Wynalazkiem zdobywa się jednak targi i usuwa z nich wyroby starsze. Gdybyśmy więc z tych niewątpliwych premis wyciągnąć chcieli ścisłe konsekwencye, musielibyśmy przejść do przekonania, że przez patenta przemysł przecho-

dzi co chwila w inne ręce, że fabryki, których posiadacze nie tworzą wynalazków, upadają, a obok nich wznoszą się nowe fabryki innych posiadaczy, które również tak długo istnieją, jak długo nowszy i lepszy wynalazek ich nie usunie.

Rzecz tę wyjaśni przykład. Jeżeliby w danej chwili maszyna do szycia z pojedynczym szwem była przedmiotem powszechnie znanego i wykonywanego wyrobu, a ktoś wynalazł ową łódeczkę, poruszającą się poniżej igły, która umożliwia podwójny szew, wówczas nie ulega wątpliwości, żeby wynalazca po 15-letnim wyłącznym sprzedawaniu maszyn podwójnie szyjących, wyzwał z dotychczasowej klienteli wszystkie fabryki wyrabiające dawne maszyny.

Ta konsekwencya zdawałaby się być w ogólności tem niebezpieczniejsza, że nie wynalazki nowych całkiem, ale ulepszenia dotychczas już znanych i wyrabianych maszyn lub produktów, są zwykłą formą dzisiejszych patentowanych wynalazków, i że patenta obejmują prawie wszystkie gałęzie przemysłu. Korzyść łącząca się z przyspieszeniem rozwoju przemysłowego, nie stałaby w żadnym stosunku do ciągłych przewrotów majątkowych w przemyśle i do szalonej niepewności ekonomicznej, w jakiejby żył i pracował każdy przemysłowiec.

W obrębie jednego kompleksu ekonomicznego — bo o nim tu jest mowa — ma się jednak rzecz zwykle inaczej. Starcie się patentowanych wynalazków z przemysłem dawnym, bywa mniej gwałtowne (w rozdziale 1-ym wykazałem, że w stosunkach *międzynarodowych*, walka ta kończy się rzeczywiście zagładą przemysłu narodów niepostępowych), niejednokrotnie nawet wcale nie gwałtowne, co się tłumaczy następującymi okolicznościami:

1) Przedewszystkiem wynalazek nie wytryska jak Venus z piany morskiej odrazu w skończonej formie i dostatecznymi środkami do natychmiastowego wprowadzenia go w życie. Choćby treścią jego było wyłącznie ulepszenie znanej dotychczas maszyny, mimo to, pierwsze kształty, w jakich wynalazek jest wykonany, bywają zwykle tak niezręczne i niepraktyczne, że dawniejsze maszyny wydają się być chwilowo lepsze. Wynalazek przyjmuje się też przeważnie z pewnem niedowierzaniem, i wynalazca musi go poprawiać, udoskonalać

i w niezliczonych próbach przymioty jego wykazywać, aby uwierzono w jego wartość. Jak niedoskonałem np. było początkowo światło elektryczne — i jak niedoskonałymi są jeszcze do dziś dnia jego regulatory! A tu ustawa wymaga już w pierwszym roku rozpoczęcia wykonania patentu, próby kosztują, trzeba płacić taksy, a wynalazca najczęściej nie ma dostatecznych funduszków, aby trudności zwalczać i czas najgorszy przetrzymać. Ileż to razy wynalazek nabierać począł dopiero wtedy wartości w oczach innych, i wtedy dopiero wchodził w zastosowanie, gdy patent dobiegał swego kresu 15-letniego, i miał temsamem popaść w domeny ogólnej eksploatacji. — Jeżeli w tym przypadku wynalazek był czemś całkiem nowym, wówczas miał przynajmniej tę korzyść wobec konkurentów, jaką daje dłuższa praktyka i doświadczenie; jeżeli jednak wynalazek był tylko ulepszeniem łatwym do zastosowania, wówczas po zgaśnięciu patentu, każdy kto mógł zastosowywał u siebie ulepszenie.

Czasem wykonywanie patentu przedstawia takie trudności że już przez nie same patent upada. Znam np. przypadek, w którym wynalazek dotyczył ulepszenia gazometrów. Wykonanie ustawą przepisane było tylko w ten sposób możliwe, że wynalazca albo musiał dla swego wynalazku sam cały gazometer budować, albo zastosować go w obcych gazometrach. Przedsiębiorstwa gazometrowe austriackie, odmówiły jednak przyjęcia owego ulepszenia, w nadziei, że w ten sposób uniemożliwią istnienie patentu. Rzeczywiście patent zgasł po roku, poczem go do wszystkich gazometrów wprowadzono.

Powyższe i podobne im trudności, z jakimi musi wynalazca najczęściej z samego początku walczyć, zwłaszcza brak kapitału do założenia przedsiębiorstwa potrzebnego do wyzyskania patentu, są zwykle powodem, że wynalazca stara się swój patent jak najprędzej i najlepiej spieniężyć. Sprzedaje więc swój wynalazek przedsiębiorstwom, które mogą go eksploatować. Dostaje za to najczęściej stosunkowo bardzo małą część rzeczywistej wartości wynalazku, ale przynajmniej wynalazek nie pozostaje dla niego bez korzyści ekonomicznej.

Sprzedaje podobne mają najczęściej miejsce przy niezliczonych wynalazkach, które robią robotnicy fabryczni. Sto-

jąc całemi dniami nad maszyną, zapoznaje się z nią robotnik lepiej niż ktokolwiek inny i po pewnym czasie wykrywa jej wady i przymioty, dla innych ukryte. Nieraz wpadnie mu myśl szczęśliwa uzupełnienia braków, a gdy ją zgłosi i patent uzyska, stara się przedewszystkiem o sprzedanie patentu fabrykantowi. Również sprzedają patenta wynalazcy w tych przypadkach, w których wynalazki ich dotyczą nader kosztownych i na olbrzymią skalę prowadzonych przedsiębiorstw. W ten sposób wielkie przedsiębiorstwa dochodzą do niezliczonej ilości patentów, które w nader korzystny sposób wyzyskują, i z pomocą których zapewniają sobie produkcję tak doskonałą, że nikt z niemi nie odważy się konkurować. W fatalnem położeniu znajduje się wynalazca, gdy na całe państwo jest tylko jedno takie przedsiębiorstwo (np. w pewnym kierunku fabryka broni Kruppa w Essen). Nie pozostaje wówczas wynalazcy nic innego, jak zdać się na łaskę i niełaskę takiego króla przemysłowego i przyjąć z podziękowaniem to, co mu za wynalazek da. Oczywiście bowiem rzeczą, że np. obok Kruppa z Essen, nie prędko rozpocznie ktoś w Niemczech fabrykację armat, choćby nawet znaczne w nich ulepszenie wynalazł. Gdyby podobnych królików przemysłowych było więcej, a ci nie utworzyli kartelu, wówczas wynalazca może cenę swego patentu wyśrubować wysoko, ofiarując wszystkim swój patent do nabycia. Nieraz nawet nie sprzedaje nikomu swego patentu—tylko wykonanie tegoż odstępuje wszystkim za znaczne ceny.

Sprzedaje patentów zdarzają się przeważnie przy wynalazkach, mających za przedmiot jedynie ulepszenia już istniejących i znanych maszyn lub fabrykatów. Dla przykładu przytaczam kilka firm, możnych lub wszechwładnych w pewnych gałęziach przemysłu, którym prawie wszyscy wynalazcy odnośnie patenta sprzedają.

Thorsten Nordenfeld w Londynie (patenta broni), Fryd. Krupp w Essen (p. broni), Alfred Mannesmann w Wiedniu w Komotau i t. d. (p. na rury), Siemens u. Halske (Wiedeń i t. p.), Ganz et Comp. (Peszt). August Méritens (Paryż) — Marcel Deprez (Paryż), Deckert Homolka (Wiedeń), Thomas Alva Edison (Nowy York) (ostatnich 6 firm posiada patenta elektry-

czne), Eduard Musil (Wiedeń, patenta na papiery), Leipziger Musikwerke „Phönix“, Schmidt et Comp., Clayton et Shuttleworth (p. na maszyny rolnicze) i t. d.

Wielkie firmy amerykańskie i angielskie, nie chcąc się narazić na groźne konkurencje, utrzymują za znaczne pieniądze inżynierów najzdolniejszych i w metodzie wynalazczej wykształconych, których jedynym zadaniem jest badać braki odnośnej gałęzi przemysłu i usuwać je nowemi wynalazkami. Są to więc ludzie, którzy z góry zaprzędają swą twórczość na rzecz wielkich przemysłowców.

2) Czasem — a bywa to i przy wynalazkach śmielszych, samodzielniejszych — nie spotyka wynalazca żadnych trudności. I owszem, świat przemysłowy przyjmuje wynalazek z wielkim aplauzem i okazuje wielkie zainteresowanie się. Ponieważ jednak nie ludzkiego nie jest doskonałem, przeto i wynalazek taki w krótkim czasie pobudza do dalszych postępów i ulepszeń. Jeżeli posiadacz głównego patentu wyprzedzi w tych ulepszeniach innych przemysłowców, wówczas może być pewnym zwycięstwa bezwzględnego. Sam zachowa zdobyty monopol i dalszemi ulepszeniami patentowemi może nim nieskończenie długo władać i innych przemysłowców osłabiać lub gubić. Jeżeli jednak inni przemysłowcy, a nie pierwszy wynalazca uzyska dalsze patenta, wówczas powstaje nader ciekawa komplikacya patentów. Patent podstawowy może wynalazca wykonywać tylko w pierwszej formie wynalazczej, nie może zaś korzystać z później zrobionych obcych wynalazków, których wyłączności chronią patenta nowych nabywców. Ci ostatni nie mogą zaś ulepszeń wynalezionych przez siebie spożytkować, boby weszli w kolizyę z pierwszym wynalazcą. Stan taki nieprawidłowy usuwają najczęściej sami wynalazcy, już to sprzedając wszystkie patenta jednemu, już to zawiązując spółki, lub wreszcie tworząc towarzystwa akcyjne, albo stowarzyszenie zarobkowe. Ztąd tłómaczy się ta okoliczność, że nader często zgłasza wynalazek jakaś osoba fizyczna, a wkrótce potem przenosi własność swego patentu na spółkę lub osobę prawniczą, która znowu skupuje całe szeregi patentów, odnoszących się do produkcyi przez nią uprawianej. Tak n. p. wynalazł Raoul Pictet ma-

szynę do robienia lodu. Sam Raoul Pictet zgłosił kilka ulepszeń tejże maszyny, poczem przeniósł wszystkie swe patenta na nowo utworzoną *Compagnie industrielle des procédés Raoul Pictet* w Paryżu, która była ostatniemi czasy w posiadaniu kilkunastu patentów.

Przytaczam jeszcze dla przykładu kilka podobnych spółek, towarzystw akcyjnych i t. p., posiadających dziś w Austrii całe szeregi patentów: *Compagnie générale pour la production du froid, Procédés Fixary, Paryż*, — *Gesellschaft für Lindes Eismaschinen, Wiesbaden*. — *Société anonyme des anciens établissemens Hotchkiss et Cie., Paryż*. — *Société anonyme de rectification des Alcools (Procédés Bang et Buffin), Bruksela*. — *Société Causse, Stalin et Conrads, Paryż*. — *Compagnie générale des explosifs Favier, Bruksela* — *Actiengesellschaft Dynamit Nobel, Wiedeń*. — *Continental Oxygen Company Limited and Chapman, Londyn*. — *Continental Oxygen Company Limited and Valon, Londyn i t. d.*

3) Niejednokrotnie patent bywa tego rodzaju, że obok innych patentów może się śmiało ostać i kolidować z niemi nie będzie, lub też do dalszych wynalazków nie zachęca. Są to przeważnie patenta na małe mechanizmy do codziennego użytku, n. p. registratury Schwanbäusera lub Pollaka, różne wieszadła, przyrządy do zawieszania kapeluszy, opaski na wąsy, korki do butelek najróżnorodniejszych konstrukcyi, (wszystkie patentowane — patenta jednak nie kolidują ze sobą), dalej rzeczy mody chwilowo się pojawiające i prędko znikające z widowni, n. p. znane „eri eri“ i t. d.

Jeżeli z jednej strony w powyższych i im podobnych przypadkach występuje w słabym rozmiarze, lub nie występuje nawet wcale kolizya patentowanych wynalazków z istniejącym dawniej przemysłem, to z drugiej strony nie brak i walk zaciętych, kończących się najczęściej smutno dla dawniejszego przemysłu. Nieraz padają w walce z dobrmi wynalazkami firmy stare, poważne i szacowne. Smutne robi wrażenie taki upadek, lecz to leży w naturze rzeczy. Zda-

rzają się jednak i inne upadki, które budzą uczucie goryczy lub oburzenia. Niejednokrotnie zręczni a nieuczciwi przedsiębiorcy posługują się patentami, aby niepokoić lub niszczyć swych konkurentów i pozbywać się ich w ten sposób lub konkurencyę osłabiać. Do takiej walki potrzeba kapitału i giętkiego sumienia. Zdobywszy sobie kilka, choćby bezwartościowych patentów, używa ich niesumienny przedsiębiorca w celu reklamy, a zarazem stara się swych konkurentów — nieraz całkiem bez podstawy skarżyć o naruszenie patentu, i w ten sposób przerywać choćby czasowo fabrykację. Choć powód ulegnie w procesie, straci kaucyę, lub zapłaci wynagrodzenie szkody (zwykle bardzo małe), uzyska nieraz to, o co mu chodziło: rzucenie wobec klienteli cienia nieuczciwości na swego konkurenta, zaniepokojenie jego fabrykacyi, odciągnięcie mu robotników i t. p. Sztuczki te w najrozmaitszych objawiają się formach, udają się lub się nie udają, ale przemysł uczciwy narażają na niebezpieczeństwa. To jest odwrotna strona medalu, łącząca się z funkcją prawa patentowego. Stała się ona powodem opozycji przeciw systemowi patentów. Jedni żądali zupełnego zniesienia patentów, inni ograniczenia patentów na najzuakomitsze wynalazki. Pierwsi i drudzy należą dziś do historii. Przekonano się bowiem, że patent budujący postęp na podudce egoistycznej, jest tak niezbędnym warunkiem rozwoju przemysłu i jego istnienia, że przez zniesienie ustaw patentowych w danym kraju, zagroziłoby się jego przemysłowi. Ograniczenie zaś patentów na znakomitsze wynalazki nie da się przeprowadzić, bo nikt nie może poznać z góry i ocenić wartości wynalazku. W Prusach trzymano się prawie do r. 1876 powyższej zasady i badano zgłoszone wynalazki nie tylko pod względem nowości, ale nawet i pod względem wartości. Skutek był ten, że *Bessemmerowi* odmówiono patentu na jego stal — a *Siemensowi* na siemensowskie piece! Tak jeden jak drugi wyemigrowali, wzbogacając swemi wynalazkami przemysł Anglii. Zresztą nawet najmniejsze wynalazki mogą mieć, jak to w rozdziale poprzednim wspomniałem, ogromne znaczenie. Gdy na kongresie patentowym wiedeńskim omawiano pytanie, czy nie należałoby ograniczyć udzielania drobnych patentów, odezwał się delegat Stanów Zjednoczo-

nych Ameryki: Jeżeli zniesiecie patentowanie drobniejszych wynalazków, zginą i drobni wynalazcy. My Amerykanie przyjmiemy ich z otwartemi rękoma. Jeżeli praca ich nie wyda bezpośrednio skutków dodatnich, to ją spożytkujemy przynajmniej na nawóz do gleby naszej przemysłowej.

Nie w ustawach patentowych, jako takich, leży błąd, o którym wyżej była mowa, ale w braku ustaw zmierzających do najsurowszego karania i piętnowania zlej woli i nieuczciwości t. j. w braku ustaw o *concurrence déloyale*. Przedewszystkiem trzeba by więc pomyśleć o takich ustawach, a jeżeli je zdobędziemy, postarać się o ich wykonawców.

Poskromienie zlej woli w przemyśle wymaga przy najlepszych ustawach sędziów, którzyby łączyli poczucie sprawiedliwości z szerokim poglądem na świat i jasnym ocenieniem stosunków przemysłowych, tudzież ich celu — a nie urzędników, których cały horyzont zamyka się w kodeksach.

## VI.

### Wynalazcy dzisiejsi.

Gorączkowość, z jaką w naszych czasach żyją społeczeństwa, zwłaszcza zachodnie, objawia się także w szukaniu wynalazków. Każdy przemysłowiec, posiadający większe fabryki, stara się zrobić lub nabyć wynalazki, przez nie rozszerzać i wzmacniać przedsiębiorstwo, a uzyskawszy patenta wartościowe, wykonywaniem ich usuwać innych z targu. Wynalazki są, jak to wyżej wskazano, warunkiem istnienia przedsiębiorstw, to też i gonitwa za nimi jest silną i gorączkową. A w tej gonitwie potęguje się rozdrażnienie przez niepewność, czy dany wynalazek będzie wartościowy. *On ne sait pas plus ce que deviendra un nouveau-né du génie qu'un nouveau-né de la chair; ce n'est qu'un bloc. Sera-t-il dieu, table ou civette? Sera-t-il un Newton ou un cretin?* — oto sposób drastyczny, w jaki wyraża się inżynier belgijski Jobard o niepewności, z jaką przyjmuje się wszelką myśl nową.

Z równemi nadziejami zgłaszają swe patenta wynalazcy. Jedni zarabiają na nich miliony, inni znów wpadają w długi.

Niech przynajmniej jeden przykład wyjęty ze zbioru orzeczeń angielskich, posłuży za ilustracyę niezmiernych wartości patentów. *Nealson, Culloch i Willis*, właściciele patentu na ulepszenia fabrykacyi żelaza, otrzymali w skutek procesu, przeprowadzonego w Londynie przeciw podrabiaczowi ich patentu, 302.000 funtów szterlingów tytułem wynagrodzenia szkody.

Nie zapominajmy, że po za ową niepewnością co do wartości patentów, po za obawą konkurencyi i po za myślą, że bez postępu nie ma przemysłu, ukrywa się jako czynnik tych niepokojów — egoizm — czy walka o byt lub o posiadanie więcej, a pojmiemy, że szukanie za wynalazkiem wzbudza zapal lub przeradza go w namiętność, graniczącą nieraz z szaleństwem.

Wielu ludzi żyje jedną myślą wielkiego wynalazku i w kierunku tej myśli tak wytęży całego ducha, że po za treścią tego dążenia, świat dla nich nie istnieje. Stają się więc dziwakami w codziennem życiu.

W kilka dni po objęciu przezemnie urzędowania w biurze patentowem, zjawił się u mnie jakiś starszy człowiek. w nędznem ubraniu i zaczął mi opowiadać o wielkiem odkryciu, które zgłosił w ministerstwie, z prośbą o udzielenie patentu. Odkrycie miało za przedmiot jakąś mydlaną ziemię. Po pewnym czasie przekonałem się, że mam do czynienia z człowiekiem, nie będącym przy zupełnie zdrowych zmysłach. Przerwałem więc rozmowę i przeprosiłem, że dla braku czasu nie mogę słuchać dalszych wywodów. W kilka chwil potem, kiedy przez jakąś dziwną assocyacyę idei przeleciałem myślą do naszego Zablockiego, który także się zawiódł na mydle, wszedł do bióra woźny, który departament wynalazczy obsługuje od 20 lat.

„Zdziwiłeś się pan zapewne — odezwał się do mnie — słysząc o wynalazku tej ziemi mydlanej. To samo i ja wysłuchać musiałem w przedpokoju. Powoli przyzwyczai się pan do podobnych gadań. Połowa z tych, co robią wynalazki — to waryaty“.

Owa opinia woźnego lubo przesadzona, nie była bezpodstawna. Wielka ilość zgłoszonych wynalazków jest zupełnie bez wartości i bezstronny badacz, który nie zatapiając w jednym kierunku swej myśli, swobodnie oceni zgłoszone wynalazki, musi się nieraz dziwić, jak ludzie niepozbawieni władz umysłowych, mogą ponosić jakiegokolwiek koszta dla najniedorzeczniejszych pomysłów.

Najwięcej takich niepraktycznych i niemożliwych podań odnosi się do maszyn latających lub do perpetuum mobile. Zwłaszcza pierwsze zaprzatają głowy ludziom wszystkich warstw społeczeństwa.

Wiele najniedorzeczniejszych lub pozbawionych wszelkiej wartości zgłoszeń dotyczy także drobnych mechanicznych wynalazków, klamek, zawiasów, korków, lichtarzy, wieszadeł, szpilek, szprzączek, gwizdków *à la cri cri* i t. p.

Między temi ostatniemi wynalazkami zdarzają się wprawdzie czasem i patenta pełne wartości, przynoszące wynalazcom znaczne dochody, ale są to tak rzadkie wyjątki, że pracy nad tego rodzaju odkryciami wypada jak najusilniej odradzić. Przeważną część patentów porzucają też wynalazcy sami przez niepłacenie taks. Charakterystyczną jest rzeczą, że przy tem zgaśnięciu patentów przez niepłacenie taksy wytworzyło się w Austrii statystyczne zjawisko, ulegające małym bardzo zmianom — mianowicie: połowa właścicieli patentów nie płaci taksy już w roku drugim, trzecia część z pozostałych nie płaci taksy w roku trzecim, czwarta część z tej nowej reszty nie płaci taksy w roku czwartym i t. d. wreszcie piętnasta część właścicieli patentów 14-letnich nie płaci taksy w roku ostatnim. Ciekawe to zjawisko uwidocznia zarazem, jak mało jest patentów większej wartości w Austrii, i jak wielu ludzi zawodzi się w nadziejach, jakie pokładali w swych wynalazkach, biorąc na nie patenta.

Od wkroczenia na manowce w dziedzinie wynalazków, chroni wykształcenie techniczne głębsze i poważniejsze, tudzież obznajomienie się z technologią wynalazku. Kto chce pracować nad wynalazkami a czuje w sobie dość wrodzonej fantazyi i talentu, ten powinien przedewszystkiem wybrać sobie pewną dziedzinę przemysłu i z nią się jak najdokładniej zapoznać. Pojawszy należyście jej istotę i środki, zdobędzie

się łatwiej na pomysły twórcze, szersze lub ciaśniejsze, a nadto nie zabłąka się na całkiem nieproduktywnych manowcach. Wprawdzie najwięcej drobnych i wartościowych wynalazków, które mają na celu ulepszenia maszyn, robią robotnicy fabryczni, ale i oni dochodzą do pomysłów jedynie przez znakomite zapoznanie się z maszynami i ich poszczególnymi wadami.

Wiek XIX jest epoką, w której do świątyni twórczości czy to w nauce, czy w przemyśle, czy nawet do pewnego stopnia — o ile mianowicie o technikę się rozchodzi — i w sztukach pięknych, dopuszczeni zostają także ludzie, którzy przynoszą drobne dary w ofierze. Jak uczonym zostaje szperacz źródłowy, posiadający metodę, jak malarzem-artystą nazywają tego, co swe obrazy zbogacił nową zdobyczą techniki malarstwa, a kompozytorem tego, co zastósował nowe harmonijne figury, choćby ani ten uczony, ani malarz, ani kompozytor nie posiadał boskiego zapachu, co tylko wielkie rzeczy tworzy, tak i wynalazcę drobnych ulepszeń wynagradza przemysł korzyściami ekonomicznymi, jeżeli przez sumienne badania odkryje choćby drobny lecz wartościowy szczegół.

Uzdolnienie wyższe zdobywa się pracą — *le talent n'est qu'une patience* — a ono wystarczy przy sumienności do z bogacenia przemysłu nowemi pomysłami.

Jednym ta praca przychodzi łatwiej, innym trudniej, a są i tacy szczęśliwcy, którym sam przypadek pomysły nasuwa, lecz i ci muszą przypadek myśłą pojąć i zrozumieć, aby go wyzyskać. W karczmie podczas huraganu, miotającego piasek o okna, siedziało 3 Amerykanów. Dwóch kłęło na dzikość natury, a jeden nazwiskiem *Tilghmann* przypatrywał się jak piasek przepędzany siłą wiatru po szybach, rysował je i odbierał im przejrzystość. Przyszedłszy do swej pracowni, skonstruował *Tilghmann* maszynę, która rzucała piasek na szkło i tak odnalazł sposób matowania szkła i grafirowania na szkle deseni. Wynalazek ten przyniósł mu potem miliony.

Pomysł szczęśliwy, odgadnięty siłą geniuszu, wydobyty metodyczną pracą lub nasunięty przez przypadek i pojęty przez talent, to jednak dopiero pierwsza część pożytecznego

wynalazku, to rodzaj pyłku pręcikowego, który paść musi na słupek, aby począć owoc. Słupkiem, oną rodną częścią żeńską, jest zastósowanie pomysłu, a czasem i kapitał.

Zastósowanie pomysłu wymaga niejednokrotnie olbrzymiej wytrwałości i zaparcia się siebie; szczególnie zaś wtedy, gdy przestrzeń między pierwszym pomysłem a dalszem zastósowaniem jest wielka. Znaczna liczba zupełnie bezwartościowych pomysłów uczyniła świat podejrzliwym i wątpliwym, przytem ziarno zdrowe pomysłu bywa czasem bardzo głęboko ukryte, tak, że nieraz wynalazca przez czas długi musi wysilać się, aby dla swego pomysłu zdobyć prawo obywatelstwa między wynalazkami. Nawet najwięcej oświeceni zawodowcy nie poznają się odrazu na zdrowych wynalazkach, i z góry odmawiają im podstawy bytu. Przykładów na to nie brak i przy największych wynalazkach lub w dziełach technicznych. W r. 1811 wydała np. bawarska Akademia umiejętności opinię, w której wykazuje, dlaczego pomysł zastósowania maszyny parowej do żeglugi nie może być nigdy przeprowadzony! Tuż przed wpuszczeniem drutu telegraficznego do Oceanu Atlantyckiego ogłosiła wysadzona w tym celu komisya inżynierów bardzo gruntownie opracowany elaborat, w którym przytoczone są powody niemożliwości połączenia Europy z Ameryką drutem telegraficznym. Przerażeni trudnościami lub nieprzyjaznemi opiniami porzucają niejednokrotnie wynalazcy płody swych myśli lub sprzedają je — choćby za bezcen. Postępują więc jak Jan Jakób *Rousseau*, ów zły ojciec, który nie chciał podjąć zadania i nie poczuwał się do obowiązku wychowania swych dzieci. Zapominają, że chwila poczęcia jest przyjemnością lub rozkoszą, ale wychowanie i kształcenie — obowiązkiem.

Przy wynalazkach spełnienie tego obowiązku w dzisiejszych czasach jest weześniej lub później uwiecznione nadto znaczną korzyścią ekonomiczną.

Przy pewnych wynalazkach wymaga wprowadzenie w życie wynalazku znacznego kapitału. Uboższy wynalazca nie ma wówczas — jakeśmy to wyżej wskazali — innej drogi, jak sprzedanie patentu lub pozyskanie kapitału przez spółki albo towarzystwa akcyjne i t. d.

## VII.

## Zakończenie.

Towar z zagranicy dał się bądźco bądź bardzo we znaki słabo rozwiniętemu i nie pokaźnemu przemysłowi naszego kraju. Cel, któreby nasze produkta przemysłowe dostatecznie chronić mogły, albo wcale nie było, albo nie były dość wysokie. Nierównie groźniejszym i szkodliwszym stał się jeszcze towar austriacki z prowincyj niemieckich i czeskich, który przy wzrastającej łatwości transportu obejmował jedną pozycję targu za drugą i dziś zapanował u nas tak wszechstronnie że wyrób krajowy stał się w przemyśle na większą skalę rzadkością i na rynkach krajowych uciekać się musi nieraz do patriotyzmu kupujących. Taryfy kolejowe nie zależały i dziś w tym stopniu nie zależą od nas, abyśmy mogli w systemie refakeyi wzbudzić zapory przeciw towarowi niemieckiemu i czeskiemu. (Traktaty handlowe, będące obecnie na porządku dziennym parlamentu, wykluczają zresztą możliwość protegowania przez taryfy towarów krajowych). Przemysł nasz stracił więc dawne swe, chociaż skromne stanowiska na rzecz obcych, a nie zyskał od nich niczego. Rezultat był zatem gorszy, aniżeli w Królestwie, gdzie wprawdzie przez handel międzynarodowy stracono niejedną korzystną pozycję ekonomiczną, ale w innych kierunkach pozyskano pozycje nowe i za pobudką Zachodu rozwinięto samodzielnie wiele gałęzi przemysłu. Że w Galicyi tego dodatniego objawu nie było i nie ma, to ma swe głębsze przyczyny w ustawie patentowej i w pewnych warunkach społecznych, nad którymi w kilku słowach zastanowić się należy.

Ustawy patentowe dopuszczają do ubiegania się o patenta zarówno obywatele własnego państwa, jak i cudzoziemców. Jedni i drudzy mogą więc korzystać z monopolu, przyznanego wynalazcom, ale ustawa dąży przytem do tego, aby jedni i drudzy zaspakajali potrzeby państwa o ile możności wyrobami, produkowanymi w obrębie państwa, a nie importowanymi z zagranicy, i dlatego wymaga ona od posiadacza patentu, aby go bez względu na to, czy jest krajowcem,

czy cudzoziemcem, w obrębie państwa w szerszym rozmiarze wykonywał.

Władza ustawodawcza kierowała się w swem dążeniu do wstrzymania nowo wynalezionych przedmiotów i w przymuszaniu do wykonania patentu w państwie, dwoma nader poważnemi względami. Raz chodziło jej o to, aby zagraniczni wynalazcy przez wyłączny import towarów, zagranicą produkowanych, nie przesuwali na zbytnią niekorzyść bilansu finansowego państwa, powtóre, aby zagraniczni wynalazcy przez wykonywanie wynalazków w obrębie państwa, zapoznawali krajowców ze swemi wynalazkami, a temsamem pobudzali ich do wynalazków dalszych. Skutkiem powyższego ustawowego przymusu, powstało wiele mniejszych lub większych fabryk firm zagranicznych w Austrii np. Clayton & Shuttleworth, Mannesmann itd., które chociaż zajmują się fabrykacją na własny rachunek, dostarczają jednak w swych fabrykach źródeł nowego zarobku krajowcom i kształcą ich w postępowej fabrykacyi. Z urzędników, a niejednokrotnie i z robotników takich fabryk, wychodzą z czasem znakomici wynalazcy. Jasną i oczywistą jest rzeczą, że zagraniczni wynalazcy szukają na wykonywanie swych wynalazków okolic najwyżej pod względem kultury stojących. W Austrii stali i stoją Niemcy i Czesi w kulturze przemysłowej wyżej od Polaków. Tem się też tłumaczy, że zagraniczni przemysłowcy głównie wśród Niemców i Czechów wynalazki swe wykonywali, a przez to jednych i drugich w technice wynalazków kształcili. Szalone postępy zrobili w tych praktycznych szkołach zwłaszcza Czesi, jakto niejednen z czytelników przekonał się zapewne na wystawie pragskiej, zwłaszcza w pawilonie patentów. W Galicyi, o ile wiem, nikt jeszcze z cudzoziemców nie próbował swego wynalazku fabrycznie wykonywać. W Królestwie zaś, gdzie cywilizacya jest wyższa, aniżeli w reszcie imperyum rosyjskiego, nie brak pod tym względem licznych przykładów.

Tak więc z powodu braku owej szkoły; jaką daje Niemcom i Czechom austryackim wykonywanie patentów za granicznych w ich krajach, pozostaliśmy w tyle za innymi rodakami, którzy tę szkołę posiadali. Mieli ją mianowicie Poznańczycy i Królewiaacy; pierwsi przez bezpośrednie sty-

kanie się z niemieckimi fabrykami, drudzy przez wykonywanie zagranicznych wynalazków w ich fabrykach; mieli ją zaś przedewszystkiem ci emigranci, którzy żyjąc wśród Anglików, Francuzów i Niemców, w tychże szkołach się kształcili i tantejsze wzory oglądali. Stąd to tłómaczy się objaw, że z ogólnej liczby patentów polskich, istniejących w Austrii w roku 1890, przypada na Galicyę zaledwie trzecia część (około 15), i że patenta galicyjskie mają przeważnie małą wartość, podczas gdy najznakomitsze z polskich patentów przysługują tym, co żyją pomiędzy obcymi. Oto kilka przykładów.

O ile jako nietechnik mogę sądzić, to poczytuję za patenta wartościowe: patent hr. Brochockiego Tomasza z Paryża, R. Dombrowskiego z Wiednia, Horbaczewskiego Edmunda z Wiednia, Jerzmanowskiego Erazma z Nowego Yorku, Kosińskiego Stanisława z Berlina, Olszewskiego Stanisława z Petersburga, Pietruskiego Mieczysława z Poli (patentów dwa), Zalińskiego Edmunda z Nowego Yorku. Z Galicyan, którzy posiadali patenta w Austrii w r. 1890 przytaczam patenta: Czarniakowskiego Adama, Dra Darguna Lotara, Drohojowskiego Stanisława, Dzbańskiego Stanisława i Maślankę Marcina, Lipińskiego Kazimierza, Nawrodzkiego Alfonsa, Pułaskiego Jana Aleksandra, Uderskiego Edwarda, Wątrobskiego Józefa, Wszelaczyńskiego Macieja, Zieleniewskiego Michała. (Spis ten nie jest całkiem wyczerpujący).

Jeżeli powyższe uwagi usprawiedliwiają Galicyę, że uległa przemysłowości Zachodu, i że nie zdobyła się dotąd na własny samodzielny postęp, to nie wynika z tego, iżby wzbudzenie pomysłowego postępu na większą skalę było tu niemożliwe. Wprawdzie trudności są wielkie; brak nam owych korzystnych warunków zewnętrznych, jakie mają kraje czeskie i niemieckie, ale z drugiej strony nie brak nam Polakom zdolności, a tylko ten warunek jest *conditio sine qua non*. Warunki inne, jak zachęta i przykład dadzą się osiągnąć w inny jeszcze sposób. Polak miał i ma dużo fantazyi, dał tego dowodów tysiące i daje dowody, jakeśmy z powyższych przykładów widzieli, nawet w dziedzinie twórczości przemy-

słowej. Brak mu zwykle, co prawda, wytrwałości, ale na nią zdobędzie się, gdy się do pewnego przedmiotu zapali. Potrzeba tylko zamilowania.

Polak lubił chwalić rzeczy obce i stawiał je w rozmowie ponad własne, ale zapalić umie się tylko do tego, co swojskie. A to właśnie jest nieszczęściem w przemyśle, żeśmy się w Galicyi prawie na nic własnego nie zdobyli w ostatnich lat dziesiątkach. Jeżeli w przemyśle nie będą nam służyć za wzór obce wyroby, jeżeli zdobędziemy się na własny gust i na własne wynalazki, gdy tak jak Francuzi swe jedwabie, farby i t. d., Niemcy swe stałe, sierpy i kosy i t. d., także i my będziemy mieć swojskie, rodzime, typowe, naszymi wynalazkami udoskonalone wyroby, wówczas i przemysł zajmie w naszym społeczeństwie wyższe i zaszczytniejsze stanowisko. Przemysł powinien być tem, czem go chce mieć wola ogólna, w słowie „*przemysł*“ wyrażona.

Hasło takie, ogólnie pojęte, w czyn zamienione, zdoła zająć i zapalić wiele świetnych intelligencyj, dziś próżnujących i właśnie dlatego niebezpiecznych, że im brak pola odpowiedniej działalności. Hasło takie wskaże właściwy kierunek tyłu ludziom, w których śpi w letargu umysł i serce, lub którzy tłocząc się w inne strony, wzajemnie sobie przeszkadzają — zadowolnieni wreszcie, jeżeli pozyskają środki do utrzymania życia w bardzo nieraz skromnej karyerze urzędniczej. Dziś nie widzą oni, że obok nich rozpościerają się coraz to szersze i dalsze przestrzenie bogactw materialnych, tryskających z nowych pomysłów. Wady maszyn, tajemnice prawa przyrody, tajemnice wyrobów wschodnich i południowych ludów, jak np. sposobów przyrządzania barw przez Turków, Persów i t. d., — wszystko to roztwiera nowe przestrzenie dla myśliciela praktycznego.

Do tego to kierunku powinnyby nasze szkoły średnie zachęcać młodzież, a w tymże kierunku szkoły przemysłowe kształcić ściśle i głęboko, ostrzegając przed manowcami mrzonek i fantazyjek, a wskazując na poważne drogi prowadzące do rezultatów dodatnich. Uczniowie wykształceni przez ludzi świadomych celu, musieliby oczywiście przejść jeszcze i praktyczne szkoły fabryk wynalazczych, ale potem, wróciwszy do kraju, stawaliby się powoli pionami postępu na naszej jał-

wej ziemi przemysłowej, umieliby zaszcześcić krzewy twórczości przemysłowej na miejscach, gdzie *humus* urodzaju przemysłowego pozostał, i chroniliby je w pierwszym rozwoju zasłonami patentów i wzorów. Nie należałoby jednak z początku sprawy zbyt forsować i żądać rzeczy niemożliwych. Dużo cierpliwości i wyrozumiałości, a przytem pracy wymagałyby początki, ale praca nie byłaby straconą. Wszak i Karst kamienisty zalesiają dziś, zaczynając od sadzenia drobnych jałowców i krzewów w szczelinach i rozpadlinach skał. Daj Boże, iżby na skałach naszych pustyni przemysłowych prędzej zakwitł przemysł, zanim będzie lasem pokryty, coraz się więcej dzisiaj zieleniący Karst!

*Fryderyk Zoll junior.*

# WYBORY WĘGIERSKIE.



W mowie tronowej, wygłoszonej 5 stycznia na zamknięcie kadencji wybranej w r. 1887 węgierskiej Izby poselskiej, cesarz i król wypowiedział nadzieję, że nowe wybory zatwierdzą stan prawnopolityczny, ustalony ugodą r. 1867. „Wierność dla tronu,— oświadczył wtedy monarcha — miłość ojczyzny i poszanowanie praw, zawsze stanowiły wybitny rys charakteru narodu węgierskiego; także pokolenie tegoczesne niejednokrotnie złożyło dowody, że wiernie zachowało te odziedziczone po przodkach przynioty. Z ufnością zatem i z uspokojeniem spoglądamy na przyszłość, mogąc zawsze bezpiecznie liczyć na gorliwe spółpracownictwo narodu tak co do utrzymania istniejącego porządku prawnego, jakoteż co do rozwoju kraju na polu interesów moralnych i materialnych.“ Przewidywania monarchy ziściły się. Wprawdzie niewątpliwie nie jest to pomyślne zjawisko, że w 25-tym roku po przywróceniu Węgrom zupełnego samorządu i zawarciu sławnej ugody austriacko-węgierskiej, jeszcze tam wybory odbywały się przeważnie pod hasłami zachowania czy zniesienia ugody — co dowodzi, że są zawsze w monarchii stronictwa skrajne, które nawet maximum możliwego samorządu uważając tylko jako stan przejściowy, dążą do zupełnego rozkładu monarchii habsburskiej — atoli także ostatnie, ukończone 6 lutego wybory wykazały, że żywiły dodatnie, obstawające uczciwie przy ugodzie, nie dopuszczające ani jej otwartego zburzenia, ani osłabienia sztucznymi interpretacjami, posiadają zawsze w Węgrzech stanowczą przewagę

i dbają o to, aby naród węgierski nie przestał zasługiwać na pochwałę, wypowiedzianą w przytoczonych powyżej słowach cesarza i króla.

Powtórę zaś w tych ostatnich wyborach wyraźniej, aniżeli w dawniejszych, zaznaczyły się dążności zachowawcze, mianowicie względem stosunku państwa do Kościoła. Zasady te oddziaływały nawet w niektórych okręgach opozycyjnych, przedewszystkiem zaś w obozie stronnictwa rządowego, które zatem z tej walnej próby wyborczej wyszło poniekąd przeobrażone. Że naród węgierski za trzy lata w pozycyi bardzo świetnej obchodzić będzie jubileusz swego 900-letniego istnienia, zawdzięcza to okoliczności, że wielki książę Waik, który przy chrzcie otrzymał imię Szczepana, a zasłużył sobie na sławę świętego, przyjął koronę królewską z Rzymu i że wierny tej tradycyi naród węgierski, zawsze stawał po stronie Zachodu. I teraz także, wyraźniejszym uwzględnieniem praw Kościoła złożył chlubne świadectwo swej solidarności z cywilizacją i wszelkimi dodatnimi prądami Zachodu.

## I.

Na 8 czerwca r. b. przypada 25-ta rocznica koronacyi cesarza Franciszka Józefa królem węgierskim. Szczery i poważny patriota węgierski, spoglądając na ten 25-letni okres, nie może nie przyznać, że od czasów króla Macieja Korwina stanowi on niewątpliwie najświetniejszą epokę w dziejach narodu i królestwa węgierskiego. W chwili olbrzymich aglomeracyj państwowych, Węgrzy, dzięki swemu trwałemu związkowi z Austrią, używają wszelkich wygod i środków obronnych, jakich swym poddanym dostarczyć zdolne tylko wielkie mocarstwo. Tych wygod nietylko nie opłacają zaparciem się swych praw, interesów i uczuć narodowych, lecz przeciwnie na wspólną politykę zagraniczną monarchii wpływają potężnie — przyznajemy chętnie, że w kierunku zgodnym z właściwem jej posłannictwem. W instytucjach wspólnych posiadają tesame prawa, co Austria. Drugim od czasu ugody ministrem wspólnym spraw zagranicznych przez 8 lat był najwybitniejszy mąż zaufania madziarski hr. Juliusz

Andrassy. Obecnie inny znakomity mąż stanu węgierski, p. Kallay dzierży tekę wspólnego ministra finansów, a zarazem ma sposobność zaznaczenia swych niepospolitych zdolności administracyjnych, jako wiaikorzędca Bośni i Hercegowiny. W wojsku wspólnem, pominąwszy czysto narodową armię *honwedów*, Węgrzy zajmują wybitne miejsca i ze strony wspólnego ministra wojny jenerała Bauera przy każdej sposobności doznają dowodów nietylko ścisłej sprawiedliwości, lecz wyraźnej życzliwości.

Tymczasem stosunki ekonomiczne kraju rozwinęły się w sposób świetniejszy, aniżeli w r. 1867 mógł przewidywać nawet taki sangwinik i optymista, jak hr. Andrassy. Ludność wzrosła z 15 milionów na 17  $\frac{1}{2}$ ; wskutek regulacji rzek zdobyto 4 miliony włók roli; w kasach oszczędności nagromadziło się 400 milionów fl.; w jednym r. 1890 użyto 25 milionów fl. na założenie nowych lub zwiększenie dawnych fabryk; wartość gruntu niezmiernie się podniosła. Tak długo zaniedbana stolica węgierska, w tym okresie stała się jednym z najwykwintniejszych miast Europy. Nowa ulica Andrassego, przecinająca dawniej najbrudniejszy i najuboższy cyrkuł Pesztu, stanowi jedną z ciekawości tegoczesnych, bogactwem i rozmaitością swych artystycznych fasad więcej zachwyca lubowników architektury, niż bulwary paryskie, i trochę zimna i pusta Ringstrasse wiedeńska. Gdy staniemy na wybrzeżu Franciszka Józefa, rozliczne statki wszelkiej wielkości, kołyszące się na falach Dunaju, tudzież tysiące robotników w malowniczych ubiorach narodowych, przynoszący towary, składają się na obraz pierwszorzędnego miasta portowego i handlowego. Przypomina to trochę Bordeaux, chociaż tam tak blisko do morza, a z Pesztu tak daleko. Wszędzie tu zresztą wre i kipi do późnej nocy ruch ogromny, a życie tak barwne, tak różne od zwykłej, powszedniej jednostajności wielkich miast, że dopiero w Madrycie dostrześliśmy z Pesztem niektóre podobieństwa.

Że ten świetny rozwój stolicy nie jest blichтром, ani opłaconym wycieńczeniem kraju, świadczy o tem — budżet węgierski. W r. 1867 najpoważniejsi madziarscy mężowie stanu, czasem w cztery oczy wypowiedali niepewność i obawę, czy Węgry zdobędą się na kosztą tak szerokiego samo-

rządu? Pierwsze lata usprawiedliwiały takie obawy. Jeszcze w r. 1873 jeden z najgruntowniejszych znawców spraw finansowych, były austriacki minister handlu p. Schaeffle, zapewniał nas z największą stanowczością, że bankructwo w Węgrzech jest rzeczą bliską i nieuniknioną. A oto zrównoważony budżet węgierski na rok bieżący, wykazuje 395,340.941 fl. wydatków, tj. więcej, aniżeli wynosiły w r. 1861 wydatki całej monarchii, i minister skarbu Wekerle mógł oświadczyć wyborcom, że rząd zabiera się do uporządkowania waluty.

Chociażbyśmy zatem przyznali, że na wypełnienie bardzo głębokiej otchłani potrzeba długiego czasu i polityki nadzwyczaj zręcznej, a raczej niezmiernie uczciwej, trudno z razu zrozumieć, że po 25 latach właśnie takiej polityki i tak świetnych rezultatów gospodarstwa krajowego, istnieje dotychczas w Węgrzech stronnictwo, które, uważając ugodę z r. 1867 jako klęskę, zasadniczo ją odrzuca i domaga się zupełnego oderwania Węgier od Austrii. A przecież istnieje ono i to pod nazwą *stronnictwa niepodległości*.

W pierwszym po r. 1849 sejmie węgierskim, zwołanym r. 1861, stronnictwo to było liczebnie tak silnem, że sławny wniosek adresowy Deaka nad rezolucją lewicy, zwyciężył tylko 155 głosami przeciwko 153. Także ugoda r. 1867 nie uzyskała w sejmie węgierskim znacznej większości. Ale wtedy wspomnienia niedawnej przeszłości, widmo nieszczęsnej interwencji rosyjskiej, zmierzające do zupełnego rozbioru królestwa węgierskiego, centralistyczno-biurokratyczne zamachy Bacha itd., usprawiedliwiały poniekąd niechęć i podejrzliwość, które stanowiły polityczną podstawę stronnictwa niepodległości. Po zawarciu ugody, wszystkie rozważniejsze żywioły lewicy z kolei połączyły się z stronnictwem Deaka, naprzód w r. 1872 lewe centrum Ghyczego, potem w r. 1875 lewica Tiszy. Że pomimo tego nie znikło z sejmu węgierskiego stronnictwo niepodległości, a w ostatnich wyborach r. 1887 zdobyło jeszcze blisko 100 mandatów, tłómaczy się tem, że około kilku dawnych emigrantów o skrajnie rewolucyjnej przeszłości, całkiem niezdolnych do politycznej pracy dodatkowo, jak Iranyi, Helfy itd., skupiają się wszystkie żywioły radykalizmu, nierządu i warcholstwa, którym sztandar

niepodległości i *unii personalnej* dostarcza pożądanego pretekstu do namiętnej walki przeciwko każdemu gabinetowi, a nawet przeciwko wszelkiej powadze i porządkowi publicznemu, i do których doskonale przystaje epigram Krasickiego: „Nie fanatyk swywoli jest obywatelem!“

Ugodzie z r. 1867 poważne ze strony „niezawisłych“ nie groziło niebezpieczeństwo. Nie było nigdy obawy, aby to stronnictwo uzyskało większość w sejmie. Na to ludność madziarska posiada zbyt wiele zmysłu zachowawczego. Atoli samym swym bytem, stronnictwo to, nie pozwalając na zupełne zniknięcie sporów o podstawy konstytucyi, przeszkodziło dotąd prawidłowemu szeregowaniu się stronnictw na tej wspólnej podstawie według różnych poglądów na sprawy bieżące i administracyę krajową. Powtóre zaś, stronnictwo niepodległości od r. 1867 z zastraszającą wytrwałością, nadużywając mandatów poselskich, obstrukcyą parlamentarną, brutalną gwałtownością, cynicznie śmiesznymi występami, czasem poprostu błazeństwami i ciągłym wciąganiem ulicy w rozprawy parlamentarne, nietylko utrudniło, albo nawet zwichnęło najkonieczniejsze reformy, jak n. p. w roku zeszłym upaństwowienie administracyi, ale nadto sprawiło, że, gdyby nie istniała francuska Izba deputowanych, można było sejm węgierski stawiać jako najbardziej odstraszący przykład zgromadzenia parlamentarnego.

Oto kapitał polityczny i moralny, z którym stronnictwo niepodległości ponownie przedstawiło się wyborcom. Ogłoszony 1 stycznia manifest jego, twierdzi, że rząd węgierski nie dostarcza narodowi żadnych rękojmi. „Gdy bowiem obcy mężowie stanu i obce wojsko, nie zdołały zgnieść patriotyzmu, właśnie węgierscy mężowie stanu często podkopywali poczucie obowiązku i energię narodu.“ Na dowód tego odezwa przytacza: rozprawy o ustawie wojskowej, pozbawienie Kosutha obywatelstwa węgierskiego, wprowadzenie czarnożółtych chorągwi do honwedów, upadek węgierskiej fabryki broni (która się okazała całkiem niezdolną!), ustawę o sądownictwie konsulatów austriacko-węgierskich (uchwaloną w r. z), tudzież mięszanie się Austrii do węgierskich taryf kolejowych. Szczęśliwy naród, który nie może przytoczyć innych zamachów na swą samodzielność! Opozycjonistom

„niezawisłym“ wystarczają one jednak na dowód, „że istnieje dotąd zamiar pozbawienia Węgier samorządu i wcielenia ich do Austrii, jakoteż, że dotąd kraj bywa rządzony w duchu dworskim i austryackim.“

Stronnictwo niepodległości obstaje zatem przy swych zasadach, a mianowicie przy „niepodległych Węgrach, samodzielnem, narodowem wojsku, samodzielnej, zgodnej z naszymi narodowymi interesami polityce zagranicznej, odrębnym królewskim dworze w stolicy, restytucji chorągwi narodowych na całym obszarze kraju; przy samodzielności ekonomicznej z własnym bankiem państwowym i wspieraniem handlu i rzemiosł; przy niezależności taryf na kolejach węgierskich i samodzielności cłowej; z Austrią ma być zawierany sojusz i utrzymana przyjaźń, jak nakazuje wspólność władzcy i sąsiedztwo. Z tych zasad logicznie wynika zniesienie wspólności wojska, delegacyj i wspólnego ministerium.“

Jestto znany oddawna program prawnopolityczny stronnictwa niepodległości, stawiający w miejsce teraźniejszej *unii realnej*, tylko *unię personalną* wspólnego monarchy. Oprócz tego prawnopolitycznego programu, stronnictwo wymienione wyznaje jeszcze inne zasady, wyjaśniające jego charakter radykalny. Potępia militarizm, domaga się ślubu cywilnego i zupełnego równouprawnienia wyznań,niżenia podatków, rozszerzenia prawa wyborczego (które już i tak zupełnie się zbliża do *suffrage universel!*), obdarzenia klasy robotniczej wszystkimi prawami politycznymi, ograniczenia w imię liberalizmu zbyt wielkich praw korony i rządu, usunięcia wszelkich przywilejów szlachty itd.

Względem tych i podobnych radykalnych dążeń stronnictwa niepodległości, hr. Juliusz Andrassy, młodszy syn śp. ministra, na zebraniu wyborców VI okręgu peszteńskiego dnia 21 stycznia oświadczył: „Charakterystyczną cechą teraźniejszej walki wyborczej stanowi, że wszystkie stronnictwa nazywają siebie liberalnemi. Zkąd zatem walka? Ztąd, że wyrazowi „liberalizm“ przypisują treść bardzo różną. Są tacy, którzy z liberalizmu robią monopol jednej warstwy. Ci nie stoją na podstawie węgierskiej. Usiłują oni rozpowszechnić pomiędzy nami zasady obce, zaczerpnięte ze stosunków (francuskich), gdzie były środkiem walki mieszczaństwa i zazna-

czały się w sposób rewolucyjny. Na mocy tych zapatrywań, czynią wam, panowie, wymówki, że ofiarowaliście mandat magnatowi, hrabiemu i to takiemu, który nie myśli wypierać się swego stanu. Bo nietylko tego nie czynię, lecz przeciwnie, oświadczam, że nazwisko moje uważam jako największy mój skarb (huczne okrzyki: Eljen Andrassy!) i pozostać godnym jego, poczytuję za najwyższe zadanie moje. Ale, panowie, owe pojęcia (demokratyczno-radykalne) pozostawają w sprzeczności z prawdziwym, wyrosłym na ziemi węgierskiej liberalizmem. Ten nie jest niczem innym, jak uznana przez wszystkie warstwy społeczne polityką *narodową*. Obce teorie nie rozsadziły organizmu narodu węgierskiego. Liberalizm uczciwy, węgierski, taksamo usuwa na bok jednostronną, zawistną demokrację, jakoteż nie usprawiedliwioną dumę arystokratyczną. W Węgrzech cały naród powinien się połączyć do narodowej pracy, przy czem każdemu wymierzona będzie odpowiednia część pracy; celu jednak dostąpiemy tylko wspólnem, zgodnem i nawzajem się dopełniającem staraniem.“

Bardzo słusznie hr. Juliusz Andrassy zasady stronnictwa niepodległości nazwał demokratyczno-rewolucyjnymi, a zarazem egzotycznymi. Co zaś do reszty jego wywodów, uwzględnijmy przede wszystkim, że przemawiał przed bardzo libera'nem zebraniem, przeważnie kupieckiej i rzemieślniczej dzielnicy stolicy; uwzględniwszy to, uznamy, że hr. Andrassy o wiele więcej zbliża się do programu narodowego konserwatyzmu, aniżeli do teorii pospolitego liberalizmu. Że tak jest, wiemy zresztą i zkądinąd.

Wracamy jednak do manifestu stronnictwa niepodległości. O sprzymierzeńcach w walce wyberezej oświadczał on: „Stronnictwo narodowe, stojąc na podstawie ugody z r. 1867, tak co do tej kwestyi, jako też co do reformy administracyi, zasadniczo zgadza się z rządem. Stronnictwo to składa się jednak z zacnych, uzdolnionych mężów i pragnie ulepszenia utworzonych w r. 1867 instytucyj; liberalizm tych mężów pod względem rozwoju naszych wewnętrznych urządzeń, jest o wiele wyraźniejszy i szerszy, niż liberalizm stronnictwa rządowego. Przekonani jednak, że niepodobna ulepszyć ugody z r. 1867, nie sądzimy, aby hr. Apponyi na tej pod-

stawie mógł osiągnąć, czego nie zdołał osiągnąć Deak.“  
Zauważmy tymczasem już tu pobieżnie, że właśnie Deak *nie* pragnął osiągnąć większych ustępstw, ponieważ te, które obejmuje ugoda, uważał za wystarczające i słuszne.

Pod koniec r. 1891 od stronnictwa niepodległość odłączyła się frakcyja p. Ugrona, która przyjęła tytuł „stronnictwo r. 1848,“ i odrzucając zasadniczo ugodę r. 1867, sądzi jednak, że dążąc do jej zniweczenia, można tymczasem brać udział w obradach delegacyi węgierskiej. O tych dyssydentach odezwa stronnictwa niepodległości oświadcza: „Wyznają oni po większej części tesame co my, prawnopolityczne zasady; jednakże uważają za rzecz możliwą przeprowadzenie różnych punktów naszego programu stopniowo, i mniemają, że tymczasem wolno brać udział w obradach delegacyi węgierskiej. My zaś jesteśmy przekonani, że ugoda z r. 1867 może tylko uchodzić za prowizoryum, albo też trzeba koniecznie odrazu przywrócić zupełną samodzielność dwóch państw“ (Węgier i Austrii).

Do dawnych sporów stronnicych, przybył więc nowy pomiędzy kandydatami dwóch frakcyj stronnictwa niepodległości, którejto walce zawdzięczamy ciekawą rewelacyę dyplomatyczną. P. Ugron w obronie swej taktyki powołał się na to, że Pasmandy, Eötvös <sup>1)</sup> a nawet... sam prorok Kosuth, zgadzają się na wstąpienie „niezawisłych“ do delegacyi. Na to twierdzenie, p. Pasmandy odpowiedział 10 stycznia długim listem, w którym oświadcza, że, przebywając w Paryżu w chwili znanej sprawy Schnaebelęgo r. 1888, dowiedział się od ministra wojny Boulanger'a, że już wydał rozkazy uruchomienia wojska. Z „patryotycznej obawy“ p. Pasmandy telegrafował przeto do p. Szoegyenięgo: „Jeżeli Bismark nie cofnie się, za kilka dni niewątpliwie wojna wybuchnie.“ Zapewne p. Pasmandy, nie grzeszący skromnością, sobie przypisuje zasługę, że wówczas został zachowany pokój europejski! Lecz mniejsza o to. Niedługo potem zapytał go p. Szoegyenyi, czy także w razie wojny stronnictwo niepodległości nie wstąpi do delegacyi? P. Pasmandy odpowiedział:

<sup>1)</sup> Który nie pochodzi bynajmniej ze znanej rodziny baronów tego nazwiska.

„Tak; wiem bowiem, że na taki przypadek zalecił nam to samo Kossuth.“ Wreszcie p. Pasmandy zaznacza, że także Eötvös, którego o tej rozmowie uwiadomił, podzielał to zdanie. Delegacya węgierska także w czasie wojny obejdzie się bez pp. Pasmandego, Eötvösa itd., ostatecznie jednak te nibyto zaprzeczenia Pasmandego dowodzą, że opozycya bierna „niezawisłych“ nie jest tak bardzo zasadniczą, jak to twierdzi ich manifest wyborczy. O ile w stronnictwie niepodległości znajdują się ludzie, którzy powodują się istotnie politycznemi względami, tudzież szczerem uwielbieniem dla Kossutha, możnaby przypuścić, że po śmierci 90 letniego egzubernatora Węgier, zaniechają oni zasadniczego oporu przeciwko ugodzie austriacko-węgierskiej z r. 1867. Aby to stronnictwo całkiem znikło z sejmu węgierskiego, nie spodziewamy się, zawsze bowiem znajdzie się pewien zastęp warcholów, żadnych opozycyi *quand même*, systematycznej, anarchicznej i brutalnej, a takim ludziom program niepodległości dostarcza najwygodniejszego pretekstu.

Widocznie jednak pp. Iranyi, Helfy, Eötvös, Polonyi itd. czują doskonale, że ludność węgierska wcale nie życzy sobie poruszenia kwestyi konstytucyjnej i zerwania związku z Austryą. Poprzestali więc na wygłoszeniu swych przekonań prawnopolitycznych w odezwie, osobiście zaś do wyborców odzywali się w miastach w imię radykalno-demokratycznych teoryj, na wsi zaś w imię oporu przeciwko reformie administracyi. Dotychczas komitaty posiadają w Węgrzech różne z tych attrybucyj, które we wszystkich innych państwach europejskich należą do rządu centralnego, względnie do różnych ministrów. Urzędnicy zaś komitatowi (jest ich 70.000) bywają wybierani przez *kongregacye*, czyli przez sejmiki komitatowe, oczywiście najczęściej bez względu na kwalifikacye, lecz stosownie do różnych wpływów miejscowych, przewagi tej lub owej koteryi, protekcyi, nepotyzmu albo też chociaż tylko sąsiedztwa, i ztąd pochodzi, że, jak to zaznaczył jeden z kandydatów stronnictwa rządowego, sala kongregacyj komitatowych zawsze jest pusta, gdy na porządku dziennym stawają sprawy publiczne, ale zapełnia się szczelnie, kiedy się odbywa wybór urzędników komitatowych! Przed 20 laty konserwatywny mąż stanu baron Sennyey

nazwał te stosunki „azyatyckimi“ i już wtenczas domagał się reformy administracyi. Teraźniejszy gabinet w r. 1891 stał ją na porządku dziennym, ale obstrukcyja skrajnej lewicy, dzięki dziwacznej pobłażliwości sędziwego marszałka Pechego, sprawiła, że hr. Szapary, musiał wtedy poprzestać na uchwaleniu 1-go tylko artykułu, który wygłasza zasadę upaństwowienia administracyi.

Teraz kandydaci stronnictwa niepodległości pod sztandarem oporu przeciwko reformie administracyi, starali się zjednać sobie wszystkie te liczne czynniki komitatowe, którym przy tej reformie „idzie o życie.“ Że to samo stronnictwo wyznaje równocześnie zasady skrajnego, nibyto postępowego liberalizmu na wzór francuski i włoski, domagając się powszechnego głosowania, zupełnej wolności prasy i słubów cywilnych, tudzież występuje w obronie urzędzeń, które wprawdzie w średnich wiekach istniały wszędzie, ale musiały upaść w miarę może zbytowego rozszerzenia kompetencyi państwowej, wydoskonalenia organizacyi wojskowej (dawniej nadzupan komitatu, jako pułkownik natus prowadził na wojnę ruchawkę komitatuwą!), upaństwowienia szkoły itd. — ta dwulicowość „niezawisłych“ nikogo nie zadziwi, skoro wiemy, że im chodzi jedynie o mandaty poselskie, aby ich użyć na zwalenie wszelkiego normalnego ładu. Zadziwić tylko, i to bardzo, może okoliczność, że hr. Apponyi, który uznaje konieczność reformy administracyi i podnosi ją także w swym manifeście wyborczym, pomimo tego zawarł właśnie z tem stronnictwem sojusz, celem wzajemnego popierania się przy wyborach! Jest to niezawodnie jedna z tych ewolucyj, które dowodzą, że *la logique ne gouverne pas le monde, mais la passion!*

Któremu z tych różnorodnych czynników, czy hasłom radykalnym, czy oporowi przeciwko reformie administracyi, czy też tylko sojuszowi z stronnictwem hr. Apponyego, przyznać mamy większy wpływ? — trudno rozstrzygnąć. Dość, że stronnictwo niepodległości w ostatnich wyborach nie tylko nie straciło mandatów, ale nawet zdobyło kilka nowych. W dawnej izbie bowiem frakcyja Iranyego liczyła 75 członków, a frakcyja Ugrona 20 posłów, teraz pierwsza liczy ich 86, druga 14. Co smutniejsza, to, że stronnictwo niepodległości,

mandaty swe zawdzięcza właśnie czysto lub przeważnie madziarskim komitatom, z których pierwsze: komitaty Hajdu, Csongrad, Gyöer, Szabolcs, Bekes i Komorn wybrały samych kandydatów tego stronnictwa, gdy drugie: komitaty Heves, Jász-Szolnok, Somogy, Maros, Peszt-Pilis, Veszprim wybrały ich w większej części; tylko w siedmiogrodzkich komitatach madziarskich; Csik, Haromszek, Udvarhely wybory wypadły zupełnie pomyślnie dla stronnictwa rządowego, bo tam, na wschodnich kresach, otoczona Rumuńczykami, poczęści Niemcami, ludność madziarska żywo czuje potrzebę opieki rządowej i niebezpieczeństwo zbyt śmiałych eksperymentów.

Także w przeważnie madziarskich miastach stronnictwo niepodległości zdobyło kilkadziesiąt mandatów, ale z wyjątkiem Kecskemetu, głównie w mniejszych miastach. Natomiast w 10 wielkich miastach: Budapeszcie, Debreczynie, Szege-dynie, Pressburgu, Szabadce, Miskolczu, Maros-Vasarhely, Koloszarze, Kronsztadzie i Szybinie stronnictwo rządowe uzyskało 23 mandatów, narodowe 2, a stronnictwo niepodległości także tylko dwa. Mianowicie w Budapeszcie, który wybiera 9 posłów, stronnictwo to odważyło się na walkę tylko w jednym okręgu i w tym także upadło. Zważywszy, że zwłaszcza w większych miastach poplącają zwykle hasła radykalne, możnaby przypuścić, że stronnictwo niepodległości swoje zdobycze, odniesione głośnie w komitatach, nie zaś w miastach, zawdzięcza nie tyle swym teoryom postępowo-radykalnym, ile raczej opozycji przeciwko zreformowaniu dawnej administracji komitatowej, która zawsze była najpopularniejszą w przeważnie madziarskich okolicach.

Swoją drogą niewątpliwie znaczną liczbę mandatów zawdzięcza ono poprostu terroryzmowi. Wprawdzie hr. Szapary, jak dawniej Tisza, wolność wyboreczą ile możności zabezpieczył szpalerami wojskowemi, które na rynkach rozdzielają wrogich wyboreców, gdzie nie można było wpuszczać ich do gmachu wyborezego różnemi bramami, albo też wystawiać jak w stolicy, umyślnie płotów, celem rozgraniczenia zbyt gorących patryotów na ulicy. Ostatecznie jednak nie starczyło wojska na obsadzenie wszystkich gmin. Gdziekolwiek zaś w ostatnich wyborach wydarzyły się krwawe bójki, zawsze powstały wskutek zamachu wyboreców stronnictwa niepodległości

na gmach wyborezy, celem rozdarcia protokółów wyborezych, jak w Banffy-Hunyad, albo też wskutek napadnięcia dążących do miasta okręgowego wyborców stronnictwa rządowego, jak w Tisza-Loek, albo też wskutek rzucenia się tłumu na wracających do domu wyborców stronnictwa rządowego, jak w Csicsó w komitacie Csik<sup>1)</sup>. Oczywiście tu i tam żandarmi byli zmuszeni strzelać do napastników, z których kilku opłaciło swą zawziętość śmiercią, co dostarczyło naprzód pretekstu do uroczystych „patriotycznych“ pogrzebów, a teraz na całe lata zaopatrzy prasę radykalną w materiał do deklamacyj o zbrodniczych okrucieństwach władz. Że jednak ten terroryzm żywiołów radykalnych na bardzo wielu miejscach, chociaż nie spowodził krwawej katastrofy, wstrzymał jednak wyborców stronnictwa rządowego od przystąpienia do urny wyborezej, nie ulegałoby z góry wątpliwości, chociażbyśmy nie mieli na to licznych dowodów. Konieczność zabezpieczenia obywatelom swobodnego wykonania najważniejszego prawa i obowiązku konstytucyjnego, za pomocą asystencyi wojskowej, to także jedna z licznych „zasług“ stronnictwa skrajnego, co jednak nie przeszkadza, że ci „przezacni obmyślacze dobra pospolitego,“ jak Skarga nazywa posłów, w nowym sejmie wystąpią w roli oskarżycieli rządu o haniebne „gwałty“, jakich się dopuścił na „patriotycznych“, tj. radykalnych wyboreach! Bo *Gracchi de seditione querentes* nie wymierają!

## II.

Stronnictwo, które różne swe dawniejsze nazwy w październiku roku zeszłego zamieniło na tytuł *narodowego*, było i jest stronnictwem hr. Wojciecha Apponyego. Przypatrzmy się z kolei nieco bliżej niezmiernie ciekawej indywidualności tego najznakomitszego dziś mówcy madziarskiego, któremu, aby zasłużył sobie na sławę męża stanu, dotąd zbywało tylko na... cierpliwości.

<sup>1)</sup> Razem w tych trzech miejscach zginęło 7 osób; kilkanaście ciężko zranionych.

Hr. Wojciech Apponyi, syn ówczesnego kanclerza węgierskiego hrabiego Jerzego, narodził się w Wiedniu r. 1846 słuchał prawa na wszechnicy wiedeńskiej i peszteńskiej, w r. 1868 przebywał w Niemczech i Francji, a w r. 1872, licząc dopiero lat 26, był wybrany do Izby poselskiej. Wstąpił do niej równocześnie z byłym „tawernikiem“ czyli namiestnikiem Węgier, baronem Pawłem Sennyeyem, który wtedy zrzekł się swego krzesła w Izbie magnatów, aby przyjąć mandat poselski. Wspólnie z hrabiami Majlathem i Jerzym Apponyim baron Sennyey przed r. 1867 stał na czele stronnictwa staro-konserwatywnego. Kiedy zatem ugoda austriacko-węgierska przysłała do skutku na podstawie układów Deaka i Andrassego z dworem, hr. Jerzy Apponyi usunął się nazawsze do zacisza w Pressburgu, hr. Majlath, przyjmawszy godność prezesa najwyższego sądu, tudzież marszałka Izby magnatów, zaniechał czynnej polityki <sup>1)</sup>, baron Sennyey zaś przez kilka lat milczał. Widząc jednak niebezpieczne wzmaganie się prądu radykalnego, który dążył do oderwania Węgier od Austrii, jakoteż nieudolność stronnictwa Deaka, które po przeniesieniu się Andrassego (r. 1871) do Wiednia, coraz wyraźniej upadało pod naciskiem skrajnej lewicy, Sennyey zrozumiał konieczność zreorganizowania stronnictwa Deaka w kierunku zachowawczym, względnie utworzenia na podstawie ugody z r. 1867 nowego stronnictwa konserwatywnego.

W tym celu w ogólnych wyborach r. 1872 przyjął mandat poselski i zaraz pierwszą mową, wygłoszoną podczas rozpraw nad adresem 7 października, zajął w Izbie pierwszorzędne miejsce. „Wiadome to Izbie — oświadczył — i wiadome całej ojczyźnie, że wskutek mego sposobu myślenia, moich skłonności, a może też temperamentu, jestem konserwatystą, ale zwolennikiem tego konserwatyzmu, który zarówno stroni od reakcyi, jakoteż od rewolucyi.“ Wypowiedziawszy następnie zupełną zgodę na program Deaka, tj. na wytworzony ugodą stosunek prawnopolityczny, wykazywał, że w dążnościach reformatorskich stronnictwa węgierskie zbliżają się do najbardziej postępowych teoryj, gdy w rze-

<sup>1)</sup> W r. 1884 został on zamordowany przez służącego.

czywistości panują w Węgrzech starodawne, „niemal azya-tyckie stosunki“; zalecał zatem przedewszystkiem reformę administracyi w tym kierunku, aby urzędnicy nie byli wybierani przez kongregacye komitatowe, lecz według odpowiednich kwalifikacyj mianowani przez rząd; najdobitniej zaznaczył, że „skoro powstała możliwość samodzielnego życia konstytucyjnego, jakiego nigdy przedtem nie posiadaliśmy, *dzieło ugody i temsamem los ojczyzny nie powinien żadną miarą być narażony na nowe experymenta*“; wobec prądów rozkładowych głównym pewnikiem jest, „że samodzielność królestwa węgierskiego i naszego narodowego bytu, najbezpieczniejsze rękojmie znajdzie w owym sojuszu, który na podstawie równorzędności i konstytucjonalizmu zawarliśmy z drugą połową monarchii“ (przeciągłe oklaski na prawicy). Aby zaś ten związek i dla Węgier był pożytecznym, „jest konieczną przyznać mu wszystkie attribucye, które wspólnej monarchii w gronie narodów europejskich zapewniają stanowisko wielkiego mocarstwa, a więc przedewszystkiem jedność i wspólną administracyę wojska“...

Oto w głównych zarysach program barona Sennyeya, do którego natychmiast przystąpili sędziwy Zsedenyi, młodzi naówczas, dzisiejszy wspólny minister finansów Kallay i dzisiejszy minister węgierski *a latere* Szoegyenyi, hr. Wojciech Apponyi i inni. Na tej podstawie niewątpliwie z czasem byłoby powstało poważne stronnictwo konserwatywne w Izbie poselskiej. Na nieszczęście, baron Sennyey, chociaż wtedy był w sile wieku, bo urodził się r. 1824, był chorowity, zimę spędzał we Włoszech, a nadto fuzya deakistów z lewicą Tiszy w styczniu r. 1875, chociaż utwierdzała stan prawno-polityczny, utworzony w r. 1867, jednak punkt ciężkości w sejmie przenosiła na lewą stronę. Baron Sennyey zatem usunął się z sejmu, w r. 1884 przyjął po Majlacie godność najwyższego sędziego i marszałka Izby magnatów, a w r. 1888 umarł.

Takim sposobem zbyt wczesnie na młodego hrabiego Apponyiego, wrażliwego, nie posiadającego tego doświadczenia, którego się nabywa w urzędach, bardzo wymownego, ale też aż nadto czulego na oklaski choćby stronnictw skrajnych, spadła doniosła spuścizna po baronie Sennyeyu.

Z początku, wierny tradycjom rodzinnym, hr. Apponyi starał się o utworzenie stronnictwa katolicko-konserwatywnego. Niebawem zniecierpliwił się. Chwycił się popularniejszych haseł opozycyjnych i jako naczelnik naprzód „zjednoczonej“, potem „umiarkowanej opozycji“, walczył z gabinetem Tiszy, nie pod sztandarem konserwatywnym Sennyeya, lecz najczęściej w sojuszu z stronnictwem niepodległości. Najdalej w tym kierunku posunął się w pamiętnych rozprawach nad przedłużeniem ustawy wojskowej w r. 1889. Po ustąpieniu Tiszy i powołaniu hrabiego Szaparego na urząd prezesa gabinetu (16 marca r. 1890), zdawało się, że hr. Apponyi zbliży się do stronnictwa rządowego, aby w niem zdobyć z czasem wpływ, którego się domaga. Atoli znowu przeszkodziła... niecierpliwość. Na jesień r. 1890 w sprawie metryk dzieci małżeństw mieszanych, w zapędzie opozycyjnym hr. Apponyi, jedynie, aby nabawić gabinet kłopotu, przemawiał za radykalnem rozwiązaniem tej kwestyi, choéby przez wprowadzenie ślubów cywilnych. Na początku r. 1891 znowu sprawa upaństwowienia administracyi, którą hr. Apponyi oddawna, za przykładem barona Sennyeya, uznawał jako konieczną, nastroczała sposobności do połączenia się naczelnika opozycji umiarkowanej z hr. Szaparym. Gdy jednak prezes gabinetu wskutek brutalnej obstrukcyi skrajnej lewicy, był zmuszony cofnąć odnośny projekt (6 sierpnia r. 1891), hr. Apponyi, zamiast tem dobitniej zwrócić się przeciwko stronnictwu niepodległości, które udaremniło reformę, rozpoczął namiętną walkę przeciwko gabinetowi, i to pod nowem hasłem stronnictwa narodowego.

Program tego stronnictwa a zarazem manifest wyborezy, przez zbytnią skromność, czy też może dyplomatyczną ostrożność, nie podpisany przez autora, hr. Apponyego, ukazał się 5 stycznia z podpisami nominalnego prezesa stronnictwa Pawła Kiralyego i sekretarza Alexego Benedeka, co, jeżeli *nomen omen*, mogło uchodzić za złą wróżbę, ale nią nie było, bo chociaż p. Benedek upadł w wyborach, to stronnictwo narodowe zdobyło dziesięć nowych mandatów.

W tym bardzo długim manifeste stronnictwo narodowe zapewnia, że wprowadzie zawsze pragnęło polityki narodowej, atoli dopiero wskutek coraz niebezpieczniejszej degene-

racyi polityki rządowej widziało się zmuszonym, już w swej nazwie wskazać na kierunek narodowy. Naznaczywszy po bieżnie, że zasady stronnictwa niepodległości narażają naród na walki prawnopolityczne i na przerwanie ciągłości narodowego rozwoju, manifest oświadcza :

„Domagamy się polityki narodowej na podstawie ugody z r. 1867, pragniemy kontynuować politykę Franciszka Deaka; obstajemy przy ugodzie, która zatwierdziła dwie główne zasady *sankcyi pragmatycznej*: wspólną obronę i narodową samodzielność Węgier. Tosamo twierdzi o sobie rząd, atoli swem postępowaniem zamienia ugodę w pochyłość, na której spadamy aż do utraty samodzielnego państwowego i narodowego bytu. W urzędach dworskich nie widzimy ani śladu samodzielności korony węgierskiej; węgierscy dygnitarze koronni stali się poprostu pomocnikami takich dostojęństw dworskich, których nie zna węgierskie prawo publiczne; w herbach i godłach wspólnych instytucyj niedostaje żadnego znaku samodzielności Węgier; zagranica nic o niej nie wie, nasza samodzielność, uznawana tylko niejako w pożyciu domowem, kończy się nad Litawą; w wojsku węgierskiem, tworzącem dopełnienie wspólnego, nie staje się zadość ani temu najskromniejszemu życzeniu, aby za pomocą węgierskiego militarne go wychowania, krzewiły się duch i patryotyzm węgierski; osławiony §. 25 ustawy wojskowej (w egzaminach z języka niemieckiego) ołowiem cięży na inteligencyi naszej; narodowy charakter honwedów coraz więcej się zaciera i już nawet co do używania wyłącznie węgierskich sztandarów nastął zwrot niepomyślny; wydarzające się w łonie wspólnych instytucyj, obrażające prawo węgierskie i uczucia nasze, wykroczenia (kapitana Uzelacza itd.) nigdy nie zostały należycie ukarane (?), i nie otrzymaliśmy zadośćuczynienia; w ostatnich zaś czasach rozporządzenia i odezwy rządowe zdradzały fałszywą teorię, jakoby nietylko te sprawy były wspólne, które jako takie wyraźnie wylicza ugoda z r. 1867, lecz jakobyśmy we wszystkich innych sprawach byli zobowiązani porozumiewać się z Austryą“...

Wszystkie te „stosunki i teorie sprzeciwiają się ugodzie r. 1867 co do jej brzmienia, i co do jej ducha, jako też głównym zasadom *sankcyi pragmatycznej*. Wyznawcy

takich teoryj nie są prawnymi stróżami ugody, lecz zwolennikami szerzącego się od pewnego czasu coraz bardziej *kierunku dworskiego*. Nie dziw, że taka polityka obudza podejrzenia, które ostatecznie czepiają się samej ugody i tym sposobem uniemożliwiają utwierdzenie się naszych prawno-politycznych stosunków na zewnątrz i wewnątrz.“

Przytoczonym w odezwie stronnictwa narodowego grawaminom, trudno przyznać wielkiej doniosłości. Tak dokładny ich spis dowodzi raczej, że hr. Apponyi nie zdołał wykazać żadnego rzeczywistego naruszenia zabezpieczonego Węgrom ugodą samorządu, ani ze strony dworu, ani ze strony hr. Szaparego. Odpowiedź i krytykę znajdują czytelnicy w przytoczonych poniżej wywodach niektórych ministrów. Tutaj konstatujemy tylko wyraźną różnicę pomiędzy programem barona Sennyeya z r. 1872, a terażniejszym programem hr. Apponyiego. Pierwszy, stając na podstawie ugody austriacko-węgierskiej, dobitnie podnosił konieczność zachowania wspólności monarchii i jednolitej administracyi wojskowej; drugi z tej samej przesłanki wywodzi wnioski osłabiające instytucye wspólne, a co najgorsza, podnosząc wrzekome pogwałcenie ugody przez „kierunek dworski“, wśród ludności węgierskiej budzi pesymizm i nieufność, gdy zdrowa, zachowawcza taktyka, nakazywałaby przeciwnie szerzyć uczucia wdzięczności i ufności dla tronu.

Wyłożywszy główne powody antagonizmu do stronnictwa rządowego, manifest wylicza szereg koniecznych reform, zwłaszcza prawa wyborczego i administracyi, podnosi potrzebę zachowania wolności, bo „inna narodowa polityka, jak liberalna, w Węgrzech jest niemożliwa“ (?), domaga się zatem zupełnego równouprawnienia wyznań, narodowościom przyznaje równe prawa, ale rozpowszechnienie znajomości języka madziarskiego uważa jako konieczny warunek społecznego zjednoczenia; obstaje przy wolności prasy i wychowaniu w duchu narodowym; na polu spraw skarbowych stronnictwo narodowe pragnie zabezpieczyć i ustalić przywróconą wielkimi ofiarami równowagę budżetu, tudzież zupełną samodzielność ekonomiczną Węgier, którąto zasadę „przyćmiła polityka dworska“; w interesie węgierskim wygłasza zasady wolnego handlu, wykazuje konieczność uporządkowania wa-

luty, a za tem założenia odrębnego banku węgierskiego, i wskazuje na potrzebę ustaw opiekuńczych dla robotników. Nakoniec odezwa potępia metodę rządową, przewagę żupanów, nieudolność w wykorzenieniu korupcyi, zwicnięcie charakterów wskutek gonienia za karyerą, służalstwo i t. d.

W ostatnim sejmie na 453 posłów, stronnictwo narodowe liczyło tylko 51. Hr. Apponyi widocznie nie wierzył, aby sam program wyborczy wystarczał na znaczne zwiększenie tego zastępu, ale tem więcej wierzy w potęgę swej niepospolitej wymowy i w zdanie Tocqueville'a: *Le monde appartient à l'énergie*. Z niezrównaną zatem werwą pociągami umysłnemi w szerz i wzdłuż przebiegał całe Węgry, wygłaszając w Koszycach, w Temeszwarze, w Pressburgu, w Maros-Vasarhely 17 wielkich mów i kilkadziesiąt toastów politycznych na nieuniknionych uctach, któremi się kończą zebrania wyborcze, przyjmowany na dworcach ogłuszającymi okrzykami tłumów, wystrzałami z moździerzy i szpalerem dziewie w bieli; w nocy zaś, po iluminacyi z sali bankietowej odnoszony do domu na ramionach przez swych stronników. W Węgrzech zadanie wodza, będącego równocześnie głównym agentem wyborczym stronnictwa swego, jest nader trudne z powodu zupełnej decentralizacyi wyborów. Potrąciwszy bowiem 40 posłów chorwackich, których mianuje sejm zagrzebski, wszyscy inni bywają wybierani, każdy z osobna, według tak zwanego *scrutin uninominal*. W 413 okręgach zatem równocześnie wre ruch wyborczy i w każdym o mandacie poselskim rozstrzygają masy. Prawo wyborcze bowiem, według ustawy z r. 1874, posiada każdy 20-letni Węgier, opłacający podatek od rocznego dochodu 105 fl., każdy właściciel domu, choćby tylko o trzech izbach, każdy rzemieślnik, który zatrudnia pomocnika; bez względu na podatek prawo wyborcze przysługuje szlachcie, członkom węgierskiej Akademii Umiejętności, profesorom, artystom, zaopatrzonemu w dyplom Akademii sztuk pięknych, doktorom, adwokatom, notaryuszom, inżynierom, chirurgom, aptekarzom, ekonomom, leśniczom i górnikom, którzy otrzymali świadectwo szkoły fachowej, duchownym, sekretarzom gmin i nauczycielom wiejskim. Wykluczona od wyboru jest zatem tylko klasa najemników wiejskich i jeszcze nie bardzo liczna w Wę-

grzech klasa robotników fabrycznych, a w praktyce, węgierska ustawa wyborcza całkiem się zbliża do powszechnego głosowania<sup>1)</sup>. Nieznany też tam jest wybór pośredni nadsztych gmin włościańskich.

W dzień wyboru, kilka a czasem kilkanaście tysięcy wyborców z całego okręgu tłumnie i gwarno, paradnemi czwórkami, bryczkami, lub chłopskimi wózkami, młodzież na koniach, przystrojonych wstążkami o barwach kandydata, z nieodzowną kapelą cygańską i sztandarem na czele, wjeżdżają do stolicy okręgowej, i w dwóch obozach obsadzają zwykle bardzo przestronny rynek przed ratuszem, gdzie od 8-ej z rana odbywa się ustnie wybór posła. Niewolno wyborcom przynosić ani broni, ani lasek (§. 63 ustawy wyborczej z r. 1874). Pomimo tego zawsze, przy ostatnich wyborach, a mianowicie przy przedostatnich w r. 1887, naprzemian z winem krew tryskała strugami, na stwierdzenie jeszcze nie zupełnie przedawnionej uwagi pocziwego Turka w *Candidzie*, że *en général ceux qui se mêlent des affaires publiques périssent quelquefois misérablement, et qu'ils le méritent*.

Słowem, wybory w Węgrzech odbywają się *en masse*, *virilim*, co dzisiaj znaczy całkiem coś innego, niż przed 100 laty, a *leader*, który nie rozporządza znacznym zastępem zdolnych mowców — nie mówimy o podrzędnych naganiaczach, czyli tak zwanych *korteszach* — i który nadto bardzo chętnie przemawia do licznego grona słuchaczy, szerokie znajduje pole popisu. To też hr. Wojciech Apponyi w ostatnich wyborach pracował za dziesięciu wodzów poli-

<sup>1)</sup> Liczba wyborców węgierskich wynosi w miastach: 121.000, w komitatach 718.657. W Austrii pierwszej kategorii jest wyborców 300.000, drugiej 1½ miliona, którzy jednak nie wybierają bezpośrednio posła, lecz jako prawyborcy wyborców. Powyższe cyfry odnoszą się tylko do właściwych Węgier, które bez Chorwacyi według spisu ludności z r. 1890, liczą 15½ miliona dusz, kiedy Austria liczy ich 22 miliony. Stosunkowo zatem liczba wyborców w Węgrzech jest bardzo znaczna, a tryb wyborczy więcej zbliżony do systemu powszechnego głosowania, niż w Austrii, co nie przeszkadza, że po każdym wyborach stronnictwa węgierskie nawzajem oskarżają się o sfałszowanie wyborów.

tycznych i kandydatów do mandatu poselskiego, tudzież.... teki prezesa gabinetu.

W swym dawnym okręgu, w Jaszberenach<sup>1)</sup>, stolicy kraju mitycznych Jazygów, o których pochodzenie od Słowian, Tatarów, czy Peczenegów, dotąd spierają się uczeni etnografowie, ale którzy już za czasów Marka Aureliusza jako Jassones dostarczali Rzymowi 8.000 jeźdźców, hr. Apponyi już 28 września r. 1891 wygłosił mowę wyboreczą, w której przesadnie chwalił byłego ministra Tiszę, aby obniżyć zdolność hr. Szaparego. Dnia 29 listopada z Wiednia, gdzie w delegacyi węgierskiej gromił bierność hr. Kalnokyego, nieznużony mówca pojechał do Miskolcza, gdzie w świetnej mowie potępiał wzmagającą się korrupcyę. „U nas — rzekł — połączyły się nadużycia amerykańskie z francuskimi, za rządów Napoleona III: zasada, że stronnictwo zwyciężkie rozporządza łupem — *to the victor the spoil* — i że prefekci — *les préfets à poigne!* — utrzymują okazały dwór, stawają się rozdawcami wszystkich łask i przeprowadzają wybór kandydatów rządowych“. Dnia 13 grudnia przemawiał w Kolosvarze, aby Madziarów siedmiogrodzkich podburzyć przeciwko rządowi, twierdzeniem, że hr. Szapary sprzyja Sasom. Po zamknięciu sejmu (5 stycznia r. b.) i rozpisaniu wyborów, każdy dzień przyniósł nam co najmniej jedną mowę hr. Apponyego. W Koszycach 10 stycznia dowodził, że życie publiczne w Węgrzech jest fikcyą, aby nie powiedzieć kłamstwem, że parlament nie wyobraża prawdziwego usposobienia narodu, ponieważ na wyborcach ołowiem cięży wpływ administracyi, że hr. Szapary był dostatecznym ministrem spraw wewnętrznych, ale nie wart być prezesem gabinetu, i że wszystkie stronnictwa opozycyjne solidarnie powinny występować przeciwko kandydatom rządowym. W Temeszwarze, który hr. Szaparemu ofiarował kandydaturę, naczelnik stronnictwa ultranarodowego, 17 stycznia w niemieckim języku powtórzył wygłaszane dawniej po madziarsku wyrzuty osobiste przeciwko prezesowi gabinetu i t. d.

Tego jednak hr. Apponyi traktuje z góry, pobieżnie,

<sup>1)</sup> Miasto liczące 25.000 mieszkańców, na wschód od Budapesztu w połowie drogi z Hatwan do Szolnoku.

raczej ironicznemi przycinkami, niż ciężką bronią. Nie uważa go, jako przeciwnika równorzędnego. Hr. Szapary z Demostenesem wspólną ma tylko ową wadę, z której najznakomitszy mowca grecki wyleczył się żelazną wolą: jaką się czasem. Hr. Apponyi zatem spogląda na niego z pewnem politowaniem. Za to gorącą nienawiścią pała do ministra Szilagyiego, który mu dorównywa w wymowie a broni wstępu do gabinetu. Dezydery Szilagyi (wymawia się: Siladzi), urodzony r. 1840 w Wielkim Waradynie z rodziny protestanckiej, od roku 1874 profesor prawa na wszechnicy peszteńskiej, w r. 1877 wspólnie z Apponyim stanął na czele „opozycyi zjednoczonej“, którą w r. 1886 porzucił; od r. 1889 jest ministrem sprawiedliwości. *Il n'y a pas une opinion, politique, philosophique, ou religieuse, qui vaille le sacrifice d'une amitié* — twierdzi p. Valtour. Na pp. Apponyim i Szilagyim sprawdza się przeciwnie uwaga pocziwego naszego Łukasza Górnickiego: „Nie wiem, za jakim nieszczęściem popolicie się trafia, że dwaj, żyjąc bardzo długi czas w serdecznej a nierozdzielnej miłości z sobą, nakoniec jeden drugiego za łada przyczyną, przez nogę przerzuci“. Nienawiść dwóch dawnych przyjaciół tak roznamiętniła walkę stronnictw, że nadała jej niemal cechę pojedynku Apponyiego z Szilagyim. Smagali się nawzajem krasomówczemi policzkami. Pan Apponyi oskarżał Szilagyiego o zmienność, obłudę, uleganie wpływom dworskim, odstępstwo od dawnych zasad (opozycyjnych), tak wielką skłonność do dyalektyki, że gotów sprzezczać się sam z sobą; wytykał mu, że łowi ryby w niewodzie, walczy bronią zatrutą i t. d. Pan Szilagyi odpowiadał zarzutem niekonsekwencyi, wygórowanej ambicyi, płochości, pospolitego plotkarstwa, lekkomyślności, szalbierstwa, herostatycznej próżności, podkopywania zasad konstytucyjnego porządku; porównał przeciwnika z zalotną starą panną, która się perfumuje i różuje według najświeższej mody (politycznej) i t. d.

Prawda, że *high words breath no bones* — jak brzmi przysłowie angielskie <sup>1)</sup>, ale przykro widzieć dwóch najznakomitszych mowców węgierskich, występujących na zebra-

<sup>1)</sup> „Silne słowa nie łamią kości“.

niach wyborczych w roli — gladyatorów. Podobne widowiska dowodzą, że sto lat parlamentaryzmu nie przyczyniło się do uobyczajenia życia publicznego. Sto lat temu, po pojedynku, poseł Cazalès, zbliżywszy się do przeciwnika Barnave'a, rzekł grzecznie:

— Byłbym w rozpacz, gdybym był pana zastrzelił, bo straciłbym przyjemność słuchać mów twoich.

— Mnie zaś — niemal równie grzecznie, a bardzo dowcipnie odparł Barnave — byłoby jeszcze boleśniej pozbawić pana życia, bo sam ginąc, miałbym następców na trybunie, ale gdybyś pan zginął, umarlibyśmy wszyscy z nudów, słuchając waszych mowców.

Jeżeli odstąpienie od reguł towarzyskiej przyzwoitości po stronie Szilagyiego tłómaczą poczęści zbyt dosadne zaczepki Apponyiego, po tego zaś stronie silne przekonanie, że on posiada wszelką zdolność, aby jako prezes gabinetu przysłużyć się krajowi, to pominąwszy te homeryczne wymówki i niektóre ekstrawagancje programowe, nie można mu wybaczyć przecież jednej rzeczy: ciągłego sprzymierzania się z skrajną lewicą, a zatem z stronnictwem nawskróś rozkładowem i nieomal anarchicznem. Hr. Apponyi w tej mierze działa pod hasłem: *flectere si nequeo superos, Acheronta movebo*. Zastosowanie tej bardzo wdzięcznej w poemacie bohaterskim zasady do spraw politycznych, sprowadza jednak zawsze bolesne zawody, a często katastrofy, czego dowodzą dzieje świata od Gracchusa do margrabiego Mirabeau.

To też konserwatywni przyjaciele Apponyiego stanowiąc potępiają jego sojusz z radykalizmem. I tak hr. Aureli Desewffy w liście otwartym do swych wyborców oświadczył: „Nie mogę się zgodzić na podobną taktykę; prądu bowiem, który uważam jako niebezpieczny i szkodliwy dla kraju, niewolno mi popierać ani bezpośrednio, ani pośrednio. Sojusz z stronnictwem niepodległości musi spowodować zamięszanie pojęć i wzbudzić nieufność względem tych żywiołów umiarkowanych, które nadal nie zdołają skutecznie opierać się zachętkom swych skrajnych sprzymierzeńców. Skorzysta z tego głównie stronnictwo niepodległości; do tego zaś żadną miarą przyczynić się nie mogę“. Na takie ostrzeżenie, hr. Apponyi w cztery oczy odpowiada: „Byle

za pomocą skrajnej lewicy udało się obalić gabinet, dany sobie z nią radę“. Natomiast jeden z kandydatów stronnictwa niepodległości, Hermann, na zebraniu wyborców peszteńskich 17 stycznia, o tej przyszłej fazie tak się wyraził: „Nie żyjemy wielkich nadziei względem czasu, w którym stronnictwo Apponyiego dostanie się do władzy, ponieważ walka przeciwko temu uzdolnionemu mężowi stanu będzie znacznie trudniejszą, niż przeciwko słabemu Szaparyemu. Jednak pragniemy zwycięstwa Apponyiego, ponieważ władzę będzie sprawował uczciwie. Zresztą, ktokolwiek ma zostać ministrem, musi pojechać do Wiednia, z kąd powróciwszy, zapomina o swych najświętszych zasadach. Dlatego cały ten system powinien runąć“.

Stronnictwo niepodległości zatem, z tąsamą namiętnością, z którą walczyło z kolei przeciw Deakowi, Tiszy, Szaparyemu, uderzać będzie na przyszły gabinet hr. Apponyiego, dowodząc, że samą nominacją na ministra, z prawego, opozycyjnego Szawła, zamieni się w zdrożnego „austriackiego“ Pawła. Jednakże do tej walki pono jeszcze daleko. Stronnictwo narodowe wprawdzie z ostatnich wyborów wyszło wzmocnione, bo zamiast 51 posłów, liczy ich teraz 61. Nie wystarczy to wcale, aby przebojem, chociażby znowu w sojuszu z skrajną lewicą, obalić gabinet Szaparyego. Natomiast przypuszczamy, że względny sukces, odniesiony w tych wyborach, skłoni hr. Apponyiego do pozbycia się kilku najbardziej kompromitujących *franc-tireurów*, którzy w fanatycznych deklamacjach przeciwko „austriackiemu stronnictwu“, „austriackim rzezimieszkom“, austriackiej przewadze i okupacji i t. d. usiłowali przewyższyć swych sprzymierzeńców „niezawisłych“ i tym sposobem wśród ludności węgierskiej sztucznie wytwarzają nastrój, który kiedyś także hr. Apponyiemu wielce utrudni sprawowanie rządów.

### III.

Według teorii czystego parlamentaryzmu, przywódzca większości parlamentarnej staje się prezesem gabinetu; prezes więc gabinetu jest przywódcą większości parlamentar-

nej. Hr. Juliuszowi Szaparyemu hr. Apponyi zarzuca, że przywódcą większości stał się tylko dzięki swemu mianowaniu prezesem gabinetu, tej zaś godności nie dostąpił (17 marca r. 1890) jakoby wówczas był przywódcą większości. W tem jest nieco prawdy, ale dowodzi to tylko, że teoryj politycznych nie można w wszystkich okolicznościach bezwzględnie zastosować do praktyki.

Parlamentarnym przywódcą w ścisłym znaczeniu wyrazu hr. Juliusz Szapary nigdy nie był. Urodzony 1 listopada r. 1832, bliski krewny Juliusza Andrassego, w r. 1861 wstąpił do sejmu, za utworzeniem pierwszego ministerjum węgierskiego, w r. 1867 był mianowany radcą w ministerjum spraw wewnętrznych, w r. 1870 sekretarzem stanu w ministerjum komunikacyi, z którejto posady usunął się w r. 1871. W marcu r. 1873 przyjął tekę spraw wewnętrznych, a nawet hr. Apponyi przyznaje mu, że na tym urzędzie działał bardzo pożytecznie, starając się o wykorzenienie dawnych wad administracyi, korrupcyi i t. d. Od r. 1878 do 1887 był ministrem finansów, które znajdowały się wówczas w tak oplakanyim stanie, że nie zdołał w nie wprowadzić ładu. Dopiero energii p. Tiszy, który w r. 1887 podjął się obowiązków ministra finansów, udało się przygotować te reformy, których potem dokonał Dr Wekerle. Hr. Szapary od r. 1887 sprawował skromny urząd ministra rolnictwa, w marcu r. 1890 przeniósł się na krzesło prezesa gabinetu. Odbył zatem karierę urzędniczą, podobnie jak hr. Taaffe, a chociaż zawsze piastował mandat poselski, tem mniej w sejmie zajmował wybitne stanowisko, że nie celuje wymową.

W marcu r. 1890 nie mógł więc być uważany jako przywódca stronnictwa liberalnego. Wodzem tego stronnictwa był Tisza, który nie ustąpił z urzędu prezesa gabinetu wskutek zmiany większości parlamentarnej, lecz z innych, osobistych powodów. Większość pozostała tasama, a skoro ona zgodziła się na Szaparyego jako prezesa gabinetu, albo jak się wyraża uszczypliwie hr. Apponyi, „z rezygnacją przyjęła narzuconego sobie wodza“, temsamem hr. Szapary został przywódcą większości, czyli stronnictwa „liberalnego“, które jednak, zwłaszcza co do konstytucyjnych podstaw państwa węgierskiego, w porównaniu do dwóch innych stron-

nietw, zasługuje raczej na nazwę zachowawczego. Było zatem niewątpliwem prawem i obowiązkiem hr. Szaparyego wyłożyć program wyborczy tego stronnictwa.

Uczył to naprzód dnia 1 stycznia, odpowiadając na noworoczne powinszowania, wygłoszone w imieniu prawicy przez posła Bokrosza. Hr. Szapary wtedy podniósł dwa ważne rezultaty ubiegłej kadencji sejmowej: przywrócenie równowagi w budżecie i zawarcie traktatów handlowych; jako główne zadanie na przyszłość, wymienił reformę administracyi, tudzież zabezpieczenie powagi sejmu. „Pierwszym i nieodzownym warunkiem ustawodawstwa jest, aby przy zupełnem zachowaniu wolności obrad, w uchwałach rozstrzygała wola większości. Tej ogólnej zasadzie musi się poddać także sejm węgierski. Największa też swoboda słowa nie powinna przekraczać pewnych granic. Mandat poselski nie uprawnia do używania wyrażen, niedozwolonych na żadnem innem zebraniu<sup>1)</sup>. Sama jednak zmiana regulaminu obrad nie wystarczy; naprawa zawisała od tego, aby sami posłowie szanowali i bronili powagi. Utrzymanie powagi ciała prawodawczego w tym duchu i zabezpieczenie normalności obrad, będzie zadaniem przyszłego sejmu“.

Następnie prezes gabinetu wspomniął o kwestyi konstytucyjnej: „Od r. 1867 naród w siedmiu ogólnych wyborach wypowiedział wolę zachowania ugody. Ktokolwiek jest sprawiedliwy, musi przyznać, że na tej podstawie państwo węgierskie nie tylko z każdym rokiem konsolidowało się, lecz także pod względem rozwoju oświaty i narodowego ducha uczyniło znaczne postępy. Na mocy tych doświadczeń, liczymy na to, że naród po raz ósmy oświadczy się za tą konstytucyjną podstawą i że jej obrońcy uzyskają w tych wyborach większość“. Wprawdzie także stronnictwo narodowe uznaje ugodę z r. 1867. „Ale czyż naród może zaufać stronnictwu, które samo nieufając sobie, zawiera sojusz z drugim stronnictwem (niepodległości), dążącym do wręcz odmiennego celu? Spo-

---

<sup>1)</sup> *La journée des soufflets* w parlamencie francuskim, 19 stycznia r. b., nie może znieść zasadniczej słuszności tego zdania!

dziewamy się zatem, że naród znowu rozstrzygnie na naszą korzyść“.

Zachowanie ugody z r. 1867, utrzymanie równowagi budżetu, uporządkowanie waluty, co minister skarbu Wekerle obszernie wyłożył w znakomitej mowie, wygłoszonej 18 stycznia w Nagy (wymawia się : Nadź) Banyi, upaństwowienie administracyi, przywrócenie powagi sejmu i niektóre reformy na polu sądownictwa, wyliczone w mowie tronowej 5 stycznia — oto główne punkta programu, na mocy którego ubiegali się o mandaty poselskie kandydaci stronnictwa rządowego.

Jeżeli hr. Szapary sam nie wsparł ich świetnemi mowami, wyręczyli go w sposób najskuteczniejszy inni ministrowie, sekretarzowie stanu i weterani stronnictwa rządowego. Właśnie pod tym względem zaznaczyła się wyraźna różnica pomiędzy metodą dzisiejszego prezesa gabinetu, a Tiszzy. Ten wszystko sam robił. Sławny powieściopisarz, poseł i serdeczny przyjaciel Tiszy, Maurus Jokaj, przed kilku laty w swem uroczem ustroniu Fured nad malowniczym jeziorem Balaton mówił nam, że istotnie p. Tisza zajmuje się wszystkim, administracją wewnętrzną, jak polityką zagraniczną, finansami, jak komunikacją, prawie sam broni polityki rządowej w sejmie i t. d. W ustach p. Jokaja była to pochwała wszechstronności i pracowitości ówczesnego prezesa gabinetu. Przeciwnicy zaś zarzucali mu, że w ten sposób nie dopuszcza potrzebnego podziału pracy, kolegów w gabinecie zniża na stanowisko prostych szefów sekcyi, nie pozwala rozwinąć się nowym talentom. Hr. Szapary, mniej czynny a może mniej ambitny i zarozumiały od poprzednika swego, chętnie na to pozwala. To też w ostatnich wyborach znalazł bardzo gorliwych współpracowników przy obronie programu rządowego i odparciu zamachów opozycyi.

Odznaczył się w tej mierze wymowny generał, baron Geza Fejervary de Komlos-Keresztes, od r. 1884 minister obrony krajowej. W mowie, wygłoszonej 12 stycznia przed wyborcami Budy (I okręg stolicy), Fejervary wskazał na pomyślne rezultaty, osiągnięte na polu ekonomicznem, wspominał o zwichniętych przez obstrukcyę lewicy zamiarach i dodał: „Kłatwą naszego narodu są spory stronnictw. Dzieje dowodzą tego niestety, od króla św. Szczepana aż do dni

naszych. Ale zamiast korzystać z doświadczeń przeszłości, opozycya dzisiejsza wstępuje w ślady tej części dawnych *status et ordines*, której sobkostwo i ambicya tak często wtrąciły Węgry w otchłań nieszczęścia“. Wykazawszy następnie niemożliwość programu stronnictwa niepodległości, generał Fejervary zwrócił się przeciwko stronnictwu narodowemu, które obstając nibyto przy ugodzie z r. 1867, pod pretekstem rozszerzenia jej, na szwank naraża samą podstawę ugody. Tę metodę nazwał „lekkomyślną grą obdarzonego niepospolitą wymową męża“; potem przystąpił do krytyki żądań hr. Apponyiego co do spraw wojskowych.

„Stronnictwo narodowe — rzekł — uznaje konieczność niemieckiego języka służbowego w wojsku, ale domaga się wyłącznie węgierskiej akademii wojskowej. Obie te rzeczy nie zgadzają się ze sobą, bo gdzież młodzież ma się nauczyć potrzebnego języka niemieckiego? Dalej hr. Apponyi żąda wprowadzenia sztandarów narodowych i usunięcia czarno-żółtych z używania honwedów. Że honwedzi już oddawna używają chorągwi o barwach narodowych, powszechnie wiadomo. Co zaś dotyczy czarno-żółtych chorągwi sygnałowych, służą one, obok innych chorągwi w dziesięciu różnych kolorach, jedynie do oznaczenia kwatery komendantów; inne nie zawadzają hr. Apponyiemu, czyż jedynie kolor czarno-żółty ma obrażać nasze uczucia narodowe? Nie jestże to sztuczne, przesadne i tendencyjne *gravamen*? Czyż jedynie dla tego mamy wyznawać wstręt do tych barw, ponieważ one są barwami domowemi naszego króla? Po trzecie: hr. Apponyi żąda, aby oficerowie rezerwy egzamin składali w języku madziarskim, co znowu sprzeciwia się uznanej przez niego konieczności niemieckiej komendy“... Co do zarzutu „kierunku dworskiego“ generał Fejervary zauważył: „Wszyscy wiemy, że nasz konstytucyjny król niema innego celu na oku, jak rozwój naszych narodowych interesów i zabezpieczenie kraju, jakoteż, że rząd uczciwie to wspiera. Gdzież tu więc jest sprzeczny z interesem narodowym kierunek dworski? Frazesem tym stronnictwo narodowe usiłuje tylko wzbudzić namiętność lekkomyślnych mas!“.

W kilku mowach, wygłoszonych w Peszcie, w Pressburgu i w Koszycach, najzdolniejszy mowca gabinetu, mini-

ster sprawiedliwości, Dezydery Szilagyi wykazywał szkodliwość programu swego dawnego przyjaciela Apponyiego. I tak co do hasła „narodowego“ Szilagyi naznaczył, że od 25 lat żaden rząd nie odstąpił od polityki narodowej, każdy starał się o utwierdzenie węgierskiej myśli państwowej; każdy, nie przeszkadzając legalnym usiłowaniom innych narodów, obstawał przy węgierskim języku państwowym; domagać się bliżej nieokreślonej bardziej narodowej polityki, jest niedozwolonym środkiem agitacji, który może obudzić tylko podejrzliwość innych narodowości a tem samem przeszkodzić asymilacji na podstawie wspólności węgierskiej. Co dotyczy ugody z r. 1867 — stronnictwo narodowe przywłaszczyło sobie wszystkie hasła, któremi od r. 1867 walczyli przeciwko niej otwarcie przeciwnicy, wreszcie zawarło sojusz z stronnictwem niepodległości, a pomimo tego udaje, że występuje w obronie ugody! Tym sposobem stronnictwo narodowe przygotowuje tylko zwycięstwo stronnictwa niepodległości. Nareszcie zarzut polityki dworskiej, opierający się na fikcyi, że nie gabinet peszteński w zgodzie z sejmem zawiaduje sprawami publicznymi, lecz jak w dawnych czasach tak zwane „koła wiedeńskie“ wywierają wpływ na te sprawy, Szilagyi zbijał dobitnie, wskazując na zupełną zgodę pomiędzy królem a interesem narodu i podnosząc bardzo słusznie, że właściwie ów zarzut nie tyle uwłacza rządowi węgierskiemu, ile raczej samemu monarsze.

Poglądy stronnictwa rządowego na kwestyę narodową, wypowiedział także minister rolnictwa hr. Andrzej Bethlen w mowie, wygłoszonej 22 stycznia w Dees, oświadczając: „Doświadczenie 25 lat wykazało pożyteczność ugody. Pod względem rozwoju w ostatnich czasach możemy śmiało porównać się z innymi narodami. Liczebnie, materialnie i moralnie naród nasz dziś znajduje się w nierównie korzystniejszym położeniu, niż w r. 1867. Niewolno tych zdobywczy narażać na niebezpieczeństwo nową walką o podstawy konstytucyjne. Stronnictwo narodowe zarzuca nam brak energii w stosunkach narodowościowych. Dodatnia energia objawia się w wytrwałem dążeniu do celu, ale niema nic wspólnego z hałaśliwymi wystęпами i uszkodzeniem cudzych praw. Energia, spoczywająca w charakterze i połączona z sprawie-

dliwością, jest źródłem siły; ta druga energia szumnych słów i barwnych sztandarów, jest źródłem słabości. Nie zbacząc od rozwoju państwowego, na podstawie równości praw winniśmy się starać pozyskać jak najwięcej ludzi dla węgierskiej myśli państwowej. Odstępować ich, nie jest rozsądną polityką. Inne narodowości muszą zrozumieć, że w tym kraju bez przeszkód mogą rozwijać język swój i oświatę własną, ale nie otrzymają odrębności terytoryalnej. Jestem najmocniej przekonany, że tylko ta polityka jest słuszną, która obstarując niewzruszenie przy podstawie konstytucyjnej, nie zraża innych narodowości. Właśnie do tej polityki przyznaje się stronnictwo rządowe.“

Minister skarbu Wekerle w Nagy Banyi i minister handlu Baross w Gyoerze (24 stycznia), wykładając obszernie rezultaty osiągnięte i przyszłe zadanie swych wydziałów, równie dobitnie wygłosili te same zasady polityczne, co ich koledzy. Z kolei w tymże duchu przemawiali przed wyborcami sekretarzowie stanu: Berzewicy, Gromon, Szalawszky, Fejer, Lang i Lukacs. Widocznie chodziło o to, aby w odpowiedzi na insynuacje opozycji o wrzekomych nieporozumieniach i sprzecznych prądach w łonie gabinetu, uroczyście przed wyborcami stwierdzić zupełną zgodę i tożsamość przekonań politycznych i widoków.

Niemniej dobitnie inni weterani stronnictwa rządowego wypowiadali swą zgodę z gabinetem. Ostatnie jednakże wybory, bardzo wyraźnie zapowiedziały przeobrażenie stronnictwa „liberalnego“. Jeden z przywódców stronnictwa radykalnego, Hermann, w mowie, wygłoszonej w Peszcie, oskarżył hr. Szaparyego, że Izbę poselską zamierza zamienić w „ochronkę dla dziatwy magnackiej“, a hr. Apponyi, podchwytyjący zawsze wszystkie hasła swych „niezawisłych“ sprzymierzeńców, dnia 23 stycznia na bankiecie w Peszcie, dodał, że gabinet, przენiewierając się zasadom liberalizmu, który nie zna różnych stanów, usiłuje usunąć z sejmu żywioły mieszczańskie. Prawdą jest tylko, że w ostatnich wyborach na podstawie programu rządowego starano się o mandaty poselskie o wiele więcej młodszych magnatów, niż w dawniejszych. Po części tłumaczy się to okolicznością, że dawniej wszyscy pełnoletni synowie rodzin hrabiowskich byli *eo ipso* członkami Izby

magnatów, gdy w skutek reformy r. 1885 zasiadają tam teraz tylko ci, którzy opłacają 3000 fl. rocznego podatku gruntowego, a zatem prawie wyłącznie właściciele majoratów. Młodych braci, pragnących wziąć udział w sprawach publicznych, skłania to teraz starać się o mandaty do Izby poselskiej. Że zaś w tych kołach wzmaga się chęć udziału w sprawach publicznych, można uważać tylko jako objaw wielce pomyślny. Naród węgierski jest narodem stanowczo arystokratycznym, jak naród holenderski jest kupieckim, a północno-amerykański albo serbski demokratycznym. Arystokracja w Węgrzech rozporządza i dziś największym kapitałem patriotyizmu, majątku, wykształcenia i zmysłu politycznego. Śp. hrabia Juliusz Andrassy, zaliczany zwykle do stronnictwa liberalnego, który jednak był zanadto mężem stanu, aby mógł być wyłącznie mężem stronnictwa, w datowanym z 19 sierpnia r. 1889, a ogłoszonym 17 marca r. 1890 testamencie, którego egzekutorem mianował „swego kochanego krewnego hr. Juliusza Szaparyego“, oświadczył: „Jesteśmy przekonani, że przyszłość narodu węgierskiego i zasada monarchiczna, nie mogą być niczem lepiej zabezpieczone, jak utrzymaniem stanu wielkich właścicieli, i że pewna majątkowa pozycja ułatwia spełnienie obowiązków względem ojczyzny i monarchii, ponieważ dostarcza nieodzownego ku temu warunku: indywidualnej niezależności.“ Stósownie do tych zasad, obok odziedziczonego majoratu Terebes, utworzył on dwa nowe: siedmiogrodzkie Kołocz dla starszego syna Teodora, którego więc dwaj synowie będą właścicielami majoratów, i Tisza-Dob dla młodszego syna Juliusza. Łatwo domyśleć się, że hr. Juliusz Szapary, również jest przekonany o ważności warstwy arystokratycznej, a zatem nietylko młodych magnatów nie odwoził od starania się o mandaty, lecz przeciwnie, zachęcał ich. Na zarzuty z tego powodu mógł sobie zasłużyć co najwięcej ze strony radykalnego p. Hermanna, nie zaś ze strony hr. Apponyiego.

Bądź co bądź, żywioł arystokratyczny wskutek ostatnich wyborów w obozie stronnictwa rządowego, zajmuje bardzo poważne stanowisko. Około 50 magnatów, do których węgierskie prawo publiczne zalicza nietylko hrabiów, lecz także baronów starej daty, zasiądzie w nowej Izbie na łą-

wach prawicy, czyli stronnictwa rządowego, mianowicie sześciu Telekich: Aleksander, Arpad, Dominik, Geza, Józef i Samuel, czterech Andrassyeh: Aleksander, Juliusz, Geza, Teodor; dwóch Szaparyeh: minister Juliusz i Władysław, dwóch Czakych: Koloman i syn ministra oświaty Stefan<sup>1)</sup>; dalej naczelnik potężnego rodu Karolyieh, Stefan, natomiast hr. Władysław Karolyi przyjął mandat jako kandydat stronnictwa narodowego, a Gabor Karolyi, poróżniony z rodzeństwem, od kilku lat odznacza się zbyt gorącym temperamentem w obozie skrajnej lewicy; dalej trzech Bethlenów: minister rolnictwa Andrzej, Błażej i Edmund — brat ministra Gabor należy do stronnictwa Apponyiego; jako kandydaci stronnictwa rządowego wybrani dalej hrabiowie: Almasy, Batthyany, Koloman Esterhazy, Aleksander Hadik, Aleksander Festetics, Władysław Nako, Wilhelm Palffy, Karol Pongracz, Teodor Szechenyi, Stefan Sztaray, Mikołaj Turoczkay, Ludwik Tisza, Wojciech Zay, Eugeniusz Zichy i t. d., baronowie: Ambroży Banffy, Josika, Kemenyich trzech, Bela Nyary, Aleksander Nopcsa, Podmanicki, Perenyi i t. d. Oczywiście, tak znaczny zastęp posłów arystokratycznych, wpłynie korzystnie na stronnictwo rządowe. Należą oni do tego stronnictwa niewątpliwie głównie dlatego, ponieważ obstają przy ugodzie z r. 1867 i pragną zapobiedz wszelkim nowym eksperymentom sporów konstytucyjnych z Austryą; atoli także pod względem bieżącej polityki będą mogli tem skuteczniej działać w duchu konserwatywnym, że i tak znacznie się zwiększył w stronnictwie rządowym zastęp posłów, przeciwnych prądom liberalnym, zwłaszcza antikościelnym. Kilkudziesięciu bowiem kandydatów tego stronnictwa, zwłaszcza nowi, zobowiązali się przed wyborem formalnie, nietylko nie naruszać praw Kościoła, ale nadto dążyć do zmiany niezgodnej z zasadami Kościoła ustawy z r. 1868 o dzieciach z małżeństw mieszanych. Prawdopodobnie zatem ostatnie wybory zapowiadają przeobrażenie się stronnictwa rządowego w stronnictwo konserwatywne, nietylko pod względem ugody austriacko-węgierskiej, lecz także względem wewnętrznej polityki węgierskiej.

<sup>1)</sup> Minister oświaty hr. Albin Czaky, jest członkiem Izby magnatów.

Przed 20 laty baron Sennyey pragnął utworzyć odrębne stronnictwo konserwatywne w sejmie; teraz może powstanie ono z łona stronnictwa rządowego, odsuwając żywioly nieodpowiednie, a przyciągając żywioly pokrewne z innych stronnictw.

Tymczasem, wskutek ostatnich wyborów, hr. Szapary rozporządza znaczną większością w Izbie poselskiej. Jakkolwiek bowiem stronnictwa opozycyjne zdobyły kilkanaście mandatów, stronnictwo rządowe znalazło odpowiednie kompensaty pomiędzy tymi 27 posłami, którzy w dawnej Izbie nie należeli do żadnego klubu, w wyborach zaś stanęli pod sztandarem rządu. Sejm węgierski składa się z 453 członków, a zatem stronnictwo rządowe posiadając 245 mandatów, rozporządza absolutną większością. Nadto trzeba doliczyć 40 posłów chorwackich, głosujących zawsze z rządem, a wtedy większość rządowa wynosi około 120 głosów. Posłowie chorwaccy jednak nie biorą udziału w obradach węgierskiej Izby poselskiej, dotyczących administracji wewnętrznej, sądownictwa i oświecenia, ponieważ co do tych departamentów Chorwacya na mocy ugody austriacko-węgierskiej, posiada zupełną autonomię; zawiadują niemi trzej tak zwani szefowie sekcji *bana* chorwackiego, właściwie ministrowie, a kontroluje je wyłącznie sejm zagrzebski. Najczęściej zatem, mianowicie w obradach nad reformą administracji, w węgierskiej Izbie poselskiej do głosowania przystępuje tylko 413 posłów, a wtedy stronnictwo rządowe obie frakcyje opozycyjne przewyższa o mniej-więcej 80 głosów. Liczebnie zatem parlamentarna pozycya hr. Szaparego jest bardzo świetna <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Pomiedzy różnemi stereotypowemi wymówkami opozycyi, i teraz powtarza się ta, że stronnictwo rządowe zawdzięcza swe zwycięstwo znacznej gotówce jaką rozporządzało. Jeden z dzienników peszteńskich odkrył nawet dokładną jej cyfrę: 732,000 fl. nibyto w styczniu z Pesztu wysłano do komitatów na opędzenie kosztów wyborczych. Ponieważ jednak kandydaci stronnictwa rządowego występowali w więcej niż 300 okręgach, powyższa sumka wcaleby nie wystarczyła. Bo w Węgrzech wybór, jeżeli „nie nie kosztuje“, to kandydat wydał przynajmniej 5.000 fl. na chorągwie, karety, uczyty, luki tryumfalne, illuminacye, korowody z po-

Ale także co do jakości, nowa większość parlamentarna w Węgrzech dostarcza pono lepszych rękojmi, niż dawniejsza. W tej bowiem, wybranej za rządów Tiszy, do końca zaznaczał się pewien dualizm pomiędzy osobistymi przyjaciółmi tegoż, a nowym prezesem gabinetu. Wprawdzie sam Tisza, ustąpiwszy z urzędu prezesa gabinetu, oświadczył, że nie będzie niczem innym, jak szeregowcem w obozie prawicy, ale pomimo tego byli w tym obozie tacy, co stawiali, przynajmniej poufnie, ołtarz przeciwko ołtarzowi. Nowa większość wybrana pod sztandarem Szaparyego, powinna też okazać się solidarniejszą. Nadto, bądź to przypadkiem, bądź też wskutek nader zręcznej kombinacji hr. Szaparyego, właśnie najwierniejsi przyjaciele byłego prezesa gabinetu, syn jego Stefan, b. sekretarz stanu Matlekowicz, Csernatony i t. d. upadli w wyborach. Natomiast wejdzie do Izby liczny zastęp nowych, po części młodych posłów, nie krępowanych tradycjami z czasu rządów Tiszy, żądnych z kolei zająć w parlamencie wybitne stanowisko, a zatem też więcej, niż weterani, gotowych pod sztandarem rządowym staczać walkę z opozycją. To wszystko razem hr. Szaparyemu zwłaszcza na początku 5-letniej kadencji sejmowej zapewnia nader silną pozycję parlamentarną.

W epilogu wyborów, wygłoszonym 7 lutego w Temeszwarze z okazji przyjęcia tamtejszego mandatu poselskiego, prezes gabinetu zapewnił, że należycie zużytkuje tę pozycję, mianowicie celem obrony ugody r. 1867, tak przeciwko stronnictwu niepodległości, jakoteż przeciwko tym, którzy domagają się jej rozszerzenia; rząd nie zamierza ugody ani zmienić, ani rozszerzyć, lecz na tej trwałej podstawie prawnopolitycznej pracować będzie nad moralnym i materyalnym rozwojem kraju, tudzież nad zabezpieczeniem ojczyzny przed

---

chodniami i lampionami i t. d., bez których tam nie odbywa się żadna walka wyboreza, i które to koszta tak samo obciążają budżet stronnictwa rządowego, jak opozycyi. Skąd zaś stronnictwa biorą tak znaczne sumy? — na to nierównie łatwiej odpowiedzieć w imieniu stronnictwa rządowego, do którego należą najbogatsi magnaci, książęta Kościółka i milionerzy kół przemysłowych i handlowych, aniżeli w imieniu stronnictw opozycyjnych.

niebezpieczeństwem namiętności stronnicych, sprowadzonych próżnością lub ambicyą pewnych osób. Dalej hr. Szapary wskazał na konieczność reformy administracyi, uporządkowania waluty i zabezpieczenia prawidłowych funkcyj sejmu. Znosi się zatem na ważną kadencyę sejmową, która powinna zapisać się doniosłemi czcinkami w nowoczesnych dziejach korony św. Szczepana.

Wreszcie wystarczy kilka słów na określenie stosunku innych narodowości królestwa węgierskiego do ostatnich wyborów. Posłowie chorwaccy, wybierani przez sejm zagrzebski, którego ogromna większość obstaje wiernie przy ugodzie węgiersko-chorwackiej z r. 1868, zawsze w sejmie peszteńskim, czyli „wspólnym sejmie węgiersko-chorwackim“, głosują z rządem, a zatem też nie mają programu innego, jak węgierskie stronnictwo rządowe. Niemcy siedmiogrodzcy, którzy w ostatnim sejmie nie należeli do żadnego klubu, przed wyborami przystąpili do stronnictwa rządowego. Komitaty zatem Nagy-Kuekoelloe i Kis-Kuekoellve (Gross- i Klein-Kokelburg), jako też Szeben (Hermannstadt), wybrały wyłącznie kandydatów stronnictwa rządowego (10); taksamo miasta Kronstadt i Hermannstadt (4). Przeważnie niemiecki komitat na zachodnim krańcu Węgier, Moson (Wieselburg), wybrał posła należącego do stronnictwa rządowego, a drugiego należącego do narodowego. W czterech południowych komitatach Boranya, Bacs, Torontal i Temes, gdzie Niemcy stanowią  $\frac{1}{3}$  ludności, dyplomatycznie rozdzielili swe głosy pomiędzy kandydatów stronnictw rządowego a narodowego. Rumuńscy na zjeździe w Szybinie 21 stycznia, uchwalili nie brać udziału w wyborach. O ile ta uchwała dopisała w praktyce, niełatwo rozstrzygnąć. Dość, że komitaty przeważnie rumuńskie: Hunyad, Fogaras, Naszod, Torda i Krasso wybrały razem 19 posłów stronnictwa rządowego, 1 kandydata narodowego i Rumuńczyka Dra A. Serbana, nie należącego do żadnego ze stronnictw madziarskich. Również Słowacy, na mocy uchwały rady narodowej w Turoczu, nie brali udziału w wyborach, a raczej nie wystąpili z własnymi kandydatami. Komitaty przeważnie słowackie: Arva, Lipto, Spiż, Sołyom i Trenczyn, wybrały 19 posłów stronnictwa rządowego, dwóch narodowego. Co nareszcie doty-

czy Serbów, to nie wystąpili oni z wspólnym programem, ale przeważnie stawali po stronie rządu. Jakoż pomiędzy posłami stronnictwa rządowego wymienionych powyżej komitetów serbsko-niemieckich, znajduje się kilku Serbów, jak były wicegubernator Bośni, baron Fedor Nikolicz, Iwanowicz, Popowicz, Latinowicz, Wojnicz i t. d.

*E. Lipnicki.*

# W SPRAWIE REFORMY WALUTY

## W AUSTRO-WĘGRZECH.

---

Austro-Węgry stanęły obecnie przed problematem uchylenia waluty papierowej; nowa to będzie faza w rozwoju wewnętrznych i międzynarodowych stosunków monarchii, faza oddawna pożądana, kiedyś konieczna. Czy będzie szczęśliwą, czy spełni związane z nią nadzieje, a uchyli obawy, tego dziś nikt stanowczo ani przewidzieć ani powiedzieć nie zdoła, a zależeć to będzie przede wszystkim od sposobu, w jaki problemat monetarny w Austro-Węgrzech rozwiązany zostanie.

Problemat to nader doniosły, ale i nader trudny zarazem. W ramach istniejącej organizacyi socyalnej niema reformy, któraby tak głęboko i tak wszechstronnie sięgała we wszystkie stosunki życia, jak właśnie reforma monetarna. Z każdą bowiem reformą monetarną łączy się ryzyko, że dotychczasowa wartość pieniądza zachwiana i zmieniona zostanie, a od wartości pieniądza, od jego siły kupna zależy dziś byt i dobrobyt każdego gospodarstwa. Żyjemy w pełnym rozwoju gospodarstwa obrotowego: dziś każdy człowiek minimalną tylko częśćką swych potrzeb zaspakaja bezpośrednio wytworami własnego gospodarstwa. Zdolność zaspokojenia potrzeb gospodarstwa i rodziny gospodarza zależy od summy zyskanego przez gospodarstwo dochodu i od tegoż siły kupna; dochód ten zyskujemy bądź w formie ceny za

dostarczone przez nasze gospodarstwo wytwory rzeczowe, bądź jako wynagrodzenie za świadczone usługi, względnie pożyczone kapitały; każde gospodarstwo ma po stronie dochodów lub wydatków (procenty, pensye, podatki) pewne pozycye stałe, oznaczone nominalnie na sumę pieniędzy, bez względu na jego siłę kupna; inne pozycye dochodów i wydatków są zmienne (ceny zboża, mięsa), zależne od stosunków targowych, zależne wprost od wartości pieniądza. Każde zachwianie wartości pieniądza może skutkiem tego zachwiać równowagę budżetu licznych rodzin, licznych gospodarstw prywatnych i publicznych, może ich uprawnione interesa dotkliwie na szwank narazić, a to też nadaje pierwszorzędną doniosłość każdej reformie i w ogóle całej kwestyi monetarnej.

Już sam ten fakt, że reforma monetarna tylu różnych, a więc i tylu sprzecznych interesów dotyczy, czyni ją wielce trudną, bo ona nie zdoła nigdy wszystkim interesom, a tem mniej wszystkim aspiracyom dogodzić i zadosyćuczynić. Tem więcej można ubolewać, że kwestya monetarna, mając tak olbrzymią doniosłość, jest sama przez się nader trudną, a obecnie jeszcze skomplikowaną przez różne nieudane reformy i próby. W publicystyce często spotykamy głosy przecozające zupełnie tę trudność, twierdzące, że dla praktycznych trzeźwych ludzi niema tu trudności żadnych, a tylko teoretycy je wymyślają. Przed 22 laty ubolewał nad tym objawem najwybitniejszy z wolnohandlowców niemieckich, John Prince-Smith, a broniąc zdania Wołowskiego przeciw rezolucyom różnych izb handlowych, dodał: *dass man aber in der Währungsfrage, die keine kaufmännische sondern eine schwierige volkswirthschaftliche Frage ist, die Kaufleute als Sachverständige betrachtet, ist gerade so passend, als wenn man bei der Bestimmung des Längenmasses seine Sachverständigen suchen wollte bei den Schneidern.* Od tego czasu literatura monetarna wzrosła ogromnie, stwierdzając samym faktem swego wzrostu sporność i trudność tego problematu; to samo stwierdza anormalny stan stosunków monetarnych świata, których nikt stanowczo nie reguluje, bo nie wie jak uregulować, a sławny kanclerz skarbu Anglii, Goschen, 18 kwietnia 1890 r. zabierając głos w dyskusyi nad monetarnym wnios-

kiem S. Smitha, rozpoczął swą znaczącą mowę od tego, że słyszał, iż istnieją wielkie potęgi, zdolne rozum pomięsząć, a potęgami temi: religia, miłość i kwestya monetarna. — A jeżeli pomimo tego wszystkiego, odnośnie do reformy waluty w Austryi, znów podnoszą się głosy zalecające ją stanowczo, przemileczające zaś wszystkie trudności, lub im wprost przeczące, to głosy te muszą wzbudzać podejrzenie, że tylko część ich, nieznaną dostatecznie kwestyi, szczerze mówi, że trudności nie widzi, ale że natomiast część inna, pomijając trudności i w jasnych przedstawiając kolorach cały przebieg reformy, świadomie chce uspić czujność a uchylić wątpliwości czy obawy warstw, którym w myśl owych głosów przeprowadzona reforma szkodę wielką i trwałą wyrządzićby mogła. Reforma waluty dotyczy materialnych interesów ludzi, i ztąd trzeba pamiętać, że nie każdy podniesiony w tej sprawie głos więcej myśli o interesach społeczeństwa, niż o swych własnych. *In Geldsachen, da hört die Gemüthlichkeit auf.*

Trudność główna monetarnego problemu na tem polega, że wartość szlachetnych kruszców, złota i srebra, polega w znacznej mierze na ich użyciu na pieniądź. Użycie to, jego trwałość i rozmiar, zależy od ustaw monetarnych poszczególnych państw, a każda zmiana tych ustaw, zmieniając rozmiar i warunki popytu, może zachwiać wartością danego kruszcza, względnie wybitego zeń pieniądza. Występuje tu bezpośrednia zależność wartości pieniądza krajowego od monetarnej polityki zagranicznej. Czy Francya, Anglia lub Stany Zjednoczone mają takie lub inne ustawodawstwo o prawie spadkowym, kommasacyi, hipotece, to obojętna dla naszych stosunków; ich polityka handlowa i taryfowa ma już wpływ bezpośredni na stosunki produkeyi i zbytu wszystkich innych krajów, ale te kraje mają przynajmniej poczęści możność paraliżować ten wpływ u siebie przez modyfikacye odpowiednie własnej polityki ekonomicznej; przy pieniądzu jest wpływ cudzej polityki monetarnej bezwzględny, a możliwości sparaliżowania go niema żadnej. To też nadało kwestyi monetarnej charakter *par excellence* międzynarodowy, uczyniło odpowiednie ustawodawstwo monetarne dla każdego państwa zosobna i nader trudnem i zasadniczo niedostatecznem.

Trudność problemu nakłada obowiązek przystępowania do jego rozwiązania z wielką ostrożnością i wielką rozważą, ale ona nie może i nie powinna powstrzymać akcyi zupełnie, jeżeli stan faktyczny jest wadliwym. Tak i przy reformie waluty w Austrii: trudności nasuwają się tu wielkie, ale niemniej jest domaganie się tej reformy uzasadnionem, a jej rozważenie koniecznem.

Austro-Węgry mają walutę papierową; środkiem obrotu i miarą zobowiązań jest gulden papierowy, niemający sam przez się wartości, ale zawdzięczający swe znaczenie kredytowi państwa. Stosunki polityczne i finansowe państwa, jego bilans handlowy podtrzymują ten kredyt, ale taksamo są one zdolne go zachwiać i właśnie w tym razie niema dla niżki wartości pieniądza papierowego żadnej granicy. Same wewnętrzne stosunki państwa nie rozstrzygają jeszcze o jego kredycie; on naruszonym, względnie zachwianym być może przez czynniki od woli i akcyi państwa niezależne, a mianowicie przez agresywną politykę sąsiadów, przez zmianę ich tariff cłowych, przez zmianę warunków i stosunków współzawodnictwa eksportu krajowego na targach zagranicznych. Ztąd też kraje waluty papierowej i przy najlepszej polityce wewnętrznej żyją w ciągłym niebezpieczeństwie zachwiania wartości ich pieniądza przez zewnętrzne czynniki. Sprzeczne to z naczelnym postulatem, jaki się stawia dla dziedziny monetarnej, a którym jest zapewnienie możliwie najbardziej stałej miary wartości. A jeżeli dawniej we wszystkich krajach waluty papierowej liczone się tylko z obawą niżki wartości pieniądza papierowego, wzrostu różnicy między jego siłą kupna, a nominalną wartością w kruszcu, i ubolewano, że własna polityka nie zdoła niżce skutecznie zapobiedz—to dziś, z winy anormalnych stosunków monetarnych w ogóle, mają Austro-Węgry przedewszystkiem z drugą obawą do walczenia, z obawą *stopniowego drożenia waluty w miarę polepszania się ogólnych stosunków monarchii*. Papierowy gulden austryacki jest więcej wart obecnie, niż odpowiadająca mu w myśl ustawy ilość srebra, i niema żadnej granicy materyalnej dla jego dalszej zwyżki. Ztąd też jest wartość waluty austryackiej narażona na dwustronną chwiej-

ność: zwykłą i zniżkową, a to i jej główną wadą i głównym powodem żądania reformy.

I drugi jeszcze wzgląd bardzo doniosły przemawia za uchyleniem waluty papierowej. Utrudnia ona stosunki obrotu z zagranicą, nie pozwala ani pieniądza krajowego w zagraniczny, ani zagranicznego w krajowy po wiadomych kosztach przemienić, nie tworzy ani dla zwyżki ni zniżki kursu weksli zagranicznych żadnej stałej granicy. Pari wekslowe istnieje tylko między krajami równej metalicznej waluty; między nimi tylko jest ograniczenie dla aleatorycznego elementu, wynikającego z chwiania kursu weksli, tam tylko ma eksporter możność przemienienia bezpośrednio zyskanych za granicą pieniędzy w pieniądz krajowy, co oddziałuje regulująco na krajowy obieg monetarny. Doświadczenie państw różnych pouczyło, jak ważnem i pożądanem dla obiegu monetarnego jest prawo bicia pieniędzy na rachunek prywatny, jak niedostateczną sama emissya pieniędzy przez państwo, a waluta papierowa pozbawia prywatnych tego prawa, uchyla jeden z pomyslnych regulatorów obiegu monetarnego, z drugiej zaś strony nie daje żadnej materialnej rękojmi przeciw nadmiernej emissyi papieru przez państwo, co każdej chwili, w gwałtowny sposób, wartość pieniędzy obniżyć może.

Powodów przeto jest dosyć, aby uchylenie waluty papierowej w ogóle uznać za pożądane lub nawet za konieczne. Uchylenie to napotkać jednak może na rozliczne trudności, natury bądź to politycznej lub finansowej, bądź ekonomicznej i prawnej. Austria już dwa razy: r. 1859 i r. 1866, wypadkami politycznemi zepchniętą została z drogi powrotu do wypłat kruszcem; tem więcej tedy na to trzeba baczyć, aby po raz trzeci ofiary wielkie materialne, poniesione dla uchylenia waluty papierowej, nie poszły na marne skutkiem podjęcia akcyi w chwili politycznie nieodpowiedniej. A powrót do waluty metalicznej zawsze ofiar wymaga: przyczyną popadnięcia w walutę papierową są kłopoty finansowe państwa; potrzebując pieniędzy, a nie mając ich, uciekały się już często państwa do zaciągnięcia pożyczki przymusowej u społeczeństwa, a czyniły to przez emissję pieniądza papierowego, uposażonego w kurs przymusowy, a niewymiennego na kruszec. Zwrot tej przymusowej pożyczki następuje przez zapła-

cenie każdemu posiadaczowi pieniądza papierowego oznaczonej ilości kruszcu. Dla podjęcia wypłat kruszczem, potrzebuje państwo odpowiedniego zasobu kruszczowego, a otrzymuje go zwykle przez pożyczkę. Procent od tej pożyczki obciąża na długie lata budżet państwowy, a od jego stanu faktycznego zależy, czy skarb to wielkie nowe a trwałe obciążenie budżetu ryzykować może; dopóki ma skarb państwa z niedoborem do walczenia, tak długo nie jest wskazaniem powiększanie go przez pożyczkę na reformę waluty, tak długo też głosy za reformą waluty mają i mieć powinny platoniczne tylko znaczenie. Trudności ekonomiczne wyniknąć mogą z naruszenia obiegu monetarnego zagranicą, bo z niego trzeba powziąć sumy potrzebne dla kraju uchylającego walutę papierową, przez co wartość danego kruszcu może podrożeć, może skutkiem wynikającej ztąd walki o ten kruszec stać się chwiejną, chwiejnem również dyskonto naczelných banków, co całemu gospodarstwu społecznemu dotkliwie a niepomysłnie może się dać we znaki. Trudności natury prawnej wynikają wreszcie z obliczenia w walucie kruszczowej wartości długów, w ogóle wszelkich stałych wypłat, powstałych za panowania waluty papierowej i w tej walucie cyfrowo oznaczonych; trzeba na to baczyć, aby sumy nominalnie równe nie stały się różnemi realnie, przysparzając przez to jednym niezasłużoną korzyść, zadając drugim stratę niezawinioną.

Jeżeli pomimo tych trudności, które nigdy wszystkie uchylić się nie dadzą, podnoszą się coraz to liczniej w Austro-Węgrzech poważne głosy, domagające się reformy waluty, i oba rządy myślą naseryo o podjęciu jej niebawem, to powodem tego: tak wymienione powyżej już niebezpieczeństwo chwiejności pieniądza i do pewnego stopnia izolowanie kraju i jego waluty, jak zarazem osiągnięta w obu połowach monarchii Austro-Węgier równowaga budżetowa i świeżo zawarte traktaty handlowe. Celem ich zapewnienie *stałych* warunków zbytu własnych produktów na targach zakrajowych; ztąd słuszną obawą a logicznym postulat, aby chwiejność waluty nie uchylała tej pożądanej i zamierzonej stałości handlowych stosunków. Wobec tego staje się uzasadnionem rozważenie pytania, czy nie należałoby przyjąć waluty równej z krajami, z którymi monarchia traktaty handlowe za-

warła i przez to uchylić zbytnią chwiejność kursu wzajemnych weksli, stworzyć między nimi stałe pari wekslowe. Z góry wiadomem, że odnośne usiłowania wymagać będą ofiar, ale właśnie osiągnięta równowaga budżetowa umożliwia i ułatwia ich podjęcie.

Ale i te ofiary i te trudności, z uchyleniem waluty papierowej związane, zajmą wyższą skalę z powodu wypadków i stosunków niezależnych od woli Austro-Węgier. Podstawą waluty Austro-Węgier jest traktat monetarny wiedeński z r. 1857, w myśl którego zaprowadzoną została waluta srebrna z funtem czystego srebra, jako podstawą systemu monetarnego, a z niego bije się 45 guld. w. a. Ustawa ta obowiązuje dotąd i tworzy *w zasadzie* podstawę panującego systemu monetarnego i waluty; w praktyce została ta zasadnicza ustawa naruszona dwukrotnie, raz przez zaprowadzenie waluty papierowej, powtóre przez rozporządzenie ministeryalne z r. 1879, uchylające prawo bicia guldenów srebrnych na rachunek prywatny. Oba te wyłomy w zasadniczej ustawie monetarnej Austrii złożyły się w swych skutkach na wytworzenie znacznej przewagi papieru w obiegu, na oderwanie wartości guldena w. a. od wartości  $\frac{1}{45}$  funta srebra, ale i na odwrót. I tu w nawiasie zaznaczyć tylko można fałszywość pochwały dla wspomnianego rozporządzenia ministeryalnego z r. 1879, że ono uchroniło walutę Austrii od chwiejności, jaką w ciągu ostatnich lat 12 srebro trwale przechodziło. Naprzeciw tej pochwały można śmiało wystąpić z twierdzeniem, że niezamknięcie mennic dla srebra ze strony państwa tego znaczenia co Austria, nie mogłoby było pozostać bez wpływu na wysokość i stałość wartości srebra, mogło być nadać inny obrót międzynarodowej konferencyi monetarnej z r. 1881, mogło być wpłynąć bezpośrednio na pomyślnie międzynarodowe załatwienie kwestyi monetarnej. Ale to nie nastąpiło, a ztąd wynika dla Austrii trudność nowa i wielka, bo stoi ona przed problematem nie prostego *powrotu do wypłat kruszczem*, lecz przed wielce trudniejszym problematem *zmiany waluty*. Trzydzieści lat temu można było myśleć jeszcze o prostym powrocie do wypłat srebrem, wobec którego dopiero niedawno było znikło disażio papieru — można ewentualnie było myśleć o wstąpieniu do Unii Łacińskiej;

ale przez te 13 lat zmieniły się polityczne i ekonomiczne stosunki do tego stopnia, że jedno i drugie dziś za wykluczone trzeba uważać. Austria musi podjąć *zmianę* waluty z całym tego ryzykiem i kosztami.

Dla kwestyi monetarnej występują jako naczelnne postulaty: możliwie stała wartość pieniądza, możliwie największy obszar, na którymby pieniądz krajowy bezpośrednio jako pieniądz, tj. jako uprawniony środek wypłat, a przynajmniej pośrednio, tj. za uiszczeniem stałej opłaty menniczej w sąsiednim państwie, jako taki mógł być użytym. Drugi ten postulat domaga się przeto, aby Austro-Węgry przyjęły walutę tych państw, z którymi największe i najstalsze łączą je stosunki handlowe. Chodzi tu więc w pierwszej linii—zwłaszcza na podstawie nowych traktatów handlowych—o Niemcy, Włochy, Szwajcaryę, wszystko państwa waluty ułomnej, których mennice, taksamo jak we wszystkich innych ważniejszych państwach, tylko dla złota stoją otworem. Bez przyjęcia złota w swą walutę nie ustala Austria swego kursu weksli z sąsiednimi państwami, nie tworzy wzajemnej możności pośredniego użycia pieniądza krajowego po stałych kosztach do wypłat zagranicą. Na tej też podstawie wyrobiło się po stronie zwolenników reformy powszechne niemal zdanie i żądanie, żeby zamierzona reforma waluty była przejściem do waluty złotej.

Ale ta szybka decyzja na rzecz waluty złotej polega na uwzględnieniu tylko jednego z wymienionych dwóch naczelnnych postulatów organizacyi monetarnej; pierwszy — ważniejszy — z tych postulatów, tj. stałą wartość pieniądza w ogóle, ona zupełnie pomija. A jednak zaprowadzenie złotej waluty poręcza nam tylko, że za kilogram czystego złota, względnie za sumę guldenów z niego wybitych, otrzymamy—opłaciwszy osobno koszta przesyłki i opłatę menniczą—2790 marek, lub odpowiednią, w ustawach oznaczoną sumę franków, dolarów, czy funtów szterlingów, ale ona nam bynajmniej nie poręcza, ile zboża, czy płótna, czy pracy my dać będziemy zmuszeni, aby ten kilogram złota móżdż nabyć. Wątpliwość w każdym razie nasuwa się wielka, czy nie ucierpi na tej zmianie stałość wartości pieniądza w kraju. Jeżeli zaś obawę przed zachwianiem wartości pieniądza papie-

rowego wymieniono wyżej jako jeden z uprawnionych czynników, domagających się uchylenia waluty papierowej, to jednak bynajmniej ztąd nie wynika zgoda na *każdy* sposób osiągania tego celu, ale jedynie na ten, który większe rękojmie ustalenia wartości waluty przedstawia. Inaczej wywoływałyby się zło, którego się chciało uniknąć, które tylko mogło a nie musiało nastąpić.

Obawa, że przez przejście Austrii do złotej waluty może wartość pieniądza austriackiego stać się chwiejną, nie jest bynajmniej dowolną abstrakcyjną hipotezą, ale jest uzasadnioną tak faktycznym stanem kwestyi monetarnej, jak popartą doświadczeniem, zwłaszcza ostatnich kilkunastu lat. Świat znajduje się od 20 lat w zupełnie nowej fazie stosunków monetarnych. Jak daleko sięgają wiarogodne pomniki historii kultury ludów, tam wszędzie znajdujemy oba szlachetne kruszce, złoto i srebro, w użyciu jako materiał monetarny i to materiał wspólny, to znaczy, że monety złote miały oznaczoną stale wartość w monecie srebrnej, a ta była główną; podług tego, w ustawie oznaczonego stosunku, one obiegały i umarzały zobowiązania, a jedynie lokalne różnice w legalnej wartości złota powodowały różnostronną migracyę kruszców, uchylały tu i owdzie praktyczne znaczenie odnośnej ustawy. Stan ten istniał aż do r. 1873, bo pomimo złotego monometalizmu Anglii, a srebrnego monometalizmu Niemiec, Hollandyi, Indyj, nie brakło legalnego łącznika między złotem a srebrem, łącznikiem zaś tym była bimetaliczna waluta Francyi. Po r. 1873 zupełnie zmieniły się stosunki. Skutkiem przejścia Niemiec do złotej waluty, zamknęła niebawem Francya a wraz z nią państwa Unii Łacińskiej, oraz Hollandya i państwa Skandynawskie, swe mennice dla srebra, w r. 1876 uczyniła to Rosya, r. 1879 Austria—i tak srebro przestało być materiałem monetarnym w Europie, stało się tylko towarem; dla handlu między krajami złotej a srebrnej waluty, znikło stale pari wekslowe, bo i w Stanach Zjednoczonych bije się srebro tylko na rachunek rządu. Odtąd tylko złoto jest międzynarodowym materiałem monetarnym, ono jedno ma spełniać funkcyę, które przez wszystkie wieki aż do r. 1873 oba kruszce razem spełniały. Wzrosła funkcyę złota,

zład wzrosnąć też musiała i wzrosła istotnie jego wartość, jego siła kupna wobec srebra i towarów i pracy.

Przejście Austrii do złotej waluty znów rozszerza użycie złota, zwiększa odnośny popyt, każe złotu spełniać funkcję środka obrotu tam, gdzie dotąd papier i srebro tę funkcję spełniało. Nowy ten wzrost popytu, odciągający trwale część złota z dotychczasowego w nowe użycie, nie zdoła pozostać bez wpływu na wartość złota, może stać się czynnikiem stopniowego wzrastania tej wartości. A na drożyznie pieniądza ucierpiałoby całe państwo, finansowo i ekonomicznie; w miarę drożyzny pieniądza obniżają się ceny, w gospodarczem życiu objawia się depressya, tem więcej cisnąca i niszcząca, im więcej rozwiniętym jest w kraju system kredytowy, im więcej gospodarstwa prywatne i publiczne pracują obcym kapitałem, mają długi stałe. Dochody wszystkich gospodarstw produkcyjnych obniżają się równocześnie i równomiernie z podrożeniem pieniądza, a stały ciężar procentów, rat amortyzacyjnych i t. p. pozostaje ten sam nominalnie w cyfrze, ale wzrasta w znaczeniu; w bilansach gospodarstw prywatnych i publicznych może zład okazać się niedobór, z całym szeregiem swych następstw ujemnych. Dla wielu gospodarstw prywatnych nastaje położenie bez wyjścia, przychodzi do bankructwa, likwidacya socyalna przybiera rozmiary znaczne a odbywa się w kierunku niepożądanym, koncentruje mienie w rękach niewielu, wywłaszcza pracę na rzecz pieniężnego kapitału, zaostrażając przez to jeszcze więcej i tak już groźną dla Europy kwestyę socyalną. Gospodarstwa publiczne — a więc państwo, kraj, gmina — również ucierpią na drożyznie pieniądza; wobec realnego podniesienia ciężaru, z dawnych długów wynikającego, zmniejsza się i możność i chęć posłużenia się na szersze rozmiary kredytem publicznym dla publicznych celów — a wiemy, ile doniosłych spraw w każdym większem mieście, w kraju i państwie domaga się przeprowadzenia, które tylko za pośrednictwem kredytu da się osiągnąć. Zalecana w takich razach często konwersya dawniejszych długów na niższoprocentowe, nie zawsze da się pomyślnie przeprowadzić, a zawsze narusza liczne uprawnione interesa w kraju, narusza budżet licznych rodzin. I mylnem jest przypuszczenie, że te rodziny, że w ogóle wszystkie war-

stwy w społeczeństwie, pobierające stałe dochody, zyskują na drożyznie pieniądza, a przynajmniej zyskują w ten sposób kompensatę za wywołaną konwersyami obligacyj publicznych zniżkę ich dochodu. Doświadczeniem codziennem i wynikami statystyki stwierdzono już dostatecznie, że ceny drobnego handlu, ceny bezpośrednio gotowych artykułów konsumpcyj są nader czułe tylko wobec tendencji zwykłej, a długie lata utrzymują się na dawniejszym poziomie pomimo i wobec zaszelej znacznej zniżki cen wielkiego handlu, cen jakie producenci za swe wytwory otrzymują. W nauce nie ma pod tym względem dwóch zdań; wszyscy się godzą, że drożyzna pieniądza jest klęską, przynosi ona korzyść tylko wielkiemu kapitałowi pieniężnemu, a rujnuje warstwy produkcyjne kraju; podrożenie krajowego pieniądza ma dalej wpływ ujemny i na bilans handlowy, bo utrudnia eksport własnego, ułatwia import cudzego produktu. Ztąd też może podrożenie waluty uchylić zamierzone i spodziewane pomyślne skutki taryfy cłowej czy traktatów handlowych.

Nie może być moim zamiarem przytaczać w tej rozprawie całego materiału statystycznego, zdolnego poprzeć twierdzenie i obawę, że skutkiem przejścia Austrii do złotej waluty przyjsć musi do podrożenia złota, które to konieczne podrożenie winna też Austrya *a priori* przy swej reformie uwzględnić; pod względem cyfr i faktów niechaj mi wolno będzie odwołać się na me dawniejsze prace z tej dziedziny <sup>1)</sup>, a tutaj ograniczyć się tylko do zaznaczenia najgłówniejszych punktów. Przedewszystkiem więc trzeba podnieść, że z wielkich państw ma jedna tylko Anglia czystą złotą walutę;

<sup>1)</sup> Ogłoszone w *Przeglądzie Polskim*: r. 1886 „Obecny stan kwestyi monetarnej“, r. 1889 „Bankructwo monometalizmu“, r. 1891 „Literatura kwestyi monetarnej“, dalej w *Bibliotece Warsz.* r. 1889 „Międzynarodowe konferencye monetarne“, a w wydawnictwach Akademii Umiej. 1891 r. „Stosunek wartości złota do srebra“. Z nowych publikacyj w tej sprawie zwracam uwagę na cenny odczyt prof. K. Menger'a o walucie, znakomitą mowę o walucie prof. E. Suess'a w wiedeńskiej izbie posłów w lipcu 1891; dalej: Dr. Landesberger *Währungssystem und Relation*, A. S. Cobb: *Bank's cash reserves*. (London 1891).

unia Skandynawska (Szwecya, Dania, Norwegia,) ma w obiegu przeważnie papier; Niemcy zaprzestały r. 1879 wycofywać dawne srebro z obiegu, obecnie wycofują tylko austryackie talary, a po ich wycofaniu, spowodowanem reformą waluty w Austrii, będą jeszcze miały obok złotej około 400 milionów srebrnej obiegowej monety; w Stanach Zjednoczonych, Unii Łacińskiej (Francya, Włochy, Belgia, Szwajcarya), Holandyi obieg monetarny srebra liczy się *na miliardy*, i to też nadaje walucie i Niemiec i tych państw charakter ułomności, w konsekwencyi i *tymczasowości*. Wszystkie te monety srebrne (talary, dolary, pięciofrankówki, hol. guldeny), nie są monetą zdawkową, lecz są pieniądzem uposażonym w pełną siłę zwalniania od zobowiązań, pomimo że między ich nominalną wartością a wartością ich zawartości kruszcowej istnieje różnica dochodząca do 30%. Stan to anormalny, wadliwy, pogarszający się przy każdym podrożeniu złota, przy każdym potanieniu srebra; coraz dalsza niżka srebra uczyniłaby ten stan niemożliwym; należałoby wtedy wycofać te miliardy srebra z obiegu, a powstałą ztąd lukę wypełnić złotem.

Dwadzieścia pięć lat temu, na pierwszej międzynarodowej konferencyi monetarnej odbytej w Paryżu r. 1867, kiedy umysły wszystkich były pod wrażeniem olbrzymiej produkcji złota, trwającej wówczas już od 18 lat, i równocześnie pod wrażeniem jedenastoletniego olbrzymiego eksportu srebra do Indyj, zdawało to się prawie wszystkim i możebnem i łatwem. Chciano się pozbyć srebra, jako miernika wartości, bo ono groziło wówczas i brakiem i drożyzną. Ale odtąd zmieniły się ogromnie i stosunki i poglądy, i powyższe wszystkie państwa jedynie dla tego zadawalniają się walutą ułomną, bo wiedzą, że złota *niema dosyć*, aby wypełnić lukę powstającą skutkiem dalszej demonetyzacyi srebra, bo wierzą słowom Goschena: *l'effort général, que l'on ferait de tous les côtés à la fois, pourrait occasionner les plus graves désordres dans la situation économique et produire une crise plus désastreuse, que toutes celles, dont le monde commercial a gardé le souvenir*. Dwadzieścia pięć lat temu nie zdawano sobie dostatecznie sprawy z ogromu sum złota, potrzebnych dla zastąpienia srebra w obiegu, i ludzono się co do trwałości olbrzymiej produkcji złota. Dziś natomiast przy każdym nowym

popycie za złotem, trwożliwie pytamy się, zkaąd je można otrzymać. Produkcya złota jest o 15—30% — zmienia to się co roku — mniejszą, niż w dwudziestoleciu 1850—1870, a z tej produkcji *więcej niż połowa* zostaje zużyta na potrzeby przemysłowe; konsumpcyę tę powstrzymać i zmniejszyć zdołałoby tylko podrożenie złota, t. j. podrożenie złotej waluty, to zaś właśnie owa klęska, której się obawiać i której zapobiedz należy. Inna znów część produkcji corocznej złota odpływa na Wschód, zwłaszcza do Indyj, gdzie zostaje tezauryzowana, a ta pozycya zabiera więcej niż 10% produkcji; wreszcie trzeba wspomnieć o corocznej stracie złota przez zagubienie i starcie monet, co jedno i drugie nabiera tem większego znaczenia, im więcej złotych pieniędzy jest w użyciu, im niższą wartość przedstawiają pojedyncze sztuki monety. Po straceniu tych wszystkich pozycyj z corocznej produkcji złota, pozostaje na potrzeby monetarne świata cywilizowanego *w najlepszym razie* nadwyżka 150 do 200 milionów franków; wielu ceni ją na mniej niż połowę tego. Minimalna to cyfra w porównaniu do kolosalnych sum srebra i papieru, które złotem zastąpićby trzeba w razie ogólnego przejścia do złotej waluty. Obieg samych not rządowych w Austro-Węgrzech, które mają być po reformie waluty wycofane z obiegu, względnie kruszczem pokryte, wynosi więcej niż 375 milionów guldenów, co licząc tylko po 2 fr. otrzymujemy sumę, jaką dopiero nadwyżka kilkoletniej produkcji całego świata pokryć zdoła. A skutkiem reformy waluty w Austrii wycofują Niemcy teraz austryackie talary, powstała zaś ztąd luka, dochodząca do stu milionów fr., trzeba złotem wypełnić, — i to więc znów powiększa spowodowany tą reformą wzrost popytu na złoto.

Do niedawna podnoszono zawsze ze strony monometalistów, jako dowód, że pomimo tego o złoto łatwym jest się postarać, Włochy, które przed 10 laty podjęły wypłaty kruszczem; dziś na Włochy już się nie powołują, bo Włochy otrzymały wówczas przeszło 400 milionów w zlocie, ale w ciągu tego dziesięciolecia straciły już prawie wszystko złoto i to pomimo należenia do Unii Łacińskiej, co je uprawniało do płacenia we Francyi, Szwajcaryi, Belgii, Grecyi srebrem podług jego dawnej wartości. Z wielkiej tej operacyi pozostaje

stało tylko Włochom kilkanaście milionów złota, bronionych trwale dyskontem  $5\frac{1}{2}$ — $6\%$ , gdy cała reszta państw metalicznej waluty ma  $3\%$ ; ale pozostał też procent do płacenia od kilkusetmilionowej pożyczki, pozostało doświadczenie, że przed stanowczem uregulowaniem budżetu nie należy myśleć o regulacji waluty. W ciągu ostatnich tygodni podniesiono w izbie włoskiej projekt przejścia do srebrnej waluty, a samo pojawienie się tego projektu świadczy, jak anormalnemi są stosunki monetarne Włoch, jak niepożądanemi skutki zachwalanej do niedawna reformy ich waluty.

Wpierw jeszcze nim na Włochy, powoływano się na Portugalię, twierdząc, że jeżeli ona zdołała od r. 1854 utrzymać złotą walutę, to tem więcej mogą ją zaprowadzić i utrzymać państwa znaczniejsze. Dziś milczy się o Portugalii przy kwestyi waluty, bo ona ją właśnie w r. 1891 straciła. Ale za to przybył na jej miejsce nowy przykład: Rumunia, i znów owa piosnka naiwna, że skoro mogła Rumunia zaprowadzić złotą walutę, to tem więcej może to uczynić monarchia austriacka. Takie argumentowanie świadczy o zupełnej niezajomości tej dziedziny. Kraje tak małe, jak Portugalia czy Rumunia, mają stosunkowo tak mały obieg monetarny, że ostatecznie zmiany ich waluty mały tylko mają wpływ na stosunki obiegu monetarnego w całym świecie: suma potrzebnego dla nich złota liczy się na *dziesiątki*, suma złota potrzebnego dla Austro-Węgier na *setki* milionów, a gdyby czystą złotą walutę miała mieć Francya czy Stany Zjednoczone, to wówczas nowy popyt za złotem liczyłby się na *miliardy*, co naturalnie zupełnie inaczej oddziałyoby na wartość złota, na walkę o złoto. Możliwoby więc w tej kwestyi w danym razie powoływać się w małych państwach na przykład wielkich, ale nigdy na odwrót. Przejście Portugalii do złota nigdzie uczuć się nie dało — przejście Niemiec wstrząsnęło obiegem i wartością kruszców w całym świecie.

Przeciw obawom o trudność otrzymania i utrzymania złota, powoływano się nieraz, celem wykazania rzekomej ich bezpodstawności, na wielkie zasoby złota w głównych bankach i na niskie ich dyskonto. A jednak Goschen, sławny zarówno ze swych dzieł naukowych jak wybitnego stanowiska w rządzie Anglii, w powołanej już wyżej dyskusyi

parlamentarnej zaznaczył, że „rodzaj przestachu go napada na myśl, jakie rozprężenie zapanowałoby w systemie monetarnym Anglii, gdyby przy jakiej sposobności 2 lub 3 miliony funtów szterl. złota miało z Anglii odpłynąć; ztąd też powątpiewam poważnie, czy zasób złota, jaki w tym kraju mamy gotowy (*available*) jest choć trochę za wielkim — owszem ja go prędzej za zamały uważam.“ I ten sam Goschen, przemawiając w Leeds w kilka tygodni po upadku Baringów, w długiej fachowej mowie zaznaczył, że rezerwa złota w głównych bankach angielskich jest *niedostateczną*, przez co każde bankructwo grozi przemienić się w ogólne przesilenie. Chcąc tę rezerwę powiększyć, wystąpił Goschen z projektem emissyi not jednofuntowych! Dziwna ironia losu. Przeciwno walucie srebrnej wytaczano zawsze jako ważny argument, że srebro skutkiem swej wagi zmusza do emissyi papieru na stosunkowo niewielkie sumy, które przy złotej walucie złotem dadzą się zastąpić. Dziś stoimy w przededniu tych potępionych not na niewielkie sumy w własnej ojczyźnie złotej waluty, a do emissyi ich zmusza niedostateczność złota, obawa, aby gwałtowny popyt za złotem nie wywołał w Anglii handlowego i kredytowego przesilenia. *We had got a very small available stock ready for the moment, and hence arise sudden changes in the value of money. If you have so small a stock of bullion and so small a reserve, it follows that any large amount or any comparatively small amount withdrawn from such a comparatively narrow base for carrying so enormous a pyramid, these withdrawals have an effect which is disproportionate to the extent to which the gold is withdrawn or the reserves diminished.* Mowa ta potwierdza i *niedostateczność* złotej rezerwy w Anglii i wynikającą ztąd *chwiejność wartości* pieniądza, a tym samym obawom dał wyraz Goschen 2 grudnia r. 1891, gdy przed londyńską izbą handlową ponownie rozwijał projekt not jednofuntowych, celem zapewnienia przez to większej rezerwy złota i możliwości większej emissyi kredytowej. W epoce, gdzie równocześnie dają się uczuć potrzeba i brak gotówki, rzuca się na targ towary i papiery, dyskontuje się za każdą cenę, a to wpływa anormalnie na procent, na kursa, na ceny. Dla Anglii położenie jest tem groźniejszym, że banki

w Paryżu i Berlinie mogą swe bilety pokrywać i wypłacać nie tylko złotem ale i srebrem, i że istotnie prócz stopy dyskonta innych jeszcze środków użyć mogą i *używają istotnie* celem ochrony swego zasobu złota. Ale stosowanie tych środków różnych stwierdza też najlepiej, że i dla państw mających wielki zasób kruszcu nie łatwym jest trwale utrzymanie tego zasobu, że one o to specjalnie troszczyć się muszą.

Stan faktyczny produkcji i użycia złota, ogólnych stosunków monetarnych i wyposażenia głównych banków, nie uprawnia bynajmniej do optymizmu co do możności i łatwości przyjęcia złota w walutę Austrii. Chodzi tu zresztą nie o jednorazowe tylko *otrzymanie*, ale o trwale *utrzymanie* złota w obiegu monetarnym Austrii. W ciągu r. 1891 zmienił bank angielski 12 razy swe dyskonto, różnica wyniosła  $2\frac{1}{2}\%$ , a to wysokie i zmienne dyskonto jest środkiem i objawem walki o złoto. W walce tej ten odniesie zwycięstwo, kto najwięcej zechce i zdoła dać za złoto, kto najpierwej i najdalej obniży ceny swych towarów. Chwiejność stosunków gospodarczych byłaby prostem a tak fatalnem następstwem tej prawdopodobnej niestety walki o złoto, do której tem łatwiej przyjść musi, im więcej państw zechce faktycznie obieg swój monetarny oprzeć przeważnie na złocie. Austriya reformując swą walutę wytworzy nowy, dotąd nieistniejący popyt za złotem, zmniejszy zasób złota w krajach czystej i ułomnej złotej waluty, co bez wpływu na wartość złota i na zabiegi o posiadanie i utrzymanie złota zająć nie będzie mogło.

Twierdzenie, że przejście Austrii do złotej waluty musi złoto podrożyć, jest tak ważnem, iż należy je kilku jeszcze słowy poprzeć i więcej uzasadnić.

Nauka ekonomii od dawna i trwale uważa za jedno z najważniejszych swych zadań, zbadanie i wytlómaczenie zjawisk wartości i ceny. Różni do różnych tu doszli wyników, ale jakkolwiek niema do dziś zgody na wszystkie wyniki pozytywne, to niemniej doszła nauka już w tej kwestyi — u różnych autorów pod różną nieraz nazwą — do pewnych wyników pozytywnych. Takim najpierw jest, że użyteczność i rzadkość są współdziałającemi żywiołami i podstawami wartości, zarówno subiektywnej jak obiektywnej

zamiennej. O użyteczności kruszcu na materiał pieniężny rozstrzyga ustawa. Im więcej państw podnosi dany kruszec do funkcji swego materiału monetarnego, tem więcej wzrasta jego użyteczność, co przy niezwiększonych stosunkach zaopatrzenia świata w ten kruszec, wartość jego podnieść musi. A dalej, dana wysokość *ceny* każdego przedmiotu jest rezultantą współdziałania *różnych* czynników; zmiana któregoś z tych czynników zmienia rezultantę, t. j. cenę gdy chodzi o towar, siłę kupna gdy chodzi o pieniądz. W rzędzie tych czynników, wpływających na daną wysokość ceny, jest *ilość popytu*; oddziałuje on na cenę w stosunku prostym, to znaczy, gdy popyt się zmniejsza, *caeteris paribus* zniży się cena, a ona wzrośnie skutkiem wzrostu popytu. Przejście Austrii do złotej waluty podnosi popyt za złotem i ztąd to przejście musi pewne podrożenie złota wywołać. Było to wielkim błędem Niemiec w r. 1871, że uchwalając przejście do złotej waluty, uwzględnili tylko wartość złota, jaką miało przed zmianą waluty w Niemczech, a nie uwzględnili wpływu, jaki taka zmiana popytu wywołać musi i istotnie wywołała. Wiadomem jest ogólnie, że siła kupna złota po r. 1873 wzrosła, że ceny zniżyły się o więcej niż 20%, i lata całe utrzymały się na tym niższym poziomie.

Że w Niemczech pominięto wpływ, jaki podwyższenie popytu za złotem na tegoż wartość wyrzucić musiało, to da się tylko tem wytłómaczyć racjonalnie, iż cała reforma waluty w Niemczech była dziełem monometalistów. Teorya monometalizmu powstała jako antyteza waluty podwójnej, której podstawą jest oznaczenie wartościowego stosunku między złotem a srebrem. Monometalizm zaprzeczył możności utrzymania oznaczonego przez ustawę stosunku, i w konsekwencji zaprzeczył w ogóle wpływowi ustawy na wartość kruszców. Ztąd też nie uwzględniono wpływu, jaki zmiana ustawy monetarnej wywrze na wartość złota. I do dziś jeszcze wielu zapomina, że popyt monetarny—będący dotąd najważniejszym użyciem kruszców—jest w zupełności zależnym od ustawy; ona go stwarza, znosi, utrzymuje, od niej tylko zależy, co jest a co nie jest materiałem monetarnym.

Do podrożenia złota skutkiem przejścia Austrii do złotej waluty, nie przyszłoby tylko w tym razie, gdyby wpływ tego nowego popytu przez inne czynniki sparaliżowanym został. O innostronnem zmniejszeniu popytu — demonetyzacyi złota przez który wielki kraj — niema co myśleć; produkcya zaś kruszców, zwłaszcza złota, nie jest dowolną, i ztąd nawet podrożenie złota nie poręcza bynajmniej wyższej produkcji, a nawet gdyby ją wywołało, to znów warunkiem utrzymania tej — droższej — produkcji jest utrzymanie się złota na tym podrożonym poziomie. Ztąd też owo wspomniane powyżej *caeteris paribus*, nie jest bynajmniej dowolną hipotezą, ale *realną* podstawą dla twierdzenia, że przejście Austrii do złotej waluty musi złoto podrożyć.

Podrożenie to złota może jeszcze nie zaszkodzić Austrii, bo ona to może z góry wziąć w rachubę, ale stanowić ono będzie stratę i szkodę dla państw już mających złotą walutę; dla Austrii strata nieunikniona wynikłaby dopiero wtedy, gdyby już po przejściu jej do złotej waluty, do dalszego znów podrożenia względnie trwałego dalszego drożenia przyjść miało, co wcale nie jest wykluczonem. Wobec tego też jedni odradzają Austrii przejścia do złotej waluty, inni uważają to wprost za niemożliwe. Zastanawiać musi, że do nich należą też dwaj sławni autorowie monetarni, *obrońcy złotej waluty w Niemczech*: Nasse i Lexis<sup>1)</sup>. Jeżeli waluta

<sup>1)</sup> Nasse w swym komunikacie dla angielskiej *Gold and Silver Commission, Second Report* str. 262 pisze: *Neither Russia nor Austria... can substitute a gold currency for their paper money. If they wish to have a metallic currency, they can only have a silver currency.* Także w artykule *Geld* w *Schönberg's Handbuch der Pol. Oek.* (3 wyd. str. 377) konstatuje, że złota waluta może istnieć tylko w pewnych warunkach, *und da die eine oder andere dieser Bedingungen... auch in Russland, Oesterreich-Ungarn nicht vorhanden sind, so eignet sich die Goldwährung durchaus nicht allg. Weltwährung zu werden, selbst wenn, was gewiss nicht der Fall ist, das vorhandene Gold für diesen Zweck ausreichte.*

Lexis (*Jahrb. für Nation.-Oek. u. Statistik*, r. 1890, t. 21, str. 277): *Nehmen wir an, dass die jährliche Goldgewinnung in der nächsten Zeit nach dem Durchschnitt aus den letzten Jahren 420—430 Mill. M. betrage und dass*

niemiecka jest dobrą, to czemuż odradzają ją Austryi? a jeżeli tak niebezpieczną, że należy przed nią przestrzegać, to czemuż bronią jej w Niemczech? Konsekwencyi braknie ich stanowisku; oni się boją konsekwencyi, widać więc, że stanowisko ich wadliwem.

Ktokolwiek zajmował się kwestyą monetarną, temu są zrozumiałemi owe obawy i przestrogi monometalistów. Niegdyś myślano o powszechnej złotej walucie, r. 1867 przyklaskiwano na konferencyi monetarnej oświadczeniu, że i Indye (!) gotowe ją przyjąć; w r. 1878 skonsternował jednak monometalistów Goschen, który sam zwalczając bimetalizm, potępił jednak najbardziej stanowczo ideę rozszerzania złotej waluty, a powszechną złotą walutę nazwał *une utopie tout à fait fausse*. Powstała wówczas sławetna idea podziału świata na dwie połowy o różnej walucie; gdy bimetalisci cyframi stwierdzili niemożebność powszechnej złotej waluty i podnosili wynikającą ztąd konieczność stopniowego trwałego drożenia złota, gdyż złota waluta samym faktem swego istnienia wytworzy trwały powód coraz dalszego rozszerzania się, wówczas monometaliści mówili, że o dalszem rozszerzaniu nie myślą, najbogatsze narody mieć będą złotą

---

*für die Industrie und die Ausfuhr nach Indien wenigstens 300 Mill. M. erforderlich seien, so reicht der verbleibende Rest zwar aus, um die Zirkulation der bereits genügend mit Goldmünzen versehenen Länder in stand zu erhalten, aber eine weitere erhebliche Ausdehnung des Gebietes der Goldwährung wird ebenso wenig möglich sein, als die vollständige Ersetzung des Courantsilbers in allen Ländern mit hinkender Währung... Bei den Plänen zur Wiederherstellung des Metallumlaufs auf der Basis der Goldwährung in Oesterreich-Ungarn wird die Schwierigkeit der dauernden Festhaltung eines ausreichenden Goldvorrathes entschieden unterschätzt. A zaznaczywszy fałszywość powoływania się na Włochy, pisze: Oesterreich würde eine solche Stütze (przynależność do Unii Łacińskiej) nicht besitzen, und um so weniger würde es hoffen dürfen bei einem ernstlichen internationalen Kampfe um das Gold, der nicht ausbleiben würde, seine neue Währung effectiv und unversehrt zu erhalten.*

walutę, inne walutę srebrną (przyczem zapomnieli, że w Stanach Zjednoczonych i Francji — krajach *par excellence* bogatych — połowa obiegowej monety jest srebrną!) i ztąd złoto dalej drożeć nie będzie; a gdy w odpowiedzi na to bimetalisci twierdzili, że brak stałego pari wekslowego, pomijając nawet antagonizmy i zawiści narodowe, najżywotniejsze interesa materyalne zmuszać będą jedno państwo po drugim do przyjmowania złotej waluty, a ztąd złoto dalej drożeć musi z szkodą państw już mających złotą walutę, to znów monometalisci odpowiadali, że porozumienie bankierskie, przekazy telegraficzne zdołają brak pari zastąpić i uchylić, że dalej trudniej jest zaprowadzić, niż utrzymać złotą walutę, a ztąd niema ani powodu ani obawy, żeby istniejący podział świata na dwie różne waluty miał się zmieniać w kierunku rozszerzenia a więc i podrożenia złotej waluty.

Reforma waluty w Austrii obala cały ten wywód monometalistów. Domaganie się w Austrii, właśnie ze sfer bankowych i kupieckich, reformy waluty, opiera się zawsze przede wszystkim na zaznaczeniu, że fluktuacya kursu waluty austriackiej szkodzi interesom całego handlu. Motywowanie to jest praktycznym dowodem, że mrzonką jest teoria, iż jakiegokolwiek *arrangement* bankierskie zdoła zastąpić stałe pari, a na tej mrzonce opiera się cała monometalistyczna teoria o podziale świata.

Reforma waluty w Austrii potwierdza dalej tezę bimetalistów, że złota waluta samym faktem swego istnienia coraz dalej rozszerzać się i ztąd złoto coraz więcej podrażać musi. Skandynawia, Hollandya, Rumunia, a teraz znów Austria dobitnie to potwierdzają. A gdy cała Europa mieć będzie złotą walutę, to kiedyś i Rosya nie inną tylko złotą walutę, walutę krajów, w których ma długi i główne rynki zbytu, zaprowadzić będzie musiała. Im więcej drożeć będzie złoto, skutkiem rozszerzania się złotej waluty, tem niżej spadnie srebro, tem większą będzie różnica między nominalną a kruszcową wartością owych miliardów pięciofrankówek, talarów, dolarów i t. d., tem więcej też kategorycznie wystąpi dla tych państw konieczność uchylenia tej fatalnej ułomności ich waluty. *Das ist der Fluch der bösen That*, można tu

z poetą powtórzyć. Każde podrożenie złota, naruszając istniejące stosunki, staje się zarzewiem nowej znów walki o złoto, czynnikiem dalszego drożenia. A na tem drożeniu cierpią przedewszystkiem państwa, już mające złotą walutę. Anglia przeszła do złota na podstawie stosunku 1:15,21, Niemcy 1:15 $\frac{1}{2}$ , Holandia 1:15,625; Austria już uwzględni zaszczytymczasem podrożenie złota, co najmniej 1:18; i tak przez każdą nową reformę wzrasta i utrwała się ciężar wszystkich długów, spadają ceny w krajach już złotej waluty. W Niemczech szerokie koła ucierpiały i wyrzekają na podrożenie waluty; ztąd słuszną troską obrońców tam złotej waluty, aby przejście Austrii do złota znów cierpień nie powiększyło i opozycji nie dało w rękę nowych, silnych argumentów. Broniono złotej waluty sławetną teorią podziału świata, a dziś kruszy się ta podstawa obrony, granica podziału okazuje się niepewną i niestałą, dalsze rozszerzenie prawdopodobnem. I na tem tle rozumieć można, że Nasse i Lexis odradzają Austrii złotej waluty, można zrozumieć, że jeden z dyrektorów banków z Wiednia doznał w Londynie, dokąd udał się w sprawie waluty, zimnego przyjęcia, bo też — dla ludzi patrzących głębiej na rzecz — jest przyjęcie złotej waluty przez Austryę faktem groźnym, bo podrażającym pieniądź, dla krajów złotej waluty, jest Pyrrhusowem zwycięstwem monometalizmu, musi być — nie mając być początkiem klęski ogólnej — początkiem jego końca.

W ostatnich latach, wobec ogólnej i bardzo znacznej niżki cen wszystkich ważnych artykułów handlowych, zajmowano się w krajach głównie tem dotkniętych — a temi właśnie były kraje złotej waluty — co uznać należy za główną przyczynę tego fatalnego zjawiska? Bimetaliści wszystkich krajów widzieli w tem stwierdzenie tezy, stawionej przed 25 laty przez pierwszych zasadniczych obrońców bimetalizmu, tezy, że demonetyzacya srebra musi ogólną drożyznę złota, niżkę cen wywołać. Monometaliści podzielili się w tej sprawie: jedni usiłowali zwalić winę na wszystko inne, na nadprodukcję, koleje, maszyny, wynalazki, przy czem fatalnie wiele popełniali anachronizmów, bo większa część tych postępów techniki na wiele lat przed r. 1875 przeprowadzoną została, inni — a w ich rzędzie tacy jak

Goschen<sup>1)</sup> i sławny statystyk Giffen<sup>2)</sup> uznali istnienie przyczyny zniżki po stronie złota, a nie po stronie towarów. Zniżka produkeyi, wraz z powiększonym popytem przez przejście kilku państw do złotej waluty, musiały złoto podrożyć. Tego samego — choćby nie w tym stopniu — można się spodziewać i obawiać jako skutku przejścia Austrii do złotej waluty, a ten fakt byłby ponownym dowodem, że złota waluta nie spełnia głównego postulatu, nie zapewnia stałej wartości, lecz przeciwnie do trwałego drożenia pieniądza prowadzi.

Obawa drożyzny złota byłaby dostatecznym powodem zaniechania wszelkiej reformy monetarnej Austro-Węgier, gdyby stan obecny niemal równych nie przedstawiał niebezpieczeństw. Ale gulden austriacki zależy dziś wyłącznie od kredytu państwa. Dziesięcioletnie rządy ministra Dunajewskiego, usunąwszy niedobór, co i w drugiej połowie monarchii osiągnięciem zostało, wpłynęły bardzo dodatnio na kredyt państwa, a obrazem tego i kurs renty i kurs guldena. Ale im więcej Austro-Węgry, wybrnąwszy z deficytu, ekonomicznie dźwigać się będą, jak się już dźwignęły finansowo i politycznie, tem więcej istotnem staje się niebezpieczeństwo dalszego drożenia waluty austriackiej; może to nastąpić tem łatwiej, że co do zawartości złota w guldenie najwięcej głosów dotąd oświadczyło się za braniem za podstawę, przeciętnego kursu ostatnich lat. Papierowa waluta austriacka nie daje krajowi żadnych korzyści, a stron ujemnych przedstawia dużo, i ztąd sama negacya, samo odrzucenie waluty złotej nie polepsza w niczem anormalnej sytuacji. Na to potrzeba wyjść z waluty papierowej.

Najbardziej ułatwionem a jedynie dobrem wyjściem z waluty papierowej, byłoby przejście do bimetalizmu. Ale Austro-Węgry same uczynić tego nie mogą; do tego potrzebnem porozumienie międzynarodowe przynajmniej kilku wielkich państw. Myśląc o reformie waluty, powinny też były rządy

---

1) Goschen: *Probable results of an increase in the purchasing power of Gold.* (London 1883).

2) Giffen: *Trade depression and low prices.* (1885); *Gold supply, the rate of discount and prices.* (London 1886).

Austro-Węgiel najpierw spróbować wywołać międzynarodowe załatwienie kwestyi monetarnej na podstawie podwójnej waluty; jeden bowiem bimetalizm zdoła rozwiązać ją skutecznie i pomyślnie. Interesem przeto Austrii było i jest, poprzezć usiłowania w kierunku bimetalizmu.

W dziennikach i w różnych kołach mających bliskie stosunki z pewnemi sferami giełdy — a które wielu naiwnych niemal za wyrocznię, za apostołów prawdy bezwzględnej w kwestyi pieniężnej uważa, przeocząc, że to przedewszystkiem apostołowie własnego interesu — często się czyta i słyszy, że bimetalizm „niema żadnej racyi bytu“, że „niemożliwy“, a już najczęściej dziś, że „niema żadnych po temu widoków“. To zbytne akcentowanie „braku widoków“ — w czem *implicite* leży uznanie potrzeby, doniosłości i możebności bimetalizmu — gotowe niemal wzbudzić podejrzenie, że celem tego wołania jest pokrycie własnej obawy a odebranie otuchy bimetalistom. Bo ostatecznie sprawa bimetalizmu nie jest tak przesądzoną, jakby to owe głosy przedstawić chciały. Można się obawiać, że egoizm pewnych wpływowych kół Anglii — w której tak często zaznaczano, że Anglia jest narodem wierzcycieli, że dochód z zagranicznych procentów przewyższa o dziesiątki milionów funtów dochód z roli, tak że ona jako całość więcej zyskuje, niż traci na drożyznie pieniądza — a antagonizm polityczny Francyi i Niemiec wyklucza obecnie jeszcze możność bimetalizmu; ale i to trzeba podnieść, że inicjatywa podjęta przez mocarstwo tak poważne, inicjatywa poparta argumentem, że inaczej przejdzie do złotej waluty i to na podstawie — prawie zupełnie uzasadnionej — obliczenia w zlocie wartości guldena podług ceny  $\frac{1}{45}$  funta srebra z ostatniego roku, mogła być wyrzeczć pressę poważną i poprzezć skutecznie istniejące we wszystkich państwach usiłowania w kierunku bimetalizmu. Na ostatniej konferencyi monetarnej oświadczyły swą gotowość przystąpienia do Unii bimetalicznej Francya, Stany Zjednoczone, Włochy, Hollandya; nie chciały wstąpić, ale oświadczyły gotowość do pewnych ustępstw na rzecz bimetalizmu Anglia i Niemcy; w Niemczech w szeregach centrum i prawicy mają przewagę bimetalisci, na katedrach wielu wybitnych przedstawicieli; w Anglii przed 2 laty 87

głosów w parlamencie przeciw 183 żądało, aby Anglia wzięła inicjatywę celem wprowadzenia międzynarodowego bimetalizmu, a w rządzie mówców za wnioskiem wystąpił — obecnie pierwszy lord skarbu — A. J. Balfour, wówczas minister dla Irlandyi; sam zaś kanclerz skarbu Goschen stwierdził, że godzi się na szereg tez bimetalistów, a mianowicie, że brak stałego stosunku między złotem a srebrem jest złem, że równość waluty w całym świecie jest pożądaną, że pożądanem jest, aby oba kruszce szlachetne spełniały pełne funkcje monetarne, że złota jest za mało w porównaniu do zadania, jakie ma spełnić. Tak samo i specjalna monetarna komisya angielska uznała jednomyslnie wielkie znaczenie bimetalizmu, połowa zaś jej członków żądała, aby Anglia podjęła w tym celu inicjatywę. Goschen w grudniowej swej mowie zaznaczył, że nie wątpi, iż Anglia mogłaby i teraz w razie powstania bimetalizmu przyznać to samo, co w r. 1881, może nawet rozszerzyć walutę srebra z 2 do 5 Ł. Nie należy bynajmniej tych objawów i głosów przeceniać, ale tak samo nie należy ich pomijać; trzeba w nich co najmniej uznać i symptom położenia i przestrożę przy podejmowaniu akcyi pozytywnej.

W ostatnich znów tygodniach ponowily się wieści, że Stany Zjednoczone sondują opinię gabinetów europejskich w sprawie bimetalizmu; stojący na uboczu autor niema możności konstataowania, czy taka poufna akcyja była lub jest obecnie w toku, ale podnieść należy, że w interesie Austrii byłoby, poprzez takie usiłowania, nawet samemu je podjąć, bo w każdym razie rządy Austro-Węgier nie powinny zrzec się idei bimetalizmu, zanim nie podjęły usiłowań, aby go zrealizować. Domaga się tego i własny interes i konsekwencya stanowiska, zajętego w tej kwestyi na dwóch ostatnich monetarnych konferencyach międzynarodowych. Na konferencyi monetarnej r. 1878 oświadczył delegat austro-węgierski, Hengelmüller: *le gouvernement austro-hongrois n'a pas donné à son délégué le pouvoir de l'engager dans la question, qui se trouve posée devant la Conférence. Dans l'opinion de ce gouvernement, la depreciation de l'argent est un fait éminemment regrettable, une calamité, contre laquelle il souhaiterait pour son compte, que l'on pût réagir, car il est attaché, en principe, au système du double étalon,*

et, en théorie il ne pourrait que souscrire à la proposition des États-Unis. Malheureusement, les avantages de ce système dépendent d'une adoption générale, que l'on ne peut se flatter d'obtenir dans l'état actuel des choses; le gouvernement d'Autriche-Hongrie se trouve donc nécessairement tenu d'observer une attitude expectante. Toutefois, il semble à M. de Hengelmüller, que le rejet pur et simple des propositions américaines aurait une signification fâcheuse; on en induirait peut-être, qu'il n'y a actuellement rien à faire pour arrêter la baisse de l'argent. Si, pour éviter cet inconvénient, la Conférence voulait formuler son avis dans une réponse aux questions posées, il se conformerait aux vues de son gouvernement en se ralliant à l'opinion de ceux, qui se prononceraient en faveur du double étalon. A gdy następnie konferencya — wbrew głosowi Włoch — uchwaliła odpowiedź: qu'il est nécessaire de maintenir dans le monde le rôle monétaire de l'argent aussi bien que celui de l'or, mais que le choix entre l'emploi de l'un ou de l'autre de ces deux métaux, ou l'emploi simultané des deux doit avoir lieu suivant la situation spéciale de chaque Etat, i gdy różni delegaci różnie swą zgodę na tę odpowiedź motywowali, oświadczył imieniem Austro-Węgier hr. Kuefstein: que, en présence des explications qui viennent d'être données et d'où l'on pourrait peut-être induire que la déclaration lue par M. le Président impliquerait une reconnaissance de l'impossibilité d'un arrangement international sur le double étalon, il se croit dans l'obligation de déclarer à son tour, que s'il adhère à la formule proposée, c'est précisément parce que selon lui, elle n'exclut pas l'idée de la possibilité d'un tel arrangement. (Procès-verbaux, str. 73, 192, 196). Na konferencji znów w r. 1881 oświadczył delegat Austro-Węgier hr. Kuefstein: nous n'é prouvons aucune hésitation à dire, que notre sympathie est acquise à toute mesure, qui serait adoptée dans le but d'améliorer ou bien de rétablir autant que possible la position du métal blanc. Aussi aimons-nous à espérer, que la Conférence ne se separera pas définitivement avant d'avoir adopté quelque remède pour obvier aux inconvénients de la situation monétaire actuelle qui, selon notre avis, est grave sous plus d'un point de vue. Jedne Stany Zjednoczone czyniły kilkakrotnie

wysiłki — *Bland bill*, *Windom bill* — aby *rétablir la position du métal blanc*, obecnie znów a w izbie reprezentantów w Washingtonie sprawa ta stoi na porządku dziennym; w komisji jej — a w roku zeszłym w senacie — większość oświadczyła się za wolnem biciem srebra. W każdym więc razie nie powinien rząd Austro-Węgier tych objawów przepominać, owszem powinien on je uwzględnić i poprzec.

Ale same Austro-Węgry, bez poparcia szeregu innych wielkich państw, bez poparcia i zgody przynajmniej tych mocarstw, co w r. 1881 za bimetalizmem oficjalnie się oświadczyły, nie mogą stworzyć bimetalizmu. Na to są one za słabe. Skutek odnośnych usiłowań nie zależy przeto od woli samych Austro-Węgier, a wobec tego zadaniem nauki rozważyć, co mają Austro-Węgry w razie braku widoków na bimetalizm, uczynić z swą walutą.

Szereg różnych okoliczności składa się na to, aby sprawę reformy uczynić aktualną. Nie brak powodów dla jej żądania — chwiejność i izolowanie — nie brak również warunków, aby to dzieło podjąć z widokami pomyślnego załatwienia.

Kardynalnym warunkiem po temu, jest *równowaga budżetowa*. Potomność cenić będzie rządu ministra Dunajewskiego, bo on ma tę zasługę, że uchylił deficyt w budżecie państwa; przez to rozpoczął nową erę w historii finansów Austrii i stworzył niezbędny materialny warunek dla reformy waluty. Że dziś Austriya może myśleć o tej doniosłej sprawie, to ministra Dunajewskiego dziełem i zasługą, a zasługa i zaszczyt tem większe, że uchylił niedobór pomimo wzrastających nieustannie wydatków na wojskowe cele, oraz pomimo niezwykle znacznych wydatków na różne inwestycje, zwłaszcza koleje żelazne. Ma on w kwestyi waluty drugą jeszcze zasługę. Roku 1867 w ugodzie cłowo-handlowej z Węgrami obiecano lekkomyślnie zaprowadzenie niebawem waluty złotej; r. 1878 obiecano znów bezzwłoczne przedłożenia o powrocie do wypłat kruszcem; dopiero w art. XII ugody z Węgrami, zawartej za ministerstwa Dunajewskiego, stanęła kwestya na gruncie realnym: nie podano żadnych głośnych a jałowych obietnic, ale zastrzeżono zwołanie w odpowiednim czasie fachowej komisji dla uregulowania kwestyi waluty.

Wbrew wyraźnemu brzmieniu ustawy i wbrew wewnętrznej racji, zażądali Węgrzy osobnej komisji dla siebie; rząd cislitawski zgodził się teraz na ten postulat Węgrów i żąd zebrać się mają niebawem dwie komisje dla sprawy waluty. A jak doniosła praktycznie była ta innowacja, żądająca zwołania komisji *ad hoc*, to najlepiej stwierdzają różne plutokratyczne organa, żądające jak największego ograniczenia kompetencji tych komisyj. Żądanie to zdradza pragnienie pewnych kół zakulisowego traktowania sprawy, zdradza obawę krytyki, wzbudza podejrzenie, że pewne koła starają się o przeprowadzenie reformy takiej, któreby krytyki nie wytrzymało. Nie zakulisowo, ale jawnie, w wielkich publicznych ankietach, traktowała Anglia i Francja sprawę waluty, odnośne oficjalne publikacje tak tych krajów, jak Stanów Zjednoczonych zajmują całe tomy, zasięmano nawet zdania różnych zagranicznych uczonych; tem więcej dziwić i wzbudzać podejrzenia musi owo żądanie pewnych dzienników ograniczenia kompetencji fachowych komisyj. Nie tak musiano pojmować w czasie zawierania ugody, zadanie tej komisji; z natury rzeczy wynika, że parlament jako całość nie jest kompetentnym do oceny sprawy waluty; uchwała jego, sankcjonująca reformę, powinna się opierać na pracach i orzeczeniach fachowej ankiety, ona winna swe zdanie wypowiedzieć co do wszystkich punktów tej sprawy. Zapewnienie w ugodzie wysłuchania opinii fachowej komisji jest ważnem; ono tworzy niemal warunek dobrego rozpatrzenia i słusznej oceny rządowego projektu reformy, tak jak uchylenie deficytu jest warunkiem podjęcia jej i przeprowadzenia. Na przyjęcie przez parlament rządowego projektu reformy tem pewniej może rząd liczyć, jeżeli odnośny projekt, rozpatrzony wszechstronnie w fachowej ankiecie, znajdzie jej uznanie i poparcie; w chwili druku tego artykułu, nie był ogłoszonym jeszcze program prac tych komisyj, ale nie możemy uznać, aby leżało w interesie samej reformy jakiegokolwiek ich ograniczenie. Sprawa tak trudna i doniosła wymaga wszechstronnego rozważenia, wszelka pobieżność czy pośpiech mogłyby być zgubne.

Podnieść dalej należy, że i pierwsza inicjatywa w postawieniu reformy waluty na porządku dziennym prac przy-

gotowawczych w ministeryach obu połów monarchii, wyszła od ministra Dunajewskiego. Przypominamy tu, że już przed 7 czy 8 laty gazety wiedeńskie przyniosły wiadomość z Pesztu o nocie ministra Dunajewskiego, wysłanej do Pesztu z żądaniem konferencyi w sprawie monetarnej. Wówczas po stronie węgierskiej nie było jeszcze może należytego uznania konieczności zajęcia się tą sprawą. I ponownie znów przed dwoma laty oświadczył w Izbie deputowanych reprezentant ministra skarbu o nowych w sprawie reformy waluty z jego strony podjętych krokach. A jeżeli obecnie — prócz organów konserwatywnych — wszystkie organa niemieckie w Austrii pomijają milezieniem zasługi ministra Dunajewskiego i pisząc o owocach jego pracy — np. owa wielka nadwyżka, jaka się pokazała po zamknięciu rachunków za rok 1890 — nawet nazwiska nie wspomną, to tem więcej powinniśmy my sami o tych zasługach pamiętać i innym je przypominać. I dla tego należało zaznaczyć, że jego zasługą jest równowaga budżetowa, tworząca warunek reformy waluty, jego zasługą stworzenie rękojmi dla poważnej oceny projektu, jego wreszcie zasługą inicjatywa w podjęciu przez rządy tego problemu w odpowiednim czasie.

Również nie powodem, ale warunkiem tylko skutecznego podjęcia reformy, jest *korzystny bilans handlowy*. Od szeregu już lat mają Austro-Węgry nadwyżkę wywozu nad przywóz, a ta nadwyżka zmniejszyła zadłużenie Austrii zagranicą, wytworzyła nawet korzystny bilans płatniczy, utrzymując się zaś i nadal zapewnia przeciętnie korzystny kurs weksli, uchyla obawę szybkiej ucieczki z kraju kruszcem, pożyczonego na reformę waluty — jak to się stało we Włoszech — wytwarza widoki, że po otwarciu mennicy zasób kruszcem w kraju będzie wzrastał, co się przyczyni do utrzymania i cen i dyskonta na odpowiednim, korzystnym dla ogółu poziomie, może zabezpieczyć przed zgubną zniżką cen a zwyżką dyskonta.

Korzystny ten bilans handlowy nie zależy jednak bynajmniej od samych stosunków produkcyi, lecz w znacznej mierze zależy on od stosunków waluty. Podrożenie waluty austriackiej może odrazu tę nadwyżkę bilansu handlowego przemienić w zgubny niedobór, utrudnić eksport, ułatwić krajom ta-

niejącej waluty zdobywanie jednego rynku za drugim. Traktaty handlowe zapewniły Austro-Węgrom pewne korzyści, zwłaszcza na targach niemieckich, i ztąd słuszną jest obawa, aby fałszywa reforma waluty nie uchyliła tych korzyści. Każde podrożenie złota ułatwia Rosyi i Indyom walkę z produktami państw złotej waluty, tworzy dla nich istotną premię eksportową. Niegdyś płacono w Londynie 2 szillingi za 1 rupię indyjską, dziś płać tylko 1 szilling i  $3\frac{1}{2}$ —4 pensów, a więc mniej o 30%; ale srebro potaniało tylko w stosunku do złota; ono w Indyach nie straciło nic z swej siły nabywczej, tam ceny (w srebrze) nie wzrosły; ztąd też eksporter indyjski może dotąd zadawałniać się dawną ceną w srebrze, on ceny w zlocie obniżać może po każdej nowej niższe ceny srebra w Londynie, i to też był jeden z głównych powodów tej długoletniej depressyi cen zboża w Europie. Dalsza niżka ceny srebra—już po reformie waluty w Austrii—może się stać wprost *klęską* dla eksportu Austro-Węgiei, a ztąd pośrednio i dla nowej waluty, wobec czego co najmniej rażącem trzeba nazwać owe raz po raz występujące głosy radości z powodu nieudania się „eksperymentów amerykańskich“ lub dalszej niżki srebra. Korzystny bilans handlowy tworzy warunek pomyślny dla reformy waluty, ale trzeba pamiętać, że błędna reforma zdoła go zniweczyć i przeto sama siebie podkopać.

Ogłędność wszechstronna i bystra przezorność winny towarzyszyć zamierzonej reformie waluty na każdym kroku. I dlatego też trzeba wystąpić przeciw dwom fałszywym argumentom, jakie obecnie podniesiono celem przeprowadzenia, a więcej jeszcze celem przyspieszenia reformy. Takim fałszywym argumentem jest, że chwila jest odpowiednią, bo tu nie chodzi o chwilę, lecz o całe lata, nie o zaprowadzenie, lecz o utrzymanie zaprowadzonej nowej waluty. Reforma waluty to zupełnie inna operacya, jak jaka emissya czy konwersya; dla nich trzeba czekać i wybrać chwilę odpowiednią, bo gdy ona raz się powiodła, to następne dzieje tego papieru emitenta nie dotyczą—on już otrzymał, co miał otrzymać. Ale inaczej przy walucie; drobna korzyść, osiągnięta ewentualnie przez korzystną emissyę pożyczki dla zyskania kruszcza, jest *niczem* w porównaniu do rzeczy głównej, o którą tu cho-

dzi, to jest do stałej wartości pieniądza. Łatwość postarania się o kruszec bez naruszania stosunków innych państw, ztąd widoki łatwego utrzymania nowej waluty, a nie korzystna sposobność umieszczenia nowej pożyczki, są tu decydującymi. Pożyczka poszła łatwo Włochom, i ich nowa waluta została na papierze.

Również fałszywym jest argument *beati possidentes*: że bylebyśmy raz mieli walutę złotą, to ją łatwo utrzymać. Przeceniany przez wielu poseł Bamberger pytał raz, co by miało być odstrasżającego dla państwa w drożeniu jego pieniądza? Jestto ciasne stanowisko handlarza, który się cieszy, gdy jego towar w jego ręku między chwilą nabycia a pozbycia podrożał; ale pieniądz nie jest dla społeczeństwa towarem do zbycia; on i środkiem obrotu i miarą zobowiązań, ztąd niepożądanymi są zmiany jego wartości, nawet znaczne zmiany jego ilości. Owszem, jak już wyżej widzieliśmy, drożenie złota jest klęską dla państw, już mających złotą walutę; na dalszem jego drożeniu to państwo ucierpi najmniej, które najpóźniej przejdzie do złotej waluty, które już uwzględni *a priori* zaszkłe tymczasem i mogące skutkiem jego akcyi nastąpić dalsze podrożenie złota. I ten argument przeto nie zdoła do pospiechu z reformą nakłonić.

Ale czy chwila jest istotnie odpowiednią? *Finansowo* zapewne, dzięki uchynieniu niedoboru; ale i ten wzgląd nie nakazuje pospiechu, bo należy mieć nadzieję, że osiągnięta równowaga nie zostanie utraconą, a im więcej wzmochną się finanse państwa przed zaciąganiem pożyczki walutowej, tem mniej stosunkowo zaciąży ona na budżecie państwa. *Polityczne* stosunki, widoki utrzymania pokoju w epoce przeprowadzania reformy, nie mają rzeczą oceniać; doświadczenia r. 1859 i 1866 powinny tu być przestrożą. *Ekonomiczne* stosunki świata są takie, że Austria reformę swą jedynie nader zwolna, stopniowo zdoła przeprowadzać. Pamiętajmy, że Anglia jest jedynym krajem, w którym zobowiązania, względnie bilety bankowe, muszą być złotem zapłacone; w Niemczech, Francyi, Hollandyi, Stanach Zjednoczonych, można do dziś taksamo wypłacać srebrem—a właśnie teraz myśli Anglia o *powiększeniu* własnej rezerwy złota, i tam żądano zapewnień, że Austria swą reformą nie narazi banku Anglii

na znaczny odpływ złota. Sama pogłoska, że Austria będzie sprzedawać srebro celem nabycia zań złota, podrożyła złoto w stosunku do srebra o kilka procent; świadczy to o wysokiej drażliwości targu angielskiego w sprawie popytu za złotem, uchyla wszelkie optymistyczne illuzye co do łatwości otrzymania złota, a więcej jeszcze co do utrzymania go w obiegu. I dlatego też, wobec niepewności co do przyszłego ukształtowania się wartości złota, strona *prawna* reformy, tj. obliczenie w nowej walucie wartości długów powstałych za dawnej waluty, przedstawia się tem więcej sporną i skomplikowaną.

W kierunku złotej waluty należy przeto uczynić *tylko tyle*, ile jest ściśle koniecznem, tylko ten jeden krok, który jest potrzebny, aby znieść walutę papierową i zapewnić nam stale pari z temi krajami, z któremi nas łączą najżywsze stosunki handlowe. Na to potrzeba znieść niewymiennosc not rządowych i biletów bankowych, oraz stworzyć złotego guldena, otwierając równocześnie mennice dla bicia złota na rachunek prywatny. Charakter monety obiegowej należy jednak utrzymać zarówno dla not rządowych i banknotów, jak dla srebrnych guldenów, a bynajmniej nie ograniczać go tylko na monety złote; tak tylko zapewniamy rządowi i bankowi austro-węgierskiemu, któremu przeważny udział w tej reformie przypadnie, możność wypłaty ich not złotem lub srebrem—tak tylko zdołamy stworzyć rękojmię, że zgromadzone przez rządy i bank zasób złota nie będzie bez wszystkiego narażony na zaczepki i uszczuplenie nadmierne przez kruszcową spekulacyę. Jeżeli bankowi Anglii jest ciężko sprostać zadaniu wypłaty wszystkiego złotem, to trudno takie zadanie wkładać na rząd czy bank austro-węgierski. Jedynie anormalną zwyżką dyskonta swego mógłby w tym razie bank skutecznie bronić swego złota, a ta podwyżka dyskonta głównego banku na 6%, a może i więcej, musiałaby zgubnie oddziaływać na wszystkie stosunki kredytowe, na całe gospodarcze życie w monarchii. Degradując srebro na monetę zdawkową, musiałby rząd odebrać od banku owe przeszło 160 milionów srebra, jakie bank ma w swym zapasie kruszczowym; musiałby rząd wszystkie swe noty pokryć, względnie wykupić złotem, przez co potrzeba złota i wydatek na regulacyę waluty

wzrosłyby znacznie a niepotrzebnie. Że o sprzedaży srebra niema teraz nawet co myśleć, to stwierdziła dobitnie owa zniżka londyńska, jaka zaszła na samą pogłoskę o zamiarze sprzedaży. Zasób srebrnej monety obiegowej jest zresztą i sam przez się i stosunkowo nieznaczny—cenią go na 180—200 milionów guldenów; zatrzymując ją i nadal jako monetę obiegową, będziemy mieli srebra absolutnie mniej niż Niemcy, a znacznie mniej i absolutnie i relatywnie niż Francya lub Stany Zjednoczone albo Hollandya, a i różnica między nominalną a realną wartością srebrnej obiegowej monety będzie o wiele mniejszą w Austryi, niż w tych wszystkich krajach. Zatrzymując srebro, jako monetę obiegową, nie otrzymamy wykończonej wszechstronnie waluty; będziemy mieć tylko walutę ułomną, wadliwą samą w sobie, noszącą niezatarcie charakter tymczasowości. Ale tę wadliwość, tę tymczasowość mają waluty wszystkich państw obecnie, a jeżeli te inne mocarstwa nie regulują ostatecznie swej waluty, nie czynią kroku stanowczego, bojąc się jego skutków, i już lata całe zachowują rezerwę—to ta rezerwa jest tem więcej wskazaną i uzasadnioną dla Austryi. Im mniej złota zapotrzebujemy od razu, im mniej nasz obieg monetarny będzie od samego złota zależnym, tem mniej wpłyniemy na podrożenie złota, tem mniej będziemy w stosunku swego obrotu i obiegu zależni od każdej oscyllacyi gwałtownej w popycie za złotem.

Złotej waluty potrzeba nam dla wypłat międzynarodowych; dla obiegu ściśle wewnętrznego jest ona niepotrzebną; to też ten obieg może i nadal opierać się głównie na srebrze i papierze. Wobec tego też nie należałoby ze złota bić niższych sztuk, jak 10 guldenów; im niższe sztuki złote, tem więcej i szybciej zużywają się one przez starcie, tem więcej wchodzą w codzienny obieg, gdzie są niepotrzebne, tem trudniejszym zadanie banku utrzymania dostatecznego zasobu złota. Na konferencyi r. 1881 (*Procès verbaux* I, str. 221, II, str. 20) rozważano też kwestyę wycofania z obiegu wszystkich sztuk niższych niż 20 franków, obliczono, że ta oszczędność w—niepotrzebnem—użyciu złota uczyniłaby 1500 milionów fr.! A obecnie znów myśli Goschen o emissyi not jednofuntowych, zaznaczając, że woli mieć 20 mil. £. złota w specjalnej rezerwie na wszelkie wypadki, niż 30 mil. £. w kie-

szeniach obywateli. Tem mniej należy myśleć w Austryi o tworzeniu sztuk złotych dla codziennego użycia; można i należy ograniczyć się tylko do bicia złotych dziesięcioguldenów. Dla codziennego obiegu natomiast koniecznem jest stworzenie nowej—tak dającej uczuć swój brak—sztuki monety zdawkowej, a mianowicie sztuki 50 centowej; te półguldeny są istotnie potrzebne, a natomiast można wycofać 25 cent., których i tak jest bardzo mało w obiegu. Wycofałyby też należało noty jednoguldenowe, aby w ten sposób większy obieg srebra zapewnić i ułatwić. Nie przeciaży to nikogo, bo już na 5 i na 10 guldenów będzie papier—wymienny naturalnie na żądanie—i będą złote 10 guldeny.

Ale *ile złota mają zawierać* te sztuki? To najważniejsze, ale i najtrudniejsze pytanie w całej sprawie reformy. Podniesiono w tym kierunku wiele sprzecznych z sobą projektów. Jedni mówią, że gulden to było  $\frac{2}{3}$  talara, a ztąd ma go ustawa teraz zrównać z 2 markami; drudzy chcą, aby podstawę tworzył tu przeciętny kurs guldena z szeregu ostatnich lat; inni znów, aby celem nienaruszania stosunków uznać kurs guldena w chwili ustanawiania relacji za jedyną podstawę; wreszcie inni, aby oprzeć się nie na kursie guldena, lecz na cenie srebra, i tu znów jedni chcą ceny przeciętnej z ostatnich lat, inni ceny w chwili reformy waluty.

Wobec tylu sprzecznych projektów, które poczęści nie na poczuciu słuszności, lecz na poczuciu interesów się opierają, należy uwzględnić, czego domagałoby się austryackie ustawodawstwo. Należy więc naprzód przypomnieć, że w myśl ustawy monetarnej z r. 1857, nie uchylonej ani nie zmienionej dotąd — bo owo *rozporządzenie* ministeryalne z r. 1879 nie mogło zmienić *ustawy*—jest gulden austryacki  $\frac{1}{45}$  funta czystego srebra. Ile za tę  $\frac{1}{45}$  funta srebra należy się złota, tego austryacka ustawa nigdy nie orzekła; t. zw. ośmioguldeny były i są tylko monetą handlową, nie uposażoną w walutę, jedynie przy opłatach cłowych miały one znaczenie. Ztąd też z legalnego ściśle stanowiska wobec braku ustawowej relacji może i powinna cena srebra służyć za podstawę do obliczenia należnej zawartości złota, a spór mógłby się toczyć tylko o to, czy przeciętną, czy ostatnią, czy przyszłą cenę srebra należy wciągnąć w rachubę.

Stanowisko to byłoby godne charakterystyki: *summum ius summa iniuria*. W czasie pisania tej rozprawy zeszła cena srebra na  $41\frac{1}{4}$ , co odpowiada relacji 1 : 22.86, odpowiadałoby zrównaniu guldena 1.35 marki, podczas gdy kurs guldena wynosi więcej niż 1.70 m. Bez ogromnego wstrząśnienia wszystkich stosunków obejśćby się tu nie mogło, jakkolwiek trzeba przyznać, że przytoczony za wyłącznem uwzględnieniem ceny srebra argument, iż nie mamy prawa więcej przyznać wierzycielom, niż im ustawa obiecywała, a to jest ekwiwalent  $\frac{1}{45}$  srebra, jest ważnym i poważnym.— Idea uznania dwóch marek za ekwiwalent guldena opiera się tylko na historycznych reminiscencyach stanu, jaki miał niegdyś istnieć, byłoby to powtórzeniem — w nowem powiększonym wydaniu — błędu, uczynionego przy zmianie waluty w Niemczech. Od rzeczywistości oddala się ta idea równie daleko, jak ostatnia cena srebra od wartości guldena; niema ona żadnej realnej podstawy i żadnych widoków.

Ale taksamo — choć z innych powodów — nieodpowiedniem jest uwzględnianie tylko kursu guldena. I tu należy przypomnieć, cośmy wyżej mówili, że przyjęcie złota w walutę Austrii, odcinając sumy nader znaczne z dotychczasowego monetarnego użycia, musi je podrożyć, i ztąd niesłusznem jest pomijać tę konieczną zwyczajną wartość złota. Byłoby to niesprawiedliwem i nieracyonalnem, zmuszałoby do odmiennego obliczenia wartości guldenów, będących w obiegu, a wartości długów, oznaczonych nominalnie w guldenach.

Ostatni ten postulat podniesiono kilkakrotnie pod osobną nazwą „prawnej relacji.“ Stawiono żądanie, aby długów nie obliczać jednolicie w nowej walucie, ale raczej podług kursu guldena w epoce powstania długów. I w tym celu proponowano osobną tablicę redukcji dla każdego ważniejszego okresu: i tak 1857—1866, 1866—1879 itp. Jestto stawianie problemu, którego nikt rozwiązać dobrze nie zdoła, a im więcej tu się wysilać będzie sztuka absolutnej sprawiedliwości, tem mniej naturalnym, tem mniej sprawiedliwym byłby ostateczny rezultat. Kurs żadnego papieru nie zależy przecież od roku jego emisyi; wyznaczanie tu różnej wartości podług roku emisyi, taksamo jak wyznaczanie np. przy długach hipotecznych znów różnej wartości zależnie od roku powstania długu,

czego nikt nigdy nie uwzględnił przy kupnie, byłoby nieuzasadnionem i niesprawiedliwym naruszeniem gospodarczych stosunków. Ideę tę też trzeba zupełnie odrzucić.

Jedna tylko słuszna myśl jest w niej zawarta, a mianowicie, że przy oznaczaniu zawartości złota w guldenie trzeba pamiętać, iż ten nowy pieniądz ma być nie tylko środkiem obrotu, lecz także nową miarą zobowiązań. Gdyby on tylko tę pierwszą funkcję spełniał, to możnaby zadowolnić się uznaniem kursu guldena w chwili reformy za podstawę dla obliczenia ilości złota jaką ma zawierać. Ale ten nowy pieniądz stanie się i nową miarą wartości, miarą ciężaru wszystkich prywatnych i publicznych zobowiązań. I dlatego też ani ostatni kurs, ani przeciętny kurs ostatnich lat nie odpowiada jeszcze temu postulatowi. Tu trzeba uwzględnić podrożenie złota, jakie nastąpić musi skutkiem reformy austriackiej. Ten, co tylko może kupić a nie kupuje istotnie, ten niema wpływu na cenę, a ona się zmieni, wzrośnie, gdy on wystąpi istotnie jako kupiec, gdy zażąda dla siebie znacznej części będącego na targu towaru. Na każdym jarmarku można się o tem przekonać. I nie było ekonomisty, któryby był twierdził, że przy dobrach rzadkościowych—jakimi są kruszce—może wzrost popytu nie wywołać dążności zwyżkowej. Uznają to wszyscy w teorii i nie można przypuszczać, aby zapomnienie o tem przy rozwiązaniu praktycznem problemu waluty było tylko omyłką teoretyczną. Naturalnie ustawa może powiedzieć, że gulden jest równy np. 1.72 marki, może polecić, aby 10 guldeny złote miały tyle złota co 17.20 marek—ale ona nie zapewnia, że wartość tych 17.20 marek nie pójdzie w górę. Owszem przeciwnie, gdy ta ustawa wejdzie w życie, to skutkiem tego wzrośnie wartość złota, wzrośnie siła nabywcza owych 17.20 marek, wzrośnie ciężar wszystkich stałych zobowiązań. O ile wzrośnie, tego nikt stanowczo oznaczyć nie zdoła; wszelkie próby obliczenia procentowo wpływu na cenę danych zmian w ilości popytu i podaży, są bez wartości—tu możemy tylko szacować, bez pewnej dowolności to się załatwić nie da. A więc nie kurs ostatni, ale prawdopodobna podwyżka wartości złota winna tworzyć podstawę obliczenia zawartości złota w guldenie (nie 1.72, ale np. 1.62 m. lub mniej). Zaznaczam tu, że i znakomity profesor wie-

deńskiego uniwersytetu, K. Menger uznaje za słuszne uwzględnienie tego podrożenia <sup>1)</sup>). Jedyne uwzględniając to podrożenie, możemy, bez specjalnych dalszych obliczeń, tego nowego guldena użyć i za środek obrotu i za miarę dawnych zobowiązań. Nie chcemy krzywdy niczyjej, nie chcemy nikomu uszczuplić jego dochodu z procentów, dać mniej, niż mu się należy, ale taksamo nie chcemy dać więcej, ani ignorowaniem wpływu reformy waluty na wartość złota powiększyć siłę kupna dochodu wierzycieli z krzywdą dłużników i producentów.

Znaczne podrożenie złota wywołałoby odrazu ogólne przesilenie, mogłoby na szwank narazić całe dzieło reformy. Pamiętajmy, że o tyle potężniejsze Niemcy, z 5-cio miliardową kontrybucją w rękę, utknęły w połowie drogi! To też trzeba się Austro-Węgrom zadowolnić uczynieniem tylko tego, co ściśle koniecznem: jedynie *ograniczyć się na wprowadzeniu złota do swej waluty*—jak to uczyniła Hollandya—nie rzucać się na przejście do złotej waluty, jak to Niemcy postanowiły, a nie zdołały wykonać. Im skromniejsze postawimy zadanie, tem łatwiej je wykonamy, tem mniej będzie złota dla Austrii potrzeba i ono mniej podrożeje, co znów zmniejszyć może niezbędną różnicę między faktycznym kursem a słuszną ustawową zawartością guldena w złocie. Oznaczenie tej zawartości w drodze ustawy winno też być pierwszym krokiem stanowczym w tej sprawie; oznaczenie dalszych szczegółów reformy, taksamo jak terminu podjęcia wyplat kruszcem, może nastąpić później, w ciągu gromadzenia zwolna potrzebnych zapasów złota.

Na reformę waluty, uwzględniającą stawione tu postulaty, możemy się zgodzić, możemy ją nawet ze względu na interesa monarchii i Galicyi uznać za pożądaną. Królestwo nie będzie bezpośrednio skutkami tej reformy dotknięte; ono może nawet zyskać rodzaj premii eksportowej w razie sta-

<sup>1)</sup> Zob. *Allg. Juristen Zeitung*, r. 1892 Nr 13, odczyt prof. Mengera *Von unserer Valuta* str. 128: *Die Wahl der Ziffer wird hoffentlich das Ergebniss einer gerechten Abwägung der Course der Vergangenheit und des Momentcourses sein. Auch das voraussichtliche Steigen des Goldes sollte nicht ganz unberücksichtigt bleiben.*

nowczego podrożenia złota; natomiast da ona się uczuć ujemnie naszym rolnikom w zaborze pruskim, w kraju już złotej waluty; położenie dla nich tem trudniejszym stać się może, że traktaty handlowe ułatwiły zagranicznym płodom rolniczym współzawodnictwo na ich targach zbytu, a znów reforma waluty w Austrii może wywołać dalszą tendencyę zniżkową cen. Pod ciężarem złotej waluty cierpi tam rolnictwo już 18 lat, a niestety uzasadniona jest obawa, że ten ciężar znów wzrośnie, choćby tylko czasowo.

Dla Austrii nie będzie ta reforma stanowić rozwiązania monetarnego problemu, ale będzie zawsze krokiem naprzód na drodze do rozwiązania, krokiem ważnym ku lepszemu.

Reforma ta Austrii ma i doniosłe teoretyczne znaczenie. Stwierdza ona, że bez międzynarodowego uregulowania kwestyi monetarnej, bez bimetalizmu, złota waluta coraz to dalej rozszerzać się musi, gotując przez to samo ową Gosczenowską *crise plus désastreuse que toutes celles dont le monde commercial a gardé le souvenir*. A jeżeli w Anglii mogą się niejedni pocieszać, że Anglia, jako kraj wierzycieli, nie traci na drożyznie pieniądza, lecz zyskuje, to tej pociechy my nie mamy. Nie jesteśmy społeczeństwem wierzycieli, ale społeczeństwem żyjącem nie z procentów, lecz z własnej pracy i roli. Na naszych gospodarstwach wszystkich, na naszych funduszach publicznych odbiłaby się dotkliwie każda drożyzna pieniądza. Wykluczoną ona nie jest pomimo, a po części właśnie wskutek reformy. Z ewentualnością ogólnej zniżki cen winni się przeto liczyć wszyscy nasi producenci, a rzeczą delegacyi naszej w Wiedniu będzie na to baczyć, aby reforma waluty przeprowadzoną została w takich tylko rozmiarach i w taki sposób, żeby jak najmniej wstrząsnąć istniejącemi stosunkami, żeby nie wywoływać zgubnej dla produkcji całej, dla kraju, dla państwa, międzynarodowej walki o złoto i drożyzny złota.

Dr Józef Milewski.

## Kronika literacka.

---

— *Miasta Pamfilii i Pizydy*, przy współdziale G. Niemannna i E. Petersena, wydał Karol hr. Lanckoroński. Tom I: *Pamfilia*. (Kraków, 1890). — Mamy przed sobą rezultat kilku wypraw naukowych, podjętych kosztem i zabiegami człowieka, który z czei dla pomników starożytności nie szczędził starań i trudów, by je wyrwać niszczącemu zębowi czasu i barbarzyństwu ręki ludzkiej. Świat klasyczny, wychylający się z wolna tajemniczo już - to z zabytków literackich ciągle odnajdywanych, już - to z pomników sztuki, której resztki rozrzucone zbiera skrzętnie i skupia niezmordowanie nauka, już - to wreszcie z wykopalisk tak świetnymi zaznaczających się w ostatnich czasach zdobyczami — ten świat klasyczny zachował swoje ślady, jak zresztą było do przewidzenia, i na Wschodzie. Sporadyczne badania owych krajów uprawniły do pięknych nadziei. Nieco światła rzuciły podróże francuskich uczonych, podjęte do Cylicyi, Kappadocyi, Bitynii, Pontu. Poszukiwania w tych prowincjach nie mogły jednak wobec szczupłych funduszków przybrać tak wielkiego zakresu, iżby trwalsze i obfitsze plony mogły być osiągnięte. Dopiero wyprawa Benndorfa do Licyi (której rezultaty podał *Przegląd Polski* w r. 1883), pogłębiła wiadomości dotyczące, i zwróciła uwagę miłośników starożytności na Małą Azję. Jej też zdobyczami zachęcony hr. Lanckoroński, podjął myśl zbadania ruin Pamfilijskich i Pizydyjskich. Najpierw w podróżach rekognoscyjnych zbadał teren, upewnił się co do skutków zamierzonych badań. Następnie poczyniwszy potrzebne kroki u władz tureckich, podejrzliwych i wietrzających w takich razach zamiary szpiegowcze, zorganizował wyprawę 1884 r., pozyskawszy dla swoich celów najlepszych znawców sztuki, architekta, rysownika kart i planów, fotografa, przybierając oczywiście i lekarza, niezbędnego wo-

bec uporeczywych napadów febry i innych chorób nawiedzających owe kraje. Z polskich uczonych wziął udział w wyprawie prof. Dr. Maryan Sokolowski. Ekspedycyę powtórzono roku następnego. Głównymi przewodnikami byli E. Petersen, obecny dyrektor Instytutu archeologicznego niemieckiego w Rzymie, i G. Niemann, prof. architektury w wiedeńskiej Akademii sztuk pięknych. Oni też zajęli się opracowaniem niniejszego dzieła: część historyczną, topograficzną i epigraficzną opracował Petersen, architektoniczną Niemann.

Bogaty to zaiste materyał artystyczny i archeologiczny, mimo że tom I zajmuje się tylko pomnikami Pamfilijskimi pięciu głównych miast: Adalii, Perge, Sillyon, Aspendos, Side.

Mała Azja była widownią całego szeregu najróżnorodniejszych wypadków dziejowych. Tu krzyżowały się wpływy assyryjskie i perskie, chrześcijańskie, arabskie i tureckie od wschodu; od zachodu płynie tu grecka oświata, dociera Aleksander W., Rzymianie i Krzyżowcy. Nie więc dziwnego, że o jednostajnem ukształtowaniu się kulturalnem owych krajów mowy być nie może. Jeszcze czasy rzymskich cesarzy były dla nich najszcześliwsze; to czas wypoczynku i rozkwitu, by w następnych wiekach popaść w stan martwoty i zniszczenia. Losy te dzieliła też Pamfilia. Pierwotnymi jej mieszkańcami byli Semici. Później napłynęli koloniści greccy, zachęcani malowniczym położeniem miejsca. Stało się to, wedle podania, po wojnie trojańskiej. W następnych wiekach burza wypadków przeciąga nad Adalią. Za władnięta przez Krezusa, przechodzi kolejno pod panowanie Persów, Aleksandra W., a po czasach Diadochów pod panowanie Seleucydów. Wreszcie przychodzą Rzymianie, którzy w większej lub mniejszej zależności od siebie postawili miasta, tak, że niektóre mogły połączyć się z Pergamum. Wespazyan utworzył z Licyi i Pamfilii prowincyę cesarską, a od Hadryana jest senatorską. Odtąd nastają, jak wspomnieliśmy, czasy pokoju i dobrobytu; one też zostawiły liczne budowle.

Z pośród miast pamfilijskich, swym charakterem uderza *Adalia*, starożytna Attaleia, miasto Attalosa (Attalos II Philadelphos, około połowy II w. przed Chr.). Koloniści pergameńscy przynieśli też kulturę z ojczyzny i wyobrażenia religijne. Świadczą o tem znalezione monety i napisy. Bezsprzeczne są jednak także wpływy miast sąsiednich. Piętno trwalsze wycisnęły następnie czasy Hadryana, który zwiedzając Wschód, był nawet osobiście w Adalii. Z tego też czasu pochodzi ze wszystkich budowli najciekawsza, *brama*, wybudowana na cześć Hadryana, prawdopodobnie przez jakiegoś prywatnego ofiarodawcę, jak wiele budowli pamfilijskich. Stanowiła ona jeden z głównych wjazdów do miasta od strony wschodniej. Dziś zakopana do głębokości kilku stóp i tylko od zewnątrz widoczna. Roku 1884 zrestaurowano ją w części przez wzniesienie słupów, przeznaczono-

nych do podtrzymywania głównych architrawów. Brama ma trzy arkady, zupełnie równe, przykryte sklepieniami półkulistami. Przed każdym z czterech słupów stoi jedna kolumna, po nad każdą z ośmiu kolumn wznosi się belkowanie wspierane przez konsole. Ornamentacja rzeźbiona, nadzwyczaj bogata. Po nad tym lukiem było jeszcze do niedawna drugie piętro w innym rozkładzie kolumn. Na architrawie jaśniał napis dedykacyjny. Brama wciśnięta była między dwie wieże, z których jedna nosi nazwę wieży Julii Sonety i przynależą czasom Hadryana, druga jest starożytna tylko w niższej części. — Za to wielką starożytność przedstawia budowa murów, opasujących miasto i port. Sędziwością swoją sięgają one czasu Attalosa, zwłaszcza w wieżach, które w pewnych odstępach wzmacniały mur. Mimo zmian, przeistoczeń i dopełnień, jakim w ciągu wieków ulegały, zostają i dziś w tych miejscach, które im niegdyś zakresłono. Mur portowy tworzył silnemi bastyonami wązki przystęp do portu. Dzisiejsza budowa murów tem jeszcze ciekawa, że w nich napotykamy inne pomniki, użyte do wzmocnienia, tak że obok kolumn świątyni, wiele tu jest grobowców z napisami i płaskorzeźbami grobowemi. Reszta pomników w ruinie: śladów trzeba szukać po podwórzach domów lub w praktycznem zastosowaniu, np. sarkofag użyty za zbiornik wody. Sarkofagi adalijskie są tem interesujące, że ozdóbione bywają dwiema Wiktoryjami. Są też na nich rzeźbione sceny mitologiczne i myśliwskie. Posągów Adalia niema, bo te zostały zabrane do upiększenia Konstantynopola. Późniejsze peryody historii Adalii zachowane są w pomnikach chrześcijańskich i muzułmańskich. Z pierwszych godne wspomnienia są pozostałości bazyliki, która w części należy do II wieku po Chr., przeważnie jednak do VII. Z mahometzańskich budowli podnieść można minaret, pokryty glazurowemi ceglami, a zwłaszcza wspaniałą bramę wchodową jednej medresse.

Na północny wschód od Adalii, w kilka godzin drogi napotykamy ruiny miasta *Perge*, pamiętnego marszami Aleksandra W., a później podróżami apostołskimi św. Pawła i Barnaby. Sama akropolis w *Perge* stanowi część najdawniejszą. Mury wraz z wieżami fortyfikacyjnemi nie mają już stylu pergameńskiego, lecz odznaczają się charakterem greckim, a nawet układem przypominają czasy hellenistyczne — mogą więc pochodzić z epoki Seleucydów. *Perge* najwięcej zwraca uwagę teatrem imponującej wielkości, opartym o pochyłość wzgórza sąsiadującego z akropolis. Miejsce dla widzów zachowane tu w całości. Scena zawałona przeważnie rumowiskami budynku tylnego, który osunął się na scenę i zawałił też część orkiestry. Ganek (diadzoma) dzieli rzędy siedzeń na dwa piętra, podzielone promieniami schodów (13 w części niższej, 25 w części wyższej). Do diadzoma prowadzą cztery galerye sklepione, któremi widzowie dostawali się z zewnątrz (zapewne po schodach dziś zniszczonych), o ile

główne wejścia między przestrzenią dla widzów a skrzydłami sceny (paraskenia) nie wystarczały. Co do rozmiarów, teatr ten mógł pomieścić co najmniej 12 tysięcy widzów — należy więc do największych teatrów starożytnych. Niedaleko teatru wznosi się *stadion*, zbudowany z kamieni ciosowych, o torze 234 mtr. długim. Stopnie z lawkami kamiennymi miały przeszło 11 tysięcy miejsc przeznaczonych do siedzeń. Wejście zdobiła kiedyś wspinała brama, z której dziś tylko resztki pozostały.

Z akropolis pergejskiego rzuciwszy okiem w stronę wzgórzy pizydyjskich, napotkamy akropolis *Sillyonu*, osady greckiej pochodzenia argińskiego, jak Perge, co poświadczaają nazwy bogów na napisach i monetach.

Sillyon wznosi się na szczycie wysokiej góry. Na stoku południowym piętrzące się stopy kamieni, mieszczą w sobie ślady starych fundamentów, wodociągów i cystern. Droga, prowadząca na zamek, opatrzona była 2 bramami, których luki dźwigają anty, ozdobione jońskimi kapitelami. Na samej górze zamkowej zwraca uwagę grupa budowli, leżących na krawędzi góry skutkiem odrywania się złomów skalistych. Na pewnym wzniesieniu stoi świątynia, której jedna ściana już się oberwała. Inne domy są również mocno uszkodzone, w szczegółach ciekawe dokładnością w wykonaniu i naturalnem spojeniem ciosów. Zresztą pełno tam gruzów z różnych epok, dziś w części pokrytych gąszczem i ziemią, czekających aż ich ręka badaczy wyłoni i ich szczątki w celach nauki zużytkuje. Poszukiwania hr. Lanckorońskiego i towarzyszy wydobyły na wierzeh i tak, co tylko dało się w danej chwili wyzyskać. Mało stosunkowo wiadomości dają ruiny stadionu i dwóch teatrów sillyońskich.

Ze Sillyonu można widzieć w kierunku południowo-wschodnim akropolis *Aspendos*. Miasto, niegdyś handlowe i portowe, położone nad Eurymedontem, stanowiło w starożytności punkt centralny werbunków najemniczego żołdactwa a zwłaszcza procarzy, do czego może alluzya w samej nazwie miasta. Różne wypadki odegrały się tu w ciągu wieków. Aspendyjszczyce nie tylko oparli się żądaniom Trazybula, kiedy tu przybył r. 390 dla ściągnięcia haraczu z miast greckich, ale nawet odważyli się odmówić daniny Aleksandrowi W. Bogactwa zapewniała oliwa, wełna, a w szczególności sól i zboże. Wśród dobrobytu miasto przyozdabiało się dziełami sztuki, które wywiózł znany zdziereca Verres, bawiący tu jako kwesor namiestnika Dolabelli. Najznakomitszym budynkiem w Aspendos, jest *teatr*. Teatr ten zajmuje wybitne stanowisko w historii architektury starożytnej. Dlatego, mimo że już opisał go Texier (*Description de l'Asie Mineure*) znalazł w dziele hr. Lanckorońskiego szczegółowy opis, uzmysłowiony kilkoma figurami i tablicami. Stopnie miejsca siedzeń zostały znacznie naruszone. Z obu stron krańców półkola prowadzą szerokie korytarze, któremi do siedzeń dochodziło się

z dołu. Orkiestra, wybrukowana płytami kamiennymi. Główną i najważniejszą częścią jest zabudowanie sceniczne, którego zewnętrzna strona jest wybornie zachowana. Fasadę jej znamionuje tasama właściwość, co późniejszą pałacową architekturę z epoki renesansu, a mianowicie, że jedno jej piętro góruje w całej budowie, a inne są co do rozmiarów podporządkowane tamtemu. Strona zwrócona do amfiteatru była ozdobiona 40 kolumnami, które parami dźwigały belkowanie zakończone frontonami. Dół ma 5 drzwi, zaś piętra wyższe po kilka nisz. Z ozdób sceny mało się zachowało, ale resztki, znajdujące się zewnątrz i wewnątrz teatru, świadczą, że one tu były. Niema też w niszach figur rzeźbowych, które z pewnością były pomieszczone i słusznie w dopełnieniu dekoracji przedstawiono je. Mniej bogactwa przedstawiają paraskenia. Czy *logeion* było pokryte dachem, trudno z pewnością orzec, mimo że inne teatru takie dachy nad sceną mają, być może w celach akustycznych. W aspendyjskim teatrze jedyną wskazówką istnienia takiego dachu byłoby wyźłobienie w ścianach bocznych. Ważną natomiast rzeczą jest, że wskutek silnie wysuniętych gżemsów, budowa sceny wyklucza ruchome dekoracje. Bogata dekoracja ściany tylnej dość silnie sprawiała wrażenie sama przez się, tak, że zbyteczne były wszelkie drewniane rusztowania i malowidła. — Aspendos miało swój wodociąg, który sprowadzał wodę z gór do akropolis. Wodociąg był urządzony na podstawie naczyń połączonych. Woda spływała w rurach zamkniętych, spartych na arkadach, z pochyłości na dolinę, ale i podnosiła się w górę, do czego też pomagały jej wieże hydrauliczne.

W tej samej linii co Adalia, leży w stronie wschodniej *Side*. Miasto to niegdyś współzowodniczyło nawet z Aspendos, a sława Sidetan, jako dzielnych wojowników na morzu, była daleka. Dziś okolica opustoszała, niezdrowa, swoim zaraźliwym klimatem odbiła się też na członkach wyprawy, powodując przerwę w poszukiwaniach. Ruiny sideckie, mimo dawnego bogactwa i świetności tego miasta, nie zawierają tyle pamiątek, ileby można się spodziewać. Pierwotny obwód starego miasta został zwężony z czasem i otoczony murem o jednej wieży, dziś przeważnie zniszczonym. Bazylika z swemi dopełnieniami, przedstawia zwykle tego rodzaju budowle. Za to za miastem spotykamy się z osobnym typem architektury, znajdującym się wprawdzie i w innych miastach, jak Perge i Aspendos, ale tu najwierniej i najlepiej zachowanym. Są to *nimfea*. Dotąd mało wiedziano o tych zabytkach starożytnych. Odkrycia hr. Lanckorońskiego rozświeciły dotyczącą kwestyę, a nadto wytlómaczyły przeznaczenie innych budowli t. zw. *septidzonów*. Otóż dziś na pewne twierdzić można, że obie te nazwy należy łączyć ze sobą a nawet często identyfikować. Pomniki te, jak i inne t. zw. *exedry*, stanowiły zakończenie wodociągów. Bujna fantazyja starożytnych,

ujawniająca się nawet w życiu praktycznym, nie pozwoliła, by wodociąg kończył się zwykłą rurą, lecz wymyśliła ozdobne fontanny, z których z czasem powstały osobne gmachy, a mianowicie *exedry* (znane nam przedewszystkiem z *exedry* Herodesa Attika w Olimpij), t. j. nisze, wypuszczające wodę strumieniami — i wspanialsze od tych, *nimfea*. Były one pierwotnie prostymi grotami; z czasem przemieniały się sztucznie w nisze, ubrane kolumnami. Na dalsze dekorowanie tych miejsc miał wpływ teatr i czasami one nawet przylegają do teatru, lub biorą kształt orkiestry teatralnej. Być może, że w tryskających strumieniach wody wyobraźnia widziała tańczące chóry nimf i tak przenosiła się łatwo do teatru; jak tam za chórami wznosił się front pałacu, tak tu budowała świątynię nimf. Nawet otwory nimfeum wykazują liczbę, zgodną z liczbą drzwi w ścianie sceny. Nie brakło tu i siedzeń jak w teatrze. Całość robiła imponujące wrażenie wspaniałego pałacu wodnego. Miejsca wolne z otwartym widokiem przy głównej ulicy a często w sąsiedztwie teatru obierano dla tych gmachów. W Side był on najwybitniejszą ozdobą miasta. Składał się z wysokiej ściany o trzech niszach, ozdobionych kolumnami, podtrzymującemi belkowanie, i z bassenu, do którego woda wlewała się 9-ciu strumieniami. Baryerę bassenu z przodu tworzyły płyty, pokryte płaskorzeźbami, głównie wyobrażającemi bogów w scenach miłosnych, tudzież amforami, przyjmującemi wodę, która wylewała się z bassenu. Nimfeum w Side uderzająco podobnem jest do *septidzonium* Septimiusa Sewera w Rzymie. Stąd naturalny wniosek, że budynki zwane septidzoniami, które uważano dotąd za obserwatorya astronomiczne, były niczem innem, jak nimfeami. Tylko że nazwa nimfeum głównie oznaczała bassen, septidzonium zaś ścianę z jej dekoracyami, aczkolwiek obie nazwy były używane i o całości. — Prócz nimfeum ważną pozostałością z dawnych budowli w Side są ruiny *teatru* z dość dobrze zachowaną przestrzenią dla widzów. Teatr ten różni się tem od innych teatrów małoazyatyckich, że nie opiera się o górę, lecz jest zbudowany prawie na równym gruncie z małym podmurowaniem. Publiczność dostawała się z zewnątrz i odrazu zajmowała całą *cavea*, co było łatwiejszą rzeczą niż w innych teatrach wzniesionych na górach.

To byłaby wzmianka o ważniejszych ruinach budowlanych 5 głównych miast Pamfilii. Tom II dopełni obrazu, przedstawiając pizydyjskie gruzi, należące do tej samej epoki. Ogólną jednak charakterystykę tych budowli, podobnie jak poprzednich, znajdujemy w przedmowie do dzieła, pochodzącej od samego wydawcy, który barwnie i żywo kreśli najświeższe, a zatem najbliższe wrażenia, odczute z całą wrażliwością i smakiem znawcy. Prawie wszystkie miasta pizydyjskie wzniesione są na skalistych szczytach i przypominają swem położeniem zamki rycerz-rabusiów w wiekach średnich. Znajdujemy w nich mimo tego po-

łożenia — co nawet dziwna — mnóstwo pomników: teatru, odeony, wspaniałe świątynie, grobowce, tudzież pełno ozdób plastycznych na budowlach i grobowcach. Z miast trzy są najważniejsze: Kretopolis, Semna, a przedewszystkiem Sagalassos. Bogate w ruiny są też Termessos i Selge.

Wiele także znaleziono w Pamfilii napisów, które skrzętnie zebrano i przedstawiono. Powiększają one bogaty materiał inskrypcyjny, pomieszczony dotąd w różnych zbiorach, a dotyczą rozmaitych celów, w jakich sporządzone zostały odnośne przedmioty, na których były pomieszczone. Niektóre, ważne dla charakteru pisma, reprodukowano cynkograficznie według odbić papierowych.

Wogóle krótki przebieg po równinach pamfilijskich według publikacyi hr. Lanckorońskiego, przekonuje nas o świetności, w jakiej znajdowały się miasta Małej Azji. Życie tu było pełnem tętnem. Na tle dobrobytu, który zapewniała urodzajna ziemia, obfite płody i handel, rozwinęła się wysoko oświata. Hellenizm walczy z miejscowemi wpływami pierwotnej ludności, a z Aleksandrem W. zdobywa kompletną przewagę. Czasy rzymskie godzą greckie i rzymskie wpływy i wytwarzają hellenisko-romańską oświatę, która ustala na jakiś czas ciągle to falowanie, a przy pomyślnych okolicznościach do pewnego stopnia samoistnie się rozwija. Z nowemi prądami wchodzi w bieżący czas nowe czynniki. Starochrześcianańska bazylika, fortyfikacje bizantyńskie, mahometańskie budowle zaznaczają różne warunki, w jakich znalazły się owe miejscowości, których pomnikami zajmuje się dzieło hr. Lanckorońskiego, przedstawiając je w znakomitych reprodukcjach, dokładnych rysunkach, przekrojach i pomiarach, oraz w ścisłym rozbiórce naukowym. Rzecz o tak szerokim zakresie obejmuje różnolity materiał, z którego skorzysta i badacz dziejów sztuki i historyk i językoznawca w swoich zagadnieniach. Wobec takich zdobyczy nietylko sztuka, ale i historia oświaty zapisze w wdzięcznej pamięci imię hr. Lanckorońskiego.

*W. Śmiałek.*

— *Patrycyjat i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII wieku*, przez Władysława Łozińskiego. Wydanie drugie znacznie pomnożone, ze 107 rycinami w tekście (Lwów. Gubrynowicz i Schmidt, 1892, 8vo., str. 434).—Nie mówimy tym razem o książce, której sława dość jest rozszerzona i głośna. Dowodzi tego, a i za naszą publicznością świadczy, fakt, że rok jeden wystarczył na wyczerpanie pierwszego wydania, a drugie okazało się potrzebnem. Nie będziemy już nic wychwalać tym razem, tylko chcemy zapisać sucho i krótko, czem się to drugie wydanie różni od pierwszego.

Nie jestto bowiem powtórne odbicie tego samego tekstu, ale dzieło uzupełnione wieloma nowemi szczegółami, które objętość jego podnoszą o jedną trzecią część, a podnoszą także i wartość.

Wszystko niby zostaje jak było; ale w jednym miejscu przybywa sprawa między kupcami i rzemieślnikami, jako ilustracya opisanych w pierwszym wydaniu stosunków, na innem znowu przybywają wiadomości o osobach, jeszcze na innem o warstwach ludności (ormianach, przedmieszczanach i t. d.), a w zakończeniu przybywają nowe rysy do charakterystyki lwowskiego mieszczaństwa. Jestto więc dzieło to samo, ale obraz cywilizacyjnego stanu, rozdział do historii kultury polskiej, jest w tem drugim wydaniu zupełniejszy i bogatszy niż w pierwszym, zatem i wartość dzieła podniosła się, choć tego nie potrzebowała.

Z takich rzeczy nowych, dodanych na podstawie aktów, które autor po pierwszym wydaniu w lwowskich archiwach wyanalizował, wymienić należy przedewszystkiem rozdział drugi, prawie w całej osnowie dodany, a odnoszący się do handlu miasta Lwowa, do głównych artykułów tego handlu, do jego dróg, pieniężnego obrotu, agentów, ceny różnych towarów i t. d. Za tem idzie sądownictwo miejskie, organizacya władz miejskich, i wynikające z niej zatargi między bogatą oligarchią a skromnym rzemieślniczym plebsem, coś na kształt florenckiego *popolo grasso* i *popolo minuto*. Biedny *popolo minuto* skarży się i burzy, a scena na ratuszu między reprezentantami stron wojujących, bardzo ciekawa i charakterystyczna. Sprawa opiera się aż o Batorego, który przechyla się na stronę słabszych, nakazuje nową organizacyę władz, ale w praktyce zmiana ta niewiele przynosi pożytku.

Do sprawy miasta z jego niezaprzeczoną dobroczyńcą, ale cokolwiek samowolnym dyktatorem, tegim i energicznym Marcinem Kampianem, przybywa cały przebieg zamierzonych układów, obrona Kampiana (bardzo śmiała i jędurna) i projekt kompromisu, którego miasto z góry przyjąć nie chce, bo przewiduje, że on może (raczej musi) wypaść na korzyść Kampiana.

Co za ciekawa figura, ta pani Anna Tomaszewiczowa, po mężu zwana krótko panią Szymonową (jej potomkowie już się nazywają Szymonowiczami, jak synowiec poeta), która jako córka bednarza, wychodzi za mąż za rękodzielnika, bez żadnego majątku, traci męża młodo, jako wdowa prowadzi sama interesy, a tak sobie umie radzić, że na starość ma nietylko duży majątek, ale wielką w mieście powagę. Zgromadza się u niej sam wybór ludzi uczonych i znaczących; Skargą jest z nią w korespondencyi (jeden list przytoczony w tekście). A pisać nie umie, i swoje *curriculum vitae*, potrzebne do jakiejś sprawy majątkowej z synem, musi dyktować! W innym zupełnie rodzaju mniej budująca, ale niemniej ciekawa jest ta Fryczówna, która Beacie Kościeleckiej pomaga w politycznych planach i intrygach, męża podstępnie pakuje do więzienia, z jego nieobecności wesoło korzysta, a potem od uwolnionego bierze akt urzędowy zwalniający ją ze ślubu, i wychodzi sobie za mąż za innego. Albo pani Abrekowa! ona sama wprawdzie nic nie znaczy, ale nieszczęśliwa posiada kamie-

nicę i do okiennic tej kamienicy przylepiają się kartki z conceptami, przytykami, paszkwilami. Zrazu to przypadek, ale z czasem utarty zwyczaj, tak, że okiennice pani Abrekowej grają taką rolę we Lwowie, jak w Rzymie Pasquino i Marforio, a humorystyczne gazety w naszych czasach. Straż miejska pilnuje, odpędza, ale naturalnie nie umie sobie dać rady.

W rozdziale o Ormianach, dużo dodatków. Do ciekawszych należy organizacya karawan handlowych, ciągnących ze Lwowa na wschód, i korespondencye między Ormianami (osobliwszego stylu i form etykiety). W rozdziale o Rusinach, zmian mało; jeden tylko charakterystyczny, ale smutny dodatek. Po ostatecznem przyjęciu Unii, Stauropegia drukuje ciągle i rozsyła schizmatyckie książki.

W rozdziale ostatnim, występuje drobne mieszczaństwo. Znany już z pierwszego wydania pan Piotr Kunaszczak, a za nim jako nowość, zatargi pomiędzy bogatemi a skromnemi kramami, towary, jakie się w tych kramach znajdowały; potem cechy, i wreszcie zajścia i spory między miastem a uboższą i często przeciążoną ludnością przedmiejską. Przedmieście Halickie stawia się ostro, ma swoich obrońców i oratorów, i chce się oderwać, zostać sobie miastem osobnem, takim dobrem, jak nieprzy mierzając Kleparz.

Do dodatków należy także ciekawy *Herbarzyk* mieszczaństwa lwowskiego, obejmujący sto z górą znaków rodowych.

Mówiliśmy w swoim czasie, że to książka jedna z piękniejszych i pożyteczniejszych, jakie się u nas w ostatnich czasach pokazały. W drugim wydaniu jest ona jeszcze piękniejszą i lepszą, niż była w pierwszym. S. T.

— Stanislaus von Żółtowski: *Die Finanzen des Herzogthums Warschau 1806—1815*. (Posen, 1890). — Epoka Księstwa Warszawskiego cieszy się stale ogólnem u nas zainteresowaniem, bo też dużo szczytnych wspomnień z nią się wiąże, a przedewszystkiem cenimy ją jako stwierdzenie faktu, że rozbiórów nie dokonano na obumarłym, lecz na żywym organizmie, który spóźnił się z ofiarą mienia i krwi w obronie niepodległości, ale przez szereg lat czynił wielkie ofiary, aby odebrać, co zabrano. Polityczne i militarne dzieje Księstwa Warszawskiego miały już swych historyografów; natomiast strona ściśle finansowa, która tworzy podstawę zdolności organizmu politycznego do spełnienia swych zadań, nie była dotąd wyczerpująco zbadaną, i potrącano o nią tylko w ogólnych dziejach. Luka to była istotna, bo jedynie w miarę swych zasobów może społeczeństwo działać, jedynie znając zasoby można osądzić, czy społeczeństwo dane uczyniło summę ofiar, na jaką ze względu na wielkie zadanie stać je było powinno. Niniejsza rozprawa, będąca doktorską rozprawą uniwersytetu lipskiego, stara się tę lukę wypełnić i podaje znaczny zasób systematycznie ustawiony odnośnych

wiadomości. Dotąd ogłosił autor tylko pierwszą część swej pracy, zajmującą się, prócz dania ogólnego treściwego poglądu na powstanie, stosunki społeczne i konstytucję Księstwa, systemem i zarządem skarbowym; część druga ma przedstawić chronologicznie ułożoną historję zarządu, operacyj i układów skarbowych, dalej likwidację Księstwa Warszawskiego i tablice statystyczne. Głównem źródłem dla pracy tej było państwowe archiwum w Dreźnie, którego odnośne materiały dotąd nie były użytkowane.

Zajmujący się systemem skarbowym, drugi rozdział pracy, omawia z kolei wszystkie grupy dochodów i wydatków, a więc dawne królewsczyzny, lasy, kopalnie i huty państwowe, regale soli i mennicy, dochody z poczty i loteryi, podatki bezpośrednie i pośrednie wydatki konstytucyjne (lista cywilna, senat, Izba posłów, dyplomacya), administracyjne (zarząd, sprawiedliwość, policya, szkoły), wydatki na wojsko, a wreszcie kreśli organizację zarządu skarbowego.

Autor umiał w każdym paragrafie podać najważniejsze rysy, tak, że książka daje istotnie dobry obraz ówczesnych stosunków skarbowych; zarzut podniesiony przeciw absolutyzmowi Napoleona, że bezwzględnie chciał nas wtłoczyć w centralistyczną organizację francuską, bez względu na odmienne tradycje, stosunki i brak kwalifikowanych urzędników dla wszystkich szczebli tej olbrzymiej hierarchii urzędniczej, również jak zarzut, że bezwzględnie wyczekiwał Księstwo Warszawskie dla swych celów, są w ciągu całej książki licznemi poparte dowodami. Trudności finansowe i ekonomiczne, z jakimi Księstwo miało do walczenia, nadmierna wysokość wydatków na wojsko, wady organizacyi zarządu całego, są zaznaczone wyraźnie, a tak samo i żgubny wpływ, jaki na stan ekonomiczny, a stąd pośrednio i na finanse Księstwa miał Napoleoński system kontynentalny. Znaczne powiększenie Księstwa r. 1809 bynajmniej nie poprawiło jego położenia, bo wszystka własność państwowa, tworząca dla Księstwa tak ważną pozycję dochodu, a która w zaborze pruskim odrazu była porządnie administrowaną, była w ziemiach odebranych Austrii w wielkiem zaniedbaniu.

Przedstawwszy obiektywnie fałszywy stan systemu skarbowego, zaznacza autor w końcu, że zanim się przystąpi do krytyki stanowej, należy uwzględnić, że krótkie trwanie Księstwa Warszawskiego, zawiechrzone do tego wojnami, nie dozwoliło na zreformowanie różnych niedostatków, wynikających z narzuconej organizacyi. *Uebrigens trugen viele Einrichtungen den Stempel der Einstweiligkeit an sich, denn es gab kaum jemanden, der nicht geahnt, wo nicht fest geglaubt hätte, dass das Herzogtum nur eine Uebergangsstufe war: freilich hielten es die meisten für eine Uebergangsstufe zur Wiederauferstehung der ganzen grossen Nation.*

Do dziełka niniejszego dodał autor mapę Księstwa Warszawskiego, co w wielu miejscach lektury jest bardzo pożądanem, mianowicie gdy autor zwraca uwagę na ujemny finansowo wpływ złej konfiguracji granic na dochód z ceł.

Autor pierwszą tą swą pracą zaznacza pożądaną przybytek w naszej literaturze ekonomicznej. Miejmy nadzieję, że nie zakończy on na tem pierwszym dziełku, jak to u nas, niestety, tak często już bywało. Z bólem słyszeliśmy niegdyś, jak jeden ze starszych profesorów niemieckich wspominał o znacznej liczbie swych polskich słuchaczy, którzy ukończywszy chlubnie uniwersytet, później już w nauce nie o sobie słyszeć nie dali. Postęp ku lepszemu winien u nas i pod tym względem nastąpić. To też witając z uznaniem tę pierwszą część poważnej pracy, oczekujemy jej dokończenia z upragnieniem. Mamy zaś nadzieję, że autor z czasem rzecz tę rozszerzy i wyda po polsku, a wtedy i więcej szczegółów się przyda o ludziach i rzeczach. Wtedy też więcej będzie ciepła w przedstawieniu, którego tu autor świadomie i słusznie unikał.

*Dr. J. Milewski.*

— *Botanika szkolna na klasy niższe*, z tablicą barwną i 550 rycinami w tekście, przez Dra Józefa Rostafińskiego (Kraków 1892, str. 124). Wydanie nowe, przerobione i powiększone. — Czy tylko pedagogowi z powołania wolno oceniać książkę szkolną? Czy sama znajomość przedmiotu wraz ze zdrowym sensem i wspomnieniem młodszych lat szkolnych wystarczy, aby swe zdanie o niej wypowiadać w piśmie nauko-literackim? A jeśli tak, to położenie podpisanego będzie tym razem przyjemne, skoro zamiast potępienia, na które niejedna z naszych książek szkolnych słusznie zasługuje, będzie mógł wypowiedzieć słowa rzetelnego uznania.

Wydanie niniejsze nie różni się od poprzedniego swą objętością, ale jest istotnie przerobione i nie powstało bynajmniej przez wykrojenie niektórych ustępów z poprzedniego i wstawienie nowych na ich miejsce. Tekstu znacznie tu mniej, a rycin o 164 więcej. Nawet tablica barwna przedstawia jaskier, a nie piwonie. Klucz do rozpoznawania pospolitszych naszych roślin został tu opuszczony, ponoś na żądanie Rady szkolnej. Tego klucza żałujemy jednak bardzo, bo w nim tkwiła zachęta dla uczniów, aby sami rośliny zbierali i uczyli się je rozpoznawać. Miejmy wszelako nadzieję, że go autor dołączy do przyszłego wydania Botaniki dla klas wyższych, w których uczniowie są już zupełnie uzdolnieni do radzenia sobie z tym kluczem.

Ale Botanika sama zyskała bardzo, choćby dla tego, że tekstu ubyło, a rycin przybyło. Im mniejszą jest objętość podręcznika, tem pewniej sam przedmiot będzie w szkole wyczerpany; z drugiej zaś strony, skargi na przeciążenie nauką w gimnazyach, będą mniej uzasadnione.

We wstępie, autor podaje ogólne pojęcia o korzeniu, łodydze i liściach, następnie o kwiatach, biorąc jaskier za przykład, wreszcie o nasionach i ich kiełkowaniu. Część druga, w tej Botanice główna, poświęcona jest opisowi roślin pospolitszych lub użytecznych. Częstka ostatnia zajmuje się pytaniem, co to są rośliny i charakterystyką organów wzrostowych i rozrodczych. Na koniec spis nazw polskich i łacińskich.

W części opisowej, autor podaje naprzód cechy paru roślin do jednej rodziny należących, wyprowadza z ich porównania treścią charakterystykę całej rodziny, a w końcu dodaje (drobniejszemi już czcionkami, wiadomości o innych roślinach pożytecznych, ciekawych lub pospolitych, a należących do tejże rodziny lub do pokrewnych. Przy każdej niemal roślinie wzmiankowanej, znajdują się ryciny, przedstawiające bądź całą jej analizę, bądź gałązkę kwitnącą, częstokroć nawet widoczek z daną rośliną na pierwszym planie. Ten przegląd państwa roślinnego autor zaczyna od roślin dwuliściennych (wolnopłatkowe, zrostopłatkowe i bezpłatkowe), rozbiera następnie jednoliścienne i nagozałazkowe, a kończy wiadomościami o rodniowcach (paprocie, skrzypy, widłaki, mechy i wątrobowce) i o plechowcach (wodorosty i grzyby).

Miara w traktowaniu tych różnych gałęzi państwa roślinnego, jest wybornie zachowaną, a cały plan książki doskonale obmyślany i w szczegółach przeprowadzony. Co do niektórych jednak szczegółów można by z autorem się spierać, a podpisanemu się wydaje, że niejedno jeszcze dałoby się, bez szkody, z tekstu głównego przenieść do ustępów drobniejszemi czcionkami podanych, i tym sposobem z pierwszego planu usunąć na drugi, a niekiedy wręcz odwrotnie postąpić. Nauki obowiązkowej byłoby wprawdzie mniej, ale to i owszem.

Do innych zalet tej książki, należą liczne, dobrane i wyborne ryciny, które tekst doskonale objaśniają, i są nie tylko dla młodzieży, ale i dla starszych, dodatkiem bardzo pożytecznym. Szkoda tylko, że zostały zbyt szaro odbite, i przez to mniej wyraźne i ładne, niż w wydaniu poprzednim. Książka szkolna powinna mieć na względzie wzrok naszej młodzieży, i podawać tak pismo, jak ryciny, któreby nie wymagały żadnego natężenia oczu.

Czy w książce szkolnej można się ustrzedz od wszelkich niedokładności naukowych, i przy każdej niemal charakterystyce ogólnej dodawać: zwykle, powszechnie, najczęściej i t. p. Nam się zdaje, że ścisłość taka nie jest ani potrzebna, ani pożądana, i z braku jej nie myślimy wcale robić zarzutu autorowi. W każdym razie należałoby się tylko wystrzegać takich *lapsus calami*, jak str. 62: „z naciętego na wiosnę pnia, płynie sok, tak, jak z każdego zresztą drzewa,“ bo każdy chłop wie, że tak nie jest.

Wszystkie te nasze uwagi są tak podrzędnego znaczenia,

iż tylko obowiązek sprawozdawcy nie pozwolił ich pominąć milczeniem. Pono będzie to najlepszą dla książki prof. Rostafńskiego pochwałą, skoro powiemy, że podobnie dobrej i pięknej *Botaniki dla klas niższych* nie znamy w języku niemieckim, i że życzymy serdecznie autorowi, aby jego podręcznik najrychlej się doczekał tłumaczenia, a co za tem idzie, prawdziwie szerokiego rozpowszechnienia.

*E. Janczewski.*

### Z literatury rosyjskiej:

— *Św. Dymitrij Rostowski i jego wremia (1651—1709). Jzszledowanie* J. A. Szlapkina. (Petersburg, str. XIV 460 102.— *Święty Dymitr Rostowski i jego czasy*). W dodatku wydrukowano niektóre materyały do historyi Dymitra Rostowskiego i indeks osób. — Jakkolwiek nazwisko autora nie przeszło po za granice piśmiennictwa rosyjskiego, to jednak w sferach literackich rosyjskich cieszy się ono zasłużonem uznaniem. Pan Szlapkin wystąpił w zawodzie pisarskim już w r. 1879, a odtąd, przez lat 12 z rzędu, obdarza literaturę rosyjską corocznie jedną pracą większych rozmiarów, jak to wykazuje spis tychże na ostatniej z ich szeregu, której zamierzamy bliżej się przypatrzeć. Działalność naukowo-literacka J. A. Szlapkina poświęcona jest wyłącznie historyi i historyi literatury, a w tej ostatniej — badaniu najdawniejszych pomników i zabytków piśmiennictwa rosyjskiego. Z samych tylko tytułów prac jego można się przekonać, że w studyach swych nie pomijał źródeł rękopiśmiennych, nagromadzonych w rozmaitych archiwach rozległego państwa. *Św. Dymitr Rostowski* należy rozmiarami do największych prac autora, jest „owocem trudów wieloletnich,“ jak sam powiada we wstępie.

Aby tym z czytelników naszych, którzy nie są dokładnie obznajomieni z dziejami literatury rosyjskiej, wyjaśnić, dlaczego z pośród licznych prac p. Szlapkina wybraliśmy do rozbioru wymienioną w tytule, winniśmy podać krótką wiadomość, kim był ów Dymitr Rostowski. Dymitr, zwany później „rostowskim,“ urodził się w r. 1651 w miasteczku Makarowie, odległem o sześć mil od Kijowa, na trakcie wiodącym do Żytomierza, a więc w tej części Ukrainy, która po pokoju andruszowskim pozostała przy Polsce. Pochodził z rodziny kozackiej Sawwiczów Tuptalów, ale rodu szlacheckiego. Ojciec jego brał czynny udział w buncie Chmielnickiego, a po poddaniu się tegoż Moskwie, osiadł stale w Kijowie. Syn sotnika Tuptały, imieniem Daniel, uczył się w akademii kijowskiej, a potem wstąpił do monasteru cyryllońskiego pod Kijowem, gdzie przyjął imię Dymitra, pod którym odtąd występuje w historyi. Nad szczegółami jego życia rozwodzić się tutaj nie możemy, chociaż ciekawymi są one, albo-

wiem autor przedstawia je na tle dziejowem, kościelnem i cywilizacyjno-obeyczajowem swego czasu. Mnich Dymitr przebywał w różnych monasterach dyzunickich na Litwie (Stuck, Wilno) i na Ukrainie polskiej i rosyjskiej (Kijów, Czernichów). W r. 1670 dostał się w pobliżu Kijowa w ręce oddziału wojska polskiego, a uwolniony przez hetmana Jana Sobieskiego, jeździł w r. 1673 z listami hetmańskimi do Doroszenki, ale o treści tych listów, jak powiada w swym Dyaryuszu, nie zgoła nie wiedział. Popierany przez archijereja czernichowskiego i siewierskiego, Łazarza Baranowicza, i przez hetmana Samojłowicza, został ihumenem, potem archimandrytą, a w końcu, dawszy się poznać w Moskwie w r. 1701 carowi Piotrowi Wielkiemu ze swej wymowy (powitał go mową, w której przeprowadzał paralelę pomiędzy ideałem cara ziemskiego a niebieskiego), otrzymał godność metropolity najpierw syberyjskiego, a następnie rostowskiego.

Cerkiew prawosławna zaliczyła Dymitra Rostowskiego w poczet świętych. Słyszał on również jako uzdolniony kaznodzieja i gorliwy hierarcha kościelny. W literaturze kościelnej zyskał rozgłos za swe *Czetyi Minei* (Żywoty Świętych), a w literaturze świeckiej, zwłaszcza dramatycznej, zajmuje pewne miejsce, dzięki swym wierszowanym dyalogom, grywanym przez studentów w pałacu metropolitalnym w Rostowie. Do cerkwi wschodniej przywiązany był całą duszą; ani łacinników, ani unitów nie lubił. Z wyjątkiem wiary, zresztą znać na całej jego działalności silny wpływ cywilizacji polskiej, aż do języka, którego i ustnie i w piśmie chętnie używał, a znaczny zapas książek polskich posiadał w swej bibliotece rostowskiej. Jako Rusin i mnich, przejęty cywilizacją zachodnią, nie lubił w wieku młodszym ani Moskwy, ani tamecznego duchowieństwa, ale w latach późniejszych godził się z panowaniem moskiewskim na Ukrainie. W historii Rosyi zajmuje on wpływowo stanowisko, a obok Stefana Jaworskiego jest jednym z przedstawicieli wpływów cywilizacji polskiej, działającej przez Ruś na Moskwę, a więc w pewnej mierze współuczestnikiem reform Piotrowych.

O tem wszystkim opowiada obszernie p. Szlapkin, robiąc przy każdej sposobności dygressye na szersze pole dziejowe, kościelne, cywilizacyjne, literackie i obeyczajowe. Faktów ważnych, najczęściej mało znanych, u niego mnóstwo, a wszystkie oparte przeważnie na badaniach źródeł bądź drukowanych, bądź rękopiśmiennych. Oczytanie w źródłach i pracach źródłowych rozległe i wszechstronne. Ale wyznać również musimy, że uczony autor rosyjski nie posiada daru opowiadania i obrazowego przedstawiania rzeczy. Wiadomości biograficzne łączy z tłem ogólnem w sposób czysto mechaniczny. Opowiadanie wlecze się ciężko i powoli, a przy czytaniu wymaga wiele cierpliwości; częstokroć przechodzi ono w suchy spis faktów, nawet źle ugrupowanych.

Ale z drugiej strony przeczyć nie można, że cierpliwość i wytrwałość wynagradzają sownie nawet czytelnika polskiego.

Najwięcej interesować nas mogą z liczby 10 rozdziałów, z jakich się składa *Św. Dymitr Rostowski*, rozdziały I i II, a zwłaszcza ten ostatni, w którym autor wylicza wszystkie objawy wpływu polskiego na państwo i społeczeństwo rosyjskie w wiekach XVI i XVII, aż do reform Piotrowych, kiedy wpływ polski ustąpił miejsca holendersko-niemieckiemu, a ten ostatni — francuskiemu. W rozdziale drugim autor rosyjski nagromadził tyle szczegółów, iż, zdaniem naszym, każdy, kto się zajmuje dziejami oświaty polskiej w wieku XVII, będzie mógł z korzyścią go odczytać.

Z tego pracowitego nagromadzenia dowodów oddziaływania cywilizacji polskiej na Moskwę bezpośrednio lub pośrednio przez Kijów, wyjmujemy tylko niektóre ważniejsze. Sam bowiem spis tłumaczeń z języków: polskiego i łacińskiego na rosyjski zajmuje w tekście 23 stronicie (od 72—95), w którym niejedyn szczegół może zainteresować naszych bibliografów.

Pierwsze świadectwo znajomości języka polskiego w Moskwie napotykaemy około połowy wieku XVI. Anglik Gautry kupił w r. 1557 w Wołogdzie rękopis pod tytułem: *Nauka krótku ku czytaniu pisma polskiego*. Do upowszechnienia znajomości języka naszego przyczynili się najwięcej Polacy, wzięci do niewoli po zamordowaniu Dymitra Samozwańca, pomiędzy którymi — według współczesnego źródła rosyjskiego — było „nauczycieli i mędrców 27.“ Ordyn Naszczokin, pragnąc synowi swemu zapewnić przyzwoitą edukację, otoczył go jeńcami polskimi. Andrzej Matwiejew, syn Artemona, pisywał nawet żywoty świętych po polsku (str. 71), a w pierwszej połowie wieku XVII weszło nawet w zwyczaj pisać po rosyjsku literami polskimi. P. Szlapkin wymienia nazwiska kilku nauczycieli-Polaków, zajmujących się edukacją młodych bojarów moskiewskich.

Książki polskie posiadają carowie: Michał Romanow, Aleksy, tegoż najstarszy syn Teodor i carówna Zofia, rządząca państwem w imieniu swych młodszych braci, Iwana i Piotra. Car Teodor Aleksiejewicz w instrukcyach swym posłom, Buturlinowi i Czaadajewowi, wysyłanym do Polski w r. 1678, poleca, aby „wszelkimi sposobami“ nabywali dla biblioteki carskiej książki w językach łacińskim i polskim. U. W. Golicyń, faworyt Zofii, posiada w swej bibliotece wiele dzieł polskich, a w ich liczbie i historię języka polskiego. Posiadają je również uczony Artemon Matwiejew i Paweł, metropolita sarski i podonski. W katalogu bibliotecznym monasteru zaikonospaskiego w Moskwie z r. 1689 znajdujemy 125 dzieł polskich, a 414 łacińskich.

Bardzo wiele autorów polskich tłumaczy się na język rosyjski z upoważnienia carów (a przedewszystkiem Aleksego Michajłowicza) i możnych bojarów, słynnych na całą Moskwę

z nauki. Tłumaczeń dokonuje się nietylko w stolicy państwa, ale i w wielu miastach prowincjonalnych: w Simbirsku, Białogrodzie, Sierpuchowie, a słownik „słowiano-grecko-łacińsko-polski“ drukuje się aż w monasterze solowieckim, na morzu Białem. P. Szlapkin — o ile mu źródła pozwalają — wylicza wszystkie tłumaczenia z języka polskiego na rosyjski, jako też i najważniejsze dzieła polskie, znajduwane w inwentarzach domowych osób świeckich i duchownych. *Kroniki* Strykowskiego znajdujemy aż trzy różne tłumaczenia. Pomiędzy tłumaczami z języka polskiego najczęściej było Mało- i Białorusinów, chociaż nie zbywało i na rodowitych Polakach, jak np. Stanczewski w mieście Sierpuchowie. Jedne z tych tłumaczeń zaspokajały uczucia religijno-moralne czytelników rosyjskich, a inne miały cele praktyczne na względzie. W liczbie tych ostatnich znajdujemy dzieła treści historycznej, prawniczej, lekarskiej, przyrodniczej, astronomicznej i gospodarczej, jak np. o hodowli koni. Tłumaczy się nietylko dzieła oryginalne polskie, ale i wielu autorów starożytnych, tłumaczonych na język polski. We wpływie polskim na życie umysłowe narodu rosyjskiego widzi autor „prąd pewnej świeżości, pewnego ruchu naprzód,“ w porównaniu do tego, co przedtem było.

Przejdźmy teraz do wpływów polskich na innych polach. Uwidoczniły się one w literaturze scholastycznej, w sferze prawodawczej (*Ułożenie* cara Aleksego powstało pod wpływem Statutu litewskiego), w życiu codziennem, w sztuce, szkolnictwie i nawet w cerkwi. Wpływ polski szedł i wzrastał się równocześnie z wychodźstwem z Polski do Moskwy. Zaczęło się ono jeszcze w końcu w. XV, wzrosło znacznie w pierwszej połowie w. XVII, a po traktacie andruszowskim przybrało nawet wielkie rozmiary. Najgorzej przyjmował wychodźców z Polski kler prawosławny. Gdy w r. 1582 (data podana u autora mylnie, skoro Zygmunt August umarł o 10 lat wcześniej), przybył Izayas z listem od króla Zygmunta Augusta, zawierającym prośbę o pożyczanie z biblioteki carskiej: biblii, celem dokonania dosłownego jej odpisu, dalej życiorysu Antoniego Pieczarskiego i kilku innych dzieł treści religijnej: za sprawą duchowieństwa prawosławnego wtrącono go do więzienia, i nie wiadomo nawet, co się ostatecznie z nim stało. Chociaż autor dosyć często mówi o rzekomej nietolerancji religijnej, w dawnej Polsce, to jednak sam przytacza daleko więcej faktów nietolerancji moskiewskiej. Sobór z r. 1620, odbyty pod przewodnictwem patriarchy Filareta, postanawia chrzcić nanowo Białorusinów, którzy „modlą się za papieża i poszczą po heretyku“ (str. 100). Najczęściej powoływano z Polski artystów i rzemieślników, do których następnie uczęszczali Rosyanie na naukę i uczyli się wyrabiać sukna, broń, proch, i t. p. Z pozostałych dotąd ksiąg mieszczanskich miasta Moskwy widać, że w czasie pomiędzy rokiem

1676—1684 było tam około 100 rzemieślników polskich z miast, Smoleńska, Szklowa, Słucka, Wilna, Połocka i t. d. Pomiędzy nimi znajdujemy: kowali, złotników, garncarzy, kuźnierzy, fabrykantów powozów, tapicerów karetnych, szewców, bandażyistów, kaflarzy, fabrykantów masła, saletry i t. d. W ówczesnej stolicy carskiej pewne gatunki wyrobów nosiły nazwę „polskich“, jako to: mydło polskie i czapki polskie. Według innego spisu mieszczan z r. 1677, było wówczas w Moskwie: czterech fabrykantów mydła *polskiego*, dwóch — pończoch *polskich*, jeden krawiec ze Szklowa i jeden rymarz, przyczem użyto w spisie nazwy polskiej *rymarstwo*, zamiast rosyjskiej *szornoje dielo*. Najwięcej szło wogóle z Polski do Moskwy wyrobów sztuki jubilerskiej, broni, ubrania i dzwonów. Car Aleksy przywiózł z wyprawy litewskiej zegar połowy ze Smoleńska *roboty polskiej* i darował go do monasteru Sawwin-Storożewskiego. Bojar Chitrowo darował w r. 1657 do monasteru w mieście Peremyszlu (gub. kałużskiej) dzwon z napisem polskim: „A Korwin Gonsiewski r. 1639.“ Na wielu starych cerkiewnych księgach można znaleźć oprawy roboty polskiej i t. d. W pewnych okolicach państwa były w obiegu polskie złote i grosze czeskie (str. 106).

Najwięcej okazywał sympatyi wszystkiemu, co polskie, car Teodor, syn Aleksego, wychowaniec Symeona Połockiego. W liście Łazarza Baranowicza, arcybiskupa czernichowskiego i siewierskiego, do cara Aleksego (str. 57 w odsyłaczu) czytamy, że nie tylko carewicz Teodor czyta książki polskie, ale i osoby bliskie cara Aleksego *cztut knihi i istorii ladzkie w stadość*. Do owego otoczenia cara Aleksego, sympatyzującego z Polską, należeli: kniaziewie Miłostawscy, słynny Naszczokin i tego ostatniego wróg osobisty, Bohdan Chitrowo. Aleksy zamierzał przeprowadzić organizację wojskową na wzór polski, to jest ustanowić rotmistrzów, poruczników i chorążych, a także przekształcić swe bojarstwo według wzorów polskich, co nie byłoby zbyt trudnem, bo według najnowszych badań okazuje się, iż z ogólnej liczby 754 ówczesnych rodzin bojarskich, 109 pochodziło z *Polski*, a 78 z *Litwy*.

Zanadto rozszerzylibyśmy ramy niniejszego sprawozdania, gdybyśmy chcieli za autorem powtarzać wszystkie szczegóły, świadczące o wpływach polskich w budownictwie, malarstwie, rzeźbiarstwie, w urządzeniu i umeblowaniu pałaców carskich i patryarszych, w ubraniu, robotach ślusarskich i t. d. W latach od 1662—1668 robót złotniczych, rzeźbiarskich i malarskich dokonują w pałacu carskim w Moskwie sami Polacy, przyczem dowiadujemy się o nazwiskach dwóch malarzy: Stanisława Łopuckiego i Jana Mirowskiego. Polak, Szymon Lisicki w r. 1684 wymalował w pałacu carskiem *al fresco* straszny sąd. Bojarowie: Matwiejew i Goliecyń posiadali dużo obrazów pendzla malar-

rzy polskich. Pierwszy z nich miał nawet mapę ziem polskich. Dosyć często trafiały się portrety i sztychy roboty polskiej. Książ Chworostin był wielkim miłośnikiem polskich obrazów religijnych, które patriarchy Nikon uważał za stosowne w interesie ortodoksyi odbierać u bojarów. W mieście Pskowie autor oglądał płyty grobowe roboty polskiej, a płyta grobowa episkopa pskowskiego Arseniusza († 1682) ma dotąd jeszcze napis polski.

Nazwiska organistów na dworze carów Michała i Aleksego są same polskie. Organista Szymon Gutowski robi dla carewicza Piotra klawikordy i cymbały. Kierownikiem teatru nadwornego w Moskwie zostaje w r. 1675 Stefan Czyżyński, szlachcic powiatu lwowskiego, i jest drugim z kolei dyrektorem pierwszego teatru rosyjskiego. Oracye i panegiryki na dworze carskim noszą charakter polski. Za przykładem naszej szlachty bojarowie moskiewscy zaczynają zajmować się genealogią swych rodów. Za cara Aleksego i patriarchy Nikona krąży w narodzie wiele wierszy polskich i małoruskich, a nawet w pieśniach ludowych znać wpływ polski (str. 72). W r. 1672 uważano za stosowne wydać rozporządzenie, przesłane do miasta Peremysza (gub. kałużska), w którym zakazywano trzymania i przechowywania po domach ksiąg polskich (72). Na stronnicach 101—110 wykazuje autor rezultat wpływu polskiego na obrzędy i obyczaje cerkiewne, na literaturę kościelno-religijną, a nawet dogmata. Najsilniej działał on za patriarchy Nikona, na dworze którego było wielu Rusinów-unitów i Polaków (np. Mikołaj Olszewski). Patriarcha był zwolennikiem śpiewu kościelnego ruskiego i muzyki kościelnej. Zaprowadził także mawianie kazań po cerkwiach. Pojawiły się kantyczki i psalmy, identyczne pod względem treści i melodyi z polskimi. Mnisi prawosławni zaczęli ubierać się na wzór Kapucynów i Jezuitów. Mnóstwo drobnych przedmiotów użytku cerkiewnego nosi na sobie cechy bądź pochodzenia, bądź przynajmniej wpływu polskiego. Katolickie pojęcia o Niepokalanem Poczęciu Najśw. Panny Maryi, o czyścicu, o chwili Przeistoczenia chleba i wina dostają się z Polski do literatury kościelno-religijnej rosyjskiej wieku XVII (str. 110). — Tych, którzy ciekawi dalszych szczegółów, odsyłamy do pracy p. Szlapkina, gdzie mnóstwo ich nagromadzono, jak to wyżej mówiliśmy.

Pomijamy działalność Dymitra Rostowskiego, jako hierarchy prawosławnego w głębi Rosyi, na stanowisku metropolity rostowsko-jarosławskiego. W oduśnych rozdziałach (VII—IX) pracy p. Szlapkina znajdujemy jednak dużo ciekawych rysów obyczajowych i szczegółów życia kościelnego, mogących obudzić zainteresowanie się tych, którzy się zajmują historią cerkwi prawosławnej. Z nich można się dowiedzieć o popach nieumiejących czytać z ksiąg liturgii, odprawiających nabożeństwa w brudnych łapciach, o dycezyanach nieuczeszczających do spowiedzi po lat 20

i nie przystępujących do śś. Sakramentów (292 i 293). Wspomnieć jednak winniśmy, że Dymitr założył w Rostowie szkołę, w pobliżu swego pałacu, do której uczęszczało około 200 chłopców. Była to — zdaniem p. Szlapkina (str. 353) — pierwsza szkoła *elementarna narodowa*, dostępna dla ludzi wszystkich stanów, dla której za wzór posłużyły szkoły polskie. W niej, oprócz języków greckiego i łacińskiego, uczono i języka polskiego, a na dowód tego przytacza p. Szlapkin zdanie dwóch uczonych rosyjskich, Nikolskiego i Znamińskiego (str. 337).

— *Szlachta małoruska i jej losy*. Rys historyczny (*Małoruskoje Dworiaństwo i jego sud'ba. Istoriceskij Oczerk*). — (*Wiestnik Jewropy*. Zeszyt sierpniowy 1891 r.). — Pani Aleksandra Efimenko w wyżej wymienionym szkicu historycznym przedstawia jeden z najbardziej zajmujących momentów w dziejach narodu ruskiego. Ukraina zadnieprska, po ugodzie pereasławskiej, względnie po traktacie andruszowskim, przechodzi pod panowanie Moskwy i przez lat sto zażywa pewnej swobody, mogąc rozwijać się na podstawie czysto narodowej. Ferment polityczno-społeczny zaczyna się zwolna układać, a z zamętu, wywołanego rokoszem Bohdana Chmielnickiego, powstaje nowy porządek rzeczy. Społeczeństwo kozacko-chłopskie, przechowujące w swem łonie tradycye rzekomo demokratyczne staro-ruskie, wytwarza w ciągu lat niespełna stu z własnego łona nową szlachtę, która stopniowo pozbawia lud wolnej własności ziemskiej, narzuca mu więzy poddaństwa, schłopia własnych braci Kozaków, a w wykonywaniu swych praw senioralnych — jak lud nieustannie się uskarża — jest gorszą od dawnej »szlachty lackiej.« Rozpatrzenie się też w tym procesie może być skutecznym kordyalem na marzenia demokratów różnych kategorii o stanie bezwzględnej równości społecznej, a Rusinów naszych powinno wyleczyć z majaczenia o idealach demokratycznych, tkwiących jakoby w ich tradycjach narodowych. Pamiętać przytem należy, że p. Aleksandra Efimenko jest Rusinką, jak już samo nazwisko wskazuje, a przy każdej sposobności okazuje szczerą miłość dla swego ojczystego języka i narodowości.

W r. 1654 trzystu szlachciców z powiatu czernichowskiego przysięgło na wierność carowi Aleksemu i otrzymało odeń zapewnienie swych praw i wolności. Była to szlachta, jedyna na Ukrainie zadnieprskiej, podobna do litewskiej zaściankowej, która wkrótce znikła wśród masy kozacko-chłopskiej. Reszta narodu znalazła się w możności urzeczywistnienia swego ideału: swobodnej pracy na swobodnej ziemi. Każdy zajął tyle gruntów, ile ich własną pracą mógł uprawiać, jak to wyjaśnia uniwersał Lizohuba, pułkownika czernichowskiego.

Społeczeństwo ruskie z tamtej strony Dniepru przedstawiało obóz wojenny, zorganizowany na podstawie demokratycznej. Kto chciał i mógł wypełniać obowiązki kozackie — zostawał Ko-

zakiem; kto zaś nie mógł lub nie chciał — stawał się rolnikiem, płacącym podatki i wypełniającym różne powinności. Zdaje się, iż przy takiej społecznej organizacyi, demokratycznej do szpiku kości, nie było miejsca na szlachtę, a jednak w lonie tego kozacko-chłopskiego społeczeństwa kielkowały arystokratyczne *idées mères*. Szlachta powstała tam bez żadnego gwałtu lub zamachu natury społecznej, w drodze zupełnie naturalnego procesu.

Powstanie tej nowej arystokracji, najmłodszej może w Europie, tłumaczy autorka w sposób następujący. Małoruś stała, jej zdaniem, na tak niskim stopniu rozwoju, iż nie mogła się obejść bez kulturnego pośrednika. Porwała wprawdzie z Polską węzły polityczne, ale nie porwała duchowych, albowiem Moskwa była »i obca i nieokrzesaana.« Po dawnemu Rusini zadnieprscy kształcili się w akademii kijowskiej, zorganizowanej na wzór kolegiów Jezuickich; cały zasób swych wiadomości naukowych czerpali z ksiązek łacińskich i polskich, a obyczaj polski był dla nich uosobieniem dobrego tonu. Nie więc dziwnego, że i idee socyalne polskie działały po dawnemu na ustrój tego nowego społeczeństwa. Ale być może, że prąd ten, słabnący z biegiem czasu, nie podolałby stającej mu w poprzek masie narodu, gdyby nie związek polityczny z państwem moskiewskim, który stał się najpierw zależnością polityczną, a następnie spowodował unifikacyę narodową i społeczną. A skoro w Moskwie istniało *dworjaństwo*, to nie dziwnego, że poglądy socyalne polskie na gruncie małoruskim przybrały formy *dworjaństwa* moskiewskiego.

Organizacya wojskowa, administracyjna i sądowa Małejrusi, w następstwie oderwania się jej od Polski, była prostą: Kozacy dzielili się na sotnie i pulki, a na czele całego wojska stał hetman. Obok sotników, pułkowników i hetmanów istniały urzędy: oboźny, sędzia, podskarbi, pisarz, asaul i chorąży. Były zatem trzy grupy urzędów: setnicze, pułkowe i generalne przy boku hetmana. Z nich to i wytworzyło się »dostojne kozackie towarzystwo,« pewien rodzaj wojskowej arystokracji, która przekształcała się najpierw w szlachtę małoruską, a następnie w *dworjaństwo* wielko-rosyjskie.

Klasa uprzywilejowana musi się opierać na własności ziemskiej. W początkach każdy Kozak posiada tyle ziemi, ile jest w stanie zająć i uprawiać, na podstawie *ius primum occupandi*. Starszyzna wojskowa potrafiła obszar ten powiększyć w sposób następujący. Zamiast pensyi pobierali dostojnicy wojskowi wszystkich trzech stopni t. zw. »rangowe majetności,« a pospólstwo na nich osiadłe obowiązane było do rozmaitych służb i powinności. Ponieważ urzędy utrzymywały się w pewnych rodzinach, więc i dobra w ich posiadaniu, przechodząc z pokolenia w pokolenie, stawały się z wolna dziedzicznymi. Plony z żywej ziemi, chów bydła, młyny i gorzelnie powiększały znacznie dochody z tych

dóbr i wytwarzały coraz to większą różnicę majątkową. Następnie zaczęli właściciele skupować ziemię od wolnych Kozaków i kompleksy dóbr swych zaokrąglać. Gdzie się to nie dało uskutecznić w drodze legalnej, w następstwie dobrowolnego porozumienia, tam nie przebierano w środkach, nie skapiono gwałtów i przemocy, przyczem starszyzna wojskowa działała solidarnie i wspierała się wzajemnie w stolicy hetmańskiej lub w stolicy państwa, gdzie łapówki i protekcyje usuwały wszelkie przeszkody. Cały szereg takich gwałtów i przemocy, osłoniętych formami prawnymi, cytuje autorka, opierając się przeważnie na drukowanych źródłach lub poważniejszych opracowaniach. »Szlachectwo małoruskie — robi ogólną uwagę — urosło z wszelakich nadużyć swej władzy i stanowiska.«

Ale ziemia bez rąk, przy taniości ówczesnych płodów surowych, nie miałyby wielkiej wartości, nie mogłyby stanowić silnej materialnej podstawy do zajęcia uprzywilejowanego stanowiska w społeczeństwie. Obok usiłowań o powiększenie obszarów rolnych, idzie w parze chęć posiadania niewolnych rąk do pracy. Najpierw starano się pozbawić wolności t. zw. pospolitych, nie kozakujących; potem zwabiano ludzi wolnych, ale nie mających ziemi, do osiadania na pustych przestrzeniach, przez nadawanie im »słobód«, aby w końcu przykuć ich do gleby. Ponieważ w »rangowych majątnościach« lud pospolity był obowiązany do rozmaitych ciężarów i powinności, przeto nie trudno było stopniowo je rozszerzać i zamienić ostatecznie w stan faktycznego poddaństwa. Najtrudniejszym orzechem do zgryzienia był zamiar schłopienia wolnych Kozaków. Archiwa Ukrainy zadnieprskiej przepelnione są skargami Kozaków na panów, pragnących ich obowiązki kozackie zamienić na »posłuszeństwo.« Wprawdzie rząd rosyjski wydawał od czasu do czasu ukazy, zabraniające skupowania ziemi kozackiej i obracania Kozaków w »poddanych«, ale »los jednych i drugich zakazów — dodaje autorka — był jednakowy«, to jest pozostały bez skutku. Liczbę zresztą poddanych w dobrach panów małoruskich powiększyli wychodźcy z Ukrainy polskiej. Ukaz zaś Katarzyny II z dnia 3 maja 1783 roku przykuł ostatecznie wszystkich do gleby, a więc dał tylko sankcyę faktycznemu stanowi rzeczy.

Starszyzna kozacza miała już ziemię i ręce do pracy przymusowej, a więc stała się szlachtą małoruską. Ta ostatnia czuła jednak, że braknie jej oświaty, aby zająć przewodnie stanowisko w swym kraju. Tutaj autorka małoruska czyni gorzkie wyrzuty swej szlachcie, że pragnąc jak najbardziej wyróżnić się od narodu, wykopać przepaść pomiędzy nim a sobą, zaniechała stanowczo używania swego ojezystego języka, który, jej zdaniem, »był już podniesiony do godności języka literackiego« (str. 550). Panów małoruskich nie zadowalniały szkoły krajowe: w Kijowie, Czernichowie, Pereasławiu i Nowogrodzie Siewierskim, ale ślala

swych synów na naukę do Polski. Pani Efimenko twierdzi, że jeszcze w pierwszych dziesięcioleciach wieku XVIII pan małoruski »lubił chęlnie się językiem polskim« (str. 550). Później, z reformami Piotra W., przyszedł krótkotrwały wpływ niemiecki, który ustąpił miejsca, w drugiej już połowie wieku XVIII, wpływowi francuskiemu, a w końcu wzmagająca się centralizacya rosyjska i wpływ zakładanych w kraju szkół rosyjskich spowodowały całkowite zmoskwienie się szlachty małoruskiej, usilnie starającej się u rządu petersburskiego, przy każdej sposobności, li tylko o zachowanie Statutu litewskiego (str. 554), w którym znajdowała podstawę dla swych arystokratycznych uroszczeń. W każdym jednak razie węzły, łączące panów Ukrainy lewo-brzeżnej z narodem, zostały całkowicie porwane.

Faktyczne posiadanie ziemi i poddanych, a nawet wyższy stopień oświaty, jeszcze nie wystarczały do zabezpieczenia zdobytego z takim mozolem stanowiska. Podkopać takowe mógł pierwszy lepszy ukaz z Petersburga, jedno pociągnięcie pióra ze strony absolutnych władców Rusi zadnieprskiej. Gwarancją praw, zdobytych logiką faktów i usiłowaniami pojedynczemi lub zbiorowemi, mogło być tylko równouprawnienie szlachty małoruskiej z rosyjskiem *dworjanstwem*. Na to potrzeba było dokumentów i wogóle piśmiennych dowodów, a tych nie było wcale, jak twierdzili sami deputaci szlachty małoruskiej w Petersburgu, powołując się na wojny, najazdy i pożary, wśród których dokumenta miały zaginać. Tymczasem w 15 lub 20 lat później, gdy Katarzyna II wyznaczyła komisję do rozpatrzenia praw szlacheckich panów na Ukrainie zadnieprskiej, okazało się około 100,000 szlachty, posiadającej wszelkie potrzebne dokumenta. *Nie dla nielegalnego wskrzeszenia praw legalnych pracował Berdyczów* — dodaje złośliwie pani Efimenko. W Berdyczowie, na Ukrainie polskiej, żydzi pozakładali prawdziwe fabryki dokumentów szlacheckich dla panów małoruskich!

Najfantastyczniejsze układano tam drzewa genealogiczne. Najczęściej po szlachectwo uciekano się do Polski, w imię niedawno minionej wspólnej przeszłości dziejowej. Nobilitacye polskie miały w istocie tylko dwie rodziny: Lizohubowie i Dmi-traszki-Ranczowie. Zresztą były to fabrykaty szlachectwa polskiego: syn kozaczy Wasylenko został Bazylewskim (obecnie rodzina ta nosi tytuł hrabiowski), Silenko został Silewiczem, Hrebenka — Grabianką, kozak Rozum — Rozumowskim (faworyt Elżbiety), krewni tego ostatniego przywłaszczyli sobie polsko-szlacheckie nazwisko Budlańskich. Rosławcy wyprowadzali ród swój od litewskich Chodkiewiczów, a pewien półpanek małoruski, ponieważ był rodem z Ostroga, oparł korzenie swego drzewa genealogicznego aż o kniaziów na Ostrogu! Inni poszli po szlachectwo dalej: Karnowicze wyprowadzali ród swój z Węgier, Koczubeje od murzy tatarskiego, Afendiki od jakiegoś multań-

skiego burkolaba, Kapnistowie, od mniemanych hrabiów weneckich Capnissi, Iwanenki od mitycznego Wołocha, Iwana Bohatego Jonenki, będącego jakoby hetmanem dubosarskim. Niektóre rody szlacheckie pochodziły od wychrztów, a inne znowu miały za protoplastów «sławetnych» mieszczan. Nareszcie ukazy carowej Katarzyny II z lat 1782 i 1783 pokryły te różnorodne genealogie mianem i prawami *dworianstwa* rosyjskiego.

W zbiorowych swych wystąpieniach do tronu, nie zdradzali panowie małorusey wyższych aspiracyj. Dokąd jeszcze byli starszą kosaćką, okazywali więcej troski o sprawy i interesa kraju. Przekształciwszy się w szlachtę małoruską, potracali jeszcze o nie w swych adresach i memoryałach; jako zaś *dworianstwo* rosyjskie, stanęli na wyłącznem, egoistycznym stanowisku kastowem (str. 566 i 567). Między innemi możemy zanotować i tę ciekawą okoliczność, że kiedy rząd rosyjski wydał stamtąd żydów, panowie małoruscy usilnie i niejednokrotnie nalegali, aby pozwolono im wrócić na Ukrainę i prowadzić swobodnie handel (str. 566). Niech to sobie zanotują autorowie i publicyści ruscy, którzy rozwielenie się żydów w ziemiach ruskich zwalają na karb przeszłości polskiej, chociaż na kilka wieków przed połączeniem się Rusi z Polską, jeszcze za czasów św. Włodzimierza, żydzi już mieszkali stale na Rusi.

Tylko raz jedna szlachta małoruska zdobyła się na zbiorowy akt większej doniosłości, świadczący, iż przeszłość kraju i piękniejsze karty tej przeszłości nie poszły tam całkowicie w zapomnienie. U Katarzyny II, przy jej wstąpieniu na tron, proszono o prawo wolnego wyboru hetmana, o sądy szlacheckie: ziemskie, grodzkie i podkomorskie, na wzór polski, o utworzenie trybunału małoruskiego, mającego zastąpić lubelski, a przedewszystkiem o utworzenie rady generalnej czyli sejmu, według modły sejmu polskiego, przyczem starano się przekonać carową, że w tej ostatniej formie miała Małoruś przyobiecane utworzenie reprezentacji prowincjonalnej, a nie w formie wojskowej rady kozackiej. W tymże duchu wystąpiła szlachta małoruska, po raz ostatni w zbiorowej prośbie, przy wstąpieniu na tron Aleksandra I (str. 569).

Jedyny, rzec można, historyk szlachty rosyjskiej, p. Romanowicz-Sławatinskij, robi zarzut szlachcie małoruskiej, iż daleko gorzej obchodziła się z chłopami za czasów poddaństwa, od szlachty wielkoruskiej, i przypisuje to wpływowi polskiemu. Pani Efimenko, przyznając słuszność samego faktu, nie godzi się na jego tłómaczenie. Sądzi bowiem, że wpływy polskie na ustrój społeczny Ukrainy zadnieprskiej miały czas oddawna się zatrzeć (str. 564). Powodu większego ucisku chłopów małoruskich szukać raczej należy w tych pobudkach psychologicznych, wskutek których pan, pochodzący z gminu, tem usilniej stara się o przeprowadzenie linii demarkacyjnej, pomiędzy sobą a tymże gminem.

Szkoda, że autorka na poparcie powyższego wyjaśnienia, nie przytoczyła powtarzanego tak często na Rusi Czerwonej przysłowia: *Ne daj, Boże, z Iwana pana!*

— *Die Bevölkerung Russlands als Augmentierungsquelle seiner Armee.* Studie des Oberstlieutenants A. M. Solotarew des kaiserlich russischen Generalstabes. Mit Ermächtigung des Autors auszugsweise übersetzt und bis auf die Gegenwart ergänzt durch den Rittmeister Alexander Hubrich. (Wien, 1891, str. 57). — Ze względu na treść tej pracy i na pochodzenie autora, dajemy jej miejsce pod naszą rubryką: »Z literatury rosyjskiej,« jakkolwiek mamy tutaj do czynienia z tłómaczeniem na język niemiecki. Stosunki etnograficzne Rosyi, w związku z kwestyą siły i wartości armii rosyjskiej, są zbyt aktualnemi w chwili obecnej, abyśmy nie mieli zwrócić uwagi na pracę wymienioną w tytule i nie podzielili się z naszymi czytelnikami główniejszymi wynikami takowej. A że pod względem militarnym praca pana Zolotarewa musi mieć pewną wartość, za rękojmię służyć może okoliczność, że rotmistrz Aleksander Hubrich uważał za stosowne przyswoić ją piśmiennictwu niemieckiemu. Znajdujemy tam również wiele faktów i dat statystycznych, obchodzących w pierwszym rzędzie ogół polski.

Studyum p. Zolotarewa odnosi się do pierwszego dziesięciolecia (1874—1883 włącznie) powszechnej służby wojskowej w Rosyi. Tłómacz podał je w skróceniu i uzupełnił datami świeższemi, nie przekroczywszy jednak po za rok 1886, z czego sądzić wypada, iż w otrzymaniu późniejszych dat natrafiał na pewne trudności. Czynność nasza będzie tu przedewszystkiem sprawozdawczą, bo oczywista, iż ani cyfr, ani porządku przyjętego przez autora zmieniać nie możemy; w niektórych tylko razach będziemy się starali dodać do nich wyjaśnienia, lub tu i owdzie sprostować błędy etnograficzne.

W skład mieszkańców Rosyi europejskiej wchodzi następujące narody:

Rosyanie (Wielkorosyanie, Mało- i Białorusini) . . . . .	72·27%
Turko-Tatarzy . . . . .	4·20 »
Polacy . . . . .	6·44 »
Finnowie . . . . .	5·07 »
Żydzi . . . . .	4·75 »
Litwini . . . . .	3·89 »
Germanowie (Niemcy i Szwedzi) . . . . .	1·74 »
Ormianie . . . . .	0·04 »
Mongołowie . . . . .	0·22 »
Inne narodowości . . . . .	1·38 »

Dając wyjaśnienia do cyfr powyższych, p. Zolotarew oblicza, że Polacy mieszkają w zwartej masie tylko w »guberniach

nadwiślańskich,» gdzie stanowią 69·5 procent ogólnej liczby mieszkańców, przyczem na gubernie siedlecką i lubelską przeznaczają 57<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, a względnie 64<sup>0</sup>/<sub>0</sub> Polaków, w gubernii zaś suwalskiej liczy tylko 19<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. Wspomina wprawdzie i o Polakach w guberniach zachodnich Rosyi, ale jako »o ilości wcale nieznacznej.« W guberniach kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej liczy ludności polskiej tylko od 2·5—5·5 procent. Polaków zaś na Litwie procentu nawet nie podaje, wypuszczając tym sposobem ze swej rachuby etnograficznej, podług najbardziej podejrzanych źródeł, około 800,000 głów. (Por.: *Litwa i Białoruś* pana Batiuszkowa. Petersburg, 1890, str. 373). — Mieszkańców szczepu litewskiego (Litwinów i Lotyszów) liczy autor w Rosyi europejskiej 3·5 milionów, najgęściej osiadłych pomiędzy dolnym Niemnem i dolną Dźwiną, a w tej liczbie: w Kurlandyi 83<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, w gubernii kowieńskiej 71<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, w grodzieńskiej 16<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. Nie mówi zaś wcale, jakim jest procent ludności litewskiej w gubernii np. wileńskiej, a natomiast odnajduje aż 9<sup>0</sup>/<sub>0</sub> tejeż ludności w gubernii wołyńskiej! (str. 14). — Żydów w guberniach Królestwa Polskiego oblicza na 16<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, w guberniach litewsko-ruskich więcej niż na 10<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. Najgęściej na przestrzeni dawnej Polski mieszkają żydzi w guberniach mińskiej i grodzieńskiej, gdzie ich 20<sup>0</sup>/<sub>0</sub>; potem: w kowieńskiej, podolskiej i łomżyńskiej — 19<sup>0</sup>/<sub>0</sub>; w mohilewskiej i siedleckiej więcej 18<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. Z tych danych wyprowadza autor wnioski, że Rosyanie (z Mało- i Biało-Rusinami) stanowią  $\frac{2}{3}$  mieszkańców Rosyi, a reszta przypada »na tuzin różnych narodowości,« z których część przeważna nie ma wyrobionego poczucia narodowego. Za niebezpiecznych ze względu na ich ilość liczy tylko: Turko-Tatarów w Azji środkowej, Finnów w Finlandyi, »a zwłaszcza Polaków w guberniach nadwiślańskich.« Za niezbyt bezpieczną pod względem militarnym uważa linię graniczną od morza Białego po Czarne, 6000 wiorst długą, wzdłuż której mieszkają narody obce wiarą i pochodzeniem, z małym tylko wyjątkiem pomiędzy Dniestrem i Bugiem (Rusini, których autor wszędzie identyfikuje z Rosyanami).

Narody, wchodzące w skład Rosyi europejskiej, dostarczają armii:

Rosyanie . . . .	76·5 <sup>0</sup> / <sub>0</sub>
Tatarzy . . . .	4·4 »
Polacy . . . .	6·1 »
Finnowie . . . .	3·4 »
Żydzi . . . .	3·2 »
Litwini . . . .	3·7 »
Niemcy . . . .	1·4 »

Ze względu na wyznanie, armia rosyjska składa się z :

Prawosławnych . . . . .	75·4%
Katolików . . . . .	10·3 »
Protestantów . . . . .	5·7 »
Żydów . . . . .	4·7 »
Mahometanów . . . . .	3·4 »
Innych wyznań . . . . .	0·4 »

Z powyższych cyfr wyprowadza autor wniosek, że pod względem narodowościowym, w porównaniu z liczbą mieszkańców, największy ciężar służby wojskowej spada na Rosyan, a pod względem wyznaniowym na prawosławnych i na katolików. Mając na uwadze etnograficzny i wyznaniowy skład ludności pogranicza zachodniego, p. Zolotarew stanowczo twierdzi, że Rosya wcale nie myśli o zastosowaniu zasady terytoryalnej do swej armii. Zwraca przytem uwagę jeszcze na jedną okoliczność (str. 22), że z powodu konieczności utrzymywania znacznej armii w zachodnich guberniach państwa, Polacy, Litwini i żydzi służą w przeważnej liczbie w swym kraju ojczystym, podczas gdy sam tylko Rosyanin musi odbywać służbę wojskową zdala od miejsc swego urodzenia. Pojmując wszystkie niekorzystne strony powyższych stosunków, *Rosya* — pisze autor — *ma wszędzie i przede wszystkim na celu, wszystkie narodowości, ją zamieszkujące, unifikować, t. j. rusyfikować. Cel ten ze względu na kwestyę przyszłości Rosyi jest tak ważny, iż wszystko inne można mu bezwarunkowo podporządkować* (str. 22).

Procent dezertarów przed służbą wojskową wynosił w pierwszym dziesięcioleciu (1874—1883) przeciętnie rocznie 2·85% z liczby obowiązanych stawić się do asenterunku. Ponad przeciętną liczbę znacznie się wznosi procent dezertarów z gubernii Królestwa Polskiego (4·96), a po nich idą gubernie: kowieńska, wileńska i podolska. Najliczniejszego kontyngensu dezertarów dostarczają żydzi, których autor nazywa »najniepewniejszym żywiołem,« o ile chodzi o augmentację armii. W ciągu tego okresu, na każdych trzech żydów, mających stanąć do asenterunku, uciekał stale jeden. Po nich ucieka najwięcej od służby wojskowej Rumunów z Bessarabii (10·23% z liczby powołanych), Litwinów i Polaków. Nie licząc nawet żydów, najwięcej stosunkowo ucieka z gubernii kowieńskiej i z 10 gubernij polskich.

Przypatrzmy się z kolei warunkom fizycznym i sanitarnym różnych narodowości, dostarczających żołnierzy armii rosyjskiej. Najmniejszego wzrostu rekrutów dostarczają gubernie nadwiślańskie (Polacy i żydzi), potem Finnowie nad Wołgą i Turko-Tatary w guberniach kazańskiej i wiackiej. Na 100 asenterowanych uwalnia się w Rosyi europejskiej z powodu ułomności fizycznych wogóle 22, ale w Królestwie Polskiem — 43, a więc prawie dwa

razy tyle, jak przeciętnie w całej Rosyi europejskiej. Najlepszym elementem pod względem sanitarnym i fizycznym są Rosyanie; znacznie gorszym są: Polacy, Litwini i Finnowie nadbałtyccy (w Estonii i północnych Inflantach); z pośród Rosyan najgorzej się przedstawiają Małorusini. Dodać jednak należy, że do powiększenia procentu rekrutów małego wzrostu i niezdolnych do służby wojskowej z powodu ułomności, przyczyniają się w ziemiach polskich głównie żydzi (str. 42).

I pod względem moralnym stosunki dla narodowości *nierosyjskich* przedstawiają się — według obliczeń pp. Zołotarewa i Hubricha — znacznie gorzej. W latach 1885 i 1886 skazano do kompanii i batalionów karnych następujący procent żołnierzy podług narodowości:

Rosyan . . . . .	73·7%
Polaków . . . . .	7·8 »
Litwinów i Finnow . . . . .	8·7 »
Tatarów . . . . .	3·2 »
Żydów . . . . .	6·6 »

Najniekorzystniej świadczą liczby przeciwko żydom, którzy stanowią w armii 3·2%, ale skazańców z niej dostarczają więcej jak dwa razy tyle.

Bardzo niepomyślnie dla nas, Polaków, przedstawia się stan oświaty w armii rosyjskiej. Umiejących czytać i pisać pomiędzy asenterowanymi dostarcza Rosya europejska wogóle 22·28%, ale Królestwo Polskie tylko 15·42% (zapewne umiejących czytać i pisać po rosyjsku). Najmniej umiejących czytać i pisać przypada na gubernie: syberyjskie, południowo-zachodnie (Wołyń, Podole, Bessarabia, Połtawa) i nadwiślańskie. Z tych ostatnich tylko gubernia warszawska stanowi chlubny wyjątek (około 24%), a w innych cyfry się chwieją pomiędzy 19% (Płock) i 7% (Radom). Tak było, jak zapewnia p. Zołotarew, do r. 1879, ale odtąd postęp na lepsze ma być w całej Rosyi widoczny.

A. Szarlowski.

— *La Divina Comedia*, con commenti secondo la scolastica, del P. Gioachino Berthier, dei Pred. Vol. I. Fascicolo I. (Freiburg, Schweiz, Universitätsbuchhandlung P. Friesenhahn, 1892, roy. 8.)—O. Berthier, znany całemu katolickiemu światu ze swych prac teologicznych, przystąpił do wydawnictwa Dantego, nad którem pracował od lat kilkunastu. Mamy właśnie pierwszy zeszyt tej wspaniałej publikacji przed sobą. Wydawca miał cel podwójny: najpierw wykazać, że pod poetycką allegoryą *Boskiej Komedyi* ukrywa się wspaniała nauka, cały traktat teologii moralnej wedle budowy scholastycznej; następnie

zaś szeregiem ilustracji, zaczerpniętych z pomników sztuki współczesnej Dantemu, chciał O. Berthier dać wyczerpujący komentarz archeologiczny do poematu. Według prospektu, około dwa tysiące drzeworytów będzie zdobić wydanie niniejsze *Boskiej Komedyi*. Sądząc z pierwszego zeszytu, będzie to publikacja pierwszorzędnej wartości. Dzieło poświęcił wydawca J. Św. Leonowi XIII, *mecenate insigne degli studj Tomistici e Danteschi*. Obszerny wstęp, którego tylko pierwszy rozdział dołączono do pierwszego zeszytu, obejmuje biografię Dantego i wykład allegoryi Dantejskiej. Spis rycin najlepsze da wyobrażenie o dokładności wydawnictwa. Mamy tu dołączone do wstępu: plan Florencyi, plan domu Dantego, Piazza San Martino, herby rodzin Frangipani, Elisei, Alighieri, Alighieri di Verona, »Battisterio« florenckie, reprodukuje obrazu Van der Goes: Folco Portinari, herby Portiuariach, kościół Ś. Reparaty, portrety Beatriczy według Missirinięgo, Van der Goes'a i S. Fermo. Prawdziwą ozdobą dzieła, są dwa duże wizerunki Dantego: tytułowy według oryginału przypisywanego Rafaelowi, drugi w tekście, bardzo charakterystyczny, zdjęty z miniatury Laurenziany.

Tekst sam *Boskiej Komedyi* jest z filologiczną akuracją podany. Szczególnie początkowe wiersze *Piekła* mają olbrzymi komentarz hermeneutyczny, w którym znowu ilustracje grają ważną rolę. Piękna fototypia odtwarza *Piekło* Dantejskie, według rysunku Sandra Botticelli. Ważny szczegół historyczny tekstu, ma zawsze piękne wyjaśnienie u dołu we współczesnej rycinie, miniaturze i t. p. Wzmiankom Dantego o papieżach, towarzyszą pod tekstem wizerunki Bonifacego VIII, Benedykta XI i t. d. W tych niezliczonych portretach, rysunkach, kopiach z obrazów dotyczących *Boskiej Komedyi*, spoczywa, obok samego komentarza dokładnego, główna wartość pracy O. Berthier. Byłoby ze wszech miar szczęśliwa myśl objaśnić Dantego, zapomocą współczesnych Dantemu osób, miejsc i przedmiotów. Pomimo nadzwyczaj bogatego wyposażenia dzieła (papier i druk są wysmienite), pomimo tylu rycin i drzeworytów, cena zeszytu jest bardzo niska, bo wynosi 2 fr. 50 ct. Wstęp i komentarz pisane są po włosku. Zadaniem jednego i drugiego będzie udowodnić, że *Boska Komedyja* jest utworem geniuszu poetycznego, wychowanego i obeznanego najdokładniej z zasadami scholastyceizmu.

J. Kallenbach.

— *Henry the Fifth*, by the Rev. A. J. Church (London, Macmillan and Co. 1891.) — Równocześnie z rozpowszechnionem już znacznie wydawnictwem krótkich życiorysów *Dwunastu mężów stanu* angielskich, znana firma londyńska Macmillan and Co., stopniowo od lat kilku puszcza także w obieg biografie tyłuż *Mężów czynu*. Do gotowych już żywotów Gordona, Warren Hastingsa (którato monografia ma być ostatniem słowem historii o nim, skreślonym przez wyższego oficera indyjskiej armii), Wel-

lingtona, Monka, Strafforda i kilku innych, przybędzie niebawem Warwick, Montrose, Marlborough, Clive i parę u nas mniej znanych nazwisk. Wśród tej seryi niezaprzeczenie jednak obok wyżej wspomnianego Hastingsa, ciekawość budzić musi przed wszystkimi innemi, życiorys Henryka V, a raczej może nie tyle sam życiorys, ile sposób, w jakim Anglicy traktują postać zdobywcy, którego my znamy i pojmujemy tylko w szacie bohatera dramatu. Genialna intuicyja historyczna, tradycya wówczas stosunkowo nie stara, wertowanie kronik współczesnych, czerpanie wiadomości z wcześniejszych dramatów, lub nawet ich naśladownictwo, złożyły się w potężnym umyśle poety i wyszła zeń postać młodego, wesołego księcia, przerastającego w zwycięzkiego wojownika, tak pełna życia, prawdy i uroku, że nie jej już w naszych pojęciach zmienić ani naruszyć nie zdoła. Taką też ufność pokłada się w siłę i wierność tego obrazu, że bez obawy o jego zmącenie śmiało otwiera się księgę historyi, bez strachu przed surowym sądem jej słowa. I myli się w tem człowiek mniej, niż zwykle.

Na podstawie kronik współczesnych Walsingham'a, jednego z kontynuatorów Kroniki Opactwa St. Albans, Elinham'a (późniejszego kapelana Henrykowego), Monstrelet'a, z bezimiennej *Kroniki londyńskiej*, z późniejszej Otterburn'a, z wierszowanego życiorysu współczesnego mu Thomasa Hardying, a nadewszystko z dokumentów publicznych, przechowanych w londyńskim *Record Office* i aktów królewskiej *Rady prywatnej* (przybocznej), wylania się z pod pióra dzisiejszego biografa jasno i zrozumiale, życie mniej barwne, mniej pełne poetycznych przeciwieństw i chwil dramatycznych, ale które przecież nie zadaje kłamu naszym wyobrażeniom o zwycięzcy z pod Azincourt. Najciekawszą niezawodnie częścią książki p. Church są cztery pierwsze rozdziały, w których dochodzi on punkt za punktem, o ile świadectwa współczesne różnią się od portretu Szekspira, i jakiej uległy zmianie, nim stały mu się źródłem do jego dramatu.

Faktem jest dla czytelnika widocznym, choć przez autora może nie dosyć stwierdzonym, że w dokumentach państwowych, zapiskach parlamentarnych i aktach *Rady prywatnej*, nie zostało śladu z burzliwego życia młodego Henryka; została zaś natomiast niezliczona ilość świadectw jego przedwczesnej dojrzałości i zaufania, jakie w nim nietylko ojciec, ale Rada królewska i nawet parlament pokładały, powierzając mu rządy ciągle buntującego się księstwa Wallii. Henryk wogóle mało przebywa w Londynie; od piętnastego do dwudziestego roku życia, pełni obowiązki ponad wiek swój, piastuje dowództwo bez przerwy, z różnem szczęściem walczy przeciw Owen'owi Glendower, spadkobiercy dawnych książąt, i mając lat szesnaście, bierze rzeczywiście udział w słynnej bitwie pod Shrewsbury. Tu atoli p. Church, zwraca uwagę czytelnika, że słynna szekspirowska walka z Hotspurem i zadana mu śmierć, odpadają całkiem z historyi, wobec dzie-

cinnego prawie wieku młodego księcia. Trzydziestoletni, słynny siłą swą rycerski syn starego ks. Northumberland zginął naprawdę od strzały w szalonym ataku kawalerji na szeregi królewskich łuczników.

Wszystkie tedy wiadomości o młodzieńczych wybrykach, o burzliwych towarzyszach królewskiego syna, o jego powstaniu przeciw najwyższemu sędziemu królestwa i poddaniu się potem jego wyrokowi, czerpane są z wyżej wymienionych kronik i późniejszych ich przeróbek. Autor dla nas cudzoziemców nie dosyć ocenia i porządkuje wartości tych świadectw, nie znacząc żadnej prawie między nimi różnicy. Dla Anglików imiona ich wystarczają zapewne, nie potrzebując komentarzy, których brak nam uniemożliwia sąd w tej sprawie. Stwierdzić tylko możemy, że Szekspir nie użył ani jednego rysu, któregooby do pewnego stopnia uzasadnić i na mocy kronik lub tradycyi choć poczęści udowodnić nie można, a z wnikięcia w ściśle historyczną część jego obrazu wypływa dla niego tylko jedna chwała więcej, jeden nowy dowód jego poczucia prawdy i potrzeby jej stwierdzenia. Najmniej uzasadnioną jest słynna scena z koroną, wzięta z kroniki Monstreleta, zdaniem p. Church najmniej pewnego źródła, której autor, nieprzychylny Lankastrom, pragnął przy każdej sposobności zachwiać ich prawem do tronu.

Dalsze dzieje młodego króla, który zgodnem zdaniem wszystkich kronikarzy, burzliwe życie najzupełniej i na zawsze od chwili osiągnięcia korony odmienił, opowiedziane jest jasno i gładko, przeważnie już tylko na podstawie kronik, gdyż akta parlamentu i Rady królewskiej z tych lat zawierają jedynie uchwały podatków i wpisy petycyj przedstawianych królowi. Z tych to skąpych wzmianek o nich, wypływać się zdaje spostrzeżenie, że za dni despotycznych pierwszych Lankastrów, saksoński samorząd, który pierwsze ciosy otrzymał w najściu Normannów a dźwigał się potem za słabych rządów króla Jana (w *Magna Charta*), teraz zeszedł był do lichego prawa remonstrancyi, czyli petycyj i próśb pokornie przedstawianych potężnemu władcy przez wysłańców miast i wybrańców szlacheckich, broniących się od zbyt uciążliwych poborów i obowiązków wojennych. Parłamenty Henryka V okazywały się powolnemi żądaniom młodego króla, który świetnemi zdobyczami chciał zatrzeć w pamięci poddanych wątpliwość swych praw do tronu.

Drugą tę, mniej może ciekawą część książki, zajmuje opis pamiętnego dnia św. Kryspina i Kryspiniana, bardzo barwnie skreślony, obok drugiej wyprawy francuskiej, płodnej w rzeczywiste zdobycze, prawdziwe *guerres de magnificence* jak Sorel nazywa wojny tego rodzaju, małżeństwo z Katarzyną de Valois i krótkie już tylko potem rządy króla nad Anglią, uspokojoną upuszczeniem krwi w zwyciężkach wyprawach. Śmierć przedwczesna wreszcie Henryka V, któremu zdaje się rzeczywiście sił, nadużytych

trudami wojny, na dalsze życie nie stało, kończy ten niewielki tomik, zawierający w sobie dzieje w dzisiejszych oczach prawie zbójcekie, a które jednak niespożyta siłą łączności narodowej, hartu, pożądań sławy czynu i zdobyczy wlewały w krew narodu. W ciągu ostatnich rozdziałów autor zastanawia się nad pytaniem, mimowoli nasuwającym się ciągle, czy Henryk mógł wierzyć w rzeczywistość swoich praw do korony francuskiej, i może pod wpływem uroku narodowego bohatera, odpowiada nań twierdząco, dodając, że w pojęciach ówczesnych takie zdania były powszechnymi. Twierdzi zaś, że obok genialnych zdolności zdobywcy i wygórowanych jego żądań, Henryk okrutnym bywał tylko z konieczności, ludzi stojących na drodze usuwał bezwzględnie, lecz bez zwykłego wówczas pastwienia się nad nieprzyjaciółmi. Powierzchności, zdaniem kronikarzy, był pięknej, ściągłej śniadej twarzy, postaci suchej i pełnej życia. Portret przechowany w Queen's College w Oxfordzie, gdzie w starej baszcie u wejścia pokazują pokoik, w którym Henryk miał mieszkać za lat chłopięcych, podany w odbiciu na czele książki p. Church, przedstawia człowieka rysów ostrych, bez zarostu, z stanowczym wyrazem suchej twarzy i szeroko otwartych ciemnych oczu, z koroną na małej, krótko ostrzyżonej głowie.

Dalekie sprawy stuletnich wojen angielsko-francuskich nie mogą dziś obchodzić ogółu naszych czytelników. Dostateczną pobudką, aby te kilka uwag poświęcić nowej książce, która choć w części zmienić musi pojęcia nasze o wesołym księciu Falstaffa, lecz w ogóle stwierdza raz jeszcze, jak nieśmiertelnie młodym zostanie nazawsze w prawdzie swej historycznej poetyczny największy dramat nowszych czasów.

P. M.

— Léon A. Daudet: *Germe et Poussière*. Trois causeries. (Paris, 1891, str. 268). — Jeśli nasze upodobanie estetyczne dla każdej ludzkiej działalności zawisło od siły kontrastów, wśród których się ona rozgrywa, i od stopnia wewnętrznej równowagi ducha, która je zwalczyć ma — to da się to zastósować i do dyalogu filozoficznego, ponieważ ten rodzaj literatury stoi na rozgraniczu między czystą nauką, t. j. wiedzą dla wiedzy, a sztuką, i jest jakoby dramatem umysłów. Dzisiejsze piśmiennictwo filozoficzne rzadko się odważa na formę dyalogu, prowadzi polemikę i krytyki tylko przy okazji z osobna rozbieganych kwestyj spornych; ma zaś dziś już dość wiele trudności z opanowaniem samego przedmiotu, materiału wiedzy, który tak rośnie i komplikuje się, ażeby mogło za przykładem dyalektyki platońskiej zachowywać przez cały ciąg przedstawienia antytezę ludzi, różnie myślących o tej samej kwestyi. To zaś, jak sądzimy, jest nieodzowne w dyalogu, poruszającym zasadnicze zagadnienia filozoficzne. Potrzeba na to i wielkiego myśliciela i artysty, żeby ob-

jął wzrokiem, nieprzyćmionym przez żadną stronniczość, całość plastyczną dwóch przeciwnych poglądów na świat, i żeby przeniknął ich najtajniejsze sprężyny. Przed tak wysokimi żądaniami mogą się bezkarnie uchylić tylko rozmowy z treścią należycie uspecjalizowaną, n. p. zamkniętą w ramach estetyki, lub jakiegoś psychologicznego czy etycznego problemu, gdzie autor nie potrzebuje narzucać czytelnikowi swego metafizycznego, ani religijnego *credo*, a temsamem i zstępować na dno ciemnych przepaści nie jest obowiązany. Tam też, jak w *Wieczorach florenckich* Klaczki, nie toczy się walk do upadłego — ale uczestnicy rozmowy mogą wnieść jeden hymn na cześć piękna, hymn uznania i oceny dla niezatracalnych skarbów i tryumfów ducha ludzkiego.

Dyalog filozoficzny, napisany przez lekarza (którego należy pomieścić ze znanym powieściopisarzem, Alfonsem Daudet), nie obiecywał podobnego nastroju — ale niemniej zaciekawiać musi taki rzadki objaw literacki, bo zawód autora czynił go kompetentnym sędzią w niejednej bardzo ważnej kwestyi psychologicznej, a nawet etycznej. Na nieszczeście p. Leon Daudet nie dostrzegł, czy nie uznał tego dylematu, że się trzeba albo ograniczyć, albo odpowiednio pogłębić podwaliny dla swych twierdzeń, jeżeli się one mają rozciągać do pytań najszerszych i rozstrzygać takowe. W każdym razie pisząc *dyalog* taki, powinien był dać przyjsć do słowa stronie przeciwnej, dowieść, że zna jej zarzuty i że ma odpowiedź na nie. Ale nie z tego. Wszyscy jego trzej interlokutorowie wyznają z nieznacznemi odcieniami jednakowe dogmata materialistyczne, grubo już podminowane przez krytykę, a nawet przez badania doświadczalne ostatnich lat trzydziestu. Autor trudności te lekce sobie waży, czy też ignoruje wyniośle; ale nie wychodzi mu to na dobre, gdyż wyjawia całkowity jego dyletantyzm w podstawowych zagadnieniach filozoficznych teoryi poznania i psychologii.

Często powtarzające się wyrażenia o „mózgu myślącym,” o jego „fosforescencyach,” „ostatnich wydzielinach“ (myśli konającego — ileż ludzkości i poszanowania delikatniejszych uczuć w całym tym rozbiorze, albo tam, gdzie Dr. Traban bez korzyści dla nauki, jedynie dla demonstrowania swej tezy przekłwa mózg psa!), i porównanie systemu nerwowego z kliszą fotograficzną dałyby się położyć na karb skłonności do obrazowań plastycznych, gdyby cały wątek rzeczy nie upewniał nas, że zwroty te są użyte zupełnie seryo, i że się w nich streszcza filozoficzne *credo* autora. Wątek ten, porozrywany w wielu miejscach fragmentarycznemi refleksjami i uwagami nieraz ciekawszemi i głębszemi od wartości poglądu — obejmuje trzy traktaty: rozprawę o *namiętnościach*, mianą na barce przy przegrywece fal morskich, drugą na terasie z widokiem na port wyspy Hennin i zachód słońca o *formach umysłu ludzkiego*,

ostatnią wreszcie na wieczornej przechadzce wzdłuż brzegu morskigo o *chorobach i śmierci*. Różne zjawiska zmieniającego się krajobrazu i otoczenia ludzkiego tworzą akompaniament tych rozmów. Autor zręcznie się niemi posługuje, nakierowując do swego planu bieg naturalnych kojarzeń się myśli w tych rozmowach. Wogóle dodatnio świadczy o jego talencie literackim układ prosty i potoczysta dykeya. Nawet gdy odbiega od przedmiotu i utrudnia krytykowi objęcie całości, odnosi się wrażenie, że te ekskursy zaradzają innemu błędowi, przesadzonej pedanteryi.

Co wiąże te trzy rozprawy? Autor w ślad za psychologią angielską i za Herbartem widocznie zapatruje się na duszę, (a w konsekwencyi, jak zobaczymy, także na organizm), jako na czysty konglomerat różnych żywiołów: wyobrażeń, uczuć, dążeń ścierających się nieustannie, których równowaga harmonijna bywa tylko rzadkim, krótkotrwałym wypadkiem w historii i zaznacza się wystąpieniami geniuszów. Zwykli śmiertelnicy, to automaty, skazane na pastwę namiętnościom. Zręczny matematyk - psycholog potrafiłby i przewidzieć ugrupowania i poruszenia mas ludowych, tak jak się tłómaczą skłębienia bałwanów morskich. Tylko pesymizm autora wyjaśnia nam tę jego pewność niezachwianą, że ludu nikt nie porwie i nie poprowadzi wielką ideą i hasłem szlachetnem. Doktor Traban widzi jeden tylko środek zaradczy, ale wyłącznie dla wybrańców losu, których wykształcenie i dary umysłu do tego uzdolniają: utworzyć w sobie według recepty buddystów „tajny przybytek“ (*chambre intime*), schronisko moralnych przeświadczeń o obowiązkach społecznych i godności własnej, i nie dozwalać, żeby fala gwałtownych, nieprzewidzianych wzruszeń dosięgała tego sanktuarium. Ale skąd się to oparcie ma w człowieku wziąć i na czem zasadzać jego trwałość, tego nam bynajmniej autor nie objaśnia, skoro nie widzi w żadnej duszy nie po za zbiorowiskiem „prochów i zarodów“ (tytuł książki), po za fermentem zalet i błędów atawicznych od tysiąca pokoleń, a fermentu tego nie przywodzi do ładu jakiś pierwotny strumień jednoczącej duchowej siły, woli czy aspiracyi, lecz tylko zewnętrzne, zwierzęce potrzeby codzienne. Geniusze zaś mają być właśnie najdosadniejszym okazem tego prawa akumulacyi sił. W nich się one, szczęśliwym zbiegiem skłonności dziedzicznych, nagromadziły. Zarody, pogrążone od wieków w uśpieniu w systemie nerwowym przodków, tu szczęśliwie sprzęgnięte przez jakąś miarę, jakąś „liczbę pitagorejską“, wykwitają z całym bogactwem kontrastów i to czyni tych ludzi przedstawicielami charakteru narodowego. Ale sam autor czuje, że taką jedynie składnią sił nie objaśni wielkich osobistości i ucieka się do innych sposobów, z ominięciem najskuteczniejszego, któryby mu mógł obalić jego doktrynę materialistyczną. Kładzie nacisk na równowagę wewnętrzną

wielkich ludzi, jako na to, co ich odróżnia od obłąkanych (alluzya do teoryi Lombrosa), obdarzonych równie silną wrażliwością i mnóstwem wyobrażeń czynnych. Przyznaje zależność od potrzeb wieku, „od idei w powietrzu,“ z których wyjawieniem szczęśliwy odkrywca powinien się spieszyć, jego zdaniem. Ale żeby geniusz mógł być dziecieniem natchnienia, mniej lub więcej bezwiednem narzędziem Opatrzności dziejowej, żeby nietylko on, ale i najmniejszy prostaczek umiał cudów dokazywać tęsknem podnoszeniem ducha ponad zacieśniony byt własny przez upartą wiarę i rwącą siłę przeczucia: tej możebności formułka racjonalisty nie pomieściłaby, taką myśl onby odpędził, jako jedną z „poczwiar przeszłości,“ z tych właśnie, które w innem miejscu obrzuca potokiem obelg, niezręcznie maskując swą bezsilną nienawiść zapomocą pogardy. Koniecznie potrzeba autorowi małych, o ile się to da, fizykalnych przyczyn dla wyjaśnienia wielkich skutków natury duchowej. Tak też i mowa ludzka, ten szlachetny organ myśli, tłómaczy mu się, zarówno jak śpiew ptaków, wyprostowaną postawą ciała i uzyskaną przez to dla rąk samodzielnością gestów. Był to zapewne ważny czynnik, ale nie jedyny i zależny od innych, psychicznych. Jak wszakże tę zmianę położenia miała spowodzić grawitacya, to już jest dla nas zupełnie niepojętem. Przecie czworonogi przy swem trzymaniu się poziomem i szerszej podstawie oparcia więcej się poddają sile ciężkości, aniżeli człowiek, i nie wystawiają się tak jak on na równowagę chwiejną. Jeżeli więc naszych przodków jakaś siła wyprostowała, musiała ona właśnie przeciwdziałać ciężnieniu materyi, jak to w swych obrazowych mitach Platon przypuszczał.

To, co charakterystyka form umysłu w drugiej rozmowie zawiera trafnego, nie jest nowem; dodatki zaś oryginalne autora chronają na niejasność i sprzeczności. Znana to oddawna prawda, że rozwój wiedzy przedstawia równoległe, współzawodniczące kierunki dociekań: obserwacyjny i dedukcyjny, ostatni nadewszystko w dziedzinie matematyki i metafizyki. Nie potrzebuje też już powtarzania fakt, że w skłonnościach charakteru angielskiego empirya ściśle się skojarzyła z utylitaryzmem. Ale przypisywać charakterowi niemieckiemu skłonność do dedukcyi i wraz z nią szczególny talent do metafizyki, matematyki i muzyki, jako osobną, jemu tylko właściwą cechę, to generalizacya trochę za pospieszna i lekkomyślna. Autor zapomina, że o kilkanaście kart wyżej nazwał (równie jednostronnie) Goethego przedstawicielem niemieckiego ducha. Gdzieindziej wydarł mu się szowinistyczny wykrzyk o Francyi: jesteśmy pierwszą inteligencyą Europy; tu zaś wyrządza krzywdę jej wielkim matematykom i metafizykom, a dzisiejszym postępie nauk doświadczalnych w Niemczech i rozkrzewieniu pozytywizmu tamże, nie wie, czy też wiedzieć nie chce. Dr. Trabau, który przewodzi w dyspucie, stawia ponad sensualizmem dwa wyższe stadya umy-

słowości, którym nawet mają odpowiadać dwa bardziej skomplikowane systemy zwojów mózgowych: „intelektualizm obiektywny albo praktyczny“ (refleksya na stany duchowe i przenikanie ich zależności wzajemnych u siebie i u innych) i „intelektualizm subiektywny albo czysty,“ który ma być stanowiskiem najwyższym, a jest w gruncie jakimś niejasnym zlepkiem Kantowskich apriorów, bezwzględne sceptycyzmu i nirwany buddyjskiej (*zone du resimple*).

Pessimizm p. Daudeta, patrzący na duszę ludzką jako na konglomerat namiętności i ich piłkę bezradną, idzie w naturalnej parze z jego poglądem na przyczyny chorób i śmierci. Nietylko arystotelicy, przypuszczający w jestestwie żywym substancjalną jedność energii, ale i dzisiejsi fizyologowie, którzy, jak n. p. Lotze, widzą w niem mechanizm, albo jak Wundt zmechanizowaną wolę, nie odmawiają mu zdolności regulowania się i mocy samozachowawczej, oczywiście w różnym stopniu właściwej organizmom w miarę doskonałości gatunkowej i jednostkowego zdrowia. Tymczasem p. Daudet, wszczynając polemikę z dzisiejszemi teoryami bakteryologicznemi o zewnętrznych zarodkach chorobowych, stara się dowieść, że oprócz tych dośrodkowych impulsów zakłócających powierzchnią, każdy organizm ma w sobie samym od początku odśrodkowe, rozkładowe dążności, że tamte są tylko sposobnościami, podnetami do naruszenia równowagi między wzrostem różnych tkanek, a walka o byt między częściami organizmu jest skłonnością im wrodzoną, w samym systemie nerwowym tkwi i przyprawia całość o zagładę. Ta teza (nazwana przez znajomego nam uczonego bakteryologa „urojeniem dyletanckiem“) jest widocznem *pendant* do teorii autora o afektach. Tu i tam tensam fatalizm, ten sam brak wiary w możność poprawienia niekorzystnych warunków dziedzicznych przez higienę moralną i fizyczną. Nieświadoma jego pobudka będzie faktem bodaj czy nie najbardziej pouczającym z lektury całej książki. Mamy tu wciąż do czynienia z człowiekiem-atomem, takim, jakim go hoduje nowożytny liberalizm, odartym ze wszystkich ściślejszych węzłów rodzinnych, religijnych, towarzyskich. Taki człowiek zostawiony samemu sobie, nieustannie siebie analizujący, wnet zobaczy dokoła obręcz czarnego fatum, i za rozstrojem moralnym pójdzie rozstrój organizmu. Że obrazom śmierci i myślom o niej nie oszczędzi autor oświetleń ponurych, można się było spodziewać. Ale tego miał prawo wymagać czytelnik od artystycznego smaku pisarza, żeby mu nie poniżał majestatu ostatnich chwil życia ludzkiego, i nie dawał tak ohydnych, a niczem nieuzasadnionych fantazyowań na temat swego dogmatu, że się duch wraz z ciałem rozkłada. Autor stoi jeszcze na stanowisku frenologów z końca zeszłego wieku, gdy lokalizuje wyobrażenia (a nie, jak dzisiejsza fizyologia, zdolność do uczucia i ruchu na t. zw. korze mózgowej) w mózgu, i doszu-

kuje się jakichś resztek świadomości w trupie krajany. Taką śmiercią, jak opisywane przez niego konania, nie giną ludzie z mocnym charakterem i wiarą, z myślą wyżej dążącą, choćby to było tylko pobożne przeczucie i widzenie chłopca, ale ci, którzy się wraz z p. Daudetem już za życia nauczyli zatapiać w nicość. Mamy tu jeden więcej przykład, jak niekompetentnymi sędziami życia religijnego i użyczanych przez nie dóbr są ludzie, którzy go nie zaznali. Słuchają i rozprawiają o niem, jak o wilku żelaznym. Twierdzą n. p. jak pan Daudet, że cały owoc tego życia, słaba pociecha z nadziei trwania po śmierci, jest niczem w porównaniu do upiora kar i cierpień, który dręczy wierzącego. A świadomości nieskończonych zadań moralnych jednostki, a jej wartość bezwzględna jako uczestniczki w ogólnym postępie moralnym? Z podobnemi trudnościami autor sobie nie zadaje kłopotu. Wszak nie waha się nawet przepowiedzieć czasów, kiedy krytyka praktycznego rozumu Kanta z jej kategorycznym imperatywem obowiązku będzie sprawiać wrażenie „przedpotopowego plesiosaury“ bo ona także nosi jeszcze piętno epoki, która w coś wierzyła i religijnym kultem otaczała rzeczy święte!

To, i wiele jemu podobnych odezwań się, byłyby groźnym znakiem czasu, gdyby się nie opierały na tak miążkich fundamentach i nie popadały co chwila w rażące sprzeczności jedne z drugimi. N. p. jedna i tasama osoba (*Vignon*) mówi na str. 44, że niedorzeczne jest usiłowanie materializmu, by wytłómaczyć człowieka przez objawy bytu zwierzęcego (*par l'animal*), zaś na str. 102 przypuszcza: „może też duch nasz jest tylko wypadkową (*resultante*) świata zewnętrznego.“ Ten nasz Lukrecyusz zmartwychwstały, co widzi we wszechświecie tylko różne ugrupowania sił i elementów, chwilami przedzierzga się w pitagorejczyka, ba nawet w platonika, i prawi o harmonii, mierze, liczbie jako o istocie rzeczy! Dla umysłów powierzchownie patrzących na historię filozofii, niema w niej przeciwieństw zasadniczych. Nie wchodząc już głębiej w dochodzenia za ojcostwem tych poglądów, za to jedno można zaręczyć, że nie wyszły z poważnego przemyślenia podstaw i granic wiedzy ludzkiej, ale powstały bezładną łataniną różnych dorywczych hipotez i spostrzeżeń naukowych, niedość jeszcze sprawdzonych i roztrząśniętych w ich zastosowaniu możebnem.

W. R.

— *The Magazine of Art.* (London, Paris and Melbourne. Cassell and Cie. 1890). — Przed kilkunastu miesiącami, na tem miejscu zapoznawaliśmy czytelników naszych z treścią rocznika innego angielskiego czasopisma, poświęconego sztuce. Ale jakkolwiek nas wówczas zajął *Journal of Art*, dziś nam uznać przychodzi nierówną wyższość drugiej podobnej publikacji, opatrzonej tytułem: *The Magazine of Art*, kędy umysł i oko zarówno, istne kopalnie zachwyków i wiadomości znaleźć może. Takie

wydawnictwa miewają wysoko cywilizacyjny wpływ i posłannictwo, i poziom kultury niewątpliwie podnoszą. Nie dziwić się tedy postępom wykształcenia estetycznego i rozwojowi zmysłu piękna wśród Anglików, posiadających dziś podobne środki upowszechniania znajomości i sposobności oceniania zabytków sztuki. Wielki u nas mecenas i miłośnik sztuk pięknych zwykł powtarzać, iż nad inne wieku swego wynalazki kładzie fotografię, skoro tym sposobem najpiękniejsze i najodleglejsze dzieła dłuta, pendzla czy kielni, uprzystępniają się i w domowe zamieniają bóstwa dla tych nawet, którym nie danem dalekie do przybytków piękna odbywać pielgrzymki. Ale nie sama fotografia gońcem krainy ideału. Drzeworyty angielskie nie od dziś słyną, a stanowią wyższy stopień sztuki, nie już słonecznym, mechanicznym odbiciem, lecz ludzką pracą i myślą. Jak daleko postąpiono na tej drodze, uczy nas artykuł o czasopismach ilustrowanych, stanowiących dziś tak rodzajną gałąź prasy wszechświata, których pierwowzorem został założony w r. 1842 tygodnik *The Illustrated London-News*. Snadź trafiono na odpowiednią żyłę i życzliwość, bo odrazu nowe pismo zdobyło sobie do 60.000 prenumeratorów. Ale bo też założyciel londyńskiej ilustracyi, p. Ingram, mistrzem był w sztuce pozyskiwania sobie popytu i poczytności. I tak np. numer zawierający opis i ryciny odnoszące się do instalacji arcybiskupa w Cantorbery, rozesłał on do wszystkich duchownych anglikańskiego kościoła, oswajając ich z pismem, które sobie odrazu ztąd stałych jednało abonentów. Znajdujemy tu okazowe ilustracye owych pierwszych poszytów, pozwalające ocenić ogrom dokonanych na tej drodze postępów. Ale bo i nakładu odtąd nie poskąpiono, a tu wystarczy porównać mnóstwo rozsyłanych na wszystkie strony korespondentów, z pierwotnym mechanizmem przedsiębiorstwa, gdy np. na wiadomość o pożarze Hamburga, zużytkowano dawną miasta rycinę, z dodatkiem zaledwie kłębów dymu unoszącego się nad głównymi gmachami. Czy i dziś sobie poszczególne ilustracye podobnych nie pozwalają sztuczek? zaręczyć nie podobna. Ileżto bowiem razy spotykamy się z potyczkami lub zasadzkami, o znajomych ramach i rysach, które służą tak dobrze wojnie z Afganami lub Birma, jak i walkom z Mahdim lub Zulusami. Dzieje londyńskiej ilustracyi nie jedną przeciwnością były zmroczone, dowiadujemy się jednak, iż przedsiębiorstwo p. Ingrama, które w bieżącym roku półwiekowy święcić będzie jubileusz, wytrzymało i przetrzymało wszelkie próby współzawodnictwa, i że dopiero założenie *Graphic'a* w roku 1869 rozbilo dotychczasową pomyslną zwycięzką rywalizacją.

Atoli acz tu znajdujemy osobny rozdział, poświęcony prasie ilustrowanej, osobny artykuł o sztuce książkowych ilustracyi, *Magazine of Art* przede wszystkim nas unosi ku wyższemu sferom piękna, choćby samem inwentaryzowaniem skarbów, za-

wartych w poszczególnych, prowincjonalnych galeryach, w Szkocyi lub Irlandyi. Prąd to praktyczny, a znaczący się w dzisiejszej angielskiej prasie. O bogactwach londyńskich i królewskich przystani sztuki, wie dziś świat cały. Teraz dumny Albion z lubością chępi się zbiorami poszczególnych rodów, miast, zamków. Dostatki angielskie pozwalały ich dzierżycielom nabywać zewsząd najlepsze dzieła sztuki, rozpierzchłe dziś w przeróżnych miejscowościach zjednoczonego królestwa. Nikt nie miał jednak pojęcia o mnóstwie skarbów skupionych na ziemi angielskiej i samiz Anglicy teraz zaledwie nabrali dokładnej świadomości swych artystycznych bogactw. Podobnie jak dziś amerykańskie miliony za ocean wywodzą pierwszorzędne utwory sztuki nowoczesnej, w minionem stuleciu pieniądze angielskie opłacały sobie arcydzieła włoskie i hollenderskie, aby je z kontynentu ścigać na swoją wyspę. Prąd ten utrwalił się po dni nasze, i znaczny poczet obrazów pierwszych mistrzów nazawsze opuścił słoneczne krainy południa, aby swe blaski przyćmić mgłą nowej siedziby i wygnania. Nieprzeliczone te skarby pozwalają współpracownikom niniejszego czasopisma podejmować specjalne studia, np. o pojęciu i przedstawieniu narodzenia Zbawiciela lub męki Pańskiej przez różnych mistrzów, według obrazów znajdujących się w pojedynczych zbiorach czy galeryach. Autor rozprawy trochę samowolnie określa datę r. 1500 jako rozdzielającą okres symbolizmu i mistycyzmu w sztuce, z idącym realizmem późniejszych wieków. A że tu ryciny dopełniają pisane wywody, otrzymujemy cały ich szereg, poczynszy od hołdu Trzech Króli w szopie, pendzla Fra Angelico, aż do Narodzenia Rembrandta. Z pośród tych znakomicie wykonanych drzeworytów, najbardziej nas zachwycił rzewny Botticelli, pełen tego znikającego później mistycyzmu symbolicznego. Roi się tam od aniołów, unoszą się one w górze, po bokach, otaczają szopkę, wprowadzają do niej pastuszków, szlą w niebo pieśń pokoju i dobrej woli, a poniżej, spotykając ludzi, całują się z nimi w odnowionem braterstwie Odkupienia. Napatrzeć się nie można temu ślicznemu, rzewnemu, pełnemu pobożnego natchnienia i myśli obrazowi, zaczem późniejszy realizm z symbolizmem rozwiedziony, już nas ani zagrzewa, ani porusza.

Takich poszczególnych rozpraw znajdujemy tu wiele. Warto wyróżnić artykuł zatytułowany: *Babyhood in Art and Nature*, zawierający między innymi trafne spostrzeżenie, iż w XV wieku spotykamy się z osobnem rozmiłowaniem sztuki w kształtach plastycznych dziecięctwa, które się już nigdy nie wznowiło, najmniej zaś w naszym stuleciu, nie posiadającym zgoła żadnego malarza dzieci, okrom może jedyne go Francuza, Deschamps. Ale natomiast, jeśli wiek XV kochał się w fizycznych kształtach niemowlęcych i dał wyraz temu upodobaniu w mnogich arcydziełach dłuta i pendzla, wiek XIX nad inne zajmował się bada-

niem duszy i myśli dziecięcej, i zostawi nieśmiertelne w literaturze wzory znajomości niedoli, rozkoszy i pojęć dziecinnego wieku, żeby tylko wspomnieć Dickensa i innych autorów angielskich, kreślących misterne wizerunki współczesnej dziatwy. — Wybornym też zdał nam się być artykuł o śmiechu, p. t. *The philosophy of laughter*. Głębiej to pomyślana rozprawa, obfitująca w trafne uwagi. Wiadomo, iż człowiek jedynem zwierzęciem, co się śmieje, a wraz poczucie śmieszności, *the sense of the ludicrous* jest darem umysłowym i przymiotem intelektualnym, zasługującym na należyte ocenienie. Autor w braku wesołości, cechującym obecne pokolenie, upatruje wygórowaną tylko próżność, każdy osobnik bierze siebie samego nadto na seryo, i ztąd śmiać się nie chce, nie raczy. Bardzo też słusznie wytyka, iż o ile łatwo znaleźć śmieszność w ludziach, o tyle jej niema nigdy w przyrodzie: któż kiedykolwiek widział śmieszne drzewo lub kwiatek? Wybornie pochwycone różne rodzaje śmiechu i uśmiechu, niezrównanemi ilustracyami rozwijają myśl autora. Na osobną wzmiankę zasługuje szereg twarzy, uwydatniających postęp ostatecznego wybuchu serdecznej wesołości, jak w miarę opowiadania i udzielonej wiadomości, oblicze się rozjaśnia, wykrzywia, śmieje do łez, przechodząc jedenaście różnych stopni szalonego rozweselenia, objętego tytułem: *The growth of a hearty laugh* (wzrost serdecznego śmiechu).

Bardzo ciekawą i nauczającą jest lekyca ornamentyki, ucząca nas przeróżnych modyfikacyj winogradowych liści w sztuce wszechświata. Autor ubolewa nad względem ubóstwem typów zaczerpniętych z skarbnicy przyrody, kiedy ona jedna winnaby nieść artystom swe nieśmiertelne i różnorodne wzory. A tymczasem w dawnych mianowicie i średnich wiekach, jak szczupłym był zasób ornamentyki z natury wziętej! W Assyryi i Egipcie trzymano się niemal wyłącznie liści palmowych, papyrusowych i lilij wodnych. Winograd, bluszcz, oliwne, świerkowe i dębowe gałązki, obok akantu, oto cały rynsztunek ornamentyki Greków i Rzymian, a wraz i ich późniejszych naśladowców. Gotycyzm rozszerzył nieco ten ciasny zakres, wciągając doń różę, lilie, granat, passiflorę i liść koniczyny, ale się temi nabytkami zadowolnił, nie bacząc na obfitą roślinność kwitnącą i rosnącą w pobliżu świątyni. Sztuka wschodnia jeszcze bodaj jednostajniejszych używa ozdób. Cóżby chińszczyzna poczęła bez piwonii, co japońska ceramika i parawany bez trzciny, migdałowych lub wiśniowych kwiatów? Każda epoka, każde plemię miewało swe ulubione typy, z natury zaczerpnięte i przystosowane do ornamentyki. Jeden wszelako liść winogradowy odnajduje się wszędzie, w nieco odmiennych tylko, acz łatwych do rozpoznania kształtach. Dopatrzyć się go można na płaskorzeźbach Niniwy, grobowcach egipskich, naczyaniach etruskich, ołtarzach greckich lub rzymskich, na sarkofagach bizantyńskich

i wczesnych sycylijskich tkaninach, na gotyckich budowlach i pomnikach Odrodzenia. Liczne rysunki przedstawiają nam przeróżne kształty liścia winnego, uwidocznionego sztuką wszechwieków i wszechnarodów, co się złożyło w nader zajmującą całość i kompletny kurs różnaitości w jednostajności typu, nad inne w ornamentyce stalszego.

Porównanie gotyku francuskiego z angielskim, dostarcza tu także kilku ciekawych stronnie, przymnażając zarazem i ślicznych rycin. Cały ich szereg wprowadza nas dalej w zakłęą i tajemniczą krainę Wallii, są i widoki z różnych stron Anglii. Najbardziej nas zajął artykuł, dopełniony mnogimi rysunkami, o wielkim zakładzie naukowym OO. Jezuitów w Stonyhurst. Wspaniale to gmachy, niegdyś pańska rezydencya katolickiej rodziny Weld, która przygarniała ochotnie rozbitków powtarzających się rewolucyj francuskich, ugaszczając naprzemian monarchów Francyi i wygnanych zakonników. Już blisko sto lat upływa, odkąd zamek Weldów oddanym został przybyłym z Liège Jezuitom, którzy tu pierwszorzedną założyli szkołę, liczącą dziś na setki uczniów i słuchaczy. Jak się rozwiały kacerskie uprzedzenia do papizmu i papistów, najlepiej wskazuje niniejszy artykuł w *Magazine of Art*, uznający znaczenie, oceniający wspaniałość poważnego przybytku naukowego, który idzie o lepsze z szkołami w Eton, Harrow i najpierwszemi Kollegiami angielskimi. Stary zamek Weldów rozszerzył się i przystósował do wymagań nowoczesnych postępow komfortu i nauki. Ale pamięć dawnych właścicieli i założycieli wspaniałej instytucyi trwa dotąd w Stonyhurst. Dobrze znany w Polsce i gorąco do drugiej, przybranej swej ojczyzny przywiązany Anglik, p. Karol de la Barre Bodenham, przez matkę należał do tej wielce zasłużonej Kościołowi i społeczeństwu rodziny Weldów.

Portrety stanowią jednak główną przynętę i prawdziwą *great attraction* niniejszego rocznika. Nie znamy poprzednich, ale przypuszczać się godzi, iż wydawcy z kolei darzą swych czytelników reprodukcjami arcydzieł coraz to innego z wielkich portrecistów Anglii. Tym sposobem kolej w niniejszym roczniku przyszła na Sir Thomasa Lawrence, którego tu kilkanaście otrzymujemy portretów, co jeden to piękniejszy, pełen inteligencyi i arystokratycznego wdzięku. Noszą one wszystkie owe piętno wyjątkowej gracyi i urody wykwintnej, stanowiącej cechę piękności z początku bieżącego wieku. Byłóż to zasługą mistrzów pendzla, prądem w sztuce uwidocznionym, czyli też istotną charakterystyką tych idealnych istot, uwiecznionych pędzlem Lawrence'a, Reynoldsa, Gainsborough? Z spuścizny tego ostatniego otrzymujemy tu zaledwie jeden portret, świeżo wyłoniony z żalobnego zamurowania. Tomasz Graham, lord Lynedoch, straciwszy żonę po ośmnastu latach szczęścia, w 1792 r. rozkazał cęglami zakryć wizerunek ukochanej, i czysty przypadek od-

słonił po latach wielu jedną z pereł twórczości Gainsborough'a. Zajmującym jest także liczny poczet portretów zmarłego przed rokiem poety Browninga, którego oblicze poznajemy w różnych epokach przedłużonego uad zwykłą miarę żywota.

Każdy poszyt niniejszego estetycznego wydawnictwa, zawiera nadto jakie arcydzieło rytownictwa lub fototypii. Z pośród tych ostatnich uderzają nas dwa obrazy Herkomera, oddające w obu razach męzkie w kościele zgromadzenie. Rozmaitość wyrazistych twarzy i dusznego podobieństwa uderza w tych cudownie odtworzonych obrazach, z których mianowicie pierwszy, zatytułowany: *Ostatnia mustra*, jest prześlicznym, przedstawiając zebranych w Greenwich czy Chelsea inwalidów na niedzielnym nabożeństwie. Pełnym poezji jest efekt księżycowy w powrocie trzódki Jaque'a, a *Popas* Meissoniera, odrytowany przez Flaminga, dość znanem arcydziełem, aby samą o niem wzmianką dać miarę dodatków zdobiących poszczególne zeszyty tego wspaniałego wydawnictwa, jednocześnie wychodzącego w Paryżu, Londynie i Melbourne.

N.

### Z literatury powieściowej.

— Stanisław Grudziński: *Żona artysty*. Powieść. (1891). — Z pewnym pietyzmem przystępuje się zwykle do oceniania dzieł pośmiertnych: jest pewien stopień wahania, gdy trzeba do nich przyłożyć miarę surowej krytyki, bo smutno się robi na myśl, że uznanie, czy też przeciwnie, wytknięcie błędów nie dojdzie autora, skoro on już skończył wędrówkę ziemską i poszedł tam, gdzie nie głośna sława, ale moralna wartość najwięcej znaczy. Stanisław Grudziński zostawił, jako spadek pośmiertny, powieść p. t. *Żona artysty*, która teraz dopiero wydana, stanowi jeden z pięknych objawów zgasłego przedwcześnie talentu.

Autor poruszył w swej książce pytanie, które tyle razy roztrząsanem było: czy artysta może być artystą, pomimo że przyjmie na siebie obowiązki męża i ojca rodziny? czy też przeciwnie, ta żona stanie mu się przekleństwem, zmarnowaniem siły twórczej, która tylko w atmosferze swobody bezwzględnej może tworzyć arcydzieła? Te kwestye, tak pełne interesu, stara się rozwiązać ta powieść; pytanie to, powtarzamy, poruszane już było często, ale może rzadko z tak wyborną znajomością charakterów i wszelkich odcieni ludzkiego serca. To też raz więcej przychodzi na pamięć trafne zdanie, że nic na świecie nowego i wszystko zależy od talentu tego, który myśl wspólną wielu podniesie, by wycisnąć na niej piętno swej indywidualności. Od autora, od miary jego zdolności zależy, czy temat, który obiera, będzie odbłaskiem, czy też sam rzuci nowe światło; od wglębenia się w istotę rzeczy, powszechnie omawianej, będzie zależeć, czy to jeszcze inne omówienie zostanie zbiorem frazesów, czy

też przeciwnie zbiorem dokumentów do poznania dusz ludzkich. Smutnoby było, gdyby warunkiem artyzmu miało być odkrycie całkiem nowych, nieznanych sytuacji – w takim razie fantastyczność Verne'a chybaby odrazu zyskała palmę pierwszeństwa. Ale właśnie w uczuciach powszechnych wszystkim ludziom, w zagadnieniach, które już niejednen umysł zajmowały, znaleźć ową wewnętrzną sprężynę, która je wywołuje, to dowód talentu i talentu prawdziwego. I ten-to talent spotykamy w *Żonie artysty*.

Jak sielanka pięknym zaczyna się rozdziałem, dniem zaślubin sławnego malarza Horskiego, z ukochaną, śliczną i wdzięczną Haliną. Wśląd za tą uroczą parą, łączącą wdzięk niewinności i siłę szlachetną, spieszymy do domu Chorążyny, którego opis technie niezwykle malowniczą prawdą i urokiem. Wszyscy kochają tu Halinę, a jednak lękają się wyboru: żona artysty czyż może być szczęśliwą?... Tosamo pytanie stawia Horskemu kolega, który widzi w małżeństwie grób dla artyzmu. Pierwsze lat kilka zdają się zaprzeczać jednej z tych wątpliwości: Horscy stanowią obraz najzupełniejszego szczęścia. Ale jest ciemna strona w tem szczęściu: Horski przestał tworzyć. Wchwili, gdy widzi, że inni idą naprzód, a on zostaje za nimi, uczuwa niesmak i żal niewyraźny do żony. Postanawia się otrząsnąć z nieczynności, i w czasie, gdy Halina jedzie na wieś do babki Chorążyny, zaczyna się do pracy zabierać. Równocześnie spotyka dziwną osobę: panna Bronisława Miłoradzka, należąca niby do dobrego towarzystwa, a całą istotą swą, wszystkimi instynktami przypominająca niepohamowaną cygańską naturę, która nie zna nawet granic konwencyonalnych, gdy idzie o zadowolenie namiętności, „łódź bez kotwicy i steru, jaką jest zasada silna, trwała, mogąca dać punkt oparcia w życiu...” I tę niebezpieczną kusicielkę dzika ogarnia chęć zyskania Horskiego, jego miłości. Śmiało do tego dąży, przezornie wyzyskując wrażenie, jakie na nim czyni. Halina, jakimś przecuciem zdjęta, wraca do miasta i odtąd zaczyna się znakomicie odmalowane powolne zepsucie jej szczęścia. Mąż jeszcze jej wierzy... a jednak otwarcie już nie mówi o wielu rzeczach. Koledzy wciągają go w dawne hulaszce życie pod pozorem, że ono dla artysty koniecznem podnieceniem; wśląd za tem niezadowolenie Haliny, jakkolwiek drobne, zaczyna jednak niecierpliwie Horskiego. Wydaje mu się, że zanedo dotąd żonie ustępował, zanedo świata unikał. Więc trochę jej naprzekor, trochę dla własnej przyjemności, w wielkiej części pod wpływem swoich dawnych admiratorek, hrabiny Wirskiej i innych, rzuca się w wir modnego życia. W ten wir nie idzie za nim żona — usuwa się obrażona lekkomyślnem zachowaniem męża, niepomna na to, że *les absents ont toujours tort*. Z razu Horskemu przykrem jest zachowanie żony, ale wkrótce uważa je za wygodną pokrywkę i wytłómaczenie własnego postępowania, i zmniejszając swą winę nieostrożnem niezadowoleniem

Haliny, ulega kuszącym zamiarom panny Miłoradzkiej. Teraz biedna kobieta, tak szlachetna a tak nieszczęśliwa, opuszczona przez męża, zostawiona sama sobie, straszne przechodzi chwile. Różne rady słyszy: surowości, zaciętego gniewu z ust pani Mizerskiej, która sama żona artysty, oddawna złowieszczą przepowiadała przyszłość Halinie, utrzymując, że każdy artysta tylko przewrotnym może być mężem. Inna rada: kokieteryi, pomszczenia się w podobny sposób, w jakim jest obrażona. Wreszcie stara babka Chorążyna, domyślając się smutków wnuczki, podaje jako lekarstwo, serdeczną radę: modlitwy i cierpliwości. „Bądź mężowi posłuszną, szanuj go, choćby ci jaką krzywdę zrobił, nie mścij się i módl się, by Bóg miłosierny odmienił jego serce...“ Ale nie od razu leczą te mądre słowa ból Haliny: życie domowe zatrute, na coraz gorsze schodzi tory. I tu czytamy niesłychanie prawdziwe zdanie: „Pierwszym artykułem kodeksu małżeńskiego byćby powinno, że w małżeństwie ta strona okazuje się mędrszą i wyższą, która pierwsza podaje rękę do zgody i skłania się do przebaczenia. Nieporozumienia są tu jak płonące smolne luczycywa, które zła ręka pod słomianą strzechę włoży; mogą czasem i same zagasnąć, ale mądry gospodarz polegać na tem nie chce i—choćby mu ręce poparzyć przyszło—zgniecie niebezpieczne zarzewie, gdy je spostrzeże, bo wie, że gdy płomień całą chatę obejmie, ratować już bywa nierychło.“

Ale szalone życie, które Horski prowadzi, nie działa zbawczo na jego artystyczną działalność. Zdaje się, że źródła natechnienia wyschły i nie pomaga ów środek sławiony: zupełne wyswobodzenie się z pod wszystkich praw obowiązku. Szlachetnej bądźcobądź natury Horskiego, nie może zadowolnić namiętność brzydka. Na widok cichych poświęceń żony, jej zaparcia i cierpienia, budzą się w nim wyrzuty sumienia... W chwili najmniej dla niej spodziewanej, gdy już z najwyższym zaparciem myślała o poświęceniu siebie i wyrzeczeniu się wszystkiego, by mężowi wolność zostawić — powraca jej ten ukochany, żałujący swego zapomnienia, pełen czci dla niej, która tak cicho umiała cierpieć. Halina z najwyższym taktem kochającego serca, wypróbowana w dniach ciężkich, o uświęconej poświęceniem duszy, powoli odbudowuje gmach szczęścia domowego, wykonując ów pierwszy obowiązek kobiety: zapomnienia win. Jeszcze niejedna przeciwność wstrząsa spokojem obojga, ale już nie nie zdoła zerwać tej spójni, jaka łączy ich serca, choć Horski jeszcze walczy i upada, i znowu się oswobadza od wpływu złego, choć nieogłędność jego sprowadza ruinę majątkową. Wszystko to przezwyciężone, dzięki wytrwałości kochającej żony, która umie wlać siły w duszę męża.

Autor pokazuje nam Horskich w lat kilka później, szczęśliwych i spokojnych. Cieszą się dzieckiem, którem w tym czasie pobłogosławiony został ich związek. Kochają go oboje, a ma-

larz i okiem artysty ocenia swe szczęście: ciche domowe życie, wypełnianie obowiązków ojca i męża, nie uściło w nim działalności—miłość nanowo rozbudzona dla Haliny, już nie na wrażeńiu, ale na czci i wzajemnym związku dusz oparta, stała się bodźcem do pracy; w krótkim czasie wniósł się na wyżyny artystyzmu dziełami najlepszymi z dotychczasowych.

Mógł urwać tu autor i zakończyć swą powieść, wykazawszy „niezbędny warunek do osiągnięcia wielkich celów,“ nieugiętą wolę nad samym sobą, by raz wytknąwszy sobie drogę, już z niej nie zbaczać, i drugi warunek: nieugiętą miłość dla swego celu. „Trzeba całą istotę swoją skupić w ukochaniu jednym, by upragniony ideał życia wstąpił w nasze ramiona...“ Że Horski nie kochał tak sztuki, że o niej zapomniał w błogich chwilach pierwszych lat małżeństwa, nie starając się przełamać hartem woli bezczynności, nie dążąc całą siłą do celu swego—potem nie mógł znaleźć już talismanu twórczego w gorączce szalonego życia. Dopiero gdy wsparty miłością żony, umiejącej z uśmiechem przebaczać, wziął się pracy, najpierw do spełnienia obowiązku utrzymania żony i dziecka, w czystym źródle szlachetnej miłości znalazł moc dla zesłabionego ducha i kordyał, który wpłynął na niego zbawczo. Instynkt kochającej kobiety umie rozwiązać niejedną trudność, jej rada i zdanie często pomocą; siłą jego, duszą ożywiającą wszystko, staje się cicha, skromna, pracowita, gospodarna, „głowy męża korona“ Halina...

Mogła więc tu urwać się powieść: ale autor chciał wykazać i wyższy jeszcze stopień błogosławieństwa wpływu poświęcającej się miłości żony. Szczęście dzielną było pomocą. Ale szczęścia tak mało na ziemi, tak, iż każdy z ludzi tylko jego *chwilę* zaznać może, ale nigdy *całości*. Straszny wypadek — śmierć synka, niszczy radość życia Horskich. Oboje odczuwają oni ten grom, który przez każde inaczej jest przyjęty: jeżeli pogłębia duszę kobiety, to grozi zniszczeniem wszelkiej wiary w mężczyznę. Halina znowu umie o sobie zapomnieć, by łagodnie pracować nad tem, ażeby mąż umiał z pokorą przyjąć wyrok nieba. Tem więcej i tem gorliwiej dąży do tego, im więcej czuje słabniejące swe zdrowie. Czyż potrafi ten jej ukochany znieść cios ten straszny i punkt równowagi znaleźć w Bogu, gdy wysunie mu się z pod nóg ostatnia deska ratunku, cel życia: miłość i praca dla żony? I wtedy wymaga na nim obietnicę, że dla jej pamięci, zachowa małą a najmędrszą książkę: *Naśladowanie Chrystusa*. Praca całego życia Haliny nie pójdzie wówczas na marne; jej lzy i czyny staną się zasiewem błogosławionym, z którego dla zbolalego męża wyrośnie pogrobowa pociecha, czerpiąca swą moc w wierze, nie ulegnie on pokusie rozpacz, ani gorszej stokroć, zmarnowania się w odemęcie złych i niskich instynktów, oprze się im, bo mu dobra żona wymodliła najwyższą łaskę: wiarę, że „drobnem i krótkiem jest wszystko, co z czasem przemija...“

Nie stała się tedy żona przekleństwem artyście: jej wpływ słodki dawał mu moc i natchnienie, ale błogosławieństwo dla artyzmu dopiero wtedy wyniósł z obcowania z szlachetną i wyższą kobietą, gdy sam zaczął pracować i sam wyznał przed sobą winę bezczynności. Bez własnego współdziałania nie można być zbawionym, trzeba nie tylko nie odpychać dobrego wpływu, ale z nim działać, z nim współpracować, by postępować coraz wyżej mimo przeszkód i trudów, trzeba nie dać gasnąć odwadze, i wierzyć w to, że warunkiem szlachetnego szczęścia i szlachetnego powodzenia, musi być zawsze Excelsior... *Żona artysty* chyba ma trudniejsze jeszcze i z subtelniejszych odcieni złożone zadanie, by mężowi dać szczęście i materyalne i duchowe. Wrażliwość, zmienność, nieopatrzność wrodzona, i owe wszystkie wyczulone władze duszy, zamiast ułatwiać praktyczną stronę życia, utrudniają je tylko. To też jeżeli artysta natrafi na charakter słabej, egoistycznej kobiety, wtedy szare trudy, mikroskopijne tarcia, rozłożą, jak jakiś płyn chemiczny, wszelką w nim zdolność. Ale gdy towarzyszkę życia znajdzie podobną Halinie, wtedy *Żona artysty* będzie jego dobrym geniuszem. A tylko na to, żeby nim była, musi całkiem o sobie zapomnieć i pamiętać jeszcze więcej niż każda inna kobieta, to, co Szujski w *Misteryum wiedzy* pisze:

Swe zrobić cudzem, swoim zrobić cudze.  
I wyznać Boga w swem własnem zaprzaniu...

*Żona artysty* jest jedną z piękniejszych powieści, jakie nam się zdarzyło czytać w języku naszym. Śliczna forma, artyzm obrazowania i czar stylu, łączy się z podniosłym nastrojem treści. Autor umie patrzeć w życie, umie obserwować ludzi i zna owe chwile wielkości, i upadki, i zesłabnienie woli, i niechęć czynu, które nekają człowieka; zna codzienność, wskazuje jej wszystkie pokusy i męki, a tylko realizm życia nigdy nie jest w jego powieści brutalnym, i złe nie budzi złych instynktów. Są sceny, są obrazy niezmiernie rzeczywiste, które czytając, ma się uczucie, że autor własną duszę naszą otworzył, by je odmalować. To dowód, jak zna człowieka, jak badając go, do tego rdzenia dochodzi, który u wszystkich ludzi tensam.

I zamykając książkę, smutno pomyśleć znowu, że śmierć złamała przedwześnie to pióro i zamknęła oczy, co umiały tak patrzeć głęboko.

M. Rawicz.

— L. de Tinseau: *Plus fort que la haine*. (Paris, Calman Lévy, 1891). — Powieść ta jest dalszym ciągiem *Sur le seuil*, o której *Przegląd* roku zeszłego dawał sprawozdanie. Pytałby się chciało autora, czemu znowu wziął tychsamych ludzi, aby ich dzieje w młdej i pospolitej powieści przesunąć przed oczyma czytelnika. *Sur le seuil* opowiadało dzieje dwóch sere szlachetnych, zrażonych przez świat, niewierzących, by na ziemi

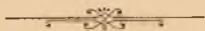
szczeście istniało. I Albert de Senac i Teresa de Quilliane dużo walk i cierpień przeszli, nim do ich miłości i ufność wspólna się dołączyła. Zwłaszcza Teresa, zniechęcona do ludzi widokiem złego co się dzieje w świecie, zdaleka wracała, by napowrót zająć miejsce w tym świecie, który potępiła. Wszak od progu klasztoru, gdzie umrzeć chciała dla ziemi, wróciła dopiero — by zostać żoną Alberta. Miłość wzniosła, gorąca, idealna, miała wskrzesić w sercu panny de Quilliane wiarę, że można i na świecie żyć szlachetnie i między ludźmi Bogu służyć.

*Plus fort que la haine* pokazuje nam w nowem życiu Alberta de Senac i jego żonę. Oboje wyżsi, oboje szlachetni, jakżeż nie umięją z tą wyższością swą obracać się między ludźmi! Pokorni przed Bogiem i względem maluczkich tego świata, drażnią swą wyłącznością i dumą, robiąc sobie nieprzyjaciół bez liku, bo w swej pokornej pysze liczą bardzo ściśle i ilość przodków i liczbę pereł w koronie u wszystkich, z którymi przestają. Nie posiadli owej „prostoty gołębiej i mądrości węzowej,” którą nie daremnie poleca Pismo wszystkim co w świecie żyć muszą, jako warunek niezbędny swobodnego i łatwego obcowania z ludźmi. I cóż dziwnego, że wkrótce przygotowuje to nierozsądne postępowanie grunt sposobny przebiegłym i podłym zabiegom nędznego intryganta, który korzystając z nieformalności w procesie o jakieś upadłe przedsiębiorstwo, gdzie Albert de Senac był wmięszanym, zapragnie wyzuć go z majątku i wyrzucić z rodzinnego gniazda. Szatańskie projekta nieprzyjaciela o tyle są niebezpieczniejsze, że właśnie obrażeni i dotknięci wyłącznością Alberta i jego żony ludzie, zapagną ich upokorzenia. By niebezpieczeństwo zażegnać, jakby za karę zbytecznej w stosunkach wszystkich drażliwości, nadaremnie robią oboje bardzo niemile poświęcenie i wchodzą w towarzystwo dwuznaczne i głośne, a bardzo wpływowe. Nienawiść straszego Cadouroux, coraz to więcej swe groźby rzeczywistością czyni; w niezrozumiały trochę i fantastyczny sposób niebezpieczeństwa się mnożą, proces się wikła i ruina zupełna niechybną się zdaje. I znowu, jakby na smutne potwierdzenie zdania, że każdy ideał krzywi się w życiu, wzniosła miłość Alberta i Teresy zaczyna koszlawiać. Dopóki wzniosłe dzieliły ich przeszkody, zdawać się mogło, że miłość ich raz wzajemnie wyznana, przeniesie góry i doliny. Ale w codziennem zwykłym życiu, jakoś ta harmonia dusz nie umie sobie dać rady z wybojami, których gościeńce, jakimi ludździe iść po świecie muszą, są pełne. Łatwiej na skrzydłach się unosić, niż postępować równą zwykłą drogą. Bo choć i Teresa i Albert są zbyt szlachetni, by podobna materyalna przyczyna miała związek ich serce rozluźnić, to jednak więcej jest miłości własnej, niż wzniosłego uczucia w tych obawach, co nękają Alberta, lękającego się ruiny. Więcej myśli on o tem, że rozminie się z głoszoną przez się zasadą, która mu każe ukochaną otoczyć

wszystkiem, co najwykwintniejsze i wysoko nad wszelkie trudy i ciasną codzienność postawić, niż wierzy w to, że właśnie próby, przykrości i straty największe, tak, jak ogień dla złota, dla miłości szlachetnych ludzi być winny. Tego wszystkiego nie zauważył i sam autor, który aż do ekliwkości rozwodzi się nad idealnem uczuciem obojga. Ale jakież koniec tych wszystkich niepokojów? Naturalnie, dobry. Mocniejszą od nienawiści jest miłość; stary Cadouroux ginie, jak na rozkaz, w falach wzburzonej rzeki, w chwili, gdy dosięgnął szczytu marzeń, t. j. wygrał proces i zrujnował Alberta de Senac. Ta śmierć oddaje owoc zwycięstwa w ręce jego syna; chorobliwa, gorąca wyobraźnia, jakaś śmieszna i górnotna uczuciowość, odróżnia go do ojca, a największą przepaścią, która ich rozdzieliła, była romantyczna, sentymentalna miłość, jaką w sercu młodszego Cadouroux całkiem mimowolnie piękna Teresa de Senac wzbudziła. Cóż więc dziwnego, że jak w średniowiecznej bajce, u stóp pani swych myśli składa on w ofierze wygrany przez ojca zamek i majątek cały Senaców — sam zaś idzie się zamknąć w pustelni Grande Chartreuse, nawrócony życzeniem Teresy, która jego niewiarę raz potępiła.

Cała ta powieść, dość nieprawdopodobna, ekliwa jest, mdła i nudna swym balastem sentymentalno-wzniosłych frazesów. A jednak jest w niej jedna karta tak śliczna, tak przejmująca, że dla tej jednej warto przeczytać książkę. P. de Tinseau odsłania w niej pełne ciekiego zaparcia poświęcenie pań, należących do najwyższych sfer towarzystwa paryskiego, a przemagających aż nadto zrozumiały wstręt i odrazę, by nieść osobistą pomoc nieszczęśliwym, na raka kończącym istotom. Przejmujący jest opis tego ubożego szpitala, obsługiwanego przez Siostry Miłosierdzia, tych jęków boleści, mieszanących się z wstrętnymi częstokroć żartami kobiet, które dopiero śmierć z wiarą i Bogiem obznajamia. I jak zgodny z duchem tej wiary, wzniosły czyn osób, które dobrowolnie opuszczają zbytkowne salony i życiu głośnemu odkradają godziny dla obsługi tych chorych. Pan de Tinseau nie wymienia nazwiska tego stowarzyszenia; sądzić nam jednak wolno, że spotykamy się z błogosławioną działalnością *Pań Kalwaryjskich*, które założone w Lyonie przez panią de Jousat za panowania Ludwika Filipa, dzisiaj i w Paryżu istnieją, powołując do pielęgnowania dotkniętych rakiem lub innemi nieuleczalnemi ranami chorych, chętne poświęcenia dusze. O ile wiemy, *L'association des Dames du Culvaire* z samych wdów się składa, lub kobiet samotnych. To też wyrażając autorowi wdzięczność za tę śliczną kartę, która nam przypomniła opis szpitalu dla skrofulicznych w Lotiego *Livre de la pitié, et de la mort*, kończymy to sprawozdanie, o słabej zresztą, ostatniej jego powieści.

M. Rawicz.



## Przegląd polityczny.

Kraków, 29 lutego 1892.

Żyjemy w epoce przejściowej. Powoli zrywamy z ideami i przekonaniem przeszłości, a nie wiemy dotychczas, co na ich miejsce postawić w przyszłości. Znika przedewszystkiem przekonanie, że szczęście ludzkości zależy tylko od polepszenia stosunków *politycznych*, przekonanie, okupione hekatombami ofiar. Znika także kult, wyznawany dla historycznych osobistości przeszłości; w miejsce bohaterów, znajdujemy wszędzie — ludzi, a na miejsce legendy, wstępuje analiza i krytyka historyczna.

Znaczenie polityki powoli upada i interes ludów zwrócony jest coraz więcej na wewnątrz, nie na zewnątrz. Co znaczy cała kwestya Alzacyi i Lotaryngii, wobec ciągłego wzrostu ludności świata i coraz trudniejszych warunków bytu. Jeżeli pomimoto śledzono do niedawna jeszcze gorączkowo bieg spraw polityki zagranicznej, to zapewne głównie dlatego, że nad Europą wisiała, jak miecz Damoklesa, groźba wojny, a w całym świecie panuje obecnie rodzaj idiosynkrazji przeciwko zawikłaniom wojowniczym. W całym świecie, z wyjątkiem może Rosyi, uważają i rządy i ludy wojnę za straszną katastrofę. Ten prąd pokojowy panuje w Ameryce, gdzie rząd Stanów Zjednoczonych załatwia pokojowo zatarg z rzeszpolicą chilijską, który przy innych zapatrywaniach, musiałby być doprowadzić do wojny; ten prąd panuje w Azji, gdzie rząd chiński z podziwienia godną szyb-

kością zgadza się na odszkodowanie pokrzywdzonych Europejczyków, ażeby tylko uniknąć czynnego wystąpienia mocarstw europejskich.

Ten prąd panuje w Europie, skutkiem ogólnego przekonania, że pokój jest potrzebny dla poprawy stosunków wewnętrznych, ekonomicznych, moralnych i społecznych, i że reform nie można dłużej zwlekać. Pytanie tylko zachodzi, co ma być podstawą tych reform. Kiedy przed kilku dziesiątkami lat rozległo się w Europie hasło, że fundamenta tronów są zachwiane, wtedy uciekli się rządzący do pomocy religii. Wspólna działalność Kościoła z państwem, miała wzmocnić zachwiane podstawy tronów. Podobnego zjawiska jesteśmy i dzisiaj świadkami. Dziś rozlega się po Europie okrzyk, że podstawy porządku społecznego i moralnego są zachwiane, i oto widzimy znowu, jak wpływ Kościoła wzrasta i sprawy, dotyczące kwestyj religijnych, wchodzą nagle, bez widzialnej przyczyny, na pierwszy plan. „Kiedy trwoga, to do Boga,“ powiadają prostaczkowie.

Nie jestto więc przypadkiem, że i w ubiegłym miesiącu — pierwszym, jaki spędzono bez uprawnionych obaw wojny — stały sprawy religijne w dwóch państwach nadających ton w Europie, we Francyi i w Niemczech, na porządku dziennym. We Francyi okazało się najlepiej to *zasadnicze* znaczenie kwestyj religijnych w dzisiejszych czasach. Ministerstwo Freycineta, które przetrwało największe burze polityczne, które zwyciężyło Boulangerą, upadło dlatego, że w sprawie stosunku Kościoła do państwa, nie zrozumiało albo nie chciało zrozumieć prądu chwili. Kiedy to ministerstwo wniosło do Izby projekt ustawy o stowarzyszeniach, powinno było już wtedy zdać sobie sprawę z całej ważności kwestyi. Ustawa o stowarzyszeniach, aczkolwiek normująca wolność tworzenia stowarzyszeń, zwrócona była w pierwszej linii przeciwko zakonom i korporacyom religijnym, albowiem odbierała im, jako stowarzyszeniom wolnym, możność otrzymywania w podarku lub w testamencie czego innego jak: *objets mobiliers destinés à être consommés ou à servir en nature au fonctionnement de l'oeuvre*, jak również możność nabywania przez kupno czego innego, jak: *immeubles strictement*

*nécessaires à l'habitation ou à la réunion de ses membres et les fonds et objets mobiliers indispensables pour l'objet même de l'association.* Tażsama ustawa poddawała stowarzyszenia wolne, niepotwierdzone przez rząd lub ustawę, a więc także zakony i korporacye religijne, wizytacyi ze strony władz administracyjnych i sądowych.

Napróżno chciało ministerstwo Freycineta dowodzić, że ustawa o stowarzyszeniach nie miała nic wspólnego z kwestyą stosunku Kościoła do państwa. W obecnej chwili, przybiera każda sprawa, choćby tylko pośrednio dotycząca Kościoła, znaczenie zasadnicze. Ministerstwo Freycineta zapomniało, zdaje się, że właśnie w tej chwili duchowieństwo francuskie zajęte było deklaracją kardynałów względem stanowiska wiernych do rzeczypospolitej, i że sam Ojciec św. wyrażał w encyklice do biskupów francuskich gotowość pogodzenia się z obecnym stanem rzeczy we Francyi. Jeżeli w takiej chwili Freycinet uznał za stosowne przemawiać w Izbie za nagle traktowaniem ustawy o stowarzyszeniach, to dawał przeto do poznania, że rząd nie chce zgody z Kościołem i że trwa na stanowisku negacyi. Bez skutku musiało więc przebrzmieć jego oświadczenie, że chce postępować umiarkowanie; nie pomogły komplementa pod adresem Kościoła i Ojca św. — ogólne przekonanie powstać musiało, że ministerstwo postępuje dwuznacznie. Zupełnie słusznie więc *Journal des Débats* napisał: *Donner aux modérés des mots, donner aux radicaux des actes, c'était la politique du cabinet.* Ta dwuznaczność, doprowadziła ministerstwo Freycineta do upadku, albowiem radykalni nie przebaczyli mu umiarkowanych słów, a prawica radykalnych czynów. Połączenie prawicy z radykalnymi w tej sprawie, było więc rodzajem Nemezys historycznej, karzącej największy w polityce błąd: zapoznanie rządzących w pewnej epoce prądów.

Dla znajdujących zręczność taktyczną członków ministerstwa Freycineta, był ten przebieg rzeczy i to niepolityczne postępowanie prawdziwą niespodzianką, tak, iż można było przypuszczać, że ministerstwo to życzyło sobie upadku, a mianowicie, że niektórzy jego członkowie życzyli sobie tego rodzaju rozwiązania i w tym kierunku działali. Wiele symptomatów dowodziło rzeczywiście, że w łonie

ministerstwa toczyły się intrygi i że głównie ministrowi Constans chodziło obecnie po sprawie spoliczkowania o sposobność do reorganizacji ministerstwa. W tym razie mielibyśmy do czynienia z upadkiem ministerstwa naprzód przygotowanym, z rodzajem teatralnego opuszczenia sceny jednymi drzwiami, ażeby wrócić na nią drugimi. Wszystko to należy jednak do dziedziny przypuszczeń, których prawdziwość, dopiero historia dowieść może. Jedno jest jednakowoż już dzisiaj pewnem, mianowicie to, że sprawa stosunku Kościoła do państwa, która stanęła obecnie na porządku dziennym we Francyi, odgrywać będzie tutaj i w najbliższej przyszłości najważniejszą rolę.

Podnieśliśmy już powyżej, że Leon XIII występuje obecnie zupełnie otwarcie z zasadą, iż katolicy francuscy mogą się pogodzić z rzecząpospolitą. Papież wypowiedział tę zasadę w encyklice do biskupów francuskich, bez względu na osobistości, jakie w danej chwili stały i stoją na czele rządów we Francyi. Stanowisko to Ojca św. łatwo pojąć, jeżeli się zważy, że cała polityka jego zwrócona była zawsze do utrzymania harmonii między czynnością Kościoła a potrzebami społeczeństw. Odmienne od swojego poprzednika, odniósł Leon XIII w ostatnich czasach największe tryumfy przez to, że starał się, ażeby Kościół uważany był przez społeczeństwa za pomocnika w działalności, nie za przeszkodę. Jakże więc mogłoby duchowieństwo francuskie nadal popierać partye monarchiczne, skoro ogromna większość ludności francuskiej stoi rzeczywiście po stronie rzeczpospolitej i skoro partye monarchiczne powoli znikają z widowni? Czyż mógł Papież nakłaniać katolików do opozycji przeciwko formie rządów, jakiej ci katolicy coraz więcej są oddani? Katolicy we Francyi mogą występować przeciwko pojedynczym ministerstwom lub pojedynczym aktom rządowym, ale *w obecnych stosunkach* nie mogą być nieprzyjaciółmi jedynie dziś możliwej formy rządu we Francyi. To postępowanie Ojca św. nie stoi też zupełnie w sprzeczności z zasadą konserwatyzmu. Kościół popiera zawsze idee monarchiczne, ale musi w dzisiejszych czasach uwzględnić także potrzeby i warunki bytu pojedynczych społeczeństw. Jeżeli każde pojedyncze społeczeństwo będzie miało przekonanie, że znajdzie

w Kościele pomoc i poparcie dla swoich uprawnionych celów, wtedy tylko będzie mógł Kościół wypełnić swoje dzisiejsze zadanie, które polega na umożliwieniu reform społecznych i moralnych, w drodze legalnej i pokojowej. Kościół nie może dzisiaj popełniać anachronizmów i zapoznawać rządzących w pewnym społeczeństwie prądów.

Nie brak było polityków, którzy wskazywali na zasadniczą różnicę między tem stanowiskiem Papieża wobec rzeczypospolitej, a stanowiskiem, jakie zajęli w tejsamej sprawie kardynałowie francuscy w znanym manifestacie. Ci ostatni oświadczyli wprawdzie także gotowość pogodzenia się z rzeczypospolitą, ale pod warunkami, jak utrzymują republikanie, nie do przyjęcia. Zasadniczej różnicy jednak między stanowiskiem Ojca św., a stanowiskiem, zajętem przez duchowieństwo francuskie, nie widzimy. I Ojciec św. i duchowieństwo francuskie oświadczają *w zasadzie* gotowość do zgody z rzeczypospolitą. Kwestya warunków—to pytanie nie zasadnicze, ale oportunistyczne. Pod tym względem pozostawi może Papież wolność działania duchowieństwu, które najlepiej ocenić może, jak daleko mu iść wypada.

Niemalą rolę przy zachowaniu się duchowieństwa francuskiego odgrywały bezsprzecznie także względy na podeszły wiek Ojca św., na wieści o jego zachwianem zdrowiu, co wszystko przyczyniało się do pewnej chwiejności w postępowaniu, albowiem niewiedzano, czy zasady Watykanu pozostaną dłuższy czas niezmienione.

W tym stanie rzeczy ma nowe ministerstwo francuskie kierunek naprzód wskazany. Liczyć się już ono musi z wotum Izby, odrzucającem nagłość dyskusyi nad ustawą o stowarzyszeniach, i musi ztąd wyciągnąć wniosek co do swojego postępowania na przyszłość. Być może, że w pierwszej chwili starać się ono będzie ułagodzić partyę radykalnych, choćby tylko pozorem ustępstw, ale w dalszej przyszłości musi z natury rzeczy zająć wobec Kościoła stanowisko kompromisowe, odpowiednie stanowisku, zajętemu przez Ojca św. Walka między Kościołem a państwem, musi się we Francyi zakończyć zwycięstwem Kościoła. Byłoby ze strony rzeczypospolitej samobójstwem, odtrącać podaną sobie do zgody rękę. Pomimo zaś wszystkich pozornych zwycięstw pana Clémenceau i jego

partyi, wszyscy, a nawet może sami radykalni, są o tem przekonani, że trwałość rzeczypospolitej zależy od umiarkowania rządzących. Tylokrotnie powtarzane słowo Thiersa: *la république sera conservatrice ou elle ne sera pas*, staje się powoli rodzajem dogmatu.

Zasadnicze znaczenie spraw religijnych w dzisiejszych czasach, występowało również dobitnie na jaw i w cesarstwie niemieckiem. I tam okazało się, jak daleko sięgającymi są dzisiaj wszystkie sprawy, dotyczące choćby tylko pośrednio Kościoła. Przedłożenie rządowe względem szkół ludowych w Prusach, w gruncie rzeczy partykularystyczne, albowiem kodyfikowało ono tylko dla Prus zasadę i tak oddawna tam przyjętą, przedłożenie, które nie zresztą w Niemczech nowego nie zaprowadzało, albowiem urządzenia tam projektowane, istnieją dotychczas — z pewnością nie na szkodę ludności — w południowych Niemczech, mianowicie w Wirtembergii, przedłożenie to spowodowało rozdział całych Niemiec na dwa obozy. Kanclerz Caprivi secharakteryzował tę walkę słowami: *Hic Atheismus, hic Christenthum*. Pod tem hasłem toczyła się walka, która na stosunki polityczne niemieckie wyrzucić może największy wpływ. Od wyniku tej walki zależy przedewszystkiem, czy przyszlą większość rządową także i w parlamencie stanowić będą tylko centrum i *Deutschconservative*, czy też uda się uzyskać dla tej większości także część narodowo-liberalnych. W łonie tej ostatniej partyi panuje niezgoda, i nie bez uprawnienia wskazują dzienniki na różnicę zapatrywań między ministrem finansów Miquelem, dotychczasowym Messyaszem tej partyi, a starszym prezydentem Hannoveru, Bennigsenem, dotychczasowym faktycznym przywódcą. Miquel podał się wprawdzie do dymisji prawie równocześnie z wniesieniem projektu szkolnego, ale, jak zapewniają znający stosunki, nastąpiło to podanie do dymisji dla innych powodów, a nie z przyczyny opozycyi przeciwko projektowi szkolnemu. Ideą przewodnią Wilhelma II było wprawdzie dotychczas połączenie wszystkich partyj ku celom, wskazanym przez cesarza. Pamiętne są jego mowy, w których oświadczał, że przyjmie każdego, kto się do niego przyłączy, a zdruzgoce każdego, kto mu opór będzie stawiał. Nie wiemy jednak, czy tego rodzaju rządzenie po nad par-

tyami będzie w praktyce przez dłuższy czas możliwe. Tej dążności cesarza połączenia partyj, wypada jednak przypisać owo osobiste jego staranie pozyskania Bennigsen dla swoich planów i owo kilkakrotne cofanie się Capriviego w sprawie projektu szkolnego. W samej zaś sprawie zasad szkolnych, był bezsprzecznie rozstrzygającym względ na niebezpieczeństwo socjalizmu. Śmiało można twierdzić, że projekt szkolny odpowiadał w pierwszej linii przekonaniu Wilhelma II, iż niebezpieczeństwo, grożące ze strony socjalizmu, da się choćby w części zażegnać przez powrót do religijności i przez wychowanie w zasadach religii. W rozmowach na ucztach, dawanych przez Capriviego dla posłów, podnosił cesarz niejednokrotnie swoje dążności ku pokonaniu hydry socjalizmu. Równocześnie rozchodziły się w Niemczech wieści o zamachach anarchistów, o licznych aresztowaniach, co wszystko tworzyło atmosferę, pomyślną dla ustawy szkolnej, ale równocześnie charakteryzowało właściwe cele rządów Wilhelma II.

Cele te określił on zresztą sam, w mowie, wypowiedzianej przed kilku dniami na uczcie sejmu brandenburskiego, kiedy oświadczył, że będzie dalej postępował na drodze, jaką mu Niebiosy wskazały, pomny przedewszystkiem swojej odpowiedzialności wobec Boga, który go nie opuści. „Przeznaczeni jesteśmy—powiedział dalej młody monarcha—do wielkich czynów, a ja prowadzę was ku przepysznyemu dniom,“ zakończył zaś, mówiąc: „Mój kierunek jest dobry, my dalej będziemy w tym kierunku sterować.“

W *Przeglądzie* naszym z kwietnia 1890 r. pisaliśmy zaraz po oddaleniu ks. Bismarka: „Wilhelm II wierzy w swoje posłannictwo i wierzy w to, że będzie mógł zgnieść tych, co mu staną w drodze. Upór, charakteryzujący Hohenzollernów, przybiera u Wilhelma II postać wytrwałości w osiągnięciu celów, przez Opatrzność mu zakreślonych“—a dalej pisaliśmy: „W Wilhelmie II wiele jest romantyczności, dużo reminiscencyj o prawie monarchów do ludów, pochodzącym od Opatrzności, wreszcie pewien rys fatalizmu.“ Każde wystąpienie młodego cesarza dowodzi, że ta nasza ówczesna ocena była trafną. Jeżeli do niej jeszcze coś dodać możemy, to chyba to, że w ostatnich czasach przybrał „nowy kurs“ Wilhelma II

kierunek więcej oznaczony, odpowiadający właśnie prądowi ku religijności i harmonijnemu działaniu Kościoła z państwem. Jakiś czas Wilhelm II lawirował; dzisiaj postępuje on w pewnym stałym kierunku, a jedynie ślepi lub udający ślepotę, mogą sądzić, że to kierunek fałszywy.

Z tem zapatrywaniem o potrzebie powrotu do religijności, nie stoi zresztą Wilhelm II sam jeden w Europie. Podobnemu pogładowi dał wyraz także cesarz Franciszek Józef, kiedy w mowie tronowej węgierskiej oświadczył: „Co się tyczy spraw religijnych, to spodziewamy się, że Kościół i państwo wypełnią swoje wzniosłe zadanie, uszanowując wzajemne interesa i sfery prawne, w owej tradycyjnej harmonii, jaka istniała od wieków w naszym ukochanem królestwie węgierskiem, jako jedna z najgłówniejszych rękojmi ogólnego stanu prawnego i religijności ku dobru i w interesie Kościoła i państwa.“ Tak tedy widzimy prawie wszędzie rozpostarte przekonanie o potrzebie współdziałania Kościoła z państwem. Z tem przekonaniem wszyscy liczyć się muszą, i ono coraz szersze zataczać będzie kręgi. To przekonanie musi prędzej czy później wypełniać całe prawodawstwo najbliższej przyszłości, i w tem dążeniu widzimy też wyjście z owej epoki przejściowej, w jakiej żyjemy.

Jakże drobnym i nikłym wydawał się wobec tego ogólnego prądu przebieg pojedynczych spraw europejskich! Gdyby jeszcze potrzeba było dowodu, że zaniepokojenie Europy w ostatnich latach wychodziło wyłącznie od Rosyi, to ubiegły miesiąc najlepszym był tego przykładem. Odkąd zaczęto wierzyć w ubezwładnienie Rosyi skutkiem katastrofy głodowej, od tej chwili rozpoczęła się era uspokojenia. Ani upadek ministerstwa Freycineta, ani zajścia, jakich byliśmy świadkami w Serbii, nie wzbudziły zaniepokojenia. Z brakiem pieniędzy i chęci do agitacyi zewnętrznej w Rosyi, ustało i działanie tych niewidzialnych sił, które czynne były za kulisami. Najlepiej ocenić to było można w Serbii. Tam toczył się od chwili katastrofy głodowej w Rosyi, proces rozkładowy stronnictw, rządu i—*last but not least*—finansów. Budżet serbski, pozbawiony zasiłków rosyjskich, okazał się fikcyjnym, partya rządząca radykalna rozpadła się na trzy części, a w łonie rządu, gdzie nigdy nie było zgody, panowała obecnie

zupelna anarchia. Na wszystkich polach działalności państwowej panuje tam chaos, i nikt, najmniej zapewne obecni regenci, nie wie, w jakim właściwie Serbia steruje kierunkowi. My za możliwe uważamy następujące rozwiązanie jej losów: albo przyjdzie w Serbii do otwartej rewolucyi, albo też rzuci się ona napowrót w ramiona Austrii, porzucając Rosyę, która sama — głód cierpi. Ubez władnienie Rosyi dawało się czuć także i w Bułgarii. Tam, po raz pierwszy od długiego czasu, zdawali się występować reprezentanci cesarstwa niemieckiego otwarcie po stronie księcia Ferdynanda. Półurzędowy bułgarski dziennik *Swoboda* wyraźnie to podniósł, składając dzięki konsułowi niemieckiemu w Zofii, Wangenheimowi, a dzienniki rosyjskie nie omieszkały czynić wyrzutów Niemcom, że obecnie otwarcie popierają „awanturnika.“ Czy politycy niemieccy rzeczywiście tylko ze względu na obecne ubez władnienie Rosyi, postanowili nie kryć się ze swojemi sympatjami dla ks. Koburga, nie chcemy myśleć, ale w każdym razie oba te fakta równocześnie się schodzą. Dla Bułgarii jest jednak już sam ten fakt pomyślny i nie potrzebują politycy bułgarscy dochodzić przyczyny tej naglej zmiany w postępowaniu Niemców.

Także i wyniku ostatnich wyborów do parlamentu w Rumunii, nie można uważać za pomyślny dla polityki rosyjskiej na wschodzie. Przygniatająca większość, jaką otrzymał rząd, złożony z koalicji Catargiu-Carp, potrafi może położyć raz koniec ciągłym zmianom ministerstw, jakich byliśmy tam świadkami w ostatnich latach. Wiadomo zaś, że p. Carp postawił jako pierwszy warunek wstąpienia Junimistów do ministerstwa Catargiu, przyłączenie się Rumunii do ligi pokojowej trzech państw. Istnieje wprawdzie w Rumunii i obecnie jeszcze silna partya bojarowska, ulegająca w zupełności wpływowi Francyi i Rosyi, ale coraz więcej zaczyna też przeważać przekonanie, że przyszłości Rumunii nie wypada szukać w oddaniu się wpływowi rosyjskiemu. Rumunia i nadal będzie musiała, zapewne głównie ze względu na wzmiankowaną partye bojarowską, utrzymywać się w roli bezstronnego widza, ale pewnem jest, że sympatye jej rządu, nie są po stronie Rosyi.

Akcyje Rosyi spadały więc w Serbii, Bułgarii i Rumunii, a nawet biednym Czarnogórcom dał się we znaki ten—

głód rosyjski. Z Petersburga nie przyszły pieniądze, i oto i w Czarnogórze zapanował głód, zmuszający ludność do emigracyi pod rządy znieawidzonego Turka.

Nauka, jaką możnaby wyciągnąć z tych wszystkich zajść na wschodzie, dałaby się we dwa streścić zdania. Po pierwsze, polityka wschodnia jest przede wszystkim polityką finansową; rozstrzyga tam pytanie: kto da więcej. Powtóre, Rosya jest straszną na wschodzie, jak długo wyrzuci miliony rubli na wsparcie braci słowiańskich, podczas gdy od Rosyi zamykającej kasy, odwracają się ci „bracia“ z pogardą. Niechaj w Rosyi zapanuje tak przez dziesiątek lat brak pieniędzy, a zobaczymy, co się zostanie z sympatyj słowiańskich dla Rosyi i z całego panslawizmu!

Podczas gdy na całym świecie przeważały kwestye społeczne i ekonomiczne, w Austrii odgrywały i dalej sprawy narodowościowe pierwszą rolę. Pod względem anachronizmów, jest Austria z pewnością jednym z najciekawszych krajów. Sprawa t. zw. ugody czeskiej, roznamiętniała znowu — jeżeli nie umysły — to pióra, i nie ulega wątpliwości, że w rozpoczynającej się za kilka dni sesyi sejmku czeskiego, przyjdzie do dramatycznych scen. Niemcy żądali, ażeby pojedyncze operaty podziału cyrkulów według narodowości, przyszły pod obrady sejmku, bez względu na to, czy wszystkie operaty już były gotowe czy nie, podczas gdy tak szlachta, t. zw. feudalna, jak i Staroczesi, wyrażali życzenie, ażeby te operaty nie poszczególne przechodziły pod obrady sejmku, ale jako całość jednolita, a więc dopiero po ukończeniu wszystkich częściowych prac podziałowych. To ostatnie żądanie wydaje się i nam ze względów rzeczowych z pewnością usprawiedliwione. W całej sprawie nie rozchodziło się jednak tyle o względy rzeczowe, jak o rzucenie podejrzenia, że jedna ze stron, które zawarły ugodę, jej niedotrzymuje. Cała taktyka prasy niemieckiej liberalnej w sprawie „ugody“ polega głównie na staraniu przekonania świata, że Czesi nie chcą dotrzymać warunków „ugody.“ To postępowanie wzbudza doprawdy podejrzenie, jak gdyby sami Niemcy życzyli sobie, ażeby „ugoda“ się nie ziściła, albowiem nikt, komu zależy na przyjsciu pewnego dzieła do skutku, nie rozgłasza publicznie, że to dzieło do skutku *nie* przyjdzie.

W manifestacie, jaki ogłosili deputowani staroczescy, oświadczają oni jednak wyraźnie, że i nadal trwają przy „ugodzie,” ale że uważają obecną chwilę za niesposobną do wszczynania dotyczących rozpraw. W tym samym manifestacie oświadczają oni dalej, że chcą zatrzymać mandaty poselskie. To postanowienie uważamy za zupełnie odpowiednie. Nikt nie powinien kapitulować przed nieprzyjacielem, jak długo tylko walczyć może dla dobra swojego narodu.

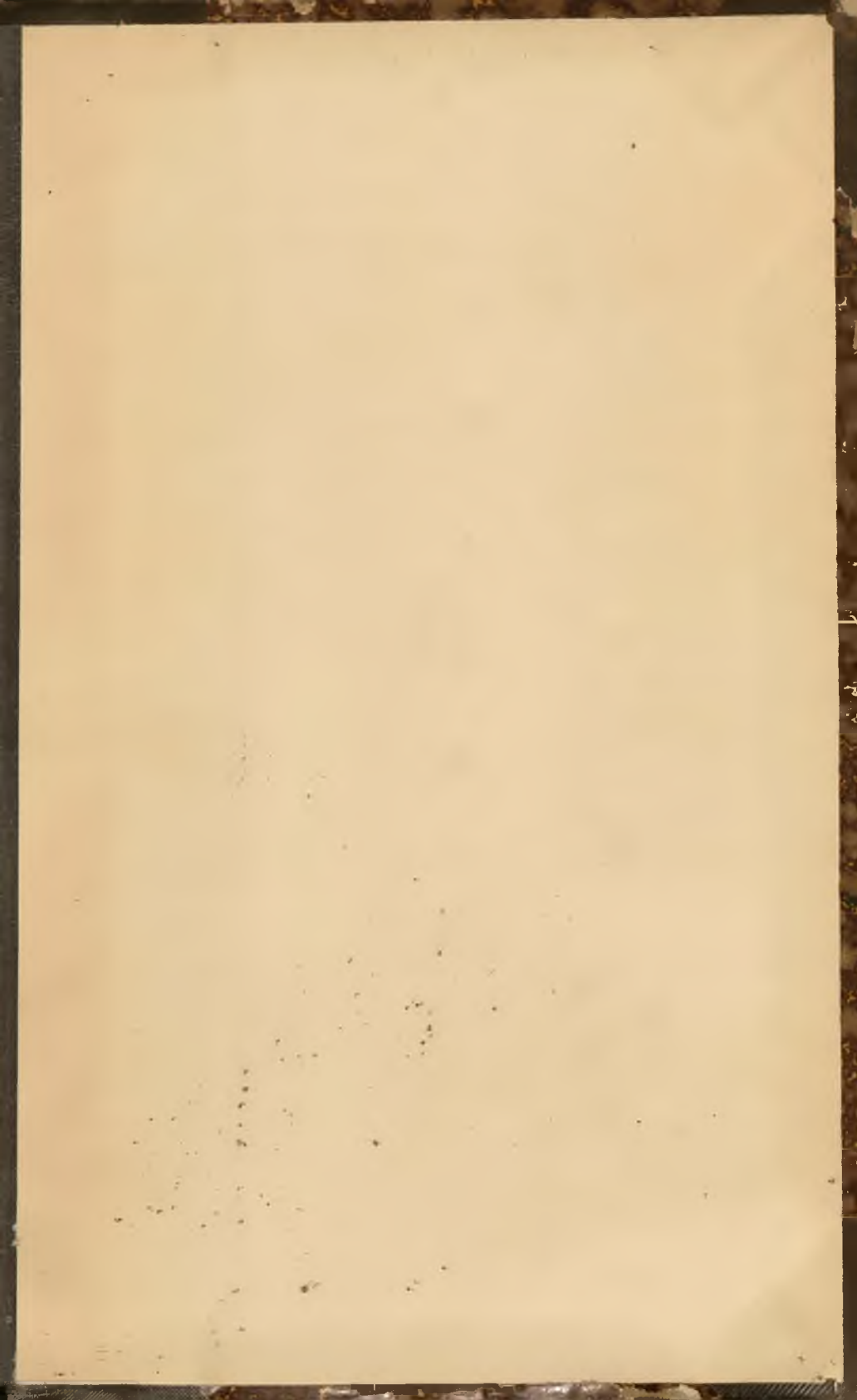
Cała ta sprawa „ugody” miała dotychczas ten widoczny skutek, że deputowany Plener, który, jak sam oświadczył publicznie, prowadził rokowania względem przyjęcia posady prezydenta najwyższej wspólnej izby rachunkowej, postanowił zatrzymać mandat deputowanego i zrzec się kandydatury na wzmiankowaną posadę rządową, ażeby wobec nowych zwikłań nie opuszczać posterunku. O ile nasze informacje sięgają, możemy utrzymywać, że to postanowienie nie przesądza przyszłości, i że p. Plener — przy sposobniejszych po temu stosunkach — nie odrzuci odpowiedniego, choćby i nie związanego z polityczną działalnością urzędu.

Z wyjątkiem sejmów czeskiego i tyrolskiego — z tego ostatniego wystąpili Tyrolczycy południowi — a wreszcie może z wyjątkiem sejmu bukowińskiego, gdzie dawny antagonizm między partją rumuńską a resztą partyj narodowościowych do ciekawych doprowadza wyników, można reszcie sejmów monarchii postawić horoskop pokojowy. Byłby zresztą już czas, ażeby i u nas przypomniano sobie, że obok interesów narodowościowych, istnieją także inne interesa, równie ważne i równie święte.

\* \* \*







Biblioteka Śląska w Katowicach

ID: 0030002009955



II 4501/26/3/1892

Biblioteka Śląska

II

255/092/103